



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

Slav 5198.140.5 (8)



J.B.

EX LIBRIS
LUCYANA RYDLA



HARVARD
COLLEGE
LIBRARY



CZAS

Dodatek miesięczny.

TOM VIII

335

1901-1902

1901

CZAS

Dodatek miesięczny.

TOM VIII.

ROK DRUGI.

Pazdziernik. Listopad. Grudzień.



KRAKÓW.

CZCIONKAMI I NAKŁADEM Drukarni „CZASU”.

1857.

Δ
Slaw 5198.140.5 (8)



SPIS PRZEDMIOTÓW

w ósmym Tomie zawartych.

Podzielnik.

	Stron.
I. Wiadomość historyczna o Zgromadzeniu XX. Bazylianów w Humanu, przez <i>E. Helleniusza</i> .	3.
II. Kilka słów o dawniej broni w Polsce, przez jenerała <i>Józefa hr. Zakuskiego</i>	46.
III. Badania historyczne podania gminnego o smoczéj Jamie w Krakowie, przez <i>I. Lisiewskiego</i> .	61.
IV. Gracze, poemat satyryczny, przez <i>Leszka Moroza</i>	84.
V. Przygody Padyszaha i czterech Derwiszów, powieść z perskiego, przez <i>Aleksandra Chodźkę</i> .	99
VI. Szkice podróżne, przez <i>Władysława Kulczyckiego</i>	158.
VII. Przegląd piśmiennictwa, przez <i>Lucyana Siemickiego</i>	179-
VIII. Zjazdy monarsze i opinia europejska, przez <i>Maurycego Manna</i>	200-

	Stron.
IX. Kronika: z Krakowa	233.
Korespondencye: z Wiednia	240.
z Poznania	244.
z Berlina	251.
z Paryża	258.
z Londynu	266.
z Warszawy	278.
X. Gazetka Literacka.	

Listopad.

I. Rzut oka na stan religijno obyczajowy Pol- ski w XVIII wieku, przez <i>Maurycygo</i> , hr. <i>Dzie- duszyckiego</i>	291.
II. Dwa dokumenta odnośne do zeszlóweko- wych dziejów Ziemi <i>Saasekiej</i> , przez <i>Jana</i> hr. <i>Zaluskiego</i>	371.
III. Uwagi nad opczynszowaniem i uwłaszczeniem włościan w Królestwie Polskim, przez <i>Onu- frego Sulimę</i>	388.
IV. Poezye: z Lermontowa, przez <i>Gustawa Czer- nickiego</i>	424.
Modlitwa z hiszpańskiego <i>Lopez de</i> <i>Vega</i> , przez <i>W. S. Dąbrowickiego</i>	434.
V. Archiprezbyterowie i kapłani kościoła Marya- ckiego w Krakowie, przez <i>Józefa Maczyn- skiego</i>	436.
VI. Przegląd piśmienictwa, przez <i>Lucyana Siemien- skiego</i>	481.
VII. Oligarchia polityczna, przez <i>Maurycygo</i> <i>Manna</i>	501.

	Stron.
VIII. Kronika: z Krakowa	510.
Korespondencye: z Wiednia	515.
z Poznania	521.
z Berlina	531.
z Paryża	543.
z Londynu	551.
IX. Gazetka Literacka.	

Grudzień.

I. Dwoje pism dyplomatycznych hrabiego Krzysztofa Masini posła nadzwyczajnego Rzeczypospolitej Polskiej do Książąt Włoskich w r. 1674, przekład <i>Władysława Kulczyckiego</i>	561.
II. Biografia księcia Adama Czartoryskiego jenerała Ziem Podolskich, przez <i>Kajetana Koźmiana</i>	625.
III. Poezye: Bajki <i>F. Morawskiego</i> (jenerała)	637.
Do Eustachego J. przez <i>Juliusza Słowackiego</i>	641.
IV. Mogiły, fragment, przez <i>J. I. Kraszewskiego</i> .	644.
V. Przegląd piśmiennictwa, przez <i>Lucyana Siemickiego</i>	758.
VI. Drugi obieg błędnego koła, przez <i>Maurycego Manna</i>	776.
VII. Kronika: z Krakowa	791.
Korespondencye: z Wiednia	797.
z Poznania	800.
z Berlina	808.
z Paryża	817.
z Londynu	825.
VIII. Gazetka Literacka.	
IX. Rok drugi <i>Dodatku do Czasu</i> .	



SPROSTOWANIE

pomyłek drukarskich w zeszycie listopadowym.

- Str. 373 wiersz 6 po słowie Rzeczypospolitej opuścić *)*
- " " " 8 *po słowie rosyjskie; zamieścić *)*
- " 374 " 2 *zam. węgierskich czyt. perskich*
- " " " 31 " *obronę " obronną.*
- " 377 " 11 *(w notce) z. najmniejszej czyt. największej*
- " " " 22 *zam. sejmików ręków czyt. sejmików i ręków*
- " " " 35 " *Lubomiski " Lubomirski*
- " 382 " 2 *(przypis. do notki) zam. Progow czyt. Srogów*
- " " " " " " *Serednie " Serednie*
- " " " " " " *Witrytów " Witryłów*
- " 384 " 27 *po słowie Februario domieścić wypłacić*
mogła
- " 386 " 11 *po słowie Jegomości domieścić o którego*
eliberacya, supplikować Jaśnie Oświeczonego
książęcia Jegomości
- " 387 " 7 *po słowie wolność! opuścić znak wykrzy-*
knienia!
- " 389 " 18 *zam. Zawisły czyt. Zawisłój*
- " 392 " 1 " *sieczcz " jeszcze*
- " 394 " 15 " *łatwo mimo, czyt. łatwo, mimo*
- " 395 " 21 " *potrzeby " i potrzeby*
- " " " 25 " *uwaszczac " uwłaszczać*

Str. 395 wier. 31 opuścić już

- " " " 32 **zam. przyczyny zasadę czyt. przyczyny
może zasadę**
- " 402 " 57 **zam. gwałowna czyt. gwałtowna**
- " 403 " 9 " **obdarujących czyt. obdarowujących**
- " 408 " 3 " **był: jest " był i jest**
- " 414 " 16 " **tu okoliczność " tę okoliczność**
- " " " 10 " **porządku " w porządku**
- " " " 12 " **okowań " okowań**
- " " " 18 " **wolność lub " wolność spłace-
nia lub**
- " 415 " 15 " **prac lub majątków czyt. praw lub
majątku**
- " 416 " 9 " **chwilowe się jej czyt. chwilowe jej**
- " 418 " 2 " **złp. 150 " złp. 160**
- " 419 **pod numerem 9 zam. 2722 czyt. 2723**
- " 421 **wier. 27 " oszacowaniu " oszacowanie**
- " " " 35 " **jako też czynszu " jak też czynsze.**

W reszycie grudniowym.

**Str. 582 wier. 31 zam. Adryanopolitańskim czyt. adrya-
nopolskim**

- " 603 " 18 " **Rangonim, Viscontim, Torresie
i Vidonim czyt. Rangoniego, Vi-
scontiego, Torresa i Tidoniego.**

Роздѣльник — 1857.



WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA

O ZGROMADZENIU XX BAZYLIJANÓW W HUMANIU.

Franciszek Salezy Potocki Wojewoda Kijowski, dzie
dzie dóbr obszernych w Ukrainie Braclawskiej Humań-
szczyzny, Krystynopola, Bełzki, Hrubieszowski Starosta
zajął się silnie uporządkowaniem pustych miejsc w głę-
bokiej i bezludnej Ukrainie. Pragnąc bezpieczeństw-
własności swojej, cały kraj chroniąc od napadu Zapo-
roża, zamek obronny w Humanu założył. Human —
uczynił silnym zameczkiem, wojsko nadworne Kozaków
urządził, stały rząd i administracyą lepszą wprowadził.
Rozpoczęła się uprawa roli, gospodarstwo dość porzą-
dne. Dobra, które żadnego nie przynosiły dochodu
wielkie nadsyłać zaczęły intraty tak dalece, że mówio-
no, iż Potocki i jego rządca wykopali ogromne skarby,
które Karol XII uchodząc do Wołoszczyzny z Półtawy
zakopał. Kraj się ludnił przez szlachtę rozpoczętą. Mo-
żna się było opierać na stałej wojska humańskiego obwo-

nie i chronić w razach niebezpieczeństwa w zamczku. Przymierza jakie zawierała Administracya humańska z Zaporozem chroniły od hajdamackich napadów, od pożaru i rzezi. Potocki chcąc Ukrainie dopomódz w rozkwitnieniu się i porządku, zamyślił o ukształceniu moralném i religijném całego ludu i mieszkającej już dość ludnie szlachty. W roku 1764 fundował księży Bazylianów w Humaniu dla stałych w całej Humańszczyźnie missji i utrzymywania szkoły zaczynając od infimy do Teologii moralnej z warunkiem czternastu kapłanów. W zgromadzeniu Missjonarze Professorowie, Proci, Kaznodzieje; Przełożonego Wikarego, Fundacya nauczycielska i kaznodziejska z kapłanów katechizujących uczących w domu, w kraju, w kościele, z Professorów nauczających w Szkole i Prefekta rządzącego uczniami. Dla spełnienia tego celu potrzeba było ludzi czternastu. Wsie dwie wielkie Sredzenówkę, Monasterek na wieczne im czasy zapisał. Fundacya ta jest roku 1764. Przywilej dany Opatowi owruckiemu Prowincjałowi księży Bazylianów roku 1767. Fundacya zupełnie dokonana osobnym dekretem Metropolity, objawionym przez urzędników na ten cel przeznaczonych i przysłanych. Szkoły rozpoczęte w pierwszym roku miały 150 uczniów. Pierwsi Bazylijanie do Humania przybyli: X. Herakliusz Kostecki, Rektor klasztoru i missyi. — X. Lewicki Vicerektor, X. Lachowski; X. Zabaczyński; X. Zahorowski itd.

Ciekawy jest szczegół inwentarzy wsi w roku 1764 Bazylijanom nadanych; są one wskazówką powinności włościan tego czasu w Humańszczyźnie w dobrach rozciągających się od rzeczki Bahwy i miasteczka Sokółówki do Targowicy; od Teplika do Bohopola; — od Niemurowa Tulczyzna do Mohylowa nad Dniestrem. Inwentarz ten jest dokumentem praw kraju całego. Numer włościański miał robocizny rocznej dni dwanaście ko-

sawio 2, ogólnie 14 dni; robocizna była równa dla wszystkich, osyp i czynsz stosowny do posiadanego dobytku, wymiar powinności nie był zastosowany do gruntu, ale do zaprzęgu. Grunt był niezmiierzonym. — Był na Ukrainie Geometra przysięgły Bomer; ten robił plany ogólne, szczególnego rozdziału gruntu na użytek włościan nie było; zostawione mieli wolne używanie. Podzieleni włościanie na trzy klasy pięci, parowi i pługowi; dawali osyp z żyta i owsa. Pierwsi żyta osminą, 12 garcy owsa. Drudzy żyta osmin 2, owsa garcy 12. Trzeci żyta osmin 3, owsa garcy 18. Prócz tego z każdego domu czynsz: pierwsi złp. 7 gr. 18, drudzy złp. 14 groszy 18, pługowi złp. 21 gr. 18. Ten inwentarz w całej włości humańskiej stosowany do polskich w całym kraju inwentarzy objaśnia obowiązki włościan i dochody ziemskie. Oprócz czynszu i osypu dochody były z propinacyi stosunkowo do czynszów włościańskich, ogólnie je zliczając jak dwa do jednego. Wice majaca czynszu 1000 złp. propinacyi 2000. Książa Bazylianie w dwóch wsiach swoich mieli Włościan powianych Nr. 93. Iatraty wyliczonej 3325 złp. Te szczegóły są zbytne. — Dla dziejów miejscowych ciekawe i niedzowne.

Napełnione są piśma narzekaniami na ucisk i niewolę chłopów polskich. Kmieć polski ogólniej powinności redukując na pieniądź miał najwięcej złp. 35, miał wolność osiadania, używania ziemi, pastwisk w nieoznaczonęj ilości; osobiście oswobodzony od służby wojakowój, najlepiej uposażony ze wszystkich ludów.

Pierwszym Rektorem przełożonym klasztoru i misyji był X. Herakliusz Kostecki mąż Boży wielce zasłużony w Zakonie, światobliwie w nieskazitelnej żyjący czystości; prosty, pokorny czuwający we dnie i nocy: Misyjnym, kaznodziejstwu, nauczaniu ludu oddany. W Trembowli był superiorem w różnych miejscach w Halickiem

w ziemi Bełzkiej nieustannie missye miewał; najdalsze okolice i strony wielokrotnie nawiedzał, kazał, pracował, nawracał, w pobożności lud utrzymywał. Przed fundacją Humańską w Ukrainie był na missyi z Zamościa. Będąc przełożonym w Zamościu missye odbywał w Targowicy, w Humanu w dalszych miejscach z X. Kornelim Sroczyńskim Missyonarzem z Zamościa. Ksiądz Ryłło biskup chełmski za szczególnym rozkazem Stolicy Apostolskiej znajdował się na Ukrainie w Berdyczowie z nim był ksiądz Kostecki. Po missyi ukończonej w Krystynopolu za prośbą Potockiego z woli Prowincyała i starszych do Humania wyjechał. W Trembowli, Zamościu; w całej Rusi Czerwonej przez lat wiele służył Bogu, surowe prowadził życie zakonne, dnie i noce na służbie boskiej przepędzał. Lud po wsiach, okolicach dalekich nauczał z rzadką wytrwałością, pracą i doświadczeniem w katechizowaniu przy nieustających ciągłych spowiedziach, kapłanów do prac missyjnych sposobił, ćwiczył w zakonności ścisłej i obserwancyi pasterskich powinności przyuczał. Z nieskazitelnego żywota swego, miał cześć powszechną i wielką powagę. Pomimo przeszkód fundacją humańską uskutecznia. Zostawiwszy w Humanu dwóch Missyonarzy z dwoma innymi poszedł do Smilańszczyzny z osobistem niebezpieczeństwem, aż do zniesienia obelg i krzywdy pracował. Nie się misyom poświęcał tyle i klasztorowi; często nieobecny, gorliwie braćmi rządził, równie szkołami. Nie tylko miłą Bogu jednoś doskonałą pobożność rozwinał w Zakonie, ale i w szkołach, które zaraz na wyższym stanowisku postawił, zbiorem liczny młodzieży nappełnił. Pod wodzę tak 'świątobliwego męża miłującego nauki a nadewszystko duszy zbawienie rodzice z całą ufnością oddawali dzieci swoje. Jeden przykład dany wszedł w zwyczaj, Humańska szkoła nabyła wziętości zawsze mając liczny zbiór uczniów.

Wśród sannej rzezi jeszcze na misyą do Buków poszedł, pomyślnie ją spełnił. Na cztery dni tylko przed samą rzezią z pracy Apostolskiej do klasztoru powrócił.

Spełnione misyie od początku fundacyi.

Misyia pierwsza 1766 roku przed Zmartwychwstaniem Pańskim w Humanu przez księdza Kosteckiego i Kornelego Strczyńskiego dopełniona w kościele parafialnym pod tytułem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny trwała cztery tygodnie, Krzyż na pamiątkę wzniesiony.

Misyia druga tegóż samego roku przez tychże samych kapłanów w miasteczku Ładyżynie dziedzicznym Mnisza dopełniona przez dwa tygodnie z wzniesieniem krzyża.

Misyia trzecia w miasteczku Targowicy tegóż roku.

Misyia czwarta roku 1766, za zleceniem Metropolity ksiądz Kostecki i towarzyszy z cnót znany ksiądz Lewicki słowo boże opowiadali w Smile, Zabotyńie, Czebrynie, uciarlieli od napadu Charka ze wzburzonym ludem wytrwali mężnie przynieśli owoc zbawienney.

Misyia piąta roku 1767, Misyionarze: ksiądz Kostecki, Leon Zasławski, Epifaniusz Lachocki w Sokołowie dziedzicznych dobrach Potockiego przez dwa tygodnie po dwakroć byli na misyji. Spokojnie skończyli z wielką chwałą Boską, wśród niezliczonego ludu; cztery tygodnie i więcej przystępowało do najświętszego Sakramentu; liczne były processyie i krzyż wzniesiono.

Misyia szósta roku 1767, za staraniem Zalewskiego Łowczego Zydzaczewskiego do Lisianki dziedzicznej księcia Jabłonowskiego, Wojewody Nowogrodzkiego naznaczeni i posłani: ksiądz Jan Lewicki, ksiądz Epifaniusz Lachocki i ksiądz Leon Zasławski świeccy Parochowie z rozkazu Dziekana do posługi przybywali.

Misyia siódma roku 1768 w Mańkowie wielkiej w dobrach dziedzicznych Potockiego rozpoczęta w czasie W.

Postu; lud misyi nie przyjął nauk nie słuchał, daleci na słuchanie katechizmu nie przybywały. Przez dwa tygodnie tak było, uporu nie wzruszyć nie mogło. Misyonarze dotrwali do czasu spowiedzi wielkanocnej, lud wtedy chcąc nie chcąc zbierać się począł. Misya na nowo rozpoczęta i dopełniona z wielką chwałą Bożą. Lud się w naukach i kazaniach rozmiłował, coraz się liczniej zbierał, wielki był w Murykowie tłum, wydolać pracy ledwie mogli z wielką solennością w kościele misyi, krzyż wzniesione.

Misya ósma roku 1768 Rafał Młodanowicz rzadca dóbr humańskich sprowadził z Winnicy OO. Kapucynów O. Maryofila i Serena. Cztery tygodnie w Humanie misyą odprawiali kaząc wśród [Mszy ś. i nieszpówów w parafialnym kościele; na pamiątkę tej misyi był postawionym krzyż. Bazylianie się uskarżali, że z niechęci ku nim obcych zakonników sprowadził przeciwko się myśli fundatora.

Misya dziewiąta 1768 roku ostatnich dni maja z wielką żarliwością przez księdza Kosteckiego rozpoczęta w Bukach nad Tykiczą, w poście przed apostołami ŚŚ. Piotra i Pawła, przez księdza Lachockiego i księdza Zasławskiego wspólnie z X. Kosteckim prowadzona. Wśród wielkiego uczęszczania ludu zbawiennym i największym dusz pożytkiem, 11 dni tylko trwała. Wzburzenie Ukraińskie i rzezie przerwały dla bojaźni śmierci i zabicia niemylnego nieukończona. Krzyż nie wzniesiony, tylko Statua ś. Jana Nepomucena.

W tym roku okrutna rzeź wybuchała d. 9. czerwea. 1768 roku. Humań srodze krwią ziała. Rozpoczęta konfederacya Barska ściągnęła konsystującą koronną wojską; za ordynansem Regimentarzów poszły się z nią połączyć w Województwie Bracławskiem. W Ukrainie były destatyczne do uspokojenia rozruchów siły: prócz wojsk koronnych, nadworni Kozacy w Smicłabazozynia.

Hasanin. Ci odebrali też rozkaz przejść do konfederacyi. Dziedzice dóbr wielkich nie chcieli się narażać na niepewny los Konfederatów; wojska dla bezpieczeństwa swoje zatrzymali. Tem powiększyli ogień wojny. Lud bez Kozaków nie śmiałby się rzucić na władze krajowe, na mieszkańców uzbrojonych; mając nadwornych na miejscu Kozaków, z nimi złączony, dopełnił czynu tej słynnej Rzezi.

W Ukrainie stało się to co mówi S. Jan Chryzostom: o Jeruzolimie w czasie męki Zbawiciela: „Opanowali je czarci całe piekło weszło w Lud żydowski. Nie sami starci i kapłani ośmielili Zbawiciela, wydali na śmierć i okrutne męki, lud cały wybuchnął piekielnym ogniem nienawiści.“ Ukraina doznała napadu piekielnego; niewinność dzieci nie chroniła przed nienawiścią wściekłego ludu nie mogła. Patrząc na te straszne ogniste łono na te krwi zdroje przychodzą na myśl dawniejsze jeszcze w przeszłości podobne fakty i inne daleko po tem późniejsze.

Znajdę się tyle pism o kozaczyźnie, tyle sporów różnych wyległo rozmaicie objaśniających fakty. Sądy ludzkie jednak nie są pewne każdy patrzy przez przyjętą przez się opinię i zasadę przez swoją szczególną sympatją. Biorą, ludzkie, fakty jak cegły do muru dla robienia i rozwijania swoich systematów i teoryj: jednak sprawy ludzkie idą koleją Bogu wiadomą, ludziom nieznana, bezwzględnie na ich przywidzenia, wnioski i teorye. Człowiek tylko jest świadkiem zdarzeń nie sędzią. — Pycha ludzka wszystko przesądza i rozumuje nad tem, co boskie i ludzkie, co pojęte i niezrozumiane; bo umysł człowieka ile z natury ograniczony, szczupły, tyle zachwyty. Dziś w szeregu przed nami toczących się zdarzeń z tego co widzimy, jasnej sprawy zdać nie możemy. Jak przesądzać wypadki przeszłe, co znaczą historyczne rozmowy? Filozofie, historycy? ludzkie społeczne te-

orye i zakreslane przez nie wypadki i prawa, tak różne od tego co się wypełnia, co się dzieje — co się stać musi. — Boleję nad temi którzy wierzą w teorye, nie mające wpływu na życie ludzkie, i nie będące słowem żyjącem. Dotykając faktu rzezi Humanńskiej przypuszczanych przyczyn nie wprowadzam, ani odnawiam starego sporu z kozaczyzną, z równą zaciętością przez pisarzy wiedzionego jak niegdyś przez Kozaków orężnych; na tło bowiem dziejów zwykle rzucane są barwy dzisiejszych namietności i przywidzeń. — W dziejach ludzkich to rzecz pewna widzimy massy złych i dobrych czynów na większej i mniejszej skali życia człowieka. Te czyny mają potęgę albowiem nie sprawuje ich sam człowiek lub też naród, poparte są wyższą siłą, niejako w połączeniu zobopólnem dopełnione, ze złym duchem, jeśli są występne z łaską bożą, jeśli cnotliwe i święte. Widzimy walkę złych z dobrymi, dobre i święte są dotąd tylko reakcją, oporem, przeciwnieniem się, a nie zwycięstwem. Całym naszym zadaniem głównym celem liczbę naprzód dobrych myśli, następnie dobrych uczynków powiększyć, aby na szali przed Bogiem dobre przeważać mogło.

Taka jest treść taki sens główny dziejów i historycznej nauki. Czy pojmujemy dzieje ludzkie czy je objaśnimy byleśmy zapal zdolność do lepszego z téj nauki powziąć mogli. Dla tego mówiąc o rzezi choć tylko zwrócić uwagę na dany przykład godzien apostolskich czasów poświęcenia się światobliwej śmierci X. Kostockiego nie rozbudzając z tych zdarzeń nienawiści wzajemnych.

Jeśli zadana sercu rana, niechaj Cię błogosławi; jeśli łzy wylane niech rozbudzą miłosierdzie Twoje Panie!

Przed samą rzezią która była w Poniedziałek dnia 9 Czerwca 1768 roku przybył X. Kostęcki z missyi z Buków we Czwartek do Humania, znalazł ogromne tabory

w mieście, na przedmieściach wiele bardzo przybyłe; szlachty i żydów. Zdażył X. Magierowicz zasłużony Misyonarz z Zamościa z Białobówki wraz z Skibińskimi possessorami tego miejsca. X. Kostecki widząc tak wielką trwogę zebrał wszystkich zakonników z posłuszeństwa ich rozwiązał pozwalając aby każdy ratując życie opuścić mógł klasztor. Sam postanowił pozostać dla usługi w niebezpieczeństwie będącym ofiarując się na śmierć. X. Lewicki wice-rektor Misyonarz z Białobówki, X. Magierowicz; X. Oczowski zakrystyan, braciszek X. Majewski oświadczyli że X. Kosteckiego i klasztoru nie opuszczą i odważyli się zostać czekając z ochotą śmierci. Inni w liczbie 7miu prefekt szkół Misyonarze: X. Naimowicz, X. Lasocki, X. Zasławski korzystając z pozwolenia z miasta w Niedzielę dopiero dniem przed rzezią wyszli, nie z sobą nie biorąc i to z wielką trudnością. Żydzi, których nie wypuszczano przed tem z miasta wzajemnie odejść zakonnikom wzbraniłi; cudem wyratowani, pieszo szli na Wołyn w różnych się miejscach kryjąc po skończonej rzezi i uspokojeniu zupełnem do klasztoru powrócili. X. Kostecki przez wszystkie dnie Piątek, Sobotę, Niedzielę na rynku spowiadał, udzielał Sakramentów, na śmierć przygotowywał, dodawał odwagi do cierpliwego zniesienia strasznej śmierci, upewniał, że pierwszy im będzie torował drogę. Dał nakoniec generalne rozgrzeżenie, ostatnie błogosławieństwo; wszystek lud ukląkł we łzach ich błogosławił. Ostatniego dnia z klasztoru przeszedł do kościoła farnego ten był przy bramie do której szturmowali Kozacy. Gonta już był na czele szturmujących i powiewał białą chorągwią. Rządca Mładanowicz bronić się nie chciał nawet zabraniał. P. Markowski silnie o to się sprzeczał chcąc obrony, gdy nie mógł przemódz bojaźni Mładanowicza otworzono bramę rzucili się wszyscy do X. Kosteckiego, aby błogosławił w tej strasznej chwili. X. Kostecki wyszedł

z ostatnią Mszą, ś: w kościele farnym. Kozacy i ochłopi, wpadłszy rzucili się na trzy miejsca, gdzie najwięcej było zebranych w ostatniem niebezpieczeństwie na modlitwę do kościoła farnego, do kaplicy Bazylikańskiej do żydowskiej bożnicy. W klasztorze naprzód na kurytarzu zabili braciszka, w kaplicy trzech księży odprawiających nabożeństwo do Najświętszej Panny Maryi. Byli to owi świątobliwi niezapomniani nigdy Misyonarze, co mając zezwolenie ratowania życia i opuszczenia klasztoru nie odstąpili swego powołania i dobrowolnie ofiarowali się na śmierć. Ludzie żałenci czekali jednak do skończenia nabożeństwa. Związawszy ich okrutnie krwawo bili po głowie i całem ciele. Skrwawionych opędzali około ratusza zostawiając potem na straży u Rohatego mieszkańca Humania. Zabijać jednak ich nie chcieli. Dopiero za rozkazem Zeleznika i Gonty, „iżby źle było dla wojska Zaporozkiego, gdyby zostali przy życiu“ spisami skłóci na ulicę rzuceni. Gdy tak w kaplicy klasztornej mordowali, kłóli spisami mordowali, strzelali, X. Kostecki siedział przy wielkim ołtarzu i słuchał spowiedzi. Jak się to stało? W czasie wejścia dawał błogosławieństwo odprawiał Mszę świętą w kościele farnym w chwili napadu na klasztor już był w swoim kościele wraz z braćmi, ci śpiewali Akafest, on słuchał spowiedzi. Nikt go przez miasto idącego nie widział. Gdy się powszechne rozpoczęło zabijanie stanął w ambonie. Ujawszy go kozacy wciągnęli do piwnicy chcąc, aby ukryte skarby pokazał; Stamtąd go wyprowadzono przed drzwi lochu — wleciał kozak i rozpoczął się spór silny między tymi co go z kościoła do lochu ciągnęli a przybyłym Kozakiem; — który o zabiciu jego mocno nastawał. X. Kostecki klęczał, miał ręce do nieba wzniesione. Od postrzału upadł na ziemię, spisami natychmiast dokłóty we krwi się własnej zanurzył, i dach świętemu oddał niebu. Świadcami tej śmierci stojąc przy drzwiach lochu byli ochłopie,

stający do Mszy ś. i stróż klasztorny. Po skonaniu X. Kosteckiego chłopiec posłany był dla toczenia trunków, stróż dla kopania w tym lochu i szukania skarbów. Wróciwszy obaj ciała X. Kosteckiego już nie znaleźli i dowiedzieć się co się z niem stało nie mogli. Następemu po nim rektorowi robili ci dwaj ludzie jakiegoś naoczni świadkowie relacyą. Przełożony każdego osobno o nich pytał, relacye ich z sobą się zgodziły. Obowiązany był dowiedzieć się o tém ściśle z zalecenia prokuratora spraw prowincyi XX. Bazylianów pod tytułem obrony N. Maryi Panny dla uczynienia urzędowej relacyi prefektowi kardynałowi de propaganda fide X. Castelli. — Co się tyczy X. Kosteckiego tego XX. Bazylianie i inni miejscowi ludzie dojść nie mogli. Zostało to ukrytem, tem dziwniejszą, że ciała innych zakonników w różnych miejscach zabite pogrzebione znaleziono.

Prorokował o tém X. Marek Karmelita w domu P. Puławskiej starościny wareckiej gdy na początku konfederacyi przed rzezią ostatni się raz z X. Kosteckim widział. Wedle słów X. Marka w lat sto to jest roku 1668 wśród zepsutej wiary i obrzędów ma być znalezionem z wyraźnemi dowodami, że to on jest przy cudach i niezmierniej łasce boskiej.

X. Magierowicz zabity niedaleko cerkwi ś. Mikołaja, ciało jego leżało przy drzwiach cmentarza, cerkiewny sługa na cmentarz wciągnął. Widząc jadącego chłopca z wsi Bazylikańskiej, zawołał, aby mu pomógł zagrzebać. Ten ciało z cmentarza wzięwszy na wóz swój włożył i wywiózł za miasto aby je między trupy na pastwę zwierząt wrzucić i pozbawić na cmentarzu pogrzebania. X. Hipolit Zawadzki staruszek z kościoła farnego zginął tym sposobem: zaczęli go chłopcy pytać o skarby schowane w Mańkówce i z pewnym szlachcicem, na pasle przy koniu wiedli. Nie znalazłszy nic w Mańkówce na-

hajami bili i fna moście ich postrzelali. Widząc niewinną śmierć staruszka Wataška żalować poczał i dał rubla na dzwonięcie i pogrzebanie jego. Widzieli tę śmierć Ks. Lachocki i braciszek Ambroży, którzy się ukryć zdołali.

Wojska rosyjskie uspokoiły tę burzę, oddali schwytych władzy; ponieśli kary okrutne i srogie. — Rato- wało miłosierdzie wielu na szubienicę skazanych w mia- stach: Lwowie, Kamieńcu; pracowali tylko czas jakiś przy nowych budowlach i murach.

Tegoż samego roku w jesieni zgromadzili się XX. Bazylianie do Humania X. Jerofeusz Korczyński w Sza- rogrodzie otrzymał obediencję na przełożonego zebra- wszy tych co ochronili życie swoje zaczął porządkować zrujnowany klasztor, zniszczoną kaplicę. Na dzień Niepoka- lanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny po raz pierwszy otworzonem zostało solenne nabożeństwo. Wprowadzo- no Najświętszy Sakrament z Granowa nie było bowiem w Humanu od rzezi Mszy ś. i kapłana. Ten sam lud co był w mordzie tak zapalczywy i gwałtowny z unie- sieniem cisnął się do Sakramentu Pokuty. Ten sam lud co przed kilku miesiącami na wiadomość zbliżających się Zaporozców spieszył łączyć się z niemi, tworzył masy rozhukane i namiętne. W czasie tego festu gdy przysła wiadomość, że się zbliżają tłumy na nowo zbrojnych ludzi stworzył się, zaledwie ukończyło się nabożeństwo pierzchać zaczął. Nowy zarząd Humania daleko silnej- jał się obrony; podjazdy rosyjskich i polskich żołnierzy chwytaly oddając ich sprawiedliwości. Reszty tak zwa- nych z jednej strony zbójców z drugiej wojska zaporo- skiego zostały zniszczone ponosząc karę okrutnej śmierci lub ucięcia prawej ręki i lewej nogi. Znajdowali się in- dzie których miłość była wyższą nad wrażenie okrutnych mordów i zabójstw w Humanu dokonanych; nad wra- jemne uprzedzenia i przesady co między szlachtą a lu-

dom waniecały krwawe wojny i mordy. Skazanych na śmierć nie wieszano nie odcinano ramienia ratując ich życie i zdrowia. Wielu Mołojców rzeńskich chłopaków unieśli się duchem ukraińskiej narodowej ruchawki. Wpływem chrześcijańskich pośredników zajęci czas krótki przy budowlach robotą i pracą do domów wracali. Ta krwawa burza nastąpiła między ludźmi innego obrządku przyznano ją tej różnicy religijnemu uciskowi, a jednak podobny powtórzył się między ludźmi tego samego wyznania i narzecza. Cała teorya religijnych różnic i sporów przez to upada i niknie. Łatwo jest opowiedzieć z całą wiernością szczegóły zdarzeń — dlaczego co się stało? To inne głębsze pytanie. Przyczyny spraw ludzkich, tenby był mądrym, ktoby je czerpał w główném źródle nie w rozumie piszących. Nie ma spraw ludzkich w którychby uczestnictwa boska siła i wola nie miała. Żeby pojąć, objaśnić, trzeba mieć oświecenie; oświecenia nie dadzą nam ludzkie teorye, pisarska długoletnia praca, czytanie dzieł wielu, ani też słynny rozum, wytrawny, dojrzały, silniejszy krytyczny. Oświecenie trzeba sobie u Boga wysłużyć, wpoić szczerze w ducha pokorę i miłość, temi duszę uprawiać i doskonalić by ją do łaski bożej, w której dopiero prawdziwe jest oświecenie przybliżyć, mówię to do całej historii do rozległych filozofii do przeszłości stósowanych, do rozumnych historycznych badań i nauk bez prawdziwego jednak objaśnienia. Ś. Augustyn przeszedł przez wszystkie stopnie ludzkiej nauki, czerpał ile tylko można w ludzkich usiłowaniach i zdolnościach; wybornie naucza i rozjaśniając jest zrozumienie i pojęcie; pojęcie i zrozumienie, nie jest skutkiem zdolności usiłowań lecz nagrodą udzieloną od Boga. „Nie usiłuj wprzód pojąć — lecz wierz pierwej abyś mógł pojąć — *Zrozumienie nagrodą jest wiary.*“ Roku 1772 dnia 22 Octobra życie zakończył fundator klasztoru humańskiego Franciszek Salezy Poto-

oki wojewoda kijowski w klasztorze humańskim gdy o tem przysła wiadomość, przez dni osiem trzy razy na dzień dawoniono, solennie odprawiano przez oktawę żałobne nabożeństwo. Roku 1773 za zezwoleniem, łaską apostołskiej stolicy staraniem kosztem Potockiego Kaniowskiego starosty dnia 8 Września w PoczaŹowie, odbył się akt koronacyi Narodzenia Najświętszej Maryi Panny. Przez całą oktawę solenne było nabożeństwo z odpustem zupełnym na każdy dzień oktawy. Po wszystkich bazylikańskich kościołach tę koronacyą solennie z ambon głoszone czytając bullę papieżką i udzielano odpusty. Zewsząd, z całej świętej Rusi lud płynął do PoczaŹowa. W owych pobożnych czasach wszystkie stany jedną w Bogu składały rodzinę wspólnie pielgrzymując do miejsc świętych. Całe rodziny aż do niemowlęcia w tych pielgrzymkach dążyły do miejsc świętych. Na wieść koronacyi cała Ruś zabrzmiała świętymi hymny. W PoczaŹowskim wspaniałym kościele rozlały się zdroje śpiewów, we dnie i nocy do króla niebios płynęły wtórowały im pieśni pielgrzymów. O tym uroczystém jakby stólecznym Rusi kościele rzec można: *Oto dom Twój Panie Dom Modlitwy!* Trudno gdzie było doznać tyle słodkości i znaleźć tak wielką chwałę boską. Starosta Kaniowski zbudował gmach okazały. Po wybrykach swawoli i namiętności wzniósł wielki okazały pomnik świątobliwej pokuty. — Był wyrażeniem się całej Ukrainy, która po krwawych uniesieniach i piekielnej napaści pragnęła silnie pokuty. Ten wzniósł pokuty pomnik Ruś pobożna, Ruś święta po strasznym grzechu napełniała całym ludem swoim. Taki jest łańcuch wypadków, jednym ogniwem rzeź drugim kościół wielka ogólna chwała boska w PoczaŹowie. Czyn złości i natychmiast reakcyą święta sprawiona przez człowieka, co o tej missyi swojej może niewiedział z woli bożej dopełnił ją świetnie.

Roku 1774 na początku roku szkolnego to jest w miesiącu Septembrze szkoły Humaniekie zostały urządzone według przepisów komisyyi Edukacyjnój. Rozdział czasu, sposób wykładania, wszystko zostało przez komisyyą urządzoném, jednostajnie ze wszystkimi szkołami całego kraju. W roku 1773 rozpublikowany był dekret komisyyi Edukacyjnój Akademiom i wszystkim szkołom aby nie przerywając prac wedle każdego miejsca, zwyczajów, dalszych rozporządzeń komisyyi oczekiwali. W roku 1774 już podrukowane były egzemplarze przepisów i porządku szkolnego. Wszystkie szkoły duchowne i świeckie do jednej stosując formy i porządku bez najmniejszej zmiany. Ustanowieni w tym celu wizytatorowie z plenipotencyą od komisyyi edukacyjnój szczególnie od generała ziem podolskich księcia Adama Czartoryskiego, ustanowiony porządek wprowadzili. Szkoły wojewódzkie miały niemniej jak 6 profesorów prócz prefekta, początkowe 3ch. Wprowadzona osobna katedra języka francuskiego, niemieckiego, czego dawne szkoły nie znały, i osobna katedra matematyki. X. Jakubiewicz wizytator szkół województw ruskich roku 1774 przybył do Humania, przepisy komisyyi edukacyjnój wprowadził. X. biskup wileński Massalski w komisyyi przebywający, pełen prawdziwych co do sprawy edukacyjnój szacunków i zasług, osobnym swém piśmem uprzedził o tém rektora. Ci dotąd bowiem bazylińskim swoim zwyczajem nie odnosząc się do władz edukacyjnych w szkołach czyli i niemi zarządzili „żądając usilnie, aby nauki, porządki i sposób uczenia jeden we wszystkich ogólnie miejscach podług przepisów komisyyi edukacyjnój ściśle był zachowany o czém uwiadamiając WMPana imieniem komisyyi, nagrzewam go jak najmocniej do najpilniejszego starania z urzędu swego, aby się woli komisyyi i publicznej potrzebie w poprawie edukacyi zadosyć stało. Zdarność i aplikacya każdego z uczą-

„cych, będzie mu drogą i zaleceniem do wyższych stopni i względów komissyi.“ Spotykamy spory pisarzy naszych o szkołach, przenoszą duchowne ostatnie czasów nad akademickie świeckie. To wszystko opartém jest na ogólnikach bez znajomości szczegółów. Przed ustawami komissyi edukacyjnój mogły być i były niemyślne różnice między szkołami świeckimi i zakonnymi. Od roku 1774 jeden był przepis jeden rozdział czasu i te same elementarne książki dla szkół wszystkich wszelkie różnice stanowczo ponikły. Zatem niepodobna jedną szkołę wynosić nad drugą, wszystkie podobne. Od czasu komissyi, dzielić nie można szkół na świeckie i duchowne, ale na powiatowe i wojewódzkie. Nie do wszystkich szkół tylko zarówno się garnęli; były miejsca ulubione do których więcej się zbierano. Gdzie taki był pociąg ustalił się, zazwyczaj szkoła była ludniejszą, stała się przeto lepszą. Wysyłano tam ludzi z talentem czynniejszych przysyłano prefektów, zresztą jednostajne były co do praw i urządzeń. Talenta z powodu częstych przemian i promoeyj należały więcej do ogólnej krajowej edukacyi niż do szczególnego miejsca. — Po kasacyi XX. Jezuitów wyjawily się wielkie zalety XX. Bazylianów. Wśród tego umartwienia publicznego, kto w edukacyi zastąpi ich miejsca. XX. Bazylianie roku 1776 przesłali sami do komissyi oświadczenie, że wszystkie szkoły jezuickie opuszczone, zapelnia własnym kosztem i swymi nauczycielami nie dalej jak w ciągu lat dziesięciu. Ta odezwa rozbudzona szczerym zapalem, na uczuciu własnej siły oparta, przynosi im wysoki zaszczyt, rzetelną chlubę. — Odtąd stali się zgromadzeniem narodowém najściślej zlaném z uczuciem narodu z jego moralnemi potrzebami. Różnili się od Jezuitów i przewyższyli ich w tém, że nie mieli tego wyłącznego systematu, lecz z całą ochotą poddali się przepisom własny krajowej edukacyjnój. Ustanowili alumnaty w Rzymie,

w Wiedniu, w Brunsbergu; ztąd wychodzący uczniowie ich, byli filarem Unii, na nich się ta ś. Unia opierała wśród największych prześladowań. Dopokąd ci alumnowie byli biskupami, potąd nie téj ś. Unii nadżyć nie mogło aż do X. Bulhaka ostatniego metropolity z alumnów rzymskich. XX. Bazylianie mieli w tém wyższość od innych zgromadzeń zakonnych. Tamte upadały brakiem subiektów, wszędzie nie stawało ludzi, zakony dla braku ludzi upadały. W Assyzie na górze Kasyno, gdzie było kilka tysięcy zakonników, dziś ledwie 16. Toż samo i w Polsce, Bazylianie tego braku nie mieli z powodów: 1mo iż z Rzymsko-katolickiego obrządku jako i Unickiego do siebie przyjmowali mając wielkie opactwa, prelatury, biskupstwa, wiele obywatelskich synów najokwitszej średniej klasy przychodziło; 2do świeccy ich księża parochowie w małżeństwie żyli. Wszyscy przeto ich synowie w stanie duchownym zostawali, brali edukacyą u XX. Bazylianów. Ci wszystkich zdolniejszych zostawiali u siebie i sami z ochoty zostawiali żyć na wsi, nie przedstawiało żadnej przyszłości, wejść w zgromadzenie XX. Bazylianów nadawało karierę i przyszłość w zawodzie bądź nauczycielskim bądź missyjnym. Ci synowie parochów zostawali i opatami i biskupami, XX. Bazylianie mieli niejako przyrodzony środek napelnienia domów swoich i zakonu; zasilani byli ludźmi Rzymsko-katolickiego obrządku, szlachta, która się niezmiernie garnęła i oddawała synów swoich do zakonu Bazylianów; chociaż wszystka ogólnie szlachta posesionaci na Rusi przeszli na obrządek Rzymsko-katolicki. Lud tylko i część szlachty czynszowej została Unicką, jednak na zakonników Bazylianów szlachta łacińska wstępowała. Wiodło wielu powołanie, wielu nadzieja miejsc znaczących. W całej Koronie najbogatsze były opactwa Bazylianów, jako: Żółkiewskie, Dubieńskie, Mileckie, Dermańskie,

Żydaczowskie, Owrućkie, Kaniowskie. Biskup każdy posiadał znaczne dobra stołowe, metropolita prócz dóbr kilkakroć sto tysięcy dochodu wynoszących, podatek zwany metropolitarny po złp. 20 z cerkwi, a ostatnich czasów Rzeczypospolitej było w Koronie 10,000 parochialnych unickich cerkwi. Po Synodzie brzeskim roku 1595 było 2,000 unickich cerkwi a 1,000 dysunieckich a w r. 1793 już 10,000. Te wszystkie opactwa, biskupstwa i urząd metropolitarny, zajmowali li tylko XX. Bazylianie, którzy jedyną główną w obrządku stanowili hierarchią. Księża bowiem świeccy jako żonaci, po wsiach żyjący, trudniący się rolą, nie nie znaczyli, nie zdziałać nie mogli, zastępowali ich Bazylianie. Oficjalstwo tylko r. 1720 odstąpili klerowi świeckiemu. Wszyscy oficjale byli Presbiteri saeculares. Na Podolu Mikołaj Skorodyński, Bazyli Markowski; w Łucku Teodozy Brodowicz; w Ostrogu Turkiewicz metropolitarny Meleniewski. Nawet biskup Łucki Stefan Lewiński był z kleru świeckiego.

Najzasłużeńsze w Ojczyźnie naszej zgromadzenie XX. Bazylianów chociaż zdolniejszych u siebie zachowało dla usług nauczycielskich, missyjnych, zakonnych lub zajęcia opactw i biskupstw, jednak i świeckich parochów stan umysłowy i moralny ulepszało. Nie rzadką rzeczą było spotkać mężów, świeckich kapłanów nie ustępujących łacinnikom w naukach i świetle. Z Bazylianów biskupi nie zasiadali w Senacie równie i metropolita, tym przeto byli poniżeni, na co były skargi; i w powadze obywatelskiej nie równali się biskupom rzymskim. Z tych powodów prawem kardynalném Rzeczypospolitej było, każdy szlachcic uczestnikiem politycznych przywilejów; do posługi publicznej obowiązywało szlachectwo, stan duchowny nie wyzuwał z szlachectwa. Przeto każdy kapłan i biskup, jako szlachcic krajowi służyć musiał, jako duchowny więcej miał cza-

są do nauki i zupełnego poświęcenia się sprawom publicznym, przeto najwyższe urzędy duchowni posiadali i piastowali, co było zaszczytem Rzeczypospolitej, iż się wiara i religia ś. z jej złąła prawami. Zakonnicy tylko przy ślubach swoich zrzekali się szlachestwa, tracili je dobrowolnie. Przeto biskupi unicycy jako zakonnicy Bazylianie nie zasiadali w Senacie, gdyż przywileju nie mieli szlacheckiego, bo go przy ślubach zakonnych odstąpili. Dominikan lub Franciszkan zostawał biskupem, w Senacie zasiadać nie mógł, bo się zrzekł szlachestwa, ale zostając biskupem brał sekularyzacją, następnie odzyskiwał szlacheństwo. Biskup unicki nie sekularyzował się, lecz zawsze był Bazylianem zakonnikiem.

Bazylianie biskupi nie mając przywilejów politycznych, przestronniejszą mieli władzę duchowną od biskupów w Polsce rzymsko-katolickich w duchowném zawiadywaniu owczarni swoich. Nie było w dyecezyi ruskiej okrom biskupów, żadnej innnej władzy, któraby go ograniczać mogła. W dyecezyach łacińskich, zakony były wyłączone od władzy biskupa, podlegając prowincyałom i jenerałowi. Wielkie przywileje były kapituł katedralnych. W niektórych wypadkach mogły biskupa zasuspendować; biskup nie mógł plebana przemienić ani przenieść, w przypadku złego postępowania, nie mógł go powołać do swego sądu, aż po 3ch admonicyach synodalnych; kapituły były złożone z ludzi znakomitych uczonych; po trybunałach, po asesoryach urzędowali i wysokie dostojęstwa piastowali. Nieraz kanclerze, podkanclerzowie, sekretarze w koronie, członkami byli kapituły. Biskup łaciński był *primus inter pares*. Unicki biskup ruski samowładnie rządził klerem, nawet metropolitowie bez odwołania się do Ojca ś. biskupów przekonizowali. Zaszły potem odmiany czasu cztero-letniego sejm; metropolita unicki zasiadał w Senacie, podatek me-

tropolitalny po złp. 20 z cerkwi został skasowany. Na sejmie roku 1774 uchwalono ofiarę *Subsidii charitativi* 600,000 złp. z duchowieństwa koronnego; przez trzy lata czasowo składana została stałym krajowym dochodem. Roku 1775 złożonym był we wrześniu kongres biskupów celem dopełnienia téj ofiary, zalecono kościołom i klasztorom w miesiącu listopadzie złożyć po 6 złp. od zaprzysiężonych kominów. Lustracyę dziekani z wybranymi zakonnikami spełnić mieli. X. Ontufry Bratkowski prowincyał XX. Bazylianów, odznaczał się czuwaniem nad karnością zakonną i porządkiem w zgromadzeniu. Pisał często okolne listy w nich: „Najgoręcej, najuroczyściej zalecał pokój, miłość ślubów ustaw zakonnych i pilność nabożeństwa, gorącość w modlitwie, skromność, staranność i największy w zakonności postępek.“

Tak zwane kongresa, były to zgromadzenia XX. Bazylianów na których spisywały się urządzenia zakonów, gdzie się doskonalila reguła i zarząd. Ostatni kongres, na którym prowincyałem obrany Bratkowski przed 1775 zwany był *Hojskim*. Zalecane ustawy tego kongresu Hojskiego co tygodnia w każdym klasztorze były czytane. Ścisła karność i modlitwa przy nieustannych pracach dla uczącej się młodzi, dla ludu czyniły to zgromadzenie świetném co do cnót, obyczajów i użytku publicznego. Prowincya koronna pod tytułem Opieki N. Maryi Panny, miała zlecone uroczyste nabożeństwo solenne na intencyą Korony.

Roku 1776 były przeglądane reformowane ustawy ostatniego kongresu Hojskiego. Wszyscy zakonnicy mieli prawo w osobnych pismach przedstawiać potrzeby zmian, uwagi nad regułą ogólne i szczegółowe. Tém prawem lepiej się mogli od innych urządzić. Prowincyał i konsultorowie korzystali na kongresie z pism i uwag im

przysyłanych. Po nowej kapitule, prowincyałem obrany X. Józef Morgulec.

Roku 1775 klasztor XX. Bazylianów Kaniowski przez czas rozruchów na lat kilka opuszczony, na nowo został zajęty. Wziął go pod zarząd X. Markowski opat kaniowski.

Dnia 4 grudnia 1775 r. klasztor Lisiański od czasu rzezi opuszczony, X. Nazarowicz rektor humański w zarząd objął i zakonnikami z Humania osadził.

Roku 1775 dnia 21 września ostateczny wypadł dekret kongresu biskupów pod prezydencją nuncyasza Apostolskiej Stolicy z podpisem jego i dwóch biskupów *in ordine* na kongresie przytomnych, biskupa Łuckiego i Kamienieckiego. Zalecił lustracyą biskupstw, opactw, dóbr klasztornych, bez najmniejszego wyłączenia nawet i dóbr kawalerów maltańskich dla złożenia podatku *Subsidii charitativi*. Z dóbr duchownych koronnych wypada 600,000, z Bazylianów w Koronie 90,000 złp. Lustracye spełnione na każdym miejscu przez 3 osoby odsyłane do konsystorzów, w których osobno oznaczeni z kapituły werifikowali odsyłając do konsystorza, biskupów do Warszawy.

XX. Bazylianie odznaczyli się szybkością w wykonaniu zaleceń rządowych, jak świadczy odezwa ich prowincyała: „Na najwyższą wolę, która w obfitym dostatku może nas zniszczyć, spuściwszy się na nią, czynmy to co władza od Boga postanowiona wymaga. Listem naszym wam najusilniej zalecamy, podatek *Subsidii* i przydatek emergencyi bez najmniejszej zwłoki, gdyby się zapożyczyć przyszło, w złocie podług niniejszej kurencyi, lub w srebrnej byle brakowi nie podpadł” zebrać i złożyć usilnie starali się.

Tabella podatku Subsidii r. 1776 z klasztorów Bazylianickich Dyecezyi Kijowskiej po złp. 12 gr. 7 z komina przez Likwidacyą wyznaczoną.

	koniów	stę	gr.	Miejskie klasztory dydaktyczne...
Tryhury	30	367	10	1) w Knyszowicach dymów 6
Bilolowka	25	306	3	2) „ Bohusławia „ 6
Granów	15	183	20	3) „ Korsuniu „ 6
Humań	123	1506	12	4) „ Łebedynie „ 15
				5) „ Czechrynie „ 4
Kaniów	4	48	29	6) „ Motrynieński „ 15
Lisiańka	20	244	26	7) „ Ś. Onufrego „ 7
		6110	9	8) „ Trechtimirowie „ 6

Ogólnie podatków Subsidii 794 złp. 22 gr.

Ogólnie z duchowieństwa zakonnego dwóch obrządków w dyecezyi Kijowskiej złp. 6,905

Metropolia Kijowska

- 1) Zakonnicy jak wyż. 6905 złp. Emergentii 710 złp. 15 gr.
- 2) Kler świecki 10556
- 3) Metropolita 11210

Dycezya Łucka

- 1) Biskup 6358 „ 673
- 2) Kler świecki 9260
- 3) Zakonnicy 14224 „ 1342

Dycezya Włodzimierska

- 1) Biskup 8453 „ 875
- 2) Kler świecki 1824
- 3) Zakonnicy 5504 24 gr. „ 565 12 gr.

Dycezya Kamieniecka

- 1) Biskup 1125
- 2) Kler świecki 6376
- 3) Zakonnicy 3834 12 gr. „ 398

Dycezya Chełmska

- 1) Biskup 78 „ 90
- 2) Kler świecki 888
- 3) Zakonnicy 840

Z Podlasia 310

Klasztor Bażyl Warsz. 1365

Subsidii 90000 — Emergentii 5000

Spisałem te szczegóły obcas domnieć jak błędnie są-
dzą utrzymując, że Duchowieństwo nie czyniło ofiar dla
kraj, nie składało podatków. Dochody i majątki ko-
ścielne były własnością ogólną. Z nich służyli dostoj-
niejsi kapłani w Ministeryach w Senacie, placono wię-
cej jak z dóbrszlacheckich podatku, a szczegółowie pra-
cowali bez interesownie *ad maiorem Dei gloriam*. Prze-
konać może o tem Tabella pensyi rocznej, którą za-
konnicy jako Missyonarze i nauczyciele pobierali. Po-
równajmy z tym nazywczajnym dzisiejszych czasów
kosztem, gdy poświęcenie siebie i ofiarę na Boską
chwałę już niema miejsca, a posługa i praca liczone
na pieniądz srebrny lub złoty jest cenioną

Złp.

XX. Superiorom 150.

Przełożonym niemogącym śpiewać 100.

Profesor Filozofii lub Teologii 100.

Wikarym klasztorów większych 90.

" " mniejszych 60.

00. Emerytom 80.

Missyonarzom pracującym 100.

Nie będącym na Missyach 70.

Magistrowi Nowicuszów 200.

Profesrowi Teologii moralnej 70,

Profesorom szkoły każdej po 90.

Każnodańczie miejscowi klasztorni 72.

Profesor religijnej wymowy 72.

" świeckiej " 60.

Patribus de familia 54.

Notaryuszowi Prowincyi 150.

Sekretarzowi " 300.

Konsultorom vel Definitorom 300.

Prowincyalowi 500.

Klerycy laicy na dyskrety bez pensyi. — Tabella
ta wskazuje ile w zgromadzeniu XX. Bazylianów roz-
maitych użytecznych, było obowiązków, ile ci prac mie-

li w szkołach, w missyach nabożeństwie. Ci wszyscy ludzie prawie bez zapłaty dla chwały tylko Boskiej pracowali. Posłuszeństwo mając za główny cel i warunek chlubili się przed Bogiem, ciesząc się nie zapłatą ziemską, lecz niebieską.

Szkoły XX Bazylianów.

- 1) W Poczajowie.
- 2) we Lwowie ś. Jerzego.
- 3) w Lubarze.
- 4) w Kamieńcu.
- 5) w Poddembicach.
- 6) w Krzemieniu.
- 7) w Zahorowie.
- 8) w Zamościu.
- 9) w Krystynopolu.
- 10) w Szarogrodzie.
- 11) w Humanu.
- 12) w Koniowie.
- 13) w Hojsku

było ich i więcej, ale te znaczniejsze.

Odpusty przez stolicę Apostolską XX. Bazylianom nadano.

- I W dzień Ś. Bazylego odpust zupełny Klemens XIV 10 maja 1773 r.
- II. W dzień Zwiastowania N. M. P. 26 lutego 1774 Klemens XIV.
- III. W dzień Ś. Grzegorza Naziańskiego 26 L. 1774 Klemens XIV.

Roku 1776 Pius VI przysłał wiele dla Bazylianów przywilejów i odpustów Bułla d. 5 maja. W dniu Zesłania Ducha św. na świętą Matkę Boską; podwyższenie Krzyża ś. i w Świętą, których zgromadzeniu za Patronów naznaczył ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła. Śgo Józefa Oblubieńca, ś. Anny świętych: Szczepana męczennika, Mikołaja biskupa Mirejskiego, Antoniego Opata,

Atanazego biskupa, Jerzego męczennika, Hilarióna, Grzegorza, Nissona Sabby Epifanjsza.

Odpusty nie są rzeczą małą, lecz najwyraźniejszą i obfitą łaską. Prócz łask duchownych udzielanych wiarą dla wytrwania aż do końca w doskonałości zakonnej odpuszczenia grzechów i ratowania dusz zmarłych. Prócz tych łask odpusty zwiększają łaskę boską i chwałę, obowiązując do solennych obchodów. Zgromadza się lud, wystawienie Przenajświętszego Sakramentu, Spowiedzie, nauki, kazania, rozlewa się pobożność i wiara. Heretyk tylko nie pojmuje daru odpustów jednej z największych łask Boskich. Temi odpustami tak obficie udzielonemi przez Klemensa XIV i Piusa VI, Bazylianie byli jakby wynagrodzeni za połączenie się z kościołem. W zakonie ich przeto podniosła się chwała Boska mając tyle uroczystych corocznie solenności. Pius VI roku 1776 zaleca Bazylianom w czasie dzwonienia na *Silentium* odmawiać Psalm, „z głębokości do Ciebie Panie wołałem,“ udzielił odpust zupełny, każdego wieczora schodzili się na medytacyą, na rachunek sumienia o godzinie 8 wieczór. Dzwonienie na *Silentium* na głębokie uciszenie się i milczenie; odwiedzać siebie, chodzić po kurytarzu nie wolno tylko utonąć w Bogu w najśłodszym pokoju i w świętej ciszy. Stolica ś. szczególnie Bazylianów obdarzyła w 1776 d. 1 lutego, r. 1778 d. 7 czerwca były osobne Ojca ś. listy nadające odpust zupełny spowiadającym się w czasie święcenia Jordanu w dzień ofiarowania i Zwiastowania najświętszej Maryi Panny i pozwalające użyć na ratunek dusz zmarłych wszystkich odpustów zakonem łacińskim przez Pawła V udzielonych. Zatwierdzając powtórnie, albowiem roku 1624 przez Urbana VIII było to im przyznane. Osobny został utworzony rytuał na odprawianie *Officium* w dzień ś. Bazylego na intencyą wszystkich wiary św. wyznawców. Dana wolność X. Bazylianom odprawia-

nia mszy świętych jedną lub dwoma godzinami przed zorzą i godziną po południu. W wielki czwartek mogą mieć dwie Msze święte. Księża Opaci obrządkiem biskupim mogli poświęcać kościół, kaplicę, kamień i fundamenta, obrządkiem biskupim błogosławić. Z mocy tych wspomnionych listów XX. Bazylianie mogli spełniać powinności Proboszczów w obcych parafiach, tylko proboszcza o tém uwiadamiając. Pius VI chcąc zasługi Missyonarzów w całym kościele odznaczyć udzielił kapłanom, ołtarza osobistego uprzywilejowanego, przez trzy dni w tygodniu *Altare privilegiatum personale*. Missyonarz odprawując Mszą ś. w każdym miejscu tyle dla dusz ludzkich naczepać może z skarbu łask kościoła, jakby odprawiał na uprzywilejowanym Ołtarzu. Tenże przywilej mieli wszyscy Bazylianie odprawując Mszą ś. w dzień zejścia zmarłego. XX. Bazylianie dopiero od Synodu Zamojskiego r. 1720 przyszli do ukształcenia reguły; długo byli tylko mnichami bez związku ze sobą, bez żadnego moralnego i umysłowego znaczenia; szczególnie przed Unią. Przed Unią od r. 1595 do r. 1720 mało znani, bez znakomitszych czynów i posług, li tylko nabożeństwem się zajmowali, nie mieli kapituły swojej, kongresów prowincyi, ani uregulowanego stroju. Przez długi czas ani kongregacyi, ani uregulowanego stroju, ani udoskonalonej reguły, ani wskazanych wyraźnie obowiązków; starym wschodnim zwyczajem, jedni duchowni byli świeccy, drudzy bezzenni mnisz; zwano ich *Humennymi* od przelożonego Ihumena, jak widzimy w przywileju 1731 r. Stanisława Potockiego Wojewody bełzkiego, zowie ich *Humennymi*. Litewska Prowincya pierwój się urządziła przed Synodem Zamojskim r. 1617 JW. Rucki Metropolita całej Rusi na kapitule nowogrodzkiej utworzył prowincyą Litewską pod tytułem ś. Trójcy. W koronie później. Na zasadzie wyroku Synodu Zamojskiego, X. Szeptycki Metropolita zło-

tył generalną Kapitułę we Lwowie r. 1739. Na niej wszystkich zakonników w Koronie mieszkających w jedną kongregacyą połączył. Odtąd zwać się zaczęli Bazylianami, mieli Prowincyała, przepisany im został jednostajny ubiór jaki dziś noszą. Prowincya koronna została pod Opieką N. M. Panny. Ś. zgromadzenie *de propaganda fide* obie prowincye, Litewską ś. Trójcy od 1617 r. trwającą, i nową Koronną Opieki N. M. Panny w r. 1739 złączyć postanowiło r. 1742 z woli Ojca św. Benedykta XIV o tem wydany dekret (wyrok). Nuncyusz B. Nicejski K. Paulucci wydał obwieszczenie listy, w których wyrok Ojca ś. Benedykta XIV komunikował. Obydwie prowincye po raz się pierwszy zjechały na kapitułę Generalną do Dubna. Otrzymała się r. 1743 pod prezydencyą zastępującego Nuncjusza B. Laskaris w obecności Metropolity Atanazego Szeptyckiego. Zjednoczone dwie prowincye w Kongregacyą jedną, oddane zostały pod rząd Jenerała Zakonu Proto-Archimandryty. Zachowały nazwę dwóch prowincyj, każda wybierała Prowincyała mając swoje prowincjonalne kongressa, jak widzieliśmy i mówiliśmy o Hojskim. Na tej generalnej dwóch prowincyj kapitułę, urządzone, udoskonalona reguła, nazwana *reforma* zakonu. Kapituła prowincjonalna koronna Uniejowska, na której Morgulec prowincyałem obrany, ustawy zwane Hojskie roztrząsała, nowemi kształcąc ćwiczeniami zakonnikami do wysokiego szczebla doskonałości wznosiła Bazylianów stawiając ich na świeczniku naszego społeczeństwa. Zgromadzenie pracowite, czynne oddane modlitwom, we dnie i w nocy kościołowi, Missyom, szkołom poświęcone. Inne zakony miały te prace między siebie rozdzielone, XX. Bazylianie sami spełniali wszystko zachowując do tego ostrość reguły, równą niemal XX. Kapucynom. R. 1784 kapituła Zahorowska ustanowiła w Tryburach szkołę główną Missyi pod zwierzchnością ukształ-

conych kaznodziei; w Poczajowie, gdzie nie było wyższych szkół świeckich, kurs Teologii dogmatycznej i moralnej, gdzie kształcono spowiedników. Na Podhoreckiej i Milewskiej obradach ustanowiono raz na zawsze, aby XX. Bazylianie spowiedzi słuchający [corocznie 4 razy przed nauczycielem lub przełożonym] umiejętności sprawowania Sakramentu Pokuty examen składali. Każdy klasztor Missyi powinien cztery najmniej corocznie dopełnić, zdolniejsi kaznodzieje do klasztorów sąsiednich i bliższych dojeżdżać w czasie Świąt uroczystych byli obowiązani. Wzajemny stosunek między klasztorami do nadzoru karności i posługi kaznodziej-skiej regułą zalecony. Ustawy kapituł ukształcały zakonność, która w rychłym rozwinięta czasie wydała wielkie owoce. Każdy szczegół duchownych potrzeb miał sposobiących się i poświęconych ludzi: missyi, usługi parafialne administrowanie Sakramentów, szkolne nauki. Według ustaw kommissyi edukacyjnej studenci w soboty powinni przychodzić do kościoła na litanią wspólnie z zakonnikami śpiewaną. W niedzielę po godzinach kapłańskich profesorowie uczniów wprowadzali na Mszę ś. Zawsze w chórze usposobieni Studenci śpiewali. Śpiewania pięknego czasu Mszy św. w szkołach Bazylikańskich uczono. To dwoiło pobożność i zapął do chwały Boskiej *qui cantat bis laudat*. Co miesiąc Studenci przystępowali do N. Sakramentu.

Utrzymywano przytem dziejopis klasztorny, Regestra obli-gów, zakonne akta; wszystko się koncentrowało w ogólnem najglówniejszem Archiwum Poczajowskiem: Metrykę osób zmarłych dwóch prowincyj, metryki pa-rafialne, katalog ksiąg bibliotecznych, kształciły się prze-to pewne pisarskie usposobienia. Czuwał nad wszyst-kiem Prowincyał osobiście zwiedzał i pisał listy, które były *odwiedzeniem duchowném braci*. Co do karności kapitułą Uniejowską, nakazana klanzura, wszelkie wy-

chodzenie było wzbronione, listów bez przełożonego do Rodziców i familij pisać nie wolno. Sposobiący się na kapłanów dwa razy na rok ośmiodniowe w zupełnej osobności odbywać musieli rekolekcyje, prócz jednej osobnej głównej, w której się z niedostatków swoich próbowali. Czasu obiadu przez wszystkie dnie czytane kolejną rozdziały z Pisma ś., Regułą ś. Bazylego, żywoty świątobliwych zakonników, nauki z Teologii moralnej, szczególnie o kierunku ludzkiego sumienia. Wieczorem wszyscy na uczczenie najświętszego Sakramentu chodzić powinni i śpiewać Hymny. Mnisi Lajcy, jeśli byli usposobieni do rzemiosła, lub artyści ustawą do sprawowania rzemiosła obowiązani, nie uwalniając się od chóru i innych obowiązków, gdyby czas jaki opuścili znane im rzemiosło, wrócić powinni byle bez zapłaty i doczesnego zysku dla samej nagrody w Niebie pracowali. W rejestrze zakonnym każdego rzemiosła adnotowane, Missyonarze, Profesorowie zakonnicy, przełożonego o błogosławieństwo w pełnieniu powinności prosić powinni z uderzeniem wielkiego pokłonu, obrządkiem wschodnim w obec nawet obcych i gości. Nowicjusze ich sposobem Jezuickim kształcili się w mowach, w kazaniach, w refektarzu. Przez czas studiów w kościele obowiązani byli nauczać katechizmu lecz nie z ambony i zawsze z Sociuszem. Tak pisze do nich r. 1777 Prowincyał: „Bracia, bądźcie posłuszni przełożonym, zachowajcie zgodę, ścisłą serc jedność, miłość nierozdzieloną wzajemnie szczerą, zadosyć się stanie naszemu „powołaniu. W dzień nawiedzenia was ostatecznego „będziecie radości pełni.“

Po pierwszym rozbiórce kraju, gdy część prowincyi koronnej odpadła do Austrii, a część do Rosyi r. 1775 wtedy wypadło za kordonem utworzyć nowe prowincye. Roku 1781 d. 1 stycznia po raz ostatni zjechali się wszyscy Bazylianie z całej Rzeczypospolitej na gené

ralną kapitułę w Białym Stoku ze względu na nowe krajowe wypadki rozdzielili się na 4 prowincye: dwie za kordonem Galicyjską i Białoruską a w Rzeczypospolitej zostały dwie jak przedtem koronna N. Maryi Panny i Litewska św. Trójcy. Do r. 1775 koronna liczyła 65 klasztorów, jedne były większe rządzące, drugie mniejsze, które pod zwierzchnością i opieką większego zostawały.

Klasztory większe rządzące. Spis klasztorów koronnych.	
Ostrogski zależne od niego: Hojski i Struktowski...	3.
Humaniński	Kaniowski, Lisiański, Graniowski 4.
Lubarski	Trybarski, Biłokowski... 3.
Szarogrodzki	Seinonecki, Korzowski, Majewiecki, Holowczyński 5.
Kamieniecki	Bilczecki 2.
Trembowelski	Czortkowski, Satanowski, Ulaszkowiecki, Strusowski 5.
Wiciński	Krasnopustynski, Zawałowski, Sokolecki, Łukoczynski 5.
Kryłowski	Zadarowski, Pohonski, Uhernicki 4.
Lwowski ś. Jerzego	Lwowski: 4. Jaki i św. Onufrejski 3.
Dobromilski	Hoszowski, Drohobyski.. 3.
Krechowski	Ławrowski, i Śto. Spaski. 3.
Krystynopolski	Szczepłocki, Czernielawski Domuszewski 4.
Zamojski	Werchracki i Lubelski... 3.
Podhorocki	Derewianowlicki, Jazienicki i Złoczowski 4.
Poczajowski	Zahajecki, Krzemieniecki, Zbaraski, Midorecki .. 5.

Białostocki	Łaski, Podzbronicki, Janowski	4
Zahorowski	Zaimowski, Nudziński	5
Warszawski	Pużyński, Smilecki	1

Ogółnie koronnych klasztorów... 66

Przełożeni Superiorowie klasztorów rządzących, czekali, administrowali nad 4 bliższymi lub trzema według tej tabelli. Tem urządzeniem rozległa prowincya rządziła się z łatwością przez Prowincyałów 17 Superiorów klasztorów większych to 66 klasztorów w Koronie były szkołami szlacheckiej młodni wysyłały misyjne dla religijnego kształcenia ludu. Z tych wielkich czynów kościoła doskonale do kraju naszego zastosowanych poświęceniem się i obywatelstwem kapłanów naszych zakonników, jeden tylko szczegół chciałem uczynić mniej więcej dokładnym. Z takich szczegółów utworzy się historia kościoła; szczegóły o zakonach, o klasztorach ich regule, sposobie życia nadają się być nie interesujące szczególnie w wieku naszym, gdzie literatura schlebia skłonnościom czasu. Sądzę lepiej przypatrzymy się środkom ustanowionym i spełnianym dla doskonalenia człowieka i ludziom powołanym do pośrednictwa przed Bogiem i błagania za grzechy nasze.

Życie zakonne jest nieodzownym warunkiem bytu śmiertelnych. Potrzebują bowiem ułagania, miłosierdzia i wzorów doskonałości. Życie zakonne jest rzeką światła i miłosierdzia bożego; poświęceni zrzeczeniem się, czerpać mogą łaskę bożą dla odwrócenia kar i zlania błogosławieństwa. W przeszłych czasach wszystkie rodziny przez synów i braci z kościołem były związane. Dziś to powołanie ta skłonność i ochota wygasły, widzimy z jaką niezwykłą szybkością upadają rodziny dawne, i nowe schodząc bezpotomnie. Nie można tego czemu innemu przypisać tylko zatraconemu do stanu duchownego a

szczególają, do zakonu, powołaniu. Ustało pośrednictwo, nie ma komu odwrócić kary Boga, wyjednać miłosierdzia, zlać łaskę, zarobić błogosławieństwo. Starania i prace rodzin nie utrzymają, trzeba błogosławieństwa boskiego, to nie jest zasłużone przeciwnie stracone. Widzimy ludzi pracujących, ale w grze, służących ale swym namiętnościom, *Kto siewca w zgorzeniu, zniszczenie żąć będzie.* — Czém stać się mogą i na czém opierać rodziny? na majątkach, na zbiorach, silniej chociaż bezkrywdy drugich pracy? Zapewnie istnieć bez tego nie mogą, są to jednak tylko piedestały. Ręka pierwszego rodziny fundatora majątność wzniesć musi oddając wszystko pracę i cały czas swój. Raz ten piedestał ustawiony, mamyż na nim bryły budować, piątrzyć jedno na drugich? Z natury rzeczy potrzeba jakiś wzniesć pomnik, potrzeba na tym piedestale fortany ziemskiej: uczuć szlacheckich i wzniosłych czynów obywatelskich, nie dość na tem, uwiecznić jeszcze należy błogosławieństwem boskiem. Błogosławieństwo ustala przez długie czasy, życie rodów dając z nich *owoc*; błogosławieństwo nie daje się darmo, zasług potrzeba, jedynie na ofierze się opiera. Są ludzie co się: woli własnej, własności, rodzinnych stosunków i co najdroższa jest, co my losom i szczęściem zowiemy, dla Boga się zrekli. I to jest *ofiara*. Ofiara ta zasada jest boskiego błogosławieństwa dla kraju całego, dla szczególnych rodzin. Gdy z nich ofiary, ku niebu nie płyną, nikną idąc w poniewierkę, tracą potomki, są społecznymi rozwalinami. Niech mi się godzi przeto wskresić ten rodzinny dawny nasz zapał do stanu, do chownego, do zakonów. Dziś w tej powodzi romantyzmu pewny stały kurs publiczny serdecznych uczuć i miłych dla myśli wrażeń, gdzie wszystkie charaktery uczucia wystudiowane uchwycone namiętności zebrane, nawet kruszyny uczuć, które my szczeniemy zwiemy, co są zamiętem waruszeń nadziei nigdy niedopełnionych,

przytem rozwinięte barwne wstęgi piękności estetycznej i zmysłowej. W tej powodzi romansów zwierciadelek tego wieku gdzie dowcip i zmysły żyją a dusza niszczeje niech mi wolno wspomnieć nieznanym ziomkom ubogich pracowników *żywota wiecznego*. Wróćmy teraz do klasztoru *humanieckiego*. R. 1778 ogłoszona została śmierć Metropolity X. Leona Szczepetyckiego. Roku 1779 dnia 11 Czerwca za staraniem X. Pazarewicza wprowadzone do Humania S. Onufrego, S. Jana Chrzciciela relikwije dnia 24 Julii. Gasper Gottlieb ewangelik z Prus rewokował, N. Sakrament publicznie w Humanu przyjął. — Roku 1779 partykuła krzyża drzewa świętego przez tegoż przełożonego z wielką świątobliwością wprowadzona do kaplicy, osadzona w wielkim krzyżu. Roku 1780 tegoż roku murował się kościół, dotąd była kaplica. Fabrykę zwiedzał Potocki wrócił wtedy z wojażu Braniicki i Rzewuski hetmani przyjmowani byli przez niego w Humanu strzelaniem z armat. R. 1783 z klasztoru *humanieckiego* wysłany został Bazyljan na naukę do Rzymu a Superior krzemieniecki X. Krownicki na Rektora przybył. Tegoż roku był świętny egzamen filozofii scholastycznej; Szczęsny Potocki był obecnym zjeżdżał dla odwiedzenia Repnina, który przebywał tego roku w Humanu, w kościele bazylianskim zawsze się modlił. Klasztor tego roku wysłał dwóch zdolnych ludzi jednego na korektora topografii drugiego na profesora filozofii zakonnej i świeckiej do Połajowa r. 1784 dnia 15 Aprilis. Repnin wyszedł z Humania, na wyjazd jego przybył również Potocki, Repnin odchodząc z Humania ofiarował XX. Bazyljanom złotą tabakierkę z uprzejmym listem, słuchał Mszy ś. w ich kaplicy przez cały swój pobyt. Tegoż pułkownik Sotłohab z pułkiem huzarów wyszedł z *humanieckiej* do Berdyczowa. Tego roku 1784 profesor filozofii zakonnej długo tam mieszkający X. Szaszkiewicz wyjechał na kapitułę generalną do Zahorowa miał mowę

pożegnalną, powszechnie był szanowany, do Humania niepowrócił; został prokuratorem w Warszawie r. 1784. Przybył na przełożonego exprowincyał X. Margulec r. 1785 trwoga była w Humaniu. Rozeszła się wieść: podany rosyjski Tereszko za rozboje knutowany uciekł zbierał hultajów i groził rzezią. Potocki dla bezpieczeństwa miasta przysłał szwadron kawaleryi Narodowej, część żołnierzy z swego regimentu jako był regimentarzem Rzeczypospolitej partyi Ukraińskiej. Była to płonna wieść a rozsiewający byli karani. Rok 1785 już się mury kościoła ukończyły. Tego roku dla zwiedzenia kościoła i szkół przybył znowu Potocki. Był członkiem komisji edukacyjnej przeto go szkoły i studenci uroczystieją witali; miał mowę w języku polskim X. Strojnowski matematyki profesor. R. 1785 do Humania przybył gość wielki Ignacy Potocki marszałek W. Ks. Litewskiego bawił tydzień. — Ignacy Potocki usiłował skłonić Szczęsnego do zjednania się w tych zasadach, wyobrażeniach, które reprezentował. — Powtórnie przybył Branicki. Szkoły dygnitarze ci zwiedzali, studenci obyczajem szkół dawnych grywali *djalogi teatralne*. Cała szkoła wszyscy studenci odprowadzali gości do Buków skąd się rozjechali Branicki do Białocerkwi, Potoccy do Tulczyna. W Bukach reprezentacją teatralną, studenci gości bawili. W tym roku 1785 kościół humański zmurowany skończony w lat 20 po fundacyi.

Roku 1783 wyszedł Edykt cesarski w Wiedniu, aby duchowieństwo Rzeczypospolitej, fundusze swoje odebrało lokowane na dobrach w Galicyi, wszystkie zakony, Bazyliński przeto, całe duchowieństwo podało o tem urzędowi wiadomość. Ta była składana w Ostrogu. Do odebrania ich jednak nigdy nie przyszło. Fundusze kapitały były też znaczne należące się duchowieństwu w Galicyi, lokowane na dobrach i majątkach Rzeczypospolitej. Nastąpił układ między rządem cesarskim a Rzeczpospolitą.

rządy te sumy wzajemnie sobie ustąpiły, była to pierwsza konfiskata dóbr w Polsce duchownych nigdy przedtem niezasłyszana. Kapitały zakonów Rzeczypospolitej w Galicyi lokowane, wcielił do skarbu swego rząd austriacki wzajemnie rzeczpospolita nie oddała kościołowi ale przeznaczyła na komisya wojskową. Summy należące się klasztorom galicyjskiem nazwano *sumami pogalicyjskimi*. Komisya wojskowa jednak nieodebrała od roku 1775 zaległe procenta. R. 1803 starosta Czaaki wyrobił ukaz u cesarza Aleksandra I przeznaczający tę sumę na publiczną edukacyą; ustanowiona na ten cel komisya sądowa *edukacyjna*. Wydawała dekreta zapłacenia bez apelacyi magistratura inkwizycyjna sądowa mając sekretarza biegłego prawnika Borkowskiego w zeszlęj postaci umysłowego olbrzyma z rozumem stworzonym nie z ksiąg lecz z pracy stósunków z ludźmi i doświadczenia, z szybkością wysłedziła sumy opierając się na relacyi do Ostroga przysłanej zaliczając od r. 1783 procenta. Zaledwie pozwany dłużnik usłyszał dekret i egzekucyą, apelacyą ratować się nie mógł. Strona była i sędzią. — Ogromne kontrybucye sum pogalicyjskich wypłacono. Ogromne było oburzenie lecz zasilił się fundusz edukacyjny, wszystkie szkoły i zakonne mogły mieć wsparcie i pomoc pieniężną.

Roku 1787 pamiętnym na Ukrainie z bytności króla Stanisława Augusta w Kaniowie, Ukraina się rozjaśniła, cesarz rzymski tedy przejeżdżał. X. B. Naruszewicz zwiedzał z królem, wizytował szkoły i wiele świetnych gości. Ukraina była jakby dworem królewskim. Było to czasu świąt wielkanocnych, gdy lud ukraiński zawsze się czegoś spodziewa, pragnie, nie zwykłym uczuciem woła zmartwychwstałego Zbawiciela. Podnosząc się z grobu zawsze promień życia na lud swój zlewa Zbawiciel; lud prosty wierzący nie zmazał danego namaszczenia boskiem objawieniem. Uczuwa zawsze ten promień łaski boskiej nań w dzień Pańskiego Zmartwychwstania ply-

nacój. Cóż się to działo gdy w czasie tych stale okazałych, z uniesieniem jakby raz pierwszy obchodzonych świąt Wielkanocnych król był obecnym, nogi 12 starcom umywał, przyjmował publicznie przenaświętą Sa-
krament. Na procesyach obecny karty księgi świętej wedle obrządku wschodniego kładzionej na głowach ludu król trzymał. Zewsząd biegono do Kaniowa król był hojnym i przystępnym, lud się mu Ukraiński podobał obeznał się z nim trzy niedziele w Kaniowie na wsi prawie mieszkając, w dalekie strony wycieczki czynił, rozmawiał, darzył; już wielką miano do króla śmiałość. Stój, Stój wołała zadyszana ukraińska dziewczka wstrzymawszy karetkę królewską, pocałowała w rękę mówiąc chciałam zobaczyć ciebie królu. *Król jedzie, król jedzie z radością wołano. Salve rex* studenci wołali czyniąc mu w kształt ulicy przechód z orszaku swego król na examinie bywał. Zarządzał szkołą w Kaniowie X. Fizykiewicz Opat znany z zasług w zawodzie edukacyjnym szczególnie przez Kollataja ceniony miał z nim korespondencyą i trwale stosunki, otrzymał medal złoty *Merentibus*. Zwykle na egzaminach bywał z królem X. Naruszewicz. Gdy się przybliżyła cesarzowa uderzono w Kaniowie 100 razy z armat. Król w towarzystwie Synowca X. Stanisława hetmana Tyszkiewicza i X. biskupa Naruszewicza płynął łódką pięknie przybraną, przyslaną od cesarzowej, majtkowie ustrojeni. W czasie płynienia dawano ognia na całej flocie i muzyka grała. To samo było gdy wracał. Po powrocie góra Moskiewką zwana była illuminowana i wieża 50 łokci wysoka umyślnie postawiona z cyfrą cesarzowej. Puszczano race i dano 100 razy z armat ognia. Góra zmieniła się w ognistą piramidę. Cały lud Ukrainy zbiegł się do stóp tej góry, cesarzowa nazajutrz odpłynęła, król odjechał W Ukrainie jak echo po silnym głosie. To nowe życie i jakoby jasność zgasła, zniknęło zostało:

„Cicho, pusto, w bujnej Ukrainie;

Cicho, pusto, jak gdy szczęście młnie.“

Rok 1787 był pociągłym. Upały wielkie zniszczyły urodzaje, armia rosyjska pod wodzą ks. Rómskiego przechodząc na turecką wojnę w Ukrainę zimowała, było kilkanaście tysięcy polskiego żołnierza. Wielkie były dostawy zboża do armii. Drożyzna niezwyklejna kórcze żyta złp. 21; można go było kupić za złoty. Po raz to pierwszy zboże w Ukrainie kupowano, dawniej na targu kórcze owsa groszy 6. W czasie tej wojny tureckiej, niektórzy zrobili fortuny, możniejsi znacznie pieniądze mieli, ubodzy marli z głodu, było ztąd wiele napadów i nie jedna śmierć.

Roku 1788 był mróz na Ukrainie aż do zamarznięcia merkuryusza przez trzy dni, czego nigdy nie pamiętano, potem mrozy silne z nieznośną śnieżnicą przez dwa tygodnie, która wiele ludzi i bydła zasypała, wśle wysyłały gromady do odrzucania dróg, a że napróżno, przez dwa tygodnie jakoby w potopie mrozy nie wolniały, śnieżnica nie ustawała. Tę zimę do dziś dnia pamiętają, zowią ją *wielką zimą oczakowską*.

Królowie polscy dawniej uzdrawiać mogli, widzenie ich przynosiło błogosławieństwo. Król Stanisław radośnie przyjęty, widać nie miał zasług u Boga, rozdawał pieniądze ludowi, nie udzielił mu powódzenia; zaraz po odjeździe jego, przeszły się po Ukrainie głód i zima wielka. Hetman Branicki często za zborem się włóczył tej zimy, z Oczakowa wracał i był w Humaniu.

Roku 1788 metropolita całej Rusi X. Smogorzewski zakończył życie, kościół własnym kosztem zmurował w Warszawie, ozdobiony pięknymi obrazami Smuglewicza.

Roku 1789 dnia 2 stycznia następcą jego X. Rostocki rozbił list państwowy. Był to czas sejmu cztero letniego

w liście swym zalecił modlitwy powszechne o zgodę i jedność sejmujących stanów. W tym celu osobne nabożeństwo przed Najświętszym Sakramentem, każdej niedzieli i święta uroczyste; nowy metropolita XX. Bazylianom i całemu duchowieństwu zalecił.

Rokn 1789 Rektor humański do nowego metropolity do Radomyśla jeździł, przywiózł obraz Matki Boskiej przez konsystorz za cudowny uznany od państwa Tadeusza i Brygidy Lipkowskich Podstolstwa Inflanckich ofiarowany. Oddali go najprzód do cerkwi jednej parafialnej gdzie lat 20 zostawał, potem na zawsze w tym roku kościołowi XX. Bazylianów Humańskich oddali. Solennie z wielką uroczystością do kościoła wprowadzony. Było to dnia 6 decembris w dzień ś. Mikołaja; przy procesyi, dawaniu ognia z armat i muzyce. Trzech księży w ubiorach kapłańskich wносиło obraz ten na ołtarz r. 1789.

Było kilka pogrzebów w Humanu p. Gośniewskiej Komornikowej Czerskiej, cztery przy eksportacjach i kondukcie exorty, jedno kazanie w czasie sułamy, zbiór liczny obywateli. Tego roku XX. Bazylianie otrzymali relikwije ś. Teofilakta z Rzymu do Humania przysłane. Dnia 20 grudnia był grzebanym p. Osmplski towarzysz kawaleryi narodowej. X. Rektor uroczystie swym kościołem obował na publicznym cmentarzu sam celebrowając, z rzewném uczuciem miejscowego dziadka, któremu lat 100 dawno przeminęło. Roku 1791 w Humanu u Bazylianów pogrzebana p. Moszczeńska generałowa wojsk polskich. Staruszek kwestarz Augustyanin z Kodni kochany i znany wszędzie 90-letni aż do śmierci pracujący, pobożny, wesół, miły. X. Jacek w drodze zatrzymał się w Humanu i umarł. Przybył X. Fizykiewicz wspominany często przez Kollataja, wizytował szkoły, pontyfikalnie celebrował. Roku 1791 wysłano X. Michalewskiego z Humania profesora do Alumnatu rzymskie-

go. Tego roku X. Skarbek Warzyński generał zakon^u Bazylianów został biskupem Chełmskim. R. 1792 umarł w Humaniu Rektorem ex-prowincyał Morgulec zasłużony i szanowany, przy zebraniu ludu, obywateli, księży, uroczyście pochowany. Prowincyałem został opat Owrucki X. Jozafat Ochocki w 1794 roku wysłany na Syberya.

Roku 1793 objawionym był manifest cesarzowej Katarzyny II. przez namiestnika Kreczetnikowa, i wszyscy složyli XX. Bazylianie przysięgę; odtąd inna nastąpiła dziejów karta. XX. Bazylianie Humaniścy lękając się konfiskaty dóbr i zaboru kościoła, poszli na lat kilka w rozsypkę. Klasztor ich Szczęsny Potocki na dom swój zajął, wsie Monasterok i Gedlenówkę objął w swoją administracyą, wpływem swoim od kassaty ocalił; w lat kilka, gdy na nowo przybyli, oddał im wszystkie intryaty najskrapulatniej zachowane. — Po rozbiórze kraju, kościół katolicki, wszystkie jego fundacye, klasztory miały opiekę zapewnioną, nie doznały prześladowania i straty. Nawet cesarzowa Katarzyna II. odznaczyła się opieką dla XX. Jezuitów, hojną fundacyą kościoła św. Katarzyny w Petersburgu. Lecz los Bazylianów i Unii od téj protekcyi był wyłączonym. Zaczęło się to jeszcze za Rzeczypospolitą od samej gwarancyi, która stawała w opiece Dysunitów. Po Synodzie Brzeskim, jeszcze była w Polsce trzecia część cerkwi dysunickich. Po Zamojskim już prawie nie egzystowała. Tak była mała ich liczba, iż nie mieli swego nawet w Rzeczypospolitej biskupa. Ośm było monasterków w lasach czehryńskich po 6 dymów do 15 mających funduszu, Archimandrya Stucka i Ś. Ducha w Wilnie. Te monasterki były zarzewiem skąd wybuchła wojna domowa, rzek Gonty. Archimandryta Stucki Sadkowski, pisał sekretne listy, wzbraniał się modlić za króla, był nawet sądzony za nieprzyjazne knowania w czasie sejmu, ale wypuszczo-

ny, na miejsce swoje powrócił. Był największym nieprzyjacielem Unii, pisał listy „czas, aby ta zapora i ściana zwalona została“ Cerkiewki Czehryńskie były pod zarządem biskupa Pensaławskiego za Dnieprem. Nieobecny rządził przez wikaręgo Melchizedeka Jaworskiego. Znane są tego wikaryusza niechęć z Żeleźniakiem knowania. Dysunia za Rzplitej miała dwóch przewodników; rządców X. Sadkowskiego w Słucku i X. Jaworskiego na Ukrainie. Ohaj nieprzyjacieli ukryci i jawni Kościoła katolickiego nadewszystko Unii & nawet karwią zbroczeni.

Roku 1785 ustanowiony pierwszy Biskup grecko-rosyjski w Łucku żądał od Rzeczypospolitej spełnienia traktatu gwarancyi uznając za rok normalny 1717. Wszystkie cerkwie, które w tym roku były Disunickie według traktatu wracać do nich były powinny. Do tego uciążliwego traktatu spełnienia nie przyszło. Nowy Biskup Łucki o to się jednak upominał. Po rozbiórce kraju zaraz X. Sadkowski stanął na czele przyłączenia wszystkich cerkwi parochialnych do panującego wyznania. XX. Bazylianie wszyscy się oparli, ani jeden klasztor nie odstąpił Unii. Wtedy była pierwsza kasata klasztorów Bazylianskich w latach 1795 i 1796. Grannów, Szarogród, Białokówka, Kamieniec i wiele innych zostało skasowanych. Poczajów jednak pozostał, Lubar, Humat. Cała prowincya litewska & Trójcy, Nowa Białoruska zostały przy Unii tak klasztory jako i parafie. Tylko Ukrainę, Podole, wielką część Wołynia, oderwano, zostawując gdzie niegdzie klasztory Bazylianów jako wysepki wśród ludu już innego wyznania i obrządku. Wiele było walki i Parochowie opuścili parafie zostali przy Unii. Cesarzowa Katarzyna II zaleciła im płacić dożywotnią pensyą. Odtąd uformowały się kaplice w Ukrainie na Podolu, Wołyniu dla pomieszczenia Parochów unickich wiernych kościołowi. Kościoły były

przepelnione parafialne katolickie pomagającymi Wika-
ryuszami Unitami. Przy Unii zachowane prawo wscho-
dniego kościoła dozwalające małżeństwa, wiele się przy-
czyniło do słabości oporu. Jednak wiemy, że wielu Uni-
tów w pierwszej kasacie zwalczyło miłość swych dzieci
i żony dla wiary. Litwa i Białoruś, Polesie kujawskie
całe Owruckie, dawny Powiat Zytomierski, część Łu-
ckiego stało się tak silnym murem. W tej pierwszej
kasacie ani jedna cerkiew, ani jeden kapłan nie utra-
cony. Bazylianie i Unia byli pierwszém szansem ko-
ścioła na który uderzono walecznie. W tym czasie na-
wet za Cesarza Pawła Biskupstwa Unickie, Łuckie,
Włodzimirskie skasowane, katedry zostały w ruinie,
dobra skonfiskowane. Metropolitalne dobra kluc. Bado-
myski oddany Złotnickiemu.

Unia w Polesiu na Białorusi i Litwie została nie tknię-
ta, wspierali ją Biskupi Alumnowie rzymscy. Ostatnim
Alumnem był X Bulhak Metropolita.

Cesarz Aleksander odebrał Opactwa dermońskie i Du-
bieńskie, wyszedł ukaz wzbraniający wstępować do Ba-
zylianów ludziom rzymsko-katolickiego wyznania. To
zdało cios wielki Bazylianom na Ukrainie i Podolu.
Ludzie rzymsko-katolickiego wyznania szlachta zasilali
najdzielniej zgromadzenie wielką liczbą talentów ludzi
rozumnych; odtąd ograniczać się musieli klasą niższą,
klasa wyższą wiemy wszyscy, że byli katolikami. Trze-
ba było czerpać z przyrodzonego środka z synów Pa-
rochów, parochie zostały wcielone do panującego wy-
znania, przeto zabrakło im Subjektów. Otoczeni ludem
już inszego wyznania jednak zostawione im klasztory
na Wołyniu, Ukrainie, w świetnym stanie utrzymali
z wielkiem poświęceniem się i wysiłkiem jako co do
chwały Boskiej, Począjów w Luborze, Barze, Humanin,
Kaniowie, Włodzimierzu, Owruczu, mieli szkoły do dru-
giej kassaty r. 1832 stale się utrzymali. Czacki uprze-

dzony do edukacji duchownych, cenili szkoły Bazylikańskie; miały dzielnych profesorów i formowały zdolnych uczniów, celowały nadewszystko dobrem wychowaniem, obyczajowem i utrzymaniem młodzieży w zupełnej niewinności. — W tych prowincjach Humańska, Barska, Luborska, były szkoły znakomitsze Włodzimierska, Owrucka mniejsze, Kaniowska. Nic tu nie mówię o Bazylianach, Litewskich, Białoruskich, na to osobne dzieło poświęcić trzeba. — Mówię tylko o części Prowincyi koronnej, która po odpadnięciu Galicyi została pod rządem Rosyjskim.

XX. Bazylianie jak się zastosować umieli do rządu edukacyjnej komisyi, tak równie potem do rządu uniwersytetu Wileńskiego i wizytatorów, najprzód stałego jakim był Czacki a potem rozmaitych czasowie przysyłanych Humańska szkoła odpowiadała gymnazyom, pomimo ciężkich okoliczności nie upadła ale podniosła się i była wyższą jak za Rzeczypospolitą; przybyły pomoce z ksiąg elementarnych już wydoskonalonych szczególnie w matematyce umieli wśród siebie XX. Bazylianie wynaleść talenta i skupiali je w Humanu Śmiało rzec można szkoła humańska przewyższała wiele świeckich szkół. Z Humanu uczniowie wprost się do uniwersytetu udawali, znakomici młodzieńcy w Warszawie chlubę tej szkole czynili, jeśli stosując się do słów Zbawiciela mamy oceniać drzewo z owoców jego, szkoła humańska była drzewem najlepszego gatunku, patrząc na owoc jakim jest między wielu innymi wieszcz Ukrainy B Zalewski. Dochował wdzięczność i cześć dla szkoły, winien jej wrażenia religijne, uczucia pobożne, które tak rozwinął, że się do nieśmiertelności uniósł. Bazylianie po łaszej kasacie bez pomocy już przybywających łacinników jednak silniej stali co do boskiej chwały w Poczażowie, co do szkoły w Humanu. Missyi już od 1795 czynienie nie było wolne. Poczażów był zawsze stóle-

cznym Rusi kościołem, przybytkiem chwały, w którym się wszystkie jednały wyznania, katolicy, unicy, lud grecko rosyjski i z najdalszój Rosyi, — wszyscy jakby rzeką płynęli do morza łaski. Z téj świętej stopki wytrysk żywota po długie czasy nas uszczęśliwiał. — R. 1832 był końcem szkół w Humanu Bazylikańskich i ich istnienia. Nie dotykając dalszych dziejów na tém kończymy, krótkie o Bazylianach wspomnienie.

E. HELLENIUSZ.

KILKA SŁÓW O DAWNÉJ BRONI W POLSCE

z powodu broszury

JÓZEFA ŁEPKOWSKIEGO

• O BRONI SIECZNÉJ W OGÓLE I W POLSCE. •

Wyczytawszy z wielką przyjemnością w „Czasie“ doniesienie o wyszłym z druku osobném odbiciu, Rozprawy Archeologa naszego p. Józefa Łepkowskiego: „O broni siecznej w ogóle i w Polsce“ z Rocznika Towarzystwa Naukowego Krakowskiego; postarałem się bezwzględnie o to dzieło, jako przyjaciel wszelkich, jakichkolwiek plodów pióra polskiego; a tém więcej, w rzeczach dotyczących się wojskowości krajowej— Pośpieszam zatem wypowiedzieć wrażenie, jakie mnie wywarła ta praca znanego Autora, zwłaszcza, i tenże na str. 5 wzywa sprzyjających jego przedsięwzięciu, żeby go ra-

dami i świadomością swoją wapieli. — Lubo więc nie znajduję się w miejscu, gdzie mam jakie takie książkowe pomoce, w przedmiocie rzecznej Rozprawy, idąc jednak za przysłowiem: „co się odwiecze, często uciecze“, odzywam się przez organ „Dodatku do Czasu“, do dawnych Towarzystw broni, oraz do Szanownych Zwoleńników starożytności i rzeczy krajowych: żeby pospieszali, dopomagać autorowi, który jak to wyraża na stronicy 60, ma zamiar wydać drugą Rozprawę: O broni kolnej, ostrzej, czyli kłującej, które to oręż, jak wiadomo, zostają w związku z bronią sieczną, o której teraz p. Łepkowski zamierzył pisać wyłączenie. — O ile więc inne zatrudnienia i niedostatek pomocy księgowej dozwalają, posyłam do druku pobieżne postrzeżenia, które mi przyszły do pamięci, czytając to dzieło o broni siecznej; ażeby ułatwić i sobie i czytelnikom cytacje przedmiotów, przechodzić będę dzieło według stronnic.

Autor rozpoczyna rzecz od natury człowieka, który jeden ze stworzeń boskich używa: „ognia i broni“, lubo to mniej ma związku z przedmiotem, jakże tu nieprypomnieć owego wzmiankego wyraża Owidiusza, o różnicy człowieka od zwierząt, o jego szczytów przeznaczenia?

„Prona cum spectant animalia cetera terram
Os homini sublime dedit, coelumque tueri
Jussit et erutos ad sidera tollere vultus“

Nie można obrazu tego dość często przedstawiać młodzieży, która, czy orężem, czy piórem, czy plugiem, chce się przysłużyć krajowi; bodaj zawsze miała w pamięci słowa Adama w Farysie: „Wytój wyżej, i wytój! aż do niebios szczytu!..“ a nigdy nie zapadała w przywarę, dozwolone: tylko niemyślącym istotom.

Szanowny Autor przyznaje na stron. 2, że w naszych

czasach „bitwy rozstrzyga oręż myśla prowadzony” — otóż to i przyczyna, dla której ja, choć nie jedną wyprawę wojenną odbyłem, mało mogę dostarczyć sposobów o *Broni siedmiej*.

Napoleon, w którego bliskości odbyłem siedm lat wojny, ześł wysoko szpadę Fryderyka II, ale podobno o bawci wojownicy, mało dobyli szpad swoich. Patrzałem się sam, nie raz, jak król neapolitański Joachim, ów sławny dowódca jazdy francuskiej: Murat, niedobytwszy oręża, z chabim tylko w ręku, wyprzedzał nacierające hufy. I to był najdzielniejszy sposób prowadzenia konnicy, która swego ulubieńca nie mogła nieprzyjacielowi oddać; tak i nasz książę Józef nacierał na czele swoich, i pieszych i konnych, niedobytwszy oręża, wskazując im potrzebne ruchy, tylko krótkim cybaskiem, czasami od ust odjętym, a tak zachęcał ich żeby ruszyli za nim, na miejsce natarcia...

Z takiej to szkoły wychodząc, nie wiele umiem powiedzieć, o broni jedno siecznej i obścianej prostą lub zakrzywioną; bo te wszystkie czyny dzielności oręża, dobre były przed wynalaskiem prochu, i przed rozpowszechnieniem kociowych wojak — dziś, bezwątpienia, dzielne natarcia piechoty na bagnety, a impet jazdy, mają znakomite, często stanowcze znaczenie; ale bagnety i piki, nie należą do broni opisaną przez Autora; a Jazda, czy ma proste, czy krzywe pałasze, byleby szła ostro, przewróci wszelkiego nieprzyjaciela, nawet bez użycia oręża, aż w pogoni.

Autor na stron. 3. niewinął chce przodków naszych, że nam mało zostawili nazw polskich, używaną przez siebie broni; że tę i jej nazwy brali od obcych, najwięcej od sąsiadów Niemców.

Wojskowi nie są tak wymyślni w nazwach, i tak bezwątpienia, starożytni pobierali nazywie i nazwę broni od swych poprzedników, których zwyciężali; a w naszych

czasach, częstokroć pod hasłem i komendą obcoj. mowy, zdobywano sobie wzajemnie, szance i czworoboki.

— Lecz kiedy Autor, na tej samej stron. 3, żali się: jakoby „u sąsiednich narodów, wzaciętych szeregach panował jednaki kord“ a u nas: „w Polsce, jak kto chce“, to po raz pierwszy muszę oświadczyć: że jestem zupełnie przeciwnego zdania. Miałem to jest. twierdzeniem, i tylko na złośliwej niewiedomości opartem, jakoby w Polsce, zdawna, było więcej nieładu, jak indziej.... Bezwątpienia, gdy wszelka wiedza przychodzi z doświadczenia, więc narody, powstałe z upadku Rzymian, mogły mieć zarodek wszelkiego porządku, wcześniejszy: niż potomkowie owych nieznanych Sarmatów i Scytów, co dopiero z wiarą Chrystusa zaczęli czerpać, od dojrzałych braci Chłrcścian, jaką taką oświatę i naukę: ale kiedy szanowny Autor chwali ład wzaciętych szeregach sąsiadów, a gani: że u nas, okazuje się broń: wschodnia, niemiecka, północna, a nawet, francuska i hiszpańska; więc ja ośmielał się utrzymywać: iż ta różność broni, była, i niemal jeszcze jest wszędzie, przy pospolitych ruszeniach, stratach narodowych, i jakichkolwiek nieregularnych uzbrojeniach: przeciwnie zaś niewątpię, że w regularnym wojsku polskim, nie było mniej jednolajności i porządku, jak u innych narodów, bo Wojskowość wszelka i wszędzie, żyje tylko porządkiem, a zatem: gdziekolwiek był jaki Organizator wojska: jakto: Bolesław, Łokietek, Batory, i tym podobni; niezawodnie tyle było porządku u nas, ile gdzie indziej. Zaś chępliwe, zdanie: „szabla, to broń polska, to symbol narodu!“ jeżeli jest jeszcze gdzie takie mniemanie, to mam je za szkodliwe i nie wojskowe; bo dawno minęły te czasy, kiedy samą szablą można było co przeważnego dokazać, a skojarzenie różnych części dawnej Polski, mianowicie, Koreay z Litwą, nie były skutkiem,

brząkliwej szabli, i wrzaskliwych szermierzów, ale Polityki.

Na stron. 4 mówi Autor pod lit. c: że „po broń pogańskiej, niemieckiej, wschodniej i szabli przepolszczonej, nastąpił pałasz i powrót do Cudzoziemszczyzny” — to niby to, szabla ma być wyłącznie bronią sieczną Polaków, na co nigdy przystać nie można, chyba że Autor, *Koncert* odłącza do broni kłójzącej... zresztą, żadna broń nie może być pecytywana za wyłącznie narodową, jak równie i strój, modzie ulegający, nie może być nawiązywać stale narodowym... nie sięgając wyżej, od r. 1788, epoki otworzenia sejmu czteroletniego; kurtka zastąpiła kontusz, a pałasz zastąpił szablę.

Nie widzę zatem, żeby wyraz: Pałasz, był więcej cudzoziemskim, jak inny broń jaką wyrażający; przeciwnie, jak później o tym będzie, zdanie moje przemawia za pałaszem: teraz tu przytoczę: że wyraz: szabla o ile mi wiadomo, nie da się z polskiej mowy wywieść. Po włosku mówi się *Sciabla* albo *Sciabola*, po francusku *Sabre*, a po hiszpańsku *Sable*. — Czy Włochy wzięły od Polaków wyraz równo brządający *Sciabla*, czy Polacy od Włochów? znawcy to rozsądzą. Tymczasem ja nie wiem wyrażeni polskich pochodzących od szabli: można mówić: zrabiałem na kapustę, ale nie mówi się: *zszablowałem*; gdy przeciwnie Hiszpanie nazywają raz od szabli: *Sablazo*; a Francuzi mówią: *Sabrer*. — Zresztą zgadzam się z Autorem, że szabla sama zasługuje na monograficzny traktat; ale czy szabla jako wyraz, jest więcej polską od pałasza? to pytanie zostawiam łubownikom do rozwiązania.

Nie sędzę ja, żeby: jak Autor mówi niżej na stron. 4 „język wojskowy u nas zaginął”. bo póki jakie wojsko istnieje, lub istniało, musi być język wojskowy... a ten nawet w wojsku polskiem był tak piękny, jak nie może być w żadnym języku używającym przedim

ków: bo zakończenie dowodzącego głosu przez pęty-
dynonę zgłoskę: *broń!* jest tak niewiódne, krótkie i ry-
cerskie, jak tylko można żądać. Francuzi zakończęją
głos dowodzący, słowem: *Arme!* którego brzmienie by-
łoby doskonałe, gdyby nie było stłumione przez *e* otchłe,
które Francuzi zowią *e muet*. Jednocześnie więc, jest sło-
wo polskie *broń!* a w śladnym mnie znanym języku,
nie może być oddany wyraz: *ew-bron!* tak zwięzłe, i
tak wielorako użyty. Nadto się może rozszerzyłem
nad tym przedmiotem miłym, lecz pracy p. Łepkowskie-
go obcym, ale chciałem mu dowiedzieć, że język wojsko-
wy u nas nie zaginął.

Miedzy nazwami broni i części owej, które zajmują
stron. 5, 6 i 7, pozwalam sobie tylko uwagę, i wpraw-
dzie niepopartą powagą Lindego i innych; ale ja nie
przywykłem do wyrazu *Rękojeść*, lecz *Rękojść*. . . Sa-
dzą zaś, iż być powinno *Rękojść*, równie jak powinni-
byśmy już przestać pisać: *wziąć* zamiast *wzięć*, a to
z przyczyny, że się ani mówi, ani pisze: *jąć*, ale *ująć*,
objąć itd.

Wyrazy *Brzeszczoł*, *Głownia*, *Osada*, są prawdziwie
polskie: Wyraz: *brzeszczoł* mniej używany, ale wide-
czanie, ani z romańskich, ani z germańskich mów nie-
pożyczany, zasługuje na etymologiczne wyprowadzenie;
zaś wyraz *Osada*, jest przez wojskowych polskich naj-
więcej używany, i odpowiada wymaganiom dobrego
ujęcia pałama czyli szabli.

Jaszczur używany był na oprawę rękojści czasem, a
więcej na oprawę pochwy; jest to skóra; czyli raczej
lasczka rybia; kokiasta i tak dalece twarda, że przy-
muje polor, sądziłbym, że pochodzi z krokodyla, lub in-
nego rodzaju wielkich jaszczur; ale żeby czeczuga, ryba,
miała dostarczać podobną oprawę jak jest jaszczur; wip-
tuję. Czeczuga, o której tu mowa w nodzie na stron. 8;
że się poławia w południowej Rosyi, nie jest obca kraj

jęta polskim; poławia się albowiem, nie tylko w Dnieprze, ale i w Dniestrze; jestto rodzaj małego Jesiotra, tak jak i słynny w Rosyi sterlet; przy tej sposobności niech mi wolno będzie zwrócić uwagę naszych Ryboznawców, że w Rosyi jest rodzaj sterletów, których tam nazywają: Kościuszkami. Czy nasz bohater nie od tej ryby miał nazwę? czy w wodach Rusi, nie jest ta ryba także znajoma, równie jak czeczuga? jakim sposobem, rodzaj szabli, dostał miano: *Czezugi*? jest także zagadką ciekawą.

Nie uważałem miecza u grobowca Batorego o którym jest mowa stron. 9, ale zdarzało mi się widzieć łańcuszki, łączące wierzeh rękojęści z jelcem, misternie robione ze stali, nie tylko u szabel ale i u szpad cywilnych. Były to zawsze tylko ozdoby, nie pojmuję jakby takie łańcuszki miały służyć za tak zwany: *temblak*, do utycia palasza w boju? co jest koniecznie potrzebnem, bo bez tego, wiele by broni ginęło. Z jakiego zaś języka pochodzi ten wyraz: *temblak*? zostawiam to lubownikom do rozwiązania.

Dla czegożby *pochwa*, właściwiej miała się zwać *poszew*? nie wiem. Mnie się owszem zdaje, że ma swoje nazwanie od schowania do niej miecza, jak nauceją wyrazy: łaciński: *vagina*; francuski: *fourreau*. Że pochwy są czasami arcy piękne i bogate, nie metalowe to przyznaję, bo takie widywałem; ale czy dla tego miałyby zasłużyć na nazwę: *poszew*? zamiast: *pochwa*? tego nie sądzę. Dziś zaś, kiedy w konnicy, jedynie: palasze lub szable mogą mieć znaczenie, pochwy są ogólnie metalowe, a jako takie poszwami być nie mogą.

Takie palasze w pochwach blaszanych, zawieszano u pasów? rzemiennych, bielonych, na takichże rzemiennych większych opatrzonych w sprzątki, a pas zapinał się na klamrę; taki jest sposób używania czyli noszenia palasza, od czasu jak Wojako Polskie stanęło na

etacie regularnym: zresztą w Posagu Światowida, daje się baczyć: jak już na ten czas przypasywano miecze; ale p. Łepkowski nie okazał nam w rycinach: jak się nosiła i nosi, szpada, albo i sieczna broń, w przepasce, bądź skórzanej, bądź z innej materji, z ramienia prawego zwieszanej do lewego biodra — *en bandoulière*. Rycina Nr. 9, miecza Mikołaja Szydłowieckiego, okazuje coś podobnego, ale niedostatecznie.

Na stron. 12 i 14, gdzie jest mowa o pięknym zwyczaju Papieżów, posyłania Monarchom i Bohaterom, błogosławionych mieczów, wzmiankuje Autor o dwóch pisarzach Imienia Żaluskich; którzy o tym przedmiocie obszernie podali szczegóły: tu tylko tę mam dodać uwagę: że ten co skreślił Obrząd w Żółkwi r. 1684 odbyty, był Jędrzej Chryzostom Żalusi, stryj Józefa Jędrzeja, Autora: *Analektów &c.* który znowu był bratem Jędrzeja Stanisława Kostki. Ponieważ ci trzej Żaluscyc często są cytowani, pozwalam sobie umieścić tę uwagę, wyjaśniającą: jak? i dla czego? wszyscy trzej mieli imię Jędrzej. — Piękny był to obyczaj! Kiedy OO. Święci obdarzali królów naszych: mieczami i czapkami wojennymi, a kiedy cytowany na stron. 13 Bozarym, upominał Zygmunta Augusta, żeby zważył: wiele to kraje niemieckie straciły, odstępując od jedności Kościoła! nieprzewidywali w ów czas słuchacze tych słów, że Dysydency tak zabiją Polskę, jak zabiła Cesarstwo Niemieckie. Nie przewidywali: Papież, Nuncjusz Jego, i nasz Zygmunt August, jaki to zjazd na dawném Pogorzału, odbędzie się w obecnym 1867 roku.

Zostatnim podobnym podarunkiem na stron. 15 wzmiankowanym r. 1726, zgaśł duch Polski; było to w lat 17 po rozprawie pod Paltawą, owém grobowisku równowagi na północy Europy.

Do stron. 18 mam dodać: że dwa miecze na krzyż złożone, stanowiły herb Elektorów Sakskich Cesarstwa

Rzeczy niebieskiej, któryto herb po trój stry ebok naszego Orła w herbie polskim świetniał.

Na stron. 22, daje się czytać piękna godła: „bosa zrosła się niejako z pojęciem stanu szlacheckiego w dawnej Polsce,” a drugie nieco wyżej: „u nas chłopu rolę sprawować, mieszczaninowi kupiectwem się bawić, szlachcie zaś, rycerskie rzemiosło i wojna.” Nie tylko u nas w Polsce było to, zasadą w średnich i zaprzeczonych wiekach, ale w całej — można mówić — Europie; lecz gdy tam przyszło do ustanowienia regularnych wojsk, a to się wszędzie w zagrażający sposób pomnażały; wtedy pod przewodnictwem bohatera Puławy, zwiniliśmy nasze wojska, jakoby nie potrzebujący tego ciężaru, bo nasza szlachta „gotowa była i kilka lat walczyć, żołnierskich zabaw nie opuszczała, ale jakoby jutro do boju wsiadać, zbroję z koniem w pogotowiu mieć,” do czego nas takie chętelne zdania doprowadziły?... każdy widzi.

Na stron. 31, wpadła się pomyłka, może drukar: w Nieściekim stoi herb *Koparska*; nie *Konarska*; stoli może Autor ma dokładniejsze wiadomości o tym herbie; bo jak wiadomo i Nieścieki nie jest wolan od pomyłek.

Do stron. 42 to mam dodać: że wielorakie są napisy i godła na główniach pałaców, i szabl jak np. *Vincit Hunc*! to wypisać, nie ta miejsce; ale jedna z takich zdań winniem wyznaczyć, że nie tylko jest stosowna do pojedynczych osób, ale nawet całym krajem może służyć za naukę: „Nie dobywaj bez przyczyny, nie ekwaj bez skutku.”

Do stron. 41 czynię tę uwagę: Różna są, przyznając trochę, różne nazwy broni, przyswojone w naszej mowie; ale ta wyrazi: *Orę* i *Miecz* zdają się mieć na sobie niezaprzeczoną rodzimotę. Rzeczniwo wyrazowi *Orę* zdaje się że żaden cudzoziemiec nie wniesł nie potrafi. Za wyrazem *Miecz*, przemawia już, tak dawno imię w Narodzie Mieczysław. Radby się więc i za pała-

czem, otrzym długoletnią siostrę towarzyszącą; kiedy Niemcy, jak twierdzi Anter na str. 48, sami swój wyraz *Palasch* wywodzą z polskiego, od słów: palić, palnąć; dla czegoż my mielibyśmy wątpliwość o pochodzeniu tego wyrazu? skądby go przejęli od Węgrów? czego nie wiem, ani też, kiedy się ten wyraz u nas pojawił?

Choćbyż się największe powiniawstwo z pałaszem, tego zaprzeczyc niepodobna. W Polsce, kat wykonawca sprawiedliwości, używał miecza; w Rosji kat ma nazwę: *Rolaz*; czegoż więc i ten *Palasch* tam używał? prawdopodobnie *Palasza*, który wyraz okazał się słowiańskiego pochodzenia, luba może od Greków przejęty; tymczasem słowa: płatać, plask, pląz, plązem, palka, palnąć i palić, jak Niemcy śmucą, więcej przemawiają za rodzinnością *palasza* niżeli szabli... i kiedy jak się wyżej powiedziało, Francuzi mówią *Sabrer*, my nie możemy cześć szablować, gdy przeciwnie mówi się: *palaszować* i to nie w jednemu znaczeniu. Dodam jeszcze wyraz *Platow*, który także zdaje się mieć związek z *palaszem*. Głbok miłośnik i *palasza*, będąc też i *Koncert* jest podobną bronią; wywołując swoją nazwą, od *końca*. Linde który nie był wielkim znawcą broni, miecza koncert z tutejszym dzirytem i śmucą go po niemiecku przez *Wurfspiel*! Aktualnie dziryt jest grotem do rżnięcia na nieprzyjaciela; ale żeby końca na myśł przyszło, długim i ciętym mieczem jak jest koncert, cięć na nieprzyjaciela, tego wcale nie pojmuję.

Koncert tak jak go sobie myśli, był od dawna używany w ciężkiej jeździe, a w ostatnich wojnach Napoleońskich, konno-karabinierzy, jenda najcięższa, kirysyery, a nawet dragoni używali takich koncertów czyli mieczy, które my od kłosa końcem przeważaliśmy niegdyś koncertami. Ohajamy więc są rodzinnością tych wyrazów: *orpi*, *mięcz*, *koncert*, *palasz*.

Żeby zaś wyraz *Sapunka*, jak Anter twierdzi, stron 47

i 48, miał wzięść początek na Wschodzie? jakoby to był wyraz arabski? nie umiem sądzić. Przecież nie można, że Włosi są następcami Rzymian, wszelako Włosi wyraz swój *Spada* nie przejęli od Rzymian. Hiszpanie mają zwyczaj przed literą *s* zamieszczać *e*, i tak nie mówią: Spazja ale España; podobnież mają i wyraz *Espada*; sądziłem więc, że to słowo jest pierwotnie hiszpańskie, zatem przemawiają różne od słowa *Espada* pochodzące wyrazy, ale styczność tego narodu z Maurami, skłania mię do twierdzenia p. Lepkowskiego: że „po arabsku miecz się zwie *sif* lub *szpada*...” czego nie wiem. Jakkolwiekby, Francuzi mają *Epée*, Niemcy *Degen*, a Francuzi mają zaowu *Dague*; wychodzi na to, cośmy powiedzieli wyżej, że nie my Polacy tylko, pożyczaliśmy nazwisk broni od sąsiadów i nieprzyjaciół, ale podobnie i wszystkie narody.

Tymczasem że Hiszpanie należą do najdawniejszego rycerstwa, i że wojska hiszpańskie były niegdyś wzorem wszystkich wojsk, świadkami nasi Tarnowscy i inni, co po naukę wojskowości do Hiszpanii jeździli; że tyle pułków polskich przez lat kilka niedawnemi czasy, wojowało w Hiszpanii, niechaj nam wolno będzie ująć się za *Espadą* hiszpańską, która w ich języku dała początek różnym wyrażeniom.

W mowie hiszpańskiej znaczy *Estoque* (Estokie) to samo prawie, co po polsku miecz albo koncerz; po francuzku albowiem *d'estoc et de taille*, znaczy: i końcem i ostrzem — wyraz hiszpański *Estoque*, jakkolwiek bardzo dawny, nie urodził tyle pochodzących co *Espada*, które samo ma bardzo wiele znaczeń, a z niego ukształcone są wyrazy: *Espadachin*, ten co umie władać szpadą; *Espadada*, zranienie szpadą; *Espadador*, mistrz w robieniu szpadą; *Espadero*, płatnerz; *Espadilla*, nazwiska powtarzane w kartach gry, które po hiszpańsku zowią się *naypes*, a między którymi są teraz powzięch-

nieznane karty, tak zwane *Tarok*. Nie ta nasoty tak długa wzmianka o mowie hiszpańskiej i jej rozwinięciu, ale wracamy do zdania, że wyraz *Sepada* jest dawny hiszpański, broń zaś ta jest tak dawna, jak miecz, *gladius, ensis*, słowem, jak broń kolna. Oręż zaś turecki, po hiszpańsku *Cimeterra*, po francusku *Cimeterre*, są to palasze krzywe, u nas *Damascenami* zwane, pochodzące od Saracenów.

Miedzy różnemi nazwami broni, stron. 52, znajduję wyrazy: *kisicet*, które narzędzie, nie jest orężem ani siecznym ani kólnym, ale z dawna używanym, obecnie nie do boju, ale do rozboju lub dla obrony osobistej. — czytam wyraz *best*, ale nie znajduję wyrazu *grat*, który mało-co różni się od poprzedniego. Goby zaś znaczył wyraz *Funda*? nie wiem; w Lindem tego wyrazu nie znajduję; czyby to nie była *Proca*? która po francusku zowie się *Fronda*.

Co Autor, stron. 56, wspomina „o ćwiczeniach Asyatów z bronią do uwierzenia trudnych“ to ja napoznie po szczęści widziałem u Mameluków gwardyę Napoleona, między którymi było jeszcze kilku prawdziwych Mameluków; widziałem między nimi oficera nazwiskiem Elias, herkulesowej postaci i siły, wielkiego przyjaciela Polaków. Ten nam pokazywał jak się jednemu pieszcornu brenić krzywym palaszem, to jest damasceną, turecką, przeciwko napaści kilku szczeniów. Sekret był w tém, żeby zawsze starać się plecy oprzeć o mur, a ile możności szukać kąta; tam Elias przysiadając w kucki, tak się rebił małym, że prawie całkiem obłakiem brenić się okrywał, unikając cięża przeciwników; upatrywał zaś sposobności pociągnąć zresztą damasceną po nogach napaśników, co dokazawszy, przenosił się, skokiemi niepejętym prawie; skokiemi, iż tak powiem, komika pełnego do drugiego kąta, izby lub muru, i tak ciągle przeskakując z miejsca na miejsce, póki wszyst-

kich aspiantów po nogach, nie parali, albo pomocy się nie doczekał... Do tego dodać należy, że Turcy swymi krzywymi, palaszami, ostrymi jak brzytwy, nigdy nie rąbią, ale pociągają, jak smyczkiem, i w ten sposób głowy od jednego razu zdejmują.

Przy wyrazie *Bulat*, str. 47, jest do uwzględnienia, że według Lindego, ten wyraz znaczy w Moskwie: Stal; pytanie, czy Rosjanie dostali tego wyrażenia jako stal i jako oręż, od Tatarów, niegdysie ich panów?

Co Autor mówi, strona 69, że „każdy szlachcizniwał dwie szable, jedną do stroju, drugą do bitwy, i że ten zwyczaj trwał jeszcze do czasów Stanisława Augusta na to jest do powiedzenia, że ten zwyczaj wiał tylko w Polsce, ale wszędzie istniał i istnieje. Rycerze mieli giermeków: co broń za nimi nosili, a do dzisiaj nie ma oficera, zwłaszcza w konnicy, któryby nie miał jednego palasza lekkiego do pokoju, a drugi ciężki do służby i boju.

Najciekawszym rozdziałem dzieła p. Łepkowskiego, jest opisanie zbiorów broni i wyobrażeń orężi w rycinach. Między zbiorami, nie czytamy Kórnickiego właścicieli p. Tytusa Działyńskiego; co zaś do rycin, lubo tych jest numerów 34, sądzę, że tym przedmiotom poświęcić się najwięcej mają lubownicy polskich pamiątek i pomagać Autorowi do uzupełnienia wyobrażeń wszelkich orężów, jakie się w krajach polskich poróżnuszają nashedzą.

Dodać mi jeszcze wypadła, że szabłą na strona 79 za znakami zadziwiania, jakoby była z wieku XII. przytaczana; ja kupiłem w Lwowie dla generała Wiktorskiego Krasitkiego, i słowa cytowane w języku francuskim są moje własne. Po tak długim przeciągu czasu, bo od r. 1828, nie pamiętam napisów; prócz słowa greckiego *Αλφει*; ale to wiem i potwierdzić mogę, że ta broń jest

niekonieczną, i idąc tego myślenia są z polcaścią jednostką, którego jest własnością.

Zupełnie strona 66 nadmieniamy: że Napoleon i oficerowie francuscy, przywieźli z Egiptu bardzo wiele żelaza, dzuszan, wielkich karzywych, w pochwach nie metalowych; nosili je tamczymy, zwyczajem, na sznurkach jedwabnych z gładkiego sznura na hokobry szwaczne; tak wielu i polskich oficerów nosiło; między innymi, ja sam tak nosiłem pałasz angielski, cudoj kumpawot, który narysłm dla cesarza Karola w Anglii; najstarszą: zrobił książę Kumberland, później król hanow-
sowski.

Jednego pochodzenia jest *Tasak* czy *tasak* przystał kłopot jakiegóżśwaja, piechota, artylerya piesza, pijunier-
ry &c. nie jestem w stanie orzekać.

Oddają bok szowaka pamiątki *Diobra Aignera*, sław-
nego Kościuszkowskiego żołnierza i szanownego Archi-
tektę; sądzę być w stanie wyrzec: że książka jego o
kosach i pikach, wydana w r. 1794, przedrukowana
w r. 1830, nie jednego w błąd wprowadziła. Dzielna
śmiałość i siła fizyczna, mogą i dziś, broni piechoty
siecznej i konnej, dać przewagę... Świadcami są natar-
cia na bagnety. Ale zbrojenie zastępów w kosy i piki,
żeby je wprowadzać do boju większego, gdzie liczne
działa i broń palna pieszego ma nieprzyjaciela, są tak-
tycznie czynne; należy do niebezpiecznych utopii.

Wszelkie zbrojenie w kosy i piki, nowo zaciągających
się zastępów, tę ma korzyść, że nowy zaciągnik uczy
się porządku, szyku i chodu (marszu), nauki głównej
dla piechoty — a tak przysposobiony, może już z poży-
tkiem zapełniać w szeregach regularnych, ubytek żołnie-
rzy, jaki rządzą *codziennie* choroby, a bój *kiedy się*
zdarzy.

Nie mam pod ręką dziełka szanownego Aignera; dobry
ten ziomek, zagrzany był zapewne przykładem Racławic,

i pisał o pilkach i kosach; ale nie wszędzie są Słank-
mierzaki, i nie zawsze Raclawice.

Tyle moich uwag na przódce, pobieżnie, z pamięci ze-
branych; to wszystko dowodzi, że przedmiot którym się
tutaj p. Łepkowski, jest w dziedzinie Literatury. naszej
nowy, tém większą zasługą Autora, tém więcej powinni
Rodacy, według Jego własnego życzenia, wspierać Go
zasobem wiadomości czerpanych, mianowicie w zbierach
broni, tak krajowych jak obcych.

Za przykładem Autora, kładę i ja to dorywkowe pió-
ro, czekając z upragnieniem, obfitszych i więcej szcze-
gółowych objaśnień Ziomków; w zamiarze rozszerzenia
tę tak zajmującą rozprawę o broni siecznej i przyspo-
sobienia zapasów do historyi innych broni narodowych.

Pisałem w Siedliszowicach w miesiącu wrześniu 1857.

JÓZEF ZAZUSKI.

BADANIE HISTORYCZNE

podania gminnego

O SMOCZÉJ JAMIE

W KRAKOWIE.

Identitas est mater societatis.

Kudłubek.

Legenda nie może przypuścić żadnej rozprawy ani krytyki, jeżeli osnuta jest na religii, na wierze przodków, bo typ ten religijności odsuwa od siebie wszelkie wymagania rozumu i filozofii.

Legenda,— podanie, są powiększłej części opowiadaniem wymarzonem w wyobraźni ludu,— przedstawiającem nago, lub pod pewnemi symbolicznemi kształtami wydarzenia przywiązane do czynu jednej osoby lub też całego narodu.

Podanie osnute na wypadkach dziejowych, w którego całej osnowie przebijają się treści współczesnych mu zdarzeń historii, — niewątpliwie w sobie mieścić musi pewną myśl, która jakkolwiek często skalana i nadpsuta, odniesiona do współczesnych wypadków, rzucić może światło na zamroczoną przeszłość dziejową, może wykazać usposobienie ludu, moralne jego uczucia, może zapłacić nie jedną z tych białych kart historii, każdego Narodu.

Utwory te ludowe nie są zmuszone ograniczać się zwykłymi granicami prawdopodobieństwa, nawet możliwość niemożę ścisła ich granic, bo to co dziś za nie możliwe, za nie istniejące poczytujemy, to przed tysiącem lat, przy owoczesnej ciemnocie ludu, przepełnionej zabobonami nie tylko za prawdopodobne, ale za rzeczywiście istniejące łatwo uznanem być mogło. Wieki ówczesne, charakter narodowy, każdemu niezwykła i nadzwyczajna zdarzenia nadawał piętno nadzwyczajności i cudowności; wszelkie wypadki i głośniejsze wydarzenia, przedstawiano i udzielano sobie allegorycznie, pod pewnymi kształtami i figurami, które najczęściej fantazyja tworzyła. Ilek to nie dotrwało do naszych czasów takich podań gminnych i baśni? — a im więcej sięgać będziemy w przeszłość początku dziejów każdego Narodu, to tem więcej podania te znajdziemy oryginalniejszymi, fantastycznymi i urojonemi. Tak np. te zatrwające podania o Walekondach, Wyrwidębach, Waligórach, są dla nas tylko owoczesny organizm człowieka, jego wyidealizowaną postać, olbrzymią siłę, którą późniejsze pokolenia odziedziczywszy tylko w tradycji, przedstawiały nam jako coś nadludzkiego i nadziemskiego.

Podania te i legendy spełniają czasy tworenia się i powstawania każdego Narodu. Pierwsze dzieje nasze, jak również i innych Narodów pokryte są grubą powłoką niewiedomości, są one zestawieniem samych pra-

wie historycznych podań, które przechodząc z ust do ust, z pokolenia do pokolenia, dotrwały do naszych czasów, albo też w piśmiennych pomnikach dochowane stały się udziałem naszej wiadomości. Wiek tworzenia się Chrześcijaństwa, walka z upadającym bałwochwalstwem następszy niewyczerpaną treść do tworzenia podań i legend. Znajdujemy je już spisane w pierwszych kronikach doszłych do naszych czasów, i jakże tylko oddawać trudno, że nie posiadamy kronik wcześniejszych nad wiek 11ty, bo ich pisarze i bliżsi byłiby onych czasów, tem z większą dokładnością byłiby nam je podali, bo czas niszczy wszystko, nawet pamięć ludów, a dowodem tego nasze podania, które zaledwie w urywkach pozostały, i słabym echem doszły do naszych uszu, jak to podania o Krakusie, Wandzie, Popielu, Libussie, Borzywoju I księciu czeskim, chrześcijańskim.

Te to zadziwiające powieści miały na celu pewnie zajęcie umysłu łatwowiernego a nieoświeconego ludu, bo do przekonania Narodu którego oświata mniej owionęła, który na drodze cywilizacji wychodzić dopiero zaczyna z barbarzyństwa i ciemnoty, łatwiej przylgnie to co jest obcem, co zastrasza jego umysł, lub co przechodzi sferę jego wiadomości nabytych. Łeży to już w naturze człowieka, że lubi to co jest zadziwiającem, bo człowiek marzy często o kształtach nadnaturalnych, których rozum prosty i niewykształcony wytłumaczy sobie nie może, a jego bajna imaginacja tworzy, zestawia, układa sobie figury, symbole, podania bajeczne i te allegorye, które uświęcają Wiarę i Religiją wszystkich Narodów.

Jednem z najdawniejszych takich podań, bo sięgającym IX wieku jest baśń o Smoku gnieżdzącym się w okolicach Krakowa. Jeżeli weźmiemy na uwagę, że podanie to przetrwało już tyle wieków, że we wszyst-

kich naszych kronikarzach przybrało kształt rzeczywistości; że niejasność i utwory natury, jego wiarogodność potwierdzać się zdają, to przyznać musimy, że podanie to, jakkolwiek poetycznie wystawione, musi w sobie zawierać pewne historyczne znaczenie, którego odgadnięcie będzie przedmiotem niniejszego badania.

W południowej części góry Wawelem zwaną, od strony Wisły, po pod wznoszącym się zamkiem w Krakowie, znajduje się po dziś dzień wielki otwór, prowadzący do znajdującego się pod skalą wydrążenia. Wydrążenie to nie jest dziełem ręki ludzkiej, powstać ono zapewne musiało w skutek działania sił podziemnych, które tak często wstrząsały i przeobrażały twardą skorupę naszej ziemi. Wydrążenie to jest kilkaset kroków długie, ciągnie się w kształcie wielkiego kurytarza zgiętego w podkowę, w ciągu swoim rozszerza się ono w jednym miejscu i tworzy znaczniejszy obszar, w kształcie wielkiej sali, mając wierzach jakby sklepiony, składający się prawie z samych odcinków kół wklęsłych ¹⁾.

Wydrążenie to miało być schronieniem osławionego smoka, kamieniem węgielnym Krakowa, a zabicie tego potwora, jako najważniejsze zdarzenie pod panowaniem księcia Krakusa najpierwsi kronikarze nasi wraz z naszym Kadłubkiem ²⁾ opisują w ten sposób: iż książę Krakus okrutnego smoka (Kromer go Holophagiem, Solinus Boą nazywa) w jaskini góry Wawel, na której Zamek Krakowski stoi, legowisko swe mającego i wszystkie okolice pożeraniem bydła i ludzi pustoszącego, (za namową niejakiego Szewca Skuby) sztuką i tym

¹⁾ Wydrążenie to od lat kilkunastu snów odkopano, lecz z powodu iż niewywieziono z niego wszystkiej ziemi, nie można było zbadać jak daleko się ono rozciąga.

²⁾ Wincenty Kadłubek, jest to rękopis Mateusza Cholewa Biskupa Krakiewski w Epiat. VI. p. 608, przy Długosza edycyi Lipickiej.

przemysłem zatkali, iż mięsa byłęce smołą, siarką, i żagwią zapaloną natkane, na pożarcie rzucił mu w pieczarę kazał, i tak w trzewach ogień zajęty, wnętrzości wszystkie Smokowi temu wypalił, a Wincenty Kadłubek dodaje nadto że od krakania kruków, na pożarcie zabitego smoka zbiegłych, Kraków miano swoje otrzymał.

Naruszewicz w początkowej swej historii Narodu Polskiego, utrzymuje, że powieść ta o Smoku, przepisana jest z dziejów duńskich Saxona Gramatyka. Saxo bowiem wystawia pod panowaniem duńskim króla Frotona IV błędnego rycerza Sterkater zwanego, walczącego z rozbójnikiem Wizinem, i powalającego go w Skale Anafial zwanej.

Oto są słowa Saxona Gramatyka ³⁾.

„Wielkiej chwały i sławy rycerz gladiator, imieniem Wizin w ruskiej skale która się Anafial zwała mieszkając, okoliczne prowincye, wszelkim pokrzywdzenia rodzajem uciemięczał. On wszelki onę samem wejrzeniem tępił — dla czego rozumiejąc się być bezpiecznym od wszelkich ran, do takiej przyszedł zuchwałości, że nawet najuczciwsze kobiety w oczach mężów porywał. — Uwiadomiony o takim złoczyńcy Sterkater, udał się na Rus dla jego zgladzenia — a że mu nie trudnego nie było w poskromieniu nieprzyjaciół, wyzwawszy Wizyna na pojedynek, fortelem go zabił — żeby albowiem czarownik ten żelaza niezobaczył, lekką skórą miecz odział — a tak Wizyna od śmierci i czary nie zachowały.“

Naruszewicz twierdzi, że Kadłubek chcąc dodać blasku panowania Krakusa, zwycięztwo to osobie jego przypisał — popiera on to twierdzenie podobieństwem nazwisk Kreta i Frota, — a niezgodność wyrazów Wawel i Anafial, niewyczytaniu dwóch pierwszych wyrazów, i odmia-

³⁾ Saxo Gram. Edit. Steph. Ha. VI. p. 105.

nie litery w w f przypisać usiłuje — Zarzuca nakoniec Kadłubkowi iż jest często allegorycznym, i że mógł włożyć smoka za Awarów, państwa słowiańskie poterających, których dopiero pierwszy Słowianów wybawca Samo Frank wyswobodził.

Naruszewicz wolał przypuszczać brak wszelkiej przeszłości krajowej, jak wierzyć z Kadłubkiem że „podobieństwa są warunkiem historii” (Idemitas est mater societatis Kadł.) — Dziwne i to do wytłumaczenia jest to zadawanie sobie pracy Naruszewicza. — Tak poważny krytyk jak on, wolał przecież klasę rzeczy mniej do prawdy podobne, — a więc i podania podobnych, niż przyznać że choć podanie krajowe jest prawdziwą. — Nie miał on celu, i nie siłił się na udowodnienie tego, że podany szczegół jest bajką, lecz dochodził tylko przyczyny powstania tej bajki. — Nie odpowiedział więc Naruszewicz właściwemu celowi, bo nie pokusił się porównać podanie to z innemi jemu podobnemi, by za pomocą analizy dojść do pierwiastkowego jego wątku — lecz osiągnąć pomyślny skutek na drodze takiego badania jest nielatwo, bo niemając dokładnie spisanych podań ludu, niemożna bez zapatrzenia się na ich całość, jedno szczegółowe podanie należyte odgadnąć. — Niektóre poszukiwania dzisiejszych zbieraczy Klechda za pomocą analizy pomyślnym uwieńczone zostały skutkiem. — I tak X. Wagilewicz wykazał, iż lud Ruski Hana Tatarskiego obłócił w postać czarta, i utworzył klechdę o dziwnym potworze ruską trapiącym ziemię.

Podanie to nasze o smoku Krakusa, w Polsce jest jedynem. — W całej pierwiastkowej bajecznej historii po raz tylko jeden pojawił się smok, i to nad brzegami Wisły. — W religii innych Słowian gra on znaczącą rolę — a litewska kraina Kuronia, pełna dziwów, uchodząca za siedlisko gułłanów i czarowników, uważa smo

ków i stawiała im świątynie, w której część boską odbierali. — Pieśni i Klechdy Chrobotów pełne są jeszcze strachu i uwielbienia dla tego okrutnego potwora. — Słowianie Polacy w pogaństwie czczą tylko gady i płaży — a Litwini smoki i poczwary, lubo nawet do nich obce przywiązywali znaczenie — Dla tego to smok z góry Wawelu, i smok używany za herb jednej polskiej rodziny — są obcem wtępem, bo nie mają żadnego związku z polskiem pogaństwem — bo się nie odbiły w żadnym innem podaniu — istnieją odrębnie, nieodpowiednio pojęciu i wyobraźni naszego narodu.

Gdy więc zjawienie się smoka u nas, tak jest szczegółowem i rzadkiem, iż właściwe jego znaczenie z dziejów naszych trudno odgadnąć by przyszło — dla tego musimy przebiez historyą smoka jakiej doświadczał u starożytnych i średniowiecznych ludów — i wykazać charakter jaki mu bieg czasu nadawał, odnieść go z uwzględnieniem miejsca, czasu i okoliczności do nawiąłńskiego potwora.

Smok panuje w wszechświecie pod trzema kształtami — już to jako duch opiekunczy dobrego lub złego — to znów jako godło baeczności i czynności — a nakoniec jako nosiciel odszczępieństwa i herezy — Pierwszy zjawia się w starożytnym świecie u Greków i Rzymian — następnego wielbią ludy pochodzenia germańskiego — a ostatni jest wynikiem powstającego światła wiary chrześcijańskiej.

W świecie starożytnym każdy człowiek, równie jak i każdy naród, wydarzenie dobre lub złe, powodzenie lub klęskę, której początku pochodzenia bezpośrednio dociec nie mógł, przypisywał działaniu niewidzialnej istoty, — którą w miarę usposobienia swego zmysłowego, w różnolite przybierał kształty. — Dla tego też każda czynność, każde działanie ludzkie, miało opiekuncze swe bóstwo. — Mars wiódł w pole walki — Vulkan kuł

pioruny i oręże — a Cerera zbierała z niwów kłosy . . . i dla tego starożytni uznawali nad dwiema przeciwnemi sobie stronami życia ludzkiego, działalność ducha opiekuńczego dobrego, lub złego. — Wszystkie narody ducha opiekuńczy złego wystawiały sobie jako istotę okropną, poziomą, żyjącą i gnieżdzącą się na naszej ziemi — nawiedzającą i trapiącą ludzi. — Na jakie tylko najobrzydliwsze i najokrutniejsze kształty, wyobraźnia zdobyć się mogła, to takimi przywdziewała owego ducha złego. — Lecz jakież przeciwieństwo z pojęciem innych narodów przedstawia nam starożytny świat Hellenów — który smokowi zupełnie przeciwne nadawał znaczenie — zwano go bowiem „*αγαροθαίμων*“ (duch opiekuńczy dobrego) i jako taki poświęcony był bożkowi Eskulapiuszowi — a Egipcjanie i Fenicyjanie czcili go jako bóstwo liłości.

Smoki w starożytności nie mają jednakowej i stałej cechy — bo napotykalmy ich wyobrażających dobre lub złe, zarówno, to znów jako stróżów bogactw, i jako godła wojskowe. — Dawna mytologia jest jasnym tego dowodem. — Dość wspomnieć owych sławnych smoków Eulida i Anchizesa. — Ceres i Medea wozem zaprzężonym dwoma smokami, używali nadpowietrznej przejażdżki. — Bożek Janus przedstawiany był obok gryzącego sobie ogon smoka. — Cadmus i Harmonia przemienieni zostali w smoków za to, iż chcąc zrobić na złość Marsowi, zabili ulubionego smoka strzegącego fontanny w Castalii ⁴⁾.

Rzymianie zaćmienie ciała niebieskiego tłumaczyli sobie tym, iż księżyc walczy przeciw smokowi ⁵⁾.

⁴⁾ Aug. Van Staveren, *Auctores Mythographici latini* p. 15. 27, 28.

⁵⁾ Dom. Martin — *De la Religion des Gaulois*. p. 116 — 120, (Amsterdam 1701).

Smok walczył także przeciw słoniowi, i żeby go tym łatwiej pokonać mógł, wyssał mu wszystką krew przez oczy i uszy — lecz słoń ubytkiem krwi osłabiony, przewrócił się na smoka, i ciężarem swym go zagniół *).

Scytowie, Persowie i Partowie przyjęli smoka do oznak wojskowych — a jeden z rzymskich legionów, nosił jego wyobrażenie na dzirycie utkwione jako znak wojskowy — Smok ten okryty był purpurą i siercią, z głową metalową a rozwartym pyskiem, przez który wiatr wiejąc poruszał jego językiem i ogonem, które różnobarwnymi farbami malowano. — Miał on sprawiać widok okropny.

Dakowie należeli do liczby tych narodów, używających smoka jako symbol wojny i czujności, które wyszedłszy z Indyi, w różnych czasu epokach rzuciły się na Europę — i oni to zapewne zaszcześcić musieli pomiędzy ludami germańskiego pochodzenia, to godło wojny i czujności, które sobie późniejsze plemiona tak mile przyswoiły.

Porównywając smoków w mitologii greckiej i rzymskiej, i w późniejszych wiekach u Germanów pod postacią stróżów bogactw zjawiających się, — jakże trudno zaprzeczyć wzajemnego ich podobieństwa, i związku co do ich znaczenia. — W starożytności strzeże smok sławnego runa złotego, o którego zdobycie tak walecznie bili się Argonauci — u Germanów najrozwężniej rozniósła sława pamięć stróża nibelungskich skarbów.

P. Simmerock w sławnym poemacie Nibelungów, przed laty kilkunastu w Berlinie wydany, przedstawia smoka w kształcie węża skrzydlatego „strzeże on pod Trachen - stein nibelungskie skarby. — Po upływie roku

*) Płyn którym w medycynie znany jest pod nazwą krwi smoka (Drachenblut) miał powstać z połączenia krwi smoka z krwią słonia. — Krew ta smoka jest właściwie sokiem lub żywicą drzewa smokiem nazywanego, którego w farmacyi używają.

i dnia jednego, smok przemienia się w pięknego młodzieńca, i czyni młodą dziewczę, niewolnicą swych wódzów. — W chwili gdy ją porywa, wraca do pierwotnego stanu, parskać zaczyna ogniem i" 7).

W historii tej Nibelungów napotykamy nieustraszonego Siegfrieda zabijającego smoka, stróża Nibelungskich bogactw — w krwi zabitego potwora kapie się ów zwycięzca, rycerz, i przeto nadaje ciału swemu nietykalność. — Strzała i miecz nieczepia się więcej jego osoby — lecz na nieszczęście, podobnie jak ów starogrecki Achilles, skąpany w rzece Styxie, miał śmiertelną piętę, tak i nasz Siegfried był śmiertelnym, bo krew smocza nie była dosięgła jednego miejsca między ramionami — w to właśnie miejsce uderza go Hagen i śmierć zadaje 8).

Najdawniejszy bezwątpienia wątek podania o skarbach smoka, jako Saga Narvelowa, sięga czasów starego poematu anglo-saksońskiego „Boewulf” — W nim wystawiony jest smok pod nazwą Grendel, jako stary złodziej, kradnący po zapadłym zmierzchu, i wracający do swej siedziby na wyniosłą górę — płonie on cały w ogniu — jestto smok nocny, co chodzi cały nagi, co strzeże złota wieśniaków 9).

Ileż to te podania o Herkulesie, Jasonie, Perseuszu, nie mają podobieństwa do tych Sag o Siegfriedzie i Boewulfie? . . .

Jeszcze jedno podanie z dziejów Tyrolu wyjęte, a uzupełnim obraz smoka, w postaci stróża skarbów. — Między szacownymi relikwiami zachowywanymi w kłósztorze Wita niedaleko Inszpruku, niejaki Faber znalazł

7) Grimm-Deutsche Mythologie p. 514.

8) Skala na której utrzymywano, że była placem zapasów ze smokiem, leży nad Renem, między wyniośłościami gór Siebengebirge, i nosi do dziś dnia nazwę Drachensfels (smocza skała) Lord Byron w głośnym poemacie Child-Harold poświęcił jej pamięć.

9) Grimm-Deutsche Mythologie p. 544.

w roku 1484, języcz smoka natrząsający długą, — a którego historia miała być następująca:

W czasach kiedy kraje te zamieszkałe były przez Olbrzymów; jeden z tychże postawiający że istnieje w Alpach dolina rodząca złote jabłka, lecz strzeżona przez okrutne zwierzęta, poświęciwszy się na wszystko, wybrał się ku niej w drogę. — Na czole kilka odważnych ludzi, pokonał broniąąc mu wstępu zwierzęta. — wszedł do cudownej doliny, zabił strzegącego ją smoka i w istocie znalazł miejsce zamknięte srebrnym płotem, — a w niem złote z jabłkami jabłonie. — Na znak zwycięstwa tego (które symbolicznie odkrycie tyrolskich kruszcowych kopaliń oznacza), olbrzym ten ofiarował języcz zabitego smoka, panującym w Tyrolu ¹⁰⁾.

W ogólności u ludu germańskiego, wiara w akarthy w łonie ziemi ukryte, jest powszechną — strzegą ich smoki jako zwierzęta od natury obdarzone tak doskonałym wzrokiem iż mogły od razu przewidzieć wszelkie niebezpieczeństwa ¹¹⁾ lub inne dzikie zwierzęta, a zwyciężenie smoka pociąga zawsze za sobą odkrycie skarbów, których on jest stróżem.

Lecz smok z Germanów zjawia się również częściej jako godło wojskowe. — Pojawia się on także na chorągwiach Saksenów, od czasów walecznego Witkinda — Lew i smok są to ich wojenne hołyszczka ¹²⁾.

W ludowych pieśniach Kambrynów, starożytnego plemienia Anglii, satandar Anglików i Saksenów znany jest wprost i pod nazwą Smoka białego — gdy przeciwnie u Kymrydów ich zniepyrzajców, smok aperwony jako godło panuje ¹³⁾.

¹⁰⁾ Antelger. *Ann. Buxtehude* v. Verick p. 493 A. 1622.

¹¹⁾ *Mon-Geschichte der Deutschen Helden* s. 25.

¹²⁾ *Portr.* V. 442.

¹³⁾ A. Tilly. — *Histoire de la Conquête de l'Angleterre* (Exemples 1639) pag. 34.

W Anglii od czasu ustalenia monachii, smok uważany był, jako symbol dynastji, dla tego w przebiegu drugich sześciu wieków, noszonym był zwykle przed osobą Króla, gdy się na wojnę wyruszał.

Frankowie i sąsiednie im ludy przyjęli także smoka do swych chorągwi i herbów. — Osoby bowiem Roberta de Bethune hr. Flandryi, Jana Luxemburskiego, króla czeskiego, Jana hr. Namur i Jana księcia Brabantu, widzimy wyrżnięte na pieczęciach obok stojących nich smoków ¹⁴⁾.

Duńczycy przody swych okrętów (rostra), również w allegoryczne przybierali kształty. — Okręt króla duńskiego Swena około r. 1004 był w kształcie węża abudowany, głowa jego sterczała przy przodku okrętu, a ogon zakręcał się na jego końcu — i z tej to przyczyny zwano go wielkim Smokiem ¹⁵⁾.

Przeciwnie od czasu zaprowadzenia Wiary chrześcijańskiej, smok uważany jest jako duch złego. — W średniowiecznych czasach podania bajeczne chrześcijańskie ciągle się mieszały z podaniami bajecznymi germańskimi, a smok stał się wyobrażeniem odszczepieństwa i herezy w legendach pójóstwa, i w rzeczach odnoszących się do dogmatów religijnych. — I tak np. w Kościele Panny Maryi w Termonde (Belgija), który zdaje się być najdalej w 12 wieku wystawionym, znajduje się chrzcielnica, na której wyrzeźbionych jest trzech smoków, otaczających baranka bóstego — nieomyślnie przedstawiają oni złych duchów, i wystawieni są dla okazania sprzeczności z dobrocią i łagodnością wiary Chrześcijańskiej ¹⁶⁾.

Po zaprowadzeniu Religii chrześcijańskiej, smok był uważany jako symbol złości, odszczepieństwa i herezy,

¹⁴⁾ O. Vredius — Genealogie des Comtes de Flandre (Bruges 1643).

¹⁵⁾ A. Thierry — Histoire de la Conquête de l'Angleterre p. 45.

¹⁶⁾ Messager des Sciences et des Arts VI 328 Année 1828.

bez różnicy na to w jakich się kształtach przedstawiał. To też znajdujemy go wplątanego w historię wielkiej liczby Świętych w pierwszych wiekach chrześcijaństwa żyjących.

Dojść przejrzeć Bollandi „Acta Sanctorum”, a dowiemy się, że:

Św. Seweryn wypędza ducha złego, który mu się w postaci smoka zjawiał.

Św. Szymon Stylijski przywraca wzrok ślepemu smokowi. — Św. Eudexia ściganą od nieprzyjaciół nawiedza smok, którego zaraziłwem swém oddechem odgania i tychże o śmierć przyprowadza.

Św. Marcelli zabija smoka przestraszonego Rzym.

Św. Teodor zwycięża okropnego smoka. — Gdy zwłoki tego świętego przeniesiono do Wenecyi, to wystawiono na cześć jego na placu św. Marka posąg, gdzie był wystawiony jako Rycerz zabijający smoka.

Św. Paweł zwycięża smoka niszczącego okoliczne dziedziny.

Św. Gerwazy odniósł zwycięztwo nad siedmiogłównym smokiem, nawiedzającym jedną z pobliskich wsi Paryża. — Obwiązał mu stulę około karku i wrzucił go do studni.

Pojawienie się św. Erazma wygania smoka dopuszczającego się niezliczonych nadużyć.

Śś. Tymoteusz, Maur, Leon Ruffa i Porasciusz są również zwycięzcami smoków.

Św. Arnold zwyciężył 5c1o głównego smoka.

Św. Marta święconą wodą wypędza smoka pastuszczycego brzegi Rodanu.

Św. Magnus uderza batem smoka i zabija go.

Św. Narcyz rozkazuje znanemu sobie djabłu zabić strasznego smoka ¹⁷⁾.

¹⁷⁾ Acta Sanctorum. — Fevr. I. 317. II. 29. — Maj. I. 4. 265.

Smok Martel ów pogromca **Hannów**, wypędziwszy biskupa **Rigoberta** z jego rezydencji w **Rheims**, i depatrował się mnogich nadzięb i okrucieństw na stano duchownym, — wyklętym został z kościoła katolickiego. — Po śmierci **Karola Martela**, utrzymywał **św. Euscher** biskup że miał przywidzenie, iż widział **Karola Martela** pokutującego za popełnione grzechy wplekle, i że jest pewnym, że ciało tego wielkiego wojownika nieapoczywa już więcej w grobie. — Dla przekonania się tem pewniejszego o prawdziwości wizji, udał się wspomniany Biskup, wraz z **św. Bonifacym** i **Fulradem** Opatem z **St. Denis**; arcykanclerzem króla **Peppina**, do grobów królewskich w **St. Denis**. — Otworzone trumnę z której z wielkim przestachem obecnym wyszedł smok. — i zauważano przytem, że wnętrze grobowca było czarne i okopcone jakby uległo działaniu ognia.

Św. Jerzy ów patron bohaterów i awanturnych Rycerzy, przedstawia nam się zawsze w postaci uzbrojonego Rycerza na koniu, utapiającego dzię w wnętrzościach smoka. — Podanie o zabitym przez **św. Jerzego** smoku spotykamy już to pod postacią Bohatera oswabdzającego **Lybię** od smoka okolicy miasta **Sylony** morowem powietrzem zarażającego, już pod postacią oswobodziciela córki potężnego Króla od ataka napadniętej. — Podanie to ostatnie tyle ma podobieństwa z podaniem o **Andromedzie** i **Perseuszu**, że zdaje się być tem samem tylko w inne przybranem kształty.

Legenda o **św. Jerzym** w swym czasie tak potrzebna, zdaje się brać swój początek w wychwałach rycerskich średnich wieków, dla tego ani się dziwić można, że powszechnie za prawdziwą uważana była. —

Sposób zaś w jakim św. Jerzego i podobnych mł. bohaterów przedstawiają sięga odleglejszych czasów — bo sam nawet Konstantyn W. Cesarz kazał się wymalować w postaci św. Jerzemu podobnej, to jest jako pogromca smoka. — Czyż to najwidoczniej nie dowodzi, że pod postacią smoka ukrywa się symbolicznie pokonane pogaństwo i tryumf wiary chrześcijańskiej. — Konstantyn W. sam się tak przedstawił jako pogromca pogaństwa i rozkrzewiciel Wiary. — Dla tego też i najnaturalniej jego następcy, jak św. Jerzy i inni ŚŚ. w tym samym co Konstanty występujący charakterze, — podobnie przedstawiani byli.

Św. Donat żyjący za czasów Teodozjusza W. udał się na prośby tego Cesarza na czele liczного duchowieństwa, do wodotrysku, którego woda zatruta, sprawiała śmierć wszystkim, kto tylko pić się ją odważył. Za zbliżeniem się duchowieństwa powstał wielki szum w wodotrysku, i po chwili wyszedł z wody okrutny smok, i rzucił się na św. Donata. — Nieustraszony ten święty zabił go zaraz na miejscu, a woda wodotrysku stała się czystą, zdrową i do użytku zdolną ¹⁵⁾.

Takiż sam cud przypisują św. Domicyanowi, który mieszkańców miasta Huy (Belgija) od wielkiej klęski uwolnił. — Przesiadujący w wodzie smok zatruił ją do tego stopnia, iż mieszkańcy tego miasta po największej części już wymarli. — Św. Domicyan udaje się na usilne prośby do wodotrysku — rozkazuje wyjść z wody smokowi, którego wyszedłszy rzucił się w pobliską przepaść, gdzie znikł. — Od tej chwili woda stała się zdrową, i była skutecznym lekarstwem dla cierpiących ¹⁶⁾. Miasto to posiada jeszcze kapliczkę zbudowaną na cześć św. Domicyana, przy której wytryska źródło — a okół-

¹⁵⁾ Acta Sanctorum. Avril III 765.

¹⁶⁾ Acta Sanctorum Mai II 147.

rem podanie przechowało się dotychczas w uściech tamtejszych mieszkańców.

Św. Małgorzatę wyobrażają zwykle w towarzystwie smoka — a niektórzy utrzymują, iż ona była ową córką królewską, którą św. Jerzy od okrutnego smoka życiu jej zagrażającego, bohaterską swą odwagą, oswobodził ²⁰⁾.

ŚŚ. Michał, Andrzej i Julian również walczyli z okrutnymi smokami, których w końcu stali się zwycięzcami.

Podania te o zwyciężonym smoku tak często się wydarzają, tak jednostajny typ na sobie noszą, że przyznać potrzeba, że jeden i ten sam charakter — jeńno i to samo znaczenie mają. — Kronikarze chcąc uświetnić czyny tego lub owego bohatera, chcąc rozgłosić wydarzenie pewne, lub też utrwalić w mniemaniu zabo-
bonnym łatwowierny lud, — wzbudzić postrach i poszanowanie dla tego co szanować winien — wystawiali Władców kraju, w postaci świętych, przypisywali im podobne tymże czyny, by przez to wzbudzić u gminnego ludu, cześć i poszanowanie dla ludzi, którym rządy kraju w ręce oddane zostały — jestto cechą wieków średnich, że wszyscy znakomitsi Rycerze, odznaczać się musieli bohaterskimi czynami, które im mniej do prawdy podobne, bardziej uwielbiane były. — I tak Kronikarze wystawiając władcę Bairlaimontu, Gilles de Chin oblekli go w szaty św. Jerzego, i przedstawili go nam jako bohatera mordującego około r. 1138, strasz-
nego smoka, którego śmierć i zniszczenie rozpościerał w okolicach Bairlaimontu — Gilles de Chin zabija go w chwili gdy wychodzi z głębokiej jamy, przy miasteczku Wasme leżącej, a którą za swe siedlisko sobie obrał. — W mieście Mons corocznie obchodzą dzień ten jako uroczysty — a chcąc jeszcze bardziej uświetnić

²⁰⁾ Acta Sanctorum Avril II 104, 106.

pamiętkę tego zwycięstwa, przedstawiają smoka otoczonego rycerstwem, symbolicznie walecznego Gilles de Chin oznaczającym ²¹⁾.

Łatwo tu widzieć można jakie podobieństwo, i jaki związek legenda o św. Jerzym z podaniem o władcy Bairlaimontu, posiada. — Celem podania tego nie mogło być nic innego, jak tylko wzbudzenie czci i podziwiania dla Gilles de Chin — którego równie jak św. Jerzy, jako wierny sługa kościoła katolickiego, nad rozkrzewieniem Wiary chrześcijańskiej, utrwaleniem jej zasad, wzbudzeniem dla niej uszanowania — a wszczepieniem bojaźni i pogardy ku zwyciężonemu pogaństwu pracował — dla tego też to i lud prosty utrzymywał, że św. Jerzy był owym rządcą Bairlaimontu pod przybranym nazwiskiem Gilles de Chin.

Podanie tak głośnie, może najwięcej rozpowszechnione o smoku gnieźdzącym się na wyspie Rodus, jest również przeobrażeniem podania o św. Jerzym i Gilles de Chin — i niewątpliwie tę samą myśl zawiera co i poprzednie. — Tu rycerz z Zakonu Braci Szpitalnej Gozon (1332 r.) przydomkiem „od Boga zesłany“ nazwany — przedstawia nam się jako mąż wyobrażający Zakon rycerski. Mnich-Rycerz walczy za Wiarę i religię — bo takie było zadanie zakonu — i tak go też choć symbolicznie już to jako zwycięzcę smoka na wyspie Rodus to znowu na Malcie, wystawiono.

W dopełnieniu obrazu, a raczej wykazaniu stosunku w jakim się zawsze smok względnie chrześcijaństwa objawia, przytoczmy jeszcze jedno z Biblii wyjęte, a tak ogólnie znane zdarzenie. — Św. Walenty przybywszy do Antyochii zapomina zapłacić haracznu Sendanowi, który jest winien każdemu Chryścianin — Czyni taki pociągał za sobą karę śmierci. — Jeden tylko pozostał

²¹⁾ Mathieu — Olla Pedrida p. 197.

sposób św. Walentemu, by został przy życiu — to jest iść i walczyć ze strasznym smokiem, strachem całe miasto napelniającym. — Nieustraszony ów Święty wychodzi przeciwko niemu. — Smok rzuca się z całą wściekłością, bijąc skrzydłami i ziejąc ogniem. — Lecz i tu odnosi św. Walenty Namiestnik Chrystusa zwycięstwo nad smokiem, wyobrazicielem zdięstwa, złości, i herezyi.

Wielu ze smoków doświadczyło prawdziwie znacznego powodzenia. — Francya, Niemcy, Niderlandy są ich kolebką — tam się najczęściej zjawiają — tam święcą ich pamięć uroczystościami — tam w wielu miejscach w dni krzyżowe obnoszą jego obraz z wielką czcią i ceremoniami ²²⁾. — Ich legendy przepelnione temi potworami. — Każde niemal z miast francuzkich policza wydarzenie ze smokiem, do pierwiastkowej swęj historyi. Miasto Orlean, Metz, Bordeaux, Reims, Grenoble, długo przechowywały ich pamięć w tradycyach swoich. Miasto Rouen, podobnie jak Kraków założenie swoje odnosi do walki smoka ze św. Romanem, jako jednego z ważniejszych wydarzeń z czasów Kłódowensza. — Smok niszczący tameczne okolice, zagrażający miastu, pada ofiarą poświęcenia się św. Romana. — Święty ten ubrany w szaty kapłańskie, w towarzystwie zbrodnia rza na śmierć skazanego, któremu ten tylko jedyny sposób ocalenia życia pozostawionym został — wyprawa się przeciw smokowi, któren strwożony, pozwolił okręcić sobie stulę na około karku. — Wten sposób przyprowadzono jak baranek posłusznego smoka na plac publiczny dzisiejszego miasta Rouen, gdzie w obec całego ludu uroczyście spalonym został. — Nieumiano zaraz uszanować tak wielkiego czynu tego świętego, bo dopiero król Dagobert rozkazał, na pamiątkę wydarze

²²⁾ Grimm . p. 707.

nia tego endownego, rokrocznie w dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, gdy relikwije św. Romana, urocząco z procesją niesionemi będą, jednego niewolnika lub złoczyńcę na wolność wypuszczają. — Taka to jest historia smoka miasta Rouen, i tej podobnie mają inne miasta Francyi.

Wykazawszy tym sposobem znaczenie smoka, jakie mu przypisywały narody pochodzenia Galickiego i Germańskiego — przychodzi kolej zastanowić się nad smokiem, po raz tylko jeden zjawiającym się w pierwszych początkach naszej historii.

Smok jak widzieliśmy, różne miał znaczenie — bieg czasu w różne przybierał go kształty. — Smok starożytnych Greków i Rzymian, nie ma żadnego podobieństwa i związku z smokiem Germanów i Gallów — charakterystyki ich są odrębne i wręcz sobie przeciwne. — Tam jest on usposobieniem dobrego lub złego — jest stróżem bogactw — tu w początkach przybiera on ten sam charakter to jest stróża bogactw, lecz to zbyt rzadko. — Z rozszerzającą się sferą wiary Chrześcijańskiej, uosabia on pokonane pogaństwo — a w późniejszych czasach odszczepieństwo od wiary i herezję. ²³⁾

²³⁾ Około r. 1397, istniał w Niemczech i we Włoszech zakon rycerski pod nazwą „pokonanego smoka.“ — Rycerze ci na wielkie uproszczenie przypisywali mu zwyciężenie złych sił, a którego wisiał wyobrażenie zabitego smoka, z akrydami poświęcanemi, które rozmaitemi farbami malowano. — Imi utrzymują, że Rycerstwo takie, utworzoné zostało około r. 1400 w celu uśmierzenia herezyków w Węgrzech i Czechach, w czasie jak Zygmunt cesarz wyjechał z węgier. — Imi nakoniec zażalenie tego zakonu na r. 1413 jako kłopotliwość, poborów, w Konstancyi przypisując i zagnając, do skazania na śmierć Jana Husa i Hieronima z Pragi, było główną powstania jego przyczyną. Smok zjawiający się w onych czasach, był zawsze godłem zwyciężonej lub panującej herezyi. — Letni nawet wyznawcy Husa i Hieronima z Pragi, podług śladów wo-

Charakter jego jest tak ogólnym i powszechnym, że żadnych prawie nie przedstawia wyjątków, a zdarzony wypadek odniesiony do epoki czasu i okoliczności towarzyszących, łatwo wykazać może prawdę w postaci smoka symbolicznie ukrytą.

Smok w epoce w której się u nas zjawia, oznacza najwyraźniej pogaństwo, a jego zagłada tryumf wiary Chrześcijańskiej — bo wszystkie ludy sąsiednie w epoce tej czasu, to samo nadawały mu znaczenie.

My nie możemy smokowi z nad brzegów Wisły innego nadawać znaczenia, nad to, jakie mu typ narodowy jego i epoka czasu nadają. — Goci którzy przez długi przeciąg czasu osiedlali się nad brzegami Wisły, zostawiając nam jednego plemiennika Krakusa, zostawili nam baśń o smoku przywiązaną do jego osoby — czyn nadzwyczajny, bajeczny — nieodgadniony, jest godłem każdego germańskiego bohatera — bo taką była epoka czasu, takie usposobienie Narodu — nie dziw więc, że i Krakusowi przypisano czyn bajeczny — bo panowanie jego odznaczyć się musiało czynem, na którego oznaczenie, symbolicznie pokonanego smoka użyto.

Krakus musiał być pierwszym królem polskim chrześcijańskim zwolennikiem wiary, a wrogiem pogaństwa — że zaś mógł być nim rzeczywiście, niemaż nic niepodobnego, chociaż wiara Chrześcijańska dopiero za Mieczysława I. do Polski wprowadzoną została — bo Chrześcijaństwo nierównie pierwój u nas krzewić się zaczęło, nieraz nikło, i nieraz znowu się pojawiało.

Początek rozkrzewiania się wiary Chrześcijańskiej u nas, różnie różni pisarze oznaczają — jedni jak Bielowski, widzą ślady nauki Chrystusa już w pierwszym wieku po Chrystusie, między naszymi przodkami nad Dunajem

...ten, które w Niemczech wznosił, wyobrażenie smoka nawiązuje do
...wysokich chęć...

osiadłymi — drudzy jak Starowulski, twierdząc, że wiara Chrystusa od początku opowiadania ludowi Ewangelii, prosto z Jerozolimy, przed chrztem Mieczysława do nas przyszła — tak mówi on w dziele „Vitae Antistitarum Graecoviensium — Cracoviae 1658.“ — „est in compento, religionem christianam, non primum sub Miecislao in Polonia coepisse, sed a principio statim promulgati Evangelii per universam fere Slaviam, seu Sarmatiam, dominatricis Romae aemulam, per Pontihabitatores, qui Hierosolimis suum idioma ex ore Petri concienantes, sacra Pentecostes solennitate audierunt, nostris religionibus illatam fuisse — sub Miecislao vero qui toti Vandaliae seu Poloniae tunc imperabat, cultum illius et ritus publico edicto extulisse signa.“ —

Nie rozbiegając w niczem twierdzeń ani Starowulskiego, ani p. Bielowskiego, o ile one krytykę wytrzymać mogą — a nawet je pomijając — zaprzeczyć jednak nie możemy, iż przed Mieczysławem i Ziemomysłem istniało w Morawach państwo Światopełka, gdzie dwaj bracia Cyryl i Metody, męczennicy Grecy, z Saloniki, wiarę Chrześcijańską około r. 862 rozkrzewiali. — Państwo to Światopełka, ogarniało i część późniejszej Polski — część dzisiejszego województwa Sandomirskiego, Krakowskie góry i doliny, do Karpat, do Wiały. — Tu szerzyła się wiara między narodem, a okolicę dzisiejszego Krakowa, należały do diecezji biskupstwa Metodyszowego w Bernie.

Jeżeli więc r. 894, jak słusznie utrzymują, przyjmujemy za rok założenia Krakowa, a zatem i za rok powstania bajki o smoku i czynię Krakusa. — i jeżeli zważymy, że już od lat 30tu przedtem, wiara Chrześcijańska między ludem okolicznym się szerzyła — to możemy przypuścić z pewnem prawdopodobieństwem, że Krakus nową dynastją tworzący, nowe miasto zakładając, i je-

mu nazwisko swe zwyczajem germańskim nadając, wprowadził w świeże jego mury i światło prawdziwej wiary.²⁴⁾

Być może, i tak jest zapewne, że po śmierci Krakusa stłumiło się u nas Chrześcianaństwo, i dopiero pod Mieczysławem z całą siłą odżyło — bo ono nieraz nikło, i znowu się pojawiało, i nietylko przed Mieczysławem, lecz i po jego śmierci — jak np. za czasów ucieczki Ryxy i w czasie bezrządu kraju zanim Kazimierz Odnowiciel wrócił — lud burzył kościoły, mordował księży, a bałwochwalstwo choć w części napowrót wracało.

Chrzest Mieczysława był tylko urzędowem przyjęciem wiary przez zwierzchnika kraju, którego mieszkańcy dawno już ją wyznawali. — Mieczysław niemógłby przecież rozkazać ludowi, by wiarę tę przyjął, gdyby nie był lud zasadami jęj przejęty. Wiara bowiem nasza wchodziła dwoma do kraju szlakami — jedna szła z Carogrodu, jęj rozkrzewicielem był Cyryl i Metody, ją wyznawała blisko połowa Polski — druga pochodziła z Rzymu i przychodziła od sąsiednich Niemiec — Poznań był biskupią stolicą tęj wiary pod Mieczysławem. Mieczysław znalazł się między narodem, jedną i tę samą wiarę wprowadzie wyznającym, lecz według dwojakiego obrządku, greckiego i rzymskiego — a przeczucując się na stronę religii rzymskiej, i ją narodowi jako panującą w kraju ogłaszając, uczynił krok, któren niewłaściwie przyjęciem przez naród wiary chrześcijańskiej nazwano.

Zdaniem mojem bań o smoku Krakusa, roznieśli między ludem naszym, pozostali wraz z księciem pochodzenia swego Goci, którzy wiarę Chrześcijańską wyznając, i już w 3cim wieku w styczności z Słowianami

²⁴⁾ Czyż Postrzyszyń jakie Popiel wyprawiał, nie naprowadzając nas na tę samą myśl o szerzeniu się Chrześcianaństwa?

zostając, ²⁵⁾ chcąc nadać blasku panowaniu plemiennika swego Krakusa, a raczej chcąc skłonienie się jego ku wierze Chrześcijańskiej, przedstawić ludowi jako czyn wielki i wzniosły, wystawili go tak allegorycznie, budząc postrach przed pogaństwem, wystawioném w postaci smoka, kraj i ludzi pożerającego — a przywiązując sobie do siebie obcą jego osobę.

Baśń ta o smoku, jedyny pomnik bytności Gotów nad brzegami Wisły, utrwalona w pojęciu nieoświeconego narodu, utworami natury, które się ją potwierdzić zdawały, przetrwała między naszym ludem, z ust do ust przechodząc, przeszło przez wieków trzy — i tym sposobem przeszła ona do naszych królikarzy, którzy zbierając podania ludu, i to jak sami mówią, co się od ludzi starych dopytać mogli, zestawili niemi pierwotną naszą historią „dziejami bajecznemi“ nazwaną.

²⁵⁾ Wyrasy słowiańskie, które w szczątkach pisma Śgo z przekładu Ulfilasa z 4go wieku, do naszych doszły czasów, są tego dowodem.

J. LISIŃSKI.

GRACZE.

(Poemat satyryczny.)

Prawdziwy, czy zmyślony prapraojcze Lechu,
Powiedz, czyli gra w karty pobudza do śmiechu?
A lubo za twych czasów nie grywano w karty,
Ja ~~wywarę~~ dę o zdanie, bo jestem uparty.

Satyra, jeśli ma być dobra i niewinna,
Nikogo nie obrażać, lecz bawić powinna.
Tak twierdzą, co to niby mają rozum bystry,
A twierdzą śmiało, skoro *in verba magistri!*
Oni ci także zdanie najlepsze wypalą,
Wyjęte z Horacego, z Laharpa, z Boalo —
Rzeknijcie więc, panowie, gdy Lech stary milczy...
Lecz i wy coś milczycie — tylko wzrok swój wilczy
Ciskacie na mnie, jakby na nieprzyjaciela,
Ztąd, że z wami występnych zabaw nie podziela?...
Jednakże ja wam wszelkich pomyślności życzę —
A jeśli nie jednego satyrą oćwiczę,

Nie moja będzie wina — wazakcie wyćcie typy,
Na których satyryczne ostrzą się dowsipy.

Lecz czemuż jest satyra? Wierszem dydaktycznym,
Czyli pouczającym — a więc prozaicznym,
I niby, jak to dawniej mówiono, klasycznym. —
Nie będziem przeto bujać w wyobraźni sferach,
Ale stapać po ziemi, po kartach, numerach,
I wszystkim, co z szulerką ma istotny związek;
I tak zwolna iść będziem od pnia do gałązek.

Kiedy Chrystus Pan skończył dla zbawienia świata,
U stóp krzyża leżała jego święta szata;
A rzymscy legioniości, ludzie ciemni, prości,
Postawieni na straż, grali o nią w kości.
Pierwsi to byli gracze o rzecz wielką, świętą —
Lecz dziwić się nie trzeba, gdy grają poganie;
Raczej dziwić się trzeba, kiedy chrześcianie,
Bez wstydu i sumienia, wiodą grę zawziętą.
A nie sama kość, karta lub gałki liczbowe
Grę stanowią — bo według wyroku bożego,
Wszystko, co obliczone na zębę bliźniego,
Jest grą straszną, zdradzieczą. — Więc naprzód losowe
Gry okładać będziemy satyrycznym biczem.

Owóż, zszedłem się zaraz z nieładną panią.
Nie poznaje mię, biegnie — pewnie do cukierni?
Gdzie tam! wleciał jak strzala do znanej szulerni.
Ja za nim — a myśl moja była: mój kochany,
Tyś gry uosobieniem *rouge et noir* zwanęj.
Czerwonyś, bo się palisz — a czarna twa dusza,
Tylko widokiem blasku złota się porusza.
Fortuna twém bożyszczem — do niej się uniegasz,
A cierpiącój ludzkości urąganiem bryzgasz. —
Lecz dziś jeszcze na amiennność losu się uzaliasz,
I w ostatniej rozpacz w łeb sobie wypaliasz.

Lepiej opuść zawczasu spelunkę latronum,
I udaj się w pokorze do boskiego Tronu.
Nie słuchałeś mię — widzisz, zdradziła cię karta:
Zbladłeś, chwytasz kapelusz i idziesz do — czarta!

Lecz jakimże sposobem grom położyć tamę,
Gdy niemi nawet damy zajmują się same,
I po całych wieczorach toczą bój zażarty,
Walcząc do upadłego francuzkiemi karty?
Nie pomnąc, jak obrzydła jest każda kobieta,
Gdy ją żądza gry pali. Rzekłbyś, to atleta,
Ale nie córa Ewy! Wtenczas zysku chciwa,
Sapie, świeci oczami jak lokomotywa,
Gdy wieczorem lub w nocy do dworca przybywa.

Aby skarcić skutecznie karcianego lisa,
Nie dość jest Horacego i Juwenalisa.
Malowania zdrożności łączyć w sobie dary,
Bo straszniejsze od rzymskich są nasze poczwary.

Szuler, kogo dopadnie, ogrywa niecnota,
A chęłpi się bezczelnie, że on patryota!
Już zyskuje, już traci — na pozór stateczny,
Zabiegliwy, wymowny, uprzejmy i grzeczny,
Posiada zaufanie jak człek przyjacielski —
Tymczasem powierzony grosz obywatelski,
Lub grosz sierot, ubogich albo grosz skarbowy,
Nie w napadzie szaleństwa, lecz przytomny, zdrowy,
Przegrywa... a chociaż go czekają kajdanki,
Przecież leży w objęciach fortuny kochanki.
Czasem wczesnie w ucieczce ocalenia szuka;
Lecz rzadko się któremu powiedzie ta sztuka.

A teraz wam opowiem, co mi się raz śniło —
Gdyż radbym, by to wszystkim w pamięci utkwilo.

Pewien niemłody człowiek, i szuler z rzemieślniaka,
Co to zwykłą ma łódkę z kart, a z palców wiosła,
I tak pływając zręcznie szkopyły omija,
A w cudzą kieszeń, jako do portu zawija:
Dręczył z dawna dom jeden swojemi wizyty.
Gdy wszedł, smutek na twarzach wszystkich był wyryty;
Lecz wsgardę mu okazać, nikt nie miał odwagi,
Choć każdy pragnął zostać wolnym od tej plagi.
Otóż, kiedy z kartami przybliżył się do mnie,
Bym z nich jedną wyciągnął, oszaleć się skromnie,
Lecz głośno: nie gram w karty — cudzego nie żądam,
A swego dać nie myślę. Tu w oczy spoglądam,
I dalej: *gdybym przyjął od wacpana kartę,*
Miałbym czoło, jak wacpan, miedziane, wytarte! —
Szmer powstał, potem wrzawa, struchlały kobiety;
On jednak nie nie bąknął i poszedł jak zmyty. —
I na jawie skutecznym byłby taki środek,
Ilekroćby podobny zjawił się wyrodek. —

Po takim wyłuszczeniu śmiertelnego grzechu,
Pytam się, czy gra w karty pobudza do śmiechu?
— „O! nie śmiech, ale zgrozę, oburzenie sprawia,
Jak wszystkie do zagłady wiodące bezprawia...”
Rzekli zacni, i w pomoc wezwali satyrę —
Która zamiast pochwycić bardon albo lirę,
Wzięła bicz i boleśnie szulerom docina:
Bo to macierz surowa, nie płocha dziewczyna. —
Przeciw takiemu wreszcie sroży się satyra,
Co swe zdrowie, majątek i cześć poniewiera —
Albo z ogólnych nieszczęść brudne ciągnie zyski,
Lub przeciw obyczajom knuje tajne spiski,
Lub zdradziecko potwarcze wyrzuca pociski.

Następnie, równie smutną grę weźmiem w obroty:
Bo jeśli los tysiączne wyrządza nam psoty,
Śluszna, byśmy i jego wyświecili cnoty.

Już to najwięcej złego z Włoch na nas spłynęło:
Sken króla Władysława pod Warną ich dzieło:
A później, kto dostarczył krajowi masochy
W osobie Bony? Jużci dostarczyły Włochy.
Kto sztylety, trucizny, intrygi i spiski
Wprowadził wraz z miękkością w kraj nasz towarzyski?
Tak jest! śmierci Barbary — zmarnienia Augusta,
Nie wynagrodzą nigdy melony, kapusta,
Ani włoskie melodye, ani pędzel włoski,
Ni topole, co zdobią ogrody i wioski. —
Lecz nie na tem się kończą do nich me urazy:
Gdyż jakby na dobitkę moralnej zarazy,
Pan Lotto z Neapolu, z szatańskim umysłem,
Po wyrafinowaniu głębokiem i ścisłem,
Obdarzył świat tak zwaną loteryą liczbową —
A świat ciemny z radością chwycił tę zabawkę,
I pogańską Fortunę ogłosił królową.
A lubo wszystko dla niej poświęcił na stawkę,
Wszelako owa ślepa pogańska wskrzeszona,
Nie czuła się zupełnie być uszczęśliwiona;
Gdyż nie do niej wyłącznie swe modły chrześcianie
Zwracali, lecz do Boga, wołając: „O Panie!
Dopomóż trafić terno! zmiłuj się nad nami!“
Jak to i dziś usłyszysz własnemi uszami.
Dla tego obrażona, by łatwiej wywarła
Swą zemstę, z szatanami przymierze zawarła —
A ci kilku osobom wygrać pozwolili,
I przez to wszystkich ciemnych do siebie zwabili.
Biedaki, tłumem idą kupować nadzieję,
Kiedy ona w skrytości z djablami się śmieje! —
Lecz nadzieją do czasu tylko ludzi można —
Bo gdy po wyczerpaniu zasobów, bezbożna
Myśl przyjdzie, i człowieka całego oświadczenie,
Człowiek taki naówczas oszukuje, kradnie,
Lub miotany rozpaczą cały świat przeklina,

I najczęściej się topi lub gardło podryza! —
Widziano nawet takich, którzy omyleni
W nadziejach zakupionych, gniewem rozjuszonych,
Obrazy Boga, Świętych na ziemię rzucali,
I, o zgrozo! własnymi nogami deptali.
Tym więc sposobem piekło cel swój osiągnęło:
A ludzka w dobrej wierze wspierają to dziwota...
I nie dziw, bo loterye Niezbowe, klasyczne,
Są to u nas choroby już epidemiczne,
Grożniejsze, niżli tyfus, niż febry gastryczne!
Żal się Boże! nadzieja to bardzo mizerna,
By można los poprawić za pomocą terna!
Równie nędzna i godna śmiertelnego ciosu,
Jaka płynąć się zdaje z klasycznego losu —
Który chyba dla tego nazwę tę przybióra,
Że tego i owego klasycznie obdziera! —

Wszystkie te błędy, włoskie zrodziły pomysły —
A krzewią się i u nas nad brzegami Wisły. —
Tu zaiste przychodzi westchnąć: o ocalwieku!
Jakże ty jeszcze głupi w dziewiętnastym wieku!

Gdzie oświecień, tam i głupstwo. — Uczony Erasme!
Wszakże pochwała w twoim mieści się sarkazmie,
I dzieło twoje dla młot powinno być wzorem:
Wybacz więc, że odmiennym puściłem się torem.
W umarłej mowie Rzymian tyś głupstwo pochwalił;
Ja zaś w mowie ojezycznej radzym je powalił
I zdeptał, aby więcej nie podniosło głowy.
Dalejże więc do dzieła obszar mam gotowy.

Dzisiaj wszystko gry i handlu przedmiotem się stało:
Zdolności, ręce, nogi — nawet całe ciało
Wypuszcza się na sprzedaż albo też w dzierżawę —
Przy czem, oprócz pieniędzy, zyskuje się sławę,

Sławę wprowadzisz dwuznaczną, lecz zawsze brzęczącą,
I której żadne gromy satyr nie rostrąca.

Bo takim jest, niestety! dzisiejsze zepsucie,
Jak gdyby już skończyło godności uczucie!...

— Co mówisz? ono żyje we fraku — w surducie;

Nawet w lakierowanym przedstawia się bucie —

Tylko badać nie trzeba, kto i czém skalany,

Jeśli według turnala des modes jest ubrany.

A postać taka bywa zawsze miła, wdzięczna,

Bo dziś głównie popłaca skorupa zewnętrzna!

I dla tego prawdziwej godności uczucie

Siedzi w kącie, wzgardzone, jakby na pokucie. —

Skończyłeś; więc po tobie znowu mówić zacząć,

A snują mi się różne postacie dziwaczne.

I tyś je nieraz widział. Są to *piękne sztuki*,

Które zkadinaż znowu liczą się na sztuki,

To jest podług ilości: jeden, dwa, trzy, cztery. —

Zobaczmyż tedy bliżej te kłacze, ogiery:

Wszakże są to, jak mówią: *najczystsze Vollbluty*. —

Tu panowie, dżokeje, boby i szpicruty

Dają dziś przedstawienie albo widowisko:

I dla tego tak wielkie zewsząd zbiegowisko —

Nawet słysząc, pan jeden przyjechał aż z Rygi,

Umyślnie, aby widzieć te końskie intrygi —

Przepraszam, nie intrygi, lecz końskie wyścigi —

Mówię *końskie* — bo każdy niech na to pamięta,

Iż tu głównym przedmiotem nie człek, lecz bydlęta.

Oto, nadzieja kraju, pan licznych folwarków,

Pędzi cwałem do mety na złamanie karków.

Patrzaj! zleciał — lecz powstał i dosiadł na nowo

Ognistego rumaka — a choć śmierć nad głową,

Śmierć wcale nienaszczętna, bez wszelkiej potrzeby,
Jednakże znów czwajnie, jedynie, ataby;
Pokazać, że w gonitwie prześcignąć się nią da,
Zakład wygra, i jeszcze raz losowi sprzeda
Swoje zdrowie i życie — jak gdyby to życie
Dało się zabezpieczyć równie należycie,
Jak przypadki pożaru albo gradobicia.
I któż teraz nie przyzna, że to gracz szalony?
— Skądże on, może z Litwy? — Nie z Litwy, z Korony
Jakiż z resztą pożytek dla naszego kraju,
Z tego od Anglosasów wziętego zwyczaju?...
Bracie! choćbyś miał członki, siły Herkulesa,
Nie poświęć ich nigdy na takie excessa!
Popisy te wędrownym zostaw akrobatom,
Skoczkom, błaznom i innym latającym szmatom:
Bo nie takie Bóg pole przeznaczył Sarmatom.

Niegdyś w Wypisach szkolnych czytałem te słowa:
Der Affe ahmet alles nach — a złość gotowa
Z małpami nas połączyć i wyrzec, aż strach!
„*Der Fels und der Affe ahmen alles nach.*“ —

Z jednej sceny na inną przejście bardzo łatwe:
A gdzie scena, tam zoczyasz gapiącą się dziatwę
Starą i młodą. — Dla mnie rzecz to niepojęta,
Czemu ludzie inaczej nie obchodzą święta,
Tylko koniecznie jakimś widowiskiem, hecą —
Szczególniej też gdzie heca, tam gromadnie lecą.
Gdyby to sami żydzi albo same żaki
Tam biegły, sprawiedliwie można by wybaczyć;
Lecz nie sam gmin uliczny, bo wykwinął fraki
Szale — słowem śmietaną możesz tam zobaczyć,
Lub inaczej: *wysoko latające ptaki,*
Mniemające, iż przez to będą więcej znaczyć!
Bo i jakże w salonie z tém się nie popisać,

Że się było, widziało? — Oczemu nie kołysać
Wyobraźni tak skłonnej do wrznięć przyjęcia?
Trzeba przeto tych wrznięć szukać u bydlęcia,
Zwłaszcza, że to nie bydlę, ale koń uosony;
Arabski Vollblut. — W takich myślach pogrążony,
Zaszedłem na przedmieście i patrzę... o cuda!
Tu dotąd niewidziana rozparła się buda —
Jak baba, gdy usiądzie szeroka, otyła,
Tak ona swym korpussem wielki plac okryła.
Ma nadzieję, iż będzie liczył rój mieszkań,
Kiedy się tak wygodnie u nas rozgościła.
Lecz jakież jest tej budy cel i przeznaczenie?
Już domyślam się, skoro słyszę koni rżenie.
Zaś cel główny, mieszkańcom przetrząsnąć kieszenie.
To: Cyrkus — tu się konne odbywają hece;
A ludzie się gromadzą, i to tak dalece,
Że niech ich Pan Bóg wszystkich ma w swojej opiece.
O patrzaj! jakie tłumy cisną się do budy,
Wachać wyziew stajenny i wycierać brudy.
— „Chodź z nami!“ — Alboż ja pisa? Kto się psoma być
czuje,
Ten niech idzie do budy, i tam wyszczekuje
Pochwały dla hecarszy uwielbienia wrzaskiem,
Aż mu sypną w podziękę w oczy grubym piaskiem.

I cóż to są za ludzie? To konne szulery. —
Lecz gdy w grze tej publiczność bierze udział szatery
To oni jęj też służą. — Lud chce być bawionym,
Nie pomnąc, że zabawą nie będzie zbawionym! —
Nic tam wreszcie tak bardzo nie masz ciekawego:
Nie rycerza, jak niegdyś z konia Trojańskiego
Sypią się, lecz z pod końskich kopyt wstają kurza...
A oklaski grzmią huczne na dole i w górze! —
Że ten i ów szalenie jeździ, członki łamie,
To się bardzo podoba córeczkom i mamie,

Która, acz niemająca, wytrzymać nie może,
I na wszystkie igrzyska bierze całą łódź. —

A tam snów, kto tak śmiało, posuwisto kroczy?
Patrz, co za kibić, jakie włosy, jakie oczy —
Jak dwa wielkie brylanty sięgają blasku nocny.
Cóż dopiero, gdy wszystkie wdsięki swe rósłoczy
Ta powabna osoba! — Otóż, ku nam plynie,
I kłania się jak Gracya. — Powitać boginię!
Czy z Olimpa? — Z półwyspu. Jam solo tancerka.
— A jaka strojna, święta, jak gdyby z kufarka
Prosto wyjęta — przy tém giętka i sprężysta,
Jak guma elastyczna albo gutta percha. —
Po cośś przysła do mnie? Jam nie jest artysta,
Ami bogacz, lecz tylko biedny moralista.
Daramś się więc śmianęła sznurówką toberka —
Cel chybił! Wacpanna jesteś, też szulerka.
A choć okłask wywoła twój, postać durna,
Zawsze jesteś gliniana, wewnątrz pusta urna!

— Ej, śmiała! czy wiesz, kto to, i jak się nazywa?
To słynna, awielbiana hiszpańska Oliva...

— Oliwa? więc na łuny sprzedaje się sama?

— Nie rozumiesz; Oliva, bardzo zacna dama....

— Mylisz się, przyjacielu, to piękność sobita —

Takie jest moje zdanie w tej mierze, i kwita! —

Lecz wstąpmy do teatru. Towarzysza miły,

Czy słyszysz, jak kłaskają w dzień z całej sali?

Jeszcze zewnątrz jesteśmy, a już takie krzyki

Dolatuja nas, jakby same szlenniki

Zebrały się, by takim wyprawiać balasy —

A przecież to nie papry! Są tam różne klasy

Pleci obejga — a mięka pleć głównie szaleje. —

Otóż jesteśmy w sali. Gwałtu! co się dzieje!

Sąż to obywatele i obywatelki.
Co taką wrzawę robią?... Łękam się o belki,
Bo już trzeszczą. — O patrzaj! jak lecą karmelki,
Kwiaty, olbrzymie wience, wiérsze i rabalki —
I gdzieś w górze strzeliły z szampanem butelki.
Ten nawet grosz ostatni wyjął z kamizelki,
I rzucił go na scenę. Inny znów bombelki
Złote, co u kluczyków wiszą jak sardelki —
A znów inny prześliczne cisnął pantofelki.
Słowem, wszyscy w zachwycie. I mój podziw wielki
Że takiego rodzaju wolny objaw wszelki....

Tu mi znowu przychodzi westchnąć: o człowieku!
Jakżeś ty jeszcze głupi w dziewiętnastym wieku!
Stokroć mędrsza od wszystkich ta chytra tancerka;
Ona bowiem nasz pieniądz zgarnie do kufarka —
Zaś wience i bukiety wyrzuci jak śmieci,
I śmiejąc się z nas w duszy, dalej w świat poleci!

Przekonałeś się teraz, przyjacielu drogi,
Jaką to grę prowadzą *wyuczona* nogi,
I jakie odbierają *hołdy* *batwoochwalcze*?
Owóż ja przeciw temu powstaję i walczę.

--- Chocicie mieć zdrowszą młodzież, umiarkowane kobiety,
Zabrońcie im bezwstydną odwiedzać balety. —
Nie jeden sypie złoto przedajnej dziewczynie,
Zamiast dźwignąć ze zwalisk zgorzałe świątynie!

W samą porę tysiączna baletów ofiara
Zjawia się. Jest to młody człowiek — lecz twarz stara,
Każdy, co się mu przyjrzy, że to szuler, powie,
Co na kartę rozpusty postawił swe zdrowie. —
Zdrów był, dopóki w domu ojców jadał hreczaki,
Dziś stęka i połyka z merkurym gałeczki.

Łedwie łązi, lecz doktor nie mu nie powiada,
Ze mu kości spróchnieją — że zęby postrada! —

Nie na tém wszakże kończą galerią obrazów:
Świat mi wzorów dostarczy, a język wyrazów.
Tu polować nie trzeba — *dosyć okiem rzucic,*
By się rozśmiać serdecznie albo się zasmucić.

Obecnie, nieco ciszzej będziemy mówili.
— A to czemu? — Dla tego, iż właśnie w téj chwili i
Dostrzegłem, jako jeden ciekawy Jegomość,
Co to skwapliwie wszelką połyka wiadomość,
Jak wyżeł, kiedy łapie muchy latające,
Albo czapla, gdy chwyta rybki pływające —
Podsunął się pod okno mojego mieszkania,
I niby tam gdzieś patrzę, tu ucha nakłania.
Jest to człowiek z pozoru bardzo miły, grzeczny,
Lecz w gruncie, jak powszechnie twierdzą, niebezpieczny :
Bo lubo żadnej broni przy sobie nie nosi,
Nigdy nie rozkazuje, lecz uprzejmie prosi —
Wszelako, ile razy kogo wziął na oko,
Niezawodnie ugodził i zranił głęboko —
I dla tego też ludnie, co żarciki łowią,
Już Mesmerem, już znowu myśliwym go zowią.
Jakoż ideo moc jego w oczach, w nosie, w słuchu,
Nawet często jak strzelec, czołga się na brzuchu,
By podejść jakiegokolwiek ptastwo lub zwierzyne,
Czyli mówiąc po prostu: słówko, wieść, nowinę.
Niczém nie gardzi, wszystko chwyta za czuprynę,
I pakuje do torby, gdzie płotki gromadzi,
I którymi zyskowny handelek prowadzi. —
Winszują, nie zazdroszczą ci, którzy go znają,
I przed nim, jak przed dżumą, domy zamykają. —
Głos powszechny powiada: człowiek ten się wstawił
Tém, że śmiało twarz, plecy, na kartę postawił! —

Wezwany, najfalszywsze gotów dać świadectwo,
Nie dbając, czyli przez to narazi na śladstwo,
Wpadnij mu tylko w oko, a szanowny Judasz
Wszędzie pójdzie za tobą, gdziekolwiek się adasz —
Jakby to był nad nami postawiony władarz.

Przecież zwolna opuszcza swoje stanowisko —
Lecz niestety! znów inne pocziwe człeczysko
Zbliża się — O, i z ciabie gracz niepospolity!
Jas układaj, płaszczykiem prawości okryty,
Raz otwarcie, drugi raz podstępami działasz,
Mianowicie tóż, kiedy chęcią zysku palasz —
A przepis w twojem ręku, obosieczny palasz!

W tém drzwi się otworzyły, i z grzesznym ukłanem
Wszedł i śmiało postąpił jakiś nieznajomy
Mówiąc: „Najznakomitsze obszedłem już domy,
I każdy opisełem z dość obfitym planem.
Łaskawego przyjęcia mam przeto nadzieję
Doświadczyć i u Niego...“ tu się wdzięcznie śmieje,
I jakieś tam obrazki rozwijać zaczyna —
— „Proszę spojrzeć; ta eklepiec, tu ładna dziwoszyna —
Wszystko zachwycające — same arcydziela,
Do wykonania których miłość mnie natchnęła.
Jest w czym wybrać — a, cena zbyt umiarkowana,
By zachęcić nie miała tak zacnego pana,
Który zawsze, jak mówią, sztuki piękna wspierał...“
— W arcydzielach wacpana ja nie będę separał;
Lecz proszę mi powiedzieć, kto jesteś? — „Artysta...“
Już wiem, co z ogólnego zepsucia komysta,
Malując same apresnacie. I tyś się ośmielił
Tak poniżyć dar, jaki Stwórca ci udzielił?
— Ty nie jesteś artysta, lecz niktęznym graczem;
I do zepsucia równie czynnym podlegaszem.
Proszę za drzwi, natychmiast! — Tu artysta błady,

Co tań swe artystyczne pozbił szkarady,
I wybiegł na ulicę, jak gdyby ścigany. —

Tak trzeba postępować, ziomka mój kochany!
Ze wszystkimi grzeszami jakiegokolwiek barwy;
Odpychać ich od siebie i odierać z nich larwy! —

Jako Chrystus Pan niegdyś w przysionka obrębie,
Przez który dwa podobne wiodły do świątyni —
Gdy zobaczył tam ludzi, co bydło, gołębie
Sprzedawali zuchwale — cóż wówczas uczyni?
Oto, pełen boleści, oburzenia, zgrozy,
Z najbliższej budy chwycił w prawą dłoń powrozy,
I rozpędził handlarzy, ich owce i woły,
A lewą powywracał rozstawione stoły
Lichwiarskie, i z powagą zawołał: „Nie czyńcie
Z domu mego Ojca domu kramarskiego!“
I korząc się, uciekła przelekniona tłuszcza.

Tak i wy w sobie ducha potęgę rozwińcie,
By każdy z was odwagę miał z domu swojego
Wyprosić niegodziwych — bo kto w dom swój wpuszcza
Przyjaciół, zwolenników, służalców szatana,
Ten jego chwałę głosi, nie Chrystusa Pana!
A wy przecież Chrystusa jesteście uczniami —
To niechże wzory Jego żyją między wami!
Nie z powieści rozwiozłych, lecz z żywota księgi
Bierzcie moc, a struchleją piekielne potęgi!
W domu waszym niech będzie tak jako w kościele,
A Pan przyjdzie niechybnie i zrządzi wesele!
Czuwajcież tedy ciągle i bądźcie na straży
Swych własnych namiętności — bo wyrok się waży...
I dla tego, by zmiękczyć zagniewane nieba,
Twarde, surowe życie prowadzić nam trzeba! —

Jakże miłą dla dobrych bywa enoty ściotka,
A jak przykre, mniemane światowe słodycze!
To też zwykle u takich tylko Pan Bóg miesza,
A od złych zazwyczaj odwraca oblicze! --
Temu pręto, kto gwałci jakimkolwiek czynem
Prawo najświętsze, prawo Chrystusowe,
Słuszną, klątwę w tych słowach wyrzucić na głowę:
„Tyś nie jest siemkiem naszym, ale poganinem!”

LESZEK MOROZ.

PRZYGODY PADYSZANA I CZTERECH DERWISZÓW.*)

(Powieść tłumaczona z perskiego).

W Imię Allaha Łaskawego Miłosiernego!

W krajach eo nad Eufratem, panował król, Azade Becht na imię.

Wiersze: Ziemię orężem podbił, niebiosa zdobył modlitwą. Szah z rodu i z potęgi, ale Derwisz (ubogi) w duszy. A tyle sprawiedliwy, tak miłosierny pisanun ludów swoich, że kiedy klęska ich jaka trapiła, wnet w nią uderzał orła skrzydłami i szponą. Gdy z nich którego cierał biedy zadrasnął, dobry pan własną ręką kładł plaster na ranę i goił. A lat szczodrościwości do- szcsem na podwładną ziemię, tak że na niej niewidział jeno wdzięczności żniwa i łaki.

*) Należącą tu powieść *Derwisz Trzeci* samieścolimny już po- przednie w seascyole lutowym.

Sto tysięcy wiosek i miast w Anatolii, w Syrii i w okolicach, hołdowało jemu. Wszakże przy takiej potędze i wielkości, na chwilę niezapomniiał służb powini-nych jenynemu Bogu. Zawsze pokorną twarzą leżał na progu niebieskiego dworu Allaha, czołem pył zmiatał, z posadzki meczetów. Ustawnie jęczał do Boga i błagał o syna, prosił o dziedzica korony i tronu. Albowiem dotąd niemiał następcy ani namiestnika ze krwi swojej. Rok szedł za rokiem, mijały lata, czterdziesty i pię-
dziesiąty życia królewskiego.

Pewnego dnia, wracając z modlitwy, Azade Becht stanął przed zwierciadłem przypatrzeć się piękności swojej. Ujrzał w brodzie i wąsach kilka włosów siwych :bielących się jak szron na czarnoziemiu. Strapiiony więc i zamyślony, tak sobie mówi: Biada i szkoda! Sterałeś najlepszą część życia twojego. Wysypałeś skrzynie i skarbcce złota. Pozabijałeś tyle wojsk. Dotąd na chwilę nie-odetchnąłeś swobodniej, dotąd ani razu spokojnie nie napiłeś się wody. Teraz, oto już włos siwy, ów zwiastun śmierci, przedziera się w twierdzę żywota twojego i złowrogą wieścią prósz. na ciebie jak popiołem trupim. Dziś, jutro, posłańce bosey przyjdą upomnieć się o duszę twoją, anioł śmierci zawoła z pod niebios: *czas ci depić czary żywota!* I wypędzą cię z dnia białego, chcąc niechcąc pójdziesz do ciemnicy grobu. Nierad będąc musiał pożegnać rodzinę i przyjaciół. Ah co za szkoda, jaki żal że nie masz syna, któremu byś oddał koronę swoją i pierścień twój królewski, że co po śmierci twojej przejdą w ręce wrogów twoich.

Wierza. Jaka to szkoda że życie wędnieje i że kołwrot wieków nie zatrzyma się w biegu! Mówiłem sobie: gdy mię starość nachyli, ujmę się ręki młodego syna mego. On się wywiąże z długu ojcu swemu dochowa cało sławy przodków swoich. Życie spróchniało, z pyłem znikły nadzieje moje!

Uderzony tą myślą zamknął się w najgłębsze pokoje pałacu swojego i przez całe trzy doby nie pokazywał się w posłuchalnej sali, ani się trudził rzeczą, ozdobą i zarządu państwa swojego. Owszem we łzach i płaczu krył się od ludzi. Nieobecność pana spowodowała zamieszanie w podwładnych krajach i między przedniejszymi urzędnikami państwa. Lud wiejski i miejski zaczął wpadać na dziwne domysły. Emirowie zatem i ministrowie dworu, na walnem zebraniu naradzali się przez trzy dni. Wielki wezyr królestwa, pomyślał jego szachskiej mości i w razie potrzeby jego namiestnik na imie *Rouszen Raj* (światły rozum), miał zawsze wolny wstęp do Azade Becht, bo ten go z łaski i dla zaszczytu, zwał ojcem swoim. Otóż uradzili aby posłać Rouszen Raja. Niech mówili pójdzie przed oblicze dobrego szacha i dowie się o powodach co mogło zakłócić pokój duszy pana, niech wróci pocieszyć dobrą wieścią, salachę i gmin, wielkich i małych, pasterzy i wieśniaków, indyjskich i greckich poddanych Azade Bechta.

Zgodziwszy się na radę przyjaciół, Rouszen Raj udał się drogą wiodącą do celu ich. Odźwierni haremu i marszałkowie dwórszy, wiedząc iż nieraz uprzednio wolno mu było widzieć szacha sam na sam, nieśmieli go zatrzymać. Gdy już stał u drzwi, dali znać królowi i król kazał mu odemnąć. Dostąpiwszy zaszczytu obecności, wielki wezyr usalaował podłogę i zaczął od modlitwy za trwałość pałogi i panowania. Otworzył usta i lał słowiczej słodkości pochwały.

Wiersze. Szahu! — Życie twoje niech mija po tysiącane lata. Świat szeroki pod opieką twoją niech przetrwa tysiące wieków, których rok każdy niech ma tysiąc miesięcy, każdy miesiąc tysiąc dni, każdy dzień tysiąc godzin, a każda godzina tysiąc lat! Mocarny, ozem się dzieje, że kwiaty i jagody lica twojego zrosiła woda różanna? Że gwiazdy rozproszył po powierz-

chci słucha? Tysiące oczu płaczą, od żalazy widoku twójego, ale ty czarnus podobny do deszczowej chmury. Jaką masz troskę? O bodajes ty! bez smutku. Czego ci mało? O bodajes plużył w obfitości.

Królu królów! Tęsknota twoja, da Bóg, w radość się obróci. Co jest powodem niedoli twojej?

Azade Becht znova zalaławy się łzami rzekł, Ojciec mój!

Wiersze. Jak rozweselić duszę strapioną? Jak władać własną wolą, gdy ją biada owładła? —

Jak tu nie trapić się, jak pazurami bólu nieroadzierać piersi rozszalonej, jak nie sypać popiołu pokutnika na nieszczęsną głowę moją, gdy oto już tyle czasu minęło, tyle się życia drogiego strwoniło na nic. Skarby wysypałem na utrzymanie wojska. Krwia i potem zdebyłem władzę nad państwami mojami. Wrogów starłem, zwyciężyłem. Nagromadziłem bogactw, pobudowałem miast tyle. I wszystko to dziś jutro porzucić oddać kto wie komu? Bo nie mam dziecięcia, nie mam następcy krwi mojej, co by prawie owładnął koroną i tronem moim i zasiał na królewskim dywanie meim. Lękam się aby to wszystko nie przyszło znów do rąk wrogów.

Roussen Raj usłyszawszy rzecz taką, z ust padyszaha, westchnął, a otworzywszy drzwi skarbcza klejnotów dobrej rady i pociechy, rzekł: Żyj długo a wróg twój nieszelnie i umiera patrząc na szczęście państw twoich! Marzenia twoje są to poszepty szatańskie, czarna niewdzięczność Bogu przynajświętszemu za dobrodziejstwa, któremi cię obdarzył. Ludzie mądrzy powiadają, że:

Wiersze: Dziękczynienie za łaskę skarbi nowe łaski, niewdzięczność wytrąca je z rąku.

Padyszaha! Niepamięć na otrzymane dobrodziejstwa i niewypłata długu powinnej wdzięczności allahowi, płami sławę człowieka. Nie czyni tak nie czyni, bo męzowie prawi nie czynią tego.

Nikt łapiąc od ciebie, królu, i dobroczyńco nasz nie wie że świat znikomy, i życie prędzej późnlej nas zdru-
dzą. Żeś nie miał dotąd syna, co by po tobie zasiadł na
tronie i nosił twój pientcień, misprzeto już traścić nadzie-
ję że go mieć nie będziesz. Nie truj zatem słodyczy
krótkiego życia.

Wierze. Parę dni żywota, te dwa dary boże, spożyj
jak gdyby były dniem jednym.

A jeżeli pragniesz mieć syna, Bóg miłosierny. Oczyść
i przygotuj serce do rozmowy z aniołami niebies. O pół-
nocy, na świtanie, wcześniej i późnlej wołaj do króla
królów, do Pana zastępów. Do spółki w modlitwie two-
jey wezwij wędziaków i słabych i biednych, domięszaj
im słuszość i sprawiedliwość; rozsyp hojne jałmużny
ubogim i derwiszom, niech i oni niosą prośbę twą
przed tron niebieskiego szafarza łask wszelakich, niech
się modlą na intencją, twoją. Więźniów i skazanych kaś
uwolnić, niech proszą Boga aby cię zachował zdrowo
i cało i dał ci syna dla przestania do potomności nacie-
nia rodu twójego.

Wierze. O świecie słowik, z wierzchołka wysokich
cyprysów, mówił: poglęwał łąki napełniły się kwiatami,
wiosnę i ty napełniaj puhan winem; rozkoszy dnia
dzisiejszego nie odkładaj do jutra; podczaszy, wina, hej
wina! Nikt nie wie o jutrze. Rozbłj namiot u stóp cy-
prysów, póki niebo pogoźne, póki rumiana róża, z pod
pęczka uśmiecha się, jak będańka z pod namiotu.

Temi i temu podobnemi przestregami, Wasyr, pan
mądrój rady, wymowny, ścierał powoli rdzę smutku ze
zwierciadła błogiej duszy Azade Bechta. A ten go chw-
li i pytał o zdrowie ministrów dworu i innych. Na co
Rouszen Raj, ucaławwszy podług służb powiniących pa-
na, odpowiedział: wszyscy oni zajęci modłami aby nam
niebo przedkazało opiekę błogiej władzy twojej, i aby
nakoniec przysłało im ów dzień pożądany w którymby

mogli nosować pył stopy twej i tym sposobem orzeźwić serca strapiione nieobecnością twą.

Padyszah rzekł: Da Bóg najświętszy, jutro, we dwie godziny po wachodzie słońca, zbiorę was wszystkich w posłuchalnej komnacie i przemówię stósownie.

Ronszen Raj, otworzył usta do nowych dzieł i pochwał i tym dwawierszem zapieczętował je:

Dopokąd świat stoi, trwaj na świecie, zdala od ciosów ręki zawistnego losu!

Otrzymawszy pozwolenie odejść, wrócił z dobrą wieścią, opowiedział wszystko swoim towarzyszem i kazał woźnemu powtórzyć ludowi po ulicach i bazarach. Po czem się rozeszli wszyscy do domów swoich. Azade Becht, przeprosiwszy majestat allaha, wrócił do dawną pogodę umysłu i otrząsł się z pyłu gryzących urojęk. Emirowie i wojskowi pośpieszyli zająć każdy swoje stanowisko, bo każdy poczuł że pan, podawnemu, łamał i wiązał wielki łańcuch sprawy narodowej.

Zajęty tak rzeczą powszechną, Padyszah zapomniał już był że beżdzienny, aż oto, pewnego dnia, przeczytał w książce że: jeżeli komu niedola, czy smutek czy ból, czy jaka bieda staną na wstręcie, niech się uda na mogilnik i za dusze zmarłych tam, odmówi pierwszą suratę koranu, wtedy uczuje żal, a skruszonemu sercu Bóg da pociechę i troska zniknie. Podobnie, ile razy kto rozraduje się i rozweseli nadbyt, bez widocznej przyczyny, niech idzie na mogilnik zbudować się przykładami działań i potęgi stwórcy życia i śmierci. Niech sobie przypomni że oto owi co dzisiaj już w grobach, zapewne pierwsi odemnie byli panami wielkości i szczęścia. Mieli i wiarę i skarby znikomego świata. Jak ty, może lepiej niż ty, żyli, użyli, cieszyli się i radowali, aż nakoniec musieli od tego wszystkiego wesela odwracać serca i nagromadzone dostatki zostawić wrogom swoim i po rozłące z drogim życiem złożyć głowę pod

piaskiem. Za pomocą takich rozmyślań, radość niewczesna, zdradliwe sidło szatana, zniknie. Albowiem wielu mądrocwie. powiedzieli że:

Wiersz. Na każdą weselszą piosnkę kurepatwy, jest dwieście szponów sokolich; z tyłu za każdym usmiechem, dwieście płaczków czyha.

Azade Becht poczuł chętkę odwiedzić mogiły prawowiernych nieboszczyków. Wszakże pomyślał sobie: jeżeli w dzień pójde na mogilnik, trzeba się będzie przeciskać przez tłumy wielbłądów i żołnierzy. Lepiej więc, gdy noc zgasi dzienne światło, będziesz mógł swobodniej i o-czywiściej przypatrzeć się śladem sprawy bożej, i palcem wyroku boskiego otworzyć węzeł trosk twoich. Więc cierpliwie doczekał się nocy, i kiedy już ludzie gotowali się do spoczynku, przebrał się w inne suknie, wziął garść *dinardów* (dukaty) i wyszedł z pałacu w stronę cmentarza miejskiego.

Wraz przy pierwszych grobach, odmówił wspomnianą modlitwę koranu. Prosił Boga o uwolnienie jeńców więzienia ziemi. Tak szedł dalej i dalej aż do końca mogił, gdzie, w kapliczce otwartej na cztery strony, ujrzał palącą się lampę. Pomyślał sobie: zapewne tam jakiś podróżny, nocuje myśląc o dalekiej ojczyźnie swojej. Lub jaki włócząga bez przytulku, albo może pobożny derwisz stroniący oczu natrętnych widzów. Któżkolwiek bądź, należy on do ludzi żyjących w Bogu, do świętych pańskich.

Aby się przekonać, podchodzi pod samą kaplicę. Na podłodze jej, na rozesłanych skórah tygrysiach, siedziało czterech ludzi, niby cztery ptaki o połamanych skrzydłach. Twarze widocznie smutne, cierpiące; łokcie rąk na kolanach, a czoła na ręku oparte; pogrążeni w morzu milczenia i rozmyślania. Na kamieniu grobowca pali się lampa, podobna do serca tulaczów co na cudzej ziemi płonie ogniem tęsknoty do strop ojczystych, rzucając

odblask przypomnienia na przyjaciół, na rodzinę zostawioną w odległym kraju. Wszakże pomimo smutku i niewygód napiętnowanych na licu każdego, z pierwszego wejrzenia widno że to męstwo nie lada, stary doświadczonem, i że wiele świata widzieli. Na widok ich padyszah przypomniał sobie ową gazel pety:

Wiersze. Zakątkiem Derwiszów jest sad rajski rozkoszny, na najwyższym piętrze niebios; najszlachetniejszą służbą, jest służyć derwiszem. Owego szczerzota cel tradów alchemika, nie znajdziesz jeno w metalu sodecznej rozmowy z derwiszami. Cel śączy królów, klejnot o który mocarze modlą się Bogu, widny w zwierciadle piękności derwiszów. Skarby Krezusa (*Karun*), o których bają poeci, nieistnieją rzeczywiście, jeno w szlachetnej dumie derwisza. Talisman rudów szczęścia, co go nabożniś szuka w celi pustelniczkiej, leży, na dnie wspaniałej duszy derwiszów.

Więc trzeba mi zalecić im służby moje pokorne. Proszę ich o westchnienie gorące, o modlitwę strzelistą. Może pod błogosławionym wpływem ich oddechu, nadzieje moje zamartwychwstają. Azade Becht już biegł z prośbą, gdy ujrzał że jeden z liczby tych czterech derwiszów, kichnąwszy, obudził się z marzenia i zaczął dziękować Bogu. Towarzysze jego odeszwali się: *Błogosław Boże *)*, za co im podziękował słowami: *Prowadź was Boże drogą prawą.* Jeden z derwiszów, powstawszy poprawił lampy i znowu usiadł na dawnym miejscu.

Azade Becht rzekł sam do siebie: W podobnej chwili ludzie się nie tają, owszem każdy się spowiada z najskrytszych myśli. Przysiadł więc pod ścianą zwracając ku nim ucho i oko, aby się przekonać jak czynią i co mówią.

*) Kichnięcie jest ostrzeżeniem o blasku niebezpieczeństwa, dla tego na wschodzie kto kichnął powinien modlić się i milczeć chwilę kilka.

Jeden z derwiszów zapytał: Bracia, błogosławmy tej, może jedynej, nocy co nas tu złączyła. Nas tu jest czterech. Każdy ogorzał pod innem niebem; każdy ucieka z ojczyzny ścigany różną, nielitościwego losu. Doznawszy tyle wycierpiawszy tyle jak waryat Medžnun, przebiegliśmy pustynie i góry, jak potok weszbrany, nie spoczęliśmy, nie zatrzymaliśmy nigdzie. Aż dzisiaj ledwie potykamy się tu i nie wiemy asali jutro, krążące nam nad głowami niebo *) jakiego figla wywinie? Jaką nam nową klęskę nadarzy obrzydliwa baba. Lepiej więc bądźcie, gdy korzystając z błogiej chwili, przepędzimy noc na opowiadaniu przygód swych. A jutro zobaczymy jaką nam barwą zaiskrzy się niebo

Derwiszowie inni zawołali jednym głosem: Bracie mądrześ nam doradził. Zaczniј od opowiadania własnych kolei. Tylkoż idź drogą szczerości i prawdy. W zakonie naszym kłamstwo jest zbrodnią.

DERWISZ PIERWSZY.

Wyzwany tak derwisz, z sercem ranionem, ale pełnem uczuć miłości i braterstwa, przysiadłszy na piętach swoich, zaczął płakać jak oknara włośnna nad niedolą serca swojego. Potem, istny słowik (papuga) jął miłą, wymową, opowiadać.

Wiersza. Drużbo droga kešana, potęża i zrodzona w miłości. Usta wasze wypłyły gorzyc cierpienia, pierś wasza tręcała o skałę niedoli. Głowa moja pełna barzli-

*) Persowie nazywają los rozmaicie: niebem, kołowrotom, starą wiedzą, złodziekiem etc. i rądz go przeklinają przypisując mu wszystkie biedy spadające na człowieka. Sądzę że to zabłytki zoroastrowych pojść o Ahrimana.

wych marzeń o jej czarnym warkoczu. Serce moje wrze, gore miłością dla niej. Strzała jej rzeźw utkwiała w duszy mojej. We dnie, w nocy, tarzam się we krwi mojej. Jakże wam opowiem dzieje rozłąki z kochanką, gdy oddalonemu od niej serce się pęka z bólu.

Bracia derwiszowie! — Ja, co tu dzisiaj w siermiędzo-zebraka przemawiam do was, jestem rodem z Jemenu. Ojciec mój, Chodża-Ahmed na imię, był kupcem. Miał dostatkem pieniędzy, sług wiele. Słynął wielkim rozumem i uczciwością. Kupey jemeńscy zasięgali rady jego w każdej ważniejszej sprawie i czynili co im powiadał. Jednego tylko miał syna, to jest mnie, i jedną córkę, którą jeszcze za życia swego, wydał za męża. Wedle zwyczaju ludzi bogatych odesłał ją z należytą wyprawą i wianem. W czternastym roku życia, mój ojciec przeniósł się do wieczności. Zbiegli się tłumnie sąsiedzi, krewni, przyjaciele, towarzyszyé ostatnim posługom, ciało umyto, zawinięto w śmiertelną koszulę, pogrzebiono sposobem najprzystojniejszym. Przez cały tydzień obchodziliśmy stypę po stracie rodzica. Po tém krewni moi i družba, każdy odziedziczył drogą swoją. Wtedy, zostawiony sobie, zacząłem czuć prawdziwie silnie śmierć ojca mego. Sam bez powiernika, siedziałem w kącie wielkiego pustego domu, jak na cudzynie. Drzwi radości i używania zamknąłem przed twarzą moją. Płakałem i ubolewałem samotny. Detąd albowiem nie miałem ani jednego przyjaciela.

Tak w płaczu i bólu minęło trzy dni. Gospodynicy, wilki w skórze baranka, na których niezbywało w mieście, przywykli karmić się cudzym obiadem, i nosić nie swoje suknie, usłyszawszy, że Chodża Ahmed umarł i zostawił młodego syna, chłopca bez doświadczenia, zazięrać zaczęli do mego domu. Odźwiernemu mówili: „chcemy widzieć panieza.“ Usłyszawszy to odpowiedziałem, że mogą wejść. Każdy przychodzący siedał po-

ważnie, z zasmuconą twarzą, płakał i tym sposobem spolił się i zająmiał ze mną. Po godzinie gry takiej zaczęli odzywać się z radami. Mówili, drogie paniečko :

Wieraz. Ktokolwiek na świat przybywa, musi na koniec odejść. Na wielki wieków nikt nie pozostał na świecie. Śmierć ojca i matki jest dziedzictwem naszym po ojcu Adamie.

Wieraz. Jeden tylko Stwórca wszechrzeczy żyje wiecznie. Płacz dla nikogo nie może korzystać.

Bóg ciebie niech zachowa przy życiu. Modlitwą dowiediesz duchowi ojca, żeś o nim nie zapomniiał a jałmużnami urządzasz go.

Bracia derwisze! Sądziłem, że ich mowy nie miały zguby mojej na celu, słuchałem ich słów i niepozwaląłem im odejść. Nakoniec wszyscy i każdy z nich, ta lub ową zdradą i ponętami oszukali mię. Aż nareszcie tak mię przyzwyczaili do zabaw i nieprawych rozrywek że na chwilę nie był przy moim rozumie. Ciągłe wędrówki i sehadaki po sadach i łąkach, w towarzystwie wdziękń różolicey i kwitnącej młodzieży. Wesoły pijany tarzając się po kwiatkach, przysłuchiwałem się harmonijnej muzyce i śpiewom artystów i artystek. Tak przez długie trzy lata trwonilem życie i majątek. Zostawione mi przez ojca 40,000 tumanow *) poszły na korzyść bliższych i dalszych przyjaciół. Ostatek sładzy moi i domowi rozkradli; każdy z nich brał ile chciał i uciekał bez powrotu.

Po trzech latach, straciwszy wszystko co miałem, przyszło do tego, że z odzieży, pozostał o jednym płaszczu na grzbiecie, i jedynę czapkę na głowie a i na to trzeba było poszukać kupca, aby się obronić od głodu. Dobrze to Szejh Seadi powiedział że :

*) Fr. 180,000.

Wieraz. Głupiec, co w dzień jasny stawia jarzące świece, skończy na tym, że w nocy nie będzie miał oleju do lampy.

Koniec końców, trzy doby przesiedziałem w kącie meczetu nieśmiejąc twarzy pokazać ludziom. Na czwartego dzień niestało mi cierpliwości. Wojsko głodu wtargnęło zbrojnie w warownię wstrząsliwości mojej i zniszczyło węgielny kamień cierpliwości filozofii mojej. Wyszędlszy z meczetu, z razu sam nie wiedziałem co tu począć, gdzie się udać? Wpadłem na myśl zejść do domu siostry mojej.

O darwiszowie! Podziśnien płonę od wstydu. Gdy przedtem jeszcze tylekroć razy, siostra przysyłała do mnie, błagając: bracie mój, po ojcu i matce tyś mi tylko pozostał w jedyną pamiątkę po nich. Chocę widzieć ciebie. A ty całe życie, ty dni i noce twoje z kochanką i szklanką przepędzasz. Nigdy nie jesteś sam jeden, abym do ciebie przysła. Jakaby radość, gdybyś choć raz kiedyś zaczął nas odwiedzić i biedną siostrę twoją przytulić, osuszyć oczy sieroty splakane po stracie ojca.

Wieraz. Przyjść pożądany oczom moim, pragnę ciebie. Złutuj się, rozłąka z tobą męczy mię i trapi.

Mnie wcale co innego śpiewały bajaderki moje, ani im chciało pomyśleć, że mam siostrę. A teraz oto niktakomnie, licha zebrała zapukałem do drzwi jej. Jak tylko usłyszała imię moje, wybiegła do mnie i od pierwszego rzutu oka zgadła wszystko. Z jękiem rozpaczony rozrywając szaty na sobie, darła twarz, biła w piersi, targając warkocze swoje. I ja rzewnie zacząłem płakać. Dobra siostra rzuciła mi się na szyję całując i ciesząc. Pomieściła mię w najlepszej izbie domu. Przyniosła jeść, odziała mię w nowe suknie.

Tak kilka dni gościłem u niej. Rozsądna, dobra, wśród rozmowy pewnego wieczora, rzekła mi: Bracie kochany

wiem że mężczyźni nie lubią siedzieć w domu bezczynnie. Ja radabym duszę moją podzielić się z tobą. Wiem że potem co cię w tym mieście spotkało, nie miło ci mieszkać tu. Więc oddał się na czas jakiś. Podróżuj, skosztuj ochłodu i ciepła, doli i niedoli losów. Niedobry przyjaciele prędko zapomną ciebie, poszukają nowych znajomości i znajdą bogatszych od nas, wszystko pójdzie w niepamięć. A kiedy wrócisz, Bóg miłosierny następnym tobie zatrudnienie i znowu zasłużysz na dobre imię. Podróże kupca bogacą. Ludzie widząc, że przyjeżdżasz z zagranicy, pomyślą, sobie żeś dorobił się majątku, a teraz zową ciebie prótniakiem i marnotrawnikiem. „Ależ skąd pieniądze na drogę?” zapytałem.

W odpowiedzi dobyła natychmiast kieszkę z 50 złotych tumanów i położywszy ją przedemną, rzekła: drogi bracie, mogłabym dać i więcej, ale się lękam że strwonisz. Na teraz dosyć, a gdybyś nie umiał przestać na tam, to wierz mi, że i 40,000 tumanów ci niewystarczy. Właśnie słyszałam dzisiaj, że wielu kupców wyjeżdża do Syrii (Damaszku). Kup sobie za te pieniądze tutejszych towarów, poufaj je jakiemu uczciwemu Mekkari *), dla oddania w Syrii, dokąd i sam za karawaną pośpieszysz.

Podobała mi się rada siostry. Nazajutrz zająłem się przygotowaniami do podróży. W przeciągu tygodnia, nakupiłem towarów i dopytałem się Mekkarego, człowieka nieposzlakowanej wziętości, a po odjeździe karawany pośpieszyłem, wślaz za nią. Ale nim to nastąpiło, siostra moja co wieczór zasilala mię zdrowemi radami, i ja sam mądry doświadczeniem, suzerze brzydniałem się dawnym trybem życia i spółrospustnikom

*) Mekkari właściciel wielbłądów kupieckiej karawany, enteprenor. Mieszkające Azji średniej nazywają Mekkarié targi coroczne w miastym Nowogrodzie.

mojemi. Jedytnastego dnia, siostra darowała mi konia z rżędem, zapasy na drogę, nowy zasilek, pieniężny na drobne wydatki i parę sakien. Pożegnawszy ją, jeden puściłem się w drogę.

W drodze nie godnego uwagi niezdarzyło się. Dojeżdżając już, o pięć ferszechów od Damaszku, znudzonemu długą jazdą i niewczasami, zachciało mi się skrócić je co najprzód i dostać się już do miasta. Pomyślałem sobie, nie zatrzymam się na tym ostatnim niedługu, ale chłodem nocy pojedę dalej i odpocznę w Damaszku. Koń dobry niesł mię prędko, o północy przybyłem przed wrota miejskie, pozamykane jeszcze i puste. Była to noc,

Wiersee. Blaskiem pełni księżycowej jasna jak dzień biały i ozdobiona rżęniejącemi lampami gwiazd! Noc z obliczem umytém różanną wodą poranka, czysta jak zwierciadło skłonica porankowego. Miła oczom jak ozdoby wdzięków kochanki, darząca radością jak marzenia zakochanego. Z czołem weselszém niż uścisk pijanych miłością i rozkoszniejszą od przechadzki w kwietnikach wiosny. Kiedy bez trudn najemników, Architekt Pański budował noc, utaiścił zamiast gliny, piżmo i czystą kamforę, ekropiwszy je rosą ziół wonnych, łzami kwiatów wieczornych. Gliną tą wytynkował sufit świata. Polewał je wonią fiołków, niby dach namiotu oblubienicy, zrosił różanną wodą, niby łóżce panay młodej. Aż narzbyt jaśniały blaskiem niebieskiego świata Architekt je przysłonił cieniem dywanu tkanego z księżycowych promieni. I wszechświat promienił się, na ziemi kwiatami, na widnokręgu lampami gwiazd. Powistrze eufratowe, i kwiaty uperłone srebrem księżycy, ścięrały z oczu ludzi makowy balsam snu. Świeże oddech y wody wiatr niesie po oświetlonej fali. Precz smutku i niedolo, dzisiaj noc powiła szczęście! —

Pod wpływem takiej nocy, siedząc nad brzegiem rowu opasującego wały miejskie przypatrywałem się ich wieżom i strzelnicom i ścianom niebotycznym, urągającym czasowi i przeznaczeniu.

Wieraz. Nad kamieniami sterczały kamienia, bodąc hardemi rogami w niebo.

W tём patrzę aż oto ktoś stanąwszy na wierzchołku jednej wieży, spuszcza na powrozie jakąś akryznię, która jak tylko stanęła na ziemi, i on sam zszedł na dół i zniknął. Pomyślałem sobie: zapewne musi to być herszt łotrów. Okradłszy skarbiec pański, albo sklep kupca, złożył swój obłow u wrót miasta i teraz szuka towarzysza aby pomógł mu do dzwigania ciężaru.

Mija godzina on nie pokazuje się. Przyszło mi na myśl: korzystaj z chwili i bierz co ci los nastreczył! Bóg miłosierny, znów ci daje dostatki bez trudu i starania; więc dalejże matkę i rolę o szczęśliwej przyszłości. Chcuć i łakomstwo zarażęły mi duszę i uległem zdradliwej pokusie. Dobre to powiedziano że:

Wieraz. Krew wypijesz, gdy pragniesz chleba cudzego. Rany moje są sprawą namiętności moich. Trudy moje owocem potędlivosti mojej. Chcuć jest sidłem najdziałniejszych ludzi; chcuć przyczyną tysięcy boleści. Biada sercu nikczemnika, próżne i pokurozone w węzły jak trzcina. Błogo mężowi sercu, który mężnie skruszywszy łańcuch żądz, wybije się na swobodę, wolę trosk i trudów. Gdy niechcesz mieć twarzy szółki, wyszuj się raz narazem z chuci nieczystych. Niezdradź rozpustnikom ich nieganych rozkoszy, ani na odlepiej rącej się na pastwę rozpacz. Jeśli masz w głowie odrobinę rozumku, to rady medrów pokręć nahełn swoją. Żadaj, starzej przed czasem i szółkną twarz. Jeżeliś mąż, urwij leń hydrze potędlivosti. Przestań na swojej i bądź panem siebie, abyś nie runął w przepaść zguby.

Ale, o bracia derwisze, pono że przed wiekami pióro przeznaczenia napisało *biada* na karcie losów moich!— A gdzież śmiertelny co się zdołał oprzeć wyrokowi zrządzeń Bożych?

Wiersz. Gdy przeznaczenie z łuku swojego wypuści strzałę na kogo, nie nadaje mu tarcza rozumu. Przeznaczenie jest ręką o czterech palcach. Zapragnie-li twojej zguby? dwa palce połóży ci na oczach, dwa do uszu; jeden na usta i powieć milez!

Ah tak jest, tak niestety; pohnięty mojem przeznaczeniem i moją żądzą bogactw świata, przechodzę przez most rowu i ostrożnie, ukradkiem zbliżam się do skrzyni. Strach mię ogarnął na myśl, że może gdzie w pobliżu jaki opryszek czatuje. Więc rzeżko a żwawo, chwytam na plecy skrzynię i modląc się ustami a zysku pragnąc duszą, uciekam co sił do zwalisk jakiejs starój budowy, sterczących zdala od drogi karawan. Otwieram skrzynię, patrzę i cóż?

Wiersz. Ujrzałem cyprys (t. j. młodą i piękną kobietę) zbaczony krwią, błotem skalany. Albo pawia krasnopiórego z poderzniętą szyją.

Widok ten okropny tyle mię przeraził, że wodze rozsądku z rąk mi wypadły. O niedaj mi Boże nigdy nie podobnego ujrzeć!

Wiersz. Śliczna dziewczeczka, z twarzą jak księżyc. Warkocz jój jak piżmo czarne.

Kibić jój niby dusza świata, czy świat duszy. Pierś, cudo piękności, ranione żelazem. Dwie plecionki trefionego starannie warkoeza, zmoczone we krwi. Na twarzy, tylko co przygaszony rumieniec, niknął pod szafanową bladością śmierci. Oczy, tylko co przedstawy patrzeć na kwiaty świata, przysłonię powieką. Sądziłem, że przed chwilą skonała.

O bracia derwisze! kto inny uciekłby przerażony po-

debnem zjawiskiem. Ja niemogłem oderwać się od widoku takich włosów, takiej twarzy.

Wiersz. Zniknąłem przed jej twarzą, jak tęcza przed słońcem. W sercu mojem jak w jej warkoczu, nieład i wichler.

Zdumiony nadludzką, krasą, tej gwiazdy sfer piękności i szczęścia, nie mogłem pojąć czemu i zkad ją tak smutny koniec spotkał? — Przeklinałem, z całej duszy okrutną rękę i kamienne serce co się targnęły na złamanie życia tego cyprysu pieszczot i wdzięków. Równomi łzami zalewałem się. Aż oto, nagle wdziękini moja przebudziła się z omdlenia, usłyszawszy żale i skargi moje podniosła głos: Kochanku niewierny! tyranie bez litości! okrutniku! Więc tak mi odpłacasz miłość moją i dobrodziejstwa moje? Rzuciłeś na wiatr sławę i imię moje. Zabójco zapomniawszy wszystkiego dobra com uczyniła tobie. W zaczątku i młodości mojej zgasiłeś pochodnię życia mego.

Wiersz. Skalałeś niepokalaną, dotąd cześć moję. Nikczemniku, spojrz przypomnij, kto ty, a kto ja?

Prawdę powiedzieli mędrkowie że:

Wiersz. Gdyby nawet deszcz padał wodą życia, nigdy wierzbową gałąź nie da ci owocu na pokarm.

Osyp dobrodziejstwami złoćnika, a pewno złem ci wywdzięczy się, trucizną ciebie napoi. Stósownie do przyśłowia:

Wiersz. Niecnocie łaskę wyświadczyć, jest tyleż niesprawiedliwie, jak karać cnotliwych.

O Derwiszowie! zdumiony, zdziwiony, uderzony i jej nadludzką pięknoscią, i jej skargami brzęącemi słodko, postradałem ostatek rozsądku i przytomność umysłu mego. Odpowiedziały jej najprzód oczy moje łez wylewem, a potem usta moje: Bodajem oślepił raczej, niż patrzeć na te męki twoje! — Bodaj mi rękę ucięto pierwój, niż-

bym ją podniósł na ciebie! Niechaj mi serce pęknie w chwili pomysłu przeciwnego woli twojej!

Tu pani moja podniosła głowę, i zdziwiona widokiem nieznanym sobie osoby, spytała:

Kto ty? Dlaczegoś tak zdumiony? Skąd ci przyeszło zapłakać nad nieszczęściem moją?...

Rzekłem: o daj mi Bóże umrzeć za ciebie.

Wierzę. Ja eunuchozioimec, sierota, bez przyjaciół i bez potęgi. Jeniec piękności twojej, tonący w morzu zadziwienia. Ostatni skarb mój, serce, już nie do mnie należy; ty jego pania, ja samotny jak rozbit na wzburzonej morzu.

Krótko mówiąc! Ja arab, rodem z Jemenn; ale ty powiedz mi, jakiego gaju jesteś cyprysem? jakiej błędnicy świecą? Gdzie i kto ten morderca, co zapomniawszy na Boga, śmiał zbrodniczą rękę podnieść na ciebie?...

Westchnąwszy z głębi serca, zaczęła tak mówić:

Wierzę. Serce moje tak przepełnione boleścią, że gdybym rękę od oczu odjęła, łzy moje aż na kolana lną. Nie powiem ci bólu serca mojego. Lękam się, że nie znajdziesz lekarstwa na chorobę moją.

Młodzieńcze, pogrzeb mię pod temi zwaliskami. Zapomnij, żeś kiedykolwiek mię widział. Nigdzie nikomu o mnie nie wspominaj. Zmyj z karty pamięci twojej obraz mojej postaci. — Dobij mię i pomóż mi prędkiej skonać, a Bóg tobie nagrodzi.

To powiedziawszy, znova omłala. Nie wiedziałem co począć i jak sobie dać rady. To rozum wskazywał mi drogę nacierzki, to miłość kępowała mi nogi. Na koniec rzekłem sobie w sercu: dopóki własną mienąłożysz głowę, dopóty imienia twego nie zapiszą w księdze prawdziwych kochanków.

Wierzę. Stąpaj siłą a twardą nogą po szlaku miłości, jeżeliś prawy a nie namiętny tylko.

A że Sultán miłości zdobył już twierdzę serca mego, postanowiłem sobie bądź co bądź, zanieść wdzięki nie do miasta, i postarać się o jej wyzdrowienie. Kto wie, może Bóg mi pomoże wrócić ją do życia, i tym sposobem pokój darować sercu mojemu. Wiele z wielką i ostrożnie, przekonawszy się że jeszcze oddycha, czekałem aż dzień zabłyśnie. Dzięki Bogu zaczęło świtać. Otwarto bramę miasta. Ujrzałem wieśniaków jadących na targ, i tłum miejski zaczął się szerzyć i zwiększać. Z wielką trudnością, przywiązawszy skrzynię na siedła konia mego, przesiedziałem resztę świtania w zwaliskach, a kiedy się rozwidniało, wjechałem do miasta. Tylko że nie wiedział dokąd obrócić kroki i gdzie sobie znaleźć mieszkanie.

Nakoniec tożnienie poranku oblało ziemię promieniami słońca. Lękałem się oczu ludzkich, aby nie dopatrzyły mojej tajemnicy. Los mię doprowadził do bazaru. Z serca posłałem gorącą modlitwę ku Bogu, kryjącemu ukłonności nasze, i natychmiast z prawej strony, ujrzałem karawanseraj. Drzwi jego otworzyły się przedemną. Uradowałem się bardzo. Zawoławszy serajdara, *) kazałem sobie dać pokój osobny i zaniósłem tam skrzynię. Wcisnąłem garść złota w dłoń serajdara i poleciłem dopatrywać konia mego, a sam zszedł do mego pokoiku. Oznaki życia jej nie znikły, owszem coraz lepszymi nadziejami ucieszony, dobyłem ją ze skrzyni i złożyłem na dywan; potem, zamknawszy drzwi za sobą, wybiegłem z karawanseraju dopytać się lekarza.

Szczęściem szukałem nie długo. Lekarz siedział w kramie swoim, twarz miał uczciwą i poważną. Przy nim kilku młodzieńców, jego uczniowie, zajęci byli przygotowaniem leków, plastrów, ziół etc. Wchodząc, witam grzecznie. Lekarz uczciwie odkloniwszy się, za-

*) *Serajdar* gospodarz karawanseraju,

pytał: Czém ci mogę służyć dziecko moje?— Rzekłem: mam w domu osobę ranioną, nie mogę tu jój przyprowadzić. Racz dobry panie pofatygować się do nas i opatrzyć jój rany. Nie zaniecham hojnie i przyzwolicie nagrodzić trud łaskawy.

Zgodził się odrazu. Przychodzimy. Około godziny, bardzo zdziwiony i zamyślony, egzaminował ranę, słuchał uderzeń pulsu. Nareszcie nagle się odwrócił, i tak mię trzasnął w policzek, że póki żyję, nie zapomnę jak mi smakował; aż w sercu mi zabolalo. Pierwszą myślą moją było, że poznał moją pięknicę i dla tego mię uderzył. Już, pomyślałem, wszystko stracone, i przygotowałem się na najgorsze.

Lekarz zawołał: tyranie, kamienne serce, jak śmiałeś tę różę piękności tak okropnie sponiewierać? W odpowiedź, pocałowałem go w rękę prawą i lewą, ująłem koniec poły jego, i z boleścią rzekłem: Doktorze, Bóg mi świadkiem, żem nie winien tój zbrodni, ani ran tych. Owszem, cierpię więcej niż ktokolwiek. Ta nieszczęśliwa jest siostrą moją, urodziła się w Jemenie. Nasi ojciec, matka i krewni, jechali z nami na pielgrzymkę do Jeruzalem. Na pustyni, śród nocy, rozbójnicy nas opadli. Większą część pielgrzymów zabili, trupy z odciętemi głowami muszą jeszcze tam leżeć bez pogrzebu. Co do mnie, uniosłem złęknioną duszę moją, dzięki raczości konia.

Wiersz. Ucieczka w chwili niebezpieczeństwa grożącego duszy, lepsza od nierozsądnej bohaterów zuchwałości.

Zbójce znuzeni mordami i łupieżą, zebrali nagromadzoną zdobycz i odjechali. Wtedy ze zbolalém sercem i ledwie żywy od strachu, wróciłem na pobojowisko. Ach co za widok! Wszyscy krewni moi pomordowani, na ziemi zbrozconej krwią ich, bez tchu, bez życia, rzućeni na pastwę orłom pustyni. Tak zostawszy sam

jeden, usłyszałem jęk na stronie. Przybiegam, i pomiędzy trupami widzę siostrę własną. Oddychała jeszcze. Złożyłem głowę jej na kolanach moich, oblewając łzami, aż, dzięki Bogu otworzyła oczy i przemówiła:

Wiersz. Pomóż mi, to czas pomocy, nie czas narzekania i żalu.

Przekonawszy się że ona tylko żyje z liczby innych krewnych i towarzyszy pielgrzymki, a przytém widząc próżną skrzynię, ułożyłem w nią siostrę moję, i oczuwając aż do świtu, dopadłem nareszcie wrót Damaszku. Teraz jedyna moja nadzieja w tobie. Pomóż mi do zachowania tej pamiątki po rodzicach naszych!

Czcigodny starzec uwierzył kłamstwu, rzekł: Dziecko moje! ktokolwiek się poważy jej dotknąć, krew jej spadnie na głowę jego, odpowiedź Bogu i ludziom. Ja nie mogę jej leczyć bez zezwolenia rządcy Damaszku. To powiedziawszy odszedł.

Zamyślony i roztargniony siedziałem przy niej, całując ręce i nogi najdroższej, oblewając je łzami. Zniecierpliwiony, znowu wyszedłem szukać pomocy, w nadziei że znajdę innego chirurga co się ulituje i opatrzy jej rany, bez rozkazu i pozwolenia rządcy. Ale załedwiem wyszedł, wnet usłyszałem gwar radośny, dzwonki wielbłądów i głos wielbłądników. Pierwszą spotkaną osobą, był ów mekkari, któremu zwierzyłem towary moje.

Bracia Derwisze! Ponieważ nie miałem czego od ludzi spodziewać się, i nikt mię nie chciał ratować, Bóg przynajświętszy rozwiązał trudności i przybył mi w pomoc.

Wiersz. Dobrze wieści, o serce, Messyas leczący technieniem, przyszedł, *) z jego ust błogosławionych technie zapach braterstwa.

*) *Hasich meyas* t.j. Chrystus, który technieniem swoim wracał umarłych do życia..

Jak tylko mię ujrzał, nazwał mię po imieniu, i spytał, gdzie twój magazyn? Wskazałem drzwi mego pokoiku i poszedłem szukać mego doktora, ciesząc się i spiesząc. Wehodge do jego sklepu, pokazuje mi rejestr tylko co przywiezionych towarów moich i mówię: mężu prawowierny, oto ile mam wyrobów jemeńskich. Wszystko ci oddane i natychmiast, pod warunkiem, że zapłacisz wielbłądników za przewóz i bez dalszej zwłoki zajmiesz się leczeniem chorój, dopóki oddycha. Lekarz zabrawszy z sobą potrzebne leki i narzędzia, przyszedł do karawanseraju. Widok towarów przed moimi drzwiami, wzbudził w nim zaufanie. Kazał sobie dać rądel. Nagrzał wody. Starannie obmył ciało i krew leżącą bez ruchu, oczyścił piasek, rany jedne zaszył, drugie obwinał, inne plastrami zalepił i rzekł:

Ja tu będę przychodził dwa razy na dzień, dla opatrzenia i odmiany plastrów. Ty nad nią, czuwać dzień i noc aby spokojnie leżała. Nie pozwalaj jej wstawać ani się ruszać, aby szwu rany nie rozserwała. Za napój dasz jej kiedy niekiedy wody kwiatów wierzbowych. *) Broń cię Boże nie zapomnij tych przestróg na chwilę, a czuwać!

To powiedziawszy, odszedł. Ja siedziałem jak przykuty do poduszki. Dzień i noc opasany troskliwością pasem, dozierałem chorój: kochanki oczyma serca i duszy. Sen mię odbiegał, nie skłaniałem głowy, jeno ażeby czasem zapłakać nad cierpieniami jej i ułżyć sobie samemu, i łzami ochłodzić ogień palący pierś moją. Ilekroć to modlitw posłałem przed tron Niebieskiego Lekarza: bólów i kalectw ludzkości! Wierny obietnicy swojej, doktor dwa razy na dzień przychodził i odświeżał pla-

*) Woda kwiatów wierzbowych *arabi biddi*szek, ulubiony napój Persów, który otrzymują z kwiatów wierzby pędzonych na alembik, jak woda różana.

stry na srebrném ciełe jęj. Po dziesięciu dniach, zaczęłam wierzyć w możność jęj wyzdrowienia. Słabość zmniejszała się, siły wracały, tak, że dnia dwudziestego większa część ran zagoiła się. Odtąd co dzień szło lepiej. Mój aniołek widocznie rzeźwił i piękniał, a moje bledne serce silniej i silniej doń lgnęło, tak że z jednej miłości zrobiło się ich tysiąc. Do tego stopnia iż co chwila chciałem, jak ów zakochany Medžnun, rozedrzeć szaty na sobie i biedz w góry i pastynie.

Ona, księżyc niebios doskonałości, widząc jak starannie czuwam nad nią, jak jęj służę i żem roztargniony, zrazu sądziła że nie mam czém zapłacić wydatków spowodowanych jęj chorobą. Łaskawie raczyła uśmiechnąć się i rzekła:

„Mój drogi przyjacielu, nie łam sobie głowy nad sposobami zapłacenia długu naszego. Daj mi pióro, kałamarz i trochę papieru.“ — Płacząc z radości i jak zawzrostargniony, pobiegłem zadosyć uczynić jęj życzeniu. Papier i resztę przyniosłem i położyłem przy niej na ziemi. Napisała bilecik, i oddając mi rzekła:

„Na placu gdzie się krzyżują cztery główne ulice miasta, znajdziesz sklep jubilera. Zobaczysz tam kupca takiej a takiej postaci. Oddaj mu tę kartkę, weź co ci da i przynieś tu.“

Zajęty mojem i strapieniami, ani zająrzałem co tam napisała, tylko pobiegłem oddać kartkę wedle adresu. Kupiec, jak tylko spojrział na pismo, pocałował je, przytulił do oczu i wzięwszy mię z szacunkiem pod rękę, poprowadził do domu swujego. Gdysmy weszli do wspólnalęj sali, posadził mię naprzeciw drzwi, *) a sam poszedł do pokojów haremu swego. Po godzinie wrócił, za nim szedł służący niósł półmisek z nakrywką w poszewce złotolitej. Jubiler, wyrazami człowieka dobrze

*) To jest na najczystszytniejszóm miejscu.

wychowanego, zaczął od przeprosin, że tak długo czekałem. Potém rzekł słudze: „idź za tym młodzieńcem, a wrócisz, skąd każe wrócić.“

Sądząc że w półmisku była jakaś potrawa, bardzom się zafrasował i z niesmakiem pomyślałem sobie: otóż udało ci się, z deszczu pod rynnę, złowrogi los twój i nieprzyjazna gwiazda pod którąś się urodził, każe ci żebrać o łyżkę strawy u ludzi nikczemnych. Łajałem tedy i kłałem los mój czarny, prozą i wierszem:

Wiersz. Wróg losu mojego poniewiera mną i pomiata. Niebo, czego ty jeszcze więcej chcesz odemnie? Albo dywan ziemi wyciągnij z pod nóg moich, albo krąg niebios zrzuć na głowę moją!

Przyszędłszy do karawanseraju, kazałem słudze: postaw to przede drzwiami magazynu mojego i odejdz. Otarłem z łez oczy i zagniewany chwyciłem półmisek aby go wnieść do izby. Bardzo mi ciężył na ręku więc się dziwiłem myśląc coby to takiego było?

Przyniosłem tedy i postawiłem przed moją wdziękinią. Mile mi podziękowała i patrząc na zawinięcie rzekła: „Otwórz, zobaczę co też ten nie dobrego łotr mi tu przysłał?“ Grzeczne jej obejście się ze mną i nie grzeczne *nie dobrego łotr*, zdziwiło mię. Otworzywszy poszewkę, ujrzałem głęboki półmisek z nakrywką ulaną ze srebra. Podjąłem nakrywkę i zewsząd posypały się na poszewkę denary złote i srebrne. Zdumiony pomyślałem: musi ona należeć do jakiejś bogatej rodziny. Jubiler nie dałby inaczej tyle złota i srebra, na jeden świstek papieru bez pieczęci i podpisu. Co dziwniejsza, iż ani mię zapytała o zdrowie jego i mnie dziękuje a jego łaje.

Wdziękini moja powtórnie a jeszcze grubiej polajawszy dobrego i grzecznego jubilera, rzekła mi:

„Weź to na drobne wdatki twoje. Przestań się trapić i bądź weselszy. *...cała ja ze swoim wszystko co*

miałeś dla uratowania życia mojego. Do dnia zmartwychwstania będę ci wdzięczną za to coś dla mnie uczynił. Odsłużę tobie jeśli dożyję, i jeżeli Bóg raczy oddalić godzinę zgonu mojego, hojnie zapłacę dobrém za dobro.“

Rzuciłem się jęj do nóg, korząc i dziękując.

Wiersz. Panie Boże, oddał od niej złe przygody świata; ja tylko pragnę spoczywać pod cieniem łask twoich, nie więcej.

Rzekła: weź te pieniądze, kup rzeczy dobrych do jedzenia a przynieś prędkiej, bom już głodna. Kupiłem więc i przyniosłem owoców, chleba i pieczywa. Jedliśmy razem. Potém rzekła, nazywając mię po imieniu: chcę ażebyś przez dni kilka stósował się we wszystkiém do woli mojej i nie robił nic przeciwnego temu co ci powiem.

Rzekłem:

Wiersz. Wszystko co powiesz, wszystko co rozkażesz, spełnię ochoczo, boś ty Pani moja.

Rzekła: „natychmiast idź do bazaru i kup sobie parę sukien przyzwoitych ludziom dostatnim.“ Postrzegłszy że zamyśliłem się, dodała: „mówiłam ci, żebyś mię słuchał we wszystkiém co ci powiem. Jeżeli nadal podobnie będzie, to bardzo się na ciebie urażę.“ Trudno było zaprzeczyć. Wszystko to mówiła tonem takiej przyjaźni, takiej szczerości i takiej prawdy, że chętnie poddałem się jęj rokazom i przyjąłem dobrowolnie służbę. Więc skoczywszy z miejsca, po chwili wracałem już z kompletną garderobą. Chciała wszystkiemu sama się przypatrzeć. Co bogatszego odłożyła osobno, co średniego, kazała mi natychmiast pójść odmienić. Tak posyłała mię kilkakroć raz po raz na bazar, aż wszystkie stroje wybrałem wedle jęj upodobania.

Potém, na rozkaz téj jedynej na świecie, poszedłszy do wanny, odziałem się w nowe suknie. Jak tylko

wróciłem, otworzyła ramiona, pocałowała mię w czoło, przytuliła do piersi i posadziła przy sobie. Od zbytku radości płakałem jak dziecko. Ona, rękawem łaski ocierała mi łzy z jagód.

O derwiszowie, jedyną chwilą najwyższej rokoszy w mém życiu, była owa chwila. Tyle mi lubości świadczyła, że straciwszy sereę i wiarę, chciałem umrzeć u nóg jęj, zmienić się w ziemię po której ona stapała. Potém mi rzekła:

Słuchaj, trzeba ażebyś przez kilka dni chodził do kawiarni, dla zaznajomienia się tam z architektami. Powiedz im, że chcesz kupić sobie ogród i dom przyzwoity. Jak ci to znajdą i pokażą, gdy zobaczysz i upodobaasz, powiedz im niech ci odrysują plan wszystkiego. Przyniesiesz tu, chcę sama zobaczyć. Nie możemy na zawsze pozostać w karawanseraju.

Rzekłem jęj: prawdę mówisz. Z duszy i serca wypełnię rozkazy twoje.

Potém co rano, niechętnie odchodziłem od nięj. Przez cały miesiąc uczęszczałem domy zajezdne derwiszów, to jest kawiarnie. Nudziłem się tam okropnie, bo zanim trzeba było powrócić do mojęj rozlicznej, zdawało się że długi rok mijał. Aż nakoniec jakiś pan sprzedawał pałac swój. Pieszczotka moja podobała plan, kupiłem za 1,000 tumanów. Potém słoneczko moje chciało mieć zasłonę. Kupiłem i przyniosłem. Cyprys kibici osłoniwszy zasłoną, zdawała mi się być świecą w napół przejrystej latarni.

Z rozkazu jęj dawszy garść złota odźwiernemu karawanseraju, poleciłem mu przenieść ubogie meble moje do owego pałacu. Ona też tam przybyła niebawem. Obeszła go do koła przezierając wszystkie szczegóły budowy i wążąc je na szali rozsądku. Wybrawszy sobie pokój, usłała go dywanami, i siadłszy rzekła mi:

Mój drogi, i ja też muszę przyzwoicić się odziać.

Rzekłem: prawdę mówisz, i chciałem już iść do bazaru kupić dla niej suknie.

Rzekła: udaj się do *kajserii*, *) znajdziesz tam sklepy futer i tandetników królewskich. Kup mi suknie ksiątece, tam i łatwiej i lepiej i prędzej uszyją i przygotowują.

Rzekłem:

Wierz. Jak odzież ziemskiego świata może być godną kibici twój? Chyba że ci sukienki tkane z promieni, przyniosę z raju.

Wszakże usługam z duszy, i pójdę wszędzie gdzie roszkasz. Rzd z siebie i ze wszystkich, pobiegłem do królewskich sklepów, znajomych pod imieniem *caşarale* (*kajserie*). W środku ujrzałem tam sklep ogromny, na suficie złota i lazuru obfitość i także na ścianach. Pod wspaniałymi galeryami, wisiały jedwabie i futna, sobole, kuny, gronostaje, złotogłówn, bławaty, atlas, meirée, liay morskie (*sybirskie*) i mnóstwo innych drogich towarów piętrzących się jedno nad drugim. W kącie sklepu młodzieniec lat 22, z twarzą jak słońce z włosami barwy i zapachu piśma. Rzekłbyś więc kwiatów. Na rumianych wianach jagodach, tylko co wyypasany paszek młodości kreślił posadę dla przyszłej brody i wąsów. Ślicznie ubrany, siedział na dywanie namiętności, opierając się na poduszkę tkaną złotem. Śladzy chędogo odziani, gnoy, chłoczcy, muryjni, każdy opasany galonem, zwracał oczy i uszy ku młodzieńcowi.

Wierza. Szczęśliwi śladzy których służbę on przyjął. Błogo tym co mogą z duszy, z serca poddać się takiemu panu. Mądry którym się nie całować nogę jego i wesoło otoczy go pochlebnym gromem.

Nakarmiwszy oczy moje widokiem jego wdzięku i dostatków, zadumiony powaga młodzieńca odwróciłem się

*) *Kajserie* nzwie się najpiękniejsza część sklepów, zwykle pośrodku karawaneraju, gdzie są sklepy najbogatszych kupców miasta.

uczciwie. Pokłon mój oddał mi pokłonem i wskazał na krzesło mahoniowe. Siadłem i milczałem nie mając odwagi otworzyć ust. Młodzieniec gościnnie i bardzo łaskawie zaczął sypać wyrazami dziwnej słodyczy. Zaczął od pytania o mojem zdrowiu jak gdybyśmy się już od dawnych lat znali i kochali z sobą. Po grzecznostkach rzekł: czém każesz sobie usłużyć, mów bracie? Rzekłem: Mam *tajemnicę zakrytą* *), dla której chciałbym tu kupić suknie.

Skinął i natychmiast rzetko, żwawo, służący pobiegli otworzyć wiele zawinięć i kartonów. Nieśli mi próbki rozmaitych materyj droższych tańszych i średnich. Te co mi się podobały odłożyłem w stronę. Natychmiast ułożono je porządnie zawinięto i położono przedemną na ziemi. Poczém słudzy rozeszali się każdy w swoją stronę. Podobał mi się bardzo ten porządek.

Młodzieniec rzekł: Bracie, możemyż tobie służyć czém inném? Podziękowałem pytając wiele za towary winieniem? Rzekł 30 tumanów. Wstyd mi było targować się. Zaliczyłem więc 30 złotych tumanów i dałem dukata w podarunku słudze. Uważałem że młodzieniec dziwił się trybowi mojego kupowania i gniewnie pozierał. Trzeba bowiem wam wiedzieć, że kupcy zwyczajni, jeżeli np. ocenią towar swój dziesięć złotych, po wielu targach i sporach oddadzą za sześć, a nikt im więcej nad siedm nigdy nie daje.

Bracia derwisze! Młodzieniec ten po długim namyśle, zapytał mię: bracie mój, zkad jesteś rodem? Odpowiedziałem: z ziemi jemeńskiej. Rzekł mi: bracie mój, życzyłbym sobie dzisiejszy wieczór, na służbach twoich w dzień przemienić **). Ja tedy wymykając się przez drzwi ekskuzy, rzekłem: palmo owocowa ogródzie grze-

*) To jest kobieta którą niechaj powiedziec imienia.

**) To jest przyjdź do mnie wieczorem.

czności! Bóg zdarzy zręczność skorzystania z tak miłej okoliczności. Ale teraz niemogę. Mam u siebie tajemnicę zakrytą. Dotąd w tém mieście nieznamy nikogo. Dla tego niemogę ją jedną w domu zostawić. Jeśli Bóg zechce i będziemy żywi, ośmielę się was kiedyś pomęczyć obecnością moją. Rzekł: bracie mój, nieszukając dalszych wymówek, musisz tego wieczora ciemnotę mojej chatki oświecić promieniem twojej obecności. Zaczął prosić, nalegać i zaklinać mię na wszystko, tak że przyrzekłem i zabrawszy kupno spieszyłem do domu.

Przychodzę, pukam do drzwi. Jedyna w życiu moja otwiera, chwytą z rąk moich zawinięcie i wesolutko bieży, rozwiązuje, przypatruje się chwali. Na zapytanie o cenach, opowiedziałem jej wszystkie szczegóły mojego spotkania się i rozmowy z młodym kupcem. Skończyłem na wyznaniu że danej mu obietnicy nie dotrzymam bo wolę zostać z nią w domu. Rzekła mi: Jeżeli szukasz woli serca mojego, trzeba pójść i dotrzymać słowa. Nierzetelność jest brzydką wadą, szczególniej dla mężczyzn, i przeciwną rozkazom Allaha.

Rzekłem: duszo mojego życia. Ja twój sługa; ale tylko twój, co mi do innych, ani chcę wiedzieć czy są na świecie. Rzekła: jeżeli chcesz mi się podobać, dotrzymaj twojej obietnicy, nie lubię kłamców. Niełękaj się zostać mnie samą.

Tak spieraliśmy się z sobą aż do zachodu słońca. Pieszczotka moja nalegała. Nareszcie przysięgła, że jeśli nie pójde zagniewa się na mnie.

O derwiszowie, w religii zakochanych, zadosyćuczynienie woli kochanki jest obowiązkiem niezbędnym, enotą teologalną. Z sercem zamaconem boleścią, przyszedłem do Kajsarij. Sklep już był zamknięty, ale u drzwi mój młody kupiec siedział na krześle i czekał na mnie. Jak tylko mię ujrzał, wstał z szacunkiem i dziękował za cześć mu zrobioną. Ręka w rękę poszliśmy

do jego domu. Co za dom, iatny raj! Ogrody wzniosłe, pałace bardzo piękne pokoje wysłane królewskimi ko-
biercami. Narzędzia użycia i zabawy stały w pogotowiu. Na dywanach rozestawionych pod galerią, u brzegu kry-
nicy, konserwy różnych owoców, kureczka pieczone, przysmaki. Po środku, na sofie porozrzucane aksamitne poduszki do siedzenia i leżenia.

Młodzieniec natychmiast zdjął suknię swoją, rękawy koszuli zakasał aż po łokcie, obnażył szyję i jakby nie-
miał służących, sam zaczął mi służyć. Ustawiał świece zamknięte w miedziowych latarniach, od wiatru. Przy-
patrywałem się niewieściej białości rąk i szyi jego.

Ja także musiałem się rozebrać i rozkosznie wycią-
gnąć się na sofie. Wziął pięknie brylantowaną butelkę, nalał kryształowy kielich wypił do mnie, napoił mię i
przy mnie usiadł. Rozmowa mile poszła żywiej i ży-
wiej szła. Po spełnieniu kilku kielichów, zawrzało w mó-
zgu. Cztery bajaderki pięknie odziane, powabnej po-
wierzechowności, weszły każda z innym instrumentem,
usiadły na krawędzi kobierców. Młodzieniec mój po-
wstał, napoił ich dobrem winem i zagrzeł w nich ochotę
do muzyki. Zaprawdę były to wszystkie artystki ob-
darzone pięknym głosem i grały po mistrzowsku, tak,
iż słysząc je, ptaki zatrzymywały swój lot w powietrzu.
Najsławniejsze kompozycje starszych i nowszych wir-
tuożów, jedną po drugiej wykonywały doskonale, pro-
wadząc duszę słuchacza śpiewem i dźwiękiem, od tę-
sknoty do radości, od cierpienia do niewypowiedzianej
lubości wlewającej się przez ucho do serca. Zakochany
czułem potęgę muzyki i duchem byłem w objęciu ko-
chania mego. Szczególnie im się udało następną piosen-
ka, z akompaniamentem skrzypcy i bębenka.

Wiersze. I cóż miłego nad rozmowę w ogrodzie wio-
sennym? Podczaszy, wina leń wina, zkad ci ta opieka-
łość? Chwytaj wesolą chwilę, to dar boży dla ciebie.

Nikt nie wie na czem przyszłość się skończy. Cóż znaczy woda nieśmiertelności, co znaczą rajskie ogrody? pierwsza jest winem szyrazkiej winnicy, drugie są przechadzką po trawie i kwiatach nad źródłem przezroczy-stym. Życie nasze wisi na włosku; pamiętaj o tém i troszcz się o siebie nie o losu koleje. *Wino* i *wina* dźwiękiem podobne do siebie: pierwsze nam Bóg dał, więc i drugą przebaczy. Niebo milczy choć wie co się dzieje w skry-tościach serca naszego, i ty, nieszczerzy motto, stul usta złośliwe. Świętoszek chce wody ze źródeł raju, Hafiz żąda wina. Xięża-li, poeci-li lepiej wiedzą czego Bóg chce?—

O derwiszowie! Pijany radością młodego gospodarza, i wytwornemi jego winami, i urokiem muzyki i piękno-ścią bajaderek, anielskiej postaci, straciłem rozum i pa-mięć. Jedyna tylko myśl o kochance mojej została ze-mną; chciałem, pomimo późnej już nocy, wrócić do ka-rawan-seraju, spocząć przy skarbie wesela i życia mojego. Młodziencowi lzy rzuciły się z oczu. Na taki dowód przyjaźni, ucałowałem go, ustami ścierałem rosę łez z ru-mianych jagód, ucałowałem czoło i spytałem o przyczy-nę żalu.

Wiersz. Bez wina piękni nie mają śmiałości. Mądry to był mąż co wynalazł rozmowę przy szklance, dobro-czynca ludzkości. Młodzieniec milczał, potem obudzony z długiego zamyślenia, rzekł: „Szlachetny człowiek nie lęka się odkryć przyjacielowi skrytości swoje. Odtąd bądź świadkiem najpoufalszych rozmów moich.“ Niewie-działem co te wyrazy miały znaczyć i gdym zamyślony szukał słowa zagadki, młodzieniec wstał i zniknął w je-dnem ze skrzydeł pałacu.

Niebawem wrócił, Za nim szła nadzwyczajnej piękno-ści kobieta. Istna huri niebieska. Odblask jój wdzięków padł na twarze współbiesiadników naszych i wszystko w nowém stanęło światło. Co do mnie, od pierwszego na nią rzutu oka, omal nieomdlałem. Młodzieniec skinął

Huri napełniła puhar i podała mi. Puhar jednym haustem wychyliłem do dna, ucałowałem rękę dawczyni Huri, rzekłbyś spadająca gwiazda, nagle usiadła przy mnie. Po godzinie dowcipnej, miłej z nią rozmowy, młodzieniec rzekł. Dilaramo *) serce moje, gdybyś ty raczyła ucieszyć mnie i brata mojego choć jedną piosenką? —

Kazała sobie podać gitarę i siadłszy nieco opodał, na krawędzi kobierca, oparłszy gitarę na kolanach, różowemi paluszkami dotknęła strun. Każda jęj nuta rozkosznie szczypała mię za serce. Ale kiedy harmonijny powiew jęj głosu wionął po strunach i zlały się dźwięki ze śpiewem, rzekłbyś że świecące nad nami gwiazdy schodziły po promieniach całować ręce i usta naszęj Huri. Pamiętam jeszcze tę zwrotkę jęj piosenki:

Wiersz. Chociaż to wino leje nam wesele, i wietrzyk chłodzi nas westchnieniem róży, nie pijcie przy dźwięku gitary, bo bystre oczy szpiega policyi patrzą na was.

Na taką odezwę ust takich, puhary zadzwoniły znowu. Piliśmy tyle, że opadłem na siłach. Młodzieniec widząc że się upił, zaprowadził mię do osobnej izby i położył na rozkosznej pościeli. Fala wina porwała mię i pogrążyła na głęb snu. Obudziłem się gdy już rozświtało. Otworzywszy oczy ujrzałem mego gospodarza, z ową najpiękniejszą huryską rajn, siedzieli u nóg moich. Drzwi były zamknięte, obrus nakryty łakociami; butelki, puhary, rozmowa miła, świat młodości.

Uczucie przyzwoitości szepnęło mi: jakto nie grzecznie że leżę a oni u nóg moich bawią się. Skoczyłem więc, jak sprężyna, usiadłem przed nimi. Młodzieniec mię ścisnął a Dilarama, z wielką uczciwością podała mi pełną czarę. Znowu wychyliłem do dna. Gościnność ich i przyjacielskie przyjęcie były do nieopisania. Wypiliśmy tyle że nie mogłem nóg od głowy rozróżnić. Tak cały dzień

*) *Pokój serca.*

i noc i nazajutrz przeszły na picie i biesiadowaniu. Czwartej z porządku nocy, znużony zasnąłem głęboko i nieobudziłem się aż w północ. Wtedy, aż wtedy, myśl o samotności kochanki mojej, opiekuńczego anioła mego, staje mi na myśli. Ona tam sama jedna! krwawe lzy polały mi się z oczu. Niewdzięczny, mówiłem sobie, cóżś uczynił? jakąż klęskę ściągnąłeś na siebie? Oto trzy doby jakieś w tym domu zagroził w rozpuście a niewiesz co się z owém niewiniątkiem tam dzieje. Gorzko wyrzucałem sobie nikczemność moją... W tém znowu Dilarama z młodzieńcem przyszła, zaczęli się z sobą jak za zwyczaj bawić. Udałem że śpię i niezważam na nich. Czekali na mnie aż do poranku, ale nie dałem znaku życia. Młodzieniec rzekł: wstań, odejdzmy. Niegodzi się dłużej uprzykrzać się gościowi. Ręka w rękę wyszli, a ja, korzystając z chwili, zeskakuję z łóża, każę sobie przynieść odzienie. Ubrawszy się, poszedłem do wanny, wykąpałem się, wymyłem i pobiegłem co rychlej do domu.

W drodze mówiłem sobie: Ma prawo gniewać się na mnie. Cóż jej powiem, jakimi słowy ją przeproszę? Jak nie umrzeć od wstydu? Widzę jak wszystkie starania i trudy twoje i długie kłopoty, bez owocu, zmarnowane stracone jednym ruchem niewczesnym. Biada, biada! —

Przyszedszy, zapukałem do drzwi domu mego. Wyrwiduszka otworzyła i, widząc że zmieszany uśmiechnęła się. Jak stałem do nóg jej upadłem całowałem je skarżąc się i prosząc o przebaczenie.

Rzekła mi: Czego tak się trwożysz, nie ma w tém nic złego. Poszedłeś tam na moją prośbę. Wiadomo że wejście do domu cudzego zależy od ciebie, ale wyjście od gospodarza. Jeżeli kto tu winien, to ja tylko nie zaś ty.

Takimi i temu podobnemi słowami ośmieliła mnie. Potem zapytała: No, a teraz że opowiedz mi co tam widziałeś w przeciagu tych kilku dni? co słyszałeś? —

Zacząłem tedy opisywać wszystkie dobre przymioty i gościnność młodzieńca i kochanki jego; jak się bawia i używają, i nie opuściwszy żadnego szczegółu opowiedziałem wszystko com widział i słyszał u nich.

Rzekła mi: wieszli ty o tém że rozpustnicy, biegli w rzemiośle oszuststwa, mają chleb u nich zjedzony, za dług pożyczony brzuchowi jedzącego?

Aha, pomyślałem, otóż i masz. Pod przenośnią przemawia mi: wiedząc żeś nie w stanie im oddać podobną gościnność, dla czego zgodziłeś się bawić się tam przez trzy doby? — Więc spuszczać głowę od wstydu. rzekłem: Łaskawa pani! mów bez ogródek, po co ta przenośnia, ja i bez tego umieram ze wstydu. Odpowiedziała: Mój drogi, ja dla ciebie mam tylko jedno serec i jedno usta, nie sądzę ażebym mówiła inaczej niż myślę. Celem meim było dać ci do zrozumienia że powinieneś starać się im oddać wety za wety. Nie czekaj dłużej i dzisiaj, tegoż wieczora zaproś go na wieczerzę do nas.

Ze łzami w oczach rzekłem jój: Duszo, życie moje, jaż cię prosiłem już o przebaczenie za winę i za słabość moją. Po co te urągania?

Ale Bogiem się świadcę, rzekła, że nie chcę bynajmniej wymawiać ani uragać tobie. Chcę tylko abyś nie rumienił się łask tego młodzieńca.

Rzekłem: Dajmy i na to że nieurągasz. Lecz dzięki Bogu, ściany i sufity i podłogi domu naszego magie, i nawet nietyle przestrono abyśmy tu wyprawiali biesiady i gody.

Uśmiechnęła się i rzekła: Od dnia pierwszego mówiłam tobie: nieśrocz się o nie i nie lękaj się niczego. Włęcz nadsieja w Bogu. Idź tylko i przyprowadź go tu na wieczór. O reszcie nie myśl.

Po długich sporach przekonałem się że nie ustąpi swojego. Skończyła pogroźką: przysięgam że jeśli go tu wieczorem dzisiaj nie przyprowadzisz zagniewam się

nie na żart. Co tu począć? Snępnąłem sobie: muszę ją pocieszyć ślepem posłuszeństwem. Zadumany poszedłem do Kajsaryi, tak przemyślając w drodze: ponieważ wciekleś od nich niepożegnawszy się, więc idź tam niby dla przeproszenia za niegrzeczność, a potem zaproś go, półgębkiem, nie na seryo, tak ażeby nie zgodził się. Udam ztem waryat.

Zaledwie się zbliżyłem do sklepu, młodzieniec skoczył z miejsca, przyjacielsko uściskał mię, i wprowadziwszy na swój dywan, posadził mię obok siebie, pytając czy mam zdrow. Zacząłem przepraszać za grubiaństwo moje. Rozmowa się zagrzała. Na jego skinienie służący przyniósł dzban z porcelany chińskiej, nakryty srebrnym kapturkiem i miskę złotą.

Młodzieniec najprzód sam wypił a potem dał mnie. Sądząc że to woda, a przytem nie zupełnie jeszcze wytrzeźwiony, chwyciwszy ustami brzeg dzbanu, wypilem. Poczulem że to szербet bardzo smakowity i miłego zapachu. „Co to takiego?“ Spytałem — Rzekł mi: to napój dla otrzeźwienia się, chłodzący krew i krzepiący serce. Wynalazcą tego kordyału jest mój doktor, robi go z esencji sandału z soku cytryny, cukru i ambry.

Jakoż istotnie, po chwili, czułem się innym oślowiekiem. Więc powtórnie lknąłem i jeszcze i jeszcze, aż mi się rozjaśniło w duszy i, pijany, zuchwały zapomniałem że w domu nie mam czem go przyjąć. Owszem zachciało mi się uraczyć tak miłego gościa. Zawolałem: Bracie, ja twój sługa i podnózek. Nie odmawiaj mi szczęścia, a promieniem oczu twoich rozjaśnij noc w domu moim; uszlachetnij go śladem błogich stóp swoich. Nie dałem mu nawet czasu do namysłu, błagałem, prosiłem aż się zgodził i rzekł: Bracie! duszo mej duszy, Niech i tak będzie. Byleby to sprawiło ci przyjemność, brat nieodstąpi brata. Tak deczekaliśmy się wieczora. Ale gdy przyszło wstawać, znów byłem pod hełmem.

tak że trudno mi było wiaść nogami. Młodzieniec ujął mię silnie pod rękę: siedłem opierając się na nim. Świeże powietrze i przechadzka orzeźwiły mię. Zbliżając się do mego domu otrzeźwiałem nagle na myśl: czemu ja poczęstuję takiego gościa, z kąd dostać rzeczy wartych ust i oczu jego? — Strach mię mroził i serce zadrżało. Młodzieniec sądził że to paroxyzm pijaństwa i trzymał mię silnie. Ja zaś chciałem z rąk mu wyłiznać się, w nadziei że, pod płaszczem nocy, ucieknę i raz na zawsze zerwę tę niewygodną znajomość. Mówił mi: bracie, upamiętaj się, upadniesz na ulicy, fe, wstydz się. Ciągnął mię dalej i dalej aż przyszedliśmy na aleję prowadzącą do mego domu.

Patrzę, aleja nasza czyściutko wymieciona, wodą polana. Mnóstwo ludzi jakby czekających na kogo. Z obu stron mistrzowie ceremonii, marszałkowie dworu, dworzanie, słudzy. Rzekłem: musiałeś się pomylić, zbiliśmy się z drogi i błądzim. Przecieram oczy wpatruję się: tak jest, to moja ulica, mój dom. Tłum widząc nas rozstał się i, jak na sług przystało jedni szykowali się w rząd i kłaniali, drudzy szli za nami.

Na progu wrot stał gulam *) Indyjanin, pięknej postaci, bogato ubrany. Za nim na dziedzińcu, dworzanie. Jeden z nich niósł brylantowaną tacę zastawioną likierami, drugi konfitury i przysmaki w złotym półmisku. Skłoniwszy się nam, podali. Zdziwiony i nieprzytomny minąłem ich, ale towarzysz mój wypił kielich, wyborne go, jak mi mówił, wino.

Wchodzimy do domu. I cóż tam widzimy? Oto raj, ozdobiony blaskiem świec, promieniami lamp różnobarwowych, rzędnieniem kandelabrow i latarni. Światło jak wśród dnia. W wazonach złotych i srebrnych, pełno kwiatów. Palmy z krzysztalu, a pod każdą palmą w prze-

*) Gulam służący, pokojowy.

zroczystych karafkach pełnych rubinowej barwy wino. Wszystko to ustawiono z gustem i dowcipem. Jarzące świece w krystalowych lichtarzach płoną. Do koła ptaki śpiewające i inne, kolibry, papugi, słowiki, synogarlice, bażanty, wilgi, sławne pięknoscią, głosu lub pierza, w klatkach wiszących z gałęzi drzew, cyprysu, cisu, wiązu, jodłowca, bukszpanu. Bijące zewsząd światło i zapachy, budziły te ptaki kwilące chórem. Ich wrzawa i szczebiot ożywiały scenę rozkoszy, a wyżej, w pokojach, do których weszliśmy, podłogi pozaścielane królewskimi dywanami. Na nich obrusy z atlasu i złotogłównu, naczynia, porcelany, napelnione rozlicznemi darami bożemi, wina wytworne, krystały różnych kształtów, talerze złote i srebrne i emalia ozdobiona drogiemi kamieniami. Wszystko jak oblane hojnie lejącem się światłem. Reszta mebli podobnie bogata. Tłum służących stósownie do takiego przepychu odziany. Ich włosy starannie utrefione, jak wiezie kwiatów hyacyncu, spadały aż na ramiona. Paziowie zręczni, śpiewacy z pięknym głosem, muzycy i bajaderki wyrwiduszeki (*dilruba*); wszystkie piękne, zgrabne, wystrojone, z oczu im patrzy wesołość i ochęć do zabaw. Wszakże skromne, dobrze wychowane, siedzą na krawędzi dywanów *) czekając rozkazu pana. Gdzieś rzucił oczyma, wszędzie stali rzędem paziowie, dworzanie w złotych kołpakach, w pasach osypanych dyamentami; krajczy i szatni gotowi na zawołanie.

Młody mój kupiec ujrzawszy taką wystawę przepychu i wspaniałości, zdumiał i zawstydził się. Zmieszanie moje było jeszcze większem, dlatego że wychodząc z domu, nic tam podobnego nie widziałem. Posadziwszy go na pierwszem miejscu przywitałem stósownem przemówieniem, i natychmiast pobiegłem do pokojów haremu zo-

*) To jest sala od gospodarza i zaproszonych gości.

boczyć co się działo z moją perłą jedyną. Szukam tu i owdzie i nigdzie jej nie znajduję. Mówię sobie: musi to być snu złudzenie, mara wyobraźni, coś nakształt *sirabu* (mirage) udającego wodę na piaskach pustyni. Nie-spokojny i jak cierpiący zawrót głowy, wychodzę z pałacu ku oficynom i folwarkowi. Obieglem wszystkie zakątki i przeszło 33 altan i budów, wartych dworu królewskiego, a których dotąd nie widziałem nigdy. Zwiedziłem skarbiec, izbę składu kobierców i namiotów, kredens i bufet, i spiżarnie i inne. Nakoniec wpadam jak waryat do kuchni. Tam kucharze i kucharki umiejętnie, czynnie zajęte przygotowaniem różnych potraw. Wszystko w wielkim porządku i ochędostwie, ale nigdzie ani śladu mojej perły jedynéj.

Jak tu ją znaleźć? — Wgłębi kuchni, przy kupie rozpalonych węgla, których odbłask zwrócił uwagę i kroki moje ujrzałem stos zwierzyny i danielka, wszystkie już na roznach dopiekały się, kurząc mile pachnącym dymem. Były to gotujące się dla nas pieczywa wybornie przyprawione. Przy nich, marszcząca się od zbytniego skwaru żarzewia, na starych szmatach gałganów, zgarbiona, siedziała perła droga, najdroższa moja w życiu, pilnując pieczyst, niby ostatnia z kuchcików! — Jakem tylko ją ujrzał: buch jej do nóg jak długi i dalejże całować kochane nożki i rączkę, i pytać: na miłość Boga żywego, powiedz mi co to wszystko ma znaczyć? Targnęła mię za ucho, że aż zabolalo, i rzekła:

Młokosie! Alboż to grzecznie zostawić gościa i tulić się niewiedzieć gdzie i poco?

Rzekłem: o nich się stanę piaskiem pod podeszwą trzewików twoich! Oddalonemu od ciebie, rażonemu tyłu niepojętymi zjawiskami, rozum szaleje; co za dziw, zem nie zwaryował?

Uśmiechnęła się i rzekła: Nieczas nam rozprawać. O tém potem. A teraz śpiesz się do jedynego gościa

i jeżeli chcesz mi się podobać, baw go jak możesz najmiej. Pamiętaj, ażebyś uścił się z długu gościnności po pańsku i jak przystało na magnata szlachetnie urodzonego. Nieszczędź podarunków, pieniędzy, szat honorowych i nagród. W razie nieposłuszeństwa albo kradzieży sług, bij, wiąż ich, rozkazuj, niezapomnij na chwilę żeś tu panem i mężem wielkiej ręki! Broń cię Boże, abyś się upokorzył przed którym z dworzan twoich, albo, wyobrażał sobie żeś ty ich sługą, albo się zachwiał w duszy, na myśl dziwną, że nie masz prawa im rozkazywać. Postaraj się także, jeśli można, aby twój gość młody sprowadził tu kochankę swoją. Inaczej prędko się znudzi. Z nią lepiej zasmakuje sobie w wygodach i przepychu gościnności twojej. Spiesz się a śmiało i po pańsku!

O derwiszowie! Bez wszelakiej wiedzy o rzeczywistych przyczynach dołi mojej, ale przekonany, że to co widzę nie jest złudzeniem, szczęśliwy i wesół podziękowałem Bogu i pobiegłem do biesiadnej sali; a siadłszy przy gościu trzeba było uczynić wedle rady poetów:

Wiersz. Losie nieśmiej mi się krzywić, bo mi w głowie wrą, wino i wesele!

Śród radośnej rozmowy rzekłem do gościa. Bądź tu jak we własnym domu. Nawet chciałbym, ażeby owa jedyna twoja, ta *Kybla* *) serca i duszy, zaszczycała nas obecnością swoją. Rozmowom jej z tobą nikt nieprzeszkodzi.

Młodzieniec posłał natychmiast jednego ze sług swoich po kochankę. Kazałem kilku dworzanom towarzyszyć mi. Niebawem przybyła. Zapalił się ogień wesela i rozkoszy. Umarliśmy dla trosk światowych a całe życie nasze przeszło w oczy i uszy i w uczucie na-

*) Świątynia Mekki, punkt do którego modlący się muzułmanin powinien obrócić się.

sze. Tak minęły trzy doby, dzięki szczodrośliwości mojej wdziękini. Podobną tój mojej uczcie nigdy nigdy nie widział. Co chwila wszystko co nas otaczało zdawało się językiem swoim mówić: szczęście! szczęście!

Pewnego czasu, obudzam się ze snu pijaństwa. Słońce już się było podniosło na wysokość dwóch włóczni *). Zrywam się z miejsca, ale gdzie tylko wzrok zwrócę, niewidzę w domu nikogo. Po tyłu służących, meblach, ozdobach, nie zostało ani śladu. Zdumiony, boso bieję tu i owdzie. Pod węglem w ciemnym kącie ujrzałem coś zawiniętego, jak trąbka pergaminu, w starym szmacie kobierca. Otwieram i — oby oczy żadnego z widzających nie widziały nic podobnego! — postrzegam trupy owego młodzieńca i kochanki; głowy ich ucięte; ciała zbroczone posoką. Przerażony krzyknąłem i padłem jak nieżywy.

Wróciwszy do zmysłów, niewiedziałem jak się wycofać z tój otchłani nieszczęścia. Co tём trudniej, iż sam byłem zakochany do szaleństwa. Od dnia przybycia mojego do Damaszk, po ówdzień, tyle dziwnych rzeczy widziałem, że komu innemu aniby się przed oczy wyobrażui nasunęły. Każda z nich wraziła się w serce moje, tak że niejednen, na mojem miejscu jużby dawno oszalał. Ja wszakże niestraciłem władzy rozsądku. Tylko zdziwiony, wołając, płacząc biegałem tędy owędy.

W tём postrzegam, że ktoś z ulicy wszedł do domu, i zbliża się ku mnie. Pomyślałem sobie, że to musi być który ze służących naszych i że mu trzeba dobrze natrzeć uszu, aby nierozgadywał co się tu stało. Więc skryłem się do ogrodu, i przedzierając się ostrożnie przez zarośle dobrałem się do drzwi i zarygłowałem je

*) Zegarki dotąd na wschodzie nie upowszechnione. Czas mierzy się wysokością względną słońca nad horyzontem i doświadczono oczy nie myślą się, byleby dzień był niepochmuray a słońce widac.

starannie. Potem zbliżywszy się powolój, porwałem go i rzuciłem na ziemię. Wpatruję się lepiej i poznaję, że to pacholę co nam usługiwało przez te ostatnie trzy doby.

Rzekłem: Łotrze, gdzie ta czarownica przebrzydła? A ty gdzie wałęsasz się i pociąg tu przyszedł? odpowiedział: Czemu ty łajesz panię? Ona bardzo się smuci po tobie, a ty jej złorzeczysz jak wróg jaki. Gdzież pani? spytałem. Co robi? — Rzekł mi: chodź za mną a zobaczysz. Zaprowadzę cię do niej.

Na tak dobrą wieść, ożywiony nadzieją zobaczenia kochanki, zapomniałem o reszcie. Szedłem za pacholciem niewiedząc co robię i gdzie idę. Nielekaj się mówiło pacholę, co komu z nas do tego. Szliśmy długo aż wynurzyliśmy się na jakiś plac, otoczony wysokimi ścianami. Wspaniałe drzwi świadczyły, że należą do zamożnego domu. Na przeciwległej stronie, były wrota prowadzące do meczetu, a przed nimi sadzawka biegnącej wody i cieniste drzewa.

Pacholę zostawiwszy mnie pod drzewami, weszło do owego domu. Po chwili, wyszedł z nim eunuch, stali na progu, a służący jakiś zbliżył się do mnie i rzekł: doczekaj do wieczora w tym meczecie, a z przyjściem nocy, przyjdiesz na prog drzwi, zkąd cię eunuch zaprowadzi do księżny pani.

Bracia derwisze! Z sercem roztargnionem i z oczyma lży rozsiewającemi, zalałem w kąt meczetu i aż do wieczora stroniłem od ludzi. O czwartej godzinie po zachodzie słońca, gdy już na ulicach zgiełk się zmniejszył, udałem się do drzwi. Rzęsami moimi zmiatałem pył z progu kochanki, odmawiając tę zwrotkę stosowaną do stanu duszy mojej:

Wiersz. Woli naszój głową jest prog świątyni majestatu bożego. Dola i niedola spadające na nasze głowy są skutkiem woli Boga miłości.

Po chwili pokazał się eunuch i prowadził mię wewnątrz. Ujrzałem ogród bardzo obszerny, pełen krzewów i ozdobiony drzewami owocowymi, różami bez cierni, i płynącym przez środek źródłem. Brzegi źródła zastane dywanikami jedwabnymi do siedzenia. Jarzące kamforowej białości świece w lichtarzach złotych i srebrnych stały przed dywanami. Na wezwanie eunucha, abym usiadł, nieczekając usiadłem, wyglądając okiem i sercem z której-li strony owe niebo szacunku i godności wejdzie. Aż oto, ów miesiąc mój w pełni, otoczony promieniami wdzięku i części, pokazał się, z twarzą jak słońce świata. Warkocz jój barwy piżmowej trefił się w tysiączne kółka i w pełne lubej kokieteryi plecionki. Bogate! ubiory osłaniały ją; na głowie diadem brylantowy pod kitką grającą wszystkimi barwami tęczy.

Poważnie się chwając i ciągnąc za sobą ogon złotolitego płaszcza przybyła. Wzrokiem łaskawym ku mnie poźierała. Zapytawszy o mojem zdrowiu, ciekawemi słowami sypała, niby solą, na zranione serce moje. Ja silniej niż kiedykolwiek zakochany, urzeczony, pijany jej wdziękami, nie miałem siły przemówić. Ona coraz łaskawsza, coraz miłsza, mówiła: Przewiniłam ci wiele, dobroć mi twoja przebaczy winy moje. Przyczyniłam ci dużo cierpień i trudów, długo i ciężko aby mi się podobać. Od dnia w którym zobaczyłeś mię, jedna ci chwila nie minęła spokojnie. Mam w Begu nadzieję, że żadna niedola cię nieutrapi a Bóg najwyższy nagrodzi dobroć twoję. A że kapitał przywieziony przez ciebie z Jemenu, straciłeś dla mnie, i na wyleczenie moje, przyjmij w zamian tę trochę złota na wydatki podrózne i niech cię zuchwałość moja nie obraża. Niezapominaj mię w modłitwach twoich.

Tu skinęła na eunucha, który postawił przedemną dwa worki złota na ziemi. Poczém mówiła dalej. Daj-

cie mu konia, niech tej nocy wyjedzie, bo dalszy pobyt jego w Damasku nie nada mu. To mówiąc wstała. Ja widząc, że tracę najdroższe dobro moje, rzuciłem się za odchodzącą i ujawszy się brzegu jej szaty zawołałem:

Wiersz. Cyprysie wiatrem chwiany, dla wiosny niesiesz pieśczęty twoje, a twój kochanek co chwila stokroć się modli choćby o jedną pieśczętę.

Gdybyś raczyła wysłuchać parę ostatnich słów umierającego, strapionego po tobie, Bóg ci sownie odda tę jasnającą.

Uśmiechnęła się i stanęła, mówiąc: Jakież to te parę słów? powiedz.

Rzekłem: Skarbcu pieśczęt, żyj długo i błogo, ale racz przypomnieć sobie, że owej pierwszej nocy mówiłaś mi: dobij mnie, pogrzeb w tych zwaliskach, a nikomu niewspominaj o tej tajemnicy. Otóż, gdybym ja wtedy usłuchał ciebie, teraz by już kwiaty rosły na grobie twoim. Dzisiaj, ponieważ raczyłeś dać ucha słowom testamentu mojego, nagródź mi inaczej niedołężne usługi moje.

Cóż mam uczynić? spytała.

Rzekłem: władczyni życia wiecznego! Mnie żyć bez ciebie jest grzechem śmiertelnym. Zrób jedno z dwójga: albo mię policz w poczet najwierniejszych niewolników, sług twoich, albo każ z nich któremu niech mię zabije i raz na zawsze uwolni od cierpień i niedoli. Niech mię pogrzebią blisko miejsca przechadzek twoich. Może tam kiedy, promyk obecności twojej przyniesie mi do grobu iskierkę spokoju.

Wiersz. Albo coś musisz obmyślić dla strapionego serca mojego; albo mię zabij, masz do wyboru. — Słowem ja dłużej cierpieć niezdolam. Jedno z tego dwójga musisz uczynić.

Usłyszawszy to, uśmiechnęła się, i rzekła: Poco się

męczysz próżnemi słowy. Temu co ci leży na sercu, ja ulżyć nie mogę. Rozsądek ludzi rozumnych temu zaprzecza.

Rzekłem: więcze racz mi objaśnić co znaczyły te wszystkie osobliwsze przygody i dziwniejszy jeszcze koniec ich? Niech mi przynajmniej ten ciężar spadnie z serca.

Rzekła: I tego niewypada mi uczynić. Mówić o tem niedobrze i nietrzeba.

To powiedziawszy odeszła. Na próżno chciałem mówić dalej. Eunuch haremu i odaliski służące zabroniły mi. Pieszczota serca mego odeszła, a oni wypchnęli mię z haremu i kazali wziąć konia i złoto i natychmiast wyjechać z miasta. Nieprzyjąłem. Z sercem spalonym, z oczami we łzach i z duszą rozwaloną, poszedłem zamieszkać w kątku owego meczetu. A tak mi ciężko było na sercu, że na nikogo niebaczyłem. W dzień siedziałem w zakątku moim, stulone usta bez żalu, bez skargi. W nocy czuwałem aż do dnia, niżąc perły łez moich na igiełkę rżesów i pieśń żałoby nociłem sobie.

Przez sześć miesięcy tak przebolełem. Na siódmym zachorowałem od smutku, a tak byłem osłabł, zmizerniał i wycięczał, że każdy co mię widział miał mnie za straconego. Po czterdziestu dniach zdrowie moje pogorszyło się do tego stopnia, że przez całe trzy doby niewracałem z omdlenia. Pobożniejsi ludzie, przychodząc do meczetu, zatrzymywali się przed mojem łóżem i litowali się młodości i cierpień moich.

Traf zdarzył, że pewnego dnia, eunuch jój haremu, wiedzący dobrze szczegóły ostatniego widzenia się jój ze mną, przychodzi do meczetu i widzi grupę ludzi stojących nad mojem łóżem. Był to człowiek bystrych oczu, poznał mię od razu, domyślił się o co rzecz idzie. Przez litość, wróciwszy do haremu księżnej, opowiedział

tęj królowej mocarstwa piękności co się działo z najwinniejszym jej poddanym. Dobre jej serce zabolalo nad mojem. Natychmiast kaze temuż eunuchowi: Idź i nie odstepuj na chwile poduszki chorego; jeśli z tej dziedziny nicości przejdzie do palacu wiecznie trwałych rozkoszy, oddaj mu wszystkie ostatnie posługi. Zawieź w całun, kaze sporządzić trumnę i w nocy pogrześć w ogrodzie haremu, pod tym a tym cyprysem, ale tak ażeby o tem nikt nie wiedział. Chcę spełnić ostatnią wolę jego. Gdyby zaś dożył do wieczora, w nocy przenieś go do swego mieszkania, może się nam poszczęści i wylęczemy go. W każdym razie chciałabym go widzieć przed zgonem i prosić, aby mi przebaczył.

Eunuch posłuszny pani swojej, czuwał odtąd nade mną. Przez cały dzień dawał mi plć jakiś otrzeźwiający szербet. W nocy przeniósl mię do swego mieszkania. Widok mój wzruszył ją. Sama zajęła się staraniami i posługą przy chorym. Nietrudno było jej domyslić się, że słabość moja, nie pochodząca z żadnej wady w cieleminie za pomocą napojów wzmacniających i pokarmów lekkich.

Wielkaż to była radość, gdy po czterech dobach takiego leczenia, wróciłem do zmysłów i otworzywszy oczy, ujrzałem przy poduszce Zulejkę moję z zapłakanemi oczyma, własnemi rękami lejącą szербet, kroplę po kropli do ust moich.

Bracia derwisze! gdy po upłynieniu siedmiu miesięcy, otworzyłem moje zleknione i zbolale, długiem jej niewidzeniem oczy, orzeźwiły się one widokiem pożądanym i źródło łez ich znowu się odkryło. Ale już płakałem nie sam jeden. Ona także uroniła kilka pereł litości i cieszyła stroskaną duszę moją. Łatwo domyslicie się, że ożywiony jej pieścizotami, prędko pozbyłem się reszty słabości. Znowu żyć zapragnąłem i co dzień byłem zdrowszy na cielem i na umyśle. Po dwudziestu dniach

konwalescencji, wróciłem nakoniec do normalnego stanu. Przez cały ten przeciąg czasu, wszystkie nocy, od wieczora do ranku, ów miesiąc promienny miłością nie odstępował mię.

Pewnej nocy, wśród dowodów łask i dobroci, rzekła do mnie: przyznaj się, czegobyś życzył sobie, dla uspokojenia twego serca i odzyskania zupełnej pogody duszy? Rzekłem: celem moim jest rzucić duszę moją pod nogi twoje, na ofiarę tobie, i ocierać łzy oczu moich piaskiem, po którym chodzą błogie stopy twoje. Od dnia w którym zacząłem ci służyć, do dnia rozłąki, widziałem tyle, słyszałem tyle, że nie potrafię się wywikłać z dręczących mię domysłów i niepewności. Usłyszawszy to, westchnęła głęboko i rzekła: cóż pożnę. Masz wielkie prawa do wdzięczności mojej. Trwożę się nieraz myślą, że w dzień sądu przed Bogiem odpowiem ciężko za niezapłatę długu należnego ci odemnie. Chciałabym aby tajemnica moja umarła zemną. Ale że ty zużyłeś część czasu twójego dla mnie, muszę także chcąc nie chcąc zaspokoić żądanie twoje.

Młodzieńcze, wiedz że jestem córką króla Syrii. Ojciec mój nie miał więcej dzieci, i dla tego mnie jedy-naczkę, bardzo pokochał. Od pierwszej młodości mojej, starałam się użyć życia. Nie było dnia, gdzieby się obeszło bez wina i muzyki. Zawsze w towarzystwie przyjaciółek różolich, panienek krwi książęcej i szlacheckiej miasta Damaszku, wszystko pięknych i starannie wychowanych, bawiliśmy wesoło całe miesiące i lata. Miałam wiele śpiewaczek, tancerek i wszystkiego co do wygod i wesołości potrzebne. Skarbce pełne złota, kuchnia wytworna, wina najdelikatniejsze, w pogotowiu i na zawołanie. Mile pędziłyśmy życie, ani myśląc o krzywych drogach złowrogięgo losu. Jego to sprawą, zaskoczyły nas dni miesiąca *Zilhadz*, *) dni święcone

*) Miesiąc w którym pielgrzymowie miedzą się w Mekce.

wetrzemiętlwością. Bóg i ludzie radzili nam zaprzestać pijanych pochulanek, przynajmniej przez dni dziesięć. Ale młodym i zapalonym głowom nie do tego. Hissadewałam jak zawsze, zawsze w ruchu, ręce drżały do gitary, nogi drgały do tańca.

Wieraz. Ach taki stan duszy niech nawiedza tylko nieprzyjaciół twoich.

Nauczycielem moim był eunuch, stróż haremu. Widząc mnie odurzoną winem i prawie pijaną, poradził mi zażyć trochę *kokenaru*, *) specjal który mój fiut starszek sam codziennie zażywał. Mówił mi, że to orzeźwia i niszczy ból głowy zmordowanej niewywozasem. Nie wiedziałam jeszcze o to takiego kokenar. Rzekłam: każ mi to przynieść. Rzekł: to się nie przynosi, trzeba pójść do sklepu robiących kokenar i tam go jeść, do domu nie dają. Dotąd nie wiem dla czego eunuch dał mi tę radę, widno że przeznaczenie tak chciało. Odpowiedziałam, że mnie chodzić do podobnych sklepów nie przyzwolicie, każ kupić i przynieść. Eunuch poszedł, i po godzinie wrócił z jakimś chłopczykiem łysym, mającym lat ośm czy dziewięć, w łachmanach zbrakanych sokiem kokenarowym, w szlafmycy wojskowej, w spodkach błękitnych krótkich, w dziurawym obuwiu; w ręku miał dzbanek kokenaru.

Od pierwszego rzutu oka na tę potworkę, uczulam wstręt; czemuś tu przyprowadził tego brudalę? spytałam. Eunuch uśmiechnął się i rzekł: księżniczko pani, nie dobrze jest sądzić z pozoru i poniewierać; my wszyscy służymy jednemu dworowi, wszyscyśmy niewolnicy jednego króla. — Uwaga ta zrobiła na mnie wrażenie.

Krótko mówiąc, kokenar wiano do czary, eunuch był podezrany, dał najprzód napić się każdej z pańienek

*) *Kokenar* robi się z makówek stłuczonych na miazgę i sprawionych w kształcie pigulek, ciasta, olejku etc.

haremu, a potem i mnie. Po chwili poczułam że mi istotnie rzeźwięj, ból głowy zmniejszał, w umyśle rozweseliło się. Na dziedzińcu dziewczęta otoczyły łysą główkę, jak wrony, szydziły z chłopaka, szczypały, męczyły go, a on się skarżył i wrzeszczał w całe gardło. Na zapytanie co znaczy wrzask ten? eunuch mi rzekł: łysek to kuty na cztery nogi, umie bawić i śmieszyć i nad lata swoje dowcipny a przezorny, jak nikt w Damaszku.

Kazałam go wprowadzić do mego pokoju. Zaczęli rozmowę: Eunuch pytał, łysek swoim słodko kwaśnym językiem odcinał się, zawsze ze szkodą eunucha, którego kosztem śmiałyśmy się do rozpuku. W nagrodę kazałam mu dzbanek wypróżniony z kokenaru napęlnić miedziakami i odprawić, z rozkazem, aby nazajutrz znowu przyszedł.

Tak wszystkie dni *święta pielgrzymów* przepędziłyśmy na słuchaniu powiastek łyska i pijąc kokenar, który zrazu rzeźwił, a potem odurzał i upajał gorzej niż wino. Łysek w ostatni dzień odszedł ze dzbankiem pełnym dukatów. Po poście takim i wstrzemięźliwości kokenarowej, nastąpił karnawał uciech i wina, którym trzeźwiłyśmy się od skutków kokenaru. Wszakże zatęskniłam do rozmowy łyska, więc postanowiono aby znowu co rano przynosił kokenar. Tak minęło całe pół roku. Nieraz poiłyśmy łyska winem, a gdy się upił, jeszcze był pociesniejszy i jeszcze więcej męczony przez nas. Widząc że nie zmieniał swoich łachmanów brudnych, i sądząc iż nie dosyć mu w haremie dawanych pieniędzy, kazałam co dzień napęlniać dzbanek dukatami.

Minęło innych sześć miesięcy, a łysek przychodził zawsze w tych samych łachmanach. Raz tedy spytałam, czemu nie zmienisz twoich łachmanów? Tyleś już dostał odemnie pieniędzy, coś zrobił z niemi? — Zapłakał i rzekł: księżno, żyj długo a błogo! Pieniądze zabiera

mój patron. Ja sierota, nie mam nikogo, patron mię najmuje za tysiąc groasy na rok i karmi mię. Łachmany dał mi nie kto inny, to jałmużna.

Oburzyła mię nieludzkość i niesprawiedliwość patrona. Zapytałam: możesz-li sam robić kokenar. Rzekł: mogę. Kazałam więc eunuchowi ażeby dał mu pomieszkание u siebie, i wszystkie rzeczy potrzebne do robienia kokenaru. Ubrano go w porządną sukienkę, czesano co dzień, jakoż głowa oswobodzona z parchów, porosła pięknym włosom. Chłopiec zasmakował w ochędostwie, zaczął odziewać się bogato, pił najlepsze wina i jadł najdelikatniejsze potrawy kuchni haremu. Słowem, rósł duszą i ciałem. Piękny, dowcipny, zręczny i miły, stał się ozdobą pierwszych towarzystw miasta; wszyscy pragnęli jego rozmowy i obecności. Przyszło do tego, że żądza widzenia go, stała się niezbędną potrzebą duszy mojej. Sultan miłości zamieszkał w sercu mojem. Chwila w której go nie widziałam, stawała się chwilą niewypowiedzianej męki; bez blasku jego piękności i rozmowy, serce moje drżało w ciasnych zakątkach piersi, a rozum z głowy leciał precz za drzwi, lzy płynęły. A kiedy go widziałam, ręce i nogi mi się trzęsły, rumieniec twarzy mojej żółkniał, nos cieniał i zwęzał się. Widzowie nawet najmniej domyślni, nie wątpili o sile miłości mojej dla niego.

Tak jest, trzy lata grałam z nim w niebezpieczną grę miłości, i siałam ziarno kochania na roli piersi mojej. Po trzech latach, gdy chłopiec podrośł, nianka moja i bliższe sługi zabroniły mu przychodzić do mnie przy ludziach. Pozwolono nam widywać się ale ukradkiem. Polecono mu pewne obowiązki służby zewnętrznej haremu. Zrobiony jednym z pierwszych urzędników dworu mojego, bogacił się. Kazałam mu kupić za 2,000 tumanów batystów, perkali etc. i nająć mu sklep dla sprzedaży tych towarów. Postanowiłam go strażnikiem

futer i szat królewskich. Szanowano go i lękano się. Dostawę sukien i materyj dla dworu ojca mojego, poruczono jemu. W sąsiedztwie haremu mojego kupiłam mu dom. Służący, niewolnice, meble, kobierce i inne temu podobne potrzeby gospodarstwa, wszystko sama wybrałam i darowałam mu. Podziemne przejście łączyło kurytarzem dom jego z haremem moim. Za pomocą tej tajemnej komunikacji, co noc gdy wszyscy już spali, widywaliśmy się. Trzech tylko powierników miałam, niankę, córkę jej, i nauczyciela mojego. Oni tylko wiedzieli, że noce moje aż do poranku przepędzałam w towarzystwie jego.

Opętawszy mię w sidła miłości swojej, sam dziwnie się hamował. Ile razy śród żywszej rozmowy i zabawy spotkały się ręce nasze, on spuszczał tchóraliwie oczy i oblewał się potem wstydu, i jak ostatni z niewolników, korzył się jak najobyczajniej. — Pewnej nocy, widząc ten kwiat ogrodu skromności w całym rozwoju kras wiosennych, ale nieco zwiędniętym smutkiem, zapytałam o przyczynę smutku. Rzekł mi: jest tu w mieście do kupienia sad, tyle piękny że nie podobnego nie znajdziesz w całej Syrii; położenie, obfitość wesołych przechadzek, powietrze zdrowe, widoki cudowne, i to wszystko za tysiąc tylko tumanów, choć niezawodnie trzy razy więcej warte. Ale cóż, kiedy nie mam gotowych pieniędzy!

Wiedziałam ja bardzo dokładnie, że miał u siebie do 12,000 tumanów. Wszakże nie śmiałam go ani smucić, ani zawstydzić, owszem, kazałam nazajutrz wyliczyć z kasy mojej żądane pieniądze. Kupił sad i pewnej nocy poprowadził mię pokazać go.

W istocie był to ogród jak raj. Pośrodku wznosiła się wielka wysoka altana, mająca do koła kwietniki różnobarwe, przetrzięte strumykami słodkiej płynącej

wody. Długoży się rozwodzić nad tym siedliskiem rozkoszy i coraz nowych uciech.

Celem jedynym życia mojego było, podobać się jemu i słuchać go we wszystkiem, tak, iż rzekłbyś, że bez dozwolenia jego, nie śmiałam napić się wody. Widzieć go zadowolonym, było największą radością serca mego. Po niejakiem czasie, pewnego wieczora, dostrzegłam na jego czole ślad troski. Na zapytanie czego się smucił, odpowiedział mi: sprzedaję tu bajaderkę turażynkę, umie śpiewać i doskonale gra na gitarze. Zna wybornie muzykę i obdarzona bardzo pięknym głosem. Do tych wszystkich zalet, łączy nielada znajomość służby. Byłaby z niej, o czém nie wątpię, przedziwna pokojówka dla zabawy twojej i posługi, księżno; jeżeli mi raczysz pozwolić, kupię ją.

Ponieważ wiedziałam że serce jego skłoniło się do niej zgodziłam się. Na zapytanie wiele kosztuje? powiedział mi: 200 tumanów. Zapłaciłam i to natychmiast, i kazałam ją przyjąć do haremu.

Zaraz po kupieniu bajaderki, wziął ją do własnego domu, gdzie ją znalazłam przyszedłszy w nocy. Rzeczywiście, była to dziewczyna ze wszelch względów zdolna i bardzo zręczna. Obdarzyłam ją mnóstwem klejnotów i ozdób kobiecych. Kilka nocy uprzyjemniła nam talentami swojemi. Po tygodniu, pewnego wieczora, w którym z kolei on miał przyjść do haremu, czekam i czekam, nie pokazuje się. Pośłam niankę z zapytaniem o zwłokę. Poślanek przynosi mi następną odpowiedź: księżno niech mi raczy przebaczyć, że tego wieczora głowa mię boli. Nie mogę siedzieć (bawić się).

Jak tylko usłyszałam że niedomaga, sama pobiegłam go odwiedzić. Przybyłam właśnie w tę chwilę, gdy oparłszy głowę na łonie bajaderki, rozpiływał się w widoku wdzięków jej twarzy. Spojrzawszy na w oczy, odgadłam że bardzo zakochany. Jakkolwiek duma i za-

zdrosć mną owładały i zimny dreszcz przebiegał mi po rękę i nogach, umiałam panować nad sobą.

Jak tylko mię postrzegli, oboje skoczyli z miejsca i usiedli każde w osobném zakątku. Udałam żem nic nie widziała ani dbała o to. Po dawnemu obsypałam go łaskami, pytając się o zdrowie. Udawał że chory. Stękał i kręcił się, jakby miał kólki.

Krótko mówiąc, odtąd stał się wcale innym niż pierwój. Unikał rozmowy poufalej ze mną. We dnie i mnie samój nieprzyzwolicie było szukać jego obecności, wszędzie czułam potrzebę wylania się, przecierpiałam do wieczora. Otóż mija kilka godzin, młodzieńca nie masz. Posłałam po niego. Mówią mi, że nie ma go w domu.

Ogień zawiści zagorzał się w piersi mojej. Rzuciłam się na łożę, niby do snu, nie wołając na żadną ze służących; a gdy one i niańka usnęły, cichutko zeskoczywszy, do domu jego pobięłam. Biorę na stronę jedną z pokojówek jego i każę sobie opowiedzieć wszystko. Rzekła mi: Bardzo się rozmiłował w bajaderce; a że lęka się ciebie królewno, więc oboje poszli do sadu, ażeby bez trwogi w sercu, i bez roztargnienia w umyśle porozmawiać sobie.

Na taką wieść zapaliłam się. Ztamtąd, sama jedna, pełna ognia gniewu i czarnych myśli, szłam do sadu. Przechodzę i widzę że zamknięte wrota. Z wielkim trudem przełażę przez ścianę i spuszczam się.

Była to noc doskonałe światła. Miesiąc w pełni wskażywał wszystko jak śród dnia białego. Wchodzę pośpieszając do altany i znajduję obojgu pijanych, w jednej koszuli, i jak cukier i mléko, zlanych w jedną słodycz, w jeden pocałunek.

Podobna do waryatki, przyczaiłam się pod krzewem róż, usta bez mowy, nogi bez szelesta.

Tymczasem oni, zmęczeni rozkoszą, śniadają przeciw siebie, biorą butelki i czarę. Przypadkiem, dziewczyna

spojrzała w moją stronę. Niemogąc dalej pohamować się zaśpiewałam następną piosnkę.

Wiersze. I cóżem uczyniła że niebo wciąż mię pali;
że śmierć bez ustanku, we dnie i w nocy, goni za mną.
Gdzież czarniejsza niedola nad tę, że moja lampa oświeca
cudzą biesiadę.

Chłopiec i dziewczyna poznawszy głos mój upuścili z rąk puchary. Ona, wyciągnawszy ramiona ku niemu, zawołała: Ty masz swojego męża, do czegoż więc te miłości i pogo napróżno i siebie samą i mnie męczysz? On odwróciwszy się, ujrzał mię i rzekł: księżo, niech Bóg cię chowa w swojej pieczy. Ty nieśpisz. Azaliś nam sprzedała kenia lub wielbłądy alboś mię kupiła sobie na wieczną niewolę, że oto porzuciłem dom mój a ty mię nieporzucasz?

Rzekłam: Tak jest, niecnoto; co to ma wszystko znaczyć? Azaliż i mnie także niewolno przypatrzeć się waszjej biesiadzie? Rzekł: serce twoje nie znajdzie spoczynku, dopokąd mię śmierć niewolni z rąk twoich! Tu bajaderka chytra jątrzyła go i szyderstwem i śmieszkami, Zagniewany dobył z pod płaszcza sztylet, co kupiwszy za wielką sumę darowałam mu była na pamiątkę i obciął się przebić. Rzuciłam się, chwytam go za rękę i tuląc twarz do nóg jego, wołam: „Ja niech padnę ofiarą tobie, zabij mię! Ja raczej umrę!...“

Rozogniony winem i gniewem, bił mię sztyletem po grzbiecie, po ramionach, po bokach aż omdlałam... Dalej już niewiem co się ze mną stało. Pamiętam tylko że się obudziła w skrzyni i że ty byłeś przy mnie. Zapewne, gdyż ogwór ich przytyka do miejskiej ściany, zapewne zamknęli mię do skrzyni, ażeby wrzucić do rowu, i uniknąć wszelkiego podejrzenia. Ponieważ zostawało jeszcze mi z życia zakreślonego ręką przeznaczenia, skrzynia uwięzła w miękkim piasku, ty przybyłeś i stałeś się zbawcą żywota mego.

Rzekłam: Pieszczoto rajska, powiedz mi kto był ów klejnotnik co to ci przysłał miś dukatów, i którego łajakaś za oczyma?

Rzekła: to sprzedawca kokenaru, ów co to abogacił się pieniędzmi dawanemi łysakowi w moim haremie.

Spytałem: a też meble, ci służący i ten przepych skład i jak improwizowałaś w domu moim i gdzie to się potem podziało o północy?

Odpowiedziała: To wszystko należało do ojca mego.

Rzekłem: a cóż powiedziałaś jemu dla usprawiedliwienia swojej nieobecności? Wyzdrowienie twoje wzięło ci siedm miesięcy czasu, czemuż więc stało się że ojciec twój nie szukał gdzieś zniknęła?

Rzekła: Zwyczaj chce ażeby królowie (paszowie) Syryi co roku przez sześć miesięcy objeżdżali podwładne miasta prowincyi swojej, a przez drugie sześć siedzieli w stolicy, Damaszku. Otóż los zdarzył iż właśnie podczas nieobecności ojca mego w mieście, ja znikłam. Strwożona matka moja, a przytém rozumna i ostrożna, potajemnie się dopytywała o mnie, powiernicy nie rozgłaszali. Kiedy ty poszedłeś aby lotra niewdzięcznika zaprosić w gościnę, ja prędko, okrywszy się zasłoną, pobiegłam do matki. Uszczęśliwiona że mię widzi w dobrem zdrowiu, zaczęła była mię upominać i dopytywać się. Odpowiedziałam: matko, Bóg mi świadkiem że nie niegodnego w istocie nieuczyniłam; ale nieobecność od woli mej niezależała. Los mię udręczył, lecz serce moje niewinne i Boga niech będzie chwala, że imienia mego niespomiewierałam. Matka nieprzyjęła tych ogólników. Wszakże po długim namyśle uznała konieczność ostrożności i naocznie przekonawszy się żeam była panną niewinną ucieszyła się bardzo. Wówczas upadłam jej do nóg, i zaczęłam błagać usilnie aby pozwoliła mi jeszcze trzy dni swobody. Mówiłam jej: mam do skończenia kilka ważniejszych rzeczy. Da Bóg, po upły-

niesia trzech dni, porwę dotychczasowy tryb życia i wtedy opowiem ci szczegóły przygód minionych dni moich.

Matka kochała mnie bardzo. Przytem wdzięczną była Begu za to że mnie cało zachował, a mnie za to że nie skalała cząści imienia rodziny naszej. Sama więc kazała z trzydziestu trzech domów znieść do twojego to wszystko co tam widziałeś. Celem mym było abyś odwdzieczył za trzy dni gościnny twojej u lotra. Śród czwartej nocy, w zamian za krew moją, zabiłam obu, to jest lwa kohenarczyka i jego bajaderkę, bo już wiesz dobrze że on i ona mnie zabijali a nie kto inny.

Tęże samej nocy wszystkie sprzęty odniesiono na należne im miejsca. Ja także wróciłam na mieszkanie do domu matki i opowiedziałam jej wszystko. Bardzo się ucieszyła mojem postępowaniem. Wszakże serce mnie bolało myśląc o tobie. Dla tego to pomieściłam cię w moim domu.

Powiesz tę pászanki zamknąłem holdem powinnym jej enecis i wytrwałości.

Bracia derwisze! Ona mówiąc płakała i ja także towarzyszyłem łzami mejem. Po dokończeniu opowiadania przygód tych osobliwszych, sama zapytała? No, a teraz czyś rad ze mnie? Rzekłem: o ty, słońce nieba wierności! Duch mój rozradował się że nauczona doświadczeniem, sama masz serce kochające i umiesz zrozumieć serce kochającego. Wiesz jego cenę. Po długiem zamyślenia się widząc moją słabość i niedolę, rubin ciekawy ust jej zadzwonił tę piosnkę:

Wiesz. Myśmy serce i oczy rzucili do potopa białdy, niech więc przyjdzie i potek zniszczenia, niech wyrwie dom z posady! Ten komu w dzień stworzenia napisano: będziesz tałać się i cierpieć, niespoczniesz ani pod dachem meczetu ani na niwie rolnika.

Innej mi niema rady jak znowu narazić na niebezpieczeństwo sławę moję, czyniąc gwoli tobie. Prawdę mówiąc niezbywa mi na ochocie; lecz w takim razie, trzebaby opuścić ojczyznę i tulać się po świecie, nie myśląc jeno o pozyskaniu serca twojego. Jeżeli więc tak mi zakreśliło już pióro przeznaczenia, raduj się w duszy a czekaj sposobnej chwili, aż zobaczymy co Bóg nastęrczy.

O derwiszowie! uszczęśliwiony temi nadziejami, mieszkałem przez jakiś czas u eunuoha. Otóż los zdarzył żem pewnej nocy, niemogąc zasnąć i siedząc na drodze oczekiwania, ujrzał zgadnijcie co? oto ów cyprys wierności, skryty w ciemności jak woda życia oto owa jedyna w życiu nadzieja moja, wychodzi ze drzewi harem, odziana w zbroję, orężnie, niby na wojnę i mówi mi: wstawaj, korzystajmy z chwili a chwytajmy ją za nim z rąk się umknie!

Wyskoczyłem z łoża, i biegłem za nią, jak oien jej. Idzie do stajni królewskiej, siedła dwie klacze syryjskiego stada, wyprowadza i daje mi jedną z nich a także dwa worki pełne złota i zupełne uzbrojenie dla mnie. Co prędzej odziałem się w zbroję i oręż. O świcie wyjeżdżamy z miasta. Przez całą dobę pędziliśmy jak koń wyskoczy, goniąc po pustyniach i bezdrożach. Dwa razy tylko zsiadliśmy z koni dla popasania klaczy. Sami posililiśmy się pieczeniem, zwierzyny i asnąwszy chwilę, znów czwałujemy dalej i dalej.

Podczas podróży, kilka razy mówiła mi: wiedz oto imię, sławę, majątek i ojczyznę moję. Słożyłam na twojej głowie. Ażaliż i ty, podobnie owemu złoczyńcy, niedochowasz mi wiary? Będziesz-li stał wiernie na drodze przymierza miłości.

Kląłem się że do grobu służyć jej będę. Na koniec po miesiącu podróży naszej, wśród nocy, dopadliśmy

okropnej pustyni. Pędziliśmy dalej i dalej, aż do chwili w której trzeba było dać przekaskę koniom. Upał tak był nieznosny, że traciliśmy władzę ruchu dalszego. Zmęczone długą jazdą konie ustaly. Ujrzelśmy wielką rzekę w poprzek drogi naszej. Nie było brodu dla pasterki. Stare gałęziste drzewo wznosiło się na brzegu rzeki. Prosiłem moją najwierniejszą, aby na chwilę spoczęła pod cieniem drzewa, a sam czwalałem niżej i wyżej rzeki dla znalezienia brodu i narazicie go znalazłem. Gdy ucieszony dobrym skutkiem poszukiwań moich, wróciłem pod drzewo, niestety, mego cypryasa piękności nie ujrzałem tam! napróżno tu i owdzie biegałem, ani śladu jej nigdzie! Sądziłem, że może zbój jaki przybywszy podczas nieobecności mojej wrócił ze szczęściem mojemu do Damasku. Przedziewawszy się więc w inną odzież, po długiej podróży przybywałem do stolicy Syrii, ale i tam nikt nie niewiedziało o niej. Tak szukając mojej księżycelicy, po wszystkich krajach i miastach, dopytywałem się o nią, lecz nigdzie ani śladu nie widziałem ani wieści nie zasłyszałem. Wtedy rzekłem w duszy: o serce, w dowód wierności twojej, powinność raczej się zabić niż się splamić niesławą, żeś niedochował jej uczuć miłości najstańszej. Les zaprowadził mię pod jakąś górę. Dopadam jej wierzchołku chcąc rzucić się w przepaść w imię nadziei wiecznego życia, śmiercią zakończyć niewolę moją, i wiernie oddać duszę moją dla tej bez której żyć dłużej nie mogłem.

Na górze ujrzałem starca: rozesławszy dywanik pod drzewem, na brzegu strumyka, bił czołem pokornym, po winne pokłony Panu Bogu, i czytał Koran. Ujrawszy mnie zawołał do siebie pytając: kąd i po co przychodzisz? Opowiedziałem mu szczerze przygody moje i prosiłem świętego pustelnika o wskazanie mi kierunku i

drogi prowadzącej do celu życzeń moich. Mój niepokalany, na skrzydłach strzelistej modlitwy wzniósł się w dziedzinę przyszłych wypadków i okiem orla bożego ujrzał ja. Po długim namyśle, uwdzięczył swe usta uśmiechem błogim i rzekł: szczęśliwy młodzieńcze, rozradaj serce twoje, albowiem to co się straciło niebawem znajdzie się, i ujrzysz ją w zdrowiu i w weselu. Bóg was połączy. Idź do miasta Stambułu. Zbliżenie się owej chwili dla ciebie poznasz po następnym znaku: W drodze trzech iani derwiszowie złęczą się z tobą. Razem z nimi przyjdiesz na dwór padyszaha wielkiego. Władca ten nosi w sercu swoim pewne życzenie zgodne z wolą przedwieczną i Bóg najwyższy najprzód zadosyć uczyni temu życzeniu króla, a potem zadowolni każdego z derwiszów, i ciebie i towarzyszy twoich.

Usłyszawszy tę przepowiednię, śpieszyłem w stronę wskazaną, pełen nadziei i wiary. Dzisiaj zdybałem was towarzysze miłi i chwala Bogu pierwszy znak obiecany przez męża bożego okazał się, słowo proroctwa nie skłamało. Zobaczymy co jutro los nadarzy, jaką barwą zabłyśnie i z przetaku nieba jaki proch wysypie się na głowy nasze. A teraz szczęść wam Boże. Ja skończyłem powieść moją. Na kogo teraz kolej? niech perłę przygód swoich niże na nitkę opowiadania i niech ją zawiesi, niby złotą zausznicę na uchu braci derwiszów!

Słyszając to Azade Becht uczuł iskrę niebieską w sercu swoim, i spójąc się w duszy z bólem czterech derwiszów, taką modlitwą westchnął do Boga:

Wierzę, Twórcu, który to słyszysz, błogosław modlitwie mojej: Dobroczyńco wszechświata, zadosyć uczyni potrzebie mojej! Nie zakrytego nie zatai się przed tobą! Świecie tajemnie i skrytości nieshadanych, Boże

wielki zbaw nas zasługą przeczystej Maryi *); prawdę
Alego, owę świątyni łask niebieskich! Pomóż nędzy
sług twoich prawowiernych, przez krew niewinnie wy-
laną z Husejna króla męczenników twoich.

*) Betul, panna czysta, westalka. Imię to muzułmani dają na-
szej Bogarodzicy i także Fatymie córce swego proroka.

ALEKSANDER CHODŹKO.

SZKICE PODRÓŻNE.

P I Z A.

..Kolej żelazna prowadząca z Florencyi do Pizy ciągnie się wzdłuż rzeki Arno, środkiem rozkosznej doliny Val d' Arno zwanéj. Tu żyzność klasycznej ziemi Saturna, wielkiej zbóż rodzicy, ze słów Wirgiliuszowych użyję, w całym ukazuje się blasku. W szybkim przelocie parowego wozu przesuwały się jak w czarnoksięskiej latarni łąki zroszone strumieniami, winnice, oliwnice, morwowe i kasztanowe gaje zieleniące się nad zieleńszym jeszcze kobiercem błoni. Między niemi przelyskuje Arno miękko zapadające w najniższą wklęsłość doliny; a wzgórza jak węzłowiec aksamitne uginają się pod jego wstęgą spływając stoczystymi zarysami na porzecze, po którym topola włoska bieży zieloną koronką na tle modrego nurtu w złocisty piasek oprawnego.

Gdzie niegdzie biała willa dosiada pogórka i w oddaleniu perli się na jego czole, lub w gęstwinie sadów, gdyby ścigana umyka; tu wioska lub miasteczko narasta gęstymi domami, nad którymi panuje dzwonnica i

wieża ratuszowa, te prababki wszystkich miast włoskich przemawiające zawsze jednym i tym samym dzwonem do zmieniających się pokoleń, którym dawniej na wojnę domową dzwoniły, a którym teraz spokojnie powtarzają: Anioł Pański na odpoczynek po gwarliwej przeszłości; owdzie zamek niedobitek Gwelfów lub Gibelinów, czasem we zmroku pogrozi podróżnemu otłuczonymi blankami i wieżą swoją, poczerniałą średnio-wieczności mumją. Cień wieczorny namaszcza mu czoło i jak płaszcz włoski na nim udrapowany pokrywa nędzę ścian jego połatanych bluszczem; rumiany zachód wystrzepia czarną, jego sylwetkę i podbija ją tłem przygaskiej pożogi; rzekłbyś że to stos zwęglony na pogorzeliisku, z pod którego jeszcze żar krwawemi pała obłaskami.

Czasem się wzgórza rozstapia w ramy: w tych ramach na bladym niebie jak na tle perłowej macicy na którym ledwo u rąbka trochę karmazynu zostało, spotykają się dwa proste czarne wyostrzone cyprysy, jak dwaj podróżni wzajemnie o drogę się badający w pomroce, lecz oto nad niemi gwiazda wieczorna przebiega błękit brylantowem ostrzem swoim; inne gwiazdy zapalają się jedno po drugich; a Arno płynąc w jednym z mleczną drogą kierunku widnieje na poczerniałej ziemi jak ona na ciemnym niebie... Oto Piza!

Nie smutniejszego jak wjazd do tego miasta: rzeka głębsza i szersza niż we Florencyi, przesuwając się powoli jak pogrzebowy orszak między podwójnym szeregiem wysokich i niemych jak groby kamienie; klasztorne milczenie panny do koła. Zda się że jedna połowa mieszkańców wymarła, a druga wyszła z miasta jak po pogrzebie ze smętacza się rozehodzą. Gród to nie zrujnowany, nie zniszczony, lecz odbietany: średniowieczna Pompeja nad którą stała się klęska i spełniło się przekleństwo Danta:

Muovansi la Capraja e la Gorgona,
E faciam siepe ad Arno in sì la foce,
Si ch'egli anieghi in te ogni persona.

Lecz to przekleństwo spełniło się odwrotnie: zamiast powodzi o którą wołał wieszcz gibeliński, woda się cofnęła od Pizy, bowiem morze ustępując na trzy mile włoskie zostawiło ją z portem na piaskach, całą, świetną, ale opuszczałą jak okręt na mieliźnie. Jednak wyobrażenia kojarzy te pustki z przekleństwem poety i daje wiarę zniszczeniu jego groźby i skutkowi tego natężonego gniewu, który wyspami Capraja i Gorgona odskakał na występne miasto, i kazał im zastępować rzecz w jej ujściu i jak rumaka chwytac ją za wodnę, aby się cofnęła i wylała; gniewu, który zniemocierpliwiony opieszalym wymiarem sprawiedliwości ludzkiej, podaszczął żywioły i chciał spiknąć wyspy, aby ziemia sama biegała pod stopami zbyt powolnie stąpającymi na zagładę zbrodniczej Pizy:

Poiché i vicini a te panir son lenti...

Pod dwoistym wpływem Dantejskich terostów i obrazu, który mi stanął przed oczyma, gdym wysiadał z wagonu, patrzałem na Pizę jak na inny Tyr lub Babilon, w który się wjadło niewiedomie przekleństwo proroków i rozwlokło się szeroką do koła pustynią. Wysokie pałace powleczone jednostajnym cieniem piętrzyły się nad moją głową; żadne w nich światło nie błyszczało, żaden się szmer nie dawał słyszeć. Tylko wyżej jeszcze nad niemi — południowe niebo dziwnie wyiskrzone przełykiwało wszystkiemi swemi gwiazdy: rzekłbyś niezliczone mnóstwo gromnic nad umarłym grodem.

Pierwszy promyk słońca zastał mię stojącego na progu hotelu *del Nettuno* na Lungarno, gdzie przenoce-

wał; niecierpliwym łowcom byłem przypatrzeć się miastu przy blasku dzianym. Pierwszy rzut oka na Pisę przejmaje zdumieniem: Arno oblaćwato płynące wrzyna się we dwa rzędy marmurowych pałaców o misternie rzeźbionych ścianach. Przy jednym końcu tego łuku pokazują się łagodnych sinawych gór przedziałający Łukę od Pisy, a wspomniany w scenie widzenia hrabiego Ugolinia:

.... al monte

Percibe i Pisan vader Luca non poane.

Przy drugim widzieć śliczny kościółek *Santa-Maria della Spina*, istne pięciokątne goetkie o marmurowych młocących białości oświeceniach wprawione jak droga emalia w lasur bezchamnego nieba. Wiecznie czyste i ciepłe powietrze oblewa miasto ogrzewając zimne czoła pałaców i ich podwaje zamknięte jak usta nieboszczyka, i błękit niebieski przenosząc do zwierciadła rzeki.— Tam podczas gdy nurt bieży, gdy południe goręcej w przeroznach włoskich płonie, na dwóch brzegach Arno widzisz podwójny obraz życia i śmierci.

Na północnej stronie, gdzie światło słoneczne niedochodzi pustka i milczenie panują pod gankiem wianitych kamienie; przeciwnie na południowej, gdzie kararyjskie ściany kąpią się we słońcu, spostrzegasz smagającą się jak dzienne mary wybladłe postacie chorych, którzy tu przybyli, aby zdrowie odzyskać lub spocząć na tej ziemi pojętnej dla chrześcianina, bo zmieszanej ze świętą Jerozolimską ziemią, od rycerzy piszańskich przywiezioną. Dalej uderza twe oko długi szereg niezliczonych siedzących na wybrzeżu żabaków. W całych Włoszech, gdzie przecie roją się miriadami, nie widziałem tak licznych, tak starych, tak pokalęczonych i tak okropnie malowniczych. Istny to obraz wieków za

dawne Pizańskie zbytki na zetrzymanę skazanych; istne godła wszystkich świata chorób tutaj przywieszonych i porzuconych. Ta plugawa drutyna wędzi na słońcu członki od urodzenia nieświadome pracy, i w jakimś posagowém *far niente* maże białość marmurów niemiłosiernie zupełniejszego poszarpania łachmanami. Straszliwe te dziady i baby z nieopisanym cynizmem rokoszują i wygrzewają się na słońcu, pnąc się jak brudny chwast po marmurach i porfirach krzyżowych wojen pomnikach. Rzekłbyś że to dzisiejszy lud włoski siedzący jak syn marnotrawny pod progiem wielkich swych ojców i wielkiej swęj przeszłości; że cuda sztuki, jakie podziwiasz, skruszyły bezpotomnie dzielne piersi z których jak z wulkanów ciskały się ku niebu wieżami i ostrołukami, że płód kamienny przypawil o śmierć rodziców swoich, i że na tych bryłach ręką średniowiecznych Tytánów napiętrzonych, na kątach tych łuków i ostrzach tego dłużowania, pokolenia się wyszarzały, wytarły, zużyły, i zużyte pokutują bezczynnością za ogień Prometeuszów od naddziadów swoich porwany, lub że zaklęte na wieczne ludu żydowskiego świadectwo, stoją pod przeszłością swoją by nam dać jej miarę, jak te mikroskopiczne postacie ludzkie umieszczane od mierników pod skalą wież lub gór niebotycznych.

↓ Niecierpliwy byłem poznać, owe ctery cuda średniowiecznego budownictwa, Domo czyli katedralny kościół, Chrzcielnicę, *Campo-Santo* czyli smętarz i Wieżę pochyłą, które w najodludniejszej części miasta wszystkie obok siebie stoją.

Przechodząc przez plac *dei Cavalieri*, przewodnik mój zatrzymał mię ukazując ładny różowo pomalowany pałacyk z zielonemi żaluzjami; jest ów własnością kaw. Toscanelli i wznosi się na miejscu, gdzie niegdyś stała sławna wieża Głodu *Torre della Fame*, pamiętna zgonem hrabiego Ugolina della Gherardesca nieśmiertel-

nionego przez Dantę. Okropny obraz ze wszechwładnym mistrzostwem wprawiony przez wieszczę w sklepienia stariej baszty i rzucony na tło jej ciemności, ta wąska szczelina przez którą błądy księżyc nawiedza zgłodniałych więźniów:

Breve pertugio dentro della mura.....

M'avea mostrato per lo suo forame

Più lune già.....

epilog tej najstraszliwszej między tragediami odegrywający się w piekle, wszystko to dziwnie odbija od jaskrawych ścian kamienicy przypiętej jak karnawałowa maska do średniowiecznych zwalisk i pokrywającej rubasznym mieszczańskim uśmiechem laokoński wyraz wspomnień, jakie budzą w podróży.

Gdybym był panem Toscanellim i posiadał Wieżę Głodu, nie śmiałbym jej różowo umalować.

Arcybiskup Ruggieri niezdolał wytracić całej rodziny Ugolina: istnieje ona dotąd we Florencyi, gdzie sam miałem zaszczyt znać panią hrabinę della Gherardesca słynną z piękności swojej.

Stanąwszy na obszernym katedralnym placu, jednym rzutem oka objąć mogłem wszystkie cztery pomniki. Pierwsze wrażenie, jakiego na ich widok doznaje wędrowiec, przeniesiony z hałaśliwej Florencyi w to milczące ustronie, zwykł on liczyć do najświeższych i do najpoetyczniejszych.

Niech mi tu będzie wolno powtórzyć moje własne słowa, ujęte na miejscu lubo niestwornie skreślone. Całą zaletą tych słów kilku jest to, iż były szybko spisane ołówkiem na Pizańskim polu, w obec pomników co je natchnęły. Przepraszam za odcień niekiedy hyperboliczny moich okresów: pisałem w kraju, gdzie się jeszcze nie przyzwyczajono wstydzic wszelkiego uniesienia jak

we Francyi i u nas, i gdzie nikt nie myśli, iż ubliży swęj godności *gentlemana*, jeśli się da złapać na gorącym uczynku uwielbienia i zachwytu.

„Chrzcielnica podobna do olbrzymiej tary papieżkiej, zda się być nie zbudowaną lecz ostrożnie złożoną na zielonej murawie bujno plac zarastającej. Cała ona przezroczysta, wyrabiana, biała jak krzyżmo dziecięcia, które matka drogą obrabiła koronką. Ręka bowiem pobożnego mistrza, którego nie od nieznannej dotychczas ziemskiej ojczyzny, zkađ wyszedł, lecz od niebieskiej, dokąd wzory haftując na marmurze dążył, zwano *Diotisalvi*, zbaw Cię Boże, ręka ta oplotła swe cudo kamiennym wleńcem, lżejszym od tego, który młoda Włoszka zwykła zawieszać przed Madonną swoją. W marmurze dokoła rozkwitającym w gałęzie, liście i pączki, tkwią miasto drogich klejnotów rozmódlone oblicza świętych i popiersia biskupów. Paryjski to marmur przywieziony z zańorza od chrześciańskich rycerzy Bogu na ofiarę, ojczyźnie na ozdobę, a mistrzom na cuda; zachował ów pod włoskiem niebem ów właściwy sobie atyki rumieniec, którym Helios nasączył kapitele i fryzy Partenonu, jakoby pod greckiem słońcem same opoki rozkwitały w róże. Wyrzezana z niego kazalnica, zdobiąca wnętrze chrzcielnicy, a będąca arcydziełem Mikołaja z Pizy, wskrzesiciela snycerstwa w Europie, staje się różowo-przezroczystą, gdy promień słoneczny na nią pada.

„Te cztery pomniki Pizańskiego pola, zawierają dla chrześcianina tajemnice pochodzenia i dążenia jego u-symbolizowane w nieśmiertelnych z kamienia, złota, farb i mozaiki przenośniach jeniuzu.

„Szczęśliwy tych stron mieszkaniec, ogląda codziennie chrzcielnicę, to powietrzniejsze od ptasiego gniazdo z marmurowych kwiatów i różczek uwite, z którego po chrześciańsku rodem będąc wyleciał, i z grzechu pierwo-

rodnego poczwarki wyklął się, podług wieścza, aniel-
skim motylem *angelica farfalla*. Tuż obok *Campo Santo*,
smętarz podobnież marmurami opleciony i umalowany
temi jasnemi obrazami, które matki zwykły zawieszać nad
kolebką ku rozweseleniu niemowląt, a jeniusz nad gro-
bami ku rozweseleniu zmarłych, gotuje mu miękkie po-
słanie pod ziół zagonami, na ziemi świętej na której
Zbawiciel płakał i krew najdroższą przelał. To krzyżmo
i ten całun, jednolite z jednego marmuru, jak tajemnicę
naszej wiary z jednej prawdy, i jak czas poczynający
się i czas kończący się z jednej wieczności, upowijają
jednostajną białością dziecię nowonarodzone na żywot,
i starca nowonarodzonego na nieśmiertelność. Cyprysy
jak długie grobu firanki, kołyszą nad powtórzonem
z niemowlęctwa milczeniem zmarłych przejrzystą krepę
ciemnia. W przejściu z ciemnioty macierzyńskiego żywota
do ciemnicy i macierzyństwa ziemi, chrześcjanin powi-
tanym i pożegnany tu zostaje przez cuda jeniusza;
słońce wielkiej katolickiej twórczości błyszczy dlań na
wschodzie i na zachodzie jego życia — w chrzcielnicy
i nasmentarzu; a między temi ideami Bożej przez ludzką
rękę cudami, rozwija się dla niego pasmo Bożych przez
południową przyrodę cudów: niebiosa przejrzyste jak je-
zioro, widnokręgi niewyczerpane okiem, i słoneczny na
ich rąbku aksamit pod ziemską zamglenia gazą. —
W taką to świetność przyrodzenia oprawne ukazują się
w Pzie chrześcjaninowi, obok tajemnic narodzenia i śmier-
ci, wielkie tajemnice żywota usymbolizowane także w ar-
cydielach ojczystych budownictwa i jaśniejące dwoistą
katoicką jasnością idei i formy, prawdy i jej godła.
Wiać ta, która się na najdalsze gwiazdy mlecznej dro-
gi rozpromienia, i skupia się w niedojrzałą cząstkę
ohłedną anielackiego, skupiła na odludnem polu będącym
zodiakiem całego chrześcjanńskiego żywota, godła i zna-
ki wszystkich tajemnic w świątyni ogromnej jak ta

wiara, jasnej jak zachwyt, ślicznej jak cień piękności Bożej. Białe i czarne marmury powleka ją całą, jakby królewskimi gronostajami, kopuła w misterne wyrabiana ostrołuki i zamknięta krzyżem wieńczy ją cesarską koroną, a na jej facyacie pięć rzędów karraryjskich kolumn szykuje się z niewypowiedzianą harmonią. Pod temi kolumnami troje spiżowych drzwi rzezbionych przez wielkich mistrzów Gian-Bolonia, Francavilla, Tacca, Mocchi, Giovanni dell' Opera, wprowadza do kościoła; nad niemi zaś, na czole gmachu, wyryto imię budownika, któremu tę cudną facyatę zawdzięczają, błyszczy jak w apoteozie:

HOC. OPVS. EXIMIVM. AMIRATVM. PRETIOSVM.
RAINALDVS. VT. EIVS. OPERATOR. ET. IPSE.
MAGISTER.

CONSTITVIT. MIRE. SOLERTER. ET. INGENIOSE.

„Ale obok tajemnic świętych tak usymbolizowanych i wszystką pięknnością ludzkiej piersi przysłoniętych, modlitwa umilknąć nie może. Po nad chrzcielnicą, po nad polem spoczynku, po nad świątynią Pańską, pćtrójna chrześcianina modlitwa za żywych, umarłych i za siebie do Boga utajonego w świątyni i w błękiecie, modlitwa tęskniąca, niecierpliwa, zachwytna, zrywa się symbolicznie i na kamiennych skrzydłach lekko ku niebu ulata. Czy znasz na kończynie Pizańskiego polu, na którym kolebka, żywot i grób chrześcianina, zbliżone sąsiadują ze sobą, ową cudną wieżycę, *Torre Soria*, którą pobożny mistrz Bonanno, imie niedawno zmarłychwstałe z Pizańskiego śmętarza, gdzie je na kamieniu wyryte znaleziono, wzmógł ku obłokom, a może i pochylił, i która się wiecznie korzy przed majestatem Bożym nieupadającym pokłonem? Rzekłbyś że pñisz średnich wieków, który obwieszczał krucjaty i śjewiał przez Danta, zostawił na odcioie to wieczne z opieki

błogosławieństwo ziemi włoskiej i ziemi Jerozolimskiej, zarówno przez siebie miłowanym i razem tutaj połączonym, i że tę wieżycę zostawił jak symboliczny akt pokory za wszystkie cuda które stworzył, i za piękność idealną, którą wyczerpał prawie do dna. Na tle nieba i gór błękitnych, ta biała marmurowa dzwonnica nachyla się i korzy w siedmiu koronach swęj kolumnady jak okręt pod śnieżnym żaglem nakloniony od wiatru i szybujący po siném morzu. Ta kolumnada, pomimo pochyłości, bieży w koło nięj od dołu do góry; piętro z dziwną lekkością przerasta w inne piętro; kolumna przestrzela się napowietrznie w inną kolumnę, jakoby dla dowiedzenia na téj samęj budowli, na której wielki Galileusz prawa ciężkości odkrył, iż duch człowieczy nie podlega tym prawom, iż ma władzę ujmować samym głazom przyrodzonego ciężaru i z samego marmuru skrzydła sobie urabiać.

„W oplecioném kolumnadą najwyższém piętrze wieży, jak w podobocznęj klatce, zamieszkał chór śpiwnych dzwonów. Prawo kościelne głosi, iż modlitwa nie powinna nigdy upadać na ziemię. Za tym to zapewne idąc przepisem średniowieczni mistrze, robili jęj podstawy z wież marmurowych, i na ich szczycie kładli w usta śpiew w pozdrowieniu Anielskiém odmawianem codziennie do Maryi i do ludzi za obrotem sąsiada ich słońca. Wyrosłe z kamieni, z których Bóg czyni syny Abrahamowe, dzwonnice, kamienne córę Bożę, kapłanki powszechnęj modlitwy, bliższe nieba niżeli ludzkość, przewodniczą od wieków modlącym się pokoleniom, jak nieśmiertelne matki ojczyzny swojęj, i współmodlą się z żywymi za umarłych, którzy się pod ich cieniem ułożyli na wiekiwiste wytchnienie, i którzy jako wędrowcy rajscy spoczywający w ziemi co ze wschodu przywędrowała, mogą się cieszyć świętych obcowaniem co odległości nie zna, bo jest z miłości rodem, i widzieć mogą

jak sam marmur gdyby matka nachyliła się ku nim w ziemię upowitym i szepce im dzwoniąc imię Maryi, to przenajświętsze imię, które matki szeptać zwykły nad śpiącym niemowlęciem!“

Siedząc pod pochyłą wieżą, zaciągałem właśnie powyższe myśli do moich notatek, gdy z nienacka z poza ścian *Campo-Santo*, wśród głębokiego milczenia panującego dookoła, flet jakiś ukryty nader mistrzowsko zagrał sławną arją z *Lucia di Lammermoor*:

Tu che a Dio spiegasti l'ali
O bell'alma inamorata!... etc.

Pieśń kochanka do duszy nieśmiertelnej która rozteczyła skrzydła aby ulecieć do Boga, usłyszana pod Pochyłą Wieżą, przy *Campo Santo* Pizańskim, tak mię wzruszyła jak żadna odtąd muzyka. Donizetti komplementowany przez ukrytego na smętarzu mistrza zachwycił mię jak samo dzieło Bonanna, jak chór dzwonów nad tym kamiennym budownika śpiewem, co go *Terre Santa* zowią! Była to jedna z tych błogich chwil, jakimi duszę naszą nader rzadko darzy połączona harmonia dźwięków i obrazów teraźniejszości i wspomnień, słyszanej muzyki i widzianej piękności...

Dołączam do powyższych notatek przepisanych z podróznego pamiętnika parę słów jeszcze, które skreśliłem w Pizańskiej katedrze. Zachowałem one jedynie jako wierne odbicie uczuć w lot schwytyanych, jako fotografą, wrażenia *ipso instante*:

„Cóż w świecie porównać można do wnętrza Pizańskiej fary, gdzie pobożność rycerzy po stoczonej o grób Zbawiciela walce, w której mocarstwa ścierali kopytami swych koni i korony przerzucali przez ostrza awynych włóczni, gdzie ta pobożność zwycięstw i sławy syta, a pragnąca samotności i ciszy, ndawała się na pustą ścian marmurową, w gęstwinę kolumn przesadzonych jak

drzewa od chrześcijańskich bohaterów ze świętych Efezu i Bizancyi, z Cypru, Koryntu i Parosu, na ofiarę Bogu w Trójcy Jedynemu?— O błogo tutaj w tym lesie z wieczystego kamienia pod same ohmury wyrosłym!— Między temi filary z karraryjskiego marmuru lub ze wschodniego granitu, lubię — w ciemnej głębokości — te malowane okna rozkwitające znacząca pod promieniem słonecznym jak dalekie łąki między drzewami lasu ujrane; ten akant łaciastych kapiteli wyrastający z użyznionego drótem marmuru jak z różoszki Aarona, i okrągłość widnokregu stokroć powtórzoną w romańskich łukach wiecznym bijących wytryskiem z jednego kapitelu w drugi. Lubię po za gęstwą filarów dać jakąś cesarewną wytkniętą od słońca na złotej mozaice chóru lub sklepienia, która się zajmuje od światła jak niebo na zachodzie, i która niebieską chwałą przyodziewa postacie Zbawiciela i Bogarodzicy i otacza światłokołem główki rozkleczonych Aniołów Tadusza Gaddi i Ghirlandaja zacieniających majestat Bedy różnobarwnymi pióry. Lubię w uroczystym milczeniu Pizańskiej świątyni nieśmiertelnych pustelników tej puszcy z kamienia, idealne ducha rzeczywistości pod pędem Jędrzeja del Sarto zamieszkałe, przeczyste oblicza Agnieszki i Małgorzaty, w zachwycie pamiętstwa i męczeństwa, uroczyste, ławie, żądne, wstępujące do wiekniściej jasności a modlące się w cieniu rozłożystych łuków i kolumn białych i czystych jak ich dziewictwo. Lubię śpiew psalmów w zarośniętej kolumnady słodszy od śpiewu ptactwa w lesie najonego, i tę dalekość głosów, i te przerwy, i te uroki dzwonów, które rzasa od czasu do czasu pochyłona gdyby ku błogosławieniu dzwonnica Pizańska, i które wpadają przez rzeźbione podwoje Gian Bolonii i błkają się po wnętrzu kościelnym. Wnętrze to wykładane odgłębionym jak dzwon marmurem, napętnia się od każdego wieżęcy uderzenia jakimś niewymownym na-

powietrznem drżeniem, niedobitem do dźwięku i głosu, lecz rozprószonem w przestrzeni i śpiewającym jak chóry sennych słowików lub bezcielesnych duchów w głębi każdej arkady i w każdym średniowiecznej rzeźby tajniku. Tak zaiste, błogo tu życie spędzać w tej grającej ciszy świętego gmachu, jak ofiarne kadzidło palić się sereem i wznosić myślą pod te kolumny i łuki, wokół tego słońca i tego światłocienia — ku tym mozaikom i tym obrazom, w których Bóg zda się panować nad światem, co jeniusz dla niego stworzył. Dusza tu niepragnie wyrzyc po za kościelne ściany, bo słońce samo przynosi jej przez te otworzyste okna wszystkie barwy jakie tylko pod słońcem tęczą się w stworzeniu; ma ona tutaj kwiaty z marmuru wyrosłe i niezwiędłe, a za każdym promieniem co zabłyśka przez kolorowe krzystały, tak pięknie i harmonijnie robi się w całym gmachu, iż zda się tobie że Boga pierś już dotknąłeś!

Życzylbym sobie, aby dalsiejsi klasycy, którzy przenoszą giełdę nad gmach średniowieczny, i dalsiejsi romantycy rozprawiający o gotyckiej sztuce, którą znają tylko z dekoracyi baletu, dali pokój tym wspomnieniom, co się im o tyle przesadnemi i napuszonymi wydadzą, o ile są szczeremi i wiernymi. Dzięki Bogu niezrozumiemy się nigdy z tymi panami!

Campo-Santo Pizańskie jest przedowszystkiem wielką galerią malarstwa. Freski są własnością i prawdziwem polem popisu włoskiego jeniusza; z fresków dopiero można go dobrze poznać; w nich to on skrzydła swoje całkiem rozpościera. Ale niestety! te poemata ducha ludzkiego wypisane pędłem na ścianach olbrzymich jak na jedynych kartach swęj wielkości godnych, te rodzinne twory pięknej Italii, przyrośłe do ojczystych budowl, do ojczystej ziemi, a z których zabory żadnego przywłaszczyciela wyrzucić niezdolają, coraz bardziej płowieją i nikną! Już w *Campo-Santo* Pizańskim poście-

rały się obrazy Giotto; w Asyżu błednieje codzień wię-
cej ten jego żywot serafickiego Franciszka świętszy od
średniowiecznych legend i od pieśni ludu; *Wieczersze*
Leonarda żołdactwo gołdźmi podziurawiło, a boskie
Zbawiciela oblicze jak z po za mgły na ciebie patrzy;
Skoła Ateńska Rataela osypuje się jak kwiat przekwi-
śły, a w *łozach* jego najcudowniejsza freska *Stworzenie*
światła, wykrobana tu i owdzie ręką czasu, jak licha
stronnieca ucznia, którą nauczyciel poprawiał; *Sąd Mi-*
chała-Anioła zaćmił się stopniowo, a nieograniczonej
potęgi postacie majaczące w tym zmroku jak zamierz-
ehle Tytany: rzekłbyś że cień wieczorny wstępuje po-
mału na niebo sztuki, na którym już nie świeci żaden
wielki katolicki świetelnik!

Lecz wróćmy do *Campo-Santo*. Mnóstwo tam mistrzów
chodziło w zawody aby się anieśmiertelnie zostawiając
ojczyźnie wdowi grosz swego natchnienia. Owoce tego
współbiegania się wprawiają w osłupienie dzisiejszego
widza odwykłego od bohaterstwa w charakterach i od
wielkości w sztuce. Najdawniejszym malarzem w *Campo-*
Santo był Buonamico Buffalmacco zmarły na początku
czternastego wieku, którego styl razi jeszcze sztywno-
ścią i oschłością bizantyjską; Giotto po nim tam malo-
wał w najświetniejszej fazie swego talentu, a te jego
pizańskie freski taką mu zjednały sławę, iż papież Be-
nedykt IX przywołał go do Rzymu; ale z sześciu obra-
zów przedstawiających dzieje Joba mało co już znów
dzisiaj. Ocalała jednak mistrzowska postać Joba na
śmiercienniku, inna będąca wizerunkiem sławnego floren-
ckiego *condottiere* Farinata degli Uberti, który tak nas
zachwyca w *Piekle* Dantę, kiedy zwolna dźwigując się
z grobu pyta wieszczą z niepokornioną mękami po-
tępieńców dumą: *Chi furon li maggiori tuoi?* kto za-
cz twoi przodkowie?; grupa gorzkich i niewczesnych po-
cieszyteli Jobowych, którzy bywają podziśdzień plagą

utrapiionych, szatan skartający przed Bogiem pełen dramatyczności, i Anioł powietrzniany i rafaelowaki. Przez rzadki w Toskanii wandalizm zasłonięto część tych fresków pomnikiem Algarottiego, szambelana wielkiego Fryderyka (jakoby wszystko co należało do bohaterów przeszłowiecznych miało nawet po śmierci kusić się o cudze dobro), który zwłoki dworzanina swego lepiej niż własne uczył, bo sam, jak wiadomo, pośród psów swoich ulubieńców rozkazał się pochować. Filozoficzny doprawdy pomysł godnego przyjaciela Woltera!

Najslabszą może częścią tych malowideł jest sześć obrazów Spinella z Arezzo, zmarłego około 1400 r., z których trzy zupełnie zniszczało. Wyobrażają one dzieje śś. Efezjusza i Potitusa męczenników. Pełna atoli ognia i naturalności freska, na której aniołowie wśród bitwy pomagają świętym do zwycięstwa nad poganami.

Dalaj widać żywot ś. Raniery patrona Pizy, malowany przez Szymona Memmi Seneńczyka i Antoniego Wenecyanina. Do sławy pierwszego nie tyle się może przyczyniły jego obrazy co przyjaźń Petrarki, który mu odpłacił za wizerunek Laury malowany w Awenionie dwoma sonetami przedziwnj dźwięczności:

Quando giunse a Simon l'alto concetto

Ch'a mio nome gli pose in man lo stile, i t. d.

W pracy Szymona zasługuje na uwagę wyjazd ś. Raniery, który wsiadając na końko aby do ziemi ś. odpłynąć, rozdaje swoją ojcowiznę ubogim. Antoni Wenecyanin celuje szczególnie w obrazach powrotu i zgonu tegoż świętego. Prawdziwie komiecznym jest w innym obrazie ów djabeł w postaci kota na heczce siedzący, oraz strach opasłego karczmarza, który takiego gościa zastał w piwnicy, i osłupienie trzech pijaków napół wytrzeźwionych trwogą.

Lanzi, życiopisarz włoskich malarzy, nazywa malowidła Piotra Laurati Seneńczyka tak po tych następu-

jące, najbogatszymi w myśli i najszczęśliwiej natchnionymi z całego *Campo-Santo*. Przedmiotem ich są ustępy z życia pustelników Tebaidy. Tehną one naiwnością i prostotą jak te dzieje Ojców pustyni spisywane przez ich uczniów na gorących Afrykańskich piaskach w cieniu palmowego drzewa.

Ale największa część należy się w *Campo-Santo* dwóm przedniejszym mistrzom: Andrea Orgagna i Benozzo Gozzoli. Orgagna Florentyn, współczesny Danta, malarz, strycz, budowniczy, poeta, odznaczający się tą poważnością, zdolnością, jaką świetnieł zawsze wielcy włoscy jenjusz, zostawił tutaj freski nie tylko pełne mistrzostwa, ale nieocenione także pod względem dziejowym, gdyż wszystkie niemal postacie są wizerunkami znakomitych osób tych czasów. Jego *Sąd ostateczny* zadziwia rozpaczą potępionych, wściekłością szatanów i nadziwiskiem weselem wybranych.

Tryumf śmierci jest płodem bujnej jak Ariosta wyobraźni; Holbein go nie przewyższył w swoich *tańcach śmierci*, a rozmarzona fantazja Holstmana nie bardziej fantastycznego nie stworzyła. Śmierć w żalobnych szatach unosi się pośrodku obrazu i wyciąga szerokowładną kosę swoją gdyby berło nad państwem tego świata, panując zarówno nad wielkością i nędzą, nad dostatkiem i ubóstwem, nad urodą i kalectwem. — Tam w cieniu drzew pomaranczowych szczęśliwi i niepamiętni kochankowie coś sobie szepeą o miłości i rozkoszy; po nad nimi śmierć wieszając się u gałęzi pomiędzy owcami i kwieciami godzą w serce nadobnych pań i dziewię niepostrzeżonemi groty; niepomnę koło młodzieńców i pańien wiedzie dalej po kwiecistej murawie sielankowy lekki taniec; inne znowu pary szukając ochłody pod sklepieniem drzew rozłożystych zapominają się na słuchaniu muzycznych narzędzi i przyładnych miłosnych pieśni błędnych minstrelów. Wszystko to wesołe, łube, u-

śmiechnione, jak *Dekameron* Boccaccia, jak życie wiejskie na wiosnę! Vasari w żywocie Jędrzeja Orgagna powiada, że wszystkie występkę świata z największym wdziękiem oddać potrafił: *face tutti i delitti del mondo graziosissimamente*. Lecz niestety! nad biesiadnym gromem waży się jak jastrząb złowieszczą widziadło, i cios wymierza z góry na nieopatrznych światowców, którzy go nie spostrzegają... Przezorniejsi atoli, umieli się już ulaćnić z tych ponętnych siideł i uciekli na wysoką górę zaludnioną modlącymi się i pracującymi samotnikami. Staruszek ś. Makary zstępując z pustelniczéj wyżyny ukazuje trzem królom, którzy z licznym poczem dwórzan jadą przez gościniec, trzech innych królów nieszczęśliwych leżących w rowie i toczonych od robactwa. Ofiary to także czarnej krążącój postaci, która już trupem położyła siła starców i młodzieńców, kobiet i dzieci, żebraków i panów, mnichów i rycerzy. Dusze w postaci dzieciąt wylatują z ust trupów; aniołowie i czarci wydzierają je sobie w powietrzu. Kilku zgłodniałych nędzarzy zapomnianych od śmierci, w kącie obrazu wzywa jéj gorliwie i zaklina ją tym wierszem, który malarz tamże umieścił wedle ówczesnego zwyczaju;

Da che prosperitade ci ha lasciati,
O Morte, medicina d'ogni pena,
Deh! vieni a darne omai l'ultima cena!

„Od kiedy nas szczęście opuściło, błagamy cię śmierci, lekarko wszelkiéj troski, przyjdź dla Boga, i daj nam ostatnią biesiadę!“

Piekło Jędrzeja dokonczone przez brata jego Bernarda jest pełnem Dantejskich wspomnień. Ś. Franciszek z Asyżu i Dante Alighieri, oba poeci, stworzyli sztukę włoską we wszystkich jéj gałęziach; ich natchnienie stało się wszechobecnem od jednego do drugiego krańca

Italji, ich duch przeszedł wazędzie. Byli oni pierwszymi ogniwami tego magnetycznego łańcucha natchnień, który Platon tak przedziwnie wytlómaczył w swoim Jonie. Latria wieszczów w Italji nazwać się może prawdziwie twórczą; dźwięk jój był pośród średniowiecznych ciemności tém *fiat* nowożytném, na które odpowiedziało rozblýśnienie wszech knsztów i tęcza kolorów malarstwa. Myśl Orfeusza jest zupełnie historją włoskiej oświaty.

Orgagna przerysował postać swojego szatana z *Boakiéj komedyi*. Upadły archanioł, poważniejszy, straszliwszy i bardziej katolicki niż Lucyfer Milтона, jest prawdziwie samowładcą wielkiego państwa płaczu i niedoli, *l'imperador del doloroso regno*. W potrójnej paszczy przeżuwa on trzech zdrajców, Judasza, Brutusa i Kassyjusza; z potrójnego oblicza czarnej, szkarłatnej i pożółkłej barwy ściekają, lzy pomieszane z krwawą posoką, tworzące piekielną rzekę Kocyt, która w lód się ścina pod potrójnym mroźnym wiatrem sześciorga nietoperzych skrzydeł:

Non avean penne, ma di vipistrello
Era lor modo, e quello svolazzava,
Si che tre venti si movin da ello.
Quindi Cocito tutto s' aggelava:
Con sei oechi piangeva, e per tre menti
Goeciava il pianto e sanguinosa bava ¹⁾.

Freski malarza Benozzo Gozzoli, ucznia rajskiego mistrza Angelico da Fiesole, przedstawiające dzieje starego Przymierza, zajmują całą ścianę od prawej strony smętarza. Jestto olbrzymia praca, i jak Vasari powiada, dzieło straszliwe i mogące zatrwóżyć cały zastęp malarzy,

¹⁾ *Inferno*, c. XXXIV.

un' opera terribilissima e che avrebbe giustamente fatto paura a una legione di pittori. Nie tylko że freski te, napelnione portretami, zawierają mnóstwo ważnych szczegółów dla historii osób i strojów, ale nadto pod względem artystycznym przenoszą one wszystko co przed niemi sztuka wydała, a na wielu miejscach zapowiadają Masaccia, odnowiciela malarstwa, i tohną jakimś przeciwcieniem Rafaela. Wieża Babilońska mieści w sobie siła wizerunków; widać w niej całą rodzinę Medyceuszów; w obrazie Salomona występuje Marsilius Ficinus, tłumacz Płatona i wskrzesiciel Platonskiej szkoły; historia Izaaka przypomina *Stanze* Rafaela; przeprawa przez Czerwone morze ma kilka rzeczywiście natohnionych figur niewieścich; a córka Noego zakrywająca na pozór oblicze przed nagością ojca, a krotofilnie tymczasem spozierając przez palce dostała przezwisko *la Vergognosa*, i przeszła w przysłowie: *Come la Vergognosa del Campo-Santo.*

Wzdłuż malowanych ścian bieży portyk czyli galerja z ogromnemi marmurowemi oknami o wspartych na kręconej kolumnadzie ostrołukach. Okna te bez szyb ni zasłon, jak wieczny żywot zmarłych bez tajemnic, zdają się być jedynie zrobionemi na oprawianie błękitu niebieskiego, na którym wycinają białe swoje wzory. Są one dziełem, jak całe *Campo-Santo*, wielkiego snycerza Jana Pizańczyka syna Mikołaja, który je wyrzeźbił 1278 roku. Czworokątny smętarz objęty temi portykami, jest nałożony ziemią świętą przywiezioną z Palestyny w 1228 roku przez Pizańskich krzyżaków na pięćdziesięciu galerach. Bujna murawa go pokrywa, wysokie cyprysy ocieniają, a wielki krzyż kamienny wznoszący się pośrodku i okręcony pomurną różą, panuje nad tym przybytkiem pokoju, gdzie sztuka śmierć dokoła zastaniając odzwierciedliła tylko nieśmiertelność.

Zastanawia podróżnego w *Campo-Santo* przepiękny

starożytny sarkofag z płaskorzeźbą wyobrażającą pelowanta Melantra. Przed nimto Mikołaj Pizańczyk, twórca sławotynnego snycerstwa, poczuł własny jenuz, a studiując ustawicznie ten drogi zabytek przywlekał się być do niego jak Michał Anioł do Belwederakięgo Torso. Hrabina Matylda, Joanna d' Are włoszka, przyjaciółka wielkiego Hildebranda, złożyła w tym sarkofagu zwłoki swojej matki hrabiny Beatry, której grobowy napis daje się czytać na nim:

Quamvis Peccatrix sum domina vocata Beatrix
In tantis misera jaceoque Comitissa.

Przeniesiono także do Campo-Santo grobowiec cesarza Henryka VII, który miał być tym idealnym władcą wyrojonym przez Danta w jego łacińskiej utopii, a którego ten wielki jenuz olśniony blaskiem wieku Augusta i poświęcający mimowiednie marze powszechnej monarchii niepodległość własnego kraju, wzywał tak gorąco niepostrzegając że wołał tylko obcego ujarzmięciela:

Vieni a vedere la tua Roma che piagne
Vidova é sola, e di e notte chiama:
Cesare mio, perchè non m' accompagne!...

Widać tam także łańcuchy dawnego Pizańskiego portu: to godło potęgi czy niewoli spoczywa na smentarzu wespół z umarłymi.

Do pełnych słodkiej tęsknoty pamiątek jakie mi pozostały z Pizańskiego grobowiska, muszę i tę doliczyć: ilekroć chodziłem na *Campo-Santo* widywałem zawsze w gotyckiem oknie starodawnego pałacu, nad zamkniętymi i osnutymi pajęczyną podwojami drzwi pochodzistych, smutną, czarno odzianą dziewczynę. Nieruchomość jej, bladeść i włos zaczesany jak u starożytnych posągów,

czyniły ją podobną do żywej płaskorzeźby pomiędzy kamiennymi postaciami, jakie stały we framugach poczerniałego gmachu. W oku jej ognistém lecz zamgłonym malowała się niedola i poezya młodości. Tylko słońce jak jedyny kochanek igrało w tym ciemnym ostrołuku z tą postacią, w żalobie wyzłacając ramki w których jak obraz stała. Była to jedynaczka właściciela pałacu, córka podupadłej rodziny hrabiów Cor... ostatni potomek rycerzy, którzy ziemię świętą podbili i wznieśli *Domo* i *Campo-Santo* cudotworną prawicą; Ta śliczna żyjąca elegia godna była tych wielkich dziejów, i zdobiła je tak jak kwiaty zwykły groby zdobić..

WŁADYSŁAW KULCZYCKI.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

O Pamiątkach Bartłomieja Michałowskiego, wydanych przez Henryka Rzewuskiego.

Ilekróć pojawiła się jaka nowa książka Henryka Rzewuskiego, zawsze brałem ją do rąk z niemalém oczekiwaniem, ale i z pewną nieufnością, którą pokonywała ciekawość.

Doskonała znajomość stosunków familijnych i podań szlacheckich, połączona ze znajomością świata, wreszcie sam talent pisarski umiejący czerpać, że tak powiem, z pierwszej ręki — oto są tytuły budzące oczekiwanie.

Te zaś, co budzą nieufność, zdają się pochodzić najwięcej z chwilowych, osobistych względów autora, nietylko sprzecznych z głoszonemi przezeń prawdami, ale najdotkliwiej obrażających wiarę i uczucie narodu. Patron opinii i stronnictw potępionych sądem historyi, i sądem sumień, usiłuje wyobrażenia i uczucia ogólne, ciągnąć w tę stronę, z kąd wyszło tyle narzędzi zagłady, z kąd wiara katolickiego narodu doznała najsroższych ciosów.

Jedeli w innych pismach Autora Pamiątek Soplicy znachodziły się tu i owdzie niejakié wskazówki napro-

wadzające na te intencye — to myśl jego wyrażała się więcej ulamkowo, pobieżnie, niż w całej pełni — co pozwalało wnosić, że w obec czerstwiejszych przekonań i sumień, zmuszony był porobić te restrykcyje. Najświeższe zaś, wydane przez niego dzieło: *Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego*, *) obejmujące w pięciu tomach wypadki od r. 1786 do 1815, odsłania w całej pełni myśl — i oddaje ją w sposób nieoszczędzający ani rzeczy ani ludzi — zupełnie jakby swoję publiką traktował *en bagetelle*.

Przed kilku miesiącami, w tymże samym piśmie, mówiąc o pamiętnikach z powodu Pamiętników Ewy Felińskiej — przyganiałem w ogóle nadużyciu tej formy, która ma to do siebie, że nie powinna być naśladowaną, czyli mówiąc wyraźniej: ten tylko ma prawo pisać pamiętniki, kto patrzył na wypadki i brał w nich udział — inaczey pod formą tą, będzie to zawsze romansowa fikcyja, środek podstawienia swoich wyobrażeń i faktów źle posłyszanych, lub połatanych z książek, a zatem przeistoczonych i podejrzaney wiary. Mówilem także, że tylko osobom wtajemniczonym w wysoką grę polityki, stojącym na górującym punkcie towarzyskim, lub umysłowym, przyzwolta jest pisać o rzeczach i ludziach swojego czasu; przypuszczać bowiem należy, że mogą mieć najdokładniejszą wiadomość przyczyn i skutków zdarzeń przed ich okiem dokonanych. Tego tylko rodzaju pamiętniki mają wartość historyczno-zródłową; wszelkie inne przechodzą mniej więcej w kategorię historycznego romansu. Toż i Pamiętniki Michałowskiego nie są niczem innem tylko romansem osnutym na tra-

*) Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego od roku 1786 — 1815 ogłoszone p. Henryka Rzewuskiego. Warszawa nakładem Morawieckiego 1858. — W Petersburgu wyszły dotąd 2 tomy tychże Pamiętników; mają one zawierać wspomnienia Michałowskiego zapewne od jego urodzenia do r. 1786. Dniów tego jeszcze nie mamy.

dyocyach Targowicy, rodzajem pamfletu co w pamiętnikowej formie szarza zacne imiona przechowane ze czcią w pamięci obywatelskiej, a potępione podnosi.

Zdanie to nie jest żadnem uprzedzeniem się przeciw rzetelnym opiniom i wyznaniom pochodzącym od jakiego bądź członka związku targowickiego. I owszem, miałbym to za bardzo cenny dla historii nabytek, gdyby który z naczelników związku, przypuścmy taki światły człowiek jak Bończa Tomaszewski, zostawił był niepodejrzaną relacyę całej téj roboty, z wykryciem zakulisowych działań, tajemnych sprężyn i pobudek, niemniej zgryzot i wyrzutów sumienia w sercach bezinteresownych działaczy gdy celu chybili; interesowani bowiem pochwytawszy starostwa i donatywy, nie minęli się z celem i nie mieli czego rozpaczać. Mam jeszcze to przekonanie, że taki pamiętnik odkryłby nam wcale co innego, jak ów pseudo — Michałowski odkrywa — pod piórem sumiennego człowieka; byłaby to upokarzająca spowiedź z dobrych intencyj, a krótkiego widzenia, z łatwowierności dającej się wciągnąć w zasadzkę, z pychy nie mogącej ścierpieć by się coś dobrego bez nas robiło; wreszcie z niezaszczytnych komerażów i intryg, z świadectw, patrzących na przedajność, na układy i spiskowania przeciw prawej władzy. — Taki, a nie inny byłby to pamiętnik — i dla téj przyczyny choć Targowicki związek miał wielu ludzi z głową i dobrze piszących, przecież nikt nie odważył się rzucić na papier tych wyznań — bo jeszcze cynizmu pióra nie znano wówczas, przewrotów sumienia nie umiano w obec świata drukowaniem słowem usprawiedliwiać, tylko w cichości trawiono swoją nędzę, lub pod tarczą potężnej gwarantki, w dostojenstwach i bogactwach udawanó wzgardę iliwość dla dobrodusznych półgłówków nie umiejących nie wyratować z powszechnego rozbicia, krom uczciwego imienia.

Gdy tedy podobnych pamiętników nie zostawili Targowiczanie, polegaliśmy dotąd na relacjach bądź stronników uchwały konstytucyjnej, bądź ludzi obojętnych względem téj reformy, lecz nie obojętnych dla sprawy ojczystej — wreszcie na sądzie historyków. — Być może iż wszyscy ci nie mogąc się otrząść z namiętności, rzucili za mocne światła i za mocne cienie, a będąc pod wpływem wielu fałszywych wyobrażeń zeszłowiecznych, źle ocenili wypadki, a w spadku biorąc uprzedzenia i nienawiści, nieoddali sprawiedliwości komu się należy, a raczej nie chcieli zmazać piętna hańby wyciśniętego na niejednym czole w doraźnych sądach krajowych zaburzeń. Nie przeczę, ta karta historii jest może jednostronnie pisaną, przynajmniej nie znam żadnej publikacyi, coby ją modyfikowała. Bo i mogłoby być inaczej, kiedy czynności przeciwnego obozu miały tylko oficjalną stronę; bardzo mało tych zakulisowych szczegółów, tych poufnych wynurzeń się co dają klucz do zrozumienia toku zdarzeń, zawikłań i charakterów. Nie z tego nietranspirowało na wierzch, utaiło się bez protestacyi, bez usprawiedliwienia się przed współczesnymi, bez odwołania się do trybunału historii, i poszło w grób z piętnem zbrodni i przekleństwem.

Nie przeczę, to potępiające milczenie mogło być skutkiem drażliwego położenia, okoliczności natężonych, niesprzyjających podobnym protestacyom i spowiedziom, opinii skierowanej odpornie, niewyrozumiałej bo jedną żywioną namiętnością — a mimotego, ani wątpię, niechby się tylko był znalazł dokument rzucający inne światło na tę sprawę, dokument szczerego wyznania, umotywowany szlachetnemi i bezinteresownemi pobudkami, musiałby się wyrobić oględniejszy wyrok, któryby szorstkość opinii złagodził i prawdę we właściwych kolorach okazał. Że go nie ma, chociaż dziś namiętności przygasły, tradycye pozacierają się, aktorowie powy-

mierali, a rehabilitacye są w modzie — czego to więc dowodzi? oto że sumienia jednych tak były obciążone, iż wołały pozostać w przyjętej roli, niż zrzucić z siebie syzyfowe brzemie, gdy drudzy, wciągnięni do współnictwa hasłem obrony starych swobód i praw rzeczypospolitej, choć później poznali fałszywą grę, nie mieli odwagi przyznać się że byli oszukani, a zatem jako narzędzia oszustwa nie wiele mogli wiedzieć o stosunkach, naradach, czynnościach, planach naczelników partyi; wreszcie większa część zacnych bardzo obywateli podpisujących akt Konfederacyi, bądź dobrowolnie, bądź pod naciskiem, rehabilitowała się prędko w oczach współzemiętan poświęcając się publicznym usługom, lub pozostając w mierniej niezawisłości.

Jakież tedy było zadziwienie moje, i zapewne niejednego czytelnika, gdy wzięwszy do rąk Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego, znalazłem w nich bardzo rozciągle traktowaną kwestyę Konfederacyi Targowickiej, a co najciekawsza, okazaną z tej strony, z jakiej jeszcze okazać jej nie odważył się żaden historyk, bo w postaci baranka w walce z wilkiem, czyli stronnictwem ustawy konstytucyjnej.

Jakkolwiek tedy ciekawość moja była wytężoną żeby pochwycić co najwięcej dowodów i szczegółów mogących zmodyfikować zdanie moje w tej rzeczy, przyznam się, że często opuszczała mię wiara w prawdziwość faktów podawanych przez p. Michałowskiego, i gruntowność jego rozumowań. Tego zaś nie inna przyczyna, tylko że po niektórych zdradliwych alluzyach, mylnych szczegółach i datach, oraz zdaniach bardzo dzisiejszych, poznałem iż to jest świeża robota, zapewne samego wydawcy; że żaden Bartłomiej Michałowski nie egzystował, a choćby i egzystował, to był taki, z przeproszeniem czytelników moich, niedołęga, że nigdyby nie zdobył się na napisanie podobnych pamiętników; gdyż ten brak

loicznego tłumaczenia się; te gęste usterki językowe: w składni, ta niewłaściwość użytych wyrazów, widocznie są udane, przez tak znakomitego pisarza jak autor *Pamiętek Soplicy*, aby tém snadniej wmówić w czytelnika, że to kłecił ów niedołęga, Michałowaki.

Dzisiaj nie udają się podobne podrabiania; czasy podrabianych kronik minęły; wreszcie nacoby się zdało podrabiać stare szpargały, kiedy nowe więcej mają pokupu i wielbiciel. Jestto więc tylko forma w którą autor *Soplicy*, obłókł podania jakie miał, wyobrażenia jakie sobie wyrobił, uprzedzenia jakie zatrzymał, kierunek jaki popiera, ale dla tego nie będąc ani naczynym świadkiem opisywanych zdarzeń, ani czynnym aktorem, wynalazł sobie pana Bartłomieja, któremu swoje myśli w usta wkłada, i każe mu żyć wśród ludzi i scen bardzo interesujących, pamiętnych katastrofami, nagłymi zmianami rządów, wysileniami, upadkami i nadziejami.

Niepowiem jednak, żeby pan H. R. szczęśliwą miał rękę w wyborze człowieka, któremu powierzył reprezentacyą swoich wiadomości, wyobrażeń i kombinacyj.

Zkąd się wziął ten pan Bartłomiej Michałowaki? kto go rodzi, gdzie jego gniazdo, jaki klejnot rodzinny? — niewiem, bo nieczytałem pierwszych trzech tomów; koniec dzieła pokazał się wprzód niż początek. Waselako z toku opowiadania tylem dociekl, że za młodu służył w wojsku Cesar skim w pułku Szybiłakiego pod którym bił się w wojnie siedmioletniej, i dostawały gdnioć kurlę, wziął dymisyę z pensyą i pozwoleniem noszenia mundur. Była to więc sztuka wojskowa, ale w jego całem późniejszym zachowaniu się nic niepokazywało człowieka z krwią i sercem żołnierskiem. Zamilewany w wygodkach, niesmiernie troskliwie obchodzi się ze swoją osobą, żyje regularnie jak zegarek, wina niepija, kawkę i herbatkę lubi, a za talerczka dobrego tureczyna przepada — po wielkich tylko waruszeniach czuje się

osłabiony i jedzie do Karlsbada, albo się kuruje piotankowem winem w które tak się zaopatrył, że mu do śmierci wystarczy. Amator ten pokoju i próżniactwa, niczem się nie nietrudni, nawet gospodarstwem; bo szczęśliwy jak każdy samolub, ma pocziwego synowca, który mu zarządza majątkiem i kapitały składa, towarzyskiego rezydenta który go w melancholii rozrywa, wierne służki które nań chuchają. Zapomniałem że miał jeszcze urząd szarabelana przy królu Stanisławie; lecz i tego się pozbywa, gdy naparłszy się jechać z królem do Kaniowa, a nieotrzymawszy pańskiego przyzwolenia na tę podróż, dąsa się i dziękuje królowi za służby. Ma to być ideał niepodległego Szlachcica, co jak sam często powtarza do żadnej partii nienależy — czyli tłumacząc to właściwem słowem: niepodejmuje żadnej czynności publicznej, aby sobie zatrzymał urojone prawo sędzić bezstronnie i jednych i drugich.

I kiedy widział że drudzy tonęli
Mówił, stojąc na brzegu: płynąć nieumieli.

Zapewne przez wybór tak nieszczęśliwej figury i samo opowiadanie ucierpiało niezmiernie. Pierwsze dwa tomy interesują jeszcze jako tako, mniej znanemi anegdotami, gęstymi rozumowaniami i uwagami nad społeczeństwem warszawskiém, nad czynnościami exteroletniego sejmu, szczegółami o figurach partii konserwatywnej (to miano bowiem daje targowiczanom, zapewne dla tego że się ryczałtem w konserwację oddali) za to reszta tomów zawiera same tylko historyczne ogólniki o jakich każdy umie rozpowiadać kto żadnej nawet historyi nieczytał, a nie dopiero ten, kto patrzył na wypadki współczesne. Za to aż do unudzenia znajdziemy tam puste gadaniny o przejażdżkach pana Bartłomieja do krewayoh w Galibyi, jak mu dohrze było u pani

Rzepeckiej, jakie miała krowy, jaki nabiał, a masło tak wyborne, że je aż posyłała do Wiednia. Że mi z całej tej opowieści najwięcej to masło zostało w pamięci, ztąd pochodzi, iż pan Bartłomiej, aż trzy razy powtarza ten szczegół z pewnym znaczącym naciskiem. Miałaby w tym rysie mieścić się charakterystyka kraju, ludzi, instytucyj, stosunków handlowo - przemysłowych, czyli też jest to jedna z licznych naiwności pana Bartłomeja? — Niewiem — ale dość powiedzieć że niepospolicie nudzi opowiadaniem swoich płaskości i amplifikacją najpowszedniejszych przygód. Tymczasem niepospolity pisarz jak p. H. R. miał najszcześliwszą zręczność zrobić z pana Bartłomeja figurę interesującą choć komiczną, gdyby odstępując od formy pamiętnikowej tak niewdzięcznej, gdy się niema dość zasobu aby ją napęlić, wystawił go nam w charakterze miłośnika pokoju i wygódek, narażonego na najrozmaitsze perypece i kłopoty ruchliwych czasów wojen i zamieszek. A właśnie znalazł się był na tym tropie, kiedy pokazał nam pana Bartłomeja w r. 1794 jak w szlafroku i pantoflach i z nieodstępną fajeczką zamyka się i siedzi w domu, co go nie chroni od dostania się do kozy, zkad potem za sprawą pani Grabewskiej, ucieka do Gdańska i oddaje się pod opiekę obcego konsulatu tytułem dawniej służby wojskowej. Przeprowadzenie takiego tchórza i egoisty przez ciąg podobnych katastrof zawierałoby sens moralny więcej budujący niż ten, jaki wyciągnąć da się z całego pamiętnika.

Ale zostawmy już na boku pana Bartłomeja, który miał być dla nas owym ideałem niepodległego szlachcica, co nawet swego króla nieznosi, ale dla tego innym tak często do nóg pada, że szkoda iż niepodał do wiadomości potomnych ile zdarł spodni na tych holdach. Zostawmy go — a zatrzymajmy się na niektórych trafnych uwagach, świeżych anegdotach historycznych, a

wreszcie na nietrafnościach i niekonsekwencyach z równą obfitością rozsypanych w tym dziele.

O królu Stanisławie Auguste takie robi postrzeżenia:

„Żaden monarcha tyle się nie przyczynił do zepsucia obyczajów swojego narodu i do wywrócenia jego przyrodzonej konstytucyi. Wszystko, co było w Polsce starodawnego, już go raziło. Rad był zatracić w narodzie pamięć przeszłości, żeby historia polska od jego panowania się zaczynała. Pomimo wysokiego świata, starodawnego wychowania, nawet niepospolitej nauki, niebył mężem stanu, gdyż wszystkie swoje podrobne namiętności przenosił do swoich rządów. I tak nienawiść jaką czuł dla tych, co ich nazywano magnatami, była głównym bodźcem jego postępków. Myślał, że na gruzach ich potęgi w narodzie, swoją własną wyniesie, i że tym sposobem zostać może samowładnym panem. Całkowite jego panowanie było dążnością do zniechęcenia narodu do rządu wielu, a brania pochopu do rządu jednego jako więcej przynoszącego rękojmi spokojności i bezpieczeństwa wszystkim. Niebyło intryg, którychby zaniedbał, ażeby poróżnić między sobą domy magnackie; *divide et impera*, było jego maksymą. A nieumiał przewidzieć, że nie on, ani nawet szlachta, ale niższe stany, tak dobrze jak nam obce, bō niewyrażające podań narodowych, i sąsiednie państwa korzystać będą z poniżenia magnatów.

„Najstraszniejsza a niegodziwa broń, jakiej przeciwko nim użył, było ułatwienie jakie dał rozwodom. Co mu niebyło trudno po wyniesieniu na Prymasa, omal nie na bezzależnego zwierzchnika kościoła polskiego, rodzzonego brata, pełnego światła i nauki, ale dumnego, mściwego, rozwiązłego i bez żadnej religii. On to porozsadzał na stolicach biskupich kapłanów niedowiarków i gorszącego życia, którzy znowu zapełniali konsystorze kapłana-

mi do nichże samych podobnymi... Przy takich biskupach i konsystorzach jakie oni obmyślili, rozwody w przestraszającym postępie namnożyły się, bo dekret rozwodowy tak rychło następował po pozwie, że niebyło czasu do refleksyi... Z rozwodami mnożyły się procesy familijne, gniewy zawziętości, nienawiści i ruiny wielkich domów. Gdyż przyszło do tego, że można było w jednym towarzystwie spotkać pana wysokiego rodu z trzema, a nawet czterema damami, z których każda była kiedyś jego żoną... Ale czem cios najwięcej zabójczy zadał naszym obyczajom, to osłabieniem związków familijnych. W Polsce stosunki familijne zastępowały niedostatek siły rządowej. Każdy szlachcic uczył się tych stosunków i musiał umieć na pamięć całą swoją genealogią. Do piątego, a nawet szóstego stopnia pokrewieństwa było tak dalece szanowane, że synowiec w tym stopniu nazywał starszego krewnego stryjem i był dla niego pelen uszanowania. Dzieci i wnuki stryjecznych lub ciotecznych braci nazywali siebie braćmi i siostrami, i to samo im przypominało obowiązki miłości wzajemnej. Wyraz kuzyn był tak dobrze jak nieznanym między szlachtą, lub oznaczał niepokrewieństwo, ale jakąś daleką koligacją, której stopnia niebyło podobieństwem skreślić. U szlachty bywały aż nadto często procesy familijne i zwady między najbliższymi krewnymi, nawet nienawiści, ale te były osobiste i nie były przeniesione do życia publicznego. Na sejmikach poselskich, deputackich, ziemskich, procesujący się między sobą krewni, głosowali wspólnie, nierozrywali partyi, na której czele stał zawsze jakiś najstarszy wiekiem krewny, którego zdanie było dla wszystkich jej członków wyrocznią. Pod pewnym względem partye były familiami, i tem samem były tak potężne, że magnaci musieli się apokrewniać z szlacheckimi domami, dla podtrzymania swojej przewagi. Tym sposobem zacho-

wała się równość szlachecka tak dobrze, że wyraz *mésalliance* niedający się tłumaczyć w języku polskim, do piero pod koniec Stanisława Augusta zaczął wchodzić w używanie... Ten duch familijny kaził (zapewne: raził) króla, któryby rodzzonego dziada nie umiał pokazać. On sam, i dowcipni awanturnicy, którymi się otaczał rzucali pociski szyderstwa naprzeciw tego zachowawczego ducha do czego aż nadto im dopomagało zfrancuziałe towarzystwo dworu i stolicy. Co tylko było w obyczajowości narodowej, obrzucone zostało nazwiskiem sarmatyzmu nie tylko w salonach warszawskich, ale nawet na widowniach publicznych. Młodzież nieumiarowana w uniesieniu, przyklaskiwała komedji pana Zabłockiego: *Sarmatyzm* dowcipny paskwil na jej ojców. Jakże związki familijne miały być szanowane?"

W dalszym ciągu dodaje autor, że niemało przyczyniło się do zatarcia narodowego obyczaju, porzucenie stroju polskiego, do czego król dał pierwszy popęd, przyjmując koronę w ubiorze bliższym jakiegoś komedjanta, niż szlachcica polskiego. Trafną z tego powodu robi uwagę: „Ubiór nie jest rzeczą dowolną, on musi coś wewnętrznego wyrażać; i jest koniecznie jakieś powinowactwo między duchem narodu a jego ubiorem.“ Na koniec do przyczyn ściągających charakter dawnego społeczeństwa, kładzie ówczesną literaturę francuską, której niedorzeczności i przewrotne zasady dobrodusznie przejmowano i zamieniano w czyn, z pochoпноścią naszemu narodowi właściwą. Nauki też Woltera, Diderota, Helwecjusza zastosowano praktycznie, co przykładami stwierdza, opowiadając jak trzech kawalerów dopuściło się profanacyi na processyi Bożego Ciała w Warszawie, co im uszło płazem i jak młodzieniec pewien na Rusi dopuścił się podobnej profanacyi wynosząc z kościoła Hestya poświęcaną— lecz tym razem zbrodnia zastała pomimo wszystkich protekcyj srodze ukaraną; winowajcę

odsądzono od czci majątku i szlachectwa i skazano na śmierć; on zaś nieczekając spełnienia wyroku, uciekł do Ameryki. Szlachta niezspsuta jeszcze lepiej umiała dochodzić obrazy Majestatu boskiego niż libertyńska stolica. —

Oto jest jeden z rysów obyczajowych owego wieku wierniej i prawdziwiej schwycony, niż inne odnoszące się szczególnie do osób polityczną grających rolę w epoce reform krajowych. W tym względzie niemożemy odmówić autorowi bystrego rzutu oka, lubo w powyższym następie znajdują się niektóre punkta niezbyt ściśle oznaczone, lub też niezostające w związku z tem co na innych miejscach powiada.

I tak mówiąc o królu przygania mu, że „całkowite jego panowanie dążyło do zniechęcenia narodu do rządu wielu (możnowładztwa), a brania pochopu do rządu jednego, jako więcćj przynoszącego rękojmi spokojności i bezpieczeństwa wszystkim“. — Przyznam się, że nie tę dążność należałoby królowi wyrzucać, ale chyba obwiniać go o brak żelaznej energii w przeprowadzeniu jej; dążność ta z resztą niebyła nową, bo od czasów Jana Kazimierza pracowano nad znieśnieniem elekcyi i pomnożeniem władzy królewskiej. Sam autor przyznaje niżej (karta 160 T. 1) „jako w praktyce zawsze się pokaże, że jedynowładztwo i możnowładztwo są jedyne osie, na których się obracają przeznaczenia społeczności ludzkich“. — Scentralizowanie władzy przez osłabienie sił możnowładzców było jedyną już praktyczną drogą — że niedoprowadziła do celu, winą w tém cięży na możnowładzicach przywykłych od dawna prowadzić politykę na swoją rękę i zachodzić w konszachty z obcemi dwory, aby mieć plecy do stawienia oporu. Przypuśćmy nawet, żeby król oddał się był w ręce możnowładzcom — czyżby to uratowało Rzeczpospolitą? Czyż te partye co wystąpiły przeciw sobie przed i po sejmie

koronacyjnym, byłyby oręż schowały do pochew? Czy obok jednego króla obranego naciskiem Moskwy, nie byłby stanął drugi Elekt Radziwiłłów i Potockich, nie licząc innych piastów coby się na tę godność kasali? Moźnowładztwo zepsute intrygami kandydatów do tronu, miało tylko nieograniczoną pychę i nieumiało się łączyć w zbawczych celach; dowiodło tego związkiem Targowickim. Niemogąc mówić ze ścisłością o tem jakby było, gdyby było inaczej, wskazuję na ten ostatni wybryk moźnowładztwa i na tem opieram wsteczny domysł. Pan Bartłomiej zacięcie polemizując przeciw stronnikom czynności wielkiego Sejmu, każe nam wierzyć że ta reforma wszystkiego złego stała się źródłem, i że w moźnowładztwie był tylko zbawczy środek. Tymczasem przykładami dowodzi rzeczy wręcz przeciwniej, bo malując sprawki tego lub owego magnata, niepokazuje nam wcale owego materyału z którego robia się podwaliny i kolumny, ale same groteski i karykatury dobre na materyał do rubasznjej powiastki lub komedyi. — Snuć ogólniki powabne łatwo, trudniej jest pokazywać na żywych, wiarogodnych przykładach jak stała społeczność.

Mógłbym także pomówić pana Bartłomieja o niesłuszny zarzut zrobiony królowi, jakoby tenże umyślnie ułatwił rozwody, aby moźnowładztwo osłabić. Zaiste byłby to jemiałny, przynajmniej arcydemoniczny pomysł godny machiawelowego *Principe*, — lecz o ile wiemy, nawet między najgorszymi szukając monarchami, jeszczebyśmy nieznaleźli takiego coby zawierzył porozrywać święte węzły rodziny choćby dla własnego interesu — bo przecież tam rząd łatwiejszy, gdzie węzeł rodziny trzyma społeczeństwo w karbach moralnych. — Niegodzi się robić nieszczęśliwego gorszym niż był, zwłaszcza, że rozwody nie są wyjątkiem w porządku ówczesnego świata, ale wszędzie się zagęścili w skutek

filozoficznej propagandy nurtującej w społeczeństwie wyrośniętym na nauce kościoła. — Wreszcie przypisawszy królowi taką machiawelską przebiegłość, wolno byłoby zapytać się dla czego nieużył jej na obronę własnej korony? — Surowo również wyraził się o Prymasie bracie królewskim,¹ który przeciwnie w wielkim rygorze utrzymywał duchowieństwo, jak to poświadcza nawet nieprzyjazny mu Kitowicz pochwalając nakazane przez niego rekolekcyje po dekanatach, połączone z egzaminem z nauk. — Trudno niegodzić się z panem Bartłomiejem tam, gdzie pisze bez chęci ciągnięcia wody na swoje koło, a tylko sumienną prawdę szuka. Do takich miejsc należy ustęp o żydach a mianowicie o ich reformie przez Franka dokonanej. Szczegóły podane są trafnie zestawione, a uwaga mniejsza głębsza: „Nikt o reformie żydów nie myślał, i chciałbym wiedzieć na coby się ona im przydała? Czy żeby ich wyleczyć z zabobonów?... ale pierwej trzeba by się porozumieć co ten wyraz znaczy. Każda nawet prawda dla tego, który w nią nie wierzy, jest zabobonem. Nasi ojcowie bardzo to dobrze rozumieli, nadto się troszczyli swoim własnym zbawieniem, żeby się trudzić zbawieniem żydów a tem dokuczać im na tym świecie. Dopiero kiedy uczucia religijne tak u jednych jak u drugich zaczęły omdlewać, w imię cywilizacyi wzięto się do ich nawracania już nie religijnego, ale cywilnego. Usiłowano tego dokazać, żeby żyd został polakiem, zachowując w ścisłości swoją religię, czyli swoją narodowość; bo u niego to rzecz jedna.“ — Tak się też stało, i rzeczywiście żydzi weszli w towarzystwa chrześcijańskie, które na tym nabytku nie tylko niezyskały, ale owszem tracą wiele; nie masz bowiem zacieklejszych racjonalistów jak reformowani żydzi.

Pod względem historycznym ciekawe są karty opisujące zjazd monarchów w Kaniowie. „Zanosilo się na

wojnę — powiada pan Bartłomiej — między Rosyą a Austryą sprzymierzoną z jedną, a państwem Ottoman-
skiem z drugiej strony. — Wówczas imperatorowa Katarzyna i cesarz Józef, byli w alianście z Polską. Wątpli-
wości nie ulega, że chcieli uczynić naszą Rzeczpospo-
litą współniczką cięzarów téj wojny, i korzyści jakieby
z niej otrzymać można było. Były o to zawiązki ukła-
dów tych dwóch mocarzy z naszym królem. Zdaje się
z tego, co z tych tajemnych układów transpirowało, że
na wypadek pomyślnego końca téj wojny, o którym
nie można było wątpić, królowi było obiecane ustę-
stwo kilku cyrkulów w Galicyi ze strony Austrii, a téj
części Białej Rusi, która na zachodnim brzegu Dniepru
jest położona, ze strony Rosyi; nawet mówiono że do
tego miano dodać Raję Chocimską. — Szczegóły tych
układów jak widzimy, mało są znane; z nich to się wy-
snuwa działanie posła pruskiego Luchezinięgo. Prusy
związane z Anglią, nie tyczącą sobie uszczuplenia granic
Porty Ottomaniskiej, a same nie mające żadnego wido-
ku zyskać coś na ukartowanym podziale Turcyi, krzy-
wo patrzyły na ten sojusz, i aby go rozzerwać, przyjęły
na siebie rolę wybawiciela Rzeczypospolitej z pod ucia-
żliwej gwarancyi rosyjskiej. Działo się to w początkach
wielkiego Sejmu zabierającego się do popraw i reform.
Owóz zręczny margrabia Luchezini, umiał podbijać bę-
benka partyi pragnącej zmian i nowości, a przez agen-
tów swoich działać po kawiarniach i billardach na opi-
nię niższych warstw społeczeństwa.

Znana to polityka — lecz co pan Bartłomiej twierdzi,
że Luchezini nie byłby planów swoich prowadził, gdy-
by nie to, że trafił do panów Stanisława i Ignacego
Potockich, którzy nie mając szczęścia podobać się im-
peratorówéj Katarzynie na zjeździe w Kaniowie, wró-
cili do Warszawy z sercem zajętym na nią i na
ich krewnego pana Szczęsnego — potrzebuje lepszego

dowodu, jak obryzganie błotem tych braci, równie szanowanych w opinii współczesnej jak i potomnej. — Biegnąc całe ich życie pod rozbiór, można przecież dopatrzeć, że nie jakieś niezaprośzenie na obiad w Kaniowie, kierowało krokami ich polityki i wyrachowanym odwetem; byli to ludzie reformy, a uczuciami zawsze nieprzychylni gwarantce, w której widzieli sprężynę poniżenia i upadku Rzeczypospolitej. — Z widoczną niechęcią rzucił p. Bartłomiej wyrok potępienia na pana Marszałka litewskiego i pana Podstolego koronnego, późniejszego Wojewodę i Ministra oświecenia — pomawiając obu o nieumiarowaną próżność, a drugiego o chciwość i egoizm; co więcej, postawił tak obryzganym okom pana Szczęsnego, którego otoczył całą aureolą onót obywatelskich. Tymczasem o ich zasługach miał naród czas przekonać się, bo patrzył na nie lat wiele i w różnych kolejach. Pana Szczęsnego nie widział tylko w przeciwnym obozie, i znał go z aktów budzących smutne wspomnienie.

Zresztą, nie można powiedzieć, tylko że z wyrazem prawdy bezstronnej opisane są pierwsze czynności sejmu, ubieganie się o marszałkostwo w izbie poselskiej pana Szczęsnego, cofnięcie się jego od kandydatury, i wybór Referendarza Małachowskiego, co wywołało takie starcie się zdań, że zaraz odrysowały się dwie partje w sejmie. Jedną dawał impulsy Luchezini, i jak mówi pan Bartłomiej: „był to ciekawy i osobliwy fenomen, widzieć ludzi, którzy uzyskali w całym narodzie odgłos największego patryotyzmu, przez to, iż byli narzędziami czynnymi potencji najniechętniejszej dla Rzeczypospolitej...” Druga partja była konserwatorską, lecz nie powiada od kogo brała impulsy? — Co do twierdzenia jakoby patent na patryotyzm dawał tylko Luchezini, dowcipnie brzmi i ma pozór prawdy za sobą; ale przecież i to wiadomo, że ludzie, jak dwaj Potoccy, Mała-

chowski, Niemcewicz i tyla innych i przed i po sejmie, zawsze używali tej reputacji; gdy przeciwie, wielu należącego do partii przeciwniej, niezaszczytne zostawili po sobie imiona. — Wprawdzie chce nas p. Bartłomiej przekonać, że najzbawieniejsze projekta do uchwał sejmowych wychodziły od partii moskiewskiej; lecz gdyby i tak było, możnaby powiedzieć: *Timeo Danasse*. Tymczasem jest to tylko przekreślenie faktów, i tak, między innymi ten cały następ, oparł pan Bartłomiej na pozorze, gdy mówi: „Projekt nadania mieszczanstwa wszelkich przywilei szlachcie służących, projekt, jednomyślnie zamieniony w prawo, był podany przez Suchorzewskiego Wojskiego Wschowskiego i najzapalczszego konserwatora w całym sejmie, a który potem był jednym z pierwszych, co zawiazali Konfederacyę Targowicką.“ Litania tych projektowiczów, co potem zawiazali Konfederacyę, dosyć jest długa, i zatrzymałaby więcej niż to warto aby pokazać że i tej nie mieli zasługi; jednakowoż co do projektu Suchorzewskiego, winienem dać objaśnienie. Nie z jego to głowy wyszedł plan utworzenia nowego stanu Rzeczypospolitej, czyniący ze stanu miejskiego pierwszy do szlacheckiego stopień, aby w przeciągu lat kilkudziesięciu przełał się stan miejski w szlachecki; wyrósł on bowiem w kole reformatorów i tylko zręcznie podsunięty został Suchorzewskiemu, który pochwycił go skwapliwie, aby, jak sam potem wyznawał, mieszczan zabezpieczonych w prawach swoich, odstępować od patryotów, a do swej przeciagnał fakcyi; party zaś konstytucyjnej sało o to, aby samo prawo przesłać z łatwością, a nie o inicyatywę. Z tej strategii parlamentariskiej, nie warto było robić tak wielkiej rzeczy.

Męczące jest ścieranie się ciągle z panem Bartłomiejem, męczące i dla piszącego i dla czytelnika tych uwag, chociaż już wybieram piątą przez dziesiątą; chociaż wszystko rostrząsnąć samiecznie, trzeba by siła napisać,

żeby poprostować te dorywcze zdania, te jednostronne sposoby widzenia, te apodyktyczne i ponizające sądy o ludziach nie mających u niego łaski, a znowu te panegiryki osób potępionych opinią historyi, sprowadzić do prostego mianownika. Nikt rozważający tę epokę spokojnym umysłem, nie może pochwalić wszystkich czynności, a raczej ducha kierującego stronnictwem konstytucyjnym; ależ znowu nikt się dotąd nie odważył odjąć mu całą zasługę, w praktyce obywatelskiego życia, a przenieść takową na korzyść partii targowickiej, o co się pan Bartłomiej dopomina z takim naciskiem, a w dowodach ucieka się do takich wybiegów i majaków, że podziwiać należy jego talent adwokacki. — Choc on gwałtem wyperswadować nam, że co tylko robili ludzie tej partii było złe i nikczemne, dla tego że się sprzymierzili z alicą; nieprzeczę iż takie przymierze należy do czarnych kart każdej historyi — ale wprzód dowieść potrzeba że Ignacy i Stanisław Potocki, że Niemcewicz, Małachowski, Czacki i tylu innych (księdza Podkanclerzego wyjmując), używali tego narzędzia do politycznej intrygi. — *Vice versa* znowu, daje pan Bartłomiej najzupełniejszą absolucję nie tylko takim Świętosławskim, Złotnickim, Hulewiczom i całej kompanii, ale samemu nawet Adamowi Ponińskiemu, którego li tożnie nazywa „nieborakiem ściganym od opinii.“

Niepodobna przypuścić aby pan Bartłomiej nie znał dziejów swego czasu, chyba można przypuścić że rachując na tak spóźnione wydanie własnych pamiętników, pozwolił sobie kozłów poprzemieniać w barany, i zapewne pomyślał w duchu: kiedy wnuki przeczytają to, uwierzą mi na słowo; bo gdzieby potrafilł mię skontrolować, zwłaszcza że się i pamięć i tradycja zatrze pod wpływem nowych wyobrażeń, potrzeb i skłonności.

Niewiem czy szczerzliwie odgadł pan Bartłomiej, ale to wiem, że nawet bez tradycyi i bez historyi, możnaby

co chwila łapać go na rażących przeciwieństwach. — I tak dając zdanie swe o Targowickiej Konfederacyi, powiada: „Żeby ją osądzić sprawiedliwie *sine ira nec studio*, trzeba nie wypuszczać z uwagi okoliczności, które do niej dały powód. Bez wątpienia jej naczelnicy z boleścią serca widzieli upadek dawniej formy rządowej, bo byli do niej sumiennie przywiązani. Ale wisłoc się mylą ci, co powtarzają, że ich cel był jedynie ułatwić widokom obcej potencji, lub co najwięcej, zwrócić naród do nierządu, z którego Konstytucya 3 maja niby go wyzwoliła. Zapewne że chcieli wywrócić tę nową Konstytucyę, ale nie tyle dla tego, że ją uważali być złą, ile że mieli, że tak powiem *metafizyczne* przekonanie, że ona przez żaden sposób przeciw woli sąsiednich mocarstw, utrzymać się nie da.“

Jakże tu pogodzić między innemi tę sprzeczność? tutaj twierdzi że z boleścią widzieli upadek dawniej formy rządowej, bo byli do niej sumiennie przywiązani, a wyżej mówił, że wszystkie najlepsze uchwały do reform wychodziły z partyi konserwatywnej? Co rozumieć pod zastrzeżeniem: mylą się ci, co powtarzają że partya ta służyła widokom obcej potencji, i że chciała naród zwrócić do dawnego nierządu? — A za cóż jurgelty brali? pytam pana Bartłomieja; przecież żadna potencya nie wyrzuca grossa dla pięknych oszu: panów posłów, hetmanów, biskupów i t.d. — za cóż potem mieli sobie ofiarowane ogromne dobra, pensye, urzędy? Najkomieniej zaś brzmi to *metafizyczne* przekonanie, które powinoby wejść w użyte, dla oznaczenia kupnych przekonań, przedajnych sumień. — Pan Bartłomiej mimowolnie zbaganił język dyplomatyczny.

Szczególniejżną, ma też słabość do swoich wielkich polityków, jak między innymi do Kossakowskiego biskupa inflanckiego. Rady które ten zacny prałat dawał po akcesie króla do Targowicy, szczególniej co do za-

prowadzenia porządku w Warszawie, przypominają potężniejszą epokę, o której marzałek Sebastiani powiedział pamiętne słowo. Kosakowski jest w oczach p. Bartłomieja mętem wysokiego światła, wielkiej rozwagi, umiającym rzeczy przewidywać. — Nie naliczyłbym mnóstwa zasług podnoszonych w tym sposobie; każdy Targowiczanie musi być *eo ipso* doskonały i wytrawny statysta; a każdy ze stronnictwa reformy — partacz. Szkoda tylko że mówiąc ogólnikami dość powszednimi o ich cnotach domowych i publicznych, nie umiał o żadnym przytoczyć choćby jednego takiego rysu, jak znany fakt o jenerale Mokranowskim. Na kilka dni przed wybuchem w Warszawie, przyszedł do niego wojskowi, odkryli zamiar i wezwali na naczelnika. Mokranowski odradzał powiadając że siły ich za słabe aby się mogły mierzyć z wojskiem Igelstroma. Ale gdy mu oznajmili że ich postanowienie niezmienne, że czy zechce należeć, czy nie, /wybuch nastąpi za dni kilka — Mokranowski odrzekł: a więc zgine z wami, i przyjął naczelnictwo. Stało się, że nazajutrz oblednie zachorował na podagrę, a tylko dwa dni zostawało do wybuchu. Mokranowski posłał po swego lekarza Bergoneonię i zapytał, czy są środki w medycynie dla przerwania paroksyzmu podagry? Bergoneoni odpowiedział, że jeżeli w takim razie krew choremu się wypaści, paroksyzm ustanie; ale następstwo tego środka jest straszne, bo chory na chwilę uzdrowiony, wkrótce potem zapada w konwulsye peredyczne tego rodzaju, co je nazywa pospółstwo chorobą s. Walentego. Mokranowski w wilią dnia przeznaczonego do powstania, kazał krew sobie paścić i paroksyzm jakby ręką odjęty został. Nazajutrz walczył z pułkiem Szybalskim i zwyciężył. Lecz później zapadł na epilepsję, która go do śmierci trapiła. — Rys ten mógłby ozdobić karty historii każdego narodu. Postępowanie Targowicy

nie nastrojało sposobu dla tak pięknego upadku, choć gładszą, jeszcze drogą, wiedło do niego Rzeczpospolitą.

Plan pamiętników pana Bartłomieja, metoda jakiej się niby trzymać postanowił, to jest: żeby pozostać po za obrębem obu stronnictw poruszających Rzeczpospolitą — ma za sobą odcień wyższej prawdy, daje pole do sądów niezależnych, otwiera poglądy głębsze i szersze, reasumuje w sobie istotnego ducha narodu; alik gdy przyszło do wykonania, gdy go uniosły uprzedzenia z jednej, zbyt nie skłębienie i płaszczenie się z drugiej strony — stracił równowagę i pokazał się nienawistnym górującej w narodzie opinii, która miała za sobą obywateli z sercem, głową, nieograniczonem poświęceniem się i potężnego sprzymierzeńca w duchu epoki — a znowu zbyt przyjaźnie przemawia za tymi, co działając wbrew tej opinii, niepotrafili nie uratować, ale owszem stali się ze tak powiem dobrymi przewodnikami ostatecznej katastrofy. Gdyby pan Bartłomiej utrzymał się był w charakterze neutralnym, ale nie posuniętym do szczytu egoizmu w jakim pokazuje się od początku do końca, miałaby niechybnie postawić sobie pytanie: ażali związek pana Szczęsnego, acz na pewnych fundamentach zgodnych z duchem i organizmem narodu oparty był na swoim miejscu i w porze? Ażali to odstąpienie się od opinii mającej wziętość i przyczyny swego bytu, bo przygotowanej jeszcze od czasów Leszczyńskiego, a podzielanej przez samego króla, i przez najświatlejsze głowy, a owianej duchem ówczesnego świata — ażali to odstąpienie się i działanie na swoją rękę pod opieką niemilej potencji, nie sparaliżowało odrazu tych sił jakie mogła była Rzeczpospolita w przedświecie się swojem odpornie postawić? Sam król acz z natury słaby, widząc zamysły podzielone jeszcze mocniej zachwiał się, i wypuścił tę władzę którą bezpodzielnie złobono w jego ręce... Związek Szczęsnego

wiedzia i czuł *a priori* że niepotrafi nie ocalić,— kram dogodzenia swęj dumie. Stroanictwo konstytucyjne miało w siebie wiarę od początku do końca i potem. Owóz pan Bartłomiej nieutrzymał się w swęj neutralności; zabrnąwszy w anegdotyczne szczegóły, w charakteryzowanie osób działających, zgubił nie i okazał się chwalcą Targowicy i jęj sprzymierzeńca, a zabiętym przeciwnikiem myśli ogarniającej naród, i nadającęj witalność wszystkim jego usiłowaniom późniejszym: Legiony, Księstwo Warszawskie, Kongresowe Królestwo, był to dalszy ciąg;— dalszym ciągiem Związku Targowickiego, jest chyba ta literatura do której niniejsze pamiętniki należą.

Szkoda! a jednak p. Bartłomiej mógł być oddać wielką przysługę gdyby był bezinteresowną pochodnią prawdy rozświecił te dzieje nie tak dawne, aby dzisiejsze namiętności niewiazały się z niemi bezpośrednio; nie tak wyjaśnione, aby miano o nich zdrowe zawsze pojęcie — ale chcieć być neutralnym sędzią przeszłości to nielata rzecz, zwłaszcza jeżeli komu co chwila zawadzi się pod piórem jaki sarkazm na dzisiejszość, jaka aluxya zbyt namacalna, a głowę zaprzęta myśl zakulisowa, używająca historii, tęg mistrzyni życia, za środek do przeprowadzenia jakichś politycznych spekulacyj. O tęg tedy neutralności pana Bartłomieja można by powiedzieć co Seneka mówił do swego syna nieumiejącego zrobić zakończenia do mowy którą zaczął w najlepszym zapale: I niewstydzisz się to chcieć lepiej mówić, niż jesteś w stanie?— Jak wam niewstyd panie Bartłomieju udawać bezstronność, protestować przeciw stronniczości, a co chwila zdradzać niemoc przyrodzoną?!—

A jednak, piękna była sposobność przy tylu smacownych podaniach, znajomości osób i zdarzeń zrobić dzieło wysokiej moralnej i politycznej nauki, dzieło prawdziwie praktycznego zastosowania w życiu, kodeks

familijny. — Drwić z jednych, kazać drugim, może być zabawne lub nudne, ale niebudujące. A cóż dopiero jeżeli pisarz niecofnął się przed intencją: rzucenia zamętu rozbitcia w umysły przez podawanie sofizmów za prawdy, pozorów za rzeczywistość, i przez podrażnienie opinii w ten sposób, iżby nawet te zbawienne uwagi i postrzeżenia jakie umie powiedzieć ilekroć słucha głosu prawdy i sumienia, znalazły niewiernych. co je odepchną, ze wnętrzem niewiary i rzekną: *Timeo Danaos*.

Pan Bartłomiej nieposzedł ani krok dalej od tego, co dotąd kurs miało, tylko kolory przemienił, i to, co uchodziło dotąd za białe, nazwał czarném, a co za czarne białem. Króla, sejm wielki i dalsze następstwa, wystawia ze strony tajemnej; Targowicki związek, Szczęsnego i adherenów z dodatniej; — jest to tylko zmiana kart i nie więcej. — a gdzież sąd, ooby nas uczył, że ani jedna ani druga partya niebyła w posiadaniu pełnej prawdy, a tylko prawdy niankiem? Czy pokazał chorobę wieku toczącą tak jednych, jak drugich — brak religijnych przekonań? Ów Szczęsny tak podniesiony przezeń jako polityk, miłośnik praw kardynalnych starć Rzeczpospolitej, pan. popularny, cywilizator Ukrainy, istny Rzymianin w obronie złotój wolności, jest tylko pobielanym grobem, blichтром oślepiającym a nie grzejącym i owocującym; wszak on istny poganin w swoich upodobaniach klasycznego materializmu, a nie maż napętniony tym duchem Bożym co mógł jedynie postawić na nogi obalony stary zakon Rzeczpospolitej. Szczęsny zawód swój rozpoczął z młodzieńczym entuzjazmem, który ślicznie odpowiadał bogactwom i ambicyi królika Ukrainy. Na sejmie 1784 występuje w roli wielkiego obywatela i skarbi sobie popularność, jakiej nie miał już i Radziwiłł, a z rozpoczęciem Wielkiego Sejmu cofa się przed samą myślą, że wota poselskie mogłyby nie na jego stronę przeważyć się w wybrze marszałka Sejmu;

Duma magnata nie może już znieść współzawodnictwa — i w pracach niełączy się z narodem, chociaż jako poseł braciawski mógłby tak znacznie wpływać na modyfikacyę wielu postanowień niebardzo zgodnych z organizmem, do którego naród przywykł, a który się wyrobił tarcielem historycznego potoku.

Od tej obojętności, do zawziętości krok tylko jeden; od chwili promulgowania i zaprzysiężenia ustawy, staje się mściwym sędzią, apowataionym od partyi kupieckiej się pod jego chorągwią. — Trafnie głęboki jeden pisarz powiada: „Najsłachetniejszy człowiek nie wytrwa, kiedy go niezapala dach Boży, a zmysły i miłość własna unoszą. Pan Bóg go nieważnie za swoje narzędzie, złym się ludziom dostanie. „Jest to charakter do zgłębienia w dziejach nader ciekawy; stare wyobrażenia, dawne tradycye, krzyżowały się ze zwyczajami i życiem dzisiejszego wieku. Wylew zdań w prawodawstwie i reformach, jakie niemal nastąpić, gdy tamy tak były niemočne i tak kruche? Stare tradycye popadły w lekceważenie zostawszy literę, głosem, nie cynamem. — Potocki człowiek zmysłowy, do dła serca nieprzejęty duchem Bożym, łatwo przez drugich, a nade wszystko przez siebie samego był uwiedzionym. Po raz pierwszy nazywa siebie w pismach *rozsądnym*, i wprowadza ten wyraz do spraw publicznych; odtąd też obojętność i zbytnie zamiłowanie swego bezpieczeństwa, który to typ wybornie pod tym względem reprezentuje pan Bartłomiej w swoich pamiętnikach, zaczął przybierać nazwę rozsądku. — Niepodobna dziś nieprzyznać, że Potocki mimo tego miał w zdaniach swoich rzetelną słuszność, ale że sejm opuścił, od wojska powierzonego sobie odjechał; pokazuje, że pozwolił wziąć górę miłości własnej, obrażonej pyrze, nad uczuciem i powinnością obywatelską. — Odtąd sława jego rozbryła się, została niecelawa. Próżno p. Bartłomiej bierze stąd po-

chop i pioruny ciska na opinię co stawia i strąca swoich bożków. Nie jest w tem wina opinii, która sądzi zawsze to co ją najbliższj dotyka — ale wina człowieka nieumiejącego jej szanować. Pan Szczepny zapomniał tej wyborniej maxymy, a raczej nieumiał się do niej zastosować: *L'opinion publique est une jurisdiction que l'honnête homme ne doit jamais reconnaître parfaitement, et qu'il ne doit jamais déclinier*“. Postawił się jednak, i cóż wywołał? oto te prawa, zasady, instytucye, wierzenia, w których obronie stanął, sam pogruchotał pod piętnem swój samoty. Typ starożytny, wiara dawna, podania domowe, znikły bez wspomnień, bez sympatyi, bez zdolności nawet pojęcia czem były — a tymczasem, reforma posuwała się gwałtownym umysłowym ruchem, niewiadomo, czy jako niezbędny fakt życia, czy zawiew ducha europejskiego. To pewna, że bez tego Związku co tylu nieprawych liczył w swoim gronie, noszących płaszczyk konserwatyzmu, Sejm nie miałby rozpędu na ten skek, który nazywał się Konstytucyą, i który de facto przepołowił nasze dzieje.

Naprawdę usiłuje pan Bartłomiej pokazywać nam jak w kalejdoskopie zaakarnite przymioty umysłowe, wielkie cnoty obywatelskie w ludziach należących do targowickiego spisku — próżny wysiłek a raczej fortel daremny obrócony na zdyskredytowanie tych którym opinia i historia przyznaje zaszczytne miejsce w pamięci potomnych.

Historia nigdy Targowiczian obronić nie może, bo reprezentują żywioł anarchiczny, wojnę domową; żadne prawa ich nie rozgrzeszą, bo sprowadzili obcy oręż na obalenie ustawy którą naród zaprzysiągł dobrowolnie. Wreszcie gdzież w nich te wielkie cnoty, na którychby Rzeczpospolita stać mogła, jeżeli nie chcieli, żeby porównie z duchem wieku stała na prawie narodów? — Jeżeli tylko wywieszali chorągiew złotej wolności, a od-

pierali potrzebę ześrodkowania władzy? — A gdzież to ich enoty prywatne i publiczne? zobaczymyż jak owocowały pod cieniem chorągwi złotej wolności? Oto ci, co powstali przeciw ustawie w obronie złotej wolności, weszli potem w służbę Imperatorowej w rangach jenerałów, pobrali pensye i dobra; sami napelniali akta hańbiącemi manifestami i kłótniami, jak Potocki ze Złotnickim, Świętosławski z Pulaskim — ztąd dowcipnie mówili o nich „Targowica jeszcze fica!“ Ci zażarci republikanie, brygadyerowie złotej wolności, którzy za nieprzyjaciół uważali w manifestach swoich, tych, co się tknęli kardynalnych praw między innymi taki Złotnicki, w kilka lat później hańbił tę Rzeczpospolitą mówiąc o jej bezprawiach, nadużyciach; — ztąd widzimy jaka sprzeczność w ich działaniu, jakie skutki założenia przeciwne. Gdzież p. Bartłomiej pokaże mi taką, niekonsekwencyę w założeniu i działaniu stronnictwa reformy? Na Sejmie wielkim najdroższe przywileje rycerskiego stanu, ten sam rycerski stan niesie w ofierze. Gdzieindziej dzielni królowie długo borykali się ze szlachtą aby jej odjąć na korzyść władzy te przywileje — tutaj szlachta dobrowolnie je składa, a choć nie jest w stanie w tak krótkim czasie przyjść do nowej organizacyi, choć nie urządzi na trwałość — jednakowoż ofiara ducha, jest za sługą, i to niebezowocną...

Zdaje mi się, że te rzeczy wypadło z tej strony ująć panu Bartłomiejowi a nie zasiewać nowy kłół, dowodząc to, czego dowiedzieć nie mógł, bo każdy ma odpowiedź, podobną do tej, którą król dał Mokranowskiemu, gdy mu przyszedł donieść o wyparciu rosyjskiej załogi — i cóż z tego Mospanie?!

I cóż z tego p. Bartłomiej, że mieliśmy Targowicę?

*Pallida mors aequo pulsat pede
Pauperum tabernas regumque turres.*

ten wiesz przyszedł ci na myśl, gdyś się dowiedział o śmierci Imperatorowej i wypaliłeś jej mowę pogrzebową. „Było w tej monarchii — mówisz — coś tak dzielnego, tak żywotnego, tak przestronego, że trudno było przyzwyczaić się do tej myśli, że dała sobie zamknąć między kilka deskami.“ — Rozczulające wyznanie! Pokazuje się, jak nieskończenie różne bywają rodzaje wrażeń: ten obojętnie znosi śmierć ojca, matki, rodzeństwa, a rozczula go śmierć aktora na scenie, zgon kochanki w romansie, lub suczki faworytki. — Przy zamknięciu dziejów Rzeczypospolitej, przy śmierci króla którego nawet był szambelanem, a który zgasł na obcym dworze, nie znalazł ani jednego choćby krasomówczego kwiatu, żeby mu na grobie złożyć... Za to wzięliśmy jesteśmy choćby za jeden rys który przytoczył, rys mający szlachetny charakter tego nieszczęśliwego pana: „Gdy szło żeby wyjednać od króla abdykację, zachodziły w tym wielkie trudności. Król opierał się żądaniom dworów, i żeby dotrwał w swoim oporze, mógł był wiele utargować dla siebie. — To pewna że było kilka projektów wcale korzystnych dla niego. Ze strony Austrii była szlachetna propozycja żeby królowi zostawić Żanudź, gdzie były położone najbogatsze jego ekonomie. Ale te ekonomie były zapewnione innym, przeto projekt upadł sam przez się. Była jeszcze druga propozycja Austrii, żeby mu zostawić Mazowsze, do czego i Rosya się skłaniała, ale Prusy oparły się temu... Nakoniec gabinet berliński zaproponował, aby jakie udzielne biakupstwo w Rzeszy cesarz sekularyzował, i dał w indemnizacyi królowi nie jako dożywocie, ale jako księstwo spadkowe dla jego domu. Król byłby się może i zgodził na to, lecz o projekcie nie wiedział... Otóż trzeba było takiego nieszczęścia, że J.W. Ch. o tych układach niewiedząc, a jedynie uwiadomiony że skłaniano króla do abdykacyi, o co trudności zachodziły z jego strony,

wyrwał się niechęcący, że zadziwia go ta zwłoka. Znam króla, rzekł: niech go zastraszą, że jeśli nie złoży korony, długi jego osobiste nie będą zapłacone; król żeby nie skrzywdzić swoich wierzycieli, na wszystko się zgodzi. Tak się też stało. Wszelkie inne układy zatamowane zostały, bo można było taniej otrzymać czego żądano.“

Król pojechał do Petersburga i tam dni resztę przeżył na łasce dworu... W dwa lat później podobna historia powtórzyła się z Grzegorzem XIII królem Georgii, który abdykował także i umarł w Petersburgu.... ale za Kaukazem, w Georgii, już rządzonej przez generała Cicianowa, została się Mariama wdowa po exkrólu, energiczna niewiasta, która przywiązane do swjej dawnej dynastji plemiona, chciała wezwać do odbicia straconego tronu... Agent jej zdradził ją. Generał Cicianów widząc z tej strony niebezpieczeństwo dla spokojności zakaukaskich krajów, dał rozkaz generałowi Łazarew, przyaresztować ją i wywieść do Rosji..... Nazajutrz jeszcze królowa spała, gdy Łazarew wpadł do jej sypialni, a tymczasem oddział żołnierzy obsadził wszystkie drzwi pałacu.

— Jak śmiesz wchodzić tak do mnie! zawołała królowa zrywając się ze snu. — Wstawaj — odrzekł surowo Generał — oto rozkaz Xięcia Cicianowa! Na tę wzmiankę żywy rumieniec wystąpił na twarz Mariamy; gniew oburzenia tryskał z ocz. *Ciciano copyani!* (Cicianów wyrzutek narodu!) zawołała — i zaczęła przekładać, że jechać nie może, bo dzieci śpią, że dopiero za kilka godzin będzie mogła to uczynić. Łazarew miasto odpowiedzi przystąpił i brutalnie szarpnął ją za nogę. Lecz w chwili kiedy się schylał ku niej, został pchnięty w pierś tak silnym pchnięciem kindzials że go na wylot przeszył. Mariama wyrwała z niego kindział i rzuciła mu w twarz: Tak ginie, kto królowę obraża. Co się potem stało łatwo przewidzieć — Mariama ule-

gła pod siłą i wraz z dziociem wrzuconą została w kibitkę która ją przeniosła do Moskwy, tego portu detronizowanych królów....

Koniec ten ma przynajmniej jakąś poemy wielkości w upadku....

Zamykając powyższe uwagi moje, przyznaję się, pobieżne, niedostateczne, aby były w stanie w krótkim przeglądzie objąć tę masę faktów i uwag nad niemi jakie autor rozsiał w pięciu tomach, starałem się zatrzymać czytelnika przynajmniej na tym punkcie, który jest kulminacyjnym w pamiętnikach Michałowskiego — aby z téj wysokości łatwiej było objąć obie sfery walczących ze sobą wyobrażeń....

Książka ta, jak już mówiłem, mogłaby być wyborna, a jest chybiona. Zbyt namacalna dążność skojarzenia wiary, podań, uczuć narodu, z wiarą, podaniami i uczuciami innego słowiańskiego plemienia wyrosłego na zupełnie innych warunkach, z inną wiarą i posłannictwem, odejmuje nawet tę wartość jaką mają liczne prawdy i poglądy znachodzące się zawsze pod tem paradoxalnem piórem, z którego płyną już złote słowa tajemnic duchowych narodu, już niekonsekwencye i cynizmy równające się lekceważeniu i pogardzie jaką twardy egoista światowy miewa np. dla głodnego nędzarza — bo ofiara miłości najwięcej go kosztuje.

Mógłbym to jeszcze dodać, że pamiętniki te są niejako dalszym ciągiem Mieszanin Bejły — istną mieszaniną prawdy i pozorów prawdy.

La Rochefoucauld w maxymach swoich wyrzekł: „Prawda nie robi tyle dobrego w świecie, ile złego robią pozory prawdy“. — Otoż ten pozór prawdy jakim autor powłóczy swoje opowiadania z przeszłości, aby pod ich pokrywką siał błąd, budzi tę nieufność w czytelniku, o jakiej na początku wzmiankowałem i obraża go, nie tyle z powodu zdań i opinii, bo są przecież lu-

dsie umiejący takowe i w przeciwnikach szanować, ile że usiłuje paradoxami zagłuszyć sumienie, i zatrzeć w niem pojęcie złego i dobrego, a poniżeniem historycznych osób czczonych dotąd, prowadzić dalej tę szkołę skandalu literackiego, którą tak szczęśliwie przed laty rozpoczął, spotykając się w tem z pismami przeciwnego końca. Les extremes se touchent.

LUCYAN SIEMIŃSKI.

ZJAZDY MONARSZE I OPINIA EUROPEJSKA.

Nie uszła bezwątpienia badawczego oka tych co śledzą kierunek ogólny europejskiego ruchu, a przeto zapatrują się raczej na dążność społeczną państw, aniżeli na pojedyncze polityczne wypadki, owa ciekawa ruchu tego strona, przedstawiająca się bardzo wybitnie z okoliczności zjazdów monarszych w ostatnich czasach odbytych. Wobec zjazdów w Sztutgardzie i w Wejmarze, poruszała się sama tylko opinia europejska; wpływ zapowiedzianych nowych odwiedzin monarszych na nią tylko zdaje się wywierać wrażenie. Milczały na widok spotkania się reprezentantów największych europejskich państw, wszystkie inne żywioły politycznego świata. Milczały gabinety, a przynajmniej nie doszła do publicznej wiadomości wieść o żadnych zamienianych notach, przedstawieniach lub negocyacyach dotyczących się rzeczonych zjazdów; wszystkie kwestye i spory szły dalej swym trybem, bez żadnej przerwy i zmiany ani przed Sztutgardem ani po Wejmarze; nigdzie w rządowych sferach

najlepszego poruszenia dostrzedz nie można było, nawet żaden rządowy organ nie oświadczył się uroczystym tonem, nie wypowiedział swego nietykalnego zdania. Jeżeli były jakowe poruszenia bądź w dyplomatycznych, bądź w rządowych kołach, pozostały w jak najstaranniejszym ukryciu, pogrążono je w jak najgłębszej tajemnicy; jakby umyślnie, aby na opinię europejską nie wpływać, aby jej objawom nie stawiać żadnej przeszkody. Może więc opinia europejska uważać je za niebyłe, i za takie je też uważała. Milczały również stronnictwa polityczne, owe zwykle najruchliwsze żywioły w świecie politycznym. One występujące zwykle mader śmiało, zwłaszcza w wypadkach gdzie jak w obecnym, głos rządów nie stawiał zapory, tym razem radek bardzo i zaledwie półgębkiem objawiały swoje zdania, ukrywając równie starannie jak rządy swoje odleglejsze zamiary i nadzieje. Na widok tej niezwyklej polityki stronnictw, przychodziło na myśl, iż nie czują się na siłach rzucenia na szalę owych porad swych politycznych teoryj lub życzeń, że waga stoi za wysoko, a sprawy które się ważą zbyt obszerne, że to ciężary zbyt wielkich rozmiarów, aby ta lub owa dołożona utopia lub kwestya, na jedną lub drugą stronę przeważać miała. Wolały więc milczeć stronnictwa, niż niedosięgnąć lub dosięgnąć, wszy okazać swą słabość i zniknąć w ogromie; wolały czekać skutków i działać w następstwach. Sama też przemawiała tylko opinia europejska, uznając się dość silnym żywiołem aby zabrać głos w tych naradach, których polem zdawała się być cała społeczność, a przedmiotem koleje jej obecne i przyszłe.

Zadawała sobie więc ciągle i głośno pytanie: jakie może być znaczenie owych zjazdów monarszych?.... Było to uznaniem swój siły i przyznaniem sobie niejako prawa do wpływu nie na poszczególne sprawy które się tam traktować miały, ale na ogólną dążność i kierunek

przyszłych skutków. Do uznania tego swęj siły w dzisiejszym systemacie państw, przyszła stopniowo opinia europejska; lecz kamieniem węgielnym w budowie tej jej potęgi są bezwątpienia wyrazy Napoleona III, kiedy biorąc koronę r. 1852 oświadczył w Bordeaux: „że cesarstwo jest równoznacznikiem pokoju.“ Owo poczucie życzeń i potrzeb opinii, owo zaspokojenie jej nad wypadkiem mogącym ją bliskimi jeszcze wspomnieniami zatrząść, owa rękojmią śmiało rzuconą na przyszłość — były to może najpewniejsze podstawy owej przewagi, jaką zdobył niebawem dzisiejszy cesarz Francuzów. Owo uznanie siły opinii europejskiej było najzręczniejszym krokiem tej polityki której teraz zbiera owoce. Niemniej zręcznem było odwołanie się uroczyste do opinii europejskiej Napoleona III w chwili gdy wypadki polityczne zmusiły go niejako do odstąpienia od zapowiadzanego programu. „Opinia jest pania świata — rzekł monarcha francuzki przy zamknięciu wystawy w r. 1855. — ona w końcu zawsze zwyciężyć musi.“ Te wyrazy wyrzeczone podczas wojny wschodniej, przez monarchę dzierżącego głównie w swęj prawicy losy wojny i pokoju, były więcć niż uznaniem wpływu opinii na kierunek ogólnej polityki, były przyznaniem jej prawa do podnoszenia głosu i oświadczenia swych życzeń i potrzeb, skoro do takowych w końcu stósować się musiały rządy w Europie. Mówiąc powyższe słowa, cesarz Francuzów opierał się na opinii, i tłumaczył niejako że prowadzona wojna była tylko koniecznością chwilową, której ułedz musiano właśnie dla tego aby życzenia i potrzeby opinii silniej utrwalić i zaspokoić na później; że przeto odstąpienie od programu w Bordeaux było tylko pozorem. Jakoż zawarty wkrótce potem traktat pokoju w Paryżu przekonał opinię europejską, że wyrazy Napoleona III nie były płonne. Zawarty pokój dał oczywisty dowód i siły i prawa opinii. Nieraz zapewne usta-

wała wojna pod parciem opinii, nieraz zawierano pokój ustępując przed jej przymusem. Ulegano, ale się do tego nie przyznawano. Po raz pierwszy może, życzenie opinii powszechniej uznano otwarcie za główny powód do ukończenia zaciętej wojny, do ukończenia jej bez osiągnięcia stanowczego rezultatu, do zawarcia pokoju zostawiając wszystkie prawie kwestye w sporze będące w zawieszeniu. Rosya oświadczyła otwarcie przyjmując *ultimatum* Austrii poparte przez mocarstwa prowadzące wojnę: „że ustępuje przed powszechnym objawem opinii europejskiej.“ Cesarz Napoleon powiedział wyraźnie: „że lubo wiadome było osłabienie Rosyi w chwili zawarcia pokoju, Francya wojny dłużej prowadzić nie mogła, bo nie chciała tego opinia europejska.“ Zdanie to cesarskie chociaż nigdzie zapisaniem nie było, niemniej jest pewne. Stał pokój w Paryżu, wbrew woli Anglii i pomimo jej olbrzymich kwoli dalszej wojny z Rosją przygotowań. Po raz pierwszy, państwa europejskie prowadzące wojnę, zamieniły to będące w ruchu narzędzie stanowcze, ową *ultimam rationem* w polityce, na trybunał nieustający, pokojowy, i jemu powierzyły rozstrzyganie otwartych sporów, w celu spełnienia życzeń opinii i zastosowania się do przedstawionych przez nią potrzeb społecznych. Jest to wyjątkowy a nader ważny wypadek, który nigdy z uwagi spuszczać nie należy, zwłaszcza w ocenieniu zdarzeń politycznych, nie mających wyraźnie określonego celu i oznaczonego przedmiotu, a mogących jednak wpłynąć przeważnie na ogólne położenie społeczności europejskiej i na przyszły kierunek polityki państw, które są dzisiaj tej społeczności polityczną formą.

Czuła się więc na siłach opinia europejska do zabrania głosu w obec zjazdów monarszych, które właśnie były zdarzeniami należącymi do powyższej kategorii. Przyznawała sobie prawo wpływania na ich skutki; je-

żeli nie bezpośrednio, bo tajemnica pokrywająca rzeczywiste przyczyny zjazdów niedawała jej do tego sposobów, to przynajmniej pośrednio, starając się odgadnąć przyczyny, a stawiając śmiało swe życzenia i nadzieje co do następstw. Czyniła to za pomocą właściwego sobie organu: przemawiała przez prasę europejską.

W prasie tej pomimo niezliczonych odcieni, jedno przebiegało tętno. Różnice zdań, stanowisk, sposobu zapatrywania się w dziennikach, leżały w naturze rzeczy. Nie mówi się tu o takich domysłach, jak na przykład: że zjazdy w Sztutgardzie i Wejmarze były skutkiem grzeczności jakiej dowody zwykli sobie dawać monarchowie, były formą i niczém więcej. Takie ocenienie zjazdów monarszych pojmuje się w *Timesie*, któremu wypadki indyjskie niedozwołyły zabierać należytego głosu w tej okoliczności, a przeto dogadzało jego dumie, zniżyć wypadki o których z całą przewagą zwykłą Albionowi nie mógł rozprawiać, do rzędu pospolitych zdarzeń bez wielkiej politycznej ważności. Trudniej sąd podobny zrozumieć w *Debatach*, pomimo ducha stronnictwa które w nich przebiega. Dziennik ten do wyższego poglądu w swych kolumnach przyzwyczaił był Europę. Może to posłużyć za dowód, jak dalece zmaleć może organ publiczny skoro zagrzeźnie w jednej kolei, opuszczonej, a z której mu upór lub zaślepienie wydobyć się niepozwała. Taką koleją dla *Debatów* jest parlamentarizm. Ów pryzmat przez który się na wszystkie wypadki zapatrywać usiłuje, zaciemnia tak bystry dawniej wzrok jego do tego stopnia, iż nie widział, że niema przykładów spotkań między monarchami nie przypadkowych ale umyślnych, o mil kilkaset, bez żadnego innego celu prócz oddania sobie wzajemnej grzeczności, a do tego między monarchami nie stojącemi z sobą w żadném przymierzu.

Pominać także wypada zdanie: że koleje żelazne uła-

twiając dziś podróże przyczyniły się do zjazdów o których mowa, a oraz że im odjęły znaczenie jakie miały dawniej spotkania się monarchów; — bo to co najwyborniej zastosować można do podróży prywatnych, traci zupełnie swą wartość w podróżach monarszych. Koleje żelazne ułatwiły bezwątpienia wszelkie podróże, ale monarchowie podróżowali zawsze z łatwością. Chodzi tu o wolę monarszą, i o pobudkę téj woli, a nie o łatwość jej wykonania. Inaczéj przypuścićby wypadało, że zjazdy są dziśéj przypadkowe, a takową przypadkowość sprowadziły koleje żelazne. Tymczasem zjazd Sztutgardzki nie był więcéj przypadkowym jak zjazd w Osnabröke za pomocą parowca, lub też dawniejszy zjazd w Erfurcie na który przybyto w powozach. Nie ma również powodu dla czego owa łatwość jaką nastęrczają koleje żelazne, miałyby ująć lub zmniejszyć znaczenia dzisiejszym zjazdom monarszym. Odbywają się podróże prędzej, ale z tą samą co dawniej uroczystością; odbywają się częściej niż dawniej, to prawda, ale wymagają tego zapewne okoliczności i interesa państw. Podróże i zjazdy monarsze powtarzające się ciągle w ostatnich latach, będą niezawodnie znamieniem polityki tego okresu w historii, a niemniej znaczenie ich zależy od przyczyn które je wywołują, od następstw jakie za sobą pociągają, a nie od sposobów jakimi się odbywają.

Bliżej podobno odgadnięta przyczyny tak częstych zjazdów monarszych stanęły te organa europejskiej prasy, które ją upatrywać chciały, w potrzebie zachowania tajemnic dla niektórych bliższych porozumień się między rządzącemi w sprawach zwłaszcza dotyczących się nie tyle interesów państw pojedynczych ile ogólnego kierunku polityki czyli systematu całego. W rzeczy samej, owe odwoływanie się w ostatnich czasach do opinii europejskiej, uznanie jej jako potęgi z którą się polityka rachować winna i której życzenia w końcu uwzględniać

musi, wywalało pewną jawność, korzyść może z jednej strony, tam gdzie działanie jest rozpoczęte, i odbywa się otwarcie jak podczas wojny wschodniej, ale również jeżeli nie szkodliwą, to niesławodnie bardzo niedogodną z drugiej strony, to jest tam gdzie zamiary lub projekta nie przeszły jeszcze w czyn i pewnego czasu lub porozumienia się do dojrzałości potrzebują. Wszelkie negocjacje, konferencje, sesje dyplomatyczne, stawają zaraz przed opinią europejską, a ta biorąc na siebie rolę trybunału, orzeka swój wyrok, i bądź jak bądź wpływa zawsze na dalszy bieg procesu, chociaż wyrokuje o sprawach zaocznie. Jawność ta do jakiej łatwo bardzo przyzwyczaili się opinia w Europie, nie była bynajmniej wynikiem dobrowolnego ustąpienia gabinetów i dyplomacyi od dawniejszych form i przepisów, ale była niejako nałożona koniecznością, prostem następstwem owej przewagi danej w ostatnich czasach opinii europejskiej, przewagi której zresztą nabyć musiała w systemacie solidarności państw. Dobrze więc powiedział jeden z dzienników, że nikt nie będzie wiedział o czem radzone w Sztutgardzie, bo cesarz Napoleon jak wiadomo nigdy swój myśli nie wypowie i nie bez przyczyny porównywane go do Wilhelma któremu historia dała przydomek „milczącego“; cesarz Aleksander ma posiadać tenże sam przymiot, a dla hrabiego Walewskiego i księcia Gorczakowa zachowanie tajemnicy nie tylko jest zwyczajem ale koniecznym obowiązkiem. Wszakże dla tego właśnie, że zachowanie tajemnicy jest obowiązkiem mężów stanu, czemu zaprzeczać nikt nie myśli, obowiązkiem którego ściśle dopełniają, nie można samym tylko usiłowaniami uchylać swych sądów przed jawnością przypisywać wypadki zdarzeń monarchycznych. Nie brakuje nigdy panujących na lądach którymby się z zupełnem zaufaniem wycofać mogli; nie mówiąc już o korespondencyi własnoręcznej, chociaż nie wiadnieć czyliby i jak dalece

wolno było do tak wysokich sfer zastosować znane przysłowie, prawdziwe we wszelkich innych stosunkach: *scripta manent*. W potrzebie więc zachowania doskonałej tajemnicy przed opinią europejską pewnych widoków i zamiarów, upatrywać tylko można jedną z podrzędnych pobudek, do części jej niż kiedykolwiek zdarzających się dzisiaj zjazdów monarszych; ale nawet i w takim razie gdyby owa potrzeba miała być głównym ich powodem, pozostają zawsze w ukryciu te widoki i zamiary, które stanowią prawdziwe ich znaczenie, i od których zawisły przyszłe ich dla Europy następstwa.

Owóż eo do tych właśnie widoków i zamiarów, jakże rozmaite były domysły organów europejskiej opinii! Jedne chciały w nich widzieć cele wyłącznie dynastyczne, inne zupełną zmianę w polityce Francyi; jedne zbliżenie Anglii do Rosyi za pośrednictwem Napoleona, inne nadwergęcenie przymierza anglo-francuskiego na korzyść Rosyi. Dla niektórych zjazd w Sztutgardzie był tylko ostatecznym krokiem po wojnie wachodniej, zatarciem stanowczem ówczesnych nieporozumień, dla drugich był podstawą nowego przymierza. I tu jedne domyślały się podwójnego przymierza Francyi z Rosją, inne potrójnego Francyi, Rosyi i Anglii. Upatrywano, to przewagę Rosyi, to przewagę Francyi, to pognębienie Anglii, to upokorzenie Niemiec. Lękano się o równowagę europejską, którą znów miał przywrócić zjazd Wejmarski. Występowały i rodowe niechęci, i historyczne wspomnienia spotkań monarszych w Erfurcie i na Niemnie. Wydobywały się na jaw antagonizmy państw, i interesa do wyłącznej polityki tego lub owego mocarstwa należące; mieszały się wszystkie kwestye w sporne będące, i bliższe rozwiązania, i dotąd niesknięte; i kwestye polityczne, jak kwestya księstw Naddunajskich i duńsko-niemiecka, i dyplomatyczne jak zerwanie stosunków między Neapolem a państwami zachodniemi, między Sardynią a

Austrią; i społecznie jak redukcya wojak, i czysto materialnie jak traktaty handlowe; — nięsały się i składały prawdziwy chaos najsprzeczniejszych walosków, obaw i nadziei....

Chaos ten istniał i istnieje jeszcze w prasie europejskiej, pomimo że większa część dzienników odwoływała się do systematn solidarności interesów ogłoszonego na kongresie paryżkim. I nie mogło być inaczej. Jakkolwiek bowiem idea państwa zastosowana w praktyce i przyjęta za formę polityczną społeczności, musiała spowodować systemat solidarności interesów, wiążąc między sobą interesa indywidualn różnych społeczeństw czyli państw, tak że jedne zagrożone działać by nie mogły, aby natychmiast drugim nie groziło niebezpieczeństwo; to jednakowoż systemat ten, jak wszystkie inne, nie może być doskonały. Rozbierając go dawniej i nieraz obszernie na tem miejscu, wykazanem zostało, że cała ścisłość jego teoretyczna, pozostawia wiele do życzenia w praktyce. Trudność największa zależy i zależyć będzie na tém, aby wszystkie interesa pod ową podciągnąć solidarność. Mimo najlepszej chęci, największej zgody, najbliższego porozumienia się, zostaną zawsze sprawy wyłączone tego lub owego państwa, zamiary osobiste, dążenia i prawa tradycyjne, historyczne, ambicje panujących, wpływy i okoliczności, które się nie dadzą urządzić żadnym ogólnym systematem, ani się poddadzą wyrokowi żadnego trybunału. Zniszczyć trzeba wprzód naturę ludzką, i skazać się na wieczne ze świata naszego wygnanie. Jest ona i pozostanie zawsze potężnym w polityce żywiołem. Walczy ona od wieków z prawem: jakżeby nie miała walczyć z systematem w którym interes ogółu zastąpił prawo. Interes ogółu czyli europejski, żywioł nader elastyczny, dający się różnie tłómaczyć, jakżeby nie miał być nieraz w sprzeczności z interesem państwa, który znów jest najwyższym bodźcem

w polityce każdego mocarstwa?.... Nie ma się prędo czemu dziwić owym różnicom w rozumowaniach, sprzecznościom w twierdzeniach, niegodom w sądach wydanych o zjazdach w Sztutgardzie i Wejmarze. Były one bowiem właśnie polem, na które wszelkie trudności, anomalie i niedokładności systemu politycznego wyciągnąć musiały jakby na jakowym przeglądzie wojakowym. Każda z nich bowiem mogła być przedmiotem narad monarszych, a w niepewności, czyli nie została wywołana, żadna nie chciała pozostać w tyle bez wypowiedzenia swego prawa i wniesienia swój obrony.

Niemniej atoli miały słuszność dzienniki powołując się na systemat solidarności, kiedy się starały odgadnąć przyczyny zjazdów monarszych. Nie mogły ani lepszego ani słabszego obbrać stanowiska. Monarchowie na tych zjazdach byli reprezentantami państw. Czuła cała Europa że nie chodzi tam ani o dobro, ani o honor lub sławę jakiego narodu, ale że się tam waga interesów państw, że idzie o zachód i północ, o środkową Europę i jej w polityce ogólnej znaczenie. W Sztutgardzie widziała Zachód i Rosyą; Rosyą i Niemcy w Wejmarze. Państwa reprezentowały wielkie europejskie działy, tak jak cesarzowie reprezentowali państwa. Jako takich obowiązujący ich systemat solidarności służący za podstawę polityce ogólnej. Jeżeli więc w zastosowaniu tego systemu do narad odbytych przez monarchów, nie mogła prasa europejska znaleźć klucza do odgadnięcia zagadki co mogło być ich przedmiotem, to w każdym razie systematów rzucał światło pewne na wypadek zjazdów, na widoki i zamiary, które je spowodowały, a zwłaszcza sprostował do należytych rozmiarów sprawy i kwestye, które stały lub więcej prawdopodobnie były w tych spotkaniach traktowane, i zaspokajał choć w części obawy co do następstw jakie na przyszłe losy Europy ciągnąć mogły. I tak na przykład: wszelka kwestya dynastyczna, czy

to jej założenie czy utrwalenie na osi mająca, jest zupełnie ważną, ale nie jest nią tak jak była dawniej, gdy dynastye związane były niejako z historią i tradycją narodów, a upadek ich jeżeli nie paralił na zawsze istnienie narodowego, to przynajmniej zmienił całkiem jego polityczne stosunki i znaczenie, sprowadzał często króć długie wojny i rozlewanie krwi. Przymiarywane dawniej wyobrażenia do dynastyi i do ważności tej idei, jeżeli istnieją jeszcze w dzisiejszym systemacie państw, to są w nim prawdziwym anachronizmem i polityczną sprzecznością. Skoro państwa istnieją tylko na mocy traktatów, dynastye zależą tylko od uznania. Narodu stworzyć nie można, jeżeli go nie ma. Państwo utworzyć można: konferencya paryska dzisiaj ma utworzyć jak mówią państwo rumuńskie. Może więc postawić i dynastję. Nie jedną też widzimy takową traktatową dynastję, jak na przykład belgijską i grecką. Ale z innej strony zniknęło dynastyj, bez wywołania żadnego wstrząśnienia? Dostę wymienić księcia Bordeaux, Hrabiego Paryża, hrabiego Montemolina. Którę państwo teraz wypowiedziałoby wojnę drugiemu w obronę dynastyi? Dynastya przestała być uważaną jako fakt który dawał prawo jak dawniej; ma on za sobą prawo tylko tak długo jak długo ma siłę, lub jak długo trwa traktat na którym się opiera. W ostatnim razie dynastya uznana jest *de facto*, w pierwszym zaś obejduje się bez wyraźnego uznania. Jeżeli zaś dynastyi brakuje siły aby się utrzymać w państwie, napróżno odwoływałaby się do drugich z dynastycznem swem prawem. Słowem w polityce państw, dynastya ważną odgrywa rolę, ale głównie jako zasada zachowawcza. Interesa dynastyczne, wypada zapewne rachować do owych trudności któreby wywołać mogły rozmaite w polityce obecnej wstrząśnienia, mogłyby bowiem łatwo stanąć w sprzeczności z systematem solidaryzmu; lecz z drugiej strony i to najważniejsz-

sać, systemat ten rozciąga nad niemi swe skrzydła po-
jednawczo, jako nad interesami należącemi do sfery
zachowawczej, której on chce być najsilniejszą rękojmnią.
Z tego punktu zapatrując się na kwestye dynastyczne
otwarte lub otworzyć się mające w Europie, i pomijając
dynastyę Napoleońską jako zbyt silną aby ją za kwestyę
uważać można, ani przyszłe sukcesye Duńska i Grecka,
ani nawet nowa dynastia w księstwach Naddunajskich,
gdyby do tego przyszło, a do czego jeszcze daleko —
nie są sprawami któreby stanowiły zmiany w położeniu
Europy wprowadzić mogły, jeżeli się nieprzypuszcza
innych okoliczności, nieprzewidzianych dzisiaj, a osła-
biających lub niweczących systemat obecny na kongre-
sie paryskim oparty.

Systemat ten w ocenieniu ważności wszystkich innych
kwestyj politycznych na szczególny wzgląd zasługuje
już przez to samo, że rozstrzygnął ową najmniebezpie-
czniejszą w polityce kwestyę interweneyi i nieinterwen-
eyi. Rozstrzygnął ją zaś przyznając sobie prawo ciągłej
i nieustającej interweneyi w kwestiach które za euro-
pejskie uważa. Konferencye są wyrażeniem tego prawa
a oraz jego praktyką. Przyznanie sobie tego prawa
w systemacie obecnym polityki państw, było, wyznać
należy, ściśle loicznym; bo jeżeli ma być solidarność in-
teresów, nie słabszego jak interwencya w tych in-
teresach każdego solidarnego członka i wszystkich ra-
zem. Interwencya ta może być częstokroć niedogodną
dla jednego lub drugiego państwa, w tej lub owej kwe-
sty, niemniej atoli jest ona pewną rękojmnią dla ogółu
społeczności, skoro ję obodzi tylko o zachowanie spo-
koju i niewywoływanie wstrząśnień. Zmieniło się bowiem
tym sposobem znaczenie polityczne spraw i sporów mię-
dzy państwami. Głównie o to się rozchodzi czy kwestya
uznana jest lub nie, za europejską. Dopóki nią nie jest
może być wyłącznym przedmiotem negocyacyj i sporów

między państwami których się tyczy; lecz skoro tylko większe przybierze rozmiary, i groźniejszą barwę, iżby z niej wypaść mogła wojna, która w dzisiejszych stosunkach uznana jest prawie *a priori* za europejskie wstrząśnienie, natedy sięga do niej prawo solidarności interwencji i pod trybunał konferencji oddaje. Przykładem takowego działania systematu solidarności była nie dawno kwestya neuchatelaska. Według systematu więc przyjętego na kongresie paryzkim, wszystkie kwestye obecne polityczne i dyplomatyczne, jakkolwiek ważne i mogące być przedmiotem narađ na zjazdach monarchicznych, nie powinny były niepokoić opinii europejskiej; jedne bowiem jako już uznane za europejskie należą do konferencji, inne zostając na polu wyłącznych negocyacji, świadczą tem samem, że nie znikła dotąd nadzieja załatwienia ich sposobem pojednania i zgody. Wprawdzie, i tu w praktyce niedokładność systematu ukazałby się mogła; niesforność którejś bądź kwestyi mogłaby zniweczyć zastosowanie owego pokojowego narzędzia jakim są konferencye; godność, niepodległość lub interes państwa mogłyby także szorstko wystąpić i oprzeć się systematowi solidarności. Ale zawsze opór jest trudny jednemu przeciw wszystkim, *nec Hercules contra plures*; do przypuszczenia nawet niepodobny, chyba tylko za pomocą nadwergężenia europejskiej równowagi, przez zawiązanie koalicji to jest wszechwładnych przymerzy.

Zorzę też takowych nowych a niebezpiecznych przymerzy upatrywało wiele dzienników w zjazdach monarchicznych, zwłaszcza w Sztutgardzkim. Lecz i tutaj usnąć mógł zbyt obawy systemat solidarności, dopokąd istnieje, a nie było powodu wątpić, aby przestał być obowiązującym monarchów w Sztutgardzie, zwłaszcza cesarza Francuzów, który powołując się na opinię europejską, składał dotąd najoczywistsze dowody, że w owym sy-

attentacie upatruje główną swoją siłę i potęgę — że pierwszy poczuł jego potrzebę jeżeli nie konieczność, i był jego w polityce rzecznikiem. Ustupując przed opinią europejską w wojnie wschodniej, zawierając pokój aby zadość uczynić jej życzeniom i potrzebom, chciał niejako praktycznie dowieść, że poczwórne przymierze mocarstw w ówczas wojnujących, niebyło koalicją. Koalicje są prawie niepodobne w systemacie politycznym, w którym ustępować muszą przed opinią europejską. W rzeczy samej, przyglądając się bliżej równowadze europejskiej ze stanowiska systemu solidarności, uważać wypada że zmieniła ona dawne znaczenie. Równowaga dzisiaj ma być naturalnym wypadkiem zbiorowej federacji, w której wszystkie państwa są sprzymierzone z sobą, bez żadnego prawie wyłączonego między jednym a drugim przymierza. Przestała ona spoczywać jak dawniej na przymierzach że tak się powie zasadniczych, dzielących Europę na dwa obozy: zachowawczy i rewolucyjny; ani też na przymierzach interesów zaspakajających takowe ze szkodą trzeciego; — bo państwa przyznają się wszystkie do wspólności zasad i solidarności interesów. To co dawniej przyjętem było w polityce „że kto nie z nami, ten przeciwko nam“ — nie ma dzisiaj zastosowania. Wobec systemu solidarności zmieniło się tak dalece dawniejsze znaczenie przymierzy, że Erfurt i Tylża mogą być tylko wspomnieniem, ale nie są żadnym punktem porównania dla Sztutgardu. Przykładów na to dostarczyły obficie liczne przymierza zawarte w latach ostatnich. Zawartem zostało przymierze Anglii z Francją, później tych dwóch państw z Austrią, pomimo całej różnicy zasad jaka się znajduje w rządach ich wewnętrznych, w tradycyjnym kierunku ich dawniejszej polityki i w bieżących interesach. Przymierze anglo-francuzkie nie ustatkowałoby chociaż pokój został zawarty wbrew przygotowań wojennych Anglii; trwa dotąd pomimo ca-

też różnicy polityki francuskiej w sprawie księstw Nad-
dunajskich. Któż wątpił, że dawno przymierze tak zwa-
ne „święte“ zerwane zostało, gdy Austria przystąpiła
do nowego przymierza 2go grudnia 1854 r., a nie ma
dowodu aby istnieć przestało przymierze 15go kwietnia
1856, chociaż interes Austrii stoi w sprzeczności z po-
lityką państwa które to przymierze podpisało. Traktat
przymierza 15go kwietnia zdawał się jak najwyraźniej
nosić piętno koalicji, dla przeprowadzenia jak najściś-
lejszego warunków pokoju z 30go marca; znał to
znaczenie jego w dalszym rozwoju następstw tego pokoju.
Skoro bowiem wszystkie sprawy mające ogólny interes
dla państw, czyli kwestye europejskie, — a któreż nią
być nie może? — mają być poddane pod trybunał sy-
stematu solidarności, mający o nich stanowcze rozstrzy-
gać, przymierza mogą być zblizeniem lub poręcznikiem
się w jakowej kwestyi, ale przeszkadzają być owym środ-
kiem bezwzględnyim wykazania pewnych widoków i za-
miarów, czem były dawniej przymierza zawierane między
narodami. Mowa o prawie *międzynarodowem* w dzisiej-
szej polityce brzmi jako oczywista anomalia, i wyrażenie
to zmienić by należało. Nie ma dzisiaj *stosunków mię-
dzynarodowych*, są tylko *stosunki między państwami*.
Możnaby nawet powiedzieć, że przymierze między pań-
stwami najwyżej w systemacie solidarności sięgnąć zdo-
ła aż do porozumienia się, czyli tę lub ową kwestyę
uważyć za europejską, i takową wnieść przed konferen-
cyę. Koalicya działać do tej jedynie okoliczności ogra-
nioną być się zdaje, a i w takim razie jeszcze wypa-
dałoby jej, zadając to przedstawić wszystkim państwom,
i wymagać aby się na nie zgodziły. Z konferencyj zaś
koalicya jedynie wypadłby mogła, gdyby nie za pomocą
jednomyślności ale za pomocą większości głosów roz-
strzygać tam miano. Być to może, bo nigdy za wiele
dewotyzować się nie da, że żaden systemat nie jest dosko-

małą przeciw sile rękojmnia; ale niemniej w takim przypadku musiano by pierwój wyrzucić systemat przyjęty; niemniej prawdą jest, że obok systemu dopóki ten istnieje i jest uznany, headioya stanowcza jest niepodobną — może być tylko groźba i obawa politycznej przewagi.

Lubo wszystkie te uwagi pełnie tylko dotknięte, były już w niższym piśmie obszernie rozbiegane, po-
minając je wszelako nie można było chcą wykazać całą słuszość jaką miały za sobą dzienniki, opierając się na systemacie solidarności w ocenianiu zjazdów monarchystycznych. Miały ją zaś za sobą tem więcej, że przemawiały imieniem opinii europejskiej, i inaczej odzywać się nie mogły. Jak bowiem systemat solidarności nie jest-byłby-
mniej systematem *a priori*, ale prostem następstwem ujęcia społeczności w formę polityczną opartą na idei państwa, tak znów opinia europejska jest również nieuniknionem następstwem systemu i koniecznym w tym systemacie żywiołem. Bo jeżeli każda kwestya może stać się europejską, jak na przykład kwestya organizacyi księstw Naddunajskich, jeżeli w każdym interesie europejskim wszystkie państwa są solidarne, to znów nie może być inaczej jak że polityka każdego państwa dotyczy każde indywidualne, czyli członka społeczności europejskiej. Ziad wyradza się opinia europejska, jej sila i jej prawa, a należną cesarza Francuzów nie jest stworzenie tej opinii, bo nie w społeczności stworzyć się nie da, ale uznawanie otwarte jej być, uznawanie że udział jej w polityce jest nieodzowny, słowem oddanie w praktycznych słowach tego politycznego satyalizmu. O takiej też tylko opinii, o opinii ogólnej i każdego w szczególe, jako członka społeczności europejskiej, jest mowa. Taka tylko opinia przemawiała w obec zjazdów monarchystycznych. Nie było ani jednego głosu opinii narodowej: gdyby Anglia nie była krytycznem swem położeniem do mi-

czenia zmuszona, możeby głos jakowej narodowej opinii dał się być na kontynencie usłyszeć. Tak wielka jest różnica między ową opinią narodową, która zawsze w każdym kraju istniała i istnieje, a ową opinią europejską, która dziś przemawia, że te same dzienniki które się stawiają jako organa tej ostatniej, pierwszą nazywają opinią rewolucyjną. Dzienniki wiedeńskie opinię narodową rumuńską mienią być opinią rewolucyjną, chociaż w sprawie gdzie właśnie chodzi o narodowość ludności księstw Nadduńajskich; to samo miano organa prawy dają opinii włoskiej, greckiej a nawet angielskiej. Będąc wyłączone organami opinii europejskiej, wszelka odrębność jest dla nich równoważnikiem rewolucyjności. Że zaś są organami opinii europejskiej dowodzi to najlepiej, że biorą udział w jej prawach i opierają się na jej sile. Używają prawa zupełnej wolności kiedy z jej stanowiska występują. Może kto powiedzieć, że panujący skoro posiadają zupełną władzę w państwie, stanowią opinię, że Napoleon jest opinią Francji; ale dzienniki we Francji tłumaczą się z zupełną wolnością gdy wyrażają opinię państwa, jako części solidarnej społeczności w Europie. Tą drogą poszły też wszystkie dzienniki europejskie w ocenianiu rządów monarchycznych, wszystkie przemawiały w imieniu państwa, nawet w imieniu Europy; i na tej drodze nikt też zapewne zaprzeczać nie będzie, że były organem opinii europejskiej i rzeczywiście większości w tej opinii wyrazem.

Dla tego też, jak powiedziano wyżej, pomimo różniczek odliczeń, jedno przebiegało równo we wszystkich organach europejskiej prasy. Owe równo było właśnie głosem opinii europejskiej. Zgodziły się różnie, gdy szło o państwo, bo interesa tej lub owej części krzyżowały się z interesem ogólnym, lecz gdy szło o ogół całej Europy, była zgoda. Wszystkie dzienniki, w jakimkolwiek wychodzące państwie, w jakimkolwiek pisa-

ne języku i jakiegobądź opinii; wszystkie też względy na domysły, przyczyny, widoki i obawy jakie przywisywały do zjazdów monarszych, jedno tylko im znaczenie przypisywały, znaczenie pokojowe. Jeżeli się znalazły wyjątki, które nie upatrywały w tych wypadkach utrwalenia pokoju i silnej rękojmi dla przyszłej spokojności Europy, nie było wszakże żadnego, któryby się ośmielił wnosić zaburzenie lub rokować wojnę w skutku tych ważnych w polityce wypadków. Tysiące owych różnorodnych głosów zlały się w jedną nutę, bez żadnego fałszywego tonu, w nutę pokojową. Nuta ta była głosem opinii europejskiej przemawiającej za pokojem, głosem dobrze już znanym. Był to ten sam głos który długo nie chciał uwierzyć wojnie wschodniej, i nieuwierzył dopóki niewybaczliwa; który ciągle stawiał trwanie jej w wątpliwość, chwycił akwapliwie każdy symptomat zbliżającego się pokoju, niepojmował nigdy dobrze powodów dla których była prowadzona, cieszył się zawartym pokojem nie wchodząc czyti on posiadał lub nie rękojmię trwałości, i na jakiej podstawie takowych dostarczał; był to ten sam głos którego nasłuchiwały państwa i ogłosiły konferencye, któremu dogadując Rosya ustąpiła Belgradu a Prusy praw do Neufchatelu; słowem był to ten sam głos, którym od pewnego czasu opinia europejska przemawia zawsze i bezwzględnie za pokojem, ale przemawia drżąco, bo na dnie jego brzmi ciągle, nienastająca obawa.

Jest to bowiem najcharakterystyczniejszą cechą dzisiejszej europejskiej społeczności, owa obawa przed wszelką zmianą w dzisiejszem *statu quo*. Pokój słuszy jej tylko za narzędzie do utrzymania się w owej upragnionej nieruchomości. Nie lęka się ona tyle wojny, ile jej skutków; skutki bowiem wojny nagle zamiany spowodzićby mogły. Lubo więc widzi w pokoju rękojmię, nie przyjmuje go bez obawy. Wojna nie tyle przeraża ją jako wojna, ile jako prawdopodobne wstrząśnienie. Domaga

sie pokoju nie tylko z samą obawą ciętarów które w czasie wojny ponieść musi; jak, również i państwa nie tylko jedynie z powodu braku pieniędzy na pokrycie kosztów wojennych dążą do utrwalenia pokoju. Skarby nie mają bezwątpienia na zbysie owego *netus rerum*: ale i to pewna, że państwa któremu sposoby finansowe pozwalają utrzymywać ogromną armię podczas pokoju, mogłyby i wojnę prowadzić. Można nawet nieraz i lepiej wyszło na prowadzeniu wojny, jak na utrzymaniu pokoju. Społeczność opłacająca cały pokojowy rytmunek, stawiająca co chwila swe pokojowe armie na stopie wojennej i w gotowości do biału, mogłaby się zaprawdę nie lękać wojny. Gdyby państwa nie były w stanie prowadzić wojny przez względy finansowe, opinia europejska nie żądałaby tak upotczywie pokoju. Zkądże to bezustanne i jednomyślne jej za trwałością pokoju obstawanie? Czemu przypisać owe prawdziwie natarszywe wymaganie i parcie, jeżeli nie owej obawie, która jej żądaniom ciągle towarzyszy, jeżeli ich nie wyprzedza, obawie przed wszelką zmianą w obecnem *statu quo*?... Jestże to optymizm któremu ulega cała społeczność?....

Bynajmniej. Bo jakkolwiek być może *statu quo* polityczne, nie jest ono takim, ani też takim być może, aby już nie niezostawiało do życzenia. Jeżeli nie w jednym to w drugim kierunku zmiany mogą być korzystne, inaczéj wszelkiego ulepszenia i postępu zaprzeczć by wypadło. Tymczasem opinia europejska oświadczona się przeciw wszelkiej zmianie; wszelka zmiana w najsprzeczniejszym nawet kierunku, i na najodleglejszych nawet kończynach Europy objawiająca się reforma, jeżeli tylko grozi wstrząśnieniem, napawa ją obawą. Nie chce jej na Wschodzie i bać się następstw jakieby rozpadnięcie państwa ottomańskiego za sobą pociągnęło; lęka się reform w Rosyi, jakkolwiek ich sobie życzy,

jeżeli by te nagle nastąpić miały i chwilowe sprowadziły zamieszanie; trwoży ją samo przypuszczenie osłabienia Anglii w skutku powstania indyjskiego, bo brak tej potęgi w równowadze mógłby jakową wywołać zmianę; przerazi ją sama myśl gdyby władza silna kierująca dziś Francją ustać nagle miała, i ta może jest największą siłą Cesarza Francuzów w jego państwie a zarazem podstawą przewagi w całej Europie... Opinia europejska potępia rewolucję, nie dla tego że jest zachowawczą, ale dla tego że rewolucya przedstawia jej się jako gwałtowne wstrząśnienie. Nie stawia ona bezwzględnie żadnej zasady, broni się tylko od wszelkiej zmiany. W porządku widzi tylko rękowanie swój spokój, i obcuje z nim czy oparty on jest na wolności czy na bagnietach: obojętnym jej jest liberalizm ale nie chce parlamentaryzmu jako zbyt ruchliwego żywiołu; przystałaby na każdą formę rządu gdyby takowa już istniała i zaprowadzać jej dopiero nie trzeba było, co się nigdy bez wstrząśnienia nie obejdzie. Opinia europejska świadczy, że społeczność, której jest wyrazem, jakby po głębokiem rozczerowaniu, nie uznaje już żadnego standardu, że jej żadne już godło nieporusza, żadna sława ani nawet żądza nie budzi w niej zapалу. Do sceptycyzmu politycznego przysłać się nie śmie, bo to każałoby się domyślać obojętności na zmiany; do materializmu przysłałaby się chętnie, gdyby doznawane często na tej drodze zawody nie wrażały jej przekonania że i tutaj stanowiący pochód na niebezpieczeństwa narasta. Niebezpieczeństwo zaś apatryje wyłączenie w każdej zmianie. Niechce więc żadnej nawet politycznej; bo wie że każda z nich dzisiaj ma społeczną prawicę, którą dosięgnie aż do jej wnętrza. Zgadza się więc na każde prowizoryum jako na *malum necessarium*; a chociaż jest przekonana że stawiając swe żądania bezwzględnego pokoju i oświadczając się przeciwko wszel-

kiej zmianie, tamże naturalny bieg spraw, z których żadna stanowczo ukończona być nie może; chociaż ma przekonać, że taki stan tymczasowości wiośnie trwać nie może i kataklizmem zakończyć się gotów, czego najlepiej dowodzą ciągle jej obawy, pełna zaufania w siłę swej opinii, podnosi jej głos i domaga się najzupełniejszej spokojności i ciągłego jej utrwalenia jako najistotniejszej potrzeby, którą rządy państwa jako jej polityczni reprezentanci uwzględniać powinni.

Nigdy może i w żadnej epoce ludzkości tak zwaną przejściową, cecha ta tak dobitnie jak w naszej nie była wyryta. Cecha ta, owa dążność bezprzerwana do nieruchomości, jest świadectwem słabości społecznej. Społeczność europejska podobna jest do chorego, który w żadnym razie zmienić niechce swego położenia, nie wiedząc jaki obrót weźmie choroba, i w obawie czyli owa zmiana niewypadnie na gorzej. Do wszelkiej próby, brakuje mu jeżeli nie na siłach, to na moralnej odwadze.

Bądź co bądź, opinia europejska stawiając sobie pytanie: jakie znaczenie mają zjazdy monarchów? i odpowiadając na nie pomimo zupełnej niewiedomości w jakiej była tak co do przyczyn jak co do zamiarów owych zjazdów, odpowiadając z nadzwyczajną jednomyślnością i niemniej znaczącą pewnością, że zjazdy te mają jedynie na celu utrwalenie pokoju za pomocą zbliżenia się panujących i wzmocnienia systemu solidarności — nie mogła mieć innego celu, jak tylko położyć pewną granicę, wytkniętą jak zawsze przez żądania i potrzeby społeczności europejskiej. Nie przesądzała ona w niezem widoków i zamiarów monarchów, ale śmiało stawiała swe nadzieje co do następstw. W owej nadziei, w której nie sądziła i nawet nie przypuszczała, aby zawieszoną być mogła, leżała właśnie owa granica przyszłości. O ile sądzić wolno, bo skutki zjazdów nie są

jeszcze wkłoczne, ani też podobno widoczniemi tak prędko być nie mogą, nie tylko że owę granicę nieprzekroczono, ale nawet życzenia opinii europejskiej niewziętymi zostały. Jeżeli to co piszą o nocie hr. Walewskiego w przedmiocie zjazdu Sztutgardzkiego, przesłanej pełnomocnikom Francji przy obcych dworach jest prawdziwe, a przemawia za tem wszelkie prawdopodobieństwo „zjazdu te były tylko ostatecznem poświęceniem uroczystego pokoju zawartego 30 marca 1856 roku.“ Według zdania sprawy o tej nocie, jedynego półurzędowego źródła o tym wypadku, „wstrząśnienia wywołane w świecie wojną wschodnią; wymagały więc więcej niż kiedykolwiek porozumienia się bezpośredniego między panującymi, nie w celu zawierania nowych przymierzy niepotrzebnych całkiem w czasie pokoju, ale w zamiarze uprzedzenia lub przytłumienia w samym zarodzie trudności, które mogą wpaść Europę.“

Tak określone zjazdy byłyby nowym tryumfem systemu solidarności. Komentarze byłyby podobno zbyteczne. Powyższa definicya trzyma się ściśle zakresu systemu, i wskazanego przezeń stanowiska, z jakiego zapatrywać się wypada tak na kwestyę jak na przymierza. Co do tych ostatnich dodaję tylko sprawozdanie: „że lubo z zjazdu sztutgardzkiego nie wypadło żadne bezpośrednie postanowienie polityczne mogące zmienić stosunek obecny państw europejskich, że lubo nawet nie powstało z niego żadne stanowcze przymierze w traktat dokładny ułożone, niemniej jednak zjazd ten nie pozostał bez wpływu politycznego na stosunki Francji i Rosyi; zbliżenie się bowiem tych dwóch państw, uczyniło możebnem szybkie zawarcie przymierza oznaczonego i skutecznego, w razie gdyby tego potrzeby Europy wymagały, i gdyby trudności które dziś ciągną na kontynencie nie miały według słuszności być rozwiązane.“ Stosownie do tego oświadczenia, opinia europejska nie-

ma powodu obawiać się zmiany, przostaje tylko obawa przed groźbą przewagi, o której wyżej wamianka, a której pomimo zastosowania systemu solidarności uniknąć niepodobna.

O zjeździe wejmarskim nie ma detąd nawet tak poważnego źródła. Chociaż brak ten domysłami zastąpić, byłoby zarozumiałością. Niechaj więc wolno będzie zakończyć jedną uwagę jaką dostarcza kryzys finansowy, która spadła na Europę właśnie w chwili kiedy się odbywały zjazdy monarchów.

Nie po raz pierwszy zauważać musiały rządy państw, że ani utrwalenie pokoju, ani zastosowanie systemu solidarności, ani wreszcie uwzględnienie potrzeb stawianych przez opinię europejską, nie uwalniały społeczności od podobnych wstąpiń jakimi jest właśnie obecna kryzys finansowy. Opinia jakby w jej przewidzeniu, w liczbie żądań które stawiała odgadywać następstwa zjazdów monarchów, objawiała nadzieję redukcji w armiach europejskich. Ale pomimo, że właśnie w tym kierunku materialnym głos jej największą mogłoby rokować dla siebie przewagę, bo cała społeczność znosi ciężary systemu armij niestających, opinia europejska przemawiała nieśmiało. Nieśmiałości tej powodem było bezwątpienia przewidywanie trudności, jakie koniecznie zmniejszeniu wojsk europejskich towarzyszyć muszą. Każdej bowiem zmiany obawia się społeczność europejska, nawet na swoją korzyść; tu wszelako zdobyła się podobno na jaką taką odwagę, bo zaspokojenie zewsząd na nią spływało.

I w istocie, trudności jakie przeprowadzenie tej zmiany pociągnąć by za sobą musiało, są dwojakie: polityczne i społeczne. Pierwsze — usuwają usiłowania ciągłe rządów państw ku utrwaleniu pokoju; drugie — usuwa owa jednomyślność w dążeniu i wymaganiu spokojności, objawiana bezprzestannie przez opinię europejską. Na-

stępnstwem owych usiłowań zdaje się być coraz większe oddalenie i utrudnienie sporów mogących sprowadzić wojnę; następstwem zaś owej potrzeby spokoju, stanie jeżeli nie już niepodobieństwo ruchów społecznych czyli rewolucyj. Jedno tu dla drugiego staje się wzajemną rękojmnią: brak wojny zaspakaja społeczność, brak rewolucyj zaspakaja rządy. Zmiana mogłaby się odbyć bez żadnego wstrząśnienia; a cóż mogłoby być ostatniem słowem systematu solidarności interesów, cóż z jednej strony bardziej dowieść jego siły, jak z drugiej być jego rzeczywistą rękojmnią, jeżeli nie rozbrojenie zbrojnego pokoju?....

Kryzys finansowa powtarza się coraz częściej, i coraz bardziej ogólném wstrząśnieniem zagraża społeczności i państwom z osobna. Wszystkie środki dotąd użyte okazały się tylko tymczasowemi, bezskutecznemi, co najwięcej półśrodkami. Dowodzić byłoby zbyt czcniem, bo to już dawno uczyniono i uczyniono niezbiicie, że redukcya wojsk europejskich byłaby stanowczym i zaradczym w podniesieniu stanu finansów w Europie sposobem. Nie wiadomo, czyli się tym ważnym przedmiotem zajmowano na zjazdach monarszych, ale wątpieniu nie ulega, że gdyby skutkiem tych zjazdów przeprowadzona została ta zbawienna w Europie zmiana, nietylko opinia europejska, ale świat cały przyklasnałby na wieść o tym wypadku, a historia cywilizacyi na nierównie świetniejszej karcie zapisałaby Sztutgard i Wejmar aniżeli wszystkie Erfurty i Tylża.

KRONIKA.

Kraków w październiku.

Piękna złotolistna jesień niezwykle przedłużyła nam porę letnią. W naszym klimacie, gdzie wiosna istnieje tylko w sielankach, jesień jeśli się uda, jak tegoroczna, byłaby zapewne godnym przedmiotem poetycznych uniesień, gdybyśmy zapatrywać się umieli na naturę z całą swobodą ducha, niezasepionego kłopotami powszedniego życia, ani cięższymi nad nie troskami moralnymi. Ciepła jesień ma tę tylko niezaprzeczoną dla nas zaletę, że dozwala nam obywać się dłużej bez opału, a obuwiu naszemu niegrozi przedwczesna zagłada.

Piękności października niemają powabu dla mieszkańca miasta. Miesiąc ten owszem jest jednym z najsmutniejszych w jego kalendarzu. Przed trzema miesiącami podniesiono mu czynsz mieszkalny, który od lat kilku zwiększa się co rok, co pół roku, wreszcie co kwartał. W dniu 1 października przychodzi kolej złożyć nową ratę czynszową. Gospodarz przyjmuje ją niedbale, zaczyna mówić o ciężkich czasach, wielkich podatkach, przewiduje nowe jeszcze, nareszcie pyta:

— A jeśli od 1go listopada podatki zostaną powiększone? a jeśli w miejsce dodatku 40 kr. do każdego

reńskiego, przyjdzie dopłacić do każdego reńskiego podatku, drugi reński dodatek? a jeśli rozłożą podatek gminny? a jeśli za oświecenie miasta gazem każą płacić nowe latarniowe? a jeśli obok kwaterunku w naturze każą płacić kwaterunkowe?...

Mieszkańcowi stanęły włosy na głowie, lecz nieśmiało zbijać przypuszczeń.

— W takim razie — ciągnął dalej gospodarz — nie mógłbym obstać na czynsz dzisiejszy. Oto położymy w kontrakcie nowy warunek, że pan bierzesz na siebie wszelkie nowe podatki i ciężary jakie wypaść mogą od wartości mieszkania które zajmujesz. Czyż to nie słuszną? Widzisz pan, że ja nie podnoszę czynszu, lecz też i sam zabezpieczyć się muszę.

Lokator żądał czasu do namysłu. Myślał długo, obszedł wszystkie ulice, przepatrywał po wszystkich domach, a nie znalazłszy nie tylko tańszego mieszkania, lecz nie znalazłszy nawet żadnego wolnego, poddał się nieprzewidzianym skutkom katagorycznych warunków. Odtąd jak miecz Damoklesa wisi nad głową jego trwoga nowego podatku lub dodatku, a trwoga ta z każdym dniem wzrasta, w miarę jak się zbliża koniec października i rozpoczyna się nowy rok skarbowy.

Lecz nie tu koniec trosk październikowych. Trzeba pomyśleć o zaopatrzeniu na zimę spiżarni i piwnicy, zakupić jarzyn i węgla, wydobyć i przejrzyć zimową odzież i braki jej uzupełnić. Oprócz potrzeb niezbędnych nasuwają się inne, które nie są wprawdzie potrzebami w dyogenesowem ich pojmowaniu, lecz które w konwencyonalnym świecie uchodzą za nieuniknione. Są to po większej części potrzeby narzucone modą, która jednak wielowładną jest panią, bo nieposłusznych swoim wymaganiom wystawia na szyderstwo lub pogardę. Szczęśliwie to były czasy, kiedy córka dziedziczyła po matce suknię i czepiec ślubny, a łupanik dla chłopaka robiono na wyrost.

Jeżeliś więc był tak szczęśliwym, iż marnemi kilkudziesięciu reńskiemu okupiłeś wolność pozostania na dawnem mieszkaniu, lub tak roztropny, iż nieporóżniłeś się z twoim gospodarzem, zanim inne znalazł dla siebie mieszkanie, to październik niepowinien był w oczach twoich stracić wszelkich powabów. Ależ szczęście niemożne

być wszystkich udziałem — a roztropność jako dziecko doświadczenia. Nie mogła cię była pohamować w pośpiechu, z jakim wymówiłeś mieszkanie, skoroś za dawnych lat nawykł być przeczuciem w mieszkaniach póty, pókiś sobie nieupatrzył dogodnego. Ale nie tak to łatwo znaleźć dziś dogodne mieszkanie. Co dawniej mogło być zbytkiem, dziś nawet za wygodę nie obstoi. Owe nie wielkie domy, w których się wjeżdża cały dół zajmowały, były to dwory pańskie. Coraz więcej znikają takie domy w Krakowie, przerabiane będąc wedle nowoczesnych potrzeb nowoczesnych mieszkańców swoich. Sien taka pomieściła w sobie i wozownię i stajnię i służbę śpiącą na brykach. Parę pokoi na piętrze z wielką izbą wchodową składały mieszkanie zamożnego obywatela. Dziś najakromniej żyjący mieszczanin żąda dla siebie i swojej rodziny kilku pokoi, a choć ich niezaludni przyjaciółmi i sąsiadami, to zapelni je mnóstwem sprzętów i sprzęcików. To też kiedy przyjdzie zmieniać mieszkanie, trzeba myśleć nie tylko o tem, aby to wszystko pomieścić, ale również aby ustawić stosownie i każdemu pokojowi nadać właściwą jego cechę. Częstoż przez wzgląd na układ i rozmiary nowego mieszkania wypada odmienić sprzęty. Wieleż to pracy, kosztu i zacięchu potrzeba, aby się w nowym mieszkaniu urządzić, rozpostrzeć i rozsiadzić jak u siebie. Mieszkanie, co przechodziło niegdyś w dziedzictwem; do którego ścian wiązały się nie tylko wspomnienia młodości, ale nawet pamiętki ojców i dziadów, stało się dzisiaj stacją podróży, którą zajmując nowy lokator, zaciera pamięć dawnego, i gdzie nie zostawi żanego po sobie wspomnienia prócz nazwiska zapisanego w książce meldankowej. Któryż z mieszkańców miasta może powtórzyć z Karpińskim?

Otóż mój dom ubogił też lepiące ściany,
Też okna różnossybhne, piec niepalowany,
I niska strzecha moja. Wszystko tak jak było,
Tylko się ku starości więcej pochyliło.

Odmieniając więc mieszkanie, jedyne ślady jakie tam zostały po tobie, satrze murarz kielasa, tapicer zalepi i woda zmyje. Dassz tam twojej i serca nie zostawiles ani

odrobiny, a wszystkie bogi two domowe uniosła z sobą — nie, najemnicy je przenieśli. Wprawdzie kilkanaście dni potrzebowałeś do urządzenia się w nowej siedzibie twojej, ale po upływie tych dni kilkunastu zapominałeś nawet, żeś kiedykolwiek gdzieindziej mieszkał. Któryś z mieszkańców miasta pamięta dom gdzie się rodził? I jakże mógł go pamiętać, skoro w pieluchach jeszcze będąc do innego domu przeniesiony został. Z łatwością też zmieniamy mieszkanie w mieście, a lipiec i październik są głównymi tych zmian porami. W miarę jak wygodę życia nadciągają do nas z Zachodu, jak obce zwyczaje towarzyskie nabierają u nas prawa obywatelstwa, mieszkania nasze przystrajają się. Nie dawno temu jeszcze lampa na schodach domu była wyłącznym przywilejem pałaców pańskich, dziś brak jej w najskromniejszym domku gorszy nas. Podłoga z tarcie naleśy do zabytków barbarzyńskich, a sień zaszklona staje się widoczną potrzebą, i za lat kilka, dziwić się będziemy, że nas przez tyle zim ani razu w otwartą sien wiatr nie zawiał.

Cywilizacya zachodnia ze wszystkimi swemi formami i objawami powierzchownymi podwójnym zbliża się pochodem. Niezadługo miasto nasze niezem się różnić będzie od miast zagranicznych. Dziś już w warsztacie szewskim nie ujrzy tych osobliwych rewerberów wodą napełnionych, a miejsce ich zastępuje matowany dzwon lampy pompowej; krawcy jeden po drugim wynoszą się z poddaszy, i za zwierciadlanemi szybami wystawnych sklepów rozwieszają ostatnie utwory paryskiego smaku; w hotelach urządzono dzwonki; w kawiarniach trzymają gazety; w sklepach nawet korzennych myją podłogę i kasę. Za kilkanaście dni jasny płomień gazu rozleje blask swój na ulice miasta, migocące dotąd mdłym światłem zakopcanych kaganków.

Ciekawy to zaiste będzie widok nie tyle pod względem oświetlenia, ile raczej samychże widzów, tych co stanowiącą czystą rasę krakowską nie wyrzeli dotąd nigdzie w świat i pierwszy raz oglądać będą ten rodzaj światła, które jest dla nich zagadką, a do którego przygotowania z takim prowadzone nakładem rodzą u ludu mniemanie, że światło to będzie blaskiem swym przyćmiewać słońce. Dziś już z jaką to ciekawością lud

nasz śledzi robót około kanalizacji gazowej, jak właśnie stworzyć sobie teoretycznie wyobrażenie tej rzeczy, i jak po różnych wątpliwościach przyszedł wreszcie do tego wniosku, że owemi rurami płynąć będzie wiatr ogniasty, dmuchany z kilkunastu czeladzi wielkimi miechem żelaznym. Lud ma własny swój sposób pojmowania wszelkich zjawisk przyrodzonych i nadprzyrodzonych, wynalasków i sił natury, i jeżeli w parę i dymem buchającej maszynie widział był niedawno jeszcze uosobienie Antychrysta na świat przybyłego, to niemniej ogień tryskający z rurki gazowej będzie miał w umyśle jego jakieś współnictwo z ogniem piekielnym. Lecz wszystko traci z czasem swoją cudowność. Chłop krakowski oswoił się już z koleją, i sam nawet jeździł antychrystem ze wsi do miasta lub napowrót.

Światło gazowe nie jest w Krakowie nowością. W pierwszych czasach założenia szkoły technicznej, przed dwudziestu około laty, profesor Karol Mohr zapalił był lampy gazowe na ulicy Gołęziej dla nauki uczniów swoich a na wielki podziw mieszkańców. Wtedy już myślano o zaprowadzeniu oświetlenia miasta gazem, wszelako pomysł ten poczytano za zachwałstwo. Ależ był to jeszcze czas lojowych świeczek i osobliwych pojęć o skarbowości w tutejszych „ojcach ojczyzny“, którzy jak chłop sknera zakopujący pieniądze, chowali je w skrzyni kasy senackiej. Dziś miasto nasze więcej ma w sobie ducha przedsiębiorczego chociaż żyje tylko kredytem, wsparciem rządowem i niedoborem budżetu. Kraków jest dziś pod względem majątkowym w tem położeniu, w jakim znajduje się dziedzic majątku którego hipoteka nieuregulowana. Niewiadomo, wiele on ma na prawdę; pamiętają tylko, że z majątku tego choć nie bardzo gospodarnie prowadzonego, utrzymywano się skromnie wprowadzić, ale też zawsze coś z dochodów zostawało jeszcze na nadzwyczajne i nieprzewidziane potrzeby. W bieżącym jednak miesiącu sprawa majątku miejskiego weszła podobno na drogę bliskiego załatwienia. O szczegółach tego ważnego przedmiotu trudno coś dokładnego wiedzieć, bo urządzenie gminy jest zupełnie wyjątkowe, a sprawy jej okrywa gruboza zasłona, niż najskrytsze tajniki dyplomatyczne.

Jawność, która sięga do gabinetów monarchycznych i towarzyszy protokołom konferencyj prowadzonych między pierwszymi mocarstwami Europy, nieprzedarła się jeszcze do izby radnej w Krakowie, co więcej, kiedy nazwiska wszystkich urzędników państwa poczynawszy od pierwszego ministra do ostatniego dyurnisty wiadome są wszystkim, nie znane są dotąd nazwiska osób mających w gminie krakowskiej władzę prawodawczą. Z tego stanu niepewności tak pod względem majątkowym jako i organicznym wyjdzie zapewne tutejsze miasto wtedy dopiero, kiedy statuta organizacyjne dla wszystkich gmin miejskich wydanemi będą. Głucha wieść wszakże krąży, że rzecz majątku miejskiego dotycząca, gorliwie traktowaną była tamci czasy przez p. Burmistrza.

Z końcem października spodziewaliśmy się powrotu z wycieczki letniej p. Pfeifera z gronem aktorów polskich pod jego dyrekcją zostających. W oczekiwaniu tem jednak zostaliśmy zawiedzeni. P. Pfeiffer zamysłał pobyt swój w Królestwie Polskiem przedłużyć do końca przyszłego miesiąca. Zapewne mu tam lepiej idzie niżby szło w Krakowie, albo też musi, że dotychczas będzie miał czasu przesycić publiczność naszą. Gdyby teatr polski był zupełną własnością dyrektora, a nie oraz instytucją publiczną, dyrektorowi służyłoby prawo rozrządzania swoim czasem do woli; skoro jednak do przywileju dyrekcji należy oraz pewne obowiązki względem publiczności, należy takowych pilnować. Dyrekcye teatrów krajowych zdają się o tych obowiązkach zupełnie zapominać; teatr stał się w ich oczach przedsiębiorstwem, z którego należy ciągnąć jak można największe zyski, z jak najmniej szemi o ile można ofiarami. Gdy eksploatować się nie da na wielkie rozmiary, gdy się nie da użyć teatru za środek do zrobienia majątku, to przynajmniej, aby przy nim żyć można. Takie pojmowanie przeznaczenia dyrekcji, kierując obu tutejszemi teatrami polskim i niemieckim; zostawiają jednak ocenienie tego ostatniego, do kogo to należy, zwłaszcza że się z tego zadania wywiązują tam należycie, o teatrze polskim w Krakowie można mówić teraz jedynie jako o przyszłości, jak o rzeczy przypadkowej, która może przyjść lub nieprzyjść, trwać krócej lub dłużej, i jak budka ze

slonieniem wynieść się z Krakowa po nasyceniu ciekawości publicznej.

Od zimy 1845-6 scena polska w Krakowie maleje widocznie, i przyszło z nią do tak smutnego stanu, że wspominają tu nawet zasługi tej dyrekcji, którą temi czasy usunięto we Lwowie, dla tego że nieodpowiadała celowi swemu. Trudno o nieszczęśliwsze porównanie między Krakowem a Lwowem. Stan taki wyrodził z jednej strony obojętność, z drugiej niedbalstwo, zraził publiczność, a dyrekcję skazał na żywot koczowniczy.

Liczba różnego rodzaju gron aktorskich wzrasta w Polsce corocznie, służy to za dowód że zamiłowanie ku sztuce dramatycznej rozpowszechnia się. Z tych surowych żywiołów wyrobi się może szkoła dla artystów i arena pierwszych usiłowań ku stworzeniu dramatu narodowego. Wszelako potrzeba na to uznania ze strony dyrekcji i aktorów, że scena jest powołaniem; ze strony widzów, że jest ona obrazem życia, które nie w samej tylko schadzce miłosnej ma swoje najszczytniejsze i najjaśniejsze chwile i że nie sam tylko akt ślubny jest zamknięciem stanowczem najwybitniejszych epok życia.

Otóż i o teatrze mówić tu wypadło, to jest o tem czego niema; bo w szczupłym zakresie przedmiotów mogących w obecnej chwili reprezentować Kraków, nie małe zajmują miejsce te, które brakiem swym uderzają. Prawda że łatwiej dostrzedz niedostaki niż zalety, łatwiej okazać niezadowolenie z tego czego niema, niż poprzestać na tem co jest; wszelako na utorowanej kolei jaką się toczy życie miejskie dzień po dniu i noc po nocy, to tylko można zanotować, co niedostatkami lub wadliwością narusza regularność ruchu. Gdzie niema zadziwiających zdarzeń, tam zadziwiające tylko braki ścigają na siebie uwagę powszechną — braki takie tu i owdzie powyżej dotkniętemi zostały, by jakkolwiek wyróżnić ten miesiąc od swego poprzednika i następcy.

Wiedeń w październiku.

Gdyby w pamiętnym roku kampanii rosyjskiej, Napoleon miał był taką jesień, jaką my mamy teraz, kto wie, jakieby z tak małej, w jego własnem ówczesnem mniemaniu, klimatyczno-strategicznej okoliczności wielkie dla niego, dla Francji i dla Europy, wyniknęły następstwa. Uwagę tę nasuwa mi prawdziwe letowe powietrze, którem oddycha dotąd Wiedeń, i okropny w wybitniejszych i prawdziwszych rysach niż w jakimkolwiek bądź innym opisie, skreślony obraz odwrotu wielkiej armii z Moskwy, w czterastym tomie wybornego dzieła, które niezmordowany i wielki pisarz Thiers prowadzi dalej. Niepodobna wystawić sobie nic okropniejszego, nie mocniej przenikającego umysł i serce. Najgłębsze plany wodza co trzymał w ręku swém losy prawie całego świata, najśmielsze pomysły, najpewniejsze rachuby, rozbiły się równie jak sto tysięcy wybornego jeszcze wojaka, które wyszło z Moskwy z nadzieją przynajmniej szczęśliwego powrotu do Polski; rozbiły się w przeciągu dwóch, najdalej trzech tygodni, o kilka stóp śniegu i o kilkanaście stopni mrozu! Zima! straszny to nieprzyjaciel, zwłaszcza na północy. Szczęśliwe kraje południowe, alyszą o nim tylko z opowiadań. Lecz w Europie środkowej stawia on nieraz groźne, ubogim zwłaszcza massom ludności, czoło. Ile nieszczęść wśród gwałtownych śnieżnych zamieci po lasach, górach i otwartych polach; ile cierpień po biednych, na pół nieraz rozwalonych chatach wieśniaczych; ile łez spadających na kamienną pościel nędzarza; wśród najwspanialszych ulic tej lub owej stolicy? Dzięki Bogu, zdaje się, że w tym roku, Wiedeń przynajmniej, będzie miał pośną i łagodną, zimę, wnoszącą z ciepła i pogody jakieś mamy dotąd. Podobnej jak dzisiejsza jesień, nie pamiętam od lat wielu. Drzewa zrzucając przepaloną letnią skwarą powłokę, przywlekają tu i owdzie nową, wiosenną pruwie, albo przynajmniej tak do niej zbliżoną na oko szatę, jak nasze męskie i damskie ubiory. O wátowanym płaszczu lub mantylce, nikt jeszcze nie myśli. Kapeluszy letnich, tak nazwanych Pamela, więcej niż latem, gdyż powrót ze wsi do miasta, jest tu rzeczą mody

i swyczeju, bardziej niż powietrza. Obok szalów kaszemirowych i sukien jedwabnych, widać pełno lekkich, wydmuchanych, przezroczystych ubiorów. Wśród dala przy kilkanaście stopniach ciepła, zwijają się tłumnie, nawet nie w przeszłych miesiącach podane ciekawością, tak potrzeba, piękna z paryżkami nieraz w porównaniu ich mogące, nóżki. Między trzecią i czwartą godziną z południa, Prater, to jedyne w Wiedniu dla koni i powozów miejsce popisów, ściga na nowo tam licznegom pieszaych nawet widzów tłumy, że zamiast letniego skwaru i pyłu, rzuciła on przed wypaszczone w wiejskich ustrojach obłizną, lekką, świeżą, właściwą tej porze roku naszyony wonią powiew, naciągając drogę bogatym z różnorodnych liści uthanym koblarem; Ranki i wieczory, lubo nieco chłodniejsze, są niemniej czyste, jasne i pogodne. Mgła okrywająca zwykle w tym miesiącu swą wilgotną i ponurą szatą Sekwanę i Tamizę, topi się w przezroczystym zwierciadle Dunaju, odsłaniając przepływną płynnych jego kryształów uroczy prawdziwie nieraz obnażony gwiazdami firmamentu i oświeconego rozpaleniami nowberami miasto. Jedyną słowem, jest to godziną peeny, w monotonnym i prozaicznym skład inąd tym Wiednia. Podróżny co go widział w tej godzinie i wyjechał nie czekając zanim przemianie, wywiedź z sobą, jestem pewien, pochwlebne i przyjemne wspomnienie.

Leża jeżeli widok powierzchowny tutejszego życia w tej chwili, jest tak zajmującym, jak smutne i zatrważające robi on wrażenie na tych, co chcą zajrzeć w skład jego wewnętrzny i zbadać jego głębokie warstwy. Ubóstwo i nędza, z którą ludność wyrobnicza walczyła dotąd z ciępliwością i zwićzko, zaczynają się przy drogości mieszkań i podwyższeniu z jednej strony, a przy braku wciąż wyraźniejszym zarobkowych pracy, z drugiej strony, stawać coraz widoczniejszemi i przykrzejszemi. Stan przesilenia finansowego, tak okropny w całej niemal Europie, dotknął i tutaj znaczną liczbę znacznych handlowych i przemysłowych zakładów. Upadłości, o których już wiemy, i te które jeszcze nastąpić mogą, zmniejszyły nie tylko łatwość kapna i sprowadziły, ale odjęły tysiącom rąk jedyny sposób zapracowania na życie. Wpływ moralny tej, wśród poprzednich sta-

dzeń, za niepodobny prawie, aważanej zmiany, jest smutny i w dalszych swych następstwach trudny do ocenienia. Zachwiał on już spokojność i wytrwałość, te główne cechy charakteru ludności. Wywołał zwątpienie, smutek, a nawet i rozpacz. Samobójstwa pokazały się w liczbie niesłychanej dotąd w Wiedniu. Każdy dzień prawie zabiera z sobą nową ofiarę. Zrujnowani na majątku w jednej chwili i nieszczęśliwi, ale ufni w przyszłość, przez długie lata rzucają się w tę przepaść, przenosząc śmierć nad hańbę lub nad dalszą z losem walkę. Trwoga i zamieszanie w sferach zwłaszcza handlowych, stały się już ogólnymi. Każdy list, każda telegraficzna depesza, drżącą otwartą ręką, niosą smutek lub niepokój w duszę. A że choroba jest ogólna, że dotknęła nie tylko Europę, lecz i inne strony świata, nikt nie wie i przewidzieć nie może, gdzie się zatrzyma i jak skończy. Rządy, banki i zakłady kredytowe łączą się w usiłowaniach i spieszą z pomocą; lecz środki nawet najzbawiennejsze w zwyczajnych tego rodzaju wypadkach, zdają się nie wystarczać na zaradzenie teraźniejszym nadzwyczajnym potrzebom. Przy braku pieniędzy, który tu i owdzie panował od dawna, ratowano się kredytem, zaufaniem, nadzieją. Dziś wszystko zachwiało się razem, i na wszystkich punktach całego, można powiedzieć świata. Instytut tutejszy kredytu ruchomego, chce krajowe przy najmniej kłęski zagladzać. Wziął na siebie spłatę wierzycieli domu Boskowieza, i zdaje się, że ją doprowadzi do skutku. Mówią, że się zajmie również i innymi większymi upadłościami. Rząd ze swojej strony przygotowuje już od dawna zapowiedziane rozporządzenia mające na celu zmniejszenie ciężarów publicznych i ściąganie wpłat na rozmaite przedsiębiorstwa założone na akcye. Przyjdzie zapewne i Bank narodowy w pomoc środkami, które już inne tego rodzaju zakłady za konieczne uznały. Przesilenie się skończy — lecz kiedy, i ile jeszcze będzie kosztowało ofiar!

Łatwo zgadnąć, że w takim składzie rzeczy, strona coraz szczuplejszego życia domowego, przemaga nad wszystkimi innymi, mody, zwyczajów, nałogów, tych koniecznych wad życia towarzyskiego, wymagalnościami. O otwarciu salonów, o przyjęciach, zabawach, wieczorach, ani słychać. Wprawdzie najbogatsza część ludno-

ści bawi jeszcze na wsi, dzieląc czas między gospodarstwem i polowaniem. Lecz oszczędność, która i w najwspanialszych zamkach zaczyna coraz większą grać rolę, przeniesie się zapewne teraz z całą swą chlubną, zresztą otwartością do pałaców i hotelów, zamkniętych dotąd w stolicy, z powodu nieobecności właścicieli. Już przeszła zima była w tej mierze wyraźną, na przyszłość skazówką. Usprawiedliwiano się wówczas podróżą NN. Państwa po Włoszech. Otwartość będzie teraz jedyną, zapewne i najlepszą wymówką.

Cokolwiekby to, to pewna, że ktoby chciał sądzić o istotnym stanie usposobienia moralnego i finansowego ludności tutejszej, z ulic lub teatrów i z domów zajadnych, tenby i w tej chwili Wiedeń za najweselsze i za najbogatsze ogłosił miasto. Ja powtórzę raz jeszcze, że jest to miasto, w którym hotele są najdroższe i teatry najbrudniejsze w całej Europie.

Wszakże przyznaję, że jedno i drugie pomimo tych wad, są zawsze pełne. Nie skarżę się już nawet ani na to co jem w jednych, ani na to co widzę i słyszę w drugih. Oświadczam tylko, że kuchnia dramatyczna, jeśli nie lepsza od jadalnej, to przynajmniej tańsza, i dla tego uboższej nawet ciekawości przystępniejsza.

W operze główną nowością jest ciągle proces dyrektora p. Corneta, który jak wiadomo wyjechał stąd na powrót do Hamburga po zapłaconiu za odebrany policzek 100 złr. na ubogich. Sąd apelacyjny ograniczył karę do tej summy, i uwolnił go od więzienia, na które był skazanym w pierwszej instancji. Panna Mayer, powód niewinny całej tej awantury, wygląda ożerstwo, świeżo, i powiadają, że przez wdzięczność ma poślubić wkrótce śmiałego swój dobrej sławy obrońcę. Tymczasem śpiewa trochę słabiej i niepewniej, niż w roku przeszłym. Panna Titjens, pani Czillag i panna Liebhart, dzielą się pierwszemi rolami i względami publiczności. Co do muzyki, odtywiona opera p. Nicolai „Powrót wygnańca,” była dotąd pierwszą nowością. Reszta repertuaru składa się z dawnych sztuk, i po większej części włoskich i francuskich tłumaczeń. Nowy balet ukaże się na scenie przy końcu tego miesiąca. Przyszłym dyrektorem opery ma być p. Eckert, jeden z dyrektorów orkiestry.

W Burgu *Trylogia* Grillparzera pod tytułem: „*Złoty rano*“ ściąga licznych widzów. W innych sztukach panu Gossmann ma główny dla publiczności pościg. Trzaskania lub naśladowania trzymają i na tej scenie pierwsze miejsce.

Towarzystwo włoskie, tak chlubnie przyjęte w roku przeszłym, wróciło pod dyktando p. Rossi, i znalazło te same oklaski w teatrze *Josephstadt*. Odznacza się onó wybranym składem i niepospolitą wartością, prawie wszystkich swych członków.

W innych teatrach przedmieściowych, tak nazwane farsy lokalne są głównym dla grubych żołądków pokarmem.

Poznań w październiku.

Po dwumiesięcznej niechętności wróciwszy nad brzo-gi Warty, i mając zdołać sprawę z ruchu uniwersyteckiego w tej części kraju przez ten czas objawionego, zajrzałem do księgarń i drukarni poznańskich. Pierwszą zubożały się kilkoma nowo wyszłymi na widok publiczny księga-mi, drugie tak są zajęte, że nie łatwo wydostać mogą poruczoną im pracę, która i brakiem zdolnych polskich drukarzy i niedostatkami papieru często jest tamowana.

Konstanty Żupański, nie tyle przez chęć poszukiwania znaków, jak przez upodobanie w przedsiębiorstwie swoim i gorliwość o postęp piśmiennictwa naszego, najwięcej się przyczynia do strącania rachy w drukarniach poznańskich. Nie zraża się on napotykaniami trudnościami, nie zniechęca wątpliwością korzyści, lecz skoro dzieło jakie wyszło z pod pióra zasłużonego pi-sarza, lub zdaje mu się posiadać istotną wartość, odwa-ża się bez wahania na jego wydawnictwo. O tam jego uposobieniu przekonują nas przedsięwzięte przez niego wydanie wszystkich dzieł Lelewela dotyczących się Polski. Już on dawniej wydrukował tego znakomitego i najpra-cowitszego badacza przeszłości ojczystej niektóre pisma historyczne, jakoto: *Polaka wieków średnich*, *Narody na Ziemiach Słowiańskich* i *Album rytuownika Polaka*. Teraz przedsięwziął przedrukowanie reszty jego prac dotyczą-

eych Polaki, które w znacznej części przez Autora poprawione i uzupełnione zostały. Wydanie to nosząc tytuł *Polska, dzieje i rzeczy jej*, obejmować będzie siedem tomów. Trzeci i czwarty już wyszedł z druku, pierwszy w tych dniach wyjdzie, a po nim ukazać się i następne. Ten tom pierwszy teraz pod prasą, będący niebawem będzie rozmaite rozprawy dziś już do nabycia trudne, a które po części dołączone zostały do Atlasu p. Reginy Korzeniowskiej, jakoto: 1° *Pierwsze dziesięć wieków, czyli Chronologia Polski*; 2° *Piszący tak w języku polskim, jak i w innych o rzeczach polskich*; 3° *Obraz czyli dzieje Polski*; 4° *Geografia*; 5° *Kultura kraju*; 6° *Alfabetyczny spis dziesięć arkuszy druku obejmujący bibliografię polską*. Piąta rozprawa tu wymieniona jest nową pracą autora. Trzecia i czwarta w osobnych także poszytach teraz odbita została. Drugi tom zawierać będzie *Dzieje Polski synowcom opowiadane*. Trzeci już wydrukowany mieści: *Uwagi nad Polską*. Czwarty: *Dostojności, urzędy, herby, pojedynki, grobowce królów polskich, pomniki, pszczelnictwo i bartnictwo*. W piątym tomie znajdziemy *Panowanie Stanisława Augusta* z nowemi dodatkami. W szóstym: *Polskę odradzającą się*. W siódmym *Dzieje Litwy i Basi z przydaniem mitologii i rozpraw o rządach Senatora Nowosiłcowa w Wilnie, wraz z Sprawozdaniem o deputacji do Wierzbna z roku 1830*.

Te wszystkie pisma historyczne i rozprawy są nieocenionym zbiorem: rozświeconych krytyką faktów i wiadomości. A choć nie każdy badacz dziejów ojczystych zgodzić się może na pogląd autora, każdy z jego szacownych prac korzystać będzie. Są to cegły, starannie obrzebane ciosy, belki, płatwy, krokwie na dach powiązane, jest już i część budynku ręką Lelewela wzniesiona, lecz jeszcze wewnątrz nie urządzona, jednak wspinały gmach dziejów ojczystych dotąd nie stanął. Kiedyż się znajdzie budownik duchem Michała Anioła obdarzony, który tę świątynię przeszłości naszej wzniesie, i w niej tę przeszłość zachowa i uwieczni?

Przez miłośników dawnych rzeczy ojczystych mile powitanem zostanie wspaniałe wydanie jednego z dawnych zabytków mowy polskiej, kosztownym nakładem Tytusa hr. Działyńskiego dokonane. W księdze tej in 4to, ozdobkami Merzbachą na pięknym papierze wybitą,

znajdują się najprzód tak nazwane kazania polskie wyjęte z kodeksu kazań łacińskich w bibliotece katedralnej gnieźnieńskiej przechowywanego. Na początku i końcu tego kodeksu inną ręką spisane zostały kazania polskie i łacińskie, a wśród tych łacińskich różne polskie wyrazy umieszczone. Otóż oprócz tych pierwszych będących zabytkiem starożytniej mowy naszej, wydawca umieścił *Glossarium* polskich wyrazów, które wśród owych łacińskich kazań napotkał. Dalej znajdujemy psalm 136 *Super flumina Babylonis* w różnych tłumaczeniach słowiańskich, dla porównania narzeczy i postępów mowy polskiej przedstawiony, a więc w tłumaczeniach: cerkiewnem, w czeskich, w staro-korutańskim i w kilkokrotnych polskich, nie pominąwszy przekładu wyjętego z kodeksu od igo Floryana, to jest, z Psalterza królowy Małgorzaty i z Biblii Sarosz-Patackiej. Następują potem starannie wyrobione *facsimilia* pierwszej części kazań polskich, niemniej i Psalmu. Czyli ten szacowny zabytek mowy polskiej który wydawca do roku 1420 odnosi, można nazwać kazaniami, należałoby się zastanowić. Nie zdają się one mieć charakteru nauk duchownych mówionych w kościele, będąc dziwną mieszaniną błędnych wiadomości historycznych z podaniami ewangelicznymi i z temi których autor musiał zaczerpnąć w jakichś wcale nieznanych nam legendach. Wprawdzie, każda przemowa zaczyna się od tych słów: „Dziatki mile,“ wprawdzie znajdujemy parę razy powtórzony wyraz „mówię,“ który zdaje się oznaczać, że te nauki opowiadane były, lecz w innym miejscu napotykamy następujące wyrażenie: *a przetoć tuta wypisuje imiona królewskie*“ it.d. które wskazują że ten dawny zabytek był tylko pismem a nie słowem publicznie głoszonem. Przypuścić bowiem nie można, aby na początku piętnastego wieku, w którym zwłaszcza w Polsce, wiadomości i nauki były prawie wyłącznym duchowieństwa udziałem, znalazł się kapłan tak mało obeznany z nauką kościelną i z historią, iżby publicznie wiernym w kazaniu ogłaszał, że cesarz August przysłał w darze mirrę Chrystusowi, że ś. Józef przybywszy do Betleem przed narodzeniem dzieciątka do pomocy Maryi „był dwie babce wesoła“, z których jedna nazwaną była Geba, druga Salomee, że Inocenty papież był trzecim papieżem po ś. Piotrze, że ś. Jana

ciało wraz z duszą, anieli w niebo unieśli, i wiele innych podań i twierdzeń najdziwaczniejszych. O tych dwóch habkach Gebał i Salomee musiał pisarz w jakiejś legendzie tak niezgodnej z opowiadaniem ewangelicznem powziąć wiadomość, lecz czyliż kaznodzieja lud nauczający byłby nawet w owym czasie śmiał ją w kościele wspominać? Mniemałbym więc, że tych pism tyle szacownych jako pomnik starożytny z 15 wieku starożytnej mowy ojczystej, za kazania uważać nie należy, i że one były tylko pracą jakiegoś mało jeszcze uzonego kleryka lub przepisowacza, dla własnej wprawy lub rozrywki przedsięwziętą. Ozdobą tej nowo wydanej książki są wyrazy hr. Tytusa Działyńskiego poświęcające ją księdzu biakupowi Brodziszewskiemu szufranowi gnieźnieńskiemu. Nie są one liczne, ale zwięzłe i pięknie tłómaczą uwielbienie i wdzięczność wydawcy dla czcigodnego pasterza, iż równie z pokorą jak z stałością stanął w obronie prawdy kościoła katolickiego. „Kiedy wielkie nieszczęście, mówi wydawca, ten niemylny problemowy kamień wartości człowieka i narodów, było dotknęło kościoła katolickiego w W. Księstwie Poznańskim, a Ty zacny Panie umiałeś w duchu pokory połączonej z niezłomną stałością wskresić w oczach naszych święte przykłady żywota męczenników pierwotnego kościoła, od tej chwili wdzięczność i uwielbienie ku Twojej osobie stały się długiem narodowym.”

Z jak żywą radością widzimy w uczonym i zasłużonym męzu, potomku znakomitego rodu, odrodzenie przodków gorliwości religijnej, i tę cześć głęboką dla poświęcenia i cnót katolickich.

Wydanie zabytku dawniej mowy polskiej, jak wzyśkie, które Hrabia Działyński z rzadką szczodrobliwością przedsięwzięte, jest, jakżeśmy już rzekli, wspaniałe, a więc kosztowne, i ztąd nie każdemu przystępne. W czasie, w którym dostatki możnych w naszym kraju tak rzadko użyte widzimy na wsparcie nauk, uczonych i literatury ojczystej, hojność Hr. Działyńskiego więcej niż kiedykolwiek ocenioną być winna. Lecz niech się zapytać godzi, czyli to jego upodobanie w wystawnych wydaniach, okazujące wprawdzie jego cześć i uszanowanie dla wszelkich zabytków naszej przeszłości, jest praktycznie użytecznem. Czyby nie właściwiej było

mniej osobne wydawać odczyty, a czynić je łatwiejszemi do nabycia trudniącym się rzeczami ojczyściem?

W *Złobku*, koledzie dla dzieci księdza Antoniewicza, wydanym u Mersbacha, ślicznie znajdują się nauki głoszone z tkiwością i szwizgiem właściwym temu świętobliwemu kapłanowi. *Złobek* podzielony jest na trzy dziesięć, przy każdym jest stosowne opowiadanie, nauka z niego wyprowadzona, przy niej modlitwa i zakończenie, koleda wraz z nutą. Przedruk poezyi Lenartowicza „Ś. Zofia“ wyszedł nakładem Żupańskiego.

Wydął on także *Powieść z czasu mego bezimiennego* autora, będącą raczej zbierem niektórych wspomnień litewskich, niż powieścią. Wspomnienia te z prostotą, bez żadnych wysiłków wyobraźni i stylu przedstawiane, mają tę zaletę, iż jak autor przyrzekł w przedmowie, zgorzzenia nie przyniosą, będąc z pocziwem czuciem skreślone. Wiele jest w tem dziełku szczegółów i opowiadań mniej zajmujących, które autor mógł by być opuścić, lecz rozdział o wspaniałości, powadze i pocągającej rzewności nabożeństw kościołów polskich, jest pięknie skreślony. Opis tego co się działo w Litwie podczas wojny 1812 roku, obudza żywe zajęcie; parę zabawnych anegdot rozámiesza, a znajdujesz czasem w ciągu tego pisma trafną uwagę i zdanie autora; jedno z nich jako nacechowane znajomością charakteru narodowego przytoczę. Mówiąc pisarz o skłonności Polaków do niepotrzebnych wydatków, twierdzi „że my łatwiej umiemy być wspaniałymi, jak dopełniającymi obowiązków naszych“.

Z anegdot jedną wspomnę. Gdy Hrabia Prowancyi, późniejszy Ludwik XVIII jechał do Odessy, przejeżdżając przez powiat Nowogrodzki przyjmowany był na stacyi pocztowej w Nowinach przez Chorążego Michała Mackiewicza; książę francuzki wierny nawykniomom dworu nie okazywał mu żadnej uprzejmości i nie zwracał na niego uwagi. Wtenczas Mackiewicz godnością obejmując się swego tak go zadziwił, iż go książę spytał: „Kto WPan jesteś? — „Jestem równy Waszej królewiczowskiej Mości i urodzeniem i nieszczęściem“ odrzekł Mackiewicz. — „A to jakim sposobem?“ zawołał Hrabia Prowancyi. — „Jako szlachcic polski, mówił dalej p. Chorąży, miałem niezaprzeczane prawo do tronu pol-

skiego, a więc równy jestem urodzeniem, dziś gdy wypadki polityczne pozbawiły mnie tego prawa, równy się stałam nieczczęściom.“ —

Wspomnienie nakonieć należy młodej nowo wyszłemu drukarni *Obraski Andersona* przekładu Hieronima Feldmanowskiego, który już poprzednio przetłumaczył był *heprewizatora* tegoż pisarza.

Z drukarni Kamińskiego i Spółki wyjdzie wkrótce tłumaczenie beniaminna *Homilia S. Augustyna i Rys Dziejów narodu polskiego dla użytku młodzieży*, w katolickim duchu skreślony. Rys takowy, któryby młode w kraju naszym umyśły oswoił z przeszłością narodu, dał im poznać jego dawne cnoty, zasługi, chwałę, a razem wszystkie winy i błędy, a któryby w nich śladnych szkodliwych nie zaszczerpił wyobrażeń, śladnych mylnych mniemań, wielce jest pożądanym. Zobaczymy, czyli ta praca na stanowisku katolickiem wykonana, odpowie w zupełności temu przeznaczeniu.

Pan Jarochowski, który zaszczytnie poznać się dał z swojej pierwszej części panowania Augusta II, którego to dzieła przedmowa szczególnieś ścłagnęła na niego uwagę czytających, przygotował kilka prac historycznych do druku. Można się nie zgadzać z autora poglądem na tę smutną epokę naszych dziejów, można mu nie jeden zarzut uczynić, czego artykuł w waszym Dodatku umieszczony w roku zeszłym dopełnił, lecz nie można odmówić mu talentu, nie można mu nie powiśszować, że go niechce marnować zwyczajem dzisiejszym na jalone i nie użyteczne pisma, ale krząta się koło poważniejszej pracy, wymagającej więcej czasu, trudu, i nauki. — Lecz po wyborniej recenzji dzieła jego umieszczonej nie dawno, w *Wiadomościach polskich*, mało by już było do dodania o niem. Recenzję tę zbyt znakomite skreśliło pióro, aby odgadnieniem być nie miało.

Poszyt słodny czasopisma literackiego tutejszego ukaze się w przyszłym tygodniu. Słyszeliśmy, że głównemi jego artykułami będzie pismo o Sprawach Polskich w rocznikach kościelnych, które ks. Augustyn Theiser dałej po kardynale Baroniuszu, tudzież ks. Odoryka Raynaldzie i Luderchiaszu prowadził; i recenzja piśmiennictwa literackiego, a w szczególności Dodatku miesięcznego do *Ocasu*. — Recenzja ta, jak nam mówiono,

jest bardzo szczegółowa i zajmuje się numerami wyszłemi aż do miesiaca lipca. Sama obszerność jej dowodzi, ile krytyk ocenia usiłowania i zasługi Redakcyi *Dodatku*. Wielu on artykułów wartość istotną uznaje, o nie jednym z przychylnym odzywa się sądem, lecz podobno o niektórych zbyt surowe, a może nawet niesprawiedliwe zdanie wyraża, zapatrując się na nie ze zbyt wyłącznego a właściwego sobie stanowiska. Krytyka w tém piśmie poznańskim zwykle bywa uzasadniona, z znajomością przedmiotu dokonana, często zwięzła, nigdy namiętna. Różni się ona od tych, które w niejednym piśmie peryodycznem dzisiejszem spotykamy, a które nigdy miary znaleźć nie umieją, czy nie chcą, ani w pochwałach ani w naganie. Lecz pismo poznańskie dozwalając szczególnie swój pogląd w jedną stronę, nie dozwała sobie pochwała żadnych objawów ducha i talentu, nie mogących miejsca znaleźć w widnokręgu jego. Ztąd pochodzi, iż dostrzegłszy w dziele jakim to co być błędnem lub szkodliwem mniema, już odwraca wzrok od całości, i wartości zalet szczegółowych nie rozpoznaje. Skoro strona ujemna ściągnie na siebie bacność jego krytyki, już dodatnia jest niejako dla niego stracona.

Z poezyi w tym poszytcie umieszczony będzie wiersz nowy Deotymy, i „Wierzba“ księżny Pazyniny; a tak czytelnik będzie mógł porównać oba najgodniejsze w kraju naszym natchnienia niewieście. Poszyt ten obejmować ma także recenzję ostatniego wydania Poezyi Pola, i bardzo — za nadto obszerną kronikę religijną, która stając się zbyt szczegółową, przestanie być czytana. Ta część tego pisma przybrała takie rozmiary, iż należy się obawiać, aby drugi, to jest literacki oddział, przez nią jeżeli nie wyrugowany, to przynajmniej znacznie uszczuplony nie został.

Jak w kraju naszym, umysły potrzebują zajęcia i ruchu, dowodzi ta drobna okoliczność, iż gdy w Poznaniu ogłoszony został konkurs do bardzo mało znaczącej nagrody za najlepszą satyrę przeciw grze w karty, z wszystkich stron satyry takowe jakby rzęsyw deszcz lanęły. Mówiono mi, że ich liczba znacznie wzrosła, i że między 8 lub 10 polskimi dwie niemieckie pośpieszyły także w szranki. Nagrododawca bowiem zanie-

dbał w swém ogłoszeniu wyrazić, że tylko polskim wierszem napisane o nagrodę ubiegać się mogą.

Kończąc moje z tego miesiąca literackie sprawozdanie, winienem słowo radosne umieścić o wznoszących się tyle użytecznych zakładach zakonnych płci żeńskiej. W Kurniku, w majątności Tytasa Hrabiego Działynskiego zaprowadzone zostało zgromadzenie Sióstr miłosierdzia, dla których właściciel Kurnika caynem także udowodniając gorliwość religijną, w przedmowie wyżej wspomnianej objawioną, obszerny budynek w roku następnym wzniesć zamierzył. W tych dniach przybyły z Paryża z domu głównego, cztery Siostry serca Jezusowego (*Dames du sacré coeur*) dwie Francuski, jedna Niemka, jedna Polka, które wkrótce zakład wychowania dla płci żeńskiej urządzą i otworzą.

Lecz najsiłniejszym dowodem, jakich cudów zdolna silna wiara w łaskę Boską, miłość i gorliwość chrześcijańska, przekonywa zakład Sióstr Urszulanek przed trzema miesiącami zaprowadzony w Poznaniu, a tak szczerze przy zaprowadzeniu funduszami opatrzony, iż takowe zaledwie część należitości za domy zakupione spłaciły. Tymczasem, jak gdyby wyższa moc dwoiła siły, gorliwość i możność osób zarządzających tem zgromadzeniem zakonnem, lub niem się opiekujących, już to zgromadzenie urządziło się, usadowiło, już otworzyło szkołę i zakład wychowania dla kobiet; do pierwszej już 120 dzieci ubogich uczęszcza, a drugi już 50 uczennic za opłatą oznaczoną przyjmowanych, a 45 na godziny nauk z miasta przybywających liczy. Ani wątpić, że zakład ten, acz żadnemi możnemi ofiarami nie zasłony, a już zalecający się starannością, porządkiem i opatrzaniem urządzeniem; utrzyma się i zakwitnie, bo nim zarządza szanowna, poświęcona i wielce wykształcona Przełożona, bo się nim opiekują ludzie dobrej woli, a miłosierdzie Boże widocznie go wspiera.

Berlin w październiku.

W ostatnich dniach pierwszej połowy bieżącego miesiąca postawioną i odeloniętą była ostatnia, ósma,

marmurowa grupa na moście zamkowym w Berlinie. W tym samym czasie król Fryderyk Wilhelm IV niebezpieczną dotknięty chorobą, leżał na śmiertelnym łożu w poczdamskim zamku Sanssouci.

O co ma z sobą wspólnego grupa na moście z chorobą króla? Ja nie wiem co ma wspólnego, gdy na jedną i na drugą patrzę z stanowiska praw przyrodzenia i rozumu; ale wiem, że wyobraźnia ludu, labiąca bardzo często łączyć z sobą najodleglejsze i najróżniejsze przedmioty i wypadki, osnuła podanie: że postawienie grup na moście zamkowym będzie znakiem zbliżenia się ostatnich chwil życia panującego monarchy.

Złowroga wyrocznia nie sprawdziła się. Król powstał z choroby i zaczyna powoli przechodzić do zdrowia. Zapomniano nawet całkiem o podaniu. Nikt go w tym czasie w pamięci ludu ani ustnie ani piśmiennie nie odświeżył. Grupę ostatnią postawiono i odsłonięto w największej oiskości, prawie bez świadków. Nie oczekano z odsłonięciem, jak było zapowiedzianem, na dzień urodzin królewskich, ale owszem przyspieszono je o parę dni, i dopełniono w tej samej chwili, w której życie monarchy znajdowało się w największym niebezpieczeństwie i zdawało się uśodzić bezpowrotnie. Nie przywiodła nawet nikomu podania powyższego na pamięć portre odsłoniętej na ostatku grupy, wyobrażającej „Iris unoszącą poległego w boju bohatera do Olimpu.” A przecież tak bliskim był związek postaci tej z aniołem śmierci przy łożu króla!

Miałeś być najpoetyczniej ze wszystkich swoich poprzedników usposobiony monarcha, którego żywot oznaczony był nadto tylu tragicznemi wypadkami, śmierć bez znamion wieszczych na ziemi i na niebie, bez nadzwyczajnych i poetycznych oznak i okoliczności towarzyszących ostatnim chwilom jego życia, bez obudzenia nawet w współczesnych sobie ludziam pamięci dawniejszych wydarzeń, które wyobraźnia idealniejszych czasów ubrała w poezję podania i powiązała z jego osobą? Proza dzisiejszych zmateryalizowanych stosunków ludzkich miłaby już tak dalece rozszerzyć i utwierdzić swoje panowanie, że nawet wiara w duchowy związek tego świata z drugim, wiara utrzymywana przez wieki tysiącem zakonów, podań, objawień, cudów stała się

swą, pomiędzy ludźmi, nie wywierając na serce, umysł i wyobraźnię ich żadnego wpływu?

Bo nawet *Biała Pani*, pokazująca się w zamku przed każdym ważnym wydarzeniem w rodzinie królewskiej, nie pokazała się tą razą. Widziano ją po raz ostatni w roku 1850, kiedyACYN króla zagrażał morderczy zamach oberoga na umyśle żołnierza Sefeloge, wykonany na tutejszym dworcu poczdamskiej drogi żelaznej. Widziano ją w roku 1840, kiedy Fryderyk Wilhelm III, ojciec panującego króla, kołował dni swoje.

Biała Pani awata się za matką rodu Hohenzollernów. Pokazuje się już dziećmi, już młodą, odziana w długą, obszerną, białą szatę, z pękiem klinosy przy boku. Pokazuje się poospolicie starym slugom, mamkom, żołnierzom stojącym na warcie. Stąpa bez szmeru i lekkotu wolnym nieposłyszanyym krokiem po korytarzach i komnatach. Drzwi otwierają i zamykają się przed nią i za nią samą i bez skrzyknięcia. Lubi wchodzić do sypialnych i dziecinnych pokoi, kołysze dzieci i czuwa nad nimi podczas snu, mamki lub płacunki, znikając z cichością cienia apostroczona przez przebudzone. Niema, ani się sama odzywa, ani na zagadnienia odpowiada. Pokazuje się jej zwinstuje poospolicie smutno, śmierć w rodzinie zapowiadające, lecz niekiedy i radośnie wypadki. Dorosłom kilka słów o jej pochodzeniu.

Początki historii Białej Pani, pokazującej się na zamkach rodu Hohenzollernów, odnoszą badacze podać i powieści do Agnieszki hrabiny Orlamunde. Pochodziła ona z książęcego rodu Meran, który wygasł 1248 r. Małżonka hrabiego Ottona z Orlamunde, powiła mu dwoje dzieci. Po śmierci męża r. 1293, rozniecił płomień miłości w niemłodej już ale pięknej wdowie, Albrecht, Biskup, bургabia merymbenski, z rodu hrabiów Zollern, z którego wyszli Hohenzollernowie. Miłość ta tragicznie wzięła koniec. Bo gdy Albrecht oświadczył jednego razu Agnieszce, że cała jej osoba jest jedyną przeszkodą do pojęcia jej w małżeństwo, ona zabita oba swoje dzieci, nie osiągnąwszy przez to celu życzeń swoich. Opuszczona dla sbródni tej przez Albrechta, skończyła żywot swój w więzieniu w dzisiejszym bawarskiem mieście Hof. Historia ta tłumaczy wskazane powyżej znaczenie pokazującego się ducha nieznaczliwej kochanki i matki.

Inni odnoszą początki historii o Białej Pani do Berty z Rosenbergów, matki czeskiego rodu Rosenbergów, pokrewionego z różnemi panującemi książęcemi domami w Niemczech, które także mają swoje Białe Panie. Inni znova poczynają jej daleje aż od bułgarskiej księżniczki Kunigundy, która w pierwszém zamęczeniu była za Ottokarem II, królem czeskim, w drugiem za jednym z Rosenbergów, z którymi już najdawniej, margrabiowie brandenburscy zostawać mieli w pewnych pokrewieństwach stosunkach. Biała Pani czesko-rosenberska, rozciągała więc opiekę swą na najodleglejsze latorośle pierwotnego szczepu rodowego. Pokazuje się bowiem nie tylko na zamkach rodziny Rosenbergów w Czechach, w Morawii, w Śląsku, mianowicie w Neuhaus, Krumau, Telczach, Kynast i Kynsburgu, nie tylko na zamku berlińskim, ale i w Darmstadt, Baireuth, Ansbach, Altenburgu, a nawet w Londynie, Sztokholmie i Kopenhadze. Zabłądza nawet podobno niekiedy do Rydzyskiego zamku książąt Sulkowskich w W. Ks. Poznańskiem.

Otóż Biała Pani ta, nie pokazała się tą razą, na zamku berlińskim. Czy dla tego, że królowi groziło tylko niebezpieczeństwo umysłowej sznycery, lecz nie fizycznej? Czy że leżał chory nie w Berlinie lecz w Sanssouci, gdzie Biała Pani nie ma przystępu, bo tam panują mocniejsze duchy Fryderyka II, Woltera i wielka óma innych z wieku oświecenia, które szydziły z widm, apiorów i wszystkich zaświatowych potęg i wpływów? Czy że pokolenie dzisiejsze stolicy pruskiej przesiąknięte jest od stóp do głów podobną niewiarą? Czy że panujący dziś królestwo nie mają bezpośredniego potomstwa i następstwa korony? Czy wreszcie, że ostatnie przeznaczenie Fryderyka Wilhelma IV wskazane już było w ludowem podaniu o marmurowych grupach na moście zamkowym? Kto zdoła wnikać w tajniki Białej Pani? Dosyć, że matrona nie raczyła pokazać się nikomu; oo. gdyby publiczność stolicy miała na uwadze, mogła była wrócić z większą niż biuletynów lekarskich pewnością, że czas żywota monarchy jeszcze się nie spełnił. Rozstęp tylko pewien utworzył się pomiędzy ciałem a duchem.

Skutki tej smutnej katastrofy nie są jeszcze wiadome. Wyobraźni ludowej nie trudno jednak będzie dopatrzeć w niej spełnienia się przepowiedni podania o grupach

mostowych, między których ciekłą postacią, czysto pogańską, a duchem chrześcijańskim, cechującym tak widocznie wszystkie czynności panującego monarchy, podobny jest rozstęp.

Skąd się wzięło to podanie? Skąd się biorą wszystkie podania. Z nadzwyczajnych zjawisk natury, z wielkich wypadków w społeczeństwie, z utworów wyobraźni ludowej, z natchnień i objawień pojedynczych ludzi. Podania nie są utworem dawnych tylko i ciemnych wieków. Powstaje ich i ginie bardzo wielka liczba i w naszych cywilizowanych czasach. Obok dziejów piśmiennych ciągnie się nieprzerwanie żyjąca ustna tradycja, niekiedy więcej warta niż pisane kroniki, tradycja, „w której lud składa broń swego rycerza, swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.“

Tak i podanie, o którym tu mówię, jest utworem nowszego czasu. Przed kilkunastu laty, jeszcze za panowania przeszłego króla, zjawił się tu powieśnik, jeśli sobie dobrze przypominam, nazwiskiem Sohn. Ludzie tacy nie są w Berlinie, chociaż to miasto tak refleksyjne, rozumujące i oświecone, żadną rzadkością, jak nie są nia w Paryżu. Najrozumniejsi ludzie miewają swoje przesady i zabobony. Wieszczyk ten ścigał do niebie tłumy ciekawych. Za małą zapłatę wróżył, zgadywał, przepowiadał, zwykle dość trafnie, wpatrując się prosto w fizyonomję stojącej przed sobą osoby. Sława jego rozeszła się po całym mieście. Pytano go o coraz ważniejsze rzeczy. Wieszczyk posunął się aż do przepowiedzenia roku i dnia śmierci przeszłego króla, co się spełniło. Policja, światlejsza niż publiczność, i wolna przez rozkaz z góry od wszelkich gusiel, wróż i zabobonów, zamknęła mu usta.

Po wstąpieniu nowego króla na tron, zaczęto mówić o wielkich nowych budowlach, które król miał zamiar stawiać, o wykonaniu projektowanych przez zmarłego króla, między innymi o postawieniu marmurowych grup na moście zamkowym, od kilkunastu lat zbudowanym, i tylko jeszcze tej ostatniej ozdoby, nie wiadomo dla jakich przyczyn, tak długie pozbawionym. W tym czasie wieszczek nasz znowu był wystąpił z zacisza swego, przepowiedział, nie wiem już przy jakiej sposobności, że postawienie grup na moście, będzie znakiem kończą-

tego się krasa żywota Fryderyka Wilhelma IV. Powspowiednia, rezeszła się pomiędzy ludem, i utrzymywała się dotąd jako żyjąca: podanie — o którym, jak powiedziałem na początku, w ostatniej chwili zapomniano.

Co mogło dać powód wieszczbiarzowi do tej przepowiedni? Zapewne następujący wypadek: Most zamkowy zbudowany wedle pomysłu i rysunku sławnego Schinkla, był właśnie dokończony, kiedy panujący dziś król zanił się z Elżbietą księżniczką bawarską. Było to dnia 29 listopada 1823 r. Uroczysty wjazd nowożeńców do stolicy, miał być zarazem dniem otwarcia mostu. Oni pierwsi mieli przezeń przejechać. Natłok ludu był niezmierny, największy w bliskości zamku i nowego mostu. W czasie pracy około niego, rzucony był przez rzekę dla utrzymania komunikacji inny tymczasowy most z drzewa; tak przy tamtym wystawiony. Przezeń ciągnęła się i ważyła cała masa ludu: w czasie przejazdu wjeżdżających na most, i w chwili, kiedy ich kareta galowa wjechała na most nowy, most drewniany zatamował się, i paręset ludzi wpadło do wody, w której większa część znalazła śmierć swoją. Można sobie wyobrazić, jakie wrócenie wypadku takowy sprawił na nowożeńców. Winę jego zwałono na policie, która po wjeździe karety galowej na most nowy, także natychmiast zamknęła, przez co na most drewniany tym większy stał się nacisk, a w skutku tego, rzeczono nieznacznie. Lud uważał je za złą wróżbę dla przyszłego panowania młodej pary. Wróżba, pod wielką względami nie była mylną. Czas natraf jej po części i pamięć. Wieszczbiarz berliński wysnuł jednak z niej ostatni wątek życia Fryderyka Wilhelma, wiążąc go z ostatecznym dokończeniem mostu przez postawienie na nim grup marmurowych.

Królowi nie była niewiadoma ta przepowiednia, którą znał każdy mieszkaniec stolicy a może i kraju. Że monarcha tak głęboko i wniechęconie wykształcony nieprzypisywał do niej żadnego znaczenia, dowodem tego najlepszym postawienie grup na moście. Rankiem do robienia ich wyszedł sam, po wstąpieniu króla na tron. Dokończenie budowli i dzieł sztuki, od ojca swego przejętych, uważał król za obowiązek synowski; który przeważał wszystkie inne względy. Nadzwyczajna tylko przewłoka w postawieniu grup mogła utrzymać wiarę

ponieczy ludem, że przyczyną tego jest powyższe podanie. Gdy przed dwoma laty wreszcie pierwsze siedm grup postawiono, a przepowiednia się niesprawdziła, podanie straciło całą wartość swoją i powagę, i to było zapewne przyczyną, że nie pamiętano nawet o nim, gdy niebezpieczne chwile choroby królewskiej przypały właśnie na czas postawienia ostatniej grupy. Datę dochodzą mi już głosy, które szepcą, że przepowiednia w większej części 'sprawdziła się, i że choroba króla istotnie się już od postawienia pierwszych siedmiu grup poczęła. Nie masz pewniejszych proroków jak po dokonany czynia. Wtenczas noc ciemna staje się dniem jasnym, nieodgadniona zagadka prawdą oczywistą, myśl senna słowem wołaniem i czynem na jawie, głupiec jawowidzącym mędrcem, który rozdarł przed czasem zasłonę wyroków niebiańskich!

Oto na dokonanie krótki opis grup w porządku, w jakim wedle pomysłu Schinkla po sobie następują. Most zamkowy jest połączeniem szeregu narodowych pomników rozstawionych na przestroni od Bramy brandenburskiej aż do muzeów i zamku królewskiego. Wyglądało ozdobić go odpowiednim sposobem, to jest, nadać mu wojenne piętno w klasycznej starożytnej formie. Zjazd pomysł połączenia wojowników z Minervą i Wiktoryą w różnych przejściach i stopniach życia wojennego. Z jednej strony mostu, idąc od Lip ku zankowi, grupy wyobrażające wojowników od rozpoczęcia sztuki robienia broni aż do uwieczzonego powrotu z boju; z drugiej strony grupy wyobrażające wojowników od powstania z ran, postępujących przez nowe boje i ku uwiecznionej bohaterskiej śmierci. Po każdej stronie mostu cztery grupy, stojące na podwójnych postumentach, spodnim z szlifowanego granitu, górnym z szarego szlaskiego marmuru.

Pierwsza grupa, dzieło rzeźbiarza E. Wolffa, przedstawia Wiktoryę, która dorastającego młodzieńca wzywa do boju, wskazując mu wyryte na tablicy imiona Aleksandra, Cezara i Fryderyka.

Druga grupa, dzieło rzeźbiarza Schievelbeina, wyobrażająca Minervę, uczącą młodego wojownika rzucac oszczepem.

Trzecia grupa, dzieło rzeźbiarza Mocllera, wyobrażająca Minerwę, zbrojącą młodego wojownika do boju.

Czwarta grupa, ostatnia po prawej stronie, dzieło rzeźbiarza Drake, wyobrażająca Wiktoryę, wienieczącą zwyciężkiego bohatera po ukończonym boju.

Piąta grupa, pierwsza z lewej strony, dzieło rzeźbiarza Wichmanna, wyobrażająca Wiktoryę, podnoszącą rannego wojownika.

Szósta grupa, dzieło rzeźbiarza A. Wolffa, wyobrażająca Minerwę, zagrzewającą powstałego z ran wojownika do nowego boju.

Siódma grupa, dzieło rzeźbiarza Blaesera, — najlepsza ze wszystkich — wyobrażająca Minerwę, niosącą wojownikowi pomoc w ostatnim stanowczym boju.

Ósma grupa, ostatnia w porządku, dzieło rzeźbiarza Wredowa, wyobrażająca Wiktoryę w postaci Iris, unoszącą poległego w boju bohatera do Olimpu.

Wszystkie te grupy wykonane są według greckiego stylu. Wojownicy po większej części nadszy. Wiadomo, jaki z tego powodu powstał dwa lata temu skandal w publiczności i spór w prasie tutejszej. Mówiłem już o tém w artykułach o rzeźbiarstwie. Ostatnia grupa przesadziła inne w nagości.

Bohater leży przegięty na lewém ramieniu Wiktoryi, z wypiętym przodem ciała bez żadnej osłony, jakby umyślnie wystawiony na widok publiczny. Niektórzy z krytyków, tą razą słusznie, na to nadużycie powstali, zwłaszcza, że grupa nie zaleca się wcale ani kompozycją ani wykonaniem. W całości most wspaniały sprawia widok. Grupy wykonane są z najtwardszego karyjskiego marmuru.

Paryż w październiku.

Dwie rywalki walczące z sobą o berło literatury francuskiej, *Akademia* i *Towarzystwo literackie*, chcąc rozniecić w piszącej młodzieży święty ogień natchnienia, z każdym dniem gasnący, naznaczyły skłonny do rymów autorom, dwa konkursy. Pierwsza, zawsze wierna klasycznej epopei, w braku wyższego przedmiotu, za-

dała *Wojnę Wschodnią*; druga, systematycznie zbratana z duchem swego czasu, wskazała jako przedmiot poematu *Upiękczenie Paryża*.

Na skinienie dwóch belletrystycznych mocarek zbiegły się roje konkurentów; sędziwa Akademia naliczyła ich przeszło półtorasta. — Towarzystwo Literackie, że nowe i hojniejsze, nie mogło nadążyć czytać w odpowiedzi na swe wezwanie nadsyłanych foliatów. Przedmiot tak dalece nęcił każdego, że sama nawet Jaśnie Oświecona Bursa, Przewielebny Handel, oraz Wielmożne Kredyty ruchomy i nieruchomy, których czyny i aspiracye są zadaniem codziennych konkursów tutejszych pisarzy, na chwilę ustąpiły z drogi słonecznemu wozowi Apollina.

Jakoż, tak fantazyja poety, jak patryotyczne uczucie, miało tu obszarne dla siebie pole: obrazów gotowych rozmaitość wielka — niewyczerpane źródło porównań — faktów i dzieł dających się podnieść do ideału, mnóstwo — każdemu z konkurentów zdawało się, że ze scen wystrzyżonych przez samą historię, będzie można jak z tekturowego patrona rzecz przerysować — że dodawszy nieco cudowności i koloru, z *Wojny Wschodniej* da się ułożyć poemat co zaćmi *Iliadę* — a z *Nowego Paryża* coś, co przewyższy Wiktora Hugo opisy koronkowej stolicy Ludwika XI.

Tak się zdawało — cóż bo się niezdaje ludziom zapatrzonym w swe wielkie cele — ale jakby na przekór zrozumieniu młodych rymotworców, poezya nie stała się na ich wezwanie. Kapryśna ta córka niespodzianki i zapалу, jak owa bajka Krasickiego, nie przychodzi do tych co jęj wołają jak czajki — zamiast stąpać po wysypanej piaskiem i kwiatami drodze, woli odkrywać ścieżki, po których jeszcze nawet myśl ludzka nie chodziła, a odwiedzać tych tylko co na nią nie czekają.

Stało się tedy, że pomimo łatwości zadania, w całej armii na papierze zdobywającej Sebastopol, Akademia nie odkryła ani jednej piersi godnej zaszczytnego znaku — i z bólem serca, choć wątpiac w gruncie czy znajdzie już dziś rycerza któryby klasyczną zbroję i oręż podźwignął, drugie do tejże mety wyznaczyła turnieje.

Zadanie Towarzystwa Literackiego pomyślniejszy uwieńczył skutek. Paryż, a raczej przemysł, natchnął francuskich bardów silniej niż Sebastopol — dzieła pokoju przemówiły do nich wymowniej niż czyny wojenne; rymowane obrazy Paryża pojawiły się ładne, gładkie, błyszczące kolorami i pokostem — ale zawsze tylko ze stanowiska racjonalnego widziane. Opisu Paryża z odwieczną jego historią, żaden z młodych synów starłej Lutecyi nie związał; każdy dał formę, ale niewlał w nią ducha; zajęty chwilą obecną, ani pomyślał spojrzeć po za siebie, wspomnieć o sterczących, obok nowych cegieł, kamiennych widmach przeszłości... a jednak, gdzież ich więcej jak tutaj?...

Paryż, to kamienna kronika w której wyczytać można całą historię wielkiego narodu — dziesięć miast w jednym, reprezentowanych przez główne gmachy. Paryż Katarzyny Medicis uosabiają *Tuilerye*, szacowny zabitek architektury szesnastego stulecia, i zarazem karta dziewiętnastowiecznych dziejów Francyi zapisana kolumnami dwóch rewolucyj; Paryż Henryka II, *Hôtel-de-Ville*, gmach wymowny o szlachetnym profilu; Paryż Henryka IV, *Place Royale*, zabudowany w trójkątne domy, których fasady z cegły czerwonej, narożniki z białego kamienia, a dachy z siniego łupku, wzdłużnie śmieją się do słońca. Paryż Ludwika XIII nosi *Val-de-Grâce*, karłowaty kościół o brzuchatych kolumnach; Paryż Ludwika XIV, *Inwalidy*, gmach wielki, bogaty, słocisty a zimny; Paryż Ludwika XV, reprezentuje godnie wąty, manierowany i apstrzony *Saint-Sulpice*; Paryż Ludwika XVI, *Panteon*, niudolna kopia Bazyliki św. Piotra; Paryż Rzeczypospolitej, *L'Ecole-de-Médecine*, niby grecko-rzymska budowa, tak podobna do Kolizeum i Parthenonu jak konstytucya roku III do praw Minosa; Paryż Napoleona na *Place-Vendôme* jasnieje, uosobiony szczytnie w brązowej kolumnie wzniesłej z dzieł nieprzyjacielskich i uwiecznony statua Cesarza, który:

.... „jak Rodyjski posąg, świecznik trzyma,
I jedną nogę wsparł na martwych grobie,
Drugą na zamku królów... Gdzie oczyma
Sięgnął—tam wnet i ręką dostawał olbrzymia.“

Nakoniec Paryż Restauracyi wyraża *Bursa*, droga bo dwadzieścia milionów kosztująca episkopska kopia greckiej świątyni, która z resztą odpowiada zupełnie swemu przeznaczeniu: tem jest bowiem dziś Giełda węg Francyi czem była kiedyś w Grecyi Świątynia.

Z każdym z tych charakterystycznych gmachów wiąże się tysiące domów, które rozróżnić łatwo, bo wybitny w nich duch wieku, a fizyonomia króla odcisnięta na każdej klamce. Wszystko tu tak wymowne, tak plastyczne, że nawet prostakowi tajemnice swój daszy odsłania: któż nie spostrzeże, iż Wyspa Ludwika S., ta kolebka Paryża, opasana niebieską wstęgą Sekwany, ma istotny kształt kolebki? — któż przejdzie przez ogromny Plac *Revolucyi*, dziś placem *Zgody* zwany, ażeby się nie spotkał z widmem gilotyny? Któryż z nas stanąwszy przy hieroglifami zapisanym kamieniu, gdzie niegdyś spadła głowa Ludwika XVI, niepowtórzy pytania, które przed dziesięciu laty, w tem samem miejscu zadawał sobie Juliusz Słowacki:

„Czy wróca, czasy tych świętych tajemnic
Kiedy tu ludzie zbytkiem życia wściekli,
Jedni pod kątem, drudzy w głębi ciemnic,
Inni ponurzy, bladzi, krwią ociekli
Co kiedy śmieli pomyśleć — wyrzekli.
Lud cały kona, katy i obrońce,
Dnia im nie stało, aby się wysiekli;
I przeczuwając krwawej zorzy koniec,
Jak Jozue wołali: dnia trzeba — stój! ałońce!”

Któż obojętnie pominie ponury kościół *Notre Dame*?
Kogóż w głębokie nie pograży dumania ta majestatyczna postać i ta

„Gotyckim kunsztem ukształcona ściana.
Rzekłbyś — że zmarła matka twojej matki,
W czarne brabanckie koronki ubrana,
Z chmur się wychyla jak dach Ossyana“.

A teraz, po przez las wieńce, kolumn, arkad, łuków,
obelisków i posągów, spójrzaj w to miasto, potężne,
uchwyć ogólny kontur jego rysujący się na niebie jak

olbrzymia szczerka rekina — roztop go we mgle która ustawicznie szczyty jego oblega — oświeć go słońcem, gazem lub księżycem, co głowy wień jego zwykły srebrzyć misternie — i powiedz, czy jest drugi z ducha i kształtu wznioślejszy do poematu przedmiot?

A jeżeli jeszcze nie dość silnego przez oczy doznałeś wrażenia — jeżeliś nie rozumiał tajemniczej mowy granitów — wejdź o świcie na szczyt jaki wyniosły i posłuchaj pierwszego słowa budzącego się Paryża. Posłuchaj, jak za danym przez słońce znakiem, na raz uderzą serca tysiąca dzwonów, a słuchając tej pieśni poważniejszej od porannego hymnu przyrody, zrozumiesz niechybnie, że trzymasz ucho na sercu świata.

Poranna pieśń Paryża ma urok niezrównany. Płynie ona ku niebu w owiej tajemniczej chwili, kiedy perłowe powietrze walczy jeszcze ze słońcem, i jego brylantowe strzały swym opalowym odpiera puklerzem.... Z początku, tu i owdzie z rzadka ozwie się dzwon, jakby muzykant dający drugiemu hasło zaczęcia koncertu... chwilę trwają, sygnały — aż nagle z każdej wieżycy tryska ku górze piramida dźwięków — z razu wyraża jak solo w chórze, wkrótce utopiona w wzburzonym oceanie śpiżowych bałwanów... W porannym tym hymnie rozróżnisz jednak tysiące odrębnych, poważnych, posępnych, głuchych lub wrzaskliwych dyalogów: rozpoznasz bogatą gammę siedmiu dzwonów świętego Eustachego — srebrną mowę Loretańskiej dzwonnicy — głuche jęki z wieży świętego Rocha — i setki innych dzwonów, co wszystkie razem śpiewają różnemi tonami, a chwilami jak pod uderzeniem młota cichną, przysłuszone potężnym akordem ogromnego dzwonu Katedry.

Za prawdę, jestto opera której posłuchać warto! Dzienny gwar Paryża, to jego mowa — poranny jest jego modlitwa, a kto ją raz w życiu słyszał, przyzna, że niema nic w świecie wspanialszego i wznioślejszego nad tę pieśń śpiewaną ranniej zorzy przez dziesięć tysięcy śpiżowych głosów, nad ten gród przemieniony w kapelę, nad tę symfonię grzmiącą jak nawałnica!

Ale wróćmy do konkursu. Mówiłem ci tedy, że przedmiot zadany przez Towarzystwo Literackie był piękny, i że młodzi autorowie z tego zadania wywiązali się lepiej niż z epopei — przez co bynajmniej powiedzieć

nie chciałem, że Paryż znalazł swoich poetycznych dziopisów. Najgórnolotniejszy z nich i ukoronowany, p. Henryk Derville, nie wzniosł się nawet do szczytu wieży świętego Jakóba, a cóż mówić o wieżach *Notre Dame!*

Szanowny laureat nie ma skrzydeł — za to ma rozsądek — przymiot niekoniecznie potrzebny poecie, ale że narodowy, popłaca. Zamiast więc bujać w powietrzu, Derwille spaceruje sobie po ziemi — zagląda do sklepów — chwali pod sznur wyciągniętą ulicę Rivoli, która jest piękna ani słowa, dobrze wybrukowana i zamieszкана przez bogatych kupców — Luwr nowy; podoba mu się daleko więcej niż poczerniałe kamienie wchodzi do nowych kawiarni, koszar, do pałacu wystawy, nowych domów i nowych hoteli, słowem, wszędzie gdzie czuło świeże wapno lub pokost — i tak obszedłszy spory kawałek drogi, nie zmarnowawszy czasu ani werwy na mgliste opisy, suche badania historyczne, męczące rejestra dat, zaszedł prosto do celu, to jest, wykazał czarne na białem: że Paryż nigdy nie był tak wapaniałym jak za panowania Ludwika Napoleona, i jeżeli tym trybem rzeczy iść dalej będą, Królestwo Boże, o które się modlimy, wkrótce we Francji zawita.

Tyle co do konkursów poetycznych.

O czemże więcej mówić? Paryż próżniaczy rozpierzchaiony po świecie, jeszcze się u siebie bawić nie zaczął; Paryż robotczy jeszcze nie ukończył nowych cacek i nowych niespodzianek, które pod niebytność nłubleńców fortuny, zwykł co rok o tej porze dla nich przygotowywać; Paryż literacki daleko po za gniazdem wybiegł szukać żywności, którą żarłoczną swą publikę ma przeczimować.

Z książek poważniejszych wyszedł w tym miesiącu tylko drugi tom *Historji Panowania Ludwika Filipa*, przez Wiktora Nouvion. Autor nie uważając że zwłoki wygnanego króla jeszcze ciepłe, a nienawisć stronnictw gorąca, ciągnie dalej dzieło rehabilitacji tego monarchy.

Rzecz dziwna, że chociaż pożytek z takiej pracy żaden — chociaż nie trzeba być prorokiem, ażeby wiedzieć iż przed czasem urodzone dziecko żyć nie może — że autor chociażby miał słuszność, jeżeli nie wybierze nie

w porę, pierwój będzie zapewniany niż słuchany—rzecz-
daiwna mówię, że mimo to wszystko, pisanie i drukpo-
wanie wczorajszych dziejów jest teraz w powszechnej
modzie.

Historja pisze się teraz z dnia na dzień, a co więk-
sza, wydaje za życia tych, których czyny ocenia. Je-
szcze nienawiści wrą w najlepsze — jeszcze stronní-
stwa stoją na przeciw siebie w bojowym szyku, kiedy
już znajduje się pół-bózek w tym lub owym obozie, któ-
ry spółośne ludzkie sprawy sądzić się podejmuje bez-
stronnie. Przypuściwszy nawet tę rzadką onotę w enle-
wiku stojącym zupełnie na uboczu, przypuścić nie mo-
żna, ażeby bezstronnie sądził wypadki ten, kto sam
w nich brał udział. Autor i aktor zarazem, choćby był
najuczciwszym i najzdolniejszym, mimowiednie alega
wpływowi sprawy której służy, związany z nią, całą
swą przeszłością, nie może samemu sobie zadawać kłam-
stwa — w zlej czy dobrej wierze, niesprawiedliwym
być musi kto w gorącym szpiera popiele.

Dla tego potomność tak dobrze z dzieła pana Nou-
vion, jak z pamiętników Guizota tę tylko naukę wy-
ciągnie, że pisana jednocześnie z wypadkami historia,
musi być apologią albo pamfletem.

A propos *pamfletu*, przychodzi mi na myśl nowa dwu-
aktowa komedya, którą pod tym tytułem p. Legouvé dla
teatru francuzkiego napisał. Ponieważ prac akademickich
pomijać się nie godzi, opowiem w kilku słowach treść
„*Pamfletu*.”

Pod koniec zeszłego wieku, żył w Madrycie sławny
pamfletista nazwiskiem Clavijo, przed którego ostrym pió-
rem drżała Hiszpania; człowiek ten trzymający w swém
ręku honor wszystkich rodzin, był zakatą i zarazem po-
tęgą swego czasu.

Otóż, po ostatniej kampanii hiszpańskiej w Ameryce,
pamfletista ów wydał broszurę, w której wielbionego
przez naród Tordovę obwinia o zdradę i przekupstwo;
na dowód, przytacza list nieprzyjacielskiego generała,
w którym tenże ofiaruje wodzowi hiszpańskiemu zna-
czną summę za wydanie twierdzy. W końcu Clavijo
dodaje, że zezwolenie Tordovy na haniebne prośby jego
ma w kieszeni.

Generał Tordova ma w Madrycie córkę Izabellę zarę-

ozoną z margrabią Ureas. Skoro potwarczą książeczką rozeszła się po kraju, ojciec pana młodego nie chce zawnolić, aby ona jego zaślubiła córkę zdrójcy ojczyzny. Młody margrabia nie mogąc zbić zarzutów, wyzywa Clavię na pojedynek. Przerażona Izabella chcąc cios odwrócić, układa zręcznie niby nieumyślne spotkanie z pamphlicystą, mając nadzieję że go skłoni do odwołania potwarzy.

Najprzód atoli potrzeba, żeby Clavio przyznał się iż jest autorem bezimiennie wydanej broszury. W tym celu Izabella chwytą się zużytego ale zawsze nieomylnego środka: ugadza przeciwnika w najsłabszą stronę, próżność autorską. Zaczyna chwalić książeczkę i przypisuje ją komu innemu. Clavio nie mogąc znieść żeby ktoś inny jego talentem wzrastał, przyznaje się do autorstwa. Wtedy panna prosi o odwołanie — ale groźby i prośby pozostają bez skutku.

Postawiwszy rzeczy tak rozpaczliwie, dla uniknięcia tragedji, potrzeba było koniecznie ażeby jakiś *deus ex machina* przybył nadać sprawie weselszy obrót. P. Legouvé sprowadza go w osobie zrujnowanego hidalga, który mając sobie tegoż wieczora życie odebrać, chce zrobić przed śmiercią dobry uczynek, oczyścić Hiszpanię z pamphlicysty. Clavio mając pistolet hidalga na piersiach, odwołuje potwarz — poczem, naturalnie, wszystko układa się jak najładniej.

Powyższa sztuka napisana dobrze, ma fałsz w założeniu. Można było na tém tle osnuć satyrę, ale za jej główną figurę wziąć wypadało nie podłego pamphlicystę, lecz uczciwych ludzi, którzy w pamphletach lubują. Od niejakego czasu, publiczność tylko plotkami zajęta, potrzebuje nauczki — taka komedia byłaby i zabawna i zbawienna; Clawiowie wstęby się wzięli do innego rzemiosła, gdyby piękne damy i panicze mniej chciwie czytali ich salachetne utwory. Wielka szkoda, że się p. Legouvé nad tém nie zastanowił — zadanie było godne jego znakomitego talentu.

Pisząc ten list do ciebie, o małym nie zapomnieliśmy dopisać o wielkim wynalazku, którego sława może jeszcze do twych uszu nie doszła.

Cóż za wynalazek — spytasz — pewnie Goldschmidta nowe dwie planety aż tu mnie ścigają.

Boże uchwaj! O Goldschmidzie w Paryżu się nie mówi. Prasa tutejsza znudzona mnogością jego wynalazków, dawno mu już powiedziała słowa, któremi niegdyś Boileau apostrofował Ludwika XIV: „*Grand roi, cesse de vaincre, ou je cesse d'écrire*“ — a ponieważ napomniany nie przestał nadużywać jej cierpliwości, ale z uszczerbkiem astronomów całego świata, po dwie naraz planety odkrywa — więc skazany został na bannicyą z kolumn drukowanych. Nie o jego tedy nudnych wynalazkach mówić chciałem, ale o czemś ważniejszém, o wynalazku który nappełnił cały Paryż radością — o maszynie do puszczania mydlanych baniek; zwanój *Le Vole-heures*.

Bańki mydlane podniesione do ideału! Czyż to nie wielki wynalazek? W tym naszym doktrynerskim świecie, pełnym formułek, systemacików, kłamstw historycznych, paszkwilów i panegiryków — w tych czasach w których głowy są zarazem tak nadęte i próżne — frazesy tak wielkie, a tak bezduszne — w których tyle książek i dzienników, a tak mało sensu — można znaleźć miłą rozrywkę nad puszczanie baniek z mydła?

Co do mnie, ja z wydoskonalenia tej niegdyś dziecinnej zabawki, nietylko przyjemność, ale zbawienne skutki wróżę. Idealne to zajęcie, zabijając czas mile, może powstrzyma ludzi od pismo-manii, może ostudzi autorską gorączkę w jednych, a drugich od czytania malignowych plodów uchroni. Daj Boże, aby zbawienny wynalazek francuzkiego filozofa jak najrychlej się u nas rozpowszechnił!

Londyn w październiku.

W ciągu tego miesiąca niebyło żadnych ważniejszych wypadków nad indyjskie. Całego świata w tej chwili oczy na Anglię zwrócone; wie ona o tém i poczuwa się do obowiązku. Jej rada stanu przeto, jej władze wykonawcze i lud, jej wojsko i kościół jedynie tem zatrudnione, jak utrzymać państwo na wysokości dawnej jego potęgi, jak odbić ciosy niespodzianie wymierzone na nią w Indjach. Przedmiot to wielce wa-

zny, pełen nauki, mogący być przestrogą dla niejednego rządu; — dla tego rzecz o nim, jak za dwóch przeszłych miesięcy, dalej prowadzę.

Mylnem jest mniemanie, jakoby Anglicy tylko zdzierali i bogacili się w Indyach bez żadnej dla tego kraju korzyści prócz ucisku; a mylniejszem jeszcze to, że Indye zyskałyby więcej i byłyby szczęśliwsze, gdyby pozbywszy się ich, wrócili pod panowanie poprzednich swych zdobywców, Mogułów lub krajowych swych książąt, istniejących pod różnemi tytułami w jakie Azja obfituje. Wszakże ci długą mieli sposobność przyczyniać się do szczęścia swych ludów, wielu mają nawet teraz jeszcze, a przecie nie przyczyniają się do niego; owszem osobista ich nieudolność i idący za nią bezrząd poddały ich pod zwierzchnictwo Anglii, bo jakim już na innem miejscu powiedział, panowanie Anglików w Indyach nie jest samowładne lecz tylko zwierzchnicze, oparte na pewnych ugodach zawartych z książętami krajowymi i dzielającymi z nimi, jakoby lennikami władzę nad różnemi dzielnicami kraju. Panowanie Anglii w Indyach nie było podbojem w prawdziwem słowa tego znaczeniu; jest ono przewagą, jaką naród z wyższą oświatą zwykle nad mniej oświeconym otrzymuje; zgoła, wpływ panowania angielskiego na Hindostan, jeśli nie jedynie, to w większej części był tylko moralny. I niemógł też być inny, zważając na sto pięćdziesiąt milionową ludność krajową, w obec tylko 60,000 Anglików, policzając w to od 25,000 do 30,000 wojska, gdyż go nigdy więcej tam nietrzymano — kiedy w Europie, państwa ledwo cztery miliony ludności mające, liczniejsze częstokroć utrzymują. Dziwić się trzeba, i historya nie przedstawia żadnego podobnego przykładu — żeby naród kiedykolwiek, nie siłą swego oręża, lecz jedynie praktycznego geniuszu swego w rządzeniu, zdołał odzierżyć taką przestrzeń ziemi i tyle ludności pod swem berłem utrzymać. Że dziś bunt wszczął się — choćby ten bunt od wojska przeszedł i do masy narodu — nie w tem dziwnego; owszem dziwna, że przy tak wielkiej różnicy wyobrażeń, zasad rządzenia, praw i obyczajów europejskich a azjatyckich, i codziennem ścieraniu się ich między sobą, częstszych nie było zaburzeń. Niemożna tego czemu innemu przypisać, jak umiarkowaniu i

małej we wszystkim oględności ze strony rządu angielskiego. Z czegokolwiek wyższa oświata europejska słyneła, to starała się Anglia przynieść na grunt indyjski. Ulepszenia te były moralne i fizyczne. Poznoszono wiele barbarzyńskich zwyczajów, nieludzkich kary i katuszy; pozaprowadzano liczne szkoły, dziennikarstwo w krajowym języku, dano wolność druku. Co więcej, zniesiono handel niewolnikami. Urzędnicy cywilni i oficerowie do pułków wojska indyjskiego przeznaczani, obowiązani byli znać język krajowców, odbierali przygotowane wychowanie w osobnych instytucjach w Anglii na ten cel utrzymywanych, gdzie składali przed wysłaniem do Indji przepisane egzamina. Handel wywozowy przewyższający dowóz, corocznie bardzo się wzmagał. Dla ułatwienia komunikacyi pobudowano koleje żelazne, pozakładano telegrafy; dogodności jakich wiele stolic europejskich niema, posiadały Kalkuta, Madras i Bombaj, jako środkowe punkta rządu i handlu. Zapewne wiele jeszcze zostawało do zrobienia, ale i to by się z czasem zrobiło — bo anglosaksońska rasa nie lubi próżnować — gdyby rokosz, czynności jej był nieprzerwał. Pod tym względem sami krajowcy nieodmawiają Anglikom sprawiedliwości. Czytając odezwy króla delijskiego lub Nana Sahiba, najśroźszych nieprzyjaciół ich, nie znajdujemy w nich nic ani przeciw polityce angielskiej, ani przeciw administracyjnemu urządzeniu; lecz całą skargę toczy się o to, że Anglicy chcą schrzęścianić Indye. Gdyby w powyższych względach miano im ockolwiek do zarzucenia, zapewneby tego niezaniechano; lecz odezwy obydwóch, a osobliwie kłamliwa odezwa Nana Sahiba, którą znać, wymierzona była jedynie przeciw nawracaniu. Wiadzieli oni dobrze na co się skarżył, i co im przyczynić mogło stronników. Nawracanie więc było ich hasłem. Wystawili przez to rząd angielski na dwa ognie: na jeden z Azji, że nawracał grzesząc nietolerancją, na drugi zaś z Europy, że bronił nawracać i grzeszył zbytkiem tolerancji. Prócz tego, narażony on został jeszcze na flankowy ogień z Rzymu, jakoby misyonarze nawracając na protestantyzm, zaszczerpiali tam fałszywą, i zgubną cywilizację.

Zgad mógłby kto mniemać, że katolickie misye miały sobie wstęp do Indyj wbroniony. Lecz rzecz ma się inaczej. W okolicach pod Mirut, w tem pierwszem ognisku powstania, były szkoły katolickie w których mniszki uczyły; a podczas samej okropnej rzezi w Cawn-pore czterech księży katolickich padło ofiarą wściekłego okrucieństwa Nana Sabiha. W połowie właśnie bieżącego miesiąca odpłynęło z tutejszych portów więcej księży katolickich niżby trzeba na zapełnienie miejsca zamordowanych męczenników. Rząd angielski nie zabrania bynajmniej ani tych misyj, ani misyj wszelkich innych wyznań religijnych. Sam atoli nie jest misyonarskim, ale władzą świecką, i jako rządowi niepodobna było mu być inną, gdyż występowałby z własnej swej atrybucyi i powołania. Obowiązany był rozciągać swą opiekę nie na jednych Chrześcian, ale zarówno na Muzulmanów jak na Budystów, zarówno na Parsów ożcieli ognia jak na ludy wszelkich innych wyznań, które mu się podały w poddaństwo. Jak najściślej też przestrzegano tej reguły, pilnie unikając dawania powodu do urazy jakimubądź wyznaniu. Polityka takowa może się niepodobać, może nie być konsekwentną teoretycznie, ale zachodzi jeszcze pytanie: czy rząd sam przez się, lub łącznie z Kompanią Indyjską, mógł był w tym względzie inaczej działać? i czy wystąpieniem swem w charakterze misyonarskim, jak to wielu chce, i zaprowadzeniem w Indyach niejako chrześcijańsko-teokratycznej władzy, zamiast oddalenia nie byłby przyspieszył raczej okropnych zaburzeń i krwi przelewu, jakimi wojny religijne tylokretnie się odznaczyły. To pytanie po przytłumieniu rękoszu znajdzie zapewne gruntowny rozbiór, na jaki z wielu miar zasługuje, a może i zastosowanie. Od wypadków bowiem dzisiejszych rozpocznie się nowa epoka dla Indyj.

Wartość stosunków jednego kraju z drugim zależy głównie od korzyści jakie stąd na nie spływają — co się zwykle nazywa dobrze zrozumianym interesem. Zważając na ten interes czyli zobopólną sprawę, zdaje się, że jako Anglia potrzebuje Indyj, tak Indye potrzebują Anglii, i niewiadomo czy te ostatnie nawet nie potrzebują jej więcej. Pomijając same już moralne korzyści jakie mogą spływać ze stosunków z narodem posiada-

jącym większą oświatę, przez sam wzgląd na materialne czyli ekonomiczne korzyści potrzeba zachowania związków z Anglią zdaje się być dla Indyj pożądaną. Pod względem handlu i jak go ekonomiści zwykli oceniać: że im większa wartość wywozu tem więcej bywa dla kraju korzyści — właśnie w tém szala na korzyść Indyj przeważa. Od kilkudziesiąt lat co rok wartość wywożonych produktów z Indyj przewyższała o parę milionów dowóz wyrobów wprowadzanych z Anglii.

I tak roku 1832 wartość produktów wywiezionych z Indyj była 6,337,098 fst., a wartość wyrobów z Anglii do Indyj, tylko 3,750,286. W dziesięć lat później, roku 1842, wartość pierwszych podniosła się do 7,120,748 a wyrobów angielskich do 5,439,564. Roku 1854 produkta indyjskie doszły do wartości 10,672,876, a wyroby z Anglii do 9,127,556. W następnym zaś roku 1855, podług ostatnich urzędowych rachunków, Anglia wywozła była surowych płodów z indyjskich posiadłości za 12,668,774 fst. a z swych wyrobów krajowych wysłała na sprzedaż w Indjach za 9,949,154. — Główne artykuły wywozu indyjskiego, i to prawie wyłącznie z Bengalu, za ostatnich lat były następujące:

Indigo	1,518,097 fst.
Cukier	1,043,480 —
Lniane siemie	1,297,803 —
Bawełna	2,241,972 —
Ryż	1,559,031 —

Towary zaś rękodzielni angielskich składały się między innemi, z następujących wyrobów:

Wyroby bawełniane i przędza za . . .	5,842,974 fst.
Żelastwo	1,242,853 —
Fajanse i porcelana	137,848 —
Sukno i wyroby wełniane	227,550 —
Machiny	404,900 —
Porter i Ale	438,319 —

Z tego wykazu przedmiotów handlu równie jak jego ilości widzieć można, ile oba kraje dla siebie są potrzebne. Osłabienie lub zerwanie istniejących związków nierównie zgubniejszém stałoby się dla Indyj niż dla Anglii, bo kiedy ta posiadając kupiecką flotę mogłaby łatwo we własnych osadach zamorskich lub w portach innych krajów ponieść strać w handlu wynagrodzić,

Indye jako naród niekupiecki, ani trudniący się zaglą-
gą, przez brak odbytu na swe produkta, popadłyby
w ubóstwo i ostatnią nędzę.

Nienależy też mniemać, że Anglicy dostawszy się do
Indyj, dopuszczali się zdzierstw ściągając z nich boga-
ctwa jak z niewyczerpanej miny. Raut oka na finanse
indyjskie najlepiej wyjaśni, w jakim położeniu Anglia
zostaje do tych nieprzebranych skarbów indyjskich.

Ostatni gubernator Indyj, lord Dalhousie, poczytywał
sobie za zasługę, że za swych rządów podniósł docho-
dy do 30,000,000 fst., lecz włączył w to cztery z górą
miliony podatku od opium, sumę pochodzącą właści-
wie od Chińczyków a nie od poddanych angielskich
w Indjach. Jakkolwiekby, wyliczam poszczególnie,
jaki był ten całkowity dochód w ciągu finansowego ro-
ku 1855—6:

Gruntowy czyli od posiadłości ziemskich 17,817,229 fst.			
Cło od opium	"	"	4,871,227 —
Cło od soli	"	"	2,485,389 —
Dochód z opłat na komorach	"	"	1,934,906 —
Stepel	"	"	504,329 —
Poczta	"	"	219,045 —
Rozmaite dochody	"	"	979,902 —
Ogół dochodów			28,812,027 —
Koszta poboru			6,664,750 —
Czysty przychód			22,147,277 —

Rozchód tegóż samego roku był ten:

Oplata urzędników cywilnych i politycznych	2,276,262 fst.
Sądownictwo i zakłady polityczne	2,510,799 —
Budownictwo i wychowanie	1,881,606 —
Utrzymanie wojska i żołd	10,417,369 —
Wydatki na flotę	593,070 —
Na mennicę	62,573 —
Oplata procentu od długu indyjskiego	2,044,318 —
Procent od długu <i>home bond</i> debt	152,017 —
Diwidendy z wschodnio-indyjskiego kapitału (<i>East India Stock</i>)	632,680 —
Wydatki na zakłady w Anglii	493,834 —
Zakupione przyrzady (<i>stores</i>) dla Indyj	526,663 —
Wydatki dla Singapuru, Wysp Ks. Walii itd.	64,512 —

Różne domowe wydatki.	1,459,436 fśt.
Ogół rozchodu	23,120,138 —

Z tego wykazu można widzieć, że powyższego roku wydatki Kompanii Indyjskiej przewyższały przychody o 972,861 fśt. Toż samo było za dwóch lat poprzednich, tak dalece, że za ostatnich trzech lat Kompania zadłużyła się blisko na dwa miliony. Rzadko też i pierwiej, począwszy od czasów wielkorządztwa lorda Clive, dochody jej przewyższały rozchód—tak iż Kompania ciągle brnęła w długi, z których się nigdy nie wypłacała. Podług ugody z rządem roku 1793 zawartej, za ustąpienie dla niej monopolu handlu indyjskiego na 20 lat, obowiązała się była do płacenia rządowi 10,000,000 fśt. z tej sumy ledwie dwudziestą część wypłaciła, a od pozostałych 9,500,000 musiał parlament ją uwolnić Roku 1833 monopol ten jej odjęto, a zaprowadzenie wolności handlu ożywiło nietylko handel, ale oraz przynosi teraz znaczny dochód dla skarbu z opłaty ceł na komorach.

Tyle o finansowości Kompanii Indyjskiej. Z niej się okazuje, że przychody niewystarczały na opędzenie bieżących wydatków. Błędne przeto jest upowszechnione mniemanie, że Anglia ciągnie z Indyj niezmiernie bogactwa, które atoli muszą być tylko władzeniem, skoro Kompania indyjska, mająca kraj pod swym zarządem, niezdola bez zadłużania się opędzać różnych wydatków. Oprócz tego marnący o wielkości bogactw spływających z Indyj na Anglię, tracą z oczu to co one ją kosztowały, a co przeczytać należy za dług ciążący na nich. I tak naprzód jest dług zaciągnięty na początkowe zdobycie Indyj, wynoszący 50,000,000 fśt. Drugi dług zaciągnięty i zaręczony na dochodach indyjskich do 62,000,000. Trzeci dług na budowę kolei żelaznych 30,000,000 na 5%. Gdyby część połowę z tych trzech długów zwrócono Anglii, należność takowa wyniosłaby do 70,000,000, a sam procent roczny wynosiłby najmniej 3,500,000. Do tych sum dołączyłby trzeba jeszcze wspomniany deficyt 2,090,000 z ostatnich trzech lat, oraz 1,000,000 na ostatnią wojnę perską, której cały koszt mają Indye ponosić. Bo pomijam tu jeszcze kosztą wyprawy teraźniejszej na przytłumienie rokoszu

w Indjach, które są ogromne i pewnie policzone będą na ichże rachunek. Z samych kas rządowych do 2,000,000 fśt. rokoszanie roserwali; za nie, jako i za inne szkody rząd będzie żądał wynagrodzenia. Co wszystko policzając razem, należność indyjska dla Anglii czyli dług indyjski podniósłby się do 100,000,000 fśt. od których opłata samego procentu wymagałaby 4,000,000, czyli piątą część ogółu przychodów teraźniejszych w Indjach.

W ogólności więc, można powiedzieć, że jakkolwiek posiadanie Indyj przydało Anglii wiele uroku w polityce, jakkolwiek zapewniło korzystne posady dla wielu młodzieży w służbie cywilnej i wojskowej, i jakkolwiek przyczyniło się do podniesienia handlu — jednakże pod względem pieniężnym bezpośrednio Indye jako rząd niewypłaciły się Anglii.

Skreśliłem ten rys finansowy, aby wam cyframi okazać, o ile Anglia na posiadłościach swych indyjskich bogaci się, a o ile nie. Oschły i niezabawny on jest, ale w wieku materyalnych interesów w jakim żyjemy i w którym wszystko zwykło się brać pod kredkę, stosunki zachodzące między krajami dają się najjaśniejsz cyframi wyrażać. Zostawiam wam obrachowanie wartości powyższych cyfer, a z nich pojmiecie, jakim węzłem wzajemnych interesów połączona jest Anglia z Indjami.

Uciśk ludu indyjskiego podatkami, o co Anglia bywa oskarżana, zdaje się być także bezzasadnym. Z porównania podatków pobieranych najlepiej można się o tem przekonać. W Anglii roku 1853 podatek od duszy był rocznie: 1 fśt 19 szylingów, 4 pense; we Francyi tego roku 1 fśt. 12 szylingów; w Prusiech 19 szylingów 3 pense; gdy tymczasem w Indjach podatek takowy wypadał tylko 4 szylingi 5 pensów od osoby — według innych nawet niżej, bo tylko 3½ szylinga (1 szyling = 2 złp.), a więc tylko 7 złp. podatku. Jakby to lud nasz był szczęśliwy, gdyby miał tylko tyle do placenia. Zaiste, ludy europejskie mają wiele do zazdroszczenia Indyanom owego ich uciśku. — Najem robotnika krajowego 7 szyl. na miesiąc.

Zdarzyło mi się w ostatnich czasach napotykać nieraz skargi w dziennikach kontynentalnych na arystokrację angielską — lub raczej, jak jabym powiedział

na średnią i najświetniejszą klasę w Anglii — że ona młodszych członków swych rodzin wysyła do Indyj, gdzie ich niby suto uposaża. Użalanie to zupełnie nieśluszne, i pochodzi więcej z zawiści, niż z bezstronnego pojęcia położenia rzeczy. Zważając, że Indye są podbitym krajem, Anglicy tam wysyłani, są jedynym węzłem i podstawą zwierzchnictwa angielskiego nad nim; bez nich niebyłoby ani cienia zwierzchnictwa, ani żadnej cywilizacyjnej tam władzy, — o co przecie zdaje się wiele Europie chodzi. Nie wielka też zazwyczaj liczba tych uposażonych tam Anglików, bo policzawszy cały kontyngens wojska europejskiego, oraz oficerów w pułkach sepojów, tudzież wszystkich urzędników cywilnych, niema i nie było ich tam nigdy więcej nad 60,000, czyli w proporcyi jeden anglik na 3,000 krajowców. Wszakże żaden kraj nieobchodzi się bez wojska i urzędników; gdyby ich nie było, Indye musiałyby innych opłacać, bo bez nich obejmąby się nie mogły — a robotnik wart swego myta. Tak mała ich liczba na tak obszerny kraj, niemogła być dla niego ciężarem. Zważając nadto, iż większa liczba ludzi wysyłanych do Indyj, niepospolitego bywa ukształcenia, jako to prawnicy, misyonarze, inżynierzy i tego rzędu inni z wyższą oświatą, Indzie mogący upowszechniać nauki, przemysł, handel, na których Indyom zbywa — samo to już stało się nie małym dla kraju dobrodziejstwem i suto odpłatą za żółd pobierany. Tacy ludzie, jakich wielu znam, mogliby łatwo w kraju albo w osadach, których Anglia tyle posiada, znaleźć dla siebie równie zaszczytne a może i korzystniejsze posady — lecz misya ich była do Indyj. Udających się tam większa część już nie wraca — tam żyją i umierają — a przeto i żółd ich tam się zużywa; ci co po długich latach wyśluzgi wrócają jako emeryci, a raczej jako inwalidzi ze zmniejszonym zdrowiem, zwykle ze szkodliwej swej penasy nie długo się cieszą. A zatem nieśluszenie obwiniają Anglię, że niedaje swój ludności za piecisk gwałcieć otwierając jej obszerne pole, gdzie może się poświęcić dla dobra ludzkości. Służba w Indyach jest prawdziwam poświęceniem: klimat zabijający, a co od niego się uchowa, to jako dziś widzimy, Nane Sahib okrutnie wymordują.

Zdaje się, że tylko chrześcijaństwo potrafi zniweczyć zabobonność i pochodzącą z niej dzikłość obyczajów zniekiedy w Hindostanie. W dzień pokutny, który się odbył 7go b. m. w całej Anglii, kazania z wszystkich ambon polecały Chrześcijaństwo jako jedyny skuteczny środek na rozpędzenie ciemnoty, na obeznanie ludu z cywilizacją europejską i przyswojenie go jej. Trudne to zadanie dla rządu. Jakiego systemu on się w tem chwyci, później się dowiemy. Kompania Indobrytańska dotąd wcale innego trybu się trzymała. Lecz jej panowanie można uważać już za skończone.

Zaszczepienie chrześcijaństwa w Indjach nie będzie łatwą sprawą, gruntu jednak do niego już w części przygotowany. Duch jego zdaje się przedzierać do najwyższych oświeconszych kast. Jeden przykład tu przytoczę. Znajduje się w Londynie w tej chwili księżniczka indyjska córka Beer Radzinder Wadaira, radży Coorgu ziemi graniczącej z Mysorą, i zostającej teraz pod protekcją Anglii. Młoda ta księżniczka jest najulubieńszem dzieckiem Radży z pomiędzy jedenastorga innego rodzeństwa z kilku żon jego. Przywiązanie to ojca do niej przypisują smutnej okoliczności, że matka jej, którą wielce kochał, we dwa dni po urodzeniu córki umarła. Radża mocno był dotknięty tą stratą, a że był doskonale obeznany z nauką religii chrześcijańskiej i wierzył w nią, widząc że znalazł w niej największą w swym smutku pociechę. W skutek tego postanowił aby ulubiona córka jego odebrała wychowanie chrześcijańskie. Z tym zamiarem przybył on roku 1852 razem z nią do Anglii, zostawiwszy w Benares swe żony i resztę dzieci. Królowa uwiadomiona o przybyciu Radży i celu jego podróży, najlaskawiej ofiarowała się na chrzestną matkę dla księżniczki jego córki. Chrzest jej odbył się w pałacu Buckingham d. 30 czerwca r. 1852 przed N. Panią, jako trzymającą ją do chrztu, w obecności księcia małżonka i całej królewskiej rodziny. Obrzędu chrztu świętego dopełnił Arcybiskup Kantorberski. Księżniczka otrzymała na imię: „Gouramma Victoria“. Pierwsze nosiła przed chrztem jako poganka, a nadane jej miało sobie od jakiegoś bóstwa indyjskiego. — Od tego czasu królowa przyjęła na siebie wychowanie księżniczki, i przeznaczyła dla niej jedną ze znacznych dam

za ochmistrzą. Ojciec oddając ją pod opiekę królowej, przemówił do niej w tych pełnych prostoty i taktowych słowach: „Staraj się, moje najdroższe dziecko, codziennie więcej a więcej zyskiwać łaskę N. Pani i zasługiwać na jej miłość i troskliwość. Europa, Indye i cały świat niech słyszą o tobie, żeś dobrą, niech upodobać cię i sławią za to. Oby błogosławieństwo Nieba było nad tobą, zachowując cię zawsze pod swą najwyższą opieką. To jest moje ojcowskie życzenie dla ciebie, najukochańsza córko moja, i te są moje najgorętsze modły do Wszechmocnego za tobą“.

Księżniczka Gouramma Victoria urodziła się w miesiącu lutym r. 1841, ma przeto 16 lat. W czasopiśmie *Art-Journal* z Września, znajduje się jej wizerunek ślicznie rytowany z portretu malowanego przez Winterhaltera dla królowej. Z cery swej jest ona brunetka ciemniejsza nieco od brunetek europejskich. Głowa jej więcej owalna niż Angielek i ztąd podobniejsza ona do Polek. Rysy twarzy ma regularne, miłe, pełne duszy. Wystawił ją malarz w całej postaci, w bogatym indyjskim ubiorze, okrytą perłami. Stojąc prawą ręką oparła na podstawie kolumny z której opadająca zasłona spływa na indyjskie bożyszcza u dołu, a w lewej ręce nieco wyciągniętej trzyma biblię, na której oprawie krzyż jako symbol chrześcijaństwa.

Stowarzyszenie Narodowe (*National Association*) związane rok temu w celu rozbiegania kwestyj społecznych, odbywa tegoroczne swe posiedzenia w Birmingham, pod prezydencją sławnego lorda Brougham. Wzmiankę o jego zawiązaniu zrobiliście już przeszłego roku (ob. *Dodatek IV*, p. 1), dając artykuł: „O Zbrodniarskich Dzieciach“. Prezydujący zagaił posiedzenie obszerną mową, w której wykazywał przedmioty, cel i konieczność badania potrzeb społecznych; zwłaszcza że tylko przez gruntowne obeznanie się z niemi dadzą się zaprowadzać na stałych zasadach zmiany i poprawy w społeczeństwie. Czem Stowarzyszenie Brytańskie jest dla różnych gałęzi nauk fizycznych, tem Stowarzyszenie Narodowe dla nauk moralnych; podzielone też jest na wzór tamtego na różne wydziały, z których każdy ma swego prezesa, i każdy liczy w swem gronie wielu członków parlamentu, mężów stanu, i innych znanych

z swego światła i filantropii. I tak naprzykład, w wydziale prawa prezesem jest tego roku Lord John Russell; w wydziale wychowania publicznego Sir John Pakington; w wydziale poprawy i kary p. Hill; w wydziale zdrowia publicznego Lord Stanley; w wydziale ekonomii społecznej Sir B. Brodia. Poszczególne niepodobna tu rozbiierać prac tych wydziałów, tak one są obszerne, niektóre z nich brzmią jakby z natury swęj należały do bajecznej Atlantis i Utopii Moora. Anglia jest jedynym krajem, gdzie kwestye tak wielkiej wagi roztrząsane bywają publicznie, i próbowane w zastosowaniu. W przeszłym wieku rozbięrali je Hobbes, Shaftesbury i Marderville. Po nich Romilly, Wilberforce i Peel usiłowali zaprowadzić teoretyczne ich zasady w praktyce. Do czego tak były rzucane zarody przez poprzedników, to prezydujący w wydziałach, których po imieniu wyliczyłem, starają się teraz na obszerniejszą stopę rozwinąć i dla dobra społeczeństwa praktyką wypróbować.

Dnia 14 b. m. była w Dublinie inauguracya posagu Tomassa Moora, z którego poczytami w kilku tłumaczeniach na nasz język obeznani są czytelnicy. Statua ta poety wystawiona przed Kollegium S. Trójcy, jest cała z brązu, 9 stóp wysokości, na podstawie granitowej 18 stóp wysokości. Hr. Charlemont prezydował na tej uroczystości odsłonięcia statuy na cześć narodowego poety Wyspy Eriau. Tysiące ludu, wielbicieli jego, zapełniało plac, a dwie muzyki wojskowe naprzemian, przy tej okoliczności odgrywały co wyborniejsze pieśni z przecudnych „Melodyj irlandzkich“ (*Irish Melodies*). Miano przy tem kilka mów o zaletach pism poety, a najwymowniejszym był głos hr. Carlisle namiestnika Irlandyi. Pieśni Moora — rzekł on na zakończenie swęj mowy — opasują wszystkie części ziemi harmonią mowy angielskiej; zachwycają nas na uczłach i w towarzyskich kołach i brzmią wdzięcznie z ust naszych dzieci, a serca męskie na ich dźwięki pałają miłością ojczyzny.

Warszawa w październiku.

Kronika naszego miasta za ten miesiąc, więcej jak mam nadzieję barwista będzie, niż poprzednie: postać na którą pierwój uskarżałem się, ustala; stolica załudnia się znówu, bo jesienne przymrozki zęgnąły do naszych murów wszystkich już prawie wędrowców. — Znowu u nas szumno, gwarno, tak nawet, że gawędy nieraz przypominają zamieszanie przy wieży Babel powstałe. Wszyscy wprowadzić mnieć więcej jednym mówią językiem, ale każdy o czem inném. Już to rej wiodą między nami wędrowcy: ten chwali piękne niebo Halli, ów narzeka na mgły Albionu, tamten anosi się nad Paryżem. Kiedy inny opisuje kąpiele w Biarritz; kąpiele niemieckie, brzegi Renu i wrażenia z rulety są już rzeczy spowszedniałe, i te z rozmowy uległy wywołaniu. Wrażenia z podróży są nieodmiennym tematem wszystkich gawęd, a nawet przedarły się do gazet. *Warszawski* niedawno skończyła drukować Listy Wędrowca Ładwika Niemojowskiego, i Listy z podróży Padalicy — a teraz umieszcza filipiki Kraszewskiego przeciwko podróżom za granicę — a i w zbiorowym artykule mającym zastąpić Gwiazdkę, pioranuje przeciw tej manii. Gwiazdka bowiem, świetniejszego pragnie horyzontu; ramy *Gazety Warszawskiej* zdają się być jej za mało — dla tego w osobném chce jaśnieć piemku — czy własne wystarczą jej promienie? czy obejdzie się bez pożądanego blasku *Gazety*? sam pan Niewiarowski odpowie kiedyś — jeśli udadzą mu się jego zamiary; a radzibysmy temu byli, bo z radością witamy każdy nowy organ na polu pism peryodycznych. *Gazeta* postara się ubytek ten zastąpić i usiłowanie to dosyć szczęśliwe widzieliśmy w artykule zbiorowym mającym zastąpić Gwiazdkę. *Kronika* także w tyle nie pozostaje i sadzi korespondencyje z Rzymu, Paryża etc. Czy te wędrowki za granicę przynioszą korzyść ogółowi i szczegółom; kwestya to dość zawiła. Większość zapewne jak z niczém pojechała, tak z niczém powróci, dobrze wypróżniwszy kieszenie; ale mniejszość przywozi zawsze jakiś zapas nowych wiadomości, wyobrażeń, których potem ogółowi udziela, a choć ogół traci parę milionów za granicą — cieszymy się słodką wyobraźnią, że skarby wiedzy za tę

ocenę nabyte, choć pół miliona warta — cieszą się wreszcie i tą smutną pocieszą, że te strwoniłone pieniądze może i w kraju nie lepijé byłyby użyte — a poszłyby takte na galganki, jadło, karty, lub z dynem cygara.

Ala dajmy pokój tej zagranicy, kiedy nasi magnatwni synkowie wrócili już do ojczystej zagrody — wznowimy ją da Bóg doczekać na przyszłą wiosnę lub jesień, a teraz życząc szeszęliwój podróży tym co do Jeruzolimy i Kairu pojechali, i drugim co do Brazylii się wybierają — i my powróćmy do naszego miasta. Najważniejszym faktem naszej kroniki, będzie pobyt NN. Państwa, w powrocie do Petersburga. Pierwszy raz wstępując w nasze mury, N. Pani zapagnęła poznać towarzystwo tutajsze, a mianowicie damy — dla tego panie nasze zgromadziły się w Łazienkach, na powitanie NN. Państwa w stroju dworskim rosyjskim, to jest w sukniach z egonem i kokosznikiem czyli ozółkiem na głowie. Było wprawdzie trochę bałasu o ten strój ostatni, ale właśnie te panie, które najwięcej się przeciw niemu srożyły — pierwsze go obstałowały, tłumacząc sobie, że to jest to samo co i mundur jaki przywdziewają w podobnych okolicznościach ich ojcowie i matowie. Wszystkim w ogóle strój ten był do twarzy, nawet podaszły — które nie kokosznik, ale kurnik cały na głowach miały. Niektóre chcąc pogodzić niby przyzmu z drażliwością wewnętrzną, dyademami brylantowymi i wieńcami z kwiatów tak umiały przykryć głowę, że tego ubioru urzędowego i widać nie było. Nazajutrz była prezentacya dam u Cesarzowej, która prawie z każdą z nich rozmawiała — a wieczorem bal w Zamku bardzo świetny, acz krótko trwały — skończył się bowiem z wyjazdem Cesarstwa o wpół do pierwszej. Na tém sebsaniu, między innemi hr. Skarbek i hr. Andrzej Zamojski mieli zaszczyt rozmawiać z Cesarstwą; pierwszemu N. Pani oświadczyła zadowolenie swe z Szpitala ś. Kazimierza, który tego dnia odwiedzała, i w ogóle z wzorowego stanu instytutów dobroczynnych, dawniej pod kierunkiem hrabiego zostających. Monarcha zaś wypytywał go o postęp prac prawodawczych i nowój organizacyi sądowej. W sobotę po widowisku w Pomarańczarni, dygnitarze dwóch pierwszych klas i damy, były na kolacyi u N. Pani w Łazienkach. Tego wie-

czora przedstawiano tańce penskie, „Wesele w Ojcowie“ i 2gi akt „Marty“ — wybór nieszcześliwy, bo ten akt opery właśnie nudny i jak na debitkę źle był odśpiewany. „Wesele w Ojcowie“ zapewne 500go doczekało się przedstawienia. Dziwna rzecz, że u nas nie mogą innego ułożyć baletu z narodowych tańców — niechże nam wskrzeszą poloneza choć z 12tu par. Przed laty Maurice ułożył był balet „Stach i Zośka“ nierównie piękniejszy jak „Wesele w Ojcowie“ — ale wszyskie tańce układu Maurice, wyklęte są przez Dyrekcyę. — Orkiestra swoim zwyczajem fałszowała — nędznego Mazurka w baliecie zagrać nie potrafili. Wszysey krzyczą, piszą na orkiestrę, ale ta w szlachetnej swój dumie pozostaje wierną dawnym usterkom i nałogom. Może współzawodnictwo z nową orkiestrą pod wodzą Dobrzyńskiego złożoną w ogródku Arkadyi, obudzi tych panów z ich gnuśnego uśpienia. Ależ znowu widzę, że nudnym obyczajem starego gaduły odbiegłem od głównego przedmiotu. Cesarstwo zadowolone było bardzo z przyjęcia w Warszawie. N. Pan za poprzednią bytnością już wspomniał był, że w sercu Rosyi, w starym Kremlu, nie lepiej był witany. Ludność bowiem tłoczyła się koło powozu, głośnie wydając okrzyki. Jak w Pomarańczarni tak i w wielkim teatrze w dzień przybycia NN. Państwa na przedstawieniu „Korsarze“, publiczność z obawy uchybienia dworskiej etykiety, zachowała zupełne milczenie, czém Cesarz zdziwiony, miał wyrzec: *Le public est il mort?* i dał znak swoim adjutantom, aby nieszczędzili oklasków artystom. — Dyrekcyja teatrów mogła była uprzedzić w tym względzie publiczność, tembardziej, że po dwa razy oznajmiano po łóżach że trzeba wstawać jak monarcha wejdzie. Przedstawienie to w W. Teatrze było bardzo świetne: damy w strojach balowych, mężczyźni po krzesłach i łóżach we frakach i białych chustkach; żałujemy tylko, że damy siedzące naprzeciw Cesarstwa, nie jaśniały pięknością, ale dyamentami, o które naszym bankierowym łatwiej niż o wdzięki.

Pod względem administracyjnym lub politycznym pobyt monarchy żadnych zmian nie przyniósł. Mówią o powrocie dóbr jednej rodzinie, o orderach spodziewanych, zresztą nie. Najważniejszym faktem wszakże jest, o czém już wiecej zapewne, odstąpienie kolei żela-

znęj Warszawsko-Wiedeńskiej, kompanii szlaskiej, to jest hr. Renardowi, baronowi Moschwitz, p. Milde i Epstejnowi z Warszawy; ale z tego ustąpienia nikt się nie cieszy, bo sympatye kraja były dla kompanii dróg rosyjskich reprezentowanej w Warszawie przez bankiera Kronenberga i Spółkę, w której chcieli przyjąć udział kapitałiści polscy. Kraj stracił nawet na tém, bo kolej Warszawsko-Petersburgska, ledwie za kilka lat wybudowaną zostanie; a tymczasem kompania rosyjska z całym pośpiechem chce wykończyć linię od Petersburga do Królewca, a głównie od Wilna, i tamtędy obróci się cały handel zewnętrzny lądowy rosyjski, jak również projektowaną koleją od Odessy do Brodów. Warszawa zatem na boku zostanie, a mogła być dla Europy składem towarów azjatyckich. Nasze bogate pokłady węgla kamiennego zostaną bez eksploatacyi, bo hr. Renard dla tego tylko przystał do tej spółki, aby swoje kopalnie zużytkować. Warunki wszakże kompanii szlaskiej położone ze strony rządu tak są uciążliwe, że wątpić należy o zysku dla akcyonaryuszów. Korzyści ciągnąć tylko będzie administracya. O jednej dogodności dla Warszawy nadmienić jeszcze muszę: zapewniano mnie z dobrego źródła, iż N. Pan chce aby na Wiśle był most stały, i w tym celu kazał jechać inżynierowi Dignolles do Kijowa, dokąd sam udał się; tu w Warszawie bowiem zabrakło już czasu do zawarcia stanowczego układu.

Akademia medyczna rozpoczęła swe kursa; tymczasowo mieści się w gmachu dawniej Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie dotąd była loterya, którą przeniesiono do mennicy. Ten trafny wybór przybytku nauk, zawdzięczamy p. Cycurinowi prezesowi Akademii, nieobecnemu nateraz w Warszawie, a wahającemu się niestety z przyjęciem tej godności. Marszenia o szkole Prawa, rozwiane zostały; powiększono natomiast stypendya prawne w uniwersytetach, a przytém ma być dodana jeszcze 8ma klasa w Instytucie Szlacheckim dla specjalnego wykładu prawa, i cały ten zakład podniesiony do rzędu wyższych uczelni.

W sferach rządowych cicho. Ma być utworzony komitet dla przejrzania 10ciu tysięcy prózb podanych Cesarstwu, w czasie ich bytności. W teatrze nowa komedia „Rodzina Lambert,” nie szczególne miała powodzenie,

nie moralna, a z wielkiem wyrachowaniem na efekt napisana, nuży artystów i publiczność; rolę niesłychanie trudną, mogą służyć dla popisu doświadczonym aktorom, ale u nas jedna Ziemitska śledwie dorównywa zadaniu, a i tak roli nie podnosi grą swoją; w grze Rychtera oceniamy tylko również sumienne wywiązanie się z roli niewłaściwej; kiedy pannie Łapińskiej dziękować jedynie możemy i cieszyć się nadzieją, że kiedyś lepiej będzie. Te same nadzieje żywimy dla panny Morandini nowiej śpiewaczki; choć świetna jej przyszłość, bardzo jednak daleka, bo dotąd prócz powierzchowności i głosu mocnego i młodego, niema nic, ani metody, ani gry. Jakkolwiek pewna część dyletantów oklaskami obсыпаје tę primadonnę, krytycy muzykalni bardzo ostro ją sądzą. W tych/sądach wszakże więcej widzimy ogólnego uprzedzenia przeciw Włochom, jak istotnej krytyki. Publiczność nasza chętnieby słuchała włoskiej opery, ale dobrej, nie zaś taką zbieraninę, jaką teraz mamy; wolałaby przez trzy miesiące mieć dobrych, niż przez cały rok złych śpiewaków; dla tego polska opera *par contre coup* zyskuje coraz więcej zwolenników, których organem „Ruch Muzyczny“ — wszakże i to zamiłowanie aż do przesady jest posunięte, bo oprócz Dobrskiego i Rivoli, nie ma kogo słuchać. Szkoły, konserwatorium, gwałtem nam potrzebne — bez tego, żadnych w muzyce nie zrobimy postępów. Mało mamy talentów, mało nauki, a jeszcze zabrał nam Pan Bóg cośmy najlepszego mieli — rzewny śpiewak „Kalinę“, w chłodnym już grobie leży. Cała młodzież nasza, artyści, urzędnicy, obywatele, akademicy, ubiegali się aby na barkach zwłoki ukochanego Ignacego zamieść domogili. Pamięć zacnego przyjaciela zostanie w sercach tych co go bliżej znali — a pamięć muzyka, w sercach wszystkich tych, co piosenki jego obochy słuchać, jeśli nie śpiewać umieli. Wszyscy też powinieliby się przylotye do wzniesienia pomnika ś. p. Komorowskiemu. — Elsnera już gotowy pomnik, ale nie powiem żeby był udatnym, jak również i ministrowi Turkullowi wzniesiony. Henryk Stattler jeden może umiałby godnie wywiązać się z zadania. Czytając te kilka wyrazów o Komorowskim, poświęćcie też jeszcze jedno westchnienie naszemu zasłużonemu Karpinskiemu, który poprowadził Komorowskiego na drogę wieczności.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Drukarnie jak zawsze przed Nowym Rokiem najwięcej zatrudnione są kalendarzami, które kiedyś składać będą osobną gałąź piśmiennictwa jeżeli trafią na właściwą drogę temu rodzajowi publikacyi. Dotąd można powiedzieć, nie tylko pomnożyła się ich liczba, gdyż zamiast jednego kalendarza, trzy teraz co roku pokazuje się w Krakowie, ale i w niektórych znak dążeń wyraźną do zrobienia się prawdziwie użyteczną podręczną książką, przewodnikiem, w rozmaitych czynnościach codziennych. I tak: *Kalendarz Katolicki Walerego Wielogłowskiego* niebawem opuści prasę, a chociaż nieobejmując zwykłych kategorii wchodzących dziś w skład kalendarza, natomiast zawiera wybornie artykuły obyczajowe pisane z humorem, które prawdziwą przyjemną rozrywkę wiejskim czytelnikom. *Kalendarz Juliusza Wille* więcej rozszerzony na wzór niemieckich kalendarzy, zawiera nie tylko wszystkiego rodzaju taryfy, tabele stęplowe, pocsty, ko-

leje świąt, targi i jarmarki; genealogie panujących domów, ale i artykuły statystyczne, opisowe, biograficzne ozdobione drzeworytami, niemałej rady i sekretu gospodarskie. Z drzeworytów mogących nam interesować, jest widok Bałdę Góry, wizerunek księżna Staszyca, X. Samuela Stefanowicza ormiańskiego arcybiskupa lwowskiego, i Aleksandra Humbolta. *Kalendarz Krakowski* Otocha jako najtaniej i najwięcej wykorzystany lubo nie smienca swoich ram, ma jednak pewną specyjalność jego właściwą; to jest: przepowiednie pogód i niepogód i wszelkich nadprzyrodzonych zjawisk w naturze.

— Nakładem Willea wyszedł drugi tomiszczyk Tommasa Theodora Mägge, *Afraga* w polskim przekładzie — i stanowi ostatni zeszyt pierwotnej serii *Czytelni dla młodzieży* składającej się z 12 zeszytów. — Następna seria ma być podobnie różnym doborom dzieł literatury sagraniejszej.

— Wydawnictwo Katolickie ciągle czynnie wydaje: *Dzieci i świat*

rzęta domowe, książeczkę z obrazkami i objaśniającym tekstem; w drugim wydaniu drukuje: *Listy do ducha Bożym* p. X. Karola Antoniewicza.

W drukarni Czasu, odbija się dziełko francuskie bawigodów w Krakowie paai Leprince de Beaufort pod tytułem: *Ce qu' une femme doit être; réflexions sur l' education*, i toż samo w języku polskim.

Drukarnia Budweisera wydała: *Rozmyślenia Gorzkiej Męki Jezusa Chrystusa* oraz najważniejszych prawd zbawienia, rozłożone na każdy dzień tygodnia wyjęte z dzieł Wieleb. O. Ludwika z Grenady zakonu kaszubsiejskiego, przełożył ks. M. Wiozorek Oryginał tego dzieła zapisany był w języku hiszpańskim, ten zaś przekład dokonany według wiernego przekładu francuskiego wydanego w Braxelli r. 1851.

W tejże drukarni wydanie niebawem-ohazerne dzieło pod napisem: *Historja Ruskiego kościoła* — będzie to podobna tłumaczenie z włoskiego, zapewne popomożone własnymi uwagami i sprostowaniami tłumacza.

— W drukarni Czasu, zaczęte się odbijać text do pięknego Albumu Szczenawnicy czyli widoków wyobrażających wybrzeża Górnego Dunajca. Widoków będzie 24, Dotąd 12 wylitografowanych jest w Wiedniu, drugie dwanaście ma się litografować w litografii Czasu tak urządzonej, że śmiało może z sagrańicznymi konkurować. — W tejże litografii pracują obecnie nad kalendarzem ilustrowanym, który ułożony będzie z monumentów i przedmiotów mających związek z miejscowością, a pryncem nosić ma charakter katolickiego kalendarza podając wisierunki świętych żyjących niegdyś w tym starożytnym grodzie.

Biblioteka polska wydawana o-

statami osazy w Przemyślu przez p. Turowskiego, ma się przenieść do Krakowa, gdzie znajdzie ułatwione środki prowadzenia bez przerwy tego pożytecznego przedsiębiorstwa.

— W drukarni Czasu wyazło dziełko: *Włoszanie z okolic Krakowa*, w zarysie skreślił Józef Maczyński. Do tego dołączone są rycisy Michała Stachowicza wyobrażające ubiory krakowskiego luda i górali. — Autor pozbiarał wiele nowych szosogółów a dawne uporządkował i dał zupełniejszy etnograficzny opis Krakowiaków, Ogródniaków, Skawiniaków, Kijaków, Proszowiaków, Skalmierszaków i Górali.

— „Krynica w Karpatach galicyjskich położona — opisana pod względem historycznym, topograficznym, klimatycznym, botanicznym geologicznym i lekarskim przez Prof. Dra. Dietla — z autografu niemieckiego tłumaczył Michał Zieleniewski Dr. Medycyny Chirurgii i Akuszeryi Lekarski rządowy przy zdrojach w Krynicy — nakładem o. k. krajowej Dyrekcyi skaibu. W Krakowie, w drukarni o. k. Uniwersytetu — 1857.“

— „Obrazki wód podgórskich mianowicie Krynicy, Bardzowej, Raciestowa i Zulina skreślił Pr. Dr. F. K. Skobel — Kraków — ozoionkami Czasu r. 1857.“

Jestto osobne odbicie z mającego wyjść rocznika Towarzystwa naukowego krakowskiego.

— Ks. Pękalski Dr. ś. Teologii napisał *Żywot ś. Wojciecha* biskupa pragskiego i męczennika z uwagami nad podaniem Czechów jakoby jego święte zwłoki w Pradze były zachowane. — Celem téj historycznej pracy, niebawem mającej wyjść na widok publiczny — jest udowodnienie historycznymi świadectwami poparte, że ciała ś. Wojciecha nie w Pradze, lecz

w Gnieźnie spoczywa. — Ciekawą pod każdym względem pracę przyłoży się zapewne do rozstrzygnięcia, po której stronie, jest prawda.

Hymn do ś. Jaska Odrowąta z okoliczności zupełnego odpustu w r. p. 1857 nadanego na sześćsetną rocznicę sejścia wielkiego Wyznawcy na 3 głosy i organ ułożył Alojzy Bieńkowski (organista polski przy kościele ś. Raptera w Wiedniu) w Krakowie r. 1857 drukiem autowym Karola Budweisera i Spółki (słowa Wincentego Pola).

Lwów. Słownika Lindego tom trzeci niebawem opuści prasę. — Jabłński księgarz wydaje zeszytami: *Życie Stanisława Jabłnowskiego* Hetm. W. Kor. jest to polski przekład z francuskiego dzieła pana de Jonsac. Wiadomo że dzieło to wyszło już było po polsku w 1789, lecz nie kompletne; albowiem cała 11ta księga, wraz z dokumentami ogłoszona nie była. — Opowiadanie zbyt rozwlekłe bezbarwne a często nieścisłe zasługiwało na przerobienie odpowiedniejsze dzisiejszemu sposobowi pisania historyi.

Poznań. Zupański ogłosił niebawem nową powieść L. Orpiszewskiego pod tytułem: *Półkownik*. U tegoż wyszło już bezimiennie napisane dzieło: *Powieść z moich czasów czyli Przygody Litwina*. Nie jest to tyle powieść ile pamiętali zawiązując opisy zdarzeń na Litwie w początkach bieżącego stulecia.

Warszawa. Październikowy zeszyt Biblioteki Warszawskiej zawiera następujące artykuły:

Nagrobek Bolesława Chrobrego. Wyjątek z dzieła do druku przygotowanego: Opis historyczny kościołów, klasztorów, szkół parafialnych, szpitali i innych zakładów dobroczynnych w dawniej dy-

ocząty posnańskifj przez J. Łukasewicza.

Wybitoska na Podlasie przez J. Grajnera.

Pogląd na piśmienictwo europejskie przez Dominika Szulca Makbeti Tragedya w pięciu aktach; przekład z Szekspira przez J. Paszkowskiego.

Kronika paryska literacko naukowa i artystyczna. Szczęsny tom konsulatu i cesarstwa. — Biografia Eugenjusza Sue. — Salon Diderota. Wiadomości literackie.

Kilka uwag historyczno-statystycznych o gubernii augustowskiej skreślił B. Tykiel.

O poezyi włoskiej w średnich wiekach jako źródło do Boskiej komedyi Danta przekład z A. Fryderyka Ozanama.

Poezya. Sprawa graniczna. Powinność przez Ludwika Niemcewskiego 24. — Urywek z powieści pod tytułem: Tomito przez Wincentego Korotyńskiego.

Kronika Literacka. Makbet: Tragedya z Szekspira przełożył wierszem A. E. Koźmian. Poznań. 1857. przez Bolesława Wiktora. — Piotr Skarga i jego wiek przez M. J. A. Rychoickiego Kraków. 1850. Przez J. Ł. Przegląd muzyczny. Studya nad muzyką dramatyczną czyli operą. Przez M. K. Ozan Dodatek miesięczny, czerwiec przez K. Wz. W.

Rozmaitości. Początek ikonografii naszej. W opisie małego zbioru rysów i obrasków w odciskach z blach miedzianych które przedstawiają królów polskich i znakomitych mężów; tudzież śś. Patronów naszych i błog. Półkowników. — Dodane są prace rysowników i inne tu należące przedmioty przez Ambroszego Grabowskiego. —

Nowości przytoczone następnie podajemy w wylocgu zrobionym z kroniki tegoż pisma:

„Druk „Historji, przewodawstw słowiańskich“, w drugim przebiegającym wydaniu posuwa się coraz. Tom II przed końcem r. b, wydanie spod prasy. Równocześnie odbija się i Tom VI obejmujący kródką do tego ważnego dzieła.

— Sędziwy wiekiem, a dobrze zasłużony w zawodzie nauczycielskim, gorliwy obrońca i stróż odzyskań słowiańskiej języka i piśmowni polskiej Teodory Storożniński, nad którego pierwszą rozprawą w ówczesnych naukowych niosł się ś. p. Stanisław Kostka Potocki, ogłosił prospekt na: *Pisma oświeceniowe uczniów i uczennic, które samierza, wraz z własnymi, zeszytami wydawać*. Nie wątpimy, że liczni jego uczniowie wesprą to przedsięwzięcie swojego profesora. Z listy oświeceniowych niegdys uczniów i uczennic T. Storożnińskiego, nie mało znać rozgłos w kraju, jak np. Józef Wysszyński (dziś kanonik kat. war.) Sobieszczański, Rentkowski Alfred, Chajewski Edmund, Kelberg Oskar, Śmigielaka Józef.

— Księgarz S. H. Merzbach rozpoczął druk dzieł Adama Mickiewicza. Honorarium jakie służył 86,000 franków, idzie na korzyść dzieci naszego wieszaka. Wydanie to ozdobi, ma się składać z 10,000 egzemplarzy i obejmują ośm tomów. Trzecie popisanie zmarłego poety będzie dołożone. W tym roku ujrzymy zapewne pierwsze dwa tomy.

— Galeryi nieświeżych portretów Radziwiłłowskich, opisanej historycznie przez Edwardsa Kottłubę, z drzeworytami Michała Starkmanna, wyszedł zeszyt drugi, i obejmuje życiorysy Radziwiłłów: 1) Mikołaja VII ur. 1546 r. 2) Jerzego IV ur. 1578 r. 3) Krzysztofa I Mikołaja z przy-

domkiem pierwej, nr. 1547 r. 4) Krzysztofa II nr. 1585 r. 5) Janusza XI nr. 1612 r. 6) Janusza VI ur. 1579 r. W drzeworytach załączonych M. Starkmanna widać wielki postęp: w wizerunkach zeszytu tego w śmiałych rysach odbijają wydatnie charaktery postaci Radziwiłłowskich. Przypominamy, że całe dzieło składać się będzie z jednego tomu a ilością zeszytów wielkiego w 8oo. formatu, drukiem drobnym a ścisłym.

— J. Korzeniowskiego „druk powieści pod napisem „Wyprawa po żonę“ w drukarni Gazety Codziennej już ukończono nakładem B. W. Wolffa. Pisarz ten ukończył powieść „Szczęście za górami“, która w odcinku Gazety Warszawskiej ma się drukować. Pierwsze tomy z wydania super-nego J. Korzeniowskiego tak dramatów jak powieści, które awym nakładem J. Zawadzki podejmuje, mają się jeszcze w r. b. pokazać w handlu księgarskim.

— Rozrywki dla młodocianego wieku pod redakcyi Seweryny z Żuchowskich Pruszkowej, serzy drugą wyzła część 12ta (tomu 1go) z pod prasy, i obejmuje. Z poezyi: Modlitwę; Sięgę prosię na zagonie, p. S. P.; Grąjek, M. Ilajkić. Z prozy: Wielkanoc w Krakowie 1431 r.; Franciszek Karpiński, obrazek z przeszłości. Wywiozka do krajów Cyda, przekład z Ozanama. Literatura polska: Gazy Piasnowskie. List z Warszawy. Co dźwiga to i mołaz, gawęda z Krakowa. Do redaktorki rozrywki list J. Paszkowskiego pułk. Pismo to wyjdzie w pięciu tomach, a 15 zeszytach.

— Życzenia nasze powoli spełnionemi widzimy, gdyż w miejsce lichych zagraniżnych powieści, mamy przekłady dzieł światłych lub polichanych do arcydzieł li-

-temur /obeych. Przekłady Kanta, Quidama, Niborna i twardo ogłoszony prospekt na tłumaczenie z francuskiego: „Historii zdobycia Anglii przez Normandów“ Augustyna Thierry'ego, wymownym są dowodem tego. Nietylko w zakresie dziejowym przedsięwzięto przekłady, ale stógca się dramat i poemat; dość napomknąć o tłumaczeniach najwiedzszych Szekspira i Dantego. Zapisujemy to jako fakt ważny w piśmiennictwie naszym, a obok tego musimy zwrócić uwagę naszych czytelników na niesłychanie niską cenę tego przekładu. Catersy bowiem tomy kosztują tylko 20 złp.

— Księgarz K. Bernsteina ogłosił prospekt na Bibliotekę popularną nauk przyrodzonych, podobną niemieckiego oryginału A. Bernsteina, „Wadność niemal na każdym kroku oddzielnego życia piękności i wzniesłość w tłumaczeniu i w jawianiu natury (słowa prospektu) uczyniły nauki przyrodzone niezbędne dla każdego akustycznego człowieka, i pomieściły je w ręce umiejących wchłaniających w układ wychowania młodzieży, a zarazem skłoniły naturalistów do przedstawienia ich w takiej formie, aby od ogółu bez trudności mogły być pojęte. Ztąd powstały dzieła elementarne, wykłady popularne, dostępne dla wszystkich chcących się zmiowićką pracę obchodzić z jakiegolwiek umiłowaniem. W naszym języku posiadamy kilka dzieł napisanych celami popularyzowania nauk przyrodzonych, lecz jedno z nich nie osiągnęło zamierzonego sedania, dlatego traktując pojedyncze nauki, nie obejmują całości, tak, iż rzeczywiście popularnego i całości nauk przyrodzonych zawierającego dziełka, wielka uczuwać się daje potrzeba.“

Ten brak ma wypełnić wła-

śnie „Biblioteka popularna nauk przyrodzonych.“ Dawanoście tomików ma składność całości; tomik pierwszy wyszedł z druku i obejmując: Niektóre zjawiska przyrody“.

— Królowie polscy, wizerunki zebrane i rysowane przez Aleksandra Lessera, objaśnione tekstem historycznym przez Juliana Bartoszewicza, zeszyt 1szy wyszedł i obejmuje wizerunki Zygmunta Augusta i Henryka Walezyusza, wraz z tekstem po polsku i po francusku. Wydanie to liczymy do jednej z ważniejszych publikacji naszych. Wizerunki królów polskich mają oprócz strony artystycznej, stronę prawdy jak najściślej historycznej; a tekst akurujący piórem naszego badacza, który już potrafił zdobyć sobie imię zasłużone, podał nam wiele tej publikacji wartość. Format duży arkusowy, druk ściśle obejmując samego tekstu dwa i pół arkusze. Text francuski jest dokładnym tłumaczeniem oryginału polskiego. Zeszytów ostatecznie obejmuje całość. Cena bardzo umiarkowana, bo zeszyt jeden kosztuje złp. 10, i wartość samej publikacji; dają rękojmą świetnego jej powodzenia.

— Szkice i obranki wydawane nakładem J. Uagra, szrya pierwsza z XII zeszytów, ukończono ostatnią, przed Nowym Rokiem. Tekst do tej publikacji, która ma objaśnić czytelników tak z dyoim wewnątrz w Warszawie, jako też i wydatniejszemi postaciami, podjęło kilku naszych pisarzy.

— Album kaliskiego, wleko- nego i opasnego przez Edwarda Stawockiego, z rysunków S. Barcikowskiego, w litografii M. Pajana odbito, wyszedł zeszyt pierwszy i obejmuje rysiny: 1) Kalizian w XII wieku. 2) Kullegiato s. Maryi. 3) Bzd. Gubernialny.

4) Pomnik grobowy arcybiskupa S. Karnkowskiego. Text obszerny, wsparty na dokumentach nieznanych z archiwów kaliskiego i sieradzkiego wydobytych, dodaje wartości. Wydawca we wstępie mówi: „Rzecz godna zadziwienia, że gdy u nas w najmiejszych wioskach, mogiłka jaka, wzgórze, czy to inne jakie miejsce, do którego przywiązana najmniejsza legenda, każde prawie dziecko wieknie i opowie, w Kaliszu miejsca grobu Miecysława Starego nikt ani wskazać, ani też żądać akta naprowadzić nie zdołają. Z zamku Zbigniewa zbudowanego r. 1108 dziś ani szczytków nie pozostało; z muru którym Kazimierz Wielki miasto Kalisz opasał, dziś dwa tylko małe odłamki stoją: jednem słowem starożytne miasto, a postać jego nosi cechę świeżości nowych miast naszych. Dla tych powodów Album kaliskie, na poszór łatwo do ułożenia, nastroja wiele bardzo trudności w wyborze.”

Wspart swoją pomocą wydawcę Józef Szaniawski archiwista akt dawnych kaliskich i sieradzkich: współudział tego uczonego badacza, niemało podprzeło text Album kaliskiego. Całość składa się 10 zeszytów; dwa poświęcone są Album sieradskiemu.

— Wyszedł z pod prasy drukarskiej zeszyc drugi „Wieniec” pisma zbiorowego, ośiarowanego Stanisławowi Jachowiczowi przez pierwszych kraja autorów, oraz licznych innych jego przyjaciół i wielbicieli. Czytamy tu utwory poetyczne oprócz wielu innych: Aleks. hr. Fredry, T. Nowosielskiego, J. I. Kraszewskiego, Fr. S. Dmochowskiego, Beetymy, Pauliny Kraków, A. E. Odyńca, W. oława Szymanowskiego, S. z Zochowskich Pruszkowój, Józefy Prusieckiej; z prozy: przesiłny twór Narcysey Gabrielli

Żmichowskiej p. n. „Adodat” W. A. Maciejowskiego: „Opisany pogląd na głowę przyczyną upadku miast w dawnym Polsce”, K. B.: „Godzina rozmyślenia w święta Wielkanocne”, Karolay z hr. Poteckich Nakwaszkiej ustęp z dzieła „Dwór wiejski”, J. K. Gregorowicza. Srebrna sala pod trzema murzysami w Warszawie, i Juliana Bartoszewicza ustęp historyczny p. n.: „Pan Bystrzy”. Zeszyt — zeszytów będzie stanowić całość wielkiego tomu, bo przeszło 1600 stronnic obejmującego. Dzieło to zostanie pomnikiem na chwałę naszych czasów, jak umiano uczcić zasługi męga.

— Opisu Cmentarza Powązkowskiego pod Warszawą h. Wł. Wójcickiego. Wyszedł zeszyc XI i obejmuje wspomnienia i życiorysy: 1) F. Poteckiego pułk. 2) Józefa Mrozińskiego generała w. p. 3) M. Morona. 4) F. S. Armuńskiego, dyr. obserw. astronomicznego w Warszawie 5) J. Plichty. 6) Lud. z Miłowskich Ozerkieskiej. 7) D. Lisieckiego. 8) X. M. Wierzbowskiego. 9) M. Skosupańskiego. 10) X. Ant. Kotowskiego. 11) J. B. Miłogo. 12) Prowidenci z Fontannych Osmipińskiej. 13) Piusa Kleińskiego. 14) St. Trębińskiego, generała. 15) X. W. Skrzetuskiego. 16) M. księcia Ogińskiego. 17) A. M. Kitzajewskiego, prof. b. uniwer. war. 18) Antoniego Zabęckiego. 19) X. Gwalberta Bystrzyckiego. 20) Hugona Kotłanina. Do tego zeszytu dołączonych jest sześć rysa przedstawiających pomniki grobowe: Józefa Białawskiego, Aleks. Grajtnera, P. E. Łosińskiego, Antoniego Bykiewicza, Antoniego Wejnerta i Feliksa Bontkowskiego.

— Przyczynek do historyi kaszeryi w Polsce — napisał Dr. Michał Zieleniowski — Warszawa 1887 (osobne odbicie z pa-

miętników towarzystwa lekarskiego warszawskiego)“.

Jestto wyjątek z ważnego dzieła Historji szpitali krakowskich i nauki położnictwa w Polsce. W wymyku tym przywiedziona jest ciekawa wiadomość o *dzielu położniczym polskiem z połowy 15 wieku*. Całe dzieło obejmuje różne dodatki do Historji literatury, oświecenia i obyczajów domowolekarskich w Polsce.

Wilmno. Teka wileńska wydawana przez Jana ze Słwina, składa się będzie z sześciu numerów, z których każdy dzieli się na cztery oddziały: 1) Literatury pięknej 2) Filozofii, nauk ścisłych, gospodarstwa krajowego itd. 3) Historji, statystyki, archeologii, archeografii itd. i 4) przeglądów literatur słowiańskich żywciorców i innych pomniejszych artykułów. Po wyjściu 6 numerów oddziały te mogą być z sobą połączone i sformują 4 osobne tomy; nadto zaś, obszerniejsze artykuły jak np. Wiadomości historyczne o klasztorach, Historja biskupów wileńskich i inne drukowane w ciągu 6 numerów, stanowić będą osobną całość; dlatego, jak każdy oddział tak też i obszerniejsze artykuły mieć będą osobną numeracyą stronic, a do 6 nr. dodane będą stosowne karty tytułowe i treść rzeczy.

Teka wileńska zawierać będzie artykuły: Balińskiego Michała, Bartoszewicza Juliana, Chodźki Ignacego, Chodźki Dominika, Fryczyńskiego Michała, Godlewskiego ks. Lucjana, Krasieńskiego ks. Stanisława, Kraszewskiego Józefa-Ignacego, Łepkowskiego Józefa, Malinowskiego Mikołaja, Narbutta Teodora, Odyńca Antoniego-Edwarda, Płęga Adama, Proniewskiej Karoliny. Przyjął gowałskiego ks. Rittersberga Ludwika, Syrokomli Władysława,

Tomaszewicza Waleryana, Trentowskiego Bronisława-Ferdynanda, Tysskiewicza hr. Kustachego, Tysskiewicza hr. Konstantego, Tyssyńskiego Aleksandra, Wążyńskiego ks. Alexandra, Wójcickiego Kasimiera-Władysława Zaleskiego Bronisława, Zappa Karola Władysława, Zienkiewicza Romualda i wielu innych.

Tak zapowiedzianego pisma wyszedł numer pierwszy drukiem T. Glücksberga w wielkiej 8cc. str. 276 i obejmuje, z poezyi: 1) Franciszek z Assyżu, kantata Wł. Syrokomli. 2) Trzy promienie ducha, Karoliny Proniewskiej. Zprozy: 3) Piastunka. Rolikwie spoczościwej przeszłości: Adama Płęga. 4) Dydaktyka B. F. Trentowskiego (urywk). 5) Kwestye żywotne, przez Pirogową, przekłada z rosyjskiego K. Szalagiera. 6) Miśak, Wł. Syrokomli. 7) O ziemniakach podług dawnych praw litewskich, Mikołaja Malinowskiego. 8) Krótki sarys historyi literatury czeskiej Ludwika Rittersberga z Pragi Czeskiej. 9) List profesora E. z Pragi Czeskiej.

Wrocław. P. Walenty Maślowski doktor filozofii urodzony w Krzewinie w W. Ks. Poznańskim r. 1828) wydał w Wrocławiu ważną rozprawę inauguracyjną w języku łacińskim: O życiu i poezyach Klemensa Janickiego (*De vita et poesi Clementis Janicki; dissertatio inauguralis. Vratislaviae, typis Rob. Nischkowsky 1857. 8cc str. VIII. 63. 1.*). Janicki urodzony r. 1516 we wsi Januszkach koło Żelna w Wielkiej Polsce, protegowany od Andrzeja Krzyckiego areybiskupa gnieźnieńskiego i kosztem Piotra Kmity wojewody krak. do Padwy na nauki wysłany, poezyami swymi łacińskimi swrcił na siebie uwagę uczonych włoskich, a mianowicie kardynała Piotra Bembo,

który go papieżowi Klemensowi VII zalecił, że go także aseklować dwudziesto-letniego młodzieńca, wieńcem poety saszczytów raczył. Słabe i nadwężone zdrowie, spowodowało Janickiego napowrót do kraju, gdzie pomimo zabiegów lekarskich, na dworze Kmity r. 1543 zawołał do życia swój zakonczył. W rozprawie powyższej, zebrał pan Masłowski troskliwie wszelkie szczegóły dotyczące życia Janickiego i także zostawił, dotychczasowy oraz krytyczny rozbiór pod względem estetycznym i grammatycznym poezji Janickiego, które ma niepospolitą sławę u cudzoziemców, a nawet przydomek drugiego Tybulla zjednały. Prócz tego podał autor wiadomość o dwóch przesiebie odznaczonych dziełkach Janickiego, których nie ma w zbiorze wszystkich poezji Janickiego roku 1755 w Lipaku przez Jana Ehrenfrieda Boehma ogłoszonym, to jest o poemacie satyrycznym: *Quaerela reipublicae polonae* 1538 dochowanym w jednym egzemplarzu w bibliotece Ossolińskich i o epigrammatach znajdujących się w księgozbiorze kórnickim. Ważna ta i do bibliografii polskiej wielce przydatna praca p. Masłowskiego, powinna być i innych rodaków koneserów nauki w uniwersytetach obcych zachęcić do zbierania ródzianych przedmiotów za watek swych rozpraw inauguracyjnych.

— Znany wydawca statutów dycezalnych wrocławskich Ks. Mortimer Jan Montbach sekretarz arcybiskupa wrocławskiego wydał właśnie w Wrocławiu w języku niemieckim Szematyzm dycezy wrocławskiej na r. 1857. Książka ta z powodu wielostronnej użyteczności swej z waszech miar zasługuje na uwagę: albowiem prócz dokładnych dat sta-

tystycznych i etnograficznych zawiera chronologiczny spis wszystkich biskupów i sufraganów wrocławskich, opisanie pojedynczych kościołów z wymienieniem roku założenia i stylu w jakim są zbudowane, prócz tego z wyszczególnieniem wszelkich starożytności jako to obrazów, rzeźb, pomników napisów, chrzcielnic, dzwonów, naczyń i paramentów kościelnych, rękopisów, ksiąg i p. ciekawości, które się w nich znajdują. Zyczyćby należało, aby i konsystorze polskie wzięwszy sobie za wzór pracę Ks. Montbacha obok imion osób i nazw wsi podawały podobne notaty starożytności, a wtedy powzielibyśmy wiadomość o niejednym ważnym pomniku artystycznym i historycznym spozyskującym dotąd w zapomnienie; prócz tego skorowidz taki stanowiłby bogaty zasób do dokładnego opisu kraju na jakim nam dotychczas bywa i posłużyłby za wskazówkę badaczom. Szematyzmu Ks. Montbacha dowiadujemy się iż dycezya wrocławska podzielona na 90 dekanatów liczy 1,255 kościołów parafialnych i filialnych oraz 1,516,812 ludności katolickiej pomiędzy którą około 700,000 dotąd (nielicząc już protestantów) językiem polskim mówi.

Rzym. Wydano tam drukiem Propagandy Katechizm polski p.t. *Der Boży czyli nauka chrześcijańska dla prostaczków*. Rzecz to dobra i użyteczna, rozłożona przystoicie, napisana z wielką prostotą obok pewnej żywości kolorytu. Niema w polskim języku katechizmu równie przydatnego dla dzieci i dla ludzi prostych.

— Ks. Józef Boero Jezuita, ogłosił w Rzymie w drukarni piśmie *Civiltà Cattolica* ścisłakie tłumaczenie żywota św. Stanisł. Kostki, Daniela Bartoli, p. Ojca

Józefa Jawencyussa dokonane p.t. *De vita et miraculis S. Stanisłai Kostka Soc. Jesu libri duo* ex italico Danielis Bartoli S. J. in latinum conversi a Josepho Iuvencio ejusdem societatis sacerdote. W przedmowie O. Boero u-

mieścił wiadomość o tłumaczu, który pochodził z Paryża, żył między latami 1643 do 1721 umarł w Rzymie i zostawił historję zakonu Jezuitów p.t. *Epitome totius historiae societatis ab Anno 1560 ad Annum 1615.*



Listopad — 1857.



RZUT OKA

NA

STAN RELIGIJO OBYCZAJOWY POLSKI

w ośmnaścim wieku.

Gdyby kto odważył się na skreślenie dziejów polskiego kościoła, na dzieło niezmiernie ważne, owszem niezbędne dla poznania całego ogromu naszej przeszłości, a jakiego dotąd w prawdziwem znaczeniu nieposiadamy, wymagające jednak prócz głębokiej nauki, zdolności, pracy i czasu, tyle jeszcze rozlicznych zasobów, podróży, ułatwień i pomocy, że w obecnych okolicznościach jest zaledwie do wykonania możliwem — to powinienby naszym zdaniem, rozczłonkować je na siedm głównych działów, odpowiadających właściwym cechom jakie przedstawiają u nas w ciągu ośmiu wieków zdarzenia i zmiany na polu religijném zaszłe.

Odbiwszy od brzegu na apostołskich łódkach Cyrylla i Metodego (861 — 885) a wzięwszy z sobą owe nasio-

na wiary, które przywiozła Dąbrówka jako najpiękniejszy posag Mieczysławowi (965), rozwinąłby potężnie zagłę do tej długiej podróży pod hasłem św. Wojciecha (997), Brunona (1007) i Bolesława Chrobrego, aby przebiec najprzód owe zamglone i burzliwe lata do ustalenia wiary za Kazimierza I (1040), wykazując: założenie pierwszych, wprost jeszcze od Papieżyów obsadzanych, pasterskich stolic w Gnieźnie, Krakowie, Poznaniu, Kruszwicy i Płocku (966—1000), a przy nich kanoników regularnych zakonną tętnących karnością, składanie daniny Świętopietrza, i osiedlenie Kamedułów (997) i Benedyktynów (1008), karczujących zarówno lasy i uprawiających ziemie jak i szorstkie ówczesnych Polaków umysły. Już wtenczas jednak przejrzelibyśmy choć w zawiązku szczytne narodu tego na północy i wschodzie chrześcijańsko-cywilizacyjne powołanie... a odwieczne podanie dawszy nam poznać w Kruszwickim *włosćianinie* pierwszego króla, ukazałoby w tymże stanie i pierwszą świętobliwą postać w osobie pustelnika Jędrzeja Żórawka z Opatowca.

Drugi Okres obejmowałby następnych lat dwieście, do strasznego najścia tatarskiego (1240) w których to wiekach Kościół nasz utwierdzony pasterską odwagą i krwią świętego Stanisława (1079) nabiera sił i rośnie w znaczeniu i przemożności. Oto same już kapituły zaczynają wybierać biskupów z krajowców — oto przybywa na wezwanie Bolesława Krzywoustego św. Otton z Bambergu, aby nawrócić nasze Pomorze (1124), otóż i pierwszy Synód narodowy w Łęczycy (1180), oto ciekawy i budujący widok jak samo tylko prawię duchowieństwo tworzy i utrzymuje jedyną spójnią i moralną jedność w narodzie, rozerwanym między synami i następcami Krzywoustego — jak godzi zwaśnionych, jak utwierdza swą powagą chwiejących się i małoletnich, — jak przeważnym słowem rozstrzyga spory o następstwa

jak powściąga gwałty możniejszych i samowolnych książąt, jak coraz ściślej ze średnicą chrześcijaństwa węzłami równoważy i niweczy zamachy potężnych na Zachodzie sąsiadów i zapobiega ile możności pochłonięciu od nich pojedynczych słabszych części tej organicznej całości — jak oraz szkołami podnosi moralną ich wartość — jak biskupi kreślą dzieje krajowe (Mateusz Cholewa, Wincenty Kadłubek, Bogufał).

W pomoc świeckiemu duchowieństwu, przybywają ze wsząd nowe zakony: Norbertanie (1124) i Norbertanki (1176), Cystersi (1140) Bożogrobcy (1147) Benedyktynki (1186) Kanonicy szpitalni (1203) nakoniec nieznuzeni w Apostolskich trudach Dominikanie (1223) i Franciszkanie (1237), których usiłowaniom, więcej jak orężowi sprowadzonych w 1228 Krzyżaków, zawdzięczają pierwsze swe nawrócenie *Prusy*, gdzie do dawniejszego (od r. 1222) biskupstwa Chełmińskiego przybywa w 1243 Sambieńskie i Warmińskie. — Przebiegają oni z drugiej strony Litwę i Ruś całą, pozyskując mnóstwo pogan i szyzmatyków Kościołowi, wznoszą wszędzie domy boże i klasztory, zapuszczają się aż do Kumanii i Wołoszy, i przelewają tak hojnie krew dla wiary że na wieczną tych poświęceń pamiątkę nasza ś. Jacka prowincya czerwonymi pasami odróżnia się od wszystkich innych Dominikańskich. Dziwiąc się tak pięknym plonom naszych duchownych siewaczów, uchylamy oraz czoła przed pierwszym u nas wielkiem gronem Błogosławionych i Świętych, przed Wincentym Kadłubkiem, Janem Prandotą, Jackiem, Czesławem, Bronisławą, Salomeą, Jadwigą, Kunegundą i Jolantą.

Wśród dymu pożarów i krwi strumieni, pod niebem zaciemnionem od strzał barbarzyńców, przypominających pierwszą wędrówkę narodów i wszystko w podobny wprowadzających zamęt, rozpoczyna się *trzecia* epoka, męczeńskim zgonem nieustraszonych sług bożych w Haliczu,

Lublinie, Sandomierzu, Zawichoście Witowie i indziej, a tylu walecznych synów Kościoła i ojczyzny pod Chmielnikiem i Lignicą!... Lecz równie jak po piorunującej burzy odzywa przyroda i tém bujniej podnosi się roślinność, tak i nasz Kościół czuje w sobie po ciężkiej próbie nowy prąd życia: wszystko korzy się przed Panem-Zastępów; możni składają na ołtarzach swe dostatki, wieńczą je przywilejami i nadaniami, a jeżeli gdzie podnosi się na nie zuchwała ręka, to odpiera ją zaraz zwyciężko zahartowane polskie duchowieństwo. Owszem samo przyczynia się gorliwie do zjednoczenia i ukształcenia państwa, do wyrobienia prawodawstwa pod Przemysławem, Łokietkiem i Kazimierzem Wielkim, rugując drugą ręką wciskające się sekty Biezowników, Dulczynów, Waldenzów, Beginów, (1261—1327), zaprowadza w tym celu inkwizycyą (1319), cieszy się pierwszą kanonizacyą swych dzieci (Stanisława w 1253, a Jadwigi w 1266) nawraca możnych władców Rusi (Daniela 1246) i Litwy (Mendoga 1253), i Podlasie (1265), osada biskupa łacińskiego w Kijowie (1321), przywoływa sobie za pomocą królów i panów nowe wzory bogomyślności dla obu płci: w Cysterkach (1250) Klaryskach (1260) Dominikankach (1290) Brygitykach (1295), Kanonikach regularnych, tak zwanych *Markach* (1257) Augustynianach (1335) Kartuzach (1381) Paulinach (1382) Karmelitach (1395) a bywszy zawsze pierwszym nauczycielem przez swe kapitulne i klasztorne szkoły, podnosi nareszcie widną na cały Wschód i Północ pochodnię oświaty w Akademii Krakowskiej (1364—1400), sadowi na zgłiszczach tatarskich, wśród zdziwionej szczyzny w roku 1375 arcybiskupią w Haliczu, a biskupie w Przemysłu, Włodzimierzu, Chełmie i Kamieńcu łacińskiego obrządku Infuły, a zdobywszy sobie niebawem nowe szerokie pole działania przez połączenie Polski z Litwą (1386) sieje w rozległych dziedzinach Gedyminowskich

stwo zbawienia za powodem i osobistym nawet przykładem pierwszego Jagiellona który w Wilnie (1387) i na Żmudzi (1416) utwierdza wiarę nowymi biskupstwami.

Aż ta znów od Zachodu nadołga w początkach XV stulecia nowa brzemenna zniszczeniem burza snamienna *czwarta* dla Kościoła naszego erę. Czeski husaryzm podobny do Tatarów, co zatrawali, (jak twierdzono) źródła i płynące wody, chciał zamącić i zatruć w samym zarodzie owe żywotne katolickie strugi, z których naród nasz czerpał od tylu wieków swój hart i główną istnienia swego podstawę. Niemniej krwawy niszczyciel jak owi wschodni barbarzyńcy, widział się jeszcze posilkiwanym od gorzącej się w Kościele zachodniej szyszmy, od słabości polskiego monarchy i od ambitnych knował Litwy. Przecież mimo tylu przeciwności, mimo chwiania się wieku biskupów, stopniowego skażenia duchowieństwa i niecnałków Akademii Krakowskiej, mimo powtarzanych, a na Kazimierza Jagiellończyka zwycięstwem uwiecznionych, zamachów władzy najwyższej na wolne wybory biskupów, urwał nieustraszony krakowski pasterz Zbigniew Oleśnicki łeb husyckiej hydry, a podsyłał ducha i religijność przez sprowadzonego do nas św. Jana Kapistrana i jego Bernardynów (1453) którzy wylali się wszędzie na apostołskie tradycje. Baś tak długo uporna wyrzekła się na Synodzie florenckim (1439) odszczepieństwa właśnie kiedy i druga zachodnia szyszma ustąpiła przywróconej powszechnej w Kościele jedności, a ziemię naszą ozłociło niebiańską aureolą drugie wielkie grono Świętych i Błogosławionych: Jan Kanty, Jakób Straszanie, Kazasz Boner, Michał Giedroń, Stanisław Kasznicerzyk, Świętosław, Jan z Dukli, Szymon z Lipnicy, Władysław z Giednowa i Królewicz Kazimierz!

Lecz kiedyż-to Kościół przestał być wojującym? Długie owszem poprzednie w nim rozdwojenia i niesfor-
ność pojedynczych zarozumiałych i zniewieściałych du-
chownych stały się żyznym pokładem do żalosnej *pię-
tój* epoki, kiedy w początkach XVI wieku z jednej stro-
ny podstępne Moskwy knowania i osobiste Magnatów
widoki, rozerwały po siedmdziesięciu latach zgody znów
religijne Rusi braterstwo, a z drugiej zaczęli ciskać się
do Polski, zwolennicy Lutra, Serweta, Kalwina, Socyna
i siac pełnemi garściami kąkol głuszący plony długo-
wiecznego zasiewu. Przyjmuje ich oburącz butna i lek-
komyślna szlachta, przymilają się do nich spanoszali i
rozwiązli duchowni; obojętnie pogląda na to ostatni znie-
wieściwały Jagiellończyk, nastaje okropny zamęt wyobra-
żeń, zasad, dążności, upada wiara ojców, a z nią ko-
ścioły, klasztory i całe nawet diecezje (Pomezanańska,
Sambieńska, Inflancka) aż nareszcie Stanisław Hoziusz
owiany duchem trydenckim, schodzi ztamtąd na spasto-
szone nasze niziny, jak drugi Mojżesz z tablicami ustaw
podnosi walkę o życie, ściaga pod swe znaki niedobi-
tki prawowierności i sprowadza doświadczony już w ta-
kich zapasach zastęp Lojoli (1564). — I zaraz powsta-
ją najsilniejsze przeciw herezyi zbrojownie w jezuickich
szkołach w Brunsbergu, Pułtusk, Wilnie, Poznaniu, ro-
snącemu pokoleniu wskazuje drogę senatorskie dziecko
Stanisław Kostka wstępując w 18 roku życia na nasze
ołtarze: kiedy Wujek przeciwstawia wierne zwierciadło
Pisma św. z stałszowanym tekstem innowierców, a Piotr
Skarga gromiąc ich słowem i piórem wznosi w obec
bezowocnych ich rozpraw i usiłowań, dobroczynne dla
ludzkości zakłady. — Napróżno szamota się bezsilne
różnowierstwo, napróżno łączy swoich potwornym wę-
złem Sandomirskim (1570) i potworniejazemi jeszcze że-
szyzmą, konszachdami (1595). Batory był drugą Opatrz-
nością dla Kościoła jak i dla państwa, otwierając i na-

dając hojnie na północy katolickie w Połocku, Rydze, Dorpacie kościoły i szkoły (1579—1583) i wznawiając upadłe w Inflantach Biskupstwo (1582). Herezya wszędzie w Europie zwyciężka, u nas chwieje się i w nicłość rozechodzi; cała Ruś polska podaje za przewodem Michała Rahozy Metropolity Kijowskiego i Halickiego, już stanowczo w Brześciu litewskim rękę do zgody (1595) podpisanej od Biskupów dyecezyi Włodzimierskiej, Łuckiej, Chełmskiej, Pińskiej i Połockiej, a zapieczętowanej krwią męczeńską Arcybiskupa Połockiego Jozafata Kuncewicza (1623) i nawróceniem najgłówniejszego przeciwnika Melecego Smotrzyckiego (1627). W parę lat później od r. (1629) zaczynają łączyć się z Kościołem i Ormianie na Rusi i Podolu za przykładem Lwowskiego swego Arcybiskupa Mikołaja Torosowicza. -- Wojciech Męciński spieszy do Indyi i Japonii aby tam znaleźć męczeński wieniec, a Zygmunt III dokonawszy rozpoczęte od Batorego dzieło zostawia umierając wr. 1632 Kościół nasz wstanie więciej może kwitnącym jak był kiedykolwiek, przywrócony do wydartych sobie długo posiadłości, zasilony reformą żeńskich zakonów przez Magdalenę Mortęską (1580) i nowo wprowadzonymi Augustyniankami (1582) Bonifratrami (1609) Karmelitami i Karmelitankami bosemi (1610—13) Reformatami (1622) a w naukowym względzie nową Akademią Zamojską (1595) nakoniec i nowém Biskupstwem w Smoleńsku (1613) niemniej pierwszym u nas powstałym zakonnem zgromadzeniem (1623) poświęcającem się wychowaniu ubogich dziewcząt, a noszącem od swej założycielki w Krakowie nazwę *Panien Czeskich*.

Taka jest tymczasem ludzka ułomność że, jak to stwierdzają wszędzie dzieje Kościoła i świata, samo dłuższe powodzenie bywa dla niej niebezpieczniejszem od przeciwności. — W walce wyrabiają się siły, powstają bohaterowie; w spokoju i pomyślnościach wszystko

usypia. W samym nawet duchowieństwie wolniej kar-
ność, gdy próżne trosków opuszcza ręce i siada w wy-
godach. — Toż jest właśnie wybitną cechą owej *szó-
stej* stuletniej epoki od zgonu Zygmunta III do wstą-
pienia na tron polski Augusta III a objęcia rządów Lo-
taryngii przez Stanisława Leszczyńskiego (1733—37)
epoki nader burzliwej politycznie, ale coraz bardziej drę-
twiejącej religijnie. Za nadto dużo było w Kościele
naszym życia, aby upadek mógł nastąpić od razu, lecz
za nadto było przyczyn do niego aby nie następował
widocznie. Ile było jeszcze ducha, o tém świadczy obre-
na Częstochowy przez Kordeckiego (1655) i alub lwow-
ski Jana Kazimierza (1656), — świadczy długie apo-
stolatwo i zgon męczeński Andrzeja Boboli (1657) —
świadczy ostateczne publiczną stanow uchwałą wyrugo-
wanie z kraju niemniej szkodliwych państwu jak i ko-
ściółowi Arianów (1660), — świadczy tytuł najpiękniej-
szy *Króla prawowiernego* dany w osobie Jana Kazimie-
rza (1661) od Papieża Alexandra VII wszystkim jego
następcom; świadczy gorliwość pojedynczych wiernych
i panujących w zaprowadzaniu Pijarów (1642) Missyo-
narzów i Sióstr Miłosierdzia (1652) Wizytek (1654)
Trynitarzów (1658) Teatynów, Filipinów (1660—64)
Kapucynów (1684) Komunistów Bartoszkami zwanych
(1685) Sakramentek (1686), — świadczą założeni od
Stanisława Papeżyńskiego w 1673 w Wielkiej Polsce,
a od świętobliwego Kazimierza Wyszyńskiego w wieku
następnym aż w Portugalii rozgałęzieni *Marianie*, —
świadczą Bracia Miłosierdzia od Biskupa Wileńskiego
Konstantego Brzostowskiego w 1713 pod nazwą Rochi-
tów ustanowieni, — świadczą i Wileńskie *Mariawitki*,
pożyteczny utwór Józefa Turczynowicza (1787), — świad-
czy nadewszystko ostateczne przyjęcie unij od dwóch
upornych detąd Eparchij przemyskiej i lwowskiej (1699
—1700) i pamiętny Synod Zamojski (1720). — Lecz

współczesne polityczne wichry zaczęły już wyrwać z korzeniem lub przynajmniej skrzywiać najbujalejsze latorośli! Zabuczwały wojny kozackie, wyundane dzieci upokorzonej szczy, zaleli następnie dwa razy kraj nasz łakomi panowania, synowie Północy, powtarzały się bezkrólewia, obce wpływy przemagały, rodząc wszędzie rozdziwienie, krzyżowały się wszędzie intrygi usiłujące samych nieraz duchownych a dające przewagę przebiegłym i ambitnym kobietom; w szczególności oręta zaniedbywano nauki świeckie i kościelne, zakorzeniła się dworszczyzna, rozstroiły się umysły i serca, zaczęły się przeinaaczać i psuć narodowe obyczaje, po tylu przykładnych królach widziano Augusta II balamucącego zamężne i niezamężne kobiety, nietającego bynajmniej występnych miłostek, otaczającego nieprawie swe dzieci całą świetnością majestatu, a tak zacięrał się wstył i dawna powaga w wyższych warstwach społeczeństwa i w samém duchowieństwie, które już częściej oglądało się na tron, jak na ołtarz.

Możnaż się teraz dziwić jeżeli nowy duchowny nieprzyjaciół wkraczając do Polski za Augusta III zastał ją bezsilną i zgotował zagładę w *siódmym* najniebezpieczniejszym okresie? Któż nie zgadnie, że mówimy o *francuskiem niedowiarstwie*, które nie z mieczem w rękę jak husaryzm, ani z togią doktorską jak Reformacya, ale w sielankowym stroju, wiejąc pachnidłami, ukazało się na rydwanie okrażonym tańcami i dowiepami i otworzyło różanym palcem szeroką bramę wiodącą przez kręte gąki do bezdennej przepaści. — Rzucano po drodze kwiatki dla każdego. Wykształconym na łacinie pradziadom naszym śpiewało z Horacym: „Używajcie życia, bo chyżo leżą niepowrotne godziny, wieńczone różami skronie, niech zabrzmie muzyka, niech zaszumią puhary, bo tyle naszego, a cała mądrość w użyciu!“ Kobiętom stwarzało ów raj niewieści Ludwika XIV i

XV, kiedy uśmiechem zalotnym zdobywały berła, a panie Montespan i Pompadour potężniejszymi były od wszystkich ministrów. Duchownym stawiało na oczy wymuskanych Prałatów co w Wersalu spożywali wygodnie do chody kościołów przez Wikaryuszów rządzonych. — Wszystkim ukazywało w przewrotném zwierciadle obojętność jako tolerancją, wątpienie jako postęp wieku, filantropią jako miłość bliźniego, najgrawanie się z ośmnastowiekową wiarą, jako dowód wykształcenia, świat jako jedyny ołtarz bóstwa które niezobowiązywało do niczego. — A za tę łatwą religią przeczenia i dowcipów obiecywało zwolennikom taką sławę filozoficzności, jaka zdobyła już tyle głośnych głów za granicą!

Pierwszy wielki wróg religijny, co uderzył na Polskę to jest hussytyzm, był pochodzenia słowiańskiego, to też nieostał się skoro mu się oparł najmożliwszy i najoświeceniwszy na północy słowiański naród; drugi (Reformacja) przybywszy z Niemiec, Włoch i Szwajcaryi, ustąpił, gdy dostaliśmy ztamtąd równocześnie i posiłki ale trzeci groźny nieprzyjaciół ów *Wolteriański Encyklopedyzm* usadowił się i szeroko u nas rozgościł, bo nie tylko zastał wszystko już na przyjęcie jego przygotowane, (wskazanemi w szóstym okresie czynnikami), ale zawitał jeszcze z owęj Francyi z którą mimo takiej odległości, tylu przegród i trudności, tak wielkiej różnicy w pochodzeniu, przeszłości, języku, wyobrażeniach i obyczajach, wiąza nas dziwne jakieś i tajemnicze węzły. już od pierwszych związków historycznego istnienia! — Niebyliż Francuzami już najdawniejsi Pastérze kilku naszych Diecezji? Nie ztamtądże pochodzili Benedyktyni, Cystersi i inne niektóre męskie i żeńskie zgromadzenia trudniące się właśnie wychowaniem? W Paryżu ówiczili się w naukach św. Stanisław Szczepanowski, św. Czesław Odrowąż i tylu za niemi duchownych i statystów aż do Jana Zamojskiego i dalej. — Za Ren

schronił się z matką wygnany z kraju Kazimierz I. — Nie wskazujęz samo imię pierwszego naszego kronikarza Marcina *Galla*, że z Francyi do nas. zawitał, aby pisać nasze dzieje, podczas gdy tyle rodzin Francuskich u nas osiadało i przysługiwało się nowęj swęj ojczyźnie czynami godnemi dziejopisa. Tam odbywa pobożną pielgrzymkę bezdzietny Władysław Hermann; tam potém syn jego Bolesław Krzywousty. — Za Władysławą Jagiełły znosi się ciągle Akademia Krakowska z Paryżką, w sprawach Kościoła; Arcybiskupa Mikołaja Trąbę przyjmują z największą czcią tameczni uczeni, kiedy francuzkie rycerstwo podziwia sprawność Zawiazy Czarnego w Narbonne. — A co powiedzieć o czasach Zygmunta Augusta o owych nieustannych stycznościach francuzkich kalwinów z naszemi dyssydentami, o wzajemnych odwiedzinach, przypisywanych dziełach, o pierwszej zresztą polskiej gramatyce ułożonej w 1568 od Piotra Statoriusza rodem z Thionville. W r. 1573 liczne poselstwo zaprasza na tron Waleriusza, który przybywa z gronem Francuzów, a zbiegłszy z Polski staje się powodem do nowych tamże poselstw. — Od trzydziestoletniej wojny a długich naszych w Prusiech zapasach z Gustawem Adolfem zakończonych rozejmem w Altmarku za pośrednictwem Francyi zawartym (1629) cała już nasza polityka wiąże się coraz ściślej z francuzką lubo w r. 1636 przerażają chwilowo Paryż posiłkujące Cesarzowi niemieckiemu Lisowczyki. Małżeństwo Władysława IV z Ludwiką Maryą Gonzagą, de Nevers (1645) i powtórny jej związek z Janem Kazimierzem (1649) ścieśniania znów obopólne stosunki.

Dwór Polski zapełnia się Francuzami, — Francuzkie, zakonne zgromadzenia wychowują u nas pleć żeńską, język, strój, obyczaje francuskie stają się coraz powszechniej, młodzież nasza służy wojskowo we Francyi, gdzie i Jan Sobieski (wspomniany od pani Sevi-

gné i Lafontaine) zostawił, jak twierdzą niektórzy, w osobie znanego Wilhelma Brisacier żywą pamiątkę swej służby w gwardyi Ludwika XIV. — Francya pośredniczy w wojnach Jana Kazimierza (1658), Królowa usiłuje zapewnić następstwo po nim Księżu Kondenszowi, a skolatany burzami ostatni z Wazów, złożywszy cierpiową swą koronę, szuka odpoczynku we Francyi i umiera tamże jako Opat w Nevers (1672). Nowa czynna i przebiegła francuzka Marya Kazimira de la Grange Margrabianka D'Arquien występuje na widownię naszych dziejów jako małżonka Jana Zamojskiego Wojewody Sandomirskiego, a potem od roku 1665 Jana Sobieskiego, przykrawając dwór na wzór francuzki. Po zgonie Jana III sięga książę de Conti po polskie berło i tworzy całe francuzkie stronnictwo (1697). — Wnuczka Sobieskiego Karolina zaślubia raz poraz dwóch braci książąt de Bouillon a Marya Córką Stanisława Leszczyńskiego zostaje Królową francuzką (1725). — Pomijając to że wielu naszych Magnatów zaczęło już coraz bardziej uczęszczać na dworze Wersalskim, (i że np. Jędrzej Morsztyn Podskarbi W. kor. złożywszy w 1684 roku ten urząd, przeniósł się do Francyi, gdzie znaczne zakupiwszy dobra umarł w początkach 18go wieku i zostawił w wojsku francuzkiem syna który od onych posiadłości przezwany hrabią de Chateau-Vilain i ożeniony z księżniczką de Chevreuse, zginął jako Jenerał pod Namurem); nie nie przyczyniło się bardziej do umysłowego i obyczajowego skojarzenia obu narodów jak stałe osiedlenie się w Lotaryngii Leszczyńskiego, gdy w 1737 objął rządy tego kraju i sprawował je przez lat blisko 30ci (do 1766), bo osoba jego i dwór stał się główném ogniskiem wzajemnej spojni i przyjęcia ztamtąd wyobrażeń i wszelakich nowości.

Wielu Polaków z jego stronnictwa przeszło zaraz po jego upadku w szeregi francuzkie. Głośny ów Duńczyk

Hr. Loewendahl służył pod różnemi chorągwiami nakoniec marszałek francuski od r. 1747, zmarły w r. 1755, służył jak pisze Rulhière ¹⁾ z Polaków cały pułk, którym dowodził. Tam wykastalczył się między innemi konfederat barski i chwilowy król Madagaskaru Dzierżanowski, tam poznał podróżujący w 1748 po Belgii młody Stanisław August Poniatowski, adjutanta Rudzińskiego i oficerów tegoż pułku: Gómbolińskiego, Wybranowskiego i Strasz ²⁾.

Wierny stronnik Leszczyńskiego Krzysztof Szczęsny Kasztelanie Mściwosławski był pułkownikiem rejmentu Roial Suédois i powrócił do Polski dopiero w r. 1769. — Dwór Lwowski przepelniony był polakami krownymi Króla i Królowej Katarzyny Opalińskiej. — Dość wspomnieć: Maksymiliana Ossolińskiego niegdys Podskarbiego W. kor. co został jako Mistrz tego dworu Dukiem i Parem Francuskim, kilku księzących także Jabłonowskich okrytych orderami sgo Ducha, sgo Michała i sgo Huberta, Józefa Żółtowskiego i Jana Krasińskiego Wielkich Jajmowników tegoż dworu, uposażonych bogatemi Opactwami w Lotaryngii i Burgundyi. — Ztąd coraz częstsze małżeńskie związki Polaków z Francuzami, stąd wpływ kobiet zawsze przeważny na domowe stosunki, wychowanie i wyobrażenia ³⁾. To wszystko opie-

¹⁾ Histoire de l'Anarchie T. 3. str. 65. (Paris 1807).

²⁾ Gabinet medalów polskich Raczyńskiego. Wrocław 1848 str. 196.

³⁾ Wiadomo że już rodzona siostra Królowej Maryi Kasiimry, Marianna poszła w 1678 na Jana Wielopolakiego Kanclerza W. kor. i że z dwóch córek trzeciej ich siostry Margrabiny de Bethune, jedna: *Maryja Katarzyna* była od 1690 żoną księcia Stanisława Radziwiła na Klecku, potem Alexandra Pawła Sapiehy obu Marszałków W. Litewskich, druga *Joanna* żona Jana Jabłonowskiego Wojewody Ruskiego, a córka tejże Maryanna Jabłonowska żoną Anny Karola de la Trémouille Hr. de Taillebourg księcia de Chatelleraud.

rając się o dwór lunewilski i Wersalski ściągało tam roje Polaków i Polek. — Tymczasem odbywało się właśnie we Francyi wielkie umysłowe przeobrażenie; kiedy idąc w zawody z dachem niedowiarstwa w Anglii zagnieżdżonym (od pisarzy jak Hobbes, Locke, Collins, Tindal, Woolston, Morgan, Hubb, i od wielkich panów jak lordowie Bolyngbroke, Shaftesbury, Sandwich i Chesterfield podsycanym) Wolter, D' Alembert, Diderot i cała ich długa świta podkopywała Chrześcianizm — i jedni wręcz zaprzeczali Boga, drudzy wysławiali nagi Deizm, jako zasadę jedynie odpowiadającą rozumowi, a przytém puszczaali zupełnie wodze zmysłowości.

Wielka część tych filozoficznych znakomitości przebywała ciągle na dworze Leszczyńskiego, inni odwiedzali go często. Jedną z pierwszych dam tego dworu, była margrabina *Du Châtelet* osobista przyjaciółka i opiekunka Woltera, którego tam przedstawiła w 1747. Bawił na nim aż do jej śmierci i widywał tam Monteskiusza piszącego właśnie dzieło o *Duchu praw*. Utwierdziła to filozoficzne gniazdo, założona od Leszczyńskiego *Aka-*

Franciszek Załuski Wojewoda Czarniechowski nakoniec Płocki pojął się z Dorotą de Rivière, Katarzyna Bielińska córka zmarłego w 1713 Kazimierza marszałka Wiel. koronnego urodzona z Ludwiki Morastynowny Podskarbianki koronnej, owdowiawszy po Jakubie Potockim starszemu Czechryńskiemu, oddała rękę Janowi Wiktorowi Besenwal nadzwyczajnemu posłowi francuzkiemu w Polsce w 1718. — Wspomniany wyżej Marszałek Loewendahl miał za żonę Barbarę Szembekównę zmarłą w Paryżu w 1762, której starszą córkę *Benedyktę* pojął w 1757 w Warszawie Jan Ossoliński Starosta Drehiński, — a młodszą *Elżbietę* w Paryżu 1759 Hrabia Turpila Jenerał francuzki — Córka Miecznika koronnego Alexandra Lubomirskiego była żoną Hrabiego Des Alleurs posła francuzkiego w Stambale, Emerenciana z Warszawskich Potiejewa Włodzisława Wilczyńskiego pożała po śmierci męża za Hrabiego Montmorency.

demia narodowa w Nancy której pierwsze posiedzenie odbyło się 3 lutego 1751, właśnie kiedy wychodzić zaczęła wielka *Encyclopédie française* owa główna kuźnia niereligijności. Należeli wprawdzie do tej Akademii i ludzie lepszych zasad, jak n.p. głośny potem dziejopis Polski *Piotr Solignac*, Sekretarz Stanisława, towarzysz mnogich jego wędrówek, a pierwszy dożywotni sekretarz tej Akademii, jak biskup z Troyes i inni, ale przeważali podobno w tém gronie otwarci przyjaciele i zwolennicy Woltera; jak generał hrabia de Tressan, poeta Saint Lambert, prezydent Hénault i prokurator jenerałny Franciszek Thibault, który pierwszy dał królowi w mowie swój tytuł *filozofa Dobroczynnego*, tak powszechnie odtąd przyjęty, że pod tém imieniem wyszły nawet na widok publiczny jeszcze za życia Stanisława wszystkie jego dzieła w 1764. ⁴⁾

Nie zaniejszego nad osobistość Leszczyńskiego: był z gruntu duszą katolikiem, wszędzie w swych dziełach obstawiał za religią jako jedyną niezachwianą podstawą społeczeństwa, wszędzie gromił przewrotną ówczesną filozofią ⁵⁾ nie miłym mu był pobyt Woltera na jego dworze ⁶⁾. Lecz mimowolnie nastroczał sposobność do sze-

⁴⁾ Oeuvres du Philosophe bienfaisant. — Lipsie 1764, 4 tomy in 8vo.

⁵⁾ Obacz na przykład w T. 3 od str. 262 pismo „*Le Philosophe chrétien*“ w T. 4 od str. 1. „*L'incrédulité combattue par le simple bon sens*“ tamże od str. 123 „*La Religion*“, od str. 134. „*La Philosophie*.“ etc. etc.

⁶⁾ Proyard (w „*Histoire de Stanislas premier etc.*“ Lyon 1784 T. 1 str. 448) mówi: „On vit quelquefois néanmoins à la Cour du Roi de Pologne certains sujets peu dignes de sa confiance, et ce Prince les connaissait, mais il trouvait dans sa religion même des motifs de ne pas les éloigner. On lui représentait un jour que Voltaire finissait l'hypocrisie à sa cour: — „C'est lui-même et non pas moi, répondit il qu'il fait dupe du rôle qu'il joue: son hypocrisie du-moins est un hommage qu'il rend à la vertu. Et ne savant-il pas mieux que nous le voyons hypocrisie ici que scanda-

rzenia tych nowych zasad, nie mogąc zapobiedz górującym dążnościom, ani zamknąć ust lub wydrzeć pióra takim pisarzom, a popierając usilnie nauki, zakładając w Nancy katedry historii, filozofii i matematyki, otwierając tam publiczną bibliotekę, przyjmując zresztą jako monarcha i uczony hołdy od uczonych takim duchem technących, otwierał tém samém wszędzie służy nurtom gwałtownej powodzi.

Wszyscy Polacy przebywający na dworze Leszczyńskiego, byli w ustawicznej styczności z temi filozofami, czytali ich dzieła i przywozili je do ojczyzny, gdzie bywały łapczywie rozechwytywane wraz z modami, perfumami, różem i muszkami francuzkimi. — Co więcej: Stanisław pragnąc być ile możności użytecznym rodzinnej swój ziemi, kształcił w naukowym zakładzie w Nancy prócz krajowców, zawsze dwunastu Polaków, którzy obok nauk, przesiąkali niepostrzeżenie ówczesnym duchem francuzkim. Nie uszły już te stosunki baczności znakomitego naszego pisarza Juliana Bartoszewicza, który zastanawiając się nad wpływem *Filozofa Dobroczyń-*

„Ileux ailleurs?“ — C'est ainsi qu'il se proposait ou d'enchainer „par ses bienfaits les dangereux talens de cet écrivain, ou de leur „donner une direction contraire.“ — Była w tém wielku illuzya, pewnością i sbytaie pobłażanie z dobrego serca pochodzące. W nocie na stronie 449 czytamy, jak narazcie sprykrzywasy go sobie, chciał go samą oziębłością odpędzić, ale Wolter udawał uporczywie, że tego nie rozumie. Leszczyński sapytał raz swego intendenta, czyby nie mógł mu nastroczyć jaki dobry sposób, do pozbycia się niedowiarka. „*Najjaśniejszy Panie!* (odpowiedział zagadniony urzędnik dworu) *ten rodzaj djabłów nie odgania się tylko modlitwami i postem!*“ Chwycono się też tego środka, i tak uszczuplono Wolterowi wygody, że sam nakoniec wyjechał; lecz 15 sierpnia 1760 r. napisał znów do Króla list z wielkimi komplementami. Obacz o tém także „*Rys życia i wybór pism Stanisława Leszczyńskiego przez Kajetana Niezabitowskiego.*“ Warszawa 1828. str. 76—79.

nego na nasz kraj, uważa: „że wielkie jest pytanie, czy „wpływ ten jest zbawiennym? Kiedy sielankowy ten „król widział całe zbawienie Rzeczypospolitej, w przyjęciu przez nią kształtów społecznych Francyi, które „idealizował.“ ⁷⁾ Gdyby jednak Bartoszewicz zgłębiał więcej stronę religijną, byłby jeszcze trafniej dotknął szkodliwości tego wpływu. Dostrzeżemy zaś lepiej jego doniosłość, skoro sobie przypomnimy: że współcześnie powstało w samej Warszawie *narodowe ognisko francuszczyzny i wolnomyslności* jako najwierniejszy sprzymierzeniec głównego gniazda. Izabella Morsztynówna, córka wielkiego Podskarbiego Jędrzeja, urodzona w 1671 z Angielki Katarzyny Gordonówny Margrabianki de Hunthej, towarzysząc ojcu do Francyi, wykształciła się na dworze Ludwika XIV i przywiozła do kraju umysł i skłonności francuskie. Wydana za księcia Kazimierza Czartoryskiego Kasztelana Wileńskiego, podniosła bogactwami swemi podupadły dom Czartoryskich, utworzyła w Warszawie pierwszy salon na sposób Wersalski, i stała się wzorem, który usiłowano naśladować. Główna jęj działalność przypada na czas panowania Augusta III, bo umarła w Warszawie dopiero w roku 1758. — „Ona pierwsza, mówi Rulhière ⁸⁾, opuściwszy ową skromną przyzwoitość i powagę, cechującą dotąd obyczaje „matron polskich, a biorąc za przykład panie francuskie, „miała jak ony, przez galanterią, uwodzenie i intrygi, „czynny udział we wszystkich dworskich matactwach „i najważniejszych sprawach państwa, i zgromadzała „u siebie najpoważniejszych ministrów i najdowcipniejszych dworaków.“ Z mężem zmarłym w r. 1741, dochowała się czworga dzieci, które wszystkie w jęj du-

⁷⁾ Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku. Petersburg 1853. T. 1. st. 10.

⁸⁾ Histoire de l'Anarchie T. 1. str. 194.

chu prowadzone wpłynęły nie pomалу na przyszłe losy Kraju i Kościoła. Jeden syn *Fryderyk Michał*, (od roku 1752 — 1780) Kanclerz Wielki Litewski, wykształcony od ministra Fleminga, ożenił się z cudzoziemką Eleonorą hr. Waldstein, i był głównym twórcą sławnego potem *Stronnictwa Czartoryskich*. Drugi *August*, zrazu oficer w służbie austriackiej, Kawaler Maltański, dalej generał gwardyi koronnej, pojął w r. 1731 w małżeństwo najbogatszą w Polsce panią, ostatnią z Sieniawskich, Maryą Zofią, wdowę po Stanisławie Denhoffie Wojewodzie Połockim i Hetmanie poln. Litewskim, zabijający w pojedynku współzawodnika do jej ręki, a potem od r. 1781—1781 jako Wojewoda Ruski był głową wspomnianego wyżej stronnictwa w narodzie. Trzeci syn *Theodor* w duchownym stanie, dawał długo jako biskup poznański (1738 — 1768) gorzkie przykłady, o czém niżej jeszcze mówić nam wypadnie. Córka nakoniec *Konstancya*, kobieta dumnego umysłu i niepomiarowanej wyobraźni, oddała swą rękę prawdziwemu dziecku szczęścia i domowych zaburzeń Stanisławowi Poniątkowskiemu, Regimentarzowi partyi Leszczyńskiego, nieodstępnemu towarzyszewi Karola XII, nakoniec Kasztelanowi krakowskiemu (1752 — 1762), z którym miała siedmioro dzieci. Czwarty z kolei między temi otrzymał imiona dwóch ostatnich królów *Stanisława* i *Augusta*, bo awanturnik włoski Fornica, domownik poufny ojca, trudniący się astrologią i alchemią, przepowiedział mu przy urodzeniu (1732) koronę, co się też w 1764 ziszcilo, na największe narodu nieszczęście! — Wychowany w zasadach ówczesnej filozofii i kosmopolitycznej ogłady, między innymi od księdza *Antoniogo Portalupiego Teatyna* (którego poznamy niżej) i od Keyserlinga byłego profesora w Królewcu, (później od r. 1762 posła rosyjskiego w Warszawie) wysłany za granicę już w r. 1748 z jakimś Majorem Kùpigafelsem, towarzyszył następnie

do Paryża i Anglii głoszeniu z gorzących obyczajów angielskiemu dyplomacie Williamsowi, rozpuszał się w stolicy francuskiej (jak powiada Rulhiere) na najohydniejszą rozpustę, rozpoczął potem pod skrzydłami Williamsa, jako sekretarz poselstwa w Petersburgu, cudzołazne miłości z *Semiramidą północy*, a tak przysposobił się wesołości do długiego swego i lichego zawodu rozwolizłych słabości ⁹⁾. Do przyspieszenia powszechnego przetworzenia umysłów i rzeczy, przyczynił się niepomąta długoletni wpływ wszechmocnego ministra Henryka hr. Brühla i innych Sasów protestantów lub otwartych niedowiarków i liczne familijne z niemi związki ¹⁰⁾. Nic więc dziwnego, że przy tylu wpływach, opiekach i zachęceniach, przy takich wzorach działających silnie na wyższe warstwy społeczeństwa, toczył się gwałtownie na dół duch narodowy, a nadewszystko katolicki, religijny. Zaczęło przybywać do Polski coraz więcej francuzów i francuzek i zagrzeżdżać się po miastach i dworach jako guwernery i guwernantki, jako lekarze i artyści, jak mistrze sztuki dramatycznej i baletniczej, lub zresztą jako prości pieczeniarze zastępujący domowych błaznów i uczący jako „*Maitres du plaisir*“ starszych i młodzież szlacheznego kunsztu bawienia się.

⁹⁾ Tamże str. 237—247 i T. 3 str. 24.

¹⁰⁾ Jako to: Ludwika Działyński Wojewodziański pomorskiej z księciem Fryderykiem Holsteińskim pruskim generałem, który po jej śmierci pojął Czartoryską. Michała Bielickiego Marszałkowskiego koron. w 1724 z Maryą Aurorą hr. Rutowską naturalną córką Augusta II, Jana Kantego Moszyńskiego Podskarbi. Nad koron. z Fryderyką hrabianką de Cosel, także naturalną córką tegoż króla, Jerzego ks. Lubomirskiego Wojewody Sandomirskiego ze Strużkowską, Aleksandra ks. Lubomirskiego z hrabianką Witkówną, córką Koniaszego nadw. Saskiego, Antoniny Czartoryskiej córki ks. Michała z Jerzym Flemingiem (1744), Jerzego Malascha Marszałka nadw. koron. z Maryą Anną Brühlową córką ministra (1760), syna tegoż Alojzego Fryderyka, generała artylerji koronnej z Maryą Potocką Wojewodzianką Kijowską i t. p.

Pomocniczymi zaś arsenalami dostarczającymi broń takim rycerzom, były w Warszawie i indziej księgarnie zasypujące kraj cały działami nowój francuskiej szkoły. Czytamy w Gazetach już za Augusta III liczne obwieśzczenia zagranicznych w Stolicy księgarzów; (jak Nikolai, Mitzler, Gröll pani Degner i t. d.) iż dostanie u nich za bardzo umiarkowaną cenę ślicznych nowinśkich francuskich dzieł i broszur równie *moralnych* i *filozoficznych* jak i pięknymi ozdobionych rycinami, które zwykle podniecały zmysłowe chuci.

Wcześniej pojawiły się i przekłady takich dzieł na polskie: bo już np. w roku 1753 ogłosił Michał Sapieha Podkanclerzy Litewski w Wilnie tłumaczenie kilku poetycznych utworów Woltera, torując drogę innym, nawet Pijarom i owemu wymuskanemu i czułościowemu wychowawcowi księdza Stanisława Konarskiego, Józefowi Szymanowskiemu, mianowicie zaś Kajetanowi Węgierskiemu, który wcześniej swych rodaków obeznał z Russem, Monteskiuszem, Marmontelem i innymi koryfeuszami nowój szkoły, przydając i własne pełne jadu i nienawiści dla Kościoła płody.

Niezbywało zrazu na mężach, co wszelkimi siłami stawili opór rosnącej powodzi, na mężach jak Józef Jędrzej Załuski Referendarz koronny, następnie od r. 1758 Biskup Kijowski, założyciel utworzonej 27 lipca 1746 alynnój i najpierwszej publicznej w Warszawie Biblioteki — jak Józef Epifani Minasowicz (urodzony 1718 Sekretarz królewski, kanonik tytularny Kijowski † 1796), który już od roku 1750 pod zachętą i wpływem swego dobrodzieja Załuskiego niemało wydał pism przeciw przynoszonym z zagranicy błędom ¹¹⁾ szkoda tylko że

¹¹⁾ Naprzykład: w r. 1761. „*Nie francuskie na nie polskie przemówienie albo pochwała Niezgo przypisana Nikomu*“, „*List Djabła do Woltera*“, i t. p.

pocziwiej jego dątności niezawsz wtórował dobry smak i talent.

Jezuici walczyli najśmieliej i najdłużej z niedowiarstwem a za ich przykładem współzawodnicy ich Pijarzy, wyprawiali moralne w konwikcie swym Warszawskim dialogi, ostrzegające o niebezpieczeństwie. Tak czytamy w rzadkim dziś *Kuryerze Polskim* z r. 1758 ¹³⁾ że w kwietniu t. r. „*odbyła się u nich w przytomności wielu Państwa rozmowa filozoficzna zbijająca bezbożne udu bez religii, Deistami się nazywających, sentymental z dodatkiem że potrzebna ta rozmowa jest drukowana i dedykowaną Księciu IMC. Prymasowi (Adamowi Komorowskiemu). Tymczasem obaczmy niebawem jaki duch owiał wnet samychże Pijarów, a że także Gazety przyczyniały się ze swojej strony do upowszechnienia złych książek, widzę między innemi z *Wiadomości Warszawskich* z 1769 ¹³⁾ gdzie przełożony świeżo na język polski *Belizaryusz* Marmontela, pełen przewrotnych zasad, od czytania którego ówczesny Paryski arcybiskup Francuzów ostrzegał, zalecony jest *wszystkim Polakom jako dzieło najgodniejsze uwagi i wielkie prawdy w sobie mieszczące*. Mało co później rzucono się zapamiętalc do zpolśszczenia najlichszych i najnieprzyzwoitszych utworów dramatycznych Francyi i Włoch, bo rozmiłowawszy się namiętnić w teatrze, a niemając odpowiednich sztuk własnych, pragniono zapehać scenę czémkolwiek, byle się zabawić i naśmiać i zatrudnić drogo utrzymywane i coraz niezbędniejsze śpiewaczki i baletniczki ¹⁴⁾.*

¹³⁾ Ner. 15 z 1758.

¹³⁾ Addyament do *Wiadomości Warszawskich* z czerwea 1769 Ner. 49.

¹⁴⁾ Już za Jana Kazimierza w 1664 otworzyli Francuzi w Warszawie pierwszy publiczny teatr, który nie długo mógł się utrzymać.— Za Augusta II w r. 1725 powstał teatr niemiecki, od 1754 zaczęto przedstawiać opery, od roku 1765 otworzono po raz pier-

Rozpatrując się w onych szalonych czasach, *trudno jest* zaprawdę! (jak powiedział ów Rzymianin) *niepisać Satyry* (Difficile est satyram non scribere); mając zaś głównie na uwadze stan ówczesny Kościoła i obyczajności, musimy we,śó w szczegóły, bez których wszelkie utyskiwanie mogłoby się wydać tylko oklepanym ogólnikiem. Przypomnimy naprzód że wprowadzicie August III ożeniony wcześniej z młodą arcyksiężniczką austriacką Maryą Józefą, będąc dobrym mężem i ojcem liczного potomstwa, dawał osobiście nierównie lepsze jak jego ojciec przykłady, a przynajmniej nie sprawiał nigdy obyczajowego zgrorszenia, ale na tem też i koniec. Bo urodzony z protestantki, która do śmierci niechoiała zostać katoliczką, i sam nawet dopiero w 17 roku życia przeszedłszy w Bononii (1712) na naszą wiarę, nie więcej troszczył się o stan Kościoła, jak i o stan Państwa, wszystko zdawał na ministra Brühla lutra, przejeżdżał się ustawicznie z Polski do Saksonii i nazad, i wszędzie ogromnie polował, strzelał do tarczy, jadł i pił, podpisywał podłożone sobie akta, przywileje, nominacye, a zresztą przypominał ów świetny szereg francuskich Merowingów błogim spokojem, który przerywał mu tylko często jak natrętna osa, pruski jego sąsiad hukiem armat i tętentem koni w samą nieraz Saksonii!...

Kiedy więc z góry na dół wszystko mniej więcej stosowało się do takiego przykładu, nie dziwnego że rozpoczęte już dawniej skażenie w duchowieństwie szerzyło się coraz widoczniej, jak świadczy naprzykład obeznany dokładnie ze stanem swęj ojczyzny Stanisław Leszczyński w *Uwagach nad rządem w Polaszce* ¹⁵⁾,

wasy teatr polski. (Obacz Rys historyczno-statystyczny wzrostu i stanu miasta Warszawy przez F. Max. Sobieszczańskiego. Warszawa 1848 str. 59, 72, 73 i 106).

¹⁵⁾ Oeuvres du Philosophe bienfaisant. Observations sur le Gouvernement de la Pologne. Le Clergé T. 2. st. 59—60.

gdzie wytykając jego wady i przywary różnych stanów w skład onego wchodzących, żałośnie rozwodził się nad tem: „że tak wielu obiera sobie stan duchowny, jedynie, aby żyć wygodnie, przyjeść do znacznych dochodów, zbierać skarby, z bogacać swe rodziny, że ich pałace obszerniejsze są i wspanialsze od Kościołów, a domowe sprzęty i porządki świetniejsze od ozdób i przyborów do służby bożej służących, że otacza ich wojsko dworzan i slug, podczas gdy ubóstwo nadaremnie wyciąga do nich swe ręce i t. d.“

Mało też kto był równie obeznanym z ówczesnym stanem kraju i Kościoła jak ów ksiądz Jędrzej Kitowicz, co zostawił nam tak ciekawy a surowy ich wizerunek w opisie obyczajów za panowania Augusta III ¹⁶⁾. Przydając do jego powieści niemniej ważne i nowe szczegóły czerpane z urzędowych sprawozdań nuncjusza papieskiego Anioła Durini, co od roku 1767 do 1772 piastował u nas największe sprawy i w mnogich listach rozwodził się nad ludźmi i rzeczami jako bezstronny a mądry badacz i świadek ¹⁷⁾, osiągniemy dokładne wyobrażenie o stanie ówczesnym Kościoła i religijności u nas, a do uzupełnienia tego obrazu posłużą nam niepomemu i szczegóły rozrzucone w szacownym *Katalogu biskupów, prałatów i kanoników Krakowskich* biskupa

¹⁶⁾ Wydanie drugie Petersburg i Mohylów 1853.

¹⁷⁾ Korzystał z jego sprawozdań uczony lubo nie zawano bezstronny Oratorianin Augustyn Theiner w dziele: *Geschichte des Pontifikats Clemens XIV nach unedirten Staatsschriften aus dem geheimen Archive des Vaticans*. Lipsig und Paris 1853. Dwa tomy Bro, z którego podałem już obszernie wyciągi. *Przegląd Pismników* w artykule *Polska i Clemens XIV*. Rok. 10 1854 (pierwsze półroczie, poszyt 3. stron 338 i t. d.). — W roku zaś 1853 wydał Theiner w Paryżu: *Clementis XIV Pont. Max. Epistolae et brevia selectiora ac nonnulla alia Acta Pontificatum ejus illustrantia* — służące za poparcie powyższemu twierdzeniu, gdzie się do nich często odwołuje.

Łętowskiego ¹⁸⁾ równie z wiarogodnych źródeł lub od współczesnych świadków pochodzące.

Przy uważném badaniu rzeczy bije zaraz w oczy ta prawda, że lubo przewrotni duchowni bywali najczęściej i złemi obywatelami, to jest równie wyrodnemi synami matki *Ojczyzny* jak i starszej matki *Kościoła*, w tym jednak okresie baczniej niż kiedy potrzeba rozróżnić oba te obowiązki i stosunki, bo napotykamy i takich co miłowali swój kraj jako Polacy, lecz obrawszy sobie stan duchowny bez prawdziwego powołania, lub następnie różnemi doczesnemi względami i namietnościami uwiedzeni, sprzeniewierzyli się swemu powołaniu, i uroczystym przysięgom przy poświęceniu swem złożonym. Ztąd mylne i bałamucące lubo dość powszechnie przyjęte o nich wyobrażenia gdy pisarze którym nie chodziło nigdy o religią, widząc w nich niepoślednie zasługi dla kraju lub piśmiennictwa, pod niebiosą ich wynieśli, kiedy tymczasem żaden szczery a bezstronny Katolik nie może patrzeć bez żalu, na ujemną stronę tych samych mężów, co takie szkody religii wyrządziła, a nikt pewnie niezaprzeczy: że jeżeli historia nie ma być jednooką, ale wiernem zwierciadłem złego i dobrego w narodzie i celniejszych onego przewodnikach, to powinna odwzorować ich postacie bez żadnej zasłony, i że z takiego dopiero wizerunku można wydać ostateczny o nich wyrok.

Żaloszny jednak widok jaki przedstawiał ówczesny polski Kościół niemoże dać bynajmniej prawa cudzoziemcom natrząsać się i w tym względzie z nas, i wzgardliwie na tę przeszłość naszą poglądać! — Bo skądże przyszło to zepsucie, jeżeli nie od nich? Zgnilizna ta była owszem słabem tylko odbiciem, okropnego u nich

¹⁸⁾ Kraków 4352—1853 4 tomy 8ve.

wówczas skazania, bośmy zawsze *głuchonie* tylko *naśladownictwem* grzeszyli.

Nie u nas wylęgnał się *Jansenizm* ani *Gallikanizm*, nie u nas powstał za przewodem Hontheima ów ostatni przed francuską rewolucją wróg Kościoła *Febronianizm*; nie u nas zaczęli biskupi poddawać Kościół pod ciężkie jarzmo nadużyć i przywłaszczeń władz świeckich. Mniej skazane były u nas stosunkowo i obyczaje Duchowieństwa, jakkolwiek zawsze nader przykre sprawiają wrażenie! — Lecz czas już rozpocząć nasz przegląd od tych, co mają być pierwszymi wiary i religijności w narodzie stróżami.

Surowy w sądach swych Kitowicz przyznaje ¹⁹⁾ wielu jeszcze biskupom starodawne cnoty, ścisłe zachowywanie i przestrzeganie przykazań boskich i kościelnych, gorliwość w zwiedzaniu swych dyecezyj w osobistém opowiadaniu słowa Bożego, w codzienném odprawianiu Świętej Ofiary, przyznaje im wstrzemięźliwość we wszystkim obok przystojnej gościnności i miłosierdzie dla ubóstwa. Do takich zacnych pasterzów liczy prymasa Stanisława Szembeka (1706—1722) Mikołaja Wyżyckiego arcybiskupa Lwowskiego (1733—1757), Michała Zienkowicza biskupa Wileńskiego (1729—1762) Antoniego Wołowicza biskupa Łuckiego (1755—1770) Józefa Andrzeja Załuskiego biskupa Kijowskiego (1758—1774) Adama Stanisława Grabowskiego biskupa Warmińskiego (1740—1765) a nadewszystko owego Wacława Hieronima Sierakowskiego, co dał poznać swe rzadkie cnoty na stolicy Kamienieckiej (1740—1742) Przemyśkiej (1742—1759) i Lwowskiej (1759 do 1780). Uważa jednak: „że przy końcu panowania Augusta III „wielu już było biskupów, którzy rzadko, *ledwie dwa* „razy w rok do służby „Ołtarza przystępowali, święcenie

¹⁹⁾ T. I, str. 119—121.

„księży i Sakrament bierzmowania na sufraganów, a
„rządy diecezjalne na audytorów spuściwszy, sami się
„rozrywkami, publikami i chwytaniem dworskich fawo-
„rów zatrudniali. Mięsne stoły otwarte w dni postne
„dawali, i sami choć czerstwi i zdrowi pospół z za-
„proszoną kompanią z katolików i dyssydentów zło-
„ną, mięsem się nadziewali. Zwyczaj mięsnych *stołów*
„*dawania w postne dni, pierwszy wprowadził Biskup*
„*Krakowski* (Kajetan Sołtyk od r. 1758) który dostaw-
„szy się do pierwszych faworów Grafa Brühla ministra
„Królewskiego, lutra, do Mniszcha marszałka nadw. kon-
„jego zięcia i do innych partją dworską składających
„pryncypałów, gdy między sobą umówili, aby każdy
„co tydzień raz dawał obiad publiczny, Sołtyk obrał
„sobie dzień piątkowy. Przed Sołtykiem, choć który
„z górnych duchownych jadł w post mięso, to przynaj-
„mniej stołów publicznych mięsnych w dnie postne nie
„otwierał ²⁰⁾.”

Ciekawe rzeczy podaje o Sołtyku, z niezawodnego
źródła ks. biskup Łętowski, które prócz przytoczonych
dopiero dowodzą jak mąż ten wsławiony żarliwą w r.
1767 obroną praw duchowieństwa i pięcioletnią męczę-
ską niewolą, dalekim był zresztą od ścisłego trzymania
się kanonów i przykazań kościelnych. Gdy dogorywał
w Krakowie w 1758 zaćny biskup Andrzej Stanisław
Zaluski, ubiegali się z jednej strony o tę świetną infu-
łę Wodziecy dla swego krewnego Michała Wodzińskiego
dziekana Krakowskiego, podkanclerzego koronnego,
wielce miłego królowej, z drugiej Sołtyk ufający opiece
Brühla i Mniszcha marszałka nadwornego. Szło tylko
o podpis królewski: aby jeden z obu współzawodników
uległ wprzód drugiego! Wodziecy porozstawiali konnych
gońców, by co prędzej mieć wiadomość o śmierci Za-

²⁰⁾ T. I, str. 123.

laskiego, Sołtykowie powystawiali armatki od miejsca do miejsca. Strzał ostatniej pod Warszawą, uprzedził gońców na kilka godzin, a Sołtyk z wygotowanym już instrumentem nominacyi pobiegł do króla, którego potrzeba było wprowadzić jeszcze w dobry humor. Lecz zapłaconym był już w tym celu błazen królewski. Było to jakoś w godzinę południową, kiedy wielki ten i mądry Monarcha dla strawności bawił się zwykle *strąceniem papieru*, jeżeli *nie strzelał z okna do psów na sąsiednim dziedzińcu*. Węć bacznym błazen napechawszy sobie kłaków w spodnie, zapalił je u kominka i zaczął biegać po pokoju, co króla do rozpaku rozśmieszyło. W tej chwili staje Sołtyk ze swym papierem, a August III. podpisał mu nominacyą niespytawszy się nawet o co chodzi... Zwycięzki Pralat poszedł zaraz do Wodnickiego i rzucił mu kieszę złota na stół. Wodziecki zniósł cios po chrześcijańsku, *świadom fortelów przy takich spotkaniach używanych* i kazał jako podkanclerzy przyleżyć pieczęć, nie wzgardziwszy nawet mamona, dla pokory, tylko w obecności Sołtyka rozsypał dukaty pomiędzy pisarzów swoich. Nazajutrz przyszła królowa, ale już było późno i dopiero od niej dowiedział się król czemu dał biskupstwo Wodzieckiego zaś ulagodzono inną przemyską i opactwem mogilekiem ²¹⁾.

Pamiętną jest jeszcze ogromna wystawność i przepych Sołtyka, pamiętną niestety i umysłowa słabość, w której przy lampeczce śpiewał śmieszne piosenki, od ołtarza znieważał kapłanów, udzielał ŚŚ. Sakramenta z gorszącem rozrągnięciem iż obawa była o ich ważność, choiał raz wyświęcić 60ciu kleryków do tego nieprzygotowanych i t. p., a niemożna pominąć i owę ostatnią jego chwilę, kiedy 30 lipca 1788 kazawszy się w Kielcach wynieść do sieni rzekł zupełnie przytomny do całego

²¹⁾ Katalog biskupów t. 2. str. 253.

zgromadzonego duchowieństwa: „za pychę, bracia Bóg mnie słusznie skarzał na rozumie, z czego bierzcie naukę!“²³⁾

Gdybyśmy się trzymali ściślej porządku chronologicznego, musielibyśmy poprzedzić Sołtyka owym, wspomnianym już wyżej, księciem Teodorem Czartoryskim biskupem Poznańskim (1738—1768). Już Kitowicz powiada²³⁾ jak „miłując nadewszystko spokój i tycie „swobodne, a niechcąc narazić sobie Wiel. kor. marszałka Bielińskiego, dopuszczał aby sądy świeckie brały górę nad duchownymi w sprawach kościelnych i jurysdykcyjnych“, a Łętowski dodaje; że „*gdyby wiara była temu co słyszał o nim w Puławach z ust najgodniejszych, to z połowy miałby się z pyszna, a nie mówiono mu tego żartem.*“ Przytacza tylko, że pościć nie lubił; że gdy mu tam raz np. w dzień postny rybę postawiono, zawołał: „*Co mi to dajecie? mój Dróło (pies faworyt) niejadłby tego!*“²⁴⁾ Cóż mówić o takich biskupach, kiedy godniejsi nawet nie oglądali się dość na powagę swego stanu. Wątpię naprzykład żeby dziś który biskup pozwolił publicznej śpiewaczce popisywać się w swoim domu? Otóż czytam we współczesnej gazecie²⁵⁾, że gdy prymas Władysław Łubieński dawał 3 sierpnia 1764. wielką w pałacu swym Warszawskim ucztę na imieniny księcia Augusta Czartoryskiego woj. rusk., na której znajdowali się wszyscy kawalerowie białego Orła „*podczas stołu i kawy była muzyka z najlepszych instrumentów i głosów złożona, między którymi Madame Farinella śpiewaczka włoska. na najpierwszych w Europie teatrach znana, największy aplauz miała.*“

²³⁾ Tamże str. 248, 250.

²³⁾ T. 2, str. 72.

²⁴⁾ Katalog t. 2. str. 159.

²⁵⁾ Kuryer Warszawski Nr. 63 z 1764.

Trudno też tu pominąć, lubo niemilo wspominać z tego powodu, Ignacego Krasickiego księcia Biskupa Warmińskiego (1766—1801) o którym tak trafnie rzekł Mickiewicz ²⁶⁾ „że będąc duchownym, charakteru swego kapłańskiego niebrał na seryo. W Polsce naten-
„czas, jak we Francyi, stan duchowny uważano za dro-
„gę do z bogacenia się i dostojenstw: Krasicki też wy-
„znaje otwarcie, że chodził śpiewać z kanonikami w Chó-
„rze, bo za to potem przynoszono mu dukaty ²⁷⁾; za-
„powrotem z podróży po krajach obcych stał się ozdo-
„bą salonów warszawskich, zachwycał dowcipem, i bio-
„grafowie dobrodusznie powiadają: że *Król ceniąc jego*
„światne przymioty, dał mu Biskupstwo Warmińskie,
„katedrę wielkiego Hozjusza“! — Lecz Infula nieodmieni-
ła głowy, bo zostawszy Biskupem, drwił głośno z ko-
ścielnych przykazań, gdy jak powiada Łętowski ²⁸⁾,
zajadając w Puławach najsmaczniej mięso w dzień po-
stny, komuś co był dość prostodusznym, aby się temu
dziwować, odpowiedział bez namysłu:

„Niezmyśli tego żadna zabobonność wściekła,
„Bym ja w Piątek na wole zajechał do piekła
„A Waś miał na szczupaku dostać się do Nieba itd.“

²⁶⁾ Rzecz o literaturze słowiańskiej Rok drugi (1841 — 1842)
Poznań 1851 Tom II str. 102.

²⁷⁾ W liście: *Powrót do Warszawy* wspominają Kościół kato-
drałny Przemyski:

„Gdzie jak to bywa zwyyczajnie na świecie
„Niegdyś i ja też siedzą w mantolecie
„Do chóru skrzętny, czy się las pomnoży,
„Swadłem dla grosza i dla ohwały bożej —

I powiedział się z tego miejsca:

„Działającego uprzejmie, choć z prosta,
„Zrobił szczęśliwym proboszcza Starostę.“

(Król Stanisław August wówczas 1750 — 1758 Starosta Przemyski)

²⁸⁾ Katalog T. 2. str. 159.

Ne można się więc bynajmniej zdumiewać, że taki Biskup, co dworował zrazu Stanisławowi Augustowi, potem, gdy niestało Warszawy i Łazienek, przeniósł się do Sans-Souci i nadskakiwał równie wrogowi Kościoła i Ojczyzny, a na wezwanie Frydryka, dającego mu to samo pomieszkanie, które niegdyś zajmował Wolter, napisał tam *Monachomachią* składając na filozoficznym ołtarzu, szyderczemu duchowi wspólnego patriarchy w oświeceniu wyśmianych i poniżonych biednych naszych i tak już ze wszystkiego odartych zakonników! Co to za serce w Biskupie i Polaku? Jeżeli niewinni; jakimże sumieniem ubierał ich w arlekińskie dzwonki? jeżeli winni? toć Biskupa obowiązkiem było podnieść upadłych: a przynajmniej opłakać, ale nie na śmiech wystawić. — „Słusznie zapytuje jeden krytyk (mówi Paryżki Profesor) ²⁹⁾, czy to przystawało na biskupa, czy godziło się mu „zamiast nauczać i poprawiać księży, których był przełożonym, wyśmiewać ich publicznie.“ — Wszakże zarzuty, któremi w tym poemacie obarcza Zakonników nie licują zupełnie z owym długim ustępem w *Panu Podstolim* (Część II księga 2 § X i XI) gdzie sam, oddając im sprawiedliwość, zbija tak trzeźwo i grunto-wnie wszystkie czynione im zwykłe zarzuty? — Lec- o tyle właśnie winniejszy, bo chodziło mu jedynie o to aby iść o lepszą z Wolterem; aby zakadzić Frydryko- wi ³⁰⁾ lubo, jak z dworskim uśmiechem i ukłonem wy-

²⁹⁾ Rok drugi, jako wyjdź st. 103.

³⁰⁾ W obec tytułu najokrutniejszej na Kcia Bpa Warmińskiego podno- szonych skarg, wpadł niedawno ośłonek: zaczął jego familii na myśl, jeżeli nie zupełnie szczęśliwą, to przynajmniej nową, gdy w wierszu pod tytułem *Marszenia w Sans-Souci* (umieszczonym w Nrze 97 Czasu z r. 1856) chciał wzmówić w nas, że wszystkie nadskakiwania Biskupa Frydrykowi; (o którym s. niemałem na- szym zduśnieniem, nazywając go także poetą, dodaje: „Kładł król taki i filozof taki) miały na celu uszykanie kościoła dla

znawał: „bardzo mu był płaszcz podciął“ kiedy właśnie przekonamy się niebawem ze źródła, że głównie jeszcze tylko na zakonach opierała się wówczas w Polsce religijność. — Jakże to pięknie brzmią z ust poświęconych takie n. p. wiersze:

W tej zawołanej ziemiańskiej stolicy
Wielebne głupstwo od wieków siedziało
Pod starożytnem schronieniem świątyni
Prawych czcicieli swych otoczyło

Cóż innego mówili o tém Hussyci w XV a Luter i
Kalwin w XVI wieku?

W tym było stanie rozkoszne siedlisko
Świątyni próżniaków. — Ach losie zdradliwy...
Mniejsza żeś państwa trony, berła skruszył
„Bedziesz tak śmiałym — żebyś kaptur ruszył?..

katolików w Berlinie, i że jego zabiegom winien swe powstanie
katedrały Kościoła św. Jadwigi. „Bo go (jak mówi) wymedlił Po-
lak dla Polaków“. Oho! tak i było, to przecież cał nieusprawie-
dliwia nigdy niegodnych środków: któremi Biskup tyle sprawił
zgorzalenia! — Lecz następujące dowodne daty podkopują bardzo
nawet domniemane zasługi Krasieckiego w przywróceniu Katolikom
swojego Kościoła. — Wiadomo bowiem, że myśl do niego poważną
Fryderyk II już w pierwszych latach swego panowania i sam do-
szedł do niego w 1747, którego wykonaniem zajęli się budownicy
Böring i Le Geay, i że dokonał go, mianowicie kopułę, słynną,
w pruskiej służbie będący Holender Jan Boumann już w r. 1773,
kiedy Krasiecki ani mógł mieć wpływ jaki na obcym sobie jeszcze
królu. — Zresztą Fryderyk II stawiając ten Kościół dla Kato-
lików, nie miał i nie mógł także mieć bynajmniej na myśli Polaków
supednis sobie jeszcze obcych, ale jedynie licznych Francuzów i
innych rzymskiego wyznania, którzy dotąd w Berlinie żadnego ko-
ścioła nie mieli.

„Już Ojciec Rajmund w pierwiastkowej porze,
„Wychodził słuchać świątobliwe plotki“...

jest i młoda dewotka, która wabi Zakonników do for-ty, i z pięknym Hyacyntem poufałe na osobności pro-wadzi szepty, słowem: niezbywa na niczem, co naj-większe wrogi zakonnego życia kiedykolwiek na ochy-dzenie onego wymyślali. A gdy surowi Sędziowie wy-magać zaczęli sprostowania domowego zgorszczenia, jakże się z tego wywiązał: *Antimonachomachią* podobniejszą do drwin z samychże Cenzorów, jak do pokuty bisku-piej? —

Nie trudno się domyśleć, jak wyglądała za jego rzą-dów Warmińska diecezya; to go też wspomniony wy-żej Nuncyusz *Durini* umieścił w rzędzie najopieszal-szych ówczesnych polskich pasterzów. Nim jednak przy-toczymy wywodniej ważne tego papieskiego wysłanni-ka postrzeżenia, w których jak w zwierciadle odbija się żałobna postać naszego Kościoła, niech nam wolno będzie jeszcze wspomnieć parę innych Prałatów, o któ-rych on jako o późniejszych nie ma. Oto ów *Adam Naruszewicz* z pobożnego niegdyś Jezuita oddany du-szą i ciałem Poniatowskiemu, dworak, pochlebca: od r. 1774 Koadjutor, od 1788 Biskup Smoleński, nako-niec od 1790 od 1796 Łucki.

Dalekiemi jesteśmy od tego, aby jemu, równie jak Krasickiemu, zaprzeczać wysokich zasług literackich, lecz mając na względzie stronę religijną, duchowną, z niemalą także przykrością wielką jego w tem uje-mność wyznać musimy. Tamtym oddał Julian Barto-szewicz w starannie opracowanym życiorysie Narusze-wicza ²¹⁾ należyta słusność, pomijając jednak prawie

²¹⁾ Znacomici męowie polscy w XVIII wieku. Petersburg 1853
T. 1 Biskup Naruszewicz.

zupełnie ostatnią, której braku przecież w Kapłanie i Biskupie nigdy dość oplakiwać nie można, mianowicie gdy nie tylko pośrednio, choćby przez sam zły przykład, ale i bezpośrednio przyczyniła się do zaćmienia bladej i tak już twarzy naszego ówczesnego Kościoła.

Naruszewicz był dziejopisarzem, krytykiem, -może i poetą, nawet, był szczerze przywiązanym do kraju, był wszystkim co chciał a szczególnie co chciał z niego mieć król Stanisław August, ale nie był Kapłanem, a pod koniec dni swych przestał prawie być i Katolikiem. Całe jego życie cechuje z jednej strony coraz to gorętsze łaknienie dostojęństw i intrat kościelnych, z drugiej zaś, zupełne zaniebanie odpowiednich tymże obowiązków. Wszystko uważał tylko jako środek do spokojnego i bezpiecznego życia, aby się oddawać literaturze. I on także zaczerpnął we Francyi, gdzie nieraz w młodości przebywał, tamiecznego ducha, ubóstwiał króla i *pełnił jego wolę jak wolę boską i wyglądał wtedy* (zdaniem Bartoszewicza ²²⁾ *jak dawny święty albo męczennik*, a gdy się nareszcie zawiódł w swych o nim oczekiwaniach, upadł zupełnie na duchu, niemającym głębszej kotwicy, rzucił pióro i zanurzył się w melancholii. Gdy go w biegu pomyślności porównywano z Wirgiliuszem, pisał, że „obadwa:

„..... choć nie z jednej miary,

„Na Augustowe zasłużyli dary.

„Tamtemu August ile było trzeba

„Dodawał zawsze Maronowi chleba;

„Ale mój August za dwóch tamtych stoi

„Bo mię i karmi i Tokajem poi“ ²³⁾.

²²⁾ Tamże str. 39.

²³⁾ Adama Naruszewicza *Wiersze różne*, Wyd. Mostowski T. 2. str. 97.

Ładwie smiesiono zakon do którego należał (1773) sarszał zarzuceni króla wierząc, przypominając się ciągle jego pamięci i przymawiając o utrzymanie i podwyższenie:

„Niech pod twém berłem nie będę przykładem,
„Co świat o naszych literatach plecie
„Kładąc cytrynki na stół przed obiadem,
„A gdy wycisną — sok rzuci na śmiecie.“³⁴⁾

I zaraz przyszło bogate probostwo Niemenczyńskie na Litwie, gdzie, mało bawiąc, trzymał sobie kilku księży, aby go następowali i liczną żywil rodzinę i przyjaciół do go ośiedli,³⁵⁾ a pisał do króla „*je myślił to czynić, co i drudzy duchowni, to jest, siedząc w domu, ożiari swoim dignitate*“³⁶⁾. Niehawem otrzymał koadjutoryą smoleńską od biskupa Gabryela Wodzińskiego, który spełnił, tem chętniej żądanie królewskie, iż mu poobie-
dowało mieć następcą swoim i *pomocnikiem uczanego celownika*³⁷⁾. Gdy dogorywał na Wołyniu biskup łucki obrządku greckiego Sylwester Rudnicki, nalegał Naruszewicz na króla, aby tę infule dał bratu jego Stanisławowi Bazyliapowi nważając że to „*człowiek pomickąd, piękny, rostopny i byłaby był użyty, dosyć zdolny*.“ Widać jakie miał wyobrażenie o przymiotach biskupich? lecz jemu chodziło o to, aby podnieść i przez brata swą familią. „*Uczyniła, mię W. K. M. biskupem, a tym samym, zarzucanego grzechami niepamięci, damu mego ścianę las*

³⁴⁾ Tamże Tom 1 str. 200.

³⁵⁾ Bartoszewicz, str. 40.

³⁶⁾ Tamże T. 1 str. 37.

³⁷⁾ Tamże str. 35.

³⁸⁾ Tamże str. 43. Bartoszewicz nie może się dość nadziwować tej jego dumie: którą narywa: *szoną, pończewę, Naruszeuiczoną, szlachetną i t. d.*

„*każde odkryć raczyłeś. Jęst jestestw drugą, tęże co i ja, naturę, bo krwią rozoną ze mną spojona i równą przed światem niewiadomością zakryta*“ ³⁹⁾). Jak na stość Rudnicki nie umarł, a X. Bazyljan przecież nie źle wyszedł na tych apostolskich prośbach, bo został opatem ławryczowskim.

Rzuciwszy okruszynę bratu, nie zapomniał o sobie. Oó tu listów, pięknych a zrečných zwrotów do J. K. Mści o bogate probostwo Słonimskie, potem o Trockie czyniące 30,000 złp. dochodu (1778), jakie facieudy aby mu Głedrojé odstąpił przynajmniej Troki za Niemenczyn i Onixtę! a zawsze występuje z patryotyzmem: „*ja Litwin, ja Brześcianin, ja Pińszuk*“ ⁴⁰⁾) więc tylko z wielkiego przywiązania do téj ziemi, radby tam być apasazonym! — Zachęcało się wreszcie koadjutori łuckiej; przyrzekł mu ją król, ale trafiła kosa o kamień: bo ówczesny biskup łucki Feliks Turski, różniący się wielce od Stanisława Wodzińskiego, był jednym z rzadkich już szczerze katolickich Pasterzy, którzy pracowali w pocie czoła, około powierzonej sobie owczarni, i mniej dbał o czezy honor mieć *uczonego koadjutora* jak o to, aby to był *nie najemnik, ale rzeczywisty pomocnik w Pańskich winnicy*. Bardzo się myli Bartoszewicz, przypisując opór Turskiego, chęci wytargowania czegoś dla siebie ⁴¹⁾), bo właśnie dwaj po sobie w Polsce następujący natęższe *Amis Durini* i *Józef Garampi*, kródląc bardzo

³⁹⁾ Tamże str. 50, 51, 65.

⁴⁰⁾ Tamże str. 64, 65. Nie mogą tego upórą zrozumieć, domyślają się, wadzi: „*adaowało się że myślał potargować się... że chciał być biskupem pośnadskim... formula Turskiego inuoi, nautieratu*“ „*się w tych wyrazach: „Do ut des, facio ut facias.” Będzie to dowcipnie, ale to domysły: kiedy mamy utyćdżne dowody? zupełnie inuoi światła biskupa tego wystawinjuce. Oronat Bartoszewicz nie napisał racdy o Turszewiczu, że jego formula była: „Rego, rego ac iterum rego ut des”*

ściśle i surowo ówczesny stan naszego duchowieństwa dają Turskiemu świadectwo *nieposzlakowanego w niczem charakteru* i nazywają go *jedynym prawie obrońcą wiary* ⁴¹⁾. Nie ma się czemu dziwić, jeżeli nie nie wskórali u niego dla Naruszewicza, ani ksiązę Adam Czartoryski ani sam król. — A gdy się i to nie udało, umizgał się znów Naruszewicz o probostwo Olyckie, potem o Miechowackie ⁴²⁾. Uważał bacznie gdzie jaki biskup choruje, za puls ich prawie trzymając. I tak gdy zapadł na zdrowiu ksiązę Ignacy Massalski biskup wileński, zaraz insynuował się do téj infuły (1781), lecz na nieszczęście miał i Massalski twardą sarmacką naturę i wyzdrowiał! ⁴³⁾

Będąc już pisarzem W. Lit. i sekretarzem Rady nieustającej, podał Naruszewicz projekt godny Febroniusza, który wywołał słusznie oburzenie całego duchowieństwa i upadł własną swą niedorzecznością. Używano wtenczas kanoników i prałatów katedralnych do różnych posług publicznych, a ci tém samém oderwani od duchownych swych obowiązków tracili i na dochodach do jakich w kapitule swéj mieli prawo. Radził więc Naruszewicz, aby im mimo tego wypłacano zawsze zasługi dochody za msze i doroczne uroczystości z funduszów kapitulnych, żeby więc za usługi dla państwa pełnione, kościół płacił? ⁴⁴⁾

Jak rzadko tymczasem widziano go w kościele i przy ołtarzu, natrąca mimowolnie Bartoszewicz, gdy uważa że: „w r. 1783 *więcej nabożeństwu jak pracy oddał się Naruszewicz. Nie rzadkością już teraz było widzieć go przy ołtarzu, w kościołach stolicy. Król go o to prosił*

⁴¹⁾ Augustyn Theiner T. 1 str. 433, 436, T. 2 str. 302.

⁴²⁾ Str. 65, 73.

⁴³⁾ Str. 61, 82.

⁴⁴⁾ Bartoszewicz str. 63, znajduje to *bardzo afuszumem*, bo, jego zdaniem: „*oficjals publiczna wypłata być, jak obowiązki w kapitule.*” Szczegółne rozmowienie!

i t. d. ⁴⁶⁾ *Zawsze król i król tylko, któremu też powtarzał: „Ja się oburącz za nogi trzymam jednego Pana, twierdzy mojej jedynéj.”* ⁴⁶⁾ Takim to był ten Bartoszewicza dawny święty i męczennik!!

Po śmierci Wodzińskiego został nareszcie diecezjalnym smoleńskim biskupem (1788) a po Feliksie Turskim (1790) łuckim, i osiadł w Janowie „w rozkoszném miejscu nad Bugiem i chciał go używać do swoich widowisków, do kierowania opinią publiczną.” ⁴⁷⁾ Zamiast zająć się trudnemi swemi obowiązkami, zaczął sypać jak z rogu obfitości polityczne pisemka, broszurki i artykuły. Zaniechał nawet dzieje, których dokończeniem byłby przynajmniej większą mógł narodowi wyrządzić przysługę, a godna uwagi: że opuścił go duch wyższy, literacki, od czasu jak w podróży kaniowskiej (1787) upoił się kadzidłem krajowych i cudzoziemskich uwielbiań... Mimo dostarczanych ciągle obfitych i nowych materyałów, „wypadło mu pióro z ręki; jakieś zimno padło na rozum i serce biskupa.” ⁴⁸⁾ — Cóż dziwnego? kiedy nie czerpał nigdy w religijném uczuciu wyższej siły? — „Zwątpienie opanowało umysł. Naruszczenie już nie wierzył Królowi!” ⁴⁹⁾ — „Jeden ślad wymowy jego kościelnej, jedna pamiątka religijnego uniesienia, została po nim w mowie mianéj w r. 1792 przy zakładaniu węgielnego kamienia na kościół Opatrzności Boskiej w Warszawie” ⁵⁰⁾, a było to uniesienie raczej patryotyczne jak religijne!... Nie słynał on bowiem wcale na kazalnicy ⁵¹⁾.

⁴⁶⁾ Str. 84.

⁴⁶⁾ Str. 75.

⁴⁷⁾ Str. 127.

⁴⁸⁾ Str. 112.

⁴⁹⁾ Str. 132.

⁵⁰⁾ Str. 133.

⁵¹⁾ Str. 134.

Wróciwszy do Janowa, był samotny, dziki, odludek, życie mu ciążyło, stał się obojętnym na wszystko, i zaniedbał się zupełnie w urzędzie biskupim ⁵³⁾. Gdy w skutek zmian politycznych nowa granica przecięła jego dycezyę: „nie pojechał do niej za Bug (gdzie właśnie największa część jej leżała) „a tylko Kaspra Cieciszewskiego „biskupa kijowskiego zobowiązał, żeby jako sąsiedni „Pasterz rozciągnął prawo pasterskie nad Łuckiem... „Sam został w kraju“ ⁵³⁾ najczęściej zamknięty w swym pałacu, lub ukazując się czasem w szarej płóciennej kapocie, między ludem pracującym na polu, „do którego miłość uczuł dopiero pod koniec żywota, dopiero przed śmiercią zbliżając się do natury“ ⁵⁴⁾, i tak poszedł cicho jednego dnia ten wielki literat a bardzo godny pożałowania Chrześcianin i biskup, aby zdać Bogu sprawę ze swego pasterstwa i sześćdziesiąt-letniego przeszło życia!

Lech Bartoszewicz powiedziawszy o Naruszewiczu wszystko co tylko mógł o nim wynaleść, jako o pierwszym ówczesnym pisarzu, natraciwszy nawet niechcący niejedno co odsłania i ową drugą tak smutną jego stronę, nie dostrzegł jeszcze szczegółu podanego o nim od księdza biskupa Łętowskiego ⁵⁵⁾ (w życiu niechcącego Prymasa Gabryela Podońskiego) „Spiknęło się wtedy zepsucie u nas na rozmiar wielki, jak to bywa przy upadku „zupełnymi jakiego ciała organicznego. Podoski z kilkoma biskupami, których imiona przemilczam, mieli „sobie za nic święte powołanie swoje. Głośne były za „prośbiny Prymasa parami do Łowicza, a swoje chował „sobie w pałacu. Rybiński biskup kujawski i Naruszewicz biskup łucki, mieli po *Staroście w domu* jeden

⁵³⁾ Str. 136.

⁵⁴⁾ Str. 136

⁵⁵⁾ Str. 139 — 140.

⁵⁶⁾ Katalog T. 3 str. 465, 466.

„i drugi... *Nauka* miała stać za *wszystko*. Przymioty „apostolskie nie dawały infuły, kapłanowi nie liczyła „nauka duchowna, a wiele frymarczyło stanem swoim, „to jest ubiegało się aby brano je za ludzie światłe, „którzyby wiedzieli coś lepszego od nabożeństwa. Ztąd „pogarda obyczajów kapłańskich, stroju duchownego, „cnoty, czystości.“ — A gdy nam wpadł już pod pióro i Józef Rybiński (od r. 1774 koadjutor, a od 1777 biskup kujawski) dodajmyż o nim z tegoż niezawodnego źródła ⁵⁶⁾ że „był nietylko nieosobliwych obyczajów, „i bardzo małej kapłańskiej nauki. Gdy dochody biskupstwa upadły, przy ostatniej klęsce kraju, ratował stopieniem sreber w których się kochał, tak, że miał podłejsze naczynia do użytku w domu z tego metalu. Powiadał mi o nim (mówi Łętowski) ks. Józef Wysocki oficyał kielecki, „iż przy mszy św. stał jezuita kapelan, który patrzył aby wymówione były przynajmniej: *Verba consecrationis!*“

Lecz trudno się dziwić że takich mieliśmy biskupów, kiedy starsi pasterze, przez słabość, obojętność lub niedbalstwo, forytowali na duchowne dostojenstwa ludzi, bynajmniej na to nie zasługujących. Komuż bowiem zawdzięczał swe stopniowe wywyższenie, ów Andrzej Młodziejowski, (którego zaraz lepiej poznamy) jeżeli nie samemu Prymasowi Władysławowi Łubińskiemu, starcowi otoczonemu liczną familią, dobrodusznemu i spuszczaćemu się zupełnie na swych zauszniaków i podchlebców, którzy pod zasłoną jego imienia, własne przeprowadzili intrygi. On wyjednał zaraz w r. 1764, dla swego audytora i faworyta Młodziejowskiego pieczęć mniejszą Koronną, następnie w r. 1766 biskupstwo przemyskie, i sam go z wielką pompą w Skierniewicach wysławił. ⁵⁷⁾

⁵⁶⁾ Tamże T. 4 str. 23.

⁵⁷⁾ Obacz Józ. Bartoszewicza: Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku T. 2 str. 4, 31, 33, 61, 64, 65.

Do wyniesienia na stolicę gnieźnieńską, drugiego gorszego jeszcze podobno prałata Gabryela Podoskiego, przyczynił się głównie Kajetan Sołtyk, mający wówczas wielkie w Rzymie zachowanie, bez czegoby Podoski nie był otrzymał Sakry ⁵⁸⁾. Naruszewicz protegował Hugona Kołłątaja i chciał mu wyrobić koadjutoryą łucką, lubo dość jest zaglądnąć do pism tegoż, aby dostrzedz całą bezden filozoficznego niedowiarstwa, z którym się bynajmniej nie tał, lubo i w praktyce, (jak trafnie uważa Łętowski) ⁵⁹⁾ „*frymarczył swoim stanem, wdzierał się do funduszów, chwycił za plebanie, wypędzał z probostw zasłużonych kapłanów*,” i Jagiellońską akademią na swój sposób przykroił. Jan Duklan Ochocki, który go poznał osobiście w czasie jego rektorstwa w Krakowie, wspomina w ciekawych swych pamiętnikach o jego dumie i zbyt kownej wystawności i że „*nie bardzo go tam kochano z przyczyny zbytniego ubiegania się o zbiory i in-
tratne posady, w чём wielką okazywał chciwość, której to natury swój ani ukryć w żadném położeniu, ani zmie-
nić nie potrafił*.” ⁶⁰⁾

Obaczmy jeszcze niżej ówczesnych prałatów, ale nie zawadzi przedstawić tu obraz jednego z najmniej może niebezpiecznych, skreślony od Łętowskiego, aby brać miarę dla innych: „Adam Przerębski, kanonik krakowski i kujawski, opat andrzejowski i kustosz koronny, kawaler orderów polskich, był to pan wesół, jeździł zawsze z muzyką a chował przy dworze ojca Bernardyna, który dwoje pacierzy kapłańskich mawiał, bo jedno za niego. Jak przyjechał do Złotój do państwa starostwa Grybowskich (Wodzickich), to zajeżdżał prosto do officyny i tam muzyka poczyniała grać, a czeladź

⁵⁸⁾ Łętowski w katalogu T. 3 str. 486

⁵⁹⁾ Tamże T. 3 str. 251.

⁶⁰⁾ Obacz pamiętniki Ochockiego ogłoszone przez J. I. Kraszewskiego Wilno 1867.

„się zbiegała i tańcowała, takie to były czasy! Ksiądz „kustosz koronny jechał potem dopiero karocą na kolacyą „do państwa Starostwa i wracał karocą; a było to o sto „kroków na jednym dziedzińcu“ ⁶¹⁾). Lecz nietylko on, ale nawet i drudzy byli aniołami przy takich niecnotach jak *Podoski* i *Młodziejowski*, w których każdy nowy stopień duchowny, zdawał się być albo nadgodą za występki, albo szczeblem do sromotniejszych jeszcze wykroczeń, a do tego niewiedzieć, czy bardziej na szkodę Kościoła czy Ojczyzny skierowanych? Usłyszymy zaraz piękne o nich rzeczy z ust naocznego a bezstronnego świadka Duriniego, bo miał najwięcej do czynienia z temi prałatami, z których pierwszy (*Gabryel Podoski*) był od r. 1767 do 1777 prymasem; drugi, (*Andrzej Młodziejowski*) od r. 1767 kanclerzem wiel. kor. a od r. 1768 do 1780 biskupem poznańskim i warszawskim mającym więc w swęj diecezyi Dwór i stolicę. Radbym wszelako poprzedzić opowiadanie nuncjusza, krótkimi a nader charakterystycznymi o tém słowami biskupa Łętowskiego: „Podoskiego życie polityczne war- „tało mówić nie wiele, a duchowne nic wcale. Służył „nieprzyjaciółom kraju i należał referendarzem będąc „do praktyk wszystkich za któremi poszła Konfederacya „Radomska. Prymasostwo było zapłatą za to. Po limi- „cie nieszczęśliwego Sejmu r. 1767 przydywał w dele- „gacyi wyznaczonój do układu z dworami i dysydenta- „mi. Użyto za wiechę do tych układów słowo *tolerancyi*. „Tolerancya jest rzeczą świętą, ale narzucić nie dałby „jój sobie żaden naród niepodległy. Podoski był nie- „równie winniejszym od drugich, stawając do tych „układów prymasem.“ ⁶²⁾ „Był intrygantem na wielką

⁶¹⁾ Katalog Biskupów etc. T. 3 str. 505.

⁶²⁾ Wiadomo że z téj delegacyi, wyszedł sławny traktat z dnia 24 lutego 1769 między Polaką a inowierczemi rządami zawarty,

„stopę — a zeszedł z pola... gdy spłamał już najwyższą, „dostojność krajową. Na niego zwalono uwieszenie Solt-tyka i Załuskiego za granicę.“ ⁶⁸⁾ O bezwstydnym zła- jego obyczajach wspomnieliśmy wyżej...

„*Andrzej Młodziejowski* lowił zrazu obłem: rękami „niższe duchowne beneficia i kłaniał się o nie na wszyst- „kie“ strony, tak że go nazywano zartobliwie: *l'amoureux des onze mille Vierges*. Chyłkiem, chyłkiem, dołaził się „do kanonii. To lizaniem, to obłudą, doszło do prela- „tury... Kapłaństwo nie dało mu szlachectwa najpierw- „szego, to jest *bojaźni Pańskiej i zacnego czoła*. Użył „go za płaszcz wyniesienia swego i skaził sobie naj- „świętszą rzeczą.... Znano imię jego i za granicą, a „wiedziano że brał pieniądze. To też gdy odwiedził „raz z Podoskim w Genewie Jana Jakóba Russa, ten „obrócił się tyłem do niego, dowiedziawszy się kto był... „Jak otrzymał biskupstwo przemyskie, ani pokazał się

a raczej od tych. tamtęj narzucony, podkopujący nie tylko Kościół, ale i Państwo, bo korzystny tylko dla wrogów obu, gdy stawiał skrymatyków i dyssydentów co do wysnania zupełnie na równi z Kościołem katolickim. przypuszczał ich do wszelkich praw, pre- „rogatyw, godności i urzędów publicznych, a tórn samóm snosił wszelkie dawniejsze w tórn okrośleniu, istniejące na korzyść religii katolickiej panującej, która właściwie tórn samóm panującą być przestała. Było to podwójnym ciosem dla Polaki, raz: że oby śmieli przepływać jej prawa w rzeczach wewnętrznych i wpły- „wać na ustroj domowej polityki, administracyi i prawodawstwa, czego żadne niepodległe państwo bez wyrzeczenia się swój sam- „istności nie zniacze — powtóre: że gdy dyssydenci i skrymatycey byli jedynie narzędziem w rękę tych mocarstw, utwierdzone tórn samóm toczącego robaka przy samóm korzeniu Rzpltej i napawające sobie nadal jej niemoc.

⁶⁸⁾ Katalog T. 3 str. 464 — 465. Tymczasem wybito na uwie- „szenie pamiątki traktatu z r. 1768, medal z napisem tryumfalnym „*Jura dissidentibus reddita*“ a na nim *Sprawiedliwość i Pokój* „całują się przed Kościołem! (Gabinet medalów polskich Kaczy- „ńskiego str. 44).

tem przez dwa lata, a większą pieczęć wziął wtedy, gdy złożył ją w uczcieniu obywatelskiej godności w r. 1767 Andrzej Zamojski⁴⁴⁾.

Wspomniany już kilkakrotnie nunceusz Aniół Dnripi arcybiskup aneyrański, pisał w r. 1770 do Rzymu że: „*niegdzy siedemnastoma biskupami, których ma Polaka, jest zaledwie pięciu, co na to imię zasługują, mianowicie: arcybiskup lwowski (Wacław Hieronim Sierakowski), biskup chełmski (Felix Turaki, od r. 1765 do 1770 w którym postąpił na stolicę łucką, potem od r. 1790 krakowski), biskup żmudski (Jan Dominik Łopaciński od r. 1762 do 1778) i dwaj dostojni wygnanci (Zalński i Soltyk). Wszyscy inni (mówi) są tylko szeregi prostych dworaków, hołdują duchowi czasu, szanują jedynie dochody swych biskupstw, a dopuszczają się jeszcze przytém najgwałtowniejszych zdzierstw i najoprośniejszych frymarków duchownemi rzeczami.*“⁴⁵⁾ Straszne te słowa tyczą się mniej lub więcej Podolskiego, Młodziejewskiego, Antoniego Ostrowskiego biskupa knjańskiego (następnie od roku 1777 do 1783 prymasa), księcia Ignacego Massalskiego biskupa wileńskiego (od 1761—1794), Hieronima Szeptyckiego biskupa płockiego (1759—1772), księcia warmińskiego Ignacego Krasickiego (1766—1801), Józefa Kierskiego biskupa przemyskiego (1768—1783), Andrzeja Bajera chełmińskiego (1758—1784), Adama Krasickiego kamienieckiego (1758—1795), księcia Stefana Gądołę inflanckiego (1763—1778), nakoniec Gabryela Wodeńskiego smoleńskiego (1762—1788)⁴⁶⁾.

⁴⁴⁾ Tamże Tom 3 str. 346—348.

⁴⁵⁾ Qłacs „przytoczone wyżej dzieło Augustyna Theinara o „Klęmiensie XIV. T. 1 str. 433.

⁴⁶⁾ Biskupstwo Łuckie było wtenczas (1770) opróżnione po śmierci Antoniego Węłowijsa.

Zdaje się że Krasiickiemu nie prócz dworactwa i wielkiej pasterskiej oziębłości, zarzucić nie można. Adam Krasiński jeden z głównych twórców konfederacji barskiej, nie bez zamiaru podobno posadzenia na tronie księcia Karola Kurlandzkiego męża krewnej swój Franciszki Krasińskiej, był nadto zajęty polityką aby myślał o swój dycezyi. — O Hieronimie Szeptyckim pisze i Kitowicz: „że choć był kulawy, tak się ze mszszą świętą uwijał, że ledwo mu asystujący do niej kanonik „z kapelanem ministrować kanon i mszał nadążyli. Pacierze kapłańskie gdy odprawiał, to tak szybko, że się „zdawało, iż tylko szuka czego po brewiarzu: słowem „jego msza z przygotowaniem i dziękczynieniem nie ba-
„wiła zupełnej pół godziny“ ⁶⁷⁾. Także o *Kierakim* uważa że nie był tak ścisłym w postach, jak jego poprzednik Sierakowski ⁶⁸⁾. — Franciszek Karpiński pisze w swych pamiętnikach o współczesnych i późniejszych biskupach prawie dosłownie jak Durini; tabo zapewne niezmówił się o to z Nuncyuszem. . . . „Księża „(mówi) ⁶⁹⁾ po większej części zepsuci, psuli razem „lud sobie powierzony, a naczelnicy ich biskupi, publi-
„cznie trzymając nałożnice, ośmielali niższych, ażeby szli „takąż samą, najbrudniejszą drogą. Wyjąć wszelako z po-
„między liczby ich należy *Szembeka, Potockiego, Okę-
„ckiego poznańskiego, Cieciszewskiego kijowskiego i ze
„dwóch jeszcze może biskupów*, którzy ani do zgorzenia „owieczek sobie powierzonych ani do zguby i frymar-
„ków na ojczyznę swoją nieprzyczynili się.“ Lecz wróćmy do Duriniego: — „Król, Prymas i Biskup poznański „rzucili się (mówi) w objęcia Rosyi zaprzędając jej re-

⁶⁷⁾ Opis Obyczajów i Zwyczajów za panowania Augusta III Petersburg 1855 T. I. str. 121—122.

⁶⁸⁾ Tamże str. 120.

⁶⁹⁾ Pamiętniki wydanie drugie Lwów 1849 str. 156.

„ligia, wolność i ojczyznę... Mianowicie biskup poznański zciagnął na siebie wyrzekania i przekleństwa całej „Polski ostatniemi swemi pasterskimi listami z 2. i 17. lutego 1770 z okazji otworzenia Jubileuszu od Papieża „ogłoszonego, w których piętnował imieniem „zdrajców „religii i ojczyzny“ tych wszystkich, coby śmieli powątpiewać o dobrych i świętobliwych zamiarach króla a „podzielać zdanie konfederatów barskich. Te listy pasterskie, wydane na prośbę posła rosyjskiego, wywołały „tém większe oburzenie, że usprawiedliwiał w nich własną i królewsko rosyjską politykę bezczelnie przekraczając tekstami Pisma świętego. Wszystkie prawie województwa zaprotestowały przeciw nim; ukazały się „i osobne na nie odpowiedzi ⁷⁰⁾. Najgodniejszą uwagi „jest ta, którą ogłoszono pod tytułem: „*Wyjaśnienie „tekstów biblijnych przytoczonych od biskupa poznańskiego i wielk. kanclerza w jego listach pasterskich.*““ Autor tego, 60 stronnic obejmującego, pisma, odslania mi- „strzowską ręką najwierniej i bez przesady nieszczęsne „zamachy króla i tego pralata na religią i niepodległość „biednej Polski. Uniosło to biskupa takim gniewem; że „obiecał dać znaczną summę temu, coby mu odkrył au- „tora „„Chociażby się skrył i na sto łokci pod ziemią „(rzekł pieniać się od złości i kopiać ziemię nogą) to „przecież go wynajdę i ciężko mi przyplaci swe łaj- „dactwo!““ Daremnemi były jednak wszelkie w tej

⁷⁰⁾ W tomie Rękopismów Zakładu Ossol. 329. folio obejmującym *Miscellanea* to jest wiele nader ważnych i ciekawych aktów częścią w odpisach częścią drukowanych do owych czasów, a zbieranych przez Mniszka: znajduje się w odpisie wspomniany *Proces na Jubileusz Młodziejowskiego* z 2go lutego 1770 od str. 278 do 282, a od tej strony do 328 długa: „Replika na proces JMei X. Młodziejowskiego biskupa poznańskiego i warszawskiego, który był „wydany dnia 2 lutego“ z godłem „*In parvis paucis in magnis pluris leguntur, Nec horum te pigeat legere, multa scies.*“

„mierze zabiegi! ⁷¹⁾. Klemens XIV polecił Nuncyuszowi wyrazić Młodziejowskiemu całe oburzenie jakie w nim wywołały nieczne jego czynności i wzmiankowane listy pasterskie ⁷²⁾, oburzenie bardzo słuszne, bo czyż godzi się biskupowi nadużywać duchownych środków, i to jeszcze w taki sposób, do celów polityki a dopiero tak przewrotnej? W liście z 14 kwietnia 1770 pisze Durini do kardynała sekretarza stanu że: „Zuchwałstwo i złość tego biskupa ministra do takiego dochodzi stopnia, iż obszerniejsze nawet sprawozdanie nie wystarczyłoby do oddania głównych choćby zarysów. Wielkimi krokami zbliża się ta chwila, co wyświeci Waszej Eminencyi ducha tego człowieka — który od tego rozpoczął swój świętny zawód, że zaprzedał swego pana byłego prymasa Łubińskiego stronnictwu rosyjskiemu. Dla tego też zastósowują do niego powszechnie one słowa (Judasz) *„Co mi chcecie dać, a ja go wam wydaję.“* — „Jakoż w krótkce potem otrzymał Biskupstwo Przemyśkie z mniejszą pieczęcią, dalej pieczęć większą z Biskupstwem Poznańskiem, godności, które przedtem niebывały w jednej osobie połączone: a to wszystko aby zapieczętować bezecny plan mieszanego trybunału ustanowionego w roku 1768 na korzyść dyssydentów i szymatyków, na ostateczne pogwałcenie religii katolickiej i zniszczenie jurydyceki nuncyatury apostolskiej. Lecz mimo najusilniejszych swych zabiegów, doznał Młodziejowski tego upokorzenia, iż nie znalazł ani jednego „adwokata, coby chciał wnieść sprawę jaką przed ten trybunał ⁷³⁾.“

Gdy energia Nuncyusza w bronieniu praw Stolicy apostolskiej i Kościoła w Polsce była największą zaporą

⁷¹⁾ Theiner jako wyżej Tom I. str. 431.

⁷²⁾ Tamże str. 435.

⁷³⁾ Tamże str. 432.

szereżnym i rosyjskim planom, przedsięwziął prymas Rodoski z Młodziejowskim pozbyć się nienawistnej kontroli, wyrzucić Duriniego z kraju, a *margrabia Antici*, poseł królewski w Rzymie, starał się w tym celu wszystkimi siłami podkopać tam jego znaczenie, i w inném zupełnie świetle wystawić stan rzeczy u nas. Dostrzegła tych intryg Francya, i sam nawet minister Choiseul polecił kardynałowi *de Bernis* aby zapobiegł podstępnyim knowaniom Anticzego. Ciekawym jest list z tego powodu pisany od Duriniego do kardynała de Bernis z Warszawy 30 stycznia 1771, gdzie odsłaniając mu intrygi rosyjskie a przyznając się że serdecznie sprzyja konfederatom Barskim, powiada: „mam za sobą całą Polskę, wyjąwszy tylko tę część Warszawy, którą dwór przedstawia i którą nie mogę poczytać za co innego jak tylko za „*Przedmieście Petersburgskie*.“

„Próżno powstaje na mnie z całą swoją facyą Antici, i usiłuje mi szkodzić, głosząc po hollenderskich i włoskich gazetach, że jestem opiekunem i doradcą konfederatów. W osiem bowiem niesławę moją zakłada, i tym czyni mi właśnie zaszczyt, przewyższający życzenia moje. Protektorem albowiem konfederatów Polskich jest „widocznie sam Bóg“ it.d. ⁷⁴⁾. — Gdy nareszcie prymas zakazał wręcz polskiemu Duchowieństwu odnosić się do Nunciatury, skasował Durini ten wyrok i wyłożył prawo w tém swoje memoryałem podanym ministerstwu a następnie ogłoszonym urzędownie całemu Duchowieństwu. Czuwał ile mógł nad stosowném obsadzeniem stolic biskupich; i tak, gdy król na przedstawienie prymasa i Młodziejowskiego chciał nadać w 1770 opróżnione wtenczas bogate biskupstwo łuckie niejakiemu *Somowskiemu*, byłemu Paulinowi, rozpustnemu nieukowi, którego wykluczono niegdyś z tego zakonu, udało się Du-

⁷⁴⁾ Miscellanea jako wydaj w Tom. 330 Ręk. fol. Bibl. Im. Osol. str. 68—70.

rinieinu zapobiedz téj gorszącej nominacyi, a wyjednać ją dla czeigodnego Turskiego biskupa chełmskiego ⁷⁵⁾. Klemens XIV dodawał ciągle serca swemu zastępcy, polecając mu aby uważnym robił króla i jego ministrów na smutne następności ich polityki przeciwnéj nie tylko Kościołowi ale i ojczyźnie i stawiał im na oczy jak drugi Jeremiasz straszne a może już bliskie sądy boże na podobne zamachy. W późniejszych zaś listach już w marcu 1773 do króla i wszystkich stanów koronnych pisanych, upominał je Papież, aby nie dały upaść wierze i opierały się śmiało zagranicznym podszeptom i namowom, a we współczesnych pismach do Nuncjusza narzekał „na opieszałość, obojętność i nikczemne tchórzostwo „biskupów w obec nieprzyjaciół Kościoła gdy zamiast za- „stawiać go piersiami swemi, sami jeszcze na świętości „powstają.“ ⁷⁶⁾.

Nie trudno się domyślić że przy takich pasterzach upadła, jak to opisują w swych pamiętnikach Jan Duklan Ochocki, Seweryn Bukar, Chrzyszczewski i inni ⁷⁷⁾ religijność i moralność w narodzie, a najbardziej w stolicy i na większych dworach że (jak powiada Ostrowski w życiu i z ustnych podań współczesnego ojca swego Tomasza) ⁷⁸⁾ „pogarda religii stała się w Polsce modą, „wyższej oświaty i dobrego tonu dowodem, a owa dawna pobożność, stanowiąca jedno z najwyraźniejszych „znaków naszej narodowości, uważana była za rzecz

⁷⁵⁾ Tamże str. 405—436.

⁷⁶⁾ Tamże T. 2. str. 233—236. Clementis XIV Epistolae et Brevia str. 239—246, 364 „et maxime ab Episcopis qui partem habent „in regis ministerio et pii muneris immemorae, potius favent quam „resistant abominationibus.“

⁷⁷⁾ Pamiętniki J. D. Ochockiego wydane przez Krassówkiego Wilno 1857.

⁷⁸⁾ Żywot Tomasza Ostrowskiego ministra Rzeczypospolitej etc Paryż 1836. Tom I. str. 63—65.

„dobrą tylko dla ludu, dla prostaczków, a śmieszną dla „osób wyższego wychowania i wyższej cywilizacyi. Ztąd „jałowe przeciw wypełniającym przepisy Kościoła tarcie- „ki, ztąd utrzymanie w poniżeniu duchownych, ztąd, co „gorsza, powzięcie zupełnej dla nauk Chrystusa oboję- „tności“ — „Bardzoby się ten zawiódł (pisze Durini „w 1770) ⁷⁹⁾ co by szukał w dzisiejszej Polsce tej jaką „była przed 80 lub 40 jeszcze laty! O jakżeto tam daleko „do dawniej pobożności i prostoty. Największa część ma- „gnatów osiągnęła najwyższy już stopień zepsucia i przy- „znaje się otwarcie do zasad protestanckich.“

W tym czasie rozszerzyło się u nas bardzo *Wolnomu- larstwo*. W r. 1769 został obrany wielkim mistrzem *po- lskiej* *łóży* August Mossyński stolnik wielk. kor., syn Jana podskarbk. wielk. kor. i hrabianki Cosel naturalnej córki Augusta II, człowiek lekkomyślny, oddający się otaz tak namiętnie alchemii, że z gorącej żądzy złota, jak ów pies w bajce, własny majątek bardzo nadwęgżył. — Rozpłeniał on gorliwie wolne malarstwo, podzielił war- szawską *łóżę* *Sgo* Jana (zwaną: *Le Vertueux Sarmate*) na *łóżę niemiecką, francuską i polską*, z których pier- wsza nosiła nazwę *trzech braci*, druga *Parfait Silence*, trzecia: *Chothivy Sarmata*. Ilekroć zaś te trzy oddziały zbierały się dla wspólnych narad w jedno, to zwano- takie zgromadzenie: *wielką łóżę* i ona - to dała wybić na cześć swego wielkiego mistrza w 1769 duży medal z napisem: *Ex uno tris in unum* (z jedności troje w je- dnym) ⁸⁰⁾. Utyskiwał bardzo z tego powodu Durini na Młodziejowskiego, w liście z dnia 7go Rpeca 1770 ⁸¹⁾.

⁷⁹⁾ Theimer Tom I. str. 433.

⁸⁰⁾ Gabinet medalów polskich Raczńskiego. Wrocław 1843. str. 159 — gdzie na stronie 184 opisane są także medale wolnomularskie mł. ośceć Piotra Bartłomaja Partenberga nadzorcy król. mennicy, który założył w Sadogórze *łóżę* zwaną *Moldau*.

⁸¹⁾ Theimer T. I. str. 430—431.

uwatają: „że, jako biskup miejscowy i kancierz w. k. „byłby powinien oprzeć się niesłychanemu zgorszczeniu, „które nastąpiło w *tęj Babilonie* w samą uroczystość ś. „Jana Chrzciciela (24 czerwca), a nie zbywało mu na „czasie, bo już na trzy tygodnie wprzód wiedziała cała „Warszawa o przygotowaniach, do tego. Zgromadzili się „tego dnia wszyscy obecni tu *wolni mularze* w pałacu „hrabiego Moszyńskiego i udali się do zbudowanej przez „niego *łoty* pośród której stał ołtarz dziwnego kształtu „z napisem: „*Virtuti, Sapientias, Silentio Sacrum.*“ (Po- „święcony cnocie, mądrości i milczeniu).“ — Tu opisuje Nuncyusz szczegółowo, urządzenie *tęj łoty* i tak dalej mówi: „Naliczono do 150 osób przybyłych własnymi „pojazdami, prócz pieszych; dostrzeżono i dwóch prze- „branych kanoników i dwie panie z najwyższego towa- „rzystwa, które domagały się przyjęcia do *tęgo bractwa*. „A gdy im robiono niejaki trudności, odpowiedziała „jedna z nich, księżna marszałkowa Lubomirska, ciote- „czna siostra królewska: „że bywszy już *Wolną Mularką* „w Anglii, nie widzi dla czego nie mogłaby być nią „i we własnej ojczyźnie?“, na co nie zarzucić niesmia- „no. Cała Warszawa o *tém* tylko mówi. Posuwają bez- „wstydnosć tak daleko: że publicznie się z *tęgo szczy- „ca*, twierdząc: że głupstwem by było kryć się z *tém*, „jak w innych krajach. Noszą swe niedorzeczne oznaki, „ozdobione najczęściej złotem i dyamentami na piersiach, „wraz z orderem ś. Stanisława. Mówią powszechnie; „że król dał 2000 złp. pol. na *wolno-malarską wieczne- „rzę* i że prymas nie tylko potoczył wszystkie swe sto- „łowe srebra, ale że sam był tam *incognito* jako *dobry „brat*. Inni twierdzą że pokazał się tylko w *wilię* owęj „uroczystości. Biskup poznański proszony od jakiegoś „dobrego katolika, aby zapobiegł takiemu zgorszczeniu, „miał odpowiedzieć: „*że ma co pilniejsze do roboty.*“ „I jakżeby mógł w istocie opierać się rzeczy, którą po

„piera król, prymas, familia Poniatowskich i Czartoryskich, najznakomitsi Moskale i ogólnie całe stronnictwo rosyjskie?— Ledwie dowiedziałem się o tém, ogłosiłem zaraz w Warszawie, że istnieją dwie bulle Klemensa XII i Benedykta XIV, zabraniające wolnomularskich schadzek pod exkomuniką, którą sam tylko papież rozwiązać może, a polecające biskupom, aby używali przeciw nim nawet świeckiego ramienia. Upomnienie to doszło za mojem staraniem i uszów biskupa poznańskiego; lecz on nie zna innych bull, prócz dyplomatów królewskich i nowego kodexu Katarzyny II, a jeżeli robi nawet kiedy użytek z jakiej bulli, to chyba na to, aby ją dowolnem tłumaczeniem, wykręcić na własną korzyść — a szkodę Kościoła.“

Warto też tu przypomnieć, że przez całe trzydziestoletnie panowanie Stanisława Augusta, kiedy powstało w stolicy i indziej tyle wspaniałych gmachów, wystawiono w Warszawie zaledwo dwa rzymsko katolickie domy boże, to jest: mały kościółek św. Karola Boromeusza na Powązkach i kościół z klasztorem Bazylianów, przy ulicy Miodowej, niemniej klasztor dla pp. Sakramentek na Nowem Mieście: gdy tymczasem nawet jeden klasztor i kaplicę OO. Teatynów przy ulicy Długiej dla braku funduszków zamknięto, a zakonnicy ci puściwszy w roku 1785 budynki swe *na loteryą*, zupełnie się z kraju wynieśli. Lecz za to otworzono wolnomularskie loże i bito w królewskiej mennicy medale na cześć tego bractwa; za to wybudowała sobie tameczna ewangelicka gmina, wynosząca w r. 1775 już 5,000 głów, za królewskim przywilejem od r. 1777 — 1781 wspaniała Zbór należący do głównych ozdób Warszawy, którego założenie i utworzenie król znów dwoma pięknymi medalami uświetnić pozwolił ⁸²⁾, a gmina Kalwińska licząca około

⁸²⁾ Gabinet medalów Habsburskiego str. 318.

250 głów wystawiła sobie współcześnie świątynię na Łazienkach ⁸³⁾.

Takiej religijności odpowiadały oczywiście obyczaje, — „Zgroza wspomnieć co się działo (pisze Ostrowski) ⁸⁴⁾ „i jak mało w tym względzie było wstydu publicznego! „Wolteryanizm, pogarda religii, zepsucie w wyższym, „zaniedbanie w niższym duchowieństwie i zły przykład „dany z góry, zaprowadziły w ówczesną towarzyskość „taką rozwiązłość, jaka objawiła się była we Francyi „za Rejencyi, z tą różnicą: że król, ci co go otaczali, przedniejsze towarzystwo i damy polskie co znakomitsze, „utrzymywały dla pięknego przynajmniej pozoru, nierzad, „niemoralność, niekiedy bezwstydu w karchach i formach, „jeżeli już nie ścisłej przystojności, to przynajmniej naj- „wyższej grzeczności, a zatem obyczaje te, choć były „najgorsze, pokrywała przecież *galanterya*. Między ludźmi wysokiego urodzenia i tonu, zawiązanym było, „(jeden ten przykład przytoczę) swawolne towarzystwo, „już niewiem na jaki rodzaj akcyi podzielona kompania, „mająca na celu niezostawienie ani jednej kobiety — „przy dobrej sławie: solidarnie związało się ono, aby „zepsuć wszystkich.“

Potwierdza toż samo na wielu miejscach Kitowicz opiszając mianowicie owe sprośne ówczesne reduty ⁸⁵⁾, żyją niestety dotąd w ustnym podaniu, gorszące o tamtych obyczajach powieści, w których sam król wcale niemajestatyczną, odgrywa rolę, król co uwiecznił długie pasmo swych miłostek całą galerią ówczesnych zamecznych i niezamecznych piękności, w Łazienkowskim pałacu: „Życie króla rozpustne (mówi Karpiński w pamiętnikach) ⁸⁶⁾ zepsało Warszawę i osłabiło śluby mał-

⁸³⁾ Jako wyżej.

⁸⁴⁾ Jako wyżej.

⁸⁵⁾ Opis Obyczajów i Zwyczajów etc Tom IV. str. 84, 87.

⁸⁶⁾ Wydanie drugie Lwów 1842 str. 152—154.

„żelazkie, a piękniejsze kobiety w mieście dawały sobie
„tępy większe niżeli należało, bo każda z nich, wspo-
„mniawszy że była czasem królową, chciała potem za-
„wsze wielowładnie rozkazywać. . . . Rozpusta miasta
„Warszawy do tego stopnia przysła, że tam (śmiało
„powiedzieć można) dziesięć razy więcej rozwodów by-
„ło, niżeli w Polaszce i Litwie całej. — Nawet już w zwy-
„czaj między możniejszymi, przy pisaniu ślubnych inter-
„cyz wchodziło, ażeby strona która się rozwodzić chciała,
„drugiej pewną sumę płacić obowiązana była.“ Mał-
żeństwo stało się więc rzeczą czysto konwencyonalną,
jakby układem wspólnym do pewnego czasu podróży, a
same konsystorsze rozsądzające małżeńskie sprawy, za-
pełnione zepsutymi i przedajnymi pralotami ułatwiali
jeszcze rozwody. Kitowicz powiada ⁶⁷⁾ że: „za biskupa
„Franciszka Kobieńskiego był w łuckim konsystorszu je-
„den tylko patron, który stawał w takich sprawach po
„obu stronach. Co przywoził na poparcie jednej, to znów
„zbijał stawiając od drugiej. Żeby zaś czytelnik mój
„(dodaje) nierozumiał że piszę bajki dla uwiedzenia po-
„tomności, muszę rzecznika tego wytknąć po imieniu:
„było Jajkowski patron grodzki oraz konsystorski.“ —
Gorliwy biskup chełmski Felix Tarski skarżył się w li-
ście pisanym do Nunoyasza Durkiego 7 kwietnia 1770
że: „wielu z jego dyecezanów, drwiąc sobie z praw
„kościelnych i własnych jego upomnień, udaje się do
„Prus lub do dyecezyi kujawskiej (będącej wtenczas
„pod zarządkiem Antoniego Ostrowskiego), gdzie zawarł-
„szy potajemnie związki małżeńskie z protestantkami
„bez zachowania warunków w tej mierze od Kościoła
„przepisanych, wraca potem z tryumfem a powszechnym
„katolików zgorzaniem. Jeżeli zaś pociąga ich za to do

⁶⁷⁾ Opis obyczajów it.d. T. II. str. 67. Kobieński był od 1735 do
1739 kamienieckim, a od 1739 do 1745 górną łuckim biskupem.

„odpowiedzialności, lub grozi im kościelnymi cenzurami, „to przechodzą publicznie i bez najmniejszego skrupułu „do innego wysnania.“ ⁸⁸⁾).

Każdy zakład ówczesny nosił piętno panującego tak przeciwnego katolicyzmowi ducha. Weźmy n. p. ową *rycerską szkołę* czyli *korpus kadetów* w r. 1765 założony, a do r. 1794 trwający, gdzie kształcono zawsze od 60 do 80 młodzieży, i którego kapitanem był sam król, a porucznikiem i komendantem ks. Adam Czartoryski. Na dyrektora tego zakładu powołano najprzód Anglika *Linoë*, po nim także protestanta *Krystyana Pfleiderera* z Tubingi, co rządził tym zakładem przez lat 15 do 1782, nakoniec znów protestanta z Torunia *Michała Jana Hubego*. W *katechizmie Kadetckim* który napisał umyślnie ks. Adam Czartoryski w 1774 stoł wprawdzie że „*kadet powinien mieć miłość Boga i przywiązanie do religii przed oczyma*“ lecz na pytanie: „*wie-loraki powinny być powody jego postępów?*“ odpowiadał: „*punkt honoru i wstyd: pierwszy ma go do dobrego „w każdym rodzaju zachęcać, drugi od złego wstrzymać,*“ nakoncu zaś uczono wyraźnie kłamstwa i fanfaronady, bo na zapytanie: „*czy może kadet być bojaśliwym albo „tchórzem?*“ odrzekął: „*że na to nie umie odpowiedzieć „bo i słowa te i rzeczy które oznaczają, są mu nieznajome etc. etc.*“, a lubo z jednej strony były przepisane *Prawidła początkowe nauki obyczajów ks. Józefa Skrzetuskiego Pijara*, z drugiej, jak uważa sam wielbiciel tej Szkoły *Łukaszewicz* ⁸⁹⁾ „*dawano uczniom bardzo często „urlopy, to jest pozwolenia do uczęszczania do towarzystw warszawskich nienajlepszycy za czasów Stanisława Augusta, w których nie tylko że młody kadet odrywał „się od nauk, kaził sobie niewinne obyczaje, ale nadto*

⁸⁸⁾ The'ser T. I. str. 436.

⁸⁹⁾ *Historya Szkół*. T. 2. str. 83.

„napawał się zasadami zupełnie przeciwnemi tym które
„w umysł jego w korpusie wlewano.“

Seweryn Bukar, który był przez lat siedm (1783—90) wychowawcem tego zakładu, opisuje w swych niedawno ogłoszonych pamiętnikach ⁹⁰⁾ jak tam bywały *baliki* które młodzież corocznie z dobrowolnych składek w głównej sali wyprawiała, a na które *dostarczały płci pięknej* familie oficerów i profesorów zajmując dworki po obu bokach dziedzińca przed gmachem korpusu Kadetów; a była tam młodzież do lat 18tu! — Pozwalano także po kilku uczęszczać na *teatr* i inne publiczne widowiska w onych czasach mniej jeszcze jak dziś budujące. Jakże to przyzwoitym domem dla młodzieży był naprzykład ów pałacyk na Sołcu, gdzie mieszkał i dawał baliki rozwiedziony z żoną brat królewski książę Kasimierz Poniatowski i gdzie *robiła honory* pani Duhamel córka Merliniego architektki królewskiego ze *swemi siostrami*!! Sam Bukar uważa ⁹¹⁾, że nikogo tam ze znaczniejszych dam nie widział, ale za to *były kobiety do tańca w dostatecznej ilości* i że tam bywała *prawdziwa kulanka bez żadnej subiekcyi*. Otóż to na takie baliki woził młodzież generał *Wojna* (mój *kochany* generał *Wojna*, jak go Bukar nazywa), który podczas zwykłej niebytności X. Adama i wice-komendanta Moszyńskiego, miał największą władzę nad szkołą rycerską ⁹²⁾ a Bukar wyznaje: ⁹³⁾ „że od 14 roku życia swego gdy już w różnych skokach „i gambadach był wyewiewanym, nie było prawie balu „na którymby się nie znajdował.“

Durini rozwodząc się nad powszechném zepsuciem

⁹⁰⁾ Obojęt T. 4 Pamiętników Jana Bukara Ochabskiego wydanych przez Józefa Kraasewskiego (Wilno 1857 str. 40, 31, 59).

⁹¹⁾ Tamże str. 69

⁹²⁾ Tamże str. 45.

⁹³⁾ Tamże str. 61.

powiada: ⁹⁴⁾ „to jedni jeszcze zakonnicy są jakąś tamą powszechną powadą, utrzymując w szlachcie wiarę, i że bez nich zginęłaby w Polsce religia. Dla tego też uznano na Sejmie r. 1767 zmniejszenie zakonów i poddanie ich pod biskupów i Dwór, za najskuteczniejszy środek do dopięcia samieczerzonych celów.“

„Dwór ten, (pisze 16 czerwca 1770) nieradby widzieć w Polsce żadnych innych zakonów prócz: Pijarów, Missyonarzów a w najgorszym razie Jeżuitów, (bo i tych chętnieby się pozbyto, aby zagrabie znaczne ich posiadłości). Dwór prześladowa i wyprawia w podejrzenie wszystkie inne zakony, mianowicie: Dominikanów i Franciszkanów, którym między innymi zawdzięcza Polska rozpowszechnienie i utrzymanie wiary. Na poparcie tego, dość przytoczyć, co słyszałem na własne uszy z ust Króla i jego zwolenników: „Te mnichy „penją i fanatyzują całą Polskę, która nie prędko „zajmie na świecie przynależne sobie stanowisko, aż „wyrzuci ze swego łona te wszystkie mnische kaptury. „Do wychowania młodzieży bez przesądów wystarczą „nam Pijarzy, Missyonarze (a od biedy) i Jeżuiti!“

Nie nie maluje dobitniej wyobrażeń, jakie miał Król o ważności i godności zakonnego powołania nad przyjęcie, które znalazł u niego generał Panlinów *Esterházy* przybyły do Polski w październiku 1771 r. dla wznowienia w klasztorze Częstochowskim karności. — „*Dziwię się*, (rzekł mu Stanisław August w przytomności Młodziejowskiego i księcia Adama Czartoryskiego) *jak mógł książę Esterházy zostać mnichem!*“ — W mejm zgromadzeniu, (odpowiedział szanowny zakonnik) byli zawsze i są dotąd członkowie najpierwszych rodzin węgierskich: lięzy one nawet książąt z domów panujących!“ ⁹⁵⁾

⁹⁴⁾ Theiner str. 433—434.

⁹⁵⁾ Tamże T. 2 str. 32—33.

Zapomniał widzieć Król degomęć, uszem się zając bandzię jeszcze dziwić nakoty, że i u nas od niepamiętnych czasów nie było prawie większego rodu, cooby nie miał członków swych w zakonach, że, np. aby dalej nie szukać, książę Jakób Czartoryski był w XVII wieku Dominikanem; siostra jego Wizytką w Warszawie, a niedawno Ciotka samego Króla Jmci Ludwika Czartoryska w temże zgromadzeniu żyła i umarła. ⁹⁶⁾

„Między zakonami, uważa Kitawicz ⁹⁷⁾, pierwsze miały „sco w szacunku poważnym trzymali Jesuici, po nich „Pijarowie, po tych Misyonarze, za tymi Kapacyni i Reformaci. Te zakony składały jakoby pierwszą klasę.“ Widać z niego i z Duriniego, że: mimo zaniedbaniej u niektórych nauki, a nawet zwolniałej tu i owdzie karności, przechowały się jeszcze po klasztorach wielkie enoty, szczerne poświęcenie dla Kościoła i dla bliźnich, szczerę przywiązanie do ojczyzny, co ich tak hojnie nadała, i ustawianie dziełmi swemi podsycała. Dość będzie przytoczyć n. p. owego, dotąd ze czcią wspomnianego Misyjonarza *Gabryela Bandawin* założyciela (w r. 1756) i długoletniego rządcę Szpitala Dzieciątka Jezus w Warszawie, (zmarłego tamże 10 lutego 1768 r.), albo i słynnego księdza *Marka Karmelitę*. Na czele nieposzlakowanych zakonników, stali niezaprzaczenie Jesuici, trzymający się stale swęj reguły w nieprzerwanym związku z Raynem, a bogaci w męstów tak znakomitych, że nawet po zniesieniu tego Towarzystwa w r. 1773, wydzierano ich sobie u nas i w całej Europie, nawet w państwach niekatolickich, aby im powierzać biskupie stolice, pierwsze namiestnickskie i naukowe posady i wychowanie młodzieży.

Ciekawą jest wielce rzeczą czytać, jak Kitawicz, co

⁹⁶⁾ Niesiecki T. 1 str. 372—374.

⁹⁷⁾ Opis obywateli i t. d. T. 1 str. 63 i następne.

spędził część młodości na dworach biskupich, był następnie Konfederatem Barskim, nakoniec od roku 1771 *Pfyzarem*, to jest członkiem zgromadzenia rywalizującego z Jezuitami; Kitowicz, co obok sumienności w podaniu faktów, nosi często we *własnych wnioskach* cechę stronnictwa do którego należał, i nie jest wolnym od uprzedzeń, mianowicie względem Jezuitów, jak ów Kitowicz mówię, wyraża się o nich i o własnem zgromadzeniu!! „Jezuici; (pisze) umieli zyskiwać sobie łaskę panów, już „to przez wygodę w nabożeństwie, bardzo regularnie „w kościołach swych odprawianem, już przez szkoły, „i tak stawali się potrzebnymi całemu krajowi.“..... „Ćwiczyli swych nowicjuszków w enotach zakonnych „i chrześcijańskich, nie zapominając oraz dawać im lek- „eye w obyczajności świeckiej.“ — „Niepokazywali się „nigdy na ulicach inaczej, tylko parami, wyjąwszy star- „ców zgrzybiałych, albo też wielce zasłużonych, po „czwartym ślubie zakonny m wolność wychodzenia za „fórtę bez socyusza mających; ale w średnim wieku, „choćby sam rektor, a dopiero z młodszych, nigdy „się żaden pojedynczo w mieście nie pokazał, równie „także wystrzegali się z pilnością, aby ich zmrok nie „zapadł za fórtę. Nawiedzać chorych pod murami albo „w gnojach leżących, pocieszać ich duchowną nauką „i niedostatek doczesny jałmużną wspierać, były to onoty, „jak bardzo w innych osobach rzadkie, tak Jezuitom „pospolite i niemal właściwe, do których przydać na- „leży asystowanie zbredniarzom do śmierci na placu „publicznym odbieranej.“ — „Fórta jezuicka, ubóstwem „napelniona, co obiad i co wieczora posiłek temuż dają- „ca, przyczyniła Jezuitom szacunku publicznego.“

Niech ci, co zarzucają im podobieństwa i łaskanie się możliwym, odczytają także co powiada ten sam naoczny świadek o ich zachowaniu się na trybunałach koron-

nych ⁹⁹⁾. „Deputaci, (mówi Kitowicz) schodzili się co niedziela do kościoła na Summę i kazanie, które dla nich miewał w Piotrkowie w kościele farnym, w Lublinie w jezuickim, *Jezuita „ordynaryuszem trybunałskim“* zwany. Ten miał wszelką wolność, niemal palcem wytykać niesprawiedliwość, rozpustę i inne występki deputatów i palestry — a przecież była jeszcze w Polakach jakaś bojaźń i respekt religii, że się o to nikt nie śmiał urażać. Zbywał każdy takowe dotknięcie, jakoby do siebie nienależące, choć go koledzy poufali w bok tręcali, że o nim mowa. Ci kaznodzieje starali się przez szpiegów z umysłu trzymanych, dowiadywać się o najskrytszych sprawach, które potem ukoloryzowane rozmaitemi krasomówskimi figurami, z ambony rzucali na sprawców onych, których się każdy wiadomy domyślał; z tém wszystkiem nie widać było wielkiej poprawy w złem w nałóg obróconem, *„choć kaznodzieja dokuczał, można mówić, do złowego.“*

Któż jednak nie przyzna, że była w tém gorliwość, niepospolita odwaga, serdeczne przywiązanie do kraju; że było niewątpliwie, przynajmniej w pojedynczych wypadkach, zapobieżenie większemu złemu, a często poprawa i zadosyćuczynienie?

Inny już obraz *Pijarów* kreśli nam Kitowicz, nierównie lepiej z nimi obeznany, i pewnie w tém całkiem bezstronny. ⁹⁹⁾ Powiada: że „na początku panowania Augusta III jeszcze byli dosyć mali, w prostocie zakonnej chodząc podług ustaw awego patriarchy św. Józefa Kalasancjusza; nauczali tylko dzieci małe katechizmu i pierwszych rudymentów łaciny, kończąc szkoły swoje na retoryce. Przy małych dochodach, kwatrowali publicznie jakmużnę, piaszczów zatywali

⁹⁹⁾ T. 2 str. 11—12.

⁹⁹⁾ T. str. 68—69.

„krótkich i czapek wykrawanych tak, jak dotąd zaży-
wają Mariani. Lecz skoro Konarscy, trzej bracia ro-
dzieni, dali imiona swoje temu zakonowi ¹⁰⁰⁾ w którym
„po kilka razy kolejno byli prowincyalami, będąc ludź-
mi umysłu wysokiego, chwycili się tych wszystkich środ-
ków, które zakonowi ich wziętość, a im sławę zjednać
mogły. Najprzód tedy do szkół, przedtém małych tylko
dla samych dzieci, przydali teologią i filozofią, potem
„otworzyli konwikt dla pania: *potém chwycili się nowych*
opinij filozoficznych, które też, dla zyskania większego
faworu u niektórych dam polskich pierwszój rangi, w wie-
lu księgach przetłóżyli na polski język. Konarski zaś,
„najmłodszy z braci, pióro zakonne obróciwszy do ma-
teryj statystycznych, którem wojował mocno przeciw
„*liberum veto*, zjednał sobie u pierwszych panów a mia-
nowicie u familii Czartoryskich wielką reputacyą. — Ci
„tedy trzej Konarscy... byli pierwszymi filarami, na któ-
rych podniosła się w górę z niskości swój sława za-
konu pijarskiego, której przydając okraszy powietrzo-
wnej, zazwyczaj bardziej pospólstwo, niż sama rzecz
„wewnętrzna ujmującej, płaszczyki krótkie zarzucili,
„a posprawiali sobie płaszcze długie. Żeby zaś utopić
„w niepamięć takową stroju degeneracyą, swemu świę-
temu fundatorowi w obrazach, płaszczyki krótkie prze-
malowali na długie, czapki także grube wykrawane,
„poprzerabiali w płaski subtelne, a na te powsadzali
„kapelusze z jedwabnymi kutasami, złotem poprzerabia-
nemi. Ten jednak wdzięk, *nad skromność duchową*
występujący, nie trwał długo, albowiem raz jednego,

¹⁰⁰⁾ Najstarszy z nich Antoni urodzony w 1695, zmarł ostatni
w Radomiu dopiero w r. 1778; drugi był Ignacy, najmłodszy zaś
Hieronim, znany powszechniej pod zakonnem imieniem Stanisława,
o którym obszerniej jeszcze pomówimy, urodził się w roku 1700,
wstąpił do tego zakonu w r. 1717, a zmarł 4 sierpnia 1773. —
Byli synami Jerzego Konarskiego Kasztelana sawłohostackiego.

nuncyusz przawszy z okna dwóch Pijarów idących z takimi kutasami, zawołany do siebie, nożyczkami kutasy poobcinał, dawszy napomnienie: *Religiosi non debent sic incedere.* (Nie przystoi tak chodzić zakonnikom).

Nim przytoczymy dobitniejsze jeszcze dowody skażenia Pijarów, wyłożone od Theinera na podstawie współczesnych sprawozdań nuncjusza Duriniego, należy zwrócić uwagę na to: że ów Stanisław Konarski, mąż niepoślednich zasług około prawodawstwa, języka i piśmiennictwa naszego, (które imię jego zanosły do potomności na barkach wszystkich tém jedynie zaprzątionych pisarzów), zaczerpnął właśnie we Francyi, obok głębokiej światowej naukowości i niezwykłej oglady, zgubne dla Kościoła i wiary zasady tamecznej szkoły filozoficznej, i stał się jednym z pierwszych krzewicieli wyobrażeń i dążeń podkopujących w narodzie stronę religijną; co mu jako mężowi z tylu względów zasłużonemu i twórcy nowego w literaturze i oświacie kierunku, tém łatwiej, przyjść musiało. Przepędził on wprawdzie w młodości cztery lata w Rzymie (1725 — 29), lecz tameczne wrażenia zatarła niebawem ojczyzna Woltera, gdzie następnie bawił półtora roku, a żył między innemi w pofalnej zażyłości ze sławnym *Fontenellem*, autorem dzieł tchnących duchem zupełnie niekatolickim, a kryjących przewrotne zasady, pod płaszczykiem uroczego stylu i dowcipu. Za powrotem do kraju, dał się zaraz poznać Konarski z nowego u nas polotu, zajął się polityką i prawodawstwem, i wydał w roku 1732 pierwszy tom statutów i Konstytucyi. Gdy Leszczyński usiłował poraz drugi zasiąść na polskim tronie po śmierci Augusta II, uchwycił się jego sprawy młody Pijar, towarzyszył mu potem do Lotaryngii, i bawił tam aż do roku 1738. kiedy wróciwszy znów do ojczyzny, utworzył w r. 1740 w Warszawie pierwszy konwikt dla szlacheckiej mło-

dzietę, a rządząc następnie od r. 1742 do 1745 jako prowincyał pijarskim zakonom, przepisał tamtę: „*dokładniejszy i stosowniejszy* (jak się wyraża Bentkowski) ¹⁰¹⁾ „*sposób uczenia teologii, historyi, a mianowicie filozofii.*“ Wiemy już co pod tém rozumiano!... Nowa podróż do Francyi odbyta, i dłuższy pobyt w Lipsku i Dreźnie, poddał mu nowe zastosowania tamiecznych akademicznych urządzeń w naszym kraju. W latach 1749 — 50 wyrobił sobie w Rzymie wyjęcie Pijarów polskich z pod władzy jenerała tego zakonu, a nadzorowanie ich tylko przez wizytatora, bezpośrednio Stolicy Apostolskiej podlegającego, w osobie księdza Cypryana Komorowskiego, czém znacznie ułatwił sobie przeprowadzenie wszelakich zamiarów, utrudniając kontrolę ze strony Rzymu. Opierał mu się zrazu prowincyał polski ksiądz Walenty Kamiński, i nawet sprowadzony umyślnie z Rzymu do pomocy ksiądz Ubaldo Mignoni; lecz Konarski wsparty względami Króla, biskupów i magnatów, których sposobowi widzenia zupełnie odpowiadał, przemógł wszystkie trudności. Charakter téj reformy zakonu pijarskiego, którą odtąd pod niebiosą wynosić zaczęto, dają nam najlepiej poznać sprawozdania nuncjusza Duriniego.

„Nie tylko w wyższém duchowieństwie, ale i w niektórych zakonach, mówi Theiner ¹⁰²⁾, zaczął się już „okazywać duch przeciwny Kościołowi i Stolicy Apostolskiej. Między ostatnimi *odznaczili się w tym względzie szczególnie Pijarzy*, a na czele tego ruchu stanął „ów w dziejach Polski tak wysoce sławiony Stanisław „Konarski ich prowincyał, człowiek z klasycznym wykształceniem, *ale nie mający żadnej religii*: który broniąc „otwarcie *religijnej tolerancji* ¹⁰³⁾ i *nowej filozofii*, był

¹⁰¹⁾ Historia literatury polskiej T. 1 str. 85.

¹⁰²⁾ T. 1 str. 297.

¹⁰³⁾ Różnicę ważną między tolerancją polityczną, a tolerancją religijną, wyłożyliśmy w dziele *Piotr Skarga i jego wiek*. (T. 1

„teologiem Króla, Czartoryskich i rosyjskiego stronnictwa i miał najczynniejszy udział w ułożeniu nieszczęśliwego traktatu w lutym 1768! W dziele swém „*O religii pocziwowych ludzi*“ podkopywał zupełnie juryzdykę Kościoła i powagę Stolicy Apostolskiej i zalecał tolerancją każdego wyznania, byleby nosiło imię chrześcijańskie.“

Tu musimy przerwać ciekawe to sprawozdanie, aby zastanowić się bliżej nad wspomnioném dziełem: które (co dobrze uważać należy) jest między *trzydziestoma przeszło* pismami Konarskiego różnej treści, *jedyném* prawie w przedmiocie religijném. Wyszło ono w Warszawie w 1769 w małej ósemce na 161 stronnicach. Otwiera je przypowieść: o *Żwierciedle*, do której myśl wzięta ze znanéj bajki Lafontaine, le *Miroir*. Dalej kilka strof Ody do *zaczętej młodzie*, gdzie występuje: *Feb* i *Jowisz* i *Sep* mitologiczny *szarpiący po śmierci*. Rzecz cała skierowana jest, przeciw ówczesnym filozofom *Deistom*, *Ateuszom* i tak zwanym *Mocnym Duchom* (*Esprits forts*) co głosili jakąś *religią pocziwowych ludzi*, której próżność i niedorzeczność Konarski wykazuje. Przedsiębierze to jednak ze stanowiska czysto Chrześcijańskiego, a słowo „*katolicki*“ raz tylko w całym piśmie natrącone jakby mimochodem ¹⁰¹⁾ gdy mówi: „Nie jest to tudzież ani nasza ani *Katolickiego Kościoła*... nauka i t. d.“ Przeciwwstawi więc *Deistom* li tylko *Chrześcijaństwo*, jakby to mógł uczynić również każdy protestant. Na stronnicach 112—113 chwali dzieło *De Marca* od *Kościoła potępione*, przytaczając zasady o kościelnej Juryzdyceki prze-

str. 421—424). *Pierwsza* która zawisała na cywilném znoszeniu i nie prześladowaniu innowierców, odpowiada obowiązkom miłości bliźniego. *druga* poczytująca wszystkie wyznania za równie dobre, sprzeciwia się pierwszemu pojęciu religii objawionej.

¹⁰¹⁾ Na str. 69.

ciwne Katolickim. Na stronie 120 w nocy, przypisuje ludakiemu rozmowowi wynalazek języków i utrzymuje: że on sam zdolnym jest dojść do poznania boskich przymiotów; czem właśnie zbija zdanie wyżej w nocy str. 39 i następnych wyłożone, gdzie znów tak poniżył rozum iż według niego religia naturalna jest zupełnie nawet nie możliwą! Pismo to oburzyło wszystkich katolików i nuncyaturę, tem bardziej, że ówczesny Cenzor ksiąg a do tego Zakonnik ze Zgromadzenia Missyonarzów i spowiednik królewski: Ksiądz Piotr Hiacynt Śliwicki, opatrzył je approbatą, nakoncu domieszczoną oświadczając: „iż „przeczytał je z wielkiem ukontentowaniem i zbudowaniem i sądzi je być arcygodnem dla publicznego użytku i zbudowania.“ Nie jeden może przytoczy nam zaraz następujący o tém dziele ustęp z historyi literatury Bentkowskiego.¹⁰³⁾ malujący dobitnie usposobienie bezwzględnych czcicieli Konarskiego. „Oszczercy jego i „zajrzający mu sławy, czerpali i wynajdowali w tém nawet dziele jakoweś powody do potępienia i ohydzenia „go przed duchowieństwem i obywatelami. Wystawiono „go jako człowieka mającego wolniejsze zdania i po- „mówiono go o to w Rzymie; lecz Konarski zamiast „obrony, przetłóżył tylko tę książkę na łaciński język „w Warszawie 1771 (in 8vo) i samemu Papieżowi Klemensowi XIV wierszem przypisując, podał do roztrząśnienia. Krok ten sprawił iż czego nienawiść użyć „chciała na poniżenie jego, to mu „jednało chwałę. Po- „znał papież użyteczną pracę jego dla Kościoła, i imieniem swoim kazał go przez list od siebie pisany zachęcić, aby w takich okolicznościach w jakich się na „ówczas znajdowała Polska, więcej jeszcze pracował dla „Kościoła.“

Wszystko to jest szczerą prawdą prócz najważniejszej

¹⁰³⁾ T. I, str. 639.

osławiając okoliczności: że łacińskie wydanie tego dzieła pod tytułem: *Stanisłai Konarski o Scholis piis de Religione honestorum hominum* (Varsaviae 1771) nie było przekładem polskiego pisma pod tym tytułem ale najzupełniej szczerze i poprawionem przerobieniem onego, obejmującym prawie dwa razy tyle stronnic (308 prócz dedykacyi i spisu treści) gdzie wszystkie miejsca naganione, albo całkiem opuścił, albo w duchu katolickim przeistoczył, jak o tém każdy uważnie oba wydania porównywający, łatwo przekonać się może. Do samej już np. przedmowy (Paraenesis ad Juventutem), dodał pięć kartek, gdzie powiada, iż mówiąc o religii samą tylko religią katolicką rozumie w której jedynie jako w prawdziwej, zbawionym być można. W paragrafie drugim nie tylko już, jak pierwéj, gromi pogańskich mędrków wymysły, ale Makiawellego, Spinozę, Hobbesa, Bayla, Woltera i dodaje od str. 32 długą notę „aby sprostować wyobrażenia, któreby mu może złośliwi poddać „chcieli lubo mu takowe ani powstały w głowie i t. d.“ Nie powinno więc bynajmniej zastanawiać, jeżeli posławszy do Rzymu taką zupełnie przerobioną pracę, uzyskał tam pochwałę. Tymczasem pismo polskie, oczywiście więcej rozpowszechnione, wszystkim przystępniejsze i wszędzie czytane, zostało jakim było, lubo, jeżeli dał publicznie zgorszenie, należało je oczywiście publicznie sprostować!

Już to jedno maluje dostatecznie całe usposobienie Konarskiego, i nowém jest poparciem powyższych i następujących o nim uwag Duriniego i Theinera ¹⁰⁶). „Dla przypodobania się dworowi rosyjskiemu, nalegał już w r. 1767 na uchylene apostolskiej nuncyatury i publicznie się z tém oświadczał: „iż nieumrze spokojnie „aż ją zniesioną obaczy.““ Pod jego nadzorem stały

*) Tom. 1. str. 297, 298, 299.

„się domy wychowania Zakonu tego w Polsce, prawdziwemi szkołami niedowiarstwa i nieobyczajności.“

„Ta mała garstka szacownych ojców (pisał Durini do kardynała sekretarza stanu 14 października 1769), którą jeszcze posiada ów Zakon, a która jest już w podeszłym wieku, została od Konarskiego *nie powiem patryarchy ale pustoszy ciela Ubogich Matki Boskiej Pauperes Matris Dei* ¹⁰⁷⁾ i prawdziwego heresiarchy, od wszelkich urzędów odsunięta i po małych domach rozproszona, gdzie im dają zaledwie skąpe utrzymanie i dopuszczają cierpieć brak rzeczy najpotrzebniejszych ¹⁰⁸⁾. Takich tylko posuwa, którzy mają ducha światowego i są apostołami powszechnego niedowiarstwa i obrońcami szyzmatycznego systematu Rossyi, i dla tego dobrze są widziani u dworu. Rozpasanie to doszło do tego stopnia, że pozwolono im, mieć posiadłości, jakoż wielu z nich ma dochodu rocznego 10—12 a nawet i 20,000 złotych polskich. W szkołach ich prelegują z Erazma, Wolfa, i innych pisarzy tolerantów. Tych samych autorów przedrukowują w ich tłómaczeniach, równie jak i nowe zakonne statuta, które Konarski, na własną odpowiedzialność przydał do pierwowotnych od Benedykta XIV przeglądniętych i zatwierdzonych, i do których wcielił wszystkie swe przewro-

¹⁰⁷⁾ Tak nazywali się właściwie Pijarzy według ustaw jawego założyciela.

¹⁰⁸⁾ Potwierdza to i Żukaszewicz w *Historji Szkół* T. 2. str. 5, uważając że związki krwi z najpierwszemi domami pomogły Konarskiemu do przeprowadzenia zamierzonych reform i osłoniły go od przeciwności, jakie doznawał we własnym zgromadzeniu, i że śmielszych jego przeciwników np. Stanisława Dąbrowskiego aktywno posłanem do odległego i ubogiego na prowincyi kołegum, a mniej odważni widząc, że Konarski ma po sobie biskupów, wojewodów i starszyznę zgromadzenia, chcąc niechcąc musieli się poddać wprowadzanym przez niego reformom.“ — Lecz kto nie wie że

„tne zasady. Aby zaś *własnym tym statutom* wzięcie
„zapewnić, dał on wydrukować na ich czele dawne
„*Bresse* zatwierdzające Benedykta XIV, i nie wahał się
„nadużyć w tak bezczelny sposób imienia tego uczo-
„nego i świętobliwego papieża. Sprowadzają z Francyi
„i Anglii, całe skrzynie najnowszych zgubnych dzieł,
„i sprzedają je w swęj drukarni za grube pieniądze.
„Nieomieszkalem wprowadzić już od kilku miesięcy
„zwracać uwagę i upominać rektorów, profesorów i sa-
„mychże ojców na te sromotne czynności; lecz wszyst-
„kie upomnienia i kazania były bezowocnemi, a ciągle
„dochodzą mnie zewsząd największe skargi na tych
„ojców, między innemi nawet i ta: że młodzież w ich
„kollegiach i konwiktach nie uczy się katechizmu i nie
„ma wyobrażenia o pobożności. I toż są owe *pobożne*
„szkoly (*Scholae piae*) i toż są owi zakonnicy noszący
„nazwę *Ubogich Matki Boskiej*?“ — „Nuncyusz postano-
„wił nareszcie położyć koniec bezwstydnemu zachowaniu
„się tych mniemanych zakonników i przybył w paź-
„dzierniku 1769 do ich klasztoru w Warszawie, zawez-
„wał do siebie prowincyała, jego asystentów i całe
„zgrupowanie, i oświadczył: że zamierza rozpocząć
„wizytę *apostolską* do czego mu jako *Legatowi a Late-
„rari z jurysdykcyą sądową* zupełne posłużyło prawo.
„Skoro jednak kanclerz nuncyatury zaczął czytać odpo-
„wiedni dekret, przerywali go nieraz owi zuchwali du-
„chowni. Gdy skończył, powstał Konarski z innemi
„wołając głośno: „*Nie uznajemy tego aktu i odwołujemy*
„*się w tém do papieża*“ (dosłownie prawie, jak to uczy-
„nił w swoim czasie Later w obec bul papieżskich). Na
„to podniósł się nuncyusz, przemówił do nich surowo,
„i zagroził im kanonicznemi cenzurami, gdyby nie ule-

żadnemu podrzędnemu Zakonnikowi choćby był i prowincjałem,
nie wolno odmienić Ustaw Zakonu swego?

„gli jego rozporządzeniem. Poddali się wprawdzie, ale za-
to zaczęli tym silniej intrygować przeciw niemu a króla
i ministrów, i przyszło do tego, że Durini osądził za rzecz
„stosowną cofnąć swój wyrok. Biskup poznański, książę
„Ozartoryski, kanclerze wielcy koronni i litewscy, niemniej
„podkanclerze Jan Borch i Antoni Przezdziecki, nie wa-
„chali się bowiem w nocie do nuncjusza 14 paździer-
„nika t. r. wystosowanej, wzywać go w sposobie *rozka-*
„*sującym w imieniu króla*, aby nie tylko zawiesił swą
„wizytę u onych ojców, ale nawet nie groził im ducho-
„wnemi cenzurami. Lecz Klemens XIV wystąpił ener-
„gicznie, ogłosił to pismo za bezprawne i nieważne,
„zatwierdził wizytę od nuncyatury przedsięwziętą i skar-
„cił reskryptem kongregacyi biskupiej i zakonnej z dnia
„16 listopada najsurowiej zachwałstwo Pijarów, groząc
„im wyklęciem gdyby w niém trwali.“

Za to nikt nie popierał gorliwiej jak Konarski, usi-
łowań Króla i Młodziejowskiego, w celu wyrugowania
nuncjusza z Polski, wyjęcia wszystkich zakonów z pod
władzy nuncyatury, ograniczenia ile możności ich liczby,
i poddania ich jedynie biskupom, aby przerobić je tym
łatwiej na narzędzia powolne do ich zamiarów. Godnie
im w tym dopomagali, wspomniany już wyżej missyo-
narz *Śliwicki* i rektor Teatynów warszawskich *Antoni*
Portalupi, nauczyciel niegdyś królewski, co pierwszy
wprowadził do Polski nowszą filozofią, a mianowicie
pisma *Wolffa*. Ci trzej zakonnicy, głośni wtenczas z nie-
nawiści swęj dla Rzymu, dostąpili też rzadkiego zaszczy-
tu, że Król umieścił ich wizerunki w swym gabinecie
naprzeciwko Woltera, Monteskiusza i Russa ¹⁰⁹⁾, owszem,

¹⁰⁹⁾ Theiner T. 1 str. 432. Nie dziwnego, że sławiono tych przewro-
tanych maichów prozą i wierszem; ciekawym jest między innemi „*Zet*
przyjacielski nad stratę Piotra Śliwickiego“ umieszczony w T. 10 str.
8 *Zetwo przyjemnych i pożytecznych* z r. 1774, gdzie wierszanki
(Wojciech Jakubowski co wydał współczesnie liuby przekład bajek

uwiecznić zasługi Konarskiego i Portalupiego medalami, z których pierwszy noszący wprowadzicie datę 1765, został wybity istotnie w r. 1771 ¹¹⁰⁾ z tym charakterystycznym napisem: „*Sapere aude*“ (Temu co śmiał użyć rozumu). Wyrażenie wzięte także od francuzkiego filozofa *Gassendego* (1592 + 1656), który, jak wiadomo, zwykł był pisać na czele swych książek: „*Sapere aude*“ wyrażenie zresztą malujące wybornie owe czasy: tryumfu rozumu ludzkiego nad wszystkimi prawdami objawionemi, i będące częścią przechwałką, bo jakaż to była *odwaga*, robić to, co robili wszyscy, co było modą i zapewniało powszechną wziętość? Taki napis należałby się być przeciwnie każdemu co śmiał wtenczas bronić wiary i otwarcie przyznawać się do katolicyzmu, a chłostać szalone wymysły francuzkiej szkoły, co zbłądziła naród i o upadek go przyprawiła. Charakterystycznemi są i daty tych medalów wybitych w r. 1771 — 1774, właśnie po wspomnianych od nas dopiero gorszących z nuncyaturą zajęciach, i kiedy sprawdzały się, ale niktogo nie poprawiały, straszne przepowiednie Klemensa XIV, kiedy owszem chciało jeszcze pozbyć się za każdą cenę tych słabych zapór, jakie stawiała powszechnemu moralnemu upadkowi gorliwość niektórych zakonów.

Ciekawym jest nakoniec szczegół w liście Duriniego z 11 maja 1772 ¹¹¹⁾ uzupełniający doniesienia jego o Konarskim: „że gdy ten zapadł w śmiertelną chorobę „(która go też w roku następującym z tego świata za-
brała) i czuł się bliskim chwili, kiedy będzie musiał „stać przed Bogiem, posłał 9 maja 1772 brata swe-

Lasfontena) wielbi Śliwickiego prawie jak świętego, i mówi o nim nawet: „że upoważnił część w pańskich świątyniach“ (?) Można to śmiało poczytać za nową ale oryginalną Jakubowskiego bajkę.

¹¹⁰⁾ Gatunek medalów polskich Raczyńskiego str. 134, 192.

¹¹¹⁾ Tamże T. 2. str. 176,

„go do odjeżdżającego właśnie z Polski Nuncjusza, „prosząc aby mu *przebaczył wszystko, czegokolwiek dopuścił się przeciw Stolicy Apostolskiej i jej Zastępcom.*“ „Co się mnie tyczy (odpowiedziałem) daruję mu wszystko, ale niech myśli o tem, aby się z Bogiem pojął.“ — „Dowiedziałem się tego samego dnia, od jednego z jego Zakonników, że gdy odwiedził go ksiądz „Sliwicki Wizytator Missyonarzów i królewski spowiednik, rzekł mu zaraz Konarski:

„*Idź i Wasz Mość do Nuncjusza i proś go o przebaczenie, jak ja uczyniłem,*“ na to ten odrzekł: „*Nie jestem ja takim cholerykiem jak Wasz Mość i nie mam najmniejszego powodu do takiego kroku!*“ — „*Gdybyś był w mojem położeniu, rzecześ tamten, to winiłem zupełnie ściśle widziałbyś te rzeczy.*“ — „Z czego wynika: (kończy Durini) że ten pan Sliwicki grzeszy nie z krewkości, ale z najlepszym namysłem, i że *czeka na ostatnie pomazanie, aby się zastanowić nad tem, co mu zrobić wypada.*“

Łatwo teraz wytłumaczyć sobie ów instynktowy antagonizm, który wywiązał się w XVIII wieku, między światowo filozoficznymi Pijarami a Jezuitami, najgorliwszymi zawsze obrońcami katolicyzmu; łatwo zdać sobie sprawę z owego nieograniczonego u nas uwielbienia pierwszych, a owych wzgardliwych niechęci dla drugich.

Wszystko co robili Pijarzy było już tępem samem dobre, cokolwiek robili Jezuitci, było już dla tego samego złe. Pijarzy bowiem, dopiero w sto lat po Jezuitach sprowadzeni (1642), zrazu najniższymi tylko zajmowali się szkołkami, nikogo nie kłóli w oczy, do ich imienia niewiązały się żadne ważne w Kościele i Państwie wspomnienia, żadne stronnictwo nie mogło mieć do nich jak do Jezuitów żalu za zniweczone swe zamysły, za nawrócenie swych członków do wiary katolickiej. Skoro

zaś zaczęli za przewodem Konarskiego sięgać dalej, przyjęli oburącz chorągiew nowomodnego filozofizmu, płynęli całemi żaglami z wiatrem, który wszystko unosił; schlebując więc nowościom, potakując ówczesnym wyobrażeniom i polityce, pobbłażając ówczesnej moralności, musieli pozyskać sobie niebawem wszystko i jednogłośnie chór wywołać: „*że podnoszą nauki i oświatę, którą tylko Jezuita do upadku przywieźli.*“ W tych widział bowiem duch światowy, antykatolicki, jak dawniej tak i teraz najgłośniejszą zaporę. — Nuż więc krzyczyć: że Jezuita skazili publiczne wychowanie, że pognębili Akademię krakowską, że zaciemnili cały naród, i potracili go w przepaść!

Więc to samo Towarzystwo, które w XVI wieku pokonało uczonych, i przebiegłych dyssydentów i Szyzmatyków, co przyprowadziło całą Polskę nazad do wiary Ojców, co wydało Wujka, Skargę, Kojałowicza, Sarbiewskiego, — towarzystwo o którym można powiedzieć jak Krasicki w bajce o kogucie że go:

„Zażywając do rady
„Pan, panięta, Sąsiady,
„Uwielbiali Proroka
„Pół roka“.....

nagle, ni ztąd ni zowąd, stało się ograniczonem i przewrotnem, stało się wrogiem wszelkiej oświaty a nawet i kraju tego?

Teraz ten sam kogut....

„winien — więc na niego!
„On sprawcą wszystkiego złego,
„On źle poradził,
„On grad sprowadził,

„On czas rozziębłł,
„On zasiew zgębił
„On zepsuł pole
„On zniszczył rolę...

Znaną jest ta powszechna ocea nieudolności i głu-
poty, że własne winy zwała na drugih! — Ale dziś,
dzięki Bogu, wyświecają się już coraz lepiej i wszech-
stronniej mnogie, a od Jezuitów zupełnie nie zawisłe,
przyczyny moralnego i politycznego upadku, i zastępu-
ją się śmieszne wyrzekania gruntownymi wywodami;
bo niema w dziejach przykładu, niema nawet logicznej
możności, aby jeden zakon, jedna garstka ludzi, a do
tego takich, którym sami najzapaleńsi przeciwnicy nie
mogą odmówić cnót pojedynczych, mogła zgubić kilko-
milionowe Państwo, mające tak swobodne instytucye i
samo w sobie możność poprawy?... Co do wychowa-
nia nawet, najniechętniejsi Jezuitom pisarze, porówny-
wając ich tryb naukowy ze współczesnym stanem nauk
na Akademii krakowskiej i Zamojskiej, i ze sposobem
wychowania u samychże Pijarów, muszą wyznać, że już
od XVII wieku wszędzie pochylila się była u nas oświa-
ta, a Jezuici także tylko nie uszli powszechnemu ska-
żeniu. — Wszakże otworzyli szkoły w Krakowie dopie-
ro w r. 1622, co zresztą nie mogło w zasadzie podko-
pać Akademii, jak niepodkopują dziś nigdzie żadne
Wszecznice i uczelnie drugih, bo współubieganie się
w naukowości służy owszem do podniesienia oświaty!
Wszakże zaraz w r. 1634, po *dwunastoletniem* tylko
istnieniu, zamknęli znów Jezuici tameczne swe szkoły;
a pomimo tego Akademia Jagiellońska ciągle upadała!

Obok wielu na nich wyrzekań, powiada przecież Jó-
zef Łukaszewicz w swój *Historji Szkół* (Poznań 1849)
„że Akademia Krakowska już od śmierci Zygmunta III
„niemiała żadnego zdolnego nauczyciela: bo któryż z nich

„wydał od r. 1638, nie mówię już uczona, ale przynajmniej użyteczne dzieło? Takimi pisarzami panegiryków jak Florian Lepiecki, Stanisław Biechanowski i inni, chociaż im talentu odmawiać nie można, niema się przyczyny Akademii chęłpić; *mieli lepszych daleko* w tym samym czasie pisarzy Jezuici; jako to: Kojałowicz, Sarbiewskiego, Solskiego, Tytkowskiego i innych¹¹²⁾. — Jednym słowem: w tej epoce *nikczemnieje Akademia krakowska całkiem; przyczyn zaś tego znikczemnienia, nie może na karb kogo innego zwałać: że upadła albo raczej, że nigdy niebyła tém, cém być powinna*¹¹³⁾ *jest własną jej winą*. — W swoim bowiem dostatnim domu była Panią, żadną wolą obcą w niczem nieograniczoną. Do niej należało prawo zaprowadzania szkół niższych po całym kraju i opatrywania ich nauczycielami; ona mianowała profesorów na katedry swoje, przypisywała sobie wewnętrzny rząd i plan nauki: niemogła być przez nikogo wizytowaną i reformowaną tylko przez Króla, lub umocowaną przez niego osobę, wspólnie z rektorem i wybranymi z grona swego profesorami. Czemuż więc niedała sobie organizacyi korzystnej i chlubnej dla siebie i kraju?... Szkoła główna krajowa powinna była być wyższą nad błędne opinie: co u nas tłumom ciemnym i rozpojonym w połowie 17 wieku wydawało się pięknem, dobrem, uczonem i mądrym, temu zgromadzenie profesorów szkoły Jagiellońskiej powinno było umieć oprzeć się i z bezdroży nowe przynajmniej pokolenia na drogę biłą prawdziwej oświaty naprowadzać. — „A jakież były jej Córy: *Akademia Zamojska* i liczne kolonie?

¹¹²⁾ Tom 1. str. 195. —

¹¹³⁾ Te znów z niechęci dla Duchowieństwa przesadzone! — bo ktokolwiek zna dzieje tej Akademii, wie jakich mędzów wydała w XV i XVI wieku. —

„Aby powziąć wyobrażenie o stanie nauk w Akademii Zamojskiej, dosyć jest wiedzieć: że profesorów do katedr swoich brała z Akademii krakowskiej itd. — Tak była zapomniana i nie nieznaczącą w Narodzie, że, jak Jezuici słusznie utrzymywali— *niktby był o niej od połowy 17 do połowy 18 wieku nie wiedział*, gdyby Profesor jej Duńczewski nie był *kalendarzami swymi* w połowie 18 wieku o *bycie jej przypominał*“¹¹⁴⁾. Widzimy z tego, *pewnie niepodęjrzanego sądu*: że Akademia krakowska i zamojska, nie zupełnie nierobiąc dla oświaty publicznej, tem mniej miały prawa opierać się szkołom jezuickim, a czyniąc to, podobnemi były do brudnego i zazdrosnego skąpca, co i sam dostatków swych nieużywa i drugim korzystać z nich niedaje, lub do leniwego monopolisty, który na to tylko dusi nieużytecznie swój przywilej, aby broń Boże kto inny podobnego niepróbował przedsiębiorstwa!

Łukaszewicz przeglądając stan ówczesny nauk u Jezuitów, uważa „*że niebyły tak złemi, za jakie je w drugiej połowie 18 wieku okrzyczano, i pod względem zakresu nauk nie były gorszemi od akademickich, owszem przewyższały je w tej i owej mierze, a tylko pod względem swych dążeń stały się dla narodu niezmiernie szkodliwemi*“ co tłómaczy głównie: *katolicką dążnością*. „Gorszy go np. bardzo, że uczniowie jezuickcy zaczynali „i kończyli każdą lekcją *modlitwą klęcząc*, że codziennie musieli znajdować się na mszy, a w niedziele prócz tego na kazaniu i nieszporach, i często chodzić do szkoły, że wszędzie były u nich *bractwa Najśw. Panny*, i że innemi nadto sposobami wzbudzali Jezuiti *dewocją*, że wpajali bez ustanku w młodzież: iż *nauka nie jest głównym celem pobytu jej w szkole, ale tylko środkiem, pomocą ku dostąpieniu zbawienia*, to jest

¹¹⁴⁾ Tamże st. 210 — 212.

„innemi słowy *ku interesowi zakonu i hierarchii*“; ¹¹⁵⁾ To ostatnie zdanie, uwalnia nas zupełnie od wszelkich dalszych uwag, bo pisarzowi, który nie wierzy w Niebo, i twierdzi: że cała sprawa *zbawienia* jest tylko *wódką od księży wymyśloną*, muszą koniecznie wszelkie podobne ćwiczenia wydawać się *najśmieszniejszą niedorzecznością!*...

Ten sam autor mówiąc dalej o szkołach Pijarskich ¹¹⁶⁾ wyznaje bez ogródki: „*że nie były o włos lepsze niż pod względem nauk od Jezuickich*“ ale Pijarzy przewyższali w jego oczach o wiele Jezuitów, w tem że „*młodzię swoją szkolnemi nawet zabawami sposobili na dobrych obywateli*.“ Czego dowód upatruje np. w *sejmikach szkolnych, które wyprawiali corocznie w kościele*, gdzie w obec licznie zgromadzonej szlachty i ludu, uczniowie retoryki, wotowali najprzód na marszałka sejmikowego, potem na posła sejmowego, któremu każdy z uczniów podawał instrukcyje: za czém miał na sejmie obstawać. Dla większego zbudowania czytelnika, przytacza Łukaszewicz nawet treści podobnych instrukcyi, jak gdyby je miał pod ręką: jest tam mowa o *powiększeniu wojska i o zniesieniu Liberum Veto*, a najcharakterystyczniejsza ze wszystkich „*o zdolności dyssydentów do urzędów publicznych*“ wyjęta żywcem z traktatu w roku 1768 pod skrzydłami Podoskiego zawartego, *do którego wpływał Konarski*. — Czy Młodzież szkolna co w tém rozumiała? lub czy sami Ojcowie takie jej podawali w *Kościele instrukcyje*? lub czy to jest tylko *domysł* pana Łukaszewicza? wytłumaczyć sobie nie umiem; lecz widzimy z tego, że pijarscy uczniowie zaprawiali

¹¹⁵⁾ Tamże st. 251. 255. — 259. także w T. 2. st. 39. *gdzie o Konwiktach rozprawia, przyznaje wyższość jezuickim, nad pijarski. mi.* —

¹¹⁶⁾ Tamże st. 295. — 296. —

się już bardzo wczesnie do *Sejmikowania*, kształcili się na *politycznych retoriach* z zakrojem *filozoficzno-francuskim*, podczas gdy Jezuita, nie zaprzatając niewinną młodzież takimi rzeczami, starali się utworzyć z nich dobrych Katolików. Że jednak niezaniebrywali oraz bynajmniej nauk niezbędnych do godnego w swoim czasie wywiązania się z obowiązków *Obywatelskich*, tego widocznym dowodem są owi, prawie bez wyjątku w ich szkołach wychowani *posłowie litewscy* sławni na wszystkich ostatnich sejmach z rozumu i nieustraszonosci, z jaką bronili dobrej sprawy, są dowodem kształcenia także od Jezuitów znakomici u nas w różnych zawodach męzowie, jak: *Tomasz Ostrowski, Ignacy Potocki, Feliks Łojko, Franciszek Karpiński, Franciszek Kniatnin, Józef Maksymilian Ossoliński*, jest nakoniec dowodem i ów długi a świetny poczet samychże ówczesnych nauczycieli i pisarzy jezuitkich jak: *Grzegorz Knapski, Kasper Niesiecki, Dawid Pilchowski, Stanisław Rostowski, Ignacy Nagórzewski, Franciszek i Jan Bohomolcowie, Grzegorz Piramowicz, Adam Naruszewicz, Karol Wyrwicz, Marcin Poczebut, Jan Albertrandy, Jan Paweł Woronicz*, z których pracami wszystkie pijarskie, nie tylko co do dążności ale i co do treści, i stylu nawet, zaledwie mogą wytrzymać porównanie. Bo kiedy Jezuita na nadto może mało oglądając się na wzory zachodniej Europy, żyli głównie literaturą i językiem dawniejszych wieków: Pijarzy nadali piśmiennictwu i językowi zupełnie cudzoziemski, a więc fałszywy kierunek, z którego w tym dopiero wieku potrafilśmy się, otrząść. Niechcemy bynajmniej ujmować wartości pojedynczym politycznym, prawniczym, historycznym, lub ściśle nauki na celu mającym pracom Konarskiego Macieja Dogiela, Teodora Wagi, Wincentego Skrzetuskiego, Michała Krajewskiego, Teodora Ostrowskiego, Szymona Bielskiego, Bonifacego Jandzila, Onufrego

Kopczyńskiego; ale ktoś nie wie, że Pijarzy, oglądając się głównie na francuzeszyzną, tłumacząc się i dobre byle z Francyi pochodziło, przekładając na język nasz: Mahlego, Woltera, Monteskiego, Saige itd. lub przeraabiając tameczne często liche historyczne, filozoficzne, filologiczne dzieła, dali popęd do naśladownictwa literatury *francusko-klassycznej*, która sama była naśladowaniem zmarłego rzymskiego klasyceyzmu, i narzucili językowi tok i składnią francuską, zamiast zwrócić uwagę na obfitą krynicy polszczyzny w złotym wieku. Był to więc nie *postęp* ale tylko zwrot nie na swojskich oparty żywiołach! Zdaje się jakoby padło na naród przekleństwo: „Jesteście francuzami w filozofii i w obyczajach, bądźcież ich niewolnikami w piśmiennictwie i w języku! — przystaliście do cudzych Bogów, niech, że się wami opiekują we wszystkim!” — Dziwić się trzeba, że nawet pisarze co wykazali najdobitniej niedołężność i szkodliwość tego kierunku, który mniej więcej dopiero od r. 1890 stanowczo przełamano, mimo tego nie przestali sławić zasług Pijarów około oświaty i piśmiennictwa, zapominając że oni byli głównymi dźwigniemi onego kierunku: co właśnie dowodzi: jak trudno jest otrząść się z długoletnich uprzedzeń. — Najwięcej zaś uciierpiała na tem oczywiście strona religijna i ta też jest najsłabszą w dziełach pijarskich. Dość przytoczyć np. *Dzieje i prawa Kościoła Polskiego* Teodora Ostrowskiego, gdzie rażą często najniezgodniejsze ze zdrowemi katolickimi wyobrażeniami i kościelną nauką zdania i wyrażenia. Dość przypomnieć: że pijarscy księża, kaznodzieje, publiczni nauczyciele i pisarze jak np. Maciejowski, Konstanty Wolski i Franciszek Dmúchowski, zrzućali bez skrupułu zakonną suknię, i jak się wyraża z najzimniejszą krwią Feliks Bentkowski ¹¹⁷⁾, „wzdychając za swobodą familijnego pożycia

¹¹⁷⁾ *Historja liter. pol. T. I str. 493. 562.*

„*szukali ośłody i szczęśliwości w małżeństwie.*” — Przykro czytać w życiorysie Dmóchowskiego skreślonym od szwagra jego ¹¹⁸⁾ jak naprzód będąc Pijarem sekularyzował się i był proboszczem w Piątku w Wielkiej Polsce, następnie opuściwszy kraj, walał się po Paryżu roznosząc na sprzedaż niedorzeczne broszury republikańskie, a po powrocie do kraju, zapomniawszy zupełnie że jest kapłanem, żył długo publicznie z Izabellą Mikorską wziął z nią potem ślub za *pozwoleniem rządu Pruskiego w zborze protestanckim* i wydał, pod imieniem swego godnego w tem kolegi i poprzednika Konstantego Wolskiego, bezecną broszurę pod tytułem: „*Ksiądz małżonek nic nowego, nic dziwnego*”, aż nareszcie uchodząc ze zgorszonej Warszawy, nagle w 1808 zycia dokonał. — Do tego szeregu zeświatowiałych Pijarów należy i ów *Truskolawski* wsławiony podłemi zyskami jakie ciągnął długo z pośrednictwa miłosnych intryg w stolicy, i który będąc pierwszym guwernerem młodego Szczęsnego Jerzego Potockiego, głównie się przyczynił do skazenia jego młodości, i sam potem umarł na brzydką chorobę ¹¹⁹⁾.

Nic więc dziwnego że w XVIII wieku, pośród powszechnego zepsucia, do *Jezuitów* garnęło się wszystko co pałało jeszcze duchem katolickim i że najpierwsi w ojczyźnie mężowie pod ich nawet znakami pragnęli być jej użytecznymi. Tak widzimy np. między innemi: *Mikołaja Trzebińskiego* jeszcze w r. 1757. Kasztelana Bieckiego, zostającego Jezuitą i otrzymującego święcenie w Brzozowie w 1763 od ówczesnego Biskupa przemyskiego Michała Wodzickiego; tak *Marcin Zaluski*

¹¹⁸⁾ T. 4 Pamięt. Jana Dukla. Ochockiego, Wyjątki Pamiętników bezimiennego Podolanina, Wyd. Józ. Kraśnowskiego. Włao 1857. od str. 322 do 312.

¹¹⁹⁾ Pamiętnik Chrzęszczowski go tamże str. 266.

sekretarz koronny szufragan i dziekan Płocki, opat Sulejowski, synu Alexandra Wojewody Rawskiego a brat rodzony Biskupa krakowskiego Andrzeja Stanisława, wstąpił także do Jezuitów w Rzymie (18 lutego 1763) mając już lat 64, i założył im w ojczystym majątku *Kobyłce* (pod Warszawą) wspaniały kościół z rezydencją, gdzie sam jako przełożony tamecznej Missyi umarł 11 lipca 1768.

Godną wspomnienia jest i owa szlachetność jaką Jezuitzi okazywali zawsze najzaciętszym swym przeciwnikom. Tak gdy umarł w 1773 Stanisław Konarski przejeżdżany z Kościołem, odprawiali za niego Jezuitzi w pijarskim kościele solenne nabożeństwo, na którym jak świadczą współcześni, śpiewał sumę słynny królewski kaznodzieja z Tow. Jezusowego Sebastian Lachowski¹²⁰⁾ a kazanie miał ksiądz Zachariasiewicz z tego towarzystwa, sławiąc wymownie to wszystko co w życiu i pismach zmarłego było chwalebne. Powiedzmy śmiało i w brew ślepyim uprzedzeniom i nienawiściom: że i to towarzystwo nie uszło pod względem cywilizacyjnym powszechnemu ówczesnemu pochyleniu, to przecież spóźniło ostateczną katastrofę, utrzymując długo i gorliwie religijnego w narodzie ducha, i że je, jako ostatniego swego i najdzielniejszego przeciwnika, wymazały przemagające namiętności z rzędu żyjących w tej samej właśnie chwili, kiedy dokonywały wielkiej krzywdy narodowej.

Przekonawszy się zaś do sytu jakie niszczące robaki toczyły w XVIII wieku, drzeń polskiego państwa, ła-

¹²⁰⁾ O nim to napisano ów wiersz zaszczytny, przytoczony od Karpińskiego w pamiętnikach na dowód jakich ludzi król Stanisław August nadgradał:

„Lachowski prawdę mówił, jest tylko plebanem

„Naruszewicz podulał: biskupem i panem!”

twiej wytłumaczmy sobie jego upadek, bo jakież owoce może wydać spruchaiałe drzewo? Nieszczęsne te owoce dają się we znaki podziśdzeń w tak szeroko-władnej jeszcze religijnej obojętności, mimo tylu uderzających nauk, doświadczeń i ostrzeżeń, w onym namacalnym braku gruntownego, na katechizmie opartego wychowania; w owój rażącej niewiedomości pierwszych prawd zasadniczych w pisarzach rozprawiających z piętą o dziejach, literaturze i prawodawstwie; w onem prostodusznym zdziwieniu lub widocznym oburzeniu jakie wzbudza świeckie mianowicie pióro skero przedstawia w poważnym świetle stronę religijną, i oświeci nią przeszłość a wytknie bez ogródki ujemność w tym względzie dzieł powszechnie wziętych, któremu więc zarzucą nieochybnie stronność, lub zaciemniające prawdę dążności i uprzedzenie.

To dobre co zostało po tylu burzach, winniśmy głównie przechowanym w domowych zakątkach średnich najbardziej warstw społeczeństwa, podaniom i rodzinnym przykładom, mianowicie płci słabszej, która w tém właśnie mocniejszą się pokazała, i której sławny wojownik trafnie, lubo nie nader pochwlebnie dla męskiej części narodu, oddał słuszość, gdy rzekł przeznaczonemu w pierwszych latach tego wieku do Warszawy posłowi: „*Vous allez dans un pays où les hommes ne sont rien et où les femmes sont tout*“. — Jużby czas zaiste zadać fałsz temu sądowi!

MAURYCY DZIEDUSZYCKI.

DWA DOKUMENTA

ODNOŚNE

DO ZESZŁOWIEKOWYCH BZIEJÓW ZIEMI SANOCKIEJ

z epoki przed-pacyfikacyjnej

(rok 1734 i 1735).

Cette armée (rasse) sans argent, sans crédit et dépourvue de tout, se trouvait forcée à vivre de brigandage: et d'ailleurs, par quelle discipline contenir toutes ces nations du Nord de l'Asie, ne connaissant d'autre guerre que la dévastation, ne recevant d'autre solde que le pillage, les uns habitués à mener en main deux chevaux destinés à emporter le butin, les autres nuds comme les sauvages et en ayant les mœurs et la férocité? (Cl. Rulhière: *Histoire de l'anarchie de Pologne*. Paris 1807. Tome I. page 257 et 258).

Pożytecznem jest usiłowanie ogłaszania drukiem pozostałych dotychczas w rękopisie jeno zabytków przeszłości; takich zwłaszcza, co się do okoliczności krajowych odnoszą. Bogdajby każdy posiadający, jak się to

często zdarza, skarbczyk podobnych pisanych pomników obywatel, zrobił z nich ochotnie właściwy użytek, udzielając ich treść wiadomości powszechnéj; a z czasem skupiłyby się ztąd i z owąd rozpieczętłe a drobne wrzkomo szczegóły w jednolitą całość dzieła poważnéj osnowy dziejowéj. Zauważyć jednak wypada: iż nie każdy z minionych okresów wymaga koniecznie pojaśnienia dotyczących okoliczności; nowo przybieranym materiałem historycznym, że owszem niejedna doba w dziejach b. Rzeczypospolitéj n. p. jest już dostatecznie zbadaną przytoczeniem wiadomości z wielolicznych źródeł powziętych; — gdy przeciwnie inne ustępy z ubiegłego życia narodu nie są jeszcze piórem z lekka dotknięte. O zastąpienie tedy białych kart w księdze zapisków wydarzeń ówczesnych chodzić powinno wszystkim, którzy czują pochoch i mają możność do podsilenia wątki zasobów historii ojezystéj. Nie jeden na téj drodze zebrany szczegół, oceniony pod względem swojej wartości naukowej, zdawać się wprowadzić może będzie surowym krytykom, mniej cennym co do donośności politycznéj; lecz bądź co bądź odsłania on wszakże często zajmujący widok na dawny żywot publiczny narodu, — a niekiedy także na jego obyczajowość. Czynimy ową wzmiankę ku łączniejszemu wyrozumieniu pobudek niniejszégó publikacyi.

Gluchą a niepoczesną epoką w nowszych dziejach Rzeczypospolitéj, są czasy panowania Augusta III (od 1733 — 1764 r.) Polska była nately w zaiste smutném położeniu. Brak równowagi w organizmie i rządzie Rzeczypospolitéj, — nieład w administracyi — intrygi w kole reprezentantów narodu, podługane usilnie złotem i wpływem zagranicznych mocarstw, oto szereg przyczyn wprowadzających Polskę na zewnątrz w najzupełniejszą bezwładność. Nic więc dziwnego, iż w obec takich okoliczności, rzeczywistymi panami w Polsce

naówczas byli: posłowie i przywódcy wojsk przemożnego ościennego państwa.

Miedzy wstąpieniem na tron Augusta III, a chwilą całkowitego uśmierzenia wynikłych z tego powodu w narodzie niesnasek, leży okres tak zwaney *pacyfikacyi*, czyli uspokojenia Rzeczypospolitej *) — okres bolesny wspomnieniem pierwszej migracyi Polaków na Sybir i w szeregi rosyjskie!!!... Ukojenia tego dokonał August za pomocą wojsk własnych elektorskich, tudzież armij cudzoziemskich, obozujących tym celem w Polsce. Posiłki rosyjskie, zjednało mu, jak wiadomo, uprzednie i bezwarunkowe zrzeczenie się z jego strony wszelkich roszczeń do księstwa Kurlandzkiego na rzecz dworu petersburskiego. W ślad téj koncessyi posunęła Rosya, by udaremnić lub raczej unieważnić obiór króla Stanisława Leszczyńskiego, a utrzymać na tronie Augusta, którego wybór nastręczał jęj pod wielu względami niepoślednie korzyści; posunęła, mówim, wojska swoje w sile kilkudziesiąt tysięcy, równocześnie z wkroczeniem Sasów do Krakowa i Wielkopolski, — w głąb krajów Rzeczypospolitej w dwu oddziałach. Podczas albowiem gdy jeden korpus pod dowództwem jenerała Lascy, po zajęciu Mazowsza i Warszawy, i przywiedzeniu do skutku elekeyi Augusta III w jesieni 1733 roku, dobywał łącznie z flotą rosyjską i Sasami, od 17 stycznia do 7 lipca 1734 roku Gdańska, kędy się zawarł był król Stanisław; pod ten sam czas właśnie inny korpus Rosyan pod przywództwem jenerała-porucznika księcia Rzeskiego Ludwika Hessen-homburskiego wkroczył na Ukrainę,

*) K. Chojecki, w dziele: „*Polak Konfederat przez Moskwę na Syberyę wprowadzony*“ (Warszawa 1790. 8.) powiada: że za jego bytności na Sybirze, znajdowali się tam jeszcze Polacy, którzy niegdyś w partyi króla Stanisława Leszczyńskiego wojskowo służyli, zajęci zostali od Rosyan w niewolę wojenną, i zesłani na Sybir, kędy wcielono ich gwałtem w szeregi rosyjskie.

Padole i Wołyń od strony Kijowa. Wojska tego korpusu świeżo przybyłego od granic węgierskich, zabawiały się przez przeciąg całoroczny (r. 1734) dobywaniem miast i zamków w Czerwonéj Rusi, zwłaszcza Brodów, Zbaraża, Stanisławowa i t. d. póki sobie nie założyły nakoniec stałej głównej kwatery we Lwowie. Należąca do tegoż korpusu brygada jenerała Keith, posunęła się bardziej na zachód do Jarosławia, Rzeszowa i Przemyśla, a nawet jeszcze dalej ku góróm i Wiśle. Część téj brygady, właściwie zapewne tylko oddział dragonów i kozaków rosyjskich, którym przywoził podpułkownik Tymierzow Nazarowicz, przybyła w grudniu 1734 r. na kwatery do Ziemi Sanockiej, i stanęła w samym mieście Sanoku.

Skutkiem tych wszystkich poruszeń skoro jak już rzekliśmy, Sasi zajmowali zachodnie strony, a Rosyanie północną i wschodnią część Rzeczypospolitej, ściśnięto się bardzo pole potrzebne na konsystencyą owej garstce Polaków, która zawiązawszy ostatecznie 5 listopada 1734 r. konfederacyą w Dzikowie pod marszałkowstwem starosty jasielskiego, Adama Tarły, królowi Stanisławowi wierną pozostała była. Ten nieliczny zastęp wojska narodowego i skonfederowanej szlachty napierany codziennie z wszech stron przez siły przemagające Rosyan i Sasów, musiał się cofnąć w jakoż takż obronę, bo zasłonioną przynajmniej z tyłu okolicę Podgórska, położoną za Krakowem na prawym brzegu Wisły ku Węgom; czyli w powiaty: Czechowski, Biecki, Pilźnieński, i w Ziemię Sanocką *). Celem takowej dyslokacyi wojska pol-

*) Stan owéj dyslokacyi wojska polskiego widoczny z dotychczasowego ustępu w umowie o rozejm między wojskiem narodowym a rosyjskiem który rozejm zawarty został później w Rzeszowie dnia 10 lutego 1735 r. Ustęp wspomniany opiewa: „*Quia nunc occupat exercitus Regni utriusque auctoramenti loca et Terras nempe: Sanocensem, Biecosensem, Pilanensem et Cierchevianensem (sic) ad*

skiego, było zachowanie się odpornie w owém stanowisku dopóty, dopóki by była jakakolwiek nadzieja utrzymania przy rządach króla Stanisława, a w razie gdyby się podała ku temu sposobność: rozpoczął na nowo z tej bezpieczniejszej pozycji rozpoczęto działania.

Z podobnych przechodów i stanowisk wojsk w ogółności wynikały dla kraju uciążliwości bardzo wielkie, ile że zarówno własnym jak i obcym wojskom winne były powiaty dostawić wszystkiego, czego tylko do wyżywienia i opatrzenia ludzi i koni potrzeba. Powiaty także musiały dostarczać nieustannie podwód do rozwożenia prowiantów i furazów po składach i stanowiskach. Można sobie wystawić: ile dręczącymi były podobne wymagania dla ziemian i włościan ubogiego kraju. Mimo to jednak potrafiło obywatelstwo, chociażby tylko w sensie ekonomicznym rozróżnić postępowanie wojska polskiego od postępowania wojsk cudzoziemskich. Polacy albowiem, ponieważ im przywodzili zwykle (zwłaszcza w pułkach narodowego autoramentu) szlachta posiadacze trapiła wyłącznie (acz złośliwie) dobra należących do partii saskiej obywateli i duchownych, tudzież miasta *);

*Vistulam usque, et Cracoviam versus; usdem stato induciarum spatio non movebit, nec Bachmetovianae *) phalangi, Russici exercitus partem facienti, cis Vistulam positae, nullatenus armistitii tempore stationes mutare licebit; praetorium autem exercitus Regni, abundantioris annonae causa, peditatu Zakliczynum progredi poterit. Victum et pabulatum paucis hinc induciarum diebus, unica in stativis suis conquirere studebit exercitus Regni, nec stationales limites transibunt pabulatores*“ (Tractatus de armistitio, concertato die 10 Februarii, anno 1735, Renssaviae; Articulus quartus. — Rękopis).

*) Les partisans de Stanislas ne renaient pas moins le royaume que les Russiens. Sous prétexte d'ôter à ces derniers tout moyen de subsister, ils mettaient le feu partout, et enlevaient tous les fourrages qui se trouvaient à la campagne (*P. Massuet*: „Histoire de la guerre présente“ Amsterdam MDCCXXXV pp. 141 et 142).

*) Bachmetów był generał rosyjski, dowodzący w r. 1734 w okolicach Krakowa.

ochraniając w zamian dobra ziemskie partyzantów króla Stanisława. Cudzoziemcy przeciwnie ochraniając nibyto adherentów Sasa, nie oszczędzali w istocie nikogo, dokuczając wszystkim prawie, a nadewszystko stronnikom Leszczyńskiego. Rosyanie zwłaszcza jak cytowany na wstępie, zawsze bezstronny dziejopisarz Rulhiere powiada, żyli wprost z grabieży a nawet z rabunku *)

Zajęcie tedy jakiego powiatu przez oddział wojska polskiego lub konfederatów, niesło mieszkańcom niejaka ulgę z powodu sympatyj dla jednej sprawy; w obec nie-miłosiernych extorsyj, których się dopuszczali naczelnicy oddziałów cudzoziemskich.

Wyszczególniono już: że w Ziemi Sanockiej stanął był na leże oddział brygady generała rosyjskiego Keith'a. Rzekło się oraz: iż tamże zostawała również na konsystencji część wojska polskiego utrzymującego partya króla Stanisława, tudzież pospolitego ruszenia szlachty w Dzikowie skonfederowanej. Widoczna ztąd: iż Ziemia Sanocka, acz mniejsza obszarem i lichszą glebą mająca od innych Ziem województwa ruskiego **), przecież

*) on vit dès lors le désordre et la confusion régner dans toute la Pologne, où l' on n' entendait parler que de pillages; de meurtres et d' incendies. Le général Lascei faisoit commettre, par ses troupes, des hostilités sur les terres des seigneurs affectionnés au roi Stanislas, et sur celles des Grands qui refusaient de reconnaître le roi Auguste. *P. Massuet*: ibidem; p. 141).

**) Ziemia Sanocka, najszczyplejsza z sześciu Ziem składających b. województwo ruskie, miała położenie w szerokości północnej od 48° 51' do 49° 52'; a w długości wschodniej (według południka paryzkiego) od 39° 21' do 40° 38'. Graniczyła na północ z Ziemią przemyską (powiat przeworski); na wschód z Ziemią przemyską (powiat przemyski); na południe z Węgrami (żupanstwa węgierskie, semneńskie i szaryńskie); na zachód z województwem krakowskim (powiat biecki) i województwem sandomirskim (powiat pilźnieński). Poziom Ziemi Sanockiej górzysty, z powodu rozciągającego się tąd od południa pasma gór pogranicznych *Beskidów*, wysłających w głąb terytorjum tej Ziemi pasma pomniejszych. Skut-

w owej dobie zmuszoną była ponosić *w dwóch* ciężar wojskowego zajęcia; albowiem nie tylko Polaków, ale i Rosyan opatrywać i żywić musiała. W istocie przerażała się mocno szlachta sanocka zawitaniem tych dwoi-

kiem tego położenia jest wyniosłość tła ciemnego znaczną i klimat ostry. Granta tylko dolnami i na pobliskich onym pochyłościach wzgórz wywdzięczając się za pracę rolnika jakim takim plonem. Stronnie góry powszechnie na las zapuszczone; krom wysokich a długich grzbietów, na których są wysmienite pasze. Ludność żywi się w przedgórzach a roli i thackiego przemysłu w górach zajmując się także rolnictwem, leśm lubi prowadzić hodowlę bydła i owiec. Zachodnie i północne strony (po lewym brzegu Sanu) zamieszkuje przybyłe niemiecocy i Szląscy od Kazimierza W, tu sprowadzeni, dziś prawie wszędzie do niepoznania popolszczeni; na wschodzie (po prawym brzegu Sanu) jest po najmniejszej części lud ruski. W górach nad granicą węgierską istnieją zabytki ludności wołoskiej, a Węgier tutaj niegdyś przybył, odróżniając się strojem i gospodarstwem od innych mieszkańców. Ta góraska ludność pierwotnie wołoska, jest dzisiaj wszelako już zupełnie zruszczona. W Ziemi Sanockiej nachodziło się podług taryfry z 1734 r. 445 miasteczek i włości. Z tych było 47 posiadłością królewsko-starościńską; 28 królewsko-tenutarską; 21 ziemsko-duchowną, a 351 ziemsko-prywatną. Były tu dwa miasta wolne królewskie (Sanok i Krosno) i jedno mia. to wolne biskupie (Brzozów) Sanok był znamienity *grodem*, w którym kancelarye i archiwa się mieściły, niemniej odbywaniem się tutaj sejmików roków sądowych. Krosno zalecało się szkołami jezuickimi i jarmarkami, Brzozów rezydencją biskupów przemyskich. W obrębie Ziemi Sanockiej mieściły się dwa starostwa: 1 Sanockie (grodowe) i 2 Krosnieńskie (niegrodowe). Niektóre tenuty były w ostatnich czasach także, lubo niewłaściwie *starostwami* zwane; stąd poszły tak nazwane *starostwa*: Haczowskie, Trzcielińskie itp. Terytorjum tej Ziemi odpowiada mniej więcej objętości dzisiejszego obwodu Sanockiego, prócz klucza Dobromińskiego, tudzież włości położonych na dorzeczu rzek Wyrwy i Wiary: co wszystko należało do Ziemi przemyskiej. Wtomiast zachodni korpus Ziemi Sanockiej nieco w każdej z ościennych dziś z nią graniczących obwodów. Tak n.p. należała do niej w obwodzie samborskim okolica Bieniowy; w przemyskim okolica Babis, w raczowskim okolica Jawornika; w jasielskim okolice Bładowy i Krosna. W wieku XVII siedzieli tu dobrzy ziemianie głównie: Firlej, Lubomirski, Wapowski, Bał, Giebułtowski, Ustrzy-

stych gości osobliwie Rosyan: zwłaszcza z początku póki oba przeciwne kontyngensy zachowywały się wzajemnie sobie aco bez wałnej bitwy, sposobem nieprzyjacielskim *), bo wtedy dłuższy pobyt ich w tej okolicy groził zupełnem wyczerpnięciem zasobów zbożowych i robotczych, co gorsza wydeptaniem spodziewanych pól i rozszarpaniem dobytków; owo zgola zniszczeniem gospodarstwa. Aliści pomijając zresztą wyniki wojenne, których się skutkiem co chwila obiecywanego rozajmowania mniej może obawiać trzeba było; lękała się najbardziej jednak szlachta nałożenia na ziemian ciężaru podwójnych poborów i dostaw, którychby na skutek mniej obfitych zbiorów, jak zazwyczaj w tej Ziemi praktykowanych, przez czas dłuższy dostarczać (uiszczać) nie zdołała. — Obawy te ziściły się najzupełniej.

Wśród wynikłego z nałożenia owych ciężarów ucisku, przeciw któremu czynione do naczelników rosyjskich przedstawienia nic nie pomogły, zeszło kilka tygodni aż też przecie w styczniu 1735 roku starszysza konfederacyi i wojska polskiego, pozbawionego nadziei utrzymania króla Stanisława na tronie Piastów, postanowiła u-

oki. Rylski, Stano, Górski, Maisszech, Grabkowski. Błeski, Wielecki, Wasilkowski, Dubrawski, Lipski, Orzechowski, Lonszyski, Ospełiński, Stadnicki, Humnicki, Ogiński, Grabiański. Długo z owych rodzin oprócz 10 mało śladu pozostawiało. Za to wpłynęło niemało szlachty innej po większej części z osiadłych po dobrach królewskich tenutaryuszów, oraz po rozbirości kraju, z nabywców królewskosynów w ogóle.

*) La situation de la Pologne ne pouvait être plus triste. La guerre y était allumée de toutes parts. Il n'y avait presque point de jour, qu'il n'y eût quelque action entre quelque corps de Polonais et des détachemens de l'armée Russe. Elle ne se passait pourtant jamais rien de décisif; on se contentait de se harceler, on n'attaquait même quelquefois de front; mais souvent après le premier choc celui qui avait du dessous cherchait son salut dans la fuite (*Mazowiec ibidem; p. 143*).

znać królem Augusta III. Miał tedy nastąpić rozejm kładący tamę poczynaniu wojennemu między narodowymi i zagranicznymi wojskami; — jakoż się w samej rzeczy szczerze z obu stron około zawarcia tego rozejmu krzątało szczerze. Szlachta sanocka ponosząca rzeczywistą zapadkę, a dojmującą jej do żywego ciężary wojenne; czekała niecierpliwie chwili, w którejby za pochopem pokojowych usposobień wojska narodowego i rozwiązaniem konfederacyi Dzikowskiej również i ona sama uznanie Augusta III królem polskim objawić mogła; dotąd albowiem, trzymana będąc przez oddziały wojsk obustronnych na wodzy, nie mogła, albo raczej nie śmiała się, w obawie doznania przykrych represaliów, na nieczyją korzyść oświadczyć: lubo sercem, podobnie wszystkim innym Ziemiom Koronnym, królowi Stanisławowi sprzyjała. Oczekiwała zaś, jak mówim z niecierpliwością pokojowych oświadczeń wojska polskiego; aby w ślad tychże objawiwszy poddanie się swoje Augustowi III mogła żywić skuteczniejszą niż dotąd nadzieję doznania folgi w nieznośnem podejmowaniu podwójnej załogi a zwłaszcza Rosyan naprzykrzonych. Ledwo zatem nieprzyjacielskie zachowanie się obudwóch wojsk ustało, gdy obywatelstwo Ziemi Sanockiej, korzystając z tak sposobnej chwili, poszło rada w radę: co zrobić wypada w tej okoliczności. Uradzono przeto zjechać się na sejmik partykularny do Sanoka, by czemprędziej środki skuteczne do zwalenia owych zbyt dolegliwych ciężarów obmyślić, — a naprzód wyjednać sobie przynajmniej ulgę w wybieraniu rozpisanych poborów, u generałów rosyjskich Keitha i księcia Hessehomburskiego. Sejmik ten odbył się rzeczywiście dnia 22 stycznia 1735 roku w Sanoku pod marszałkowstwem Józefa Stadnickiego, podczaszego sanockiego, kędy uchwalono wysłać w owym celu do wspomnianych generałów dwu posłów komisarzów, obranych z grona szlachty o-

siadłej w tej Ziemi. Jakoż obrano zaraz tych posłów w osobach dwu dygnitarzów sanockich: Kazimierza Bukowskiego, sędziego ziemskiego sanockiego; tudzież Jana Grodzickiego, skarbnika sanockiego, którym wręczono umyślnie na ten przypadek nakreśloną, podpisaną obecnego grona szlachty i pieczęcią starościńską, opatrzoną instrukcją *) w tych słowach:

Instrukcja

do Jaśnie Wielmożnego Jegomości Pana Generała-Majora Kieyta (Keith) Wielmożnym Ichmościom Panom Kazimierzowi Bukowskiemu Sędziemu Ziemskiemu i Jegomości Panu Janowi Grodzickiemu Skarbnikowi, — Sanockim; posłom i komisarzom Ziemi naszej Sanockiej, dnia 22 Januarii roku 1735 dana, — od nas uproszonym.

* * *

My urzędnicy i szlachta Ziemi Sanockiej, uprosiwszy z między siebie (sic) do Jaśnie oświeconego Xiążęcia Jegomości *de Hesseburg* (Hessen-Homburg) Wielmożnych Ichmościów Panów Kazimierza Bukowskiego Sędziego Ziemskiego i Jegomości Pana Jana Grodzi-

*) Autentyk tego, równie jak i poniżej domieszczonego dokumentu, posiada autor publikacyi w oryginale.

kiego Skarbnika, — Sanockich; posłów i komisarzyów
Ziemi naszej Sanockiej: ażeby jeszcze o klemenoyą
nad Ziemią naszą *funditus* zrujnowaną, w zachowy-
wanych w instrukcyi obszernój do Jaśnie oświecone-
go Xiążęcia Jegomości Hessemburg (Hessen-Homburg)
wyrażonych *) racyach (sic) tymże samym Wielmożnym
Ichomościom Panom Komisarzom lub jednemu z nich
zlecamy: ażeby u Jaśnie Wielmożnego Jegomości Pa-
na Generała-Majora Kieyta (Keith), mającego dyspozy-
cyą od Jaśnie Oświeconego Xiążęcia Jegomości *pro*
nunc w Ziemi Sanockiej, byli i upraszali tegoż Ja-
śnie Wielmożnego Pana Generała-Majora Kieyta (Keith)
o łaskawą dyskretyą: żeby z wyprawieniem exekucyi
do Ziemi Sanockiej zatrzymał się, ponieważ dopiero
dnia dwudziestego stycznia dyspozycya Jaśnie Oświe-
conego Xiążęcia Jegomości na prowianty i futorażo
nas. doszła; póki rezolucyi od Jaśnie Oświeconego
Xiążęcia Jegomości ciż Ichmość Panowie posłowie
i komisarze nieodbiorą i nam niedoniosą: jakową z ła-
ski, téj Jaśnie Oświeconego Xiążęcia Jegomości dyspo-
zycyi, odbiorą *in desideriiis nostris* rezolucyą. Józef
Stadnicki, podczaszy Sanocki w.r. Piotr J. Górski cze-
śnik Latyczewski w.r. Ludwik Urbański w.r. Jerzy
Cieszanowski w.r. Bogusław Błoński w.r. Zygmunt
Jaruntowski w.r. Paweł Przeczkowski w.r. Wojciech
Zambrzycki w.r. Stanisław Humnicki w.r. Michał G.
Niesiołowski w.r. Franciszek Jurkowski w.r. Antoni
Łaszewski w.r. Eustachy Orzechowski w.r. Alexander
Błoński w.r. Piotr Wisłocki w.r. — (Wycisk na opłat-

*) Tego dokumentu nie posiada publikujący.

ku pieczęci starosty Sanockiego: *Jerzego Augusta Wandalina z Wielkich Kończyc Mniszcha*. — z herbem *Siempiór*). — Filigran papieru: tarcza z mistrą księżką u wierzchu i krzyżem w herbie.

Snadź zachody w myśl powyższej, widocznie w roztargnieniu pisanéj instrukcyi u jenerałów rosyjskich czynione, nie odniosły pożądanego skutku; albowiem wnet po powrocie posłów, który nastąpił w miesiącu lutym 1735 r. zgromadziła się powtórnie w tym interesie szlachta dnia 3 marca na sejmik partykularay w mieście Sanoku, któremu ponownie marszałkował Józef Stadnicki, podczaszy Sanocki. Pod ten czas już nadeszła była wiadomość o szczęśliwie, bo w dniu 10 lutego t. r. przyśpiałym rozejmie, zawieszającym wzajemnie nieprzyjacielskie poczynanie polskiego i rosyjskiego oręża. Biorąc stąd pochop, uradziło obywatelstwo Ziemi Sanockiej, wyprawić jeszcze raz w ten trop tych samych co przed tém komisarzów do jenerała księcia Hessenhomburskiego z prośbą: o czémprędze rugowanie na podstawie zaszłego rozejmu, już niepotrzebnego kontyngensu rosyjskiego, z Ziemi Sanockiej; a przynajmniej o danie skutecznej folgi w wymogach wojennych. Przytem polecono także usilnie posłom: aby się dopraszali o wypuszczenie na wolność Ignacego Leszczyńskiego, ziemiani na sanockiego, przyaresztowanego z niewiadomych powodów w głównej kwaterze rosyjskiej we Lwowie *)

*) Ignacy Leszczyński, szlachcie poseszyony z Ziemi Sanockiej *) zostawał w więzieniu u Rosyan w r. 1734 i 1735 w ich

*) Rodzina Leszczyńskich dziedziczyła w pierwszej połowie XVIII stulecia w Ziemi Sanockiej wódcę: Zboiska, Wolica, Pakoszówka, Juryowie część Włostka, Progow wielki i mały, Lalin, Sereńcie, Raczkowa, Krzemionka, Wilczy W., Wydrna.

Po zstwierdzeniu więc uprzednio zrobionego w osobie wiadomych dwu dygnitarzów wyberu, wystosowano i wręczono im na ten przypadek z umysłu skoncypowaną instrukcją, która nie jak poprzednia, w nagłości i kufowym zgiełku, lecz niby z dyplomatyczną precyzją, zatem po formie skreśloną została. Zaleca ona się jak na owe czasy dyalektyką makaroniczną i ponętym szumem napuszystego krasosłowa. Osnowa jej następująca:

Instrukcja

Wielmożnym Ichmościom Panom Kazimierzowi Bukowskiemu Sędziemu Ziemskiemu Sanockiemu i Jegości Panu Janowi Grodzickiemu Skarbnikowi Sanockiemu: do Jaśnie Oświeconego Xiążęcia Jegomości Ludowika Landgraffa Hesseńskiego i dziedzicznego Xiążęcia Hessenhomburskiego, komendującego nad korpusem wojsk Jej Najprześwietniejszego Imperatorskiego Wieliczeństwa Generała-lejtnanta, orderu świętego apostoła Jędrzeja kawalera i Leibwardyi Prze-

głównej kwaterze we Lwowie z téj błachdy przyszyni: jakoby przechwalać się pewnym razem pokrewieństwem z królem Stanisławem, miałby być na Rosyan pęgróski: i przeto dał powód do złasnych obaw. Może być: iż obwiniony kiedyś tam wesoło się bawiąc z czerwień niepotrzebnem się odezwał, co nad areszt sięgać po; — ale to pewnością: iż pieczętując się herbem *Abdank* był jeno imiennikiem króla Stanisława, który jak wiadomo, używał herbu *Wieniaswa*. Podanie głosi: iż generał Hessenhomburg nie dał sobie żadną miarą wybić z głowy: iż pokrewieństwo pana Ignacego z królem Stanisławem było nie tylko rzeczywiste, lecz nawet bliskie.

abrażeńskie pułku majora; — uproszonym od całej Ziemi Sanockiej komisarzom; dana w Sanoku dnia trzeciego marca roku 1735.

* * *

Wziąwszy raz *pro primo praedicamento* Przświetna Ziemia Sanocka potwagę Jaśnie Oświeconego Xiążęcia Jegomości i przez uproszonych delegowanych *e gremio nostri* Wielmożnych komisarzów *desideria* swoje *cum prono venerationis demississimae cultu* exponowawszy, i teraz do łaskawego serca, wielowładnej powagi i protekcyi Jego Xiążęcej Mości głęboką godności Jego składa adoracyą. A ponieważ ta Ziemia nasza *ultimo loco* w województwie ruskiem, w ścisłych sytuacyach położona, co za pierwszą legacyą przez Wielmożnych komisarzów już było *plane remonstratum*, i między wszystkiemi Ziemiami najmniejsza i najuboższa, i od będącego dotąd polskiego wojska *in majori parte* bardzo zniszczona, *ullatenus* nie będąc *sufficiens* do wypłacenia dalszych miesięcy; *ultimos* prawie przykładając *conatus*: ażeby za przeszłe dwa miesiące *pro Januario et Februario hanc summam inopiam* do głębokiej *konsyderacyi* i wrodzonej wspaniałego serca dobroci Jaśnie Oświeconego Xiążęcia Jegomości *exponuje*, mając *plenam fiduciam* w respektach pańskich świadczonych: że jawną polskiemu światu, zwykłą sobie *klemencyą* do dalszej a prawie ostatniej ruiny Ziemi naszej *isó* nie dopuści, zwłaszcza pod ten czas,

kiedy od Najjaśniejszego Króla Jegomości Augusta Trzeciego, Pana naszego Miłościwego na przyszłe do województwa naszego sejmiki wydane są uniwersały powagą Samego Jaśnie Oświeconego Xiążęcia Jegomości przy listownej donuncyacji autoryzowane, za którymi *parendo nutibus* Najjaśniejszego Pana, cała Ziemia nasza życzy sobie *congregari*, byle tylko impedymentem do tego przyszłego sejmikowego *congressu*, na terażniejszy marcowy miesiąc ogłoszona przez Jegomości Pana Nazarowicza Tymerczów, podpułkownika wojsk rosyjskich pod komendą Jaśnie Oświeconego Xiążęcia Jegomości zostających, nie nastąpiła do wypłacenia solucya, która téj ubogiéj Ziemi, między wszystką szlachtą wielką przyniosła konsternacyą i przychylnych Majestatowi Pańskiemu wiernych poddanych zwałiła serca, chcącym (sic) obstawać przy dostojenstwie Jego Królewskiej Mości Pana Miłościwego, — aby do ostatniej w téj Ziemi nie przyszli pressury. A ponieważ Ziemia nasza podała taryffę na dymów 60 *) przez Ichmościów Panów komisarzów, w której jest *factum*: że dwóch dymów przez éwiartki nie dostaje; zatem Wielmożnym Ichmościom Panom komisarzom od nas uproszonym zleciliśiny: aby od całej Ziemi naszej expostulowali kleineneyi Jaśnie Oświeconego Xiążęcia Jegomości Dobrodzieja: *ut a ne-
xu* tych dwóch dymów solucyi *liberari* mogła; nie mając *ullum modum* do wypłacenia tylżże dymów.

*) Ma się rozumieć: „na 60 potarów, które podymnemś swano.“

Tudzież suplikować mają: aby Jegomość Pan * podpułkownik Tymereśów Nazarowicz *non modico sumptu* i z ludźmi tu będącymi sustentowany, z Ziemi naszej za ordynansem Jasnie Oświeconego. Xięcia Jegomości ustąpić raczył, którego na czas dalszy tak zubożała Ziemia sustentowaćby nie wystarczyła. Zalecamy oraz *curas et sollicitudini* tych Ichomościów Panów komisarzów naszych, interes Jegomości Pana Ignacego Łaszczyńskiego, ziemianina naszego, *nescitur quo fato* mającego się znajdować we Lwowie przy komendzie Jasnie Oświeconego Xiążęcia Jegomości obligujemy *eo cu matino*: że teraz *ad optatam* wszyscy *una cum corpore* wojska polskiego przystępują *unionem*. Józef Śladnicki w.r. Jerzy Bukowski w.r. Michał z Hoczwi Bał w.r. Wojciech Zambrzycki w.r. Stanisław Humnicki w.r. Jakób Jaworski w.r. Jan Orzechowski w.r. Adam z Hoczwi Bał w.r. Stefan Sowiecki w.r. Piotr Wisłocki w.r. Józef Rojewski w.r. Franciszek Wisłocki w.r. Eustachy Orzechowski w.r. Andrzej Wisłocki w.r. Franciszek Czerkaski w.r. Wawrzyniec Xawery Marecki w.r. Stefan Fredro w.r. Jan Osuchowski w.r. Piotr J. Górski w.r. Alexander Zaleski w.r. Franciszek Jurkowski w.r. (Wycisk na opłatku pieczęci starosty Sanockiego: *Jerzego Augusta Wandolina z Wielkich Kończyc Mniszcha* z herbem *Siempiór*) Filigran papieru, — w półarkuszu po lewej stronie: *cyfra F. V.*; w półarkuszu po prawej: *tarcza z koroną u wierzchu i herbem Rzeczypospolitej*.

*) W dokumencie użyto węgierskiego, gdzie po a lub o następuje m albo n. nosowych głosek q i g; n. p. Pan, Ziemia.

Zabiegi powyższe u jenerała dowódcy księcia Hesenburskiego, nie zjednały wprawdzie ile wiadomo natychmiastowej ulgi mieszkańcom Ziemi Sanockiej; gdyż wojska rosyjskie jeszcze przez pewien czas zostawały tam w stanowisku. Co się wszelako tycze niewinnie we Lwowie więzionego obywatela Ignacego Leszczyńskiego; ten został wypuszczony na wolność! Jakkolwiek chcieć sądzić o owych krokach ziemian, to arcy pewna: iż lubo na jednej i drugiej deputacyi Ziemia Sanocka mało zyskała, skorzystali wszakże przy tej sposobności panowie komisarze ~~postarawazy się~~ w komendzie rosyjskiej przynajmniej o libertacyę dla swoich własnych majątności od exekucyi zaległych poborów i dostaw *).

Tym trybem wracały jedne po drugich województwa i Ziemie w Koronie do normalnego stanu, politycznego nicestwa na skutek zawarcia pokoju w r. 1736, kolejno mocą stypulacyi przez którą rzekł się król Stanisław prawa do rządów w Polsce, uznawając królem polskim Augusta III. Jeszcze atoli wojska cudzoziemskie stojące w kraju załogą przypominały czas jakiś dokuczliwością swojego pobytu i nasróżoną postawą świeżo minione wypadki dopóki nareszcie na sejmie roku 1736 zaszłym tyle upragniona powszechna *pacifikacya* nie nastąpiła, która acz nie wprawiła w ład Rzeczypospolitej zażegnała w niej za to spokój przez lat trzydzieści prawie nieprzespany i głęboki.

*) Te libertacye są znane, i piszący miał ich kilka w ręku.

UWAGI

o nadoczyuszowaniu i uwłaszczeniu

WŁOŚCIAN W KRÓLESTWIE POLSKIM.

W pośród ogólnego zajęcia jakie nie dziw, że budzi w całym kraju kwestya mających się urządzać stosunków włościańskich, największe jednakże zajęcie i ścieranie się rozmaitych zdań i opinii, wywołała ona pomiędzy właścicielami mniejszych posiadłości. — Z pozycyi naszej towarzyskiej, w mniej częstych ze stolicą mogąc być stosunkach, mniej pewne a rzadsze mając wiadomości o tem, co się tam o nas radzi i dla nas przygotowuje, kontentować się musimy tem, co do nas wieść nie zawsze pewna doniesie. Smutna to rzecz żyć w takiej niepewności, zwłaszcza w kwestyi w której przy najpomyślniejszem nawet jej rozwiązaniu, nigdy korzyści dla siebie spodziewać się nie możemy. — Owszem zawsze doczasowo przynajmniej, straty mate-

ryalno a kłopoty i udręczenia ze strony moralnej dla siebie widząc, nie możemy inaczej tej kwestyi uważać, tylko za konieczność, której jako z materyalnym naszym interesem niezgodnej, nie tyle sobie życzyć, jak raczej dla dobra ludu jej uleść, i pewne ofiary ponieść nam wypada.

To też wszystkie o tej kwestyi dyskusye, wszystkie ścierania się zdań najrozmaitszych, około jednej że tak powiemy obracają się osi. — Nie idzie nigdy o to aby uniknąć, lub czy uniknąć można tej gwałtownej społecznej przemiany, bo rzecz pod tym względem acz jeszcze nie dokonana, nabrała jednak powagi dokonanego faktu, — ale idzie o to, by w wykonaniu obrano jak najratniejże środki. — Trafność ta jak zawsze i we wszystkim, zależy od doboru ludzi, którzy decydować mają nie tylko o losie dwóch klas głównie interesowanych to jest Włościan i Dziedziów, ale o przyszłości całego narodu, zawisły tak bezpośrednio od rozwoju tego nowego rzeczy porządku. — Dosyć już u nas o tej tak ważnej kwestyi pisano, więcej jeszcze gada się ciągle po rozmaitych kółkach wszelkich oddzieleniów towarzystwa. — Rozmowy te i pisma nie zostają bez pożytku. — Wykazują one często jak wiele jeszcze kwestyj podrzędnych w tej tak ważnej rzeczy, oczekają dokładnego rozbioru. — Weźmy z nich jedną.

Nikt dotąd publicznie nie dotknął tego niezaprzeczonego wszystkiego iane poprzedzić winnego pytania, z jakiego stanowiska społecznego najwłaściwiej wzięci być powinni ludzie, jeśli nie do wykonania, to przynajmniej do rady w tak ważnem dziele. — Wykonanie w każdej, coż dopiero w tak przeważnej sprawie, powinno być skutkiem długiej i głębokiej narady; trzeba więc czynność jedną od drugiej zupełnie oddzielić. — Wykonanie musi być powierzone ludziom fachu to jest urzędnikom. — Do rady zaś, powinni oni, bacząc na

odpowiedzialność jaka ich czeka przed sądem potomności, przyzwać ludzi najlepiej kraj i jego potrzeby mających, i że tak powiem z ludem o którego idzie zrębnitych. — Lud bowiem nasz jako w zupełnej jeszcze małoletności umysłowej będący, sam o sobie radzić nie może... Musi on mieć nie tylko opiekuna, jakim jest władza Rządowa, ale i przedstawiciela wiernego swych potrzeb tak moralnych jak materialnych; przedstawiciela znającego dokładnie skłonności ludu złe i dobre, a stąd nie ludzającego się zwodniczej filantropii teoriami, ale sumiennym sądem oceniającego, co dla tego ludu jest istotnem dobrem tak w położeniu jego obecnem jako też we względzie tej przyszłości, do której, zawsze w zgodzie z jego charakterem, naturą, zdolnościami, a nawet i z jego przeszłością kierować go wypada. To jest właśnie to ważne i wzniosłe stanowisko, jakie właściciele ziemscy zając by tu powinni, ohok popierania interesu współziemian, którego również spuszczać z oka niepodobna. — Kto się tylko gruntownie chciał zastanowić ten pojmie, że prawdziwe i istotne dobro Dzieńdźców, zależy głównie i przedewszystkiem od rozsądnego a stanowczego zaspokojenia rozbudzonych żądz ludu. — [Z żądzami temi dziś sprawa jest zbyt trudna, bo jednocześnie rozsądnie je ograniczać i zadawałaias potrzeba. — Aby z tak trudnego położenia wybrać szczęśliwie, trzeba trochę większego wrobienia się w życie praktyczne, trzeba trochę większej znajomości ludu i szlachty, jak go mieć mogą urzędnicy po miastach i ciągle przy swoich biurach siedzący. — Dwa więc elementy składałoby powinny władzę mającą w kwestyi zmiany stosunków włościańskich decydować, element Rządowy i obywatelski. Uznał tę prawdę Mąż stanu, zaufaniem Monarchy naszego zaszczycony, mający przewodniczyć w tem dziele. — Wiemy bowiem z ust wiadomych, iż ten Wysoki Urzędnik kazał nas zape-

wnie, iż nie o nas bez nas nie postanowi. — Wiedząc że roznieśiona po kraju, zjednała mu między nami zaufanie oparte na widnej sprawiedliwości jego charakteru, tej najważniejszej dla nas rękojmi. — Znaną są zasługi i zdolności tego Męża, lecz jakkolwiek wielkie i wsparte doświadczeniem, ale na innych prowincjach ogromnej Monarchii nabytem i u nas nie zawsze zastosować się dającym, nie podniosły by go tak wysoko w oczach obywateli kraju, nie zjednałyby święto do nas przybyłemu, takiego rozgłosu w opinii, jak to proste oświadczenie dane tym co mieli szczęście zbliżyć się do niego. — Chętnie tem oświadczeniu wierząc, tem chętniej spełnienia obietnicy wyglądając, zdaje się że jest jeszcze na czasie słów kilka w tej materii powiedzieć.

Wierzmy, powtarzamy, w najlepsze zamiary i chęć takiego jak go mamy wykonawcy woli Monarszej. — Ufamy że będzie chciał i umiał użyć na korzyść kraju zaufania jakie posiada. Lecz święto przybyłemu, kraju naszego nieznającemu, któż potrzeby, charakter i naturę ludu i salachty dał poznać? Czy ludzie? Tego nie wiemy którzy i jacy, byśmy mogli spokojnie zaufać, że jest dobrze poinformowany prywatnie, gdy nikt na innej drodze jeszcze o to pytany nie był. — Czy pisma publiczne? Wątpimy bo nie były tej treści. — Rozbieramy choć pobieżnie ważniejsze jakie dotąd się w kwestyi tej ukazały.

Dwa obszernie dzieła w języku polskim za granicą przed kilką laty jednocześnie prawie wydane, acz bardzo szacowne, zajmowały się jedno udowodnieniem konieczności zmiany stosunku państwowego, drugie, rozbiiera trudności, jakie przeprowadzenie tej zmiany napotkać może. — Obadwa więc traktują teorię rzeczy jak żeby miały się spuszczać do ostatnich szczytów praktycznego jej rozwinięcia, było to bowiem wówczas

njeecz zawczesne, — Pominawszy zaś rozmaite artykuły, po rozmaitych pismach publicznych od lat kilku niejako dla przysposobienia umysłów ogłaszane, zapomniało potem przez czas jakiś milczenie, bo rzecz zdawała się jeszcze odległa. — Dopiero w tym roku pierwszy hr. Uruski otwarcie i jawnie wypowiedział myśl swoją, myśl uwłaszczenia Włościan, bezwątpienia przez ogół kraju najwięcej podzielaną. — Ale na nieszczęście ograniczając się tylko na wypowiedzeniu tej myśli, zbyt słabo ją poparł a to w broszurce swój pod tytułem: Wola i Niewola w pracy. —

Broszurka ta jest zebraniem w jeden zeszyt, rozrzuconych po różnych pismach powyż napomkniętych artykułów ; — jest obietnicą obszerniejszego rozbioru przedmiotu tak żywotnie kraj cały interesującego ; — jest nakoniec (czego bardzo żałujemy) zestawieniem kilku mylnych pewników jakiegóś ekonomii politycznej, z którą trzeba by nam się dopiero zapoznawać, gdyby hr. Uruski był raczył autora wymienić. — Innej wartości odszukać w tej broszurce nie można, i jak się zdaje sam autor większej wagi do tej publikacyi nie przywiązał, uważając ją tylko jako zapowiedzenie obszerniejszego dzieła, które nam w 4 tomach a co szczególniejsza i w pięciu w razie potrzeby obiecuje. Idąc dalej za porządkiem chronologicznym w tych świeżych pracach, napotykamy artykuł korespondenta *Czasu* z Warszawy w numerze 183 tegoż pisma umieszczony, będący tylko sprawozdaniem, jak na drodze urzędowej postępuje interes zmiany stosunku pańszczyźnianego i regulacya nowa sądownictwa. — P. Maurycy Krasiński w numerze 166 *Czasu* pisząc tylko w odparciu zarzutów przez hr. Uruskiego Towarzystwu Rolniczemu Galicyjskiemu zrobionych, głównej kwestyi całkiem nie dotykał. — Hr. Wodzicki w *Dodтку do Czasu* z miesiąca lipca r. b., a Xiądz Szpaderski w *Króńwie wiadomości*

małoi krajowrych i zagranicznych, w artykule w jednym z numerów przeszłego miesiąca umieszczonym, oświadczyli się tylko za myślą główną hr. Uruskiego głębiej jej ocenienie zapewne do wyjścia zapowiedzianego dzieła zostawiając. — Myśl główna jaką wyznał publicznie hr. Uruski, jak również wywołanie przytoczonych tu dwóch ostatnich pięknych i poważnych artykułów, są dotąd jedyną jego zasługą. — Nam idzie o to, by myśl tak zbawienna nie obumarła, i dla tego nie wdając się bynajmniej w rozbiór broszurki, wdzięczni hr. Uruskiemu za ten dowód cywilnej odwagi, którym zbudził drżemiacą trochę u nas opinię publiczną, spokojnie czekamy zapowiedzianego dzieła. — Dziś jawniej jak kiedykolwiek stoimy w kraju w tych dwóch, obozach, na jakie nas słusznie hr. Wodziecki podzielił. — W którym obozie jest więcej istotnych właścicieli ziemskich, jedynych rzeczywiście interesowanych, a w którym więcej fałszywych, zawsze tylko krzykliwych filantropów, lub też ludzi kraju nie znających, tego statystycznie z matematyczną ścisłością obliczyć niepodobna. — Czem więcej wszakże będzie się odzywać publicznie głosów w tym przedmiocie, tem się lepiej ta większość wyjaśni. — Dla tego zgadzając się z hr. Wodziekim na zastosowanie twierdzenia pana Guizota: rien de plus brutal qu'un fait, i na wypływające z niego twierdzenie, że jest nie pora do dyskusyi nad historycznym wywodem prawa o własności gruntów włościańskich; — przyznając mu zupełną słusność, sądzimy przecież że nigdy nie jest za późno ani zbyt szalenie odzywać się w kwestyi tak ważnej, bo gdyby nawet czyn był dopełniony, co nie jest, to i tak publiczne wypowiedzenie myśli przez ogół podzielanej byłoby na swoim miejscu, jako mające już nie ten cel niemożliwy cofnięcia dopełnionego czynu, ale raczej cel wyświecenia kto się i w czem do tego dopełnienia przyczynił, i kto będzie za skutki przed

namdem potomności odpowiedzialny. — To jest celem naszym aczkolwiek nie tracimy nadziei osiągnięcia może celu głównego, bo chociaż podobno czyn jest bardzo bliski dopełnienia, jednakże jeszcze o tem dopełnieniu żadnych urzędowych wiadomości nie mamy. — Podzielone na dwa obozy zdania ścierają się głównie o to, co dla rolnictwa, dla dobra Włościan, Dziedziców, jak również dla ich wzajemnych między sobą stosunków będzie dogodniejszem, korzyści obustronne więcej zapewniającem: Oczynszowanie Włościan, czy ich Uwłaszczenie. — Zdaje nam się że zgodnie z hr. Uruskim będąc za tym drugim środkiem, jesteśmy w zgodzie z większością obywateli ziemskich całego kraju, i mieć za sobą powinniśmy opinię wszystkich samiecnych i poczciwych Włościan, łatwo mimo, jak to już powiedzieliśmy, małoletności swojej, mogących zrozumieć tak jasny swój interes. — Obywatele kraju w którym ma się odbyć ta wielka społeczna przemiana mająca tak przeważnie wpłynąć na byt nasz, równie pod względem moralnym jak i materyalnym, nie mamy dotąd żadnego urzędowego organu, za pomocą którego odezwać byśmy się mogli. — Widząc jednakże chociaż tylko z obiegającej po kraju wieści, ale wieści tak głośniejsze, że za publiczną wiadomość już uchodzić mogącej, iż Rząd krajowy tą razą na seryo o zmianie stosunków włościańskich zamyśla; gdy krok ten tak stanowczy, zbyt silnie, zbyt żywotnie nas dotyczy, niepodobna nam jest zostać milczącymi jego świadkami by nie mieć sobie kiedyś do wyrzucenia, że pomostawieni w interesie ziemiańskim na uboczu, przez skromność w tak ważnej sprawie występują, nie przemówiliśmy nigdy *pro domo sua*, to jest wyłącznie do właścicieli mniejszych posiadłości, i nie szukaliśmy tym sposobem wszelkich możliwych środków do odwrócenia klęski, jaka nas od lu-

dzi ze stosunkami kraju mniej obeznanym, spotkać może.

Dziś bowiem w społeczeństwie naszym pomiędzy właścicielami ziemskimi, odznaczają się widocznie trzy główne odcienia, trzy można powiedzieć, chociaż to na pozór zdaje się niewłaściwem, oddzielne zupełnie stanowiska. — Nie obojętną jest dla wykonawcy Najwyższej woli rzeczą, tem nie obojętniejszą dla interesu kraju, z którego stanowiska będą wzięci ludzie, mający w tak ważnem dziele potrzeby ludu i właścicieli ziemskich przedstawiać, i z krajem zapoznawać tego, któremu posiada nieograniczone zaufanie Monarchy. — Dla tego nim przystąpimy do wytłumaczenia się w kwestyi głównej, trzeba nam te trzy stanowiska wytknąć i dokładnie obejrzyć, by wykazać które z nich wytwarza ludzi, najlepiej celowi odpowiedzieć mogących.

Są w kraju naszym okolice, zwłaszcza bliższe stolicy, gdzie napływ obcych kolonistów, a nawet większych właścicieli, więcej przemysłowców jak ziemian, i fizyognomią zewnętrzną kraju przez fabryki odmienił i stosunki potrzeby tej części kraju, od stosunków i potrzeb bliższych okolic wyróżnił. — Co więcej w okolicach tych, Dziedzice li koniecznością fabryczną, lub nawyknieniem zkaąd inąd przyniesionem zagłeni, nie mogą w skutku istniejących przepisów rządowych uwzględnić swych włościan, ani pańszczyzny ze sposobem swego gospodarowania pogodzić, chwycili się czynszowania, takowe na dobrowolnych układach w majątkach swych przeprowadziwszy, korzystniej jak przepisy dla ogółu wyjęte mające dozwoła, żywią nadzieję utrzymania się przy swoich dobrowolnych układach i z tej już przy czyny, zasadę czynszowania popierają. Stanowisko w takim takich właścicieli ziemskich względem ludu jak nie jest czysto narodowe, tak też nie może im pomagać do poznania tego ludu. Co zaś do potrzeb wła-

ślciości, wyłącznie ziemian, których jest u nas liczba przewyższająca, tych zupełnie nie znają, bo u nich rola ta główna podstawa bytu materialnego polskiego właściciela, jest rzeczą podrzędną, przemysłowi fabrycznemu poddaną, a przemysł ten i spekulacye handlowe są główną ich dźwignią. — Dźwignia ta być może że ich przy pomocy kapitałów i kredytu doskonale dźwiga, ale jeszcze wieki upłyną, a może nawet nigdy do tego nie przyjdzie, aby ta dźwignia u nas ogółowi właścicieli ziemskich przystępną być mogła. — Nie potępiamy bynajmniej tym sądem, rozwoju fabryk, przemysłu i handlu, jaki od jakiegoś czasu w kraju naszym widocznie spostrzegać się daje. — Owszem właśnie jesteśmy ludziami, którzy na tej drodze nowych bogactw krajowi przysparzają, a młodzieży naszej obszernie pole do pracy otwierają. — Sądzymy jednak że kraj nasz z położenia swego politycznego i geograficznego nie powinien w tym kierunku zapuszczać się dalej, nad zaspokajanie potrzeb miejscowych i ułatwienie produkcji zboża, jako najnaturalniejszego źródła naszych dochodów. — Zostawmy każdemu tę sferę działalności w jakiej go Opatrzność postawiła. — Z tym porządkiem przyrodzonym dobrze było światu całemu, i gdyby się wszystkie narody sumiennie obrachować chciały, przekonałyby się pewno, iż na podkopaniu tego porządku nie wiele zyskały materialnie, a niewątpliwie pod względem moralnym straciły. — Korzystajmy ze skarbów w ziemi ukrytych, ale nie podporządkowujmy rolnictwa przemysłowi, bo to ani narodowy, ani nam właściwy kierunek. — Polacy, jesteśmy z położenia i nazwiska rolnikami. — Wszak imię nasze ztąd wzięło początek, a nawet nie jest to żaden przesąd, ale postać Szlachcica Polskiego jest jakoś nieodłączna od postaci Rolnika. — Nie zapędzajmy się za daleko w kierunku nam mniej właściwym. — Dzięki Bogu nie ma o to obawy,

bo to jest kierunek, tak mało zgodny z naszym narodowym charakterem i zdolnościami, że nigdy na tle czy-
sto narodowem za daleko rozwinąć się nie może. Nie
jest to zresztą naszym zadaniem w tem piśmie abyśmy
dokładnie mogli i chcieli rozbierać niewłaściwość tego
kierunku. — O tyle tylko dotknąć tej materii widzieli-
śmy potrzebnem, o ile wymagało dowiedzenie, że ta-
kiego rodzaju właściciele ziemscy nie mogą być za
większość uważani, i jako tacy o potrzeby ludu i
współwłaścicieli, w kraju jak nasz rolniczym zapyty-
wani.

Drugą klasę właścicieli składają u nas właściciele
wielkich posiadłości, mali liczbą, ale przeważni obszer-
nością posiadanej ziemi, i nie oddzielnym od przewagi
majątkowej wpływem moralnym, a to tak na współoby-
wateli, jak i na zwierzchników Władz Rządowych. In-
teres takich właścicieli uważanych jako rolników, cho-
ciaż wielu z nich rzuciło się zbytnie do przemysłu, zda-
je się na pozor być zupełnie zgodny z interesem mniej-
szych posiadaczy, tej trzeciej klasy pomiędzy właścicieli-
mi ziemskimi. — Zróbmy małe porównanie a po-
każe się, że w istocie rzecz się całkiem ma inaczej, i
że należy ich co do znajomości kraju i ludu, co do po-
trzeb i wymagań, rozróżnić. — Właściciele bowiem wiel-
kich posiadłości, acz niektórzy na innem polu ludzie nie-
pospolitych zalet, które kraj cały uznając, bije nawet
czołem przed zasługą tych, co znakomitością czynów i
poświęceń do tego hołdu prawa nabyli; są to jednak
ludzie ze stosunkami i potrzebami ludu nie dość że się
tak wyrazimy dotykalnie obznajomieni. — Znamy wpra-
wdzie wyjątki, ale jako o wyjątkach mowy tu być nie
może, a nawet wyjątki te, co do stosunków osobistych
z własnością, zupełnie w odmiennych od nas okoliczno-
ściach się znajdują a to z powodu: że jako posia-
dające wielkich posiadłości, nigdy przez siebie admini-

strować obywateli dóbr swoich nie mogąc, nigdy stosunków z właścicielami nie mając, tylko tyle do nich zbliżonemi będąc, ile użył przez nich rządzący i plenipotenci, zbliżyć się im do tego ludu dozwolili, jakże mogą być nawet posądzeni o to, że lud ten i potrzeby jego znają? — Z drugiej strony właściciele tacy, nigdy korzyści takich jakie z ziemi ciągnąć można z obszer-nych dóbr swoich nie osiągając, nie dziw że ustaleń w jakimkolwiek sposób dochodów z dóbr tych się kontentują, i kontentować się nawet mogą. — My zaś właściciele mniejszych posiadłości, pracą osobistą, bez kry- wdy ludu wiejskiego, stosunkowo z małych naszych kawałków większe mając dochody, i tych przy mnogich ciężarach potrzebując, w zbyt dużym tych dochodów obciążeniu, ruinę naszych majątków widzimy. — I kiedy właściciele większych posiadłości odstępają na korzyść ludu wiejskiego tylko to, co im po ustaniu państwa, niepotrzebni rządzący i plenipotenci zabierali, my odstąpićbyśmy musieli to, co przy mozolnej pracy, całą egzystencją naszą stanowi. — Że ta tak wydatna różnica między nami a naszymi możniejszymi współobywatelami jest rzeczywista, i nie ma w sobie nic nadciągłego, o tem jak najsumienniejszemu przekonani jesteśmy. — Mamy niepłodną nadzieję że po bezstronnem ocenieniu rzeczy, przy równej jak nasza o dobro ogół gorliwości, której im nie zaprzeczamy, przyznają nam słuszność Właściciele obu poprzednich stanowisk a nie dopatrując niechęci żadnej, któraby tutaj co najgrzeźniej małostką się nazywać mogła, zgodzą się na to iż daleko snadniej jest nam, jak im o wspólnym interesie decydować. Dla tego wolni w sumieniu naszym od posądku, o jakąś niegodną chęć przodkowania i wywierania przeważnego wpływu na losy kraju, przyzwolą nam narodową otwartością, otwieramy zdanie nasze, że bez przypuszczenia do narady w tak ważnej

kwestyi mniejszych właścicieli, Władza krajowa dokła-
dnego wyobrażenia o potrzebach ludu i dziedziców
mieć nie może. — Nie rozdzielamy narodu na cząstki.
Nie wyklaszamy innych, ani ich posądzamy o brak do-
brych chęci; — ale uważając się z niezaprzeczoną
nieomyślnością, za większość w Narodzie, twierdzimy:
że nie powinniśmy być pominieci tam, gdzie idzie tak
przeważnie o dobro ogółu. — Wierząc w obietnicę z tak
wysoka nam daną, a w zapomnieniu o nas, widząc tyl-
ko nieświadomość, ubiegamy tem naszym przypomnia-
niem się, chęć złą względem wszystkich właścicieli tych
ludzi, którzy Władzę w tej nieświadomości utrzymują, i
mogąc jako zbliżeni do osób, zwrócić ich na to uwagę,
umyślnie może zrobić tego zaniedbują.

Nie potrzeba nas bynajmniej do ofiar namawiać, ani
konieczności tych ofiar nam dowodzić, bo my widząc i
przewidując kryzys jakie nas czeka, mimo to doskonale
pojmujemy konieczność tego przejścia i wiemy że się
bez ofiar nie obejdzie. Porówno z filantropami ludowymi,
którzy żadnych ofiar dla téj filantropii nie ponoszą, i
dla tego ich też po całym świecie nie brakuje, jak ró-
wnież porówno z większemi właścicielami, którzy są
pochopniejsi do ofiar, bo mają na to powyż wykazany
fundusz, wiemy i my: że stan pańszczyźniany dłużej
u nas egzystować nie może ani powinien, kiedy w ca-
łej Europie już nie egzystuje. Chcielibyśmy tylko, aby
to przejście do nowego systematu, było o ile można dla
ponoszących ofiary najznośniejsze, a dla w nowy spo-
sób urządzonych włościan korzystniejsze jak pańszczy-
zna; bo korzyść konieczną w tem przejściu znaleźć oni
muszą, inaczej do odmiany nie przystąpią, a i ich dobrej
woli potrzeba, jeżeli rzecz z pożytkiem ogólnym, trwało-
ścią wieczystą i w istocie a nie na papierze tylko ma
być przeprowadzona. Jednem słowem, my gotowi jeste-
my pamiętać ofiary: z części naszych dochodów, ale się

boimy i mamy słuszne do obawy powody, być ogółem zupełnie z majątków, i nawet nie przez złe zrozumianą miłość ludu, ale co gorsza w skutku nieznamości rzeczy jednych, a niecnój intrygi nienawistnych nam drugich, dzieci nasze więcej jak we włościan pańszczyźnianych, bo w nędznych tułaczów bez własności i opieki zostających obrócić. Tych ofiar nikt po nas wymagać nie może, chyba ci mniemani filantropi. W dobrą wolę wielkich naszych właścicieli dóbr bardzo wierzimy, bo znamy ich przyjazne dla nas usposobienia. Lecz bolesno nam widzieć, że równi nam co do powołania obywatelskiego, tylko nie równi majątkiem, dają się tak łatwo uwieść, i podają rękę do rzeczy nad wszelki wyraz zgubnej, a na nieszczęście dla przyczyn od nas niezależnych dokładnie rozebrać się niedającą. Do tych więc współobywateli naszych, nie zo złej woli, lecz z nieznamości rzeczy zgrzeszyć ciężko mogących, w imię sprawiedliwości przemówić, do czystych ich sumień się odezwać, widzimy być naszym obowiązkiem. Nie tylko interes ludu, i interes nasz materialny do tego nas wzywa, ale i troskliwość o dobrą sławę tych zacnych ludzi, co w-ranie zupełnej niemożności raczej się usunąć od dzieła powinni, jak uwiedzeni, pozwalając po za szacownemi imionami swemi kryć się sprężynom przez wszystkie rozumne społeczeństwa wzgardzonym i przez wszystkie rządy prześladowanym.

Ponieważ nie jednokrotnie jeszcze w tem piśmie wypadnie się nam spotkać z temi ludowemi, czyli mniej grzecznie a właściwiej mówiąc fałszywemi filantropami, trzeba się nam tutaj wytłumaczyć kogo to pod tem nazwiskiem widzimy; a to równie dla ułatwienia zrozumienia myśli naszej, jak jeszcze więcej dla odjęcia przeciwnikom pozornej obrony. Naturalnie bowiem zawołają oni a któż więcej od nas przyjaciół ludu jest za uwłaszczeniem włościan? Wszakże my nie innego bardziej

nie pragniemy? Prawda, ale z tą małą różnicą, że bez inkantacyi, tylko sposobem gwałtu i zaboru. Nie przeczynny że takie uwłaszczenie, tak odpowiada wyobrażeniom tego stronnictwa, jak oczynszowanie odpowiada wyobrażeniom przestarzałych teoryj konserwatystów. Ale wiek dzisiejszy płodny w podstęp, rządząc się zasadą nie wybierania w środkach do celu, wyrodił tem łatwiej w socyalistach tę przewrotność, iż widząc się wszędzie potępieni, ukryli się zdradliwie, i zniknąwszy niby z horyzontu, niebezpieczniej jeszcze podkopują społeczność. Nie łatwo gad zatruty obumiera. Podstęp w sztuki drga jeszcze niemal całością sił żywotnych w każdym kawałku. Toż samo dzieje się dziś z socyalizmem i jego zwolennikami. Któż to jest jeżeli nie oni, ci fałszywi filantropi, co się przyłączają do pocciwych, ale razem przesądnych naszych konserwatystów, nie chcących żadną miarą uleść zasadzie, z czasem idącej. Nie mogą już otwarcie przeprowadzić własnych opinij, popierają oni opinie tych zacnych teoretyków i korzystając z ich zaślepienia, kryją się za niemi jak za teatralną kurtyną, bo wiedzą że takie utrzymanie niby to jakichś kardynalnych zasad i przywilejów przez oczynszowanie, będzie tylko pozorne, doczasowe. Wiedzą doskonale, że nie łatwiejszego im nie będzie, jak po latach kilku targnąć się na te resztki martwej agnizmy i obalić je do szczytu. Jeśli zaś dziś podkopanie się pod fundament, przez zniszczenie nas materialne im się powiedzie, mają już na podórędku sztyderski usmiech, którym nam łatwowierność naszą zapłacą, by następnie i to nie za długo, nad zupełnie sponiewieranym, hymn pogrzebowy Szlachty Polskiej, z piśkielną radością zanucić.

Po tym ustępie wróćmy do rzeczy. Nie można nas obwiniać o płonność obawy ciężkiego kryzysu jakie nas czeka, bo wiadomo jakie było to kryzys w Galicyi, cho-

ciaż tam zasada w gruncie była nie zła, tylko jej egzekucya z jednej strony zbyt pospieszna, z drugiej zbyt spóźniona, a lud tak nieprzygotowany jak u nas, a co gorsza zupełnie zepsuty. Wiadomo jakie było to kryzys w W. Księstwie Poznańskim, gdzie jednak systematyczniej bez porównania stopniowano to przejście, a przeciąg lat których do tego użyto, i moralne przysposobienie ludu, powinno było jak najlepszy wpływ wywrzeć. Przecież pokazało się, że na powtórne zmiany kraj musiał być wystawiony, bo oczynszowanie jako pół środek, żadnej strony na długo nie zadowolniło. Po takich przykładach z tym samym co i nasz ludem, już u nas można wszystkiego co złe się pokazało uniknąć, rządząc się tylko tem dobrem przysłowiem: mądry Polak po szkodzie. Ale na to trzeba być nie dość że nie złym Polakiem, ale trzeba nie być ani Anglikiem, ani Francuzem, ani Niemcem, tylko Polakiem, a wadę tę, w szczerości obywatelskiej, (bo idzie o zbyt ważną sprawę), pozwolą sobie niektórzy możniejsi właściciele dóbr wytknąć. Obok znanej energii z jaką Rząd nasz plany swoje przeprowadza, jest wszelka pewność że nie będzie błędu w egzekucyi, lecz jeśli błąd się popełni w samej zasadzie nie zgodnej z charakterem i potrzebami ludu i szlachty, to na ten czas gorsze jeszcze błędy, jedno z drugich snuć się będą niepostrzeżenie.

Nie czas ani miejsce rozbierać, jak dalece tak gwałtowna odmiana przychodzi w porę pod względem moralnego wykształcenia ludu; czyli nie jest jeszcze za wczesna, lub może zapóźna. Bo jeśli czekać na wykształcenie moralne zdawało się panom reformatorem za długo, to może lepiej było przed rokiem 1846 wziąć się do dzieła. Ze stosunków dawnych, być może że z nadużyciami połączonych, lud ten prosto przeszedł by był do nowych, i dużo lepiej by było gdyby się było obezszło bez tego pośredniczego przejścia, jakie sprowadził

Ukaz 1846 roku, a który nie będąc w związku z dzisiejszą myślą, w skutkach swoich za żadne pośrednictwo uważany być nie może. Nie do nas należy robić uwagi nad źródłem, z którego lepiej by może wychodziły tak ważne odmiany, i jak dalece byłoby dla obu stron z korzyścią, gdyby usunięty stosunek patryarchalny, zastąpiony został uczuciem najwznioślejszem na ziemi, to jest uczuciem wdzięczności obdarzonych dla obdarujących.

Odstąpmy od myśli, których tylko napomknienia odmówić sobie było niepodobna, a które rozwijać już jest zapóźno i zbyt późno. Przyszedł czas i trzeba by coś innego stosunek pańszczyzniany zastąpiło. Na to zgoda. Lecz co go i jak ma zastąpić? oczynszowanie? czy uwłaszczenie? oto są dwa główne pytania. A następnie, ponieważ się za uwłaszczeniem oświadczamy, niech nam będzie wolno rzucić niektóre myśli o muiemanych trudnościach, jakie przeciwnicy tej zasady w wykonaniu jej nagromadzają, chcąc w samej zasadzie oczynszowania udowodnić wyższość którejś istotnie nie ma i być nie może.

Przedewszystkiem jako główną podstawę, na której opieramy obronę zasady uwłaszczenia stawiamy to: że zasada ta zadawalnia ostatecznie najgorętsze pragnienia ludu; że determinuje stanowczo stosunki nasze z ludem wiejskim, i raz na zawsze ustanawia wzajemne względem siebie tych dwóch stanów obowiązki i stanowisko. Na to krzykną nam hurmem filantropi: że dobra własnego nie znamy, że chcemy wyrzucić ostatnią podstawę narodowości, że chcemy lud nasz pocziwy rozebrać nawet z jego sukmany, tak dobrze do jego charakteru przystającą, i w jakichś niemieckich kolonistów go przestroić i przerobić. Bardzo to słuszne na pozór wrzaski, ale wrzaski i nie więcej, bo my najlepiej wiemy, co nam przyszło z tych resztek jakiejs przewagi, z tych odrobín dawnego stosunku patryarchalnego, jakie nam

Ukaz roku 1846 pozostawił. Rząd sam, nawet zaprzęć nie może, do jakich ostatecznych środków uciec się musiał i ucieka się jeszcze, dla utrzymania tych resztek, dla niedopuszczenia rozprzężenia się całej machiny społecznej, zagrożony głównie dla tego, że nigdzie tak jak w Polsce, na patryarchalności między chłopem a dziedzicem, na patryarchalności między uboższymi właścicielami ziemi a możniejszymi, na patryarchalności między całym Narodem a Monarchą, budowa społeczna opartą nie była; a zły przykład pochopu swawoli do zburzenia tej patryarchalności nie szczędził. Ile już złego z tego nieterminowanego stosunku zależności i niezależności wzajemnej się wyrodziło przez ostatnie lat dziesięć i jak dalece to złe jest tem okropniejsze że skutki jego są niepowrotne, tego sądźmy nikomu dowodzić nie potrzeba. Nadto to delikatna, nadto drażliwa materya. Czy postęp złego wstrzymany nie wiadomo, ale to wiadomo, że powstrzymano go jedynie srogiem karaniem niektórych włóścian, dla przykładu drugich, których na to smutne widowisko umyślnie zgromadzano. Obok bolesnego uczucia z czystej miłości bliźniego wypływającego, nie mniej ważną jest uwaga, iż myli się kto myśli: że tym środkiem stanowczo złemu zaradzonem zostało. Owszem przeciwnie, krok ten złe zakorzenił. Zgnębił on tylko chwilowo owoce złego, ale one kwitnąć będą w serech pokoleń i kto wie czyli kiedyś nie dojrzeją do większych rozmiarów, jak kiedy zdławione zostały. Wówczas jednak nie było innego sposobu. Była to konieczność przez wpływy uboczne spowodowana, i po wisła miejscowościach w użycie wprowadzona. Było to *malum necessarium*. Lecz czyliż można, czyliż należy, dobrowolnie podobne położenie sobie i drugim przysposabiać? i co więc stan ten weksacyjny niejako uwiecznić? — A to jest ostateczny rezultat oczynszowania, z tą różnicą: że w miejsce kar obojętnych, jakie lud ten święto

za panów, jak sobie to słomaczy odbierał, odbierać będzie również za panów, podług jego rozumienia, i podsycających te wyobrażenia fałszywych filantropów, przesładowania na majątku, przez dotkliwą egzekucyą czynszów, które z małym wyjątkiem, a zatem niewątpliwie większość będzie zalegała.

Niechże ci współobywatele nasi, którzy przez nieznaną sobie rzecz myślą, że przez czynszowanie zachowując sobie niby własność gruntów włościańskich, a ztąd jakąś nad nimi przewagę, zachowują tym samym jakiś ślad stosunków z narodowymi wyobrażeniami zgodnych, niech zechcą nam zawierzyć, że szlak ten niepowrotnie już od roku 1846 zaginał, że całości nie już nigdy przywrócić nie może, a cząstka jakaby się okrośliła, gorsza jest od zupełnej zmiany rzeczy. Cząstka ta będzie tylko ustawicznie jęczącym narzędziem, w rękach ludzi, mających przyjemność lub interes, w podsycaniu i budzeniu nienawiści chłopów do nas, i zazszczepianiu w ich sercach nieufności do panów. Ci zaś, którzy mając nas za niezdolnych pojąć ich wyższe cele, w sofistycznych rozumowaniach też cele zagnatawszy, przedają nas za pijawki wysysające krew ludu, jednakże dla nawiedzenia nas, pakają w stronę patriotyzmu i przywiązania do tradycji narodowych jednych, a fałszywem rozumowaniem łechcą stronę interesu materialnego drugich, i tym sposobem jakąś niby logiczną zasadę do popierania myśli czynszowania nam pokazują, ci mniemani filantropi niech wiedzą, że się po prostu mówiąc, doskonale na tych farbowanych lisach znamy; że umiemy przeczuć wilka w baraniej skórze, który skrycie i zręcznie podkopuje się pod fundamenta owczarni, aby w niej nie tylko pocziwe owce wydłusić, ale nawet zagładzić pamiątkę tego, co i jak kiedyś w tej owczarni się działo. Niech wiedzą, że my właśnie, czém większe są z ich strony zabiegi, tém silniej

przy tradycjach dawnych stać, i onych bronić, widzimy być naszym obowiązkiem.

Dziwna to rzecz, jak niekiedy ludzie rozsądni, ale zbyt przezorni, nie pojmują, że tradycje jako pamiątki w sercach uwiecznione, nie tylko że się z nowym porządkiem rzeczy godzą, nie tylko że mu na przeszkodzie nie stoją, ale owszem na tych pamiątkach tradycyjnych gruntować się nowy porządek powinien, jeśli ma być wieczystym i szczęście pokoleń zapewniającym. Dla tego też dopóki sił i sposobności stanie, pamiątkom tradycyjnym stosunków naszych z ludem naszym upaść, dozwalać nam nie należy. Oczynszowanie wszystkiego nam środki do tego odjęło. Uwłaszczenie, chociaż chwilowo w sercach i głowach ludu zamąci, odstrychnie go trochę od nas, jednakże gdy stanowczém rozcięciem stosunków, wszystkie jątrzące sprężyny usuwa, pozostaje nam nadzieja, że lud ten z natury dobry, po latach kilku się upamięta. Do nas należeć będzie, z pomocą Boską, której przy dobrych chęciach spodziewać się możemy, z sercem i rozumem idąc naprzeciw tym nieskażonym sercom i głowom, upamiętanie ich przyspieszyć i dawną harmonię przywrócić. Nie opuszczajmy tylko tego ludu w jego chorobach i potrzebach. Nie bądźmy pierwsi w daniu złego przykładu wyiębienia serca. Bądźmy wyrozumiali na brak ich wykształcenia umysłowego, a szczególnie bądźmy wytrwałymi w cierpliwości i czekaniu ich powrotu na proste ścieżki, z których początkowo straci ich ta gwałtowna przemiana. Stójmy temu ludowi wzorem, przez przykład najpiękniejszej z cnót miłości, i przez przykłady form i praktyk religijnych, a zachowamy w całości ten szlachecki klejnot, którego upadek widzą konserwatyści w uwłaszczeniu włościan. Sądźmy bowiem przeciwnie, że i przy uwłaszczeniu, można ten klejnot ocalić, i napowrót osadzić go na tej odwiecznej jego posadzce, z której go

nadużycia pradziadów straciły, a grzeszna obojętność ojców, zaniedbała przez organ sejmu i rad wojewódzkich przed rokiem 1831 złego poprawić, i tym sposobem spowodowany został ukaz 1846 roku, prostujący to, co ojcowie nasi sprostować mogli i byli powinni. Po takim błędzie ojców, i obok konieczności przemiany porządku rzeczy, w powietrzu już niejako będącej, prawdziwie saczeglówniejsza jest i niepojęta dla nas zasada, przy jakiej uporczywie stoją dzisiejsi konserwatyści, że gdzie nie ma chłopu pańszczyźnianego lub czynszownika, tam nie ma szlachcica. Jak gdyby ta prześliczna w historii naszej postać szlachcica i jej wyobrażenie, mogły tylko pod godłem podstarościńskiego znaku egzystować i od tego godła pożyczoną świecić wartością.

Drugą zasadą dla której nie możemy podzielić myśli oczynszowania, jest, że gdy tego nam nikt zaprzeczyć nie może, iż tak przy oczynszowaniu, jak przy uwłaszczeniu, zawsze jest dla nas do przewidzenia ciężkie kryzys, które nas czeka w przejściu w te nowe stosunki, które to kryzys pojawi się w braku rąk do pracy, spowodowanym nieznajomością własnego pożytku i lenistwem, a zatem brakiem moralnego przysposobienia naszego ludu; w tak smutnym, a przecież kto zna naturę naszego ludu, tak koniecznym do przewidzenia przez pierwsze lat kilka wypadku, ten tylko nie runie majątkowo, kto odpowiedni kapitał do przetrwania tego kryzys będzie posiadał, bo to niezawodna, że w pierwszym roku nikt za żadne pieniądze najemnika nie dostanie, i roztropnie robi, kto na ten rok gorszych pól swoich całkiem nie obseje. W roku następnym, będzie już o najemnika łatwiej, ale o mil kilkanaście i to za bardzo drogą zapłatą. W roku trzecim, już z bliższych wiossek włościanie przychodzić będą. Ale wyjdzie lat 5 lub 6 przynajmniej, zanim miejscowi chłopci, oswoiwszy się ze swoim nowym stanowiskiem, względem dawnego pana a dziś

sąsiada tylko możniejszego, szukać u niego roboty znaczną. Rezonowanie to nie jest bynajmniej fikcją, owszem prędzej jest iluzją do osłodzenia przykrych przeżyć, na jakie w każdym razie wystawieni będziemy. Ten sam bowiem stan rzeczy był: jest jeszcze w Galicyi, W. Księstwie Krakowskiem i W. Księstwie Poznańskiem, a przecież w tych prowincyach było przeludnienie, przynajmniej w porównaniu ludności jaka jest u nas. Czém zaś większa była ludność tamtych okolic, tém większa potrzeba zarobku, bo więcej ludzi bez własności pozostałych. Kiedy więc dla siebie przypuszczamy tylko ten sam przeciąg lat ciężkich do przebycia w początku, jakiego doświadczyli obywatele tamtych okolic, nikt nas o przesadę posądzić nie może. Żeby jednak to wiedzieć, tego nie zaprzeczyć, trzeba mieszkać, ale mieszkać niemal całe życie z tym ludem, trzeba się wśród niego wychować, jak my drobniejszych majątków posiadacze; ale nie mieć się za znającego lud dla tego, że go się zna na weselach, dożynkach i polowaniach z naganką odbywanych, na których często mniemani filantropi obok panów naszych się znajdują, i chętnie spędzonych chłopów za piesków do płoszenia zwierzyny używają. To ich filantropii nie razi, bo w rzeczy samej i nas nie razi i nie widzimy w tém nic złego. Ale my też nie posuwamy naszej filantropii tak daleko, więc jesteśmy w zgodzie z sobą samymi. Na wieluż-by to podobnych niezgodnościach złapać można tych mniemanych dobrodziejów rodą ludzkiego, pięknemi słówki wykarmiających wyobrażenia naszych pocziwych większych dóbr właścicieli, koło których się chętnie wieszają. Przestańmy na tym jednym przykładzie ich dwuznaczności, któremu niech się tu nie zdaje być od rzeczy, bo cel jego jest pokazać pocziwym a uwiedzonym samieniom, gdzie jest równa im pocziwość, a gdzie chytrłość i podstęp.

Wracając do rzeczy, oczywiście jest, że samotniejsi kry-

zys przetrwają. Lecz czemuż ogółu kraju stosunkowe w tej samej zamożności nie postawił? Oóż daje właścicielom czynszowanie? Czytasz lichy jednoroczny nie od wszystkich w właściwym czasie wypłacalny. Co daje uwłaszczenie? Kapitał za odstąpioną ziemię. Na to nam odpowiadają: Ależ tu właściciel wyzbył się własności, a tam ją puścił tylko w dzierżawę. — Jaki to sofizmat, jaka to fikcja, to niech ten oceni, kto wie czem się stała własność gruntów włościańskich dla dziedziców od roku 1846, chociaż jeszcze nieocynszowanych, ale do dziś dnia pod pańszczyzną będących. Prosimy się, spytać kupujących majątki, co płacą właścicielom za grunta chłopskie? Co sobie je rachują? — Nie i nie, to będzie ich odpowiedź, a w tym krótkim wyrazie jest wartość tak tej części ziemi, jak i tego mniemanego prawa własności, na którego konieczności zatrzymania dla właścicieli dóbr, obrońcy zasady czynszowania, całą obronę swoją uzasadniają. My zaś jak z pierwszej podstawy naszej, wyprowadzamy pewność utrwalenia stosunków i dobrej harmonii z ludem naszym, którą czynszowanie na szwank wiecznie naraża; tak z tej podstawy, udawadniając fikcję tylko własności, wykazujemy: że uwłaszczenie przez wypłatę kapitału za odstąpioną część własności, daje nam możliwość przetrwania koniecznie przewidzianego kryzysu; a czynszowanie narażając nas na zupełnie tak samo ciężkie położenie, możliwości przetrwania nie daje, a zatem ruiną majątkową z pewnością zagraża.

Te jest co do pozycji właścicieli w obu przypadkach, pozostaje jeszcze obejrzyć, jakie dobrodziejstwo przynosi włościanom czynszowanie, a jakie uwłaszczenie. — Bez zapuszczania się w dalekie rozumowania zupełnie nie potrzebne, rzecz z siebie tak jasną powimy w dwóch słowach. Uwłaszczenie daje włościanom własność ziemi i stawia ich na równi z dzisiejszymi ich panami. Czyn-

szowanie daje im tylko wieczystą dzierżawę, i utrzymuje w zależności od panów, i to w zależności, której uciążliwość moralna tém większa, im któremu bieda majątkowa więcej dopiekać będzie. W ostatecznym zaś rezultacie jak się to poniżej okaże, czynszowanie przedstawia włościanom osobliwie uboższym, powrót do pańszczyzny, a pańszczyzny nie oznaczonej, bo nie opartej na żadnym stosunku prawnym, tylko na konieczności, której jednak w żaden sposób uniknąć nie będą mogli. Obok takiego niczém zbić się nie mogącego, a w przyszłości na pewno spodziewanego pewnika, zbyt czynnym byłoby bardzo łatwy i piękny traktat, o przywiązaniu do własności ziemi, wrodzonej każdemu, a jeszcze więcej polskiemu włościaninowi. Trudno jednak nie nadmienić o wspólnym interesie, który go silniej zwiąże z tą ziemią, którą on i tak kochał, chociaż nie była jego własnością, której bronił i uważał za matkę, choć dotąd była mu tylko macochą.

Zakres tych uwag. każe nam się o ile możliwości skracać. Dla tego przechodząc pobieżnie tylko ten zbyt ważny przedmiot, musimy się już ograniczyć na tém co się dotąd powiedziało, a opuszczając dużo bardzo argumentów, z innych względów przeważnie za uwłaszczeniem, a przeciwko czynszowaniu mówiących, musimy już przystąpić do rezultatów tych obu środków przemiany dotychczasowego porządku rzeczy.

Niewypłacalność tak czynszów rocznych jeśli przypuścimy czynszowanie, jak składki jakiegś na wykupno jeśli przypuścimy uwłaszczenie, równie jest do przewidzenia jeśli nie od wszystkich włościan, to przynajmniej od uboższych, a tych w kraju jest liczba przemagająca. Najprzód przy czynszowaniu egzekucya na drodze sądowej czynszu rocznego niepodobna, bo kosztu jój zawsze należytość debenta przeniosą, a najczęściej nie ma go na czém patrzeć. Egzekucya sądowa przy uwłasz-

czeniu niezbyt także podobna, ale jednakże podobniejsza bo może być zaregulowana do postradania własności, przez sprzedanie jej innemu w drodze wyłączenia, przez licytację publiczną. Ta jednak trudność usawa się w obu przypadkach tym sposobem, że naturalnie jest do przewidzenia, że sam chłop trwożliwy o utrzymanie się przy gruncie, czy to na czynsz, czy na własność posiadanym, wystąpi z propozycją do pana, by mógł u niego jedną lub drugą należytość odrobić. Jakież tego odrobku dobrowolnie umówionego skutek? Oto w rękach złych panów otwarte wrota do nadużyć i uciemiężania, przez zbyt tanie ocenianie robotniczy. A przecież tego nadużycia ukrócić trudno: bo najprzód wypływa z dobrowolnego zobowiązania, opartego na przyznanej chłopom wolności używania i oceniania swej pracy; powtóre, jakżeż takie prywatne umowy skontrolować; po trzecie, jak zaprzeczyć właścicielowi tej polubownej drogi odebrania swojej należytości, kiedy najczęściej debent jego, innego funduszu jak praca rąk, do uiszczenia się z swego długu nie posiada. W dalszém więc następstwie wspólném tak oczynszowania jak i uwłaszczeniu co się z tego wywiąże? Oto powrót do pańszczyzny sekretnie, z tą różnicą: że przy oczynszowaniu ten sekret się uwiecznia, bo zawsze się znajdzie taki w każdej wsi włościanin, którego robotniczą czynsz opłacać będzie zmuszony; przy uwłaszczeniu zaś, temu sekretnemu nadużyciu będzie granicą termin, w którym opłatami rocznemi, i w jakibądź sposób rozłożonemi, i gdziekolwiek bądź składanemi, włościanin zostanie wykupiony, i dziedzic, czy ktobądź tego dziedzica za chłopą zapłaci, już do żadnych od włościanina należytości prawa mieć nie będzie.

Tu jest do przewidzenia zarzut, że nam powiedzą: iż którego włościanin czynszu rocznego przy oczynszowaniu nie będzie w stanie uiszczyć, taki tém prędzej nie wypłaci:

się ze składki rocznej na wykupno, bo ta z pewnością będzie większa. Na to odpowiadamy: 1° iż łatwiej zrobić ulgę włościaninowi bez krzywdy dziedzica, przez tanie oszacowanie gruntu, kiedy tenże dziedzic od razu kapitał za wszystkie grunta chłopskie odbiera, aniżeli zbyt tani czynsz przy czynszowaniu ustanowić, bo w takim razie przy trudności egzekucyi tego lichego czynszu, i przy częstój jego przez włościan uboższych niewypłacalności, czynszowanie dla dziedzica wyjdzie niemal na czystą darowiznę, jeżeli nie całości, to większej części gruntów włościańskich. 2° iż ulgę tę dla włościan znaleźć można w rozłożeniu ciężaru na kraj cały, jak to zrobiono w Galicyi. 3° iż trudność wypłaty składki na wykupno, da się bardzo zmniejszyć ułatwieniem sposobu wypłaty, za pośrednictwem amortyzujących się dłużej lub krócej, papierów procentujących, na ten cel wystawionych, a przez włościan w pewnym przedziału lat spłacalnych. W tém właśnie jest cała sztuka, przeprowadzenia téj jedynie zbawiennéj zasady to jest uwłaszczenia; a w sztuce téj, o ile się nam zdaje, więcej umyślnie pozornych nagromadzono trudności, niżli ich jest w istocie.

Nie naszą rzeczą podawać tu projekt trudności to usuwający. Kiedy w całej niemal Europie, środki się na to znalazły, dla czegożby nasz kraj jeden miał być tak nieszczęśliwy, by nie mógł stanowczo wybrać z tego niepewnego położenia. Nie brakuje u nas na ludziach fachu i dobrej woli razem, aby tylko nie brakło na chęci w szakaniu takowych, i aby nie wymyślano umyślnie form i trudności tam gdzie się bez nich obejdzia. My tylko o tém przekonani jesteśmy, iż gdy uwłaszczenie, innym sposobem jak przez puszczenie w obieg papierów indemnizacyjnych, do skutku doprowadzone być nie może, że puszczenie to papierów o których mowa, nie jest tak trudną operacją, jak ją przedstawić

milają; jak również że amortyzacja tych papierów, tak może i powinna być rozrachowana, iżby spłata ich nie była zbyt uciążliwą dla właścicieli. W tym celu rzucamy następne uwagi, które na pilnym względzie przy tej operacji miały być winny.

1^o Że tu nie idzie o to, czy dziś żyjąca generacja lub następna, przyjdzie do własności, i wiele generacji właścicielskich pracować będzie dla generacji późniejszych, tylko chodzić powinno o to, by bez krzywdy właścicieli, a przeciążenia pierwszych generacji właścicielskich, kiedyś w danym i stanowczo oznaczonym terminie, wszyscy właściciele byli uwłaszczeni.

2^o Im dłuższa będzie amortyzacja przeznaczonych w obieg papierów, tym papiery te niższą wartość mieć będą, a właściciele muszą być zobowiązani do przyjęcia ich *ad pari*; należy uwzględnić tu okoliczność w ocenianiu odstąpionych za taką monetę gruntów, czyli jednemu słowem, nadto tanio nie szacować tych gruntów z uwagi: że właściciele na kursie papierów tracą.

3^o Podaje się tu sposobność zrobienia ulgi właścicielom, osobliwie w krytyczniejszém położeniu majątkowym będącym, a ulga ta, o ile zdaniem naszym się należy, o tyle będzie i bardzo sprawiedliwą, bo dotknie tych, którzy pod żadną kontrolę do ponoszenia ciężarów podciągnięci być nie mogą, i zasłonięci od rozmaitych na ogół kraju niekiedy przypadających nieprzyjemności, spokojnie majątków swoich używają, jak gdyby (nie wchodząc już w to jakim przemysłem) w innym jakim kraju, a nie w tym samym, majątków się tych dorabiali. Chcemy tu mówić o dotknięciu kapitalistów, które będzie tym słuszniejsze, że pomiędzy nimi jest najwięcej filantropów, tyle razy już przez nas wspomnianych, co krzyczą o wyzwolenie ludu z jarzma dziedziców, ale do tego wyzwolenia, w czemś się przyczynić, nie widzą być swoim obowiązkiem. Niechże i oni przy-

puszczeni będą do współobywatelstwa, to jest do wspólnego, chociaż w jakiejś tysiącnej części, poniesienia kosztów na polepszenie bytu tego ludu, za którym tak gorąco przemawiają. Będzie to z ich strony tak mała ofiara, że nie chcąc być w sprzeczności z sobą samymi, wstydzic się powinni najmniejszego sarknięcia. Ofiara ta na tém się zasadza, by zobowiązać wierzycieli hipotecznych, na majątkach ziemskich lokowanych, do przyjęcia spłaty swoich wierzytelności, *al pari* w papierach indemnizacyjnych, porządku pierwszeństwa hipotecznego, ale tylko do wysokości sumy, jaką właściciel dóbr, na których są lokowane, tytułem indemnizacyi za pańszczyzną, z dóbr tych respective odbierze. Warunek taki zabezpiecza kapitalistów od działań na szkodę ich ze strony właścicieli dóbr, bo ścieśnia wolę tych ostatnich w nabywaniu papierów indemnizacyjnych na spłatę wierzytelności hipotecznych. Lecz z drugiej strony, trzeba właścicielom ziemskim zostawić wolność lub nie spłacania papierami indemnizacyjnymi wierzycieli, bo przymus odebrałby nie jednemu fundusz tak potrzebny jak to widzieliśmy, do przetrwania spodziewanego kryzysu. Tym sposobem papiery indemnizacyjne, mimo taniego ich kursu i taniego oszacowania sprzedanej ziemi, będą dla właścicieli dóbr lub zasilkiem do przetrwania kryzysu, lub pomocą do oczyszczenia zmniejszonych majątków i podniesienia czystej z dóbr intraty.

Nie zaprzeczoną jest rzeczą, że jeśli w sprawiedliwości rzeczy tak w pojęciu jednej, godzi się przypuszczać jakie stopnie, to w sprawie uwłaszczenia włościan, sprawiedliwość ta, na jak tylko być może najczulszych wątkach odważoną być winna. Idzie tu bowiem o konieczne dogodzenie jednym z kieszeni drugich, a przecież dogodzenie to powinno być tak szafowane, by był tylko uszczerbek, ale nie krzywda dla tych, którzy kieszenie swoje dobrowolnie do tego szafunku oddają.

Zdawałoby nam się nakeniec, że z dłuższego czasu do amortyzacyi papierów indemnizacyjnych przeznaczanego; wynikaćby powinien i ten zysk finansowy, że papiery te nie będą zupełnie przeszkadzać dziś egzystującym listom zastawnym Towarzystwa kredytowego, bo jako innéj natury pieniądze, konkurować z tamtymi w kursie nie będą, a jako użyte choć w jakiejś małej części na spłacenie hipotecznych wierzycieli, tam gdzie tak użyte będą, pewność wierzytelności Towarzystwa kredytowego podniosą. Nie wiadomo nam, czy kto kiedy prywatnie lub urzędownie, zapytywał władze Towarzystwa, lub pojedynczych jego członków, ooby o takim puszczeniu w obieg innego rodzaju papierów procentujących sądzili; i czyli widzą w tém lub nie, jakiś uszczerbek dla prac lub majątków Towarzystwa. Wątpimy bardzo, by władze Towarzystwa kredytowego, złożone z samych właścicieli ziemskich, mogły tak krzywo rozumieć interes własny i ściśle z nim połączony interes Towarzystwa, i miasto popierać myśl uwłaszczenia, by właśnie stawały przeszkody tylko pozorne. Pożyczka bowiem Towarzystwa jest tak oszczędnie udzielona, że jak dosyć już uchybień swojej instytucyi bezpiecznie zniosła, tak i nadal żadnej obawy o jej pewność być nie może. Niemożność przypuszczalna ze strony właścicieli dóbr opłacania rat Towarzystwa, jakoby spowodowana zmniejszeniem dochodów z dóbr, żadną przeszkodą do uwłaszczenia włościan być nie może, bo jeszcze gorszą przeszkodą byłoby oczynszowanie; równą przeszkodę spowodził już ukaz 1846 i podwyższenie ofiary, i liwerunku, przez nagromadzenie nowych ciężarów gruntowych, a te wszystkie, nie dawały nawet Towarzystwu téj gwarancyi, jaką ma przy uwłaszczeniu, w kapitale indemnizacyjnym, który właściciel do rąk odbierze, i w najgorszym razie będzie mógł z niego raty Towarzystwa zaspokoić. Na odparcie zaś mniemania na które prze-

ciwnicy zasady uwłaszczenia się powołują, jakoby to miało zachwiać pewność hipoteczną długu Towarzystwa kredytowego, odpowiadamy: że mniemanie to jest tylko pozorném, głębszego rozbioru wytrzymać nie mogącém, albowiem: 1° jak nie było dotąd wypadku, by które dobra niżej długu Towarzystwa były sprzedane, tak go też i przy uwłaszczeniu włościan nie będzie, gdyż wiadomą jest rzeczą o ile wartość ziemi od roku 1824 podniosła się, i chwilowe się jej znizzenie nawet gdyby nastąpiło, o czém wątpić wolno, nie dojdzie nigdy, i dojść nie może, *in minus* do tego szacunku, jaki Towarzystwo kredytowe za podstawę do wysokości udzielonej pożyczki przyjęło, i na jakim pewność listów zastawnych i pewność długu swojego oparło. — 2° jeśli zachwianie to pewności Towarzystwa kredytowego miało by być spowodowane tém, że grunta włościańskie, na których porówno z dworskimi rozciąga się pewność wierzytelności Towarzystwa, byłyby oddzielnym długiem obciążone, i z pod własności dziedzica, dzisiejszego osobistego wierzyciela tegoż Towarzystwa wyjęte, to wypadek ten równie jest przy czynszowaniu włościan jak i przy ich uwłaszczeniu. — Czynszowanie bowiem nie wydzielając w istocie tytułarnie gruntów włościańskich z pod własności dziedzica, wydziela ich jednak rezultatem dochodów jakieby przynosiły w porównaniu z dochodami jakie dziś czynią dziedzicom; czyli krótko mówiąc wydziela ich *de facto*. — Uwłaszczenie zaś działając otwarciej, wydziela grunta włościańskie z pod własności dziedziców i faktycznie i tytułarnie. Idzie więc tylko o wyrazy, a nie o istotę rzeczy. — Nie wiemy wreszcie, jak dalece pewną jest wieść o epozycji ze strony władz Towarzystwa kredytowego, i jakichby zasad one wychodziły, więc nie więcej nad to w tej materji powiedzieć nie możemy.

Niech nam będzie jeszcze wolno dorzucić jako dowód za uwłaszczeniem to, co z doświadczenia wiemy. Nie mając zamiaru stawiać tego jako wniosek do zasady mającego wyjść prawa, dorzucamy tylko jako dowód dokonanego w praktyce faktu oczynszowania. Znamy bowiem takie okolice i możemy zacytować miejscowości, gdzie włościanie, z zagrody trzech dniowej pieszej w tygodniu pańszczyzny, w skutku dobrowolnej z dziedzicami umowy, chętnie i regularnie po złp. 150 rocznego za roczną pańszczyznę czynszu opłacają. Kwota ta odpowiada na procent 5% kapitałowi złp. 3,000; czyli że właściciel tym czynszem kontentujący się, szacuje sobie tę część gruntu włościańskiego na czynsz puszczanego, złp. 3,000. Wziąwszy więc ten szacunek za podstawę do uwłaszczenia, to jest ustanowiwszy że za każdą taką zagrodę, powinien dziedzic być wynagrodzony po złp. 3,000 w papierach indemnizacyjnych, i przypuściwszy że włościanin uposażony własnością takiego kawałka ziemi płacić będzie rocznie nie więcej, jak po złp. 160 na procent i amortyzacją kapitału, a to podług zasad przez Towarzystwo kredytowe nasze przyjętych, to jest rachując po 4% na procent a resztę pozostałą na umorzenie kapitału, pokaże się w rachunku, że po latach 35ciu wypłaci się zupełnie, z dodatkiem w roku 36tym złp. 56 groszy 21. Jeśli zaś weźmiemy pod rachunek na roczną wypłatę kwotę złp 150, pokaże się że amortyzacya ukończoną będzie w lat 41 z dopłatą w roku 42gim złp. 5 groszy 8; jak przekonywają dołączone tu dwie tabelle.

II.

Tabella amortyzacyjna kapitału 3000 złp. przez opłatę roczną po
złp. 180 na kapitał i procent. Lat 35.

Lata na amortyzacyę	Kapitał do Amortyzacyi	Cześć opłaty rocznej na procent 4%	Cześć opłaty rocznej pozostająca na kapitał	Pozostaje kapitału na rok następną
1	3000	120	40	2960
2	2960	118	41	2918
3	2918	116	43	2875
4	2875	115	45	2830
5	2830	113	46	2783
6	2783	111	48	2734
7	2734	109	50	2684
8	2684	107	52	2631
9	2631	105	54	2576
10	2576	103	56	2519
11	2519	100	59	2460
12	2460	98	61	2399
13	2399	96	64	2335
14	2335	93	66	2268
15	2268	90	69	2199
16	2199	88	72	2127
17	2127	85	74	2052
18	2052	82	77	1974
19	1974	79	81	1893
20	1893	75	84	1809
21	1809	72	87	1721
22	1721	68	91	1630
23	1630	65	94	1535
24	1535	61	98	1437
25	1437	57	102	1334
26	1334	53	106	1227
27	1227	49	110	1117
28	1117	44	115	1001
29	1001	40	119	881
30	881	36	124	757
31	757	30	129	627
32	627	25	134	492
33	492	19	140	353
34	353	14	145	208
35	208	8	151	54
36	54	2	54	"

III.

Tabella amortyzacyjna kapitału 3000 złp. przez opłatę roczną po
złp. 150 na kapitał i procent. Lat 41.

Lata na amor- tyzacyę.	Kapitał do	Amortyzacyi	Cześć opłaty rocznej na	procent 4%	Cześć opłaty rocznej pozo- stająca na ka- pitał	pozostaje ka- pitału na rok następny
1	3000	"	120	"	30	2970
2	2970	"	118	24	31	2938
3	2938	24	117	17	32	2906
4	2906	11	116	7	33	2872
5	2872	18	114	27	35	2837
6	2837	15	113	15	36	2801
7	2801	"	112	1	37	2763
8	2763	1	110	16	39	2723
9	2722	17	109	28	41	2682
10	2682	15	107	9	42	2639
11	2639	24	105	17	44	2595
12	2595	11	103	24	46	2549
13	2549	5	101	29	48	2501
14	2501	4	100	"	50	2451
15	2451	4	98	"	52	2399
16	2399	4	96	"	54	2345
17	2345	4	93	24	56	2289
18	2289	"	91	18	58	2230
19	2230	18	89	6	60	2169
20	2169	24	86	24	63	2106
21	2106	19	84	7	65	2040
22	2040	26	81	19	68	1972
23	1972	14	78	27	71	1901
24	1901	11	76	2	73	1827
25	1827	13	73	3	76	1750
26	1750	16	70	"	80	1670
27	1670	16	66	26	83	1587
28	1587	11	63	15	86	1500
29	1500	26	60	1	89	1410
30	1410	27	56	13	93	1317
31	1317	10	53	21	97	1220
32	1220	1	48	24	101	1118
33	1118	25	44	22	105	1013
34	1013	17	40	10	109	904
35	904	3	36	6	113	790
36	790	9	31	18	118	671
37	671	27	26	26	123	548
38	548	23	21	29	128	420
39	420	22	16	25	133	287
40	287	17	11	15	138	149
41	149	2	6	"	144	5
42	5	2	"	6	5	"

Zachodzą tu trzy pytania.

Pytanie pierwsze:— Czyli zasada do oszacowania wartości zagrody na złp. 3,000, bezwzględnie na okolice, w której zagroda jest położona, a zatem bezwzględnie na rodzaj gleby wzięta, i ustanowiona jedynie na podstawie oszacowania dnia pieszego pańszczyzny na złp. 1, jest sprawiedliwą lub nie; — i czyli mogła by być przyjętą do oszacowania gruntów włościańskich przy uwłaszczeniu włościan w całym kraju?

Zdaje nam się że łatwiejszej, więcej postępowanie upraszczającej, a nawet prawniejszej, słuszejszej i z wolą i myślą rządu zgodniejszej zasady, wynaleść trudno.

Jest łatwą, bo łatwy i gotowy już rachunek prowadzi za sobą, to jest ocenienie każdego kawałka ziemi, przez ilość dni pieszych po złp. 1 oszacowanych, z niego odrabianych, a dnię ciągle, sprzężajne, z łatwością sposobem gospodarskim do dni pieszych zredukować można.

Jest postępowanie upraszczające, bo uwalnia od klasyfikacyi, detaksacyi i pomiaru gruntów, wszystko to bowiem jest w samej naturze dzisiejszej pańszczyzny, którą za podstawę bierzemy. Albowiem gdzie gorsze są grunta, tam zwykle jest ich więcej do zagrody przywiązanych, na też samą ilość dni pańszczyznianych w tygodniu. To jest że są okolice, gdzie włościanie też same 3 dni na tydzień robią z 5 morgów, które w innych okolicach robią z morgów 7 lub 10 i t. p. w miarę ich dobroci. Pańszczyzna więc od wieków dopełniła już klasyfikacyi detaksacyi pomiaru.

Jest prawną i słuszną bo najprzód używalność odwieczna, przez nikogo niezaskarżona, moc prawa jej nadaje. Powtóre każde nowe urządzenie, na podstawie praw dawnych dopełnione być winno, jeśli nieczyim prawom nie ma przesądzać i tych nadwierać. Mając więc zasadę z prawa odwiecznego że się tak wyrazimy pod stopami naszymi, bo na zasadzie tej od wieków stoją

strony obiedwie, pocóż koniecznie kuć nową zasadę, i w kuźni tej otwierać wrota do nadużyć, wymyślać zachody, trudności i koszty od wieków już usunięte i rzecz całą na niepotrzebną przewłokę i jeszcze niepotrzebniejsze koszty i trudności narażać?

Jest nakoniec z wolą i myślą Rządu zgodna bo po ukazie roku 1846, już u nas nie może być właściwie mowy o nadaniu włościan własnością, tylko o wykupieniu pojedyńczem każdego z pańszczyzny. Wspomniany bowiem ukaz nadał już własnością chłopów a to bezwzględnie na wartość gruntów: 1) Zabraniając dziedzicom wcielania gruntów włościańskich do gruntów dworskich. 2) Wkładając na dziedziców obowiązek koniecznego w przeciągu lat trzech osiedlania opuszczonych gospodarstw. 3) Zabraniając pod jakim bądź pozorem rugować włościan osiadłych. 4) Zabraniając nawet w razie pretensyi za długi u włościan, tamować im możliwość wydalenia się z gruntu i przenoszenia się z miejsca na miejsce i ukaz ten jest z całą ścisłością w wykonanie wprowadzony. Już więc dzisiaj są włościanie ogólnemi właścicielami wszystkich gruntów włościańskich w całym kraju, i to na mocy niczem cofnąć się nie mogącego najwyższego ukazu, o wykupnie ich więc tylko z pańszczyzny mowa być może, a zatem winni oni tę pańszczyznę dziedzicom zapłacić, czyli co na jedno wychodzi, pańszczyzna a nie grunt szacowana być winna przy uwłaszczaniu, a ztąd oszacowaniu dnia pieszego jest jedynie zgodną z ukazem roku 1846 zasadą.

Pytanie drugie: Czyli właściciel nie bierze jako najsprawiedliwszego czynszu z zagrody, biorąc tylko po złp. 150, gdy pańszczyzna piesza 3 dni w tygodniu obrachowana po złp. 1 za dzień, czyni mu złp. 156 rocznie, a zrzeka się tej przewyżki oraz czynszów w naturze dotąd dawanych, i wielu innych służebności jako też czynszu do gruntu przywiązanych, a ufor-

nowanemi po ukazie 1846 roku, i zatwierdzonemi tabellami prestacyjnemi utrzymanych, i gdy tenże właściciel wystawia się tym sposobem na daleko większe koszta najmów, bo w dzisiejszym stanie rzeczy, a już dzień pieszy najtaniej po złp. 1 gr. 15 się płaci; gdy nadto właściciel ten, mając w zasadzie obrażowaną wartość odstąpionych gruntów z procentem 5% i na monetę, odbiera tę wartość w papierach indemnizacyjnych niższego kursu i przynoszących procent tylko 4%.

Pytanie trzecie: Czy włościanin chętnie płacąc za państwową złp. 150 nie jeszcze chętniej przyjmie tę podwyżkę roczną o złp. 10 jak się dowie, że za nią po latach 35 to jest za złp. 406 gr. 21, on lub dzieci jego, przyjdą do własności, i już nie nikomu po wieczne czasy płacić za nią nie będą; lub czy może nie najchętniej zechce płacić przez lat 41 też same złp. 150, które dał z chęcią płaci, bez nadziei mienia własności? Cóż dopiero gdyby się okazało, co jest bardzo możebnem, że przy ulgach jakieśmy powyżej wykazali, które włościanom w wypłacie szacunku mogły by być zrobione, albo amortyzacya w obu przypadkach o przeciąg lat kilku mogłaby być skróconą, albo też roczna wypłata na rachunek tegoż szacunku, mogła by być niżej złp. 160 lub złp. 150 ustanowiona. Wszakże zdawałoby nam się że przyrostek ten z ulg w wypłacie zrobionych, sprawiedliwiej należałby się właścicielom, i mógłby być bardzo korzystnie na ich rzecz użyty, przez zabezpieczenie dobrego kursu papierów indemnizacyjnych, które by się osiągnęło, gdyby procent od nich wyżej nad 4% był zapewniony.

Na tem uwagi nasze kończąc, życzymy aby podzielone przez ogół lub nie, przynajmniej ten skutek osiągnęły, żeby zdolniejszych pobudziły do lepszego aby tylko praktycznego, a nie teoretycznego tak ważnej rzeczy rozbioru. Na tej bowiem drodze, rząd krajowy potrzeby narodu zrozumieć, a potrzeb tych nigdy mu kilka

pojedynczo prywatnie wzywanych mimo najlepszych chęci, dostatecznie przedstawić nie mogą. Wybrani zaś gdyby byli z urzędu obywatele, przekonają się o ważności swojego powołania, i odrzuciwszy wyobrażenia u innych występne, u nich tylko nie krajowe i z potrzebami mieszkańców mniej zgodne, przeniosą raczej usunięcie się od należenia do dzieła, jak żeby mieli należąc, nadawać mu imionami swojemi firmę zgodności z interesem kraju tam, gdzie téj zgodności być nie może, i tym sposobem wprowadzać rząd krajowy w błąd, gdy rząd ten prawdy od nich dowiedzieć się pragnął.

W ręku rządu jest jak zawsze przyszłość tego chlebnego, a przecież dziś tak jeszcze ubogiego kraju. W ręku powołanych już i powołanemi być jeszcze mogących do tak ważnej społecznej przemiany obywateli, jak również w ręku wszystkich zdolniejszych mieszkańców kraju jest jego godność, którą i własną swoją wystawiają na szwank ci wszyscy, którzy w grzesznem zamięłowaniu spokojności własnej milczą, gdy nikomu odzywać się publicznie, aby tylko w formach przyzwolitych i z zasadami rządu zgodnych, nie jest wzbroniono.

Skutek tych wspólnych usiłowań jest w ręku Najwyższego Sędziego sere i samień ludzkich. On patrzeć będzie na szczerść każdego dla kraju chęci, i miejmy w Nim i w sprawiedliwości łaskawie panującego nam Monarchy nadzieję, że pobłogostawi z szlachetnych pobudek działającym, a niegodnych i skrycie nurtujących społeczeństwo przeciwników zawstydzi.

Pisałem w Polsce, w zakątku moim na Powiślu, w początku miesiąca października 1857 roku.

ONUFRY SULIMA.

Z LERMONTOWA.

ZBIEG.

LEGENDA CZERKIESKA.

Garun jak łania po górach goni,
Chyżej niż zając przed orłem bieży, —
Bo Garun uszedł zśród szczęku broni, —
Z boju, gdzie mnogo Czerkiesów leży.
Ojciec, dwaj bracia już śpią w mogile,
Padli, jak złęte pod sierpem snopy, —
Skrnawione głowy nurzą się w pyle
Pod nieprzyjaciół rzucone stopy,
A krew z nich ciecze i pomocy woła. —
Nie myśli mścić się w trwodze ochydnej
Garun. Gdy bitwa wrzała do koła
Rzucił gwintówkę, szaszkę, bezwstydną,
I uciekł. —

Zmierzchło, — a mgły tumany
Gęsto obsiadły ciemne polany,
Jakby ogromna śnieżna powłoka;
I wonny wietrzyk od wschodu wionął,
A nad pustynią świętą Proroka
Złocisty księżyc cicho zapłonął.

Palon pragnieniem Garun ustaje,
Krew i pot ciężki z liców ociera, —
W tem przy księżycu blasku poznaje:
Aul rodzinny z za drzew przeziera!...
Podkradł się zwolna: w aule cisza,
I żaden szelest jęj niezakłócił,
Bo z krwawej bitwy, bez towarzysza,
Garun sam jeden do domu wrócił.
Ku znanej chacie szedł pokryjomu;
W oknie światelko, — gospodarz w domu.
Więc pokrzepiając jako mógł ducha,
Wstępuje Garun do chaty druha. —
Selima Garun nazywał druhem;
Dziś stary Selim zdjęty niemocą,
W łóżu boleści i dniem i nocą
Konał samotny w milczeniu głuchém.

— „Wielki jest Allah! W ciężkiej przeprawie,
On ciebie jasnym skrzydłom Anielim
Kazał osłonić, zachować sławie!
Co tam nowego?“ — zapytał Selim.
I osłabione powieki dźwignął,
W oczach mu płomień nadziei mignął.

— „Przez dwa dni srogi bój wrzał w cieśninie;
Dwaj bracia padli, — ojciec zrąbany;
Ja sam uciekłem w dzikie pustynie,
Jak zwierz od wrogów ciągle ścigany.

Z pokrwawionemi oto nogami
Od krzaków ciernia, ostrych kamyków,
Nieznajomemi bieglem ścieżkami,
Za tropem wilków, za śladem dzików.
Czerkiesy giną! wrogi już wszędy!
Przyjmij Selimie twojego druha,
A na Proroka! dopóki ducha,
Pamiętać będę na twoje względy!

A konający łysnął oczyma:
— „Precz stąd przekłety! Pod moim dachem
Nie gościć hańbie z nikczemnym strachem, —
Ani dla tchórza miejsca tu niema!“

Z wstydem na twarzy, z cierpieniem w duszy
Opuścił Garun chatę Selima.
I ktoś się nad nim użali, wzruszy,
Kiedy przyjaciel litości niema?...
Ale gdy drugą chatę wyminął,
Staął. Bo miłych chwil przypomnienie
Błysło mu niby senne marzenie; —
Niby całunek na twarz mu spłynął
I na wybladłe cierpieniem czoło; —
A w duszy jego jasno, wesoło
Świta nadzieja. W nocnej ciemnicy,
Ni to spojrzenie czarnej źrenicy
Padło litośnie na jego rany;
I myśli Garun: „Wszak jam kochany!
Ona mną żyje, mną tylko dyszy!“...
I chce już wchodzić, — ale w tém słyszy:
Dźwięk znanej piosnki ciszę roztrąca.
I stanął Garun bledszy miesiąca.

Piosnka.

Miesiączek płynie,
A po dolinie
Młodzieniec zbrojny
Idzie na wojny.

Młodzieniec skalę zakłada,
Dziewczyna tak doń zagada:

„Mój miły! bez trwogi
Zaufaj losowi,
Módl się ku wschodowi
I służ Prorokowi,—
Mnie kochaj, mój drogi!
Bo tylko tchórz podły,
Tylko zdrajca krwawy,
Bez żalu, bez modły
Zginie i bez sławy.

Deszcz ran jego nieobmyje,
Ni zwierz kości niezaryje!”

Miesiączek płynie,
A po dolinie
Młodzieniec zbrojny
Idzie na wojny.

I włókł się Garun dalej po drodze,
Ku ziemi bujna zwisała mu głowa,
A na pierś bólem wydętą srodze
Łza się stoczyła, — jasna, perłowa.

A w tém zgrzybiały, burzą schylony,
Dom swój rodzinny ujrzał z daleka.
I wnet obeschła mokra powieka,
Ożył nadzieją Garun skrzepiony.
Bo tam gorące, szczere modlitwy
Lecą ku niebu ciągle za niego,
I stara macierz prosi, by z bitwy
Bóg wrócił syna, — oj! nie jednego!...
Więc puka w okno: „To twój syn biedny,
Twój Garun matko! Przyjm go w aule; —
Przez miecze wraże, przez wraże kule
Przychodzę do cię...”

— „Sam jeden?”

— „Jeden!”

— A kędy ojciec, bracia?”

— „Zginęli!”

A Prorok śmierci ich błogosławił,
I Aniołowie dusze ich wzięli!”

— „A tyś się pomścił?”

— „Jam się niebawił, —
Jam miecz porzucił w cudzej krainie.
I biegłem strzelać, doba za doba,
By twoje oczy ucieszyć sobą,
I łzę osuszyć co gorzko płynie!”

— „Milcz! milcz! niebłuzniój gjaurze zdradliwy!
Kiedys nieumiał umrzeć dla sławy,

Kiedys z  ród boju ucie ł nikiemnie,
To  yj samotny, zdala odemnie!
Ja niepodzielę z tobą m j strawy,
Ni hańby twojej na m j wlos siwy
Nie wezmę zdrajco! I wstydem twoim
Nie zadam sromu starym dniom moim!
Ty, co  tak podly popełni  czyn,
Ty  tch r ! nikiemnik! a nie m j syn!“

Umilkly straszne przekle stwa d wiewki,
I wszystko w ko o zale ło snem; —
Tylko zaklęcia, modly i jęki,
Długo brzęczały pod oknem tem.
A e wiernego lito   kind ala
Hańbę Garuna wreszcie skróci a.
Macierz nazajutrz trupa ujrz a,
I z zimną wzgardą w rok odwróci a.
I trup od wiernych wzgardą oplwany
Długo si  tarza  tak bez pogrzebu;
Tylko krew skrzepl  z g łbokiej rany
Stary pies liza  wyj c ku niebu.
Gromada dzieci nadbieg a cwa em
I urag a nad martwym cia em;
A w ustach ludu dot d obiega
Powie   o hańbie i  mierci zbiega;
Dusza za  jego z przed  cz Proroka
Wiecznie ze strachu dr  ca uchodzi;
A gdy noc w g rach spadnie g łboka
Cie  jego b dny w ciemno ciach brodzi.
Do chaty matki przyjdzie co rana, —
Stuka w okienko, szepce modlitwy;
Lecz gdy usłyszysz wierz z Alkorana
Ucieka z trwog , jak cie  tumana,
Tak, jako niegdy  ucieka  z bitwy. —

WIEZIEN.

Otwórzcie mi drzwi ciemnicy
Dajcie mi blask dnia jednego,
I brew czarną mój dziewicy,
Dajcie konia mi wronego!
Na wronego migiem wskoczę,
Czarnobrewkę ucałuję,
Koniem w stepy het potoczę,
W stepach z wichrem poharuję!

Lecz wysokie turmy okno, —
Drzwi sparte jak trumny wieko;
Czarne oczy we łzach mokną
W cudzej stronie gdzieś daleko; —
Koń mój wrony w pośród pola
Pędzi życie gdzieś szczęśliwe!
Biega, skacze kędy wola,
Z wiatrami puściwszy grzywę.

Dla mnie nie ma pocieszenia
W tym więzieniu pustém dzikiem; —
Tylko lampa u sklepienia
Konającym drży płomykiem; —
Tylko słychać: tam za drzwiami
Cisza nocna łoskot zdradza, —
Mierzonymi wciąż krokami
Niemy żołnierz się przechadza.

SĄSIAD.

Ktokolwiek jesteś, biedny mój sąsiedzie,
Ja ciebie kocham, towarzyszu w biedzie! —
Choć pod jedną więzieni ciemnicą,
Nigdy o sobie nie będziemy wiedzieli,
Bo wspólny los nasz, na wieki nas dzieli:
Teraz ścianami, — potem, tajemnicą.

Gdy słaby promień pozachodniej zorzy
Całus żegnalny na ścianie mój złoży,
I niknie w cieniach jak promień nadziei, —
A utrudzona w korytarzach warta
Chwilkę zadrzemie na bagnecie wsparta,
I śni o świetnej żywota kolei, —

Wtedy przez ścianę echo moje słyszy
Dźwięk twojej pieśni pośród nocnej ciszy; —
A chociaż nigdy nie zabrzmi nadzieja,
I chociaż nie znam słów twojej piosenki,
Lubię, gdy bólem przepelnione dźwięki
Jako lzy ciche leją się a leją....

I w piersi mojej jasno a tęczo
Dawne wspomnienia odżyją na nowo; —
I tak się wdzięcznie i uroczo śmieją, —
Serce drży żądzą łłamioną, tak długo,
I krew tak kipit... A z ocz cicha struga,
Lzy jak te dźwięki leją się a leją....

KAUKAZ.

Chociaż los mój srogi w zaraniu mych dni
O góry wspaniałe! wydarł mię z śród was, —
By wiecznie was pomnieć, dość was ujrzeć raz!
Jak piosnkę ojczystą co tak miłe brzmi,
Ja lubię Kaukaz!

Dzieciną malutką, jam matkę postradał;
Lecz mi się zdawało, że w wieczorny czas
Jój głos ukochany słyszałem śród was; —
I za to też lubię wierzchołki tych skał,
I lubię Kaukaz!

Wśród was wiek spędziłem szczęśliwy, uroczy, —
I pięć lat ubiegło, a tęsknię po was;
Tam wórok czarujący ujrzałem ja raz,
I w głębi mej piersi tkwią wiecznie te oczy, —
I lubię Kaukaz! —

• • •

Nie, jam nie Bayron! — Jam ręką Pańską
Ka niewiadomym celom wybrany; —
Jak on od świata wzgardzon, ścigany,
Tylko mam w piersiach duszę słowiańską...
Wcześniej zacząłem, wcześniej też stanie

Kres mój u mety, — ból się uśmierzy...
Na dnie méj duszy, jak w oceanie,
Gruz potłuczonych nadziei leży. —
Któż oceanu tajnie odgadnie?
I któż wśród tłumu myśli rozplemi
Co w duszy mojej leża tam na dnie?....
Albo poeta, — lub nikt na ziemi!

GUSTAW CZERNICKI.

MODLITWA

PRZED KOMUNIĄ

Z HISZPAŃSKIEGO LOPESA DE VEGA.

Zbawco ukrzyżowany, męczenniku Boży,
Gdy w modłach Ciebie Boga przyjmuję niegodni
Czy błędu śmiałość grzeszna, siostrą nie jest zbrodni,
Czy myśl wielbiąc Twą miłość, w prochu się nie trwoży?

Ostatnim ogniem nieraz dusza w bólu tleje
Lub wiarą ku światłości się wznosi krainie
A myśl skrucą zwalczona nad otchłanią ginie
Błędna, gdy wkoło trwogi, żale i nadzieje.

Panie! patrz na grzesznika wzrokiem przebaczenia
Patrz, oto, błąd mię zwalczył tylekroć już srodze
Szał i występki wiodły po zwodniczej drodze....

Panie, któryż ból zrówna rozpaczy cierpienia
Jeśli karząc występki i zuchwałe duchy
Odwrócisz wzrok od modłów nawet cichój skruchy!

W. S. DĄBROWICKI.

ARCHIPREZBYTEROWIE I KAPŁANI

KOŚCIOŁA MARYACKIEGO W KRAKOWIE

ze zbioru *Podzięk i Wspomnień Krakowskich*

JÓZEFA MACZYŃSKIEGO.

„Słuchajcie dawnych słów powieści
„W słowie się dawnym prawda mieści
„A w prawdzie mieszka Bóg — Duch prawdy”

Tak woła jeden z naszych poetów, a ja wam taką dawną powieść przynoszę w tych słowach:

Dnia 29 stycznia 1571 r. nadciągnęły czarne chmury nad Kraków i rzucając ponurą pomrokę rozniosły popłoch i trwogę po mieście. Świętym Zbyszczajem przodków naszych plebanowie dzwonami ludzi do modlitwy wezwali. W domach wiernych wierze świętej katolickiej kadzenie ziół przetęgnanych czyniono, gromnice co od gromów chronią, zapalone świeciły, a gospodarze albo

gospodynie przed święty obraz wszystkie domownicy swe do modlitwy zgromadziwszy z bojaźnią i z miłością modląc się błagali Boga, iż choć rękę na karanie wyciąga niech zaraz nie karze, aby miłosierdzia doznali.

Bóg wstrzymał gniew; bo choć potem chmury burzą powietrze, przepuszczają wiatry i błyskawice, piorunami strzelają, a miastu i ludowi jego złe się żadne nie dzieje. Tak Bóg ludzie ku swój bojaźni w dniu tem w Krakowie pobudził i pychę ich skrócił a przyszedł sąd im przypomniał przywodząc na myśl on straszliwy dzień, w którym w obłokach z wielką mocą i majestatem przyjdzie sądzić żywych i umarłych.

Lecz lud w Krakowie w znikłym tem zjawisku nie widział upomnienia Bożego, tak jak ci ślepi, co po przejściu burzy niewidzieli słońca świecącego na niebie. I zamiast się na to upomnienie oglądać a skruszywszy twardość serca i z grzechów powstawszy na srogą kازń jego nie zarabiać, żyli znowu po dawnemu: to w obojętności ku świętej wierze katolickiej to w różnowierców matni, których było w samym Krakowie trzydzieści dwie sekt.

Chociaż wielu cnotliwych i pobożnych Kapłanów było w winnicy Pańskiej którzy zdrady ich odkrywali a ludzie przestrzegali i przy prawdzie ewangelicznej i jedności kościelnej zatrzymać chcieli, to nie wiele było takich którzyby pomocy ich wzywali do wyjścia z grzechów i czynienia pokuty. A inni choć wołali: nie karz Boże! zlituj się Boże! to nie myśleli za co ma być to karanie ani o tem radzili jakobyśmy niekarani byli. Też i Sodomiczykowie w upadku swym wołali: giniemy! giniemy! ale przecież z Sodomy przed gniewem Bożym korząc się nie uciekali. A czemu? przeto iż je Bóg zaślepił tak iż do furty miejskiej trafić nie mogli.

Tak też i u nas w Krakowie się działo i byliśmy głupszy od zwierząt. Zna się przecie na niebie i ztamtąd

oczekiwa deszczu kania, wie synoganica kiedy ma po-
bożnie zajęceć, wie bocian kiedy ma od gadziny pole
czyścić, a ludzie nie chcą patrzeć na niebo choć im to
pokazuje kiedy czas pokutnego jęczenia, kiedy czas
grzechowych gadzin wyczyszczenia.

Nasz astrolog miejski magister Piotr Slovacius który
z mądrości słynie i z bojaźni boskiej, śle pismo dono-
szące magistratowi iż swoją nauką wypowiadawszy
przyszłość, wykrył te prognostyki, że nadzwyczajne zja-
wisko o téj porze roku grzmotami i błyskawicami obja-
wione, zapowiada rok bardzo nieurodzajny i na ludzi
wielki ucisk aż głód ich morzyć będzie. Co słysząc raj-
ca Erazm Eichler rzekł: nie ma dziwu iż nas głód wy-
morzy w Krakowie, gdzie heretyków więcej jak ka-
tolików.

Usłyszawszy to panowie rajcy a mianowicie którzy
w swoim odszczepieństwie w taką zakamieniałość po-
padli iż na wszystko dusze swoje ważą aby prawda
boża pod ich nogami poległa, a oni żeby się tylko przy
swój w rozumie hardości zostać mogli, chorem na rajcę
Eichlera krzyknęli: czyli pragnie mową taką jak się to
stało w sąsiednich krajach, wywołać krwawe mordercy co
dziejom narodów hańbę przynoszą.

Nie będę przytaczał tych mów z którymi przeciw nim
wystąpili katolicy i tylko powiem że sprzeczkę ztąd
powstałą zakończył rajca Wojciech Saxon, gdy wyłożył:
że w Polsce przodkującej innym ludom na drodze mą-
drości, nie ma bojaźni o to aby się o religią mordowa-
no bo w nią każdy pojmuje że człowiekowi trzeba zo-
stawić wolność wiary. Dla tego kiedy ta wolność u in-
nych ludów jest strasznym widmem o którym nawet
nie chcą i słyszeć, to w Polsce jest tak powszechnie
szanowaną iż w krótee w kardynalne prawo państwa
zamienioną i zaprzysiężoną być musi. Wezwał tedy pa-

nów rajeów, aby mitygując się w zapale, byli jak dotąd dobrym przykładem miastu.

Jednak wieść o tem co się stało na Ratuszu! miasto obiegła i katolików i różnowierców stronnictwa, poruszyła do tej walki ciągle niemal zwodzonej, ale pod tą swobodą i praw tarozą, ochraniającą ich nawzajem od gwałtów i nadużyć.

Gdzież wśród nieszczęść zapowiadzianych mieliśmy ratunku szukać, jeżeli nie we wstawieństwie Orędowników i Patronów naszych?! Jakoż odbyły się prawie po wszystkich kościołach solenne nabożeństwa.

Śmiały się z tego heretyki wolając: Bóg przestał cudów robić, a to błyskawice i grzmoty czem są przecie już świadomi jesteśmy. Ale śmiech ich i ta światowa mądrość w krótkie się w płacz zamieniła, gdy przyszły zbiory zboża, a tu nie było co z pola zebrać gdyż był to rok w którym ziemia mało co więcej nad zasiew rolnikowi wróciła.

I rozpoczął się czas głodu w którym widziałeś jak ubodzy po ulicach padali, a drudzy słabiej i mdleć poczęli.

A takich ubogich liczba co dzień się wzmagala bo lud z okolicznych wiosek szedł do Krakowa miłosierdzia i żywności szukać. Miłosierdzia nie brakło, a z początku i żywności, ale z nadejściem zimy, gdy wypróżniły się spichlerze prywatne i miejskie, gdy po wsiach nie podobna było zboża się dokupić i gdy nie zasłużył sobie Kraków na to ulitowanie Boga jakie okazał ubogiej wdowie przyjmującej Heliasza, co za garść maki żywności sobie na półtrzecia lata w głodzie zjednała, — więc wtedy w Krakowie lud z głodu mrzeć zaczął.

Dopóki zima trupy na ulicach i w domach zamrażała, zaraza się nie pojawiła, ale gdy z przyjściem wiosny trupy, których nastarczyć grzebać nie można było, gnę poczęły, powstało i zaraźliwe powietrze, co tam szukało

dla śmierci ofiar kędy głód zamożnością odpędzony po nie niesięgnął.

Gdy głód i mór zatknęły swoje sztandary nad Krakowem, wtedy ten okropny stan kładzie kres wszelkim nieśnaskom jego religijnych stronnictw i mimo wiedzy następuje milczące zawieszenie broni; bo z sił fizycznych upadkiem ostygl i zapal do sporów.

Lecz spostrzegli a mianowicie panowie Aryjanie, że stan ten rodzi między wyznawcami ich wiar obojętność, będącą najgubniejszą bronią dla wszelkich nowatorstw. Więc kilku między różnowiercami znalazło się zagorzańców, którzy umyśliли słabo tlejący ogień swój wiary od czasu do czasu rozżarzać, aby nie wygasł, a to czynami do oporu pobudzającymi. Słowem, zapragnęli mieć i w Krakowie swoich męczenników. Kiedy rozmyślali nad tem jak to zrobić bez narażenia na niebezpieczeństwo swych osób, i kiedy wyszukiwali człowieka któryby dał się uwieść ich namowom i poświęcił się na ofiarę za szalone zamiary swych przewodzców, wtedy bies, ich sprzymierzeniec z pomocą im przybywa jak o tém głosi dalsze opowiadanie.

Przed wszystkim bądź tego świadom czytelniku, iż młodego Xiędza Jana Altarzystę przy Kościele N. P. Maryi syna Nanharta złotnika króla IMCi, upletli kacersecy bałamutowie tak, iż go i na rzeczy niesłuszne i nieprzystojne podwodzili. Bolał na to jego sternik X. Archiprezbiter Wojciech Niniński a) mąż mądry, zacny

a) W manuskrypcie z którego te wiadomości podają jest nazwa *Hiniński* w katalogu Biskupów Prałatów Kanoników Xiędza Biskupa Łętowskiego jest nazwa *Niniński* a z poszukiwań w Archiwum Konsystorskim przybyła mu trzecia nazwa *Niniński*. Gdy zaś w spisie Archiprezbiterów zamieszczonym w starożytnych wiadomościach o Krakowie nie znajdują go i gdy pomimo starań nie mogłem dojść do Aktów Kościoła Maryackiego z których bym się przekonał o prawdziwóm jego nazwisku, przeto sowing go *Ninińskim* dając największą wiarę Archiwum konsyterskim.

i wedle możności swojej przestrzegał i, wszelkich dróg szakał żeby X. Jan od tego przedsięwzięcia tak szkodliwego mógł być odwiedziony, które nie inszego jedno jemu i duszy wieczne potępienie a sławie jego wielkie u ludzi chrześcijańskich i teraz i na potomne czasy uhłilenie mogło przynieść. I drogami temi zdawało się, iż zawiódł go do tego upamiętania w którym się widzi eo za nierozum jest Boga zapomnieć.

Ale Xiędza Jana poprawa nie trwałą była bo bies ten chytry mistrz jak się prędko wkradnie w serce ludzkie to go nie snadno ztamtąd wygonić. I w X. Janie przyezął się tylko a widząc iż sam mu nie podobła, zawezwał pomocy białogłowy; doświadczeniem bowiem nauczon wiedział, że co sam nie mógł to przez białogłową zawsze dokazał.

Tą piekielnicą była Zuzanna, Matysa Włocha szewca córka, która choć między przedniejszych rodziców córkami w klasztorze PP. Bernardynek u stój Agnieszki odbierała wychowanie, ale ją własna matka na złe wiedła podziwiając jej piękność, rozum, dowcip i prawiąc, że o jej affekt wszyscy się będą starali. Czemu sobie dziewczka tak głowę nabiła, że tylko o gachach rozmyślając, za niemi oczyma strzelała, za niemi ciągle główkę wystawiała z okna jak srocza z klatki. W domu wysiedzieć ani daj Boże, ino ustawnie obiegała kramy rynkowe i sklepy sukienne, gdzie gachy się kręca. A następność tego taka była, iż skromnie podług kondycyi swojej nie chciała się prowadzić, ale zbytecznie stroje, biesiady, muzyki i tańce zamilowawszy, dom ojca porzuciła i zaczęła wstydu nie mieć, a złe czynić. — Słowem stała się jedną z tych białogłów o których Pismo mówi: „Miód z plastru ściekający usta jej, i słodsze, niżli olej słowa jej: ale koniec jej gorzki jako piołun, a język jej jako ostra strzała i miecz z oba

stron siekający. Zakwaszona dzięta jej, przasnica dobrych i świętych obyczajów kwasem swoim sarała, a szukanie na oście i cierniu jagód ręce przebadała.

Pierwszym co ją do złego przywiódł miał być Piotr Zborowski nim jeszcze został Wojewodą Sandomirskim. Słyszały uszy nasze jak on tę szwecównę przemienił w zaczarowaną Księżniczkę, ale nie polską bo nie miała naszego, ino złoto z Arabii, jedwabie z Persyi czamary z Turcyi, klejnoty z Indyj, pychę z Hiszpanii, zalotność z Francyi, chytróć z Włoch a sumienie z piekła.

Ściany jej komnat miały być przysłonięte w kosztowne szpalery, w każdym ich kącie różnego krama pełno było, a na jej łóżu pierzyny i poduszki tamte atlasem, te złotem wyszywane. A patrzyły oczy nasze gdy przechadzała się po połaciach rynku; wtedy nie jedna mieszcza ba i szlachciana z zazdrością spoglądała jak nawieszawszy na siebie feretów i pasamonów szła podrygując, aż jej zawieszony na szyi alzband z diamentów migotał. Lub jak ręką do sta pierścieni mającą, podnosiła swoją spodnicę ogonem zamiatającą rynek, aby się z pierścieniami popisać i ukazać wstęgę od zamszowego trzewika, malutką jej nożkę jeszcze pomniejszającego.

Dla tego, dla którego rodziców porzuciła, dla tego i Boga się wyrzekła, i zaczęła jak Zborowski w swej herezyi, w której żył nie wierzyć w Boga ale w swój rozumek.

Lecz choć dla niego Zuzanna jak słyszysz świat wszystek i żywot o ziemię uderzyła, on jej pokazał jak ludzka łaska nie stateczna, a miłość nie długo trwa; bo ją po kilku latach porzucił. Ale tem nie wiele zafrasował tę jak ją powszechnie zwano w Krakowie Włoszkę Zuzannę. Piękność i niewstyd jej znane były, a niebrakło u nas na rokosznikach co takie szukają, a w gorący affekt popadłszy pozwalają się takiej mi-

łojnicy w swe kleszcze ująć. Dopóty niemi ona ich trzymała dopóki mięsaki, wystarczały. Potem znówu z urody i młodości nie poczeiwego zysku szukając, na sprzedaż się dawszy kupowaną była jak wszystkie rzeczy wystawione do pozbycia na tandecie. I zawsze miała kupca, bo jej dość było złapać złotnika co ją złocił, czyli nim był wojewodzie, czy miejski synek co go rozpycha puścizna.

Tą drogą na wieczne potępienie dążąc głażyła głos swego sumienia biesiadami w swem niecnym samotnie ciągle wyprawianemi. Na te biesiady schodzili się kosterowie, boć w niej zawsze było kilka warsztatów kart, kostek, z pieniędzmi którei kozerniki do gry zachęcali. — Schodzili się także wyjadacze, wydmiukacze i rokosznicy mając pierwsi, kuchnie dobrze sporządzone, wszystkiem dostatkiem, drudzy trunek taki jako mógł być najkosztowniejszy w Krakowie, a trzeci białogłowy takie jak gospodyni co z niewstydem plugawemi rozmowy z niemi się zabawiały. Grajki i łaziebny przy takiej czci przyspiewywali, a zagrawszy skoczne regały piasano jakby gdzieindziej nie uszło.

Tak żyła Włoszka Zuzanna, nie znająca miłości bliźniego i wtedy kiedy pod jej oknami ludzie z głodu padali. Lecz gdy zaraza zaczęła grasować po Krakowie, precz poszły z jej domu plauzy i wesołe tany, bo trudno było na nie biesiadników zebrać, i tylko czasem kto do jej mieszkania z dawnych znajomych zawitał i przerwał samotność, która do głowy nieśla to, o czemby zabaczyć chciała.

Pomiędzy tymi przywiódł do niej bies i Xiędza Jana Nunharta, pamięć mu zagwoździwszy na to iż chce ująć pokus białogłów, które Jadama, Samsona, Dawida, Salomona i inne zwiodły, należy uciekać od drzwi piekielnych. Dawniejby na niego nie spojrziała, lecz dziś mu rada była, gdyż mógł ją swemi wiadomościami za-

jać, żartami rozweselić, i uprzyjemnić nie jedną chwilę gędzeniem na lutni, gdyż w tej światowej rokoszy, za mistrza uchodził, a ona miłośnicą muzyki była i sama dość dobrze brzękała przyspiewując. — Abym cię z X. Janem lepiej zapoznał, powiem, że nie był to górnolotny orzeł, ale też i nie puchacz, który miał bujać, aż pod obłoki ale wzrok blaskiem słońca sobie zaciemniwszy spadł na ziemię.

Żeby jako tako zabić ten czas, umyśliła nasza Włoszka na uwięzi X. Jana trzymać. Więc zaraz za jego pojawieniem się w jej mieszkaniu rozpoczęła z nim ten djabełski taniec w którym masz wszystko co do pokusy wiedzie. — Wziętego w takie obroty, tak fortelami i powabami uловиła, że nie wiedzieć co złożył by jej w ofierze za wzajemny afekt.

Widząc to chytrą Włoszeczko przyszła ta myśl do głowy, że z uchodzącą młodością znikną wdzięki a z niemi i wielbiciele bo stare wino ale nie stare podwinki z mężczyzn błazny robią. Zwierciadło zaś dopowiedziało, że piękność i delikatność uchodzi z lica choć to i barskiem mydłem przymuskuje. — I te gwiazdzyste oczy nie świecą dawnym ogniem miłosnym choć je brew uczerniona poprawia. — Umyśliła więc, że czas zdjąć z głowy różany wianek a pokryć ją rąbkiem i czepcem przybranym w bramkę. Słowem, umyśliła przywieść do tego swego adoratora, aby się z nią ożenił. — Gdy on jej przeto prawił o swęj zyczliwości i o wzajemność błagał, rzekła mu: — Miłość dla siebie znajdziesz biorąc mnie za małżonkę. — Co usłyszawszy ów Xładz zaczął tonem oratorskim zaszczyt stanu i świętość urzędu duchownego uwielbiać, a potem pytać jej: jak może wymagać od niego takiej ofiary?

— Niemamy już co o tem mówić, odpowiedziała mu i wybiegła do drugiego pokoju, gdzie na łożę się rzucając, zaczęła wyrabiać te komedjanckie figle, udaną roz-

pacz przedstawiające. — Łkania jej do jego uszów doleciały, a o serce odbite, wszelką myśl w nim zagłuszają, i sam nie wiedząc co robi, klęka przy łożu białogłowy.

Choć się jej serce widokiem klęczącego gacha radowało, jednak krokodylowskie łzy po licach się toczyły a tych widok opętance tego w bezrozumne stworzenie zamienia. I niema się co dziwić, od młodości nie silny przełamywać się i przewycięzać, folgował sobie jarzma, a nierząd tak w życiu jak w uczuciu, nakoniec rozum z głowy jego wyparł.

Włoszka Zuzanna przy głębokiej znajomości ludzi, obfitem doświadczeniem nabytej, wiedziała jak dalej pociąć i swoją wymową z udania i wysłowności do wszelkich potrzeb i okoliczności zdolną, ponowiła przed nim tylokrotnie innym powtarzane kłamstwo, że on dopiero pierwszy w jej sercu prawdziwą miłość obudził.

Piętrząc zaś to kłamstwo innemi kłamstwami wprowadziła po nich i litość do serca afektem dla niej palącego. Dwoma temi uczuciami przy Zuzanny uwadze, zawsze i na wszystko pilnej i przy zabiegłości nieznużonej w popieraniu przedsięwzięcia, przywiodła X. Jana do przyrzeczenia, iż ją poślubi przykładem innych popadłych w heretyctwo księży. A tak zawlekła go tam, gdzie ślepe jego zuchwałstwo mogło zgruchotać go o wzniesioną i ugruntowaną na opoce budowę.

Szło tylko o to, ażali ma, szalejąc dalej i oczy swoje zamknąć na prawdziwość wyznania Chrystusa Pana, a przewrotniej się heretyków nauki chwycić. Zdradna jego Ewa, raczyła go zaraz tem biesowem owocem, ale on do niego miał wstręt, zważając, że nie jest to jedno wyrzec się wiary, co przestąpić jej przykazania, że nie toż samo xiadz żonkosz, co kacarz. — Lecz mu jego Ewa na pamięć przywodzić zaczęła żywot i sprawy X. Orzechowskiego okazując, że on przy trwaniu w wierze

żeńjąc się, musiał się wyrzec kościelnego chleba. Zresztą, mówiła dalej: — ja nie Małgorzata córka Ohełmskiego ani mnie rodzi Zarembianka, i ty miejski synek, a nie szlachcic, więc nam brak możnych krewnych i przyjaciół biorących nas jak Orzechowskiego w opiekę, bez której byłby jak Stankar w Lipowieckich więzieniach odsiadywał. A chociaż Orzechowski uszedł tego ciosu, cóż pozyskał? oto u duchowieństwa chromą i wątpliwą upamiętania się chwałę, a sprzymierzeńcy jego poglądują nań jak na tchórza co się pod Kandyńską sochą nikczemnie splaszczyl.

Gdy te świętokradzkie rady sprośnością rozwiozłego języka srożej zbezbożnione nie wystarczyły, dodała jeszcze: Kiedy Xiężom greckim wolno się żenić, a zakazano łacińskim, to zostań greckim iżeń się ze mną.

— Z tobą! wykrzyknął X. Jan.

— Zkądże ten wykrzyknik?

To zapytanie jej wielce go zakłopotalo, bo trzeba było jej powiedzieć, że jest zastrzeżone w wyznaniu Greckiem, iż kapłan ma wziąć żonę pannę nie porabnicę, nie kobietę sprośną; gdyż biorąc taką, traci kapłaństwo; a powiadając jej to, bał się obrazić.

O ślepoto ludzka! to Boga potępiénieże bluźnierstwami obrażać nie lękasz się, a drżysz od trwogi, żebyś nie bodnął słowem prawdy téj, która cię wiedzie do wyrzeczenia się świętego stanu twego, a naprzód Boga.

Batując się w téj trwodze, powiedział wśród przemyśleń do niej — że jego zadziwienie ztąd pochodziło, iż żeniając się z nią pragnął by i nadal ten dobry byt jej zapewnić w jakim żyje, a jakież on jest u xiędza Greckiego?

— Słuchaj rzekła mu — mniejsza o to, gdy ciebie posiadać będę, to mi za najlepszy byt wystarczy. — Ale obawa utraty ciebie i wśród najlepszego bytu twoją Zazannę nieszczęśliwą zrobi. Truchleję cała na samą

myśl co za katusze wycierpiałabym, gdybyś jak Orzechowski wdzon był po tych sądach, na których stojąc stoi się jak na stosie mogącym być lada chwilę podpalonym przez fanatyzm co tak łatwo z sąsiednich krajów do Polski przybyć może. — A w jego objęcia raziwszy się, te mu słowa wypowiedziała: Na miłość moją zaklinam cię, uwolnij się od ich sądów. Wszelki związek z niemi targając, idź w ślad Dudicza, który zrzekł się swego Biskupstwa w Węgrzech, a z niemi i dawnej wiary, a z poślubioną Straszówną tak spokojny w Polsce żywot pędzą, jakiby ja z tobą rada przebyć.

Temi i podobnemi namowy i postępkami z jego serca wiarę wygania, jakby ta wiara była ową dziewczką na którą mąż oko zwraca, a żona wypędza z domu, aby ona sama od niego miłowana była.

Do takiego, gdy przyszło pohańbienia świętej wiary naszej, i on na heretycką wiarę przejść jej przyobiecał, Zuzanna śle zaraz służebnicę swoją, z tą winą do Piotra Stratoriusza co go przed dwódnastą przeszło laty do Polski Kalwin przysłał, a pod ten czas jako Arianin kaznodzieił on w Krakowie. Śle zaś tę nowinę wraz z prośbą, aby w jej domu przybył i po duszę Xiędza Jana.

Stratoriusz nigdy się nie lenił, gdy tylko na taki polów był wezwan, więc też i teraz zaraz ze służebnicą wracającą przybył sapiąc i twarz z potu ocierając, bo w Polsce dobrze karmiony niepospolicie się wypasł, aż rygi jego okazywały, iż ciało nad duchem już w nim górę bierze.

Niechęć uszów kalać bezbożnemi ich rozmowy, powtórzę tylko odnoszące się do wypadku o którym tu mówię; i o tem świadomym cię czyniąc, że tym rozmowom towarzyszył dźwięk kufli, które szczerze różnym winem napełniała w niepojętej radości Zuzanna. — Miłością i winem obalamucon Xiądz Jan za namową

Stratoriasza idąc, napisał zawiadomienie do władzy duchownej: iż rozum swój oświeciwszy badaniami religii za światłem jego idąc, kapłaństwo i wiarę dawną porzuca.

Gdy to napisał, rzekł do niego Stratoriasz: Słuchaj Nunharcie z twego powrotu do rozumu cieszę się, ale żałuję że Xiądz Archiprezbiter Niniński zarazą dotknięty, a kończący w tej chwili życie, nie dowie się że...

Lecz nie skończył co chciał powiedzieć, bo ten jakiś niewczesny żart jego, przerwał Xiądz Jan zapytaniem: Czy być może idąc tu, widziałem go wracającego od umierających?

— A mnie idącego tu, upewniał o tem Doktor Szneberger, a ja mu wiarę daję, bo ją we mnie obudził mądrością okazaną w księdze wydanej o zarazie morowej przed trzema laty.

— Żeby go ta mądrość omyliła, byłbym rad! mówił X. Jan. Szkoduje świat takiego człowieka tracąc. — Nieprzyjaciół świadectwo to mu da, że zaćność duszy i obyczajów stawia go w samym celu i wyborze owych, o których godzi się śmiało rzec: to ludzie!

— Nie będziesz się gniewać mój kochany, mówiła Zuzanna, przymilając się do niego, gdy ci powiem, że z jego śmiercią niknie z przed oczów moich jedno z tych widziadeł niepokój we mnie obudzających.

— Jabyśmy się też mógł na ciebie gniewać Aniele mój? Co Nunhard powiedziawszy i ucałowawszy jej rękę zapytał: Jakiś niepokój on w tobie obudza?

— Niepowiem tego nie chcąc cię psuć, z miłym uśmiechem odrzekła.

— Choć nie powiesz kochanecko to już wiem, pomnąc, że ci się przyznał że ten człowiek ma nademną niepojętą jakąś władzę. — Ale upewnieniom moim wierząc, że ją twoja władza w niwecz obróciła.

Tej rozmowy zakończonęj wzajemnemi uściskami i przymileniami Stratoriusz nie słuchał. Ale nie dla tej nudy, jaką podobnie czuła rozmowa kochanków zwykle sprawia, ale myśl tego zagorzałego kacacza, winem rozpalona, nadzieję w nim zrodziła arcyzwyśnienienia zamianu przez biesa podszeptnionego, a o którym już powyżej wspomniałem; a to, że słabo tlejący ogień nowęj swęj wiary, rozżarzyć w Krakowie.

Jakoż czas kochanków rozmowy wystarczył mu do ukończenia piekielnego planu, który w czyn zaraz zamienić postanowiwszy, zaczął prawić najprzód o swęj serdeczności dla nich znając, że za miłującego radami spoznaj się idzie. Potem prawił o obawie jaką ma myśląc że Duchowieństwa katolickiego sądy ściagać go będą, jak ściagały przed laty Walentego Krezonowskiego, Marcina Krowickiego. Wspomniawszy tych bezbożników co pierwsi w Polsce dali przykład gorszącego zuchwalstwa jawnym małżeńskim stanem, gwałcąc Kanony, przedstawiał im, że jak tamtych tak i Xiędza Jana jedynie tylko opieka przemożnych Panów od prześladowań ochronić jest w stanie. Aby zaś tym ludziom zalecił się i ich pomoc skaptował, to mówił mu, że powinien pokazać im się śmiałym i odważnym bo u Polaków mężny tylko ma honor i zapłatę, a szczęście go piastuje.

— Usłucham mądrych rad waszych rzekł Xiędz Jan; a za przykładem Krowickiego idąc, zrobię jak on, kiedy się żenił z córką Stanisława Pobiedzkiego, i jak on w Żurawicach, tak ja w Krakowie sute weselne goody odprawię po publicznym ślubie, który wy Stratoriusz uczeń samego Kalwina dacie mnie.

— Na to zgody niema odezwiała się Zuzanna; to mogłoby nas na jakie nieszczęście narazić, mniejsza już za mnie ale ciebie mój Janku.

Stratoriusz który zapewne także myślał sobie: nie gła-

pim własnego karku nadstawiać; odezwał się na to: Nie frasuj się moja kochanko. Uwielbiając twego jak go tam zwiesz Janka poświęcenie się, powiem mu że to co w Żurawicach udać się mogło w Krakowie trudniejsze będzie. Wesele i gody takie byłyby długotrwałą walką a rzecz można jednego z tysiącem. — My się tylko możemy odważyć na niespodziany napad podobny do tego piorunu co wypadłszy z obłoku pali, zabija i znika. Cobym zrobił będąc na twojem miejscu ja tobie mój Nunharcie powiem, nie namawiając do zrobienia; choć widzę, że sława ztąd pozyskana wprowadziłaby cię w senatorskie dwory.

— Mówcie! mówcie! zawołał Nunhart a ja to zrobię bo miłość mojej Zuzanny doda mi odwagi!

— Odwagi! powtórzył Stratoriusz i dodał: zda się i ona, bo chociaż jak rozważyłem nie narazisz się na żadne niebezpieczeństwo, gdy jednak odważnie wystąpisz, tem swoje działanie upięknisz. Słuchaj więc i sądz.

— Wiesz już, że Archiprezbiter Niniński kona, a dowiedz się, iż doktor Sznebergier udzielając mi o tem wiadomość, to mi powiedział: Xięża Maryaccy jeszcze myślą ratować jego życie prośbami do Boga i odprawić będą w południe nabożeństwo na które chcą zgromadzić parafian. Te dwie wiadomości i chęć przysłużenia się wam myśl mi dały abyś po skończonem nabożeństwie stanąwszy w ambonie do ludu przemówił, wykładając iż Pan Bóg za to głodem i chorobami karze, bo chce upamiętania, aby głosu mądrości usłuchali którem prawdziwa nasza wiara do nich przemawia. Zapytaj ich czyli w umierającym Biskupie Padniewskim, i Archiprezbiterze Ninińskim nie widzą, że Bóg oswobadza ich od tych, którzy najwięcej lud uwodzili. — Powiedźcie.. ale ja nie potrzebuję was nauczać bo wiecie

najlepiej będąc w dobrej szkole uczon, jak do Inda przemawiać, aby go tam gdzie chcemy zaprowadzić. — Więc wam tylko to dorzucę, że trzeba to przemówienie zakończyć ogłoszeniem jako z przejściem waszem na łono naszego kościoła stan kapłański zamieniacie na stan świecki a bezżeństwo na małżeństwo z waszą Zuzanną.

Gdy to prawił Stratoriusz, Nunhart ręce opuścił, oczy w niebo wznosił, i w rozmyślaniu utonął; i możeby dawne uczucia religijne odniosły w nim zwyczajstwo nad słabością natury, bo oczy jego wyrazem natchnienia zabłysły, gdyby nie Zuzanna co słysząc ostatnie słowa Stratoriusa, zaczęła słuchać i lamentować uobecniwszy sobie niebezpieczeństwo na jakie wystawić ją może, tak ogłoszone publice małżeństwo.

Nunhart w téj chwili nie nie widział tylko Zuzannę, nie nie słyszał tylko płacze Zuzanny, a myślał, że ona tak go kocha, iż na samą wzmiankę jego niebezpieczeństw, serce jój ledwie z żalu nie pęknie. W tak słodkiem omamieniu tuli ją do serca, pragnąc jój żal powstrzymać i obawę zniszczyć.

Ale go w tém uprzedził Stratoriusz bo odkrywszy prawdziwy powód tych jój szlochań odezwał się: słuchaj mnie Zuzanno! żebyś nie miała żadnej obawy o twego Janka to mu radzę, aby zamleczał o swojém małżeństwie bo mógłby go kto obwinić że dla dogodzenia swéj namiętności i sam się wiary rzeka i innych do tego wiedzie, coby mogło przeciw niemu oburzenie wywołać.

Słowa te uspokoiły Zuzannę, wracając wrodzoną jój przebiegłość, która w usta jój kłamstwa wkłada i wielbiła jego miłość o wzajemną go upewniała. On jój wierzył, bo cóż się nie wierzy kobiecie gdy się ją kocha? Postanowił więc bez wszelkich dalszych namysłów iść za radą Stratoriusza. Gdy to oświadczył, radość tego starego zapaleńca miary nie miała. Zdawało mu się iż

prawywiódł do skutku szalone swoje zamiary, i że w wię-
rse swój pozyskał męczennika nie wiedząc iż bez miłości
kacerstwo żadne męczennika Chrystusowego nie czyni.
Stojące skłanice napelnił winem a wznosząc w górę
swoją, zawołał „Niech wszyscy papieżnicy tak jak ty
zmańdrzeją, albo jak Archipresbyter wymrą!

Ta bezbożników trójka spełniła ten i podobne mu
wiwaty, nie pomnąc że niejedyn już z Nowowierców się
spodziewał gdy szaleć począł, że zaraz na parochach
kacerskich łódź się Piotrowa roztrzaska; a widzimy że
nienaruszona płynie i zatopi niewiarę której uczył i
za łaską miłego Boga będzie jeden pasterz i jedna
owczarnia.

Przerwał tę biesiadę przybyły nagle dworzanin Miko-
łaja Firleja doręczający Stratoryuszowi pismo tego pana
przemożnego swemi stóśunkami a sprzyjającego różno-
wiercom. Po pisma tego przeczytaniu Stratoriusz powie-
dział: Donosi nam że przez listy z dworu królewskiego
doszła go nowina jako król nasz mocno chory, aż jest
obawa o jego życie i wzywa mnie do siebie pan Firlej
mając z tego względu co objawić. Świadom ja jestem
co usłyszę bo się już nie raz z nim mówiło, iż z śmier-
cią królewską trzeba walkę z katoliki rozpocząć, aby
wywalczyć nowe swobody dla naszój wiary i króla ale
nie takiego jak umierający, co chciał a bał się być ma-
drym. Wzywa więc pewnie aby radę dać jak się za-
wczasu do téj walki przygotować. Uraduje się więc nie
mało gdy dowie się co zrobisz. Ale słyszysz Maryackie-
go dzwonu głos wzywający cię Nunharcie! Spiesz, a
przy tobie będzie wieczna chwala, że pierwszy tę walkę
rozpoczynasz. Ty do Maryackiego kościoła, a ja do
dworca Firlejowego idźmy. Ja ci tam wyjednam opiekę
która i w téj chwili i w dalszém życiu nad tobą, czu-
wać będzie.

Nunhart winem rozgrzan nadzieją rozkoszy oznamion i śladą chwały opanowan, wybiega z mieszkania Zuzanny i spieszy w Dom Boży niczem się nie hamując aby w nim jawnie ludzi wszystkich zgorszył, mamili, kasłł i przywłódl, żeby drogę zbawienia porzucili a poszli tą którą sam na wieczne potępienie leciał.

Kiedy w Maryacki kościół wchodzi, już ostatnie słowa błagalnego śpiewu i ostatnie tony wtórującego organu o kościelne sklepienia się odbijały. Ani chwili więc nie tracąc wstępne na kazalnicę. Co lud widząc gromadzi się pod nią aby słowo Boże usłyszeć, a słowa błesa usłyszał. Dość długo jakby w rozmyślaniu zatopion milczał. Wreszcie odezwał się temi słowami Izajasza „*Będe walczył przeciwko tym co z tobą walczą a ocalę dzieci twoje.*” Słowa te drżącym i cichym głosem wymówione dawały znać iż go trwoga i przestachem przejmuje bojaźń Boga. Lecz wkrótce i ten ostatni dowód miłosierdzia nad nim Bożego od siebie odtrącił i na Boga pamięć stracił. Głos jego wyraźniejszym, poruszenia gwałtowniejszemi się stały, i odzyskał dawniejszy dar wymowy z którego sływał. I prawie zaczął a co nam powtarzać i usta tem mazać niegodzi, i tylko powiem od takich myśli nieuczciwych i bezbożnych a nieczemnych strzeż każdego Panie.

Nikt się nie znalazł coby miał tyle odwagi w ręku co on w języku i z kazalnicy go ściagnął. A znalazło się wielu co nie zważało jak wielki grzech popełniają nie uciekając i słuchając bluźniercy. I z tych niektórych grzech ten do tego powiódł iż Nunharta wymową obalamuceni tak zostali, iż dali wiarę jego słowom i poszli za jego namową. Ja tej namowy znowu nie powtórzę nie chcąc kalać ust moich, ale tylko powiem iż skłonili ich do tego że z nim wraz kościół Maryacki opuścili a szli do Zboru przy ulicy świętego Ducha gdzie mieli prawdziwą boską naukę usłyszeć.

O tem co się stało z wielkim tryumfem kacerstwa a z niezmierną boleścią naszą dowiaduje się ksiądz Jan Nitz pospolicie Leopolitą zwan jako urodzon we Lwowie a który w przestawnej akademii krakowskiej nie tylko w naukach tak postąpił że przez wiele lat innym je chwalebnie podawał, ale i w pobożności którą wszystkim nam świecił. Zostawszy zaś Doktorem ś. Teologii kanonikiem u ś. Floryana na Kleparzu, prebendarzem ś. Jerzego na Zamku i kaznodzieją w kościele Maryackim był mężem żarliwie powstrzymującym i piśmem i kazaniem zgubny pożar po Krakowie się szerzący.

Dowiaduje on się o tem co się stało jakem rzekł ale dowiaduje się w czasie swój wielkiej choroby w którą popadł zarazą dotknięty będąc gdy kazanie prawił w katedrze na pogrzebie ś. p. Stanisława Barsi wojewody krakowskiego przed trzynastu dniami a to w dniu 20 marca. Lecz chory na ciele a zdrów na umyśle całą jego przytomność zatrzymał i zaraz też wszyscy łoże jego otaczający usłyszeli te słowa, wychodzące z ust tego kapłana złotój wymowy jak ksiądz Skarga o nim wy-rzekł.

„Wszchemocny wieczny Boże który pragniesz zbawienia wszystkich a nie chcesz aby która dusza zginęła, wejrzyj okiem miłosiernem na mnie umierającego i zatrzymaj chwilę skonania, a daj siłę i wesprzyj przedsięwzięcie moje!“

Po tej wyżebrającej mu łaskę boską modlitwie mówił dalej. Pragnę jeszcze raz a peno ostatni napomnieć drogich sercu memu Krakowian zdradą uwiedzionych żeby kacerską złość odrzucili i do prawdziwej wracali jedności tuląc się do łona świętej matki Kościoła katolicko-apostolskiego. Dlatego proszę was rozbiegnijcie się po kościołach Krakowa aby zadzwoniono w ich dzwony: a pytającym co to dzwonienie znaczy niech powiedzą

„Spieszcie do Collegium artistarum a) gdzie na jego dziedzińcu czeka was umierający kaznodzieja ksiądz Jan Leopolda który pragnie Krakowianów jeszcze raz ostatni napomnieć i pożegnać”.

To żądanie wszystkich takim podziwieniem przejęło, iż zrazu żaden nie rzekł i po chwili doktor *Pikus* (jak zwiemy czoigodnego Stanisława Zawadzkiego Rektora Akademii) odezwał się, że to może pomnożyć jego cierpienia i śmierć spowodzić.

Ale nadto usłyszał od księdza Leopolda: „Nie odwiedzasz mnie od tego kochany *Pikusie*, bo grzechu nie popełnię, a miałbym to za grzech, że lękając się cierpień i śmierci, nie poszedłem za przykładem tych, którzy gdy ludowi prawego Boga Chrystusa ukazywali, nie lękając się niczego, koronę męczeńską otrzymali”.

Potem do księdza Marcina Glickiego, który wraz z nim w roku 1560 dnia 19 marca kapłańskie święcenie otrzymał i w roku 1569 dnia 25 października Doktorem stęj Teologii w kościele ś. Anny uroczyscie został, a swego największego przyjaciela zwracając się, rzekł do niego: „Jakośmy zawsze księże kolego w parze szli, niech tak idą i teraz nasze uczucia i myśli i co ja pragnę, wy wykonajcie.”

— Wasze życzenia, odrzekł ksiądz Glicki, zawsze były i są takie, iżem je brał za zrodzone natchnieniem Boga, więc coście chcieli ja rad czynilem i teraz czynię.

Co powiedziawszy, wyszedł z mieszkania księdza Leopolda, będącego w zabudowaniu zachodniem dziedzińca, kędy się mieszczą *Collegas maiores*, a z którego drzwi wychodzą na mały ganeczek drugiego piętra. Ganeczku tego schodami zeszedłszy na pierwsze piętro, wszedł pierwszymi drzwiami w przyległej ścianie do *Lectorium teologum b)*. Mający tu naówczas lekoyą pro-

a) Gmach dziś zwany Kollegium Jagiellońskie.

b) Dziś sala Jagiellońska.

fesor, zawiadomiony o tyczeniach księdza Leopolda, wypuścił trzystu kandydatów Teologii, aby kasali w dworcy uderzyć, powiadając wszędy powyżej wypisane tyczenia księdza Leopolda. — Zgiełk i wrzawa przy wychodzeniu ich powstała, posłyszane w całym Collegium, ze zadziwieniem ciekawość budząc, przywiodły w okna cel kolegów *majores* i wywołały na dziedziniec uczniów ze sześciu Lektoratów filozoficznych na dole będących, a to po kilku dla wywiedzenia co się stało. Z powziętą wiadomością gdy ci wrócili do Lektoratów i tę swym kolegom udzielili, wszyscy radziby byli opuścić Lektora, a wybieść na dziedziniec lub miasto, ale na ich tyczenia i prośby nie zgodzili się profesorowie, salając do Rektora zapytanie, co mają robić.

I odebrali od niego to rozporządzenie, żeby uczniowie z Lektoratów filozoficznych Sokratesa, Arystotelesa i Platona, udali się zaraz do *Stuba communis* i tam przed ołtarzem ś. Wawrzyńca *odśpiewywali kitanie i godzinki* a uczniowie drugich trzech filozoficznych Lektoratów, to jest: Marona, Galena, Ptolomea, gdyżby się tam nie zmieścili, tożsamo w swych Lektoryach uczynić mają.

Kiedy podług tego rozporządzenia w *Collegium artium* odśpiewywało trzy tysiące uczniów filozofii nabożne pieśni, a ksiądz Leopoldita umyśliwszy co ma uczynić, odprawiał najprzód w celi swój świętą spowiedź, wtedy prawie w całym mieście brzmiały mnogich kościołów dzwony, a na ich czele majestatyczny i pełen wspaniałego dźwięku dzwon Zygmunta.

Posłyszane o tak niezwykłej porze dzwonicie, bo w godzinę po południu, wszystkich zdziwiło. To też z miasta i przedmieść biegł lud pytający co do tego dało powód, a dowiedziawszy się, szedł zaraz do Collegium. Lecz szedł na próżno, gdyż ci nawet którzy za pierwszym odezwaniem się dzwonów przybyli, już w Collegium wcisnąć się nie zdołali, bo wysłani trzystu ucz-

ziów teologii, nim w dawony uderzono, tylu już ludzi o tém zawiadomili, ile Kollegium ich pomieścić mogło.

Labo nie jest naszym zamiarem ani zadaniem wdawać się w opisy miejsc albo osób, ale tylko wskazujemy miejsca, a o duchu i usposobieniu osób dajemy samą wiadomość, jednak tu trudno się wstrzymać aby nie pokusić się o nakreślenie choć szkicu tego obrazu, jaki się wtedy oczom zgromadzonych przedstawił.

Ślogie myśli, miłe uczucia pieściły wstępujących w to Kollegium, bo pomnieli na to, że gmach ten jest gniazdem usłaném staraniem Jadwigi i Jagielly, w którym zrodzone i pielęgnowane nauki, oświatę po Polsce rozniosły, i wyjednaly jej szacunek i sławę w świecie. Za pierwszym krokiem zrobionym poza bramą w tych świętych i ukochanych murach wszyscy zginali kolana, a mężczyźni czapki z głów zdejmowali, bo ten pierwszy krok stawiał ich przed kaplicą w której obraz Matki Boga zamieszczono, aby chcący pozyskać mądrość ten dar Boży, prosili przedewszystkiem o to Tój, co pełna łaski Pańskiej, wybraną została aby zawsze wszelką wszystkim zjednywała łaskę i była początkiem każdego dobra.

Wspomnionemi oznakami czci i poszanowania w dniu tym tylko Matkę Boga pozdrawiano, bo dla modlitwy nikt się zatrzymać nie mógł, gdyż mnogi lud ciskający się przez bramę do sieni, wszystkich prawie unosząc wypychał na duży tego gmachu kwadratowy dziedziniec. Wkrótce też dziedziniec i w koło niego bieżący dolny korytarz i pierwszego piętra ganek lud tak nappełnił, że nikt się więcej dostać nie mógł, a chcących się dostać była niemała liczba, bo całą ulicę ś. Anny i sąsiednie przecznice lud zaległ.

Zapełniony tak dziedziniec jaki widok dawał, to wyobrażenia każdemu odmaluje gdy mu przedstawimy okružające go gotyckie zabudowania pokryte stromym

a wysokim dachem, z którego jeszcze wyżej wyskakują te mury szczytowe z kamiennymi iglicami. Potem gdy wspomnimy o zabudowań tych wielkich i małych okienkach, któremi patrzą, jakby oczami upłynionego stulecia, i o tych różnej wielkości drzwiach, co wraz z oknami przystrojone są kamiennymi ramy rzeźbionemi różnokształtnie, a pomiędzy któremi masz tak zwane *Złote drzwi*, dla tego, iż odróżniono je od innych ozdobami złotem świejącemi, chcąc aby wskazywały że zamykają onajdroższy skarbiec bo bibliotekę akademicką. — Przed stawiamy dalej w tych zabudowaniach obiegający na dole korytarz z kamiennymi słupy, a na pierwszym piętrze ganek z popiersiem kamienném rzeźbioném, a nad którym wznosi się mocno wyskakujący dach z podświetką malowaną bogatą barwą.

Wśród tych to zabudowań chwytających za serce, przejmujących czcią, czyli spojrzeć było na dziedziniec czyli na ganki, korytarze i schody, czyli w mnogie okna i drzwi, wszędzie nie można było wynaleść miejsca, w którym mógłby się kto umieścić. A jeżeli wspomnisz na to, jaka u nas w Polsce różność ubiorów jest, i że się tu wszech stanów lud zbierał, tak żeś widział chłopów w czerwonych ferezyach, a mieszczan i szlachtę w różnobarwnych czamarach i deliach, i mieszczyki w słotglowych czółkach i szlachcianki w kapeluszach z bindami, to łatwo można wyobrazić sobie, iż dziedziniec ten wyglądał jakby przybrany w świąteczne szaty bogate, różnobarwne, a w które się ustroił na przyjęcie człowieka wywyższonego nad wszelką chwałę, bo Chrystusa Syna Boga, co się tu objawił ma utajon w Najświętszym Sakramencie.

Lecz nim nadejdzie ta chwila niepojętego cuda nad wszystkie cuda, posłuchajcie co się dzieje w mieszkaniu księdza Leopoldy. Błogosławiony ten mąż, po odbytej spowiedzi, uprosiwszy księdza Glickiego aby udał się

do kościoła ś. Anny po Najświętszy Sakrament, który publicznie na dziedzińcu przyjmować zapragnął, kazał się z łoża podnieść i ubrać w teologów togę. Gdy mu wdziano tę poważną szatę czarną a długą z szerokimi rękawy karmazynowym kitajem podszyte i mucet z aksamitu granatowego gronostajami wyłożony, rozkazał aby go posadzono na krześle i dano w rękę wiszący nad jego łożem krucyfiks. Co gdy się stało, rzekł najprzód do przywołanych sześciu kandydatów Teologii:

— Wam się powierzam, że mię bez szwanku na dziedziniec znieściecie. A potem zwrócił swoją mowę do stojącego przy krześle w czarnej barakanowej todze z rękawami wązkiemi Licenciata Chachulskiego, i powiedział mu: Ty zaś mój Antku, uderz w mój lutni strony, niech i teraz jak zawdy głos jęj zawtoruje, kiedy wzywam Boga słowami psalmu, wołając: „Z głębi wołam ku Tobie Panie.“

Tak przy lutni dźwięku rozpoczęty psalm śpiewający kandydaci wynieśli z mieszkania, siedzącego na krześle księdza Leopolię. Zgromadzony lud posłyszawszy śpiew, także śpiewać zaczął, co uroczystą czyniło tę, że tak powiem, procesyą ze żywym obrazem cnót, prac i poświęceń, jaki wszystkim przedstawił się w osobie księdza Leopoli, pomnażającego szereg tych mężów, któremi że ich porodziła, nie przestanie się chlubić nasza Akademia, ta córka Jagiellońska.

Z wielkim trudem przez natłoczony lud przedarli się na środek jego dziedzińca, przybyły ksiądz Glicki z Przenajświętszym Sakramentem, a kandydaci z niesionym przez nich księdzem Leopolią. Przez oddalenie się zaś kilku osób do Lektorioów, zaledwie zdolano utworzyć wolne od cisnącego się ludu koło, w którym postawione zostało krzesło z księdzem Leopolią.

Wtedy, najprzód aby zgromadzony lud pokrzepił uczynkiem i utwierdził w wierze w obecności Ciała i Krwi

Pańskiej i o użyciu Sakramentu pod jedną postacią, kazał się z krzesła zsadzić, a uklękawszy, przyjął ze zbudowaniem i wzruszeniem wszystkich na to patrzących, Przenajświętszy Sakrament.

Po chwilowej zaś modlitwie, napowrót na krześle posadzon wznosząc drżące od słabości ręce ku niebu, przemówił do ludu ale głosem jakby łaską Boga ożywionym, bo takim iż od wszystkich był słyszany; zaczynając swe przemówienie od tych słów:

„Bracia, bracia ukochani, obłąkane jagnięta naśladowcie bez matki, stęsknijcie do niej, wróćcie by nie zapomniała na swoje piskłę. Pokażcie się prawdziwymi synami Kościoła, a czulą matkę znajdziecie w nim, która was do swojego łona przytuli. Nie dopuścisz Panie Boże, żeby tego Ciała Chrystusowego, którym jest Kościół Jego święty, zdrowa nauka, w której już sześćset lat jak Polska trwa, w posłuch szła, iżbyśmy się jej do końca wszyscy mocniej nie trzymali jakośmy poczęli, bo za tym rozdzieleniem które teraz widzimy, nie innego być nie może, jedno wielki upadek tej sławnej Korony.“

A dalej gromiąc i potępiając czyn księdza Jana i tych którzy mu się uwieść dali, wzywał lud aby błagał Boga, iżby im prawdę poznać dał, bo poznawszy, od niej stronić nie będą.

Gdy to mówił, ktoś zawołał: „Choćmy zburzyć ich przybytek, a ich ukarać!“ Co posłyszawszy ksiądz Leopolda, zaczął to ganić jak Chrystus ganił Apostołów, gdy w jednym mieście zniewagi mu wyrządzonej, ogniem z nieba ściągnionym, pomścić się chcieli. I wyłożył ludowi temu, że błąd kacerstwa jest błędem rozumu nad którym żadne cielesne przymusy mocy nie mają. I że jedno tylko skuteczne lekarstwo jest na tę chorobę dalszą, a to przeświadczenie słowem Bożem przy modlitwie

izby ciemności w których brodzi ich rozum dawca światła swoim promieniem oświecić raczył.

A powiedziawszy: „Majestat Boży uprosiłem, żebym dni żywota mego poświęcone na lekarstwa tego niesienie nie wprzód zakończył, aż go wam dam ten raz ostatni;“ — wezwał lud, aby za nim powtarzał słowa modlitwy błagającej Boga, iżby wejrzał okiem miłosiernym na polski lud i kacerską złość, złożywszy błędzące serca jego upamiętał i wykorzenił z nich wszelkie błędy, a wrócił ich świętej Matce naszej, a to Kościołowi katolicko-apostolskiemu.

O! ja wam tego nie wypowiem, jak z każdym tej modlitwy słowem, odbijającym się poważnym echem o ściany tego przybytku nauk, zmieniał się jego dziedziniec w świątynię, w której modlitwa ta była aniołem zstępującym z niebios, a niosącym w serca wszystkich tę pociechę, że Polska nie postrada nauczyciela to jest łaskę Bożą strzegącą ją, aby odszczepienstwo swą lodowatą dłonią nie dotknął się jej serca, a z oziębionego wygnawszy te wzniosłe cnoty, któremi katolicyzm wiedzie do miłości Boga i ludzi do ciągłych ofiar i szlachetnych uczuć, nappełniło je swoją przewrotną nauką.

Przez czas tej modlitwy, wpatrujący się w księdza Leopolitę, widzieli wejrzenie natchnione, oblicze pełne uroku, jakby twarz świętego, gdy objawieniem jest nawiedzony. Ale kiedy ostatnie słowa wymawiał, w taką niemoc popadł, że nie drgnął żaden muszkuł w jego twarzy śmiertelną bladością okrywającej się, w oczach wygasł ten ogień co je przed chwilą rozpromieniał pożar znamionując i pożar wzniecając, oddech się jego zaparł a pierś gwałtownie się wzdeła.

— Kona! cichym głosem wymówił ksiądz Glicki, a padłszy na kolana i całując księdza Leopolity nogi i łzami je obmywając, zęgnął się z tym najdroższym sercu jego przyjacielem. Słowo zaś jego „kona“ pow-

tórzone od innych obiegło całe zgromadzenie i stało się wezwaniem znów do modlitwy, ale modlitwy za konających; jakoż całe zgromadzenie rozpoczęło odmawiać litanią polecającą Bogu duszę umierającego. Wśród tej uroczystej a rzewnej chwili, Dr. Pikus ujął rękę księdza Leopolicy, a śledząc w niej uderzenia pulsu i wpatrując się w jego twarz, powiedział: — Nie widzę ja tu śmierci ani w oczach, ani w zapadłym skroniu, ani w bijącym pulsie, ale w stanie tym w jaki popadł, potrzebuje spieszного ratunku, więc trzeba go nieść do mieszkania.

Posłyszawszy to kandydaci, napowrót księdza Leopolicy do mieszkania zanieśli, gdzie gdy mu z polecenia doktora Pikusa obecna na szczęście chirurgowa Piotrowa krwi upuściła, przyszedł do siebie, o czym zgromadzony lud w Kollegium zawiadomiony, dopiero się rozszedł.

Gdy głos dzwonów rozlegający się po Krakowie z polecenia powyższego księdza Leopolicy posłyszeli w swoim zborze kacerze i dowiedzieli się, że tym dzwośnieniem zwołuje katoliki do Kollegium, mniemali że to w celu aby lud zachęcić do pomsty za zniewagę domowi Bożemu wyrządzoną. Ztąd ogarnął ich wielki postrach wywołujący płacz rozpaczających kobiet i wykrzyki trwogą przejętych mężczyzn.

Takiem to hańbiącym lud krakowski mniemaniem przestraszeni, wkrótce przekonanie mieli, że to prawi wyznawcy Chrystusa stawiającego jedynie przeciw podstępom faryzeuszów światłość swojej nauki i swojego przykładu. I jako pierwsi chrześcijanie dzieło Boskiego Prawodawcy utwierdzili, nikogo nie prześladując, choć sami prześladowani; tak i lud krakowski, Bóg chronił aby religii Chrystusa krwawym mordem nie pokalali, chociaż i temu ludowi przodkował kapłan, którego pobożność budującą katolików, oni ohydzącą za wściekłość mioli. Lecz on ich przekonał że nie kalwinem jest, co

sprzecznie z ogłoszoną przez siebie czią dla ducha Ewangielii ścinał Gruetów i pałił Serwetów.

Abyś się dalszych zdarzeń wywiedział, gdzieś cię mam zaprowadzić? Czyli w mieszkanie Stratoryusza, w którym siedział ten zapaleniec w smutku pogrążon w jaki popadł, przekonawszy się, iż z ognia przez niego rozżarzonego, jasne światło wydobył światobliwy Leopolita, którem nie jednemu obłąkanemu oświecił drogę prowadzącą go napowrót na łono Kościoła katolickiego. Czyli mam cię zaprowadzić w mieszkanie Włoszki Zuzanny, także w smutku pogrążonej i niepewnością nękaną, bo nie miała wiadomości co się z jej przyszym małżonkiem stało gdyż do niej nie powrócił.

O nie powiodę was w te nieczne domy, gdzie już raz was zaciągnąć musiałem i ukazać ze wstrętem tę nędną stronę naszego żywota co nas samych przestrasza. Ale zaprowadzę cię w dom człowieka w którym błogosławiony był, który gadać z nim a rady jego użyć mógł; a to w dom Archiprezbitera Ninińskiego, którego pomimo przeciwnych zdań lekarzy wyleczył najlepszy lekarz, to jest Bóg.

Po odprawionych suplikacyach w Maryackim kościele, cudem Bożym Archiprezbiter ten ozdrowiał, a we dwa dni potem już łoże opuścił a siedząc w krześle rozmawiał z przywołanymi Kapłany Maryackimi, radząc o dobru kościelném, aby mu on upadek księdza Jana Nunharta, szkody w wierze nie uczynił.

W chwili téj narady posłyszane poza drzwiami płacze i łknie, uwagę wszystkich zwracają, a gdy drzwi otwarto, ujrzano stojącą znaną im matkę księdza Nunharta. Lecz ledwie na progu stanęła, płacz jej umilkł a ona zachwiała się i upadła. Podniesiono ją i posadzono na krześle. Jej oblicze sędziwą starością uszlachetnione, napiętnowały swoją cechą bolesne cierpienia, a jej oczy nieruchome roziskrzył ogień rozpacz. Ale ani płacz,

ani najmniejszy jęk nie wydawał jej stanu, ni jego boleścią ulżył.

Widok tej nieszczęśliwej niewiasty rościagniętej jakby na krzyżu w nadgrodeń swęj macierzyńskiej miłości, takim żalem obecnych serca przywalił, iż z nich ani jednego słowa pociechy wydobyć przez kilka chwil żaden nie zdołał. Pierwszym był ksiądz Stanisław zakrystyan, który ujawszy jej rękę, wyrzekł: Niech wam Bóg da takie serce, jakie w czasie rzezi Młodzianków dał matkom wołającym: „Nie żałujmy synaczków, traćmy ich, byleśmy Chrystusa nie stracili.“ Z takim sercem...

Lecz rad jego dokończyć mu Nunhartowa nie dała, bo te słowa ocucają ją z otrętwienia, a wyswobodzone z niego jej usta, bolesnym głosem zawołały: — „Więc wasz sąd zawyrokował że ja mam utracić mego synaczka.“ A zesunawszy się z siedzenia i padłszy na kolana, to wypowiedziała: „Chrystusie, Zbawicielem cię zwa, zbaw mego syna i spraw, aby odwołanym był straszliwy wyrok. O litość błagam was na kolanach. Pomnijcie co cierpieć muszę, usłyszawszy: matko, krew swoją dawaj.“

Słyszac tę mowę, wszyscy myśleli że umysł jej w oślupaniu, ale wykryło się, iż przyczyną zemdlenia i tych prośb, były słowa księdza zakrystyana, budzące w niej mniemanie, iż ją przygotowuje do usłyszenia surowego wyroku wydanego na jej syna. Lecz gdy z tak straszną myślą wyswobodziły ją upewnienia i perswazyje mianowicie księdza Archipresbitera, wypowiedziała mu swoje cierpienia i prośby z którymi przybyła, następnie słowy:

— Ciężka nowina, niespodziewana boleść, przenikła moje serce macierzyńskie, gdym od siostry usłyszała, że ksiądz syn dał się nędznie uwieść, w ciężki grzech popadł i pospieszył do Zbornu. Ja go tak miłuję, że za nim w piekło-bym poleciała, by go ztamtąd wyrwać. Więc leczę, myśląc, on był zawsze dobrym synem, mógłteby

dział ogłuchnąć na głos matki rozpaczającej. I nie zawiodłam się, bo gdym wpadła do Zboru, wołając: synu mój nieszczęśliwy! synu obłąkany! on téj chwili nogi moje łzami oblewał. O ja teraz Ojcowie duchowni nie powtórzę wam com do niego mówiła, bo w niepa mięt poszły te nie moje myśli, te nie moje słowa, któremi odzywała się przezemnie miłość macierzyńska do syna w przepaść wiecznej zguby lecącego. Ale tylko powiem, że ta mowa trafiła jeżeli nie do jego przekonania, to do jego serca, gdyż przyrzekał że wszystko zrobi co każę, tylko żebym powstrzymała łzy i żal. Wtedy gdy mi to przyrzeka, w Zborze powstała trwoga, gdyż zawołano że lud ich mordować przybędzie. O nieszczęśliwa matka; cóż przecierpiałam rozpaczając o jego życie, i potem gdy uprowadzając go ze Zboru przez ulicę, do domu wiodłam. I w domu się uspokoić nie zdołałam, bom nie mogła pozbyć się téj myśli, że lada chwila napadniętym dom mój będzie, a mnie biednej wdowie za całą obronę cóż stanie, oto tylko proźba: we mnie uderzcie, a tego com urodziła zaniechajcie. Oczy wytrzeszczałam aby kogo zobaczyć z krewnych i przyjaciół z pociechą i ratunkiem przybywającego, zapomniawszy, że nieszczęście od nas ich odgoniło. Dopiero gdy się zmierzchno, wdzięczność przywiodła Prądownicza Łaziebnika, w popadłym ubóstwie nie raz od ś. p. męża mojego zasiłkiem opatrzonego. I on nowinę nam przyniósł o tém, co ksiądz Leopolita zdziałał, aby zgorszenie jakie sprawił ksiądz syn powstrzymać.

Gdy tę nowinę wdzięcznemi łzami z księdzem synem oplakujemy, Prądownicz do téj dorzuca i tę, że całe miasto z oburzeniem potępia księdza syna i ukarania jego jak mówią, będzie się domagać. Przeto przybył on, aby go od nieszczęścia chroniąc, ofiarował mu

w mieszkaniu swajem schronienie, dopóki dla się bezpieczniejszego nie wynajdzie.

Lecz mu ksiądz syn rzekł na to: moje upamiętanie po tym sromotnym upadku płatne jest ciężkim żalem, ale on nie gładzi popełnionej zbrodni, ja karan być powinien dla bliźnich przykładu i mego zbawienia. Więc mnie nie ukrywać się przed karą, ale biedz po nią należy.

Taka odpowiedź wywołać musiała w mém sercu bójkę nuzuć, którą wiodły miłość i bojaźń Boża z cielesnością i z przyrodzoną miłością. Lecz ta bójka była krótkotrwałą, bo Anioł Stróż mój przemówił do mnie, gdyż mi dał tę myśl: Bóg ci dał syna, on go niech obróci jako chce; a jam odpowiedziała z zarzeczeniem woli swjej z umartwieniem miłości i żądy ku dziecięciu: Boże bądź wola twoja!

Na wypowiedziane przez księdza syna postanowienie zgadzając się, radziłam tylko, aby niżli sąd duchowny karę nań orzeknie, nie narażał swego życia a Krakowian sławy, którzy w uniesieniu przeciw niemu, mogliby gwałt popełnić, a przeto żeby przyjął ofiarowane schronienie.

Usluchano mojej rady, i gdy się na ulicach wypaliły w latarniach szelągówki i ciemno się zrobiło, szliśmy zaraz do mieszkania Prądownicza, który przyrzekł, iż księdza syna na drugi dzień tajemnie z miasta wyprowadzi i zawiezie na Lipowiecki zamek, gdyż w więzieniach jego duchownych wymierzonej na niego kary postanowił oczekiwać.

I tak się stało. Lecz rozstając się ze mną, prosił abym błagała iżby w tym kościele który zbzcześcił, pozwolenie dane mi było odprawienia nabożeństwa, na podziękowanie Bogu, iż go tak skoro a prawie cudownie do upamiętania przywiódł.

Wszystko to co słyszano z ust tej matki, pociechę w serca

obecnych wprowadzało i jednalo przebaczenie jej synowi, dla którego tyle wycierpiała, iż rzecz można, drugi raz go porodziła.

Dla tego też z wrodzoną łagodnością i serdecznością, odezwał się do zgromadzonych zaraz ksiądz Archiprezbiter Niniński temi słowy:

— Jeżeliście byli uczestnikami zmartwienia i boleści mojej, bądźcie też uczestnikami i pociechy i rozkoszy jakich doznaję, posłyszawszy o skrusze i upamiętaniu się tego, który niecną a bezbożną sprawą Boga obraził a ludzi zgorszył. Na proźby wasze moja pani Nunhartowa nie tylko zezwalam, ale je sam podczas odprawionej przezemnie Sumy przed Majestat Boski ślać będę. Kto nie ma nic po Bogu w czémby się kochał jako w syni swym, a tego sam Bogu na ofiarę poświęcić jest gotów jakęście wy zrobili, już tém sobie Boskie miłosierdzie zaskarbił. Ono wam wyjedna, iż ten syn co wam przyniósł cierpienia, przyniesie i pociechę. A teraz bądźcie o niego spokojni, bo miecz sprawiedliwości nad więźniami Lipowieckiego zamku, trzyma w swych rękach Kościół nasz święty, a on jest matką a nie macochą.

W trzy dni, to jest 7 kwietnia, spełnić dopiero mógł ksiądz Archiprezbiter co przyrzekł Nunhartowej, jakoż w dniu tym odprawił w kościele Maryackim Sumę. Po tém podziękowaniu Bogu za to upamiętanie księdza Jana, sądził być się obowiązany podziękować temu, którego Bóg użył za narzędzie do spełnienia téj łaski, a to księdzu Leopolicie. Jakoż zawoławszy do zakrystyi sześćdziesięciu księży, na służbie Bożej przy tym kościele będących, na ich czele udał się w znane wam już mieszkanie księdza Leopolicy.

Lecz z wielkim żalem swoim tu się dowiadują, że Dr Pikus nie obiecuje mu jak kilka godzin życia, i że ksiądz Głicki odmawia z nim Akta, gdyż ma i mowę

i przytomność. Ostatnią tę wiadomość usłyszawszy ksiądz Archiprezbiter, szle z zapytaniem, czyli go wraz z całym Maryackiem duchowieństwem przybyłego do siebie przypuści. Po odebranej odpowiedzi zapraszającej ich, gdy weszli, ksiądz Archiprezbiter zbliżył się do jego łóża, a ucałowawszy ręce i nogi, wynurzył mu najczulsze podziękowanie za czyn przez niego spełniony, i prosił go, żeby się z nimi pożegnał udzieleniem błogosławieństwa.

Ksiądz Leopolda wzniósł oczy w niebo, gdyż tam zawsze czerpał dla siebie natchnienie, a po chwili jakby po uzyskaniu tej łaski od Boga, do klęczących około łóża Kapłanów w oczekiwaniu na błogosławieństwo, wypowiedział czułym a rzewnym głosem pożegnanie się z nimi.

Oczy wtedy jego okryte łzami, rzuciły spojrzenia tak obumarłe, tak świątobliwie smętne, że patrzący na niego również wszyscy aż do łez rozczuleni byli. W tém w jego natchnioném obliczu, błysło tajemnicze spojrzenie, a usta jego wymówiły wówczas te słowa:

„Idę przed sąd Boga, a jeżeli mnie miłosierdzie Boskie do swojego Majestatu przypuści, błagać go nie przestanę, aby dozwolił być mi przy tych Aniołach Stróżach, których macie i mieć będą wasi następcy w Maryackim kościele. Przy tych Aniołach Stróżach, co na nasze proźby wszystko dobre ożywiają a od złego strzegą, abym błagał ich także, by Kapłani tego kościoła byli powolnymi, uprzejmymi, pracowitymi, pobożnymi, miłującymi Boga i ludzi, obojętnymi dla świata a czułymi dla biednych. Słowem, by byli takimi, jakimi Chrystus Apostołom swoim być przykazywał, biorąc dla siebie za wzór i przykład tego Apostoła narodu, który temi wzniosłemi i pięknymi uczuciami przejęty, wołał: „Ja żądałem odrzuconym być od Chrystusa za braci moich.“

Gdyby zaś znaleźli się między Kapłany Maryackimi

taey, coby opieka ich Aniołów Stróżów od złego nie ustrzegła i którzyby błędne nauki siali, złe życie pędzili, swych obowiązków zaniedbywali, to będę tych Aniołów błagał, aby gdy im pomocy nieść nie mogą, dali ją parafianom tego kościoła, prosząc Boga, żeby takie Kapłany natychmiastową śmiercią powołał przed sąd swój straszny, żeby nie byli zgubą dusz ich opiece duchownej powierzonych. Niech zaś za tём błogosławieństwem umierającego, które wam udzielam w Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego przyjdzie poświęcenie siebie dla dobra bliźnich.“

Gdy te ostatnie słowa wypowiedział, krzyż święty w rękę trzymany do piersi przytulił, a ani słowem ani żadnym ruchem oznaki swojego konania nie dając, skonał.

O czém przekonawszy się ksiądz Glicki, zawiadomił obecnych zawoławszy: módlcie się za duszę księdza Jana, któren żyć przestał. A gdy się oni modlili, on oddał mu ostatnią przyjacielską usługę, oczy jego zamykając.

Smutna ta nowina, w moment obiegła Kraków i lud jego modłami płaczem przerywanemi, polecał miłosierdziu Boga duszę tego kapłana świątobliwego, którego wiele miłował za to, że co nauczał, to czynił służąc Bogu w bliźnich.

Przez dwa dni następne, lud ten jak procesyą szedł w mieszkaniu jego odwiedzać ciało, skąd trzeciego dnia z wielką czcią przeniesione do kościoła Wniebowzięcia N. P. Maryi w rynku, po odprawioném nabożeństwie, pochowano w grobie, do którego wstąpił w siłę wieku, bo licząc lat 49.

W trzy miesiące po tych zdarzeniach, a to w połowie lipca przybył do Krakowa świeżo z pieczęci na biskupstwo krakowskie po przypadłej wtenczas bo w dniu 12 kwietnia, śmierci biskupa Padniewskiego, wyniesion

ksiądz Franciszek Krasinski, herbu Słepowron, a przybył z Knyszyna, kędy umierającemu Królowi Zygmuntowi Augustowi udzielił wszystkie Sakramenta kościelne. Za przybyciem więc dopiero jego, zwołanym został sąd mający zająć się sprawą księdza Jana Nunharta, a który po tej przedstawieniu orzekł: „Iż żal nawróconego grzesznika, przebaczenie mu jedna, i że nie za karę, ale dla umocnienia się w przyrzeczonej poprawie, ma odbyć w Lipowcu dwumiesięczne rekolekcyje.“

O tak łagodnym wyroku ksiądz Jan dowiedziawszy się zaraz oznajmił iż on sam dla siebie surowszym sędzią będzie. Tak to Pan Bóg różne ma drogi do wzbudzenia tej leniwej do duchownych rzeczy cielesności naszej. Jakoż rok cały ksiądz Jan w ciasnej celi na Lipowcu odsiedział co dzień się lepiej w wierze fundując. Po roku bojąc się aby między ludźmi bogomyślności swęj nie utracił przez krewkość człowiekowi wrodzoną, amyslił resztę żywota swego w murach klasztornych spędzić i przywdziać habit Franciszkanów czyli Minorytów będących żywym obrazem czasów apostoelskich przez powściągliwość, ubóstwo i poddanie się zupełne woli zwierchności.

Leż przed wstąpieniem myśl mu padła dla przebłagania Boga odbyć jawną pokutę a to w miejscu kędy się obraży jego dopuścił to jest w kościele Maryackim.

Spełnić to postanowił w dzień rocznicy śmierci błogosławionej pamięci Księdza Jana Leopolity, w którym odprawiać się miało żałobne nabożeństwo i odsłonionym miał być pomnik grobowy, któren ku uczczeniu pamięci tego męża nie małym kosztem przyjaciół wyrobił z kamienia swem dłutem Kanewezy oddający w podobieństwie oblicze ś. p. księdza Jana Leopolity. Czym nam nie małą radość sprawił a potomkom przysługę.

Jakoż w dniu tym w środku kościoła przy wnieście w Przbyteryum a pod zawieszoną w arkadzie figurą

N. Panny w płomieniach, klęczał ksiądz Jan Nunhart w przywdzianym już Franciszkańskim habicie z osutą głową popiołem. Jeżeli w sercu jak na twarzy jego taka sama żalność była to nią pewnie wyjednał u Boga przebaczenie. Gdyż widocznym na twarzy żalem obudził dla siebie w patrzącym nań ludzie powszechną litość i miłosierdzie a niemialby ich dostąpić u Tego który jest samą litością i miłosierdziem.

Teraz dam wspomnienie z tego czasu gdy po tém nabożeństwie skończoném ksiądz Archiprezbiter ukazał się w ubiorze kanoniczym na kazalnicy a lud ze wszystkich stron zgromadził się aby słowo Boże usłyszeć. Dość długo czekano nim on był mocen przemówić bo popadł w takie rozrzewnienie iż płaczu nie mógł powstrzymać. Wreszcie od łkania przerywaną mową wypowiedział jak wielką miał trwogę w sercu, swoją się nieudolnością strasząc i urzędu wielkością gdy się prozbom Krakowian użyć dawszy na Archiprezbiterstwo wstąpił. I że miał czego się trwożyć, przekonała go przed rokiem od murów tej bazyliki widziana nie boża więc i nie polska sprawa, która nie miała by miejsca gdyby mógł jak mu należy z większą pieczą i baczeniem czuwać, iżby ci co mają wraz z nim pracować nad zbawieniem dusz powierzonych mu parafian, byli jak powinni być zwierciadłem wszelkiej ucieciwości i zachowania kapłańskiego a od siebie począwszy wszystką się pilnością i strażą duchowną opatrzyli, aby w czem miejsca czartowskim siłom nie dali.

Powrót swój do zdrowia i życia uważał za dowód nad nim łaski i miłosierdzia Boga zostawiającego mu jeszcze czas do poprawy. Przyrzekając tę poprawę i błagając zarazem Boga o pomoc w tem czuwaniu nad kapłanymi Maryackimi to wypowiedział:

„Błogosławiony Janie Leopolito, bo błogosławionym był żywot twój, bądź dla mnie i kapłanów tego kościoła

jako i dla naszych następców surowym sędzią, ażali jesteśmy takimi jak powiedziałem kapłany być powinny. A gdyby co nie daj Boże kiedy bądź pojawił się tu taki kapłan coby nie jak powinien przykładem paść i budować Bogu owce swe, w tedy uczyn jakęś przysięgę że błagać będziesz przez Anioły Stróże nasze Boga aby natychmiastową śmiercią powołał takiego przed sąd swój, który straszliwy jest na takie kapłany którzy są zgubą dusz ich opiece powierzonych.“

A wskazując na Leopolity nadgrobek wmurowany we filarze naprzeciw kazalnicy temi słowy naukę zakończył: Z mojej to rady zacni fundatorowie tego nadgrobkku tu go wmurowali i w nim to popiersie ś. p. księdza Jana Leopolity zamieścili, bo chciałem abyśmy i nasi następcy mając zawsze przed oczyma oblicze tego świętobliwego kapłana przypominali sobie że z niebiesich ich cenzor i oskarżyciel ciągle nad nimi czuwa a przypomnienie to żeby do tego wiodło, iżby wszyscy kapłani Maryackiego kościoła byli zawsze tak przykładni, gorliwi, pobożni, cnotliwi jak był nasz nieodżałowany ksiądz Jan Leopolita pod tym nadgrobkkiem spoczywający co daj Boże. Amen.

Możeby radzi byli ci co dają chętnie ucho swoje gorzącym historyom, abym im w końcu i żywot dalszy Włoszki Zuzanny opowiadał. Ale ja dla zbudowania a nie zgorszenia pisząc powiem tylko, że w sprośnym warsztacie nieczystości jeszcze przez lat sześć żyła w Krakowie.

Lecz kiedy w roku 1578 nieodżałowany król Batory mądrze powiedziawszy w swym wyroku: „Iż wolności nie na to się udzielają, aby występki bezkarnymi zostawały,“ wydał ustawę porządek w Krakowie przywracającą a na Ratuszu podług niej rządy zaczęto, to właśnie wtedy przywieziono Włoszkę Zuzannę do kabałów Ratusznych jako obwinioną o urznięcie mieszka

jakiemuś szlachcię służyć w niej rozmiłowanemu. Ale gdy na to dowodów nie było a sama nie chciała się przyznać, choć była od mistrza na torturze próbowaną więc ją tylko jako znaną zwodnicę mistrz wyświecił za bramę miasta. A tak ta która miała się przyczynić do rozżarzenia kacerzom ich wiary w Krakowie rozżarzyła tylko w nim słomę kiedy ją z miasta wyświecano.

Od czasu zaś wystawienia nadgrobką świętobliwemu Leopolicie tak ksiądz Archiprezbyter jak i księża Maryacy wskazując na zamieszczone w nim jego poparcie zwykle mówili: To nasz Anioł Stróż. Lecz jak wszystko na świecie z latami w niepamięć idzie tak też przestano już wskazywać sobie i tego Anioła Stróża. Ale on im się przypominał jak o tem tu mam rzec.

W jedenaście lat po tych wypadkach to jest w roku 1583. Śmierć księdza Ninińskiego Archiprezbitera jego gorliwą służbę Bożą przy Maryackim kościele zakończyła. Smutni bo osieroceni z takiego Pasterza Parafianie rozradowali się gdy ich doszła nowina iż za wolą króla Stefana następcą jego obran jest ksiądz Jakób Sztenberg Górski katedralny kanonik krakowski profesor nauki prawa w akademii ośm razy jej rektor. I mieli się z czego radować bo patrząc na jego w najtrudniejszych czasach mądre a świetne rzędy w akademii że takie i tu będą pewni byli. Bo był też to mąż nie przestający na tem co do mądrości świata należało, ale zapuszczający się z równą gorliwością w głębokości nauk świętych nie bez odniesienia z nich obfitego owocu, który w różnych teologicznych pismach społecznym i potomnym odkazał.

Jako dobry i przykładny syn kościoła i ojczyzny wołał on na nas w tych swoich pismach „Że pod pozorem ubezpieczenia wolności, samą wolność z wszelkiej wolności obedrzeć usiłujemy i wróżył pewną i prędką

zgubę królestwu w którym jednym wzrasta co raz więcej nierząd, irregilia, zepsucie i złe przykłady.“

Znając te złe chciał je wytępić w parafii w zarząd wziętej ale chcieć a móc nie jedno. Sześćdziesiąt lat życia tak pracowicie przepędzonego zamieniły go w starca z trudnością ciężar nowych obowiązków nań włożonych dźwigającego. I cóż się dzieje posłuchajcie. W drugim roku jego Archiprezbyterstwa wśród późnej nocy siedział ten starzec w swoim mieszkaniu po za stołem zastawianym książkami i do stojącego przy nim kleryka Maryackiego Mikulskiego co porządkował leżące na stole papiery to mówił:

Dziś się utrudziłem mojem dyktowaniem, ale chciałem już zakończyć to dzieło do którego napisania prawie mię nagliła żądza walki którą staczam w obronie mojego niegdyś ucznia dziś przyjaciela Sokołowskiego Wirtembergski profesor Crususz może jeszcze z pola nie ustąpi ale...“

Lecz tu nagle zamilkł i nagle swoje oczy ku drzwiom zwrócił i ręką się przeżegnał a po chwili usta jego jakby rozmawiając z kim odzywały się. Najprzód: *Więc w nagrodę*. Potem: *Radosna nowina*. Nakoniec powiedziawszy: *Przyjm Boże dzięki!* ukląkł i modlił się.

Kleryk wpatrywał się w niego zdumiałemi oczami a choć nie wiedział co to znaczy niemógł pytać bo jakaś władza cześć i uszanowanie w nim obudzająca, usta mu zamykała. Dopiero gdy po krótkiej modlitwie starzec powstał, a zbliżywszy się do niego zapytał: Czyliż i ty widziałeś go i słyszałeś? On ma drżącym głosem zaledwie zdołał odpowiedzieć: Waszą tylko Przewiećbność.

Twój drżący głos okazuje trwogę, oddal ją, a ze mną raduj iż stałem się godny tak wielkiego miłosierdzia Boga, iż mię uraczył świętem zachwyceniem. A tak co innym Pan Bóg tylko czasem we śnie pięknego obja-

wia, jam na jawie jasno żywemi oczyma oglądał. O niewysławiona dobroci Boska, mnie nędznemu grzesznikowi zsyłać rozkosz widzenia i zachwycenia, jakąś zsyłał tym duszom pobożnym i świętym co w jasność roztwartego Nieba widziały Boga w Majestacie, Najświętszą Pannę w gwiazdzistej koronie, chóry Aniołów śpiewających Anielskie pienia wśród rozchodzącej się woni rajskiej.

To mówił ten czcigodny starzec a oczy jego łzami utwielbienia i wdzięczności okryte błyszczały światłem co przyświeca duszy w chwilach natchnienia kiedy ona rodzi myśli coraz piękniejsze coraz doskonalsze, coraz więcej zbliżające do Boga.

A tego starca oblicze takim się wyrazem ustroiło że jego opis w słowie na papier nie może przenieść bo dość rzec że patrzący weń kleryk Mikulski pobożne wzruszenie nagle w duszy uczuł i kolana zgięły się pod nim kornie nogi jego całował bo zdało mu się że Boskie oblicze widzi.

Powstań, powstań mój kochany z tém błogosławieństwem które udzielam tobie pierwszemu w ostatnich chwilach ziemskiego żywota i pierwszy usłysz co mi kazano objawić ludziom.

Posłuszny temu wezwaniu kleryk gdy powstał, usłyszał następne wyznanie księdza archiprezbytera Górskiego. Prawdę słów moich śmierć stwierdzi objawiona nam przez usta błogosławionego Leopolity którego oczy widziały a uszy usłyszały te słowa. Bóg gdy drugi raz słońcem na niebie zaświeci powoła was do chwały. Aby zaś nie myślano że to jest śmierć zapowiedziana przeze mnie obłąkanym pasterzom kościoła Matki Boga ogłoś ludziom co mówię. Powiedziawszy to zniknął zostawiając mi niesłychaną radość.

Tu kleryk Mikulski ujął jego rękę a skrapiając ją łzami i całując zawołał: O niezbadane wyroki Boskie!

O niezbadane, powtórzył za nim Ksiądz Archiprezbyter a nie dając mu już przyjsć do słowa oddalił go i sam został.

Na drugi dzień ogłosił miane objawienie a oczekując zapowiedzianej śmierci spowiedź odprawił, ŚŚ. Sakramenta przyjął, aby jak żył tak żeby po katolicku umarł. A choć pragnął ten ostatni dzień życia na modlitwie spędzić, musiał się od niej odrywać i przyjmować nawiedziny tych co czcią i miłością dla niego przejęci byli, a tych nie małą liczbę miał. Tak i ten ostatni dzień życia jak całe życie poświęcił na naukę bliźnich bo z przybyłymi rozmawiał, a rozmowa jego naukę niosła.

W on czas z nawiedzającym go także Mikołajem Firlejem Kasztelanem Biedzkim Referendarzem koronnym wdawszy się w rozmowę o swoim objawieniu to mu powiedział: Przechylny Kasztelanie, jeżeli kto to wy musieliście zgłębić Boskość naszej świętej wiary katolickiej, kiedy was od niej odciągnąć nie zdołała sama powaga ojca, czczonego przez was jak Bóg przykazał. Więc musieliście dopatrzeć ślady wpływu i działania świata duchowego. Nowy Testament o Duchu ciągle prawi, a kościół nasz obcowanie świętych za Artykuł wiary podaje. Wszak i Sokrates opiekuńczego Ducha miał jako przed trybunałem pięciuset wyznał.

O ty polski Sokratesie zawołał Firlej, ten wasz Duch opiekuńczy co ciągle w nadgrodzie prac i zasług serce i umysł rozjaśniał, dziś wywołując was z pośród nas, jakąż nam smutną wrótbę zniszczenia daje. Kiedy bowiem na bezbożnych osady zagniewane Niebo powódź siarczystą miało spuścić, sprawiedliwemu z nich kazano ustąpić, aby w powszechnej zagładzie niewinny ocalał.

Ja jeszcze żyw przerywając mu mówił ksiądz Archiprezbiter, a wy mój szanowny Kasztelanie już jakby

pogrzebowe kazanie prawiąc, obdarzacie niezasłużonemi pochwałą, jak to zwyczaj w takim razie. Waszą dobroć i łaskawość dla mnie znając, pewny tego byłem i przysposobiłem za to kazanie zapłatę na jaką mnie stać. Raczeście więc ją przyjąć w książce *Ecclesiae Orientalis Censura*, którą wam przypisałem jest to ostatnia moja praca bo dziś w nocy skończona, a którą po śmierci mojej ma druk ogłosić jak to już rozporządziłem.

Firlej serdeczne mu dzięki za tę pamięć złożył i nastąpiło pobudzające obecnych do płaczu pożegnanie tych dwóch mężów o których wspólnie da się powiedzieć, iż *byli dowiadczaniem najroztropniejsi, w radach najdoskonalsi, stałością i wielkością umysłu poważni, z cnoty szanowani* jak to o Firleju król Zygmunt III napisał.

Przedstawić w tej rozmowie chciałem księdza archiprezbytera Górskiego jak ze swobodnym i spokojnym umysłem śmierci oczekiwał. Śmierć ta jak było mu objawione ze wschodem słońca dnia następnego żywot ziemski mu zakończyła, którym zapracował na szczęśliwy żywot wieczny.

Jak na własnej ziemi osadzony szczep rychły owoc i dobry owoc daje, tak bliski a domowy przykład krwi twojej eny narodzie dla tego spisałem aby kapłany maryackie rychłej powiódł ku naśladowaniu cnót i rychlój odstraszył od bezbożnych a niecnotliwych spraw daj to Boże. Amen.

Dopisek in Anno 1665.

Co *amor Dei et proximi* uzłoci i ubogaci, to nie rozum i swawola nasza roztrwoni. Ubogaciła ta miłość Boga i bliźniego twój kościół krakowski szczęśliwa nieba bramo Najświętsza Maryo! stawiając w nim *Beatum Virum Johannem Leopoliensem* na straży prawości jego kapłanów. *Tandem* ta swawola nasza utopiła w morzu niepamięci całe o tem podanie w niedobiegłym jeszcze

do końca wieku. Dziś ze szpetną konfuzją naszych wiadomości jesteśmy ignorantami i ja dowiaduję się o tém wszystkiém czytając dopiero powyższą deskrypcyą trałem *ad manus meas* doszłą, którą przepisawszy dopisuję na dobitek i jak mówią na stępel to com sobie przypomniał z czasów mojej *juventutis* myśląc niech wezmą oświecenie *Domine ut videant*. A że ze mnie nie retor więc bez ornamentu masz o tem opis.

In Anno Domini 1614 kiedy miałem lat siedem a byłem studentem *Scholae Marianae in circulo* umarł *archipresbyter et Plebanus Hieronimus Alcaz*, który po śmierci w roku zeszłym księdza Hieronima Powodowskiego otrzymał Prezentę na Katedrę, kościoła tego i dopiero przed kilkoma miesiącami odbył instalacyą. Po śmierci nań przypadłej musiały krążyć w mieście różne *wersye*, ale gdy moi kochani rodzice nie pozwalali ezeladce aby mi głowę zajmowała miastowerni *avizami* przeto i to *in secreto* trzymano.

A że to był czas wakacyj więc nie jako *studiosus* pod chorągwią klęczałem na jego pogrzebie ale matka mnie z sobą zabrała do kościoła. Jój siedzenie zakupne było w *scamno muliebre tertio in ordine ex opposito ambonae*, przeto przy tych ławkach klęczałem. Dziwiłem się jak ludzie wszelkiej kondycyi ciągle jakby na jakie *spektakulum* schodzący się pokazywali sobie nagrobek wmarowany w filar pod którym te ławy stały. Dziwiłem się temu ale o to *interrogacyi* bałem się komu robić pomnac na odebrane już raz plagi za gadanie w kościele od ojca a który łatwo mógłby że gadam dopatrzeć siedząc po nademną w stalach radzieckich. Lecz gdy pp. *Rajcy* poszli na *offertę* przed wielki ołtarz robię o to pytanie jakiejs kobiecie przy mnie klęczącej, ta mi powiada że ludzie mówią iż gdy przechodził z procesyją w odpust Narodzenia N. M. Panny zmarły archiprezbyter koło te-

go nagrobku miała mrugnąć okiem do niego ta kamień-
na statua w nim stojąca i dla tego umarł.

Usłyszawszy to patrzałem na tę statwę z ciągłą boja-
źnią progresującą się ciekawością wywiedzenia o tem
najprędzej czyli to prawda. Dla tego też zamiast prze-
żegnać się gdy pani matka zmaczaną w kropielnicy rę-
ką dotknęła się w kruchcie mego czola, ja pytam ażali
to prawda com słyszał. Za tę imprudencją zostałem
zgromionym i ukaranym tem że pani matka powiedziała
iż nie dowiem się o tem aż w domu.

Lecz gdyśmy szli przez Węglową targowicę dogania
nas pani rajczyni Conradowa i powiada iż słyszała
z własnych ust księdza kaznodziei Nuceryna że na wspe-
mnionej procesyi z prowadzonym przez niego archipre-
zbyterem gdy przechodził *circa monumentum* Leopolicy,
archiprezbyter zadrzał mówiąc: Zdało mi się że oczy
tęj statuy się poruszyły. Chociaż tego potem nie brał
za *miraculum* ale za złudzenie oczu *tandem* przez dwa
dni które jeszcze żył ciągle jak mówił stała mu przed
oczyma ta statua.

Gdy w domu prosiłem pana ojca aby mnie objaśnił
co by to być mogło rzekł mi: powiem ci jak starszy bę-
dziesz bo tego dziś nie zrozumiesz. I to tylko dziś przy-
pominam sobie że gdy pan ojciec w krótko z przybyłym
do Krakowa ze Zamościa księdzem stryjem rozmawiał
o tem zdarzeniu a jam nadszedł usłyszałem te jego sło-
wa: „Nie można zaprzeczyć że zmarły archiprezbyter
był *Doctrina, ingenio vir insignis* ale zapomniał że obej-
mując pasterstwo przestał być panem swęj woli a został
sługą swych obowiązków.“

Ksiądz stryj zabrał mię potem w kilka dni z sobą
do Zamościa gdzie był profesorem w akademii abym
pod jego dozorem wychowywał się i uczył. Gdy spodo-
bało się Panu Bogu nawiedzić mię tem nieszczęściem iż
w dwóch latach kochani moi rodzice pomarli, przeto już

do Krakowa nie wróciłem znalazłszy po skończonych naukach umieszczenie na dworze ś. p. Tomasza Zamojskiego kancлера w. k. a po jego śmierci na dworze wnuka jego Stanisława Koniecpolskiego kasztelana krakowskiego hetmana w. k. *Tandem* gdy i ten pan mój a ostatni potomek téj rodziny umarł roku 1659 wróciłem do Krakowa gdyż *Nil est Paterno s. le beatius — Certisque noti finibus oppidū.*

Kraków przywołując pamiętki z mego dziecinnego wieku obudził i wspomnienie o nadgrobkū księdza Leopolity i zacząłem mędrkować coby to być mogło a gdy głupi mój rozum miał widzenie księdza archiprezbytera Alcaza hallucynacyą chorobliwą wyobraźni więc o tem już nie pomyślałem. Lecz gdy trafił mi powyższą descripcyą i z niéj się dowiedziałem o przyrzeczeniach umierającego księdza Leopolity i jego pojawieniu, powstała we mnie ciekawość dowiedzenia się tego czego mi pan ojciec nie chciał w ówczas powiedzieć.

O tem co się nie dawno stało jakże często trudno prawdę mieć a cóż dopiero o tem co przeszło przed pół wiekiem Po najgłębszych też *skrutacyach* została jakoby nie tknięta *interrogacya*. Co to było?... Bo i mało ludzi już w ówczas Kraków miał pamiętających o tem a między pamiętajacyimi znalazłem i to tylko jedną niewiastę która mi narracyą o bezbożności pewnego wikarego maryackiego dawszy powiedziała: Że gdy ksiądz archiprezbyter nie ukarał go zaraz jak należało więc za to sam skaran był jak mówiono nagłą śmiercią a w tydzień potem podobną śmiercią i ten wikary.

Mógł kto kłamstwa zamiast prawdy téj kobiecie nagać, więc w niepewności wolę tego com słyszał nie pisać. Jeżeli zaś jest prawdą ta bezbożność wikarego to on znalazł dla się piekielnego pisarza notującego piekła godnych zażywszy za inkaust smoły za pióro ozo-ga opalonego. *Finis.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Literatura improwizowana i szkody jakie przynosi. — Improwizacye Lekarza-Autora. — Nietykalność kątów domowych zgwałcona. — Muza kłamstwa. — Podróże historyczne Niemcewicza. — Zabytki niedawno zaginione. — Pomyśl opisu historyczno-etnograficznego prowincyi dawniej Rzeczypospolitej.

Wielka część piszących dzisiaj ubiega się przede-wszystkiem o oklask pewnej opinii, dogadza jej nie-oświecając, unika prawdy żeby nie niepokoić sumień, rozdmuchuje pospolite namiętności, żeby wywołać wiatr pomysłów i zyskać choćby krótkie powodzenie.

Podobni oni są w tém do tych aktorów, co wiedząc o złym smaku publiczności, źle grają, aby na oklask zarobić; niektórzy z nich mogliby nawet dobrze grać, gdyby smak publiczności był dobry.

Wyjątkiem są ci, co grają najlepiej jak mogą, nie oglądając się na galeryę. — Powyższe te porównania odnoszę szczególnie do plodów piśmiennictwa podawanych *na gorąco*, czyli do całej improwizowanej literatury, która przekroczywszy granice przepisane sobie prawem własnej natury, zapanowała udzielnie.

Póki improwizacya mieściła się w ramach dziennika, nikt na to nie sarkał. Bieżąca rzecz wymaga nagłości

pióra, śmiałych skoków, niekiedy namiętnych uderzeń, bo jej zadaniem przygotowywać drogi do nowych widoków, zwalczać dawne błędy lub nadużycia, prostować sądy, słowem, tworzyć lub niszczyć.

Cudowne to narzędzie, ale tylko narzędzie, którego los mniej świetny, lubo posłannictwo zaszczytne. — Taka dziennikarska improwizowana literatura buduje lub niszczy, ale sama znika bez śladu. Gdyby jaki naród nie miał nic więcej do pokazania, tylko podobne plody, okolicznościami bieżącymi wywołane, a poświęcone chwili, właściwy skarb literatury byłby nadzwyczaj ubogi, a raczej tak podejrzanéj zamożności, jak te banki co wielekroć więcej wypuszczają papierów, niż mają zakładowego kapitału. Dla tego też zawsze tak bywało, że obok tego hałaśliwego, chwilowego piśmiennictwa, obok téj improwizowanéj, mówionéj literatury, była inna nie mieszająca się bezpośrednio w ten gwar, spokojna, rozmyślna, głęboka, że tak powiem *pisana* literatura, istny kapitał zakładowy, na którego rachunek i w imię zasobów, puszczano tak hojnie papiery i zdawkową monetę.

Widzieliśmy to u nas, jak między innemi w ścieraniu się romantyzmu z klasycyzmem, kiedy pisma czasowe wrzały teoryami nowych estetyk i dawnych poetyk, pojawiały się obok tych sejmikowych gwarów, dzieła to jednéj to drugiéj chorągwi, ale dzieła pisane na przeżycie.

Był to naturalny bieg rzeczy, i nikt na to nie nastawał. Dziennikarstwo zyskiwało tylko na tém, bo miało z czego się zasiląć. Język i styl wyrobiony w pomyślanych na cichości dziełach, moc wyrażen, sztuka obrazowania, zwroty i figury, zgola wszystkie indywidualnych talentów zdobycze, stawały się pomału własnością pochopnéj do pióra rzeszy, która odrazu przychodziła do gotowego, z tą nie wszystkim dostrzeżoną różnicą, że przynosiła ze sobą przymioty rozwodniające, czyli

zrozumiałej: to co było energicznie ściśnięte i zbitę, roz-
twarzała wodą własnej nicości, co było jednego rzęta
zaokrągleniem, rozdrabiała, lub w nieforemną składała
bryłę. Dzisiaj możnaby w tém widzieć symptom pe-
wnego opadnięcia sił twórczych, brak intuicji i pracy
wewnętrznej — bo to pewna, że większa część obecnie
piszących przeżuwa jeszcze te ideje, jakie rzuciła mło-
dość pełna poetycznego zapалу, pełna rojeń i utopii o
losach ludzkości, ale razem pełna niedoświadczenia i nie-
znajomości rzeczywistego świata, a nadewszystko tych
prawd, które dla tego że mają formę, byt i powagę
uświęconą błogosławieństwem wieków; raziły jej poe-
tyczną pychę i niezregulowaną fantazyę. Taka niekar-
ność w pierwszych chwilach romantyczno-narodowego
ruchu, kiedy wszystko tchnęło młodzieńczą świeżością
i wonią, daleko mniej była rażąca i szkodliwa, niż
dziś, kiedy tyle mgieł poszło na dół, a tyle odkryło się
bliskich ugorów i ruin nakazujących uprawiać i dźwigać
nie jedno, co odpoczywało w zapomnieniu, lub zde-
ptane było nierozumnie.

Improwizacya na pewne temata na nie się tu nie
przyda; czy ją się poda w formie romansu, czy poema-
tu, czy dramatu, może bawić, rozrywać w chwilach
bezczylnnej mody i czczości, ale pożywnym pokarmem
nie jest bynajmniej.

Nie chciałbym żeby czytelnik posądzał mię o chęć
potępienia wszystkich utworów poetycznej fantazy i u-
czucia, bo znam cały ich urok i rozkosz jaką przyno-
szą jeżeli są takie, jakimi być powinny.

Na nieszczęście, które sobie można tłumaczyć niepo-
myślnem położeniem dziennikarstwa szczególnież wars-
zawskiego, gdzie rozbiory kwestyi polityki bieżącej i
wszystkich pytań z bliska obchodzących kraj, są zaka-
zanym owocem, literatura przemożną ręką opanowała
kolumny dzienników. Romans i powieść przyjęły tam

na siebie powinność nie tylko bawić ale częstokroć dotykać tych pytań jakie społeczność rzucała sobie co chwila. Tym sposobem robiła się polityka romansowa, a romans politycznym; co więcej, sąd nawet krytyczny ulegał tym widokom, bo najczęściej i najlepsze plody szły na potępienie jeżeli ten co je pisał, miał nieszczęście niepodzielać opinii redaktorów, jak znowu niełatwo pochwałajmy najmniejszym elukubracjom, tam gdzie zachodziła kamraderya. Cała ta jednak robota prowadzi się krytym sztychem, albowiem nikt jeszcze nie dopatrywał ściśle określonej opinii tych dzienników; są tam bowiem więcej żołądkowe humory, kaprysy, osobiste przywidzenia, drobne rywalizacye, wzajemne przekomarzania się, a nie jakaś na ścisłym rozumowaniu, lub na sile przekonań oparta opinia.

Niemozna jednak powiedzieć żeby i tam niektóre pisma niewstępowaly na właściwszą drogę i niebrały swego zadania sumiennie i na seryo. Wszelako trudny to krok zwłaszcza kiedy się ma do czynienia z publicznością łaknącą zabawki a nie światła, przedstawiającą na dorywczych namiętnych sądach, bałamuconą krzyżującą się opiniami, które są bez żadnej podstawy. Grzech dziennikarstwa, które niemyślało tam nigdy, jak na pewnych uświęconych zasadach wykształcić sobie publiczność czytającą, stał się dziś zbyt bijącym w oczy, żeby go dostrzedz niemożna, żeby nareszcie walka w naprawieniu dokonanego już złego, niebyła trudną.

Szczególniej literatura w ścisłym znaczeniu doznała przez dzienniki niemałego uszczerbku, przez to, że miała zastąpić te braki jakie się uczuwać dawały w części politycznej. Romans i powieść zajęły tam wszechwładne miejsce dostarczając dzień w dzień pokarmu który ani tuczył, ani uczył, bo nowych, głębszych natchnień i studiów nieprzybywało, a potrzeba cisnęła codzien napętniać kolumny. Sztuka więc poważna, wyższa sztuka nie-

mogła wyżyć na skromnym chlebie improwizacyi, która biegała z gotowego obracając się ciągle w kółku jednych i tych samych idei i figur; bo ażeby wystarczyć na potrzebę dziennika, niebyło czasu do przetrwania i wypracowania. Co gorsza, prawdziwe nawet talenta wyczerpywały się przedwcześnie tem przerabianiem i rozwodnianiem pierwszych, niekiedy szczęśliwych prac swego pióra. Rozrzutność sieje, ale niezbiera. Utwory których przeznaczeniem żyć w przyszłości, wyczerpywały się dobrowolnie z tego przywileju, i poprzestały na dziennym zajęciu, a chociaż później wychodziły w osobnych odbiciach tworzących nieposiekaną całość, mimotego nosiły w sobie zaród śmierci mający źródło w improwizacyi pospiesznej a przewlekłej. Starożytna mitologia wyobraża czas w postaci starca uzbrojonego kosą,—symbol ten dobrze zastosować można do płodów improwizowanych: starzec bowiem wszystko niemiłosiernie kosi co tylko na świat przychodzi przedwcześnie i bez niego.

W kompozycyi dzieł sztuki, improwizacya może być tylko szczęśliwym przypadkiem, nigdy regułą. Jeżeli natchnienie zapuka do drzwi autora i usiądzie obok niego, niech sobie improwizuje, niech słowa cisną się pod pióro, niech się wyprzedzają uskrzydłone myśli, a energia słowa przepełnionego uczuciem pali papier! ktoś temu nieprzykładać, kto błogiej niepozazdrości chwili?! Są to jak wiemy najszcześniejsze, choć rzadkie momenta; sztuka podnosi się, porywa poetę, który uczawa w sobie nieznaną siłę i udziela jej czytelnikowi; entuzjazm jego serca przelewa się prądem elektrycznym w moją duszę. Z temwzyszkciem gdzież ów uprzywilejowany człowiek któryby miewał takie natchnienie na każde zawołanie, i niepotrzebował tylko zadzwonić aby takowe splayało do jego pracowni?—O jeżeli jest gdzie ów wybraniec—dajcie go nam, niech sobie improwizuje bez końca i miary, a pewnie nigdy niebędziem utyskiwać

że nas zarzuca swemi płodami, lub że pisze przyspieszoną prędkością. Gdy jednak jeszcze się nieznalazł tak szczęśliwy jeniusz, a nieznane nam jest pióro, któreby latając od rana do nocy sypało same klejnoty — przeto zawsze uważam owego mitologicznego staruszkę, za niezbędnego pomocnika w każdym płodzie, jeżeli niema chęci liczyć się do poronionych. W prawdzie jednemu praca tworzenia idzie szybciej, drugiemu tępiej; ale czy w jednym czy w drugim przypadku który jest dla czytelnika obojętnym, pozostaje prawo wymagać po piszącym ażeby dzieło swoje doprowadzał do téj doskonałości, na jaką może się zdobyć jego talent. Przeciwnie, jedyny sposób ażeby nigdy téj doskonałości nieosiągnąć, jest ciągle improwizować spore tomy romanów, powieści, podróży i poematów w miarę jak bezdenna czeluść dziennika dopomina się o swoją strawę, w miarę jak natarczywy nakładca ofiaruje hojną zapłatę. Gość niebieski nie tylko niedaje się zatrzymać tak długo jak pióro bieży, ale nigdy podobnoś się nie zbliża do stolika, gdzie się odbywa ta pospieszna fabrykacya na zimno, z pomocą patronów w kreśleniu charakterów a raczej figur, i z pomocą kombinacyi, które dostarczają kilkanaście kategorii głównych z małemi odmianami; wszystko zaś zaprawia się ostrym sosem ironii przeciw urzędzeniu społeczeńskiemu, i kilkoma naciągniętymi efektowemi sytuacyami, aby podrażnić ciekawość czytającego.

Że to nie żadna przesada, odwołuję się do pamięci czytelników, aby raczyli powiedzieć, ile to jest takich publikacyj w tym rodzaju, coby zostawiły w umyśle jaki ślad trwalszy, coby wprowadziły cię w nowy świat myśli i uczuć, coby zaszczerpiły w wyobraźni jakiś wzniósły ideał, któryby się unosił nad powszednią rzeczywistością i rozświecał ciemne i smutne drogi żywota.

Niewątpię bynajmniej aby pisarze nasi wyższego po-

latu, niebyli w stanie zdobyć się na coś podobnego, ale niezdobędą się dopóki niezrzuca przekonania że pośpieszna produkcja co to niewysobnięta jeszcze już idzie pod prasę, prawie zawsze niema przyszłości, że to co chwilowa wywołała potrzeba, mija z nią razem.

Przeniesienie się literatury w pisma codzienne, ma to konieczne następstwo, że literatura staje się improwizowaną, a stając się taką, musi spekulować tylko na to żeby bez trudu zajmować niezatrudnionych, żeby fantazyję ich zaprzętać nietykając umysłu i serca, bo aby opanować te dwie władze potrzeba spotęgować siłę umysłu i serca w samym sobie; co naturalnie kosztowałoby zbyt wiele i nauki i krwi własnej.

Sumiennosc tak niezbędna w dziełach sztuki, wychodzi coraz więcej ze swoich karbów i zamienia się w zrzęczność; jest to nowa faza nierokująca dla naszej literatury wielkiej świetności; a lubośmy jeszcze niedoszli do czego dość żwawo dążymy, jednakowoż spokojny dostrzegacz może już wskazać wyraźne symptomy tej nowej choroby. Że nową jest w literaturze polskiej o tem niema najmniejszej wątpliwości; bo za jakichże to czasów drukowano tyle bez żadnego celu jedynie aby podsycać i karmić ciekawosc rzeszy, wprawdzie z intencją moralizowania jej, lecz wiotka nauka zazwyczaj w las idzie; w tych bowiem utworach część nauczająco moralna bywa powszechnie mniej powabną niż fikcja zawracająca głowę bardzo improwizowanemi scenami.

Że tak się dzieje we Francyi, Niemczech, Anglii — nieprzeczę, ale zacoż koniecznie ma się dziać w naszym kraju, kiedy w tem więcej jest sztucznego wytężenia, niż rzetelnej potrzeby? Przecież bez improwizowanej literatury cale trzy wieki mają się czem lepszem poszczycić jak kilkudziesięcią tomami niestrawnych kłamstw takiego Lekarza-Autora, na którym może najwięcej ciąży ten grzech improwizatorstwa. Któż jeżeli nie on impro-

wisował jeografię, ludzi, przygody? Kto z całym urekiem przybywającego z dala peregrinanta prawili niestworzone rzeczy o sobie i o tych ziemiach, gdzie nigdy niebył, a wykształcony świat stolicy słuchał go wierzył mu i poklaskiwał, chociaż ruskie przysłowie mówi: *na szło duryty*. — Ztemwszystkiem niepodobna rzucić nań kamieniem; bo on odpłacając za sympatyczny oklask, brnął dalej, mówiąc sobie zapewne w duchu: jeśli was to bawi, dlaczegoż mam skąpić konceptu, zwłaszcza kiedy towar popłatny? — I sypały się podróże po Skandynawii, Anglii, Francyi, Hiszpanii, Maroku, a nawet po rodzinnych ziemiach; a kiedy już mu lądów zabrakło, zajął podobnoś na księżyc, która to podróż musi być niezawodnie najwiarogodniejsza; przynajmniej nieprędko znajdzie się śmiertelnik coby powiedział: mylisz się panie Doktorze, to nie tak, ja tam byłem!

Szalone powodzenie improwizowanego literata, który bądź co bądź nie jest bez przyrodzonego talentu, skończyło się, czy nieskończyło, niewiem — ale to wiem, że od niego wyraźniej poczyną się era improwizowania dzieł, a każde po cztery tomy.

Nic dziwnego — lekarz, łatwiej niż zwykły profan, odgadł słabość publiczności; w tem tylko niedobłą przyjął metodę, że zamiast leczyć z choroby, on ją powiększał. Bądź jak bądź śmiały ten improwizator zrobił prawdziwą rewolucyę w państwie naszej literatury, a rewolucyę na korzyść piśmiennego proletaryatu, z téj miary, że pokazał własnym przykładem jak można pisać książki z niczego, a zaczepiać o każdy przedmiot bez przygotowania się do niego, a brak oczywisty zastępywać fraszkami powszedniego życia, anegdotami i plotkami.

Wziąwszy sobie za cel bawić opowiadaniem własnych przygód doznanych nietylko w obcych krajach, ale na ziemi rodzinnej, opisywał wycieczki w strony które mógł

tylko poznać z daleka lub powierzchownie. Jakoż w rzeczy samej, nie o nich nie powiedział takiego, eoby nie było lepiej znane z podań ludzi którzy wiarogodne zebrali postrzeżenia na miejscu. Natomiast sztukował hojnie drobnostkami z prywatnego życia na jakie się co dzień patrzy; wyprowadzał na scenę osoby, nazywając je bez ogródki po ich nazwisku familijném, albo też nadając im bardzo przezroczyście pseudonimy. Gdyby jeszcze zachował był tę delikatność i na karb tych osób nie kładł żadnych śmieszności, lub nie wystawiał ich w niepochlebném świetle — łatwiej byłoby do przebaczenia; jakkolwiek takie wprowadzanie na scenę figur niehistorycznych, ani głośnych w świecie, zawsze tak jest nieprzyzwoitem, jak pokazywanie na kogoś palcem w miejscu publiczném.

Pierwszy to krok do gorszącego nadużycia niepraktykowanego dotąd w naszej literaturze, aby nawet kąty domowe ze swemi mieszkańcami, nie były wolne od figurowania w dziełach panów autorów zakłopotanych czém je zapelnąć. Co więcej, raz przekroczona granica przyzwoitości, otwierała obszernie pole do wetowania wszelkich osobistych uraz i zawiści. Przypuśćmy, że tutaj nie przyjęto pana autora tak pochlebnie jak sobie rościł; owdzie starto zuchwałe zdanie, gdzie indziej nie odpowiedziano na dziką pretensję; tu ktoś krzywo na niego popatrzył, może na pierwszym nie posadził miejsca, a słów jego nie uważał za wyrocznię — owóz zemsta! trzebaż go za to wsadzić w podróż lub powieść, skarykaturować, okryć śmiesznością lub błotem, i żeby się przed odpowiedzialnością zasłonić, a dla tego swoje zrobić, zostawić mu własne jego nazwisko rodowe z małą przemianą jednej literki. — Cóż to za pociocha dla świata lubiącego komeraże i zawsze bardzo uszczęśliwionego na widok cierpienia każdej miłości własnej!

Jest to jedna z najpospolitszych ułomności natury

ludzkiej, cieszyć się z drobnych upokorzeń bliźniego; ale jej exploatować nie godzi się autorowi, umiającemu szanować swoje powołanie. Tymczasem exploatacja za-kątów prywatnego życia prędkie zrobiła u nas postępy; rodzaj ten zapewniał najkorzystniejsze książkom powo-dzenie; i nie mylono się, bo na słabość ludzką więcej daleko można rachować, niż na poważne przymioty ro-zumu lub serca.

Tajemnica ta tłumaczy mi po większej części przy-czynę powodzenia naszego Lekarza-Autora; potoczne plotkarstwo zmieszane z małemi skandalikami, trafiło w zepsuty smak publiki — lubo i tego nie można za-przeczyć, że żywość matamorskiego opowiadania, śmia-łość w dopadaniu każdego przedmiotu, ciętość dialogu, i ten sposób śmiania się z własnego dowcipu, który nie zawsze bywa dowcipnym, mogły na razie zawrócić głowy, jak szalona polka, po której można skakać do upadłego, ale która przecież od symfonii Beethowena lub mazurka Chopina daleka jak ziemia od nieba. —

Powie kto na to: — polka do tańca, Symfonia dobra do koncertu, czemużby i płody Lekarza-Autora nie mia-ły mieć swego miejsca w literaturze? — Zapewne, że mogą mieć; ale gdyby ta polka wymagała skoków i figur gorszących, za które policya wyprowadza z miejsc publicznych, toby ją przecież wyrzucono z repertoaru muzycznego.

Jak każde, tak i literackie ciało, powinno mieć swoje granice, po za które przekroczyć, jedno jest: co przenie-wierzyć się statutom nie pisanym wprawdzie, ale nadanym sobie i zachowywanym w uczuciu własnej godności. Rozbić je daleko mniejsza sztuka, niż przechowywać i przestrzegać.

Długi czas Republika literacka siedziała u' nas na tém prawie, i zyskiwała sobie powszechny szacunek — dopiero swawola improwizatorów zakłopotanych, złąd

ta snud wątek, kiedy go w sobie nie było, rzuciła się na to bezdroże.

Ponieważ dotykając téj materji, napomknęło się o licznych podróżach w obczyźnie i w kraju popisanych przez Lekarza-Autora, a z których wątpię czy kto odniósł więcej pożytku, jak że się pustą gadaniną odurzył — przeto niech mi wolno będzie, dla pocieszenia czytelników, przebieść wraz z nimi *Podróże Historyczne Niemcewicza*.

Podróże te przygotowane były do druku jeszcze przed trzydziestosiedmią laty — a chociaż dopiero w bieżącym roku wyszły na widok, nie straciły nic na interesie, pisał je bowiem mąż niemałego w kraju znaczenia, nie żeby wysokie urzędy piastował, lecz że był niejako nosobieniem téj myśli, która przechodząc przez ciężkie próby, kołatając się przez lądy i oceany, znachodząc się wreszcie pośród cząstkowych i pozornych urzeczywistnień swoich nadziei, nigdy niegasła, nierobiła ustąpień, tylko tradycyjalnie przechowywała drogą spuściznę, bez téj nieszczęsnéj przymieszki teoryjów i eksperyméntów socyalno-politycznych, które tak mocno zawichrzyły pojęcia, tak ostudziły uczucia...

Samo to puszczenie się na podróże po kraju, zupełnie niepraktykowane u nas do czasu Niemcewicza, pokazuje jak wielostronnie pojmował swoje zadanie. Wskazać bowiem narodowi miejsca w dziejach pamiętne, otworzyć zapomniane grobowce, świątyniom i zamkom kazać opowiadać własną historję, przepatrzyć archiwa, na dzieła sztuki zwrócić uwagę, równie jak na ślady dawnej zamożności, kultury i przemysłu, było to jedno, co każdą stopę ziemi uświęcić i przywiązać do niej przez powinowactwo historycznych prochów spoczywających w jéj głębi.

Niemcewicz zawsze miewał takie obywatelskie pomysły. Pisma jego pod względem sztuki niekoniecznie wy-

trzymują próbę, ale gwoździ ducha który je ożywia pozostałą nie tylko wiernem odbiciem się swego czasu, ale aktywnym wyznaniem wiary, na którą zaczęto umysły zawsze podpisać się mogą.

Pomysł historycznych podróży powziął on zapewne w tych kilkokrotnych żeglugach swoich do Zjednoczonych Stanów. Stęskniony za rodzinną skibą i ludźmi, musiał wśród puszczy i cywilizacji nowego świata, nieraz ślubować sobie, że za tę pielgrzymkę, do której los zmuszał, warto kiedyś zrobić nieprzymuszoną na własnej ziemi.

Po raz pierwszy w r. 1811 puszcza się w podróż po Krakowskim, Sandomierskim i Lubelskim, gdzie rzeczywiście najobfitsza znajduje się kopalnia zabytków starożytnych, bo historia wypisała się tam wymownymi charakterami. Podziwiać należy jak wtedy już kiedy badania archeologiczno-paleograficzne, daleko na niższym stały stopie niż dzisiaj, uwaga jego zwracała się na ważne przedmioty i niekiedy odgadywała je szczęśliwie. Wszakże, ile uważałem, nie tyle go zajmowało odczytywanie zatartych nagrobków, i innych napisów, nie tyle silił się unosić nad spotykanymi malowidłami, ani nad odgadywaniem do jakiej szkoły lub mistrza należą; pieśni jeszcze i legend gminnych nieposzukiwał, dla słowiańszczyzny pogańskiej nieexaltował się więcej niż dla cywilizacji przez Kościół, ale za to wciąż zaprzątała go ta myśl, jakimby sposobem zwiedzane przez siebie kościoły, zamki, mogiły, pobojowiska, ożywić wspomnieniami historycznymi i przelać je w serce ludu, aby zamieniły się w żyjące podanie.

Czy się tradycja da zaszczerpieć tym sposobem? nie jestem pewny, ale tyle przynajmniej wierzę, że historia tak spopularyzowana żyłaby nie w samych ksiązkach bibliotek, ale i w uściech.

Wyobrażam sobie, jak ciężko musiał się zasmucić nasz podróżny kiedy zrobił małą próbkę w Krasnym-stawie i zaczął wypytywać jakie wspomnienie zostało w gminie o wielkim fakcie historycznym, którego ten zamek był świadkiem. On, co liczył zdarzenie to do najgłośniejszych tryumfów Rzeczypospolitej, ani przeczuwał nawet, żeby było tak zapomnianem, jak zobaczymy z własnych słów jego :

... „Równy ze światem poszedłem zamek oglądać. Już „tylko dwie z niego ściany zostały, świadczące jednak „piękną strukturę gmachu tego. Zatopiony w myślach „gdy na nie poglądam, widzę wychodzącą z bliskiego „domu mieszczankę, a mniemając że przez podanie, „okoliczności o więźniu przeszły do-dzisiejszych poko- „leń: moja panno— rzekłem— wielkie rzeczy działały się „w tych murach, wielcy książęta siedzieli w nich; dziś „co za różnica! Prawda, odpowiedziała kobieta; matka „moja powiadała mi iż było wesoło, kiedy tu pani Szlu- „bowska mieszkała!— Jeszcze był w osłupieniu nad nie „wiadomością, która mieszkanie to pani Szlubowskiej, „za znakomity w dziejach naszych uważała wypadek, „gdy postrzegł przechodzącego dziada kościelnego. „Ten starzec z siwą brodą pomyślałem sobie zapewne „zna więcej. Staruszkę, rzekłem, w co się to ten zamek „obrócił, od tego czasu, co w nim wielcy książęta sie- „dzieli! Oj prawda— odpowie— pamiętam ja jak było „wesoło, kiedy na tym zamku pan Obożny siedział; co „to za tańce, jakie biesiady, grała muzyka... Poprzesta- „łem rozmowy...”

Jak ze wszystkich okoliczności Ursyn nasz lubił brać wątek do swoich apologów, tak i tu widok bociana poprawiającego swe gniazdo na wierzchołku murów zamku Krasnostawskiego natchnął go taką apostrofą:

„Szanowny, rzekłem, bocianie!
Ty, coś zapewne dobre wychowanie
Odebrał od swych rodziców;
Co z gniazda tego odwiecznych dziedziów
Ród swój prowadzisz, kiedy, chociaż dumni,
Tak są ludzie nierozumni,
Że nawet w miejscu na którym mieszkają,
Co się tam działo, nie znają:
Ty, coś światlejszy nad nich tysiąc razy,
Powiedz krótkimi wyrazy,
Co ci twój ojciec, pradziad osiwiady,
O Krasnymstawie podały.

Tu bocian dziób swój otworzył czerwony,
Coś zaklekotał; ale los odwieczny,
Zbyt życzeniom naszym sprzeczny,
Nie chcąc, by człowiek był nadto uczony,
Sprawił, że ludzie, choć pilnie słuchają
Nie rozumieją, co bestye gadają.“

Zważając kiedy ta podróż była pisaną, należy przyznać Niemcewiczowi pierwiastkową uwagę, zwróconą na obojętność ludu dla podań historycznych; później często tej myśli używano przeciw klasie reprezentującej naród i wyrzucano jej że nie przypuściwszy ludu do udziału w życiu publicznem, odepchnęła go tém samem od swojej historii. Zapewne, ale nie mogło być inaczej jak było, w owym składzie Rzeczypospolitej, a nawet w żadnym innym kraju, z wyjątkiem może jednej Hiszpanii: lud nieutrzymywał historycznych tradycji, a jeżeli utrzymywały się jakie o zamkach i ich baronach, to po największej części dla tego, że ucisk ich i zbrodnie silniej się piętnowały w pamięci gminu, niż patory archaiczny łagodny stosunek szlachty naszej do włóścian. Rozszerzona tylko oświata po szkołkach wiejskich, mogła była podawać wiadomość własnych dziejów — lecz

jak wiemy, nowszych to dopiero czasów usiłowanie. Wtenczas kiedy Niemcewicz jeździł do Prus królewskich wyznaczony przez dyrektora edukacji publicznej (w roku 1812) dla zwiedzenia szkół publicznych, w jak opłakanym stanie znajduje szkółki parafialne szczególnie po koloniach; rozkazu władzy edukacyjnej uczenia się krajowego języka, nie zachowywano tam wcale, a w Brzozowie pod Chełmem otaczają go poczciwi włościanie, skarżąc się na nauczyciela, że ich rodzinną mowę uczyć nie chce.

Pierwszą jak wspomniałem podróż, odbył Niemcewicz w najhistoryczniejsze strony, bo w Krakowskie i Sandomierskie. Nie trudni się on, a przynajmniej nie goni za próżnemi często opisami prywatnych domów, nie łapie słów poufnej pogadanki, skandalów nie wyszukuje, osób po nazwisku przy niezaszczytnej okazji nie wymienia, ale pilnym okiem śledzi gdzie jaka z przeszłości droga pamiątka, i choć ją nie zawsze umie ocenić i dokładnie opisać, jednakowoż znosi po cegielce do świątyni historii. Ztąd wielce interesującą jest ta podróż, iż często wymienia takie zabytki, o jakich już dziś nie wiemy, chociaż dopiero czterdzieści kilka lat upłynęło od czasu jak patrzył na nie.

Wypisać niektóre, zda mi się rzeczą potrzebną, ażeby mogły posłużyć za wskazówkę dla dzisiejszych poszukiwaczy starożytności.

I tak: w Samsonowie znajduje stary dworzec modrzewiowy, z malowanemi dawniej ściany w jakieś postacie ludzkie; wszystko to pokryło bielidło, jak i tę belkę, którą odkrobawszy, wyczytał rok 1123. — Jeżeli jeszcze budynek ten utrzymuje się, a napis-by się sprawdził, byłby to najszacowniejszy architektoniczny zabytek.

Znowu w pałacu biskupim w Kielcach widział, jak mówi: w suficie wyborne malowanie. Na jednym obrazie król bogato ubrany po hiszpańsku, po jednej stronie

kancierz w polskim ubiorze i hetman z buławą, po drugiej osoby w cudzoziemskich strojach, przed królem obey posłowie.

Podróżny nasz, nie umie się domyślić co ten obraz wyraża, a jeszcze mniej, kto go malował; nie wie również jakie to bitwy przedstawiają, cztery inne obrazy na suficie.

Dalej, przybywszy do Jędrzejowa, ogląda celę Kadłubka „Jest przy wchodzie — powiada — kamień potężny, na którym wyrity śmiałym i czystym rysem wizerunek Kadłubka w postaci rozdzierającego ubiór biskupi, z pastorałem przewróconym do dołu” — Jeżeli ten kamień istnieje, jaka szkoda że go nie mamy we Wrocławach sztuki średniowiecznej; jeżeli znikł — gdzieś się podział? A jest obawa czy go zły los niespotkał, bo Niemcewicz dodaje, iż ówczesny Opat Drzewiecki przyrzekł mu że ten kamień osadzić każe w ścianie, aby nie był deptanym i zatartym.

Gdzież są te rzadkie dyplomata które oglądał w Miechowie? Ów list patriarchy Jerozolimskiego z r. 1162 tak dobrze zachowany wraz z pieczęcią; owe nadania Leszka Białego, Bolesława Kędzierzawego, Przemysława i t. d.

A u nasze w samym Krakowie w kolegium wielkiem czyż nie wymienia dużego obrazu przedstawiającego Władysława Jagiellę i Jadwigę klęczących przed krucyfiks, a za nimi stojącego biskupa? Gdzież się podział ten obraz, o którym oprócz tego wiemy, że istniał, gdyż znajduje się dawny drzeworyt robiony podług niego. —

Tyniecki klasztor jeszcze w ówczas niespalony piernem, ani ze swoich skarbów odarty, zawierał wiele ciekawych pamiątek; dość wymienić historię Kazimierza (Mnich) w dwudziestu obrazach, jak mówi: „kompozycji godnej zalety” tak dalece, iż uważa obrazy te godne

ogłoszenia rylcem. Tamże w katalogu bibliotecznym, uderza go rzadkość bibliograficzna — miała to być książka polska: Nabożeństwo do N. P. w r. 1498 drukowane; ale książki tej niemożna było znaleźć. W archiwach widział także najdawniejsze nadania — ale jak powiada, z poedrzynanemi pieczęciami za przeszłego rządu. —

W Wiślicy widział Niemcewicz „piękną wypukło-rzeźbę wyobrażającą Kazimierza W. trzymającego kościół ten i ofiarującego go N. Pannie.

W Zawichoście w Franciszkańskim klasztorze widział wizerunek Bolesława Wstydlivego fundatora klasztoru, ale zdjęli go mnisi i natomiast zawiesili nowo malowany, ozdobiwszy go orderem Ś. Stanisława.

W Kraśniku, w refektarzu kanoników Bożego-Ciała portret Michała z Tęczyna Rabsztyńskiego malowany, jak twierdzi r. 1468. Tęczyński miał tam być przedstawiony w krótkim po kolana żupanie, opasany szeroko, z pod żupana tego obszerne ponsowe spodnie wchodzą w żółte ciżmy; na barkach ferezya z rysiami, kołpak soboli z piórem leży na stoliku; w tyle marszałkowska laska. Autor uważa to za wierny strój polski — co znówu wprawia w pewną wątpliwość gdy porównamy te stroje jakie się przechowały na różnych z owego wieku zabytkach.

Tamże oglądał piękny nagrobek Jana Chrzcieśla Tęczyńskiego — płaskorzeźba wyraża młodzieńca i dziewczę w młodości, nachylone ku sobie, z napisem: *Quae vita conjunxit, mors in tumulum reduxit. Jest to aluzya do jego miłości dla Cecylii Szwedzkiej.*

W Zamościu miał widzieć bardzo pięknej roboty działo, które miasto Ryga ofiarowało niegdyś Zamojakiemu.

Zgola wszędzie gdzie był, zanotował jaką osobliwość godną bliższego rozpatrzenia się; wszakże w miarę jak ku Busi kieruje swoje kroki, zabytki cenne zmniejsza-

ją się, a natomiast innego rodzaju przychodzą ciekawości, jak mogiły i pobojewiska, wspaniałe pałace panów, bogate naukowe zbiory, a nadewszystko bogatsza ziemia.

Podróże te odbywał on w rozmaitych latach. Pierwsza w krakowskie przypadła na rok 1811; druga do Prus królewskich w 1812 — w tej zwiedził on część Wielkopolski aż po Chełmno, i tam udręczony widokiem wyniszczonych siół kontrybucjami Napoleońskimi gdy ujrzał w jednej wsi parobków zmiatających omaszczone kartofle z dużej misy, zawołał: „Wyznać należy, że po chrzcie świętym, kartofle są największem dobrodziejstwem ludziom użyczonem przez niebo!“ — Szkoda że wydawcy tych podróży niewyrzucili tej apostrofy od której śmieszność pada na znaczne cienie Ursyna — bo czy on sam mógł przypuścić przy całej filantropii, aby niebo przed wynalezieniem kartofli nieobsypywało ludzi swemi dobrodziejstwami?

Podróż na Wołyn i w Brzeskie odprawił w 1816 — i zwiedza Poryck Czackiego, pobojewisko Beresteckie, Zakłady Krzemieńca, Cudowne miejsce Poczajowskie, gdzie podaje jeden ciekawy szczegół zbijający między innemi dzisiejsze twierdzenia autora Pamiętników Michałowskiego, jakoby lud ruski unicki z zapalem rzucał się w objęcia wkraczających w granice Rzeczypospolitej Schyzmatyków. — Niemcewicz dostarcza innego dowodu gdy mówi: „Katarzyna II co tyle pięknych listów o tolerancyi do Woltera pisała, dała listowne zlecenie gubernatorowi Tutulminowi, aby w celu poróżnienia szlachty z chłopami, wszelkich użyć sposobów, by lud na wiarę schyzmatycką przewieść i cerkwie Uniatom poodbierać. Stało się to wszędzie prawie; i do Poczajowa przyszli czerncy z diakami i tłumem uzbrojonym w siekiery, palki i t. d. Bazylianie zamknęli się z prawowiernymi — przypuszczono kilka

„szturmów... Oblężenie trwało niedziel trzy. Księża „w ustawnej żyli niespokojności, aż z wstąpieniem na „tron imperatora Pawła, (który listów o tolerancyi nie „pisał) prześladowanie ustało.“ W tej wycieczce Niemcewicz opisał jeszcze Wiśniowiec, Dubno, Łuck, Wołoczyn, generała Kropińskiego, Brześć litewski, Tereſpol i t. d.

W 1817 zwiedził Prusy polskie i książęce, tę część najmniej opisywaną i znaną u nas. Gdańsk, Królewiec, Elbląg, całą Warmię i t. d. W następnym roku przypadła podróż po Wołyniu, Podolu, aż do Odessy, a właściwie aż do Mikołajowa, bo aż tam dotarł. Żałować należy że drukowano z defektowego rękopisu, ustęp bowiem o Sześćszym Potockim, z którego jak powiada przypisek: „Sześć kart brakuje,“ byłby podał wiele takich rysów, które Niemcewicz jako naoczny świadek sam zebrał. Sądzę nawet żeby go był dość bezstronnie ocenił, w początkowej bowiem wzmiance o panu Sześćszym oddaje mu sprawiedliwość że to on nauczył szlachtę bogatszą mieszkającą na Ukrainie, którą pierwszy zaczął cywilizować.

Podróż do Litwy w 1819 odbyta dopełnia niejako całego obrazu, do którego jednak brakuje niektórych części; słowem jest to dzieło może mniej będące na wysokości dzisiejszych historycznych badań i wiadomości, ale za to pod względem zamilowania rzeczy krajowych, gorliwości wskrzeszania drogich pamiątek, i odnoszenia wszystkiego do jednej górnącej myśli, o wiele przewyższa te dzisiejsze wycieczki poświęcone albo pustym i drobiazgowym macaniom archeologicznym, albo podkadzielnym bajkom zbieranym i podawanym ze skrupulatnością godną lepszego przedmiotu.

Jedną tylko rzeczy dość wyżałować niemożna, iż wydawcy ogłaszając te podróże historyczne drukowali je bez poprawek i stosownych objaśnień. Ś. p. Ursyn był

mąż gorącego serca i tegoż charakteru, ale historyk nie zawsze skrupulatny, a często przepuszczający najgrubsze błędy, ztąd, że nie lubiał mozolnie ślezczyć nad papierami, i po większej części zdawał się na podręcznych skryptorów. Wydawca powinien był grubsze pomyłki bez skrupułu poprawić, a niedokładności historyczne przypisami sprostować i wyświecić; niegodziło się bowiem téj zacnej pracy puszczać w świat z takimi błędami, które niemogą wytrzymać najmniejszej krytyki.

Niemając zamiaru występować tu z bardzo łatwą erudycją historyczną, która byłaby po niewczasie, bo dzieło wydrukowane — dodam to tylko, co z czytania tych podróży mocno utkwilo mi w umyśle: Czy niegodziłoby się mieć już do tego czasu takiej podróży po wszystkich prowincjach, ozdobionej rycinami, a obejmującej dokładne opisy okolic i mieszkańców. Tyle w tym rodzaju dostarczono już materiałów przygotowawczych, że dość byłoby podzielić pracę pomiędzy kilka, lub kilkanaście osób, aby każda objechawszy najlepiej znane sobie strony, wypracowała opis swojej części, z czego by tak interesująca całość powstała. Niebędąc zwolennikiem dzieł zbiorowych w literaturze, w téj kategorii zrobiłbym wyjątek, tem więcej, że są części kraju różniące się pomiędzy sobą, a tem samem potrzebujące być badanem przez tych co w nich długo przebywali.

Gdyby Podróże Historyczne tylko tę myśl wzbudziły już byłoby za co podziękować wydawcy tego dzieła.

LUCYAN SIEMKOWSKI.

OLIGARCHIA POLITYCZNA.

Traktat paryżki z roku przeszłego i konferencye sprowadziły systemat polityczny solidarności państw europejskich. Zjazdy monarsze niedawno odbyte potwierdziły go w opinii tak dalece, że nie ma dziś żadnego już prawie politycznego organu w Europie, któryby się na tym systemacie nie opierał, któryby się nań nie powoływał w rozstrzyganiu każdej niemal kwestyi i sprawy europejskiej lub sporu między państwami.

W zastosowaniu atoli tego teoretycznego systematu do praktyki, czyli w rzeczywistem jego ocenieniu, pominięto jedno nader ważne pytanie: czy systemat ten solidarności interesów jest istotnie powszechnym?...

Bardzo prostą wydaje się rzeczą, że na to aby systemat ten odpowiadał wszystkim warunkom praktycznego w Europie systematu politycznego, aby czynił zadość wszystkim wymaganiom i żądaniom, rozstrzygał wszystkie kwestye, sprawy i spory, powinien ogarniać całą Europę i wszystkie państwa powinny do niego należeć. Wszystkie państwa powinny w nim brać udział; i nie dość jeszcze na tem, ale udział ten powinien być równy.

Samo pojęcie jakie mieści w sobie wyraz „solidarność” wymaga téj równości. Nie można być mniej albo więcej solidarnym.

Również nie można być inaczej solidarnym tylko dobrowolnie. Przymus do solidarności jest jój zaprzeczeniem. Nie dosyć więc, jeżeli wszystkie państwa ulegają systematowi solidarności. Jeżeli do niego nie należą dobrowolnie, tylko mu ulegają, systemat ten wtedy jest tylko wyrazem siły w nową formę przybraną.

Nie łatwiejszego jak przeprowadzenie téj równości udziału w teorii systemu solidarności. Sama idea państwa równość tę zapewnia. Wszak według téj idei, każde państwo bez względu na swą siłę i wielkość, równe ma prawa. Każde, nawet najmniejsze równe jest niepodległe, nietykalne, równe ma obowiązki względem drugich, choćby najsilniejszych i najobszerniejszych, na równe od nich zasługuje względy tak co do godności korony, interwencji i innych stosunków, — równy przeto winno brać udział w ogólnym europejskim systemacie solidarności.

Lecz jak wiadomo jedna tylko równość bezwzględna jest prawdziwa: równość każdego człowieka w obec Boga. Wszystkie inne bezwzględne równości na-świecie są jeżeli nie szkodliwe, to przynajmniej fałszywe. Są to utopie i nie więcej. Podobnie i równość państw między sobą w obec idei państwa. Zbytecznem byłoby dowodzić przykładami, ile razy praktyka stanęła wbrew teorii. Polityka zaś jest praktyką nie teorią.

Ztąd też, jeżeli się odejmie systematowi solidarności jego społeczną barwę, która jest jego teoretyczną stroną, zapewniającą mu udział równy wszystkich państw europejskich, a uważać się zechce li tylko jego polityczną wartość, okaże się natychmiast, że ów systemat polityczny, podobnie jak jego poprzednicy, ogranicza się tylko na ułożeniu w pewną solidarność wielkich sił, którym

reszta ulega, jakkolwiek; to uznaniem nazywać się może. Aby się o tem przekonać, dość rzucić okiem na ruch owego systematu, usuwając wszelkie niepotrzebne zasłony pod jakimi swe działanie w chwili pochodu ukrywa. I tak, usunąwszy na bok owe wyrażenia niepewne i nieokreślone „interesu europejskiego,“ „równowagi politycznej,“ „dążności do pokoju,“ których każdy piszący używa i dowolnie je tłumaczy, bo ważność ich rzeczywista i stanowczy wpływ nie jest wiadomy i wiadomym być nie może, — traktat paryżski, owe źródło prawa publicznego, które według powszechnego uznania ogłosiło systemat solidarności państw europejskich, był prostym następstwem *ultimatum* postawionego przez Austryę a popartego przez Francją i Anglią, któremu *uległa* Rosya. W chwili kiedy szło o to, czy Rosya przyjmie *ultimatum*, nikomu na myśl nie przyszło pytać czy na nie zgodziły się Sardynia i Turcyja, to było domniemanem *a priori*. Pytano się raczej co powiedzą Prusy?... Uległa Rosya.

Staął pokój w Paryżu. Skoro się zgodziły Austryja, Francya i Rosya, skoro do niego przystąpiły zawezwane Prusy jako wielkie europejskie mocarstwo, Anglia lubo gotowa do dalszej wojny, lubo pokojowi niechętna — *uległa*. Skoro pięć wielkich mocarstw zgodziło się na pokój, któż pytał, czy jest on na rękę Sardynii lub Turcyi, chociaż o tę ostatnią głównie w wojnie chodziło? Przyjęcie pokoju bezwarunkowe przez dwa te ostatnie państwa było znów domniemanem *a priori*.

Wraz z zawarciem pokoju ogłoszono systemat solidarności państw europejskich. Na mocy tego systematu Francya i Anglia zażądały reform od króla neapolitańskiego. Oparł się król Ferdynand. Czyliż nie żądano od niego tych zmian wewnętrznych na podstawie solidarności i w imieniu interesu europejskiego? Owszem, ale król neapolitański nie poczuwał się do solidarności, nie

uznawał obowiązku brania udziału w systemacie, a interes europejski inaczej sobie tłumaczył. Naprzeciw systematowi solidarności postawił właśnie ową równość leżącą w idei państwa; zastawił się niepodległością, nie-tykalnością, godnością; i wykazał całą anomalię, jakaby istniała między teorią a praktyką, gdyby w systemacie solidarności miał się znajdować w końcu przymus czyli siła. Król neapolitański *nie uległ*: ale zdołał się oprzeć dla tego, że tylko Francya i Anglia stawiały żądanie reform. Nie było w téj mierze zgody między wszystkimi wielkimi mocarstwami europejskimi. Systemat solidarności okazał się niedostateczny: Neapol go nieuznał. Skończyło się na zerwaniu dyplomatycznych stosunków. Nienżyto narzędzia politycznego do zastosowania systemu przyjętego. Sprawa neapolitańska nie została wniesioną przed konferencyę. Czegóż brakowało skoro systemat ogłoszony, a interes europejski? Brakowało zgody wielkich mocarstw — nie było przymusu — Neapol *nie uległ*. A komuż na myśl przyszła Sardynia, która do systemu solidarności należąc, najwięcej owych reform w Neapolu żądała, i której najwięcej na uzyskaniu ich zależało?....

Daléj wystąpiły trudności w wykonaniu traktatu paryzkiego, a mianowicie sprawa o Bołgrad i wyspy Węzowe. Zdawać się mogło, że interes był turecki, i był nim w rzeczy saméj. Ale sprawa była angielska. Anglia wzięła w téj kwestyi pierwszy odwet za to, że przyjąć pokój musiała. Stosownie do systemu konferencyę miały rozstrzygać, ale nie wprzód one nastąpiły aż się wielkie mocarstwa porozumiały. *Uległa* Rosya: konferencya podpisała tylko sporządzony już naprzed protokół. Było to jakby proste następstwo owego *ultimatum*, na którem jakby na podstawie zbudowano traktat paryzki. Solidarność była w tem, że tego na co się Francya, Anglia

i Austria zgodziły, a czemu się nieopraciwiwały Prusy, Rosya odrzucić nie mogła.

Później stanął spór prusko-szwajcarski. O tej sprawie już dawniej orzekły były wielkie mocarstwa w protokółach londyńskich. Ale obecny systemat solidarności wymagał innej procedury. Już przez samą swoją istotę nie wolno mu rozstrzygać sprawy zaocznie. Solidarność nie pozwala na narady *de me sine me*. Szwajcarya więc wezwana być musiała na konferencyę, chociaż podobnie jak Neapol nie poczuwała się do obowiązku przyjęcia systematu solidarności. Jakby jej się było na konferencyi powiodło, niewiadomo, gdyby sprawa była wyłącznie szwajcarską. Ale zmieniła się postać rzeczy od czasów protokółów londyńskich. Sprawa Szwajcaryi, stała się sprawą francuską. Francya cesarska opuścić Szwajcaryi nie mogła. Wielkie mocarstwa widziały interwencyę francuską w tej sprawie, a na wojnę a raczej na jej następstwa przystać nie mogły. Nie o to szło, kto zwycięży czy Prusy, czy Szwajcarya — ale jak dalece Francya i inne wielkie mocarstwa będą zmuszone wziąć udział w tej walce. *Uległy* więc Prusy, nie Szwajcaryi, ale zgodzie Francyi, Anglii, Austrii i Rosyi. Solidarność znów była w tem porozumieniu wielkich mocarstw co do konieczności w jakiej znajdowała się Francya, a wątpieniu nie podlegało, że przed tą wolą ustąpi Szwajcarya.

Z zestawienia tych kilku rysów nie wypadają widocznie, że systemat solidarności europejskiej ogranicza się na wielkich mocarstwach i na uwzględnieniu ich interesów. Systemat ten jest tylko zasłoną, pod którą ukrywa się oligarchia polityczna. Jakkolwiek w bieżącej sprawie leży interes, jakkolwiek kwestya porusza politykę w Europie, zawsze chodzi tylko o wielkie mocarstwa i o ich między sobą porozumienie. Za przykład jeszcze posłużyć mogą dwie kwestye które głównie w tej

chwili są na porządku dziennym w Europie: kwestya duńsko-niemiecka i kwestya reorganizacyi księstw Nad-duńskich.

W pierwszej chodzi istotnie o autonomię Holsztynu i Lauenburga, prowincyj niemieckich połączonych traktatem z r. 1815 z koroną duńską. Autonomię tę zarządzają im własne konstytucye. Dania chcąc się urządzić jako państwo, i zaprowadzić zupełną jedność, usiłuje owe odrębne konstytucye prowincjonalne podciągnąć pod jedną normę, pod konstytucyę ogólną duńską. Prowincye ustąpić niechcą, odwołują się do Niemiec związkowych, do których pomimo połączenia swego z koroną duńską należeć nieprzestały. Popiera ich skargi w imieniu Niemiec Austria i Prusy: Dania odstąpić od swego zamiaru nie chce i sprawa wytacza się przed Bundestag.

Ważnemi zapewne zdają się czynnikami w tej sprawie, prawa Holsztynu i Lauenburga i prawa Danii; ważnemi względy na rasę, albowiem kwestya ta uderza z jednej strony o skandynawizm, z drugiej o germanizm; ważnemi stanowisko Bundestagu i pytanie czyli Dania uważać go winna za najwyższego sędziego w tej sprawie....

Lecz mylili by się wielce, ktoby ową kwestyę z tego uważał stanowiska. W polityce nie chodzi o prawa księstw niemieckich lub Danii, ani nawet o Niemcy. „Jeżeli o „Niemcach ma być mowa — pisze jeden z głównych organów niemieckich — to między Prusami i Austryą „musi być zgoda. Jeżeli wyrażenie „Niemcy“ ma oznaczać potęgę, to nie jest niczem innem jak zgodą między Prusami i Austryą. Jeżeli Prusy z Austryą nie są „w zgodzie, to trzecia część Niemiec jest na rozkaz „Francyi. Niezgoda między Prusami i Austryą, prowadzi „jedne i drugą do wystąpienia z rzędu wielkich „carstw. Duch czasu dąży do scentralizowania i zjednoczenia każdego państwa; cała Europa sprzyja temu

„daleniu, Niemcy tylko nie są zjednoczone i scentralizowane. Jeżeli Prusy i Austria nie są w zgodzie, jakże Niemcy mogą zasłonić Holsztyn, owego członka „Związku, aby go nie pochłonęła jedność państwa duńskiego?“....

Owóż więc w sprawie duńsko-niemieckiej przedłożonej dzisiaj przed trybunał Bundestagu, w oczach samych Niemców nie chodzi o prawa Danii lub Holsztynu, ale o Austrią i Prusy. Czy będą w zgodzie lub nie — *that is the question*. Gdyby zaś sprawa przestała być jaką jest dotąd, wyłącznie niemiecką, gdyby za europejską uznaną została i systemat solidarności miał być do niej zastosowany, wtedy znów chodziłoby tylko o Rosyą, Anglią i Francją, o widoki tych państw co do skandynawizmu i więcej jeszcze niż kiedykolwiek o zgodę między Austrią a Prusami. Dania i Holsztyn przed krótkami Bundestagu czy konferencyi, zawsze tylko bardzo podrzędne mogłyby zajmować miejsce.

W drugiej kwestyi zajmującej obecnie Europę, w kwestyi reorganizacyi księstw Naddunajskich, widzimy od samego początku to jest od dwóch lat blisko zastosowany systemat solidarności. Protektorat europejski ogłoszony traktatem paryżkim ma zastąpić protektorat rosyjski, jako sprzeczny z interesem Europy. Życzenia swe mieli przedstawić mieszkańcy księstw, konferencya miała stanowczo orzekać. Całą procedurę i wyboru dywanów *ad hoc* i komisyi bukaresztskiej wypisał dokładnie traktat paryżki. Czy potrzeba przytaczać wszystkie koleje przez jakie przechodziła ta sprawa? Skądże wynikały trudności? Czy od księstw, strony najbliższej interesownej; czy nawet od Turcyi, państwa któremu na tej sprawie najwięcej zależeć powinno? Trudności pochodziły z krzyżujących się w tej sprawie interesów wielkich mocarstw. Nikt się nie pyta, czego sobie życzy Sardynia, a żądania Turcyi o tyle zasługują na uwagę, o ile

służą za pozor do wystąpienia jednego lub drugiego z wielkich mocarstw. Wszak już powtórnym okólnikiem trywa Turcyja z systematem solidarności, a przecież nikt nie wątpi, że opozycya jój na nieby się nie przydała, gdyby tylko wielkie mocarstwa w sprawie unii porozumieć się mogły. Materyały wszystkie gotowe — życzenia księstw wypowiedziane, ale komisya w Bukareszcie raportu podać nie może, bo nie ma zgody między pełnomocnikami wielkich mocarstw. I znów nie chodzi o to jakie prawa może mieć narodowość moldawska lub wołoska, lub też obie razem, nie chodzi o to czego żąda Turcyja, ale w istocie walczy tu wpływ Francyi na Wschodzie z wpływem angielskim; Anglia nadto obawia się, aby przez połączenie księstw nie powiększyć wpływu Rosyi; Schizma uważa w połączeniu księstw pierwszy zawiązek niepodległości dla wschodnich ludów wyznania greckiego zostających pod obcem berłem, a polityka Austrii zawiązku tego dopuścić nie pozwala. Jakże poślednie miejsce w tak ważnych i wielkich sprawach i antagonizmach, zajmować musi reorganizacya w ten lub inny sposób dwóch małych księstw, i cóż dziwnego że nieraz niknie i odszukiwać ją prawie w tym chaosie wypada?....

Nie ma też równie nic dziwnego i w tem, że publicystyka dzisiejsza zbliża się coraz więcej do algebry, i rozprawia o nieznanych ilościach, które, jak może oznacza. Każda kwestya, to jakby algebraiczne zadanie, którego rozwiązać niepodobna, zaledwie dojść można do równania. I tak jeszcze przypuścić ciągle trzeba pewne ilości, które się dodają lub odejmują, z jednéj i z drugiej strony równania, aby go nie zepsuć a działania nie wstrzymywać. Cóż dziwnego że w rozmowaniach opiera się publicystyka dzisiejsza, to na systemacie solidarności, to na interesach europejskich, to na dążnościach pokojowych, kiedy się nie może oprzeć na wyraźném

prawie, bo to nie jest określone w prawie publicznem. Kwestye rozwiązywać może samo tylko prawo: wszelkie inne systemata mogą tylko doprowadzić do pewnej równowagi. Systemat solidarności interesów nie może także iść dalej. Jest on w ostatecznym wyniku usiłowaniem zaprowadzenia równowagi między wielkimi mocarstwami. Europa poddaje się téj równowadze, i to się nazywa załatwieniem kwestyj bieżących.

Historyi dopiero będzie zadaniem, ocenić całą wartość tego systematu opartego na oligarchii wielkich mocarstw. Nie będzie ona miała potrzeby uciekać się do owych algebraicznych formulek, do jakich ograniczona jest chwilowa publicystyka. Zbierze ona materiały istotne, uporządkuje, położy nazwy właściwe, osądzi — i kto wie, czyli porównywając obecny systemat z tem co się pierwój działo, nie orzeknie: *nihil novi sub sole*.

MAURÝCÝ MANN.

KRONIKA.

Kraków w listopadzie.

Z ostatnim dniem tego miesiąca zdecydować się ma przyszłość tego miesięcznego *Dodatku do Czasu*. Publiczność polska w ogóle, a po szczególe galicyjska zawezwana została, aby się oświadczyła, czy ma zamiar pokryć na rok przyszły kosztą wydawnictwa tego czasopisma, które przez ciąg swego istnienia utrzymywanem bywa, zamiast, coby się samo utrzymywać powinno. Jeżeli mu obojętność naturalnych opiekunów — publiczności, taki już los zgotowała, to za prawdę organa tej publiczności — boć jak wiadomo dzienniki są jej organami — na samą wieść o bliskim zgonie *Dodatku* tak piękne wypaliły mu nekrologi, że nieżałby mu już było umierać doczekawszy się po krótkim żywocie swoim takich epitafiów. Na usprawiedliwienie tej niezgody między opinią publiczną objawiającą się w tych przedzgonnych laurach, a opinią publiczną objawiającą się przez oświadczenia prenumeracyjne, przytoczyć tu można słowa jednego z zagranicznych pism, napisane z tego powodu:

„..... Niechaj nam także będzie wolno powiedzieć, że redakcyja zbyt skromne o swoim dziele, zbyt zaszczytne o naszym publicznym duchu ma wyobrażenie, je-

śli przypuszcza, że dotychczasowa obojętność prenumeratorów *Dodatku* mogłaby być także skalą jego potrzeby i użyteczności. Bo zaprawdę, mylili by się ten wielce, ktoby za miarę dobroci jakiej sprawy u nas chciał brać czynne poparcie, jakie znajdowała w narodzie. My — i nie od wczora — umiemy chwalić i przyklaskiwać zdaleka, umiemy zachęcać do wytrwałości i na wszelki przypadek chowamy wieńce pośmiertne; ale od czynnego popierania tego cośmy w biernym spektatorstwie za dobre uznali, od poczucia się do obywatelskiego obowiązku nie tylko przyśmiewania się, ale i pomagania według sił i zasobów wszelkiemu uczciwemu przedsięwzięciu, — od tegośmy jeszcze zbyt dalecy, do tegośmy jeszcze zbyt leniwi....“

Dodatek więc może spokojnie żywot swój młody zamknąć, skoro mu na dopiero przygotowanym grobie rzucają przedśmiertne wieńce. Wieńce te nie przyjmuję on za hołd oddany sobie, ale za uznanie, iż sama odwaga powołania do życia pisma miesięcznego i wytrwałość utrzymywania go choćby tylko przez lat parę, już zasługuje sobie w kraju naszym na wieńce.

Nie najpochlebniejsze to świadectwo dla kraju naszego. Wyraźniej, o wiele wyraźniej oznajmiły to inne jeszcze dzienniki, gorzkie czyniąc wyrzuty krajowi, który nie czuje potrzeby utrzymania jednego nawet czasopisma większej nieco objętości.

Upadek domniemany *Dodatku* sprawił i w Krakowie pewne wrażenie i nie brak na zachęcaniu do wytrwałości, „ale od czynnego popierania tego, cośmy w biernym spektatorstwie za dobre uznali, od poczucia się do obywatelskiego obowiązku pomagania według sił i zasobów, od tegośmy jeszcze zbyt dalecy, do tegośmy jeszcze zbyt leniwi“.

Otóż na sympatyach niezbywa i w Krakowie, niezbywa i na dobrych przyjacielskich radach, które każdy chętnie udzielać gotów, boć to nie nie kosztuje, nie obowiązuje nawet do zapisania się na prenumeratę. Każdy z tych doradców z innym występuje projektem; każdy innej okoliczności przypisuje niepowodzenie, a wielu ma za złe, że się z taką otwartością przyznano do niepowodzenia, że nie wyszukano jakiego pozoru do zamknięcia wydawnictwa, lecz powiedziano wręcz: „brak

prenumeratów“. Byli i tacy co życzyli iść za radą, jednej z gazet warszawskich i ogłosić imienną listę prenumeratorów, aby się z tego dowiedzieć jaka mniej więcej klasa mieszkańców zajmuje się u nas literaturą, jakich nazwisk nie znajdzie w spisie prenumeratorów. Wprawdzie byłby to dość ciekawy, a nawet i ważny przyczynek do historyi piśmiennictwa i oświaty w Galicji, lecz nikt niema prawa rozciągać takiej cenzury umysłowej na osoby....

Miesiąc listopad przeminął w Krakowie z tą jednostajną cichością, jaka temu miastu jest od dawna właściwą. Wielka katastrofa giełdowa i finansowa, której ofiarą padły tysiące osób i miliony wartości na Zachodzie, niedosięgła ubogiego kraju chyba w nader małej liczbie jego mieszkańców, których straty i zyski nie przynosiły krajowi nigdy ani szkody ani korzyści. Cóż o to u nas pytać, że ten lub ów Thurneysen pochłoniął był miliony polskie, kiedy o tych milionach kraj nie wiedział, nie znał ich istnienia, nie zna ich zguby. Taka strata kapitałów jest klęską zupełnie prywatną, jak prywatnym byłby zarobek. Gdyby te kapitały co obcym bankierom służyły, za szczebel fortuny lub dozwalając im rzucać się w szalone przedsiębiorstwa, stawiając w nich cudzy pieniądz na kartę — gdyby te kapitały choćby w małej tylko części swojej zwróciły się ku produkcyi krajowej — kraj stałby się solidarnym uczestnikiem zysków i strat, radowałby się powodzeniem, smucił niepowodzeniem; ale czy grosz wywieziony z kraju utonie w przepaścistej kasie bankiera zagranicznego, czy w bezdennnej otchłani rozrzutnego życia, to całkiem wszystko jedno dla ogółu. Jedna stodoła spalona więcej w gospodarstwie krajowem przyniosła straty, niżeli milion stracony na giełdzie. Smutne to a jednak prawdziwe. Gdyby choć policzyć te miliony, jakie kraj w ostatnich latach zapłacił pod tytułem indemnizacyi lub dochodów z wielkich majątków — bo co do małych, może tu być zastosowane przysłowie: „Maciek odebrał, Maciek zjadł“ — i zapytać jaka część ich obróconą została na wewnętrzną produkcję, a nawet jaka część ich przyczyniła się do podniesienia wewnętrznej konsumpcyi i pod tą formą rozeszła się po kraju, okazałby się przerażający niestosunek.

Kraków czeka zjazd zimowego, któryby mu choć w części wynagrodził długą próżnię i milczenie, któryby nie tylko sypnął pieniędzmi na zapomogę jego mieszczańskiego worka, ale któryby także w jego życie mieszczańskie wprowadził nieco ruchu towarzyskiego i wlał weni nieco żywiołu pańskiego, jako antidotu przeciw odmiennym wpływom.

Wprawdzie Kraków nie posiada nic takiego, co by ku sobie nęcił mogło tych, co już wszystkich ponęt świata próbowali. W imię naszych miasteczkowych zabaw i przyjemności nie można ich wzywać; w imię obowiązku ktoś ich zawezwać ośmieli się? kto ma prawo powiedzieć, że to co on za obowiązek poczytuje, jest i obowiązkiem w oczach tych, którym on go dyktuje? Ile razy pomyśleć przyjdzie o tej różnicy kraju i zagranicy, nasuwa się mimowolnie bajka Jachowicza: „Jabłko i pomarańcza“, prawdziwa bajka, bo każe dziecku przełożyć jabłko nad pomarańczę. Ażeby to uczynić, trzeba przestać być dzieckiem....

Dotychczasowe zimowe widoki w Krakowie są nader skromne, oczywiście, że teatr główne zajmuje między niemi miejsce. Od dni kilku zjechało też do nas dawne grono aktorów, i mieliśmy sposobność powtórzyć to co powiedziano niegdyś o pewnej dynastyi, „że niczego się nienauczyła i niczego niezapomniała.“ Nieczynimy tu zarzutu nikomu: z piasku biczu nie ukręci. Upadek sztuki dramatycznej nie od dziś się datuje i aby się z niego wydobyć, trzeba wielu sprzyjających okoliczności, a przedewszystkiem silnej woli nie tyle ze strony dyrekeyi, która jest tylko chwilowym wyrazem potrzeby i możliwości, ile ze strony tych, których inteligencya, majątek i znaczenie postawiły na czele narodu. Brak repertoaru, brak artystów dramatycznych, zubożenie publiczności dla teatru, niedadzą się wprawdzie zmienić w ciągu jednego wieczora, ani nawet w ciągu jednej zimy; lecz lat parę, trochę pieniędzy, trochę dobrej woli podolać temu może, może zwrócić autorów ku pracom scenicznym, dozwolić próbować sił których się dziś bezowocnie niechce marnować, może znieść do zawodu aktorskiego młodzież wykształconszą i niejednego ukryty wydobyć talent, może zaludnić całą salę widzami i niedopuszczyć, aby w niej rej wiódł niesmak,

niemoralność i lichota, przykładujące wzorem siebie na scenie.

A przecież teatr ma być jednym z objawów życia publicznego, świadectwem wykształcenia i smaku, obrazem potrzeb umysłowych publiczności szukającej w samej nawet zabawie jakiegoś wyższego szlachetniejszego zadowolenia. W czasach swego upadku przeradza się on na szopki chłopięce, sztuki akrobatyczne albo igrzyska małpie, i wtedy dopiero widz zadowolonym bywa, gdy jaki Klisznik naśladuje zwierzę, skoro się przekona, iż aktor nieumiał naśladować na scenie człowieka; wtedy dopiero widz przygląda się ciekawie wielkim ruchom ciała, kiedy się przekona, iż nadaremnie wyglądał na scenie wielkich wstrząśnień duszy. Nad wszystkie pisane mądrości wyższem jest żywe słowo. Gdzie słowo to na arenie publicznej odzywać się nie ma potrzeby, niechaj przynajmniej odzywać się odważy na arenie kulisowej, na tych deskach, które jak powiedział estetyk, są „widownią świata“. Wszystkie uczone akademie, gdzie mądrość chowa się w kapłańskie tajemnice i przy zamkniętych drzwiach wątpliwe swoje głosi badania, niewarte tych kulis malowanych; wszystkie rozprawy o znalezionych w głębi ziemi skorupach z czasów przedhistorycznych, wszystkie filologiczne zacieki nad rozwiązaniem różnicy indogermanskich od indosłowiańskich plemion, niewarte jednej myśli włożonej w usta aktora.

Długie wieczory zimowe, nie zawsze dają się spędzić przy zielonym stoliku, ani też codziennie przestawiać je można; rozmowy salonów naszych rzadko aby wychodziły poza zakres odgrzewanych nowinek ze świata paryskiego; teatr krakowski nie wiemy czy wystarczy dla tych, co widzieli Rachelę lub jej włoską rywalkę; to naprawdę, smutna to zapowiedź na zimę w Krakowie. Może też i kronikarz krakowski z końcem roku samknę swe sprawozdania tak jednotonne i nudne jak to życie krakowskie wszelkiego pozbawione życia, i skruszy pióro, które nieumiało obudzić zająęcia i ciekawości wydobywaniem z ukrycia drobnych komedya i przedpokojowych podsłuchów, ani też nie najmowało się dla sławienia nieznanych wielkości.

Włoskie w listopadzie.

Skończyła się piękna jesień, nagle że tak powiem śmiercią. Przed kilku dniami oddychała ona piękna jeszcze nadzieją wesołego życia. Słońce paliło prawie letalnym skwarem, drzewa potrzasały zielonym liściem, miasto wyludnione przez kilka miesięcy, miało postać żywą, wesołą, przyjemną. Zdawało się niejednemu, że piec i komin staną się niepotrzebnymi meblami. Śledkie śladzenie, przy tylu innych, z którymi pomimo ciągłego doświadczenia żyją i umierają ludzie! Lecz któryś się mógł spodziewać, że przepędziwszy połowę noce nad brzegami Dunaju w powietrzu włoskiem, znajdzie zrana zalepione okna lodowatym szronem. Było to pierwsze technienie zimowe. Łatwo pojmiecie, jakie ono sprawiło wrażenie na nieprzygotowanych umysłach. Od tej chwili, pomimo ciągłej pogody, mieliśmy nieustanne i mocne przymrozki. Widok miasta zupełnie inny. Ruchu na ulicach, wyjąwszy w południowe godziny, mało. Każdy co wyjść musi, zwija się jak najprędzej, i szczęśliwy, gdy wrócić może do ogrzanego własnego zakątku. Ci którym i na tej przyjemności zżywa, tula się po kawiarniach, piwiarniach i szynkach. Przepelnione w tej porze roku publiczne czytalnie, paryskie, byłyby i tu nie dla jednego dobroczynnym przytułkiem. Mam na to dowód w dwóch lub trzech tak'nazwanych Kassynach, które zimą są jak fortece w stanie oblężenia. Najwspanialszem z nich jest ciągle Kassyno tak zwane szlacheckie przy *Herrengasse*. Byczne salony, posługa w liberyi, światło rzęsiste, cygara i napoje drogie ale dobre, towarzystwo dobrane ale nudne. Gra w bilard lub karty jest główną, niepoziomą rozrywką, lecz zatrudnieniem. Młodzi i starzy poświęcają mu nieraz nocę całą. O smutnych skutkach tego szermierstwa słyszałem wiele, pomimo że gry hazardowne są zakazane. Rozmowa jest rzeczą dorywczą, przypadkową, podrzędną. Dyplomaci zastępują ją zwykłym czytaniem dzienników; niegrającym i nieczytającym wyborne kanapy służą za łóżko. Pod względem życia i ruchu Kassyno kupieckie przy *Spiegelgasse* jest poważniejszem. Gra i tam przemaga, ale nie gra nudna,

z kartami przy stoliku; lecz gra w rozmowie, w rachunkach na słowo, w przechadzce po salonach, i gra nie na tysiące, lecz na dziesiątki tysięcy i na krocie. Jest to, jak łatwo się domyślicie, dalszy ciąg giełdy — prawdziwa wieczorna bogata giełda. Przy wielkiej poczie w ciemnym i brudnym zakątku zbierają się co wieczór za urzędowem pozwoleniem tylko agenci i maklerzy. Wielkie operacye, obszerne plany, głębsze kombinacye robią się w Kassyno. Tam zlewają się również wszystkie wiadomości tak finansowe jak polityczne. Lecz to wszystko ma minę trochę brudną, trochę śmiesznią i potężnie męczącą dla przyzwyczajonego oddychać innem powietrzem i myśleć o czem innem, jak o milionach. Dla takich oryginałów, bo któż dzisiaj nie myśli o milionach, jest trzecie Kassyno, tak nazwane *prawnicze* (*juridische*). I jest to pod względem umysłowym najlepsze, gdyż ma wszystkie dzienniki, broszury, pisma ulotne, dzieła nowe i bogatą klasyczną bibliotekę. Znajdziesz w niem literatów, poetów, artystów, publicystów, adwokatów. Nie zbywa na herbacie i cygarach. Brak tylko jednej rzeczy: towarzystwa. Tu każdy jak u siebie i dla siebie, zajęty nie sąsiadem, lecz sobą i tem co ma pod nosem, to jest książką, dziennikiem lub filizanką. Jeżeli trafi się przypadkiem na rozmowę, możesz być pewnym, że za chwilę stanie się ona kursem prawa, estetyki lub jakiegokolwiek teorii politycznej. Zresztą opłata od wejścia mała, a następnie i chwile nudne znośniejsze.

Wspomniałem o rozmowie, patrząc przez zimowe okulary na te trzy wyższego publicznego życia w Wiedniu salony, i pośpieszam z wyznaniem, że jeżeli im na tym żywiole zbywa, to nie dziw, gdyż rozmowa w prawdziwym tego wyrazu znaczeniu, należy do salonów prywatnych i znaleźć się tylko może w zgromadzeniach dobranych i mniej więcej poufnych. Trzeba nadto trzech koniecznych, że tak powiem sprzętn: kobiety, języka i dowcipu. Francya, kraj pod tym względem uprzywilejowany dawniej, i stawiany za wzór do dziś dnia, rozstała się z rozmową, od czasu jak kobiety przestały w niej rządzić moralnie, jak język stał się tylko narzędziem zysku, i jak dowcip zaczął ozołgać się po ulicach. Niemcom zbywało zawsze na trzech wyżej wspo-

maianych rozmowy sprężynach. W Wiedniu rozmawiano od kongresu w salonach tylko księcia Metternicha, ale po francuzku, lecz księżna lubo miała dowcipu podostatkiem i umiała wybrać swe towarzystwo, grzeszyła wszakże nieraz, jak sam książę w pamiętnem wyrzekł zdarzeniu, brakiem wychowania. Cóż dopiero mówić o innych kobietach i salonach, zwłaszcza od 1848 roku? Któreż nazwisko przypomina tu sławne w historii imiona pani de Tencin, de Dudevant, de l'Espinasse, de Rolland, de Recamier? któraż z kobiet wiedeńskich mogłaby pójść w tej mierze w porównanie z panią Bettiną Arnim, lub żyjącą również dotąd w pamięci wszystkich panią Emile de Girardin? Ileż dowcipu, talentu, słodyczy i przyjemności miały rozmowy toczące się na pamiętnych środowych wieczorach u pani Ancelet? Salony wiedeńskie nie czują tej ponęty i nieubiegają się o tę sławę. Przyjęcia ograniczają się w nich do wielkich etykietałnych demonstracji, albo do zupełnej domowej ciszy. Gdy związki rodzinne bywają zbyt rozległe, tytuł przeto pokrewieństwa jest tak obojętnym, jak tytuł prostej znajomości. Na każdy wieczór złożony z kilkunastu osób, trzecha osobnego zaproszenia. Ministrowie zagraniczni i niektórzy z wielkich dygnitarzy państwa, przyjmują sami tylko w dni oznaczone. Reszta wielkich salonów czeka na otwarcie do pół zimy, i zostaje nieprzystępną przez drugą połowę tej solennej w ich życiu pory roku.

Przy takim narodowem Wiednia usposobieniu, zima, prócz nieprzyjemności atmosferycznych, ma smutną i posępną, moralnie mówiąc, barwę. Chwila przejścia z jesieni do zimy, jak terazniejsza, która zwykle trwa aż do końca grudnia, jest tem nudniejszą, iż zmiany powietrza są nagle i częste, iż się wyradza zład mnóstwo katarów, kaszłów i bólu piersi, iż w teatrach głośnie kichanie głuszy śpiew i słowa aktorów, że w salach jadalnych po hotelach nieliczni goście dopraszają się muszą o zapalenie jednej lub dwóch świec więcej, i że na zapytanie o znajomych, ogólną cieszyć się trzeba odpowiedzią, że siedzą jeszcze w swych letnich pałacach, lub polują w węgierskich, kroackich i czeskich borach. I w rzeczy samej, cały świat wyższy, modny, elegancki, jest dotąd w tych pałacach, lub w tych la-

sacze. Zima sprowadziła dotąd do stolicy tylko ciep-
co w najcięższych okolicznościach, mieszcili się przez lato, do-
mach. Drogość mieszkań w Wiedniu, większa niż w ro-
ku przeszłym, zmniejszyła znaczenie i tę część ludności.
Wiele rodzin pozostało na zamknięciu w owych zaro-
gatkowych skorupach, które się szczytują się latami pobli-
skim wioski, jakby tyłoma *villami*.

Jak widzicie, zima zapowiada mało ruchu w towa-
rzystwie życia. Natomiast zdaje się, że będzie ostra.
Niestety! co się stanie z biednymi, których liczba co-
dzien się zwiększa? Prośba o jałmużnę na ulicach, do-
tąd tak rzadka, i zawsze pokryta skromnym płaszczem
usługi, jeśli nie zasługi, przechadza się dziś publicznie
i napastuje bez ogródki. Najśmielsza i najniebezpiecz-
niejsza, dawniej cedzona bojałliwie przez zęby z po-
przezroczystego ale spuszczonego na przelikującego aż
do kieszeni warok, obrąbku, dziś odzywa się jasnie,
prosto i otwarcie, i nieprzestaje na lada jakim datku
lub zadatku. Lecz wyznać trzeba, że legiony tego ro-
dzaju Amazonki, zyskały na powierzchownym swem
urządzeniu i na zewnętrznej wystawności. Dygnitki
jeżdżą w karetkach i mają własne domy; dają bale i
obiady; przyjmują świat wielki grzecznie, bogaty ser-
cem, artystyczny protekeyotale, tak jak bywało i
jest w Paryżu, między hrabinami i markizami z ulic
Breda i *Notre-Dame de Lorette*. Wiedzą pod tym wzglę-
dem wziąć się do naśladownictwa na szczerze, i poka-
zały przy wielu karykaturach, niektóre bardzo do orygi-
nałów podobne kopie.

Lecz zwróćmy wzrok i uwagę w inną przyjemniejszą
i prawdziwej cywilizacji godną stronę. Przy wstrzą-
śnięciu i zachwianiu ogólnem stosunków finansowych i
handlowych na całym świecie, przy szerzącej się we
wszystkich stolicach obawie o następstwa, dotąd już
tak straszne i smutniejsze może jeszcze później, przy
nawale nieodzownym i łatwym do pojęcia rozmaitego
rodzaju wruszeń, uczuć, domysłów i przywidzeń, lu-
dność tutejsza do tej należącej sfery, pokazała ceterpi-
wość, wytrwałość i konieczną w podobnych kłopotach,
ale nader rzadką, spokojność charakteru. Prawda, że
mnóstwo domów zawiesić musiało swe interesa, lecz
płoch momentalny zastąpiony już jest przekonaniem,

że wszystkie prawie potrafią przy pomocy banku i kredytu, załatwić wypłaty naglejsze, zregulować inne, i pozostać na placu z honorem i z otwartą do dalszej pracy drogą. Straty przeto, których się obawiano, nie będą ani tak wielkie, ani tak liczne. Lecz rozstrojenie, ażeby chwilowe tej handlowo-przemysłowej maszyny, nie pozostało i pozostać nie mogło bez smutnego wpływu na ruch kapitałów, na rozległość przedsiębiorstw i następnie na los robotników żyjących z dnia na dzień. Tak to zwłaszcza klasie, nadchodząca zima da się uświadomić najboleśniej, jeżeli jej pieszczotliwość władz i jak najrychlejszy powrót do lepszych stosunków, nieprzyjdą w pomoc.

Rzecz dziwna wszakże, że wieczorami zwłaszcza, Wiedeń cały wygląda tak jakby mu, nie zbywało na, niczem. Na przedmieściach i w mieście, oberze, piwiarnie i kawiarnie pełne. Muzyka prawie wszędzie, tu i omdzie także — dalej śpiewy — jednym słowem dobry i wesół humor. Może też to ostatnie technienia tej tak słynnej dawniej wiedeńskiej *Gemüthlichkeit*? Byłoby dziś, a co będzie jutro — o tem potem. Może w tych kilku prawdziwie wiedeńskich słowach jest sekret całego tego życia. Temci lepiej, jeśli dziś i jutro będą ciągle w tak dobrej, przynajmniej na pozór, jak dotąd, zgodzie. Wszakże trochę więcej przezorności i oszczędności niezaszkodziłoby tu wcale.

Teatra, zwłaszcza w górnych swych warstwach, przedstawia widok również dobroduszny i wesół. Im więcej grubych żartów, śmiałych głupstw i dziwacznych nonsensów, jak na przykład w parodii Opery „*Tannhäuser*“, tem większy ścisk i tem głośniejsze oklaski. Pod tym względem wszystkie klasy ludności bardzo się do siebie zbliżają. Brak uczucia estetycznego i wyższego smaku, jest równie w lożach jak i na parterze i w najwyższych galeriach. Jest to cecha niepocholebna, lecz tem trudniejsza do ukrycia, w charakterze moralno-umysłowego wykształcenia, iż właśnie jest za nadto wybitną i ogólną.

W teatrze przy bramie karynekiej, nowa opera meistra Verdego „Nieszpory syezyliackie“, znalazła w pierwszych dwóch przedstawieniach dosyć zimne przyjęcie. Publiczność tutajza lubi jednakże muzykę tego mistrza.

Towarzystwo artystów włoskich na niej się głównie opiera w trzech miesiącach swego w Wiedniu pobytu. Verdi w oczach wielu Wiedeńczyków, stoi wyżej niż Bellini, Donizetti a nawet Rossini. Każda burza instrumentacyjna, a takowych w operach tego mistrza jest nie mało, wywoływała grzmoty oklasków. Czemuż się nie podobały „Nieszpory Syceylijskie“? Może właśnie dla tego, że przy czystym, błękitnem, pogodnem niebie syceylijskiem, trudno było Verdemu spotkać się z burzą, i że musiał tańce odegrać na nutę krajową, tak dźwięczną i miłą dla ucha, i z konspiratorami rozmawiać po cichu. Chwila rzezi, w której możnaby było wprowadzić na scenę wszystkie orkiestry, wszystkie dzwony i wszystkie działa Palermitanów i Francuzów, jest właśnie chwila, w której się kończy przedstawienie. Zręczny Scribe wywinał się z tego pełnego trudności przedsięwzięcia, bardzo szczęśliwie. Maestro miał dobre jak mówią *libretto*. Według mnie, zrobił muzykę niegorszą od „*Ernani*“ lub „*Nabucco*“. a w każdym razie bardzo do pierwszej zwłaszcza podobną. O ile musiał się stać historycznym i pięcioaktowym, o tyle miał może w myśli i przed oczyma Meyerbeera. W ogólności, prócz dwóch czy trzech melodyj, są dwa dobre duety, jeden wyborny *quatuor* i znakomite *finale*. W wercie jest świeżość i życie. Taniec znaczną całego dzieła stanowi ozdobę, i dla tego drugie przedstawienie gdzie z powodu słabości panny Ricci, balet został musiał na stronie, zdało się być jeszcze zimniejszym jak pierwsze. Panna Titijens w roli księżniczki Eleonory i p. Beck w roli Montforte utrzymali godność dwóch pierwszych i głównych miejsc pod względem gry i śpiewu. Lecz założyłbym się, że w języku francuskim i oddana przez śpiewaków i śpiewaczki opery paryskiej, muzyka ta cała wydaje się daleko lepiej i korzystniej. P. Ander przy słabym już głosie, miał chwile bardzo szczęśliwe.

Druga nowość francuska „*Fiamina*“ w Burgtheater także się niepodoba, albo mało podoba. Pytałem wielu o przyczynę. Odpowiedziano mi, że nieznaną pani Brohan, publiczność wiedeńska sądzić nie może czy portret podobny do oryginału, lecz że uważa taki jak jest, za przesadzony — i za niemoralny. Jest to przyczyna

tak dobra jak inna, albo i żadna. Niewidziałem estaki i dla tego milećć muszę.

Towarzystwo dramatyczne włoskie pana Rossi znalazło w teatrze przy bramie karyńskiej, odpowiednią swęj wartości publiczność i gorące przyjęcie. Po czterech przedstawieniach, uda się ono napowrót do Włoch zostawiając tutaj dobrą po sobie pamiętkę.

Poznań w listopadzie.

Miesiące jesienne i zimowe są bezwątpienia w północnych krajach najprzyjaźniejsze pracy umysłowej. Przy świetle lampy wieczornej, przy ognisku kominkowym chętniej się myśl zatapia w księdze, lub pióro bierze do ręki, jak przy jasności ciepłego słońca. Działalność umysłowa zdaje się zostawać w odwrotnym stosunku z działalnością zmysłowego świata, gdy natura życiem, weselem i płodnością przywabia i zajmnie umysł nasz mniej usposobiony do tworzenia. Twórczość jego, zwłaszcza na północy, wtenczas może najprędzej się obudza i duch najsilniej się skupia, gdy świat zewnętrzny smutnieje i jakby snem śmierci zasypia. Miesiąc listopad, w którym się pierwsze zdrzymanie natury sen jej poprzedzające zaczyna, powinienby więc rozbudzić życie na niwie nauk i piśmiennictwa. Tymczasem miesiąc ten nie odznaczył się tu wcale ożywieniem rachy tego rodzaju, tak że nie chcąc w korespondencyi mojej wyjść ze sfery literackiej, muszę na ubiegłe miesiące rzucić wejrzeniem, i w nich poszukać żywiołu do dzisiejszej rozmowy. Żadna nowość prozą lub wierszem odbita prasą tutejszą nie doszła do mnie w tym miesiącu. — Nie znam leniwszych drukarni nad poznańskie, druk dzieła, który w kilka tygodni mógłby być ukończony, trwa miesiące, trwałby lata, gdyby autor lub wydawca strzążył nad nim zaniedbał. Poznań mógłby się stać z wielu bardzo powodów miejscem głównem wydawnictwa dzieł polskich, położyć istotne zasługi i nabyć wielkiego znaczenia w naszym umysłowym świecie, gdyby nie zniechęcała piszących niedbałość i niedostatek skrupulatnej rzetelności, które się w niektórych dru-

konieczności poznatek spoznać dają. Często w nich brak to zecerów, to papieru; to rozpoczynając druk, którego dzieła, późniejszym zobowiązaniem pierwszeństwa nad poprzedzającymi dają. — Na zbierankę literacką, która przed końcem roku za rok bieżący ukazać się miała, i bardzo właściwie w jesiennej porze być snopkiem z kłosów po żniwie rocznem zgarnionym, przysposobiona jest już dostateczna liczba materiałów, a przecież druk jej jeszcze nie rozpoczęty, choć takowa zbieranka i biednych wspiera i nabywającemu ją wydawcy korzyść zapewne przynosi. Wspomniawszy o niej, nie mogę wstrzymać się od zadość uczynienia Ładzi Pana Cypryana Norwida, prostując pomyłkę jaką zasła i w recenzji dziennika poznańskiego i w korespondencji z Szremskiego w waszem piśmie umieszczonoj, w których znajdowała się wzmianka o jego tłómaczeniu poematu Benvenuto Celliniego ogłoszonego w zbierance na rok 1855. Ani korespondentowi waszemu, ani autorowi recenzji poemat ten w oryginale znanym nie był. Tytuł jego w zbierance jest *Benvenuto Celliniego* (sic) i nic więcej — nie dodany jest wyraz poematu, wiersz, poezya, a tym sposobem i tytuł nawet jest ciemnym. Wprawdzie, następnie tłómacz prozą mówi „iż przełożywszy na język polski Benvenuto Celliniego poematu w więzieniu Castel Angelo pisane, przychodzi mi na myśl, iż czytelnikom polskim nazwisko to może być bardzo jednostronnie albo wcale nie znane“, i w krótkości kreśląc życiorys Celliniego i sąd swój o nim wyjawiając, wspomina z jakiej doby jego życia datuje następny poemacik. Lecz w tym właśnie poemaciku, nie wiem czy wiernie tłómaczonym, tak czytelnik całą osobistość autorską p. Norwida wyraźną znajduje, tak napotyka jego sposób wyrażania myśli do domysłów tylko, nie do zrozumienia i pojęcia dokładnego wiodący, tak tam w myślach zrozumianych daje się spostrześć wybitny charakter utworów oryginalnych tłómacza, iż nie przypuszczając, aby drugi autor zwłaszcza w przeszłości i to za Medyceuszów znalazł się taką oryginalnością nacechowany, jaką p. Norwid się wwałwił, i korespondent i recenzent mógł być mniemać, że ta poezya jest utworem własnym autora Prometydyona, a nie zał. przekładem, i że tylko jak Lord Byron w więzieniu

Chłebem dla wywołania tam silniejszego wrócenia, poeta. kładnie w usta Celliniego własne opowiadanie. Następujące wyrazy p. Nerwida prostujące błąd popełniony, a które nam przeszłane zostały, są, przecież jasne, wyraźne i tak dośłowicie z miłą chęcią przytaczamy: „Poema które nazwano Benvenuto Cellini, nie jest utworem tytuł ten noszącym, ale tylko tłumaczeniem z włoskiego na polskie całego poematu bez tytułu napisanego przez Benvenuto Celliniego w więzieniu s. Aniola, na okładce od biblii, kawałkiem drzewa, i brudem ściana więziennych roku 1599”.

Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie rozpoczęło swoje działanie od podzielenia się na dwa wydziały. Jeden jest wydział nauk ścisłych, drugi historycznych i moralnych. Obie wydziały rozpięły do każdego z członków towarzystwa nieobecnych w Poznaniu zawiadomienie o swoim zawiązaniu, i zapytanie czyli chce przystąpić i należeć do niego. Wydział nauk historycznych i moralnych postanowił, iż członkowie jego zbierać się będą co dwa tygodnie we środy, w lokalu towarzystwa to jest w bibliotece Raczyńskich, że każdy członek winien w przeciągu roku raz przynajmniej na posiedzeniu odczytać pracę własną, że pisma nadsyłane towarzystwu i oddane wydziałowi, powierzone będą do rozbiórki jednemu z członków wydziału, i że nakoniec wydział ma prawo poruczać członkom swoim rozbiory ważnych dzieł i żądać zdania sprawy z niego. Zdaje się więc, że już w towarzystwie nowo zawiązanem, przygotowanie roli pod siarło już się rozpoczęło, że wkrótce siew się rozpocznie, i że się może i żniwa doczekamy. —

Jeden z korespondentów waszych wspomniał o Obrazku Poznańskim przez p. Paulinę Wilkońską za radą i zachętą Lucjana Stemińskiego wydany. Ponieważ myśl panująca w tem dziełku jest zasna i poczuwająca, postanowił sam przedstawiania w osobnych obrazkach rysów charakterystycznych rozmaitych polskich prowincyj zdaje mi się szczęśliwym i powinien by być pochwyconym, przeto rozciągnę się dziś nieco dłużej nad pracę p. Wilkońskiej. Obrazek poznański jest w ramach powieści obsadzony. Jako powieść mało jest zajmujący; treść tej powieści bardzo prosta i wszelkiej



dramatyczności pozbawiona, której jak się zdaje autorka wcale nie poszukiwała. Pan Tadeusz syn zacnego obywatela wielkopolskiego, dawnego pułkownika wojsk upodobał sobie Zosię córkę pani Sielskiej jednej z bliskich ojca sąsiadek. Pułkownik pochwała ten wybór, chce popierać jego zamiary, gdy w skutku nagłego zmartwienia życie kończy. Nie przychylni Tadeuszowi rozgłaszają kłamliwą wieść o złym stanie majątku jego. Pani Sielska chwije się w swój dla Tadeusza życliwości, lecz gdy się dowiaduje z ust swego sąsiada przyjaciela Tadeusza, że w kontrakty on sam mu wyliczy należny mu od niego znakomity kapitał, którym będzie mógł spłacić długi ojcowskie, zaciągnięte w ciężkich chwilach przez które księstwo Poznańskie przechodziło, skłonną się okazuje do powierzenia mu szczęścia córki. P. Tadeusz odbiera na śty Jan swój kapitał. — Kradną mu szkatułkę z pieniędzmi. — Pozbawiony tego funduszu, przymuszony sprzedać wieś ojczystą, wyrzeka się szczęścia, odstępuje od myśli ożenienia. Zosia zapada na zdrowiu. Szkatulka z pieniędzmi znajduje się. Pani Sielska zezwala na związek córki z Tadeuszem. Uszczęśliwienie młodej i zacnej pary zakończy tę powieść. — Na tem tle tak prostem naszkicowane są różne postacie poznańskie, tak wyższej sfery społeczeństwa, z obywatelstwa szlacheckiego, jak i z niższej z włościan i sług. Przedstawieni są tutaj i nauczyciele szkół wiejskich, i panie profesorowe, i nawet wielkopolski żydek kramarz. Wszystkie te wizerunki acz słabą nicią są powiązane z sobą, wchodzą przecież w oprawę powieści. Lecz najwyraźniejszym celem autorki było przedstawienie szkodliwych, szkodliwszych niż winnych ziemiach polskich skutków marnotrawstwa, a więc żądzy zbytków, namiętności podróżowania i odróżniania się wystawnem życiem od innych współobywateli. Marnotrawstwo takowe pociąga bowiem za sobą, nadwerężenie majątku ojczystego, a po niem konieczność wyzucia się z niego i przeniesienia pańszczyzny ojców w ręce eudzowieckie, w zamian za kapitały z chciwością czychające na sposobność przeistoczenia się na ziemię polską, która tym sposobem utracą swoją narodowość. Scudzowieckie ziemi szlacheckiej sprowadza za sobą wynarodowienie się posiadłości włościańskich. Nowy

właściciel cudzoziemiec sprzyja swoim ziomkom, właścicielom z rodzinnego kraju, gospodarniejszym od polskich włościan, przyciąga ich i ułatwia im różnemi sposobami nabycie gospodarstw włościańskich. Te zabiegi odbiję się w obrazie, który autorka stawia przed naszymi oczyma. W tej więc powieści znajduje czytelnik echo skarg i utyskiwań, które w tym kraju często słyszeć się dają. — Nie jest w niej skreślona charakterystyka zupełna tutejszej prowincyi, lecz są niektóre właściwe jej rysy, dość zrzecznie schwycone.

Różne prowincye polskie przez różne koleje przecho-
dząc, przeszło od lat pięćdziesięciu, różnym ulegając
losom, zmianom, rządowi i prawom, acz zachowały to
wszystko co stanowiąc ich naturę i charakter wspólny,
nigdy zatartém być nie może, nabyły jednak skutkiem
i działaniem okoliczności, których doświadczyły, pew-
nych i przymiotów i przywar, któremi się odróżniają
jedne od drugich. I dawniej Wielkopolanin nie był zu-
pełnie podobny do Małopolanina, Mazur pewnemi zna-
mionami odznaczał się od Litwina, lub ruskich ziem
mieszańca. Dziś to odróżnienie stało się jeszcze wi-
doczniejsze. Pisarz więc znający dokładnie różne części
dawnej Polski, przedsięwziął-by wiele nauczającą i zaj-
mującą pracę, gdyby w jednej powieści stawil obok
siebie obrazy tych różnych części kraju, i w nich od-
malował każdej prowincyi obyczaje, wyobrażenia, zalety,
nalogi, wady, słowem każdej twarz, postać i charakter
odbil. Pani Wilkońska, która jak sama w dedykacyi
do p. Siemieńskiego wyznaje, zna lepiej od Poznańskiego
Nadwiślańskie strony, mogłaby tego rodzaju pracę
choć w części przedsięwziąć, i przynajmniej Małopols-
kę i Wielkopolskę w porównawczym wyobrazić wize-
runku. Między rysami, któreby wydatnemi należało
uczynić, policzyłbym te, któreby nam posłużyły do
poznania, jakiego rodzaju literatura w każdej prowincyi
szczególniej umiłowana. Po smaku, po usposobieniu
literackiem kraju każdego, można wnioskować o stanie
i popędzie w nim umysłów. Tu na przykład w Wielko-
polce, w pewnej szczególniej sferze społeczeństwa, naj-
więcej popłacają dzieła i poezye religijne. A ztąd Le-
nartowicz stał się ulubionym wielu tutejszych czyteln-
ków poezyi. Ostatni jego poemacik Ś. Zofia, z dzien-

nika literackiego tutejszego wyjęty, a w osobnych egzemplarzach przez Zapańskiego wydany, znalazł tu przeciągły rozgłos, nie będąc więc od rzeczy,Julka sobie nad nim ispostrzeżeń dozwolić.

Lenartowicz jest jednym z naszych dzisiejszych poetów, na którym żaden grzech szkodliwej dążności, gorączkowych i chorobliwych natchnień i wyobrażeń, wyboru przedmiotów zgorzenie wywołać mogących nie ciąży. Uczucie jego jest zawsze czyste, często tklive i poetyczne, wiara religijna szczerą i gorącą, i to stanowi jego celną zaletę. Dodajemy, że talent jego odznaczał się pewnym wdziękiem prostoty, lecz za to dostrzedz w nim było łatwo braku różnorodności, siły, żywiołowości i wyrobienia. Od niejakiego szczególnież czasu, zerwał on wszystkie strony swojej lutni, i na jednej tylko wygrywa swoje religijne natchnienia. Niemi on pozyskał wielką wziętość, i stał się jednym z ulubieńców pewnej części krajowej publiczności. — Lecz nie tajmy, że w obecnym czasie, w obecnym stanie literatury, wziętość zyskana staje się często dla zyskujących ją niebezpieczną, a nawet szkodliwą. Dawniej jak słachectwo, tak sława zdobyta *zobowiązywała*, dziś zdaje się *uwalniać*. Dzisiejsi ulubieńcy publiczności stają się odrazu temi popseutami dziećmi, które wszystkiego sobie pozwalają, bo wszystko im wolno, wszystko im moho-dzi. Pisarz, który nabył słynności, zamiast dążyć do doskonałości, zamiast wyrabiać się i rosnąć, zadowolony w swęj wziętości, zaniedbuje się, i nie stara się o to, aby coraz wyborniejszych, lecz żeby coraz liczniejszych utworów dostarczał. Zarzutu tego nie stosujemy do p. Lenartowicza, lecz wyznajemy, że po przeczytaniu ustępu z jego poematu „Apostołowie“, lękać zaczęliśmy się, aby nie uległ téj tak upowszechnionej przywarze, która jest winą więcej jeszcze czytających jak piszących — tak czytających bez krytyki, bez sadu, ze zbyt częstą pobłażliwością, co więcej, z przygotowanym uwielbieniem dla każdego wyrobu znaną i słynną naznaczonego firmą. Poemacik Ś. Zofia, uspokoił nasze obawy, przecież nie wszystkie. Wybór w nim przedmiotu jest szczególnież, mógł dostarczyć i dostarczył natchnień tklivych i wiarą silną oddychających, lecz gdybyśmy utwor ten podnieść chcieli do znaczenia choćby nawet drobnego

poematu, jak za stanewską satkę musielibyśmy do
jedno uchylenie wykazać. Brak w nim zupełnie dra-
matyczności, jest w nim opowiadanie nacechowane ra-
wnością i prostotą często zbytęczną, i nie więcéj. Prze-
cież przedmiot sam wymagał więcej rozmaitych
farb poetycznych w smierciach trzech córek Zofii: Wiary,
Miłości i Nadziei, zadziwia zupełna jednostajność, a
przecież poeta powinien był te trzy męczeństwa uroz-
maicić, powinien był w każdéj zgonie, to szczególniej
uczucie, tę onotę religijną, uwypaknić, któręj nazwę je-
dna z nich nosiła. Jeżeli poeta powziął tę myśl, to jęj
z dokładnością nie wyrobił, i widzialną jęj nie uczynił.
Zgon matki, téj męczeńnicy trzema męczeństwami, téj
ślicznej Chrześcijańskiej, jak ją sam poeta nazwał, je-
szcze nie wyrażniejszém zaniechaniem farb i wyrobienia,
nadmawiany. Najprzód pytamy się, dla czego ów sta-
rosta rymski Antiochus, męczywszy trzy diewice,
matkę ich od męczeństwa uwalnia. Poeta mógł to łatwo
wytlomaczyć, mógł nadmienić, że okrutnik chciał matkę
najsroźszą udęczyć męczarnią zostawując jęj życie po
zgonie męczeńskim jęj dzieci. Czemuż więc autor tego
pytania naszego nie uprzedził. Czemuż zgon jęj wśród
katakumb tak nagły, tak niespodziewany, a tak ciemnym
w niewyraźnym kolorytem powleczoney, że nie wiemy, kie-
dy? jak? i dla czego umarła. — Wiemy tylko że była.

Nad zwłokami trzech córek oparta na boku,
Z ostatnim ust uśmiechem, z ostatnią łzą w oku.

3. Końcowa, zwiastująca jęj zgon

Bracia! módlmy się za nią, Zofia nie żyje.

kto mówi? czy biskup, czy autor? kto kończącą poemat
modlitwę odmawia, czy biskup? czy autor? domysleć
się nie można. Czy nie powinien był poeta przygotować
nas do tego nagłego zgonu Zofii, przedstawiając ten
ogrom i odmęt rozmaitych uczuć Chrześcianki i matki.
Ogrom rozpacz, radości, bólesci i tych trzech onót: mi-
łości, wiary, nadziei, które były imionami jęj dziełwie.
Pod ciężarem takiej nawały, pęknąć musiało jęj serce
i pękło. Poeta nie maluje prawie wewnętrznego stanu

duży świętej niewiasty, lecz tylko demystaś się go
każe, z opisu zewnętrznej jej postaci; jak po białoci
marmurów szła bielsza niewiasta,

I widziano że uśmiech jej oblicze krasil;
Który łez mimowolnych deszcz kroplisty gasił.

I potem

Szła prosto całą siłą *matczynego ciała*,
Czasem tylko zadrziała, czasem się zachwiała.

Jeżeli szła prosto, to przyuajmniej siłą matczyniej duszy,
nie ciała. Nie chcemy zapuszczać się tutaj w wytyka-
nie ustępów prozaicznych, wyrażen niepoprawnych, które
rażą, stykając się z wielu bardzo wdzięcznemi uczniami
i prostotą wierszami. Przecież kilka usterków dozwolimy
sobie wykazać.

W wierszu

I klęczały i łyż jej jak brylanty ciekły,

uderza niestosowność wyrażenia. Łyż cieć jak brylanty
nie mogą, bo brylanty nie ciekną, lecz mogą być do
brylantów podobnemi.

Obraz aniołków spuszcających się nad przygotowaną
męką dziewic jest piękny, ale czemu się one obniżały
z nad rotundy kraglęj. — Czy może być inna rotunda?
i czemu znowu rotunda nazwana nowo przez autora
utworzonym lecz rażącym wyrazem *okrąglicą*. Czema
nakoniec tych aniołków

wiele

Śmiało się na pogodnym niebiosów kościele.

otoż tu uderza nas, tak często dziś napotykaną niedo-
kładność wyrażenia. Czyż poeta nie czuł różnicy między
wyrazem *uśmiechać się*, a *śmiać się*. Śmiejemy się z tego
co zabawne, uśmiechać się nawet możemy w bóleści. Tak
i niżej tego rodzaju błąd powtarza się w wierszu

Giałem na ziemi, duszą w Panu moim tyję
U nóg jego skrwawionych po ziemi się *włóczęg*.

włóczyć się, jest to być *włóczęgą*, *włec się* jest to ciągnąć się. Czyż więc tu nie należało położyć po ziemi się *włokę*.

A w tym wierszu nowy pleonazm spotykamy

Ty i Cezar, i wszyscy *nadzy bez okrycia*.

kiedy *nadzy* to już bez okrycia, można jeszcze było powiedzieć bez *okrycia*, *nadzy*, bo będąc bez okrycia, można jeszcze nie być zupełnie nagim. Lecz kto jest *nagi*, ten pewnie nie okryty.

Moglibyśmy jeszcze wykazać niewłaściwość niektórych uociągów pędzla, i tak obrazowi katów po dokonanych dwóch męczeństwach niechybnie do zarzucenia nie mieli, gdyby jeden z nich oparłszy się o rzeźbioną bramę nie drzymał. Że jeden leży na ziemię żeby spocząć, że drugi ręce skrwawione obmywa, że trzeci kolem tortury się zabawia, nie ma prawdziwszego. Lecz drzymanie kata po tym katowskim trudzie, jest tonem fałszywym który raz.

Wykazaliśmy błędy i niedokładności tego utworu, które jak nam się zdaje pochodzą z braku starania i wyrobienia, jakich poeta z talentem p. Lenartowicza zaniebywać nie powinien.— Mówiąc z jednym ze znawców i miłośników sztuki i pięknej literatury, uderzony byłem jedną jego bardzo sprawiedliwą uwagą. Wszystkie sztuki są sobie siostrami, mówił on. „Czemu w malarstwie, w snycerstwie, w muzyce uchybienie przeciw prawdzie, przeciw pewnym prawidłom dozwolonem dziś nawet jeszcze nie jest; czemu w malarstwie błąd perspektywy lub rysunku lub kolorytu, w muzyce brak miary lub ton fałszywy nie byłby ścierpianym, a tylko jedna, poczyta tak lekceważoną, że w niej wolno nie zachowywać perspektywy, używać błędnego kolorytu, grzeszyć przeciw mierze, fałszywemi odzywać się tonami, i że takowe nieraz niespostrzeżone przejdą?”

Te uwagi przedstawialiśmy tu w przychylności naszego uczucia i w obawie, aby P. Lenartowicz nie popadł w błąd dziś zwyczajny zaniedbania, niepoprawności, je-

dnotoności dźwięków i sztucznej prostoty. Przekonani bowiem jesteśmy, iż obszerną i świetną może mieć przed sobą przyszłość poeta uposażony tak tklivem i czystem natchnieniem, tak silną wiarą i taką snadnością tonów, jakimi się odznacza Autor Błogosławionej.

Aby okrasić moją dzisiejszą pogadankę, posyłam wam bardzo ładną, wybornie opowiedzianą bajeczkę, której autora łatwo odgadniecie, nikt dziś bowiem w kraju naszym podobnych nie tworzy. Będąc w jego domu znalazłem ją przypadkiem wypisaną na jakiejś stariej kopercie, i wrzuconą w kosz między papiery na spalanie skazane. Stawszy się jej zbawcą, przywłaszczyłem ją sobie prawnie, twórcą jej bowiem stracił już nad nią prawa ojcostwa. Przyłączam ją tutaj, aby ją uratować od zatraty na którą właściwa jej autorowi niedbalosć, i dla pędów swego talenta obojętnosć, brak serca ojcowskiego skazały ją były bez litości.

SZTUKA MUSLINU.

Pewien żytelek Mosiek stary
Co się wielkim handlem szczycił
Między innemi towary,
Sztukę muslinu przemycił.
Muslin ten był w pierwszój modzie,
Wielki zysk więc przewidywał
Liczył na palcach, pysznił się i kiwał
I raz wraz głośko po brodzie,
Alć załedwie swój towar rozwinie
W strasznym się ujrzy kłopotie,
Drobnych się płamek niezliczone krocie
Po całym czernią muslinie.
Krzyk więc i hałas, wrzawa niepojęta,
Wrzeszczy Moskowa, i wyją mosięta.
Kiedy nasz żydziak, lis stary i szczywany,
Ciszej! krzyknie zagniewany
Zkąd te lamenty? i oó tak strasznego?

Odrwali wprawdzie, lecz szacher od czego?
Rzekłszy to, muslin swój bierze na barki,
Do bliższej niesie haftarki,
I po swym całym towarze
Złote gwiazdki rozsiad kade.
Muslin ów ledwie gwiazdeczkami błysnie,
Chmura szlachcianek do niego się ciskaie,
Tłoczą się, wadzą i kłocą,
Ledwie żyda nie przewrócą.
Kiedy w tem, pawna Jejmość nakazałt dyni,
Ohudaj wiosieczki tłusta dzierżawczyni,
Łapie za towar, cały tłum odpycha,
Placi w trójnasób, i do domu czmycha.
Tak kiedy kto się podłością oszepci
Nieraz przejść musi przez te szachry sąma,
I na to gwiazda na piersiach mu świeci
Aby pokryć plamę! —

Berlin w listopadzie.

Jeszcze jeden następ, szanowny Redaktorze, zanim prajjdę do dalszego opowiadania mojej pięcio-zmysłowej kroniki Berlina. Nie jest mi to wcale na rękę, bo w listopadzie poczyną się pora dla smakoszów; ostrygi, raki morskie, płaszcze, sardelki, kawiar, pasztety strasburskie, trufle, półgęski rugiańskie, szynki westfalskie, wędliny hamburskie, indyki francuzkie, wszelkiego rodzaju dwunożna i czworonożna zwierzyna, sery angielskie, holenderskie, francuzkie, szwajcarskie, niemieckie, konserwy, konfitary, winogrona, owoce, zwożą się furami do stolicy, a mnie właśnie wypadło z planu, zakończywszy rozdział o nosie, mówić o gębie, języku, podniebieniu, o organach zmysłu smaku, który jak wszędzie, tak i tutaj najprzeważniejszy ze wszystkich zmysłów wpływ wywiera na wszelkie towarzyskie stosunki, i nastrocza sposobność do nader charakterystycznych, równie poważnych jak pociesznych postrzeżeń.

Ale przedmiot który mię zmusza do zboczenia od prajjętego planu, tak jest rzadki, tak osobliwy i wy-

jatkowy, więcój powiem, tak jedyny w całej przestrzeni i czasowej nieskończoności stworzenia, że gdybym jeszcze przez lata matuzalowe był twoim korespondentem, szanowny Redaktorze, jestem pewien, że nie doczekałbym się sposobności do pisania o podobnym jak w niniejszym liście przedmiocie. Bo gdyby nawet w tym czasie zaszło nowe, nie wiem już które z porządku, przekształcenie ziemi, to, sądząc przez analogią poprzednich przemian, jestestwa, któreby na nowej ziemi powstały, musiałyby mieć jeszcze doskonalszy organizm, niż go mają teraźniejsze; małpy n. p. postąpiłyby na miejsce ludzi, a ludzie na miejsce jasnowidzących aniołów, jak to przeczuwać nam każe, mówiąc bez pochlebstwa, twór kobiety, ostatnie dzieło obecnego stworzenia.

Ale przedmiot mego opisu, którym, dorozumiewasz się zapewne, nie jest kto inny, jak meksykanka Julia Pastrana, pół kobieta pół małpa, pokazująca się tu obecnie w lokalu Krolla, jeżeli nie jest zapowiedzią nowego przekształcenia się naszego planety, to powinien być policzony, ponieważ nie ma dla niego miejsca w obecnej naturze, do owej epoki tworzenia się ziemi, kiedy jeszcze nie było dla niej człowieka, lecz najdziwniejsze kształty potwornych mięszanych zwierząt, małp, ryb, ptaków i elbrzymich roślin napępiały jęj lądy i wody, i tysiące wieków upłynęło, zanim nowa rewolucya możebną do spłodzenia i do pobytu człowieka ziemię uczyniła. Pozostałe w niej z dawniej epoki żywioły zetknęły się przypadkiem po raz pierwszy z sobą, i wydały postać Pastrany. Fizyolodzy nazywają twór takowy grą natury, to znaczy innemi słowy: „die Ochsen steben am Berge,“ nie wiedząc jak sobie naturę takową wytłumaczyć.

Warto więc twór tak osobliwy opisać. Stało się to nawet dla mnie fizyczną i moralną koniecznością. Postać panny Julii Pastrany spać mi nie daje: gdy zasną, dusi mię jak miora, napępia sny obrzydliwemi widmami; na jawie nie schodzi mi z pamięci, działa na nerwy i umysł jak fizyczny i duchowy emetyk, odbiera smak i apetyt, mięsza wszelkie pojęcia estetyczne, najobrzydliwszą kobietę zmienia na boginią — co dla żonatego mogłoby niekiedy być z korzyścią, ale dla nietonatego byłoby rzeczą bardzo niebezpieczną, wedle okoliczności

szkodliwą, lub śmieszną, gdyby szkarady przedstawiały mu się jak Wenery. Z wrażeń tych trzeba mi się zrzucić, a sposób do tego najlepszy, nasycić się panną Julią, opisując ją, zwłaszcza, że nie brakuje jej i takich przymiotów i członków, które najwięcej brzydzącą się naturę zdolne są nie tylko oswoić ale i upoić.

Pytał raz Litwin, niewiem, diabła czy Pińczuka;
Dlaczego siedzisz w błocie? — siedzę bom przywyknął.

Przypomnij sobie nadto, mój uczony Redaktorze, że i Liwiusz historyk rzymski, przy całej powadze swego powołania, spisywał pilnie w rocznikach swoich wszelkie nadzwyczajne zjawiska i utwory natury, to trzęsienia ziemi, to lwy i wilki zabłądzające na forum, to orły i kruki siadające na Kapitolu, to cielaki lub proszczaki spłodzone o dwóch lub trzech łbach i t. p. Z nadzwyczajności tych lud wyciągał dobre lub złe wróżby dla siebie. Czemuż więc i mnie w kronice berlińskiej nie miałoby być wolno mówić o podobnych zjawiskach, i wyciągać z nich wróżby przyszłości, gdyby mi właśnie o to chodziło? Żyjemy w czasie, w którym się cały świat idealny rozkłada na pierwiastki. Biada rodzajowi ludzkiemu, jeśli się rzeczywiście na nie rozłoży. W takim czasie, wyobraźnia goni za nadzwyczajnościami, szuka ich, a znalazłszy, zatrzymuje z nienasyconą żądzą na nich błędny lot swój, potrzebujący wytehnienia. Na nadzwyczajnościach też takich wtedy i potwornościach, jak w świecie natury tak w świecie ducha, zwykle nie brakuje. Skąd się biorą, jak powstają, częstokroć wcale niewiadomo, dosyć że są. Szarlatani, kuglarze, spekulanci wszelkiego kalibru, roznoszą i zaszczepiają je pomiędzy tłumy. Rozum się w posadach swych chwieje, i gotów uderzyć czołem przed bałwanami, które zdawały się być na zawsze stracone do nicości.

Dosyć na tém. Uwagi, jak powyższe, nie wchodzą w zakres niniejszego opisu. Celem ich jest tylko po-bieżne usprawiedliwienie tegoż. Zostawiam wyobraźni czytelnika dopełnienie sobie związku niektórych rezultatów naszej idealnej cywilizacji, w polityce, literaturze, sztuce, w stosunkach towarzyskich, z takimi postaciami

jak Tom Ponce, Murphy, Azteki, Julia Pastrana, i tylu innemi kartami i elbrzymami, potworami i dziwolągami, oglądanemi i podziwianemi przez dzisiejszą publiczność czterokrotnie w jednej i tej samej godzinie, naprzemian z idealnemi utworami sztuki.

Julia Pastrana przybyła do Berlina w zamiarze popisywania się na publicznej scenie jako artystka dramatyczna, śpiewaczka i tancerka. Przybyła jako współtowarzystwo Pepity, której tryumfy sen jej odbierali. Meksykańska Indyjanka z rodu, palająca plemienną zemstą, przeciwko rasie hiszpańskiej, powzięła wielką myśl wywrócenia cześci balwochwaleczej, oddławanej rywalce swojej na kontynencie starego świata. Przebiegła północną Amerykę wszczegółowo i wzdłuż, zwiedziła wszystkie większe miasta Anglii, tam i tu podziwiana przez arcepagi uczonych i publicystów najznakomitszych dzienników. Poprzedzona sławą, jaką Caliban nie cieszy się w Szekspirze, pospieszyła z Londynu, nie do Paryża, gdzie pepitanizm był bez znaczenia, chociaż hiszpanka osiadła na tronie, lecz prostą drogą do Niemiec, a w szczególności do Aten nad Sprewą, gdzie cześć jego miała główną świątynię, przenikała wszystkie warstwy ludności fanatycznym zapalem, i torowała kapłance drogę do wszystkich stolic Związku niemieckiego. Arcykapłanem czołowej był „der schoene Meyer,” z rodu Aarona, w którym w ogóle najgorętszych Pepita miała wielbicieli. W sztuce „Sennora Pepita de Oliva, mein Name ist Meyer,” odbywał się przez kilka lat w Niemczech kult babantki hiszpańskiej z zapalem trudnym do opisania. Zapomniano marzyć o idealach 1848 r., i przestano śpiewać „Was ist des Deutschen Vaterland?” Pepita dopełniła godnie swojej misji, zasłużyła się względem publicznego dobra Niemiec więcej niż „Kreuzzeitung,” i przeszła, jak każda wielka osobistość, na wieczną pamiątkę, w dziedzinę mytu.

Naprawdę usiłowały pozbawić ją tej cześci i sławy przybawające tu z kolei pojedynczo i gromadnie inne „mawilenujące, elolejące, kaczuczujące” hiszpańskie sennory i sennority; napróżno kusila się o to szkocka Miss Lydia Thompson; napróżno cały rój fałszywych Pepit, a między niemi najprawdziwsza czeska Braunecker-Schaefer; napróżno niedawno jeszcze temu trzy szkockie siostry

Mimia Sara, Elzbieta i Helena Gunáris, chciały „zahamipować” jej pamięć. Wszystko napróżno. Czytana w dziennikach, że prawdziwa Pepita przed parą jeszcze tygodniami cudów dokazywała w Lipsku, i jestem przekonany, że gdyby, nie zważając na rozjąszonych przeciwników jej zasługom demokratycznych krytyków, raz jeszcze przybyła do Berlina, wszyscy zwolennicy systemu solidarności zasad i interesów, w którym ona rękoma i nogoma, sercem i głową jest mistrzynią, junkiery, wojskowi, bankiery, kupcy, powitaliby ją oznakami dawniejszego zapалу i zadowolenia.

Przeciwnik tak głęboko dla Pepity wkerzenionej czoi, cóż, pytam się, mogła spodziewać się dokazać przybywającą z anarhiczanego Meksyku, z demokratycznej Ameryki, z rewolucjonizującej kontynent Anglii taką Julią Pastrana, której cała postać jest nosobionem weicieleniem rewolucyi, opozycyi, negacyi przeciwko wszelkiemu porządkowi przyrodzonego i towarzyskiego świata? Miała działać, rzekną jej obrońcy, tym właśnie kontrastem i przeciwieństwem. Błędna rachuba. Kontrast ten podnieść tylko może fizyczny i socyalny ład i powab przymiotów Pepity. W każdym razie, wypadło Julii Pastranie wcześniej o rok jeden lub dwa przyjechać, zanim Pepitę postawiono na ołtarza bogini Łady i zaczęto jej przynosić ofiary całopalenia. Byłby to był przynajmniej dla anarchistów jedyny w swoim rodzaju i nieoceniony widok, gdyby sennora Pepita de Oliva i sennorita Julia Pastrana, były jedna po drugiej lub obiedwie razem, jako tanecznice na scenie publicznej wystąpiły. Dzisiejsze wystąpienie Julii Pastrany nie mogło sprawić podobnego skutku, owszem sprawiła przeciwny.

Julia Pastrana wystąpiła po raz pierwszy na scenie teatru Krolla, ubrana jak Pepita, w zrobionej na prędoc dla siebie sztuce: „Julia Pastrana, oder der kurirte Meyer.“ Sam tytuł ten wskazywał rewolucyjne zamiary. Ulecamony Meyer nie oznaczał nic innego, jak odwrót od systemu solidarności konserwacyjnych zasad i interesów do demokratycznej anarchii 1848 r. Mam w pojęciu dyrektora muzyki lokalu Krolla, p. Engla, który jest madziarskim niemcem z Pesztu, przybyłym tu po katastrofie pod Vilagos (sapienti sat!), i ma na

seba, córkę zmarłego Krolla, że to on, jako współwziadowca zakładu, dał pomysł do sprowadzenia Julii Pastrany i do napisania dla niej powyższej sztuki. Sztuka została rzeczywiście przedstawioną. Pastrana grała, śpiewała, tańcowała. Wszczął się zaraz po jej pokazaniu się skandal na scenie i pomiędzy publicznością niepodobny do opisanego. Meyer odbywał w obec Pastrany moralną metamorfozę swoją jak na torturach rozpięty; aktorzy i aktorki przywykli do kostiumowania się niekiedy jak piekielne poczwary i mary, odwracali oczy od debiutantki; kobiety w sali widzów mdlały i wpadały w konwulsye; mężczyźni bledli i zatrzymywali chustkami skutki ekliwości; reszta publiczności silniejsza mająca zmysły i nerwy, świstała, tupiała, biła okłaski, krzyczała brawo, — wierny obraz zgromadzeń ludowych z r. 1848. Jeden tylko Engel, dyrygujący kapelą, stał spokojny wewnętrznem zadowoleniem i przeświadczeniem, że wynalazł sposób zrewolucjonizowania wkrótce politycznie, socyalnie i estetycznie całego Berlina.

Ale policya zwąchała jego anarchiczne zamiary, i zabroniła Julii Pastranie występować na publicznej scenie; pozwoiliwszy jej pokazywać się prywatnie. Policya chciała zarazem przez zakaz ten zapobiedz, aby w estetycznych Atenach nad Sprewą, w skutku zapatrzenia się kobiet, nie zaległa się rasa Pastrany, jak to się stało z tutejszą rasą mulacką, powstałą także, wedle zeznań kobiet przed sądem, z zapatrzenia się na przystojnych murzynów, należących do służby dworskiej księcia Karola.

Julia Pastrana pokazuje się więc odtąd w lokalu Krolla prywatnie. Cały Berlin ją odwiedza, niezrażony bynajmniej ani skandalem pierwszego wystąpienia, które zresztą nie było na swoim miejscu, ani przesadzonymi opisami dzienników, które niesłusznie powiększyły zgrozę jej widoku. Odwiedzają ją więc sami prawie mężczyźni. Płeć piękna stroni od niej, nie chce jej uznać za swą siostrę i za córkę Ewy, lecz wydaje ją, nie widziawszy, za plód zemsty szatana nad rodem niewieścim, od którego wróg ten w swoim czasie był starty. Prawda, że gdyby Parys zstąpił z Olimpu i miał być sędzią pomiędzy najbrzydszemi z dzisiejszych ziemianek, bez żadnej wątpliwości oddałby jabłko Pastra-

nie, nota bene, gdyby na nie więcej nie patrzył, jak na głowę i oblicze. Bo gdyby zwrócił oko np. na nogę, nie znajdując drobniejszej, kształtniejszej i piękniejszej na świecie, zastanowiłby się, i oddałby jabłko brzydkości innej może ziemiance.

Równie zgrabnie, delikatnie, proporcjonalnie zbudowana jest cała postać i wszystkie jej części aż do głowy. Linie palcy, rąk, ramion, szyi, plec, wyższych części piersi i biustu, są jak najregularniejsze; łączą się, zlewają, zaokrąglają, jak w postaciach posągów starożytnych. Kibić cienka i elastyczna, pierś, ile widać z pod ubrania, może na wiek trochę za podniosła, ruch lekki, zgrabny, naturalny. Tak dalece wszystko jest piękne i estetyczne. I gdy sobie wyobrazimy postać tę ubraną jak Fanny Elsler w kaczuszki, w czerwonych safianowych bucikach, w białych jedwabnych trykotach i w krótkiej tańcowej sukience, powiemy, że nie tylko nie ma w tém wszystkiem nic odrażającego, ale owszem, jest wdzięk i powab. Możemy pojąć, że tańcuje.

Idźmy jednak dalej. Uderzy nas najprzód, że wszystkie części ciała tej powabnej postaci, które oko nago widzi — ręce, ramiona, szyja, wyższa część piersi, — a według zaręczenia jej przewodnika, równie i te części, których oko nie widzi, pokryte są gęstym, tu krótszym tam dłuższym, czarnym, jak jedwab' delikatnym włosem. To pierwsza osobliwość. Komu się tak być zdaje, niech powie brzydkość. Ja wyznam szczerze, że żadnej w tym delikatnym poroście brzydkości nie znalazłem. Owszem, osobliwość ta miała pewien powab dla mnie. Kobiety mają w tym punkcie inne może uczucie. Słyszałem przynajmniej kilka lat temu, starą jedną pannę, która z wód ostendzkich wracała, opowiadając, że tam się dopiero kąpiąc przekonała, jak mężczyźni są brzydey, i że Bogu dziękuje, że za męża nie poszła. Istotnie dotąd nie poszła. Czy dla tej przyczyny, wątpię. Sama zresztą ma dość znaczny wąsik pod nosem. Może on trzyma mężczyzn w odaleniu. Bo są i mężczyźni, nawet całe narody, Turcy np. którzy włosów nie lubią. Wszysej jednak jesteśmy, kobiety i mężczyźni, włosami porośli. Porost ten tylko u Pastrapy jest wszędzie gołemu oku widomy i pod gładzącą ręką czuć się daje. Nigdzie jednak nie jest tak gęsty, aby koloru ciała nie było przezeń widać.

Kolor ten jest żółtawo-brunatny. Dłoch, pedzwa, stopy i pierś sama, wolne są od włosów. Natura więc co do tej ostatniej części nie popełniła błędu przeciw jej przeznaczeniu. Najsilniej i najgęściej porosła jest twarz i głowa, pierwsza prawie tak jak u małpy.

Głowa w ogóle Julii Pastrany jest największą osobliwością, powiedzmy otwarcie, największą potwornością jej osoby. Dla głowy tej nazwano ją w Ameryce „nieopisalną.“ Rzeczywiście niepodobna co do tej części dać o niej zupełnego wyobrażenia ani w najszczegółowszym opisie, ani w najwierniejszym rysunku. Oto ważniejsze szczegóły i cechy.

Głowa Julii Pastrany nie ma nic wspólnego z głowami wszystkich znanych ras ludzkich na świecie. Nie jest to głowa ani indyanki, ani murzynki, ani hotentotki, ani malajki, ani chiniki, ani mongolki, ani lapenki, ani europejki, ani głowa orangutana, a jednak zdaje się jakoby była kwintesencją wszystkich tych głów, a oprócz tego miała jeszcze swoje właściwe cechy, które żadnem znajomem fizycznem prawem nie dadzą się wytłumaczyć. Głowa ta ma wszystkie części, które do głowy należą, ale każda z części tych ma coś stanowczo odrębnego w swojej formacyi lub kształcie. Czaszka, zamiast cienką skórką, pokryta jest tłustą, na przeszło pół cala grubem mięsem, z którego wyrasta gęst, nabity las przesiłicznych czarnych, miękkich, gładkich, długich włosów, według najnowszej mody uczesanych.

Czoło jest niskie i pochyle. Oczy czarne, oprawa regularna, podłużna, powieki trochę nabrzmiałe, wyrażają łagodny, miły, głęboki, brwi grube, pęczkowate, rzęsa długa, gęsta, czarna. Nos szeroki, spłaszczony, od korzenia aż do końca miękki jak mięso lub gębka, zdaje się niemieć żadnych chrząstek i da się na obie strony przekładać. Uszy grube, podłużne, i równie jak czoło, nos i cała twarz gęstymi włoskami porośnięte.

Szezęki sterczące naprzód, prawie całkowicie jak u orangutana. Z nich wyrastają i wychodzą na przodek gęby jakby dwa walce czerwonych dział na palce grubych, które gębę bardzo wielką czynią, i zmuszają usta, same w sobie dość grube, nie mogące ich pokryć, do odwracania się, przezco są podobne do ust marzylskich. W wyższem działle niemasz na przodzie żadnych

zębów, widnie tylko w oddaleniu od siebie końce jakby dwóch kłów, są jednak zgby trzenowe. Rzęd dolnych zębów na przodzie nadwypięty, w tyle jest zupełny, i ma ładną formacyą. Gęba wraz z całym otoczeniem swém, jest nie do pojęcia brzydka, tak że patrząc na nią, niepodobna uchronić się od mdłości.

Język nie ma sobie równego, ani u ludzi ani u zwierząt. Jest to spory, bezkształtny kawał miękkiego, wąskiego, czerwonego mięsa, podziurawionego nakształt gębki, lub porośłego jakby grzybkami, lub posiekanego jak bifstek niemiecki. Zdaje się, że chrząstek w nim nie ma żadnych, a więc i mocy do przerabiania pokarmu. Jest nadto tak głęboko osadzony, że do przodu gęby nie dosięga.

Co wreszcie najprzód wpada w oczy, i najwięcej odznacza tę osobliwą i potworną fizyonomią Julii Pastrany, jest to zupełny, bujny zarost policzków i brody tak jak u mężczyzn. Włosy nie kędzierzawią się, lecz spływają gładko długimi kosmykami na dół, najdłużej i najgęściej po obu stronach policzków i w samym środku brody. Porost na wierzchońnej wardze jest krótki, tak jak na reszcie twarzy, dlatego wąsów właściwych nie ma. Julia Pastrana ma lat 23, jest 4 stopy 6 cali wysoka, i waży 112 funtów. Taką jest zewnętrzna fizyczna jej postać. Co się tyczy jej pokarmu i napoju, je wszystko i pije, ale najwięcej lubi chleb, ciasta, owoce, mleko i wodę.

Mając tak osobliwą istotę przed sobą, która nas mityzowała do wierzenia, że drugiego podobnego egzemplarza nie ma w stworzeniu, ciekawi jesteśmy dowiedzieć się od anatomów i fizyologów, jaki może być jej początek, jakie pochodzenie? Na to pytanie nie odbieramy zadowalniającej odpowiedzi. Jedni uważają ją za bekarta, spłodzonego z człowieka i małpy; i przyznać trzeba, że na tę myśl wpada każdy co pierwszy raz Julią Pastranę ogląda. Jest to teoria lorda Monboddó, który twierdzi, że człowiek z małpy powstał, że ogon zniknął powoli przez tarcie (donoszono niedawno temu, o przybyciu ogoniastego człowieka do Medei w Afryce), że tożsamo stało się z włosami, że wreszcie głos pierwotnie niemowny, wykształcił się z czasem w miarę potrzeby i zdolności na mowę. Głębsi badacze nauk

przyrodzonych, śmieją się z tej teorii. Pomiedzy człowiekiem a zwierzęciem, wedle ich zdania, jest zupełny przedział i niczem niezapełniona otchłań, niemasz pośredniego, łączącego zwierzca pomiędzy człowiekiem a małpą, chociaż jest taki węzeł pomiędzy rośliną a zwierzęciem; wreszcie płód bąkarci pomiędzy człowiekiem a małpą i w ogóle zwierzęciem jest w naturze niemożliwy.

Julia Pastrana ma więc początek ludzki, i należał z ciałem i z duszą do rodzaju ludzkiego. Ale może stanowi osobną, odrębną, nieznaną dotąd rasę? rasę początkową, pierwotną, z której się ród ludzki rozplodził, i na inne kształtniejsze i doskonalsze rasy w postępie czasów rozwinął i podzielił? — rasę dziś wymarłą, z której się ten jedyny egzemplarz Julii Pastrany pozostał? Pytania tego rodzaju łatwiej stawiać, niż na nie odpowiadać; łatwiej na nie odpowiadać niż odpowiedzi udowadniać. Należą one do historii stworzenia świata i człowieka, nauki, w której dotąd, nie uwłaczając naturalistom, więcej hipotez niż prawd.

Najpodobniejszemu do prawdy jest przyjęcie, że Julia Pastrana jest potwornym plodem plemienia Indian, zwanych „kopaczami“ (od kopania korzonków, którymi się żywią), mieszkającego dotąd i żyjącego sposobem zwierząt w Meksyku, w górach Sierra Madre, gdzie Julia Pastrana była znaleziona.

Historia znalezienia jej taka. W roku 1830, poszło kilka Indianek z Kopali kąpać się do stawu, leżącego w okolicy pod samemi górami. Powracając do domu, postrzegły, że jedną z towarzyszek brakowało. Wszystkie usiłowania aby ją odszukać, były nadaremne; domyślano się, że się utopiła. W sześć lat później, pastorz jeden, nazwiskiem Ranchero, szukając zbłąkanego bydła swego w górach, posłyszał głos ludzki wychodzący z skalistej pieczary. Idąc za nim, znalazł kobietę i zabrał ją z sobą. Była to owa zgubiona Indyjanka! Ona opowiadała, że się była zbłąkała, że się dostała na góry, że tam wpadła w ręce innemu plemieniu Indian kopaczy, które ją przez cały ten czas aż do tej chwili trzymało w pieczarze. Zaręczała, że nie jest matką dwuletniego dziecka, które miała przy piersi, że je znalazła, lecz że je bardzo kocha. W opowiadaniu tém

obudzała podejrzenie ta okoliczność, że miejsce, w którym opowiadająca była znaleziona, było o jakie sto mil od wszelkiego mieszkania ludzkiego odległe, i że leżało w okolicy, w której przebywały niezliczone gromady małp, niedźwiedzi i pawianów, jedyni jej mieszkańcy. Dziecko zostało ochrzczone i dostało imię Julia Pastrana, a gdy domniemywana matka jego w kilka lat potem umarła, pozwolono mu pełnić służbę domową w rodzinie Don Pedra Sanchez, gubernatora miasta Ulloa, gdzie zostawała aż do roku 1854.

Tam się nauczyła wszelakich robót domowych, prać, prasować, szyć, haftować i t. d.; tam się nauczyła doskonale po hiszpańsku i po angielsku; tam się nauczyła grać i śpiewać w obu językach, mając wyborny słuch i pamięć, oraz głos sopranowy przyjemny i pełny; tam się nauczyła tańcować wszystkich w modzie będących tańców, mając ku temu i prześliczną nóżkę, i zgrabność i lekkość i gracyą; tam się nauczyła rozsądnie i porządnie myśleć, mówić i sądzić, a nawet być dowcipną; tam jednem słowem nauczyła się zwyczajów i obyczajów, pracy i sposobu życia świata cywilizowanego; a co najważniejsza, tam nauczyła się czcić Boga chrześcijańskiego, być pobożną, skromną, miłosierną i cnotliwą. Cóż, pytam się, zna i umie i czyni więcej dumna córka cywilizowanej rasy europejskiej? Czy ma najmniejszy powód brzydzić się nawet duchowo istotą Julii Pastrany; i wyrzucać ją jak wyrodka z rodu ludzkiego?

W roku 1854 spowodowano ją, aby się udała do Zjednoczonych Stanów Ameryki, i pokazywała się za pieniądze. Doradcy i opiekunowie jej ciągnęli samy zysk z tego przedsięwzięcia, a nadto źle się z nią obchodzili. Oddała się więc pod opiekę teraźniejszemu swemu przewodnikowi, bardzo łagodnemu i uprzejmemu człowiekowi, panu Lent, w którego towarzystwie zdaje się być szczęśliwą. Z nim zwiedziła Amerykę, Kanadę, Anglią, a opuściwszy Berlin, zwiedzać będzie inne stolicy Europy. Może, że i do Krakowa w kostiumie krakowianki przybędzie. Polecam ją wam jej własnym śpiewem:

„Przez słone wody przybywam, dziwnie ukształcone dziecię; z Meksyku dolin, tak samotnych i dzikich; ale i z urodzajnych łąk, gdzie mieszkają śpiewaki skrzy-

dlate, i wiecznie paszosa niezwiedły lśó. Żyłam w górach, przebywałam w pieczarze, daleko od ojczyzny dobrych i myślących ludzi. Jadłem mojem było ziele z nadbrzeża ciemnej rzeki, napojem ów najczystszy, który natura daje.“

„Opuszczałam on pusty łąn, którego ani rydel ani plug nie uprawia; przebiegłam Kanadę i zachodnie państwa, kraje niewolników i wolnych, gdzie tysiące mię słuchały z radością i rozkoszą. A teraz jestem w Anglii, klejnocie wysep, aby sobie zasłużyć na równą łaskę i względy. Będę się starała podobać i tańcem i śpiewem; a gdy daleko ztąd będę, będę sobie wspominała o doznanej dobroci.“

Lecz gdyby kto znalazł się, co ujęty tylu wdziękami i cnotami Julii Pastrany, chciałby oddać jej serce swoje i rękę; to niech posłucha głosu jej tęskniącego za kochankiem:

„Kto mię chce mieć za towarzyszkę życia? Poglądam za mężami, co szukają żony. Powiedz, chceszli mieć mię za pewną i szeszerą przyjaciółkę? Kto mię chce pojąć? Nie będziesz żalował wyboru, któryś zrobił, ani dnia, w którymśmy się poznali. Umiem śpiewać, umiem grać, umiem szyć, umiem haftować. A czego nie umiem, mogę się nauczyć.“

„Kto mię mieć chce w szczęściu i nieszczęściu? Pięlegnować cię będę i dobra twego strzedz będę! Będę przy tobie w szczęściu, i wytrwam przy tobie w nieszczęściu. Pójdę za tobą w świat daleki. Kto mię chce pojąć? Lękam się, o najdroższy, abym nie zwiędła i nie umarła starą panną. O powiedz mi, chceszli pojąć mię? Zdecyduj się i oznajmij kilku słowy wyrok swój twojej Julii.“

Kto pokaże się mężem, wysłuchawszy głosu tego, może być pewnym, że w nagrodę włoży mu konferencya paryska koronę rumuńską na głowę! Biedna Julia Pastrana!

Paryż w listopadzie.

Zamiast posyłać ci długi rejestr nazwisk znanych, a których złożone koczujące hordy ziomków naszych obecnie w Paryżu goszczące — zamiast pisać o nich noty psychologiczne albo szkice obyczajowe, z którychbyś się nie nowego nie dowiedział, bo Polak swoje zalety i wady wozí z sobą w podróżnym tłomoczku, a chociaż wiele zapomniał, niczego się nie nauczył — zamiast powtarzać tysiąc razy powtórzone iprzez licznych korespondentów uwagi moralne, natehn one wielkimi kawiarnianemi, bulwarowemi i teatralnemi spostrzeżeniami — zamiast malować ekstrawaganokie toalety dam, spodnie o trzydziestu sześciu falbanach, junackie pamele, beczelnie gorsujące twarz kapelusze, koronki dziś używane zamiastmiotel do zamiętania chodników, dyamenty urągające biedzie — raglany, dogkarty, i t. d. słowem, wszystkie te bogactwa i nędze w które obecnie obfituje Paryż przepelniony cudzoziemcami, — darujęś mówię, że zamiast pisać o tém wszystkiém, nie czując ochoty do gadania o tych splendorach, zajmę cię jedną tylko książeczką, nie świetną, ale serdeczną: *Ostatniemi piosnkami Berangera*, których pojawienie się jest, zdaniem mojem, jedynym wypadkiem tego miesiąca zarówno z liści jak ze zdarzeń оголоconego.

Książka o której mowa, wydana wczoraj, a dziś już we wszystkich znajdujaca się rękach, — bo ją nawet ludowi sprzedają na ulicy rozsypaną na susowe świstaki — składa się z dziewięćdziesięciu dwóch piosenek, podzielonych na siedm działów, obejmujących siedemnaście lat życia poety, od 1834 do 1851 roku. Pierwsza epoka od 1834 do 1838, zawiera dwadzieścia jeden piosenek; druga, trzechletnia, dwanaście — trzecia, jednorooczna, piętnaście; czwarta, dwuletnia, tylko dziewięć, ale prześlicznych; piąta, jedynaście; szоста, od 1844 do 1847, sześć; siódma, od 1847 do 1851 siedemnaście, z których ostatnia jest rozrzewniającém pożegnaniem Francyi.

Wszystkie utwory w tej pośmiertnej edycji zawarte, dorównywiają dowcipem młodzieńczym piosenkom Berangera, a jeżeli skutkiem zmiany okoliczności, nie mają

donośności tamtych, to przewyższają je artystycznym obrobieniem.

Na czele dzieła znajduje się pełna nieudanej skromności i głębokich myśli przedmowa autora, pisana jeszcze w 1842 roku. Przedmowa ta, tak uderza swą jasnością, a mianowicie też owym najszacowniejszym darem niebios, rozsądkiem, którego żaden sofizmat nie wypaczy, żadna formułka nie zagwoździ, a żaden przepis nie nada — iż bez wahania przytaczam tu z niej parę ustępów, które każdy zdrowy umysł zrozumie i podzieli.

Ustęp do swych ostatnich pieśni Beranger zaczyna temi słowy:

„Oto piosneczki mojej starości: zapewne przybędzie ich nie wiele od dzisiaj do dnia ich publikacyi, która dopiero po mojej śmierci nastąpi.

„Drukując tom piąty moich poezyj, oznajmiłem zarazem, że już więcej wierszy nie wydaję. Mimo nalegań przyjaciół, jak również wyroczni naszej literatury, które mnie wymownie do wydania tego ostatniego tomu namawiały, nie mnie nie kosztowało dotrzymać sobie słowa i zachować go w tece.

„Całe życie nie cierpiałem ulicznego hałasu i wraskliwej sławy. Zapewne nie byłbym porzucił tak nagle literackiego zawodu, gdyby pisarz mógł na dwie części podzielić życie: dać publiczności prace swoje, a sobie siebie — gdyby, jak Sozysusz, mógł powiedzieć: jeden ja spaceruję po ulicy gdzie mu klaskają, a drugi ja patrzy na niego z okna, nieznany i nie witany przez przechodniów. Ale to być nie może — mianowicie jeżeli autor broni interesów ludu, w epoce, w której polityka codzień lustruje swe bataliony, i tem samem znana być musi tak przez wodzów jak przez żołnierzy.

„Zresztą, żyjemy w czasach arcy publicystycznych; wielkie korzyści jakie ztąd wynikają, ciągną za sobą pewne niedogodności. I tak na przykład, dziś każdemu wydaje się, że ma prawo drukować listy człowieka umartwionego sławą, nie spytawszy go o pozwolenie, — robić z pamiątki, a nawet często nie widziawszy go nigdy, jego popiersia i portrety, na to żeby je wystawić na widok publiczny. Jeżeli, broń Boże, ów sławny, ma przyjaciela dziennikarza — ten znajduje w nim niewy-

czerpany przedmiot do feletonów—nie nieboraka w kolumny, i sprzedaje go po tyle a tyle od wiersza — tak że w końcu nieszczęśliwy autor, jego życie domowe i najmilsze nawyki, stają się przedmiotem pogadanki próżniaków. — I chociażby kto jak ja zabezpieczył się wcześniej przeciw natrętnej sławie, dzięki tym mnogim rewelacyom, nie znajdzie już dość odludnego kąta, gdzieby go ktoś palcem nie wytknął.

„Po ich geniuszu, najwięcej zazdrościłem wielkim pisarzom z czasów Ludwika XIV tego cienia w którym chowali skromne swe istnienie; nie dzwoniąc ustawicznie swém nazwiskiem, umieli oni żyć w ciszy, która u nas tak prędko po oklaskach następuje. Jeżeli który z nich był żonaty, nie dziwił się wcale, że żona jego ani dzieci nie znały nawet tytułów dzieł wyszłych z pod jego pióra; żywot niektórych z tych wielkich mężów był tak nieznan, że historycy z wielkim żalem handlarzy biografij, w dziesięciu wierszach zamknąć go musieli.

„Do powyższego widzenia tych rzeczy nie doszedłem bynajmniej przez filozofię—winienem je całkowicie miłości swobody; kto wie, jak silne było we mnie to uczucie, ten zrozumie, iż musiałem być szczęśliwy żegnając się z publicznością w 1833 roku.“

Autor powiada dalej, że prócz wstępu do sławy, inne jeszcze względy skłoniły go do milczenia. Jednym z najważniejszych był ten, że jak twierdzi, nie zawsze jest pora pisania piosnek; mianowicie też piosnki polityczne są straszną hronią, ale jęj ostrze tępi się prędko i tylko w spoczynku stali się na nowo; że aby piosneczka przyszła w porę, musi mieć wybór pomiędzy dwoma wyraźnemi obozami i namiętnościami grającemi mocno. Czas Restauracyi, mimo sądów i więzień, był najprzyjaźniejszy dla piosnek politycznych; z upadkiem starszej linii Burbonów długi spoczynek pieśni był konieczny.

„Wtedy, powiada Beranger, lud patrząc na nasze drobne a cheiwe ambicje, odczarowany względem wielu których czcił jak bożyszcza, prawdziwy lud, dla którego i z którym śpiewałem, skazany na niewierzenie w nic i nie kochanie niczego — usunął się z widowni politycznej i stanął na uboczu, jak bezstronny sędzia przysięgły, mający być kiedyś zawezwany do solennego o-

rzeczenia o długich rozprawach naszej adwokacko-kupieckiej epoki. W takim stanie rzeczy kogóż zajmie piosneczka?...

...Prócz tych, jest jeszcze trzeci, może najważniejszy powód mego milczenia. Francya powinna pamiętać, że jej najwyższa chwała leży w tém, iż dokonała nie tylko wielkiej politycznej, ale olbrzymiej socyalnej rewolucyi. Rok 1789 stworzył nowe żywioły cywilizacyi, których rozwiniecie zbyt zaniedbane przez naszych rządów, kopistów przeszłości, stało się dziełem niezbędnem. Otóż do zaszczerpienia tych zasad w narodzie, więcej zdaje mi się potrzebna nauka i filozofia, niż literatura i sztuki piękne. Te ostatnie ażeby znów były pożytecznymi, powinny czekać rozwiązania wielkiego problemu, to jest ustalenia porządku w równości. Jakież przyjęcie pozyskałby poeta, żeby na nutę burszowskiej piosneczki domagał się uorganizowania demokracji, tego tak ważnego dzieła, o którym sami republikanie tak mało dziś myślą! — Poeci błakają się teraz bez celu pomiędzy rozpoczętą budowlą a gruzami przeszłości; niechże więc nie zawadzają próżno — niech ustąpią pola uczonym i mędrcom, którzy przyjdą, jeżeli jeszcze nie przyszedli..“

„Te, i inne refleksye których nie wymieniam, nasunęły mi myśl rozpoczęcia prozą dzieła, celem którego miało być kształcenie klasy wyrobniczej. Chciałem w ten sposób zużytkować moją starość; ale niestety, nie na schyłku życia można sobie wyrobić nowy talent — ja zaś nie umiałem nigdy stworzyć książki, którejby sztuka obcą była. Zapewne trzeba mieć w sercu bardzo mało miłości dobra powszechnego, żeby je pod tak marną próżnostkę poddawać — czuję to — i oskarżam się — wybaczenie mojej naturze...“

„W mniej użytecznym celu przyrzekłem spisać notatki o kilku moich współczesnych — zrobiłem więc, napisałem nawet parę biografij. Ale wnet spostrzegłszy, że niepodobieństwem jest być dostatecznie świadomym życia drugiej osoby, przeto, zawsze sprawiedliwym dla ludzi różnych opinij, tak z powodu nieładu dokumentów, jakoteż możebnego zwrotu niedokończonych egzystencyj i z powodu słabostek które każdy malarz czuje dla ulubionych swoich wzorów — porzuciłem to trudno

zadanie, i zniszczyłem com był napisał. Jeżeli miło jest zbijać niesłuszne wyroki, jakże boleśnie, jeżeli dla prawdy potrzeba przygaszać promienie świetnego życia, którego cnota lub intelligencya nie mogła ustrzedz od zmayı — mianowicie też, jeżeli się ma przekonanie, i przekonanie głębokie jakie ja miałem, że obalać narodowe bożyszcza, jestto pracować nad demoralizacyą narodu.

„Zaniechawszy więc i tój pracy biograficznej, składałem dalej wierszyki — rzadko już i tylko dla siebie — ale zawsze z wielkiem staraniem i miłością. — Przeglądając piosneczki mojej starości, czytelnik przekona się że przynajmniej ich formie nic starość moja nie ubliżyła — bo nie ja, zaprawdę, mogłem kiedykolwiek holdować dzisiejszej tak zwanej *łatwej* literaturze, śmiertelnej nieprzyjaciółce owój dawniej, która była rozkoszą mego życia, i przez długie lata chlubą Francyi.“

Kończąc tę ostatnią relacyę o pismach i osobie Berangera, przytaczam ostatnią piosnkę którą pożegnał Francę — ten jój syn niewyrodny, a którą przed godziną już w ustach ludu słyszałem śpiewaną na żalospną nutę:

„*France, je meurs, je meurs; tout me l'annonce.*

„*Mère adorée, adieu. Que ton saint nom*

„*Soit le dernier que ma bouche prononce.*

„*Aucun Français t'aima-t-il plus? Oh! non.*

„*Je t'ai chantée avant de savoir lire;*

„*Et, quand la mort me tient sous son épieu,*

„*En te chantant mon dernier souffle expire.*

„*A tant d'amour donne une larme. Adieu! "*

„*Lorsque dix rois dans leur triomphe impie,*

„*Poussaient leurs chars sur ton corps mutilé,*

„*De leurs bandeaux j'ai fait de la charpie*

„*Pour ta blessure, où mon baume a coulé.*

„*Le ciel rendit ta ruine féconde;*

„*De te bénir les siècles auront lieu;*

„*Car ta pensée ensemence le monde.*

„*L'Egalité fera sa gerbe. Adieu!*

„*Demi-couché, je me vois dans la tombe.*

„*Ah! viens en aide à tous ceux que j'aimais.*

*"Tu le dois, France, à la pauvre colombe
"Qui dans ton champ ne butina jamais.
"Pour qu'à tes fils arrive ma prière,
"Lorsque déjà j'entends la voix de Dieu,
"De mon tombeau j'ai soutenu la pierre.
"Mon bras se lasse... elle retombe. Adieu!"*

Paryż czyni już przygotowania na przyjęcie nowego roku, Rosnący w oczach zbytek zarzucił już wszystkie sklepy wykwiśnięjszymi niż kiedy cackami i milionem wymysłów służących do zaspokojenia nowych potrzeb, dla większej części ludzi jeszcze bez znaczenia i nazwy. Ale właśnie tym sprzętom nieznanym, najmocniej przypatrują się chciwe nowości tłumy cudzoziemców, które z różnych stron globu zbiegły do Paryża, aby nie tylko zaspokoić znane zachcenia, ale poznać i zadowolnić nowe nieznanne żądze — chociażby przyszło dać za nie w zamian wszystko złoto przez rok z ubogiego kraju wysane.

Paryżki przemysł rozumiał też co od niego żądają; poczuł, że świat złotodajny, jak ów włoski monarcha, wyznaczył wielkie nagrody wynalazcom nowych rozkoszy — przeto wszystkie siły swoje wyteżył nie ku tworzeniu przedmiotów mających zaspokoić potrzeby wielkiej ludzkiej rodziny, ale kaprysy milionerów — stał się furnisierem zbytku. Koleje i telegrafy uczyniły zadanie jego możebnem. Wszyscy mieszkańcy globu nie przykuci do swej ziemi, tworzą już dziś jeden koczujący naród — a można przysiąc, że najdalej za pół wieku, ludzie na całym świecie jednako żyć i ubierać się będą; strojów i elegancji dostarczy im Paryż — praktyczności i komfortu uczyć będzie Londyn.

Tod już teraz nie ma kąta na świecie, gdzieby paryżka moda nie zawędrowała. Pan Edmund Chojecki w świeżo wydanej podróży swojej po morzach północnych, opowiada, że książę Napoleon chcąc poznać stroje narodowe, wyprawił na pokładzie swego okrętu bal, na który sprosił wszystkie damy Islandzkiej stołicy. Cała załoga pragnąc nakarmić oczy nieznanym sobie widokiem, niecierpliwie oczekiwała wieczora. Ale jakieś było zadziwienie żeglarzy francuzkich, kiedy przy rzę-

sistem światła gazu, nierzeli pogorszenie damy w balonowych spódnicach z falbanami!

Pokazuje się z tego, że krynotina wtargnęła już do kraju białych niedźwiedzi, a moda paryzka przetłómaczona przez kopenhagskie szwaczki, podbiła Islandyę. Gdyby mi kto powiedział teraz, że cesarz chiński przywdział paletot, a żony jego ubiera Alexandrina z bulwarów włoskich, wcalebym się nie zdziwił.

Prócz niezliczonych przyjemności dla ciała, kupcy paryzcy przygotowują także mnogie dla umysłu zabawki. Jednocześnie z odlotem jaskółek, pojawiły się mniej więcej bogato oprawne noworoczniki w nieprzeliczonej massie. Almanakowa literatura postąpiła niezmiernie od lat kilku; przysłowie „koncept z kalendarza“, zupełnie straciło już tu znaczenie — dziś, zgotowana w noworocznikach strawa, najlepiej przypada do smaku w powszechności. Każda professya ma swój osobny noworocznik. Prócz tych co jeszcze wyjdą, widziałem już almanak aptekarski, almanak portierski, ogrodniczy, rolniczy, żołnierski, bursowy, cywilizatorski, urzędniczy, komieczny, profetyczny, lunatyczny, bachiczny, magnetyczny, fantastyczny i t.d. i t.d.

O innej literaturze w tej chwili nie ma mowy, jak również o nowych utworach scenicznych. Obecnie teatr paryzkie żywią publiczność samemi otrębkami, które pod piórem krytyków zmieniają się w marcypany i najprzedziwniejsze konfekta.

Ach! paryzka krytyka! śmiech mnie bierze na samo wspomnienie tej bezczelnicy.

Falszywa krytyka jest dziś najniebezpieczniejszą chorobą paryzkiego dziennikarstwa; ona to wprowadziła weń kłamstwo, uwielbienie sławnych, a biczowanie nieznanym autorów — ona to rzuciła seletony pod nogi aktorek i możnych głupców. Falszywa krytyka stała się w Paryżu rzemiosłem, i dzieli się na dwa obozy: niegrzecznych i grzecznych indyferentów. Pierwsi walają, szarpiają, niszczą, kasają wszystko, jak młode psy których zęby swędzą — ci nie są szkodliwi, wiesz przynajmniej czego się z nimi trzymać. Drugi są niebezpieczniejsi, bo hipokryci. Ci, umiarkowani, słodkimi, budzącym zaufanie tonikiem, chwala wszystko bez wyjątku. Ale biada temu, co zawierzywszy ich słowu, pój-

dzie na przedstawienie wielbionej sztuki — niezawodnie przeklinie ich w duszy sto razy i sto razy pożaluje wydanych dwunastu franków. A jeżeli nazajutrz owa ofiara feletonowej grzeczności, wyrzuca autorom, że pisząc owsianym cukrem rozmoczonym w letniej wodzie — patrząc nań jak na raroga, i odpowiadają z uśmiechem: jakże chcesz żebym powiedział panu X. że jego sztuka nie jest warta, głupia i bez sensu? Jasna rzecz, że jeżeli to wydrukuję, obruszę na siebie nie tylko autora, ale wszystkich jego przyjaciół — nie będę mógł korzystać z jego stosunków, które podobno są rozległe.... *si s'était un homme de rien* — to co innego, ale tak, co mi potem? Czyż nie lepiej zbyć go komplementem, albo ogólnikami, które do niczego nie obowiązują, a sprawiają, że się człek nie naraża nikomu, o co przede wszystkim starać się winien, kto pragnie zrobić sobie pozycję i nigdy się nie skompromitować stojąc na warcie prawdy.

Oburzony tak cyniczną eksplikacją prostaczków, już na języku sto tysięcy argumentów na pobicie przeciwnika — ale wspomniawszy że daremnie przekonywał tych co nie grzeszą niewiadomością prawdy — połyka wszystkie, i dobrze czyni, bo by go jeszcze w dodatku wyśmiano.

Na czele tej cukrowej krytyki, która mnogich liczy adeptów, stoi Jules Janin — berło krytyki pieprzowej trzyma zawsze Mirecourt, dzielnie teraz popierany przez Monseleta, autora „*Lornetki Literackiej*.“ Jedni i drudzy zapisują przez tydzień foliały — ale właściwie mówiąc, krytyki w Paryżu nie ma wcale — o czym raz na zawsze wiedzieć powinien, kto nie chce żeby go bies po bezdrożach wodził, zanim jaka gwiazda sprawiedliwości zajaśnieje nad literackim horyzontem Francji.

Wszelkie oznaki ziemskie zapowiadają, iż nadchodząca zima będzie nader gwarna i tańcząca. W wielkiej operze, choć nigdy nędzniejszą jak teraz nie była, już wszystkie pierwsze łoża najęto po wyższych niż zwykle cenach — toż samo u Włochów. Rodziny przyjezdne które już pomieścić się nie mogły w tych dwóch świątyniach harmonii, liczą się na setki. Wiele dam cudzoziemskich zamierza otworzyć salony; pomiędzy temi, pierwsze zajmie miejsce salon wielkiej księżny Heleny,

wdowy po wielkim księciu Michale, która w Paryżu kilka miesięcy ma przepędzić. Uchodzi ona tutaj za bardzo liberalną damę, i niezawodnie najwyższe towarzystwo paryżkie do siebie przyciągnie.

Oznaki niebieskie także bardzo przyjemną zwiastują zimę; dotąd już darowała nam dwa miesiące. Październik i listopad, które zazwyczaj melancholicznie przy kominie przesiedzieć trzeba, zeszyły na przechadzkach i wachaniu kwiatów. Chociażby więc zima nie dotrzymała nawet obietnicy Babinetowi, którego podobno uwiadomiła telegrafem że dopiero za rok przybędzie — jużby ją i tak do najlaskawszych policzono. Daj Boże, żeby salonowy astronom, których jedynym szczęściem, pogodne niebo nad głową, a jedyną przyjemnością, jeżeli po ciężkim dniu pracy chodząc wieczorem wśród rześkie oświeconych ulic, mogą zajrzeć tam gdzie jedzą lub gdzie się bawią, i powiedzieć jak Don Cezar czytający miłosne listy hrabiego przed drzwiami gar kuchni:

*„Trompant l'estomac et le cœur tour à tour,
J'ai l'odeur du festin et l'ombre de l'amour!”*

Londyn w listopadzie.

Poczynam od wielce ważnej na pozór rzeczy, a która jak to często bywa, kończy się na owém: *Purturiunt montes, nascitur ridiculus mus*. Owe zawołane dzieło imperatorskiego pióra wydane przez Korfi: „O wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja I.” — o którym mieliście nieraz ztąd i z Paryża doniesienia, większego tu narobiło hałasu przed wyjściem jak po wyjściu z pod prasy. Głosy o jego ważności były to zwyczajne krzyki księgarskie, znane pod nazwą *puffów*. Na nich też cała jego sława się skończyła — dzieło niewytrzymało krytyki. Mało nawet krytyka chciała niem się trudnić; zraziły ją od razu byzantyński jego styl i wybiegi, i nadzwyczajna oschłość przedmiotu. I tak, pismo które miało na zawsze zostać pamiętném, już jest zapomniane — a co gorzej, że o niczem nieprzekonało. Przedmiot ten le-

plej i nierównie dokładniej z najdrobniejszemi szczegółami był od wielu lat już znany anglikom z dzieła *Revelations of Russia*, w którym krwawy dramat rewolucyjny przed palacem zimowym w Petersburgu, mistrzowskiem piórem znajduje się skreślony. Dzieło to wyszło bezimiennie, a autorem jego był kapitan Henningsen, znany mi osobiście pisarz znakomity. Wydał on później drugie polityczne dzieło: *Eastern Europe*, w którym także dotyka tych wypadków z roku 1825 i lat późniejszych. Opisał je także Turgerew (Turgeniew?) rosyjanin, w swem dziele: *La Russie et les Russes*. Rosyjanie sami nie są zadowoleni z ogłoszenia tego cesarskiego pamiętnika przez Korfa, jak to zobaczycie z listu hr. Gołowina ogłoszonego tu w *Athenaeum* dnia 14 listopada, który tu załączam:

„Dziwi mię mocno że tak ważne dzieło jak „Rosya i Rosyjanie“ wydane we francuzkim języku, niebyło dotąd przełożone na język angielski. A tém bardziej mię dziwi, jeśli cesarz Aleksander II je czytał, że upoważnił barona Korfa do ogłoszenia tak lichego pamfletu. Mikołaj Turgerew nie jest krewnym Jana Turgerewa pisarza „Opowiadań Myśliwego.“ Był on sekretarzem stanu za panowania Aleksandra I i za udział jaki miał w buncie roku 1825 skazany został na śmierć; lecz znajdując się właśnie wtenczas w Paryżu, uniknął szczęśliwie surowości śledczego komitetu wojskowego. Dzieło jego zawiera jak najwyraźniejsze zaprzeczenie twierdzeń jakie Korf objawia.“

Autór dowodzi w niem, że powstanie niebyło bynajmniej dynastycznem, lecz polityczném; że Aleksander I nadając konstytucyę dla Polski, wyraźnie objawił swą chęć, iż chciał również nadać ją wkrótce dla Rosyi; że powierzył Nowosilcowi wygotowanie zarysu do takowej ustawy dla krajów Rosyjskich, żądając aby zgromadzenia wyborcze wybierały po trzech kandydatów, z pomiędzy których rząd miał naznaczać jednego na reprezentanta. (Sam posiadam przekład angielski téj konstytucyi drukowany w *Portofolio*). Nota ówczesna przez Spersańskiego z polecenia cesarza Aleksandra I wygotowana, tyczy się także rozmaitych reform, które miały w Rosyi być dokonane jako przedwstępne do zaprowadzenia rządu konstytucyjnego. Roku 1765 cesarzowa Katarzy-

na II z okazji skarg wytoczonych na Wołyńskiego, zapisała te na wieki pamiętne słowa: „Zawsze to winą panujących, jeśli ich poddani nie są z nich kontenci.” Turgierew został ulaskawiony przez teraźniejszego cesarza i wrócił już do kraju. Hr. Golowin, który zajmuje się obecnie historią panowania Aleksandra I chce wspomnieniom Targierewa o Rosyi oddać obszerniej należną słuszość.

Sprawa indyjska nieprzestaje niepokoić anglików. Ufni jednakże w swe siły i niepowątpiewając, żeby powstanie niemialo być wkrótce uśmierzone, poczynają przemyślać nad środkami, aby na przyszłość wszelkim zaburzeniom skutecznie zapobiedz. O środkach politycznych i administracyjnych, jakie rzął w tym celu przedsięwzięcie, za prędko byłoby tu mówić, gdyż nie są one jeszcze wyraźnie oznaczone; nie oł rzeczy jednak będzie wspomnieć tu choć pobieżnie o projektach cywilizacyjnych. Jest ich dwa: Schrześcianienie Indyj, i zaprowadzenie języka angielskiego. Aby pierwszy z tych projektów, mający na celu zaszczerpienie chrześcijaństwa, przywieść do skutku, odbyło się bieżącego miesiąca zebranie duchowieństwa i wielu znakomitych osób, na którem arcybiskup Kanterburski przezydował. Na tém zebraniu uradzono: podwojenie liczby missyonarzy w Indjach; pomnożenie zakładów edukacyjnych, osobliwie szkółek elementarnych dla chłopców i dziewcząt; tudzież ustanowienie dwóch nowych katedr biskupich. Dotąd jedno tylko było biskupstwo anglikańskie w Kalkucie.

Co do drugiego zamiaru, czyli zangliczenia Indyan przez zaszczerpienie u nich języka angielskiego, taki podaje się do tego projekt: Zaprowadzenie do piśmiennictwa w Indjach 24 liter alfabetu rzymskiego jako powszechnie używany jest w Europie. Chociaż i grecki alfabet mógłby być użyty, jednakże niejest on ani tak kształtny ani tak czytelny jak łaciński. Wszystkie znówu wschodnie alfabety z swego składu odpowiadają bardziej potrzebom oligarchii uczonych, aniżeli potrzebom ludu, a przeto najmniej są przydatne do powszechnego użycia. Uczeni co zwiedzali kraje azyatyckie, jednozgodnie to przyznają, iż podczas podróży swęj niewidzieli żadnego krajowca czytającego pisma perskie lub sanskryckie z taką płynnością jak my nawykliśmy czytać w Europie. Główną

zaletą łacińskich liter jest ich kształt, że przez swą zwieżłość i połączenie lepiej wpadają w oko, aniżeli wszelkie inne znaki używane do wyrażenia różnych głosów narzeczy azyatyckich. Używanie głosek europejskich do pisania we własnym języku, obok nauki języka angielskiego, niemało przyczyni się zdaniem proponujących do zbliżenia krajowców do panującej rasy. Są w Indjach przestrzenie kraju większe od Anglii, a nieposiadające najmniejszego śladu pisanéj mowy; dla mieszkańców więc niemających własnego pisma, zupełnie obojętną rzeczą będzie, jaki rodzaj pisma u nich się zaprowadzi. Mieli Anglicy dawniejszy tego przykład na Walii i na północnej Szkocyi. Za przyjęciem tam alfabetu łacińskiego, mowa ustna celtyckich Cymbrów i *Gaelic* górólw Szkockich została w ciągu jednego stulecia pisaną mową. Przez ten jeden na pozór małoznaczący środek cywilizacyjny uratował się u jednych od zatracenia skarb pieśni bardów i podań walijskich, a u drugich zubożyła się literatura zabytkami sławnych pieśni Osyana. Czemuż toż samo nie mogłoby stać się w Indjach, i z podobnemiż może do tamtych następstwami. Anglicy zamierzając zaprowadzić tam alfabet łaciński i oraz język swój, niemyśla w ten sposób bynajmniej — jakby może kto rozumiał z przykładów jakie gdzieindziej widzimy — zacierać język krajowców; oni się tego nigdy nie dopuszczali, ani jako naród światły mogą się dopuszczać. Uszanowali język i zwyczaje w dawnych wyżej wspomnianych prowincjach, uszanują je także w Hindostanie. Jeśli pragną zaprowadzenia pisma europejskiego i znajomości swego języka w Indjach, pragną tego jedynie w tym celu, aby jednego i drugiego użyć mogli za środek nie zniweczenia tego co istnienia jest warte, lecz odrodzenia Indyj ile możności, na podstawie cywilizacji europejskiej.

Duch narodu angielskiego, jako u siebie tak wszędzie jest zachowawczym: nieniszczy; tylko rozwija, wykształca i doskonali.

Winienem tu zapisać parę słów z powodu nałożenia stępla na dzienniki w państwie austriackiem. Zapatruję się nań zupełnie ze stanowiska angielskiego. U Anglików znających się doskonale na ważności dzienników, i dla których one stały się powszechną potrzebą i nie-

mal drugim pokarmem, wiadomość o nowem zaprowadzeniu stępla nienajlepsze sprawiła wrażenie, tak że dzienniki tutejsze niechęć go wprost rządowi przypisywać, ale innym pewnym wpływom chwilowym. I w Anglii był stępel na dzienniki, były też opłaty od obwie-szczeń; dziennikarstwo angielskie pamiętając na nie i ile miało z temi opłatami kłopotów, niemoże jako na-czelne dziennikarstwo wstrzymać się w tym względzie od braterskiego współczucia dla współczesnego dzienni-karstwa na stałym lądzie. Walka trwała przez kilka lat, nim się parlament przekonał o niedogodnościach wynikających ze stępla, i choć niemący przynosił on dochód dla skarbu, bacząc na nierównie ważniejsze po-trzeby krajowe, którym dziennikarstwo przysługiwało, w końcu uwolnił je od stępla. Co zaś do opłat za in-seraty, które w tak handlowym kraju jak Anglia, muszą być liczne, a przeto jak się domyślać można, niemają także dochodu dla skarbu przyczyniały, bo wynosiły rocznie 200,000 f. szt. z okładem, te na żądanie same-go kanclerza skarbu przed trzema laty zostały zniesione; co nastąpiło nawet wbrew życzeniu większych dzienni-ków, zwłaszcza takich jak *Times* i innych, wychodzących w stolicy, które z inserat ogromną ciągnęły intratę, a nie na tym podatku do skarbu nie tracily, gdyż poda-jący do ogłoszenia inseraty, to jest publiczność, takowy opłacała. Przez zdjęcie z niej tego ciężaru rząd dogodził chciał różnym klasom ludności, i wielce przyczynił się do zaspokojenia z łatwością rozlicznych interesów nie tylko wewnątrz kraju ale i za krajem. Od tego czasu niecią-żyła i niecięży żadna opłata na dziennikach, a jeśli skarb publiczny ma z nich jaki dochód, to jedynie z opłat pocztowych za przesyłanie ich na prowincye, do kolonij Angielskich i do obcych krajów, bo miejsco-wi abonenci otrzymują swe egzemplarze od tak zwa-nych *newsenders* lub roznosicieli. Co więcej, w samém przyjmowaniu dzienników na pocztę uważano mniej na zysk jak na zrobienie wszelkiej w tej mierze dogodno-ści; nałożono na nie bowiem płacę tę samą co od po-jedynczego listu, to jest stępel jednego penny. Wiado-mo, jak ogromne są dziełniki angielskie, niema żadne-go coby nie wychodził na podwójnym wielkim arkuszu, a *Times* ma cztery takie arkusze. A więc jaką musi

ztać być dogodność, kiedy wszystkie te dzienniki mogą być przesyłane w najdalsze strony kraju za penny, to jest za opłatą pojedynczego listu.

Czasopisma, broszury i wszelkie inne pisma można także pod otwartymi opaskami w ten sam sposób pocztą za bardzo umiarkowane opłaty przysyłać. Oprócz tej małej opłaty na pocztę, którą niemożna zwać ciężarem lecz największą dogodnością, dziennikarstwo angielskie zupełnie jest wolne, niczem niekrępowane. Wolno wydawać pisma na jakich zasadach komu się podoba. Niema jak wiece cenzury, którą i rząd austriacki od lat kilku zniósł, niema składania kaucyi; niema nawet uprzywilejowanych od rządu organów urzędowych lub półurzędowych dzienników, o których obecne gazety tyle sobie marzą, i ztać najdziwniejsze wnioski wywodzą. Dziennik może być organem tej lub owej osoby, tego lub owego stronnictwa lub osób wyznawających pewne szczególne zasady, o których upowszechnienie im chodzi. I tak jeśli dziennik *Press* przyznaje się D'Israeliemu, *Morning Star* Cobdenowi a *Globe* Palmerstonowi, to dla tego, że pierwszy jest najwierniejszym tłumaczem zasad dzisiejszych torysów; drugi zasad manchesterskiej szkoły pod znaną chorągwią Cobdena, Brighta i innych kwakrów; a trzeci dziennik, że staje najmocniej w obrobie systematu rządu mającego Palmerstona naczelnikiem. Nie jest on osobistym, a mniej jeszcze płatnym organem przez tego ministra ani przez rząd; lecz właściwie tylko organem nosobionego w nim rządu. Niema w Anglii ani rządowych ani półrządowych dzienników; żaden taki wydatek niepodaje się w rocznym budżecie. Ta dystynkcyja o ich urzędowości i nieurzędowości weszła się z obcych krajów, gdzie rzeczywiście istnieją. *Morning Post*, który najczęściej cytowany jest w zagranicznych pismach jak półrządowy, najmniej tu bywa czytany, z innych atoli przyczyn, a nie z laskawości rządu spadłej na niego. Żaden dziennik nieutrzymałby się długo gdyby był płacony przez rząd. Każdy chce być tylko narodowym, aby był sobie zapewnić.

Żaden minister niezdolałby ani chciałby ponosić osobiste nakładu druku osobnego dziennika, bo organ płatny odstręczyłby od siebie czytelników. Najwięcej czytane dzienniki znane są oraz z swęj zupełnej niezawis-

ślepsi, niemające względu na nic prócz na prawdę. Między takowemi naczelne bez zaprzeczenia trzymają się: *Times*, *Daily News*, *Morning Advertiser*. Z nich jako najsilniej skupionych w sobie, można najlepiej poznać tak charakter jak uczucia narodu angielskiego, i oraz ocenić ważność dziennikarstwa.

Jak dalece dzienniki angielskie w stosunkach swych z rządem, zostają na równi, przytoczę na dowód jeden przykład. Zdarzenie to wcale świeże. Zwyczajem jest rządu, że za odebraniem wiadomości z Indyj robią się kopie telegramów i rozsyłają do dzienników. Zdarzyło się przeszłego tygodnia, iż z wydziału lorda Clarendona kopia jednego z takich telegramów nie była przesłana do redakcyi *Morning Star*, dziennika najmniej znaczącego, sprzedawanego za penny. Wydawca pisze natychmiast list do lorda Clarendona, ze skargą na uchybienie. Odbiera od sekretarza odpowiedź: „Kopie telegramów będą odtąd dyrekcyi *Star* przesyłane.“ Z tych słów, nieznając okoliczności, mógłby kto myśleć, że *Star* został nowym dziennikiem rządowym, a przeciwnie dziennik ten z taką ślepą zapalczywością ciągle bije na rząd, że zyskał ohydny przydomek „nieangielskiego.“

Dzisiejszy świat materyalizmu ma równie swe znakomości, jak świat bohaterski ma swych Lawrenców, Neillów i Haveloków, a bieg ich życia niemniej jest zadziwiający. Do rzędu takich znakomości należał James Morrison. Przybył piechotą jako młody chłopiec do Londynu, a został jednym z owych wielkich kupeców, co to ich nazywają „Merchant Princes;“ przybył do stolicy z czterema pensami, a umarł zrobiwszy cztery miliony majątku. Co zaś mu pomogło do dorobienia się tak ogromnej fortuny, to zdrowa rada, jak sam o tem powiada, jaką mu matka jego, uboga wieśniaczka, puśczającemu się w świat bez sposobu do życia przy pożegnaniu dała: „Synu strzeż się nadewszystko byś nie zrobił długów.“ Przestroga ta tak mocno utkwiała w jego pamięci, że chcąc polecenie matki wiernie dopełnić, żył jak mógł z tego co sobie zarobił. Przyjęty na posługacza w kupieckim sklepie, wypełniał dawane mu rozkazy cierpliwie i pilnie; z posługaczem został czeladnikiem; z czeladnika współnikiem (partner) handlu; ze współnika zięciem kupca swego pryncypała p. Todd, nako-

niec kupcem na własną rękę i pod własną firmą w Oity. Odtąd królewska droga otworzyła mu się do samych ołtarzy bogini fortuny i do obywatelskich zaszczytów. Niedługo obrany został na członka parlamentu, gdzie każdy liberalny wniosek, wolny handel i różne reformy znajdowały od niego poparcie. Obeznanie się gruntowne z szczegółami każdej gałęzi handlu, zjednało mu w kompaniach kupieckich i u rządu wzięcie, a dla uczonych był wyrocznią prawie w swym fachu. P. Mac Culluch znany pisarz wielu dzieł o ekonomii politycznej i statystyce, w ciągłych z nim był stosunkach, i wiele korzystał z jego postrzeżeń i rad w wydawaniu swych licznych publikacyj. On sam nawet wydał jedno z ważnych pism o finansowości angielskiej, które ma się odznaczać gruntownością, i czyni mu zaszczyt.

Upodobanie miał w pięknych sztukach i malarstwie: utwory pierwszych mistrzów za wielkie sumy nabywał. W podeszłym wieku, bo umarł 68 lat mający, usunął się od handlu, a zakupywał dobra ziemskie i posiadał je prawie w każdym hrabstwie. Pomimo że właścicielem był ogromnych majątków i kapitałów w bankach krajowych i znacznej ich części w Ameryce, życie jego było skromne, wstrzemięźliwe, nacechowane pierwotną prostotą. Mówią nawet o nim, że zostawał w pewnym stanie illuzyi, że gdyby niezarabiał na życie umarłby z głodu; i był czas kiedy piechotą do jednej fabryki chodził, aby odbierał dla siebie płacę robotnika 1 f. szt. na tydzień. Podzielił cały swój majątek pomiędzy swych krewnych i jak mówią z wszelką sprawiedliwością w podziale. Otóż jak się przychodzi do majątku, kto go nie ma a jest młody. Najprzód nierobieniem długów, pracą i oszczędnością: James Morrison przedstawia wzór uczciwego milionera. Niczyjéj fortuny on na szwank nienaraził, nikogo niezrujnował; owszem wielom jak ci co go bliżej znali mówią, dopomógł do lepszego bytu. Pokazał że można zostać bogaczem a nie być oszustem. Jak różny on od téj zgrai szulerów bursowych, lichwiarzy i różnego rodzaju spekulantów i projekciarzy, którzy by się sami bez uczciwéj pracy zbożać, tyle cudzych fortun za lat ostatnich porozbijali.

GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Zazwyczaj przed Nowym Rokiem powiększa się czynność drukarni i litografii wtenczas bowiem oprócz kalendarzy i almanachów przygotowują się jeszcze książeczki dla dzieci w ozdobnych okładkach z ładnymi obrazkami a nieosobliwą treścią. Wszystko to bardzo dobre na prezenta noworoczne, które naszechniają u nas wchodzić w modę; co nie jest złym swyczajem, gdyż zawsze lepiej coś ofiarować jak nie, a książeczka zawsze pożyteczniejsza, bo zachęca do czytania i myślenia niż zabawka okazana w półgodziny na zepsucie. — Za granicą fabrykacja dziecińczych książek odbywa się na wielką stopę; u nas, krom Warszawy, handel ten żywi się po największej części zagranicznymi wyrobami. Jest to więc w interesie księgarzy aby pomyśleli o swojskiej produkcji mo-

gącej ten brak zastąpić. Księgarz krakowski Juliusz Wildt, wpadł już na ten pomysł i wykonał go wydając na noworoczne wianuszki dla dzieci książeczkę: *Dzieci i święta domowa*. Ze tylko w jednej części go wykonał, to jest dając tekst polski, a obrazki pięknie litografowane sprowadził z zagranicy, dowodzi tylko jakie jeszcze trudności towarzyszą podobnym przedsięwzięciom. Spodziewamy się że przy doskonałości Litografii Czasu takie obrazki będą mogły wykonywać się na przyszłość w tejże litografii, a tym sposobem i ta gałąź księgarskiego handlu przyjmie się na naszym gruncie. Powyższa książeczka podając powiastki o zwierzętach uczy dzieci jak się z nimi obchodzić, a nawet jak z ich przymiotów korzystać. —

— W Wydawnictwie katoli-

okim znawa wydał W. Wielogłowski nowy obrazek: *Kucharki* jest to wyborna i z wielką znajomością przedmiotu napisana książeczka; która nie jedną panią domu oświeci przez wykrycie oszukaństw jakich się dopuszcza ten rodzaj służby, a i niejedną kucharkę naprawi, gdy się zastanowi nad smutnym losem jaki niewierne służki spotyka. — Idzie tylko o to aby się ta książeczka do ich rąk dostała.

— Litografia: *Czasu* przygotuje na nowy Rok Ilustrowany Chromolitograficzny Kalendarz W pięknie skomponowanych ozdobach gotyckich mieszczą się z najłepszych miejscowych zabytków wzięte figury świętych patronów naszych; jak: ś. Wojciecha, i Stanisława — dwie te figury stoją po bokach. Na samej górze wizerunek N. Panny Częstochowskiej mającej pod spodem widok klasztora Jasnogórskiego; trochę poniżej kłęczy po jednej stronie ś. Jacek Odrowąż, po drugiej ś. Bronisława — a samego epodu wspaniały widok na Zamek Krakowski od strony Zwierzyńca. Układ tego kalendarza z tak stosownymi emblematami katolickimi, odpowiada awemu przeznaczeniu; tem więcej, że wszystkie są to zabytki miejscowych świętości tak drogiej sercom naszym.

— Z drukarni Budweisera i Spółki wyszedł pierwszy Zesztyt dzieła: *Historja Kościoła Ruskiego* księdza Fr. Gusty — dzieło to ma zawrzeć cztery zeszyty. Jest to tłumaczenie z włoskiego; szkoda tylko że niedopełniło nowemi poszukiwaniami, ani sprostować uwagami w tych miejscach gdzie cudzoziemski autor trzymał się niekoniecznie poważnych źródeł.

— Niedawno wyszła nakładem i drukiem Józefa Czecha pięcio-

aktowa, oryginalna, wierszem napisana tragedja pod tytułem *Flitip II* — autorem tej tragedji jest p. Franciszek Jakubowski, którego poetyczne utwory pojawiały się niegdyś w pismach czasowych, między innemi w *Paszczetce* Krakowskiej. —

Lwów. Drukarnia Zakładu imienia Ossolińskich wydała trzeci tom Słownika Lindego. Czwarte zaś tomu ma być wybitych już dwadzieścia kilka arkuszy. Mamy przeto nadzieję że ta obszerna publikacya skończy się najdalej w półtora roku.

Biblioteki Lwowski wydał wczoraj przez Pillera i Stupaickiego wyszedł nowy zesztyt: *Kobieta* czyli *Historja Ży i śmiechu* oryginalnie napisana przez Juliję G. — Nakładem zaś H. Stupaickiego wyszedł poemat Romana Zmorskiego: *Wielka Siedmna Wodów*, pieśń z podania. Jest to druga edycya tego przed kilką laty wydanego poematu.

Warszawa. Treść numeru listopadowego *Biblioteki Warszawskiej* jest następująca:

Treść pięćdziesięciu dokumentów z archiwum kapitoły katedralnej krakowskiej podał J. B.

Hamlet Tragedja w pięciu aktach przekład z Szekspira przez J. Paszkowskiego.

Pamiętniki Franciszka Kowalskiego (1825) Odessa — Adam Mickiewicz i Puszkina — *Podróż* z Ilunania do Odessy.

Kronika paryzka literacka, naukowa i artystyczna. „*Anglija i Indye* przez konsula Valbezena” — *Teatra* — *Dramat* Montepina „*Les Vivans de Paris*” *Wiadomości* literackie.

Jesuita w Kaliszu (1831 — 1875). Szkic historyczny skrośty Cezar Biernacki.

O poezji włoskiej w średnich wiekach jako źródło do Boskiej

komedij Danta, przekład z A. Fryderyka Ozanama.

O zakładach kredytowych w stosowaniu do rolnictwa, przez Feliksa Zielińskiego.

Poeszys Pielgrzym przez G. S.

Kronika Literacka Żywoty sławnych Ormian w Polsce. Napisał Ks. Sadok Barqas Dominikan. Lwów 1856. przez Juliana Bartoszkowicza. Mosaika kontraktowa. Pamiętnik z roku 1851, przez Aleksandra Groza. Wilno 1854. przez K. Wł. Wojcieckiego. — Kwiaty i poezje. Wykonał własnym nakładem Maksymilian Fajana. Warszawa 1856. — Czas Dodatek miesięczny. *Korrespondencya*. Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od Oskara Flata. — Od Teodora Narbuta. —

Tak Biblioteka w doniesieniach literackich podaje następujące wiadomości:

— Księgarnia i typograf S. Orgelbraud wkrótce rozpocznie druk przekładu Danta Boskiej Komedyi p. Juliana Korsaka. Wydanie to będzie wspaniałe, ozdobione piętnastą drzeworytami, przedstawiającymi wydatniejsze sceny arcydzieła włoskiej literatury. Nakładem tegoż wydanie druga seria *Improwizacyi i poezyi* Deotymy.

— Księgarnia S. H. Mierzbach ogłosił prenumeratę na piśmie Adama Mickiewicza w 8 tomach w 12, na pięknym wolnowym papierze: cena oznaczona r. 10. Przytem jest zapowiedziana równocześnie ozdobniejsza edycja: „na najpiękniejszym wolnowym, ozdobiona oprócz portretu autora, kilkoma słownymi ilustracyami, wypracowanymi przez najdelszych naszych artystów, i odbitami w naszej litografii M. Fajana.“ Cena takiego egzemplarza r. 15. Druk już się rozpoczął w drukarni J. Jaworskiego. — Na-

kładem tegoż księgarza wyszła powieść historyczna Klementyna z Tańskich Hoffmanowej: „Jan Kochanowski.“ Należy ona do zupełnego wydania wszystkich pism tej zasłużonej dobrze literatarze naszej pisarki.

— Galeryi nieświadczeń portretów Radziwiłłowich, opisaną historycznie przez Edwarda Kotłubaję, z drzeworytami Michała Starkmana, wyszedł zeszyt trzeci i obejmuje życiorysy: Bogusława I. Radziwiłła (z drzeworytem), ostatniego potomka męskiej linii książąt na Białym i Dubinkach. Po nim następują Dodatki do Radziwiłłów linii białych, obejmujące stronic 40, w których z rękopisów wydawca ogłasza listy, instrukcje itp. mogące rzucić większe światło, lub dodać szczegółów do życiorysów podanych. Linij Radziwiłłów książąt na Nieświeżu i Otyce do pierwszego rozgałęzienia się na ordynatów nieświadczeń, otyckich i kłockich, otwiera Jan II Radziwiłł przezwany Brodatym; dalej życiorysy Jana IV Radziwiłła, i Mikołaja VI przezwane Czarnym (Niger). Z przywiedzionych źródeł wiązemy przy każdym życiorysie przytoczony redowód: wartości, aby autor dał nam szczegółowy opis tego ważnego zabytku.

— Wzrost sztuki średniowiecznej w dawniej Polsce, otrzymałmy naraz certyfikat: XV, XVI, XVII i XVIII, obejmujący: 1) Krzyż złoty z ozdobą krzyża św., dar Kazimierza Wielkiego, w katedrze krakowskiej. 2) Szafka wyrobu florenckiego w paryskim muzeum obecnie znajdująca się, a przez Francuzów z Polski w r. 1807 z samku warszawskiego zabrana. 3) Naczynie drobiazgowie, ofiarowane do kościoła Opactwa w Górze na Jasnej Górze przez króla polskiego

Michała Korybuta Wiśniowieckiego. 4) Zbroja króla Stefana Batorego w Wiedniu. 5) Zbroja księcia Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła (Sierotki) w Wiedniu. Dwóch innych Radziwiłłów zbroje znajdują się także w tymże zbiorze: Mikołaja Czarnego (ojca Sierotki) i Mikołaja Rudego (rodzonego brata królowej Barbary). Jakkolwiek dana zbroja Sierotki niewątpliwie jest arcydziełem sztuki płaćarskiej, radziwiłłowskie poznać i mniej ozdobne ale zawsze wielkiej ceny dla narodowych starożytności. Zdaje nam się, że tego rodzaju pomaki, wraz z kostiumami dawnymi, powinny być celem głównym szanownych wydawców. 6) Klejnot z XVI wieku, który służył za naszenie królom naszym. 7) Trzy berła akademii krakowskiej.

— Nakładem litografii A. Począ wyszedł zeszyt pierwszy zapowiedzianej publikacji p. n.: „Arcybiskupi gnieźnieńscy i prymasi“ Wiserunki z galerii Jewickiej, objaśnione tekstem historycznym przez Juliana Bartoszewicza. Zawiera popiersia: 1) Wilibalda, pierwszego arcybiskupa gnieźnieńskiego wedle podania. 2) Hattana następcę jego. 3) Roberta Vitelliusa. 4) Świętego Wojciecha. Obrazem tych rozmiarów dzieło, bo zawierać będzie dwadzieścia dwa zeszyty. — Maksymilian Fajans wykończa załogę zeszyty Wiserunków Polekich, które wkrótce zamierza wydać: braknie bowiem tylko czterech poszytów, ażeby wedle prospektu całość słożyły.

— Album Kaliskiego zeszyt drugi obecnie ogłoszony przez Edwarda Stawoskiego, z litografii M. Fajansa, obejmuje opis kościoła św. Mikołaja w Kaliszu. I dawny korpus kadetów w Kaliszu. Ryciny przedstawiają: 1) Kościół św. Mikołaja. 2) Obraz

w wielkim ołtarzu w tymże kościele (zdjęcie z kryszta Rubena). 3) Dawniejszy korpus kadetów. 4) Kaplicę i salę męzkiej w tymże korpusie.

— „Szkiców i obrazków“ wyszedł zeszyt IV. Cały zajmuje obrazek p. n.: „Jakim sposobem pani Maciejowa namoczyła się młocem, a panna Konstancja deklamowała.“

— „Album Lubelskiego“ zeszyt VI obejmuje: 1) Ścianki Esterki z rycinami. Ruiny zamku Kaerki pod Kasimierzem, i wieży zamku tejże Esterki w Bochothane. Wiadomo, że tradycja ludowa do wielu miejsc przywiązała imię tej pięknej Israelki, a kochanki Kazimierza Wielkiego. 2) Kościół w Głębiu. 3) Kaplica Aryańska. Zauważymy, że ani pod ryciną, ani w tekście nie ma śladu, z jakiej okolicy wzięty jest rysunek tej kaplicy. Tekst tylko wspomniawczy, że Aryanie w Lubelskiem wiele mieli świątyni, wymieniwszy główniejsze, dodaje: „Jedną z takich budowli, uważanych za świątynię arykańską, rycina przedstawia.“ Ostre ryciny dołączone, wykonaniem artystycznym i wybornym odznaczają się odbiciem w litografii A. Począ.

— Ujrzymy wkrótce z tejże litografii w większej połowie postaci wiserunek Adama Mickiewicza. M. Fajans do Wiserunków Polskich przygotowywa w mniejszych rozmiarach portret tegoż poety. W Wilnie w mniejszych rozmiarach ukazały się od dawna Mickiewicza wiserunki. S. H. Morsbach do dzieł jego dołączył także portret poety i zarazem do ilustrowanych egzemplarzy za dodał wiersz przesyła piosenki Władysława Oleszynyńskiego, który ma być wzniesiony w Poznaniu. Ryciny do tych ilustracji dają sami nasi redaktorzy: A. Leiser, Kossak. Gerson i Ko-

stronowi: z tych mają być wykonane staleryty.

— Zbiór pamiątek do dziejów i literatury polskiej, wydawanych przez Włodzimierza hr. de Broel Platę, tom pierwszy wkrótce opuści prasę drukarską; następne tomy w ciągu nieprzerwanym ogłaszane będą w latach następnych. W tym tomie ujrzymy fac-simile listu Jana Kochanowskiego, jedynego zabytku, jaki dotąd odkryty został po tym wielkim poecie Zygmuntowskich czasów.

— W Petersburgu przy depôt wojenne-topograficznym wyszła bardzo dokładna karta topograficzna królestwa polskiego na 57 arkuszach (podług skali 3 wiorsty na jeden cal: cena rs. 57) z napisami w języku polskim. Równie dokładnie wyszły tamże karty topograficzne gubernii wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, podolskiej i części Wołynia i Podola. Karty te wkrótce ujrzymy w handlu księgarskim.

— Nakładem G. Sonnenwalda: Kamania J. Albertrandego, znanego historyka naszego, wydał w ciągu b. miesiąca w 2ch tomach, z wizerunkiem tego pisarza.

— W drukarni S. Orgelbranda, tom drugi przekładu Szekspira p. Komrowskiego znacznie w druku postąpił. Przed Nowym Rokiem w tejże drukarni ukonczy się druk trzech tomów opisu Omentarzy warszawskich K. Wł. Wójcickiego.

WILNO. Księgarnia J. Zawadzkiego w Wilnie przygotowała wiele ważnych publikacyj: Michała Balińskiego drugie wydanie „Historji Polskiej“, którą ten pisarz dawniej był na zadany konkurs wydał w Warszawie. Pierwszość w tedy otrzymała hi-

storia polska napisana przez Pawłiszczewą, mimo to dzieło Balińskiego wyzórpane zostało z handlu księgarskiego. Aleksandra Zdanowicza, także „Historja Polska“ dla młodzieży, jako kurs poematów. X. Lipińskiego; „Życie śś. Kazimierza X. S. Koszówskiego“, „Historja święta“ w dwóch częściach, z mapką ziemi obiecanej, podzielonej na 12 pokoleń. „Pamiętki Szeffa Józefa Drzewieckiego“ z trzema portretami i życiorysem autora, tudzież jego listami. Pamiątki te po raz pierwszy ogłoszone w Athenaeum J. Kraśniewskiego, wielkie obudziły zajęcie: w małej tylko liczbie egzemplarzy wrebiono odbitki. Zaczynają się od kampanji 1794, i wyjaśniają dzieje legionów naszych wo Włoszech. Wiele to ważny materiał historyczny. „Listy J. Kromera o Włoszech“ w 4 tomach. Ignacego Chodźki: „Pastelaki w Prusach.“ „Wacław Prąbyskiego: „Przekłady i studya: panny Proniewskiej „Poesye.“ H. Jabłońskiego. „Guido i dumki.“ — Mówią, że nowy zeszły „Obraz bibliograficzny“ A. Jochera ma wyjść także.

POZNĄ. Tytus hr. Działyński wydał: „Najdawniejsze zabytki mowy polskiej.“ Sęto urywki z przekładu Pisma ś., psalmów i pieśni sabbatnych. Wacław Hanke zajął się wykazaniem w nich myślek ze złego odczytania niektórych wyrazów. Wkrótce ujrzymy także dalsze tomy Tomicyanów. Hr. Działyński udzielił hr. Włodzimierzowi de Broel Platę ważne pomniki, mające znaczenie z gotowości wojenną Jana Tarnowskiego; to wydał nakładem ostatniego w Wilnie.

— Pierwszy tom *Diast Nactona* przełożonych z greckiego przez Antoniego Bronikowskiego znanego z pism swych i nauki

języków starożytnych, wyszedł na widok publiczny, i mieści w sobie następujące rozmowy platońskie: Fedres czyli wymowa — Biadła czyli mowy o miłości — Hippias wiekawy czyli piękno — Lysis czyli przyjaciele — Charmides czyli roztropność — Euthyfron czyli pobożność — Jon czyli Rhapsodika — Menexenos — Dyalozy te są jak widzimy krytycznie przygotowaną treść, i niewołującą jeszcze ścisłość w obrębie tak swanego systemu platonowego, zawartego ogółowo w Filebie, Sofistice i Parmenidecie, a głównie w Rzeczypospolitej i Timaeosie. W drugim tomie zamysłał Platon podać w przekładzie: *Księgi Proso*, także łączące po za ścisłym systematem platońskim filozofię. — Jaką wdzięczność należy się p. Bronikowskiemu że nas w czystym języku objaśnia z przykładami największego myśliciela Starożytności. Oby tylko publiczność umiała ocenić tę szlachną pracę, z jaką podobne dzieła przenoszą się na żyjęce języki, skrzepowane i swymi własnościami i koniecznością zbliżenia się do oryginałów.

W drukarni Morzbacha wyszła także: *Dysceplina w nauce muzyki* w formie tablic cenzurowych nasamprzód dla uczących się na fortepianie. Nicodźkowy środek dla redaktorów i nauczycieli muzyki, aby lekko muzyki systematycznie urządzić i o ile to być może do postępu w niej najszybszego doprowadzić mogli — ułożona przez Adolfa Greulicha młodszego, métra muzyki w Poznaniu. — Są to perubrykowane tabele na których nauczyciel może zapisywać postępy muzyczne ucznia, co saramon ułatwia za każdym rzutem oka, czyli całą szkołę przebiegł we wszystkich swych częściach. W praktyce może to mieć korzystne zastosowanie.

Gdańsk. Wydał także K. Heburg w języku niemieckim Dzieło i opis ratusza gdańskiego podług źródeł archiwalnych skreślony (*Geschichte und Beschreibung des Rathhauses der Reichsstadt Danzig* 8° str. 68 z dwoma drzeworytami i planem budowy). Pomiedzy budowlami cywilnymi w krajach dawniej Polski gdański ratusz gotycki może jedynym jest pomnikiem, który bez żadnych zmian przetrwał po wszelką burzę niebezpiecznych renowacji i niewłaściwych dostawek. Budowa jego rozpoczęta r. 1379 podług planu szczecińskiego budowniczego Henryka Brunaburga, ukończona estetycznie około r. 1506, zasługuje z wszelkimi powodami swych pięknych kształtów na uwagę. Urządzenie wewnętrzne mianowicie: piękne odrzwia, ścian przyozdobione dużymi alegorycznymi obrazami podłoga flamandzkiego malarza Jana de Froese (Vredeman) z Leouwarden r. 1504 i Antoniego Möllera oraz liczne portretyami historycznymi, starożytnymi obciętymi i kobiecymi; bogate ozdoby i wyłaczane suity z malaturami wykonanymi przez Abrahama i Isaaka van der Block na początku XVII wieku; starożytne meble, piękne rzeźby gdańskich artystów Wilhelma Barth i Symona Herle z r. 1596, herby królów i inne pomniki przypominające panowanie polskie pozostały dotąd niezniknięte. Śmukła wieża 261 stóp wysoka mieści na swym szczycie jedyną w swym rodzaju pomnik, to jest złocisty posąg króla Zygmunta Augusta w koronie, trzymającego w ręku wietrzyk. Posąg ten kuty, 165 funtów wagi i 6 stóp 6 1/2 cali wysoki, r. 1561 sprawiony uchodzi dotąd za arcydzieło. Prześn tego znajdował się jeszcze na tej wieży segar czyli tak zwany

cymbał który co godzinę wygrywał melodyę Lobwassera na ceter-nastu harmonijnych dzwonach o-dlewanych r. 1861 przez Jana Moor de Bascondois z Brabaneyj. Dotąd jeszcze pozostał tamże dzwon 10 centnarów wający r. 1849 sprawiony, w który dzwo-niono przy wyprowadzeniu na śmierć zbrodniarzy. O tych to zabytkach sztuki, jako też o obra-zach gdańskich malarzy Jana Müll-lera, Adolfa Boy, Jakuba Keplin i rzeźbach Wilhelma Richter znaj-dujących się tamże w powyższém dziele p Heberga znaleźć można zajmujące wiadomości.

Wiedza. W kalendarzu Vo-gla na r. 1868 (Vogl's Volks-ka-lender) znajduje się obszerna po-wieść pod napisem: *Twardowski, Polski Faust* ozdobiona mnóstwem drzeworytów, które przedstawiają Twardowskiego w jakimś tea-tralnym stroju, a nie tak jak go sobie przedstawiać możemy; też samo dzieje się i z osobą czar-noksiężnika, która aczkolwiek wzięta z ludowych podań, nie-mniej jednak w szczegółach do-

szła przeobrażenia. Twardowski i Vogla nie ma téj rubaszności we-sółej jaką mu nadała fantasya gminu, za to tyle filozofii ile jej ma każdy doktor niemiecki. — Na samym wstępie jest małe ta-kie kłamstwo, autor powiada że w przeszłym wieku pokazywano w Krakowie dom gdzie mieszkał Twardowski.

London. Alexander Rypiński znany z kilku gładkich przekła-dów z Angielskiego i z oryginal-nych poezyj wydał przekład poe-matu Tomasa Moore: *Zakweślo-ny Prorok Korasana* z przedmową opisującą życie irlandzkiego poe-ty. W przedmowie znajdujemy ciekawy szczegół iż ó. p. Moore był wielkim przyjacielem Pola-ków, i nieraz przed naszym lite-ratem Lachem Szymą wyrażał chęć oglądania prac swoich prze-łożonych na język polski. Naj-dawniejsze tłumaczenie prozą z francuskiego było Wandy Ma-leckiej, potem przekładał Odyniec, a niektóre ustępy Stanisław Ko-zmian. — Niniejszy przekład Ry-pińskiego odsuwa się ścisłością i powabną potocznością. —



W artykule o **Dawnej Broni** w przeszłym zeszycie wkradły się następujące pomyłki:

Stron.	47	wiersz	26	zamiast	<i>erutos</i>	czytaj	<i>erectos</i>
"	48	"	19	"	<i>obiecznej</i>	"	<i>obosiecznej</i>
"	51	"	1	"	<i>dowodzącego</i>	"	<i>dowodzącego</i>
"	53	"	29	na dawnem.	pogorzel:	opuścić	punkt
"	57	"	13	zam.	<i>bett</i>	czyt.	<i>bełt</i>
"	59	"	22	"	<i>konnój</i>	"	<i>kolnój</i>
"	"	"	25	pieszego	<i>ma</i> :	opuścić:	<i>ma.</i>



Grudzień — 1857.



DWOJE PISM DYPLMATYCZNYCH

HRABIEGO KRZYSZTOFA MASINI

*Posła nadzwyczajnego Rzpltej Polskiej do książąt
Włoskich w 1674 r.*

Pochodzące z Archiwum tajnego Medyceuszów.

[Przekład z włoskiego nieogłoszonego drukiem rękopismu. ¹⁾]

I.

Okólnik do dworów włoskich

Celem wyjednania pomocy dla Polski ²⁾.

Straszném jest chrześcijaństwu imie tureckie, a ilekroć
zatrząsa wojną ościennym państwom, w ziemiach by do-

¹⁾ Rękopism ten przechowuje się we Florencyi w księgarnicy *la Magliabachiana* clas. XXIV, cod. LIII., palch. VIII.

²⁾ Zdało nam się że nie wypada tak ważnego dla dziejów polskich pisma, jakim jest Okólnik hrabiego Masini *Włomaczyć jęsy-*

brze najodleglejszych urzędy stanowią pospolite modły i lud gromadno się tłoczy w koło ołtarzy zanosząc Bogu prośby tak żarliwe jakoby już w rzeczy samej jarzmo bisurmańskiego tyranstwa wisiało każdemu nad karkiem. Atoli przebiera się zwolna onęj złudzy, w miarę jak przeciwnie zle samo coraz się poczwarniej rozsila i wzrasta, albowiem nie zsyłając się już na klęski chrześcijaństwa w przeszłych wiekach odniesione widzieliśmy w teraźniejszym, a ono więcćj plakano najazdu tureckiego, niżli utraty królestwa Kandyi; nuż jakże wytłópnąć to nowe dziwactwo, iż ludy chrześcijańskie pomiatając Turkami lękają się go zarazem? Niemaci on jednego sąsiada, choć się nie bucił za swęj nad nim przewagi, i coby nie zapowiadał jako siłą na poły mniejszą zetrze najgroźniejsze jego zastępy, składając się przytęm tylą nieodpartemi z dziejów przykłady, iż wszelki jemu przeczący winien nakoniec uchodzić za wierutnego kłamcę.

Pełno takżę mów politycznych dawnych i świeżych, już drukiem, spospolitowanych, już w pięmie zostających, które występując z porównaniem między turecką a chrześcijańską potęgą, co najdowodnięj objaśniają, jako cząstka wtórej całkowitość pierwszej przenosi. Wypisują one wielorakie niedostatki i dotkliwe strony tego drapieżnego rządu; jako to zbiegostwo w mnogich prowincjach podwładnego mu państwa, pospolitą niemoc Ma-

kiem dzisiejszym, i że darowawszy go polaszczysz nałęży nie zacierać piętna wieku, w którym był napisany, tak jednak by został zrozumiałym dla osób bawdziej worytanych niestety! w okliwio ogładane płody spiski stamiatamowakich, lub w tęgocześnie utwory, w których występa w kłeceniu wyrazów dowolność tak osęto chodzi w służeńbnej parze z germanizmami i rusynizmami; niż w słoie sygmuntewskie wsory, jedynę które odwierciędliły kwitnące języczę zdrowie narodowego organizmu, jedynę z których jak z wycechich Tatrów, zawiawa ooseratarięję duch dawnej Rapietę namięt; wolnej, potępnęj, i spokojnędj (przypis. tłum.)

homotom parających się prądami, rozpaczny umysł chrześcian, krajowców lub niewolników, małosłusność twierdzi i to nie naszpikowanych, i takim więc strychem dają nam poniekać namacywać łączności wywieńcenia Turków z Europy, i po wparowaniu ich do Azji rozegnania na dobre lotrów szajki.

To samo niegdysie chępliwe dworowanie i przechwałki głosicieli jeszcze brzmiały w ustach i pod piórem wielu azyatyckich i afrykańskich narodów następnie podbitych i zniewolonych bądź do jęcia się mahometanstwa, bądź do odstrzelenia się od czystości katolickiej wiary. Podziśdzeń Grek, Macedończyk, Węgier, toż siła innych w naszej Europie podobnie zholdowanych, nie przestają wzbijać się w hardość na samo wspomnienie iż ich ojcowie byli ongi biczem pohańców; lecz coż potemu? sami stali się ich posłusznikami, — ba gorsza — ich czolgańcami.

Pisma polityków nawodzących króle ku wielkomyślnym wyprawom miasto iść w posłuch zbawienny, są ezytywane przez tych jako prawa bałamutnia, i biorą ten jedyny skutek, iż namarszczają brew pokątnym gorliwcom, co świętobliwym uniesieni zapalem porzewniają na rynkowych schadzkach i na przedpokojowych posiedzeniach sromotę chrześcianstwa. Wszystko to, powtarzam, nadaremnie: boć ani języki ani pióra tego prawie dotychczas wymędrować niewładne, by na okrzyk: — Turek idzie! nikt przynajmniej niezażrał. — Coż dalej? Chrześcianie z starodawna tak lubują w płużeniu i prayswiecaniu wodzom, którzy się wslawili przeciw niewiernym, iż nieprzestając na historyi, tej dragdy dworacze, dla dosadniejszego wrażenia w pamięć pospolitości odwiecznego naszego męztwa, przeciążyli dłonie białogłowom i dziatkom siła pletliwemi baśniami romanse rzeczonemi, jakoby żadna pochwała nie była dostatnią ani przystojną chrześcian-

skiemu walecznikowi, zawsze pogromcy, nigdy zwyciężonemu.

Po naszych chrześcijańskich kościołach widać wielorakie nagrobne napisy poświęcone onym bohaterom, którzy na polach Jerozolimskich, Carogrodzkich, Trebizondzkich, dackich i węgierskich, bywali postrachem Turkom, a wszelakoż te kraje zostały w wiekiście rękodajstwie otomańskiego domu. Pamiętność zwycięstwa na morzu; lecz królestwa morskie o zgubę przysły, jako więc w ostatnim wieku Cypr, a w teraźniejszym Kandya. Jakóż tedy pogodzić pogardę i trwogę, wieczną na nieprzyjacielu wygraną, nieprzyjaciela zaś wiecznie podbijającego a nas podbijanych; odnoszenie zwycięstw i tracię państw, snadność skażenia otomańskiego mocarstwa, i każdodziennie rozprzestrzenianie się tegoż; znamienitą zarliwość w powszechności chrześcian o cześć i wiarę i powszechną obojętność, toż gnuśne przyglądanie się wypadkom, z tak mdłym a krótkotrwałym w nich uczestnictwem, iż wątek niesprosta zgola nigdy rządmemu i stwornemu odporowi: jestto niewypieciony węzeł, którego me pióro niesprawne rozdzierznąć.

Najduję w dziejach po każdej walnej przegranej walne przygotowania ku odzyskaniu straty: alieć to zgon najwyższych Pasterzy staje onym na wstręcie, to znowu łaknienie się o podział zdobyczy przed zaczątkiem wyprawy, więc kuszenie się każdego ze sprzymierzeńców po najpowodniejszych potrzebach o całkowitość łupów tak swoich jako i cudzych hamuje rycerski świętych sojuszów postęp; skąd objaśnia się ta obciążliwa prawda, iż zwycięstwa tureckie przysparzały im zawsze prowincyj i owocowały królestwa, naszych zaś osławny i haniebny pokój jedynym wciąż owocem. Jakóż najgęściej odbiegaliśmy bądź wszystkiego, bądź połowicy najmniej tego o co Turek kołatał na pierwociu wojny. Owo takim ustawnie postępując strychem, podzielałiśmy przed dwoma

laty trwogę jaka obiegła najdalej narody na wieść tureckiego na Podole najazdu, a w parę miesięcy później uszy nasze już się były ostraszyły z ustąpieniem Kamieńca i Ukrainy. Tak samo i dziś by nieprzedawnić wsobionego w nas nałogu, pawimy się i naperzamy z Chocimskiej wygranej, jakoby była dostatnią do zabezpieczenia Polski i waszego chrześcijaństwa od wiszącej klęski. Niewątpliwa, iż bacząc zgonną toń, na której bylibyśmy dzisiaj bez sprzyjańszych losów, dłużniemy rozumieć to nasze obecne położenie przedniejszą Opatrzności łaską. Uznawali to z równem swęj roztropności i skromności nabożeństwem Jan Sobieski hetman wielki koronny, gdy zwiastując Jędrzejowi Olszowskiemu biskupowi chełmińskiemu podkanclerzemu koronnemu tak fortunną przygodę, list swój zaczyna od onych słów: *Deus Domini fecit virtutem*. Nieprzyjaciół bowiem mógł bez przekazy dopaść Wisły i ubieżeć Kraków by był w tę stronę uderzył, albo przynajmniej położyć się na powiechu naprzeciw Warszawy; ale niestety! tać to właśnie najprzedniejsza korzyść, jaką zwykł odnosić oręż chrześcijański, że poczytujęm za wygraną ilekroć pasmo strat krótnieje lub na czas się zawiesza.

Turek tymczasem podlegany sromem więcej niżli szkoda, pluży w środkach ku pomszczeniu się co rychle; samci bowiem jeden rozkazuje, czleka ma podostatkiem do ściągnięcia niezliczonego wojska, na którego utrzymanie najdzie we własnym skarbie sowitość grosza; nuż znowu w okamgnieniu rzuci na Dunaj most przez siebie samego (jako piszą) zepsowany; tedy nie grzechy i niepotemu nam będzie szczupły wojsk naszych poczet by mu przekazać téj fabryki.

Polska po dwudziesto-sześćciu letniej wojnie kozackiej, tureckiej, moskiewskiej, szwedzkiej, siedmiogrodzkiej (przemilczę już bowiem wewnętrzne waśnie i rokosze) jest we wszelakiem ze swych województw całe lub części-

wo splindrowana, opuszczana, wyplenioma i nasbyt wyczerpana z pieniędzy; boć i opływalość zboża spada się natyrala; więc pozostałe nieuprzedane, równie jako niepokupnemi się stały wosk, miód, konopie, len, aże więc farbierski, zgoła wszystkie produkty tak anadzi niegdys skupności. By nawet żołnierz domagał się samej tylko strawy, toć pewna, iż królestwo polskie nie ma z to pieniędzy, aby rozstawić spiżę sposobnie ciagnieniu wprzetrzemu nierzkąc zagranicznemu; ho acz sejmy nobwajają najsowitsze i najsporsze pobory, od których same się duchowienstwo nie wybiega, przytrudnem się jednak staje wytykanie onych, a ktemu niesłuszna i niebezpieczna wytrząsać mieszek poddanych do pośledniego szelaga.

Daj to nawet, że po niejakiach różnościach w widzeniu stany się koronne zgodzą na elekcyę nowego króla, która w maju przypada, i że dla nadających się nagody wszelaki szlachcie z senatu lub rycerskiego koła znajdzie się w pogotowiu na ciagnienie do obozu; wszystkę się przecie musi dokonać na aktach dobrej woli, gdyż niemogąc zapłacić zaległości żołdowych ze skarbu koronnego, a nie upatrując podobieństwa do ziszczenia w pospolitych obietnicach, jako też nie czyniąc za sobą zapewnionę pomocy obcej, mam za to, że albo nikt nie będzie gardlował by się uwiarować niezbytęj a powważonęj kłeski, albo każdy będzie zwlekał jako własny ociągiewacz dotąd, aż się Turczyn przepławi przez Danaj, i tak się zamoże i wmieszka, że nie będzie zgoła rady z nim się potykać (by dobrze była moc po temu) jedno w samym środku kraju.

Któż zaś nieprzejrzy, iż w takowym razie Wołosza, Multany, Kozactwo pozbywszy ostatczonęj w obronie pieczy i odsieczy polskiego oręza nadziei, uderzyłyby w ślepa czołobitnią Turkowi? Któż nieprzyzna, iż toby właśnie obrało tak jedną jako i drugą z onych prowin-

cy z tych znaniach księstwa, jakowe obie przymaszczają dwajscu księząt chrześcijańskich lubo dysydentów, i natomiast osadziło na tych tronach dwóch baszów aic-
chrześceniów; a możeby więc Kozacy byli zagnani do pokolenia się trzeciemu na Ukrainie? Tatarzyn, który dotąd się cieszy jaką taką niepodległością, i jako ten i ów podejrzewa lub też wie niepokojnie, z ukosa pozie-
za na rozpieranie się tureckiej panoszy w tych stronach (bądź dla przywiązania do wrzekomiej jakiejś niepodle-
głości pamiętnej dotychczas między temi narody, bądź że się stracha by po zaborze onych prowincyi nieukró-
ciły się napady srodze dlań zyskowne, prze wielość zaj-
mowanego dobytku i ludu pędzonego w jasyr) Tatarzyn mówię, osądzi się także zniewolonym do przyświecania tureckiej fortunie. By zaś Turek pomknął stopę aż po Wisłę, snadźby po tej stronie rzeki otrąbiano i obnoszo-
no za nietrybową niebios łaskę, wytargowanie sromotne-
go pokoju nakładem waszatkiego caby po tamtej stronie załapał pohaniec.

Możeby też (co nie daj Boże!) po tak bezprzykładowem odstępietwie Europy, zawiodło się na to, iżby jaki basza wspanoszon o jednym lub kilku buńczukach rozwielmo-
zył się w ojczyźnie Jagiellonów i włudzał Polakom iż snem ich dzieje, ich narodowość, ba sama ich Ewanie-
lia, że są synami koranu i że Polska nigdy nieistnia-
ła!.... Jakoż wątpię aby natedy upomnienia Namie-
stnika Chrystusowego, tego przyrodnego zastępcy Polski, aby prośby księząt blizkich lub dalekich potrafiły tak wysoce rozniecić wiarę i miłość w Polakach, iżby się zamogli na wieczne nieprzystawanie na pokój i docho-
dzenie o świętą szyję świętej i godziwej pomsty; owszem, lękałbym się raczej by pośród zamątku i cierpień od-
wyklszy niejako nadziei i już niedufając dalej ni odpor-
nym ni zaczepnym środkiem, nieoddali się przywłaszczycielowi dobrowolnem oddaniem prędzej niż stać się plo-

nem ślepiej i niehamownej mocy; co niebyłoby zresztą rzeczą niebywałą i niewidem w dawniejszych czasach i w innych królestw dziejach: boć Bogiem a prawdą pytam, jakoby Polacy mieli polegać na własnych lub obcych siłach, oni którzy mając jedną jednem Częstochowę i dwoje lub troje miejsc słabo ostrażowanych na szląskiej granicy, niezdolaliby się zebrać pod osłoną żadnego warownego placu naspiżowanego żywnością i zasobnego w wojenne rynsztunki, iżby się wnet nie ujrzeli na wychodnim z miłej ojczyzny progu? ponieważ nie tedy na goli i w otworzonym polu wydawać na sztych ludokradztwa i najsroższych morderstw swe ojce, matki, żony, dziatwę, bracia, pokrewne i przyjaciele, a na sta łupieży i pożogi właszczyznę swą i domy, niewiem de prawdy czemu by mieli tyle ważyć na obronę gołej jedno ziemi i niewarownego a utratnego pożytku? Możemy sobie bezpiecznie opiewać że wówczas monarchowie chrześcijańscy ruszyliby wspaniałomyślnością i pozuliby się w obowiązku biec jako żywo obronną ręką Polakom na odsiecz; alie któż za dni naszych da się pryncieć takim i tym podobnym nadziejom, i którzy to mowony wymowca przemoże w onej ostateczności wliczyć otuchę i ufność ku nim przełęktemu ludowi?

Wojny te europejskie pomiędzy najpotężniejszymi monarchami sąli chińskiem wojny, by wszelki z wszelkiego stanu w Polsce i po za ję granicami nie widział, iż sąsiedzi ję bliscy tak są zabawieni przez dalszych sąsiadów, że mieliby sobie prawem szczęściem opędnąć własne granice, więc że wszyscy tak usidleni w wojnie, z której każdy przemyśliwa jak najskwapliwiej wymierzyć się i wyprowadzić, iż niewczesnym i niepotemnym stałoby się podówczas samo powszechnego pokoju dobrodziejstwo? Azali acz jeden rozejm da się przewieść takimi przekwinty i trefnemi dowcipy: — Bądźmy dobrzy

wiary, pozostawmy te rzeczy tak jak są, do bitego zobaczyska inną razą!

Nie pójdę w dłuższą wypisując tutaj one Papieże, one Cesarze, one Króle, którzy tuszyli że odzyskają w Azji, w Afryce, a mianowicie w Europie co przedniejsze stolice i co przetworniejsze ziemice wprędce po ich zaborze przez Turka, i omieszkam sporu, azali ci wszyscy wykroczyli niebacznością lub niemocą, azali winno się po-mawiać bezmyślne wypadki lub też ich samych, czy więc ich wyręczycieli i sprawców domowych i wojen-nych; bez obmierzonego już spisu królów złowrogięj w chrześcijaństwie z onego powodu pamięci, dość mi ile ku tej rzeczy, że nie mamy jakmiarz przykładu coby nam poszedł w nadzieję, iż raz utraciwszy królestwo polskie zdołamy je kiedykolwiek odzyskać... Lecz nie chcę rzucać na me karty cienia czarnej wróżki, bym niezdał się prorokować zbożnym mego wieku monarchom bezskuteczności wypraw nawykłych do wiekowania w głowie u tych, co świat bywało żegnają ze światobliwemi zamysły....

Wprawdzie na piśmie wszystkoby się łącznem widziało; siłaby nawet w onczas i chętnie rozprawiano, ale niktby się nie kwapił z próbą przywrócenia Polski ^{*)}; aż więc po niewielu leciech wieść o Krakowie, Warszawie, Lwowie i Lublinie, leżących już wtedy po za kopcami chrześcijaństwa, zamierzchłaby tak dalece, iż chcąc się dopytać w jakowych to niedoszłych położone stronach, zgłaszanoby się do ksiąg o kosmografii lub do sekretarzy Propagandy w Rzymie, jak to więc ma się dzisiaj z Galaczem, Białogrodem, Adryanopolem, Sofią, Nikopolem, nuż z innemi grody, które prostą drogą są bliższe lub nie więcej zdalone od rzeczonych miast polskich, a niemniej od nich słynęły przed laty pod berłem

^{*)} Non si troverebbe il giorno di cominciare la prova.

chrześcijańskich książąt, owszem tak wszystkim wobec były wiadome, iż się widziały niektórym wrótami Włoch i Niemiec.

Oczytałem w Rzymie mowę spopolitowaną już po wzięciu Carogrodu z pod miastnego pióra, co przekonywała jak najdowodniej o szaleństwie Turka, który onym podbojem poprzebudzał tylko z twardego letargu król chrześcijański ku wyrumowaniu siebie z cesarstwa wschodniego i ze wszech Europy krain; dodając iż ta strasza miała pójść na utwierdzenie i pokrzepienie władzy rzymskiego Kościoła, bo buta odszczepieńców rozzuchwała pod łacińskiem Cesarstwem dałaby się objędnąć i okroić, i przerzuciła w korną uległość. Ale żał się Bóg! po niewielu latach najbliższe ościennie prowincye opłynęły z nienagła ze zgrozy i tęsknicy, a włoskie krąja, które przerażone pierwszą o klęsce wieścią, zdały się były zrazu ślabować wiecezystą na duszy i na odziety żałobę i kiry ⁴⁾, przed dokonaniem jeszcze onego stania gwarzyły o tej przygodzie gdyby o senniej marze i śnićby prawie zdał się dzisiaj wszelaki przemawiający ze strony odzyskania Carogrodu. Niechże przeto Polacy niedopuszczają i niech całe chrześcijaństwo niedopuszcza, iżby niewierna stopa wmiszkała się i wsobiła nad Wisłą; boć pierwsze ujarzmione strony byłyby znagłom uczestniczyć w zgubie drugich, w którym to razie (czego uchowaj Boże!) Węgry⁵⁾ zajechane z przodu przez cesarza, z boku zaś nawiedzone wylewaniami, ledwieby zdołały skupić ostatek sił ku własnej obronie. Wszystek zaś lud ziemiański z Moraw i Śląska alboby miał odbieżeć swych progów, albo stać się plonem nieprzystannych i nieuwarowanych tatarskich najazdów, tak iż byśmy tam wprędce ujrzeli opuszczałość i płoninę ukra-

⁴⁾ *L' Italia che al primo avviso spaventata parve far voto di armi e vestite perpetuamente manto e lugubre.*

innych stepów, a konieczną chrześcijaństwa byłby już Olomuniec i Wrocław. Zginęłaby wtedy niezwrotne równowaga Europy, a wszystkie późniejsze praktyki polityków ku przywróceniu całej, i najmistrzniejszej ich stanowienia i kombinacye byłyby tą z wiatru podwalną potępienego Syzyfa, który wiekiście poś się i ustaje w Tartarze około zrównoważenia stożystej skały. Gdyby zaś zło niniejsze, obawa pójścia w gorszą i nadaremne wyzwanie światu odkupienia, mogły oświecić polski naród: aż do powolności bismarckiemu tyranstwu; nie śmiem zamiast spierać się z tymi którzy w nim upatrują osobliwy statek w wierze i stanowcze ku swym królom przywiązanie, ale niewiem doprawdy, ażeby zdołał natchnąć zadziwić onę ostateczną z odwag — odwagę męczeństwa. By dobrze Litwę przemogła oskrzydlić pieczę jednego; Prusy zaś opieka draczego sąsiedniego mocarstwa⁵⁾, mimo to niezdołalibyśmy już kapować swobodnie; a Turcyja stąd i z owął podszanćowałby się o dwieście mil bliżej liżąc Ukrainę pod państwa chrześcijańskie, żeby mu przysporzyła o trzecią część posiadłości w Europie. By zaś kto wtoczył, że te moje słowa są zgodne do rozstawania jedno popłochu, odparłbym nieodrocznie, iż wszelki wnioskujący z przykładów przeszłości nie bez przyczyny stracha się złego, którego już chrześcijaństwo częstokroć zabaczało lub je lekceważyło, a które pośleda musiało popadać z tak wileczną potomości skazą. Bywały poswarki w ówczesnych też rękach, włóchrzyła niezgoda między państwa chrześcijańskimi: nienasili tego samego za naszych czasów? Nieochylałmy, iż wówczas Turek był w nizkiem pierzu, a chrześcijaństwo niezrównanie mocniej stało; znakomicie by te-

⁵⁾ Quando pure la Lituania potesse restar coperta dal patrocínio d' uno, e la Prussia da qualche altro potentato vicino, ne rimarremmo contuttociò senza commercio.

dy dodał serca wżem i każdemu koby wysłodził żąd warowniejsze dzisiaj moćem rościć nadzieje?

Alić, prawi, tymczasem Pers zejdzie Turka, lub go też domowe zatargi porobia, tak że indziej przytarty nie przemoże pomknąć ku tym stronom grożących podbojów. Są, takż, którzy go zechcą tak zawołanym politykiem, aby sam przejrzał upadek swego państwa, przeto iż je do tej doby zbyt nie rozprzestrzeniał. Byłoby to jedno, mniemam, co polegać na gniewie tych, co się dotąd nie noszą za pokrzywdzonych, i co spuszczać się na trzy zbyty na przezorność i łaskawość bisurmańską.

Jako rozmyślim raz jeszcze przykłady upłynionych wieków, zejmie nas raczej niepłonna obawa, by w Ramenji, w Grecji całej, w Macedonji, Serbji, Bulgarij, Węgrzech, i w przyległych im prowincjach, gdzie po ukróceniu udzielności i swobód przechodziła wszakże paćcizną z ojca na syna, a z wnuka na prawnuka, nadzieja wybiecia się z mizernej niewoli na pomocą polskiego oręża, krajowce bacząc Polaków w téjże matni i pętach, nierozumieli że się im na zawsze pozasiękiwały drogi do tęsknionego odkupienia, i przeto od utraty kraju nieprzeszli do wiary tracenia ^{o)}. Rodziny bowiem dotąd posłuszne prawemu Rzymskiemu Pasterzowi lub opowiadające się przy carogrodzkiem odszczepieństwie, w beznadziei odjęcia się hańbie, w jakiej marnieją, i słysząc zewsząd miotane na się przemianki niewiernych, wiarołomców i psów, odstąpiłyby nakoniec od Krzyża. Radbym odetchnął w lepszą nadzieję; lecz cóż kiedy po utracie Carogrodu, we wszystkich częściach Azji

^{o)} S'i pur nudrita di padre in figlio, nipote a pronipote, qualche speranza d'essere un giorno col ferro de' Polacchi sottratti dalla miserabile schiavitù, vedendor hor questi sui medesimi ceppi e catene credessero chiusa ogni strada in sempiterno alla loro sospirata redenzione, e perciò dalla perdita delle statì precipitassero in quella della Religione.

(wyjawszy Armenję) czytam więcej chrześcian w ciągu dziesięć lat obrzezanych i ugęszczających do meczetów niżli kiedykolwiek bądź przedtem. — A ono zkąd? — Zgad, że z upadkiem wschodniego chrześciańskiego cesarstwa poabyli wszelkiej nadziei skraszenia swego jarzma. Jedno zaś podbite państwo podbija drugie. W Azyi bojowano z azyatyckimi plemiony, a zholdowanych zatywano na zholdowanie drugich. — Zagnieżdżwszy się w Europie Turek używa ómy Azyatów jako posiłkowej gawiedzi, ale przedniejsze jańczarskie chorągwie składa z chrześcian poturczonych, albo z mieszzańców z ojca lub dziada chrześcianina; tak iż czy to ochrzczeni, czy obrzezani, zawsze z nich naszyhce; zaczęm wypada uznać się w mniemaniu jakoby Turcy z kończyn ziemi prowadzili swój rodowód: sąci to, powtarzam, ludzie Europejscy na podobieństwo Niemców, Francuzów, Hiszpanów, Włochów; jeżeli zaś ci umieją państwa wzajemnie sobie wydzierać, przeczby i tamci w toż nieporadli? Może więc dla tego, że ta przysadna tureczczyzna albo też rękodajstwo tureckie obiera ich z bystrości umysłu i z dużej cieleśnej, i czyni różnymi od rodziców? Wmówmy tedy w siebie, że luboć prawimy o tureckich najazdach, tymi Turkami są właśni Grecy, Bulgarczycowie, Macedończycy, toż inni nasi sąsiedzi.

Jakoż nierozmyślnie ten i ów się odzywa: — śmiałżeby Turek wkroczyć do pośrodka Niemiec? miałliby się ku Włochom? a kiedyż znowu dopadłby Francyi? Sąci to wszak kraje, kędy dłużeńby zdobywać każdą piędź ziemi bronioną przez ludzi nie przez zwierzęta żadne. Jakżeby mu zbrodzić tyle nieplawnych i nieżeglownych rzek? jako przecisnąć się przez nieśladne wąwozy tylu niebosięgłych i nieprzebytych gór? Wszakci nasze twierdze nie uchodzą się prostym przez rów przeskokiem. — Prze miły Bóg! wiecznież starsi satrapo-

wie rad koronnych ⁷⁾ będą nani oklepywać te pod olej farbowane mowy? Alieci jedni zginęli niezgoda; drudzy szwankowali łakomstwem, innymi niewiedzią; ponie dra zabrnę w głębię, innych tam wewnątrz niepodobna stwo obrania króla po swęj myśli, i przeło szukali pomocy u pogani, która się w rychle przewierziła w cisk. Podobno indziej są: też rzechi i góry, owszem jest morze w pśrodku, ani też tamtejsze twierdze były warowne słomą i obrońne kreglami; jeśli odporna sztuka stała się doskonalszą, to niepotłedni w doskonałości kunszt oblężniczy nieprzestał być jej równnikiem; nie widzi mi się też jakoby nowożytna ludbkość otrzymała od Niebios pokwitowanie i rozpławę z przywar starożytniej, iżby się na przyszłość miało owszaki lekko ani niezgód, ani łakomstwa, ani gnuśności, ani szkodnych bezrozumnych uchwał od królów, rzecypodpolitych i ludów dni naszych. Niewiem w tąd, zaiste przyszaby miało być niepodobnem i nieprzygodnem, aby Turak postąpił i położył się nad Wisłą; i niepojaniję przecieży Tatarzy, Maltany, Wołoszy, Kosaowo i Moskwa pśpólni, nie mieli składać siły dostatekij do męchania Niemiec; a lubo stos ten nie mógłby może nas pprknać niemieszkaniom po rozbiorze Polski, wzdły byśmy przekinali synom naszym te powody i nagody do onęj walnej niedoli, jakie sami dziedziczymy po ojcach naszych ⁸⁾.

⁷⁾ *Satrapa maggiori del consiglio di Stato.* — Zapewne za dni naszych pełnomocnik wszelkiego mocarstwa lub minister spraw zewnętrznych, pisząc w swoim cyrkularzu o kolegach swych ministrach i radach Stanu, nie wyrażałby się tak niedyplomatycznie i bez retorycznych omówień jak to czyni poseł nadzwyczajny Rządu polskiego. (przypis tłum.).

⁸⁾ *Non so perchè uniti i Tartari, i Moldavi, i Valacchi, i Cosacchi ed i Russi, non fossero potenza bastante per invadere la Germania, e benchè questo colpo non potesse seguir immediatamente dopo la smembrazione del Regno di Polonia, tuttociò sarebbe un lasciar*

Jakoż żadna żadnych czasów utrata nie oblekałaby taką hańbą, wszego chrześcijaństwa, zwłaszcza przy łączności, a jaką teraz możemy odbić Turkowi ów los powodny obracając go w dobrodziejstwo dla siebie samych. Nie nowinać to przecie, że znikąd cesarstwo tureckie nie da się snadniej podwrócić jak od Polski, oraz że nikedy nie może z mniejszym oporem dorwać się panowania nad okręgiem ziemskim jako przez Polskę *); nie stawię nikomu przed oczy granic polskiej Korony, więc morza Czarnego ku pokazaniu przewagi, jakabyśmy sykali nad Turkiem, ani Bałtyku na dowód téj, jakąby odzierzył nad nami, by się rozparł tak szeroko; są to bowiem rzeczy nikomu nietajne, a kto by ich zaniewiedział, może sobie przyjąć mapę za ochmistrzynią.

Dziś Polacy sięgają Dunaju swobodnemi i niezawściągnionemi zagony, mają podostatkiem jazdy a broni, i właściwe sobie wojenne tryby na czynienie z Turkiem, jakich żaden nad nich nie zażywa naród; obozują zarówno w srożogę i we skwarę, byle ich ziemia nosiła na sobie, byle im niebrakło doszczętnie nieśniednej i najpośledniejszej karmi. Po zwątleniu nawet i zaniemożenin państwa, jakowe czuć się daje odnośnie do dawniejszych czasów, mogą postaremu, iż młódz szlachecka rażno się porywa do broni, wystawieć nie wdając się w obce posiłki poczet dostatni ku potykaniu się bezpieczném czołem z bisurmańską, czernią. Wprawdzieć żądalbyś większej karności, ale i tę częstokroć zaprowadzać umiała niezrównana dzielność hetmana, i teraz przywieśćby onę nieprzytrudna do znośnej umierności (sko-

materia di cercare ai nostri figli quel gran infortunio che a noi lasciaronero altrove i padri nostri.

*) Non è pensiero nuovo, che da niuna parte possa l'impero Turco esser più facilmente abbattuto, che dalla Polonia, e che per niuna parte possa giungere all'universale monarchia con meno difficoltà che per la Polonia.

ro móm zdaniem niepodobna więcéj wyciągać wtéj mą-
rze po najstworniejszym narodzie), by jedno zdołali wia-
rować się konieczności ściągania drugdy siłomoznéj pra-
wicy po kęs powszedniego chleba. I w jakimże to na
świecie kraju, kędy niesporo zrządzić ład i stworzyć w za-
farstwie picowném, podczas dla niedostatku pieniędzy,
podczas dla osobliwych odległości, żołnierz zdoła się
wyżywić bez narzekań i biadania ubogich ludków? al-
bo jako to więcéj uchwalićby kaźden mierzył swój obiad
nie dosytem, lecz natrzęsioną, wierzchowatą miarą mi-
łości bliźniego, i krom jéj uszczypku a ujmą? Owo sę-
ła przychodzi wyznać, że jeżeli żołnierz siła paot za-
broił w Polsce, to zkądinąd w ciągu lat kilku niemal
też milionów borgował Rzpltej do nieokreszonego czasu,
albo pokwitował z nich wspañiałomyślnie.

W Polsce więcéj można dokazać stem niż kędykol-
wiek indziej trzema stami ¹⁰⁾, a mianowicie odkąd mi-
kla z pomiędzy wojska ta niejednomyślność i prywa-
ta, która siłakroć całe przyprawiała o niemoc lub nie do-
zwalała jego oddziałom czynić swobodnie kwoli potra-
bie, można bezpiecznie rokować te końce, jakie dawniej
ztrudna osiągać się dawały. Cały świat chrześcijański
winienby gonić na to i być wszystek na tém, jakoby
Polacy wojnę obecnie się gotującą, wyprawiali zewnątrz
ziem Rzpltej; bowiem gdyby się Turczyn zastanowił
nad Dunajem lub był po za tę rzekę odgromion, dzie-
łonoby w ręku gotowy sposób ku zapewnieniu się o
stateczności Multan i Wołoszy, które wzięwszy pocho-
p do kopnienia się i osunięcia przeciw tureckiej mocar-
stwu, stałyby za przykład innym sąsiadom jedno wyglądaj-
cym podniety i nadatku do kroku, jakiby stawić mogli
bez podjęcia oczywistego szwanku. Nażby jako roku
zeszłego w listopadzie, tak tego w ciągu lipca lub sier-

¹⁰⁾ In Polonia si fa pia col cento che altrove col trecento.

pań, Bóg wrucił nas i obiecał powtórne wygrana, choć mówić wniestieniem twierdzą tam kędy zakretny bieg Dunaju tworzy półwysep na którym leży Galacz parujący nad oną krzywizną, tedy po odejściu niejako Turka od Węgier, przy sposobności podania co chwila ramię dłoni Bulgarczykom i Serbom połączonym z Bośniakami, niewieleby się mógł Turek nadziewać od swoich wewnątrz kraju poddańców, a zasię używając ich nie bez podejrzenia musiałby używać.

Jakoweby zaś korzyści owa twierdza zdarzyła Cesarstwu i Wenecyanom, ukazuje jasnie samo jej stanowienie: Turczyn bowiem nikad niemógłby podstępnie tak, żeby mu Polacy wnet niezakroczyli i rzuceniu mostu wstępnym nieprzekazili bojem, lub żeby wtargnąwszy pośrednim między Wołoszezyzną a Multaą gościncem, nieobsaczyli go zewsząd o walną przywódcę kłeskę.

Wtedy dopiero ważyłbym się twierdzić żeśmy bezpieczni od wiarołomey Kozaka, który jedno niewiada jakoby się rzucił na Czarne morze, co drugie czynił że srodze wielkim szwankiem i przyrażeniem Carogrodzkich brzegów. Natedy zwolnilibyśmy Moskalowi wątpliwości, w jakiej zostaje, azali trzymać na wodzy Tatarów podczas gdy Polska czyni z Turkiem nie jestto wystawiać się na stos krwawych pod koniec wetów od tak szerokowładnego mocarza. Kto zaś wie czy równie jak tryumfujący Turek wkraczał z jednego zhołdowanego państwa w drugie, tak teraz sam zhołdowany z jednego w drugie wstecznego nie otrąbiłby odwrotu? Fortuna wytknęłaby innym zgodną dobę porwania się do broni, gdyż najdzielniejszą każdemu zachętą i podniętą ku rycerskim sprawom jest warowna wygranej nadzieja, i każdy tem chutniej waży zdrowie na niebezpieczną potrzebę, im bardziej drugiego w jednakię potrzebie doznał nie tylo wiernym lecz i szczęsnym towarzyszem.

Ma Polaka żołnierza włożonego do ryperskiego rzmiosła, świadomego zarówno rozkazywać i słuchać; a hetmani jej dali tyle nieplonnych dowodów i okazów mądrości w radzie i w uczynku, a bitności i animuszu, gdy częstokroć pojedynkiem się ścinali i harce stroili z nieprzyjacielem, iż całe chrześcijaństwo przyklaaskiwało jednomyślnie ich bohaterskiej enocie.

Onoż Polacy stoją dziś na rozstaju albo zawarcia niewskórnego i niezyskownego pokoju z wiecznóm odpadnięciem od Korony Ukrainy i Podola, albo położenia na szanie szczytu swego kraju, albowi także otwarcia ksiązętom chrześcijańskim pochodziastych wrót ku wyświeceniu Turka z Europy; jako zaś pierwszy wypadek nastąpi, niedługo nam czekać na wtory, a pospół z obojgiem zawita powszechna wszego Chrześcijaństwa niewola.

Dziś wystarczy połowa tego wiela, co wówczas nieodzownie należałoby łożyć (a może nadaremnie, nigdy zaś bez rzezi, grabieży i pożogi) na odbyt złego razu i odprawę trudności. — Polacy proszą o zapomogę panów chrześcijańskich nie przez chęć szczędzenia własnych imion, lecz aby je uczynić dostatniemi ku prowadzeniu wojny z tak srogim przeciwnikiem. Wystawiają tymże jako osobista ich zguba może przywieść sąsiadów o te same klęski, nie przeto iżby się targowali o wdzięczność, jakiejby się stali dłużnymi względem panów chrześcijańskich jeśliby ci ślali im pomoc ze szczerzej powolności ku ich ojczyźnie, ale iż rozpatrując się rozmyślnie w tej rzeczy niepodobna ochylać srogich następstw, jakieby się ztąd wywiązały dla polspolitości chrześcian. Radziby sami sprostali wszystkiemu, atoli iż nie przemagają, za grzechby trzymali omieszkę i przewłokę w uciekaniu się do drugich, już aby nie puszczać mimo się żadnego poratownego środka, już tedy aby złożyć uroczyste świadectwo ufności, jaką

się pokłada w obojętnej przyjaźni i w osobliwej pieszczotliwości o swobody i przystojności wiary świętej, jaką świeci wszelaki mocarz chrześcijański.

Sława ich oręża jest znakomita, i znakomita też potęga, jakowa otacza ich imię w oném naszego chrześcijaństwa kole; mam wstyd za to, jakoby i Turek i Pers i nasi poganie miewali je podczas w niepośledniej wadze sposobnie okolicznościom i kolejom losów, daj to, iż dla mnóstwa chrześcijańskiego niewolnika po ich grodach, obozach i przystaniach, imię chrześcijańskie pospolicie staniało i zostaje w pomieście u świata. Jakoż z dziwną hardością lecz nie bez dziwnej trafności ozwał się niedawno z partesu jeden wielki wezyr do posła jednego wielkiego króla. — O waszej prawy, siły i gotowości ku pamiętnym onym wyprawom wszczynającym się i dokonywającym pomiędzy wami nie pilno nam się widywać: wiemy już o niej do syta z rejestrów otomańskiego cesarstwa jako też ze świadectwa (ukazując na tłum brańców) téj oto braci waszej.

Da Bóg, tuszymy, króla Polsce, który rad będąc przestrzeganiu królewskich przywilejów w obrębie określonym ojczystymi prawy i warunki paktów konwentów, weźmie się wielkiem sercem o przywileje złotój wolności starodawnéj i uprzejmą miłością będzie się o nie zastawał, tak żeby za przywróceniem każdemu niezgwałcistych jego swobód i nienaruszonych zwoleństw, to wielkie królestwo oddaném takż sobie oczerstwiło się pokojem, i żeby król wolen wszelkiej przekory a poddani wszelkiej podejrzliwości przyłożyli się zobopólnie orężném ramieniem i pod przewodnią krzyża ku przywróceniu imienia chrześcijańskiego w samém gnieździe bisurmańskiej panoszy do jego odwiecznej czci i chwały. W onczas to wielorakie ludy, które wbrew tak ciężkiej niewoli zadzierzały to imię, bacząc, a ono się dźwiga ze sromoty na uczciwość, a z poniewierki na chlubę,

pokwapią się z podaniem odważnej dłoni odkupienia
swojemu.

Zołnierza, broni, koni, mocy, wytrwałości, gorącości
ku wierce i swobodzie, nieuboznej woli i hartowanego
męstwa nie brak Polakowi: brak mu jedno pieniędzy¹¹⁾.

Oneć to są więc szkody i korzyści wyniknąć mogące
z dania lub niedania pomocy temu najszlachetniejszemu
między narody.

¹¹⁾ Numera, armi, cavalli, robustezza, tolleranza, zelo di religione
e di libertà, volontà ed ardore non mancano al Polacco: manca il
denaro.

II.
UWAGI
nad Nominacją kardynalską służącą
KORONIE POLSKIEJ

na promocji zaszłej dnia 7 marca 1667

PRZESZANE

34. panu Morsztynowi Referendarzowi kor. d. 8 kwietnia k. r.

TREŚĆ.

1. Czy ta Korona mianuje, czy tylko zaleca?
2. Czy jedną lub kilka osób?
3. Czy więcej niż jedną w ciągu życia króla?
4. Czy więcej niż jedną w ciągu życia Papieża?
5. Czy król podczas pobytu w Polsce nuncjusza zasługującego na nominację, może pomimo to komu innemu ją przeznaczyć?
6. Czy innym jak zaleconym przez Ojca ś. osobom służyła kiedy nominacja?
7. Czy ostatni list nominacyjny był ułożony wedle zwykłej formy?

Co do pierwszego punktu, mianuje król, ale ponieważ Papież zaprzecza, aby ta lub inne korony miały *jus nominandi*, poczytując to co się dzieje za cierpiane nadużycie, Polska nie więcej nie wymaga nad inne korony.

Co do tegóż punktu dodać należy, iż w liście nominacyjnym chwali się osobę i dozwoloném jest także onę zalecać, przeto że się błaga; jakoż w dwóch ostatnich nominacyjnych listach użyto wyrazów: *blagając pokornie, abyś go przyjął za nominata na pierwszej promocyi*; pisząc zaś za księdzem Bonsim¹²⁾, a przed rokiem 1659 za IMCi Kardynałem Vidonim¹³⁾: *aby raczył, tak jak o to błagam, przyjąć go za nominata na kardynalstwo*; co aby Papież tłómaczył sobie wedle upodobania, król będzie zawsze używał tych samych wyrazów.

Co do drugiego punktu, nigdy nie bywało listów nominacyjnych na kilka osób. Te zaś, które ułożono na przypadek odmowy dla księdza Torresa¹⁴⁾ nie nie stanowią, bowiem są napisane w sposób doradczy lub przygotowawczy, nie już określający Nominacyą; niech wejrzą do listu nominacyjnego, a znajdą że jest ułożonym jedynie na osobę księdza Santacroce¹⁵⁾. Spory

¹²⁾ Ks. Piotr Bonsi Florentyn, biskup miasta Béziers we Francyi, poseł w r. 1666 króla chrześcijańskiego do króla Jana Kazimierza, został przez tegóż podany na kardynała Papieżowi Aleksandrowi VII, ale tej nominacyi nieprzyjął.

¹³⁾ Ks. Vidoni biskup Leodyjski, nuncjusz apostolski przy królu Janie Kazimierzu w 1659 r. był na przedstawienie tego króla wyniesionym na kardynalską godność.

¹⁴⁾ Ks. Jan Torres Rzymianin, synowiec kardynała Kosmasa nuncjusza w 1623 przy Władysławie IV. Był on biskupem Adryanopolańskim *in partibus infidelium*, a Innocenty X mianował go na biskupstwo Salernu. Znajdował się przy śmierci króla Władysława i na ciele, i Jana Kazimierza.

¹⁵⁾ Ks. Marcelli z książąt Publicola Santacroce Rzymianin, mianowany kardynałem przez króla Jana Kazimierza 7 czerwca 1656. Umarł 20 grudnia 1674, i leży w Rzymie w kościele S. Maria-in

wszczęta w skutek wypadków Rangoniego ¹⁶⁾ mianowa-

Publicolis należącym do swego rodu, który mieni się być latarcią głośnych w starożytności Publikolów rzymakich.

Z tej samej rodziny rzymskiej było dwóch innych w Polsce nuncjuszów: w 1618 ks. Antoni Publicola Santa Croce nuncjusz apostolski przy królu Zygmuncie III. Był potem kardynałem opiekunem królestwa szwedzkiego i współopiekunem polskiego. Umarł 23 listopada 1641; pochowany także u S. Maria-in-Publicolis w Rzymie. Drugim zaś był ks. Jędrzej Publicola Santa Croce Arcybiskup Seleuczeński, wysłany jako nuncjusz do Polski w 1690 r., gdzie sześć lat bawił: Towarzyszył mu w tej podróży sławny Florencki satyryczny poeta Jan-Ochrzcieciel Fagnoli, który zos'tawał u nas przez rok cały, to jest aż do 13 maja 1691, i opisał nader dramatycznie i dowcipnie tę podróż swoją, która wraz z dziennikiem jego żywota przechowuje się w rękopiśmie w księżnicy *la Ricciardiana* we Florencji. Jest tam mnóstwo ciekawych szczegółów, charakterystyk, powiastek, potocznych wydarzeń, uwag pełnych łuskiego dowcipu, zgoła polska ówczesna *chronique scandaleuse*, skrócona z całą przebiegłością dyplomaty, głośności dworaka, przekąsem satyryka, a bezczelnością Włocha dworzana Medyceuszów, uśmiechniętego z szyderstwem i uniesionego ze wgardą. Ciampi wspomina o nader uszeszypłej satyrze wierzącą tegoż Fagnoli będącą odpowiedzią na list redaka Franciszka Redi, który go zapytywał czy mu też dobrze w Polsce? Audyterem tej nuncjatury był Jan-Ochrzcieciel Lampugnani, także pisarz, który przybywszy z ks. Santa Croce do Warszawy 18 sierpnia 1690, napisał dramat *Per godere amore ci vuole costanza* (Statek jest potrzebnym do smakowania w miłości), przedstawiony także przez Włochów kapeli królewskiej. — Ks. Jędrzej Santa Croce był człowiekiem niespokojnego i ofukliwego umysłu. Świadczy o tem list zamieszczony we zbiorze Luniga (*Litterae procerum Europae*, t. III, p. 479) pod takową rubryką: *Michaelis Radziejewski Regni Poloniae Primatis ad Andream Episcopum Seleucensem, quem candido monet ut in posterum de se locuturus modestioribus utatur terminis, sibi que propter minima toleranda in se effusita dictoria confestim satisfaciat, an. 1695*. W rozwódzistym znawu liście pisanym do Franciszka de Montanto poety tokańskiego przy dworze wiedeńskim, nuncjusz Santa Croce, któremu z powodu choroby Jana III zwiakano pożegnania u niego posłuchanie, ze sztytniej niecierpliwości wpada ciągle w styl poszkwidowy gdy mówi o Polsce, którą „niewie czy

nego przez króla Zygmunta i Viscentiego ¹⁷⁾ mianowa-

na nazwać krajem, ony też chaosem,“ pawi „o dziwostwach do-
brze znanych tego narodu,“ i grozi narzeczcie „do jeśli będą optymiści
nadal sądzące przez niego posłuchanie, tak im wodę namęci, i
albo wszyscy napiją się tych mgłów, albo wszyscy potoną“. A'eli
nuncjusz nie mógł sięćić swój groźby dostawczy róz na twarzy,
co go zieweliło do pozostania jeszcze w Warszawie dopóki nie na-
jechał następcą jego ka. Antoni Davia arcybiskup koryński, jak o
tóm donosi rękopism podróży pomienionego Jana-Chrystiecia Fagi-
elli. — Zawadziliśmy zaś po raz drugi o tego poeę, ulegamy po-
kusie przytoczenia z tych jego niewydaných dotąd własnoręcznych
pamiętników ustępu, który obejmuje charakterystykę króla Jana,
tak jak ją pojmował Fagiuelli:

„Król polski zowie się Jan, tego imienia trzeci, z domu Schi-
skich; ma on obecnie około 64 lat, jest wzrostu wysokiego, ony
biało-rumianej. barczystej postawy i tęższy smakomitéj, lubo mało
odpowiedniój jego wzrostowi; słowem jest nadobnym na wdru-
nie, i ma oczy nadzwyczaj żywe. Za młodu jeszcze gdy dość dłu-
go przemieszkował we Francyi, swawo go tam poważnie pikiąm
Polakiem. Ma nadto siła wiadomości, i wyberay z niego jeęgnął;
mówi przede po francusku, po łacinie, po tatarsku, a nawet tro-
chę po włosku, ale ten ostatni język lepij rozumie niż się nim
tłómaczy. Jest on rodem z Rusi, a iż Ruś stanowi część Europy
obier jego tedy był przeciwnym konstytucjom koreannym, którym
obwarowano, aby król był sawaze cudzoziemcem. Atoli będąc ha-
manem w. koronnym i przeto panem samowładnym polskiego oręka,
też optywając w groziwo, do którego ma niepospolity pociąg, meę
pierwszego a siłą drugiego weisnął sobie koronę na głowę. Był
z niego sawaze przedni żołnierz, a huczne i wesole życie sało go
nie mierzni, ani też brak mu dowcipu w rozmowie, jakkolwiek dłu
jmu potrzebae odpoczynku i wywosazu, a wartai zaprawdę onęę,
bać przecie sobie naśadował miaszek (ha fatto roba) i powiadał,
że w powadź twierdzy ruskiej w dobrach swoich ojesznych po-
łowej, naskhował do piętnasta milionów węgierskich czerwonych sta-
tych w brząnącej gotówce; inni więę twierdzą siedmnaście milio-
nów, a do tego huk klejnotów nieoszacowanej wartosci, co to je se-
bie zdobył między chocimskimi łupy, albo nagarnął pod Wiedniem
kiedy z kwiatem całego królestwa (col nerwo di tutto il Regno)
przybieżał w 1683 r. na odsiecz temu miastu obłożonemu od Tur-
ka; po której to chwalebnój wyprawie, gdyby był sdełał saru-

nego przez króla Władysława, nie tyczyły się wielkości podawanych osób.

I teraz kardynał Chigi, oświadczając iż Papież nie przyjąłby nominacji inaczéj jak dla nuncjusza, mówi, wzmiątkuje i twierdzi o jednéj osobie.

Co do trzeciego punktu, król podał Papieżowi Innocentemu Santacroce, a panującemu Aleksandrowi, Vidoniego; jakoż obadwa są dziś Kardynałami.

Co do czwartego, Papież Aleksander uczynił kardynałem Vidoniego, i byłby uczynił Pignatelliego ¹⁵⁾, jak to Jego Świątobliwość sam oświadczył.

umarść, byłby umarł najeźawniejszym królem katolickim (czy też prawowieraym jak sam się tytułuje) ze wszystkich, jacy kiedykolwiek umierali w Europie¹⁶⁾.

¹⁵⁾ Ks. Kładjusz Rangoni biskup Regiomontański, Nuncjusz apostolski przy królu Zygmuncie III w 1600 r. Przyczynił się wiele do wyprawy Dymitra Samoszwana do Moskwy. W niektórych księgozbiorach włoskich istnieje instrukcja tajna dana mu na odjeżdżcie do Polski.

¹⁶⁾ Ks. Honorat ze sławnego domu Viscontich ksiądz Medycejskich, arcybiskup Lariseński, nuncjusz apostolski przy Władysławie IV w 1634 r. Urban VIII Barberini niechoiał go uczynić kardynałem pomimo nalegań królewskich dla pokrewieństwa jego z domem rakuskim, któremu rodzina Barberinich była przeciwną, co stało się powodem zawieszenia na czas jakiś stosunków dyplomatycznych między Rządem a Rzymem, i oddalenia z Warszawy nuncjusza Filonardi, który z głębokidź za to do króla urazy oskarżył go w Rzymie o forytowanie kacerstwa i odzencpieństwa. Władysław IV usprawiedliwił się Papieżowi z zabiegów czynionych na korzyść Viscontiego w liście pełnym godności, który mamy przed oczyma. Istnieje mowa tego nuncjusza odbita w Warszawie pod n.: *Viccesimile Honorati Archiep. Larisensi et Nun. in Pol. Apost. Oratio habita die 22 octobris an. 1632 ad Senatum Equitesque Poloniae et Lithuaniae in castris prope Varsaviam congregatos ad notum sibi Regem eligendum. Varsaviae, ex officin. Jo. Rassowski 1632 in 4°.*

We zbiorze *Luniga Literae procerum Europae*, t. I, p. 391, znajduje się list pod n.: *Stanisłai Lubieński Ep. Ploceński ad Hone-*

Co do piątego, trzeba by ukazać zgodę w tym względzie; ze strony zaś królewskiej dowodzi się, iż spory, jakie się toczyły w przeszłości, wypływały właśnie z tego, iż mianowano zawsze nuncjuszów: Paweł V nie chciał przyjąć Rangoniego, Urban VIII Vincontiego, a Innocenty X Torresa.

Trudności nie bywało co do innych nominatów niebędących nuncjuszami; powstały one dopiero z obecnym.

Co do szóstego punktu, nigdy nikt nie widział ani słyszał o podobnym zaleceniu. Gdyby królowie dawali nominację tylko zaleconym przez Papieża osobom, tedy takowe zalecenie byłoby już zezwoleniem, gdyż nienapisano w bulli, że kandydaci pomimo zalecenia papieżkiego nie mają przyjmować nominacji, tak iżby zezwolenie stawalo się nad to potrzebnem; Papież bowiem nie zaleca, lecz tylko daje wolność wyrobienia czyli przyjęcia nominacji, przez co jasnym i oczywistym się staje wolny wybór królewski.

Papież Aleksander VII w razie nawet by prawa królewskie pod jakimkolwiek względem wątpliwości ulega-

ratum Vicecomitem archiep. Larissenum, cui quid Polonia circa pacem cum Moschis incundam metuendum sit, exponit, An. 1634.

¹⁶⁾ Ks. Antoni z książąt Pignatelli w państwie Neapolitańskim, nuncjusz apostolski w Polsce 1667 r., a potem kardynał. Papież Aleksander VII pragnął, aby go król polski mianował na kardynałstwo, ale Jan Kazimierz przeniósł nominację ks. Bensj biskupa Bosierackiego, posła francuskiego przy dworze polskim, którą Papież jako przeciwny Francyi odrzucił, co króla wielce obraziło i spowodowało jego listy do Aleksandra VII, do kardynała Chigi i do św. kolegium, umieszczone przy końcu tych *Uwag*, które także w skutek onego najświeżo ułożył w 1667 r. hrabia Krzysztof Masini, sekretarz włoski króla Jana Kazimierza, a w siedm lat później poseł nadzwyczajny Rzpltej do książąt włoskich.

Przypisują temuż nuncjuszowi dziełko odbite w Wenecyi w roku 1667 i 8° pod tytułem: *O wickrzesniu Jezuitów w Rzeczypospolitej polskiej.*

ły, na konsystorsu mianym 11 października r. 1666, objaśnił je dostatecznie i wszystkie trudności uchylił, powiadając kardynałowi Orsiniemu: — *Waszmość podaj nam memoryał, boć list nie uchodzi; a słysząc, iż kardynał nie miał takowego przy sobie: — Postaraj się więc, dodał, aby ci go przysłano, a niech uczynią wybór osoby godnej.* Co gdy mówi, nie wymienia kilku osób, ani używa wyrazów *hunc et non alium*, ani też powiada: zalecimy lub przyślemy zezwolenie.

Następuje więc koniecznie z takiego sposobu wyrażenia się, iż gdyby nawet kardynał Orsini przemawiał był w imieniu króla Perskiego, Papież byłby już zobowiązany uczynić kardynałem tę osobę godną, którą mu podano.

Niewczesnymi tedy okazały się trudności, z jakimi wystąpiono kiedy na konsystorsu pod dniem 7 lutego list złożonym został.

Dodać należy, iż Papież wiedział o jego treści i kto był nominatem, tudzież że list przyjął.

Umyślono atoli zwrócić list kardynałowi Orsiniemu na dniu 23 lutego z następnymi wymówkami:

Iż zwracano go przeto że nie był ułożon podług zwykłej zalecalnej formy.

Iż przywracano króla do zupełnej wolności tak jakoby nigdy nie było mowy o pomienionej sprawie, a to zaś tym celem, aby król mógł się gruntowniej rozpa-trzyć w tej rzeczy.

Kardynał odpowiedział na to, iż nie uważał listu za zwrócony, że zaś król innej wolności nie żądał jedno spodziewania się tej łaski w swoim czasie, oraz że się już we wszystkiem dostatecznie rozpatrzył, skoro mianował osobę godną.

Tych tedy wymówek niemożna zgola zrozumieć bowiem list był ten sam, który poprzednio napisano do tegóż Papieża za IMCi kardynałem Vidonim.

Trudno sobie wyobrazić co rozumiano przez to, iż króla przywracają do welności, bowiem między 23 lutego a 3 marca niemaż dwunastu dni całkowitych, który to czas tak krótki zaledwoby wystarczył egipskiej gołąbce na poleceniu do Polski i powrót do Rzymu, a nawet przypuszczając że król byłby się zgodził na zmianę pierwszego nominata, to drugiego byłby jedynie przez to naraził na zawstydzenie, skoro Papież już był poobsadzał stolki nie zostawiawszy miejsca dla tej korony i ustąpiwszy onego komu innemu, acz się z prawa należało królowi IMCi Polskiemu zaraz po trzech pierwszych koronach, i było rzeczywiście jemu przyobiecaniem według prawdziwego a szczerzego znaczenia słów papieżkich wyrzeczonych na konsystorzu pod dniem 11 października.

Aby doznać skutków rzetelnej sprawiedliwości trójga potrzeba: mieć słuszość, umieć onę dowieść, i znaleźć ktoby ją chiał nam przyznać, jak to niesie starodawne włoskie przysłowie: z okoliczności nominacji danej przez króla IMCi Polskiego księdzu Bonsiemu zdolnemu Florentynowi, podano w wątpliwosć ze strony Papieża, atali ta korona mianuje lub tylko zaleca, czy jedną lub więcej osób, czy więcej niż jedną przez życie Papieża, czy więcej niż jedną przez życie króla, a nadto azali podczas pobytu nuncjusza dostojnego i miłego Papieżowi, król innemu niżli on może oddać nominacją; tudzież czy może mianować inne osoby niż te, które są zalecone przez Papieża. Traf rozwiązał pytanie, bowiem na promocji zaszłej 7 marca 1667 zapelniono wszystkie miejsca, tak iż nie zostało powodu ani do mianowania, ani do zalecania jednej lub więcej osób kwoli upodobaniu papieżkiemu lub wyborowi królewskiemu, wszyscy a wszyscy zostają wyłączeni bez względu na prawa króla JMCi, i bez żadnej korzyści z trafnych odpowiedzi kardynała Orsiniego.

Takie zaś wachanie się i skutki onego są niezbitym dowodem, iż nie królowi słusności, lecz Papieżowi braku dobrej woli.

Próżno zaś się spierać, jeśli mianowanie jest dezwolomem, i jeśli król może wedle upodobania mianować lub zalecać.

Jeżeli rzeczywiście winien pisać jakoby zalecał dla tego iż poseł papieżki stara się wyraźnie o nominację, i jeżeli takowa należała się nuncjuszowi przeto iż nie tylko jest jej godnym, ale, co więcej waży w tej rzeczy, miłym Papieżowi, nie można bezwzględnie twierdzić, że król nie mianuje.

To samo rzecz można przypuściwszy, że nominacja tyczy się jedynie nuncjuszów, i że Papież oświadczył się kardynałowi Orsiniemu w ten lub temu podobny sposób: jeżeli król jest na nuncjuszem, niech go mianuje, jeśli za kim innym, niech go zaleca; toć jeżeli nominacja lub zalecenie należy się nuncjuszowi kiedy na nie zasługuje a jest miłym Papieżowi, tedy mowa o jednej nie zaś o kilku osobach.

Wolnoli mianować więcej niż jedną osobę przez życie lub panowanie króla? alć żyje i panuje Jan Kazimierz, który podał kardynała Santacroce Papieżowi Innocentemu X, a kardynała Vidoniego Aleksandrowi VII; azali więcej niż jedną przez życie lub panowanie Papieża? alć żyje Aleksander VII, który uczynił kardynałem Vidoniego i byłby podobnie uczynił księdzę Pignatelli na prośbę króla Jana Kazimierza.

Jeśli nikt nie może być mianowanym krom tych, których Papież zaleca, tedy i nuncjusz ma być wyłączonym skoro niema zalecenia; a jednak przyjąłoby nominacją Pignatellogo nawet bez takiego zalecenia, które zresztą od niego samego zależało, jako od posiadającego zezwolenie papieżkie na wyrobienie sobie i uzyskanie nominacji; ale podobnych zaleceń nigdy nie wi-

dziano. Wprawdzie nie już ustawałaby nominacja, by dobrze Papież zalecał, a król mianował, lecz jakkolwiek bądź, któż nie pozna z tak wielorakich i rozlicznych wybiegów pewnej nieprzewycięzionej odrasy do udzielenia łaski, nie zwatając nawet na tytuł, jakimby król był onę przyjął? Co zaś dziwniejsza, postępuje się po omacku w téj sprawie, jakobyśmy doprawdy zostawali w ciemnościach, lub jakoby nam trzeba było śledzić li-chego światełka gdzieś po szpargałach najbardziej zapomnianych i zaniedbanych spraw przeszłych wieków. Niech przeczytają list pisany za kardynałem Santacroe, a obaczą czy to jest nominacja, czy tyło zalecenie; list mówię stanowczy, a nie inne poprzednie doradcze lub przygotowawcze pisane poufnie. Z makularza znalezionego w téj kancelarji koronnej pokazuje się, że list ten do Papieża Inocentego X był następnej treści:

„Najbłogosławiejszy Ojciec!

„Z nieplonnych oznak ojcowskiéj ku mnie swojej jako też ku temu królestwu mojemu miłości, dałeś mi do zrozumienia Wasza Świątobliwość iż niemniej nosisz nas w sercu swoim niż jakiegokolwiek inne książe lub naród; zaczęłam nie zdołam powątpiewać, iż Wasza Świątobliwość gotów nam jesteś świadczyć onę łaskę, jaką już wraz z innemi cieszyła się ta Korona u najświętszych Jego poprzedników, gdy jéj dawali miejsce w promocyi kardynałów obieranych, jako zwyczaj *nieśie*, za *wstawieniem się księżąt*. Jakoż folgując przedniej którą mam znajomości zasług księdza IMei Marcelego Santacroe, rezolwuję się *mianować go na kardynałstwo*, upraszając Waszego Błogosławieństwa, byś mu udzielił też łaskę *na prośbę moją* za pierwszą promocyą, z pewnością obowiązania mię niepospolicie, i odniesienia od mego sy-

nowskiego afektu ustawicznych oświadczeń pełnej poszanowania wdzięczności; błagając przytém Pana Boga, aby zdarzył Świątobliwości Waszej przez mnogości lat jak najfortunniejsze powodzenie, całuję najświętsze Jego stopy.“

W makalarzu niemasz oznaczonej daty; a ponieważ dla niedostatku rejestrów w Warszawie niepodobna wiedzieć z pewnością, czy IMé ksiądz Doni sekretarz królewski, przepisując go na czysto i podając do podpisania, nie zrobił jakiej zmiany, nie będzie tedy od rzeczy przytoczyć odpis listu wystosowanego do Papieża Aleksandra panującego za IMé kardynałem Vidonim:

„Najbłogosławieński Ojcze!

„Z uczciwością i oklaski przyjęta jest od mojego królewskiego dworu i od wszech ludów moich życzliwość, jaką świadczę IMci księdzu Vidoniemu biskupowi Leodyjskiemu nuncyuszowi Świątobliwości Waszej, bowiem jako rozliczność spraw piastowanych w tém królestwie mojem starczyła mu przestwornego pola przez ciąg lat siedmiu do popisywania się pośród ustawicznych przygód z osobliwą wytrwałością, a pośród tylu najzawilszych interesów z rzadką roztropnością: tak też niemasz nikogo, coby chętnie i w głos niesławił oczywistych onegoż cnót; zaczęm wszyscy życzą temuż prałatowi wszelkiego postępu i statecznie tuszą, iż Wasza Świątobliwość jesteś na tém, jakobyś mu dał poznać skutki swego szczodrobliwego dobrodziejstwa. Ja zaś, który pożądam słodkości uczestnictwa w jego promocyi według praw moich, podaję go i przedstawiam pokornie Świątobliwości Waszej, abyś raczył, jak o to błagam, *przyjąć go za nominata na kardynałstwo*. Żywię nieplonna nadzieję, iż Świątobliwość Wasza na nowy dowód

swego uprzejmego ku mnie afektu, więc dla pośpiechu
wszech stanów tego królestwa, jako też z chęci wy-
grodzenia zasług położonych Stolicy ś. przez rzeszenego
Imoi księdza Vidoniego, utwierdzisz i pomnożysz one
obligacye, jakowe zespolone z moją gotowością roznie-
cają coraz sowniej we mnie żądność przekonania Go o
żarliwém mojem i ludów moich poddaństwie. błogo-
wienstwu Waszój Świątobliwości. Śoiakam tymczasem
najświeższe Jego stopy.

Warszawa 7 czerwca r. P. 1659

Waszój Świątobliwości
Najposłuszniejszy Syn
Jan Kazimierz Król.

W odpowiedzi danój przez breve z d. 6 lipca tego
roku, czytamy następne słowa:

*Quamobrem ubi Principum votis in assumendis cardi-
nalibus annuere poterimus, Patrem luminum Deum orobi-
mus ut Ecclesiae universae rationibus et optatis quoque
tuis consultum esse velit.*

List tedy królewski napisany wedle powyższej formy
przyjętym został; zkąd jeżeli nawet kiedykolwiek przed-
tém wątpliwém bywało, czy królowie polscy mianują
pospołu z inemi koronami, już przez to samo, że nigdy
temu nieprzeczono, że list przyjęto bez najmniejszej tr-
dności, tak co do obejmującej formy jako do objętej
treści, że użyto wyrazów łączących tę Koronę z innymi:
ubi Principum votis, i że nareszcie nominata uczyniono
kardynałem, wątpliwość takowa ma się rozstrzygnąć
affirmative.

Z tegoż listu okazuje się, iż jeden tylo bywa miano-
wany i że ze strony Papieża zgodzono się na pewną
przyjętą formę pisania, o której król może rozumieć że
jest Nominacyą, nie przeszkadzając bynajmniej temu.
aby ją sobie Papież miał za zalecenie; zaczęł Jego

król. Mość poprzestanie na używaniu zawsze jednakich wyrazów:

Może zaś kto natrafi, iż Nominacya księdza Vidoniego, [dzisiejszego kardynała a ówczesnego nuncjusza, dla tego została przyjęta, iż kiedy się znajduje tutaj nuncyusz zasłużony i przyjemny Papieżowi, jemu jedynie Nominacyą, używać się zwykło: tymczasem mianowanie nuncyuszów byłoby owszem nadzwyczajną uprzejmością, wtedy nawet, gdyby tych a nie innych było zwyczajem mianować; nadzwyczajną mowię uprzejmością ze strony królewskiej, boby się nagradzała sama godność pralata i urząd zawisły bezpośrednio od Papieża, do którego przeto także, podług najprostszego wymiaru sprawiedliwości, należał i bezpośrednia nagroda.

Byłoby nadzwyczajną rzeczą dla nuncyuszów, bowiem skoro ci, aby się nie sprzeciwić bulli, nie mogą ani się starać o Nominacyą, ani jęj przyjmować bez zezwolenia papieskiego, które jest niezbędnym warunkiem dla odziorzenia onęj, byłby to zawsze dla nich osobliwy wypadek, by dobrze im tylko a nie innym Nominacyą dawać się zwykło, bowiem niemogliby już się starać o nią w razie gdyby król zamianował inną osobę, byleby takowa nie była niegodną tego dostojenstwa; w którym to wypadku niewolno byłoby im żądać a niepodobna uzyskać zezwolenie.

Wahanie się i odmowy napotykanie w mianowaniu nuncyuszów, każą wnosić iż takowe niemal zawsze było nadzwyczajnem zdarzeniem, podczas gdy w nominacyach zasług na korzyść innych osób nikt nigdy nie został wyłączonym, wyjąwszy jednakże księdza Bonisi.

Rangoni, Visconti i Torres nie byli potwierdzeni przez Papieża z tego jedynie powodu, iż piastowali nuncyaturę, z kąd oczywista, iż Papież mieli to sobie za niezwykłą uprzejmość, ilekroć królowie dawali nominacyą

poradki do odsunięcia go od kardynalstwa które go większym napełniały wstrętem niż te z jakimi się oświadczył, czy nie miał też onych, choć na tém, iż naj-

Melior Torrens i Santafé, iż nadto król niedomagał się Polaka, bowiem doświadczenie go nauczyło, ile poswarków z przyczyny pierwszeństwa, więc ile niedogodności pociągała za sobą w Polsce purpura kardynalska. Na odprawę zaś wtórej trudności, powiadali że król Pius IV nie miał miejsca w tym razie, bowiem książę Vincenti nie ubiegał się o nominację, jako że sama krótkość czasu najdawniej przechowywała, iż nawet mu się nie udało o śmierci swybiakapa Gaietanińskiego i o zamysłach królewskich względem siebie powziętych w siedem dni po agencie prymasa. Przydawali nadto, że takowe mniemanie stwierdzało się słowem królewskiem, słowo zapewniał Jęgo król. Mógł jak się książę Vincenti nigdy nie ubiegał o nominację, która wynikała owszem z własnej uprzejmości króla ku niemu choć równie jako z pamiętki, jaką uprzejmość, zawisła po sobie w tym kraju zalety tak onego prafata Wieród wielorakich odpowiedzi i odosw, z których dałaby się właśnie graha ufać się książę, toczył się przez długi czas spór między obiema stroną z wielkim sobopólnym obstrzeżeniem się i zaciekłością, gdy ze strony Polaków dowodzono krom tego, że w razie nawet by potrzebowało wyrażać papieskiej dyspensy, Jęgo Świątobliwość winien był jak najzupełniej przystać na udział takowej, ze względu na zwykłe tryby przestrzegane przez dwór rzymski w dyspensowaniu wyroków seboraych, nad którymi Papież dźwierał i zachowywał całkowitą przewagę.

„Ciągłą się to praktyka aż do ostatniej promocji sześciu ku kardowi roku pańskiego 1641 zawase w nadziei dopięcia pożądanego końca, ale król wprowadzon z błędą tą ostatnią próbą, aczkolwiek na pierwszą wieść mocno się obraził, powodując się jednak zwykłym sobie umiarkowaniem, napisał natychmiast do Papieża list pełen powadzenia i poczucia ku zmięczeniu jego opora, błagając pokornie, by samowolny raczył go teraz pocieszyć. Wydał tamże onasy nuncyus Filonardi pismo, w którym starał się dowiedzieć przykłady wziętymi z promocji księdza Peretti, księcia d'Este i księcia Massarini, iż majestat króla polskiego nie cierpił bynajmniej na niezwykłości i niestrybności takowego wypadku, gdyż Peretti był poddanym króla katolickiego nżywającym beneficjów w tym kraju i rodził się z Hiszpańki, Massarini zaś po nuncyatusze sprawowanej we Francyi wyrobił sobie kapłan za przywse-

główniejszą pobudką było rozumienie jakoby Vincenti postąpił był wbrew bulli, nie już starając się o nominacyę, lecz nie odmawiając takowej, skoro widział

leniem papieżkism. posiadając skądinąd dobra i dochody duchowne w tym królestwie, a kułając delfato: był krównym Cesarza. Właściwie wiedał na to pismo Północy wyhasłał, jako pominięta obeliamata nie czyniły jeszcze przemoczenych ośób krajowcami w dła. samienia: Siebora, i jako wszystkie spowodowały się straszoności wimp-dan: Vincentum; bawiem należał do rodu niemiętnącego: indant imenne wo Włoszech, któremu najwięksi królowie chrześcijaństwa przywłaszczali swo pa. kadekeli pochodziła, która wykała salomio z własnych ust Papieża równie jak powaschno. całego dworu: pochwały za: usługi świadczone przez trzydziest lat Stolicy Apostolskiej, i był nadto synowcem kardynała Alfonsa Vincentiego i kardynała Pawła Scandratii, a prawnikiem Papieża Gregorza XIII, która to saloty samém przewidywaniem Jego król. Moi zdaniem: wisie przemawiały za wartością i szakomiennością tegoż prefata. Ale śledząc z przygotowanych dowodów nie przemógł zmierzchony nieścisłości Barberinich, i skłonił ich ku zadośćuczynieniu obciom król polskiego. Jakże gdy kardynałowie Scardelli i Borghese wysyłać sięmi furytowali tę sprawę, starając się by próby królewskie wzięły pomyślny skutek, Jego Świątobliwość wzięł odpowiadając jednakiem głosem: iż niemógł takowych wyadachować dla przeczności: jakie stawia bulla Piusa IV, niemógł jak przez wzgląd dla nasza polskiego nie zasęszycowego w tej chwili parupa. Aeschelutak mł wspomniane Eminencye odzywały się na to, iż nie czyniono: był wszystkich uwag: względem księdza Masserini, który posiadał nuncyaturę francuską, odpierał znawca Papieża, iż wujna zachodziła różnica między tym: a tamtym wypadkiem, albowiem Masserini nie starał się o nominacyę tak jako to czynił Vincenti, więc że Starcy nie skrywało na kardynałach z tego powodu. Kiedy zaś przywłaszczono świadectwo królewskie na dowód brzytostępi samienia i prawych: chęci Vincentiego, dalszych od wyrabiania sobie królewskiego do Papieża zalecenia, i przydawano, że duchowieństwo polskie nie naszył się ubiega o godność kardynalską, jako o tę, która nieprzyczyniła: żadnych w onem królestwie przywilejów. Jego Świątobliwość zastawiał się: tem, iż wiedział bardzo dobrze, jako Vincenti trzymał w Rolao: człeka ku nawróceniu: króla do czynienia: nabiegów o: jego wyniesienie, że zaś popierała nominacyę arcybiskupa Gnieźnieńskiego na próby: królewską: sów: dła: dowiedzia: wziętostępi i poezn-

jak domniemywać należy, iż była dlań przeznaczoną. Papież Innocenty nie chciał się pisać żadną miarą na namiestną Torresa, i rozgniewał się nalezawszy iż król

ści, w jakiejś dostojności kandydackiej zostaje z polskiego narodu, uważa z wielkim dalekim swoim nie mógł podziwiać króla promocyą Viscontiego. Gdy tedy przeprowadzono enąj praktyki dłużyło się wśród tyłekretów. trudem, i gdy. wzmacnia się coraz bardziej w umyśle królewskim niechęć przeciw nascyassowi Filenardiema. Jaka tam, który pomodując się jedynie ślepą w swych postępkach namiestnicą, rozciągał niegodę i usiłował powadzić króla z Rzymu, przysłał do tego, iż nascyassa odesłano z królestwa, a polskiego dydyenta usunęto od rzymskiego dworu. lubo nie zerwała się do runty nie rokował i nadziei, skoro kardynał Saveli, opiekun Pol- skich, nie opuszczał nadziei chwytania się układów ofiarowanych od czasu do czasu przez powne osoby, a projektem aby król zmienił zowiniet, i z świadomością nawet gotowości sądeć oświecenia Jego król. Moi w sobie innego właskiego subiekta. Że zaś takowe prze- żądzenia nie przypadały do miary z nieposłakowaniem przestrzege- niem wyroków sebarnych, i coraz widoczniejszą czyniło czarzą Bar- borisich prywatę, przeto i gawie królewski coraz się bardziej roz- kładał.

„Nasycen zaś zamiast namwać przeszkody i koid wzburzone spor- zych etna. namiestności nie przestawał ich podlegać i natrawiać raz- jątrzących myśłów zdewzngiami awami doniesieniami, aby Papieża utwierdzić w statecznym wyłączeniu Viscontiego. Przeto sposobiąc pićna prywatnemu Jakomatem i ostrząc je kweli niemawidai poważ- tój przeciw królowi jawnie potępijącoemu jego postęпки, sklecił był paszkwil raczej niż list zawiadomienia, w którym pomawiał Jego król. Miał o brak szpilwaści względem wiary katolickiej, jako tego kłopot dla odwołowania dydydentów i dla przeszkodzenia serwowaniu sejmu, po którym spodziewał się umocnienia swych dęągów, gotów był podwalić tymie dydydentem swobodnego i otwierającego wyma- nanie odanazopięściwa i błędów, w jakowych tamtejśi Grecy są śle- pa uwikłani. Przysadał iż ci nami nawdzięzali na przedku, wel- zedł jawnej praktyki święt niewiary jedno umiarkowanemu swier- chaści wynoszeniu, lecz że teraz prawem pospolicie uchwalenóm o przeciwdziałaniu się wszystkim innym, jakowe kiedykolwiek stanęły od czasu odrodzenia się tego państwa przez wedy chrztu ś. aż do kanonizacji Jego król. Moi, aświgoemo, postanowione i sawarowane tak obrzydliwe błędy. Przenadzał z umyślną udaną, ścieśną przydając

niał być przyjemnem Jego Świątobliwości tego rodzaju mianowanie; rozkazał pisać doń osobno w tej rzeczy przez kardynała Astalli a zaś przez pewnego za-

ś król co miał przytknąć to przekięte nasienie heretycznych jądów, usiłował owasem rozmnożyć je i rozplenić na bujajach Polski niwach więc że dozwolił Rzeszom naprawiać stare cerkwie i budować nowe z prawem zakładania nowych szkół i seminaryów krom tych, jakie już posiadają, jako też zaprowadzić tajemnie nowe drukarnie i następować wedle zachęcenia na wszystkie urzędy świeckie, wypuściwszy im na wieczne czasy trzy klasztory z kościoły i dwie wsi zasobne i dochodzące. Zamykał narzeczone opowiadaniem, jako sam gotował przeciwko tym jadom skuteczne lekarstwo protestacyi całego polskiego duchowieństwa władnój zawiesić i unieważnić te zgubne uchwały; że jeśli tedy król da się słyszeć z nowemi prośbą o promocyę Viscontiego, wypadłoby mu natędy odpowiedzieć, że dla dostąpienia podobnych łask należy przedwzyszkliwym krzewić wiarę ś. katolicką, nie zaś kacerstwo i niewiarę; którą odpowiedź on sam oddawna obmyślając już był ułożył na jej papiere rozewdziste pismo, co w rychło miał podać kongregacyi *de propaganda fide*.“

Łaciński język nie był wówczas jedynie używanym w dyplomatycznych dworów europejskich stosunkach ze stolicą świętą; włoski go też częstokroć zastępował: dołączamy tutaj w przekładzie, jako nader szanowny historyczny zabytek, napisane po włosku

Usprawiedliwienie się króla Władysława IV przed Papieżem Urbanem VIII.

Król JMoi Polski i Szwedki, najposłuszniejszy Syn Waszj Świątobliwości, nie może wyrozumieć należycie jako Wasza Świątobliwość obrażasz się jego ustawicznemi prośbą o promocyę na kardynałstwo księdza JMoi Honorata Viscontiego biskupa Larisskiego, kiedy Bóg Waszchmogący, którego W. Ś. jesteś Namiestnikiem na ziemi, chce być nieprzerwanie modlonym, ba pozwala by samo królestwo niebieskie gwałt cierpieło; a nie tylko przychyliła się kornym i statecznym wiernych modlitwom, ale nadto w skutkach cnych zmieniła najsprawiedliwszą swoją sąsędę na grzesznika. Król JMó tedy nie przestaje błagać najuprzejmiej Świątobliwości Waszj o raczoną promocyę, (uszczę iż W. Ś. raczywszy wziąć na rozwagę, jako sam o to uniżenie prosi:

konanika do jedynaka swego zakonu, który to list można jeszcze obaczyć w tej kancelaryi koronnej, w razie gdyby nie doszły było na tylu innych listach kardynała Orsiniego, a mianowicie na jednym z nich pisanych do listy

list jest do W. Ś. usilnie i ustawicznie modlon przez bieg lat wiele od Króla swego najposłusznieszego Syna, który błaga o łaskę próżną cudzej szkody, o łaskę zwykle udzielaną królom przez świętą Stolicę Apostolską, i nieograniczoną innymi razami przez samą Świętobliwość Waszą, o łaskę słowem obiecaną Królowi JMoi od Waszej Świętobliwości z zapewnieniem uczynienia kardynała na jego dąsanie przy pierwszej promocyi.

list jest do W. Ś. modlon za Prałatem prawnikiem Grzegorzem XIV, emigrowanym nawet kromę względów królewskich, zasługującym na takowe dostojństwo rodowitością, prowadzeniem, szlachetnością, niemniej jako trzydziestoletnią nieposzlakowaną świętą Stolicę Apostolską służyć na główniejszych sprawach urzędach, który nie tylko list wysłał miłośniczo W. Ś. puchwały gdy zastawał od Niego używanym przez cały ciąg najszczęśliwszego W. Ś. panowania, ale także odwiedził w kilka okolicznościach uszanowanie mnogich ministrów wielu królów.

list jest do W. Ś. modlon za Prałatem, który stał się wspaniałym osobie królewskiej i wspaniałemu Królestwu Polskiemu, kiedy postępował on najchwalebniej w najwaleńszych przygodach, nie tylko za czasów nieśmiertelnej pamięci Najjaśniejszego Króla Zygmunta, lecz także za bezkrólewia i pod elekcyą Jego Król. Mści, z ciągłym okazywaniem z własnej strony dobroci, żarliwości więc osobliwej troskliwości, i z tak nadzwyczajnym zadowoleniem i łaską całego Polskiego Narodu, któremu przede wszystkim brak dostojnych subiektów służyć ze wszelakiem łaską królestwem, iż ci sami chętnie mu następcą swoich przywilejów.

Nadzieja się tedy Król JMó list do W. raczył go ochłodzić w ojcowskiej swój dobroć, a że nie stanął na przekazie takowej łaski ani święty Sobór Trydencki w rzeczy o krajowcach, bowiem nie wspomina kardynałów obieranych przez wzgląd dla królów, czego dowodzą promocye spełnione od Świętobliwości Waszej JMoi kardynała Santoroce, a od ś. p. Grzegorza XV kardynała Torresa na prośbę chwalebne króla Zygmunta; ani też bulla Piusa IV, dla kogo który Król JMó pisał do ś. W. z Torunia na datę 20 stycznia r. p. 1556 zalecającego raczonemu księdza JMoi, kiedy już był podległym króla JMoi i służył tę nuncyaturę; bowiem Ksiądz JMó nie

księdza Doni sekretarza królewskiego, dnia jego posta
per istam w Neapola, pod datą 18 stycznia 1659 r.,
w którym zasługuje na uwagę następująco wyraża: „Nie
tylko iż Papież zaprzecza jakoby kazał oszajnić chęć

tylko że się nie ubiegał o wspomniany list, ani używał go
zgola, lecz ani też wiedział o kłamstwie oszaj; jako to świadczy
ona dostatecznie słowo królewskie, które odwraca postać bulli sig-
nifying jedynie ubiegania się nuncjuszów, przeciw jakowemuś motowi
frowanę, wszelkiewk mając jedno uharanie na celu, ile widocz-
a jej przedmowy, i w tym nawet względzie da się znaleźć ułamek.
Pomnąwszy tedy, jaka znacząca bullą nie uharanie się królem a-
larat nuncjuszów motu proprio, nie powinno takowa salcedo być
ze akcją Księdza JMci gdyż inaczej podlegałoby się pod prawo
to, czego prawie nie sigga, i za cudzy uczynek kładłoby się niewin-
nego, swłaasza iż Król. JMó jego się wówczas przychylił do prze-
stom mianował kardynałem arcybiskupa Gnieźnieńskiego, względem
którego był się zobowiązał; po której pomocy ohmyślenia, prze-
dwa ostatnie lata żyłwa rzeszonego arcybiskupa, Jego król. Młó
nie wspominał nawet o innym. Dopiero przed niedawym czasem
otrzymawszy wieść o jego zgonie; tegoż tygodnia, a więc do-
wiedzając się Księdza JMó Visconti, bawiący we Włoszech miał
się być o tém dowiedzieć, mianował tegoż Księdza JMci, co niekiedy
stanowi dowód jako powyższa nominacja nie była przeszką wyje-
dzaną, lecz pochodziła wprost z osobistego pochoys króla JMci, i to
w czasie, kiedy zatem ona bulla już mu przeszkadzić nie mogła. W-
kim zaś wypadku gdałoby się Władz. Świątobliwości widzieć, iż
ta sama bulla atoli dotychczas na przekazie, król JMci błaga naj-
usilniej Świątobliwości Władz. iżby przez wzgląd dla niego sa-
mżył takowej, swłaasza że święta Stolica Apostolska zwykła w-
ła. wypadkach, nie tylo na prośbę księząt, lecz także naocich pry-
watnych osób, naruszać bulli papieżkich a nawet ustaw sakral-
powazanych, i że się zdaje niepodobna zaprzeczyć, aby perwotnie
dana kardynałem JMciom Torresowi i Montecoron za ich urzędowa-
nie w Polsce na wywołanie sobie nominacji u wielkiego króla Zy-
gmunta, szczególniej pamięci, nie było naruszeniem pomianowanej bulli
skoro im dozwoliło, czego ona bulla zakazuje. Zatem król JMó
mąży, iż W. Ś. nie raczyło odpowić mu tej żądki, mianowicie iż
król JMó. jest wielce zasłużony Świątobliwości Władz., też całą
Racjonalność chrześcijańską:

swój uczynienie najmniejszą kardynałem w skutek kłó-
twy między nami, ale się gniewa na tego, kto taką
rzecz napisał w jego imieniu: i donieś, że Jego Świę-
tobliwość ma w tym upodobanie, kiedy owa rzecz nie po-

1) Przeto iż postradał dziedziczne swe Królestwa Szwedzkie w os-
obie wielkiego Ojca swego, jedynie dla wiary świętej katolickiej.

2) Przeto iż utracił ogromne Moskiewskie Państwo, na które był
jednokrotnie i powołan odebrawszy przysięgę onych ludów, aby nie-
nadzwagnęły posłuszeństwa własnemu Stolicy Apostolskiej.

3) Przeto iż stał się tyle wojen politycznych chrześcijaństwa tak
dalece, iż można rzec śmiało że jego żywot był ustawianiem be-
jowaniem na siemi.

4) Przeto iż odnosi zawsze przeciwne zwycięstwa z powaso-
cią chrześcijaństwa korzyści.

5) Przeto iż samemu sam jeden jako stawił się jakiej, wyłow bar-
dziej, któryby zatonął w chrześcijaństwie.

6) Przeto iż nie dobywał nigdy miecza jedno przeciw nieprzyja-
ciół Stolicy Apostolskiej i chrześcijańskiego imienia.

7) Przeto iż niechciał w r. p. 1635 uczynić w Prusach wielce
szkodliwego rozkazu do Szwedom jedno pod warunkiem przywróce-
nia katolickiego obrządku w Łiżanach.

8) Przeto iż niechciał ostatnich lat wypuścić w świat nowym
księstwem Kurlandyi i Semigalii, ażeby swobodę około wiary katoli-
ckiej samarował i przybierał nęstwać własnym nakładem kościo-
łów katolickich, co też dopinawano aby wykonał.

9) Przeto iż przed trzema laty ostrą nader uchwałą wyrażał
za warach państw swoich szalenie krytycznie kacerstwo, przeto-
dajco niesprzeciwianie szczątki osąd.

10) Przeto iż na ostatnim sejmie wlażym ostrzyż eurowa gra-
wo przeciw kalwinom Wileńskim, stolicy Wielkiego Księstwa Lit-
wackiego równo jako i racenego kalwińskiego kacerstwa, rozka-
zało bez najmniejszej łaski na osobiste zryki karać na gardła
kacernictwo i kacerstwo, odbierać im stery, chorować i sukoty i wy-
tępić na wielki wieków wyznanie tak dobrze popalite jako i pry-
watnie powiększyć sekty kalwińskie.

- Ale tych tedy powodów nie Król Jmó i S. W. czynią sadzić
inny, koronam na przysięgłym kardynałskim obiorze, uczynisz go
także podługą przysięgą, jako tego, którego Bóg Wszech-
mogący nie upokorzył i nie mignął ani urzędem, ani ciekocą, ani
przeciwnością i szkodą państw, szkodą i S. W. przysię-

deba mu się wcale aby najmniejszemu obywateli nuncjuszami drogami". Zamiast tedy woli Papieża, snąc była to po prostu wola tego, kto do króla IMOI pisał w tym przedmiocie.

Ale jakże da się pogodzić z bullą, papieżką, ten warunek, iż kiedy w Polsce znajduje się nuncjusz dostojny, jemu a nie innemu należy się nominacja, i jak wybieg wynajdą nuncjusze by nie postępować jedynym wytkniętym od Papieży torem? Wypadałoby chyba przypuścić jedno z dwojga: lub że nuncjusze w Polsce z natury swego urzędu albo przez nadzwyczajną łaskę wyjęci są z pod praw bulli, lub że przekroczyli taką jeszcze przed wyjazdem swoim z Rzymu, przeto iż wiedzieli, że się im a nie innym dostanie nominacja, skoro godnymi jej się staną, zaczęli aby onaj dostąpić

każde już niejednokrotnie obojętnie się z nim na równi z innymi królami, miłując go serdecznie, nie zaś go W. Ś. osobliwie poznać i przyjmować po ojcowisku w swe najświętsze objęta; albowiem gdziebyś go W. Ś. upośledził w najmniejszej przygodzie, racz W. Ś. baczyć z własną sobie przecznością, żeby na tem ucierpiała sława Królewska, gdy dla swych bohaterских spraw, dla swęj katolickiej pobożności a dla tego nadewszystko, iż jest Przedmurnem chrześcijaństwa, zasługując on nie tyle na Jaaki równo onym, jakie się udzielać zwykły innym koronom, lecz na niearównanie większe, jako to więc sama Świątobliwość Wasza przyznałeś ozywając się wielorako z gotowością saszorycama go zawsze takowemi.

Mniema przeto Król JMó błagając, jako to na nowo czyni, Świątobliwości Waszój, iż błaga samego Wszechmogącego Boga, którego Świątobliwość Wasza jesteś obrazem między nami, temi samymi gorącymi, ustawicznymi, pokornymi i przewłocznymi modły, i tmy więc, iż go Świątobliwość Wasza w ojcowskiej swęj łaskawości i dobroćliwości pocieszysz i ochłodzisz promocyą pomienionego kędza JMoi Viscontiego, przez co go zobowiątasz Świątobliwość Wasza do obmyślenia stanowczych i nieprzepracowanych posług Stolicy Apostolskiej i wszemu chrześcijaństwu, i do trwania w świętobliwej swąj żarliwości przez sbeżne wciąż przeciwnie kaszerom sprawy jakoteż przez pokromienie i podrywanie nieprzyjaściół tej Stolicy świętój i chrześcijańskiego imienia. Co wszystko i t.d.

decyby mieli na zdolnościach i przymiatach, jakich urząd nuncjusza wyciąga sam przez się; i aczby nawet jak najuiżej cenili siebie przez skromność, niemoglibywsakże nie przyznać, iż Papież różnie o nich trzyma skoro ich obrał za swoich urzędowych i jawnych przedstawicieli w wielkiem państwie. Z samej tedy nuncjatury możnaby się dorozumiewać godności kardynalskiej jako następstwa w swoim czasie przypadającego, co by się wręcz sprzeciwiało celom bulli i bynajmniejby się nie zgadzało z wyrazami Papieży Urbana VIII i Innocentego X.

Zbyteczna byłoby twierdzić, iż tutejsza nuncjatura jest najszczęśliwszą, a ztąd najbardziej cenioną i pożądaną, już dla tego, że mogliby nam odrzec, iż rząd papieżki wcale się jakoś nie przyczynia do takiego szczęścia, boć nie pamięta o nuncjaturze, jeśli mu jój królowie nie przypomną, lub się obraża, gdy ją zaszczycają nominacją, która na czterech Rangonim, Viscontim, Torresie i Vidonim, w osobie dopiero ostatniego przyjętą została; już dla tego, że nazbyt wiele trzebaby o tém mówić, i wykroczyć by nam poniekąd przyszło z założenia naszego.

Nie rzetelną łaską, lecz larwą jedno łaski ze strony Stolicy s. byłoby prawo nadane téj Koronie mianowania *hunc et non alium*. W takim bowiem razie król przekładałby tylko nuncjuszowi postanowienie Papieża, który go chce uczynić kardynałem, jakoby J. Św. potrzebował orędownika między sobą a posłem swoim; możnaby nawet rzec naówczas, iż król prosi nuncjusza o pozwolenie obdarzenia go nominacją; bowiem taką rzecz ustawałaby już potrzeba, by Jego król Mość wyrażał jój potwierdzenie u Papieża; zaledwo przez czczy ceremoniał wypadłoby poprzednio zapytać, azali Jego Świątobliwość rozumie Nuncjusza być godnym, lub mi-

łym sobie; lecz skurczyłby się godajam, przecież nie miał być i miłym?

Nie należy stoli na tém, czy Papięto uważają nominacją za nominacją lub nie; owszem, niech wątpią o niej lub nawet całkowicie jej zaprzeczają, było tylko wątpiąc albo zaprzeczając pozwolili Koronie polskiej ręścić do niej prawo na wzór innych koron. Pisał o tém do króla kardynał Orsini podobnie na dniu 10 stycznia 1652 bo data niewyraźna, zdając sprawę z posłuchania u Inocentego X: „Głównym przedmiotem sporu było uroszczenie papieżkie, iżby korony nie używały tych nominacji kardynalskich; *gdyż to jest wielkim bardo nadużyciem, o które aż naszyt się spierano*; na cém odpowiedział, iż punkt ten był nietykalnym, że korony od niepamiętnych czasów zostawały w posiadaniu tego przywileju, i że co do mnie nie mogłem się pisać na żadne nowości będące z uszczerbkiem Waszej królewskiej MCI tyle zasług mającego u Stolicy S., iż raczej wypadło przyczynić mu łask niżli go z nich obierać, że nadto zapewniono mi, iż Jego Świątobliwość deszwałając Jego król. MCI udziału w nominacji, *sobospi-czyłby mu przez to stan posiadania téj łaski*, oraz miejsca jakie mu się należy w promocji kardynałów; gdyby zaś co przeciwnego miało wypaść, że niemogłem natedy przystać żadną miarą na szkodliwe nowości ..; słowem po siła ceregielach i omówieniach cała sprawa dała się załagodzić w najlepszą. Pewien tedy jestem, iż Wasza król. Mość otrzymasz pożądane miejsce i na leżne mu zadośćuczynienie.“ W innym znowu liście kardynała do IMCI księdza Domiego z 20 stycznia 1652 zasługują na uwagę następne wyrazy: „Mówił Papię, że trzyma te promocje kardynałów za nadużycie wprowadzone pod pokrywką onéj ustawy soborów, która uchwalono, aby byli kardynałowie z różnych nareków, a która na to zeszła, iż domagają się na jęj mocy przy-

watrych nominacji, śl. Prowadził dalej rozmowę tym samym tonem, ja zaś odpowiadałem na wszystko w taki sposób, że nie przewyższył trudności co do jednej, i uzyskałem pewność wykonania tego, o czem pisał do Jego król. MCI. "Co do miejsca tedy czyli udziału, snadź wszystko dało się ułożyć, a na przyszłej promocji król polski zostanie wyraźnie wymienionym w ten zupełnie sposób co inne korony; bowiem jeśli ta i trzy inne korony rzeczywiście mianują, a jeśli nominacja tamtych trzech będzie cierpiana, tedy słusza, aby i od czwartej cierpiana była, zwłaszcza że idzie tutaj o łaskę, skoro samo to cierpienie łaską ma się nazywać. Niech ani zaś niezarzucają, że nadużyto będąc błędem, nie wolno się na błąd powoływać; boć skoro Stolica Apostolska uważa za błąd zbytnej szkodliwości cierpienie jednej tylko nominacji największym Chrześcijaństwa królem, tedy mniejsi książęta mało, a najmniejsi nie się już niepowinni spodziewać, przez co niewyczerpane źródło łask wyschłoby doszczętnie. Jakkolwiek bądź wszystko co dotąd rzekłem niech posłuży raczej za wamiankę o rzeczach minionych i za dowód bezzasadności i niewczesności wymówek, jakiemi się zastawiano, niż za usiłowanie ku wykazaniu oczywistej przez się krzywdy królowi IMCI polskiemu wyrządzonej. Sam bowiem Ojciec ś. Aleksander panujący zanim nas jeszcze pokrzywdził, oszczędził nam pracy około podobnego wykazu; słowa jego wyrzeczone na konsystorzu do IMCI kardynała Orsini 11 października 1666, same przez się obowiązywały go przyjąć nominację Króla polskiego wtedy nawet gdyby nie było nigdy mowy o podobnym uroszczeniu ze strony Jego król. Mei, ani o przypuszczaniu i cierpieniu onegoż ze strony Papieży.

Kardynał Orsini pisze do króla pod dniem 16 tegoż miesiąca października temi słowy:

„Bacząc niepodobieństwo zyskania osobnej audiencji

na pokojach papieskich, i uważając że już wszyscy posłowie panujących zanieśli byli prośby o promocję swych subiektów, oznajmiłem iż dziśteż reszka od Waszć król. Mei podania instancji o promocję skorobym usłyszał iż inni takową podali; że zaś dowiedziawszy się jako to już nastąpiło na ostatniem posłuchaniu, błagłem w imieniu Waszć król. Mei, aby mu udzielono miejsca w rzeczonej promocji, jako to nieraz już czyniono dla Niego i dla przesławnych Jego przodków, oraz że Wasza król. Mość nierównie więcej teraz niż przedtem zasługiwał na ono miejsce po tylu znojach i bojach, po tylu wydatkach i niewczasach poniesionych na służeniu wierze świętej. Dołożyłem nieco innych argumentów, o ile mi krótkość czasu pozwalała, na poparcie instancji, którą Papież obętnie przyjąwszy odpowiedział: — Używa się zwykle memoriału do podobnych spraw; zostaw go nam Waszmość; a usłyszawszy że go nie miałem, bowiem to nie było we zwyczajn, przerwał mi temi słowy: — Prawda, prawda, list dostateczny; niech go nam Waszmość zostawi. Na co jam odparł, iż Wasza król. Mość nie przysłał mi dotąd takowego lecz ztem się go spodziewał co chwila; że tymczasem tylko uprzedzałem Jego Świątobliwość na wypadek, gdyby już się miał ku promocji, iżby miejsca Waszć król. Mei niezabierano. Odparł: — Postaraj się no Waszmość aby to była osoba godna, i podaj nam ją; upominam tedy Waszę król. Mość byś raczył onę co najrychlej podać. W téj całej rozmowie nie nie słychać o różnicy nominacji i zalecenia, chyba że weźmiem za przymówkę do niej to żądanie memoriału; lecz i w tym razie wniosek się obraca na korzyść nominacji, gdyż Papież oświadcza gotowość do przyjęcia listu; co wszystko oparte na przykładach przeszłości, może się policzyć do niezbitych dowodów.

Wspomina o osobie godnej, nie zaś o kilku osobach; niektórzy utrzymują, jakoby Papież dosadniej się jeszcze miał wyrazić powiadając: osoba godna a nam miła; i jakoby przez tę osobę rozumiał nuncjusza, nie zaś kogo innego. Takowa dosadność nie widzę w czem się ma różnić od ogólników; zresztą, pomijając już, że to wyrażenie nie znajduje się w listach kardynała składając dosyć rozwodnistych, niepodobna wyjaśnić należyte tego szczegółu. Co zaś do słów: osoba godna, nie mogły się one do jednej tylko stosować; gdyby zaś z wielu godnych nuncjusz był się okazał najmilejszym Papieżowi, jemu bezwątpienia byłoby się dostało dostojęństwo jednego z czterech kardynałów ogłoszonych przez *motu proprio* papieżkie, zwłaszcza iż każdy z nich byłby chętnie przyjął księdza Pignatelli dla jego rodowitości, znakomitości i usług przez lat trzydzieści Stolicy świętej oddawanych, za równego sobie w zasłudze towarzysza. List nominacyjny dla księdza Bonsiego wydany został 2 grudnia; niedługo zaś potem ksiądz Pignatelli uzyskawszy z Rzymu pozwolenie na wystąpienie się tegóż, uciekł się najprzód do pośrednictwa królowej, a potem króla IMCi o to błagał. Królestwo zaś oboje odpowiedzieli mu, iż go miłowali i trzymali wielce godnym kardynałstwem; ale że mając jedną Nominację, jednemu tylko mogli onę udzielić, wyznając przytém że już takową oddali księdzu Bonsiemu. Król owszem przydał dość swobodnie, że jego prośba za późnoby przychodziła, wtedy nawet gdyby się sam nie był zobowiązał względem Bonsiego, bowiem jeszcze dawniej ktoś inny nuncjusza uprzedził.

Już na początku stycznia list nominacyjny znajdował się w ręku IMCi kardynała Orsiniego, aczkolwiek go nie podano przed konsystorzem z 7 lutego, ztąd iż dla choroby Papieżkiej nie można mieć posłuchania w innej jak tylko w prywatnej formie. Zanim Jego Święto-

Młwóte wziął do ręki pomieniony list, kardynał Otton, ustnie mu treść onego wykladał; Papież zaś nie dowalając kończyć przerwał mu temi słowy: — Zaczynam Waszność z nominacjami, a wiesz dobrze, że Polska nie ma Nominacji, i że nawet list cesarski musiano przepisywać. Odpowiedział kardynał, iż król IMGi nowości nie wymagał, że list był napisany wedle zwykłej formy że zaś gdyby przypadkiem jaki usterk się nalał można by go sprostować bardzo snadno. — Papież dołożył przytém iż Polska nie mianuje jednego, lecz że salca kilku, a że Najwyższy Pasterz wybiera; na co kardynał odparł, iż wszystkie nominacje znajdowały się w kancelarji stanu, kędy naprózno byś szukał więcej listów niżli jeden do razu, że ta kancelarja zaświadczyć może jako niepodobna okazać listu na kilka osób, i jako nie masz wzmianki o kilku ani w pojedynczych listach, ani w żadnym zbiorze onych noszącym wyraźną Nominacji formę; że wprawdzie bywało iż podawano Papieżom kilka osób do wyboru, ale to tylko w doradczy sposób i w poufnym listowaniu, co przecież tą razą nie miało się tłómaczyć na szkodę Jego Król. Mci, bowiem byłoby to odpłacać zbyt jawną niegrzecznością za uprzejmość i ucziwość wyrządzoną w dobrej wierze. Koniec końcem Papież przyjął list żaląc się wszelako że był zmęczony i że doznawał osłabienia głowy.

We środę 23 lutego ksiądz de Vecchi sekretarz wy-fry przybył do kardynała Orsiniego i mówił mu wianieniu Jego Świątobliwości, że zwraca listy, rozumiejąc także zapewne list pisany do kardynała Ghigi, bowiem nie są we zwykłej formie; że kardynał winien był przeto odesłać je napowrót do Polski oddając Królowi całkowitą swobodę, jakoby o tej sprawie nigdy nie wspomniano, aby taką miarą, Jego król. Mość mógł się poważnie zastanowić nad tą rzeczą. Kardynał bacząc że to był jedynie wybieg ku uwolnieniu się, od usiłowań

jakie sam czynił ku przewodowi onęj sprawy, stanow-
wese odparł, iż listów napowrót przyjąć nie może, al-
bowiem co do listu nominacyjnego, ten był w należytej
formie, i ukazał odpis jednakowego pisanego za kardy-
nałem Vidonim, przydając, że ponieważ Jego Świąto-
bliwość list przyjął, odpieczętował i dzierzył przez wie-
le dni u siebie, sam tedy miał tę rzecz za doskonałą,
i że nadto już był wyprawił gońca do Polski; pokrótce
mówiąc, zakończył w te słowa: — Należy dowiedzieć mi,
że listy są sprzeczne i asterkliwe; co do mnie spełniłem
Nominacja, złożyłem listy, wyprawiłem nazad gońca, za-
czem nie mi nie pozostaje jedno wyglądać łaski Papie-
ża w swoim czasie. Jeśli zaś Ojciec ś. rozumie się być
uwolnionym od prośby, potrafię go przekonać, iż myl-
nóm jest to jego rozumienie, albowiem w imieniu króla
IMCI prosię go nie przestaję i trzymam list za niezwró-
cony; iż zaś takowy nie różni się wcale od pisanego
za IMCI kardynałem Vidonim, dowodem nitż przyto-
czony odpis, a mianowicie ten okres w nim się mie-
szczący: *do błagania W. Ś., jako to więc pokornie czy-
nie, byś go mieć raczył za Nominata na kardynałstwo
przy pierwszej promocji:*

„Najbłogosławieński Ojciec!

„Zastępuje wcale IMC ksiądz Piotr Bonsi, obratny
Floryntyn, Biskup Beziński a Posel nadzwyczajny Kró-
la IMCI Chrześcijańskiego przy mnie, bym się przyłożył
do nagrody, jakowej sposobnym i godaym się okazał
przez swoją umiejętność, ćwiczenia i onotę; bowiem po-
śród ciężkości niedawnemi czasy odemnie doznanym,
a dostannie wiadomych Świątobliwości Waszej, nie tyle
że z najżarliwszą pilnością sprawiał się obowiązków na
się włożonych braterskim afektem a powolną ku mnie

przyjawną Jego królewskiej Mości, lecz krom tego nie puścił żadnej sposobności ani nagody ku popisowywaniu się ze swą osobliwą a nadzwyczajną żarliwością około obmyślenia wewnętrznego porządku tak wielce niezbędnego całemu Kościołowi katolickiemu w tém Chrześcijaństwie Przedmurzu. Takowy słuszny wzgląd na zasługi przereczonego Pralata, i takowe rzetelne ku wdzięczności podniety, spowodowały mię do błagania Waszój Świątobliwości, jako to więc pokornie czynię, byś go mieć raczył za Nominata na kardynałstwo przy pierwszej promocji. Tuszę iż Wasza Świątobliwość stwierdziż on podany sobie wybór, który się odbył z najprzedniejszą bacznością na cześć Bożą a kościelną; czem ojcowska dobroć Waszój Świątobliwości zobowiąże mię nowemi powody do świadczenia Mu we wszelakim razie mój całkowitej a synowskiej powolności. Tymczasem modłę Opatrzność Boską o długoletnie zachowanie Waszój Świątobliwości, zaczem pospoła z mojemu ludy poddanemi Jego błogosławieństwu całuję Mu najświętsze stopy.

Warszawa 2 grudnia r. p. 1666.

Waszój Świątobliwości
Najposłuszniejszy Syn
Jan Kazimierz Król^{ca}.

Nie będzie zgola od rzeczy dodać na tem miejscu że lubo Papież Inocenty poczytywał za nadużycie nominacje wszelkiego rodzaju, nie przyjął jednak listu przeto iż mu się zdał być raczej zalecalnym a niż nominacyjnym, powiadając iż niechce otwierać szranków do domagania się innego kapelusza tytułem Nominacji. Atoli z dobrodziejstwa swobody, jaką wracano Królowi niepodobna było korzystać, bowiem od 23 lntego, dnia w którym list oddano, do ranka 7 marca kiedy nastą-

piła promocja, liery się jedno dwanaście dni oalkpitych, czas ledwo wystarczający najrątszemu gońcowi na pomknięcie się cokolwiek dalej za Wiedeń, nie już na dotarcie do Warszawy o dobrych dziewięćdziesiąt mil stamtąd odległej. — Widać tedy że gdzieby nawet król chciał być korzystać, czego nigdy nie miał na myśli uczynić, chęci jego nie byłyby wzięły skutku, skoro Papiież nie tylko przyspieszył promocją, ale wszystkie w niej miejsca był już pozapełniał.

Przydaje Papiież: aby Jego król. Mość mógł się poważniej zastanowić nad tą rzeczą; a jednak król IMC powiada w swoim liście iż książdz Bonsi jest obrotnym Florentynem, synowcem kardynała tego nazwiska, i że uchodzi powszechnie za człowieka zasługującego na kardynalstwo przez rodowitość, naukę i obyczaje; że jako poseł nadzwyczajny króla chrześciańskiego potrafił zaszkarbić względy króla Polskiego, bądź stając się orędownikiem sowitych i wielorakich oświadczeń szczerzej przyjaźni ze strony swego pana, bądź przyczyniając się częstokroć, jako na żarliwego przystało kapłana, do ustalenia pospolitego pokoju i niemalą przynosząc chlubę swemu stanowi przez dobrowolne podjęcie siła dzieł przytłudnych. Listy są jednobrzmiącej treści, i były tak jeden jako i drugi złożone temuż Papiieżowi Aleksandrowi. — Oddaje, prawi, zupełną swobodę królowi jakoby nigdy nie było mowy o rzeczonój sprawie; lecz co za swobodę? — Mianowania nuncjusza a nie innego. — Alić jakoż to mianowanie ponawiać, jeśli kardynał Chigi twierdzi, że Polska nie ma Nominacji, lecz tylko zaleca, a to nie jedną, lecz kilka osób? Tymczasem osemu twierdzeniu kardynalskiemu przeciwią się te słowa: iż dopóki zostaje w Polsce nuncjusz zasługujący na kardynalską godność, Papiież nie zezwoliłby nigdy aby się komu innemu dostała, dzierżąc to za krzywdę wyrządzoną wspomnianemu praelatowi. Alić jeżeli

nuncjusz rzeczywiście godnym, co niewątpliwie, kardynałskiego stopnia, tedyć zgola zrozumieć nie można innego krzywdy, jaka ma się dzieje przez to usunięcie od promocji, ma być przypisaną królowi IMfli posiadającemu jedną tyle Nominację, prędzej niż komu innemu, jakoby nuncjusz nie był ministrem, i nie mógł mieć tyle zasług co inni, ba nie zrównanie więc od innych ministrów Stolicy Apostolskiej? Nie można więc zgola pojąć nad czém się król ma zastanawiać, osobliwie gdy promocja odbywa się bez żądań dla niego względów

Powiada Papież, iż cierpiane Polsce nominacje, a powoda iż bywały rozdawane li tyle nuncjuszom. Są tedy nominacje i bywają cierpiane; jednakowoż Santacroce nie był nuncjuszem (?). Jeżeli zaś wolno je dawać jedynie nuncjuszom, toć taką rzeczą król polski miał pozostać bez Nominacji przeto, iż Papież Innocenty usunął był Torresa nie milego sobie? A jednak cała trudność podówczas zależała na subjeckoie.

Przykłada Papież iż posłowie niepowinni się mieszać do Nominacji, co też rzeczywiście było najprzodniejszą przyczyną niudania się całej tej sprawy; lecz skoro takowej przyczyny nie nazywano po imieniu, nierazno zaiste było odgadnąć, iż charakter posełki czynił księdza Bonsiego niesposobnym kardynałstwa w umyśle papieskim, bowiem co do bulli i konstytucji, nie widzi mi się by stawały na przeszkodzie posłom; owszem, podobnym postępując strychem otwierałoby się drzewi siła wymówkom i wykrętom, gdyż natenczas aby zostać kardynałem przysłałoby składać dostojęństwa i urzędy przedtém piasłowane.

By król mógł być przypuścić, iż podobna krzywda go spotka, snad kazałby był przedewszystkiem prosić Jego Świątobliwości, aby sama się raczył zastanowić jako wyrazi: — Rozkaż nam Waszmość list przysłać, i postaraj się, aby to była osoba godna, nie zaszcza, że

prośba albo zastanie odrzuconą, albo też będzie przyjęta pod tym jednym warunkiem, by mianowano nuncjusza. Nie mógł zaś mianować Papież, że król IMC będzie nuncjusza mianował, bo wiedział dobrze iż sam nie posyłał temu ostatniemu zezwolenia swego na wyrobienie nominacji czyli na przyjęcie łaski, przeto na wtórem posłuchaniu, kiedy kardynał podawał list Jego Świątobliwości, Ojciec święty mógł przypomnieć sobie, że sam onego zatęczał był jeszcze na dniu 11 października, wówczas gdy go błagano o zachowanie miejsca w promocji dla tej korony, i że nieposławszy rzeczonemu zezwolenia nuncjuszowi niepodobna się było spodziewać, aby list królewski, by dobrze kardynał był go już otrzymał, tyczył się nuncjusza.

Jeśli zaś Papież niechoiał pisać się na nominację jednę w osobie nuncjusza, mógł być przynajmniej dla wyrażenia uczynności opowiedzieć się z takowem postanowieniem, aby zdołano zebopólnie ułożyć się po przyszłościu względem spornego punktu, nim jeszcze król kogo zamianował.

Niesłuch tedy Papież sam się raczy rozważnie zastanowił, że gdyby nawet w rzeczy samej nominacja królewska należała się jednemu tylko nuncjuszowi, przez używanie podobnych ogólników mógł dać snadnie do zrozumienia, iż tą razą niechciał jej przyjąć w jego osobie; bowiem skoro chciał onę przyjąć nie powinien był mówić: — Staraj się Waszmość, aby to była osoba godna, poprzestając zresztą na ogólnikach nieoznaczających innego nad zwykłe papieskie potwierdzenie warunku; ale najostrowsze było odpowiedzieć: postępuj zezwolenie nasze nuncjuszowi. Że zaś wedle wszelkiego prawdopodobieństwa (owczem byłoby zbyt przestęłą wątpić o tém) nuncjusz niemieckanie doniósł Jego Świątobliwości, iż nominację dał księdzu Bensiemu; Papież miał dwa tygodnie czasu, by nawet więcej, za-

nim mu list wręczono, do namyślenia się; ażeby winien był go przyjąć; wiedząc zresztą bardzo dobrze dla kogo był pisany pierwój nawet nim kardynał Orsini otworzył usta by mu treść onego wyłożyć; i nie mógł nie-wiedzieć, iż Bonsi jest posłem natrąciwszy sam jako posłowie niepowinni się mieszać do takowych spraw. — Co zaś do rozmowy między Przeoświeconymi kardynałami Orsinim a Chigim, tę krótkości kwoli opuszczamy, więc dla tego, że sporne punkta w niej dotykane są temi samemi, o których już nieraz była mowa w ciągu niniejszych uwag.

Papież Grzegorz XV ofiarował się z największą gotowością uczynić kardynałem Rangoniego mianowanego przez króla Zygmunta, a wyłączonego przez Pawła V; atoli zgon tego prałata uprzedził jego promocję. Papież Urban VIII zachował *in petto* miejsce dla Korony polskiej; wyłączywszy zaś Viscontiego mianowanego przez króla Władysława, ohoiał wysłać nuncjusza nadzwyczajnego do Polski, niemniej dla wytlómaczenia się królowi jako w dowód poważania swego dla téj Korony. Papież Aleksander VII obowiązuje się bez najmniejszego wzbraniania się uczynić kardynałem podanego sobie subiekta, nie kładąc innego warunku nad ten, iżby był godzien; otrzymawszy zaś list nie odmawia co do osnowy, ale robi trudności o formę. Odsyła go potem pod pozorem, iż nie jest ułożon wedle uświęconego zwyczajem przepisu, ale nie wytyka, w czém się od takowego uchylił, ani na czém zawisł jego niedostatek, oddaje swobodę, a pragnie namysłu, który ani wystarcza ani jest potrzebny; nareszcie zapewnia miejsce winne téj Koronie tuż po trzech pierwszych, a potem milczy bez najmniejszego względu.

Każdy rząd łaćno pojmie, że jeżeli otworzystą nominacji odmowa byłaby walezną zniewagą dla téj Korony, toć podobne postępowanie jest stokroć gorszą; że prze-

to Jego król. Może może z zupełną służnością, stać się przed Bogiem i ludźmi, i że sprawiedliwie może narzekać ten król, który od najmłodszych lat przepasywał miecz przeciwko nieprzyjaciółom Kościoła rzymskiego; ten król, którego panowanie było ustawiczną z niewiernymi heretykami i odszczępięncy walką, i który siłakroć razy kładł na szanie w tyłu pamiętnych potrzebach własne królewskie zdrowie, niosąc je pomiędzy ścierające się przemożne zastępy; ten król jednem słowem, który ferował tyle wyroków i uchwał na korzyść Kościoła i wiary katolickiej, ściągając przez to na się nienawiść i nie lada złości. Taką miłością ogarnia się dom królewski, który utracił dziedziczne państwo jedynie dla wiary świętej co było też początkiem wszystkich ciężkich jego kolei? Ale jakkolwiek bądź prawa królewskie tém się prawdziwszemi i sprawiedliwszemi okazują, im jaśniej baczymy jako główną wyłączenia księdza Bonsiego przyczyną, jeśli przyjmieni w posłuch wieści po pałacu apostolskim krążące, była jego zawisłość od Francyi. Atoli także niepoślednią była odległość Polski, ile że z umysłu szerzą między rzymskim ludem mniemanie, iż jest zbyt odległą by się jej lękać miano. Jeśli zaś żadna z tych przyczyn nie zgadza się z miłą i bezstronną dobrocią, ani z zachwaloną od względów ludzkich niezawisłością, tedy mianowicie ostatnia sprawa, iżby królowie, by dobrze katolicy, nie mieli być powatanymi, skoro panują odległym stronom, co niewiem doprawdy ileby przystojnem było onemu imieniu Ojca powszechnego, jakowém Papieżu się szczycać... Że jednak Polska nigdy niechciała ani zamýślała szkodzić Stolicy świętej, snadnie to poznać ze zwyczajnych i nadzwyczajnych dowodów i okazów osobliwego przywiązania i uwielbienia świadczonych Papieżom równie przez króla IMCi, jako przez chwalebnych jego

przodków, lecz popraczając już na tym całym rzęku
w tej mierze,

Polakim obyczajem
W słowach bez ogródki
Wolną myśl podajem ²⁰⁾.

List Króla Polskiego

do Papieża Aleksandra VII ²¹⁾.

Gdybym się nie miał użalać na wiele innych kroków
Waszej Świątobliwości dotyczących wszystkich ostatnich
kardynałów promocji, sowity powód do skargi zmache-
dziłby w tym, iżś nie raczył Wasza Świątobliwość
pamiętać na słowa wyrzeczone do IMCi kardynała Or-
siniego dnia 11 przeszłego października, to jest aby się
starał o list nominacyjny i aby wybrano osobę godną.
Skośś Wasza Świątobliwość pożądał wyboru księdza
IMCi Pignatellogo Nuncjusza Apostolskiego, nie zaś ko-
go innego, potrzeba było, byś się Wasza Świątobliwość
raczył opowiedzieć z tą ochcią; boś aszkolwiek byłbym
wtedy pozostawił Świątobliwości Waszej, iżbyś Wasza
Świątobliwość posła swego *motu proprio* wynagrodził

²⁰⁾ E come qui si suole
Liberi i sonai
In semplici parole.

²¹⁾ List ten Jana Kazimierza, należący do najcenniejszych po-
mników dyplomatycznych XVII wieku, a równie jak dwa następne
tegoż króla dołączony w rękopisem włoskim do *Uwag* hrabiego
Krzysztofa Masini, jest wzorem mowy i godności.

(Ile że mi to nakazywała powinność, skoro Wasza Świętobliwość samą go udawał za Praksę dobrze zasłużonego Stolicy świętej i wielce godnego kardynałstwa), wypadło jednak nie pozbawiać mię sposobności zadowolenia Waszego Błogosławieństwa, jako też dać poznać mnie samemu, azalim zdołał lub nie ugodzić w to zadowolenia. Wszakże iż Wasza Świętobliwość dozwoliła mi zamianować subiekta na to jedynie by go potem odrzucić wyrazy nieprzystojnymi Ojcowskiej swej miłości i niezgodliwemi z poczuciością, jakowa się należała od każdego, a tém bardziej od Papieży wielkiej Chrześcijaństwa Koronie, niechże przynajmniej Wasza Świętobliwość raczy mi przyznać słuszność, jeżeli ja Król śalować się nie przestam w obliczu Boga, a całego świata dotąd, aż odzierzę tę naprawę krzywdy, do jakowej istotna pobożność żadną miarą mieć wstręt nie powinna. Błagam zaś o nie zaynowską czią Świętobliwości Waszej, i niechciałbym, iżby ma dalekość, a może być krom tego stan fraszliwy, w którym się znajduję, miały nadwąlić słusznych ku pocieszeniu mię powodów; bawiem natenoczne z mojem uholewaniem a przygana Jego imienia urosłoby u ludzi rozumienie, iż względ na mocarstwa i władze ziemskie mocem drugdy zagłuszyć świętą sprawiedliwość, co więc, Najbłogosławieństwo Ojczy, nie najlepszą byłoby zachętą dalekim książętom ku nawróceniu się do wiary świętej i ku oświadczeniu się, jakim sam zostaje

Warszawa d. 5 kwietnia r. P. 1667

Waszej Świętobliwości
Najposlušniejszym Synem.
Jan Kazimierz Król“.

List Króla Polskiego do s. Kolegium.

Przeotwieceni i Przewielebni Panowie!

Wiadomo Waszym Przewielebnym Mościom jakie pokorne prośby zanesione były w imieniu naszym Najbłogosławieńszemu Ojcu Aleksandrowi VII, aby raczył w razie promocji dla książąt zostawić też miejsce na naszą nominację, jako więc nadto Jego Świątobliwość rozumiejąc żeśmy się już opowiedzieli w tej mierze, tądą nominacyjnego listu, i jako nareszcie dowiadując się że nie był dotychczas przysłan, powiadał onemu kardynałowi IMCi, aby się takowego wystarał i pamiętał o wyborze osoby godnej. Wiadomo także Waszym Przewielebnym Mościom, iż na konsystorzu z dnia 17 lutego (bowiem na inném miejscu i kształtem innym tenże Kardynał IMC nie przemógł był odzierać posłuchania) był złożon Jego Świątobliwości mój królewski list nominacyjny, a treść onego udzielona mu ustnie.

Zamierzam że po szesnastu dniach umyślił Papież zwrócić przerzeczony list na ręce IMCi księdza de Vecchi IMCi Kardynałowi Orsiniemu, pod pozorem, jakoby nie był w formie przepisanej zwyczajem, lubo niepodobne było wykazać żadnej różnicy między tym a innym pisanym dla IMCi kardynała Vidoniego; więc nie stąpimy do wyliczania innych trudności zadawanych przez IMCi Kardynała Chigi w niedzielę 27 lutego na rozmowie z pomienionym IMCi Kardynałem Orsinim; gdyt zamyślając dokonać promocji w upływie ośmiu dni, toż zapelnąć wszystkie miejsca wakujące, nie dawano czasu na odprawę tych trudności, ani miano żadnego względu na jakiegokolwiek zarzuty lub modły. — Lecz jakby nie było, mamy za to, iż Papież bez wszelkiego zgola

wątpienia był się zobowiązał ogłosić nam kwoli subiekta godnego kardynałstwa.

Wiadomo włąt dostątnie Waszym Przewielebnym Mościom, jako później na promocji zasztęj w dniu 7 przeszłego marca Jego Świątobliwość wykluczył nominacją naszą, oddawszy innym miejsce z prawa należne tój Koronie tąż po subiektach przez tamte trzy korouy podanych. Wielkość ożywistęj krzywdy, jakąwą ztąd odniosło królewskie dostojenstwo nasze, da się snadnie ocenić cnocie, afektowi a roztropności Waszych Przewielebnych Mościów, którym oświadczamy ciężki żal, jakiegośmy doznali, bacząc się upośledzonymi w sposób nieprzystojny ojcowskiej życzliwości i zbożnej sprawiedliwości Rzymskiego Paśterza, którego powagą jako też Stolicy świętęj przodkowanie w wielorakich zastępowaliśmy przygodach i popierali tak w czasie pokoju jako i wejuy. Ufamy tedy statecznie, iż on wypadek sam przez się skłoni Wasze Przewielebne Mości do uczestnictwa w naszych żalach. Jednak iż nam chodzi o całkowitą krzywdy naprawę, aczby już dla samęj chluby tēj Stolicy świętęj, która winna mieć w osobliwém zachowaniu wszelaki godziwy środek ku zadowoleniu i pociesze książąt chrześcijańskich swych miłujących i powoływanych synów, tedy zanosimy przed Wasze Przewielebne Mości najserdeczniejsze prośby, abyście raczyli nas wesprzeć włożeniem się swoim i poradą ku naprawieniu Jego Błogosławieństwa do ustąpienia nam pierwszego w ś. Kolegium wakansu.

Co do reszty, ze zwykłym statkiem obracamy na chwałę Bożą i Jego świętego Kościoła wszelaką naszą sprawę, więc samą naszą królewską osobę, zapewniając przytém Wasze Przewielebne Mości, iż nas wždy obchodzą niepomalu przystojności tego ś. kolegium, toż że w każdym razie względem wszech w obec i każdego z nich z osobna będziemy się starali dowieść po-

ważania a wdzięczności winnych Apostolskiemu ich do-
stojństwu i afektowi zawsze nam świadczonemu przez
Wasze Przewielebne Mości, którym tyczymy najszlachet-
niejszego powodzenia.

Waszych Przewielebnych Mościów

szczerzy Przyjaciel
Jan Kaminiarz Król.

List Króla Polskiego do Kardynała Chigi.

Przebudzony i Przewielebny Panie!

Papież upominał IMCi Kardynała Orsiniego, aby się
wystarał nominacyjnego listu, zalecając jedynie byśmy
wybrali subiekta godnego kardynałstwa. Jego Błogo-
sławieństwo w kilku tygodni później odzierał list no-
minacyjny, i nie tylko iż za odzieniem onego do-
wiedział się ustnie od IMCi kardynała Orsiniego jako
był napisan za Wielebnym księdzem Biskupem Benier-
skim, ale drzewiej nawet mógł być o tém wiedzieć przez
IMCi księdza Pignatellogo nuncjusza Apostolskiego, któ-
remu mówiliśmy jasno jeszcze pierwszych dni grudnia
komu zacz udzielon został. Wasza Przewielebna Mość
mogłeś być przeto oszczędzić sobie mozola około roz-
prawiania czy królowie Polscy mianują lub tyle zaleca-
ją, czy jedną lub kilka osób, czy jedną przez tywot
Papieża lub Króla, czy innym nad zalecane przez Ojca
ś. osoby służy nominacja, i czy pod bytność tutaj nun-
cjusza dostojnego a miłego Papieżowi należał się jemu
a nie komu innemu; albowiem zamilczając iż realność

tych sofistycznych wątpliwości jest niezaprzeczonym dowodem, że się dobrze wymówek by nie uczynić za dość odpowiedliwym naszym sądanom, dosyć nam na tem, iż Papiież się z niemi nie wydał kiedy IMC Kardynał Orsini na konsystorzu w dniu 12 przeszłego października przekładał pokorną instancją Jego Błogosławieństwa, iżby w przypadku promocji raczył zostawić miejsce na naszą nominację, gdyż taką rzeczą powaga papieska byłaby rozstrzygnęła i zaspokoila wszelakie pytanie a trudność. Jakoż to jedno wystarcza na usprawiedliwienie żalów, które zawodzimy w obliczu Boskiem i całego świata, iż Jego Świątobliwość wyłączył naszą nominację, która tuż po trzech pierwszych Koronach winna była odzierać miejsce oddane wszakoż komu innemu, lubo nam należyte a przyobiecane. Papiież Innocenty, któremu niech światłość wiekuista świeci, mawiał że ani Królowie Polscy, ani więc insi, nie posiadają nominacji, ale iż to było tylo cierpiane nadużycie. Nie wdając się już w słusność takowego twierdzenia, mamy za to, iż nominacja nasza dla jednakich przyczyn miała być przyjętą i cierpianą jako więc innym bywa Koronom, skoro w jój posiadaniu zostajem. Tenże Papiież, z tém wszystkiem iż nominacje za nadużycie pomytywał, niepozwoilił podać sobie listu, lub go trzymał za niepodany, przeto iż był w formie zalecalnej, oświadczając, iż pragnie nominacyjnego, by nam odjąć wszelką wątpliwość że w powyższej formie innego nie możemy sądać Kardynała. Rozkazał wiać napisać do nas, iż posłowie Stolley świętej mogli sobie patrzeć onych xłostojenstw z innych rąk niż papieskie. Ś. p. Urban VIII niecheiał przyjąć nominacji nuncjusza z prostego podejrzenia, iż ów dowiedziawszy się jako mu była przeznaczoną od Króla Władysława naszego brata i poprzednika, nie kwapił się z jój odmową. Kilka zaś ty-

godni temu Wasza Przewielebna Mość rzekł do IMCi Kardynałowi Orsiniemu, iż Jego Świątobliwość nie przyjąłby nigdy nominacji w osobie innego subiekta, jedno księdza IMCi Pignatellogo, bowiem jestci onę godzien, aczkolwiek wiedział, że w onczas, kiedy Papiet zażądał listu od IMCi Kardynała Orsiniiego, nuncjusz nie miał bynajmniej zezwolenia na wyrobienie lub przyjęcie tegóż. Alie przecie iż jeden jest Duch święty i że Papiete winni być jednomyślnymi, należałoby takż mówić zgodliwie, a kiedy dobry zarząd Kościoła wymaga jakowej zmiany, uchwalić onę raz na zawsze, a nie zażywać ję swawolnie bardziej ze szkoda pojedynczą niż z pożytkiem pospolitości. Utrzymują że list nie był napisan wedle formy zwyczajem uświęconej, a jednak można snadnie dowieść jako w niczém się nie uchyla od tego, który złożono przy nominacji IMCi Kardynała Vidoniego. Przydają nadto że Papiet zalecając IMCi Kardynałowi Orsiniemu, by się starał o nominację i pamiętał wybrać osobę godną, zawarował, by miłą mu też była. Przypuszczamy iż to prawda, ale żeby się przez te słowa miało rozumieć, że jeden tyle zdola być godnym i miłym, a że takowym jest koniecznie IMC ksiądz Pignatelli, nie zaś kto inszy, zdajemy się w tém na własne Waszój Przewielebnój Mości samienie, który znasz sowicie, że wszystkie te trudności, więc popisywanie się z powolnością, dla nuncjusza jest jedno pokrywką wstrętu do potwierdzenia IMCi Księdza Bonsiego Biskupa Bezierskiego. Ze zaś niepodobna powiedzieć by nie był godzien, i jako taki nie zasługiwał być miłym, owszem, że ztrudna przychodzi wyznać, iż odraza okazywana przed i po nominacji, wypływa jedynie z jego zawisłości i posłowania od IMCi Króla Chrześciańskiego, szermuje się blahemi powody, i bez względu na ich płoć podaje się je za słuszne iu-

demu Rzymu, któremu się wawawia, iż niczego się niepowinien lękać od Króla Polskiego, i że gruntem bezpieczeństwa jest nasza dalekość równie jako i stan kłopotliwy naszego królewskiego domu sięgający czasu, jako dla wiary świętej został wyzuty z dziedzicznego państwa. Taką miarą ten więc tylko możemy pozyszcze szacunek pałacu Apostolskiego, który zdoła te kraje przepłoszyć orężem? i będą odmawiać kardynalskiego dostojęstwa błaganego tytułem czy to nominacji, czy wystawienia się lub zalecenia, księtcim, który po tyle- kroć wśród bisurnaszkich, kacerzkich i odszczepieńskich zastępów gardłował i podawał na szanie osobiste zdrowie?

Zaiste niepowinnoby to wyjść na zelżenie i ujmę naszej królewskiej powagi, lecz raczej na pogorszenie dysydydentów od papieżkiej. A jakoż się tu niegorszyć, skoro wtedy gdy powagę onę naszą zakładamy własną, zabespieszając pokój Papieża ustawicznym naszym niepokojem, i wyrządzając mu nadto wszelaką poczesność, usiłuje się znieślawić w obliczu całego świata nasze królewskie przystojności? Papież okazuje się aż nazbyt drażliwym słysząc jako niektórzy podli nikczemnicy u Minerwy i u ś. Jędrzeja *della Valle* folgują swym namiętnościom, a sam potem niema wcale sumienia narzasać się z nas toż z innych królów.

O tém zaś wszyskiem chcieliśmy sami rozwodzisto napisać do Waszój Przewielebnój Mości, przeto abyś wiedział że teć to jest nasze rozumienie, abyś obmyślił sprawiedliwą naprawę, jakowa się nam należy, więc starał się skłonić ku niej umysł Najwyższego Pasterza, i sam się przeświadczył, iż tyle nadal afektu, szacunku i uwielbienia odniesiesz od nas, ile ich sam okażesz ku naszemu królewskiemu dostojęństwu, bowiem temu nie tyło wedle praw ludzkich ale we wszech wiarach wedle praw Bożych należy się wszelaka cześć i poszanowanie.

Niech tymczasem Bóg miłościwy darzy Waszą Przewielebną Mość wszelkiem weselem.

Warszawa d. 5 kwietnia r. P. 1667.

Waszój Przeoświeconej i Przewielebnej Mości
szczerzy Przyjaciół
Jan Kazimierz Król ²²⁾.

²²⁾ Po listach Jana Kazimierza następuje w tymże rękopiśmie włoskim na str. 309 obszernie Sprawozdanie ze stanu politycznego i wojakowego Polski (*Relazione dello stato politico e militare della Polonia*) przez Sebastjana Cefali. Co do szczegółów dotyczących tego ostatniego równie jak hr. Krzysztofa Masini, patrz przełożone przez nas *Zabiegi Pawła Minucci w Dodatku do Czasu* majowym r. b.

WŁADYSŁAW KULCZYŃSKI.

BIOGRAFIA

KSIĘCIA ADAMA CZARTORYSKIEGO

Generała Ziemi Podolskiej

przez

KAJETANA KOŹMIANA ¹⁾

Ród Książąt Czartoryskich pochodzi od Olgierda Dziedzicznego Litwy Księcia, potomek tego plemienia Adam Książę na Żukowie i Klewaniu Czartoryski urodził się w Gdańsku podczas oblężenia tego miasta dnia 1 gru

¹⁾ Ten krótki rys życia Księcia Generała ziem podolskich skreślił w kilka miesięcy po zgonie jego, zgasły w roku szczerym sąsiad autor *Ziemiaństwa* i *Stefana Czarnieckiego*, Biografia ta w języku polskim nigdy drukiem ogłoszoną nie była, lecz za staraniem rodziny zmarłego księcia przełożona na język francuski przeznaczoną wówczas została do pism zagranicznych. Mаемamy iż miłą rzecz czytelnikom naszym uczynić przypominając im żywot i zasługi jednego z najznakomitszych mężów w narodzie z ubiegłego stulecia, (P. R.).

dnia 1734 roku, Ojcem jego był August Książę Czartoryski Wojewoda Ziem Ruskich, którego powaga i gospodarna rządność, weszła w przysłowie narodowe, matką, Marya Zofia Adama Sieniawskiego Kasztelana Krakowskiego Hetmana Wielkiego Koronnego i Elżbiety Księżniczki Lubomirskiej córka, imienia Sieniawskich oraz obszernych dóbr tego sławnego i zasłużonego w Polsce domu jedyna i ostatnia dziedziczka. Wychowanie i pierwsze nauki odebrał w domu rodziców pod okiem Francuza nazwiskiem de Menett, po ukończeniu których zwiedzał przez lat kilka w towarzystwie doданego przewodnika Tomasza Prusaka później Kasztelana Gdańskiego, Niemcy, Włochy, Francją i Anglią; — Od najmłodszych lat jaśniejąc światłem serca i umysłu przysięgami, do bystrego dowcipu, nieporównanej pamięci łączył chęć nauki, i tyle zebrał z tej podróży korzyści, że już wtedy trudno było rozemnać, czyli dla niego hojniejszemu było przyrodzenie, wychowanie lub fortuna. Powołany przez ojca do kraju, gdzie na niego umówione związki czekały, zaślubił sobie roku 1761 Izabellę hrabiankę Fleming Jerzego Fleminga Podskarbiego Litewskiego a potem Wojewody Pomorskiego córkę, urodzoną z Antoniny Księżniczki Czartoryskiej siostry swojej stryjecznej. — Pierwszy wstęp do publicznych posług otworzył mu ojciec przez odstąpienie za zezwoleniem Augusta III Generalstwa Ziem Podolskich; za życia atoli Augusta III nie miał jeszcze czynnego udziału w sprawach krajowych i pierwszy raz dopiero ujrano go w politycznym zawodzie w r. 1764 na Sejmie Konwokacyjnym, który przed obraniem marszałka burzliwy, po ustąpieniu strony przydawnym kształcie rządu upornie obstającej, pod łaską jego zgubne *liberum veto* uchylił, hetmanów władzę ukrocił, skarb i wojsko pod strat oddzielnych kommissyi oddał, i po długiej nikczemności narodowej przez

wiele zhawienych ustaw ważny i śmiały krok uczynił do wyprowadzenia Ojczyzny z upodlającej ją anarohii.

Jest poważehnym w kraju i za granicą mniemaniem, iż ojciec jego Wojewoda Raski i stryj Kanclerz Wielki Litewski, możni bogactwy, przeważni znaczeniem a oświeceniem wyżej, kierując pod ówczas naczelnie sprawami publicznemi do tronu go przeznaczali; tym nawet widokom przyznają podróż jego do Petersburga, którą w roku 1762 z polecenia ich przedsięwziął; wprowadzisz poznany od Piotra IIIgo tyle sobie zjednał a tego monarchy przyehylnych względów, tyle poważania, iż ten pomoc mu swoją do osiągnięcia Korony ofiarował, lecz bądź dalekim był od chęci panowania, bądź przyszołość przesorniej przegładał, wymówił się; to samo uczynił na sejmikach przedelekcyjnych w Wiszni gdy mu Województwa Raskie podobne oświadczyły życzenie, owzem zostawszy na sejm elekcyjny posłem o głosy dla brata swego ciotecznego Stanisława Poniatowskiego upraszał, i na sejmie elekcyjnym wybór tego króla podpisał. — Obrany powtórę z Województwa Inflantskiego posłem na sejm 1768go podpisał rozwiązanie konfederacyi Radomskiej; do Barskiej która naród na dwa stronnictwa podzieliła nie należał, lecz od zaburzeń domowych uchyliwszy się z kraju, zwiedzał powtórę przez lat kilka Francją, Anglią i Hollandją.

Od początków panowania Stanisława Augusta wszelkie zhawienne tego króla dla kraju zamiary gorliwie wspierając, do uchwalenia szkoły rycerskiej w roku 1766 nie tylko radą się przyłożył, lecz naczelną nią kierowanie na siebie przyjął, urządzeniem czynnie się zajął, i we wszystkich epokach poświęcał się jęj bez zsmordowania i przerwy, sam dla niej porządek nauk przepisał, nauczycieli dobierał, w dzieła naukowe opatrywał i w niej najmilęj przebywając, własnym przykładem i radą serca młodzieży do wyniosłych wyobra-

zeń usposabiał, najmniejsze ubliżenie prawidłom honoru surowo karał, wszelkiego rodzaju zachęceń nie oszczędzał; celującym uczniom znaczeniem swoim drogę zasług ułatwiał, uboższych majątkiem wspierał, zgola był tej szkoły zwierzchnikiem, nauczycielem, opiekunem i ojcem. — Ci, którzy ten naukowy zawód pod nim przebyli, dotąd wspominają, iż tyle u nich miał miłości i powagi, iż najmniejsza ze strony jego nagana te same na umysłach uczniów sprawiała wrażenia, co wyrzut sumienia lub ojczyzny — jakoż pod takim przewodnikiem-wychowawcą tej szkoły, odznaczali się we wszystkich epokach duchem publicznym i miłością kraju — z niej wyszedł Kościuszko i tyle znakomitych mężów, co nie-szczęścia Polski walecznymi usiłowaniami lub chwalebny zgonem uświetnili, i jeżeli wiele Polska winna tej szkole, ta szkoła niewątpliwie Księżciu Adamowi Czartoryskiemu winna jest wszystko.

Oprócz przewodniczenia kadetom dowodził jako Generał Lejtnant wojskiem litewskiem, a po śmierci Fleminga teścia swego objąwszy pułk gwardyi litewskiej, staraniem i nakładem swoim sprawił, że ta część wojska wkrótce postawą, porządkiem i umiejętnością szta-ki wojskowej stała się wzorem dla całego wojska.

W roku 1775 zasiadł w komisyi edukacyjnej i będąc jednym z najczynniejszych jej członków, fundusze po uchyleniu Zakonu Jezuitów — na publiczne wychowanie młodzieży przeznaczone — od dybiącej na nie chciwości gotliwie bronił — a do przepisania zbawiennych prawideł wychowania, porządku nauk, wyboru nauczycieli, starannie i skutecznie przykładał się.

W roku 1781 zostawszy marszałkiem Trybunału prowincyj Litewskich, sam z siebie dawał pierwszy wzór poświęcenia się, biegłości i nie uległej żadnym względom bezstronności; znane są w kraju dwie sprawy pod jego łaską osądzone, jedna możnego jego ojca z uboż-

szym sąsiadem, w której pierwszy na wieść i wynagrodzenie szkód pokrzywdzonemu skazanym został — druga niejakiego Ogonoskiego zbrodniarza najężdżającego domy, który osądzony na śmierć lubo uciekłszy się pod protekcją Massalskiego biskupa od niego na kapłana wyświęcony został, pod łaską Księcia Adama Czartoryskiego zasłużonej kary nie uszedł. Jak daleko czuł ważność urzędowania swego i jak gorliwie uwolnić sprawiedliwość od wszelkich szkodliwych wpływów usiłował, czytać się daje i w jego własnem piśmie w roku 1782 wydanem i w pismach biegłych ludzi w prawie, których do pomocy sobie w tak ważnem dziele wezwał, a piórem ich sam z nabytego doświadczenia kierował.

W roku 1782 posługując z Województwa Wileńskiego na sejmie pod łaską Krasieńskiego oboźnego koronnego odbytym, ojca utracił.

W roku 1785 dla niesmaków publicznych, których ze strony dworu doświadczył, oddalił się do dóbr swoich w tej części Polski położonych, która przy pierwszym podziale Polski na dział dworu austriackiego przypadła. — W tej właśnie chwili Józef II utwarzając z młodzieży polskiej gwardyą szlachecką galicyjską wezwał go na dowódcę, mianując właścicielem pułku jazdy, oraz Generałem Feldzeug-majstrem, z którego później na stopień Feldmarzałka postąpił; wchodząc w służbę tego monarchy nie wprzód stopnie ofiarowane sobie przyjął, aż otrzymawszy zapewnienie, iż nowe obowiązki w niczem obywatelskich powinności jego dla własnego kraju krępować nie będą, jakoż tyle tylko oddając się nowemu powołaniu, ile tego konieczność służby wymagała, częściej przemieszkował w kraju; w kraju synów wychowywał i dzieląc chwile między nanki i towarzystwo prawych obywateli, z nimi się naradzał, z nimi ducha narodowego ożywiał i pomyślniejszej pory dla uciśnionej ojczyzny doczekiwał, a skoro ta w roku 1788

odzyskaniu niepodległości narodowej wdawała się sprzyjać, został posłem z Województwa Lubelskiego. Nie potrzebował być wżosm możnych tworzyć sobie stronnictwo, miłość i ufność ziomków którą posiadał i posiadać był godzien, sama go za naczelnika dobrze myślących wskazała. — Strona ta prawdziwie narodowa, z początku mniej liczna od przeciwniej, lecz duchem, oświeceniem, opinią publiczną i znaczeniem swego przewodnika silna, wkrótce przeważną się stała. Jój są dziełem mądre owego sejmu prawa, wojsko, a nadewszystko rozpoczęta budowa rządu i ustawa, która tron elekcyjny w następstwo a bezrząd w monarchią zamieniła.

W roku 1791 wysłany od króla i sejmu do Drezna dla skłonienia Elektora Saskiego do przyjęcia korony, po asilnych staraniach dobrą wróżbę do kraju odniósł.

Z powodu rozterek domowych i wewnętrznej wojny po przystąpieniu króla Stanisława Augusta do przeciwnego związku, oddalił się z kraju ze smutkiem z obalonego dzieła i razem nie bez pociechy bo w ochronie niepodległości kraju, widział wależącego syna i licznych swoich wychowanców, którzy nie tylko ze szkoły rycerskiej lecz i z obszej służby z pod jego dowództwa przybyli. — Wzywany od zwyciężkiej strony żadanym namieganiem i postrachom nie dał się skłonić do odstąpienia konstytucyjnego sejmu; po sejmie Grodzieńskim, w obwiłach usiłowań rozpasy — acz nie był obecny w kraju, lecz ze bronią pochwyconych wazyszy ci, z którymi przehanie dwielił, związki przeto z nimi utrzymywał i ciele pochwalał. Usunięcie się jego do Wiednia nie osłoniło go od pomsty, a oraz od znacznych strat majątku, i w istocie w ówczesnych okolicznościach równem jego było staraniem przez wpływ swój w kraju zapędy zapalu hamować, jak sprawie niebezpiecznej podważeniu Polski albo pośrednika albo obrońcę w sąsiedzkim państwie znaleźć. Po ostatnim podziale Polski bawięc nie-

jaki czas w Wiedniu, w Krakowie i Siedlcach, zamieszkał ciągle ulubione sobie i ozdobne Paławy, i całkiem poświęciwszy się domowemu życiu wśród towarzysztów niedeli kraju, wynurzonych jego obrońców, wśród uczonych i prawych ludzi wśród nauk i wielkiej swobody, pocięchy szukał.

W przerwach tego czasu cesarz Franciszek II wyniósł go na stopień Feldmarszałka i orderem złotego runa odoblił. — Sejm węgierski na zgromadzeniu swojem 1788 r. jednogłośnie uznał go wraz z potomstwem jego za obywatela i magnata Królestwa Węgierskiego, miał oraz zaszczyt, witać i przyjmować w domu swoim cesarza Aleksandra, w którym już dobroczyńcą redaków swoich uwielbiał, a przyszłego wkrzesiciela Polski wróżyć i przewidywać lubił. — Gdy potem zbiegiem nadzwyczajnych wypadków zorza powstania Polski z innej strony zajaśniała, w roku 1809 Galicya zachodnia skutkiem traktatu Wiedeńskiego do Księstwa Warszawskiego przyłączoną została, wykonał przysięgę na wierność Królowi Saskiemu, i tego któremu przed lat 20 ofiarowaną od naroda koronę zwiastował, jak króla w domu swoim witał — poważany od tego monarchy, czczony od rodaków, wojska i jego dowódców acz nachyłony latami zdawał się młodość widząc w dojrzałych wojownikach owoce starań które w młodocianych sereach naszezepił, rzewniła go wdzięczność z jaką nabyte zasługę i chwałę odnosili do tego, który ich do niej usposobił.

W roku 1812 równie widokami Napoleona jak życzeniem narodu przywołany z domowego ustronia, chociaż sędziwy wiekiem nieoflagując starganym siłom przybył do Warszawy, okrzykniony posłem z powiatu warszawskiego przyjął marszałkowską łaskę i witany w Izbie jako Nestor narodu zasiadł na czele konfederacyi wśród najlepszych wórb, które zewnątrz potęga Napole-

ona a wewnątrz użycie takiego męta do kierowania odrodzeniem się Polski po całym kraju we wszystkich umysłach sprawiały — po kilkumiesięcznym urzędowaniu dostrzegłszy powiększającego się zawikłania okoliczności politycznych, niepewności losu ojczyzny, do której posług raczej imienia jego nie zaś działania użyto, przynębiony wiekiem oddalił się na spoczynek.

Po Traktacie Wiedeńskim miał zaszczyt przyjmować w domu swoim w Sieniawie wracającego z kongresu cesarza Aleksandra i złożył mu z rozczuleniem hold wdzięczności za opiekę, wsparcie i uiszczenie części nadziei rodaków.

W roku 1817 zjechał do Międzyrzecza na spotkanie tego monarchy, aby tam żegnając króla swego, raz jeszcze ojczyznę swoją jego opiece polecił. — Ostatni raz wtedy widział Polskę bo mimo usilnych życzeń jego aby resztę chwil gasnącego życia mógł w jej stolicy dokonać, niedostatek sił i obawa lekarzów uiszczyć nie dozwoliły.

Do późnego wieku dochowując czerstwości sił, przytomności umysłu, żywości i wesołości dowcipu, na kilka lat przed zgonem podzielił równo obszerny majątek między synów i córki i dnia 20 marca 1823 bez choroby cierpień licząc 89 rok, dokonał życia. — Zgon jego acz od lat kilku przewidziany zdał się w całym kraju niespodziewanym ciosem. Nie potrzeba tu mówić o powszechnym żalu i smutku rodaków; ostatnia posługa zwłokom jego wyrządzona do której wszystkie części Polski, i prawie cała ludność narodowa należała, dotąd jeszcze obchody żałobne pamięci jego święcone ²⁾ lepić dają poznawać miarę czci i uszanowania, które otaczały go za życia, stratę tylu zaszczytów, którą w nim

²⁾ Jakiśmy to już wspomnieli, ten życiorys napisany był w kilka miesięcy po zgonie księcia.

Polaka poniosła; jednego mu tylko niedostaje holdu, to jest opisanie dokładnego i rzetelnego spraw jego publicznych i domowych czego ten krótki rys życia zastąpić nie potrafi; godny zaiste i pożądany przedmiot dla prawego pisarza i bezstronnego pióra, tak znakomitego męża zasługi do czci potomnych podać, lecz jest potrzeba czekać aż dzieje narodowe rzucą światło na te zawikłane a tylu błędnemi podaniami przyćmione czasy, które on życiem swoim zapelniał, gdyż nam nieprzystoi z taką płochością o sprawach ówczesnych sądzić z jaką o nich podobało się obcym pisać; teraz atoli acz w tém krótkiem opisanu sumienna prawda to dodać nakazuje, iż równie w publiczném jak domowém życiu, pod względem nauk, oświecenia publicznego, wykształcenia i poloru obyczajów narodowych nikt z prywatnych obywateli zasługą się z nim nierówna. Szedł on od młodości swojej w tym chwalebnym zawodzie na wyścigi ze Stanisławem Augustem i z nim dzieli chwałę wydobycia swojego narodu z poniżającej go ciemnoty i skażenia; wielkie zaiste dzieło, trudne przedsięwzięcie, którego niebezpieczeństwo a zatem wielkość zasługi ten tylko ocenić potrafi, kto był bliskim świadkiem owych smutnych zeszłego wieku czasów, których rzetelny obraz malować bez wstydu i wstrętu rodakowi nie podobna; Czasów! w których za każdym zbawiennym krokiem oburzały się uprzedzenia i nalegi, nazywając to zamachem na wolność, religią i obyczaje narodowe, co było zastarzałych przesądów i ciemnoty zawstyżeniem. Potrzeba mieć było tyle zalet, tyle znaczenia, ufności i niezamordowanej do tego celu usilności, jaką Książę Adam wszystkich możliwych celował, aby zamierzyć, rozpocząć, coż dopiero z pomyślnym skutkiem dokonać tak ważnego i chwalebnego przedsięwzięcia. Jemu tylko jednemu w Polsce mogło uchodzić, bez wywołania urazy i zemsty, wydać wojnę krnąbrnej zarozumiałości i przesądom,

wesołością, dowcipu nie tylko w mowach lecz w pismach publicznych wysmiewał wady, wyszydzał niewiedzę, zawstydział podłość, i do podobnej śmiałości drugich zachęcał. Jawnie szacował, głośno gardził, chętnie pomagał, i temi sposobami pożądanego celu dopiął. — Miłość nauk, żądza czynienia dobrze drugim, były jego panującą zaletą, były że tak powiem namiętnością zacnego serca. — Szczęśliwy że w dostatkach domowych znajdował niewyczerpane źródło dogodzenia tak szlachetnym skłonnościom, sam uczony, uczonych wszędzie wynajdywał, biegłych w umiejętnościach, sztukach wyzwolonych sprowadzał z zagranicy, i hojnie opatrywał, liczny swój księgozbiór dziełami naukowemi zbogacał, — ziemkom podróże za granicę w celu doskonalenia się w naukach ułatwiał, do pisania, do tłumaczenia dzieł starożytnych i nowych zachęcał; nie było uczonego w Polsce, któryby się albo opieką jego nie chlubił, albo do niego lub o nim nie pisał, plodom pracy swojej pod godłem imienia jego wziętości nie szukał. — Wiele dzieł znakomitych nie widziałoby świata, gdyby im hojnością swoją w pomoc nie przyszedł; z tych które jemu przypisano można by nie szczerzyć zbiór zgromadzić. Biegły w starożytnych, nowoczesnych, a nawet w wschodnich językach, wielu z zadziwiającą łatwością i poprawnością mówił, lecz ojczyzną mowę kochał i dla jej zbogacenia trudów i kosztów nie oszczędzał, teatr narodowy i wzrastające talenta hojnie wspierał, stąd też słusznie nauki w Polsce nadeły mu Mecenasa imię, stąd Puławy nie bez powodu uważane były w kraju jako świątynia simaku, nauk schronienie i pryncypał prześladowanych od losu. Tam młodzież narekowała czerpała do miłości ojczyzny zachęty, wykształcenie i polor, tam Szymanowski nucił swoją Świątynię w Knidos, Karpiński sielanki, Niemcewicz powieści i tkiwe dumy, Książka Orfeusza żale, tam Piramowicz układał wymowy prawidła, tam

Ignacy Potocki zwalone siły i zasmucony nieszczęściami ojczyzny umysł pokrzepiał, tam wielu ziemków znalazł upragnione oddechnięcie i spoczynek. Towarzystwo jego było przyjemne, uprzejmość potągająca, dobroć i łagodność niewyczerpana, wesołość dowcipu aż do późnych lat niezmienna, baczność na przyjęte w towarzystwie względy staranna i ciągła, wspaniałość niezrównana. Oczuł mocno powaby przyjaźni i związków jej stale dochowywał, poufałość, godnością miarkował — powaga jego nigdy zarzutu pychy, wesołość nigdy wraży nie śladu, gdzie się obrócił, był duszą i rozkoszą towarzystwa, wszędzie rozlewał wdzięk i przyjemność, do czego pamięć obzerkami wiadomościami oraz zbiorem publicznych i prywatnych zdarzeń z bogactwa, nie wyczerpane podawała mu sposoby, a która w sędziwym już wieku w ocknieniach swoich zadziwiała, i dopiero na lat trzy przed zgonem z stygnącemi zgrzybiałą starością siłami zgasła. Dom jego i sposób w nim życia zalecając się uprzejmą gościnnością polską, nie nosił cechy cudzoziemskich zwyczajów lecz wykształconej polorem narodowości, i razem dawną wspaniałość panów polskich przypominał, w nim można jeszcze było widzieć osiwałych sług i dziedzicznych przyjaciół późnej rodziny. — Dobroczynność jego ku wysłużonym, ku ludowi obzerneym swoim włości, ku wszystkim nieszczęśliwym była bez granic, tak że patrząc na szafunek milionowych jego dochodów rzekłbyś że one nie do niego lecz do uboższych należały, zawsze zdawał się za wiele mieć dla siebie, za mało dla drugih. Szedł naprzeciw z darami, zgadywał potrzeby i ukrywając dobroczynną rękę równie upokarzających prośb każdemu, jak spodlenia się wielu oszczędził; nikt mu też bogactw nie zazdrościł, chyba ci, których gorszące marnotrawstwo tak wspaniałem i godnem onych użyciem zawstydzonem się czuło. — We wszystkich nieszczęsnych zdarzeniach, któ-

rych kraj ten stał się igrzyskiem, nieuległe mniemaniem czasowym, jakich kto bronił, widział w ziomkach tylko braci, tylko nieszczęśliwych. Rozpierzchnionych po obcych krajach szukał w odległych miejscach, szukał w więzieniach a używając całego znaczenia i wziętości jakie stopień jego i związki mu nadawały, łagodził srogość losów i nie jednego ojca rozpaczającej rodziny, nie jednego zanego obywatela nie bez wielkich i nigdy nie oszczędzanych z majątku ofiar ojczyźnie powrócił.

Tak zostawił w prywatnem życiu z siebie trudny wzór do naśladowania, w publiczném rzadki przykład, że dąsa wyniosła i zająca a siebie pewna w jakimkolwiek położeniu się znajduje, na jakąkolwiek uległość okolicznościom wystawioną być może, wszędzie i zawsze kroki swoje nie skalana cnotą, do obowiązków prawego męża i obywatela kierować potrafi.

BAJKI

F. MORAWSKIEGO.

Zwada.

Wśród strasznej spieki, gdzieś tam z po za góry
Zagrzmiał straszny ogrom chmury
A dwie kumoszki stojące za płotem
Tak gadały o tem.
Jedna z nich: kumo okropny grad spadnie
I wszystko zbije szkaradnie
Ztłucze, na proch zetrze,
I jakby nie dość było téj posuchy
Jeszcze głód przyjdzie, po głodzie powietrze
I będziem padać jak muchy.
A druga na to: co wam się też dzieje
Moja Pani Marcinowa?
Wszakże to chmura deszczowa
Śliczny deszczyk pola zleje
Pszeniczka nam się odmłodzi
I sianu rady nie damy

A tyle żyta i hreczki się zrodzi
 Że świat ten niemi zapohamy.
Lecz gdy tak w swojej obstawiały zwadzie
 Ta przy deszczu, ta przy gradzie,
 I tak się wreszcie zacięły
 Że się już czubić zaczęły,
Zerwał się wichur, z całej zadał siły
Rozproszył chmurę i znikła bez śladu
A obie baby strasznie się dziwiły
 Nie mając deszczu ni gradu.

—
Nie ciesz się szczęściem, i nie dręcz przygodą
 Które się może nie zjawia
 Najczęściej obie cię zwioda
 A zawsze na śmiech wystawia.

Żyd i Osieł.

—
Miał raz żyd osła, którego tak zgłodził
 Że już ledwo chodził.
Aż, litość brała, serce się krajało
Patrząc na z owym oślakiem, się stało;
Z całej mu dawniej piękności
Zostały tylko i skóra i kości.
Wsiadł on nań przecież, aby w dzień targowy
 Sprzedać jakiś szacher nowy
Lecz go próżno szuka, zmusza
Osieł się z miejsca, nie rusza
Wali pięta, kłębem łoi
Osieł jak stanął, tak stoi.

Innego może rozpacz: by unicie!
Zrzekłby się pewno i tanga i osła
Ale od czegoż główka kająca?
By zasnąć, przeprosić osła upór dzięki
Bierze więc siana, czepia w końcu tyki
I tak zdala przed nim trzyma.
Osiek nasz chciwe wytrzeszczając oczy
Chciałby się siankiem posycić
Sięga więc... sięga... lecz nie mogąc schwycić.
Zwolna za niem kroczy.
Kroczy i nogę za nogą stawia
I zawsze próżno głodny pysk rozdziawia
A zyd tymczasem jak jedzie tak jedzie
I głupiego osła wiedzie
I póty wiedzie i bije i siecze
Aż się z tryumfem na ów targ dowlecze.

Tak to ku światu ohydnie
Zwodzą się ludzie i narody zwodzą
Wabia je, nęca, głupich za nos wodzą
A osielek idzie.

Szyna żelaza.

Szyna żelaza w ogniu rozgerzała
Tak pod młotem wyrzekała
„Kiedyż się tego tyrana pozbędę
„I dopókiż znosić będę
„Takie i ciosy i męki!“
Ale próżne skargi, jęki,

Hitę ja, hito, słonoma
Aż ja na młot puszczono.
Zapytasz mię zapewne co nabiła potem?
Z wszystkich młotów najstarszym była dla szyma młotem.

Chmura i Świnia.

Grzmiało — wiatr czarną napędzał chmurę
Ciesząc się świnia, patrzyła w górę.
A to mi głupia! chłopiec się odzywa
Od trzech dni słońce moje gnoi żniwa
Ciągłe leją deszcze
Ta się zaś cieszy, że ma padać jeszcze.
A świnia na to: może iż ta słońce
Do twój się zguby przyczyni
Lecz będzie więcej i kał i błota
Nadzwyczaj miłych dla Świni.

DO EUSTACHEGO J.....¹⁾

Jeszcze chodzą przed oczyma
Róże, palmy, wieże, gmachy,
Kair, Teby, Tyr, Solima
Mój Eustachy.

Jeszcze głowa diabła warta
Jeszcze czuje morskie strachy,
Słyszę wycie lwa, lamparta,
Mój Eustachy.

¹⁾ Niniejszy wiersz przesłany został z Włoch jako list przez JULIUSZA SZOWACKIEGO wracającego z podróży na Wschód, do p. Eustachego J. w ówczesną zawiadowcę księgarni i drukarni polskiej w Paryżu. (P. R.).

Jeszcze długo spocząć trzeba
Nim przywyknę widzieć dachy
Zamiast płócien drzew i nieba
Mój Eustachy.

Wiem że zbudzisz mnie z letargu
I pomieśszasz róż zapachy
Księgarskiego wonią targu
Mój Eustachy.

Będę tobie wdzięcznym za to
Przypomnisz mi słowo Lachy
Zniechęceniem, troską, stratą
Mój Eustachy.

Ty napiszesz mi jak stoją
Poetycznej Muzy gachy
I co piszą i co broją
Mój Eustachy.

Dla nich rosły wieże laury
I brzękały druku blachy
Gdym ja gonił Kofy, Maury.
Mój Eustachy.

Niech śpiewają więc Te Deum
Żem rok gubił budząc Grachy
I Scypiony w Kollizeum
Mój Eustachy.

Lecz się wmięszam do Antyfon
Na Egipskie klnę się ptachy
Na kościoły gdzie Bóg Typhon *)
Mój Eustachy.

Klnę się tobie i na Athor *)
Co w Denderze ma swe gmachy
Że się porwę jak gladjator
Mój Eustachy.

*) Typhon — Bóg piekła. :

*) Athor — Venus egipska.

MOGIŁY.

FRAGMENT.

Szary mrok chmurnego wieczora padał powoli na osmutniałą ziemię, odblaskiem zachodu oświeconą łuną krwawą... gdzieś nad wierzchami drzew i lasów przebiegł szumiąc górą wicher zapalczywie szarpiąc obłoki, ale nad ziemią ciążyła jeszcze cisza ołowiana, panował tam spokój duszący, grobowy, w którym pierś oddychać nie może. Niekiedy tylko strumień wiatru przedarłszy chmury, upadał świszcząc na pola, zakręcił piaskiem na rozłogach i wydmach, ugiął drzewa, połamał gałęzie, i znowu wszystko milczało postrachem, jak przed zbliżającą się burzą, oczekując zesłanki Bożej... zniszczenia i śmierci... Pierwszy raz może świat bolał razem z wylękłym człowiekiem i nie szydził weselem pogody z ucisku jego duszy... cały on wydał mi się wielkim smętarzem i jedną mogiłą, z pagórka od którego rozległy kraj w szatach krwawego zachodu i cieniach wieczora rozszerzał się daleką spowity mgłami i blaskami

szatywały... Hologram okiem groby, i jasnowidzenie okazywało mi gości i popioły, sadznieje, dalszy i smutki kłusa w ich głębi spotykały. Cmentarne ostawienie krzyżami, najweselejzym jeszcze były wśród tych grobowisk widokiem, bo stały na nich znamiona wiary, ablagocławiała je modlitwa, ogrodnictwo wspomnienie, parastaly trawy opiekuńcze, okrywały drzewa zielone... na innych mogiłach przewijały się goście, powyrastały gospody, dzwoniło wesoło, wałaly się kapry śmiecia, a żłutcone krzyże rąbała tikieta do ogniska pijałej biesiady... żadna świętość nie była póżnawana, żadne wspomnienie nie pozostało niepokalane.

Myśl ulatująca nad tym światem, potraciała o pogrzebione boleści i zakrwawiała się ziemi... bo nie było stopy wolnej, nie było szczepu nieprzetkniętego z popiołem, z kośćmi, ze łzami, a w chwili jasnowidzenia, gdy wszystko wystąpiło razem z pod warstwy co pokrywała świat wczorajszy, dzieląc go od tego, co się zwiija po jego powierzchni... dusza zadrżała i ścisnęła się od tego widoku.

I była we mnie chwila tak straszliwej boleści, takiego zatrucia duszy, tak krwawych łez i wielkiego ucisku, że świat znikł z przed oczów moich, a czarna zasłona pokryła mi wszystko, i obumarłem od cierpienia.

I pytałem się sam siebie, nie mogąc pojąć skąd tyle było złego na ziemi, skąd tyle smutku? dla czego wszystko tak czarno i grobowe? a odpowiedzi dać nieumiałem... i tarzałem się w wątpliwościach.

A łzy popłynęły mi z oczów i w ich blasku znów odkryła mi się ziemia oświecona krwawą łaną, zachodu i oświeconą mgłami czarnymi... Widziałem jaskię groby i smętarzyska i wszystko co w nich spoczywało, ależ nie mogł dostrzedz aniołów pociechy ulatujących białemi skrzydłami nad padole.

I mogiły same spowiadały mi się z boleści które

kręły, i widziałem je do dna, a było ich pełno i jedna piętrzyła się na drugiej dostając do rozpalonych wnętrzości ziemi... i pierwszy człowiek leżał przy ostatnim męstwie jednym snem śmierci uspieny.

Drobinka wesela która błysnęła tętnu światu, stała się z jego powierzchni, boleść długa wypiętnowała się wszędzie, panowała sama jedna.

I pojąć nie mogłem ani celu cierpienia, ani jego kłosa, ani nagrody, a dusza zwątpiwszy, drżała i wstrząsała się uciśniona strapieniem wielkiem, jakby w obliczu śmierci.

Bolałem nad wszystkiem co znikło i przepadło bez śladu.

Naówczas po kolei wystąpiły ku mnie duchy przeszłości z grobów wywołane tęsknotą wielką, i z kolei mówiły mi dzieje swoje.

II.

— Jam jest duch ludu, co gościł na tej ziemi, mów pierwszy... z końca w koniec jak widzisz i czego oko twoje nie dojrzy, obszary te były przez wieki pod panowaniem naszym. Dziś już i grobów nawet naszych nie znajdziesz tutaj, bo je ziemia niewdzięczna potara. Każda jesień przykrywała je liśćmi, każde lato kwiatami, każda zima śniegiem, każda wiosna mulem i piaskiem... szły powoli w głąb i przepaście i zasunęły się z oczów ludzkich. I umarliśmy całym ludem milionowy bez wspomnienia. A żyliśmy bez przyszłości, a życie to przerwało się jak żywot kwiatu zdeptanego nogą w chwili gdy kielich otwiera do słońca. Pojmujesz ty to człowiecze? tak żyć by zginąć z ciałem i duszą i zniknąć

z oblicza ziemi bez śladu? i nie mieć nawet grobu? gława? szczerbku, i nie mieć kością na smętarzysku pokoleń, i nie mieć niczem nad ziemią, nie uskrzydlić się pieśnią, a nie upamiętnić niczem?

A życie nasze było jednym srogim bojem, bojem z o-taczającym światem, który potrzeba było zdobywać, z sobą bośmy w niebezpieczeństwach tylko spajali się, a w spoczynku grykli niespokojni... bojem z sąsiady, bojem z namiętnością i tęsknicą... I z tych dziejów walki gorącej nie pozostało szczypty popiołu krwi, przesiąkłej, nie! nie! Na ziemi rzadko boleść czyja wywoła mnie do spowiedzi, pieśni i słowa... milcząc, błądząc po pustkowiu i zgrzytam zębami. —

III.

Potém przystąpił duch młodszy i odepchnął starca, który w przepaść otwartą nagle pod stopami jego ziemi poleciał. — Co jego skargi i żale rozdartej piersi mojej? Jam jest duch pobożowisk myśli, duch walki bolesnej a niewidomej, walki serdecznej. Licz mogiły nieznane szeregami, kręgami, warstwami rozsiane po dolinie i górach, i spojrzaj, wiele w nich spoczęło utrapień. Jam jest duch łez niepoliczonych, westchnień wiatrem rozwianych, jęków stłumionych wstydem, płomieni co w głębi piersi gorsały a nie wybuchły — i z nich nic nie pozostało.

Milczą groby, a ptak nad niemi pieśń zawodzi, milczą piersi które zgnilizna wyjada, milczry serece pruchniejące powoli... a śmiech szatana przechadza się w całunach wichrów i burzy. Jam jest duch innej walki, w której krew się nie lała, ale strumienie boleści, w której pot

spadał z ocala i nie używiał ziemi; w której dusza
turlała się na ośle i spadała; nie mając ust by po-
skartować się i ryknąć bólem niewysłowionym. Głok
mogil w których speczywają kości, polica mogił myśli,
namiętności i nadziei zawiedzionych, i zapomnienie
wiekuiste nad niemi!! A jednak te były walki nie-
chętne, to był bój o niebo, to była wojna Tytanów,
i pierś ich roztrzaskująca ją skała przetrzała... a krew
co ją obryzgała czerwonym motem wsmiecha się w
głazach.

IV.

Aż oto duch przystąpił inny i bolał głosem miękim
ze łzami w łkaniu w utrapieniem niewysłowionem.

— Jam duch młodości zmarnowanej i powiedzieć
wiosną kwiatów, rzekł do mnie — spojrz pod nogi i da-
leko, jak ziarna piasku groby moich dzieci w wiecie
przekwitłych, i ściętych w pęzku... w jednych spe-
czywa obwinięta wstęgą niebieską nadziei miłości pię-
tnastoletnia, w drugich odwaga młodzieńcza skoszona
w maju na podcięcie bydłotom... a dalej, ot dziesięć
skalane zwierzając namiętnością i zabite śmiechem śla-
dy, i praca co się z głodu sama pożarła, a nigdzie na
tych grobach krzyta, a stóp ich kłęczących panięci,
i cisza wielka... a w garści smętnej ziemi, wszystko
czarne jak ona... wszystko to poszło jak wody wiośny
do morza zapomnienia... na wieki... i to dłałszy
tycia siła żywota starla na lity piasek i brudne pyły.

V.

I wstał powoli duch siwobrody, zgarbiony, zmarszczony z czerwono wypłakanymi oczyma, w których już żrenic nie było, tylko dwa doły krwią ociekłe.

— Jam jest, rzekł cicho, duch zmarnowanych żywotów i zniedołężniałej starości — płynęło życie i rosło w piersi, rosło i gromadziło się doświadczenie, siła, potęga, bogactwo, w nich wszystkich toczył dzieło ludzkie powoli robak zniszczenia.

Jam jest duch jeniuszów co za życia pomarli w rozrośniętym cielsku, w wyschłych piersiach, w zbolalym trupie. I na co pracował wiek, to zniszczyła godzina, iskra ognia, kropla jedna, dmuchnięcie powietrza, jedno wejście złowrogie... Jam jest duch starości bezsilnej, kłamiącej życiu całemu; której wreszcie zabrakło słów, wejrzenia, bicia serca i wątki myśli, a młode pokolenia uragały się jej i potracaly. I gdy przyszło kopać grób na bohatera zwłoki, rozmierzono go jak na niedołężnego trupa, gdy przyszło stawić pomnik pamięci, wzniesiono go z łożu i śniegu. Jam jest, dodał, duch tych co się przeżyli, których wypchnięto za drzwi bezsilnych, i zmarzli zebrząc jałmużny... a starość ich zjadła młodości owoce, i nie po nich nie pozostało krom szyderstwa co świszcze nad grobem, z wieńców laurowych wijąc pomiotło na mogiły.

VI.

— Jam jest duch enót zapomnianych i opłwanych zasług, mówił następny, wskazując jasną szatę, na której

pełno plam było krwawych i brudnych — jam duch walk
przezwanych niepocziwemi, duch zapoznanej pracy, od-
traconej ofiary i poświęcenia ochrzczonego samolubstwem,
i krzyżów które osłonięto purpurą rozpusty, i skrytych
a potężnych wysiłków, które spętano pośmiewiskiem...
jam duch ukamienowanych męczenników, po których
zostały tylko kamienie, świętych bohaterów, których
wilcy nocą rozszarpali na bezdrożu... Spójrzj... nie
ma mogił nawet nad któremibym płakał, proch moich
dzieci rozwiały burze, rozniosły ptaki, nakarmiło się
nim zwierze, wyssało z ziemi powietrze. — Ślady prze-
ścia zamiętło uragowisko, i stado bydła pasie się na po-
piolach w które się obróciły dzieci moje... patrz i płacz...

VII.

Utrapieniem i boleścią ścisnęło się serce moje i wielki
wykrzyk wyrwał się z piersi uciśnionej do Boga. A duch
jeden jeszcze stanął przy mnie, i milcząc wskazał mi
świat, który jak zająć z końca w koniec, widziałem
oczyma duszy. Świat ten był straszny, czarny, i jękami
się rozlegał jak więzienie. Weselom jego uragały się
pogrzeby, pogrzebom śmiechy rozpusty, nadziejom roz-
pacz, rozpaczom szalone zapędy. Co chwila sypało
mogiły nowe wszystkiemu co żyło, i na nich stawiano
domostwa dla żywych, których uśmiech młodości kry-
wił paraliż zgrzybienia. Wszyscy szli rozpierzchli w róż-
ne strony, potracając się i popychając, padali jedni, po
ich grzbietach stąpali drudzy, dopóki ich nie wgnęśli
w błoto — taniec ocierał się o jęczący pochód na Golgotę,
miecz krwawy krajał chleb święty, płonęły gmachy,
dzieci tarzały się rozpustając jak starcy, starcy płakali

okryci pośmiewiskiem, a w świątyniach targ się odbywał i rżaly konie i rżaly bydła, i krew ich lała się na ołtarzach bożych.

Jedno pokolenie następowało po drugim szybko jak błyskawica, zakopywane je i potrzaskano ziemią, kości przez chwile sterczały z pod niej, dopóki nogi dzieci nie zdeptały ramion ojców... I nie było świętego, nie wielkiego, nie trwałego. Piersi matek karmiły dzieci dwóch ojców zmarłego razem i żywego, miłość dziewczę rozdwajała się potajemnie lub rozpraszała w uśmiechach; przymięgi wierności kochały się wiarołomstwa szaleń, płacz potaniertny pijaną pieśnią... a wszystko i zawsze... zapomnieniem.

Ponad sercami latała niedopierzowemi skrzydły tęsknica, zaglądała w nie, i siadała ssąc z nich odrobinę młodości... Ludzie byli jak ptacy co mając dwie na dwóch świata krawcach ojczyzny, tęsknią zawsze za tą którą opuszczają... i trują i w szczególności wspomnieniem straconego.

Odwrociłem oczy aby nie patrzeć, tak znowu ścisnęło się serce moje — i nowy wykrzyk, ryk raczej, wyrwał się z piersi zgniecionej do Boga... padłem na ziemię brocząc ją łzami krwawymi i wołając: Panie! na coś nam dać życie?

VIII.

I nieczułem jak padłem, niewiem jakem tak leżał nie pomnę jak powstałem, aż otwierając oczy, ujrzałem istotę w bieli i promieniach, która białem ramieniem objawszy mnie, tuliła głowę abolałą i z cicha szeptała słowa pociechy, pieśnią spokoju płynące mi do duszy.

A gdy się sbejżzał, odrywając ręce od białych oczów które mi świeciły, nie byłem już na ziemi. Widziałem ją jeszcze u stóp moich rozciągniętą szeroko, daleko, owianą mgłami, ale krzyki nie dołatywały uszów moich, i z za chmur świeciło na nią słońce pogodne poranka.

Cisza wielka owiewała nas, a głowie mojej tak było słodko spoczywać na ramieniu anioła, przytulonej do cwałej pierai w której nie siemskiego nie było, tem ani nieśmiała otworzyć, by sen uncowego nie przerwać.

A nie był to sen, ale jaw zachwytu — Bolesć podniosła mnie nad ziemię, a anioł który trzymał mnie nad nią w swoich objęciach, i słowa jego, siemskimi niepowtórzone, powoli balaam lały na rany długiego tywota, i potargane myśli spłoty i rozronione serce.

Długom tak spoczywał w objęciach anioła, a nie słychać nie było tylko szelest skrzydeł jego srebrzystych, tylko słodki szept ust jego, tylko oddech śpiawcy, i nutę którą powiew lekki poruszał — a szata szmerem się swym modliła.

Miedzy niebem a ziemią, nieubłogosławiony jessz, ciałem śmiertelnym i nieocyszczonym podnieść się nie mogąc wyżej, czułem już spokój, szczęścia lepszej kraj, której byłem bliżej, i widziałem cały zastęp białych aniołów unoszących się w różne strony koło mnie... Z uśmiechem lecieli z niebios na ziemię, a z ziemi ku niebu.

IX.

Jak w ulu pszczoły robocze, ciało a żywe przedstawiały się białe postacie, posłańcy Boży... i oko moje rozoznawało powoli braci tego, którego nęka podtrzy-

mywała stnie nad ziemią, w półśnięciu patrzącym
biednej zbolelej duszy matki.

Wszyscy braciśkowie witali się z uśmiechem i spo-
tykając sztywną na chrustle łasyli pocałunkiem, kładnąc
słońce ręce na ramionach — wszyscy podobni byli do sie-
bie, a blask niebios jaśniał na ich obliczach i szczególnie
z nich promieniało, i spokój ich otaczał...

Jeden niósł w objęciu białych ramion duszę przema-
rzoną do jasnego spoczynku u nóg Bożych i przytulał
ją do piersi jak matka tuli dziecko, słuchał ją ocierał
z potów śmiertelnych, łzy ustami osuszał, krew szaty
dotknięciem obmywał.

Inny na promyku leciał z zacięciem rany gojącego
napętu, gdzieś ku czarnej naszyj dolinie, a spieszno mu
było i oczy jego pół płakały, pół uśmiechały się na-
dzieją.

Inni polewali ze złotych kosek światło zasiane pola
duszą uniesioną, rosą uszyszenia, inni szaty swe białe
repostierali osłaniając łasy od burzy, inni odganiali
niewidoma duszy słoneczną mieciami ognistymi i krzy-
żem jasnym, ci ścigali promienie, tamci rzucali cięt
chłodny.

Inni nieruchomi zdawali się oczekiwać rozkazów, pa-
trząc po morzach i łąkach, po lasach i polach... z za-
łożonemi na krzyż rękami, ze zwieszonemi głowy, tuląc
się po dwu do siebie od chłodu którym na nich wiała
ziemia.

Jeden niósł matce sen o dziecinie co śpiewało chwałę
Bożą, i śpiewając w niebiosach, po niej tęskniło, a sam
Bóg mu się litował; — drugi z obrazem matki na szacie,
leciał ku dziecku do nieba.

Łasy z ziemi westchnienie boleści do krzyża Chrystu-
sowego rozpiętego w niebiosach, dągił co żywiej pod-
nosząc się wysoko, a szata biała migła za nim długi
wstęgi.

Trzeci próby i modlitwy zabrawszy w pełną dalmatyki, jak żniwiarz z pola wracający, spieszył z niemi do Bożej stodołki, a oko jego spoglądało z litością na szare i czarne, na świecące i starte próby set ludzkich, z których mało było czystych i całych. Jedne podnarażwały namiętności, drugie splamiliły łzy ziemskie, inne w proch się rozsypały, tak były lekkie i blache.

Anioł nad jednemi płakał, nad drugiemu wzdychał z litością, a ciotko mu z niemi było; i zginał się pod ich przemianami, aż zbliżył się do strumienia łaki i obmył w nim modlitwy i poniósł czyste i świecące.

Byli co nieśli palmy zielone na ziemię i krzyte na ziemię, narzędzia męki i krople pociechy.

Był jeden co promyk nieba jak kwiat jasny pisał w rękę, aby nią czyjąś boleść oświecić i wnieść niebios ją orzeźwić.

Był, co łzę jak perłę czystą niósł na dłoni do góry.

Był, co pot po przeciwej pracy do Boga ednosił, imi nieśli słowa dobre na czystych kartach złotemi głoskami pisane. A spojrzawszy na ten ruch posłańców, ziemia wydała mi się mniej straszną, i życie nie tak nierówną zagadką, gdyż zastęp duchów zobaczył — i zapytałem anioła: zawsze ci jest tak?

X

Usta jego uśmiechnęły się z polkowaniem macierzyńskim.

— Biedne dziecko, rzekł całując wypłakane powieki moje, jakże ci gorzko musiało być w życiu, gdyś tak zwątpił o Bożej mądrości i opiece? przez jakie przeszedłeś próby? ileś przecierpiał po cichu i niesprawiedliwie?

— Ja? rzekłem — ja? a cóżem ja jeden? małuczki pyłek na małej ziemi naszej... jedno nie, wśród tego tłumu co cierpi cały! Serce zaszło mi goryczą wszystkich ludzi razem, widokiem męczarni otaczających... i słysząc jęki, zawróciła mi się głowa... zwątpilem o świecie, pojąć świata naszego nie mogąc. Tyle w nim złego, tyle brudu... tyle czerni, łez tyle... a tak krótko trwa wszystko?

— Wolalżebyś by boleść dłuższą była?

— Ale jedna ona nie ustaje nigdy — a co najsłabszego, najlepszego, co jaśniejszego, to znika i ginie w chwili jednej... powiedz mi, dla czego wszystko ściera się i ginie.

— Aby żyło i odrodziło się w niebiosach? Dziecię moje, ty się uskarżasz na ziemię, ty tęsknisz nad jej znikomością... a sam ten ból twój jest nieba pragnieniem i stopniem do niego. Dziecię moje, z ziemi na ziemię patrząc, mgły ją zasłaniają, ztąd na nią patrz ze mną, a inaczej ją zobaczysz.

Wszystko tam znikomością, ale nie cała ona tak żałobą pokryta, tak bólem przesiąkła i ciemnościami osuta. Są i tu chwile jasne, są i tu ludzie bieli, ale nie żądaj nieba bez chmury i z ludzi czystych aniołów. O! niema u was ani szczęścia bez goryczy, ani istot w którychby sercu nie czerniała plama grzechu... chciałżeś od ziemi co tylko niebiosu dać mogą? Chodź ze mną dziecię moje, a inaczej świat zobaczysz, ja cię prowadzić będę.

XI.

A gdy to mówił anioł mój, podniosłem głowę nieco, pokrzepił mnie uśmiechem, uczulem siłę w sobie, i po boleści nastąpiło jakby odetchnienie spoczynku, powieki

jeszcze nie oschły, serce bić jeszcze nie przestało, ale gwałtowne cierpienie ustępowało zwolna, i z rezygnacją spojrzałem teraz na kolebkę naszą, na cmentarysko... Skrzydła anioła poruszyły się i poczęliśmy się zbliżać ku ziemi, a on wskazał mi ręką znajomą okolicę.

— Wszystko tu zmienne, przechodzące, niestałe... smutek wieje od chłodnego oblicza matki waszej, ale nie rozpacz... Patrz jak z więzienia tego ulatują dusze wyzwolone, jak tu wszystko splata się, spaja, słoniec i burze, uśmiech i smutek. Nic nie ma trwałego, ale i boleść nie żyje wieki. Całe życie wasze to chwila i gdy zamkniesz powieki, błyskiem ci się wyda co sądziłeś wiecznością, gdyś cierpiał. Nie masz się czym pocieszyć choć chwilę? Z tych serc skalanych, strzelają niebieskie uczucie kwiaty, w najzepsutszszym jest jeszcze białe ziarnko poprawy... tęsknoty... zgryzoty... A też właśnie młodość cała jeszcze niebiosami woniąca, a też serca i oczy płaczące towarzyszków podróży? a toż przywiązanie ofiar pełne? nie są to obrazy słodkie, którym się i anielskie radnią serca? A bólów wiele i kału wiele... ale można rozpaczać o ziemi... i odpychać to pobożowisko pogardą? Nie — dziecię moje... niebo jej strzeże... i czuwa nad nią... a żadna łza nie ginie, żaden jęk nie rozprasza się, żadna kropla krwi męczeńskiej darmo w ziemię nie wsiąka.

Widziałeś ten rój duchów ulatujących nad nią, w obłokach? Oko ledwie może ich dojrzeć w chwilach gdy cała dusza oderwana od świata wpłynie w rozszerzoną żrenicę, jak w białej jasności słońca niewidzi siedmiu tęczy kolorów, póki mu ich łza nie rozłoży na siedem wątek oddzielnych. Ale duchy są wszędzie, otaczają was, wspierają, przynoszą myśli, dźwigają tęsknice wasze i zawołane stają w pomoc niewidome. Człowiek

sebie to przypisuje co im wipien... i woła, zkad mi ta sila? i pyta: zkad mi mysl taka?

Otwórz oczy twe i patrzaj jaki rój istot różnobarwnych zwija się nad wami? Wasza posługa to ich życie, są to siostry miłosierdzia niebios, jak wasze siostry miłosierdzia są aniołami ziemi... nie żyją dla siebie, służą drugim. Te duchy jasne zesłańcy niebiescy, te szare pokutujące za to że nadto ukochały ziemię i oddzielić się od niej nie mogące, te czarne duchy, którym Bóg dozwolił jak narzędziom zbawienia dokuczać ludziom, by z nich cnoty wywołać i do boju wyzywać... pełne ich powietrze, wody, pustynie i miasta, ich głos słyszycie w wietrze, ich mruczenie w strumieniu, ich mowę w szumie drzew, ich śpiew w tej pieśni, którą dusza wasza śpiewa w osamotnieniu. Z nimi rozmawiacie mówiąc z sobą, oni wam odpowiadają pociechy uczuciem na modlitwie, przeiskają powiekę wezbraną, gdy sami płakać nie możecie, by z niej łza wytrysła, zwieszają uśmiech niespodziany na ustach, kołyszają do snu dzieci wasze i towarzyszą starcom znękanym do trumny. Od jednych ulatują płacząc w niebiosą, gdy czarni niemi owładną, do drugich zbierają się gromadnie w chwili boleści.

Im winniście uczucia szczęścia i spokoju, ten chleb niebieski, który wam po częstce przynoszą posłowie niebios; jeden wam kładzie na sercu szczyptę nadziei, drugi zapala miłość, inny gasi gorzkie wspomnienie i goi powoli ranę serca głęboką. Niewdzięczni odpychacie ich często; a zapieracie się zawsze. Los, mówicie, człowiek, przypadek to zrządził, a aniołowie uśmiechają się niewidomie nad wami z słów waszych, bo niema istoty tak strzeżonej z woli Bożej, jak człowiek. I krok jego każdy obrachowany i każda myśl otoczona, i każde uderzenie serca naprzód wypielegnowane; a gdy wśród dwóch wpływów, woła i dusza,

pójdą choć częścią za lepszym, ku Bogu, ku niebiosom, wszystko się tu rachuje, i do kosza zasług waszych zanoszą, i do skarbca waszego zamykają, by w dniu uroczystym powrotu, utkało szatę zwycięzcy, dało mu listek do wieńca, klejnot na piersi... i o włos zbliżyło go do światłości niebieskich.

XII.

— Świat wasz, mówił dalej anioł, nie jest dziełem przypadku — patrz, rzekł wskazując na ziemię, — oto drzewo które rosło wieków kilka, a na nim liść jedna rozwinęła ostatnia wiosna, liść jeden ze stu tysięcy, które objadło robactwo i oberwały burze; biedny liść maluczki, co go ledwie oko dostrzeże. I żółkł jesienną posuchą, oto na włosku już zawisł na gałęzi — nareszcie przychodzi ostatnie dmuchnienie wiatru, porywa go, unosi i rzuca w przepływający strumień. Liść czekał tego powiewu, pada, przypatrz się... W strumieniu tonęła mrówka, którą on przeznaczony był ocalić. Liść ten nie upadł przypadkiem, ale od wieków przygotowaną wolą Opatrzności, aby istotka biedna, którą dzieci czekały, dziatki głodne... przezeń ocalona została.... Drugi liść gnijąc, podsycił kwiatek, który ocalił człowieka... Mądrość przedwieczna wydała dąb ten przed stami lat, aby liść jego jeden mrówkę, drugi człowieka ocalił. Tak dzieje się tu wszystko, i niema losu a trafu, jest obmyślenie opatrne... ziarno niesione wichrem nie pada bez woli Bożej, serce nie bije i miłość nie przychodzi, i zapomnienie nie okrywa całunem bez Niego. Miliony jestestw ocierają się i spotykają z sobą, a wszystko tak obrachowane, aby każde przyszło w porę

drugiemu karą, pociechą, bodźcem, boleścią płodną, aby wzajemnie wspierały się, osładzały, budziły.

Żadne spojrzenie nie leci bez woli Bożej, ani przychodzi daremnie, żadne uczucie nie wyrasta w sercu bez przyczyny i bez skutku, i to co ludziom zdaje się niczem w życiu, jest czasem wszystkiego nasionkiem.

Patrz, oto dwie istoty nieznane, dwóch życia pielgrzymów idąc drogą, spotykają się trafem, na chwilę, raz tylko w życiu. Nie przemówili do siebie, spojrzeli tylko, oko czarnej kobiety utkwilo głęboko w piersi człowieka, obraz mężczyzny podniósł myśl kobiety — zatrzymali się, westchnęli, i poszli dalej. Ale nie było daremnem spojrzenie, ono podniosło duszę mężczyzny zachwytem ku pięknemu, ku dobremu, ku wielkiemu... w duszy kobiety zrodziło tęsknicę pobożną... oboje tchnęli na siebie czystością, zapalem, i dali sobie siły i wymienili skarby, i poszli... nieznając się więcej. Tylko dwaj aniołowie przewodnicy ich, lecąc nad nimi zbliżyli usta i uścisnęli dłonie białe, mówiąc — do zobaczenia!

Któż policzy ile to wejrzenie cnoty zrodziło w nim wstydu i miłości w niewieście, ile on stał się przez nie lepszym, a ona czulszą, ile niebieskich tęsknic wylało się z promieniem żrenicy, którą Bóg na to zapalił ogniem świętym? Ile dwie grzeszne istoty wylały z siebie cnoty, której były naczyniem? Aleście wy ślepi i lekkomyślni, rzekł tęskno anioł mój — i gwar własnego żywota dojrzedz wam, dosłyszeć, zrozumieć nie daje... biedne dzieci! płaczecie gdy dziękować-byście powinni, dziękujecie gdy lękać-by się potrzeba, a idziecie kierowani więcej prawicą Bożą i tchnieniem aniołów, niż własną wiedzą i siłą.

XIII.

Powoli zstępowaliśmy ku ziemi, a dzień nad nad nią przelatywał to słońcem obłany, to chmurami ocieniony, schodząc z jednego kręgu, wstępując na drugi, tu do snu kołysząc, tam budząc do życia. I widać było jak stworzenie wszelkie otrząsało się ze snu i kwapiło do krótkiego żywota, lub znużone szukało schronienia, by nowych sił w snach zapomnienia zaczerpnąć. A oblicze ziemi miało całą rozmaitość życia, wszelkie jego żywioły, kolej niezbadanych pogodnych i burzliwych chwil wypełniała całość niepojęta zmian tysiącem, zawsze obok śmierci wskazując życia drugiego początek.

— Wiem, rzekł mi anioł, przytulając znowu głowę moją do swjej piersi — gdzie twój wzrok leci i serce cię pociąga; oto zbliżamy się do tego zaczarowanego kątku, w którym uwiążesz duszą... Nie wskażę ci innej krainy bo byś tam życia ni ludzi nie pojął, polecim nad twoją rolę czarną owianą mgłami smutnemi, a tobie najpiękniejszą i najdroższą, choć ją także tysiąc odwiecznych mógł zasiał.

Poznałem po dymie, który mi wietrzyk przynosił, że my byli nad ziemią naszą, z której dotąd ani na chwilę stopa moja ani serce nie zeszło.

Dojrzałem lasów szeroko zielonemi gronami rozciągniętych wśród równin, które złote pasy zbóż przerywały... Gdziekolwiek wiała się niebieska wstęga rzeki, na żółtych piaskach, na zielonych wierzb i łoży zaroślach, gdziekolwiek siedziały wioski przytulone do matki ziemi i strzelały w górę białe kościółki i piętrzyły się ubogie miasteczka jak nieczyste mrowiska. Ten kobierzec kraju

naszego wydał mi się uroczo pięknym, i zabiło ku niemu stęsknione serce, a łza z oczów spadła na szatę anioła, na której czarną wystąpiła plama — płakałem za ziemią, a duch to był z niebios czysty i we łzie mojej coś niewinnej, znalazł się zaród grzechu, który ją pokalał.

XIV.

— Patrz, rzekł duch, oto ci pokażę kilka żywotów ludzkich z miliona... one cię może z życiem pogedzą. Wszystko to mija jako sen, znika jak cień od chmury, jak marzenie widma... jak mgła poranku; ale wśród tych snów ciężkich i czarnych, są jasne i piękne. Nie płacz że ludzkie oczy ich nie widzą i pamięć nie obejmuje, wszak ci woń ich ziemi niesą do niebios aniołowie do tronu Ojca, i każde go dochodzi westchnieniem, każdemu zwycięztwu nad światem, poklaskują chóry serafinów i zastępy anielskie.

Jeżeli co pocieszyć i uspokoić powinno, to widok cichego żywota, który cały płynie cnotą i poświęceniem. Czém obok niego hałaśliwe życie innych ludzi, całe w kłamstwach i samolubnym pokazie, które się rozchodzi, pamięta, zadziwia, ale gdy je aniołowie poniosą do góry... lekkie będzie i nic nie znaczące. Inne są sądy Boże a inne wyroki wasze, to co wam potężném się zdaje, tam grzechem jest może, co tu niewidoczne, tam wielkie i święte, a im ciszej się cierpi, im więcej boleść ukrywa, im więcej taż z ofiarą, tém świetniejsze w niebiosach czekają palmy i wieńce.

XV.

Mówił, a szmer głosu jego lał mi w piersi spokój jakiś niewysłowiony; inaczej spoglądałem teraz na ziemię, z za łez które startł dłonią białą, wzrok mój oschły, głębiej coraz sięgał w ziemię, widział jaśniej i przenikał nie tylko pod zakryte miejsca, ale w najzamkniętsze piersi tajniki.

I spostrzegłem między mogiłami wśród kości spalonych na stosie namiętności i poczerniałych od złego... białe niewinnych całuny i szczątki przemienione w drogic kamienie, nad którymi stali geologowie tłumaczyć ich pochodzenie ogniem i wodą, gdy one wszystkie były dziełem dusz wybranych, co pył ziemi w klejnoty przeistoczyły, co ziemski proch brudny w dziwnych barwach i piękności przemieniły kształty.

Widziałem tam tajemnice nieodgadnione dla oka co się nie załzawiło i nie podniosło z aniołem do niebios, i nie oświeciło cierpieniem wielkiem, a gdym zapatrzonej dumiał, rzekł anioł do mnie:

— Chcesz żebym prochy wkrzesił i przywiódł je przed ciebie, aby ci mówiły o sobie? Wy patrzycie na złomki życia ze świata — chceszli obejrzeć całość jego podniesiony ku niebiosom?

I nie czekając odpowiedzi, której mu dać nie śmiałem, anioł złożył ręce i począł się modlić ku źródłu światła, które jaśniało nad głowami naszymi, a modlitwa jego widomie jak promień biały wstępowała wysoko, pędziła się w górę, aż utonęła w wiekniastej aureoli zawieszanej w środku światów.

I po chwili na promieniu który z jasności nazad odstrzelił ku nam, widziałem zstępującą ze smutnym obliczem

i złożonemi na piersi rękami, daszę jak śnieg białą. Sala powoli po promieniu ku ziemi, jak wygnanka stęskniona a posłuszna wyższej woli... i spuściła się ponad ohwastem porośłą mogiłą smętarza... okrytego drzewy i gąszczą.

Było to stare pole spoczynku, na którym już dziś zwłok nie chowano nowych, bo dla nich miejsca między starymi nie było, i rydel grabarza rozbijał się o poprućniałe trumny i niedognite kości. Groby okrywały jeden przy drugim całą tę przestrzeń, ostatni wyraz życia kilkunastu pokoleń. Tu i owdzie sterczały jeszcze na nich kryzły, wałyły się gruzы cegieł, kamienie porozbijane i starte, szczątki drzewa, i zdziczałe niegdyś pielęgnowane żalem rośliny, ciężko z ohwastów wybijające się ku światłości dnia Bożego. Ze stu drzew może zasadzonych ręką pobożną, kilka wzrosły w grube konary, nie siano i niesadzone przybiegły z litością okryć od wiatru grobowiska ubogich.

Gdzieniedzie na świeższych wzgórzach darnią porośłych, chwałt nawet niemiał się czasu rozplenić... stały nagie i odkryte... W rogu tego pola umarłych zapomnianego i opuszczonego przez żywych, w kolo którego obalił się parkan i farta wiodąca doń upadła; ujrzałem ducha zlatującego na niedawną jeszcze mogiłę i powoli przez warstwę ziemi zbitej przeciskającego się do jej wnętrzości. Tam w przepruchniałej trumience trochę leżało popiołów i kości ściśniętych ziemią i zmartwiałych. Gdy duch wionął na nie, powoń poruszyła się garść prochu i z lekka zarysowała się przed oczyma mojemu postać niewiasty spoczywającej w trumnie odzianej szatą białą; ze złożonemi rękami i krzyżykiem na piersiach.

Błada i martwa zrazu postać ta dzwignęła się a ziemia rozsnuęła i rozstąpiła dzwigniona ramieniem ducha, który panuje wszystkiemu... i z otwartego grobowca

powoli wysunął się jakby posąg marmurowy niewiasty, która z westchnieniem znużenia siadła na brzegu czarnej przepaści.

Nieziemskie to było zjawisko i na licach upiora, zaś było że duch co go ożywił niedawno z niebios powrócił. Stopniami ożywiło się białe lice i powracało życie, drgało ciało wskrzeszone, i jakby ze snu wychodząc kobieta podniosła oczy na znaną okolicę, zdając się chcieć i niemogąc przypomnieć świata na który chwilowo wracała.

Naówczas dopiero ujrzałem to onowione zjawisko, z bijącym sercem oglądając na nie. Była to niewiasta w całym blasku dojrzałej idealnej piękności, biała jak lilia, promieniejąca, uśmiechnięta smutnym uśmiechem zagrobowym i zaświatowym... nieziemskim. Ował jej twarzy miał ten niepościgniony wdzięk linii, którego żadna dłoń artysty odtworzyć nie potrafi, a ręka tylko Boga zarysować jest w stanie. Na białem tle lica, jak dwie pochodnie paliło się dwoje oczów czarnych ognistych, ale smutnych i żaławionych, a powieki co je otaczały jakby wyplakane ciemniały barwą smętną, brudną wśród marmuru lica. Wysokie czoło białe nieprzeciętą jedną zmarszczką jak sklepienie świątyni duszy wznosiło się nad smutnymi powiekami; dumало ono myślą nieśmiertelności i tęsknotą za wiekiastą ojczyzną. W ustach był uśmiech i płacz razem, ale te usta milczały.

Anioły tylko śnią się takimi artystom modlitwą natchnionym, jaką się zjawiała ta dziewczica — kobieta — wiedka, wspaniała, silna, a czuciem i łzami przejęta. Pierwsze jej spojrzenie w świat było podziwieniem smutnem, objęła niem horyzonty dalekie jakby na nieznany kraj patrzyła; powoli rozbudzało się w niej wspomnienie jak się rozpala lampa, i oświecało twarz nabierającą barwy życia — krew napędzała żyłki i rumieniła lica. Jak wschodzące słońce dusza zaróżowiła niebo jej twarzy,

przed chwilą jeszcze blade i martwe. Z pamięcią wróciła boleść i rozciąła się na czole, w ustach, w wejrzaniu, wytrysły łzy przywykłe gościu na powiekach, załamały ręce białe. Już nie z obojętnością ale z cierpienia wyrazem poglądała na okolicę jak gdyby każdy przedmiot był dla niej wspomnieniem przecierpianej chwili, i podniosła oczy do nieba. Jeszcze tęsknica do niego ogarniała ją, gdy już nowa tęsknica ziemi mięszać się z nią poczęła i goryczą, przed chwilą próżne serce zapelniać.

Wracało życie i ona wracała do życia... anioł smutnie patrzył na nią.

XVI.

— Gdzież jestem? przemówiły jej usta — co było ze mną? gdzieś była? śniłaż mi się wielka jasność Boża, w której tak błogo zatopiona spoczęłam. Na łonie Boga tak mi było szczęśliwie i spokojnie. Był to marzeniem tylko? Grób otwarty, więc umarłam? i świat znówu? dla czego wracam do niego? żyć potrzeba znówu tym starem życiem niewoli, ciężkiem i błędnem, skutem w łańcuchów tysiące? Zdawało mi się jakby już raz pękło serce i skończyła się próba, a śniło mi się że anioł uniósł zranioną duszę do Tronu miłosierdzia, do podwojów łaski, i położył ją u stóp Pana który w nią tętnął zapomnienie boleści i żywot nowy. W tamtym bycie wszystkie moje sny ziemskie cudnie wykwitły rzeczywistością niebieską — serce było pełne, szczęśliwe, bez pragnień i niepokoju. Byłże to sen tylko? A! powoli przychodzi mi na pamięć wszystko zabyte... kajdany... zawody...

I odszedł duch z mogiły stępując powoli, aż wyszedł po za obręb cmentarza i zwrócił się ku jednej stronie, w której drzew maszy zieleniały, przesunął się ku wzgórzu otoczonemu jakby zapomnianym ogrodem. Miejsce to było [piękne nad brzegiem rzeczki, na niem ślady jeszcze niedawno obalonych budowli, ale już tam nie mieszkali ludzie. Jak na cmentarzu siało na pustkowiu chwasty zapomnienia, a ptacy świergotali na ruinach. Widocznie był to dwór niegdyś zamożny, który spłonął czy zniszczał, a w koło niego wspaniały ogród i budynki, w gruz i zarosła się zmieniły. Parę chat zlepionych ze szczątków pańskiej wspaniałości dymity na rumowiskach ubogim kominem.

Wśród parku i powycinanych pni dębów gdzieś snuły się grzędy warzywa i płoty suche i zagony ubogie. A jeszcze wśród resztek zieloności rozsądzonej symetrycznie, znać było ślady przepychu, altany grobowe, długie szpalery, kamienne mosty, i świątynki poobraćane na kurniki.

Duch wszedł na najwyższe wzgórze gdzie stał pałac a dziś kupa rumowisk nad lochami rośla burzanem będyłów. i zadrżał.— Nic, rzekł, nie! ani śladu!! i zalał ręce.

— Gdzież kaplica? gdzie mój pokój dziewiczy, z którego widok był tak piękny? gdzie pokój siostry i braci, gdzie matki? gdzie nasze grządki dziecinne?

Jedna kupka bratków i trawy rośla na opustoszonej klombiku, duch płacząc zerwał z nich listek. I tu cmentarz, rzekł— i wszędzie tylko cmentarze... Nikogo, gdzie oni? w mogiłach!

I siadłszy rozwinął karty swojego życia, a gdy z nich czytał powoli anioł mi je tłumaczył... i tak rozsunął się przedemną żywot ów skończony już, którego ostatnim aktem była cicha łza boleści co okupiła grzechy i ducha do niebios uskrzydliła.

— Pamiętam, mówił duch, było nas dwoje, dwie dziewcząt u boku matki; śmiał się do nas świat i przyszłość, roiliśmy szczęście i kołysały do niego. Ileż to przeszliśmy obie chodząc po tych ulicach, biegając za kwiatkami po ogródkach, odpoczywając w tej cichej izdebce naszej, gdzieśmy stroiły majowy ołtarzyk Maryi.

Gdy duch mówił jam cudem jakimś postrzegł przemieniającą się okolicę... znikła z przedemnie otwarta mogiła; i owa ruina, i ów opuszczony ogród, a ujrzałem w miejscu stołu gruzów, wspaniałe domostwo ciche i poważnie siedzące wśród żyznego kraju kątka. Był to stary dwór pański, otoczony sadem i ogrodem cieniastym, a ożywiali go ludzie mnodzy i życie wielkie i zamożność. Duch ów przemienił się w młodzieuchne dziewczę tak piękne jak anieli brata anioła, z dwoma czarnymi warkoczami na ramionach przebiegające ogródek; siadające to na kolanach matki, to przytulające się do młodej siostrzyczki. Obie razem były jak dwa kwiatki na jednej łodydze z których jeden rozkwita, drugi w pączku pół otwartym się kryje. Jeszcze chwila, jeszcze promyk słońca a oto się już otworzy.

Widziałem je połączone uściskiem serdecznym u kolan matki, której oczy zawczasu płakały... gdy dzieci śmiały się jeszcze niepojętemu życiu i światu.

XVII.

Nagle dwór mi światłami mnogimi zajaśniał jakby przygotowaniem weselnym, ludzie kręcili się żywo, ale na ich twarzach nie było wesela... tylko zajęcie jakieś i smutek. W głębi pokoju spostrzegłem ducha, który klęczał przed poważną postacią macierzyńską obleczoneą

powagą—i płakał, i posłyszałem wyrazy niewiasty, która córkę przytulając do piersi tak mówiła:

— Przygotuj się być dobrowolną ofiarą i nie buntuj przeciw losowi kobiety... dziś, jutro nią być musisz. Nikt nie posiadał czego pożądał i nie złożył życia jak je wymarzył, ani miał tego co ukochał. Naszem przeznaczeniem cierpieć po ciebie, modlić się, płakać, uśmiechać usta choć przepelnionemi goryczą, i umierać z kryżem w piersi wbitym. Kobieta rodzi się do niedoli, a jeśli marzenie przejdzie po nad czołem jej białem, otrąsnąć je musi jak wieniec uwiędły... by nieprzyrósł do skroni. Czyż nam pragnąć szczęścia, tutaj gdzie dzień żaden nie kończy się jak zaczął, a jutro najęzione kołami? Gdzież szczęście? dziecię moje! chyba w snach z kolebki niebieskiej wyniesionych, chyba w widzeniu młodej duszy, co jeszcze palcem ziemi ni stopą nie tknęła! Dziś czy jutro potrzeba spełnić kielich ofiar i goryczy usty gotowemi, a kto mu się opiera traci usługę i co dobrowolnie nie opełnił, przemocą wychyli do dna.

XVIII.

Dziecię klęcząc u nóg matki spytało — Co mi możesz uczynić? — Widzisz ten zbytek co nas otacza, ten dostatek w którym wychowaną zostałam? To są pokrywy tylko ciężkiej rzeczywistości, pod nimi leży zimne i straszne ubóstwo, upokorzenie. Wychowane do światła blasku będziecie ubogimi, jeśli z siebie dla nas nie uczynicie ofiary; dla braci z którymi dzielić się nie macie czém, dla starości naszej, która wam chleba powszedniego dostarczyć nie może. Niepytaj serca, a po

daś rękę komu wakażę Leoniu, spełnij obowiązki życia jakby cię ku nim wiodła miłość.

Dziewczę zadrżało... a matka mówiła chłodno. — Nie szczęście ale krzyż Chrystusów kładę na ramiona twoje dając cię dziś temu całowikowi — ale ty go podwignąć możesz i siebie zbawić i jego. Nie kochasz go, wiem, ale serce twoje wolne.

Twarz Leoni oblała się rumieńcem i spuściła ku ziemi i jak marmur zbladła.

— Nie prawdaż? ty niekochasz? jabym o tym wiedziała? surowo dodała matka.

I pierwsze w życiu kłamstwo wstydlive przeszło usta dziewczę, a stłumiony głos odpowiedział: Nie Kocham matko.

Ale ile w nim było boleści i poświęcenia, ile siły w tym kłamstwie! Powoli podniosła oczy dziewczyna i skryć je musiała tak były łez pełne, a gdy wstała pobłogosławiona przez matkę, drżała jak liść i blada była i lkała w duszy. Krzyż matki nad głową jej drżącą ręką skreślony, namaścił ją na ofiarę... i wstała silną i wielką.

XIX.

Księżyc wschodził na niebie podnosząc się powoli i błedniejąc w miarę jak się posuwał ku górze... krwią obłany, rumiany, złocisty, srebrny wreszcie martwiął jak człowiek co się starzeje. Cisza była w ogrodzie uroczysta, ciemno w ulicach, dwór tylko płonął światłami. W alei przechadzał się z załamaniem rąk mężczyzna młody i szarpał na sobie odzież która piersi mu się gniesić zdawała. O nie suknia to ale boleść je gnioła

a tój odjąć niemógł — patrzył w okno płonące światłami i płakał a lzy polykał.

— Wszystko się skończyło, mówił do siebie po cichu, sny, nadzieje, szczęście, młodość, jeden krok a będą na progu rzeczywistości, w świecie rachuby i ludzi. Ona niechce mnie choć kocha, odpycha i dobrowolnie oddaje się drugiemu, w nic więc nawet w serce dziewczęcia wierzyć nie można. Nawet w serce piętnastoletniej dziewczeczki której ledwie wczoraj skrzydła anioła z ramion opadły. — O to straszliwe, to okropne! I załamał ręce, gdy na nich uczuł dotknięcie białej znanej dłoni, drżącej jak woda przebiegająca po kamkach.

— Adamie, rzekł głos cichy — czułam że cierpisz i przyszedłam cię pożegnać, dać ci ostatnie słowo otuchy, prosić o odwagę.

— A ty ją masz szczęśliwa, boś niekochana nigdy.

— Mam ją bo kocham inaczej i silniej może od ciebie, odpowiedziało dziewczę. Powiedz mi, dodała podnosząc oczy na księżyc, a w nich przejrzała się jasność i odkryła łzę której w głosie słychać nie było — co ty nazywasz miłością? Alboż się czyście i święcie na wiek wieków kochać nam bronią?

— Ale ty będziesz cudzą żoną i zaprzysiężesz mi wiarę. —

— I wiary dotrzymam, rzekła kobieta — jak jej odmie wymagać będzie, przysięga, obyczaj, ludzie, ale nie wyrwie ono z serca miłości stałej i wiekuiściej dla ciebie. Gdyby nas los z sobą powiązał i zbliżył tak, byśmy do jednej taczki przykuci, naprzykrzeć się sobie musieli, ciągnąc ją nierównymi siłami, nie jednakowo — któż wie czyby nie ostygło to przywiązanie nasze zrodzone w dzieciństwie wesolém; — rozdzieleni, zmuszeni patrzeć na siebie z daleka i wiecznie być godnemi siebie, widzieć w sobie będziemy ideały młodości i kochać się możemy, musimy na zawsze.

— A nie żyć z sobą? a rozstać? podchwycił młody człowiek.

— Z kimże żyjemy? z kim się nie rozstajemy? codzień nam coś umiera, czego nie przestajemy kochać pogrobową miłością? codzień coś tracim i tęsknim za straconém... Ale my Adamie nie przestaniemy kochać się wielką i świętą miłością, z Bogiem, w Bogu, która świecić będzie życiu naszemu. Mąż mój mieć będzie tylko ostatek tego serca, które bije dla ciebie, i nie będę się z tém tać przed światem, bo się nie wstydzę tego; bo miłość moja nie jest przechodzącą namiętnością, ale ukochaniem ciebie.

I z czystém wzruszeniem rzuciła mu się na szyję.

— A! rzekł Adam — to nie to com marzył, żyć z dłonią w dłoni, razem, w ciszy, w pocałunku i uścisku, kochać tylko ciebie, mieć twoją miłość wielką i całą.

Leonia uśmiechnęła się boleśnie. — I ja tak marzyłam, rzekła — ale to miłość co źródło swe wysusza może; co upaja i szal daje, i trwać nie może... Zresztą, dla ciebie byłabym czémbyś chciał, stałabym się czémbyś kazał, ale wola Boża inaczej mną rozporządziła. Będę ofiarą dla nich, rzekła wskazując na okna dworu... a kochać cię nie przestanę.

— A! a życie moje! rzekł rozpaczliwie Adam.

— A może? uśmiechnęła się boleśnie Leonia — spojrzij na nie i powiedz mi czegoś mi mógł zazdrościć? Tyś wolny i pozostaniesz sobą, ja własnością cudzą, ja niewolnicą człowieka, ja sługą tego którego nie kocham a któremu żoną i towarzyszką mi być każą.... Nie podzielam myśli jego, uczuć, nie między nami nie ma wspólnego... Adamie...

Ten niesłuchał, lży mu po męzkiej łąły się twarzy, choć je chciał stłumić w sobie, i znowu dziewczę rzuciło mu się na ramiona — Adamie! mężstwa! rzekła, tyś

mi je dać był powinien, a odbierasz, ja cię o nie proszę dla ciebie... wytrwania i mężstwa. Stałość nie wybuchu potrzebuje, miłość nasza, związek dwóch serc to rzecz droga i święta, pracujmy by go nie zerwać, by być godnymi siebie, by się nie zmięknąć, nie ochłodzić, nie zapomnieć.

XX.

Ale czemuże są słowa, gdy z dwojga serc jedną nutą brzmi zgodnie uczucie jedno w chwili rozstania? Starczył one za jedno serce uderzenie? zastąpił ten dreszcz który przebiega po człowieku? złamał one choć jedną boleść? zetrzął choć jedno gorzkie wspomnienie? On mówiła mężnie ale drżała, on płakał, i w milczeniu przybliżyli się do siebie, przytulili, radzi tak umrzeć w swoich objęciach lub czyści przejść do niebios na skrzydłach aniołów stróżów, których dwie białe postacie widać było w górze w uścisku zjednoczone z sobą. Chcieli tak umrzeć a żyć musieli rozerwani... Szczęść i hałas szukających narzeczonej dał się słyszeć w kole; Leonia wyrwała się wołając — Mężtwo Adamie! i uciekła, on pozostał wtknięty do miejsca, pragnąc ciągle śmiać, tak dalej nie pojmował życia.

I nierychło poszedł trawiony gorączką, z miłości pościwej i spokojnej przechodząc w zwątpienie i posępnie anioła, który płakał nad nim i nad sobą.

XXI.

Dwór stary znikł mi z oczów, znówu się zmieniając w ruiny i pustkę jak przed chwilą, ulica w której się

zegnali arosła chwastem, i samotne bydle pasło się na miejscu, gdzie ostatnią łzę Leoni wypił pocałunek Adama. Duch w szacie białej powoli przesunął się przez pola i lasy do pałacu który stał opodal na dolinie szeroką rzeką przeciętej, siedł tam jakby żelaznym mimowoli ciągnięty łańcuchem, łkając i oglądając się za siebie. Adam znikł mi z oczów.

Tu znowu zaczęło się życie i piękna twarz Leoni z załez uśmiechnęła się wyrazem przymuszzonego szczęścia, potrzeba było udawać i kłamać wesoło, przed światem, aby świat nie mówił że ją rodzice poświęcili i sprzedali swą córkę, aby na nich kamieniem nie rzucono za dziecię. Leonia pojęła to i podniosła się do ideału w poświęceniu. Z gorzką tęsknotą w sercu dźwignęła czoło schmurzone i kazała uśmiechać się ustom, poszła ten dramat szczęścia, który miała grać całe życie z wyznaczonym jęj od losu współaktorem. Oczy moje padły na jęj towarzysza, który jak ciemna plama wystąpił obok tęj czystej i jasnej gwiazdeczki. Człowiek to był, niestety! z mięsa i kości, ale bez ducha, ale bez serca i uczucia, nierozbudziło się w nim żadne pragnienie czegoś lepszego, większego, wyższego nad to co ręką ująć i przygarnąć było można. Dosyć mu było tego co go otaczało i ciało jego żywiło strawą codzienną. Iuż to tak pospolitych ludzi po świecie? ale się w nich czasem wieszczą ozwie tęsknota do niebios i czegoś wyższego, choć zachmurzy się czoło? choć zabije serce, choć przeleci pragnienie nie skreślone, choć podniesie ich uwielbienie ku czemuś wielkiemu i świętemu... ten zaś człowiek nie miał iskierki duszy w rozpakowanym ciele, a wiekuisty uśmiech głupoty na ustach.

Dwóch istot z przeciwniejszych biegunów nie mogły losy spojść dziwnieję — ta cała anielska i niebieska, ten cały ziemski i chłodny, ta wzniosła i pogodna jak

oblicze aniołów, on szyderski wóród weseła, pochamny w smutku zamknięcia, i samolubny zawsze.

Ona zawsze tęskniła za niepoścignioną doskonałością, on nie wierzący nawet w ideę doskonałości i brzydzący się wszystkiem co umiowało podnieść od ziemi, ona święta i cierpliwa, on despotyczny i gniwny. Często tak w świecie związały się dwa ogniwa dwóch tywiołów, aby wzajemnie w sobie życie budziły, ale tu z jednej strony była ofiara niewinna, z drugiej kł bez litości, z jednej uśmiecnięta owca, z drugiej zwier kwią niesyty. Małżeństwo to na oko szczęśliwe było świętokradzkim związkiem w głębi, ale nikt tego nie dojrzał, bo niewiasta broniła czei domowego ogniska i okryła szytym płaszczem swojego szczęścia i występ k mężowski i swoją niedolą.

A gdy noc przyszła i modlić się jęj pozwolono, kę kała dopiero płakać, modlić się, myśleć o cichych, cy stych rozmowach z Adamem i ścigać dumą ukochanego swego po szerokim świecie... A kiedy jęj serce rozbo lało do śmierci, anioł stróż przynosił sen i marzenia i sypał je z szaty swęj na spoczywającą.

XXII.

Żadne upokorzenie nie minęło Leoni, towarzyszył ję doli nie oszczędził żadnego, śmiał się gdy płakała, łajł gdy była wesołą, wyszydzał gdy się unosiła, zadawał publicznie kłamstwo jęj szczęściu lub chlubił się mił łością, która ją tyle kosztowała. Nielitościwy odgrywał swą rolę kata jakby się do nięj urodził, niepożalaował nigdy, nie wstrzymał się językiem, rozżerał coraz bar dziej gdy go oczyma błagała. A wszystko to czynił z

mao, dla rozrywki, gdy biedna kobieta konała prawie pod ciężarem bóleści nie mogąc jęj podolać. Ale z ust jęj uśmiech nie schodził i pogoda z czoła... ofiarując Bogu męczarnie szła dalej nieszczęśliwa... myśl o Adamie i łza cicha krzepiła ją w siły na dalszą wędrówkę. Adama widać nie było... na długo znikł jęj z oczów; nareszcie ukazał się... Niepoznałem go niestety. Ona była jaśniejszą niż kiedy lilia, on zczerniał i upadł... Z rozkwitłego młodziana stał się pospolitym spałym na duchu człowiekiem... Z uśmiechem zadowolenia zbliżył się do nięj i w imie czystęj miłości dziecinnęj, nieczystą gorzał namiętnością. Twarz jęj zbladła jak marmur gdy go ujrzała... Sądziłem że padnie trupem, patrząc na swą ostatnią nadzieję i wiarę zawiedzione tak boleśnie... Człowiek który był dla nięj ideałem, stał się podobnym temu z którym żyła, zamiast się podnieść, skarłał i ostygł, był szczęśliwy i życie mu starczyło powszednim chlebem swoim, uśmiechał się nie tęsknotą ale zadowoleniem...

Naprawdę szukała w nim obietnicę przeszłości... woń którą go namaściła młodość rozwiała się i uciekła, został człowiek wbity w ziemię, pospolity i rad sobie. Wy coście przetorowali marzenie ideału i już je schwytali w ziemskie objęcia, a mniemając zaczerpnąć życia poczuli w niém trupa chłodnego, wiecie jaka to boleść gdy serce ukocha to co kochania niegodne, jak trudno mu się wyrwać z tych kajdan, jak z nięj do politowania i zapomnienia przejść trudno, jaka potem... pustka piekiel zostaje w sercu. Leonia załamała ręce słuchając go i padła zemdlona, niemiała siły zanieść swęj ofiary do stóp krzyża... i po chwili łzów niepoohamowanych uklękła dopiero na modlitwę ofiarną, na błaganie słubne przed ołtarzem.

W sercu pochowała Adama i nad mogiłą jego posta-

właższy w wspomnienia... ideał spoczął na dnie pamiętek młodości... na świecie już go nie było.

XXIII.

Jak nagle przesuwały się lata nad duchem, który na nowo przeżywał ubiegłe życie w starej szacie swojej... i odsłoniły się przed oczyma mojemu dzień po dniu, godzina po godzinie wszystkie męczarne istoty której męczeństwo nie miało rozgłosu, widzów, cyrku i chwały. Nie broczyła ani krwią ani łzami areny, nie pokładała tłuszcza rozdzierającym ją zwierzęciu, nie ponosiła śmierci wśród ekstazy w chwili podniesienia ducha; nie odebrała jej z rąk kata szybko i litościwie zadanej, ale cicho cierpiała w ciszy zakryta przed oczyma świata, uśmiechnięta, opłonią, a gdy ją pytano czy cierpiła, musiała kłamać swobodę i pokój... nikt by męczarni nie uwierzył. W istocie czego jej brakło do pospalitego ideału tego co się szczęściem zowie? Nic a nawet kołębki dziecięcej o którego losy zawczasie się trwożyła; choć inni widzieli w niem pociechę przyszłości. Ladaż znali ją bogatą, pieszczoną, piękną, rumianą, gorącą, ożywioną; bojem codziennym i mówili: Jaka ona szczęśliwa? Lecz jej nocnych nikt niewidział, kołębka była tylko nową trwogą, czy wychowa dziecko świata czy Boga? czy zeń uczyni anioła do cierpienia; czy człowieka do rozkoszy? Nie wiedziała czyj tu wpływ przeważa, ojca co mu miał dać ciało, czy matki co wolać chciała z łzą na kołębę spadającą, duszę. A tym czasem próżnia była w koło niej i pustkowiem... ani siostry, ani tego brata przybranego, którego tak dawniej kochała! Ludzie obcy, zimni zawsze, ledwie na chwilę

umiejący się podnieść myślą nad ziemię, by znów spaść w tok powszedniej prozy i błota. Nikt prócz anioła stróża nie opiekował się sierotą, którą uciskały więzy rzeczywistości, jak ryba w sieci miotana się w nią wygnanka.

Nw ten widok' zaśem zdjęty zapytałem cicho anioła.

— Czemu i ty nad nią nie płaczesz?

— Alboż to nie jest wielki i potężny obraz mioty Bożej w człowieku? alboż nie trzeba śpiewać Hosanna i wielbić tego co w maluczkim stwórzeniu taką złożył siłę? Patrz: ta istota odosobniona, walcząca ze wszystkim co świat i ziemia na zezwierzczenie jej zebrać mogli, wystawiona codziennie na pociąki szyderstwa, na obwiejający ją ochłód, nie jestli wielką i majestatycznie piękną w tej Koronie, nie z ciernia, bo cierni jest jeszcze poczyła męczeństwa, ale z pokrzywy z pod płótów i z badyłów śnieciska:..

Ta kobieta tak wyższa od wszystkiego co ją otacza nie jestli wielką, wspaniałą, piękną? Byłaby taką w szczegól, i nie na placu boju, w ciszy ubłogosławionej miłością i cichym marzeniem u boku ulubionego? Nie stałaby się pospolitą niewiastą, matką szczęśliwą? nie zarzemułaby się uspokojona? gdy dziś jest wielką i świętą męczennicą! Na tę rycerkę chrześcijańską patrzą aniołowie i święci z czią i miłością, gdy kryją się od męża wynosi ubogim swe mienie odkradzione skapemtu oku; gdy broni dziecka od wpływów co by je w kolebce struś mogły? gdy własną pierś od zguźbego tohu zwątpienia krzyżem osłania? Patrz w górę jak chór aniołów ulata nad tą niewiastą świętą, i jak każdy krok jej męczennicki, jest wielkim widokiem dla górnego świata:

XXIV.

Zdumiałem się życia znaczeniu, które w pospolite rany ujęte, pięknym, tylko powszednim było dla mnie obrazkiem... znikły z niego barwy pospolite, które nań zlewał cień męża i otaczających ludzi, przeistoczyło się to w wielki wizerunek męczeństwa.

I patrzałem dalej jak leciały lata, jak mężniała i dojrzewała kobieta z sercem wyschłem od potrzeby kochania, otoczona ludźmi których umiłować nie mogła. W tém nowa postać zjawiała mi się obok niej, i zdawało mi się że to był Adam lat młodych. Bratnie z nim miał podobieństwo twarzy, ten sam co on dawniej uśmiech rozpromieniony marzeniem, też same oczy, w widzeniach utopione zaziemskich, to same pragnienie poezji i miłości.

Widziałem jak Leonia spotkawszy go wzdrygnęła się jak gdyby ujrzała upiora, chciała mu się rzucić na szyję i cofnęła przerażona. On to był i nie on znowu, dojrzalszy, piękniejszy, taki jakim by był Adam gdyby dobrowolnie nie upadł. Wzrok biednego ducha witał go jak wskrzeszonego z mogiły... i była to chwila w której niewiasty może jedyna szczęśliwa choć łzawa.

Zbliżyli się, poznali, zgadłem że się pokochać musieli miłością wielką i świętą — ale było przeznaczeniem jej w każdej kropli i godzinie życia napić się żółci i lekroć pragnęła. Ten człowiek tak pozornie wielki, tak czysty, tak duszą górujący nad innemi, tak sercem młody, był niestety wielkim tylko mistrzem w tej sztuce, która jest utworem człowieka... w kłamstwie słowa i czynu. W świecie Bożym nic kłamać nie umie krom jednego człowieka, wiele rzeczy ludzi, wiele istot uwodzi,

jeden człowiek kłamię. Nie on nie stworzył krom tego, ale fałsz jest jego dziełem. Zwierzę jest zawsze tém czém jest, sobą, człowiek sam przebiera siebie, serce, uczynki, słowa swoje w barwy fałszu, on jeden zabija wiarę w to czém jest, nigdy prawie nie będąc szczerze sobą. Jedni kłamią dobre, drudzy złe, inni stwarzają z siebie nowych ludzi, mało jest takich co są jakimi ich Bóg uczynił. Szczerość i prawda najrzadsze z cnót ludzkich. Człowiek dosztukowuje się i łąta do ideału lub własnego o niem pojęcia na szczudłach kłamstwa... ten dorabia sobie serca, drugi duszy, ów męstwa, tamten szlachetności, i jak malują twarze i włosy, tak barwią serca i charaktery! Cnotliwy wstydzi się swęj pocziwéj cnoty, namiętny swego zapalu, występny swęj zbrodni, a wszyscy kładną jakąś maskę na twarz, aby ich niepoznano. Z zazdrości pierwszego zabójcy na ziemi zrodziło się pierwsze kłamstwo którém Kain zakryć się chciał przed okiem Bożem, a synowie Kaina choć nieoszukali Boga, ludzi i braci chcą wiecznie uwodzić.

Udaje się to czy niepowodzi, kłamstwo jest nieustannym wyrazem życia, a prawda najdroższą cnotą. Ów Adam nowy, był najumiejętniejszym na scenie ludzkiej aktorem, Leonja najprawdziwszą z niewiast, ona niepojmowała fałszu, ani się go domyślała na świecie, i widzieć go w nim niechciała. Miłość jego, wielkość pozorną, przywiązanie wzięła za prawdę, i z oczów wybuchające uczucie przyjęła do serca spragnionego; wskrzeszając dla nich tę miłość pierwszą, której niedoschła gałązka zieleniała gdzieś w zakątku.

Kochała go jak aniołowie kochają się w niebie, on ją jak ludzie kochają się na ziemi, ona jak ideał męstwa, on ją jak pospolitą a piękną niewiastę. Nikt lepiej nadeń zapalu i poezji grać nie umiał choć nie miał ich w duszy, sam aktor i wodz śmiał się z tego co mówił,

a słuchając go rzekłbyś że krwią i łzami płynęły słowa. Umiał płakać, umiał rozpaczać, umiał umierać na zimno; i grał dla niej dramat w którym ona płaciła uczuciem czystym jak złoto, on fałszywą monetą próżności ludzkiej i lodowatego serca.

XXV.

Smutny to był i rozrzewniający widok, tego czystego uczucia z jednej strony, tej niepocziwej i szyderskiej miłości z drugiej, i anioł teoryj płakał z złamanemi rękoma nad jej głową. Drżałem myśląc że czysta niewiasta upaść i skalać się może ofiarą wielką dla istoty, która nie była jej godną; widziałem jak rozpłomieniało się jej serce, jak w niej obudzał litość, jak ją rozżalał męczarnią, której niedoznawał, jak kłamał przed nią poezją, której w duszy nie miał i kropli, którą potyczka z kolei z podań, z xiąg, ze wspomnień — jak się dla niej przebierał, istny zwierz dziki, któremu zima daje suknię śniegu, aby ofiara po jej barwie niepoznała wroga.

— Żądzenie z aniołów w pomoc jej nie przyjdzie! zawolałem zrozpaczony, żądzenie syn niepowie jej o niebezpieczeństwie? czyż do końca pozostanie ślepą i ufną ofiarą?

Duch który mnie utrzymywał w górze, westchnął ze mną i wskazał mi ręką ostatnią scenę tego dramatu, co serce boleścią przejmował...

Był chmurny wieczór jesieni, w dwóch ich zimnych aktorów siedzieli w pokoju zabijając nudy chorobą, ten porost zgniłych umysłów — rozmową szyderską i śmiechu suchego pełną. Kłamany Adam i drugi mu podo-

był zwierzał się sobie pustych żywotów swoich, wywołując czeń by się pochlubić mogli. Czem się chlubią ludzie tacy? nie zwycięstwem nad sobą, nie ofiarami, nie wielkimi czynami i myślą potężną, ale małymi podbojami nieuczciwości, tryumfy nad słabością, czyjąś, zdradą i chłodem bezkrotnymi.

W tejże chwili gdy Leonja płakała w swoim kątku myśląc o głębokiej miłości jaką czuła i wzbudziła gdy utracona uczuciem miłości, gotowa była na wszelką ofiarę dla człowieka co uwieść tylko ją pragnął, gdy łzy jej spadały na kolębkę, a serce rozzerwane pękało między obowiązkiem a miłością, obok — ten któremu się chciała poświęcić, po ciebie szydził z biednej niewiasty.

— Słuchaj, mówił do przyjaciela — znasz Leonję, prawda że ładna, jak anioł piękna i święta... otóż co do kobiety... Ja jej nie kocham, ale rzucony w tę pułstynię chciałem spróbować jak też niezwykłą jest ta cnota. — I zwyciężyłeś? spytał przyjaciel niedowierzająco lecz szydersko. — Nie jeszcze, alem już prawie zwycięzca, zawróciłem jej głowę, szaleje za mną, wezmę ją gdy zechcę, wiem jak do kogo przemawiać, byłem poważny, przejęty, czuły, zrozpaczony, biedne kobiecisko, uwierzyła mi i kocha.

— A ty? zapytał przyjaciel. — Ja — bawię się, cóż chcesz, musiałem się czém zająć na tej pułstynie... ona tak piękna, ja tak znudzony — sam jeden. Boję się tylko żeby na serjo tego nie wzięła, ona mi wierzy i może wymagać.

— Ale godziź się to? przerwał drugi z oburzeniem.

— Pojadę, zapomni, one mają pamięć krótką, im serce czuiste, im boleść zraza większa, tem później przychodzi.

— Krótko trwa czy długo? znasz że ty kobiety? kto wie? może jej strujesz życie całe.

— Śmieszny jesteś, rzekł przyjaciel, albo nie odcień tak na świecie się dzieje, że się uczucie odegrwa choć go w sercu niema.

— Ale jeśli obudzisz prawdziwe?

— Trwał ono? zapytał pierwszy, trwał ono w sercu kobiety, które chwyta gorąco coraz nowe, oplakuje straty i uśmiecha się zaraz przybywającemu gościowi.

Słuchając tych słów stygłem... ale w tej chwili ujrzałem anioła, który się spuścił ku niej, rozbudził ją dotknięciem sukni i przywiódł nie myśląc, pod drzwi przez które miała posłyszeć dwóch przyjaciół rozmowę. Ona szła z postanowieniem poświęcenia się temu, którego kochała, z sercem pełnem miłości, zapłakana drżąca i stanęła wryta usłyszawszy szyderstwo z ust, które pocieszać ją miały. W ucho jej wpadł zrazu dźwięk którego nie zrozumiała, któremu uwierzyć nie mogła, widziałem ją jak żonę Lotową stojącą posagiem osłupienia... nie miała siły uciekać, stała, słuchała i napawała się goryczą, która z tych ust ukochanych spływała na nią powoli. Śmiech kochanka rozległ się w sercu jej wzdętym — krzyknęła i upadła.

— Ocalona! rzekł Anioł, i widok ten znikł mi z oczów.

XXVI

Drżałem gdy nowy obraz przed nami się odałonił — męczennica siedziała znowu samotna u kolebki swego dziecka drugiego, modląc się, ale spokojna. Jej piękność powiększyła cierpienie, podniosła duma zwycięstwa i odwaga bojów codziennych. Obok niej ujrzałem tylko dzieci i tę istotę do której została przykuta przy-

sięgą zimną, szyderską... W cichéj izdebce spoczywała płacząc, a obok w oświetlonej sali szumiała zabawa, migaly światła, gospodarz domu przyjmował gości jak on szukających rozrywki, nasycenia, odurzenia się. Wzdrygnąłem się na widok zetknięcia tych istot tak różnych, czystéj duszy zbolaléj, i odrzuteków ciemności, co po kolana w kale ziemi chodzili. Co mogło ich zbliżyć?

Do samotnego pokoju wszedł zarumieniony mąż niewiasty, widać było że tylko co wstał od stołu, który słudzy sprzątał... w salonie kobiety nieczyste gwarzyły, siedząc i leżąc po sofach, obok nich szeptali mężczyźni podpiłi i weseli... śpiewano, grano, a ta pobiesiadna chwila przypominała rzymską ucztę z czasów Cezarów. Kobiety były piękne, uśmiechnione a smutne, mężczyźni wycieńczeni a znudzeni, ale wszyscy udawali wesołość nie mogąc jéj przywołać.

— Czemu nie jesteś z nami? zapytał mąż surowo.

— Jestem słaba, rzekła kobieta... a miejsce moje u kolebki dzieci.

— Przy dzieciach niańki, odparł surowo mężczyzna, twoje miejsce jako gospodyni z nami, z gośćmi, u boku mego.

— Jestem chora — Tak bo ci moi goście nie mili.

— Szczerze chcesz wiedzieć? tak — oni mi się nie podobają...

— Co to jest? zaryczał mąż — jak? dla czego? że nie grają komedij cnoty? że nie spuszczaają oczów i ust nie sznurują? — to są moi przyjaciele... — Ale któż oni są te kobiety — ci panowie.

— Dosyć że ja ich przyjmuję — a więc, zawołał głośnie, proszę z nami, pójdź pani, jeśli nie chcesz bym ją gwałtem poprowadził, i na Boga — z wesołą twarzą! proszę!

To mówiąc schwytał ją gwałtownie, z wściekłością prawie.

— Dość tego, rzekł, dość tych scen i udanych płaczów, czynisz się nieszczęśliwą, by mnie obwinąć, cóż ci brakuje?

Kobieta złożwszy ręce, milczała.

— Zaraz mi bądź wesołą, chcę — i każ!

I nie dając jej rzecz słowa, wciągnął ją do sali.

Weszła jak męczennica do cyrku, a zwierzęta pobladły przed nią, choć szyderskim mierzyły ją wzrokiem — ona nie śmiała podnieść oczów, bo rozpustę choć pozorne okrytą, wszędzie jej wzrok spotykał. Ścisnęły się ręce, szeptały usta przyrzeczenia jednodniowe, a w powietrzu woń jakas sybarytyzmu polatywała... wstyd purpurą okrył jej czoło.

Mąż szydził z tego rumieńca niewinności.

— Zabawciez ją, wołał do przyjaciół, na ciebie kój, odezwał się do najwstydlivszego i najsłabszego z młodzieży, ręczę że tego dopniesz, jest w tobie zaród exaltacyi, ona to lubi, serca się wasze zrozumieją. I rozśmiał się popychając wybranego przez siebie kochanka, który z poszanowaniem stanął przed tym zbladłym posagiem — lza może ostatnia w życiu, zaiskrzyła mu na powiece.

— A! daruj pani! rzekł.

— Myślisz że nie ładna, zawołał mąż — ale oczy zapłakane, ubiór zaniedbany, przypatrzo się tylko... co za kształty! żadna z pań, zakład trzymam, nie ma tak utoczonej nogi jak ona.

Biedna kobieta znowu oblała się rumieńcem, przytuliła do kątki, błagała napróżno liłości wzrokiem pokornym, któryby rozbroił kata, ale nie mógł zwyciężyć oszalałego namiętnościami człowieka. Jej wstyd wydał mu się udaniem, smutek przeciwieństwem umyślnem, i zmusił ją do pokazania nogi, przed którą nie godziem

był nęcać prochu, po którym stapała. Chciała ciebie zapłakać, ale drzwi były pozamykane, a kielichy szampańskie na cześć jej, podniosły się ze stron wszystkich, ze śpiewem, z szyderstwem z jej łez i wstydu.

Z boleścią przypatrywałem się temu pastwieniu nad biedną istotą, w której ci ludzie wzbudzali wstręt i przestępek, i zamknąłem oczy...

XXVII.

Znowu mgła szara zakryła mi to zjawienie, nie widziałem nic, ale drżałem. — Czegoż jeszcze w przyszłości spodziewać się dla niej mogłem? Ziemia nie już dać jej nie miała, a wstęga życia długą jeszcze była; bo śmierć nie przychodzi rychło tym co się modlą o nią. Anioł milczał i czując zażenienie moje, boję się znów do piersi jego przytulił, dał mi spocząć i odetchnąć.

— Koniec że to jej żywota? zapytałem.

— O! nie! rzekł — to dopiero początek — niewyczerpała jeszcze czary goryczy do dna, a każde cierpienie zbroi ją i zastala na przysze. Spojrz, dodał rozpędzając obłoki skinieniem ręki — jak silna i promienista, jak wielka i mocna, choć ją jeszcze większe bóle i straszniejsze czekają ofiary.

Wśród tłumu ludzi, na który padł mój wzrok, jaśniała ona blaskiem nadziemskim, młodość jej zdawała się wiekuista, nieprzeżyta... i była piękniejszą jeszcze. Macierzyństwo obwiodło ją wieńcem odwagi, bo o swe dzieci codzień walczyć musiała ciągnąc je ku Bogu, gdy ojciec porwał do świata. — I widziałem chwilę tej walki nieustannej, której ogromu domyślałem się tylko, walki skrytej, by ojca w obliczu dzieci nie upokorzyć i nie

ohydzić, a niemowlęta z pod wpływu wyrwać zgubnego, by uleczyć co chorobliwego wlewał w nie życie powszednie, widoki codzienne, przykład, słowo, duch domowy. — A było ich dwie w tym domu: męczennica w płaszczu purpury walcząc za dzieci przyciśnione do łona, i zalotnica kocharka, która do dzieci uśmiechała się zwodliwie macoszynemi pieściznami, i żonie prawej **kazała** kłaniać się przed sobą. Potrzeba było uczynić ją przyjaciółką, by męża oczyścić przed oczyma ludzi, trzeba było dozwolić jej dzieci, a potem z serca ich wyrwać kąkol, który w nich zdradnie zasiała. Były chwile rozpacz i znużenia, ale w modlitwie i w widoku dzieci czerpała siły Leonia, i upadłszy na chwilę gdy o śmierć błagała, wstawiała dla dzieci prosząc o życie. Sieroty z tym ojcem gdzie i jak zająć miały wiedzione ręką zalotnie po drodze różami ślaną? Trzeba było żyć i oddechem świeżym gasić truciznę wyziewu ust nieczystych, a czynić to tak, aby ojca nie oburzyć i przed światem nie potępić. Cudów dokazywało macierzyńskie serce pełne tajemniczój siły — słowa zwyciężało wejrzaniem, naukę zgubną uściskiem, pokusy dzieciom stawiane modlitwą. I dzieci ciągnione własnymi **namiętnościami** w jedną, siłą cnoty w drugą stronę, *choć* uśmiechały się ojcu, sercami szły za surową matką; bo je wiodła nie moc i potęga ludzka, ale siła łaski zesłanej w pomoc téj kobiecie.

I widziałem anioły jak zlatywały posłuszne jej, kierując krokami drobnymi dziećmi, osłaniając je skrzydłami swemi, odpychając od uszów ich mowy zgubne, od serc **namiętności** zarody, od piersi niepokój **żądzy**. Zatulowały im oczy, zamykały usta, a przed wzrokiem otwierały niebo by odwieść od ziemi.

Gdym tak zatopiony w tym widoku cierpiał z nią i modlił się, przeżyłem żywotem jej lata długie, które w mgnieniu oka przeszły dla mnie widomo w najdro-

lniejszych szczegółach, policzyłem jęj łyzy i chwile zwątpienia, wartość odwagi i walki, całe to pasmo nici złotyeh z ktryeh utkana była wstęga jęj życia krwawemi wzory przeszyta. Ile tam było poświęceń, ile upokorzeń, ile ofiar ciebyeh, ile zaparcia! któż policzy? a w kolo wciąż szyderstwo, obojętność tylko i uśmiech litości jak nad słabością, jak nad omyłką! Omyłki te były bohaterstwami i poświęceniami, były pobożnemi kłamatwami i spodleniami, dźwiganemi mężnie na wysiłonych barkach.

XXVIII.

Widziałem ją znowu osamotnioną, potem wrzuconą w świat wśród którego on swobodniej mógł namiętnościom dogodzić, unikając zarazem téj smutnej twarzy, której wszystko mógł nakazać prócz uśmiechu i wesela. Ta twarz przerażała go wiekuistym milczącym wyrzutem, budziła gniew i złość, które w dziko namiętnych rodzi zawsze surowsze oblicze cnoty.

Potem znów została sama z dziećmi, opuszczona ale swobodna całe dnie, nocę całe. On powracał niekiedy oszalony namiętnością, przynosząc z sobą z tego świata w którym przebywał, woń dziwną, wrażenia i mowę niepojętą, jakąś wesołość niezdrową graniczącą z wybuchami gniewu, jakiś śmiech szyderski i zimny, jakieś odurzenie zwierzęce, lub osłupienie martwe. Wbiegał do żony i onieśmielony jęj powagą i spokojem przy których gorączkowy stan jego dziwniej jeszcze odbijał, wysilał się aby ją nastroić do siebie, ściągnąć z błękitów ku sobie, gniewając się, że niechciała, że nie mogła być jak on dzieckiem ziemi. Na ówczas wszystko

go w niej gniewało, drażniło, jój powaga stawiała się dlań chłodem, jój przywiązanie uprzykrzeniem, słowa natręctwem, milczenie obelgą, a im z większą przystępowała pokorą, tём więcéj się rozjadał zowiąc komedją, co było nieszczęściem i rezygnacją. Dzieci mu się przykrzyły, dom zdawał nudny, i w téj atmosferze ci-chéj wytrwać niemogąc biegł znowu za domem w nie-czystém źródle rozpusty szukać nasycenia, którego nigdzie dlań niebyło. Namiętności są jak trucizny pa-lące wnętrzości, które budzą pragnienie nienasycone i wywołują śmierć; ale niema napoju coby żar ich uga-sić potrafił. Leonja łajana milczała, chłostana urago-wiskiem spuszczała oczy jak winowajca, a jeśli łza po-kazała się na jój powiece kryła się z nią, bo wiedzia-ła, że dla tyrana i ona przeciw niéj będzie orędem. W téj walce niestworzonych dla siebie istot splywały dni długie i straszliwe, a dramat ten pokryty dla oka ludzi cieniem pokoju i szczęścia tem był straszliwszy że chodził w szatach wytwornych i stroił się, a uśmie-chać musiał.

Jéj już nie szło o siebie, chciała tylko ocalić dzieci tuląc je do piersi czystéj, ale i tego jój broniono, one widziały, czuły a wybrać jeszcze nie umiały między spo-kojem religijnym płaczącéj matki, a burzliwą wesoło-ścią i pieszczotami ojca. Słowa jego psuły w chwili robotę lat długich, zabijały świętości pielęgnowaną, chwiałały najczulsze osłonki cnoty.

Każdego dnia człowiek ten powracał pod dach nie-chętniejszy i bardziéj znużony, i co było w nim skutkiem jadu namiętności składał na karb téj kobiety, męczył się i mękę swą ręką własną rzucał jój w oczy. Ona milcząc cierpiała. Nareszcie ujrzałem go padającego na łożu boleści, złamanego chorobą okrutną i przerażają-cego zniszczeniem, jak Łazarza okrytego wrzodami walczącego z pragnieniem życia. Wszyscy go odstąpi

przyjaciele i przyjaciółki, przestрах ogarnął towarzyszków swawoli i współbiesiadników życia, jedna żona pozostała przy nim stróżem i towarzyszką.

Pusto było w tym domu, który przed chwilą wesołymi śmiechami się rozlegał, gorzkie owoce żywota ziemskiego napelniały spalone usta człowieka co cierpieć nie umiał, a wśród boleści zżymał się, porywał, rozpaczał, do modlitwy dojść nie mogąc. Męczennica jedna z nim ten kielich podzielała bez wstrętu, bez szemrania, z radością prawie że nareszcie potrzebną mu się stała. I jakby sobie u Boga wyprosiła zamianę cierpienia w miarę jak on się dźwigał i zdrowiał, ona słabnąć i boleć poczyniała. Wstał a jego łoże zaległa niewinna istota, która oddechem wciągnęła w siebie jad choroby — przy niej nie było nikogo prócz aniołów co nad łożem czuwali. Z poddaniem się przyjęła zesłanie i przez chwilę uśmiechała się jęj śmierć bliska... ale godzina próby ostatniej nie wybiła, mimo konania, nie umarła, wstała wycieńczona tylko, by żyć i cierpieć jeszcze.

XXIX.

Wszystko co może przecierpieć człowiek przebyła, zdawało się że nie dla niej niepozostało na dnie kielicha goryczy; opuścili ją rozpędzeni krewni, osamotniała, jedną dziecinę porwał anioł i przeniósł do niebios zawczasie, nie miała przyjaciół, a prześladowcę zawsze u boku, patrzałem na każde poruszenie jęj serca, na uśmiech omdlałe rozjaśniający wargi, i z uczuciem poszanowania schylałem głowę przed tą istotą tak nieznaną a tak wielką.

— Oto jedna z istot zawołał anioł, jakich na okręgu

ziemi kona co chwila tysiące; nikt ich imion nie wie, nikt grobu ich nie zna, a nikt prócz Boga nie policzył co cierpiały. Wśród tłumu obojętnego ziemi towarzyszykami ich anioły, opieką ich święci, a gdy wylecą z powłoki wprost idą spocząć na łono ojcowskie, u tronu wiecznego spokoju. Królestwo ich nie jest z tej ziemi, pojmujeszli dla czego cierpiały... aby się niepokalały ziemią, aby się nie przywizały do niej, aby się oderwały od żywota i rozpromieniły ofiarą, obmyły łzami na ucztę nieśmiertelności. Daj im szczerze ziemskie a zabijesz ich i upokorzysz, słabi ulegną mu i upadną, dolina próby będzie dla nich przepaścią zatracenia. Boleść jest dla nich lekarstwem i zbroją.

Mówił a jam płakał po cichu jako dziecko ziemi, które okiem wyżej podnieść się nie umie, a liczy tylko chwile znikome i rany poniesione i krew sączącą się powoli — bolałem nad tem co było zbawieniem dla męczennicy, bo inaczej nie mógł. Słaby nie podniosłem się jeszcze nad wyziewy doliny z którą łączyło mnie ciało, i oko po nad nią nie sięgało wyżej. A gdy mgły rozbiegły się znowu i nowy obraz okazał się oczom moim drżałem jako woda w strumieniu, obawiając nowego widoku męczeństwa, gdy i tak przesyconą niem była dusza moja.

I dano mi było po tych dziejach próby, ujrzeć goźdźnię wyzwolenia godową, wybraną istotę. Chwila jej ostatnia odpowiadała życiu, łozie samotne, cisza i pastki otaczały, dzieci sen zamorzył, a ona ich budzić nie chciała dla pożegnania choć czuła śmierć odrętwiającą powoli. Piękność jak szata oblubienicy okryła oblicze jej białe, czyste, pogodne... modliła się, modliła na dzieci stojące nad przepaścią, nad któremi Boga i aniołów widziały jej oczy. Jeden kapłan starzec czuwał u wezglowia z torebką podrózną, w której przyniósł jej—cieło Pana: jedna lampa gorzała w kątku, męta jej nie

było... pociągnął go świat i powiedział sobie odchodząc, że ona nie umrze, że udaje chorobę aby go odciągnąć od zabawy.

Anioł i kapłan byli przy niej, przez otwarte okna uśmiechała się wiosna, dochodził śpiew słowika, woń bzów dokwitających, jaśminów i rosą oblaną trawę skoszonej... nie nie słychać było prócz rzeźwych głosów poranku wzywających do życia, i kapłana modlitwy i pacierza umierającej. Konała powoli z przytomnością i siłą... oczy jej zapalały się blaskiem potężnym, usta układały się w ostatni uśmiech do trumny, czoło wypogadzało jak niebo nad zachodem, krucze włosy rozplątane strumieniem czarnym oblewały do koła cudny ten owal, który co chwila bledszym i podobniejszym do marmuru się stawał.

— Dzieci moje, wyszemrały usta — Boże mój dzieci moje!

A kapłan podał jej w tej chwili krzyż, i pojęła całą, że one mają ojca, że się do świata nawet miłością dla nich przywiązywać nie była powinna, gdy duszę jej wołał ojciec wspólny na łono spoczynku. Przyciągnęła do ust Chrystusa i powieki jej splawiające oczy pełne życia jeszcze przymknęły się wyciskając ostatnią łzę, która na zziębłym obliczu potoczyła się jak perła — Widziałem wówczas z powłoki ciała zastygłej a cudnie jaśniejącej czystości rysów niepokalanych ulatującą duszę i anioła, który ją przytulił bratersko i promień jasny po którym strzałą wanieśli się ku niebu.

Z temi samemi rysy, które miała na ziemi poleciała do Boga — ale weselsza, rozpromieniona, jasna i ściągając ją oczyma widziałem długo, długo, białym cieniem potem gwiazdką jasną, potem punktem błyszczącym, aż jasność jej zlała się w niebiosach z luną bijącą od tronu Bożego, i stopiła się w światłościach. Znikome zwło-

ki, „ten posąg wzniesiony zgasłej duszy*) pożarła ziemia i zieloną okryła mogiłą. Wiatr przeleciał i startł szczątki tego smutnego obrazu, jam pozostał w zachwycie sił smutku, sił wesela i płakałem. Czemu? nie wiem.

Żał mi było téj istoty do której się przywiązałem, której już nie miałem ujrzyć na ziemi.

XXX.

Anioł uniósł mnie dalej za sobą, pod stopami naszymi kłębiły się mgły, obłoki, wyziewy, a z między nich kiedy niekiedy ukazywał się to uśmiechający kątek świata, to czarna rola krwią zboczona, to ktoś żywy sam w pustyni, to tłumy ludzi popychające się i walczące z sobą.

Skrzydła anioła niosły mnie dalej, a dalej, i nie trzymały się aż nad porośłą chwastem mogiłą, na której przed laty ręka czyjaś przygotowała była pomnik zmarłemu. Jakby na szyderstwo te głazy wyciosane, zrzucone były beładnie obok kupy ziemi, którą litościwa wiosna pokryła zielonym kobiercem. Ten pomnik nowy nigdy nie został wzniesiony, wśród pracy około niego pamięć ostygła czy ludzie zubożeli i bryły te pozostały tak przy grobowcu okrywając się mechami, i rozsypując w gruz nim się wzniosły.

Inne przeżyły choć tyle ile żyją groby i pamiątniki, ten w kolebce umarł i rozsypał się, nim był postawiony. Na tablicy niebyło imienia, znaku, daty, a dziwne hieroglify śmierci wyjadła wilgoć, powygryzały mchy, pokreśliły spływające wody, pisząc słowa które Bóg

*) Jean Paul.

tylko potrafiłby wyczytać. W stosie kamieni, które jeden dzień zrzucił na jutro odkładając budowę pomnika co nigdy istnieć nie miał i stał się od razu ruiną — bajne rośliny powyszczyły do góry liśćmi zielonemi, przeciskając się przez szpary, wijąc się w wieńce, splatając w wiązanki, pochylając w różne strony jakby się ulitowały gruzom i ocienić je a oszczędzić chciały. Grób to był nienarodzony a zniszczony, a obok niego to miejsce, które życie człowieka zamknęło w sobie, wkleśnię i zapadłe... było jako blizna która powoli zaciąga się i goi. Przy nim stały pomniki różnej wielkości i budowy, różnego pozoru i znaczenia, proste krzyże drewniane obok spiżowych tumb, marmury i cegły, pruchno i błyszczące złociste ozdoby, jedne świeże jeszcze i połyskujące, inne zczerniałe i pochylone... otoczone kwiatami, opasane chwastem.

Gdy okiem osłoniętym spozierał na to pole pobożowiska, a niemógł przebić okiem skorupę ziemi, co tyle żywotów pochłonęła i pożarła — wiatr się wiał nad cmentarzem i rozwał tuman unoszący się nad nim, w blasku promienia który padł z góry zobaczyłem gdzieś niegdzie unoszące się postacie białe napróżno usiłujące od grobów dźwignąć się ku niebu. Jeden powiew podnosił je nieco, drugi strącał na ziemię, nlebiały skrzydeł lub złamanemi próżno podnieść się pragnęły, strącone upadały na mogiły i leżały na nich znużone.

U niepostawionego pomnika w kupie rozsypujących się kamieni leżał duch zgnieciony bezsilnością, niemożąc od niej się dźwignąć; niewidziałem jego oblicza, bo je miał osłonięte całunem, słyszałem tylko wśród ciszy jak ciężko rozbita pierś jego dyszała, i wyrazy przerywane dochodziły uszu moich.

— To jeden z tych, rzekł anioł, co żyjąc na ziemi sercem się do niej przywiązali, namiętnościami do niej przykuli, i choć dusza ich pragnie spokoju, i powrotu

na łono Boże, niema siły podlecieć ku niemu. Patrz jako się męczy ten człowiek w zapasach z pamięcią żywota i jasnym niebios widzeniem. Otwiera się przed nim to niebo, spogląda w raj, a więzy które sam ukł trzymają go przy kupie zgnilizny i rozsypanej szacie znikomój.

Gdy podniósł głowę ujrzałem piękne ale znużone oblicze człowieka jakby mi od wieków znajome, jakby braterskie, niemógłem przypomnieć gdzieś je widział, czy w wędrówce po ziemi czy w snach niebieskich, czy przecuciem żywota i téj chwili. Była to mara człowieka co ucierpiał wiele, — bo się nigdy od stworzenia ku Bogu podnieść nie umiał, choć Boga pragnął, choć prawdę kochał, choć piał się ku wielkiemu i cystemu. Życie przeszłe malowało się w rysach widma jak w księdze i czytałem je jasno jakbym całe jego pasmo rozwinął.

— Codzień — anioł, męczennik ten na nowo przeżył swój żywot i przechodzi jego koleje — patrz — ucz się.

XXXI.

I stał się poranek chmurny, a duch zwiłkłszy się z grobu swojego posunął daleko od cmentarza, aby się dręczyć odnowioną przeszłością. Życie to nowe dzie sięćkroć było straszniejsze od dawnego, bo przez nie z końca w koniec widział skazany następstwa, zawody, koleje fałszu i to co miał ściągnąć na siebie — i wstąpi idąc błędy szedł chłodno pojmując że grzeszył. Ta była kara i oczyszczenie jego na które sam się

wskazał żywotem; ale zakreślona mu miara wyczerpywała powoli te męczarnie.

Za każdym zwrotem do starego życia ubywała zeń chwila, skracała się przestrzeń między kolebką a grobem, każde nowe przyjście było lżejsze... a jednak ylekroć powtórzone życie, jak być musiało ciężkie i z jaką tęsknicą powracał duch do niego, z jakim wysiłkiem je kończył, by na nowo z jutrenką rozpocząć.

Był to jeden z rycerzy ducha. Widziałem go rodzącego się z płomykiem u czoła i gorącym wejrzeniem, z roztwartymi ku światu ramionami i bijącym sercem, młodości jego poklaskiwał ogromny orszak otaczający. Dziecię z drugiej rozpowite kolebki wybiegło w świat otężone staraniami, karmione i pojone czém ziemia miała najwybrańszém, choiwe wiedzy, rozkoszy, wrażeń, wszystkiego razem najczystsze i najpłomienistszego. Pukle włosów jasnych otaczały mu skroni wydatą, jakby myśl co w niej mieszkała rozsadziła ją chciała. Był to maluczki król stworzenia co się czuł za wczasu panem i dla gospody w której panował zapomniał o wiekniściej ojezyźnie. Z dziecka wyrosnął młodzińcem i z podniesioną skronią poleciał w świat który doń wyciągał ręce.

Wszystko co los może dać szczęśliwemu on miał, co inni zdobywają powoli i mozolnie, jemu przyniosła dola w darze do kołyski, imię, bogactwo, znaczenie, nawet płomyk genjuszu. Namaściła mu usta poezja, rozjaśniła oblicze piękność, urok czarowny twarz opromienił, urok mu okolił serce, słowo jego porywali, płomień co go palił rozgrzewał najzimniejszych — zdawało się że jak zwycięzca na wozie tryumfu przejedzie przez tłumy do wielkiej akropolis nieśmiertelnych...

XXXII.

Ujrzałem go naprzód promieniejącego tą wielkością i mówiącego w sercu — jam jeden | z wybranych — wdziwiającego na się purpurę dumy i podnoszącego czoło po nad gmin a głos po nad wrzawę, gotującego się wywoływać prawdy wielkie.

Ale w nim duma struła wszystko, samolubstwo rzuciło go o ziemię, słowo co miało proste a wielkie lecieć z duszy, odziało się tą samą szatą purpurową dumy co on i z niej się rozdziać nie mogło. Mówił już dla oklasku nie dla apostołstwa, śpiewał nie uczucie ale próżność swoją, a gorączka panowania w świecie ducha i słowa objęła go płomieniem pożerczym.

A była iskra świętsza w tej istocie upadłej zbytkiem siły, i były dlań chwile porywów wielkich, w których się odzywał słowem natchnionem, z serca wytrysła, łza tęsknotą potężną, zgryzotą mozną — ale tuż zaraz zwracała mu się głowa uwieńczona i śpiewał sobie hymn chwały, gdy powinien był ukorzyć się Bogu — a gdy ludzie niesłuchali go sypał słowy i obrazkami, dźwiękami i przekleństwami aby ich ku sobie pociągnąć, i stawał się przez dumę dzieckiem ziemi, gdy pokora była by go uczyniła synem Bożym.

Widziałem go przeżywającego tak na nowo chwilę, która mu dana była, silnym młodzieńcem, potem dojrzałym mężem... co rozpoczęła młodość dopełniły lata późniejsze, zamiast oczyszczenia dumniał tylko i rósł chorobliwie jak owi ludzie których ciało wzdyma się, obrasta duszę w nich zasklepioną i czyni kalekami ociężałymi — Tak duma czyniła go kaleką na duchu, i zamiast wyrosnąć w olbrzyma, przerabiał się na opa-

chlą istotę, co się dźwignąć nie umiała... odziana codzien grubięj narastającą skorupą.

— Cożem ja, mówił sobie wielkimi stąpając krokami i uderzając się w czoło — anioł upadły? zesłaniec Boży? istota znamieniem wielkiem napiętnowana w kołebce, posłannik apostoła? czemu ci ludzie nie klęczą przedemną? czemu nie zegną karków? Czuję w sobie ogień święty i jasne widzenie świata i dłoń do stępu stworzoną i usła do roskazywania stworzone. Dla czego sprzeciwiają mi się i kto godzien stanąć przy mnie, obok mnie, ze mną? Jam wielki jako żaden, a zwyciężyć ich nie mogę.

Zapomniał, że tylko potwora zwycięża, tylko ofiara podbija.

XXXIII.

Szedł tak i padał i podnosił się — aż oko w oko spotkał się z kobietą, która mimo niego przeleciała, pochwycił ją wejrzeniem i przytulił do siebie. — Była piękną lecz krasą nieziemską; która jest jakby niebios wspomnieniem, w oczach jej błyskał promień miłości ożywiony łzami, w ustach uśmiech dobroci niewyczerpanej. Spotkali się i rozstać mieli, bo ich dwa silne łańcuchy pociągały w dwie strony przeciwne, ale on stanął i rozkazał się jej zatrzymać. Posłuszna niewolnica ukłękła przed panem, a pan upadł przed niewolnicą i śpiewać jej począł pieśń miłości, panowania, swe sny, swą dumę, nadzieje i wielkość swoją, a świat umilkł i słuchał chwilę tej pierwszej pieśni, która się we wszystkich rozległa sercach.

— Co ona zwiastuje? pytano — czy wielkiego poetę, czy wielkiego męża? Ona zwiastowała tylko namiętność wielką i dumę olbrzymią; ale szaty jego były tak świetne, blask tak wielki, dźwięki tak brzmiące mile.

U nóg kobiety poczęte u stóp jej powoli płynęło to życie, chciał wstać i niemógł pójść dalej, ale rozklęczały dźwignąć się nie miał siły, — śpiewał co miał czynić, a nie czynił nic . . . roił co jutro wstawszy pocznie, jutro znowu te same łączy więziły go w kole marzeń i przykuwały do tegoż co wczoraj pręgierza. Jutro, mówił, pieśń skończę, a życie rozpocznę — ale życie było skończone, a pieśń jedna i jedna powtarzała się codziennie.

I siedzieli tak w milczeniu, utęsknieniu i znużeniu oboje, miłość ta była wielkiem cierpieniem, lecz gdy jej pęta chcieli potargać, łańcuch bolał więcej jeszcze, ostygłe nadzieje ożywiały się, wspomnienia chwytaly ich swemi szpony, i niedawały im się rozstać.

Piękne czoło poety pokryło się zmarszczkami przedwczesnymi, oczy zagasły, ale duma świeciła w nich jeszcze. I jak do barłogu Hioba przyszedł doń przyjaciele i mówili — Tyżci to, wstań a idź i czyń.

A upadły odpowiadał im obłąkany:

— Miłość moja sama czynem jest; życie moje miłością, słowo nasieniem, czego więcćć chcecie odemnie? Nie pójdę dalej, bom u celu i kresu.

Wówczas osmucili się druhowie i stali w kóło z opaszczonemi rękami mówiąc — Tyżci to czy cień twój? gdzież wielkie twe czyny, gdzie siły? gdzie panowanie nad sobą? gdzie królestwo i berło twoje?

A słowa te nie do jego serca, które duma zasklepiała, ale do duszy kobiety trafiły, i powiedziała sobie, że jest dlań brzemieniem, zawadą, że powinna uczynić ofiarę z siebie i odejść, by go uczynić silnym. Wstała więc targając więzy i uciekła, ale oswobodzony padł

w tém miejscu które zajmował szczęśliwy i nie poszedł już dalej.

Chwila ta namiętności wyssała zeń skarby życia, nogi drżały, czoło się chyliło, dłoń zmiękła, nie pragnęła pracy, usta powtarzały jedno słowo, a serce dumą tylko wybierało. Pieśni próbował i dawną tylko nucił ustami nie duszą, bo w nią już sam wierzył, a im chłodniejsza była, tém więcej stroił ją i wdzięczył, i jak do trumny dziecięcia sypią kwiaty, tak on ją w najpiękniejszą odziewał sukienkę.

XXXIV.

Przeszła chwila długa, gdy mi znów mań anioł wskazał, był to skelet przeszłości, istotna marnia zeschnęła na sercu, zbladniała, a czująca się jeszcze wielką, choć czynem nie mogła już dowieść posłannictwa swego. Rozdrażniony rzucił jeszcze słowa, ale chłodne choć wielkie i błyszczące, potem umilkł obwijając się szatą, którą uszył na całun grobowy. Życie za karę stało się dlań pasmem maluczkich, i pospolitych powszednich męczarni, w sprzeczności stając z pieśnią, którą głosił. Pieśń opiewała miłość, życie dało mu za towarzyszkę istotę, co wielkiego i gorącego przywiązania pojąć nie mogła, cichego anioła bez skrzydeł, truchlejącego przed panem, lecz niepojmującego pana; pieśń pragnęła dramatu, życie osnuło mu pospolite i chłodne sceny pokoju i ciszy; śpiew zwiastował uczucie, a w sercu ono wygaśnię, obiecywał czyn, a dłoń go dopełnić nie mogła — i otoczony wszystkiem, co na ziemi nazywa się szczęściem, stał się męczennikiem słabości i dumy.

I rozdziwił się biedny na powszednią istotę i wielkiego męża, w pieśni będąc olbrzymem, w życiu najpospolitszym z ludzi, a w sercu jego rozpoczęła się ta walka nieskończona niewiary i dumy, wielkości i znikomości, upokorzenia i żądzy sławy, ciszy grobowej i pragnienia rozgłosu. Z każdym dniem tylko dźwigał się myślą i stawiał sobie wyżej coraz ołtarze, przed którymi codzień ubywało czcicieli... jedna tylko niewiasta cicho podsycała płomienie gasnące. Życie marniło i roztopiało się w tém morzu łez niedopatrzonych, i oblicze schło i oko gasło, aby wejść na drogę działania nie było już mocy, odwagi, może nad wszystko pokory.

— Ja miałbym mięsząć się z tłumem! mówił w duchu! ja wybrany! Niech mnie otacza, niech przyjdzie pod stopy moje, ja ku niemu wynijść nie mogę... jam prorok i wieszcz, głos mój siłą i czynem moim, słyszą go z za chmur... niech przyjdą i biją czołem.

Ale nikt nie przychodził, i wielka pustka rozstaczała się wkoło tego stosu rozpalonego próżnością i pożarającego się powoli. Wiekuistym monologiem płynęło to życie, które się rozpoczęło hymnem zwycięstwa i obietnicami niepoścignionemi... ten Hamlet nowy jak lew w klatce chodził i pytał siebie — czém jest? czém będzie? co przed nim? co w koło? Palił się dumą swą a łzą zgasić już tego pożaru niemógł. O! gdyby łza jedna! i jedna chwila pokory... one by okupiły życie całe i odrodziły go może.

Widziałem go chodzącego samotnie, oddzielonego od rodziny, obwarowanego wielkością swoją od przystępu ludzi i chwytającego się za skroń wyłysiałą, szukającego na niej wieńca poety, cierni męczennika, a znajdującego tylko nagą czaszkę wycieńzonego życia w człowieku... Wieńce się osypały, cierni nawet rozplótł i upadł... boleścią wielkim być nieumiał!

XXXV

— Wy nań patrzycie w zdumieniu, rzekł anioł, a stróż jego niebieski płacze — spojrzij jak odepchnięty unosi się nad nim ze złożonemi rękoma usiłując mu posze-
pnać słowo które od uszu jego odłata i pada. Dla was to istota wybrana, dla niebios nieszczęśliwy obląkaniec, w waszych oczach ta duma to uczucie siły, dla nas to oznaka słabości, wielkie pragnienie i niemoc; dla was to bohater niepojęty, dla aniołów to dziecię oszalałe.

I gdy maluczki a pokorny którego on popełnił w swęj drodze, uleci czystą duszą ku niebu, on się tu błakać będzie musiał dopóki nie spożyje grzechu pokutą ducha, który zawinił.

Patrz jak upada powoli, jako milknie, jako zapomnienie go odziewa, a miłość własna żżyła się w tych okowach nieznośnych, opuszczają go wszyscy, a zimny uścisk ziemi obejmuje, umiera z boleści nieznanęj czując się już małym a głosząc wielkim i potężnym.

XXXVI

— Otóż ostatnie słowo tego życia, rzekł anioł pochylając się ze mną ku ziemi nad którą wieczór letni w chmurach porwanych w szaty czarne przelatywał.

Niebo było straszne, zaiskrzzone, czerwone, miedziane, złociste... na jego ognistém tle jak plamy rozpięchły się obłoki ciężkie, dziwnie porozrywane i podarte. Tu i owdzie daleki blask jakby pożarnej łuny jaśniał z po-

między tych czerni ruchomych żeglujących po niebie. W samotnym domie, na którego czole nie napisane nie było krom troski o ład i czystość, ubezpieczające jutro w domu chłodnym i pospolitym, w ciemnej izbie na bogatym łożu konał powoli ten człowiek co żyć nie umiał. I nie mógł się skarżyć na życie, bo mu ono dało wszystko co dać mogło... odmówiło tylko ubóstwa, ciemnia i boleści, a otoczyło na przekór dostatkiem, ciążą i miłością. Cierpienie byłoby go zbawiło, podniosło, czyniło bohaterem, szczęście odjęło siły, zabiło. Alekś nie chciał się wyrwać z objęć jego, ciało niedopaszczało rozpieszczone i umysł szukał dla brata wymówki. Jutro miał być wielkim dopiero, ale to jutro przez się dalej usuwało... mówił potem, nareszcie i słów zabrakło — duma już go niepotrzebowała.

— To życie jednego ze szczęśliwych i wielkich, rzekł anioł — od kolebki otoczone tym, co tylko zamarzyć można na ziemi, ale je rozkosz, łamie, ale je szczęście zjada i rozgryza na szczątki... ale go duma potęga i ryje... człowiek schnie, wyrywa się, ginie.

Znaszli teraz wartość boleści? zapytał duch — spojrzij i ucz się jako niepojmujecie świata, tego co nim rządzi, co się złem i dobrem nazywa.

XXXVII

Nadeszła chwila zgonu uroczysta... łożu jego otaczały istoty ciche, maluczkie, przywiązane, milczące, ale ich uczucia niewystarczały człowiekowi, któremu okłask świata i żałoba narodów były jeszcze za małe, bo się w swém sercu ukoronował za władzcę i pana. W tej chwili zbliżania się do Boga, cały żywot przesunął się

fantasmagorya; przed oczyma jego: młodość, ukochane istoty, obietnice życia, pieśni, marzenia, i powieśle wianki i szczątki wszystkiego co żyło. Wszystko miał, wszystkiego użył, wszystkiem wzgardził, nie nie uczynił... konał zmożony sobą.. brzydząc się wreszcie bałwanem którego wykuli, milczący, zasklepiony, duszą się jeszcze nie mogąc podnieść do pokory.. A konanie było powolne, i ciężkie, młodsza od ciała dusza wyniszczone nie mogła, nie chciała.. pękły więzy.. i duch uleciał w przestrzenie, ale upadł z wyżyny i uwiązł przy grobowcu, na którym ani blaszczu, ani monumentu nie było, ani odgłosu pieśni co miała być nieśmiertelna.

Staliśmy jeszcze w powietrzu nad mogiłą upiora który powrócił do niej, i przyrosłe do ziemi stopy próżno chciał od niej oderwać — chciał krzyczeć, usta niedały głosu, westchnąć, piersi mu brakło, lecieć, a skutki upadła na grobowisko swoje.. Litościwy anioł stróż odpchnięty za życia spuścił się nad to łożo boleści i przytulił do piersi skroń rozbitą, szepecząc mu słowa leczebne pokory i modlitwy.. Mgła biała obwiała obu i straciłamy ich z oczów.

XXXVIII.

Podnieśliśmy się wyżej i ulecieli dalej, a wszędzie w przestrzeniach niezmierzonych napotykałamy zastępy duchów krzyżujące się nad światem widowym niewidomym dla ziemskiego oka.. Im wyżej, tém czystsze one były i wybrańsze.

W różnych warstwach eteru spoczywały i oczyszczały się podrzućające dusze, którym służyli aniołowie jako im służąc, na ziemi i ożywiali je tożnieniem swém, i koły-

sali modlitwą. Ulatujące z ciał znikomych dusze potrzebowały téj kąpieli niebios, aby zmyć z siebie plamę ziemi i pozbyć jój zaprzątnień i myśli, jój przywiązań i słabości.

Jedne już rozjaśniał uśmiech niebieski szczęścia, drugie jeszcze obłoczek smutku ziemskiego otaczał i oczy ich usiłowały przebijać przestrzenie dalekie, sięgnąć na ten świat, na którym pozostawiły drogie sobie istoty i miejsca i powłokę śmiertelną, z którą się niepotrafiły rozstać bez żalu. Za nimi leciały jak wyziewy wspomnienia, jak para, łzy ludzi, i obciążały im skrzydła i wstrzymywały w polocie.

Prąd wielki podniósł nas wysoko, wysoko, i od jaśnych przestrzeni tron Boży otaczających, odlecieliśmy z nim w sine głębie dalekie, wśród których coraz rzadziej a rzadziej spotykaliśmy dusze błędne. I ciemno było w tych eteru głębiach, i ciemno, oko tonęło w niezmiernych ich przepaściach, cichych, zastygłych, graniczących gdzieś z nicością. . . Tu już nie było ani aniołów, ani ani duchów, ani życia, cisza grobowa, nieskończona . . . pustynia bez krańców. Zastygłem rzucony za światy i objąłem anioła przewodnika bojąc się by mnie tu nie rzucił nieszczęśliwego w stronie, od której się oko Boże odwraca i duchy nawet nie lecą, a nic nie przerywa ciszy umarłych i ciemności nieprzebitej! Strach wielki mnie ogarnął aż drżeć począłem i pot zimny oblał skroń moją, a anioł promieniem oka, wskazał mi w téj pustyni żywą istotę wygnańca.

XXXIX.

— Czém jest to piekło i czyściec, rzekł anioł, które wy sobie waszemi barwami malujecie, przy tém, które

— ~~dnasz~~ ~~samo~~ gotują sobie życiem i grzechem? Spójrzaj a powiedz mi, jestli męczarnia nad tę? Do koła pustynia i milczenie, ani ducha, ani duszy żywej, ani węzła, coby z jakim łączył światem, odrzucenie, zapomnienie, samotnia w grzechu i upadku.

Sprowadź tu roje szatanów, zadaj mu tysiąc męczarni, a one niewyrównają temu odepchnięciu wiekulistemu w jakim zostaje ta dusza.

— Jestli to piekło, zawołałem.

— Nie! rzekł, uśmiechając się anioł — piekło to nic, to śmierć wieczna, to zniszczenie nieśmiertelnego — jest to kraniec piekła, miejsce próby, stanowisko oczyszczenia dla duszy upadłej. Ona się tu trawi w sobie i poiera, aż dopóki wszelkiej słabości niepozbędzie, nie oczyści, nie usposobi do zbliżenia ku Bogu. Powoli uz tej głębiny zstąpi w jaśniejsze strefy i ujrzy duchy i uczuje się nie samą jedną, ale znów w ogniskach żywota. Największe męczarnie będą dla niej słodkimi po tym odrzuceniu i ciszy śmierci, w której godziny zdają się wieków milionem, — a lata nieśmiertelnością, piekielną.

Duch skazan na oczyszczenie przez ciszę i milczenie zawieszony był w przestrzeni siłą niewidomą, oślepy, głuchy, nieruchomy... w głębi niego tylko kłębiły się myśli i wspomnienia ziemi — zgryzoty i pragnienia.

— Cóż to za wielki zbrodzień? — spytałem zdumiony.

— Ten ci to sam, którego widziałeś na mogile, przeniesiony tu prawicą Wszechmoenego dopóki dumy swęj niepożre, i nieprzetrawi się, osnuty nią, a niewyleci z niej jako motyl, z okrywającej go skorupki. Ale ile lat potrzeba, aby jad co duszę przeżarł, wypić pomału i oczyścić się w osamotnieniu z dumy, odepchnieniem i ciemnością z próżności, ciszą grobową z chwały? i

co się tam dzieć będzie w tej duszy nieszczęśliwej przez
tę próby i oczyszczenia?

Módlmy się za niego.

Kłękaliśmy w obłoku i modlić się zaczęli, anioł zle-
żył mi ręce i usta nastroił, i widziałem jak modlitwy
nasze poruszyły te nieme, zastygłe stery, wietrzykiem
doleciały do odepchnionego i ochłodziły mu skroń —
poczuł się nie tak samotnym i zadrgał.

— Lećmy, rzekł anioł, aby się nie sprzeciwiać wy-
rokowi Bożemu, który go skazał... otośmy i tak przer-
wali ciszę, i kto wie? może odnowili ranę, może zwięks-
zyli boleść?

Odetchnąłem, gdy stopniami z ciemni szafirów spasz-
czać się poczęliśmy znowu w jaśniejsze, choć mgłami
ziemi odziane przestrzenie oświecone słońcem: powoli
pierś znanego nabrała powietrza, i woń dolin, woń ży-
wota doleciała do nas, a ziemską moją naturę upoiła
się nią, jak najczystszym z napojów. Jeszcze oczy nie-
postrzegły padół, a jużem go miał w piersi i odgady-
wał zbliżenie jego, i wszystkie węzły, które manie z nią
łączyły, zadrgały.

XL.

Stała się noc gwiazdzista i spokojna... niebo nad
naszemi głowami osypało się milionami różnobarwnych
światełek, które wisiały bliżej i dalej do koła, drżąc
wśród fal powietrznych premykami, które ich życie
zdradzały. Gdzieś tam jak pasy srebrzyste i drogi
wysypane były po niebie, jak pył diamentowy uścielał
szlak jakiś bez początku i końca rozpyływający się
w ciemnościach... to znów po kilka światła błyskały

jak znaki drózne tu i owdzie różnemi blaski; — i niebo wyglądało jak tajemnicza karta na której głoskami ognistemi Bóg wypisał niepojęte słowo bytu. Wśród gromad światel różowych, zielonawych, krwawo i sine błyszczących, kiedy niekiedy jakby na znak życia wśród nieruchomej jednostajności zrywała się ze sklepień niebieskich gwiazda, szalała w przestrzeni, a życie to począwszy, kończyć je musiała gasnąc natychmiast... płacąc śmiercią za trochę swawoli. Smuga ognista zostawała na chwilę jak warkocz rozpleciony w przestrzeni, rozpyływała się, rozwiewała i gasła. — Dalej biały obłoczek wędrowny, mieszkaniowiec różnych krain, strażnik ziemi, jak nocny wartownik powoli się przesunął, i ośpałe szedł gdzieś gnany niewidomą prądów siłą, póki się w powietrzu nie roztopił. Nad widnokrzem z wyziewów i par ziemi dobywały się jak z morza głębiny powoli wschodzące gwiazdki, i postępując ku górze coraz jaśniej błyskały, jako duch, co się ku niebu podnosi. —

Widok niebios wśród milczenia był majestatyczny i wielki, a ta sieć ogni rozwieszonych na niem nieprzełączonemi węzły związana, wprawiała w zadumienie przestrach.... Ni początku, ni końca... Im trwałej zagłębiało się oko, tém więcej tam czytało tajemnic i głosek niepoliczonych, a rachując je, mordowało się i upadało pod ciężarem nieskończoności. Anioł wygnaniec wzdychał ku Bogu, ja ziemi dziecko tęskniłem za ziemią ojczyzną, i boleść moją ukojoną widokiem niebios, zastąpiło pragnienie ziemskie, zstąpienia i dotknięcia stopą padołu wygnania. A chociażem milczał z ruchu mój piersi zrozumiał anioł żądzę co mnie trawiła — i z litością znowu skroń moją przytulił do siebie.

— Biedny człowiecze, rzekł — tak że ci żal ziemi, że już wzniesiony łaską i miłosierdziem tęsknisz za nią

i wyrywasz się do niej? Cóż tam porzucił za sobą
prócz boleści i zawodów, prócz trumien i cmentarzy
wszystkiego coś ukochał i co żywo w sercu pogrzebił?
Posłuchaj, czy cię kto woła? spojrz, czy kto płacze po
tobie? I ani tam stąpają po śladach twoich, i fale mo-
rza życia zamknęły się już za tobą.

XLI.

Niewiem co się stało ze mną, alem się zbudził, gdy
na wschodzie jaśniała jutrzienka różowa, której krąg
światła rozciągał się powoli krwawiąc obłoki, rozlewa-
jąc się strugami po chmurach, rozpromieniając i rozno-
sząc przebudzenie do życia stworzeniu. Wśród ciszy
nocnej powstał szmer téj jutrzni dnia, ażeśmy się spi-
ścili ponad samą ziemię i kapali w jęj ciepłym wyzie-
wie, doszły do nas dzwony poranne, szelest lasów co
się budziły gałęzmi, strumienie wiatru przelatującego
po nad polami na dzień, dobry i świergot niespokojny
ptaszat, i nakoniec jęk boleści ludzkiej.

— Spojrz, rzekł anioł, jako się cieszy wszystko stwo-
rzenie, jako raduje życie, jeden tylko człowiek mający
przecznio lepszej ojczyzny, otoczony nawet szczęściem,
tęskni i płacze, spogląda w niebo i pragnie. Dla tych
istot niema śmierci bo jęj niewidzą ani przeczuwają,
niema postrachu przyszłości, bo ich byt cały się zamy-
ka w garści ziemi i prochu; — w człowieku drga du-
sza nieśmiertelna i czyni go wiekuistym wygnansem.—
Rzuca się on, nie wie jako i czego ma pragnąć, a ję-
czy i pragnie, przychodzi do źródeł z pragnieniem i od-
chodzi nienasycony, kosztuje wszelkiego owocu a gkđ
mu dokucza, próbuje miejsce wszystkich, i wszędzie ma

łaskno, — i zawsze czémś boleje. Najnieszczęśliwszy ze stworzeń gdyby się byt jego kończył na ziemi, ale w tém znamieniu boleści Bóg mu dał objaw żywota i szczęścia, powiedział mu, że tu nie koniec jego doli, że bez rozwiązania w niebie życie dlań zawsze zagadką... Niepokój duszy jest pokoju niebios zwia-
stunem.

XLII.

Gdyśmy przelatywali po nad ziemią, wysoka mogiła zwróciła oko moje, a stała na rozdrożu w pustém polu, przy wijącej się drodze i krzyż jój żaden nie ocieniał, a pamięć ludzka niemogła dobać, czy była grobowiskiem, czy kopcem co dwie rozdzielał granice. — Oku ziemskiemu niewidomy był duch, co siedząc płakał na wierzchołku... Myśmy go widzieli z wyżyny, w szacie białej poważnie zamyślnego na grobowcu, podpartego na dłoni zamulonej i wyczekującego chwili powołania z tej strażnicy. Po nad nim w górze unosiły się dwa anioły, jakby czekały chwili, aby go dźwignąć do nieba. Na tej wyłysiałej czaszce, w oczach przymkniętych cierpieniem, w ustach skrzywionych i zapadłych, tyle mówiło do mnie znaków boleści, żem wzrokiem upadł u stóp tego ducha co tak siedząc na ziemi patrzył smętny, a od ziemi nie był widziany. Spytałem anioła prośbą oczów o nieznane widmo.

— Zbliży się, rzekł anioł, — a usłyszysz z ust jego skargę i dzieje. I zlecieliśmy ku mogile, a duch podniósł ku nam blade oczy i ręce drżące.

— Czy godzina wyzwolenia nadeszła? spytał głosem grobowym, czyście postaćcy lepszego kraju, czy wę-

drowcy powietrzni? Tyle tu ich przeleciało nad głowy mojemu, a zwiastuna swobody mojej nie widzą... Długie lata, długie... nie masz że i niebądzie końca? zawsze tak mi tu siedzieć na tej mogile i patrzeć na opłakaną ziemi znikomość?

— Któż wie wolę Bożą? rzekł anioł z nieba — azali wy sami nie wskazujecie się na te kary grzechy w ziemi, które duszę obciążają i w chwili zgonu uciec jej nie dadzą? Azali Bóg nie jest sprawiedliwością i miłosierdziem? Ty ukochałeś ziemię i uwierzyłeś w nią przez cóż skarzysz się, że ci na nią patrzeć dozwolono?

— Ziemia, rzekł starzec spuszcżając oczy — O! jej widoku mam dosyć; to widowisko zniszczenia i śmierci a żywota pragnę, jam dość już umierał! Niezam ta chwila, w której rozstawałem się z życiem w obec tysięcy zgonów na które patrzę, które mi konam codzień. Bo wszystko moje pomarło, wszystko co mi posiał szał i znikło, na com pracował zwiędło marnie i rozsypało się w proch.

I potrząsł огоłoconą czaszką i długą brodą siwą i młczał. A myśmy także stali w milczeniu czekając, rychło li przemówi znowu.

Znać było, że gdyby był miał lzy, byłby zapłakał gorzko, ale z pod powiek umarłych nic nie pociekło, choć pragnęły, by je zwilżyła łza żywa... I począł się miotać starzec i drzeć na sobie całun biały, a po chwili tak się odezwał powoli.

— Grzechem moim zem w ziemię i ludzi uwierzył więcej niż w Boga i niebo, i przywiązał się do światła i budował na nim, — a pokutą widok tego jak się dzieło rąk moich rozpełzło i niszczało. Byłem głową rodu mojego i ostatnim wielkiego imienia potomkiem — cały żywot poświęciłem dla imienia, dla sławy, dla ziemskiej wiekistości której tu niema i być niemożna. Stawilem gmachy, obwarowałem następców, aby utrwa-

lić byt rodziny i uczynić ją niepożyłą... Dałem synom
mienie wielkie zdobyte w pocie czoła i zabezpieczyłem
je od utraty, obwarowałem się prawem, ostrożnością,
wszystkiem co człowiek obmyślić może, aby dzieło je-
go żyło.

Podniósł się na mogile, i wyciągając rękę kościstą,
złotą a drżącą, wskazał na lasy i doliny.

— Oto tam gdzie szumią lasy dębowe stał zamek nasz...
na wałach jego rośnie puszcza i huczy sowa... ani
cegły, ani gruzu ani wspomnienia... spytaj ludzi, nie
ci nie powiedzą o nas, imię wymazane z pamięci, śla-
dy zatarte... nic! nic! cisza i milczenie! Oto tam były
sioła i dwory synów moich... a dziś orze skibę obcy
człek służebny i niewie nawet, że pług jego orze mo-
giły, zbutwiałe druzgocąc kości. Te kościoły myśmy
stawili, te drogi myśmy trzebili, te stawy napelniliśmy
wodą... ten kraj winien nam życie... a nie błogosła-
wi... Nieraz w tęsknicy wielkiej kiedy mi samotność
wiekowa jak kamień młyński ciąży na wyschłej piersi,
wstanę i lecę i słucham, azali się gdzie nieodezwie i
nie zapłacze kto i nie uzali — ale nic! Cisza i milcze-
nie. Wnuki wnuków moich rozsypali się w grobach bez
śladu, ostatnia kropla krwi żywej niewie, że z biodr
moich płynie.

I mówiąc to wleciał ciągnąc nas za sobą, a bieglia-
my powietrzem szybko jak strzała z łuku puszczone
i zawisliśmy nad nędzną chatą w lesie. Była to cha-
łupa budnika wśród gąszczy leśnych, z ciernisk so-
snowych sklecona, maluczka, okopcona od dymu, na
progu jej z twarzą wybladłą siedział człowiek i szcze-
pał drzewo w milczeniu. Starzec stanął słupem przed
nim i bolał. Na licu żywego mniej było życia niż w u-
marłego twarzy, — znać w nim było istotę, co się wło-
kła do trumny drogą nieznana, niewiedząc celu, bez

ochoty, bez zapалу, w utrapieniu i udręce. W obliczu tego potomka wielkich rodzin, niebyło śladu dziejów krwi, ni wielkości dusznej, ani potęgi i sławy — kilka pokoleń w upadku wypiętnowały tylko na nim uciak i cierpienie. Rysy stały się pospolite i jakby zgnicione, piękność cielesna nie zwracała ku nim oczów... iskra ducha nie ozłacała aureolą promienną głowy w której myśl zmarła nieprzebudzona.

— Oto ostatni potomek rodu! rzekł duch łamiąc dłoń... na własnej niegdyś ziemi oplacający zagon przybyszom, często bez chleba kawałka, bez pamięci pochodzenia, nieumiejący wypowiedzieć nazwiska, i jarmu nędzy dźwigający od narodzenia. Dopóki ostatnia kropla krwi naszej płynie w żyłach żywej istoty, ja muszę błdzić i patrzeć, i boleć z nią. Modliłem się, by na nim ten szereg nieszczęść się skończył, — Bóg chciał i naczęj.

W tej chwili ujrzałszy bose dzieciaki wybiegające z chałupy i idące się ze psy bawić na śmieciisku — duch zadrżał.

— O! rzekł, ziemi! ziemi! znam teraz żeś prochem i nikczemnością, że człowiek kochać cię niepowinien, ani na tobie budować. Wszystko trwa tylko chwilę i niema prawa przeciw wyrokom Bożym... co żyło umrzeć musi, co świeciło zgasnąć... Jedno godzinę, wiek żyje drugie, a wiek i godzina równe w nieskończoności. —

Kiedyż me więzy opadną? kiedy ostatni z nich umrze i ja z mogiły jego oswobodzony polecę?

Mówiąc to padł a jęczał, a myśmy po cichu teglowali dalej w świat od tego nieszczęśliwego.

XLIII.

A lecąc gdym spoglądał na ziemię, anioł mi groby wskazywał — było ich tyle, że stopy jednej w którejby pokoleń proch nie był wmięszany, nie znalazłem. Świat cały był jedną wielką trumną, po której przegnitych deskach chodzili żywi, a to wesele ich straszne było. Pytałem każdego pyłu o jego dzieje zapomniane i stawałem co chwila, a łez mi na oplakanie tylu nie-szczęść brakło, bo więcej było niedoli i męczarni niż szczęścia! — a raczej tego co my tym imieniem zowiemy.

Anioł znowu wskazał mi niebo aby boleść meją uśmierzyć, i żeglowaliśmy dalej ponad ziemią czarną.

W tém jak w piekle Dant, gdy dwa uściskiem połączone ze sobą ujrzał duchy i wielką był zdjęty litością, aż wysłuchawszy ich skargi martwym z bólu padł na ziemię — i ja wstrzymałem się nagle przejęty politowaniem ujrawszy postać wiotką i przejrzystą, która gonila za nami.

Młode miał rysy ten człowiek głębokiem napiętnowane cierpieniem, długi włos jasny i miękki polatywał mu na ramionach, oczy niebieskie we łzach utopione pływały, czoło jego przedwczesnemi okryte było fałdami a na ustach mieszkalo narzekanie. Niemogłeś nań spojrzeć byś z nim nie zabolął, tak strasznie długa męka wyrzyła się na licu, które nią było uświęcone. Nie skarżył się i nie jęczał, nie modlił, ale tak leciał z wiatrem i prądem ponad ziemią, czegoś na niej szukając oczyma i sercem. A duch to był tak czysty, jakgdyby za chwilę miał odlecieć do nieba, a jednak coś go trzy-

mało nad ziemią i ciężar jakiś niedawał mu się od niej oderwać.

Stanęliśmy gdy się przybliżył, i milczeniem zdawał się błagać litości, a anioł mój spytał go — Czego pragniesz? —

XLIV.

— Słowa pociechy! szepnął duch nieśmiało, i kończąc czarni. Powiedz mi gdzie ona? W niebiesiech, to się do nich wmodlę, w piekle? to po nią zstąpię, na ziemi to zajdę do niej raz drugi, gdzie ona?

— A anioł uśmiechnął się i rzekł mu z litością.

— Biedny obłąkany, — alboż wiem? gdzie ją wyki Bóże posłały?

— Lecz kto ty jesteś biedny człowiecze? spytał, powiedz — albowiem zdajesz się cierpieć wiele.

— Ginę z bolesti a jęku mojego nikt nie słyszy, ję niema! ję niema! ję niema!

— Któż ona? spytałem.

— Słuchaj, rzekł — dwóch ich nie było na świecie, jedna była. Serce moje ukochało ją nad wszystko, poświęciło ję życie, dla niej zapomniało o Bogu — a ona!

I przerwał milczeniem boleśniejším nad słowo, i skłoczywszy, przypadł do ziemi tarzając się jako rany w pierwszej chwili nagłego bólu. Myśmy stali nad nim zwieszani i przeglądali z boleścią.

— Wszelka miłość świata tego tak się kończy, nie ma w niej jeno nasienie utrapienia, rzekł anioł — ten człowiek istotę ziemską ukochał miłością niebieską i cierpi. Bóg tylko tak być kochanym powinien, ziemia tego uczucia niewarta.

— Ocho płynęło życie moje, odczuwał się duch powoli płynęło jak rzeka szeroka wśród głębin lasów poważnie i spokojnie — młodość zieloną przebyłem bez szwanka i namiętności. Od ранней dzieciństwa gęstiny snił się mój duszy ideał kobiety niepokalanej, a oczy go niewidziały na ziemi i serce było spokojne, czułem że tęskność za nim ohwytała i pędziła ku przechodzącym cieniom. Zdala zdawały mi się nią, ale gdy obliczo ujrzałem, posłyszałem mowę, zbliżyłem się do niej, urok pękał i córki ziemi ledwie mnie na chwilę ku niej ścigały. I myślałem że kochać niepotrafię, a umrę niedoznawszy uczucia którego nie pojmowałem. Ludzie mówili że zimny, jam szczęśliwy był i spokojny. I minęły ranne lata, i prześniła się młodość i kończył prawie wiek dojrzały... gdy przy gasnących światłach pogrzebu, w blasku pochodni spostrzegłem tę postać anioła zesłaną na męki i rokosze moje. Nigdy w snach niewidziałem takiej postaci... ale odarta z tych wszystkich promieni którymi ją Bóg otoczył, jeszczeby dla mnie miała urok czarodziejski, co duszą zawładnął moją. Jój głos, ruch, postać miały dla mnie potęgę niepojętą, niewysłowioną... Widziałem plamy w tém słońcu a klęczałem przed niem. I miłość ta stała się męczarnią żywota i jego osłodą. Szarpałem więzy gdy mój niewidział, padałem przed nią gdy zobaczył, dręczyłem się oddaleniem, obawiałem widzenia i rozstać nieumiałem. A téj namiętności szalonej wszystko stało na drodze, ludzie, losy, przysięgi.... sama ta istota uwielbiona która miała trochę litości dla mnie, miłości dla nikogo mieć nie mogła. Jój serce przecierpiałoby tyle, tak było wielkie, że kochało zarówno wszystkich i wszystko, a coraz nowego pragnąc pokarmu, coraz inną żywności, wyssawszy trochę życia z jednego, rzucało się ku drugiemu.

I była ta istota różnobarwna, zmienna, dziwna, niepojęta, niepochwyciona; jednego dnia czuła i łzawa, drugiego zimna i szyderska, przejęta modlitwą i niewierna... litościwa i chłodna, snop kwiatów i kółców, ziela i liści suchych, dziś młoda jak dziecię, jutro zastarzała i zdętwiona. Dzień każdy czynił ją inną, każde wrażenie świata zmieniałój barwę, ale tło było czarodziejskie... a ja szalony.. Całą mą duszę oddałem tej istocie i wzięła ją z uśmiechem i poniosła z sobą i nie mam jęj... bo ją gdzieś rzuciła w otchłań po drodze jak zwiędły kwiat balowego wieńca.

— Żaden z was niewidział jęj, dodał duch, niepojmiecie jęj władzy a mojęj niewoli i męczarni. Wszystko częj żyłem wprzódy zostało zapomniane i odrzucone, spęłzło i znikło dla mnie, ona sama stała przedemną, celem, Bogiem, niebem, i piekłem. Życie, los, przyszłość oddałem w jęj ręce i czekałem wyroka, ona się mną bawiła, jak psem dziecię popsute, przysywała gdy chciała, odpędziała gdy mę nudził. Sto razy zwiedziony patrzałem na niewierną, obojętną, zimną, nielitościwą, a zawołany wracałem zadając fałsz oczom moim, fałsz uszom, fałsz sercu co się burzyło wśród walki.

Stary, na barki złamane wzięłem tę namiętność ciętką do dźwigania, pękało od nięj serce wzdęte, a wyżyć bez nięj ani z nią żyć niemogłem.

I niebyło na to lekarstwa, przerażony badałem siebie i uczulem nieuleczonym, — ludzie się śmiali, jam nie słyszał ich dojmującego szyderstwa... ja ją tak kochałem... i kocham ją tak jeszcze.

I zerwał się duch i zleciał z miejsca tego wiodąc nas za sobą.

— Oto drogi mojego życia, rzekł — nie liczę tego com przeżył wprzódy, lata te były stracone, tu się urodził bom tu ją ujrzał raz pierwszy... postawiłbym ołtarz na tęj miejscu gdzie ona mi się zjawiła!

Miejsce to było pustką, tém smutniejszą, że śmieciem i gruzami nieczystymi zarzuconą, po nad tym progiem gdzie mu się ów jasny obraz królowej jego życia objawił, jak szubienica stał uszak drzwi wyłamanych opalony i zwęglały... on złożył ręce jak gdyby widział ją jeszcze.

— Tędy szła, mówił lecąc — to ślady jej kroków, to droga jej — tu żyła, tu spoczywała, tutaj obok niej spędził jedyne godziny pamiętne jeszcze — tu pierwszy raz żądło zazdrości przebiło serce moje, uśmiechnęła się innemu jam cierpiał szatańskie męczarnie... Jej wrok odwrócił się odemnie, usta jej mówiły do innego, dłoń zbliżyła się i zadrzała w cudzej dłoni, chciałem umrzeć, porzucić, oddać się — nie mogłem. Nie wolnik stałem patrząc i konając.

Niewiecie com przeżył, Bóg by się powinien zlitować temu cierpieniu i grzechy moje przebaczyć. Czułem że niemogę być kochanym a potrzebowałem jej miłości, we mnie było jakby dwóch ludzi — jeden co się urągał napiętności, drugi który nią szalał, na chwile przemagał jeden, to znowu zwyciężał drugi, i w tej walce z samym sobą spaliły się ostatnie godziny... nie wiem co działo się zemną, ze światem, z ludźmi, nic nie wiem prócz że kochał i był nieszczęśliwy.

Dopóki ostatni ślad jej stopy nie zetrze się z tej ziemi, póki nie rozsypie się w proch jej ubostwione ciało, póki w pamięci ludzkiej pozostanie jej imię, ja tułać się muszę, ja odejść nie mogę. Codziennie wstaję z jutrzienką i idę drogą cierniową wspomnień nędznego życia, i stoję w każdym miejscu bym odczekał na nowo, przypominał i odświeżył rany, szukać jej i nie znaleźć, ani cienia, ani obrazu, ani pamięci... Przeszła, uśmiechnęła się znikła... a żywa jeszcze stoi przedemną... Powiedzcie mi gdzie ona!

— Biedny obłąkany, rzekł anioł — nigdzie jej nie ma, ona była promykiem co zaświecił od dłoni Bolej odbity w kałuży ziemi... jedną iskierką słońca, które nad nami jaśniej, zwróć się duszo ku światłu wielkiemu, a tam ją znajdziesz... Ale duch biedny nie śmiał, płacząc suchymi łzami strasznej rozpaczyny nad tym, którego koniec namiętność pożarła — rozpoczął na nowo pochód żalobny wspomnień swoich od progu w którym ją zobaczył, do mogiły co ją zamknęła... a nad którą ducha jej nie było.

— Czy za tyle miłości dała mu choć kroplę litości? spytałem.

— Miłość ziemi nie nasycy, rzekł stróż mój z łagodnym uśmiechem — jest to tylko odbłask tego uczucia, którem żyją (w niebiosach, ale słaby i nietrwały. To wszystko u nas chwilą i chwilami żywot znikomy, — nie trwa jeno Bóg. W każdym waszém pragnieniu jest poczucie wieczności i jej pragnienie, którego nie nasyci źródło mętne z jakiego wy pijecie. Miłość kobiety chwilą tylko w życiu, rodzi się, rozkwita, przechodzi w westchnieniu... Szczęście wasze chwilą maluczką, wy sami nią tylko, cnota wasza trwa chwilę, a wyście jako nieznaczący pyłek w którym ulatuje ziarenko niebieskie. Jakże od ziemi pragnąć żywota, gdy na niej śmierć mieszka? jak od kobiety miłości, gdy im większa miłość, tém bardziej nienasycona? Co życie dać może? przeżycie chyba innego żywota... sea przyszłości.

— Nieulituje się Bóg cierpieniom jego?

— Wieki niebieskiego spokoju je zapłacą — odpisał anioł, i ta wędrówka męczeńska jest chwilą, jak wszystko, Bóg grzechy miłości zbłąkaną łatwiej przebacza nad inne... nienawiść tylko zabija na duszy, ona rozprzga węzły, odosobnia, wyłącza, niszczy; miłość jednoczy i żywi. A im więcej dusza kochać umie, tém

śmiej tą potęgą, połączyć się potrafi z tym, którego imienia anieli wymówić nie śmieją. Jeszczem czy odwracał za nieszczęśliwym bratem w boleści, gdy anioł odniósł mnie daleko na skrzydłach swoich w stronę nieznaną.

XLV.

A lecąc mineliśmy szeregi mogił, i gdy lot nasz się powstrzymał, ujrzałem u stóp moich grobowiec ze spitzu i marmurów wykuty, wysoki i wspaniały, na którym obłam strzaskanego pioranem krzyża połyskiwał.

Wspaniały ten dom śmierci otaczały chwasty i trawa wysoko rozrosłe, znać noga ludzka od dawna tu niepostąpiła, ani żywy przyszedł człowiek. Zbudowano pomnik ale nikt go nieodwiedza, i wróble w jego gziem-sach pozakładały gniazda, a jaskółki polepiły swe błotniste koszyki, hedując dzieci na głoskach złotych, które imię zmarłego przypominać miały. Jakiś chlód wiał od tego grobowca zapomnianego, na którego stopniach leżała istota ze wstrętem i ohydą odpychająca oczy swoje. Dach to był czarny prawie bezkształtny... zblizając się uczuliśmy śmierć od niego, jakby nigdy nie miał być ożyszczonym i powróconym na łono Boże. Zwinięty w kłęb nieforemny kręcił się w boleściach niemych, tak, że głowy jego rozpęklęj od reszty ciała trudno było rozróżnić, białe krwią nabiegłe zdradzały ją zrenice, gdy niemi rzucając się błysnął. Czarne ciało tego potwora padało kawałami z kości obnażonych i ster-czących, a potępieniec zbierał je jak szmaty i ścisnął bojaźliwie. Czerep czaszki roztrzaskanej dymił jakimś wyziewem.... w obliczu potępienca było coś podłego

i złośliwego tak, że się wzdrygnął i odskoczył, i cofnął przerażony jak przed szatanem, a anioł objął mię jak tarczą białemi ramionami swemi.

Wciąż z przestachem zwrócone miał w jedno miejsce i utkwione wejrzenie, a gdy głowę przychował na chwilę, z bojaźnią później porywał się i spoglądał, ażli to co go dręczyło, stało jeszcze przed nim.

W koło grobu zdawało się pusto i idąc dopiero za oczyma potępieńca postrzegłem opodał odeń w milczeniu i nieruchomości posągów stojące postacie, które przed nim trwały jak widmo grzechu i wyrzut sumienia. I ujrzałem starca siwowłosego, podpartego na kij, i niewiastę zapłakaną, i dziewczę blade z głową schyloną ku ziemi, i dziecinę maluczką, umarłą w pielachach, leżącą na piasku, a przed niemi rzucony kryty Chrystusów i zdarte szaty nasze stare. Istoty te stały się cieniami wśród duchów nawet, nie były to widma ani upiory, ale obraz namalowany ręką zgryzoty, za karę stojący przed oczyma wyrzut wiekuiisty. Potępieńiec siłą wewnętrzną zmuszony patrzył na nich, i udęczony, odwracał oczy co chwila, gryząc sam poszarpane ciało swoje. Wzdrygnąłem się i spytałem od anioła.

A ten nic mi nieodpowiadając, przesunął się ze mną na inne miejsce, i odsłaniając mi obraz nowy, milczeniem wskazał życie straszego ducha.

Oczy moje nie łatwo się oswoiły z widokiem, który miałem przed sobą, zdało mi się jakoby widział kraj własny, ale kilkudziesięcią laty dawniejszy; wielki spokój panował w tym zakęcie, osłoniętym lasami i pooblewany wody wielkimi, odsuniętym od gwaru świata i ludzi. Na brzegu rzeki stało domostwo szlacheckie ubogie i małe, dwór z gankiem w ławy ubranym, gołębnikiem w dziedzińcu i studnią, obok budowy gospodarskie i wielka lipa z bocianem na gnieździe, i pań-

eką w rozkwitłym sadzie. Dwoje ludzi już niezbyt młodych, siedzieli na ławkach i modlili się cicho, a w twarzach ich poznałem widmo grobowe, starca i niewiastę. W progu stało dziewczę wesole i uśmiechnięte... téż same którym widział stojące w oczach potępionego. Ale wszystkie te twarze i cały obraz tchnął jeszcze niezmięczonym spokojem i szczęśliwością wonną a prostą. Na podwórku szumiało gospodarackie życie wieczora, wracało bydelko z pola, układało się do snu ptactwo, śmieli się powracający z pola ludzie, a oko gospodarzy błogosławiło pomyślności stworzeń nawet, i radowało się w pokoju i modliło dziękczynnie. Z tych tysięcy głosów, które zdawały się dochodzić do ucha mojego składał się jakby hymn modlitwy wieczornej, pieśń pełna majestatycznej prostoty i przejęcia głębokiego, w której harmonijnie grały nawet głosy zwierząt poddanych człowiekowi, i szmer lip starych i poważne klekotanie bocianów karmiących dziatwę. Nagle tuman wzniosł się na gościńcu zdala i wzbił szeroko w powietrzu i począł zbliżać do dworu. Wszystko umilkło przed niespodzianem zjawiskiem, jakieś powozy ciężkie przez ciasną dróżkę polową toczyły się do dworku szlacheica i wpadły w ciche jego podwórko. Zamęt powstał dziwny, i pieśń pokoju przerwana została przestraczem, ciekawością. W koło powozów powstał gwar, otoczyli je ludzie z poddkrywanemi głowami dopytujący się drogi, pomiatający otaczającemi. Starzec i kobieta powstali z uszanowaniem naprzeciw zesłanego im gościa, dziewczę uciekło, lecz zjawił się z ciekawością na twarzy młody chłopak, z czarném okiem ognistém i rumianem licem lat dwudziestu.

Z powozu wysiadł stary podpierający się na lasce mężczyzna, w peruce, z workiem włosów i sukni niemieckiej, którego otaczający zwali Wojewodą, powiódł okiem podziwienia i prawie pogardy po ubogim dwor-

ku i pokernych gospodarzach, i pytać poczęt o drogę, z której znać zbili się winą ludzi. Słońce tymczasem zachodziło krwawo i wieczór zapadał, dalej jechać nie było można po drogach ciasnych i po lasach ciemnych. Gospodarstwo zaprosili gościa do niskiego dworku. Tam czy woła Boża sprowadziła tu starca — pana do zagrody człowieka, który nieznany mu, ubogi, jedno z nim imię i znak szlachecki nosił na tarczy. Pan się zgłoszył i oburzył niemal ubóstwem imięnika, szlachcie niepoczuł ani zadziwienia, ani upokorzenia, z całkiem pogodnym przygarnął tę wielkość jak przygarniał nagiego i bosego przychodnia w imię Boże. Nie rodziła ona w nim ani zazdrości, ani niepokoju, może ledwie litot nad człowiekiem spętanym niewolą bogactwa i dumy.

Ale chłopię młode, ów czarnooki syn gospodarza, który snił znać w kolebce o innym losie i pragnął innego życia, stał z żarzącym wzrokiem zazdrości w progu, wpatrując się w magnata, i znać było z oczów jego, że mu biło serce, do świata z którego ten zesłanie przybywał.

Do późna w nocy dworek świecił i dymił przyjęciem gościa, a nazajutrz rano gdy go pan opuszczał, młode chłopię pakowało się z tłumoczkim swoim za nim do stolicy; ojciec, matka i dziewczę płakali w progu.

Starym nie uśmiechała się wcale ta przyszłość, której syn ich pragnął tak gorąco, chcieli go mieć przy sobie, on im się wyrywał z uśmiechem, chłodno bez żalu. Cały swą wielkością marzoną zajęty, obiecaną mu przez pana, który płacąc za nocleg obiecywał chłopcu noszącemu jego imię — wielkie łaski i wzniesienie wielkie! — W młodzińcu paliło się i wrzało, miał przeczucie innego jutra, a chata ojcowska, zagon i ta cisza wstręt w nim budziły... Nie miał lzy na powiece przy pożegnaniu, ani tęsknoty za laty młode, ani miłości dla tych, co go ostatkiem sił cięli do serca żegnali i blo-

gosiawili. I jak ożywna rosa nie przystaje do kamienia, tak błogosławieństwa ich zsunęły się z dziecięcia.

Z uśmiechem, pewien siebie, wsiadł na konia, machnął ręką, i rojąc wielkość przyszłą, poleciał w świat skinięszy ledwie płaczącemu dziewczęciu, staremu ojcu, nieprzytomnej z bólesci matce. A żaloba była w dworaku osamotnionym i cisza oczekiwania na długie w nim zamieszkałe lata.

XLVI.

Gdy ujrzał go znowu, chłopak się przeistoczył do niepoznania w stolicy; ledwie w nim czarnoookiego młodzieńca z pod słomianej strzechy poznać mogłem, tak rychło i łatwo przyjął barwy świata nowego i w niego się wcielił. Imię torowało mu drogi, słowo pana prowadziło go wszędzie, a dowcip i gotowość do ofiar czyniły go ulubieńcem ludzi co sług potrzebują bez woli, godności, czci i wiary. Adam gotów był na wszystko dla wzniesienia się, nie zastanawiał się gdy mu upodlić się przyszło, upaść i zwać, byle krok dalej tym kosztem poszedł na drodze znaczenia, byle się szczeblem wdrapał wyżej. Wszystko dlań tańcem było, a nie świętym, w duszy czezość i pustkę nosił z pragnieniem władzy i wzniesienia. Szedł też na swą drogę szybko i przelstaczał się w blade widmo pożerane żądzą nienasyconą... a sięgał wyżej i wyżej. Ubogie dziecię szlacheckie wpadł między pany i stracić się z raz zdobytego niedawał stanowiska. Piękne imię, twarz piękna i usłużność bez granic dały mu wstęp między ludzi, którzy go za swego przyjęli. Chłopię przedziało się w suknię nową, w pychę dla słabych, uniżoność dla możnych, i szedł drogą nie pracy i znoju, ale pochleb-

stwa i próżności. Wiare, sumienie, uczucie godności, stracił powoli za szatę mieniając brudną lecz błyszczącą. Połykał upokorzenia, aby je niższym oddać z nawiązką, padał by gnieść, i w tym wirze zbłąkany stał się jednym z tych stworzeń co w społeczności miejsca oznaczonego nie mając, bojują, o nie, wszelkimi środkami i sposobami.

A na wsi płynęło starym rodzicom zapomnianym przez syna, życie cicho, tęskno i spokojnie, modlili się, pragnęli, wołali go, ale dziecię nie się od nich spodziewać nie mogąc, milczało. Matka tłumaczyła je sercem macierzyńskim, ojciec gryzł się lecz nie obwinał, pragnęli go oboje z utęsknieniem, ale doczekać nie mogli, nie wracał... lat kilka czekali naprzóżno. Dziewczę, co go kochało, wyszło po nim z żalu, szły listy i nieczytane butwiały.

XLVII

Później ujrzałem znowu ciche podwórko wiejskie i w ganku staruszków dwoje, a na progu dziewczę blade, ale wieczór ten niepodobien był pierwszemu; — o smutniało to wszystko, zgrzybiał ojciec, upadła na ślaczach oczekująca matka, do tęsknoty ich nastroiło się wszystko otaczające, bo człowiek panuje temu, z czym żyje i odbija się w kręgu swoim. Nie widać już tu było wesela, starania, ale opuszczenie i zaniedbanie bez jutra. Gniazdo bocianie stało pustką jak dworek bez dziecięcia, czeladź chodziła ze spuszczoną głową i mrok z szaremi chmury zawisł nad dworkiem podupadłym. Na gościńcu jak dawniej ukazał mi się powóz w tumanach pyłu, jak czarne posuwające się znamie, powiększał

się, zbliżał, a z nim niepewność, oczekiwanie, niepokój. Oczy wszystkich zwrócone były na drogę, o ujrawszy pojazd wielki i bryki ładowne, osmutniały, nie spodziewały się w nich syna. Przybliżyło się to do wrót, zatoczyło przed ganek i wysiadł człowiek w którym swego dziecka nawet oko matki poznać nie mogło. Wyszedł stąd świeżym młodzieńcem, powracał zbladłym mężczyzną inną twarzą, obyczajem i mową. Gniazdo się do niego przyznać nie mogło, on go prawie niepoznawał, ciasno mu było i duszno. Czuł się już czéms lepszym nad tych, co mu dali życie, zbliżył się z uśmiechem, powitał protekcyjnalnie... Zmarszczyła się brew ojca, bo syn, co paśó był powinien na kolana, ledwie przed siwizną rodzicielską głowę skłonił. Zdumieli się razem niewdzięcznością i szczęściem jego, z którym się przychodziło pochlubić. Ojciec ze wzgardą spojrział na konie, wozy i ludzi, niebędące owocem pracy, ale datkiem przyjętym z upokorzeniem lub zapłatą podłości.

Czoło jego nachmurzyło się gróźnie, a matka drzeć poczęła.

— Mów, rzekł jako sędzia stojąc przeciw syna, coś robił, gdzieś to zyskał? Spowiadaj mi się z życia, a jeśli w tém co tu z sobą przywozisz jest okruszyna cudzego, jest owoc łez czyich, lub grosz wyfrymarchony zapomnieniem prawa Bożego... idź, zkądś przyszedł, i niepokazuj się więcéj — ja nie mam syna!

Wielkim był starzec gdy to mówił jak jeden z bohaterów dawnéj Grecyi, jak matka jako Spartanka... gdy wstał i jako sędzia gotował się własne potępić dziecic, prawem Bożém i głosem sumienia... wyrósł w olbrzyma, aż przed nim zmalął i skarłał przybyły. Ale nie uległ świętemu upokorzeniu które poczuł i podniósł się w sercu dumą niepoczeiwą... matka czekała ze złożonemi rękami, pragnąc oczyszczenia, wierzyła

w nie, i przypuścić nie chciała konieczności odpchnięcia dziecięcia.

Uśmiechnął się przybyły szydersko ze staroświeckiej prawości ojca, pomyślał co miał czynić, a nałóg życia nieczystego podszeptał mu kłamstwo jakby przez litotę nad ojcem... począł przed nim pasmo fałszu i matactwa; co zyskał szacherstwem i zdradą, malował mu jako zdobycz pracy, co zarobił podłością, dał za poświęcenie, podniósł się, uszlachetnił, obmył, i z góry poglądał na oszukanego rodzica.

Ten słuchał długo w głębokiem milczeniu, czuł w sercu fałsz, a nie miał siły już dziecka potępić, zdało mu się, że kłamstwem tém oddawał hołd cnocie, że się miał poprawić, uczuwszy wstyd, do którego przywiezion został. — Nie pobłogosławił, ale nieprzeklął starzec, usiadł milczący, ponury: po chwili wyjąknął.

— Człowiek nie przeklina ani błogosławi, nie potępia ani oczyszcza, ani sędzi. Bóg sam pan serc i myśli uczynić to może, na niego to zdaję, niech będzie sędzią i mścicielem lub sędzią i nagrodą, słowa twoje nie idą do duszy mojej, ale cię badać niechcę — przyjmuję cię pod dach rodzicielski sercem starém, siadaj i potywaj chleb nasz czarny, a przeszłość niech będzie zapomniana.

Matka oblała się łzami i przycisnęła go do piersi — dziewczę podało mu rękę, i ten nowy syn marnotrawny, co zgubił duszę na rozdrożach, a przybył okryty łachmanami znaczenia i bogactwa, wszedł znowu w kręko wśród którego długo pustém i niezajętém stało miejsce jego. Wszystkie serca skłoniły się znowu ku niemu, ale on pozostał zimnym i nieporuszonym, żadne pociewy nie odżyło w nim uczucie. Nie mógł go już pokarmić, chleb ów prosty, ani proste serca wieśniacze, ni wytrwać mógł z niemi, ni ich zrozumieć. Dziewczę ukochane wydało mu się pospolitą istotą po miejskich malowanych twarzach bogiń, które złotem płaciły za u-

ściaki jego młodości, na ojca i matkę ledwie spoglądał, a gorące serce prostych ludzi, z którymi igrał w młodości, co go nosili na rękach, ze śmiechem odepchnął i pogardą, jakby się lękał, żeby go ich dotknięcie nie zwalało. Myśl jego, marzenia, były gdzieś indziej, przybył tylko pochwalić się zdobytą wielkością, pochwycić nowe środki do podźwignienia się jeszcze, wymusić na rodzicach ofiary, i znów powrócić na swój plac boju i popisu.

Ami razu nie uderzyło mu serce na widok starego dworku i miejsce drogie każdemu bo uświęconych wspomnieniem lat dziecińczych, nudził się w tém kółku dlań małym, pospolitým i ciasnym. Dla rozrywki przybliżył się do dziewczęcia, które ku niemu wyciągało ręce drżące — ale to dziewczę było ubogie, sierota, zawada i ciężar tylko... on swą młodość dawną na sprzedaż wystawił i targował się o nią: z towarzyszek dzieciństwa uczynił tylko zabawkę rozpustnika. Serce nie było w nim, ludzi za narzędzia uważał, nie troszczył się łzami które miał zostawić za sobą, ani jęj zgubą i wstydem .. nie odepchnął palącego uścisku, nie obronił się namiętności chwilowej, i splamił przeszłość świętą i czystą.

Ojciec wydawał mu się prostym starcem gdérającym nudnie, jakgdyby między niemi żadnego świętszego węzła nie było, jakby mu był obcy. Uśmiechał się w sercu, słuchając prostych mruk jego. Między nim a dziećciem nie było żadnego związku, zrozumieć się nie mogli — ten chciał od syna powrotu do zagony, do chaty, żywota wiejskiego i uczuć wieśniaczych, wiary i modlitwy, — tamten mówił o świecie nowym, nowych prawach, i starych przesądach... Śmiał się z tego co cnił starzec, a padał na twarz przed złotym cielecóm halwochwalca. Długo bojowali z sobą i walczyli, syn śmiechem, ojciec oburzeniem i zgrozą, aż w powiekach starca zjawiła się łza cicha, ostatnia, a później przyшло

milczenie długie, pogardliwe. Zamilkł widząc że go ani powstrzyma ni nawróci. Matka broniła jeszcze, sama płacząc po cichu, ojciec milcząc potępił, lecz trzymał usta zawarte aby ich nieotworzył przeklon i odrzucenie, bo wiedział, że wyrok ojca na ziemi, często Bóg potwierdza w niebiosach.

Dla niego wszystko to było obojętném — namiętność ciągnęła go gdzieindziej, każda chwila tu przebyta jak wiek zdawała się długą, chciał tylko wyrzucić co przedźj ostatek mienia, a gdy otrzymał co pożądał, potęgnał bez lży, odleciał nieoglądając się na tych, co stojąc w progu plakali, czując, że go już tracą na wieki.

Starzec po odjeździe syna kazał przynieść do izby trumnę przygotowaną od lat dziesięciu i postawił ją przy łóżku swoim, matka wylewała lży krwawe modląc się jeszcze, dziewczę przez okno wyglądało na gościniec, i spodziewało się, choć niewierzyło odstępcy.

XLVIII.

On znowu wszedł w koło ludzi wśród których zdobył sobie miejsce idąc tą drogą upodlenia, tracił powoli co w nim jeszcze czystsze i świętsze zostawało, wstydy, poczciwy, rumieniec jasny, uczucie godności, sumienie, wiarę, miłość... przeistaczał się w poczwarę co zaparła się wszystkiego dla nasycenia żądzy podziwiania się z nicości. Drogo okupywał szczybel każdy, ale szedł dalej spychając ludzi, depcząc tych co mu podali rękę, zdradzając i śmiejąc się z łatwowiernych, z przywiązania jak ze słabości... Szatan mu pomagał szepecząc na ucho — Tyś stworzony do wielkości I wzdymało się serce jego coraz więcej, a stąpając tak upajał

się, szalał, dumniał, czując się godnym tego co niegodziwością okupił. Na piersi jego błysnęła gwiazda, przepasała go wstęga, okrył się tytałami wyfrymarczonemi, nakłonec imię, życie i resztę młodości sprzedał zniesławionej niewieście, która go wwiodła w grono ludzi sterujących społeczeństwem. Patrzano nań ze wzgardą, on popychał z lekceważeniem bezlitosnym, byli i tacy co z unізieniem podawali ręce i skłaniali grzbiety, bo był mocen... Wyniósł się wreszcie jako chciał i zajrzał w swe serce pytając się azali miał dosyć?... próżnia tam była i boleść.

Szałem potrzeba było zastąpić szczęście i spokój utracony, więc poszedł dalej coraz nowych dobijając się stopni, coraz głośniejszego imienia, choćby niepoczciwością i upodleniem.

W starym dworku panowało milczenie głuche, nikt tam niewiedział o synu marnotrawnym, nie dochodziły o nim wieści, bo nikt nie śmiał zadać śmiertelnego ciosu objawieniem prawdy; niepokój tylko przeczucia ogarniał starca gdy o synu słuchał i pytał się co mógł uczynić by się dostać tak wysoko?

Ofiary uczynione dla dziecka przywiodły do ubóstwa... wierzyciele grozili, trzeba się było odezwać do syna, ojciec pisać nie chciał, posłała matka i milczenie było odpowiedzią. Przyszli ludzie i wygnali starca z dworku jego jak żebraka, musiał pożegnać strzechę rodzinną, dziedzińczyk spokojny, zagon którym uprawiał i sięść na wózek niewiedząc kędy pojedzie. Matka ufała w syna dziewczę milczało przybite.

I troje tych biednych istot jednego poranka z raj u wygnanych głosem człowieka co prawo spełniał łzę ocierając z oczów, pojechali w świat drogą smutną, a z niemi szła poprzedzając ich nędza, i strach polatywał szumiąc skrzydły wielkimi. Potoczył się wózek ubogi wieżący resztę złamanych ludzi, a gdy stanął przed pałacem w którym mieszkał ów wielki dziś człowiek,

służba kasztelana odepchnęła go od wrót śmiechami i błotem.

Była to chwila mroku — i miałem przed sobą obraz na który wzdrygnęło się serce moje. Portyk pałacu jaśniał lampami, z niego czwórka koni pstrych wyjeżdżała powóz, a w nim siedziała kobieta wymalowana, piękna jeszcze ale bezwstydnie popisująca się z resztkami zatytych wdzięków... obok niej z gwiazdą na piersiach siedział w powozie mężczyzna którego serce chyba matki rozpoznać mogło... Wózek rodziców stał na drodze spychany przez gawieź służebną, gdy nagle wpadły konie wiozące syna.... Z drogi! z drogi! dały się słyszeć głosy i staczać zaczęto wóz wiejski, a oko pana padło nań i poznało starą matkę, ojca i dziewczę rozplakane; oni ku niemu wyciągali ręce... On odwrócił się i zawołał groźnie: Precz z temi włóczęgami!

I niepoczciwie zawstydził się rodzonego ojca i matki, a rumieniec oblał mu oblicze zbladłe... bał się przyznać przed niewiastą co królów kołysała na kolanach, że wyszedł z pod pocztowej ubogiej strzechy... kłamał przed nią przeszłość wielką do nowej ją dolatując wielkością.

Na dziedzińcu krzyk tylko matki co wyciągnęła ku dziecku ramiona i głos płaczliwy dziewczęcia dały się słyszeć, a ojciec powstał dzwigniony siłą ogromną i w chwili gdy pojazd mijał go, rzucił przekleństwo straszliwe, które jak piorun zgniotło odstępca...

Widziałem je jak wychodząc z ust starca, nie było do tronu Bożego, nie na jasnym promieniu na jakim płynie modlitwa, ale na czarajm pasie ciemności, który odbite przekleństwo zrzucił na głowę potępionego.

Ciemności obraz mi zakryły... a gdy m znowu przyszedł, obaczyłem tylko trzy mogiły na ubogich cmentarzach, starca co skonał ze słowem potępienia w ustach, matkę co nie przetrwała straty dziecka i dziewczęcia, które

a dłońcisłem na piersi poszło do trumny. Litość ludzka pochowała tych istot troje, a gdy dzwon ubogich po ciebie na załobną wzywał modlitwę za ich dusze, kasztelan wyjeżdżał płaszczyć się i podrzeźniać tym, których łaska tak go wysoko podniosła... swobodny że nie miał już rodziny której by się wstydził, i więzów eoby go kępowały.

XLIX.

Ale i dla niego także wybić miała godzina próby i kary, wisiało nad nim ojca przekleństwo, lzy macierzyńskie i jęk ofiary którą zdradził bez serca... Zacięło się w około i poczęli wstawać nieprzyjaciele. Rozszechwalony człowiek zmuszony był do walki... i bój zimny a zacięty rozpoczął. Nie była to ta walka siły i męstwa jaka na polu bitwy bratnie piersi stawia przeciw sobie dla zdobycia imienia lub obrony ziemi i ognisk... ale walka pokątna ludzi co bujają słowy, potwarzają, zdradają, urąmniechem, co kopią jamy i kryją się w cieniu. podając rękę temu, któremu wczoraj posłali śmierć a poglądając ryobło li na ich twarzach ujrzą skutek zadanej trucizny. Ta kobieta której dał imię, ci co go wspierali obrócili się przeciw przekłębtemu, szal go ogarnął i dumia gdy uczuł pociski wymierzone, a bronić się uczuł potrzebę. Myślał że jest niezwyciężony, ale dziecko nieudolne, upadać się tylko umiał, walczyć niepotrafił z wprawnymi szermierzami. Wielką pustką otoczyli go naprzód .. odeszli ludzie, dwuznacznie uśmiechając się cofnęli przyjaciele... Szeptano gdy wchodził, czyżzone gdy odstępował, w zbladłem czole dopytywano cierpienia. Potępieniec szedł z odwagą naprzód, potem ze zło-

ścią i gniewem, nareszcie z wściekłością, bezrozumą, szamotał się rzucał, a im był szaleńszy tém słabszy. Żona popchnęła go pierwsza, już imię jego mając niepotrzebowała więcej.... W chwilę marzenia odarła go z majątności, za nią poszli przyjaciele nowi opiekunowie, tłum, wszyscy.

Jak przed zapowietrzonym ustąpiło wszystko... tak jak on zapał się ojca i matki zapierając się jego i pytali go udając że niepoznają: — Czego chce ten człowiek? co są za słowa jego? — Rwał piersi z bólu i rzyczał, a świat śmiał się z niego, a sługus jakiś pabaki popchnął go wyrzucając za drzwi... i pozostął w ulicy pośmiewiskiem... Naówczas z sercem namiętném co się ocknęło a już kochać nie mogło, rzucił się na rozpustę z resztą imienia i młodości, tarzać się począł w kalżach, pragnął złota a w rękach jego topniało.

Ujrzałem potem mogiłnik ubogi na którym piołunem i rozchodnikiem porastały groty ojca i matki, dziewczęcia i dziecka... On, wybiegł nań nocą z jamy jakiejś, w której przegrał resztkę mienia, niemając gdzie schować głowy... leciał wiedziony nie myślą, żądzą ale ręką losu, i nogi drżące same go powiodły za miasto, na pole umarłych. Nowy Judasz szukał gałęzi, na której by skończył uprzykrzone życie, a suchy dąb niedaleko mogiły ojca zaszeleścił mu starymi konary... Zgrzytał zębami ze złości, bo mu nieszczęście nawet łez nie dało, na kawałku sznura, po którym do ziemi spuszczano trumnę rodziców... zawisł złoczyńca... Wielkiemu imieniu, które nosiła żona postawiono ów pomnik z marmuru i spiżu, robotnicy pracowali nad nim śpiewając, nikt przy nim nieodmówił pacierza... duch potępiony na wieki został przykuty między mogiłą a drzewem, a którem zawisł z rozpacz.

L.

Na ciemny ten obraz patrząc oczy moje oblokły się nocą nieprzebitą, i lecieliśmy wśród niej dalej w wilgotnych przestrzeniach, a wzrok nie dojrzeć nie mógł, ani w górze nad głowy naszymi ani pod nogami, oprócz kłębow ciemnych chmur, które się przewijały do koła, to podnosząc, to zniżając, to rozbijając, to skupiając. Chłód przykry obwiał mnie i tęsknota znowu ścisnęła serce znękaane, żal mi było jaśniejszego widoku ziemi, aniołów i duchów, wśród którego przebywszy chwilę, duszno mi było i ciężko. Ale nie poskarżyłem się nie śmiałem wiedziony przez anioła i drżałem tylko by mnie ośleplego i osamotnionego nie rzucił na gościńca dawniejszej mojej pielgrzymki.

W tym świecie pośrednim w którym spocząłem po życiu troski i pracy lepiej mi było, z niego widziałem jaśniej ziemię i zamiast niechęci i żalu do ludzi, czułem w sercu miłość ku nim i uczucia bratnie. Czytałem ztąd lepiej w piersiach ich, widziałem w nich słabość nie występki, błyski chwilowe i porywy ku Bogu, i godziłem się z nieszczęśliwymi, których potępić nie mogłem. Padali ale wstawali, jęczeli z bólu ale często ból ofiarowali Bogu, zaciemniało się ich oblicze, ale je obmywała łza. I ziemską znikomość nie tak bolała serce moje, bo nie uczułem i poznałem że jeno to trwać może co się nie poczynia, lub z ducha stworzone zostało a ciało prochem jest i co cielesne rozkwita by zwiędnąć.

Żeglując tak wpośród ciemności nagromadzonych do koła przez które przebijaliśmy się dalej, westchnąłem w ucisku anioł ulitowawszy się ręki skinięciem rozbił

tumany otaczające... i poczęło się rozwidniać, a obraz wesół rozjaśnił oblicze tęskne i rozpoznał mi serce.

LI.

At uradowałem się matce ziemi, bo ja jeszcze cząstką do niej należał i przyrośłym się czułem do tej kolebki i grobu. Zabiło mi serce żywo, uśmiechnąłem się na widok spokoju jakim ta chwila jaśniała.

Obraz wielki i piękny stał przed oczyma mojemu.

Mgły ciemne i obłoki czarne, kupami rozegnał wiatr pędząc na drugą półkulę, rzadniały coraz i rozpierchały się powoli, stały wpół przezroczyste, a niekiedy promyk słońca rozrywał je drząc w wysiewach i malując je w barwy nieskończonej różnistości. Tysiące błękitami swemi malowanymi porosły się nad głowy naszymi, i mikały i znowu wytryskały, a mgła co raz to rzadsza, co raz świetlejsza i bialsza, jak przezroczysty rąbek tylko osłaniała nas, i przez nią już widziałem ziemię w jakimś świetle dziwnym jakby oblaną płynem, który jej obrazy ruchomemi czynił. Niekiedy złoto lazur i purpura zakrywała mi ten widok, to znowu rozbijał je lekki wiatr ciepły, i ostatnie wreszcie obłony spadły, ostatnie obłoczki białe i leciuchne odleciały po za nas, a wielka przestrzeń odsłoniła się przed oczyma moimi. Ujrzałem znowu kolebkę moją, ukochaną, dolinę łez i żałoby, ale razem wesela i uśmiechów i uradowało się serce moje... a łza na oku, zawisała.

Pięknaż to była ziemia... jak umie być chwilami gdy ją oko boże oprómił... są dla niej dni jasne w których świeci cudnie, w taki dzień właśnie ujrzałem ją wychodzącą z łona mroków... przyodziała się dla

mało wiośną, zielonością, złotem, lasurem wód, wszystkim klejnotami co ją krasą zdobią... a szeroko, szeroko widać ją było rozwiniętą, posłaną jak żywy kobierzec u stóp tronu bożego. Góry śnieżyste i omszone lasami stały z jednej strony: na strażnicy ze swemi ostrymi wierzchołki i pomalowanemi potoki grzbietami, strumienie szumiące płynęły z ich wierzchołków ku dolinom zasypanym glazami, i wonnymi porośniami rośliny. Dalej ciągnęły się łąki falujące zielonemi wzgórzami i płaszczyny rozległe, poprzecinane pasami lasów, porozdzielane sznurami rzek, ubrylantowane jeziorami jasnemi. Maluczkie ztąd widać było dzieło człowieka wśród potężnego obrazu ręki bożej, ale im bardziej zbliżyliśmy się ku ziemi, tém widniejszy był na niej pan i mieszkaniec. Ujrzałem szerokie drogi któremi chodzi człowiek, miasta dymu pełne w których mieszka, wioski w których się tuli i domostwa rozsypane po wzgórzach i nad wodami, kościoły strzelające ku niebu i wielkie gmachy, i wszystko co zbudował człowiek. — Znać tęsknota pędziła mnie ku czarnej skibie naszej, bom ciągnął bliżej a bliżej coraz nad rodzinną ziemię, by nią me oczy nasycić. Na górach postrzegłem trzody i ludzi, w dolinach wsie i domy, na rzekach statki i łodzie, w miastach gwarne tłum handlarzy, w siołach ludźmi tęsknie weseli i wesoło tęskny.... po drogach podróźnych z kijem pielgrzymów.... a dalej jeszcze tysiące istot jak mrowia wybiegłych i uwijających się z sobą na życia gościncach.

Ten wielki obraz ludzkiego żywota widziany z góry inaczej i pełniej zajął mnie i zadumał — w duszy zrodziło się pytanie, jaka myśl, jaka żądza, jaki cel kieruje tém życiem tak pracy, utrapienia i łez pełnem, jaka siła popędza dalej, gdy oczy ziemskie śmierć tylko widzą w końcu? Poczulem całą zasługę bytu który się tu zapłacić nie może, ale i won jego dni jasnych za-

grzała piersi. Nie na sam tylko smutek i smutnie patrzałem były chwile błęgiego spoczynku i wytchnienia — żaden rys czarny nie plamił świetnej całości... pieśni wesela i wiary płynęły ku górze, westchnienia ciche przelatywały mimo nas i nad nami. Nikogo pojedynczo widzieć nie mogłem ale tłumy rysowały mi się wyraźnie, patrzałem na znoje i trud, upadki i słabości, ale miłość ku ludziom okrywała mi je szatą, jasną.

LII.

Pogodziłby się ze światem kto by nań ze mną, tak spojrział z tej wyżyny i osądził nie z rysów drobnych, ale z wielkiej całości, w której dobre przemagało.

I podniosło się od radości serce moje dziękczynniem ku Bogu, ale jasny obraz trwał tylko chwilę, znikaliśmy się i znowu jakiś wyziew nieczysty otoczył nas... wśród śpiewów odezwały się jęki, wśród wrzawy przekleństwa. Ludzkość którą przy brasku porannym widziałem kłęzącą przed Bogiem myślą i czynem, paweli w znoju zbliżającego się południa inne przybierała barwy. Tymy na krańcach walczyły i krew lać się poczęła, a pył i kurzawa zasłoniły pobojowisko. Do kęsa walczących stały zastępy matek z załamanymi rękami, siostr, żon dzieci które czekało sieroctwo.

— Czego oni walczą? spytałem anioła.

— Niezbadane są sądy boże, odpowiedział, a ty co je pojąć pragniesz zuchwałym jesteś. Mogiły ryczą poległych osnuwając cię, a wieszże co z nich rośnie, i jaki duch z nich wzleci, i co daje wojna użyzniając pole na którym pracujecie — co kupuje ludzkość krwią ofiar swoich??

Dla ciebie niepojęta ta walka, marzysz spokojnej guli-
śny, bo śmierć wydaje ci się po ludzku końcem życia,
a ona jest jego początkiem. — Ośm ze giną tysięcy, gdy
na zgłiszczach wyrasta myśl co dzieciom sierotom nowe
otwiera drogi??

LIII.

Odwróciłem oczy od pobojuwiska i uszy od jęków,
a w drugą powiodłem je stronę — Zastęp jakiś han-
dlarzy wlekl się w łodziach przez morza z kupią jadąc
po grosz do dalekich krajów. Niektóre statki tonęły
i rozbiły się od burzy, inne dochodziły celu, i wylu-
dzwały od ludów nowych owoce ich pracy za szkiełka
i kraszki. Na powrót tych kupców czekały kupy z no-
wemi towary, wznosiły się warsztaty, schli w nich lu-
dzie ubodzy aby dać innym środek frymarczenia nowe-
go. I dziesięciu bogaciło się potem miliona, i serce mi
się wzдрыgnęło i posłałem wejrzenie ku aniołowi memu
z pytaniem — Dla czego Bóg na to pozwala? być li to
może bezkarnie?

Anioł uśmiechnął się z politowaniem.

— Wszystko to są narzędzia w prawicy bożej, rzekł
i ci co się bogacą, i ci co mrą z nędzy. Alboż wiedzieć
możesz co płynie w dalekie kraje z statkami temi?...
czy to co w nich wiozą, czy to co niewidome w nich
jedzie? Jaka myśl do żagłów przypięta? co urodzi han-
del? co kupi grosz? co da słowo? co sięje ucisk i krzy-
wda? płacz i narzekanie? Wszystko na ślepo robicie,
jak skoro jeden z was Boga naśladować chce pojąć dzie-
ła jego... błaznicie gorzej rozumem, niż ślepotą. Azali
wiedzieć możecie co jest w końcu? jaki będzie skutek?

Obrachowujecie rachwałę, a dzieje się to czegoście ani się domyślali, ani spodziewać mogli.

Oto handel i frymarki nieczyste przeradzają się w apostolatwo mimowolne, wojna krwawa siebie żądze pokoju i braterstwa, pożar buduje, burza żywi, pogoda umarza i zabija, a cudów nie widzicie i rozumieć nie możecie.

LIV.

A gdy tak mówił wskazał mi człowieka małego, który szedł drogą zamysłony.

Czoło jego było olbrzymie i oko ogniste... rzekłbyś że głowa wszystkie siły ciała jego skupiła i kosztem bark wyrosła: tak był chudy, zniszczony, mały, drobny, a na słabych ramionach dźwigał potężną czaszkę.

— Oto, wskazał anioł, jeden z tych co ludzkością chcą kierować ubogie dziecię strzechy słomianej, ale niepokój ducha podniósł je i uczynił mężem głośnym i wielkim. Zdaje mu się a sądzi że go posłał Bóg aby stworzył świat, i czuje się pełen ducha.... Zbladł nad księgami w których czytał formuły życia i myśli że je odgadł — że dlań nie ma ono tajemnic, że jako i nicą pokieruje ludźmi i powiedzie ich kędy zechce.

I w dumie bezbożnej rzekł sobie — szeroki świat bęży! źle tak jest jako jest, niech będzie inaczej.

Zbladły nad księgami mól napisał sobie formułę żywota i spojrzawszy na żywych że do niej nie przystawali, zażądał ich przerobić. Jedni są nisko, rzekł, drudzy do zbytku wysoko, jedni głodni cierpią, drudzy przesyćeni boleją, ci rozkazują, tamci się uginają i słuchać muszą — czemu tak jest? czemu człowiek czo-

wielkowie równy nie ma też równego w darach bożych
ndziatu? I począł wołać i gromadzić lud, a odrywać
się do wydziedziczonych, aby nowy dziedzictwa podział
uczynili, a nędza i trud i łzy wysłuchały go i słowo
jego naszczepiło nadzieję, zasiało nadzieje płochę, ura-
dowali się biedni, że im świat nowy obiecano.

Ten apostoł pokoju i szczęścia począł od krwawych
podżegań namiętności — Weźmiście, rzekł, czego wam
niebędą, wydrzyście co wam wydarto, a później na rai-
nach zbudujemy lepszy świat — gród ludzki miasto
grodu nieprawości. Gdy tak mówił i zapalał się a za-
pominał ów człowiek, nie pomniał że narzędzie którego
używał ludzkim było, i w myśli swęj postawiwszy isto-
tę niebywałą na ziemi, rachował iż z ideałem do czy-
nienia mieć będzie; a miał tylko ze słabościami i upad-
kami z istoty upadłymi i kruchymi. Zgaśniał do kupy
lud ubogi, i począł nowy świat tworzyć... a naprzód
stary uprzątać. Wpatrzywszy się w twarz człowieka za-
pomniał Boga i powiedział sobie — Ludzkość jest Bo-
giem, ja, ty, my i niema innego, a tamten był na po-
stach stworzony.

Przypatrując się ziemi i słońcu, rzekł — niema jeno
zgnilizna po śmierci, ani życia krom tego które widzi-
cie, reszta wymysł i łapka na was, więc wszystko mo-
żna co czeka pragnie, bo nań nikt nie patrzy, a on sam
panem sobie. Słowa jego podobały się tłumom, rzuciły
się więc na świątynie boże, na domy wyniosłe, na ludzi
co im stali na zawadzie, na kapłanów i na możnych,
i w proch rozsypał się świat stary wśród gruzów krwi
przeziąkłych, a po nad niemi stanął ów człowiek co no-
wy chciał świat budować i patrzył — Aż gdy barzyć
skończono, zdziwił się że nie było z czego budować —

— Wszyscyśmy równi, rzekł mu jeden więc ja choć nie
tego co ty, a co choć mam prawo uczynić — ustąp mi
z drogi i syń ci kąt, bo mam siłę i tłum za sobą.

A drugi rzekł: Nie ma Boga i przyszłości, więc się mi stajasz na drodze, sepehnę cię i nieodpowiadam jedne sobie. Litość jest głupstwem niepotrzebną.

A że ów pierwszy miał jeszcze siłę, rzekł w duchu: Nie dosyć ofiar. Sprzątnęliśmy możnych i usunęli kapłanów, wynieśliśmy uczucie trwogi dziecińskiej z serca, ale oto są duchy co nam zawadzają, niech wezmą ich i ubiją, bo są nieprzyjaciółmi ludzkości i majeni.

Gławię ich ukamienowałam i tych i wielu innych z aiemi. Poczęto budować ale nikt nie słuchał i stało się jak z wieżą Babel, tym symbolem utopij ludzkich bez natchnienia Bożego, noszono wapno gdzie trzeba było wody, a wodę gdzie piasku szukano... i nie ma budowa.

— Jeszcze uprzątnąć potrzeba, rzekł przewódca, jeszcze oczyścić, ze starego świata nadto pozostało chwastów— wypłść je! wypłść musimy.

I posłano anów na rusztowanie tysiące i krew polak się naprósno, a dzieci męczenników śpiewając hymn szły na ścieżce, modląc się szli starcy, szły niewiasty... jak na uroczą radosną. A gdy przestraszył i zgroza rozszerzyły się po kraju, rzekł w sobie człowiek idę!— Oh już dosyć, zaczniemy budować!

Ale nie szło mu spore bez Boga, wpał kłócił się roboty bo każdy sobie mówił — Dla czego onima nas kierować, azali nie równe prawa nasze i umysły i ocy? czemu nie ja stoję na przodzie i steruję innym? dla czego nie tłumacząc w prawo mi iść każą gdy ja w lewo pragnę? Przez z tym człowiekiem. I na podstawy gmachu który się jeszcze nie budował poważyli się budowniczy i bojowali, ci co wisznistego pokoju i braterstwa mieli być twórcami.

A na ruinach mowych, stał ten człowiek co świat chciał przerabiać i pytał się — Co jest ze mnie jak pragnę! ze myśli wiecie nie umiem! ze skóre zbiję je-

cię wyśej stojącą głowę już się droga podnosi i góruje? Co jest że nie wiadom ludem i niemam siły aby mu panować? że sięgę ziarno a chwast wschodzi! Pójdźmy i wytrzeźwimy jeszcze, aż póki nie pozostaną powolni sami i jako dzieci posłuszni...

Poszli więc i posłali katów idej nowój torując drogę toporem i rusztowaniem, a robota była bez końca i nie szła sporo... w imię braterstwa mordowano braci, wszystko upadło na sercu i duchu, gmin i tłum głupi na gruzach i trupach bawił się pijaństwem swoim.

I stała się rzecz wielka w imię ludzkości, a ów człowiek patrzył i lża mu nie pocięła... gdy z kolei i jego powiedziano na śmierć... wielkim śmiechem szaleństwa i rozpaczny skończył mizérne życie.

LV.

— Wieszże, dodał anioł, co uczynił ten nieprzyjaciel możnych i kapłanów i władców? oto wyrosła z nieładu wojna, z wojny bohaterstwo, z boju potrzeba porządku i władzy, a w miejsce zrzuconego z tronu, przyszedł żołnierz i zatknął miecz swój krwawy, mówiąc — jam panem. W miejscu rządów zepsutych dworaków, nastąpiła władza żołniersza jego braci, w imię braterstwa ludów zawirzala wojna, dyktatura i przemoc i aciski...

Tak się dzieje z dziełami tych wszystkich co świat Boży chcą po myśli przetwarzać swojej, bo człowiek siebie jeno przerabiać może i powinien, — stać się Bogiem nie może, ani jasno przejrzeć, ani opatrzenie działać na jutro... Idzie ale nie wie dokąd... ślepy prowadzić niezdolny — rachuje, ale go myśli rachuba w przyszłość, jakże potrafi odgadnąć czego nie obejmuje myślą?

Gdzież siła by wnikał w tę z milionów składającą się całość tak rozmaitą, tak potężną, tak złożoną, w której tysiące działał się nieczasy, przeciwności, unikoszenia, łamie, bojuje, spięra, łączy, a cicho; jednak spełnia co im przeznaczono.

Jestli kto coby mógł rzec w duszy — Znam i wiem jakimi drogi idzie ludzkość, kędy i dokąd ją prowa-
dzić! Jedni ją wiedą na step bezwodny by umierała z pragnienia, drudzy na paszę od której zbytku kona, inni na wędrówkę skalistą w przepaście... a Bóg tylko, co błąd ludzki obrachował, z tych pokuszeń zbrodni-
czych umie zrodzić skutki błogie, niespodziane. Na stepie bezwodnym konające tłumy bijąc czoły ukorzonemi, wy-
kują źródło dla dzieci... na paszy zbytniej obżarłe gniaz-
dła tysiące, usypią ciałami górę co osłoni wnuków... prze-
paść zasuną męczennicy, by po niej później przeszli po-
tomkowie drogą bezpieczną.

Wielki Bóg! my nućmy Hosanna!

Biedny człowiek! my ktoś nie przekleństwo złożmy
na jego mogile...

LVI

— Teraz spojrz, rzekł biały mój przewodnik, jako
nowi występują apostołowie w imie ducha... na tych
zgliszczach krwią obłanych, które widziałeś przed chwilą.
Odkryli oni prawdę wielką, że ludzkość idzie naprzed
nieprzeczwyciężona, ale zarazem że ją popychać potrze-
ba — ideą znówu chcą przysporzyć jej biegu.

Tysiące lat i pokoleń szły naprzed niewiedząc o tém,
dalej a dalej samą siłą natury swój i woli Bożej, ale
teraz dopiero, mówią oni, gdy już wiemy że idziemy

i-ciepoty: ruch i chód, pójdmym sztylko przyspieszo-
nym do celu biegiem. Więć naprzd — ale jak? Duchem
zaszedł już człowiek od wieków tak wysoko i daleko,
jako tylko mógł, wyśpiewał wszelkie uczucia, wszyst-
ką tęsknotę, każdą boleść, najpotężniejsze słowo stwo-
żenia.... pozostało więc rozumem badać, a ciałem
nigwać!

I oto znów powstaje wielki wódz, który głosi, że
boleść wykorzeni, że ubóstwo zniszczy, że dobry byt
zaszczepi i da ludzkości szczęście, w postaci nie chleba
co się Bogiem staje, ale Boga uczynionego chlebem. —
Do pracy! do pracy! woła, nie do trudu ducha, nie na
wyłąny natchnienia, nie do pogardy męczarni i potów
krwawych, ale do pracy cieleśnej, co się płaci ziemią
i nią ogranicza. Dalj marówki do roboty... a spojrzeć
w niebo nie wolno, bo to odrywa napróżno, a westchnąć
się nie godzi, bo zwiększa westchnienie, a zamyśleć się
występek, bo zachwyt jest czasu stratą... a zapłakać
grzechem, bo łza zwałaby robotę...

Anioł smutnie spuścił głowę, a jam uczył że patrzę
na chwilę obecną, i pglądałem w ciszy, jak bezroz-
umna ludzkiem spełniała się niewidoma jeszcze wola Boga.
Człowiek pracował na chleb powzedni tylko, a trud
jego i poty budowały gmach niewidzialny przyszłości.

LVII.

Westchnałem mijając widoki różne które się co chwila
odmieniali: tu bitwy zajadłe, tam zajadłą pracę, owdzie
spoczynek martwy skostniałych tłumów, zakładane grody
i sypano mogiły. Wtém duch jakiś biały unoszący się
pomiedzy niebem a ziemią przesunął się u stóp naszych

i powiewną szatę, błysnął w powietrzu. A był tak czysty i jasny, że bym go wziął za anioła, ale skrzydeł nie miał archyzystych, i czarny warstocz rozpiątany w powietrzu zdradził niewiastę, którą siła jakaś ciągnęła ku niebu, a druga przy ziemi trzymała. Jakieś uczucie siemakie przywiązywało ją do doliny łez, choć anioł nie był nad nią czystszy ni jaśniejszy. Postrzegłem ją wirowym ruchem okręcającą się w powietrzu ze złożonymi rękami jakby na modlitwie, a potem zstępującą na ziemię.

W kolebce spało dziecko sierotka, i nikt nad niem nie czuwał, duch matki zstępował ku niemu... Bóg pozwolił jej samą być niewidzialnym aniołem stróżem dziecięcia, które odlatując rzuciła — wywodziła sobie niepokoję i boleści dla dziecięcia, które się okazywało powierzyć duchom nawet niebieskim.

Wiemyż my co się w koło nas i z nami dzieje, kto niewiedzenie nas wspiera? kto myśl przynosi? kto zsięwa ziarno dobrego, kto popycha, kieruje, wspomaga? W życiu nieraz czujemy się co nami radzi, której się opieramy często i zaprzeczamy jej w ostatku.

Cały świat niewidomy nam błędzącym w ciemnościach, widziałem ztąd jasno. Nikt z ziemi nie dostrzegł tego cienia matki, która porzuciła niebo; by z dzieckiem swym pozostać, a ofiarę by jej poświęcono, bo duch jej z ciała uleciał wprzód do Boga i roztopił się w jasności jego, skosztował szczęścia i spokoju, a jednak powrócił na plac walki i bojaźni, aby stróżować u węgłowia sieroty.

I widziałem życie ducha co zawisł nad tą kolebką dziecięcą, jego pracę i lzy, ruch każdy policzyłem — Sierotka opuszczona była jedna widząc cień matki nad sobą, ludzie go nie postzegali. Z drugiego dziecięcia kamyczki odsuwała dłoń matki, pielęgnowała je, zasłaniała broniła, a ludzie się dziwili opiece niewidomej wytłumaczyć jej nie mogąc. Było to życie które pospolite oczy

cudem nową:... rasą: bezbratnia sieraka, zdawała się przeznaczoną na pastwę wszystkiemu co człowieka przestępuje — chorobom, wypadkom, zdradzie, przeladomani, uciskom, zdawało się że stracić się musi, że zginąć powinna, że w głowie jej myśl zagadnie na wieki, w sercu ale tylko rozkwitnie się bajnie... Ale nad dzieckiem z grobu czuwała matka, szedł za nim krok w krok cień jej, i gdy spać ją, usiadł nad sierotą, szeptał jej do ucha myśli pocieszne, wlewając uczucia święte. Duch czytał w sercu, ogarniał co w nim złego wymalał, wypielal chwasty, a ludzie dziwili się podziwającej dziecinie która kwitła piękniej, niż inne ziemskimi pielęgnowane rękoma. I poczytywano cudem, co było zagrobową miłością macierzyńską i poświęceniem.

Duch macierzy nieopuszczał dziecięcia, czuwał nad nim nieustannie, szedł krok w krok, ludzi odpychał, serca skłaniał, siły szkodliwe rozbrajał, bronił, ogarniał i szepkał moc Boga na podwignienie.

— Patrz, rzekł anioł, to największa, najczystsza miłość na ziemi; bo w niej największe poświęcenie, nie ma nad nią świętości ani trwałej, ani silniejszej, — jedno serce matki tak kochać umie jak Bóg kocha dzieci swoje, jedna to miłość co nie rachuje na odpłatę, nie chce nic dla siebie, nie pragnie chwały, nie targuje się z ofiarami; cicha, łagodna, niezmęczona, wielka, trwa do końca. Niewdzięcznością odpłacona, płacze ale przebacza, odepchnięta powraca, zdradzona wznowa się, zycie straci i z za życia jeszcze promienicze. Dla tego błogosławieństwo matki jest siłą wielką, a przekleństwo macierzyńskie śmiertelną.

Ludzie przywykli upatrywać moc i potęgę w tém tylko, co ciała dotyka, nie rachują tajemnych sił co ich otaczają. Takimi dewigniami są miłość, medytacja, słowa błogosławieństwa i przekleństwa słowa, uczucie siły ku jednemu wymierzone przedmiotowi. Znacze ich moc

i potęgę! widzicie cuda czasem, ale zakryte dla was drogi, któremi spływają na człowieka szczęście i niedola. Często słowo jedno mocniejszém jest od rąk stu ludzi, jedno wejrzenie zabija i żywi, jedna wola silna rozprasza lub skupia. Niebaczni, szafujecie tém co macie najdroższego, nieznając skarbów swoich; adaje się wam że rychlej może podciągnąć dłoń niż dusza, a gdy Pan mówił że wiara góry przenosić może, choć tajemnicę wam odkrył, wyście mu niewierzyli. Myślicie o podobieństwie, a w słowach Jego prawda, której skutki widzieliście dokola, przyczyny nie nauczyliście się dotąd.

LVIII.

Co chwila spotykaliśmy dachy przykute do świata powiazaniem, jakienś jak ta matka, namiętnością wielką, która po za granicami życia więziła ich jeszcze, tęskniącą którą przebolewać musieli długie lata, wysiewam ziemi z którego się obmywać musieli.

Matka u kolebki dziecka-sieroty, żona u boku męża, dzieci przy piersi macierzyńskiej — snuli się tęskniąc w rezerwanu, jedną połową duszy do nieba, drugą do ojczyzny ziemi z której wyrosli. Rzadki duch odlatywał wprost oswobodzony z ciała, w objęcia Boga lub w przepaść zapomnienia, większa ich liczba błędziła nad ziemią naszą.

I nie dziwiłem się sile tego węża co tak mocno łączył nawet duszę nieśmiertelną z ziemią snikoma, bo sam miał wielką miłość do niej, i tęsknica porwała mnie z objęć aniołów. Łzy kręciły mi się w oku, z góry postrzegając wszystkie miejsca w których upły-

dale życie moje; ponaznaczanie łzami; wysypane piaskiem mogiłym pamiatk.

Błądząc okiem po wielkiej przestrzeni rozesełnej pod nogami mojemu, pierwszy raz w życiu obejmowałam i tuliłam do piersi wszystkie miejsca ukochane, za którymi bolałam, a niepokój ku nim mnie pędził. Spłótłam je wzrokiem w jeden pęk kwiecisty.

Anioł milczał nłiłowawszy się uczuci memu, a w tém zastąpiliśmy nad nieznane mi miejsce.

LIX.

Była to pustka po za wsią, cztery tylko ściany w ruinach i gruzie, po jednej z nich wyższej i wznioślejszej poznałam rozwaliny kościoła, którego tylko szczyt podparty grubszemi szkarpy nad wagórzem ozynami i tarliną porostym panował, a na nim chwiał się jeszcze stary krzyż żelazny, do którego przyparte było gniazdo bocianie. Po okopconych od ognia ruderaeh, których deszcze obmyć nie mogły, znać było, że ta ruina nie obaliła się powolnie, ale płomieniem pożartą została.

Ladzie zamiast podnieść dom Boży, dali mu upaść i nie wskrzesili staręj pocziwéj ojców modlitwy kamiennéj. Kilka krzyżów drewnianych, kilka mogił podnoszących się nad grzbieł ziemi, kilka drzew starych współczesnych kościółkowi wiejskiemu, ubierały to miejsce smutne, zdziczałe i oicze.

Z pagórka na którym wznosił się kościółek nad ułwiskiem i płynącą u stóp jego rzeką, wzrok sięgał w dal ogromną po za drugi brzeg wody, na lasy, siola, pola i dwory. Pięknie tu było choć smutno. Słońce zachodzące złociło szczyt upadléj budowy, a bocian klekotał

na gnieździe, wróble uhlazwały się do słońca w krzakach bujno rozrosłych dokoła... para krówek chudych powoli schodziła z paszy na grabach ku chatom w dołynie. Ostatni promyk słońca zlocił jeszcze przez chwilę krzyż żelazny; odbijał się w wodzie rzeczki, potem zgasł nagle i mrok szary począł się rozsuwać po ziemi. Patrzałem na ten obrazek z uczuciem, gdy wśród powiększających się ciemności, zadzwoniono w dołynie na Anioł Pański i echo poniosło daleko po rosie odgłos dzwonka wiejskiego.

Anioły lecące w powietrzu się zatrzymały i modliły za poległych. Ale nie za samych tylko poległych w krwawej wojnie.

Za poległych we wszystkich bojach, które po cichu odbywają się na ziemi, w których padają przesyćci bez chwwały i oklasku, z uśmiechem na ustach, często z pozorem zwycięstwa...

Za poległych w walce ze światem, z ludźmi, z ucieszeniem potężnym, z cierpieniem wielkim, z rozpaczą, tęsknotą, boleścią.

Za rycerzy ducha, za nieznanych apostołów przykładem i czynem opowiadających wiarę, za umęczonych przez braci uciskiem, miłością, nienawiścią, zdradą, niepojęciem i pogardą.

Za zgastych w poboju wielkim w rozkwicie lat, w pełni nadziei, za wszystkich co walczyli i upadli ciałem, a nie umarli duszą.

A te duchy modlące się w niebiesiech za dusze uwzięzione na ziemi, klęczące w obłokach na wysokości, wywołały kilku oswobodzonych ku niebu. Jak białe obłoczki wznieśli się w oczach moich wyzwoleni do Boga, a aniołowie popłynęli znowu na straż przy mogiłach i ludziach, i w ciemnym tle niebios ujrzałem blado przyswiecającą pierwszą gwiazdę wieczora.

LX

Spoglądając na ruiny kościółka, ujrzałem megikę, z której przetarłszy oczy, rażno podniósł się starzec, zbudzony dzwonem na Anioł Pański. Postać to była pospolita, staruszek zgarbiony, o rysach twarzy świętych, łysiej głowie i barkach pochylonych, okryty szarą saią, w ręku miał klucze i kij, którym się podpierał, — wygłądał na stróża tej ruiny i był nim w istocie. — Szybko dźwignął się z ziemi i ścieżką sobie znajomą skierował się ku miejscu, gdzie były dawne drzwi kościoła, a dziś wyszarpany tylko otwór w murze rozbitym. Dla niego znów wszystko tu stało jak niegdyś całe i świeże. A w miarę jak się zbliżał ku drzwiom kościelnym, ujrzałem powstające z gruzu mury i endem wkrzeszoną świątynię. Kościółek stał znówu jak przed laty opasany murem, z całym szczytem, z wieżyczką, sygnaturką, z ołtarzami po wiejsku przybrzmieniami, z całą swą skromną ozdobą. Starzec zbliżył się do drzwi i odemknął je kluczem, i wszedł wewnątrz niespokojny.

Wzrok jego zgasły ożywił się na widok gmachu, który ukochał, do którego się przywiązał, który pielęgnował jak dziecko swoje — spojrzał szukając pyłu, śledząc czy się gdzie co nie osunęło, czy pajak nie zasunął gdzie sieci swoich lub ptak przez otwór jaki nie dostał się do wnętrza. Przyklękawszy w progu i pokropiwszy się wodą święconą, skierował się wprzód ku wielkiemu ołtarzowi, poprawił obrasy, astawił dawonki, ponaginane wyprostował świece, i wszedł do zakrystyi na prawo. Tu wszystkie było w porządku, kielich jest do mszy nakruty, mszał wielki na stole, krucyfiks, i alba rozpo-starta i ornat przygotowany na mszę żałobną... tylko

księdza nie było. Po chwili siwowłosey kapłan ukazał się w progu zakrystyi, i począł się do wielkiej przygotowywać ofiary... starzec tymczasem zapalał światła w wielkim oltarzu, zdejmował zasłony i żywo do masy przyrządzał. Z macierzyńską troskliwością opatrywał najmniejszy szczegół dokoła, a nigdy mu domyś nie było, ciągle coś miał do poprawy i przystrojenia. Lich-tarz nie stał na swoim miejscu, trochę wosku opadło na mense, dywanik zagiał się na stopniach, ampulki poprzeczymały niebezpiecznie, pokarbowany rącznik nie trzymał się w miejscu.

Nareszcie wszystko do masy gotowe... kapłan wychodzi, dzwonek się poruszył i msza żałobna poczęła...

Dwóch starców tylko na kościół cały, nikogo więcej choć drzwi stały otworem.

W cichości ta pogrobowa zaczęła się ofiara, myśły na nią patrzyli w miłoszeniu i przerwaniu... umarli zastępowali żywych! Łzy płynęły z oczów kapłana strumieniem gdy odprawiał ofiarę za ojców co stawiali dom Boży, za pogrzebionych na omentarzu, za dzieci ich co uciekły daleko opuściwszy świątynie, za zubożałych, rozproszonych, za rozpędzone owieczki i zginięłą trzodę, za żywych ciałem a duchem umarłych!

LXI.

Gdy kapłan stojący przed oltarzem począł wspominać umarłych, w grobach otaczających podźwignęła się ziemia, i po jednemu poczęły wstawać cienie snem długim spowite, i szły szeregiem do kościółka obwinione w ciłuny.

Kościółek napelniał się i ożywał jak przedtem,

sęgały organy, zalał go pobożny tłum nieboszczyków. Niektórzy z dalekich krajów otrząsłszy ziemię obcą, która ciężkiem brzemieniem piersi ich przygniatała, przywlekli się do kościółka pustego, którego chrzcielnica zmyła z nich grzech pierworodny, przywlekli się w śnie pośmiertnym, całując piasek domowy, i jęczeli głosem powróconych wygnańców, szukając oczyma dawnych towarzyszków pielgrzymki swojej.

Postrzegali ich w całunach i płakali, nie poznając swoich jeno sercem, bo ich oblicza zmieniły cierpienia i mogiła. A było tam pokoleń wiele począwszy od pierwszych chrztem obmytych świętym, od tych co na swoim jeszcze pogańskim leżeli mogilniku, i drzwi obiegając wewnątrz wnijsó nie śmieli, na maczugach oparci — potem synowie ich w grubych sukniach i prostej odzieży, wąsaci i barczyści, i niewiasty zawinięte jak wieśniaczki w skromnej odzieży, i wykwintniejsi Zygmuntowi rycerze, i piękniejszego oblicza żony ich z włoska strojne i zfrancuziałe, zniemczale, skarłale plemie późniejsze. Patrząc na to zbiegowisko duchów co na chwilę oblokły dawne postacie, trudno było uwierzyć żeby jedna krew niegdyś w ich żyłach płynęła, jeden poprzednik ich rodził, tak twarze i dusze były odmienne, tak różne wejrzenia i pragnienia. Mieścili się tu wszyscy aż do ostatnich z między nas świeżo wziętych, zbolełych męczenników, którym sił na wytrwanie boleści nie stało.

Byli też starcy, matrony i dzieci w pieluchach, lud prosty i panowie, wszyscy zrównani w obliczu Bożem, jedni tylko bielsi swą cnotą, drudzy ciemniejsi namietnościami i grzechem.

Msza umarłych ciągnęła się długo, długo, a przed ostatnią modlitwą o wieczny spoczynek, kapłan stanął u ołtarza i wyszły dwa duchy jasne z tłumu który się przed niemi rozstał. Było to dziewczę jak marmur

blade, w długim całunie miasto zasłony weselej, w zoschłym wianku przeplecionym cierniami, błyszczącym jasnymi gwiazdy; twarz umarłej była jak piękny posąg spokojna i uśmiechnięta nie ziemską już radością. Obok niej siedł młodziwiec, którego ducha przynieśli aniołowie z mogiły dalekiej na drugiej półkuli świata.

Kochali się niegdyś, zaręczyli, przysięgli, i dwie ich dusze tęskniły do siebie przez długie lata rozdzielne, aż oboje zabila tęsknica i przysypała ziemia. Wstali znów z mogił, aby dotrzymać przysięgi i powtórzyć ją raz jeszcze przed kapłanem na ziemi. Tłum widzów stał w poważnej zadumie, patrząc na parę zbliżającą się do ołtarza. Młodzian w piersi miasto ślubnego kwiatu miał ranę głęboką a jasną jak gwiazdy wieńca dziewiczego; przyszli razem i podali sobie dłonie, i oblicza ich zajaśniały radością, jakiej niezaznały na ziemi. Kapłan zamiast stuley, związał ich czarnym całuną kołosem i pobłogosławił w cichości... Uklękli i tak życie prześnili przed ołtarzem, bo ziemską ich pielgrzymkę i pokutę była skończoną.

Rozstał się znowu tłum mar i widm, a młodzi umarli z dłonią w dłoni poszli do domu mogiły, odnosząc szaty swych ciał ziemi. Czekał na nich otwarty grób, powiódł ich orszak ku niemu, i widziałem jak się prochy układały przy sobie, ziemia otuliła ich ciała, i mogiła je przygniotła, a duchy towarzysze rozeszły się powoli do grobowisk swoich.

Gdym się znowu obejrzał na kościółek przed chwilą oświecony i pełny, ujrzałem tylko gruz i sterczące ściany, chwasty i krzewy które je porastały, i cień od chmury osłaniający wzgórze puste. Ostatni kapłan i starzec kościelny znikli mi z oczów w czarnych mogił otworach.

Mój wzrok nad ślubną zadrzał mogiłą i westchnąłem, a anioł rzekł mi — Żal ci ich? ale dłuższeż wasze ziem-

skie życie nad tę chwilę, którą oni z połączonemi dłońmi przeszli w apojeniu błogiem od ołtarza do mogiły?

Spojrzał, rzekł, i ujrzałem dwa duchy czyste, teglujące ku niebu, jasne, uśmiechnięte, szczęśliwe, — poprzedzały je dwa anioły, siła jakaś gnała prądem do góry, i znikli w głębiach eteru i jasności, w smudze blasku.

LXII.

Szliśmy dalej z aniołem, a kraj nasz ukochany powoli z oczów nam znikał, i z wyżyny, na którą mnie podniosły skrzydła mojego białego stróża, postrzegłem tyle ziemi ile jęj wzrok ludzki objąć może... Pod stopami naszemi rozdzielała się dziwnie rozmaita i dzika, pogarbiona górami, zaciemniona lasy, morzami oszklona, z grody swemi i dziełami rąk ludzkich, które leżały na niej prochem białym. Jak mrowie anuli mi się to po-jedynczo, to kupami ludzie krzyżujący po ziemskich obszarach, a ta trwałość życia wśród ciągłej śmierci, wygnała na chwilę myśl znikomości człowieka. Umierał człowiek ale ludzkość żyła, odnawiało się co znikło, odżywiało zmarłe, a na mogiłach bawiły się pokolenia nowe. Wielka była różnaitość w tym obrazie jednostajnym z pozoru, i jak niejedne lasy okrywały ziemię, tak różne narody błakały się po niej. Każdy kątek tych przestrzeni jakby oddzielną myśl Stworzyciela wyrażał, wszystkie zlewały się w potężną, harmonijną całość.

Miedzy ziemią i jęj mieszkańcami widziałem związek niedojrzany wprzódy, i pojąłem miłość dla kraju i każdego kraju oddzielność.

— Każdy, rzekł mi skrzydlaty przewodnik, pracuje na swoim zagonie dla wszystkich, każdy ma słowo do po-

wiedzenia i czyn do spełnienia. Oto jedni dotyli dni swych i spoczywają w ruinach, dopóki nie odetchną jako człowiek znudzony do życia nowego.

I wskazał mi kraj pyramid i sfinxów przetrnięty Nilem i złotemi zasypyany piaskami, z dziwnie zamarym ludem, który duchem niepojmował dzieł ojców swoich i olbrzymom niebieskim przypisywał ich gmachy... Ta ziemia była wielkiem cmentarzyskiem, świątynie puste, znaki i godła milczące, ogromne ruiny do pasa piaskami zawiane, miliony grobów a w nich miliony zmarłych z twarzami przeszłości... wszystko to tak zapomniane, tak nierozwikłane, tak przez wnuków zabyte, że im obcy przychodnie własną ich przeszłość musieli tłumaczyć.

Nad tą wielką pustynią obce panowanie, długa ciena cmentarzowa... Taka śmierć całego narodu, zabycie przeszłości, zerwanie związków z własnego życia ciągiem, nie jest li najstraszniejszym z widoków na ziemi? Jakże płakać nad znikomością jednego człowieka, gdy całe narody tak nikną? jak żądać by życie jednostki świeciło z po za grobu, gdy pokolenia całe wielkich ludów spią bez kamieni mogiłnych... a wnuki się ich zapierają. Jestli co ludzkiego trwałém, gdy różne państwa tak się w proch sypią, one co się tak o uwiecznienie swój pamięci starały, których życie było ciągłym zawarowaniem od śmierci? Przez nie rzekł Bóg światu: patrz, czém są dzieła twoje, oto lud, który tył kopiąc groby wiekuiste, rzeząc napisy, aby pamięć jego nie zginęła, spowity w hieroglify — a zginiony jak inne. Trwają kamienie ręką jego wzniesione, w kopalniach glazu pozostał młot i dłuto co hieroglify wytłabiało, a język i pamięć i nazwisko jego wiatr roził w pustyni o pyramid boki.

LXIII.

Prąd co nas unosił, powiał ku brzegom Grecyi, wesołej krainy wielkich mężów i czynów, tu jeszcze żyła pamięć wszystkiego, ale w inny sposób bezsilna, bo odrodzić przeszłości niemogła. Wszystko zdawało się maluczkie, drobne, budowy ich sławiona, grody wielkie, góry śpiewane przez poetów, strumienie, których imiona poetycznie rozlały się po świecie. Wśród tych gór u brzegu tego morza, rzekłbyś inny lud mieszkał, tak w piersi jego nie z dawniej niepozostało wielkości. Ida, Olymp jak ludzie i ludzie jak góry zmaleli. Na wielkich Bogów Grecyi i bohaterów dziejów olbrzymich nie było miejsca w ciasnej Helladzie. Troję okrywały krzaki karłowate i kamienie otluczone, a pastuch nie nucił pieśni Homera. Spiewał pieśń pół rozpustną i pół zbojecką.

— Lud ten, rzekł mi duch mój, — nie ryl na marmurze, ani pisał kamieniom, a żywot jego przeszły jeszcze dziś żywy i przytomny, tak że w obec jego scena poematu maleje, i wszystko to zda się drobnem i lichem... czyny bohaterów przeszłości trudno pomieścić na tym skrawku ziemi. Bo tu panował duch wielki, i poryw i przeczucie dobra. Jak lud Izraela posłował do ludów pogańskich z ideą jednego Boga, tak Grecya zwiastowała im ideę poświęcenia, cnoty, bohaterstwa. Sokrat był przeczuciem nowej ery, Plato prorokował przyszłość, posągi natchnione wyprzedziły pojęcie sztuki, gmachy układały się w linije wdzięku pełne... Spartańczyk hartował już ciało któremu hamulec i wędzidło miała włożyć nauka Boża. Tu wszystko w zarodku, to cała poczyja przeszłości ludów, a co z niej

uleciało dziś jeszcze świetnieje niezgasło. Tam u Nilu potęga prawicy ludzkiej wyraziła się głazami, których głoski pozostały niewyczytane, tu niema napisów a tyja słowa, a czytasz dziś jeszcze przeszłość Grecyi.

U waszych mędrców co wierzą w ziemię i ciało, powiedz mi, — wiódł dalej duch — jak wytłumaczyć tajemnicę zniknięcia ludu i przemiany jego... Toż same niebo, też wody, te morza co były, taż krew, co w tyłach ojców płynęła, dla czegoż dawna Greeya odradza się, w karkach niedołężnych, w handlarzach nikozeńskich, w narodzie zubożałym, na dachu, który raz tylko dźwięgnął się rozpaczą wielką i zwycięzca upadł gorzej niż gdy był zwyciężony. Dla czego nie kwitnie tu ani szałka, ani pieśń, ani duch Sokratesa i Platona? czemu nie wnijdzie znowu ślepy Homer? a pieśń dzisiejsza taką przestrzenią dzieli się od starej... Ziemia, ludzie, ci sami, ale młodość ich przeszła i posłannictwo skończone. — Bóg chciał, zamknęły się lata chwały, a poczęły lata pokuty.

Pogodny dzień z niebem jasnym i skwarem ubielonym świecił Athenom... gdyśmy stanęli nad niemi, i próżno tu było szukać ich dawnej świetności... nad upadłemi pomnikami ich zielone drzewa i smutne minarety panowały nowym życiem. Szczątki Parthesom świątynia Thezea z żalobną palmą jedyną, kilka kolumn, trochę murów odartych... oto co pozostało z starego grodu Minerwy. Wzgórza otaczające, nagie lub porośnięte błędami gajami oliwnemi, krzakami cypru i myrtów, nie miały już starych nazw swoich... przecież to były Ikar, Hymett... a wody wyschłe zwały się Ilisem, Kalinhoe, Cefysem... Wielkie milczenie wieków, wśród którego ani słyhać było gwaru nowego życia, przynosiła stolicę Alekbiadesową. Anieli wskazał mi przed Latarnią Diogenesową, maicha modlącego się na ni-

nach... w tej modlitwie była jeszcze iskra przyszłości.

Agora była powszednią targowicą, a prozaiczny zegar Elgina wybijał godziny konania.

Wzrok nasz poleciał ztąd przez Ceramic i równiny Cefyza po nad ruiny Eleusis nad górę Cerate nad Megarę ku staremu Koryntowi.... Tam stała twierdza Muzułmańska, a u pegazowego źródła piły konie obcych wędrowców... Góry Delfijskie spały, żaloba i pustka były wszędzie... jam płakał... anioł uśmiechał się spokojnie.

— Jedna to zbutwiała karta dziejów, jakich tysiące porwały wiatry... Umierają ludzie i ludy, rodzą się dzieci obojgu, wstają pokolenia nowe... lecz wszystko ziemskie trwa chwilę... jak twoja łza.

Żytomierz d. 30 marca 1857.

J. I. KRASZEWSKI.

PRZEGŁĄD PIŚMIENICTWA.

Poesya zastępuje stosunki żywotne; przez śpiew łączą się serca i tworzą znajomości. — Pisma czasowe biorą po poetach spuściznę. — Znalesienie się w rzeczywistości cechą pisma czasowego. — Stan pism czasowych i niedostatków ich. — Teki Wileńska i artykuły w niej zawarte.

Litwa może się nazwać ubłogosławioną ziemią, nie tyle pod względem czarujących okolic, nie tyle pod względem czystego gruntu, nie tyle pod względem przyjaznego klimatu, ruchu cywilnego, ile że wy-
dała wielkiego wieszczka, który potrafił jęć ciemne lasy tajemnice, i także kto jęć niewidział, zbiera go tęskno-
i cicho — nieznaną kochanką.

Wielka to kolęja którą poszli nasi śpiewacy ześpie-
wujący w jeden chór tony rodzinnych zagonów! Pieśń
leżąca pod obłoki nienapotykać krańców, służyła niej-
ko za posłankę wzajemnych wynurzeń się z bólów i
tęsknot i słodkich myśli. Witano ją też serdecznie i
mieszczono w pamięci serca, gdzie się tworzył idealno-

ucuciowy organizm, który pospolicie i właściwie zowiemy duchem.

Po zerwanych stosunkach życia, po przebrzmiałych znajomościach i przyjaźniach, po straconych koligacjach, zaresłych drogach domowych, słowo pieśni brzmiące starą powieścią krzyżacką, już anegdotą popularnego potentata, już wiejską półpogańską piosnką, już roztańczające tajemnicze dziwy puszczy niezbrodzonych, czarownych Ponar i nadniemeńskich dolin, ożywiało tradycję, wiązało rozbryźnięte cząstki życia w całość, odnawiało powinowactwo historycznej rodziny.

Szanowny z wielu miar autor Wieczorów Pielgrzyma nazywał tę dążność *powiatowszczyzną*, gniewał się na to podnoszenie cech plemiennych i tych różnic charakterystycznych, zapominając, że tym właśnie sposobem cząstki przychodziły do uznania się w swoim jestestwie aby tem szeszelniej skupić się w dziedzinie ducha. — Geniusz poety niezmylił się w drodze którą pokazał. Nowi Lumirowie zaśpiewywali, jak w staroczeskim za-
bytku, serca do serca, a każdego kolebkę swoją umiał przystroić takimi kwiatami fantazy, że splecione razem, wydawały się jak ta równianka. położona w ofiarze na ołtarzu Bogarodzicy w dzień jej uroczystości.

Po pierwszym wylewie uczuć powitania, po tych wynurzeniach się z wspomnień, następuje zazwyczaj trzeźwiejsza spowiedź o osobach rodziny, o sprawach domowych, o stanie majątkowym, o widokach gospodarczych, zgola te tysiączne dróbiazgi życia z których się składa egzystencja człowieka. Podobną koleją szły rzeczy w świecie umysłowym, w pracy piśmiennej. Obok poezyi powstawała proza, obudzająca niemniejsze zajęcie. Powieści opowiadały obraz towarzyskiego życia; pokazywały ludzi w zapasach z losem, z nieszczęściem; dusze wzniosłe i poświęcające się, to znowu upadłe, znikczemnione; surowy tradycyjny obyczaj obok samolubstwa nu-

rzającego się w zmysłowości z wszystkimi cechami duchowego odstępstwa; wiarę religijną przekazaną od ojców, obok indyferentyzmu lub pysznego mędrkostwa. W formie tej najwięcej dawało się zmieścić, była więc najpopularniejszą; choć jako plód fantazyi powieść, nie miała téj ścisłości, jakiej wymaga się, gdy rzecz idzie o pewne dane. Najważniejszą w tem rolę odgrywały poszukiwania historyczne robione na stósownej skali; archeologia wydzierła ziemi, lub poniewierce, dalekie wskazówki mogące niejedno wyjaśnić; lud badany pod względem podań, pieśni, obyczajów dostarczał ciekawych postrzeżeń, jeżeli nań umiano patrzeć bez czułości sielankowej i bez chytrego celu używania go za puklerz do ścierania się z innemi warstwami towarzyskimi; najwięcej zaś oświecały o stanie prowincyi opisy podróży dające tak dobrze poznać i stan społeczeństwa, i jego oświatę, i obyczaj, i gospodarstwo obok kreślonych z humorem fizjonomij miejsc, tłumnych zebrań odpustowych, jarmarcznych, wyrobów i kondescencyi.

Piszący w tych różnorodnych przedmiotach tworzyli literaturę prowincyi — wychodziły wielotomowe książki które w spokojnem zaciśnięciu kiedykolwiek można było przeczytać, bez zaciągania jakiegokolwiek obowiązku względem ich autorów, czyli bez téj solidarności jaka łączy czytelnika z piszącym, jeżeli tenże chce obudzić interes bieżącej chwili. — Rzecz bowiem pewna, iż piśmiennictwo ograniczone na samych dziełach wielotomowych, tworzonych oderwanie od interesu chwili, aczkolwiek może wydawać i wydaje doskonalsze, wypracowane pod każdym względem plody, jednakowoż niezaspokaja tej potrzeby codzienną budzącą się w czytelnikach z powodu tysiącznych kwestyj życia czy publicznego, czy ekonomiczno-gospodarczego, czy wreszcie naukowego i artystycznego. Jest to własnością wy-

kritalocześniejszej publiki że jest ciekawą najświetlejszych nowości; chce posłuchać zdań większego świata, aby zorientować się w kwestyi nieraz zbyt jednostronnie, lub niepraktycznie pojmowanej; potrzebuje też i pewnych potraczeń i wskazówek, aby skorzystać ze skarbów leżących odłogiem bo niepostrzeżonych dotąd; słowem publiczność potrzebuje organu budzącego ruch i życie przez odświeżenie myśli zatęchłej jednostajnością nawykniętą.

Takiego organu, któryby umysłowe i materialne interesa przedstawiał i rozwijał, chociażby w bardzo szczupłych granicach, niemiała Litwa od czasu jak Dziennik Wileński przestał wychodzić.

Później *Wizerunki* naukowe zapelniały same przekłady z *Revue Bréviannique* i innych; czasami tylko zaplatał się jaki ułamek z historyi naszej lub z literatury — ale i to było lepsze jak nic. *Atheneum* wydawane przez Kraszewskiego miało wyborne artykuły książkowe; a choć ducha czasowego pisma nie miało, mogło się było wyrobić.

Nie jest to bynajmniej rzeczą tak łatwą, jak się wielu zdaje, znaleźć się w każdej danej chwili, ogarnąć ją, a przynajmniej zrozumieć i wytłumaczyć; zwracać baczność na proste lub krzywe kierunki, na symptomata czasu, umieć z nich dobre wyprowadzać, lub wstrzymywać na pochyłościach, — czyli po prostu, być pośrednikiem między odgrywającą się historią na bliższych lub dalszych scenach świata, a tymi co na nią patrzą, stanowi właściwe zadanie czasowego pisma. Rola objaśniacza, komentatora, a niekiedy przewodnika zostawiona jest dziś tego rodzaju pismom, do czego koniecznym warunkiem znaleźć się w rzeczywistości jaka jest, a umiejętnością, rozpatrzenie się w niej i dokładne poznanie organicznego jój składu, i sił żywotnych, produkujących, aby je do celów użytecznych prowadzić. Same najwznioślejsze teorye nie są bynajmniej prakty-

ką, a przenoszenie się myśli w wieki przeszłe, lub przyszłe aczkolwiek odwołania piękne poetyczne świąty, niema tej ścisłości zastósowawczej jaka niezbędną jest w organie, który chce być tłumaczem potrzeb i interesów bieżących. Wyższe kierownictwo duchowe bywa zazwyczaj udziałem wieszczów i myślicieli; czasowe pismo o ile w jego mocy powinno ovladywać teraźniejszość rzeczywistą, dotykając, choćby w najdrobniejszym zakresie, który choć nieznacznie, a rozszerzy się bo to pewna, że wszelkie ustępstwa zdobywają się miłością prawdy i spokojną a wytrwałą pracą.

Pismo czasowe nieodpowiadające temu warunkowi choćby w najdrobniejszym punkcie, przestaje nosić właściwą sobie cechę i zamienia się w zbiór artykułów różnorodnych jakie zazwyczaj czytujemy w publikacjach na intencję pogorzalców lub potopielców. Nie o to bowiem idzie, aby pióra miały pole eksercyoyi lub popisu, ale żehy żywotność i czynność społeczna znalazła swój organ, słaby, lub silny, w miarę jak stosunek miejscowy pozwala. Ważność i użyteczność pism czasowych uznana została przez wszystkie rządy, które, czy je w ciśniejszych czy luźniejszych trzymają karbach, czy są w nich interesowane, lub nie, zawsze jednak uwzględniać mogą wyraz opinii kraju, jeżeli takowa wyrażona jest w tonie przyzwoitym i umiarkowanym, oparta na pewnych niezbitych faktach i danych, a odznaczająca się praktycznym poglądem. Trzeba pamiętać, że i najliberalniejszy rząd nieusłucha pierwszego lepszego gawciarskiego krzyku, ale rad zastanowi się nad przedmiotem ułatwiającym mu dokładne poznanie miejscowych stosunków i potrzeb. Zapewne, przypadki te mogą być częstsze lub rzadsze, odpowiednio do usposobień i trybu machiny rządowej, ale zawsze sumienne, nienamiętne a gruntowne przedstawienia zyskują pewien wzgląd, pewien szacunek dla organu publicznego, który w dre-

due obustronnego zaufania może niejedną oddać przysługę.

Aczkolwiek w obecnej chwili wielka jest wszędzie pochopność do dziennikarstwa mianowicie w Warszawie, jednakowoż trudno się dopatrzeć w dziennikach jej, z małym wyjątkiem, odpowiedniego celu. Trochę historii, trochę archeologii, trochę miejscowych plotek, nadmiar gawęd o sztuce i sztukach, dużo powieści dla zabawy i wezasu, a zresztą bardzo mało, lub nie tego, co treść publicznego organu stanowi.

Nieprzeczę że trudny tam przystęp słowom mającym na względzie praktyczność jakich zmian i urządzeń, jakich potrzeb, ulepszeń wewnętrznych; kontrola opinii nieprzeciska się tak snadnie; ależ znowu nie da się przypuścić żeby poważny głos w formie stosownej podniesiony, niemógł się przedrzeć od czasu do czasu.

Kronika jedna zaczyna nieco wyrabiać się na tej drodze; dociera nieraz do kwestyi rzeczywistych, stawia się w położeniu obecnem, dyskutuje i oświeca umysły o ważnych zadaniach zaprzatających obywatelstwo i zaczeplających o żywotne interesa. Zresztą panuje ton niefrasobliwy, jakby ciągle powietrze grało muzyką Doliny Szwajcarskiej, a echo odpowiadało muzyką innego ogródka *en vogue*. A jednak ten stan dziennikarstwa acz tylko ograniczony do teorycznych rozpraw w dziedzinie sztuki i literatury, do moralnych obroków i buletynów z pola przedstawień sceniczno-baletniczo-koncertowych i do sprawozdań turystów, przerzucających przez nogę całą cywilizację zachodu, zapewne żeby pokazać wyższość swojskiej kultury — wielką jest jeszcze zdobyczą, jeżeli zważymy jak upośledzone są w tym względzie inne prowincye, mianowicie litewska.

Były uniwersytet Wileński zasiawszy tam ziarno oświaty w obywatelstwie, utrzymujące się dotąd, zrodził w umysłach potrzebę zostawania w nieprzerwanym sto-

sunku z pracą i ruchem myśli europejskiej, a tem samem narzucił konieczność przyczepienia swego ogniwka do wielkiego łańcucha cywilizacyi. Stan wyższej kultury nie może się obejść bez ognisk, gdzieby spływały pomysły i zdania, te owoce nauki; — ztąd też nieprzerwanie widzieliśmy uczonych i pisarzy litewskich uprawiających niwę umiejętności i poezyi; wychodzili od czasu do czasu dzieła ważne i pracowite badania, niepoślednie utwory fantazyi — ale usiłowania te pozostawały bez kierunku, bez skupienia się, bo niebyło organu, któryby zdawał z nich sprawę, utrzymywał ruch, wytykał kierunki, zaspokajał potrzebę dowiedzenia się jaki postęp zrobiła ta lub owa umiejętność, nakoniec zwracał uwagę na braki i zapomnienia wymagające uzupełnień; a co najważniejsza, któryby przystępnymi czynił większej massie czytelników te pytania o jakie świat spiera się, zastosowując obejrzenie i rozwiązanie onych do miejscowości. Cóż dopiero powiedzieć o naszczepleniu dobrego smaku w publiczności, o wyrobinu sądu nad dziełami piśmiennictwa i sztuk pięknych; przecież rzecz wiadoma, iż publiczność w massie wzięta, nigdy nie jest zdolną osądzić, jakkolwiek talent albowiem zasady podług których to się dzieje, nierodzą się z nami, jak mówi Goethe; a przypadkiem niemożna też ich nabyć, bo tylko dochodzi się do nich przez ćwiczenie i studia.

Ucieszyło to nas niepomału, gdy przed rokiem pismo nasze doniosło o mającym wychodzić Tygodniku Wileńskim. Projekt upadł i tylko został list Kraszewskiego także ogłoszony w *Czasie*, w którym zaony ten pisarz skreślił drogę po jakiej pismo to powinno postępować. Rady były dobre i trafne, lubo niewyczerpujące do gruntu zadania pisma peryodycznego. Na tym punkcie stała rzecz, aż do chwili pojawienia się pierwszego zeszytu *Teki Wileńskie*j wydawanęj przez Jana

ze Śliwina znanego z prac na historyczno-archeologicznem polu.

Wydawnictwo *Teki* przybrać musiało, formę zbiorowej książki; bo nieogłasza ani programatu, ani prenumeraty, ani oznacza terminu wychodzenia zeszytów. Niewiadać też w pierwszym zeszycie tej jednej, przenikającej całość zasady, i tego koloru, który powleka zazwyczaj prace wypływające z grona pisarzy reprezentujących pewną opinię; skutkiem tego postrzegać się daje rozstrzelenie zasad, wyobrażeń i dążeń — czy dla tego aby otworzyć arenę do starć polemicznych? Nie sądzę, przynajmniej uważam to za niepraktyczność szkodliwą dla pisma, z téj miary iżby niebawem zmieniło się w arsenał polemizujących diatrib, z których czytelnicy daleko mniejby skorzystali, niż syntetycznie podanych artykułów; te bowiem dotykając najróżnorodniejszych przedmiotów tem więcej rzucają na nie światła, im więcej kieruje nimi górujące principium i przekonanie. Światło i siła powinny mieć ognisko rzeczywiste, aby przez pryzmat pisma wylewała się siła i światło. Samo pismo niech będzie wynikiem założenia, a nie środkiem przez który do założenia dojść można. Tak pomyślane i prowadzone pismo miałoby niezaprzeczoną podstawę swego istnienia, albowiem przedstawiałoby nie zbiorowisko indywidualnych widoków i zdań, ale pewną stronę społeczeńskiego organizmu.

Niepodaję tych uwag na potępienie *Teki*; pojmuję bowiem trudności z niepodobieństwami graniczące, zwłaszcza że wielka część pracowników rozrzucona po kraju, ulegając różnym miejscowym wyobrażeniom, nieprzywykła do walk opinii, niepatrząca na ich odbicie się w rzeczywistości, a przeto niewprawna w ocenianie donośności symptomatów i pojawów epoki, niełatwo pojmuje potrzebę ześrodkowania sił duchowych.

Szlachetne usiłowania byle miały początek, znajdując zapewne w dłuższem trwaniu przedsięwzięcia, sposób odpowiedzenia słusznym wymaganiom. Czas odkrywa wiele tajemnic; praktyka więcéj uczy niż najlepsza teoria.

Przypatrzmy się zatem bliżej artykułom w *Tęce Wileńskich* zawartym.

Szereg ich rozpoczyna poezycja.

Kantata: *Franciszek z Assizu* (Assizu) wyszła z pod pióra Syrokomli.

Poeta czerpnął natchnienie z innego źródła jak miał zwyczaj czerpać dotychczas, co nieprzeszkadza żeby go niezamącił wyobrażeniami niemającymi żadnego stosunku ani z wiekiem, ani z świętą osobą, którą wziął sobie za przedmiot do pieśni.

W Ozanam dziele: O poetach franciszkańskich we Włoszech, napotkał nieporównanego wdzięku i prostoty temat: „Pewnego wieczora, mówi legenda, gdy Ś Franciszek wzruszony był aż do łez śpiewem słowika, uczuł się natchnionym do odpowiedzi śpiewem na śpiew, i do „późnej nocy wywodził z nim na przemian chwałę boską. Taż legenda dodaje iż Święty pierwszy ustął, za „co przyznał zwycięstwo ptakowi.“

Tę walkę muzyczną człowieka z ptakiem, przywdział Syrokomla w bogate formy liryczne; ustępy niektóre tchną wdziękiem słodkopłynnym i skromną prostotą. Szczególniej w śpiewie Franciszka w ostatnich wierszach trącił nawet o szczepność.

Kocham Cię Boże, całą istotą!
Tłumne uczucia piersi mi gniotą
Tysiące hymnów szumi w méj głowie;
Lecz niewyspiewam, lecz niewysłowię!
Najwyższa pieśń, gdy w proch się korzę,
Jęcząc ze łzami: kocham Cię Boże!...

Niepodobna było wzniosłej oddać téj walki — człowiek tylko w ten sposób mógł ją przegrać. Wszakże po tryumfalnym dośpiewku słowika, wypadło, zdaniem mojem już skończyć, a niewyprowadzać chóru rycerzy i minstreliów śpiewających pieśni światowe którym Franciszek wtóruje i wielbi cuda swéj ojczyzny rokosznej Italii, mieszając reminiscencye burzliwéj młodości. Słabe to, powszednie i niepotrzebne. Oprócz tego znajduję parę miejsc rażących niezrozumieniem owéj miłości Świętego Franciszka dla stworzeń boskich jak gołąbki, owieczki, pszczołki, kwiatki; on je kochał jako dzieła boże co mu symbolicznie przypominały tajemnice wiary, lub służyły za przykład dla uczniów; on rozumiał ich język, przestawał z niemi rozkazywał im bo zbożony jak Adam przed upadkiem, osiągnął pierwotną władzę nad całą naturą. Należało go zostawić z tem, bo to była rzeczywistość cudu świętości, a nie wkładać mu w usta:

On (Bóg) w chwale majestatu

Założył wszędzie tron:

W słońcach i pyłku kwiatu

Wszędzie On!

Zawsze On!

Niewiem czy Ś. Franciszek mógł pojmować Boga rozlanego w naturze, jak go sobie dzisiejszy panteizm przedstawia; to pewna, że szkoła protestanckich panteistów nieinaczej się wyraża. Błędna ta doktryna szczególnież przez poezję wkrada się nieznacznie i często mimowoli; lecz zawsze jest to pierwszy krok aby i do poważnych rzeczy się przedarła, co już u nas nienowina.

Następny wierszyk Karoliny Proniewskiej: *Trzy promienie ducha* gładkim rymem opiewa trzy niebios córki: poezję, muzykę i malarstwo — materya estetyczna dy-

daktyczna krojem .Deotymy oddana w mowie wiązanej.

Z powieści czytamy *Piastunkę* przez Adama Pługa. Są to „relikwie z pocziwój przeszłości“ jak tytuł twierdzi, ale napisane dla niepocziwój terażniejszości, która jakoś nie może się poznać na tych ekliwo sentymentalnych ideałach w siermięgach i chodakach odgrywających w tej powieści rolę jaką, od wieka wieków odgrywał stan wyższy, wykształcony moralnie i towarzysko, to jest: szlachecki.— W świecie powieściarskim inny teraz obrót i porządek rzeczy nastaje; jest to pora Saturnaliów. Zrabowana i zniszczona ogniem rodzina dzierżawcy doznaje od włościan opieki, a nawet pieniężnej pomocy, gdy tymczasem żaden z obywateli sąsiadów niechce nawet słyszeć o rodzinie dotkniętej nieszczęściem. Co więcej pleniopotent dziedzica wpada po tej katastrofie i domaga się brutalsko raty dzierżawnej u złożonej niemocą dzierżawczyni, grozi wyrzuceniem jej i t. d. . . . Nie przeczę, na świecie różne bywają przypadki i różne trafiają się potwory, więc i podobny wypadek mógł się zapewne przytrafić; ale podając taką osobliwość należało niezamykać się w ogólnikach powieści, tylko wyraźnie napisać gdzie to, komu i jak, zdarzyło się, a wtenczas policzylibyśmy tę awanturę do tych fenomenalnych zjawisk, jak ciele o dwóch głowach, lub wół o jednym oku. Gdy zaś wypadek ten podał p. Pług w formie poetycznej fikcyi przeto niemożemy inaczej przypuszczać, tylko że tak dzieje się w rzeczywistości to jest: że wszyscy chłopci gotowi są do najszczytniejszych poświęceń się gdy idzie o niesienie bliźniemu ratunku; i odwrotnie; że zatwardziałe egoizmem stoczone serce szlachty nie poczuwa się nigdy do żadnego obowiązku względem bliźniego, jeszcze szlacheica i sąsiada.

Kto zestawia z umysłu takie kontrasty, musi koniecznie przyzwolić na powyższą konkluzję. Nieruszałbym nawet tego artykułu p. Pługa, bo niezasługuje ze względu

da sztuki pisania i kompozycji na wziankę— ale spotkawszy się z niedorzeczną tendencją w piśmie tak poważnem jak *Teka* i to obok artykułów wprost przeciwnej dążności, pomyślałem sobie; tak igrać niegodzi się, bo jeżeli czujemy zdrową prawdę, zgodną z duchem i historią narodu, jeżeli mamy przekonanie że jest zbawienna, że ją dzielają umysły wykształcone i obywatelskie, to podobne banialuki służą tylko do podsycania zarozumiałości głów spaczonych, którym się zdaje że niwellacya społeczna jest najdoskonalszą formą człowieczeństwa.

Pociesznie to przechodzić z tych nizin umysłowych z tej *materyi* duchowej do artykułu p. Trentowskiego tryszącego nauką i rozumem, ogarniającego Boga, naturę człowieka i człowieczeństwo. Są to ułamki, snadź większych rozmiarów dzieła, ale ułamki pozwalające sehwycić niektóre ogniwa myśli filozofa. Aby krótkimi słowy wyrazić o co mu idzie, powiem, że mówi o *Rodzinie* i wskazuje jej cele, a te są: odzyskanie raju na ziemi. Od upadku bowiem Adama i Ewy tyle wieków ubiegło, a działanie *grzechu pierworodnego* równie jest silne jak na początku. Człowiek się mnoży, a mnoży jak trawa i piasek, a iluż to odzyskać umiało raj utracony i żyć w błogosławieństwie Bożem, sporządzając wyższe warstwy? Oto ledwo jedna tysięczna część jest tej śmietany— a 999 części znajduje się wciąż za bramami Edenu, i zostaje na stopniu zwierzęcości i tworzy „kwaśne motłochu mleko.“

„Okropny to stan czerni! — mówi autor — leniwa, ciężka, ospała, lubi próżniactwo, a jeżeli nie kij, to żołądek własny zniewala ją do przebrzydłej pracy. Idzie więc do roboty, ale na przekór chęci, a zgrzytając zębami i złorzeczając światu, klnąc zgola samemu Bogu, o którym niema dostatecznej wiedzy i nauki. Nadmiar w jadł i napoju, przesyt zwierzęcy, to zbawienie jej na

ziemi... Cierpiąc głód i pragnienie, patrzeć musi jak inni jedzą, piją, zbytkują. O jakież to piekło dla niej i t. d. Cóż czern?— pyta dalej: Zmysłowość godząca wciąż na zaspokojenie, które wciąż przed nią ucieka; *wielki wyjaw pierwotnego grzechu; złe żywe; dolne i pogardliwe człowieczeństwo ciała*.— Ona, czasów wszech, mianowicie naszych *bolączka najstraszliwsza*."

Trudno zaprzeczyć że czern jest taką jaką ją maluje autor zwłaszcza gdy się wyłamie z karbów odwiecznej organizacyi społecznej, gdy się rozhula i rozbewsi na głos apostołów swoich, których nazwał *przespolecznia-czami* czyli *ludowcami*.

P. Trentowski twierdzi że takie jest usposobienie czerni na zachodzie; ale że u nas nieco odmienne— ale czy lepsze?— jako żywo? — W tym względzie zrobił sobie niepotrzebny skrupuł, bo czern od bieguna do bieguna wszędzie jest jedna i ta sama, odkąd staje się czernią.

Kto tedy poczuje w sobie dostojność człowieczą, *Bożość*, kto chce przestać być dwónożnym bydlęciem, powinien wszystkimi siłami wydobyć się z bagnisk czerni, i dostać się do bram raj, czyli na archanielskich skrydłach wpaść do wyższych warstw społeczeństwa, jak zaś to osiągnąć? oto trzema widomemi potęgami: *Bogactwem, oświatą i władzą*.

Zdaje mi się, że człowiek z natury ma usposobienie piąć się coraz wyżej po stopniach hierarchii społecznej bogacie się, i przewodzić nad drugimi, że w nim podsycać tej namiętności niepotrzeba bo w oóby się obróciła daleko wznioślejsza idea ewangeliczna przyrzekająca ubóstwu przestającemu na skromnym dóbr ziemskich udziale, łatwiejszy przystęp do nieba, niż bogaczom i potentatom świata?

Zresztą ta *Bożoobrazowość* do której p. T. dociągać

nam każe, brzmi dość podejrzenie dla nas przywykłych słyszyć katechizmowe wykłady.

Gdyby Bóg wymagał po nas żebyśmy raj mieli na ziemi, i sami zamienili się w Bogów, niepotrzebnie by nam wskazywał przyszłe życie, i kazał szukać za grobem zbawienia, kiedy możnaby je osiągnąć po tej stronie grobu.

Strona religijnych wyobrażeń p. T. niezmiernie wątpliwiej jest wartości; jakaś w nich mieszanina panteizmu, deizmu, protestantyzmu pociągnięta pokostem wyrażań się używanych w katolickim kościele. Czytając też niektóre wyborne jego pomysły, szczególnie, gdy kresli stan idei społecznych, żal zbiera że jeniálny talent niepoznał się dotąd na prostocie, jasności, wielkości i głębokości najpopularniejszej książki na świecie, wyjąwszy między filozofami — to jest, na katechizmie.

W Berlinie słynał niedawnym czasem znakomity protestancki teolog Dr. Schleiermacher. Zwolennik panteistycznej filozofii Hegla, do tego stopnia umiał pogodzić Chrześcijańskie idee ze swą filozoficzną szkołą, że o nim mówiono powszechnie, jako jest ze wszech miar prawowitym teologiem ewangelickiego wyznania, wyjąwszy tej małej różnicy, że w Boga niewierzy. Od czasu ałoli, jak Strana, również doktor protestanckiej teologii, również heglista, wydał swe osławione dzieło o życiu Jezusa, w którym dowodził, że Jezus nigdy nie żył na świecie i jest tylko *mythem* Boga-człowieka, jak go sobie panteistyczna filozofia wyobraża, — weszło w Niemczech w modę filozofować nibyto po chrześcijańsku — z pojęcia panteistycznego, a zatem ateistycznego; co na jedno wychodzi; albowiem ta dusza światła, to wszechbóstwo jest niczem innem tylko zaprzeczeniem trójosobowego Boga, i postawieniem natomiast człowieka jako najwyższy szczyt wszystkiego, co istnieje.

je; który przeto człowiek w swem wydoskonaleniu staje się Bogiem, a więc *Bogiem-człowiekiem*; staje się synem bożym, gdyż ta dusza, świata w nim się pomaga, rozum i zwierciadło, jak Ojciec w swym synu.

Tak tylko można sobie wytłumaczyć wyrażenie się p. Trentowskiego: *Boga obrazowość*.

Taki *Bóg-człowiek*, choćby nim był sam nieboszczyk Hegel, lub p. T. — zastąpić nam ma Pana naszego Jezusa Chrystusa, któremu, czy tam istniał, czy nie istniał, wolno być w wyobraźni ludów ideałem panteistycznego Boga-człowieka, przynajmniej na tak długo, póki go jakiś najdoskonalszy nowszych czasów zbawiciel zastąpić niezdola...

Zbożajcie — woła ustawnie p. T. *zbożajcie* rodzinę, za pomocą jej członków; *Bożeścią własną utrzymujcie świętą ziemię naszą Bożość!* A zatem podług tej rady musimy się starać zostać Bogami, lub jak przedtem w Chowaniu powiedział: „*Bóstwo in potentia, przemieniać w bóstwo in actu*“. Przez jego filozofię wiedzie droga do tej apoteozy; a „*zbożenie powszechne*“ nazywa „*królestwem Bożem*“ na ziemi.

Tu znowu na pozór bardzo po chrześcijańsku przemawia, że do tego jedyną drogą, wyzwolenie się z grzechu pierworodnego. Ale cóż nazywa grzechem pierworodnym? Oto stan ubóstwa i prostactwa. Kto się więc wydobył z tego stanu pracą i sławą, kto zrobił majątek, przyszedł do władzy, już „*zbożał*“ i zdobył sobie „*niebo*“ na ziemi.

„Praca, cierpienie i śmierć — mówi p. T. — na które ród ludzki był wskazany, stały się też rychło sposobami do odzyskania rajów i drogą do królestwa Bożego na ziemi. Są one albowiem darem Bożym, a „*krynica*“ z niebios, z której wysączają się dla ród ludzkiego, bogactwo, oświata i władza“. — Tak więc

budując na bogactwie, oświacie i władzy odzyskanie raju i królestwo Boże — niech sobie raczy przypomnieć, że dawno przed nim szatan kusząc Chrystusa na puszczy wykładał mu kubek w kubek tę samą teorię, ale jak zmyty poszedł z odprawą. Tak samo, jak mówi p. T. o rodzinie, tak mówi i o małżeństwie. Jedna myśl, jedna dążność tu wytknięta: stworzyć sobie niebo na ziemi. Dla panteisty niema przecież gdzieindziej nieba. Wprawdzie natrąca o *nieśmiertelności*; ale niech nikt niemniema, żeby podtém uznawał nieśmiertelność własnej osoby, to się bowiem odnosi tylko do nieśmiertelności ogółu, to jest rodu ludzkiego, dla którego indywiduum czyli szczegół winien się poświęcać; bo jeśli nie-
zginie, to go czeka niebo, czyli: majątek, sława i władza; a jak zginie, to przepadło! ogół zawsze na tem zyskuje.

Czy się p. T. zdaje, że my tak chciwi jesteśmy tych tam z Wittembergu nowostek, że niemi zaprawiać musi każdy zdrowy, rozumny pomysł, jaki w jego jasno pojmującej głowie się zrodzi? — Czy sądzi, że go bardziej admiirować będziemy, kiedy postawi się w sprzeczności z tem, co Kościół naucza, a my wierzymy? Jeżeli tak jest, to mogę go zaręczyć, że się mocno myli.

Są u nas, jak zwykle między ludźmi: obojętni w materjach religijnych, są racjonalisci, rządzący się tak zwanym zdrowym rozsądkiem, który im wystarcza do potrzeb materyalnych, są duchowce, co uznają niby katolicyzm ale niechęć formy kościoła; są może jakie inne jeszcze odcienia — niewiem; to jednak pewna, że ta doktryna pychy którą pragnie wdmuchać w głowy nasze, nieznajdzie adeptów, choćby nawet prześięgnął samego Adama i zagrzmiął hymnem zaczynającym się apostrofą: „*Bożo-obrazowości!* podaj mi skrzydła!”

Bądź jak bądź kwestye dotknięte w *Tece* przez pana

Trentowskiemu nie są bez wagi, z tej miary, że mogą rozbudzić umysły czujniejsze i światlejsze, do zastanowienia się nad niemi; jest bowiem w nich pewna dzielność, która wstrząsa i ocuca.

Następny artykuł: *Kwestye żywotne* jest tłumaczeniem z rosyjskiego. Artykuł ten napisany przez Mikołaja Pirogowa, traktuje o wychowaniu młodzieży. Przebiegi on elektrycznym pędem całą Rosyę, i niewątpię, że sprawił lub sprawi rewolucyę w systemacie wychowania istniejącego w tej monarchii. — Wiele tam ustępów podlega dyskusyi, a przynajmniej wymagałoby spokojnego rozwinięcia — lecz trzeba pamiętać, że jak burza z piorunami i deszczem potrzebną jest aby odświeżyć omdlewającą, z pragnienia i duszności naturę tak i artykuł ten zatrzęsł całym systematem uorganizowanej ciemnoty, aby młódz wychować do wyższych celów życia.

Kończy zbiór ten monografia *Minika* skreślona piórem W. Syrokomli; następnie wyborna rzecz: o *Zimianach* podług dawnych praw litewskich przez M. Malinowskiego.

Rozprawa ta ma więcej niż literacko-historyczną wartość, bo ocaliła tysiące może rodzin litewskich od smutnej doli. Ś. p. Turkuł mianowany ministrem, sekretarzem stanu królestwa, zasiadał w radzie państwa i był przedstawicielem elementu polskiego. Przy urządzeniu nowych stosunków społecznych, musiano w tej radzie, na każdym kroku zapytywać przeszłości i jeden tylko Turkuł chciał i umiał odpowiadać prawdziwie i dowodnie. Wtenczas to z ogromnemi trudnościami musieli walczyć potomkowie sztabsoficierów, urzędników ziemskich nieobowiązkowych i wóznych, w osiągnięciu służących sobie praw do szlachectwa. Turkuł wsparty rozprawą Malinowskiego i innych uczonych, wyjaśnił prawdziwe znaczenie uchwalonych w tym przedmiocie

ustaw — i rodowość ich utrzymał, przez co stał się dobroczyńcą ogromnej liczby osób.

Z taką pomocą piór jak p. Malinowskiego, Balińskiego, Odyńca, Syrokomli, Kirkora itd. *Tęka* może się wyrobić na doskonały organ swojej prowincyi; czego jej z serca życzę.

LUCYAN SIEMIŃSKI.

DRUGI OBIEG BŁĘDNEGO KOŁA.

Chwila, w której przed dwoma laty otwierał się szereg studyów politycznych w tém piśmie, zdawała się zapowiadać nową w polityce erę. Do teoretycznej idei państwa zastosowano systemat polityczny, wspólności sąsąd i solidarności interesów; do wykonania tego systematu zaprowadzono narzędzie praktyczne konferencyj, a wszystko to zapisano mniej więcej szczegółowo, mniej więcej wyraźnie w traktacie paryzkim z d. 30go marca, który miał odtąd być podstawą prawa publicznego.

Studyów więc niniejszych, przeznaczonych do obrazowania każdorazowej chwili sytuacyjnej, główném było zadaniem, śledzić następstwa owego nowo ogłoszonego systematu, jego pochod i zbliżanie się do celu. W tym pochodzie ważniejsze skutki systematu, aniżeli wypadki od niego częstokroć niezależne. Wypadki mogły dawać przedmiot do studyów; treścią ich powinno było być

działanie systematu, usiłującego utrwalić pokój w Europie i zaprowadzić nie tylko równowagę ale doskonałą harmonię między wszystkimi państwami.

Jak w usiłowaniach systematu politycznego musiał być pewien loiczny związek, tak też i w studyach śledzących kierunek jego pochodzenia, musiała być pewna konsekwencja, tém łatwiejsza do zachowania, że w rozmowaniach praktyka nie stoi na zawadzie teorii. Złożyły one w roku przeszłym jakby łańcuch ogniw tworzących całość, przedstawioną pod napisem: *Błądne Koło*. Podobny obraz i tego roku przedstawić wypada.

I.

Rok 1857 otworzyły *Drugie Konferencje*. Ktokolwiek przypatrywał się pilnie pierwszym, domyślał się, że będą drugie, trzecie i tak dalej. Domyśl zamienił się w pewność przy konferencyach, w sprawie granicy Besarabskiej, czyli Bułgaru i Wyspy Węzowej. Było tu uznanie potrzeby ciągłego kongresu, nieustającego trybunału dla spraw europejskich. Bez konferencji wojna tylko sprawę Bułgaru rozstrzygnąć mogła. Cecha drugich główna ta sama co pierwszych: zasadą idea państwa celem zadowolenie wszelkich interesów. Niema mowy o żadnem prawie. Ten sam sposób wykonania: program z góry ułożony i punkta spisane, na które się gabinety naprzód zgodziły. Konferencje drugie orzekają jednomyślnie; nikt więc nie ustępuje, bo inaczej solidarność niepodobna. Złożone są z reprezentantów tych samych mocarstw co pierwsze, ale nie już umyślnie zestawionych,

jakby na dowód że tylko wypełniają mandat pierwszych konferencyj, a protokół drugich konferencyj jest tylko dodatkiem do traktatu spisanego przez pierwsze. Ale dodatek zmienia tryb artykuły traktatu, otóż najważniejsze, a nader niebezpieczne następstwo drugiej konferencyj. Trwają one bardzo krótko, towarzyszą im pewne oznaki uległości i przypadkowości, jakby wyniki zdarczenia lub przymusu, brakuje im na samodzielności pierwszych. Wrażają przekonanie, że odtąd żaden, chociażby najmniejszy wypadek, spór, wątpliwość nawet, dotycząca się traktatu paryzkiego, a zatem uznana za europejską, bez konferencyj obejść się nie zdoła; że łatwo użytém być może narzędzie do załatwienia sporów i utrzymania pokoju europejskiego w dzisiejszym systemie służące. Słowem, konferencye drugie przywróciły spokójność, ale jedynie chwilowo. Były tylko równoważeniem równowagi.

II.

Sprawa Neuchâtelska wymagała także konferencyj, ale na inném podstawie, bo tu nie szło o same czyny, tu występowały *Fakt i Præto*. Sprawa ta nieodnosi się do traktatu paryzkiego, ale niemniej była za europejską uznaną w Londynie w r. 1852. Konferencya w ówczas zapisała w protokóle, „że żaden fakt prawa nie weryficy nie może“. Była więc strona prawna. w tej sprawie, i konferencye uwzględnić ją musiały. Szło o to, co było faktem, a co prawem. Fakt z r. 1848 zasłaniał światło. Prawem była narodowość szwajcarska, ukryta pod fałszywą zasłoną faktu rewolucyjnego. Akcyona bardzo prawdziwe protokół londyński, stosowało się

całkiem gdzieindziej, aniżeli tam, gdzie zapisane było, i na czyją korzyść je wyrzeczono. Trudność była nie do zwalczenia, bez zrzeczenia się praw korony pruskiej. Spokojność Europy otrzymała tę ofiarę: prawa narodowości uznane zostały. Kwestya ta była niejako spuścizną dawnego systematu politycznego, bo żaden nie mija bez pewnych pozostałości, pewnego testamentu, kodycyllów, którym następny od razu zadość uczynić nie jest w stanie.

III.

Jeszcze jedna Kwestya, należąca do liczby takich właśnie kodycyllów, trąca o dzisiejszy systemat polityczny i nowe konferencye wywoływać się zdaje. Sprawa duńsko-niemiecka jest z rzędu kwestyj powstałych z owych położzeń niektórych krajów lub prowincyj mających odrębne prawa i przywileje wcielonych do składu państw całkiem sobie narodowością obcych. Położenia te mieszane, bardzo naturalne w dawnym systemacie, w obec idei państwa, są anormalne. Sprawa Danii i Holsztynu ma analogię widoczną ze sprawą neufchatelską, ma ją także ze sprawą reorganizacyi Księstw naddunajskich. Chodzi o prawa różnych prowincyj będących pod obcym berłem. Lecz sprawa duńsko-niemiecka nie została dotąd uznana za sprawę europejską. Jest jeszcze sprawą niemiecką, i w moc tego powołano ją przed Bundestag. Nie ma mowy o narodowości w tej sprawie, ale o rasie. Tego dowodzi trybunał Bundestagu. Ta nowa trudność dla konferencyj, gdyby kiedyś zwołane być dla niej miały, jest tą samą, która w gruncie przeszkadza załatwieniu kwestyi Księstw naddunajskich. W tém ró-

wniez trudność dla Bundestagu. Jak załatwić spór Danii z Holsztynem i Lauenburgiem, czyli rasy skandynawskiej z niemiecką na zasadzie idei państwa, do której się odwołuje Dania, a której zaprzeczać nie mogą Niemcy, czyli Austria i Prusy? Miałaby owa kwestya ras, miałożby jój urzeczywistnienie, usunąć anomalie praktyczne w zastosowaniu idei państwa? Systemat państw oparty na rasach, byłżeby ostatniem słowem idei państwa, przeprowadzony w społeczeństwie i polityce?..

IV.

Zanim atoli przyszłość poda odpowiedź na powyższe pytania, powstające z różnych i drobnych, ale zawsze ważnych symptomatów, systemat teraźniejszy wymagać się zdaje, aby wszystkie mocarstwa do niego należące, połączone były w pewną harmonię, przynajmniej co do formy politycznej zewnętrznej, to jest, aby każde z nich było państwem. W Anglii też widzimy *Państwo* i *Self-government*. Jest ona państwem na zewnątrz, to jest w polityce zewnętrznej, wewnątrz posiada jeszcze *self-government*. Anomalię tę, między formą społeczności angielskiej, a kierunkiem jój polityki zewnętrznej, wydobyły na jaw szczególnież wybory w r. 1857 do nowego parlamentu. Okazało się parcie idei państwa na społeczność angielską, bo idea państwa nie jest tylko idea polityczną ale idea społeczną. Arystokracja zastępując w Anglii biurokracyę, zasłoniła ją dotąd przed kwestją społeczną, zdaje się atoli, że jój nadal zasłonić nie zdoła. Czy Anglia potrafi się obejść bez biurokracyi? otóż cała kwestya społeczna w Anglii. Biurokracya to ruina *selfgovernmentu*, podwaliny gmachu państwa. Wybory

wypadły na korzyść centralizacyi. Stronnictwo liberalne zyskało, konserwatorowie przegrali. O torysach, i whigach niema mowy. Jedno stronnictwo wstrzymuje zmiany czyli reformę elektorálną, parlamentarną, która jest drogą do obalenia arystokracji i kościoła anglikańskiego; drugie żąda reformy, wzmacnia się, postępuje ciągle chociaż nie używa rewolucyjnych środków: Upadną w końcu instytucye self-governmentu; bo instytucye choćby najlepsze, są dla ludzi; a stosunki społeczne w Anglii, zmieniły się już bardzo i ciągle się zmieniają. Ze zmianą instytucyi, zniknie, powyższa anomalia. Anglia zostanie państwem.

V.

Lecz jeżeli zmiany widoczne są w Anglii, to w Rosyi są *Zmiany konieczne*. Nikt nie wątpił i dotąd nie wątpi, że zmiany w Rosyi nastąpić muszą. Są chwile w dziejach każdego kraju, gdzie się one stają nieuchronnemi. Taką chwilą dla Francyi w wieku przeszłym była śmierć Ludwika XIV. Taką chwilą dla Rosyi, z zastrzeżeniem różnicy co do epoki, kraju i osób, śmierć cesarza Mikołaja. Osobistość tego monarchy zdołała jedynie utrzymywać dwoistą politykę, zastosowaną do cywilizacyi europejskiej na zewnątrz, nieruchomą na wewnątrz. W ostatnich latach nawet jego panowania przekonała się Rosya, że przy owój nieruchomości wewnętrznej, pomimo największych ofiar w walce z cywilizacją nowoczesną, uzbrojoną we wszystkie środki, jakich jej ostatnie pół wieku dostarczyło, nie podola. Nie dość Rosyi być państwem na zewnątrz, aby potęgę swą utrzymać lub powiększać. Musi się ona wewnątrz prze-

istoczyć. Rozprężenie jest powszechne; to poprzedza zwykle reformy tam, gdzie niemi potężna ręka nie kieruje, gdzie są konieczne. Idą naprzód reformy materialne; zapowiedziano koleje żelazne. Za niemi pójdą inne nierównie ważniejsze, społeczne. To kolej nieuchronna. Zresztą zapowiedziała Rosya te reformy cywilizacyjne na kongresie paryzkim. Jest obawa w Europie, aby niebyły zbyt olbrzymie, aby nienastąpiły zbyt gwałtownie, niesprowadziły wstrząśnienia. Lecz nim zaczęto domagać się zmian od Rosyi i do nich dopomagać, wypadło się obliczyć z następstwami. Dzisiejsze obawy są po niewczasie. Każdy dzień, każdy ruch w Rosyi zapowiada zmiany, inaczej być niemoże.

VI.

Ruch znowu wewnątrz Francyi całkiem inne miało znaczenie. Dowodem tego były ostatnie wybory do ciała prawodawczego. Jak wybory w Anglii wykazały anomalję między państwem a self-government w polityce angielskiej, tak wybory we Francyi wyświeciły, że *Państwo i Opozycja* istnieć obok siebie niemogą. Francya pod rządem cesarza Napoleona III nie tylko jest państwem w Europie w politycznym znaczeniu tego wyrazu, ale nadto jest państwem w Europie urządzonem ze wszystkich państw najściślej według teoryi idei państwa. Może pod tym względem służyć za przykład i służyć za takowy. Rozczłonkowanie na indywidua i niwelacja najdalej tam postąpiła, bo kraj jest jednolity i ma wybory powszechne. Próba więc parlamentaryzmu w państwie, czyli wprowadzenia w jego organizm opozycji legalnej nie udała się wcale. Państwo nie przypuszcza

strennietw: widni w nich tylko garstkę indywiduów. Nie przypuszcza różnicy zasad, bo będąc najwyższą formą społeczną, dyskusyi nad formą rządu dozwolić nie może. Nie przypuszcza odrębnych interesów, bo je wszystkie ogarnia i absorbuje. W państwie opozycja mogłaby tylko być społeczną, a wtedy przestałaby być opozycją.

VII.

Z tego atoli, że wszystkie kwestye przybierają dzisiaj cechę społeczną, że każdy ruch zwłaszcza w Anglii i Francyi wpada w tę kolój, nie wynika jeszcze, aby każde postępowanie innego państwa a zwłaszcza Rosyi miało już być reformą społeczną. Tém więkzem jest złudzeniem stawiać ją za wzór do naśladowania na tej drodze. *Rosya i Kwestye społeczne* to bezwątpienia jedno z najważniejszych zadań europejskich w XIX wieku, ale rozwinięcie się tych kwestyj w Rosyi jeszcze nie nastąpiło. Tam dopiero pękają lody, spłynąć one muszą, zanim ruszą reformy społeczne. Stąd, że Rosya wydała nową taryfę handlową, nie trzeba jeszcze wnosić aby już była na szczycie systematu wolnego handlu. Buduje koleje żelazne ale niema w niej jeszcze ruchu odpowiedniego do tego przedsięwzięcia. Rozpuściła wiele wojska, ale zapominać nie trzeba, że wiele wojska rosyjskiego istnieje tylko na papierze. To wszystko przygotowawcze dopiero dzieła do kwestyj społecznych. Urządzenie stosunków włościańskich, o którym tyle mowy, to dopiero kwestya społeczna. Dość spojrzeć, aby się przekonać, jak postępuje zwolna, na ile natrafia trudności. Niewiadomo dotąd, czyli jest i o ile jest myślą rządu. Owa gmina rosyjska, która miała ją ułatwić, wy-

daje się być jedną trudnością więcej, jeżeli nie niebezpieczeństwem. Stosunek włościański w Rosyi jest tak rozliczny, że go pierwój rozgatkować, określić i ocenić wypada. Stosunek włościański w Królestwie Polskiem jest całkiem różny, a oczyszczowanie tam włościan, nie może wcale służyć za normę dla państwa rosyjskiego. W Królestwie Polskiem zresztą jest kodeks Napoleona. Łatwiej zastosować organizację do prawodawstwa, jak prawodawstwo do organizacji. Usamowolnienie włościan w Rosyi byłoby wyższą organizacją, aniżeli ją swód rosyjski pojmuję. Jakże daleką drogę musi przebiec jeszcze Rosya, zanim stanie w téj harmonii cywilizacyjnej, jakiej po niej oczekuje Europa, jakiej nawet ma prawo wymagać po państwie należącym do systematu politycznego wspólności zasad i solidarności interesów.

VIII.

Do tegoż systematu należy jeszcze inne *Państwo Dwa-licowe*, to jest Turcya, państwo muzułmańskie, oparte na Koranie, i państwo europejskie na mocy kongresu paryżskiego. Obie cechy zachować Turcya musi, aby się w Europie utrzymać. Zrzekając się Koranu, traci podstawę rzeczywistą swego bytu w Europie, usuwając się przed reformami, jakich się po niej systemat państw do którego została przyjętą domaga, traci podstawę polityczną. To też polityka turecka, to jakby skoczek na linie, z drążkiem w ręku, u którego na jednym końcu widać fez, a u drugiego pióro, którem Ali pasza podpisał traktat paryżki. Sultán wyprawia muzułmańskie festyny na obrządek obrzezania swego syna, i przyjmuje

na nich Siostro Miłosierdzia; z jednej strony wrzeszczą i wirują derwisze, z drugiej dyplomaci rozprawiają o sprawie księstw Naddunajskich; tu znieważają Turcy omentarze i kościoły chrześcijańskie, tam obraduje rada nad hattihumajonem; w Londynie rachują piastry przesłane przez Sultana na korzyść poległych Anglików w Bengalu, w Indjach Nena Saib ogłasza jedną po drugiej odezwę, opierając się na współozaciu Sultana dla sprawy muzułmańskiej. Nigdzie anomalia nie jest widoczniejszą, wyraźniejszą. W obec niej przeobrażenie nastąpić nie może jak tylko siłą rzeczy i czasu. Reformy ogłoszone niewchodzą w życie, tylko fałszywą drogą. Kłam ciągły z jednej lub drugiej z strony. Cywilizacya postępuje, bo postępować musi, ale idzie o własnej sile, i prowadzi Turcyę do zguby. Dostarcza jej chwilowych korzyści; wzmacnia jej prawa polityczne, zaprowadza centralizacyę, niszczy swobody muzułmańskie, obala przywileje, ale w końcu zawsze osłabia i wiedzie do zguby. Stanowisko podwójne Turcyi, niejest bynajmniej rozwiązaniem kwestyi Wschodniej. Jest tylko nową jej koleją. Kwestya ta wystąpić jeszcze może zanim traktat paryski wykonany zostanie.

IX.

Nie na samą wszakże Turcyi ogranicza się kwestya Wschodnia. Toczy się ona nietylko nad brzegami Bosforu, ale i w Persyi, gdzie antagonizm Rosyi i Anglii niebezpiecznego dostarcza téj kwestyi żywiołu; ale i w Chinach, gdzie spór rozpoczęty bardzo łatwo ogromne przybrać może rozmiary; ale i w Indjach, gdzie krew od sześciu miesięcy leje się strumieniem. Wszędzie tam

ruch wschodni i walka. W walce téj dziś jak od wieków, zawsze po jednej stronie chrześcjanizm, po drugiej barbarzyństwo. Zapomniała tego, a raczej uznać nie chciała Anglia w Indjach. Walka, jaką tam staczają *Państwo i Kolonie* nosi na sobie cechę walki siły uorganizowanej z barbarzyńską. Anglia chciała w Indjach założyć państwo bez chrześcijańskiej podstawy. Obrzła za sztandar jakąś fałszywą cywilizację, pokrywającą tylko własny interes. Chrystyanizm tylko zdobyć wytłumaczyć może, inaczej niema ona prawnej podstawy, jest tylko siłą, przemocą, tyranią. W powstaniu indyjskiem, Anglia srogą odbiera karę za swoją pychę, zaślepienie i chciwość. Kara tém sroższa, że nie skończy się na ofiarach. Anglia może napowrót ujarzmić Indye, ale wielkie pytanie, czy je zachować pótrafi. W każdym razie cios odebrany przez tę katastrofę odbije się w potęgę angielskiej. Rozczarowanie Europy nad siłą Anglii już nastąpiło. Trudno jój będzie powrócić do dawnej przewagi, zwłaszcza, jeżeli przekop Suezu dojdzie do skutku. Trudniej jeszcze, prawie niepodobna, aby wypadki indyjskie nie odbiły się na wewnątrz Anglii. Upadła Kompania indyjska. Cała siła i przewaga téj instytucyi przechodzi w ręce Korony. Rozporządzać będzie urzędami, powiększyć musi wojsko. Władza się centralizuje, arystokracja słabnie, reforma parlamentarna się wzmacnia; wszystko rokuje coraz bliższy upadek self-governmentu w Anglii, coraz bliższe przeobrażenie się w państwo. Jakież stanowisko zajmie tak przeobrażona Anglia w dzisiejszym systemacie politycznym? Jakież stosunek będzie do nowój Anglii mocarstw innych w systemacie tym głównych czynników?

X.

Decyć byłoby powyższego pytania, które się bardzo naturalnie w obec wątpliwego wypadku powstania indyjskiego nasuwało, aby wytlómaczyć cały rozgłos, jaki miały w świecie politycznym ostatnie *Zjazdy Monarchów i Opinii Europejskiej* o nich domysły: Tem więcej zwracali one powszechną uwagę, że w systemacie dzisiejszym solidarności państw przymierza mogą być tylko porozumieniem się, czy tę lub ową kwestyę uważać za europejską. Ileż to kwestyj bieżących? ile interesów krzyżujących się z sobą, jeżeli nie całkiem między sobą sprzecznych?... Wszystkie wszakże domysły i wnioski które zresztą doskonale wyjaśnione nie zostały, opinia europejska zlała w jedną pewność, którą bardzo dobitnie wyraziła, przypisując Zjazdom znaczenie pokojowe. Bo główna dziś obawa w społeczności europejskiej jest przed wszelką zmianą *statu quo*. Nie jest to dowodem optymizmu, ale słabości spowodowanej właśnie tą ciągłą obawą zmiany. Pokój jest dla niej narzędziem tej nieruchomości upragnionej, a systemat solidarności rękojmią przeciw zmianom, a raczej sporom, któreby wojnę wywołać mogły.

XI.

Zachodzi jednakowoż wielka wątpliwość, czy opinia europejska zdaje sobie sprawę jak należy, czém jest ów systemat solidarności, o którym już tyle napisano? czy nie łudzi się dobrowolnie, widząc w nim jedną trudność więcej do zerwania pokoju, i nieprzypisuje całej Euro-

pie tego co jest tylko wyłączną wielkich mocarstw własnością? czy nie widzi systematu politycznego tam, gdzie jest tylko siła w nową formę przybrana? Nie wszystkie państwa należą do tego systemu. Nie wszystkie go usnają. Niektóre mu się opierają. W kwestyach, w których systemat ten się objawia, lubo na pozór młkt nie ustępuje, zawsze jednak w gruncie ktoś ulegać musi. Przymus jest w imie interesu europejskiego, ale zawsze nie silniejszy lecz słabszy ulega. Pomimo sztucznej formy, systemat solidarności jest tylko zasłoną, pod którą akrywa się *Oligarchia polityczna*. Czyżet interesar występują, a raczej wążą się przy każdym sporze? czy stron między którymi toczy się sprawa? Najważniejszą zawsze kwestyą w każdej sprawie, jest interes pięciu wielkich mocarstw. Od tych interesów zawisł wypadek ostateczny, czyli obrót sprawy i zastosowanie systemu. Można by go więc słusznie nazwać pentarchią europejską.

XII.

Z przeglądu powyższych krótko zebranych skasówek ruchu politycznego w bieżącym roku, a opartych na ogłoszonym w traktacie paryzkim systemacie solidarności, pokazuje się widocznie, że niedoszedł on jeszcze do celu jaki zamierzył, do stałego utrwalenia pokoju i zabezpieczenia interesów europejskich. Postępował tą samą drogą co w roku przeszłym, opierał się na tych samych zasadach, używał tych samych środków, trudnił się temi samemi kwestyami, ale nie łatwém do odgadnięcia byłoby zadanie: czy i jak wiele zbliżył się do celu? ... Każda sprawa wzbudza niepokój w Europie, bo staje na pograniczu wojny. Sprawa Bołgradzka spro-

wadziła flotę angielską na Morze Czarne, a była chwila w sprawie Księstw Naddunajskich, gdzie trzeba było wizyty monarchów, aby usunąć wróżbę wojny powiewającą w miejscu zwiniętych pawilonów w Stambule.... Godném jest uwagi, że rozwiązana rzeczywiście i ostatecznie została tylko jedna kwestya, sprawa neufchatelska, ta właśnie, w której naturą rzeczy zmuszony systemat przyjął prawa a nie faktu. Wszystkie inne sprawy czekają rozwiązania. Drugie konfereneye miały ukończyć sprawę granicy besarabskiej, ale gdy się zebrałi w przeszłym miesiącu reprezentanci mocarstw dla podpisania ratyfikowanego aktu, podpisać go niemogli z powodów dotąd nieznanых... Rozgraniczenie Turcyi od Rosyi w Azyi, podpisane jak zapewniają w Stambule, czekać będzie zapewne na ratyfikacyę..... Rosya po stronie azyatyckiej Morza Czarnego trzy tylko wolne porty ogłasza, co się sprzeciwia uznanej zasadzie neutralizacyi Morza Czarnego, i dotąd negocyacye się toczą o ten jeden z najważniejszych punktów traktatu paryzkiego... Wolność żeglugi na Dunaju natrafia na trudności, a niewdając się zkąd one pochodzą, dość na tém, że nowy punkt traktatu paryzkiego niewykonany, i komisye *ad hoc* prac swych niewykończyły. Cóż dopiero powiedzieć o kwestyi Księstw naddunajskich, o tym prawdziwym labiryncie do wyjścia z którego dyplomacya jeszcze jak się zdaje nie znalazła nici Aryadny... Hattihumajon leży odlogiem, i niema wcale widoków, aby miał być w bliskim czasie uprawiany... Otóż i cały traktat paryzki niewykonany, i możnaby wątpić, czy wykonanym kiedy zostanie, gdyby drugie konfereneye nie były dały przykładu, że można w nim zmieniać artykuły. To ułatwi niezawodnie jego wykonanie, ależ któż przewidzieć zdoła, jaki będzie ostateczny wypadek... Inne kwestye nietyczące się wprost traktatu, bezpośrednio więc tylko systemat solidarności

obchodzące, wszystkie w zawieszeniu. Sprawa duńsko-niemiecka przed Bundestagiem — zerwanie stosunków dyplomatycznych między Neapolem a Francją i Anglią, jako też między Austrią a Piemontem, nie posunęło się o ile wiadomo ani kroku ku zgodzie lub wojnie... Nakoniec systemat solidarności i przywiązane doń sposoby polityczne tak ważne jak zjazdy monarsze i konferencye, nie zdołały ochronić Europy i zabezpieczyć jej interesów od ciosu, jaki jej przysłała Ameryka w kryzys finansowej... Nie jest że to wszystko *Drugi obieg błędnego Koła?*

Przeciąg jednego roku nie jest żadną epoką polityczną. Ale dziwném zrządzeniem trafu, rok 1856 i rok 1857 mają uderzającą polityczną analogię usprawiedliwiającą napis użyty na czele tej pracy. Rok 1856 otworzyły pierwsze konferencye paryżkie — skończył się on oczekiwaniem długich konferencyj w sprawie Belgradu i Wyspy Węzowej. Rok 1857 rozpoczęły drugie konferencye, a kończy się zapowieścią trzecich, w sprawie księstw Naddunajskich.

MAURYCJ MANN.

KRONIKA.

Kraków w grudniu.

Miesiąc temu ważyły się losy przyszłe niniejszego czasopisma. Głosy pełne życzliwości, przemawiające publicznie i prywatnie za jego nadal utrzymaniem, wielką za prawdę dla wydawnictwa były pociechą w doznanych stratach *materyalnych* w ciągu dwuletniego jego istnienia; pełne zaś otuchy i nadziei, niemalym stały się *moralnym* bodźcem i zachętą do przedłużenia bytu jego. Otwartość, z jaką wydawnictwo uczyniło zależnem wydawanie pisma od dostatecznej liczby oświadczeń przyszłorocznych abonentów, dozwoliłaby tu powiedzieć, że liczba ta nie jest jeszcze tak wysoka, aby wyłącznie mogła stanowić *materyalną* podstawę *Dodatku* w ciągu roku 1858. A cóż mówić jeszcze o dalszych latach? Czyż z końcem roku przyszłego przyjdzie na nowo powtórzyć te prawie natrętne wezwania, mogące się zdawać jakoby zebranią o nowe 10 reńskich? Bo wiemy, że dla wielu jeszcze osób w kraju naszym, wezwanie do przedpłaty na czasopisma, takie ma znaczenie, jakby wyciągano do nich rękę o jałmużnę. W tem przekonaniu poczytują się oni za dobroczyńców i mecenasów piśmiennictwa ojczystego. A prze-

cież ta książka która im się daje w zamian za pieniądze abonamentowe, więcej kosztuje niżeli cały abonament razem wzięty. Autorska praca, noce ślęceń i nauki, zapal natchnienia i siła twórcza nie rodzą złotych owoców na naszej jałowej ziemi. Ten szczupły poczet ludzi w kraju, żyjących z pióra, gdyby tę swoją pracę, naukę, zapal i wytrwałość zwrócił był do roli, kupiectwa lub rzemiosła, mógłby przynajmniej mieć nadzieję zapewnienia sobie starości bez troski i niegłodnej. Aż tu oto pierwszy mistrz pióra i pierwszy gieniusz swojego wieku umarł w ubóstwie, i musiano przez dwa lata żebrać dla dzieci jego, by je było za co wychować i za młodu na żebraczkę niepuścić.

Stosunek jaki zachodzi między liczbą mieszkańców a liczbą książek rozchodzących się po kraju, usprawiedliwia Kronikarza krakowskiego, że nie zwykł zbaczać w swoich miesięcznych sprawozdaniach niewydeptaną jeszcze ścieżką na bezdroża umysłowego życia. Znalazłby tam wprawdzie kilku pracowników wiodących żywot cichy i odludny. Nie dostatki i sława, ale miłość wiedzy i nauki zawiodła ich w te pustynie, gdzie wyrzekli się uciech życia i zaszczytów tego świata. Niekiedy wyciągają ich ztamtąd gwałtem, sadzają wśród salonu na kanapie, żeby się pochlubić przed obcemi, iż się ceni nauki i uczonych, że się ich przypuszcza do równouprawnienia salonowego i za panbrat z nimi się żyje, tak jak to modą jest gdzieindziej. W sferach tych bowiem roszczą sobie prawo do wykształcenia, a przeto literatura bywa tam niekiedy przekąską przy herbach; ustępuje jednak zawsze miejsca zaostrożonej skandalu ciekawości, która w braku własnych przedmiotów, na szczęście tak rzadko się nastrecających, szuka ich w *Gazette des Tribunaux*.

W innych sferach, książka rzadkim bywa gościem; długie jednak wieczory zimowe nakazują szukać w niej niekiedy rozrywki. Mieszczanin czystej krwi nie posiada w swojej bibliotece innych książek prócz ksiągki do nabożeństwa i kalendarza. Córka jego wprawdzie, między pensją a zamażpójściem uzupełnia edukację swoją i do późniejszego stanu sposobi się na przekładach romansów dumasowych, które w wypożyczalni

książek niechętnie przymiemy. Francuzczyzna z pensyi niewystarcza jej jeszcze, aby czytać w oryginale.

Są jeszcze innego rodzaju czytelnicy, począwszy od studenta, oo pod ławką w czasie lekcyi kształci umysł i serca na Pawle Koku, aż do prototypu Marszałka w „Chaise“ Syrokomli, który bierze książkę do ręki, żeby łatwiej nad nią usnąć. Młodzież wyszedłszy ze szkoły przesiada się natychmiast z ławki szkolnej do zielonego stolika, gdzie europejska kryzys finansowa najpospolitsze znajduje zwykła zastosowanie swoje.

Namiętność gry opanowała wszystkie klasy: a kiedyż właściwiej o niej mówić, jak wśród zimy? Nie tyle może jednak przynoszą szkody społeczeństwu gry hazardowe, ile tak zwane komercyjne. Czy kto strwoni majątek tym lub innym sposobem, czy go przegra w karty, przehula, przeje i przepije, to mała różnica; ale gra komercyjna, na zimno, bez wzbudzania namiętności, odzwyczają od poważniejszych zajęć, oducza myśleć, a ze wszystkich zabaw towarzyskich najwięcej odkrada czasu pracy. Zamiast zaostrzać dowcip jak niejedna zabawa, przytępia ona umysł i wprawia go do mechanicznego tylko działania w ograniczonym zakresie pewnych swoich kombinacyj. Gra komercyjna zabija życie towarzyskie, ujednostajnia najsprzeczniejsze nawet indywidualności, które w każdym innym razie przez ścieranie się z sobą wydobywałyby, fizycznie mówiąc, ciepło i elektryczność, to jest budziły życie; zniżyła umysły podniosłejsze a nie podniosła wyższych; zrównała wiek, pozbawiając starość powagi, a młodości odbierając lekkość i swobodę; wykluczyła z koła społeczeńskiego kobietę i pozbawiła towarzystwo jej wpływu, bądź co bądź zawsze uzacniającego, choćby nie był spotęgowany nadzwyczajnemi przymiotami umysłu i serca. Gra w karty skazała wreszcie ludzi na milczenie, ograniczając całą ich rozmowę do pewnych tylko terminów, a nawet milczenie jest w grze największą pochwałą. Ztąd też rozwinęła się ona i upowszechniła szczególnie tam, gdzie najsurowsza panuje cenzura na myśl, mowę i pismo; tam wreszcie gdzie płytkość wykształcenia każe unikać wszelkiego poważniejszego zajęcia, a powierzehowna ogląda obstoi za wewnętrzną wartość. Gra w karty podkopała życie familijne; bo jakaż rola

kobiety i żony za krzesłem grającego męża? Musi ona szukać dla siebie oddzielnego towarzystwa lub osamotniona czuć się opuszczoną.

Gra w karty po całodziennem znużeniu umysłowem może być uważana jako wypoczynek po pracy, bo zwracając w przedmiot obojętny całą uwagę, uwalnia od myślenia i nietrudzi. Ale kiedy się staje zatrudnieniem nieustrudzonego umysłu, wtedy pozbawia go ostatniej sposobności ćwiczenia się, jaką mu nastreczyć może obcowanie z ludźmi.

Wprawdzie wielka to trudność spędzić w Krakowie grudniowy wieczór inaczej jak przy kartach, chyba gdyby się go spędzić chciało w cizy domowego zakątka. Żeby jednak na chwilę myśli oderwać od kłopotów i trosk dniowych, na to nie znajdzie miejsca chyba przy zielonym stoliku. Szczególniej klasa średnia przeznaczona jest na to odosobnienie, a o niej zawsze i przedewszystkiem mówić wypada, bo ona stanowi główne jądro miasta, nie zaś owe kilka lub kilkanaście domów skupiających w sobie życie wielkiego świata, dla których Kraków jest tylko stacją podrózną, zimowem letem, dla których zresztą miejsce, czas i przestrzeń nikną: bo jako kosmopolici w każdym miejscu znajdują swoich; jako pracujący nie z musu, wolni są od wyznawania aksjomatu „*times is money*“; a bez obowiązków, coby ich przykuwały do progu domowego, przebiegać mogą świat wszerek i wdłuż. Owóż dla mieszczan, tej najliczniejszej klasy mieszkańców miasta, nie masz towarzystwa, bo nie masz jeszcze u nas społeczności miejskiej. Albo więc mieszczenie ciska się do pańskich przedpokoi gdzie wolą być ostatnimi niż pierwszymi u siebie, albo przyjmawszy obyczaj cudzoziemski, w kawiarniach i knajpach szukają wytchnienia i rozrywki, albo wreszcie prowadzą żywot odosobniony, w którym egoizm i hypokondrya, owe niepolskie choroby, prosperują jak najłepiej w cieple zamkniętego szczelnie pokoju.

Pod wpływem tych okoliczności życie kawiarniane coraz się więcej u nas rozwija. Dawnemi czasy to tylko zwało się w Krakowie kawiarnią, gdzie kawy można było dostać. Dziś kawiarnie zakładane na sposób, jeżeli nie paryżki, to przynajmniej na wzór wiedeński, coraz zwiększają swoje lokale i nabierają okazałości, okaza-

łóci w porównaniu z dawnemi izbami kawiarnianemi. Znajduje się tam i kilka gazet i bilard i stolik do gry i twarze znajome, znajduje się wszystko, co może zastąpić towarzystwo, i nikt tam niepyta, co zacząć; a lubo w tych przypadkowych zebraniach nie może panować swoboda towarzystwa przyjacielskiego, panuje jednak swoboda konwencyonalności.

Kawiarnie tego rodzaju w Krakowie, to całę nowy nabytek europejski, jeden krok więcej na drodze cywilizacyi. Nie wyniknął on jednak z miejscowej potrzeby, ale wprowadzony tu został gotowo przez wojskowych i urzędników, dla których niebyło dawniej wygodnych i przystoitych miejsc schadzki. Odtąd znacznie się one rozwinęły, a mieszczenie tutejsi powoli zaczynają smakować w tego rodzaju wieczornych zebraniach.

W ogóle powierzchowna, zewnętrzna postać Krakowa z każdym rokiem nabiera coraz więcej cechy miast zagranicznych. Słuszna, aby przy zamknięciu roku coś o tém wspomnieć. Sklepy nasze, dawniej mało różne od kasimierskich kramów, jasnieją dziś jeśli nie wspólnie, to przynajmniej dość okazałemi wystawami. Szyby zwierciadlane nie są już dziś osobliwością nie tylko u kupców, ale i u rzemieślników, którzy znieśli się z pięter na dół i rozłożyli w sklepach składy wyrobów swoich. Gaz, który po raz pierwszy w dniu 22 grudnia zajaśniał na ulicach Krakowa, podniesie jeszcze tę okazałość.

Pod względem drożyzny Kraków również stanął w rzędzie pierwszych miast europejskich. Poliglotyzm jaki w nim obecnie panuje, czyni go bardziej jeszcze miastem europejskiem. Na ulicy najmniej słychać po polsku. Jedni mówią po niemiecku, drudzy po francusku, zostawiając ludowi tylko mowę polską. Myślałby kto iż w Krakowie sami tylko mieszkają cudzoziemcy. Bynajmniej. Liczba cudzoziemców jest stosunkowo nie większa jak po innych miastach; lecz jednym nakazuje moda używać obcego języka, drudzy odwykają od swego. Polacy słynni z łatwości uczenia się obcych języków, opłacają tę łatwość lekceważeniem swojej mowy. Lubią się oni przed cudzoziemcami popisywać i wolać łamać się z trudnościami języka obcego, niż dozwoić

aby cudzoziemiec to czytał względem ich języka. Francuz, niemiec, anglik, za granicą nawet nie chcą się łatwo wyzuwać ze swojego narodowego charakteru, a wtedy dopiero obcego używają języka, kiedy się swoim rozmówić nie mogą; my przeciwnie, wtedy tylko mówimy po polsku, kiedy innym językiem rozmówić się nie możemy. Od czasów śp. Witwickiego nic a nie się w tem niezmieniło, i tak jako komedye Moliera lub satyry Krasickiego dziś jeszcze zachowały całą swoją świeżość jako przedstawiające ludzi w ogóle a nie ludzi pewnej tylko epoki, tak gromy Witwickiego na lafiryndyzm polski, dadzą się tak zastosować, jak gdyby Witwicki pisał był o nim na schyłku r. 1857 i w Krakowie. Zdaje się więc, że lafiryndyzm jest chorobą nie grasującą chwilowo i przemienne, ale chorobą narodową, jak np. spleen angielski.

Święta Bożego Narodzenia powinny być właściwym przedmiotem grudniowej kroniki. Nigdzie jednak nie obchodzą świąt tych z taką cichością, jak w Krakowie. Mikołajki, Gwiazdki, drzewka złotemi jabłkami i orzechami upstrzone, wszystko to należy do rzędu podań przedhistorycznych, których pamięć zaginęła, a pokolenie obecne straciło nawet uczucie obrzędu Świąt Bożego Narodzenia w ich familijnem znaczeniu. Pod tym względem wyścoignęliśmy jeszcze kraje niemieckie, gdzie z całą uroczystością starożytnych zwyczajów święta te obchodzą w domowym kółku. Prawda, że tam łączy się interes osobisty wielu osób z tem zachowaniem dawnych zwyczajów, bo to jest zwykła pora podarunków; kupey i rzemieślnicy Wiednia, Berlina, Wrocławia straciłoby znaczną część odbytu z zarzuceniem „Gwiazdki.“ Gdyby i u nas choć z tych pobudek starano się utrzymać ten starożytny obrzęd, możeby pod hasłem tak u nas nowem przechowywano pamiątkę zrosłą z naszą przeszłością i naszym religijnym uczuciom odpowiednią.

Kończąc niniejszą kroniką całoroczny poczet sprawozdań miesięcznych, należałoby może skupić w jedno to co się tu i owdzie rzuciło na papier. Lecz Kronika krakowska nie składa szeregu artykułów osnutych na jedną myśl, ale tylko dowolne i swobodne spostrzeżenia nad chwilowym stanem, nad charakterem miejscowym, a spostrzeżenia te lubo nieulożone w systemat, miały

sawuze na celu przedstawienie wrażenia ogółu, bez do-
tknięcia szczegółowych zdarzeń i osób.

Wiedeń w grudniu.

Nie moja wina, jeśli tym miesięcznym sprawozdaniom
moim, zbywa przypadkiem na tych powabach, jakie
miewa dla publiczności każdy wypadek ciekawy, za-
dziwiający, nadzwyczajny, równie jak każdy zręcznie
uchwycony i wiernie oddany odcień życia pełnego ruchu,
zmian, wzruszeń i blasku. Listy moje, mają wszakże
to jedno za sobą, że są rzeczywistym Wiednia obrazem.
Ow.ż Wiedeń, jest wyjątkową i od wszystkich innych,
odmienną stolicą. Paryż, Londyn, Petersburg, Rzym,
Neapol, mają prócz ogólnego sobie właściwego, i w ca-
łej Europie znanego charakteru, tysiące, że tak powiem
odłamków, z których każdy uważany z bliska i osobno,
stanowić może zupełną i od innych części zupełnie róż-
ną całość. Jak miasta te do przedmieść, tak następnie
przedmieścia jedno do drugich zupełnie niepodobne. Jak
we wszystkich dosyć wymienić ulicę, żeby wiedzieć jaka
klasa ludności je zamieszkuje, tak również we wszyst-
kich dosyć wiedzieć, z jaką klasą ludności chce
mieć do czynienia, żeby trafić do celu bez przewodnika.
Tak podzielone mniejsze te lub większe szachownice,
przedstawiają oczom widza grę nie łatwą do objęcia,
ale pełną życia i pojęty. Na skutki tej gry, jakiegokol-
wiek takowe są natury, patrzą z radością lub trwogą
miliony ludów. Któż nie zna wspaniałej ody Wiktora
Hugo do Paryża? Kto w tych zwłaszcza dniach wiel-
kich świąt katolickich Bożego Narodzenia nie myśli o
uderzającej swym blaskiem powadze Rzymu? Kto sobie
nie przypomina, jaki widok, nie mówiąc już nawet o
Petersburgu, przedstawiają w tych dniach a mianowicie
w dniu Nowego Roku, wszystkie nawet gubernialne
miasta rosyjskie? W Wiedniu przeciwnie, dni te są jak
wszystkie inne w roku. Nawet zwyczaj niemiecki usta-
wiania sadu we wilię, zaczyna wychodzić ze zwyczaju.
Kalendarz i konieczne powinszowania pozostaną nieza-
długo jedyną tutaj tych dni oznaką.

Zkąd pochodzi ta coraz wybitniejsza jednolitość tutejszego życia? Dla czego, jeśli mu zbywa na zewnętrznym blasku, który nie zawsze jest skutkiem tylko pieniędzy, nie ma w niém równie żadnej wewnętrznej głęboko narysowanej i silnie uderzającej strony? Odpowiedź oparta na charakterze narodowym, dałaby powód do nowych zapytań. Skąd powstał ten charakter, czy zawsze był takim jak teraz, i dla czego w gruncie różnym jest nie tylko od innych wielkich narodowych charakterów, ale nawet od charakteru czysto niemieckiego? Historia filozoficzna i fizyologiczna Wiednia, odpowie kiedyś na te zapytania. Ona wykaze, jakim był Wiedeń wtedy, kiedy Austria panowała nad połową Europy; jakim był później, kiedy przyjmowała w tej stolicy Monarchów całej Europy i nareszcie, dla czego i o ile przestał być tém, czém go ogłosił jeden z ulubionych poetów niemieckich:

„Es ist nur eine Kaiser Stadt, nur ein Wien.“

Stan teraźniejszy Wiednia jest pod wielu względami, stanem wewnętrznego i zewnętrznego przeobrażenia. Na tle spokojném, równém, jednobarwném, charakteru głównie niemieckiego, który oznacza większość ludności tego miasta, jest widoczna, acz powolna, ostrożna i troskliwie obrachowana praca postępu i rozwoju nowych sił, nowych życzeń i nowych dążeń. Przeznaczony od lat kilku przez nową organizację całego państwa, na stolicę naczelną, Wiedeń staje się coraz wyraźniej środkiem nie tylko władzy rządowej i wpływu politycznego na wszystkie inne większe miasta prowincjonalne, ale nadto ogniskiem, z którego się rozchodzą i w którym się łączą i zlewają, głównejsze przynajmniej promienie życia ogólnego. A że życie to w składzie swoim jest tak rozmaite pod względem narodowych, moralnych intelektualnych i materyalnych pierwiastków, obraz przeto tego ruchu i tego działania środkowego, przypatrując mu się z bliska, nie jest bez wartości i właściwej sobie barwy. Trzeba tylko, jak powiadam, badać ten ruch pilniej i śledzić go głębiej, gdyż powłoka wierzchnia jest podobna do tego pyłu, którym wieki zapomnienia

pokrywają nieraz najszacowniejsze twórczości umysłu ludzkiego dzieła.

Że rok, który jest na skonaniu, w tej pracy przeobrażenia się Wiednia, znaczne położył zasługi, że dokonał wiele zmian i ulepszeń ważnych, i przygotował w spadku latom następnym pożyteczne materiały, wątpliwości nie podpada. Dość rzucić okiem, żeby się o tém przekonać, na wspaniałą, już prawie dokończoną drogą żelazną, która przerywając miasto, połączy wkrótce kolej północną z koleją południową; dość zwrócić uwagę na budowle publiczne i prywatne, które się wzniosły w rozmaitych częściach miasta, na te ozdoby w które się przystroiły i coraz liczniej stroją rozmaite kupieckie składy, na przybór który panuje teraz w ich wewnętrznym urządzeniu, a nareszcie na podwójną pilność w utrzymaniu czystości ulic, nawet na przedmieściach, żeby duchowi powołującemu Wiedeń na odpowiednie jego przeznaczenie w przyszłości stanowisko, oddać zasłużoną sprawiedliwość. Przy łatwości komunikacyj pocztowych przewozowych i celnych, i przy znacznym zmniejszeniu opłaty od towarów zagranicznych, smak w ubiorach, powozach, urządzeniu domów i ich utrzymywaniu kształci się, rozszerza i coraz głębiej we wszystkie przechodzi klasy społeczności. Wyroby francuskie i angielskie, któremi zapełnione widzieć można było w tych dniach świątecznej wystawy, tutejsze sklepy, znalazły pod wielu względami godne z płodami tutejszych fabryk współzawodnictwo. Jednym słowem, strona przemysłowa, handlowa i budownicza Wiednia zrobiły w tym roku na drodze postępu krok wyraźny i obiecujący wiele na przyszłość.

Pod względem umysłowym i artystycznym, wydobyć się z długoletniej na systemacie politycznym ugruntowanej oziębłości, idzie powolniej. Akademia cesarska nauk zapowiedziała przy wejściu w swą terazniejszą siedzibę, szereg prac ważnych, i w przemowach któremi zagała swe uroczyste posiedzenie, można było widzieć zakład, że się z danego słowa godnie wywiąże. Może z niej wyjdzie popęd do rozleglejszych po za jej obrębem usiłowań, prac i badań. Może z czasem, obok pism poświęconych dotąd głównie interesom finansowemu, administracyjnym lub przemysłowym, staną dzieła rozle-

glejszych rozmiarów i głębszej dąsności. Życzeby też należało, żeby usiłowania artystyczne rozstrzelone dotąd bez kierunku, podstawy i wyższej pomocy znalazły dla siebie te zakłady, z jakich wyszło tylu znakomitych w innych krajach mistrzów w rozmaitych zawodach i gałęziach sztuk pięknych. Literatura w ścisłym tego wyrazu znaczeniu, zamknięta dotąd w spekulacji romansowych i powieściowych przez dzienniki ogłaszanych plodów, oczekuje także właściwego sobie popędu. Też same dzienniki pojmy również, jak się spodziewać można, przeznaczenie swe polityczne; lubo w zawezwaniach do prenumeraty na rok przyszły ograniczyły się prawie wszystkie do oznajmienia tylko, że podnoszą swe ceny w skutek nowego przez rząd nałożonego podatku stęplowego. Publiczność zapłaci chętnie ten podatek, jeżeli w zamian znajdzie w dziennikach pokarm umysłowy i moralny. W każdym razie spodziewać się trzeba, że z Nowym Rokiem będziemy mieli w Wiedniu nowe dziennikarstwo, gdyż stare albo upadnie, albo się odrodzi.

Co do teatrów, miesiąc ostatni starego roku nie poprawił w niczem błędów lub niedoleżności zakorzenionych od dawna. Życzenia moje w tej mierze na rok przyszły zamknę w dwóch słowach: nowa przynajmniej dla opery i baletu budowa i nowa albo poprawiona we wszystkich artystyczna dyrekcyja.

Poznań w grudniu.

Kiedy po złożeniu broni przez pojednane zawartym pokojem państwa, rządy zachodnie i środkowej Europy zdają się obiecywać sobie utrwaloną spokojność wewnętrzną, nie mając żadnej kwestyi żywej do rozstrzygnięcia, na północy, w państwie potrzebującym więcej od innych spoczynku po wysileniach wojennych, powstała myśl całą nową przyszłością tego państwa brzemienna, myśl mająca powołać do prawdziwego życia, do godności ludzkiej, do praw człowiekowi służących, wielomilionową ludność. Nie wchodzę, czyli myśl ta sama się ocknęła, czyli ją przezorna troskliwość wa-

dszy porażyla, ale mniemam, że raz obudzona usnąć się więcej nie da. — Jakie ona kształty przybierze, w jaki sposób ciałem, i jakim ciałem się stanie, czy to jój przejście w świat materialny silna wola i dłoń silna przeprowadzić potrafi, trudno przewidzieć; lecz każdy czuje, że nadchodzi wielkiego znaczenia epoka dla krajów pod berłem północnem zostających. W Królestwie Polskiem epoka ta mniej się groźnie przedstawia, bo w niem ta myśl usamowolnienia i uwłaszczenia włościan od dawna krążyła i coraz bliższą była dojrzałości, lecz w dawnych ziemiach polskich, równie jak w Rosyi zadanie to w zatrważającej a przynajmniej w obudzającej troskliwość występuje postaci. Aby pojąć dokładnie całość tego zadania, zbadanie przeszłości stosunków, które dziś zmianie ulegz mają, jest koniecznem. Otóż w tak ważnej chwili dla mieszkańców polskich berłu rosyjskiemu poddanych, Towarzystwo Przyjaciół Nauk poznańskie zamierza ogłosić konkurs do napisania *Historji włościan i stosunków ekonomicznych w dawnéj Polsce*. Myśl tego konkursu powziął prezes Towarzystwa p. August Cieszkowski, i dla urzeczywistnienia jój z chwałebną szczodrobliwością Zł. pol. 6000 złożył na nagrodę konkursową. Zarząd Towarzystwa wezwał Wydział Nauk Historycznych i Moralnych do ogłoszenia konkursu i ułożenia stosownego programu. Prezydujący w wydziale wyznaczył czterech członków do zajęcia się tą ważną pracą, i w tych dniach ma się odbyć narada, z której powstanie ów program mający przed ogłoszeniem publicznem pójść jeszcze pod rozpoznanie i potwierdzenie prezesa będącego twórcą konkursu i dawcą nagrody.

Ofiarujący ją niemógł zaiste więcej zajmującego i większej ważności przedmiotu do obrobienia wybrać z dziejów przeszłości naszej, ale razem mniej rozświeconego, trudniejszego, i powiedzmy szczerze myśl naszą, niebezpieczniejszego. — Cel i użyteczność konkursów tego rodzaju nie polega na tém, aby z nich wyszło dzieło dobrze napisane, któreby zbogaciło piśmiennictwo krajowe, lecz ażeby w obieg puścić myśl użyteczną, rozjaśnienia potrzebującą, aby zachęcić do zastanowienia się nad nią i ułatwić wprowadzenie jój na drogę praktyczną. Z tego stanowiska zapatrując się na konkurs, mniemamy, że

zadanie przedstawione przez Towarzystwo poznafskie przychodzi i za późno i za wczesnie.

Za późno — bo pora na nie właściwa była w ten czas, kiedy na ziemi przez ludność polską zamieszkałą, stosunki włościańskie jeszcze żadnej niebyły zmianie uległy, kiedy znajdowały się w tym stanie, w jakim je sejm konstytucyjny zostawił, i do dalszego rozwinięcia myśli ustawie jego przewodniczącej usposobił; wtenczas kiedy dziejami przeszłości naszej, naukami w nich wyczerpanemi należało przygotować i zachęcić umysły do zaprowadzenia dobrowolnego zmian dalszych. — Lecz dziś, gdy w dwóch częściach dawniej Polski, władze panujące w dłoń swoją tę sprawę ujawszy, to zmiany stanowcze do skutku przywiodły, wystąpienie z dziejami dawnych stosunków, i z nauką jakiej dostarczają, jest, powtarzamy, za późne. Jest zaś zawczesne, gdyż w chwili, w której w trzeciej części Polski trzeciemu berłu podległej, sprawa ta wymknąwszy się z rąk które ją uchwycić powinny były, lecz uchwycić raczej nie mogły, jak nie chciały, toczy się pod kierunkiem i strażą władzy oświeconej cudzem doświadczeniem, i mądrą zyskaną przezornością, unikać należy wszystkiego, coby dać mogło powód do zakłócenia spokojności umysłów, do obudzenia namiętności i rozwolnienia węzła ufności, tyle potrzebnej stronom występującym w tej sprawie. — Powiedzieliśmy jednak wyżej, że w tém wielkiem dziele, poznanie dawnych stosunków, dokładna znajomość historyczna przeszłości stanu włościańskiego w kraju naszym, jest koniecznie potrzebna, i nie cofamy się z tém twierdzeniem; lecz przekonani jesteśmy, że praca konkursowa o tyle tylko może się stać użyteczną, o ile będzie oględna, bezstronna, wolną od wszystkich teoryj, systematów i namiętności. — Wytknąć więc jej drogę jaką obrać powinna, wskazać ducha w jakim ma być poczęta i wykonana, jest koniecznością — i jest właśnie zadaniem programu. Ułożenie więc tegoż z przejęciem się myślą, której tu nierozwijamy, lecz tylko napomykamy, zdaje się nam być wielkiej ważności, i ogłoszenia takowego z natężonem zajęciem oczekiwać będziemy.

Powiedzieliśmy, że przedmiot ten uważamy za jeden z najtrudniejszych do obrobienia. I w istocie, aby wy-

dobyć z ciemności przeszłych czasów i nagromadzić dokładne wiadomości historyczne, na jaki trud, na jaki ogrom pracy musi się pisarz przygotować! W kronikarzach i historykach naszych mało on znajdzie materiałów do swego dzieła. W ich opowiadaniu lud pospolity, lud włościański pominięty obojętnością, nie znajduje miejsca wśród dziejów ojczystych; z dawnymi prawami swymi, z nędzą, z uciskiem, zatarty jest wśród ruchu krajowego, wśród wrzawy wojen, wśród blasku chwały narodowej. Pisane prawodawstwo więcej mu dostarczy wiadomości, lecz i te jeszcze niedostateczne będą. Trzeba ich poszukiwać, trzeba badać, jaka była tego ludu dola, jakie obowiązki, ciężary, jakie stosunki z właścicielami ziemi, w pergaminach, dokumentach, w nadaniach, przywilejach, inwentarzach, tranzakcyach, lustracyach, które po archiwach i księgozbiorach są przechowywane. Do czasów późniejszych trzeba się radzić drobnych pisemek, kazań, broszurek, opisów kraju i podróży, które w rzadkich egzemplarzach po zamożnych tylko znajdują się bibliotekach. Tak nagromadziwszy liczne materiały, należy je uporządkować, porównać, krytycznie ocenić, i dopiero przy ich pomocy ułożyć ciąg zmian rozmaitych, jakie w losach ludu włościańskiego zachodziły. Wśród tego opowiadania nie wypada pominąć wspomnienia zacnych, szlachetnych, pojedynczych chęci, które się nieraz w obywatelstwie polskim od najdawniejszych czasów objawiały, jako to np. w XVII wieku w fundacyi Jana Lipnickiego dla włościan, konstytucyą roku 1641 potwierdzonej, w XVIII stuleciu w różnych usiłowaniach na Litwie przedsięwziętych i w znacznej części dokonanych, a za czasów naszych w ustawie Hrubieszowskiej Staszica. Taki rys historyczny przedstawiwszy, porównawszy z różnych epok stan włościan polskich z stanem współczesnym ludu rolniczego w innych krajach, należy bez gniewu i pobłażania zważyć na jednej szali sprawiedliwości, błędy, przesady, winy czynu i opuszczenia, na drugiej trudności pochodzące z położenia i stanu kraju, zacne usiłowania i ogólne i pojedyncze, żal za winy i błędy, i karę za nieponiesioną, i z tego porównania dopiero wyprowadzić zdrowy i bezstronny sąd i korzystną naukę.

Zdaje się, że zadanie konkursowe ograniczyć chce rys historyczny tylko do przeszłości dawniej Polski; nam się zdaje że obraz i nauka zupełna by nie była, gdyby tego rysu pisarz do obecnych czasów nie przeciągnął. — Jest to więc do dokonania dzieło obszernego rozmiaru i ogromnego trudu. — Nie rok, ale lat kilka na wykończenie go, ubiegającym się o nagrodę zostawić należy.

Dowiadujemy się, że pan Stawiski ogłosił w Warszawie podobnej treści dzieło. Nie wątpimy, że przedsięwziawszy swą pracę, przejął się jej ważnością, i nim ją rozpoczął, przez długi czas przysposabiał się do niej; lecz wyznajemy szczerze, iż między obecnie znanymi pisarzami nie wielu jest takich, których i nauka i umysł badawczy i ducha powaga i sąd bezstronny mogą być rękojmią, że ich piórem skreślone dzieje włościańskie odpowiedzą tym wszystkim warunkom, które się nam niezbędnymi zdają. Gdyby wasz wydawca Statutu Kadmierzowego, zacny i uczony Antoni Helcel, chciał się niemi zająć, powszechność krajowa mogłaby z ufnością oczekiwać od niego dzieła, równie głęboką nauką jak dojrzałością sądu znakomitego.

Nowy poszyt pisma literackiego poznańskiego ukazuje się w tych dniach. Wstępny jego artykułem ma być Wiadomość o posagu księcia Józefa Poniatowskiego, wraz z wierszem w roku 1815 do siostrzenicy księcia ówczesnej Aleksandrowej Hr. Potockiej, dzisiejszej Hr. Wąsowiczowej, napisany z okoliczności zamierzonego wzniesienia tego posagu, który miał uwiecznić i chwalić bohatera i wdzięczność narodu. Dokonany dłutem Torwaldsena, odlany z spiżu, zdaje się on niepowrotnie dla kraju straconym. — Nie spiżem więc, nie posagiem uwiecznia się chwała i wdzięczność. Przodkowie nasi nie zwykli byli objawiać niemi czi swojej dla swych władców, bohaterów i mężów wielkich. Po ulicach miast naszych nie wznosiły się posagi i pomniki, żaden z naszych wojowników oprócz Czarnieckiego w Tykocinie, żaden z naszych królów oprócz Zygmunta w Warszawie w ten sposób uczczony nie został. Jeżeli Polacy dłutem rzeźbiarzy powierzali wyobrażenia z marmuru i spiżu swych królów i mężów sławnych, to niemi zaludniali kościoły, mieścili je na grobach. łącząc z niemi myśl religijną i hołd oddając chwale ziemskiej, przypominali

razem jej nieość. Lecz lud polski sobie właściwą stworzył sztukę do sławienia swych bohaterów; on nie gładził ani marmuru, ani bronzu, lecz ziemi swojej używał do ich pomników — on góry wznosił, górami do potomności przemawiał. — On usypał mogiły pierwszemu swemu bohaterowi i jednemu z ostatnich swych obrońców, które zdają się dziś wyobrażać dwa kopce graniczne jego dawnego bytu. A to sypanie mogił było jego sztuką narodową, polską *Ars Polonorum*, jak ją stary nasz Długosz, mówiąc o mogile Krakusa nazywa. Wzniosła to była sztuka, i jej pomniki tylko ludu całego wdzięczność stwarzać mogła.

Drugim artykułem dziennika poznańskiego ma być zakorbcezenie rozbioru dzieła Bielowskiego, który z uczonością napisany, znużył swoją obszernością i drobiazgowością.

Miedzy innymi recenzyami nowego poznańskiego poszytu, znajduja się także uwagi nad mową Margrabiego Wielopolskiego, i z jej powodu nad zapisem Swidzińskiego. — Kronika religijna jak zwykle zamyka ten poszyt.

W Lesznie u Günthera wyszły dwa tomiki *Żywotów Świtych przez przyjaciela dzieci*. Tym przyjacielem dzieci jest ksiądz Koszutski. Dwa pierwsze tomy dawniej wydrukowane były w Gnieźnie.

W drukarni Kamińskiego i Spółki jest pod prassą i ukaże się zaraz po Nowym roku: *Obrazu wieku i panowania Zygmunta III, czyli obrazu stanu narodu i kraju* tom drugi, przez księdza Siarczyńskiego. Przecież więc na kolebę mieć będziem dzieło poważniejszej treści — dzieło pośmiertne uczonego i znanego pisarza.

Mam jeszcze do wspomnienia o Obrazie, lecz niestety o dramatycznym i niestety o wierszowanym. — Wyszedł on u Żupańskiego, tytuł jego: *Demokracy i Arystokracy*, obrazek dramatyczny w pięciu odsłonach. Cel jego trudny do zrozumienia, osnowa nie łatwa do pojęcia. Duch ani arystokratyczny, ani czysto demokratyczny. Wiersz łatwy, potoczny nawet, ale najczęściej z myślą błahą, lub fałszywą. Dedykacya do dwóch najznakomitszych dramaturgów polskich, których nazwiska zamileza autor. Ale za to wielkie nowości znacznie do postępu sztuki dramatycznej przyczynić się mogące, wprowadzone do

tego obrazku. Jest on najprzód w pięciu nie aktach, lecz odsłonach. Te odsłony nie podzielone są na sceny jak to w użyciu było za czasów barbarzyństwa sztuki dramatycznej. Wiersze są drukowane prawie jak proza, i częstokroć zasługują na to, to jest że wielkimi literami pierwszy wyraz każdego wiersza nie jest oznaczony. Nadto wśród tego polskiego dramatu są całe ustępy *niiby francuzkich* wierszy, mówię niiby, bo złą francuzczyzną i bez zachowania żadnych prawideł wierszowania ukleconych. Był czas, w którym takie nowości ogłoszone by zostały jako śmiałość gieniuszu; dziś je tylko jako drobiazgową, bezwładną żądzę oryginalności uważać musimy. Z dedykacyi dowiadujemy się, że to jest pierwsza praca autora, i temu łatwo wierzymy. Z przedmowy niczego się dowiedzieć nie mogliśmy. Może dawniej ta przedmowa byłaby uważaną za bardzo głęboką, dziś ją tylko czytelnicy za ciemną i niezrozumiałą uznają. Ukrywa się i w niej i w dramacie jakaś myśl i towarzyska i filozoficzna i polityczna i narodowa, ale w tak mgliste obłoki obwinieła, że jój dojrzeć niepodobna. Z trudnością także przychodzi zdać sprawę z treści całej sztuki. Osoby do niej wchodzące zdają się wyobrażać różne pierwiastki obecnego naszego towarzystwa. Major przedstawia dawną zasługę, cnotę i prawość. Konrad sierota, wychowany przez księcia, zakochany w księżniczce, zapaleniec z żądzą poświęcenia i sławy, lecz pełen pogardy i szyderstwa, jest wyobrazicielem szlacheźnej lecz w marzeniach zatopionej demokracji. Mrozowicz, to demokrat szlachecki. Edward na dwóch stołkach siedzi, chce i z arystokratami utrzymywać zażyłość i żyć w zgodzie z demokratami. Książę i księżna, hrabia i hrabina wyobrażają arystokracją, najprzód w tém, że w większej części po francuzku mówią. — U Majora zbierają się te wszystkie *personae dramati*. Mrozowicz obraża się na księcia, że mu potrafił zająć i siadł jój na kolana, i przez Edwarda wyzywa go na pojedynek. Książę bić się nie chce, i tu się objawia pierwsza cecha arystokracji, *tchórzostwo*. Hrabina, która wiele przychylności okazuje Edwardowi, chce go zmiąć z księżniczką Matyldą, którą on kocha, a gdy książę i księżna odmawiają zezwolenia, ona wyznaje, że Edward jest jój synem, i synem tego, którego namó-

wiona przez matkę księżny, wraz z księciem otruła, dla tego, aby książę przywłaszczył sobie jego majątek a ona mogła wyjść za brata księżny. Otóż tu wykazują się drugie znamiona wyraźne arystokracji: *rozpusta, otrucie, i łupieżstwo*. Matylda kocha Konrada i sama mu to wyznaje rzucając mu się na szyję z największym uniesieniem, w czém znowu znamie arystokratyczne daje się dostrzedz. Konrad przewidując w przesądach rodziców potępienie jęj miłości, mówi Matyldzie, „że on jęj nie kocha“. Matylda w obłąkanie wpada, potem odzyskuje przytomność. Hrabina umiera. Edward dowiedziałwszy się całej prawdy, zrzeka się i ręki księżniczki i majątku, który zostaje w ręku księcia, będąc jego własnością. — Książę chcąc zmazać małe grzechy przeszłości otrucia i łupieżstwa, oddaje rękę Matyldy Konrowi. Major pochwała ten związek i widzi w nim zgodę arystokracji z demokracją.

Dla mnie zakryte przyszłe losów naszych dzieje.

Lecz w was i w związku waszym pokładam nadzieję,

Że zabójczą niezgodę, co naród rozprzega,

Zastąpi ducha jedność i zgodę potęga.

Że jako serca wasze miłością spojęne,

Zleją się w bratni uścisk czucia rozstrzelone.

Lecz związek ten nieprzychodzi do skutku, bo Konrad stoi nieporuszony i uroczyście zwiastuje, że jako misyonarz idzie na Wschód. Matylda w rozpacz nie chcąc aby wspomnienie jęj miłości zmyliło mu drogę wiodącą do wielkich czynów, oświadcza, „że go nie kocha, że skłamała wyznając mu swą miłość“. Konrad pomieszany (sic) tém oświadczeniem, zdradza się z swoją miłością, wpada w obłąkanie, w uniesienie, w improwizacyą, będącą naśladowaniem improwizacyi Konrada Mickiewiczowskiego. Tylko w nięj nie odzywa się do Boga, ale stwarza i ocean wiedzy, i świat nowy, i staje się wszechwładnym panem, i ramiony niebios sięga itd. itd., aż nakoniec trze czoło, twarz zakrywa, upada pod drzewem i umiera. Zapewne zabija się, bo Matylda wyrzywa sztylet. od Konrada (sic) i chce się nim przebić, ale Major wydziera go z jęj ręki i do góry podnosząc

ten *Sztylet*, on zaenry i enotliwy, tym przykładnym wier-
szem kończy ten potworny dramat:

Cierp, módl się, ufaj, skończą się twoje cierpienia,
To miecz sprawiedliwości i godło zbawienia.

Z téj osnowy, której nitkę zamatwaną z trudem tylko
uchwycić mogłem, utworzy sobie czytelnik wyobrazenie
o układzie, duchu i wartości tego obrazu, w którym
fałsz, przesada i *aegria somnia* wstręt obudzają. Zasta-
nawiać się nad nim dłużej nie będziem, dodamy tylko,
że Autor popełnił błąd chronologiczny dziś piaząc i wy-
dając swój dramat. Gdyby go był przed kilkunastu laty
ogłosił, (lecz zapewne nie żył jeszcze wtenczas) byłby
bez wątpienia znalazł czytelników, którzyby się w jego
utworze domyślali byli głębokości pomysłów, wszech-
stronnego wszechświata poglądu, i upatrywali genialność;
lecz dziś, gdy rozsądek publiczny otrzeźwiał, gdy wy-
obrażenia literackie nieco ozdrowiały, gdy wykoszlawio-
na krytyka wyprostowała się, dramat jego uważany bę-
dzie jako ostatni płód naśladowniczy owéj chorobliwéj,
gorączkowej, zaciemnionej literatury, której czas (spo-
dziewać się należy) niepowrotnie minął.

Berlin w grudniu.

Trzeci ustęp, szanowny Redaktorze, w mojej piéde-
zmysłowej kronice Berlina. Tak bliskie powinowactwo
węchu i smaku, tak mały przedział pomiędzy nosem
a gębą, o której mu z porządku pisać wypada, cóż tam
znów nowego, powiesz, jaki potwór, karzeł, pies lata-
jący lub sowiżrzał wstrzymuje go od zachowania pla-
nu opowiadania, który sobie sam zakreślił? Nie nowe-
go i nie takiego, szanowny Redaktorze. Prosty litera-
cki kalkuł, pospolita berlińska refleksya, od której i
twój korespondent nie jest wolen, radzą i każą, mu
tak postąpić. Nie wiem, czy mam cię policzyć do sma-
koszów; niecierpliwienie się twoje, że nie piszę o gę-
bie, upoważniałoby mię do takiego domysłu; ale wiem,
że żyjesz w Polsce, że mieszkasz w Krakowie, że zatem

chcąc nie chcąc znać musisz całą gębę i przestrzeń cywilizacji gęby. Jestem nadto więcej niż pewien, że umiesz na pamięć od początku do końca Kantorberego (historia świętego tego imienia zupełnie mi jest nie-wiadoma) Tymows iego „Ode do brzucha“, którą jakiś zgłodniały estetyk policzył do rodzaju poezji żartobliwej. Otóż, szanowny mój Redaktorze, który od Nowego roku chciałeś zamknąć wychodzenie „Dodatku do Czasu“, widząc, że pomiędzy publicznością naszą więcej jest cywilizowanych pasibrzuchów niż pastmózgów, pojmosz łatwo, że całej cywilizacji gęby, nawet berlińskiej, której oryginalnym, jedynym produktem, mówiąc „anticipando“, są „Teltower Rueben“, nie mógłbym objąć w jednej korespondencji. Skutkiem tego byłoby, że rozdział kroniki mojej o gębie przerwałby się przejściem z jednego roku do drugiego, a przy oprawie zeszytów część jedna stałaby w ostatnim tomie bieżącego, a druga w pierwszym następnego roku. Co to za niedogodność przy czytaniu, jaka nieprzyjemność w razie wypożyczenia lub straty jednego tomu, zwłaszcza ze względu na tak ważny przedmiot, jakim jest kronika cywilizacji organów smaku i żołądka berlińskiego! Nieprawda? Gęba powinna być w kupie.

Po tak przekonywajacém usprawiedliwieniu się, sądzę, że mi w ostatnim miesiącu roku, w miesiącu gwiazdkowym, jedynym pomiędzy dwunastu braćmi, który w stolicy pruskiej może się nazwać poetycznym, pozwolił o czém inném pisać, mój wielce miłościwy Dodatkowicz. Zaszczytny ten przydomek, który ci niniejszém daję, słusznie ci przynależy. Jestem przekonany, że cała czytająca publiczność przyzna ci go jednomyślnie. Przyzna ci go nie tylko dlatego, że jesteś wydawcą „Dodatku“, lecz że, oprócz amysłowych dla pisma samego, czynisz jeszcze na utrzymanie go dla dobra publicznego z własnej kieszeni materyalne dodatki. To jeszcze tylko w Polsce zdarzyć się może. W Niemczech taką wspaniałomyślną sentymentalność w wszelkiego rodzaju przedsięwzięciach, nawet literackich, złożył raz na zawsze do grobu Hansemann, pamiętna, jak napis grobowy brzmiąca, formuła: „In Geldsachen hört Gemuethlichkeit auf“. Nie mówię o Francyi, a tém mniej o Anglii, gdzie podobną sentymentalność uważanoby za

patent do domu waryatów. Ale w Polsce wszystko co tylko się jeszcze robi, robi się przez Dodatkiewiczów. Zawiazane nawet tego lata w Poznańskim Towarzystwo przyjaciół nauk nie jest czem innem jak Towarzystwem Dodatkiewiczów. Pociasz się zatem szanowny Wydawco danym ci przydomkiem w chwilowym braku abonentów na twoje pismo. Zobaczysz, że rok nie minie, a liczba ich w dwójnasób się pomnoży. Ja z méj strony zwiedzę podczas świąt, więcej mając czasu, wszystkie restauracye, winiarnie, kawiarnie, piwiarnie, holgolandzkie sklepy, handle łakoci, oukiernie, knajpy, i dołożę starania, aby w pierwszych miesiącach nowego roku mieli i pasibrzuchy stósowną lekturę. A teraz pozwól przystąpić do rzeczy.

Nazwałem powyżej miesiąc grudzień jedynym poetycznym miesiącem stolicy pruskiej w ciągu całego roku. Poetycznym czyni go obchód gwiazdki i wszystkie ku temu celowi zmierzone usiłowania mieszkańców stolicy. A lubo obchód ten powtarza się rok w rok prawie zawsze na ten sam sposób, nie traci on przeto na poetyczności, bo ta przywiązana jest nie do formy lecz do treści. Poetyczność tego rodzaju wiecznie jest nową, świeżą i nigdy się nie starzeje. Jest nią tak w realnem życiu jak w idealnym świecie arcydzieł sztuki. Opisałem tę stronę gwiazdki berlińskiej w grudniowej korespondencyi zeszłego roku. Powtarzałbym się gdybym ją i w niniejszej z tego stanowiska opisywał. Zadanie kroniki mojej, która ma stanowić pewną całość, nie pozwala na takie powtarzanie. Zwracam zatem uwagę na inne charakterystyczne jój cechy, a w szczególności na wpływ który wywiera na literaturę.

W żadnej porze roku nie wychodzi tyle płodów piśmiennych na widok publiczny, jak na gwiazdkę. Patrząc na te nieprzeliczone stósy drukowanego papieru, zapelniającego stoły i półki księgarskie, przychodzi powtórzyć z ś. p. Maurycym Mochnackim: że zamiast krwi atrament w żyłach niemieckich płynie. Zdaje się, że każdy co tylko piórem władać umie, poczynawszy od najpoważniejszych pisarzy, których imię głośnie jest w piśmie częściach świata, aż do ucznia gimnazjalnego, który pierwsze swe literackie próby drukuje bezimiennie w jakimś poślednim prowincyonalnem piśmku: teolog,

filozof, statysta, historyk, prawnik, finansista, lekarz, badacz nauk przyrodzonych, astronom, matematyk, geograf, podróżnik, poeta, romansopisarz, estetyk, krytyk, humorysta, paskwilant, pedagog, technolog, agronom, fabrykant, kupiec, ba nawet pospolity rzemieślnik, szewc, krawiec, fryzyer, wreszcie kucharz; każdy, zdaje się, rozmyśla i pracuje przez cały rok nad tém, aby na gwiazdkę i na nowy rok złożyć na stósie księgarskim większy mniejszy, grubszy cieńszy, lepszy gorszy plód twórczego, przerabiającego, kompilującego, tłumaczącego lub kradnącego cudzą własność mózgu, to jest, w większej części, zeszyt odrukowanego papieru wszelakiego formatu, w mniejszej, prace istotnej literackiej wartości, między niemi wszakże i arcydzieła, prawdziwe feniksy na książkowym Chimborassie współczesnego piśmiennictwa— „Sztuka czesania i utrzymywania w czystym i zdrowym stanie włosów“ fryzyera Petera, i „Kosmos“ czwartym pomnożony tomem Aleksandra Humboldta, tuż obok siebie, w największej przyjaźni na jednym gwiazdkowym stole przewielebnej literackiej rzeczypośpolitej!

Znajdowałbym się w większym niż Homerambarasie, gdybym jak on narody wodzów i książąt danajskich, tak ja wyliczać chciał imiona autorów i tytuły dzieł i pism tych wszystkich.

Mnóstwa zaś tego ja nie nazwę ani wypowiem,
Gdybym miał nawet dziesięć języków, miał i ust
dziesięć.

Homerowi łatwo było sobie poradzić, ilekroć znajdował się z natchnieniem lub pamięcią swoją w ambarasie. Wezwał na pomoc mieszkanki Olimpu, Muzy, a one mu poprostu rzecz tak jak była powiadały. Równie łatwo było zaradzić sobie Bojanowi, który

Jeno na struny kładł swe wieszczce palce,
A sławą książąt żywe brzmiały struny.

Ale mnie biednemu korespondentowi, którym ani na oczy nie widział większej części książek, które prze-mysł księgarski i literacki na miesiąc ten z pod prasy wypuścił, który ich ani widzieć kiedykolwiek ani czy-

tać będę, który je znam tylko z spisów, z anonasów i z częściowych sprawozdań dziennikarskich, i wiem, że „maxima pars“ tego gwiazdkowego towaru pójdzie niezadługo na wieczne czasy zalegać półki antykwarskie lub sprzedaną będzie za makulaturę; mnie, gdybym chciał zdawać szczegółową sprawę z tego literackiego przemysłu, rozsiałaby się w nos Muzy wzywającego je o natchnienie i pomoc dla pamięci.

Zresztą nie jest to celem niniejszej korespondencji, która tylko wpływ pory gwiazdkowej na piśmiennictwo niemieckie oznaczyć pragnie. Nie jest zatem także jej celem wymienić lub rozbierać dzieła świeżo wyszłe, mające prawdziwą wartość literacką. Dzieła te nie mają żadnej styczności z gwiazdką. To spekulacya tylko księgarska puszcza je w tym czasie w obieg, bo to jest najkorzystniejszy czas do pokupu. W narodzie tak piśmiennym i czytającym, jak niemiecki, książki są najpożądalszym i najulubieńszym podarunkiem gwiazdkowym, i to nie tylko dla uczącej się młodzieży, ale i dla osób w wieku, i dla uczonych z powołania. Nikt się nie urazi, gdy mu książkę na gwiazdkę ofiarujesz. Są dzieła dawne, są nowe, za kosztowne do nabycia dla prywatnej osoby. W bibliotekach tylko publicznych oglądać je można. Jeżeli kiedy, to o tej porze księgarz rachować może na ich pokup. Ofiaruj takie dzieło, choćby samemu Humboldtowi, przekonasz się, z jaką radością i wdzięcznością je przyjmie. Gdzie tak powszechne jest zamiłowanie nie tylko w czytaniu ale i w posiadaniu własnych książek, tam piśmiennictwo musi w ciągłym być ruchu, tam księgarstwo może przy takich nakładach świetnie robić interesa, tam nie mały gałęzi nauk tak suchej, któraby nie miała pisarza, nakładcy, kupca. Ztąd to mnóstwo, ta różnorodność treści i wartości dzieł i dziełek wychodzących około tego czasu na widok publiczny.

Wielka jednak ich liczba jest w ścisłej styczności z samą gwiazdką. Są to książki i książeczki pisane wyłącznie dla uczącej się młodzieży obojęj płci, i najciślej zastósowane do każdego wieku i niemal do każdej klasy szkół niższych i wyższych; książki i książeczki elementarne w wszystkich przedmiotach nauk wykładanych po szkołach; książki do domowego czytania, jak

najrozmaitszej treści, podróże, powieści, przypowieści, bajki, gadki, wybory poezyi, opowiadania mytologiczne, historyczne, wreszcie różne zabawki i gry połączone z celem naukowym. Większa część książek i książeczek tego rodzaju jest stosownie ilustrowana. To największa pogoń dla małych a nawet i większych dzieci. Takich też dziełek najwięcej się kupuje. Nie masz dość biednego dziecka, któreby jakiej książeczki z obrazkami na gwiazdkę nie dostało. Na tych niezmiernie tanich drukach księgarze najwięcej zarabiają. Zarobek pochodzi z ogromu obdytu.

Inny rodzaj literatury, rodzaj nieznany i niepraktykowany podobno nigdzie na całym świecie, zato w Atenach nad Sprewą, w Berlinie, w tém mieście inteligency i sztuki, które jest jego ojczyzną, tak samo jak jest ojczyzną białego piwa, pielęgnowany i kwitnący zawsze z równą świeżością i blaskiem, z górą przeszło od ćwierć wieku, stanowią opisy pielgrzymek odbywanych każdorocznie po jarmarku, magazynach, sklepach, restauracyach, winiarniach, onkierniach, teatrach, wystawach, widowiskach, zgola po wszystkich placach, ulicach, lokalach, domach, kątach, dziurach, budach, na których lub u których najmniejszy znajduje się szczegół, który ma lub nie ma styczności z gwiazdką. Pielgrzymki te opisujące się z największą drobnostkowością wszystkiego tego co tylko w tym czasie mniej więcej zmysły uderza, zwane technicznie „Weihnachtswanderungen“ to jest pielgrzymkami gwiazdkowymi.

Twórcą tego rodzaju literatury jest Rellstab, znany niemieckiemu a nawet i zagranicznemu światu, mianowicie wszystkim kompozytorom i wirtuozom, dziś już z górą sześćdziesiąt lat liczący, krytyk i feljetonista „Gazety Vossa“, która zarazem jest organem zamieszczającym owe Weihnachtswanderungi swego zasłużonego współpracownika. Bo Rellstab to sam w swojej osobie jest tym wielkim gwiazdkowym pielgrzymem, gwiazdkowym Humboldtem, jak go Kossak jeden z tutejszych zdolniejszych krytyków nazywa. Zaiste łatwiej musiałoby być młodemu Humboldtowi zwiedzić Andy i wdrapać się na Chimborasso, niż staremu Rellstabowi odbywać dziś pielgrzymkę gwiazdkową. Bo gdyby to dla niego było jeszcze coś nowego, ale on już od trzydzie-

stu kilku lat rok w rok tętsamą podróż, trwającą zawsze najmniej trzy tygodnie, czy pogoda czy siłota, czy mróz czy odwilż, bez znużenia ciała i ducha odbywa, i przez równie długi czas, zawsze ją z tą samą świeżością umysłu i lekkością wyobraźni, z tym samym stereotypowym humorem i dowcipem, z tą samą drobiazgowością w treści i formie, tu poważnie tam dziecinnie, tu groźnie tam rzewnie, tu smutno tam wesoło, tu drażniąc tam głaszcząc, stosownie do przedmiotu o którym mówi, nigdzie jednak prawie i nigdy nie ganiąc a niemal zawsze chwając, opowiada i opisuje. Polakiemu czytelnikowi dawniejszy tylko „Kurier warszawski“ może dać próbę tego rodzaju literatury tak co do drobiazgowości treści jak co do ruchomości stylu.

Dla berlińskiego kupca, przekupnia, rzemieślnika, filistra, pijącego równocześnie i naprzemien jeden łyk kimla kartoflanego, drugi łyk piwa białego, jest ten rodzaj literatury gwiazdkowej równie niezbędny, jak kimel kartoflany i białe piwo. Allah jest wielki, a Rellstab jest jego prorokiem. Nie widzieć firmy sklepu swego w opisie gwiazdkowej pielgrzymki Rellstaba, jest to narażonym być na niepowetowane straty przez cały ciąg jarmarku, i skwaszone mieć wszystkie przyjemności Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. To też Rellstab, zanim budy i stragany na placach rozbito, zaczyna koledę swoją od sklepu do sklepu, już to sam, już w towarzystwie kilku chłopców i dziewcząt lub doroślejszych panien i starszych dam. Wie on dobrze o tem, że każdy filister wygląda go jak kania deszczu w progu sklepu swego. Toż i nawiedzi każdego, to i wspomni o każdym krócej dłużej w gwiazdkowym przeglądzie swoim. Sklepy mianowicie i magazyny zamożniejsze nigdy nie bywają omijane i przepominane. Aby mozołowi temu podołać, pielgrzym nasz wychodzi rano o godzinie ósmej z domu, i aż do północnej pory jest na nogach. Kiedyż je, pisze, czyta książki, które w przeglądzie nazywa, słucha koncertów, widuje przedstawienia dramatyczne i inne, z których nadto prawie codziennie zdaje krytyczną sprawę? Jé, gdzie się zdarzy, w pierwszej lepszej knajpie tej okolicy miasta, w której właśnie podróżuje; pisze, kiedy nogi ustały, na kolanie, w sieni, w kącie jakiego domu, siedząc na schodach lub stołku,

albo w cukierni, gdzie pije kawę i czyta przy tem książki, któremi kieszzenie ma wyładowane. Towarzyszą mu chłopcy, jak dzieci Boreasza, lecą z ołówkowemi gryzmołami do drukarni „Gazety Vossa“, gdzie znają dokładnie jego stenograficzne hieroglify; i tym sposobem łociowe artykuły składają się same niewiedząc jak.

Jakiż cel tych uciążliwych pielgrzymek, jaki cel tych drobiazgowych opisów? Czy się to zgadza z godnością człowieka podeszłego wieku, z powagą ojca rodziny dobrego bytu, z honorem reputowanego i zasłużonego publicysty, aby podejmował tego rodzaju koledy i trudnił się tego rodzaju literaturą? Czy się to dzieje w interesie Gazety, aby pomnożyć liczbę abonentów, znacznie i bez tego większą niż innych dzienników? Czy się to dzieje w prywatnym piszącego interesie, który jak wieść niesie, nie zawsze bywa głuchy na dary, któremi się kupuje opinia krytyki? Czy wreszcie dzieje się to z prostego przyzwyczajenia się do podobnej pracy i upodobania sobie w opisywaniu takich właśnie rzeczy, w których wyobraźnia każdego innego pisarza nie godnego ani szczególnego do zauważania nie znajduje?

Takie pytania rzucają przed sąd publiczności dziennikarscy koledzy Rellstaba od wielu lat. To jakby groch na ścianę rzucał. Za odpowiedź służy nowa „Weihnachtswanderung“ o ile możności więcej jeszcze drobiazgową, więcej filistrowską, niż poprzednie. „Tenax propositi vir“ stary bombardyer, który odbył „die Freiheitskriege“ 1813 i 1814 r. i ma krzyż żelazny, arcycapłan i wyrocznia w dziennikarskiej komorze „Cioci Voss“, zmusił niejako uporem swoim kolegów pracy do podobnych pielgrzymek i opisów, aby im na oczy wyższość swoją w tym rodzaju literatury pokazał. Kossak, najzdolniejszy ze wszystkich, najotwarciej sobie postąpił, zdjął z uszanowaniem kapelusz przed gwiazdkowym Humboldtem, życzył mu jeszcze wiele lat życia i podobnego w podróży powodzenia, i wyznał, że nie ma ani odwagi ani sił, aby mógł na tém polu puszczać się z nim w zawody. Kossak dezygnowany może jest, objąć z czasem berło po Rellstacie. Bo że pozycya jego w redakcyi „Gazety Vossa“ jest nadar zyskowna, i że nie może być utrzymaną bez pewnego talentu, oraz gruntownego zna-

nia, wszystkich eszt i wad „byrginzi“ berlińskiej, a nie ulega żadnej wątpliwości. W uraganie się rozsyła tejże prasy z czynności publicystycznych Rolnaka. przebiega się zatem i niemala, cząstka zazdrości.

Qattni rodzaj literatury, na której gwiazdka najwidoczniejszy wpływ wywiera, stanowią dziennikarskie a nawet broszurkowe anonsy, ogłoszenia, zawiadomienia, reklamy. Jest to w całej dzisiejszej literaturze rodzaj najwięcej poetyczny, wyobrażenia główną w nim gra rolę. Rozpatrując się w nim, daliśmy się trzeba, że mogą być ludzie oświeceni, którzy naszemu współczesnemu, zmaterjalizowanemu pokoleniu odmawiają wszelkiej zdolności do poezji. Niechże raz tylko jeden odczytają z wagą tylną część któregośkolwiek wielkiego europejskiego dziennika, a niech dopiero wezmą do ręki którykolwiek numer np. „Gazety Voss“ z czasu Gwiazdkowego, z trzema, z czterema, z pięcią dodatkami, w których nie niema prócz anonsów. Przedmioty najmaterjalniejsze z jaką tam przedstawiane bywają fantazją, z jaką idealnością! Są to jakby strofy, epizody, pieśni, „disjeta membra poetae“ wielkiej gwiazdkowej epopei Rolnaka. Przed niemi znany i „Czasowi“ śpiewak illustrowanego poematu, „Revalenta arabica“ poszedł w zapomnienie! Uczniowie i naśladowcy przewyżsali go w fantazji, jak Wirgiliusz Homera, mieszcząc piekło dzisiejsze razy głębiej, pod ziemią. Poeci ci stają na wysokości ducha czasu, znają dokładnie bieg polityki świata, przenikają moralne i materjalne niedole i cierpienia ludzkości, zgłębiają wady, cnoty, słabości, przywykaenia, zgrabiając całą fizyczną i duchową naturę człowieka, i do téj realnej znajomości świata i ludzi umieją, z wielkim talentem stósować idealność swojej fantazji. Dla tego każdy ich poemat nie przebrzmiewa w głuchém milczeniu, każdy znajduje pełną wiary publiczność, która go plaści brzęczącą moneta. Wiara uzdrawia, wiara całego zadzwolenia i szczęścia ludzkiego jest źródłem i podstawą.

Nie przytaczam ci wzorów téj nowoczesnej poezji szanowny Dodatkiewicz. Nie skończyłbym, gdybym ograniczył się do wyliczenia samój tylko trzeci tych idealnych poematów. Niepodobna, aby i w Krakowie

ten rodzaj literatury nie kwitnął. Polska wówczas postępowała z duchem czasu.

Aby się o tём przekonać, chwytam za jeden z ostatnich numerów „Ozamu“, które leżą na stole. Dalej bóg wie to tak samo jak w Atenach nad Sprową. „Ułopek miolowy dla cierpiących na piersi i płuc“, „Likier Juliusza Kromholza“, „Pomada przeciwko wypadaniu włosów“, „Proszki Seidlitzkie Molla“, „Płyn zmienny Bengtra do farbowania włosów“ i t. d. i t. d. Zapewne są wam znane i tutejsze smakowite poematy: „Woda Loba“ którą przypadkiem, będąc jeszcze dzieckiem, umyła była Julia Pasternak i dlatego na całym ciele włosami porośła, „Jablecznik Petscha“, „Glaubersalz Bultricha“, „Środki niezawodne przeciwko wszystkim ułomnościom i chorobom. Ale niewiem, czy wam są znane poematy: „Szmaragdki“, które wyglądają, oddychają, czują się jak żywe biusty, „Krynoliny“, które się nie łamią, nie pęcają, nie guiotą w żadnych, nawet w najmocniej ściśniętych towarzystwach i zbliżeniach, „Podwiązki, przepaski elektryczne“ utrzymujące ciepłik w najzimniejszych temperaturach, „Szłaśmyce“, odprowadzające wszelki ból głowy i t. d. i t. d.

Takie mając przed sobą przykłady, czyż godzi się skarżyć na brak idealności, na brak poezji w życiu? Życzę z całego serca, abyście braku takiego podczas świąt nie doznali, i przepędzili je z wesołością, jaką pożania lat dawniejszych pamięci naszej przekazały.

Paryz w grudniu

Każden korespondent piszący z Paryża w grudniu, o czem innemu jak o przyborach do Nowego Roku, pomija jedyną kwestyę żywotną — ten zaś któremu z góry powiedziano: „listy twoje mają być zwierciadłem odbijającym każdomiesięczną fizyonomię Paryża“, zwracając oczy w inną stronę, zupełnie rozumie się ze swém zadaniem. Nie mnie więc, ale siebie obwiniają, jeżeli wierny nadanej mi roli zwierciadła, a niezdolny nadać poważniejszego wyrazu francuskiej stolicy, znowu jej banalną, kolendową fizję ci ukazuję. Nie sądzi jednak, ażeby

tegożony dagierotyp paryżkiego grudnia był zupełnie do zeszłorocznego podobny: pomiędzy pierwszym a drugim najprzód ta zachodzi różnica, że tamten był w śnieżnej a ten w kwietnej szacie — co zamiast zimowego nadaje obrazowi efekt letni — powtóre, prócz tej fizycznej zmiany, zaszła druga, moralna, która wybiwszy na zewnątrz, dziwnie przyeźmiła zwykły blask gwiazdkowych oczu Paryża.

Wyobraź sobie, że pomiędzy prawowiernymi czcicielami Nowego Roku, pojawiło się silne stronnictwo protestantów, którzy śmieli się targnąć na patryarchalny obyczaj składania co 365 dni na ołtarzu tego boka zwykłej daniny. Heretycy ci, zarażeni ideami filozoficznymi, twierdzą zuchwale, że rozsyłanie 1 stycznia bileto w wizytowych obojętnej gromadzie znajomych, wieszanie, ściskanie rąk, rozdawanie całusów, prezentów i komplementów, jest śmieszną komedią, obłudnym kłamstwem, oburzającym, jak każda forma bez ducha.

Słyszac takie herezye, amatorowie kolend rozdających swoje i poprzysięgli zemstę nowatorom — sekta zaś anti-kolendzistów jakby ośmielona tém wyzwaniem, nie poprzestając już na ustnej i dziennikarskiej propagandzie, porozlepiała na murach stolicy następujące bdezwy:

„Paryżanie!

„Dopókiż zachowywać będziecie śmieszny zwyczaj rozsyłania w dzień Nowego Roku kart wizytowych? Dopókiż składać będziecie dobrowolnie swoim portierom dziesięcio-frankowy haracz w zamian za kwaśną pomarańczę? Dopókiż życzyć będziecie wszelkich pomyślności ludziom którzy wam są zupełnie obojętni, jeżeli nie zupełnie nieznośni? W imię prawdy, w imię uczciwości, zaklinamy was, saniechajcie tych przestarzanych przesądów! Miejcie odwagę waszych opinii — to najpierwsza enota obywatelska — stargajcie cukrowe pęta, które was gnioł, jak żelazne kajdany, połączcie się z nami, i zawołajmy razem: śmierć *etrenom*!

(podpisano) „Nieprzyjaciele obłudy.“

Afiszę sprawiły ogromne wrażenie. Tłum oblegał je nieustannie: jedni ciskali na nie błotem, drudzy mówili, że słusznie radzą; ztąd pomiędzy zażartymi przyszło do kłótni... do bitki... była nawet chwila, że się

obawiano powtórzenia krwawej nocy świętego Bartłomieja.... jakiejś rzezi świętego Sylwestra.... i kto wie co by się było stało, gdyby nagle oziębienie atmosfery cudowną niosąc pomoc przyjaciółom porządku, nie ochłodziło umysłów.

Korzystając z rozejmu, prawowierni energicznie pracują nad utrzymaniem *statu quo ante bellum*.

Cukiernicy jako najwięcej interesowani w tej kwestyi i literaci kolendowi, autorowie noworoczników, także mocno za obchodzeniem Nowego Roku obstający, w obronie wspólnej pomyślności zawarli z sobą ścisłe przyrzecze; pierwsi prześcigają się w konfekcyonowaniu cukrowych pokus — drudzy, wiedząc że łatwiej wpłynąć na ludzkość przez zmysły niż przez umysł, przynieśli im do oczukrzenia swe płody.

Jeden z najślawniejszych poetów francuzkich, tak pisze do sławnego cukiernika z włoskich bulwarów:

„Łaskawy Panie! W trudnych okolicznościach podajmy sobie ręce. Przepowiadam ci wielki odbyt, jeżeli swoje noworoczne cukierki obwiniesz w kartki wydarte z ostatniego tomu moich poezyj. Zezwalam na to chętnie. Zbyt długo sztuka twoja poprzestawała na rymowanych końcówkach — czas już żeby się zbratała z prawdziwą poezją. Oto co mi podyktowała muza. Niechaj moje natchnienie wspiera twój geniusz. Zwracam twą uwagę mianowicie na *Medytację* (stronnica 22), *Balladę* (stronnica 138) i *Sonet* (stronnica 210); utwory te są napisane zupełnie w stylu twoich cukierków.“

Dramaturgowie i romansiści inne znów piszą odezwy do cukierników. „Kochany panie Boissier! — woła Dumas w swoim dzienniku, najwzrząśliwszym instrumencie w koncercie prasy paryzkiej — Panie Boissier, mając na względzie twoje dobro, pozwalam ci wykonać moje popiersie z czekolady, upewniając, że je sprzedawać będziesz na setki. Jeżeli chcesz fotografii, dam ci ją z całego serca — w zdrobnieniu ślicznie się wyda na karmelkach. Ponieważ zyczliwość moja dla ciebie jest bez granic, radzę ci także po przyjacielsku, żebyś nowe płody swego geniuszu illustrował imieniem moich arcydzieł; cukierki ochrzczone nazwą: *Monte-Christo*, *Antony*, *Mousquetaire*, lub tym podobnie, jeść będą na wyścigi roje gośczących u nas oudzoiemców. Zrób jak ci radzę.

Reka, rękę mijsz: włóć mnie w swoje pociółka, ja siedzę w mój dziennik, a obaczysz to obaj dobrze za tén wydzieny."

Fabrykanci przedmiotów zbytku, nie dowierzając już działaniu samych wdzięków swych cacek na umysły po większej części zatrute doktryną anti-kolegdzistów, uderzyli silnie w moralną stronę nabywców: przemawiając do uczuć miotających aini w tej chwili. Jakżeż na przykład, nie skorzystać z okazji Nowego Roku i nie podarować małodź a czulej wdowie po Angliku co zginął pod murami Delhi, Nena Saiba, powieszonego a priori na najwyższej gałęzi indyjskiej Catalpy — mianowicie jeździ i drzewo i barbarzynieć pięknie z brązu wykuć? Jakże nie kupić splakanęj rodzinie i jego wielbicielem przepysznego popiersia jenerała Cavaignaca, które tylko co wyszło z pracowni Preaulda; jakżeż nie kupić mistrzowskich sztuchów przedstawiających indyjskie rzemie, o których teraz cały świat gada — brązowej maski zdjętej z twarzy zmarłego Bérangera, po którym jeszcze Paryż płacze — mikroskopijnego *Lewiatana* z kości, którego obecnie cała Anglia na ocean spycha — przelieźrzej zabaweczki przedstawiającej oświecone gazem wewnątrz projektowanego pod kanałem Kaletańskim tunelu, po którym biegają rozpędzone lokomotywy, wlekanie długie pociągi przepelnione wojażerami; jakże nie kupić dzieciom *Sebastopola*, nowęj nader mądręj i artystycznie wykonanęj gry, za której chłopcy uczą się zarazem strategii, marynarki, estetyki i miłości ojczyzny — jakże nie kupić żonie indyjskiego szala, kiedy teraz takie drogie — córce wachlarza z indyjskiego sępa, kiedy taki modny — synowi brązowej galeryi francuskich żołnierzy, kiedy taka piękna!

Tchu by mi brakło gdybym chciał wymieniać wszystkie łapki zastawione tu co krok na przechodnia, wszystkie samotrzaski w które wpada upojony nie tylko umysłowa żądza ciała, ale zagrzany świętą miłością kochanęj ojczyzny, czcią dla bohaterów, entuzjazmem dla sprawy postępu, społeczniciem dla cierpiącej ludzkości, poczuciem obowiązku, piękna, prawdy i chwały...

Jeżeli najżywotniejszą dla ogółu jest obyczajowa kwestya etren, najważniejszą dla pewnej klasy ludzi jest kryzys finansowa. Straszna ta hydra rodem z Ameryki,

przebiegłszy morną, jak powietrzna trąba wpadła do starej Europy, i zawiodła w niej taniec, znacząc swe przejście zniszczeniem i ruiną. Szkody jakie sprawiła, na miliony rachują po świecie; stosunkowo Paryż dotąd najmniej ucierpiał: plaga ledwie drasnęła szczyty jego w przelocie i przemignęła... przekłeta? gdsietam, żalowana. Nieinaczej. Powszechność tutejsza żaluje, iż kryzys nie zatrzymała się dłużej w Paryżu, bo skutek jaki wywarła na tłuste sakiewki, wróżył pożądane dla obudych odmiany. I tak na przykład, restauratorowie przerażeni brakiem odbytu na ortolany, trufie, ananasy i papusie wątróbki, gotowi już byli zniżyć wysokie ceny beczelnie utrzymujące się na kartach od czasu Wystawy powszechnej — ale zanim przyszło do wykonania humanitarnego przedsięwzięcia, kryzys przemignęła, a stałotytno addycye zostały. Toż samo co do pomieszek. Właściciele domów, których też kryzys także do filantropijnych skłoniła rozmyślał, zbyt prędko ochłonąwszy ze strachu, nie tylko nie myślą już o podaniu litościwszych warunków lokatorom, ale zadają sobie pytanie, czyby nie było słusznie malenkiem podwyższeniem czynszu kazać sobie wynagrodzić doznaną trwogę? — Toż samo kupcy. Czemużbyśmy i my, mówią, drobną podwyżką ceny towarów, nie mieli sobie zapłacić niepokojuw które tak srodcie trzęsły nami przez chwilę? Któż jeżeli nie konsumenci, nagrodzi nam doznane straty?

Oóż mają tedy począć owi konsumenci skazani na płacenie wszystkich rozbitych garnków? Poddają się jak zwykle woli mocniejszego — niektórzy cieszą się nawet głośno z powrotu pomyślności, ale po cichu żalują że amerykańska hydra choć miesiąc dłużej w Paryżu nie zabawiła.

Zaraz po kwestyi finansowej, owiej burzy której odległe grzmoty jeszcze od czasu do czasu rozlegają się po kontuarach, badzą trwożliwe echa w sercach bankierskich — następują w porządku dziennym Veullot i Lewiatan. Obaj w ostatnich czasach dostarczyli obficie materyi do zapełnienia kolumn dziennikarskich. Pierwszy drażni małością, drugi wielkością zdumiewa. — Recenzja Bérangera oburzyła nawet tych, co przez długie lata mieli czas oswoić się ze stronniczością redaktora *L'Univers* i do jego stylu przywyknąć. Sobrykiet Tur-

lupina, którym uczył zmarłego pieśniarza *Francy*, sprowadził mu grad pocisków i tysiące najśmieszniejszych przydomków. Ciskano mu w oczy kamienie, za które kamienowany nie odrzucał chlebem; obie strony nadto zażarcie się gryzły, żeby mogły być sprawiedliwe tak w sądach jak w zarzutach. Kto tu miał słuszość, trudno było zrozumieć wśród krzyku. Skoro nieco uciechła wrzawa, ozwały się głosy na zimno oceniające polemikę *Veuillota*, i zgodziły się na to, że talentowi jego brak niezbędnych warunków do odgrywania roli jaką sobie zakreślił.

Najprzód nie umie on wypowiedzieć rzeczy zwięzłe: artykuły któremi *Veuillot* dziennik swój zapelnia, są długie i rozwlekłe, co jest w dziennikarzu wadą, nawet wtedy, kiedy chwali jezuitów; powtóre, lubi łżyć ludzi, co także nie jest przymiotem, a mianowicie też wtedy razi, kiedy autor mówiąc o rzeczach poważnych, potyczkuje z dykcjonarza przekupek. *Veuillot* bowiem rzadko dyskutuje ze swymi przeciwnikami, ale często pluje im w oczy, obryzuje błotem, wymyśla im od ostatnich słów; w recenzjach jego brzmią na przemian dwa tony: szyderstwo i obelga. Autor „*Wolnych Myśli*” nie przeżyłby tygodnia, żeby kogoś nie wyczubił, nie powiedział o kim: *que c'est un navet, un cheval, un turlupin, un pied plat, un indigne routier, un malandrin, un montreur de chiens savant, i t.d. i t.d.* Powyższa dyalektyka zjednała mu w Paryżu przydomek: *Grand Sottisier*, jego zaś sposób pisania przezwano szkołą *de haut éreintement* — i poniekąd słusznie, bo zaprawdę, taki język nie przystoi religijnemu obrońcy — a jeżeli kto nie ma w duszy pokory, słodczy i miłości chrześcijańskiej, w winnicy Pańskiej skutecznie pracować mało zdolny.

Kwestya *Lewiatana* podwójne budzi zajęcie; obchodzi ona nie tylko interesowanych w przedsięwzięciu ludzi i dumę angielską, ale tysiące milionowych kosmopolitów, którzy patrząc przez teleskop na wysilenia robotników pracujących nad opanowaniem *Lewiatana* jak na liliputów krępujących *Guliwera*, zapalają się do walki, i jedni wróżąc dziełu pomyślny koniec, drudzy przepowiadając mu los wieży *Babel*, o grube idą z sobą zakłady. Zeszłego tygodnia paryzkie kluby ze szulerską emocją

czytały nadawane z nad Tamizy sprawozdania podające rezultat każdego-dzienniej pracy, rachujące z matematyczną ścisłością, ile cali potwór morski uszedł ku rzece przez godzinę, lub ile minut zaciąwszy się, stał upornie na miejscu. Zapasy Anglików z *Lewiatanem* stały się dla Francuzów nowego rodzaju igrzyskiem, podobnym do starożytnej walki Gladiatorów (bo i tu niestety krew ludzka płynie), widowiskiem wywołującym też same wrażenia co walka byków lub konne wyścigi; zakłady w Anglii przechodzą podobno dziesięć milionów.

Partya jest w samą rzecz ciekawa. Kto ją wygra? Czy rozum ludzki wyjdzie z niej zwycięzko? Czy pokona przeszkody które zabobon z góry nazwał niepodobienstwem? — Czy też ulegnie, przywalony ciężarem materyi? Bliska przyszłość pokaże. To jednak już dzisiaj twierdzić można, że czy *Lewiatan* taki jak jest, odda czy nie odda spodziewanych usług marynarce, posłuży niezawodnie przyszłości za bussolę, wedle której orjentować się będą na morzu wynalazków wszyscy późniejsi architekci okrętów.

Rzecz godna uwagi, że w Anglii rodzina Brunel zdaje się powołaną do wykonywania olbrzymich pomysłów: Brunel wykopał tunel pod Tamizą, syn jego zbudował *Lewiatana*.

Czy prelekcye Boyera o Mickiewiczu także do ważnych wypadków tego miesiąca policzyć należy — czy francuzkie waryacje ułożone na najdroższy dla nas temat, mogą mieć jaki powab dla polskiego ucha? jestto pytanie na które nie umiem sobie odpowiedzieć, nie wiedząc jakim okiem pogląda na paryzkiego profesora poezyi powszechnej, kraj ze swego teraźniejszego obserwatorium. — Nam, co na tę katedrę patrzymy z bliska, czyni ona wrażenie szopki, w której mędrców i proroków pokazują taki przy łojowej świeczce. My, cośmy się wykarmili mlekiem dum naszego Adama, dla których dzieła jego są przybytkiem ducha narodowego, świątynią w której złożyliśmy naszych myśli przędzę i naszych uczuć kwiaty — my niechętnie widzimy tych co dla zabawy gminu z tego świętego ognia puszczają fajerwerki — często nawet oburzamy się na Francuza, co dla zyskania rozgłosu, stylem bulwarownego zęborwacza

prawi emalowe duby o arcydziełach, których nigdy nie czytał.

Ażebym z takiego wykładu być zadowolonym, potrzeba cenić Mickiewicza jak ceni kochankę pyszałek, który wtedy tylko czuje dla niej zapaly, kiedy jej gawiedź bije poklony. Tego co kocha prawdziwie, banalne admiracye boją jak obełgi, a aureole ze słomianego ognia rażą jak fałszywy brylant na ubóstwioném czole.

Nie wiem czy podzielasz to zdanie — ale gdybyś nawet inaczej sądził, darciebiez, że na ten raz ciekawości twojej nie zaspokoję, po bliższe zaś szczegóły o prelekcjach Boyera, jeżeli ich pragniesz, odeszłą cię do książki w której wykład jego znajdziesz drakowany.

W teatrach dotąd nic znakomitego. Pan Girardin namysla się, czy przedstawić czy nie przedstawić publiczności „Córke Milionera“? ze zwykłą sobie oględnością przewiduje bowiem, iż jej nadto okrzyczana piękność może łatwo tak autorowi jak widzom bolesne sprawić zawody. Chowa ją przeto w tece, i radzi się przyjaciół, czy ową córę wydać na pastwę ludzkich namiętności, lub też ją spalić na oltarzu Momusa? — Autor „*Deinow z kamienia*“ jeszcze nie wykończył zapowiedzianej sztuki „*Les fausses bonnes femmes*“ mającej stanowić pendant do wybornej komedyi „*Les faux bons hommes*“ której 192gie przedstawienie ogłaszano niedawno w Vandevillu. — „*Rozrzuconego Ojca*“ Dumasa Syna, którego genialność także naprzód otrąbiła prasa paryzka, dotąd również nie przedstawiono. — Pięcio-aktowy dramat p. Brisbarre „*Rose Bernard*“, nie udał się; sztuka Pawła Masseta „*Christine, roi de Suède*“, przeciągłe ziewania wywołała w Odeonie; Komedia Francuzka wraz z panną Rachel wpadłszy w suchoty, okłada się emetykowemi plastrami sporządzonemi w mieszczańskiej aptece Scribego — na co z marmurowego swego krzesła patrząc Voltaire, już nie uśmiecha się, ale śmieje się na całe gardło.... słowem, czy to na dramatyczne, czy na literackie spojrzysz pole, obaczysz tylko mierność lub nicość, i stwierdzisz smutny fakt dezercyi ludzkiego geniuszu, który z bronią i z całym bagażem swęj potęgi przeszedł do praktycznej armii wynalazców, i ożenił się z Burzą.

Toż samo w dziedzinie harmonii. W Operze wielkie śkakują. Dla Komicznej pan Ambroise Thomas napisał

nową, operę pod starym tytułem: „*Kornwał Wenecki*.“ Utwór ten zyskał powodzenie. Wprawdzie Thomas nie jest kompozytorem ani lekkim ani wesołym, i może najmniej zdolnym do stworzenia owego rozkosznego, wiecznie na skrzydłkach fruującego kolibra, zwanego *Opera Buffa* — ale któż dziś jest wesołym, inaczej jak przez nieświadome postanowienie swęj woli? Pan Thomas powiedział sobie: będę wesoły, słuchacze powiedziełi sobie też samo — i dzięki téj obustronnej mocy charakteru, opera, mianowicie tym co jęj nie słyszeli, wyda się arcydziełem.

Teatr włoski śpiewa „*Don Pasquale*“ — ale żeby go wysłuchać do końca, trzeba także uzbroić się w silną wolę, a mianowicie zatrzeć w pamięci pienia owych słowików, co go dawniej śpiewały. Gdzież oni? Głusi wydudza jeszcze oklaski po świetle; Lablaehe gdzieś pod włoskim portykiem wygrzewa się na słońcu. Tamburini łowi na wędkę ryby w Sekwanie, dzień cały filozoficznie spoglądając w jęj narty. Z całej staręj gwardyi sam tylko Marie pozostał — i od początku do końca sztuki chodzi wśród rekrutów jak gdyby szukał znajomych twarzy: na miejscu Lablacha widzi prozaiyczną postać Zucchinię — w ubiorze Tamburinię, pana Corsi; zamiast płomiennych oczu Giulii, wyblakłą twarz pani Wilhorst.... przechodzi więc smutnie, jak talarz w obcym kraju, którego obyczajów nie zna a mowy nie rozumie, i powtarza w duszy słowa trapiisty: „Bracie, trzeba umrzeć.“

Patrzalem na nich jak on. Może ci nowi aktorowie śpiewają dobrze — może i dobrze grają, — może — ale to nie tamci, to nie tamta anta... bracie trzeba umrzeć!

Londyn w grudniu.

Graz przed Bożem Narodzeniem odznacza się tu zarwaczaj wydawnictwem mnóstwa dzieł nowych, jak gdyby autorom szło o to, by przy końcu Starego Roku zdać rachunek z wszystkich jego nabytków umysłowych. Niemożna jednak powiedzieć, by spis ich był zbyt przeciętany poczytłab romanсами; zbieg ważniejszych wydarzeń i czynno-

ści odwracał widocznie umysły od pola smyleń i marzeń. Uposobienie też ducha narodowego nie było po temu, by im tego roku przysparzać czytelników, zwłaszcza, że rzeczywistość z swemi wypadkami przewyższała o wiele sam świat idealny; on obok niej malał i blade się odbijał. Dla tego poważna rzeczywistość niemal wyłącznie zajmowała tak piszących jako i czytających. Najwięcej też wychodziło dzieł historycznych i politycznych, podróży po różnych krajach, a szczególnie opisów Indyj, gdzie walka o panowanie nad dwukrotnie milionową ludnością obecnie się toczy.

Przezierając katalog podróży, znajdujemy, że wyszło dzieło znanego już wam podróżnika Dra Livingstone: „*Travels and Researches in South Africa*,” w dwóch tomach. Zawierają one nieoszacowany skarb postrzeżeń i odkryć w środkowych krajach południowej Afryki niezbadanych dotąd przez nikogo, a które ten odważny podróżnik w podwójnym charakterze jako uczeń Hipokrata i jako apostoł chrześcijaństwa starał się zbadać i pierwszy je dokładnie opisać. Opisaniami tych krajów, nieznaną ich produkcję i plemion ludzkich stałego lądu Afryki, zajął on jak najmocniej uwagę rządu i publiczności. Obecnie rząd zamierza wysłać naukową i handlową wyprawę na rzekę Zambesi dla zawiązania przyjaznych stosunków z mieszkańcami środkowej Afryki. Dr Livingstone ma towarzyszyć jako przewodnik tej wyprawie. I nikt nad niego nie może być do tego sposobniejszym, gdyż 15 lat na wędrówkach między dzikimi plemionami tam przepędził.

Drugim a niemniej ciekawem dziełem podróży, co teraz wyszło z pod prasy, jest: „*Oriental and Western Siberia*,” Opis wschodniej i zachodniej Syberyi przez Tomasza Atkinson. Jużem wam poprzednio donosił był o nim, lecz pozwolicie, że znów zwrócę nań waszą uwagę, zwłaszcza, że cesarz Mikołaj miał zamiar zamieścić, i z tem się nie tał, „Syberyę w Polskę”. I w samej rzeczy, Syberya już w znacznej części stała się prowincją polską, a pręto warto, byśmy ją bliżej poznali. Już od czasów wojny Piotra W. z Karolem XII królem szwedzkim, jak p. Atkinson świadczy, i nam samym to niebyło tajno — znajdowały się w Syberyi osady polskie z jeńców podczas wojen Karola XII zabranych i do

Tobolska zastanych, skąd niepozwolono im powrócić do ojezyny. Następcy Piotra I. idąc za danym przez niego przykładem, mieli zwyczaj zaludniać ciągle dzikie pustynie Syberyi ludnością polską, a Mikołaj najwięcej tam polskiego ludu zapędził. I kto wie, czy nie jeden z owych, którym dozwolono niedawno wrócić z tamtąd z wygnania, nie potrafiłby równie dobrze jak Atkinson opisać te odludne krainy, a nawet lepiej od niego wykryć — o czém ja przynajmniej nie wątpię — ukryte przed ludzkim okiem wewnętrzne ich skrytości i cierpienia. P. Atkinson jako posiadający specjalny paszport od cesarza Mikołaja, ten amulet, który mu otwierał całą przestrzeń Syberyi, i przed którym za okazaniem go władze tamtejsze czołem biły — widział wprawdzie powierzchnię Syberyi; ale niemógł zajrzeć do miejscowych jej tajników. Nieopisuje też ich, i ledwo ich się dotyka; cała malowniczość pióra i pędzla jego zwróconą była na pasma olbrzymich gór, na obszerność jezior i rzek, na zamierzochłe lasy, na miny z ukrytymi ich rzeczywistymi i domniemalnemi bogactwami złota, srebra, miedzi, malachitów i innych drogich kopalin. Ostatek i stan jego w tych dzikich pustyniach najmniej go zastanawiał, prócz ubiorów różnoplemiennych hord koczujących, jakie tam napotykał, i kostiumami ich też suto przyozdobił swe dzieło. Z p. Atkinson więc i z imperatorskim jego paszportem zapuszczając się w głąb Syberyi, możemy obeznać się z powierzchowną jej postacią, patrząc zawsze, jak się rozumie przez szkła urzędników, którzy nim się ciągle opiekowali. W pierwszym rozdziale ogłoszonego dzieła, czytamy opis podróży autora z Petersburga do Ekaterynburga; stolicy Uralu i środkowego punktu bogactw kopalni uralskich, które tenże zwiedził. Na opis różnych tam przygód, jako też stanu społeczności i obyczajów tamecznych, które go jako oudzoziemca, choć powierzchownie rzeczy biorącego, niemogły swą odmiennością nieuderzyć, poświęcił ośm pierwszych rozdziałów. Z Ekaterynburga pędził się na wschód batem rzeką Cysowają. Dziwniej konstrukcyi był ten statek, z desek brzozowych zbitych bez gwoździ żelaznych, a pomost na nim z traw oddzielny, aby na przypadek rozbicia się statku, można było na nim się ratować od zatonienia. Żegluga tę je-

dał na Orysowie szczytówie odbył, i zwiędając po granicze azyatyckiej Rosyi, dotarł aż do Barnaulu, tegoż miejsca hepałni gór Altajskich, co opisał w następnych dwóch rozdziałach. Ztamąd, jako z głównego punktu, robił w różne strony ekaploracyjne wyieczki. W siedmiu rozdziałach opisuje jedną z tych wyieczek na Cholsun, stanowiący część pasma gór Altajskich, a drugą na rzecę Irtyżu ku granicom Chin, i oraz pobyt swój w stepach kirgizkich. Poświęcił cztery rozdziały na opisanie pobytu swego w krainie Kalmuków, i detailed rękę Katunąją do samych jej źródeł w olbrzymich górach Bieluki, wdrapał się na jej szczyty, oglądał paszczę Oulan-Kumską, Noor Aralski, szczyty gór Cengajskich, jakoteż olbrzymie pasmo gór Syanzanu, których według niego żadne oko europejskie niewidziało, i ani Lewaszyn, ani Tymkowski, ani Karmann ich niezwiedzili. Ztąd wydawałoby się, iż on głębiej i dalsz dotarł niż oni. Następnie opisuje pobyt swój w Chalkas w starożytności i w Chińskiej Tartarii, wyieczkę na wschodnią stronę Bajkału, dotarcie aż pod chińskie miasto Czyn-si, zkęd puszczają się tym samym szlakiem, którym niegdyś Dżingiskhan wiedeł był od Wasbodu swe dzikie hordy, i przebywszy do 40,000 mil angielskich, to konno, to na łodziach, do wózków przez stepy, przybył na powrót do Barnaulu. Ani Jezniet, ani Dominikanie dawniej tam niedotarli, gdzie on był — ani Huc ani Gabet z nowoczesnych. Ci ledwie dojrzeli byli „krainę trawy“ po za pustynią Gobi leżącą, ale nieprzdarli się do Chalkas, o którą jak wieści niosą, Rosya teraz się kusi. Na opis tej tatarskiej podróży swój pan Atkinson pięć rozdziałów poświęcił. W ciągu niej wystawiony był na różne przygody i niebezpieczeństwa od plemion koczujących, a podejrzewających go jako obcego o tajne zamiary. Niebezpieczeństwo to, jak mówi, groziło mu najwięcej od abiegów z chińskich wędzich, waleśających się na pograniczu Chińskiem i tygajnych rozhojem. Lecz strzelba nabita i pistolety za pasem, były dla nich postrachem. Prócz tego towarzyszyła mu częstokroć eskorta wojskowa rosyjska, i wolno mu było granicze Chińskie przekraczać i nasad powracać. Taki był wyraźny rozkaz w jego paszporcie; i zaino nalezwyczajny to był względ dla niego. Ostatni rozdział

bajanie, podróż, z Barmoula w góry Szajankie i przez środek Wschodniej Syberji do jeziora Bajkał. Ono było ostatnią i najciekawszą częścią kresu jego podróży.

W przedmowie dyplomacyi, w celu objaśnienia jej działań, wyszło dzieło: *The State Policy of Modern Europe*, to jest: Polityka nowoczesnej Europy od początku szesnastego wieku do teraźniejszych czasów, w dwóch tomach. Wyszło bezimiennie, pod powagą jednakże swego nakładcy Longmana, którego firma nie blahaego niewydaje. Niewdzięczny to przedmiot. Już Mabiy, Flassan i Martens pisali o nim, ciężkie tomy; po nich ani Koch ani Anpillon nie zdołali ich lżejszemi i powabniejszymi dla czytelników uczynić. Toż samo można tu o pracy nieznane go nam autora powiedzieć, lubo dla koryści dyplomacyi może ona być niepłonna, a nawet ucząca. Rozbiór dawniejszych traktatów między-narodowych jest, ciężki i suchy, i jako bez związku z teraźniejszością, czyta się obojętnie aż do kongresu Wiedeńskiego, odkąd styl autora poczyną być nieco żywszym, ale na to skandalicznym. Znany z dowcipu książę de Ligne, według niego był na owym kongresie bożkiem śmiechu; pańi Krudener prorokinią, a Tayllerand Mefistofeilesem. Ciało dyplomatyczne tego kongresu „tańcującego“ jak go ks. de Ligne nazywał, kosztem cesarza Franczaka podejmowane, kosztowało Austryą 50,000 eodkionnie; a pewien monarcha zwykł był klasyfikować piękności, pod ten czas znajdujące się w Wiedniu, na *beauté triuiale*, *beauté céleste*, *beauté du diable*. Ostatni kongres paryski tak dalece jeszcze nieotrzymał od autora odznaczającej go cechy. Zachował się z tem na później.

W pokrewieństwie z tém dziełem zostaje: *A Year of Revolution*. Rok Rewolucyjny 1848, w 2 tomach, przez margrabiego Normanby, podówczas ambasadora angielskiego we Francji. Jest on ogłoszeniem dziennika, jaki ten poseł utrzymywał w ciągu zaburzeń paryskich, od abdykacyi króla Ludwika Filipa aż do ogłoszenia republiki. Dziennik ten ztąd ważny, że jest niejako kroniką wypadków ówczesnych, spisana przez bezstronnego widza, umiającego dostatecznie je ocenić, a który zapatrując się na czyny i charakter ludzi na scenę polityczną, występujących ze stanowiska swego jak Anglik, prajak

republikancką teorię z nienaturalnością. Oceniając charakter Ludwika Filipa, upatruje w nim brak królewskiej powagi, a w ocenieniu Guizota brak politycznego rozsądku i przenikliwości. Już przed wybuchem rewolucyi wiedział lord Normanby na co się zanosilo, i uprzedził swój rząd o tem. Co się zaś tyczy stronnictwa republikańskiego, Lamartinowi nieodmawia szlachetności uczuć, ale obwinia go o zhytnią próżność, która miała mu być na przeszkodzie do porozumienia się z Odillonem Barotem w przedmiocie refencyi. Upadek Cavaignaka przypisuje jego niechęci zerwania z Ledru-Rollinem i niezłomności jego republikańskiej, co przeszkodziło mu drogą koncesyj zyskać umiarkowaną część narodu. W końcu Ludwik Napoleon przedstawił mu się jako jedyny mąż przyszłości. Mało zresztą o nim mówi, a to co mówi nie jest z krzywdą dzisiejszego Cesarza.

Lord Normanby przed rozpoczęciem swęj karyery dyplomatycznęj słynął jako romansista. Przytaczam tu z jego dzieła jedno zdarzenie, które choć rzeczywiste, zakrawa przecie na romans. Wiadomo, że jeden z synów Ludwika Filipa książę Monpansier, zaślubił był księżniczkę hiszpańską; miała ona tylko lat szesnaście podczas wybuchnięcia rewolucyi grożącej całej rodzinie Orleańskiej ruiną. Ta księżniczka opuściwszy pałac Tuilleries, sama jedna błakała się długo między tłumami wzburzonego ludu, pragnąc znaleźć kogo znajomego, któryby mógł dać jej, w tak przykrem położeniu choć tymczasowe schronienie. Widać, że lord Normanby ją poznał; lubo jako dyskretny dyplomata niewyrażaie o tém wspomina, ale z najrzewniejszem rozczuleniem o tę biedną księżniczkę się rozwodzi. Dość powiedzieć, że błakająca się młoda księżniczka otrzymała od Lorda Normanby jako ambasadora paszport angielski pod obcem nazwiskiem, i tak zaopatrzona, w towarzystwie przydanego sobie przewodnika, a bylego adjutanta królewskiego, puściła się z Paryża w podróż do Anglii. Lecz nie koniec na ucieczce z Paryża. Przybywszy do Abbeville, władze rządowe już były zawiadomione, aby czuwały. Trzeba więc było wszelkięj ostrożności aby się ukryć; a jak na nieszczęście noc była ciemna, przytem deszcz ulewny z wiatrem. Aby księżniczkę od bary ochronić, trzeba było wyszukać jaki taki szlachę lub

budę za ustroniu leżącą, gdzieby zatrzymać się mogła nim się najmie pojazd. Upatrzone w końcu opróżnioną budkę kramarską, dokąd księżniczka prowadzona wśród ulewy i burzy, idąc w ciemnej nocy wpadła w kałużę i trzewik jeden zgubiła. Doszedłszy do swęj ochronki, zziębnięta i cała przemokła czekała dopóki nieprzyprawiono pojazdu. Ten gdy w końcu nadszedł, a litowano się nad nią, rzekła z uśmiechem: „*Eh bien, j' aime mieux ces aventures que la monotonie de la table ronde de travail dans les salons chauds et somptueux de Tuilleries.*” Co po polsku: wolę ja takie przygody jak bawiąc się fatalaszkami siedzieć choćby na najmiększej kanapie.

Wiele tego roku wychodziło dzieł i broszur o Indjach. Najnowszem z takowych pism jest: „*History of the British Empire in India*”, Dzieje panowania angielskiego w Indjach, przez Dra Nolan, który niedawno wydał także wyborny opis ostatniej wojny z Rosyą. Historya jego o Indjach niezmierniej w teraźniejszych czasach jest wagi. Skreśla w niej zdobycie tego kraju przez Anglików od samych początków, awyścięstwa ich wodzów i czyny ludzi stanu, przepych wschodnich dworów i obozów; opisuje dziwną piękność kraju, jakoteż charakter indyjskiej ludności, jej zwyczaje, stan religijny, polityczny i społeczny, na ostatek zakończy uwagami nad rozwojem handlu jaki Indye prowadziły i na przyszłość prowadzić mogą. Dzieło to wiele uczące, pięknemi rycinami jest ozdobione.

Wzmianka o tem dziele przywodzi mi na myśl nowe ważne uzadnienie w Indjach, którego tu pominąć nie mogę. Rozkazem dziennym wydanym do wojska angielskiego, naczelny wódz Sir Colin Campbell wkłada obowiązek na wojskowych, aby się uczyli krajowego języka hindostańskiego, nakazuje pułkownikom, aby kapitanowie a szczególnie młodsi oficerowie w ich pułkach po hindostańsku mówić mogli. Przy każdym pułku utrzymywani byli tłumacze, mają oni teraz urządzać szkoły pułkowe i uczyć przez godzinę codzienną po hindostańsku, o ile okoliczności służby na to pozwolą. Kapitanowie i podwładni ich mają z obowiązku uczęszczać na te lekeye. Nawet komendantom pułków poleca wódz naczelny bywać czasami na lekeyach, już to dla nadania powagi tłumaczom, już to dla zachęty uczących się, tak

jakby odbywali swyłą paradę wojskową. Pułkownicy powinni też wynajdywać z tłumaczami prywatnych nauczycieli dla oficerów chcących rychlejsze postępy robić w znajomości tego języka. Dodaje przytem Sir Oola Campbell, iż ten rozkaz dzienny wydał, stosując się do instrukcyj, jakie od ks. Cambridge, głównego wódza wojska odebrał.

Oficer nie znający języka krajowego nie kwalifikuje się wcale do zajęcia najniższego stopnia w sztabie wojska angielskiego w Indyach. Po upływie sześciu miesięcy od dnia jak kto przyjedzie do Indyj, jenerałowie oddziałów wojskowych obowiązani są nadsyłać raporta o postępie uczynionym przez adjutantów w języku krajowym. Żaden z oficerów nie będzie odtąd przyjętym do służby sztabu jeneralnego, dopóki nie dowiedzie, iż łatwo mu się rozmówić po hindostańsku. W moc tego rozkazu, każdego 1go stycznia i każdego 1go lipca mają być nadsyłane z pułków raporta imienne oficerów, którzy z nich i o ile wydoskonali się w tym języku. Raporta takowe mają być podpisywane przez tłumaczów i kontrasygnowane przez komendantów pułków. Przez powyższe urządzenie ułatwia się nabywanie języka krajowego nawet w obozach, i wódz naczelny nie przyjmie żadnego usprawiedliwienia się z niewykonania tego rozkazu, pod pozorem że nie stało się w koczarach lub na kwaterach ale w obozie. Ztąd widać, że Anglicy nie narzucają Indyanom swego języka, lecz sami uczą się ich mowy, bacząc nie tylko na to, że będąc w mniejszości, łatwiej im to przyjdzie, jak tylu milionom krajowców, lecz oraz na to, że naród panujący winien znać mowę swych poddanych, a tém mniej jeszcze, zmuszać ich, jak to gdzieindziej się dzieje, do w, rzekania się własnej swój mowy jako hełockiej. Polityką i prawie zasadą Anglii jest, jakto nieraz nadmieniałem, szanowanie wszystkiego co jest narodowe i krajowe. Zasadą tą cały naród jest przenikniony od najniższego yeomana aż do tronu. Tę zasadzie gwoili, nawet tak mało znana narodowość celtycka, jak dawnego księstwa Walii, znalazła uwzględnienie, a z polecenia Królowej przydany był osobny nauczyciel przed kilku laty księciu Walii i następcy tronu, aby go obeznał z językiem i dziejami tej ziemi celtyckich Cymbrów, od któ-

ręj nadany mu był tytuł księcia, a w przyszłości i pa-
nowanie.

Jak zazwyczaj w tej porze, wyszło mnóstwo rozma-
itych dzieł na podarunki noworoczne, albo raczej jak
tu woła, na *Christmas Gifts*. Na almanakach tu się nie
kończy, ale najcenniejszych autorów uchodzących za kla-
sycznych w literaturze angielskiej, ogłaszają w najzdo-
bniejszych wydaniach i z najwyborniejszymi rycinami,
aby bez zawstydzenia mogły przez cały Nowy Rok figu-
rować na stolikach w pańskich salonach. Tego roku
najpyszniej *Poezye* i *Pieśni* Roberta Burnsa szkockiego
poety były wydane, z winietami rylca najsławniejszych
sztucharzy. Szekspir także wyszedł pięknie ilustrowany.
Księgarz Bohn wydaje także cenniejszych autorów, ró-
wnie starożytnych jak nowoczesnych w przekładach, za
tanie ceny. U niego wyszły właśnie Hegla *Przekłady o*
Filozofii Historii. Tłumaczył je p. Sibree.

Nauki przyrodzone straciły niedawno wiele przez
śmierć p. Conybeare. Zostawił on bogatą bibliotekę, któ-
ra w tym miesiącu była sprzedana na licytacji. W zbiorze
starych rękopismów znajdował się przekład nowego
Testamentu przez Wiklefa, najpierwszy w angielskim
języku. Sprzedano go za 145 fśt. A nie był on nawet
własnoręcznem tego Reformatora pismem, lecz przepisa-
ny cudzą ręką. Tak wysoko cenione są tu dla swęj
rzadkości, pozostałe po Wiklefie pamiątki. Czytanie te-
go przekładu jak najsurowiej przez konwokację Ox-
fordzką r. 1408 było zabronione. Dziś cała biblia zo-
staje we wszystkich rękach, i nie znajdziesz języka na
kuli ziemskiej, na któryby Nowy Testament nie był prze-
łożony.

Na zakończenie literackiego przeglądu w tej porze,
niech jeszcze wspomnę o dziełku: „*Many Thoughts on*
Many Things“, „Wiele myśli o wielu rzeczach“ przez
H. Southgate. Jest to wybór najpiękniejszych myśli z ró-
żnych autorów znanych i nieznanych zebrany i systema-
tycznie uporządkowany w kształcie antologii. Przerzuca-
jąc ten skarbiec, natrafiłem przytoczoną piękną myśl
Whilmota: „Literatura jest nieśmiertelnością mowy. Na-
balsamowała ona na długie wieki imiona zeszlých mó-
carzów myśli, i stoi na straży przy nich a wiekuistych
piramid ich sławy. Najpyszniejsze miasta i grody legły

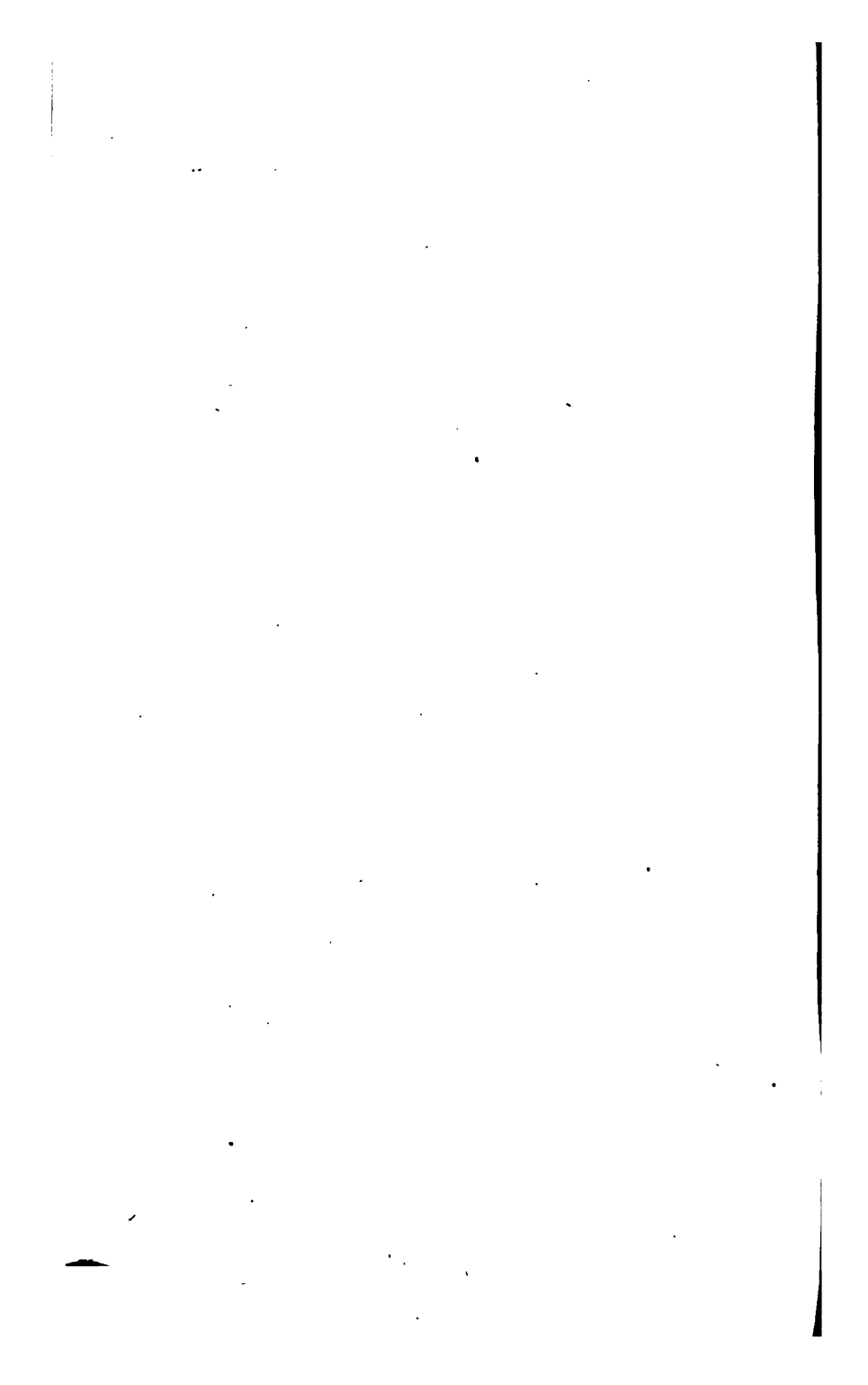
w gruzach, pamięć ich przechowuje się tylko w obrazach, jakie historycy i poeci nam o nich podają. Homer nanowo odbudowywa Troję, Tuceydes wywołuje z niepamięci wojnę peloponezką. Groty co niegdyś pierś pancernych ról perskich przeszywały, rdzą spożyte leżą w prochu pod Maratonem; lecz grot Pindara do dziś dnia brzmi z ciężkiw nieśmiertelnego jego łuku, podobny do dysku Hippomedona.

Jamque procul meminit dextrae, servatque tenorem.

Okiem przepelnionem wdzięcznością, poglądamy na zachowawczą potęgę literatury. Za wieków, kiedy pomroka nocy gotyckiej spadła była na Europę, Wirgiliusz z Liwiuszem byli prawie zapomniani, a przecie w ustronnych zakątach ziemi, w milczeniu i samotności, obrzędy geniuszu były bez przerwy obchodzone. Choć zewnątrz trwało barbarzyństwo, burze i ciemnota, — wewnątrz było światło, wonność i harmonia. Długo tak święty ogień nauk tlił się na poburzonych i porzucanych ołtarzach, dopóki pochodnia po pochodni nieroznieciła jego płomieni po całym świecie. Od tego czasu księgi stały się zwierciadłem wiernie i świetnie odbijającym oblicza pisarzy. Piękność, ta duchowna Wenus, a której dziećmi są tacy jak Tasso, Spenser i Bakon, — skoro raz na swych ulubieńców wionie tohniem uroku, nadaje im od razu odznaczającą się stałą postawę. Od tego jej technienia przekształceni oni zostają na kryształ wyobraźni, wymowy lub mądrości, z cudową siłą do działania na zewnątrz. Otoczone aureolą sławy, rzucają promienie swe na tych, co się do nich zbliżają z podziwieniem. Każdy z tych wielbicieli unosi mniej lub więcej coś z ich blasku i słynności. Dla tego to się dzieje, że światło geniuszu nigdy niezachodzi, lecz rozlewa się na inne twarze, polyskując na nich odbiciem barw tej samej światłości. I tak Homer dostrzega się z pod polerowanej ogłady Wirgilego, a Spenser odradza się w kwiecistych wierszach poety Gray.

Obeznani z literaturą znajdując w tym zbiorze niejedną miłą kwiatek uszczelniony na jej polach i ułożony w pawabny bukiet. Tu przypominam sobie słowa jednego z nowoczesnych pisarzy: „Urywki z poezyi i obrazy myśli — rzekł on — krociami pochowane leżą w mej gło-

wie, i dopiero kiedy jestem zupełnie spokojnego umysłu, wtedy ich zmartwychwstanie, a piękność ich rozwija się w mej pamięci, jako tyle kwiatów w porze wiosennej". — Oby to samo zmartwychwstanie myśli i szlachetnych uczuć odnawiało się i u nas w przyszłym roku nowym! One uczacniają człowieka, a dla narodów są najtrwalszą rękojmą wielkości, potęgi i bytu.



GAZETKA LITERACKA.

Kraków. Niemożna się pochwalić wielką liczbą nowości księgarskich przygotowanych na Nowy Rok. Wiemy tylko, że p. Łopkowski wydaje książkę: *Przewodnik krakowski*, do której dołączone będą liczne drzeworyty, robione w Lipsku. Już też od dawna dawała się czuć potrzeba tego rodzaju książki z ilustracyami. — Księgarnia Czecha wydała przedruk historii Literatury polskiej L. Łukaszewicza, lecz znacznie pomnożony wiadomościami odnoszącymi się szczególnie do pisarszów nowej epoki. — Wydawnictwo katolickie drukuje *Opis kościoła Ś. Katarzyny*, z nabożeństwem do tej patronki — którego to dziełka sprzedaż ma być przeznaczoną na restauracyą tej spaniałej Kazińmrowskiej świątyni dziś mocno zrujnowanej. P. W. Wieległowski powziął szczerą myśl, którą rozwija w ten sposób, żeby każda osoba, co nosi imię Katarzyny, ofiarowała na ten cel choćby jednego dnia; co rzeczywiście mogłoby stworzyć ogromną sumę. — Juliusz Wildt prowa-

dząc wydawnictwo *Czytelnia domowa*, ogłosił teraz pierwszy zeszyt drugiego tomu *Asraf*, romanu Teodora Mügge, budzącego z każdym zeszytem większe zajęcie. — Wydawnictwo *Biblioteki Polskiej* Turowskiego, założyło siedlisko swoje w Krakowie. i już ukończyło druk w dwóch zeszytach: *Kazań sejmowych Skarżi*. — Rzyśzeliśmy, że od Nowego Roku czynniej zacznie się krzątać, i obrawszy pewien systemat, ściśle trzymać go się będzie.

Lwów. W drukarni Instytutu Ossolińskich nakładem W. Mianickiego wyszło kilka ważnych, pożytecznych i zajmujących książek, między innemi: *Geografia królestw Galicyi i Lodomerji* napisana przez R. A. hr. Kuropatnickiego i pierwszy raz drukowana w Przemyślu r. 1786. Jest w niej wiele bardzo ciekawych szczegółów pokazujących w jakim stanie była ta prowincya kiedy się dostała pod berko domu austriackiego. — *Kawenia* o mecie pańskiej i nauki przygodne pisanie przez kapłana obr. ormiańskiego

archidycezyi lwowskiej. Tem
drogi. — Nakoniec wyszła tam
czysto i ozdobnie wydana powieść
Jana Zacharyasiewicza pod tyt-
łem: *Dwaj Lutniści*, obrazy z
naszej przeszłości. Autor wy-
prowadza na scenę dwóch 16
wieku poetów: Klemensa Jani-
ckiego i Sebastyana Klonowicza.
Utwór ten przypisany T. Lenar-
towiczowi.

Wiedeń. W zawodzie malar-
stwa wyszło także niemieckie
dziełko w Wiedniu budowniczego
Ignacego Fialkowskiego pod tyt-
łem: *Der Zeichner und Kolorist
nebst den dazu gehörigen
Zeichenrequisiten*. 40 t. j. Prak-
tyczne zasady nauki rysunkowej
i kolorowania z wiadomością o
materiałach i narzędziach po-
trzebnych do rysowania.

Poznań. Wydawnictwo L.
Morzbacha szczerza przysługiwad
się cennymi dziełami; wydania
także zalecają się starannością i
gustem. Najnowsze książki co
wyszły z tej oficyny, są nastę-
pujące: *Zabytek dawnej mowy
Polskiej* ogłoszony staraniem hr.
T. Działyńskiego; są to stare z
15 wieku kazania, i najdawniej-
szy przekład psalmu: *Super flu-
mina*. Wydanie przepyszne leos-
zbyt korzystne, na tego rodzaju
materiał filologiczny. Wyszły
także: Obrazki Andersena p. H.
F. Feldmanowskiego. — *Złobek*,
kolęda dla dzieci p. K. Antonie-
wicza. — O kometach, Dra Woj-
ciecha Urbańskiego z Lwowa.

Lipak. Półkownik Ign. Sawy-
kowski ogłosił drukiem: *History-
czne badania nad zbiorami esty-
chowanych portretów malarzy
flamandzkich, które z końcem XVI
i na początku XVII wieku wy-
dawał Hieronim Cock w Antwer-
pii i Henryk Hondius w Hadze*
(*Historische Skizze über die frü-
hesten Sammelwerke alt-nieder-
ländischer Maler-Portraits Lei-*

psig bei Weigel. 8vo str. 54.)
Praca ta stanowi ważny przyczy-
nek do dziejów malarstwa i esty-
charstwa flamandzkiego.

U Brokhauusa ukazało się dzieł-
ko politycznej wagi: *Udziałność
Czarnogóry i prawo narodów w
nowoczesnej Europie* — francuski
jego tytuł: *La Souveraineté du
Monténégro*. Autorem tej pracy
rzucającej światło na stosunki
Czarnogóry do Turcyi, której
waz-likiego prawa do zwierzchni-
ctwa nad tym krajem zaprzecza,
jest młody utalentowany Czech,
znany z podróży swych po zie-
miach południowej Słowianoszy-
zny. p. Jan Wacłk. O dziełku
tęm damy w swoim miejscu spra-
wozdanie.

Berlin. Obrabianie przedmio-
tów polskich na polu romanzyki.
aszkolwiek po większej części
nieudatne, w Niemczech coraz bar-
dziej w modę wchodzi. I tak pło-
dny romansopisarz niemiecki R-
dward Breier (Izraelita urodzony
w Warzawie 1811 r. exartyle-
rzysta i byłý redaktor gazety
praskiej) ogłosił temi czasy w
Pessioie historyczny romanś z cza-
sów pierwszego podziału Polski
w trzech tomach pod tytułem:
Sabatnicy (Die Sabbatthener).
Za tło owego romanśu postawiła
autorowi konfederacya baraka i
żydowska sekta Sabatjanów czyli
tak zwanych Kontratałmudystów
lub Scharytów zreformowanych
na Podolu przez Jakuba Józefa
Franka zwanego Dobroszecki, któ-
ry wywodząc ród swój z córki
Kazimierza Wielkiego i Esterki,
przyjął pozorowo część wiary chrze-
ścijańskiej. Prócz owego Franka,
którego awanturniczo życie i
śmierć w Offenbach d. 10 Gr-
udnia 1791 nastąpiła romanśopi-
sarsz w powyższym dziele obzer-
nie określił. Wypatują w tymże
romanśie: Krasinski, Puławski,
Kutma i główną bohaterka jaka

hrabina Zofia Kossakowska (?) głównie kierująca konfederacją baracką, która z bronią w ręku ginie w bitwie pod Marynowicami (ma to być Maciejowicami) obok Kościuszki.

Podobnego rodzaju dzieło wydał także w Berlinie Leo Goldammer pod tytułem: Litwa, powieści kreślone z natury i życia wiejskiego (*Lithauen; Erndthungen aus dem Natur- und Volksleben*). Zbiór ten obejmuje osiem powieści: pierwsza z nich rozwickła pod napisem: Zamek Kuckernase, wystawia zabieg kurfięstwa brandeburskiego o koronę polską r. 1660, przy czem pomiędzy innymi bohaterami niemieckimi występuje także Bogusław król Prus. Pomimo iż to tytuł powieści umieścił autor w Prusach nadbałtyckich na pograniczu Litwy; nie tu niema takiego, co by w najmniejszej części czasu dawniej Litwy lub Polski malowało.

W. Bachmann wydał nakładem drukarni nadwornej przerobiony z powieści hr. Henryka Rzewuskiego romans historyczny z drugiej połowy 16go wieku, pod napisem: „*Schloss Krakau und das letzte Turnier*.” Autor zyskał sobie już imię powieściopisarza, w Niemczech przez powieść: „*Der Fürst Mein-Liebchen*” (książkę Panię Kochankę) i lubo ułatwia on Niemcom obeznanie się z naszymi obyczajami i zwyczajami, tak jak tłumaczenia Walter Skota dały im poznać obyczaje i zwyczaje dawniej Anglii i Saksoyi, wszelako autor z lekką tylko natrąca o źródło, z którego czerpał wszystkie, a z recenzyj nawet niemieckich tego romanu poznajemy, że go uważają w Niemczech za oryginalnego powieściopisarza, który z utartych dzieł i podań wydebywał materiały do swoich prac; gdy tym-

czasem materiały te hr. Henryk Rzewuski w artystycznym już obrobieniu i całości mu podał. Zmiany są przez p. Bachmanna poczynione są tylko takie, jakie zdawały mu się być potrzebne dla czytelnika niemieckiego, żeby mu ułatwić zrozumienie niemalowanego mu społeczeństwa publicznego i domowego w dawniej Polsce.

Wyšlo także tam ciekawe dzieło mające związek z naszą historią, mianowicie do epoki panowania Stanisława Augusta; jest to obraz dworu Rosyjskiego przed sto laty od r. 1725 — 1763 ułożony według depesz i listów ambasadorów angielskiego i francuskiego. Tytuł dzieła: *La cour de la Russie, il y a cent ans.* — Miłostki Katarzyny z Poniatowskim, ich schadzki u sekretarza ambasady angielskiej, są szczególowo wynotowane.

Królewice, Jan Watterich ogłosił w Królewcu broszurę historyczną w języku łacińskim: O zasługach Łukasza Watselroda biskupa warmijskiego na polu nauk i wsparcia które od niego doznawał Mikołaj Kopernik (*De Lucas Watselrode episcopi in Nicol. Copernicum meritis. Regiononti.*)

Warszawa. Biblioteka Warszawska w grudniowym sesyście zamieszcza następujące artykuły: Starania domu rakuńskiego w XVI wieku o koronę polską p. Juliana Bartoszewicza.

Kilka uwag hist. statystycznych o guberni augustowskiej skrocił B. Tykiel.

Pamiętniki Franciszka Kowalskiego.

O poezyi włoskiej, przekład z Ozanama.

O biskupach kruszwickich. Początek dzieł w katedry kujawskiej p. Z. Komarnickiego.

Kronika paryska literacka i t. d. Maison rustique p. panią Müller-

Rebimel. Mémotres sur Berouger przez Savinien Lapointe i inne dzieła o pieśniarzu Francyi. — **Loracka literacka** p. Karola Monsolet, Pamflet, komedia Legouvé, Teatr włoński — Pomnik p. Geofrey Saint-Hilaire.

Cerkiew zamkowa w Kodniu, i znajdujący się w niej nagrobek Jana Bapisty wojew. podlaskiego przez p. Jana Łoskiego.

Poesye. Rada p. Jerzego Laskarysa — Szaleńcy (z Berougera) przez W. Korytyńskiego. — Tymka Padury Mandriwé.

Kronika literacka. Pamiętniki dziejów polskich z aktów urzędowych łwowskich i rękopismów zebrał z. Sadok Baracz. — przez J. Bartoszewicza. Polemika o kwestyi włościańskiej. Wola i niewola w pracy p. Soweryna hr. Urskiego — p. Leona hr. Lewickiego. — Przegląd muzykalny. Studya nad muzyką dramatyczną, czyli opera, p. M. K. *Chas* dodatk miesięczny Tom VIII.

Rozmaitości. Nowe Maty Koparnika p. Dom. Saulca — korespondencye i t. d.

Tań Biblioteka podaje w swoich doniesieniach literackich następującą wiadomość ze świata naukowego:

Drukarnia Gazety Codziennej rozpoczęła druk dwóch dzieł: „Życie, nauczanie i śmierć Sokratesa“ napisał Michał Głiszczyński i „Pamiętniki kuratora magazynów“ Marcinkowskiego, służącego pod przybranym nazwiskiem A. Nowosielskiego.

— Professor szkoły sztuk pięknych Bolesław Podczaszynski wydaje w litografowanym odbiciu: Kurs dziejów budownictwa, który wykłada. Obecnie mamy szczyt pierwszy ułożony ze stron 40 w 4-co; wśród tekstu pomieszczono i ryciną objaśniające, Niemała to pomoc dla uczniów.

Wydanie to ogranicza się na bardzo małej liczbie egzemplarzy.

— Szkiców i obrazków wyznał zeszły V, i obejmuje: fizyologię Saaskiego ogrodu. Autor tekstu rozdzielił bardzo trafnie swoje obrazki na godziny dnia każdego, w których ogród ten oddzielną przybiera charakterystykę. To odejście szczęśliwie są pochwyczone. Zarzucamy tylko niedbałość stylu, w niektórych miejscach przechodzącą w rubaszność. P. Kostrzewski staranniejsze dał nam ilustracye, a w rycinie „od 6-taj do 9-taj wieczorem“ wydatnie pochwycił postacie.

— W chwili gdy otrzymujemy wiadomość, że August Cieszkowski złożył na ręce hr. Młodęckiego Skórczewskiego tysiąc tablerów, jako nagrodę za pracę „Historii włościan i stosunków ekonomicznych w dawniej Polsce“, w drukarni S. Orgelbranda ukazał się druk tejże treści dzieła K. Stawiskiego, obywatela kaliskiego.

— Wizerunki królów polskich rysowane p. Alex. Lessera, objaśnione tekstem historycznym przez Juliana Bartoszewicza, z litografii A. Pecq'a wyszedł szczyt 2gi i obejmuje: 1. Stefana Batorego. 2. Zygmunta III. 3. Władysława IV. Jak portrety odznaczają się wiernością rysów oblicza i postaci tych królów, tak zarazem i starannością odbicia: obszerny tekst naszego badacza podnosi wartość tej publikacyi.

— Wydanie w przekładzie polskim „Korana“, coraz nowemi zdobyczami się z bogactwa. Wydawca troskliwy o wszystko, a może nadać większą jeszcze wartość tej publikacyi, wpięć na prospekt dodać. Tak znajdziemy w tym dziele rozprawę napisaną

przez A. p. Konstantego Świrskiego, który zajmował się orientalistyką wschodnią, odkrył mezoety tatarskie z napisami świadczącymi o panowaniu Witolda na Wschodzie. Rozprawa ta nadziewana księgarskimi Nowocześniami przez J. Bartoszewicza, będzie ozdobiona drzeworytami, które księgarsz ten i wydawca powiększył jednemu z zdolnych artystów do wykonania. Dodaną będzie także rozprawa obejmująca poglądy na różnice wyznań, mianowicie: Mołdawian w czasach Mahometa, zebrana z dzieł najważniejszych angielskich i niemieckich. Gdy Jan Murza-Tarak Buczański, tłumacz Koranu, umarł, obecnie biegły orientalista W. Ko..., który przetłumaczył z arabskiego modlitwy codzienne i świętowane dla wyznawców Islamu, pomnożył je pięknym tłumaczeniem Hyman religijnego, zajmując się przypisaniami i objaśnieniami. W ostatku dołączony będzie kalendarz arabski w obecnych rozmiarach przez A. p. Adryana Krzywoskowskiego młodszego. Z tego widzimy, jak wielce zajmującą i naukową jest publikaacja Koranu. We wszystkich językach europejskich księga ta stanowiąca główne światło duchowy Mahometa, od kilku wieków była ogłaszana; znamy kilka tłumaczeń łacińskich, francuskich, niemieckich, angielskich; w naszym języku dopiero po raz pierwszy mamy zupełny przekład zbogacony jeszcze wiadomościami, mającymi styczność z Koranem lub rzucającymi nań światło. J. Bartoszewicz dedykował tę rozprawę, w której ma mówić o Tatarach w Polsce ostatnich; swracamy jego uwagę na rozprawę o Tatarach A. p. Jana Win. Bandtkiego. Rozprawę tę w podawie pierwszej ogłosił K. Wł. Wójcicki w Album literackim.

— Józef Bańkowski nowy edytor tłumacz Szekspira wykonał obecnie przekład Otella. Tłumaczenie „Kupca weneckiego“ będzie w następnych zeszytach drukowni Biblioteka Warszawską.

— „O uosobie kolorów w stanie fizyologicznym oka“. Dzieło przedstawione paryskiej akademii nauk przez Dr. Wiktora Szekalskiego, przetłumaczył z francuskiego na język polski Ferdynand Nawakowski student ces. król. Medyko-Chir. warszawskiej akademii. Tłumacz w przedmowie pisze: „Co mnie skłoniło do przetłumaczenia tej książki? Obek samikowania przedmiotu, choć przysądzenia się ogółowi, przywrojeniem pracy naukowego redaktora; pracy, wyrażonej nieprzystępnością dla wszystkich słowem. Owoce dziesiętności doświadczeń zbieranych pod obecnym niebem, znieśliśmy autora do objawienia swych idei w nieograniczonym języku. Godna zatem, aby dzieło podobnej treści, przy sposobnym prawie braku prac konkurujących oddzielnie o najdroższym organie człowieka, o oka, i w obec ożywionego zapachu ku nauce sztuki lekarskiej, stało się dla współczesników przystępnym i moim kolegom w mozolnych trudach się przysięść mającym. Niemcy już dawno przyswoili sobie to dzieło; mam nadzieję, że i ta okoliczność choć niekiedy zaszczytna, będzie niemną podnieść do zapoznanie się z pracą szanownego autora. Książka ta zmięła dwa wydania w języku francuskim; najprzód w rocznikach okulistycznych (Annuaire d'oculistique publiée par M. Flerant Cuvier), a powtórnie oddzielnie wyszła w Paryżu r. 1841 i z tegote wydanie dokonaliśmy przekład.“ Tłumaczenie przygotowane do druku przez F. Nawakowskiego mieć będzie przewagę nad oryginałem

ogłoszonym z tego względu, że sam autor je przejrzał i przypisał, powiakały. My podaję o tej pracy wiadomość, cięższy się, że znaczna młodzież polska, która z takim zapalem rzuca się do tylko co otwartej Akademii w mieście naszym, pojmując potrzebę pracy i nauki, z której i ogół korzyść będzie Wiemy, że w jej gronie są i dojrzałsi wielkimi, ludzie z doświadczeniem i nauką, którzy już obznajomi z pracami literackimi, nie zależą pola. Lat kilka swobodnego rozwoju tej instytucji, a błogie owoce pracy i poświęcenia słuchających naszej młodzieży kraj cały zbierać będzie.

Zeszyt XII „Opisu omentarza powązkowskiego“ już w druku ukonczonym został; równocześnie cały tom trzeci dodatkowy z tym zeszytem wyjdzie. Tom ten obejmujący czterdzieści arkuszy ścisłego druku, zawiera oprócz dopełnień do Omentarza powązkowskiego opisy następujących omentarzy: 1. Święto-Krzyskiego. 2. W Warszawie przy ulicy Lessau. 3. W Wilanowie. 4. W Czerniakowie. 5. Na Pradze. 6. Na Bielkach. 7. We wsi Wawrzyszewie. 8. Ewangelicko-Augsburskiego wyznania. 9. Ewangelicko-Reformowanego. 10. W Woli pod Warszawą. Obzerne przypisy i dodatki uzupełniają całość dzieła: w końcu dodany akorowidz alfabetyczny. Tom ten ozdobiony rycinami, oddzielnie może być nabywany przez prenumeratorów pierwszych dwóch tomów.

— Rozrywki dla młodocianego wieku, pod redakcją Seweryna z Złochowskiej Piętaszkowej wychodzących, mamy już serji trzeciej tom pierwszy, z trzech zeszytów złożony.

Pismo to doborom artykułów, starannością redakcyi, dążnością salubną i moralną, zasługuje

na jak najwiękшие upowszechnienie, tém bardziej, że i cena złp. 30 za pięć tomów jest dostępną, a w handlu księgarskim niewiele praktykowaną. Oprócz opowiadań historycznych, dzieło to zawiera życiorysy zasłużonych mężów; z literatury polskiej znane już z pierwszej serji, czytania obejmujące epoki Piastowskie; wyjątki z dzieł ks. Vontury; „O wpływie niewiasty na społeczeństwo“, zajmujące ważność i swój treść, jak prostotę wykładu, i wyborszym językiem; dramat w dwóch aktach p. n. „Olęstyn“, wierszem, drobniejsze poczyta tak redaktorki, jak Maryi Illickiej znaczny i prawdziwie poetyczny talent i w. i. Z podróży mamy tu: „Wycieczkę do krainy Cyta“ przekład ze słynnego Fr. Gossama; powieści i listy uzupełniają całość tego tomu. Możemy z całą sumiennością oddać pochwały salubności temu pismu, które w wychowaniu domowem powinno być najpierwszą książką, bo może być podaną z użytkiem wielkim naszej dalekiej przyszłości. Znajdzie tu i późniejszy czytelnik niemało dla siebie przedmiotów zajmujących naukowców.

— „Nowe bajki i powiastki“ dla dzieci, oryginalne, Tymoteusza Radziakowskiego, wyszły z druku.

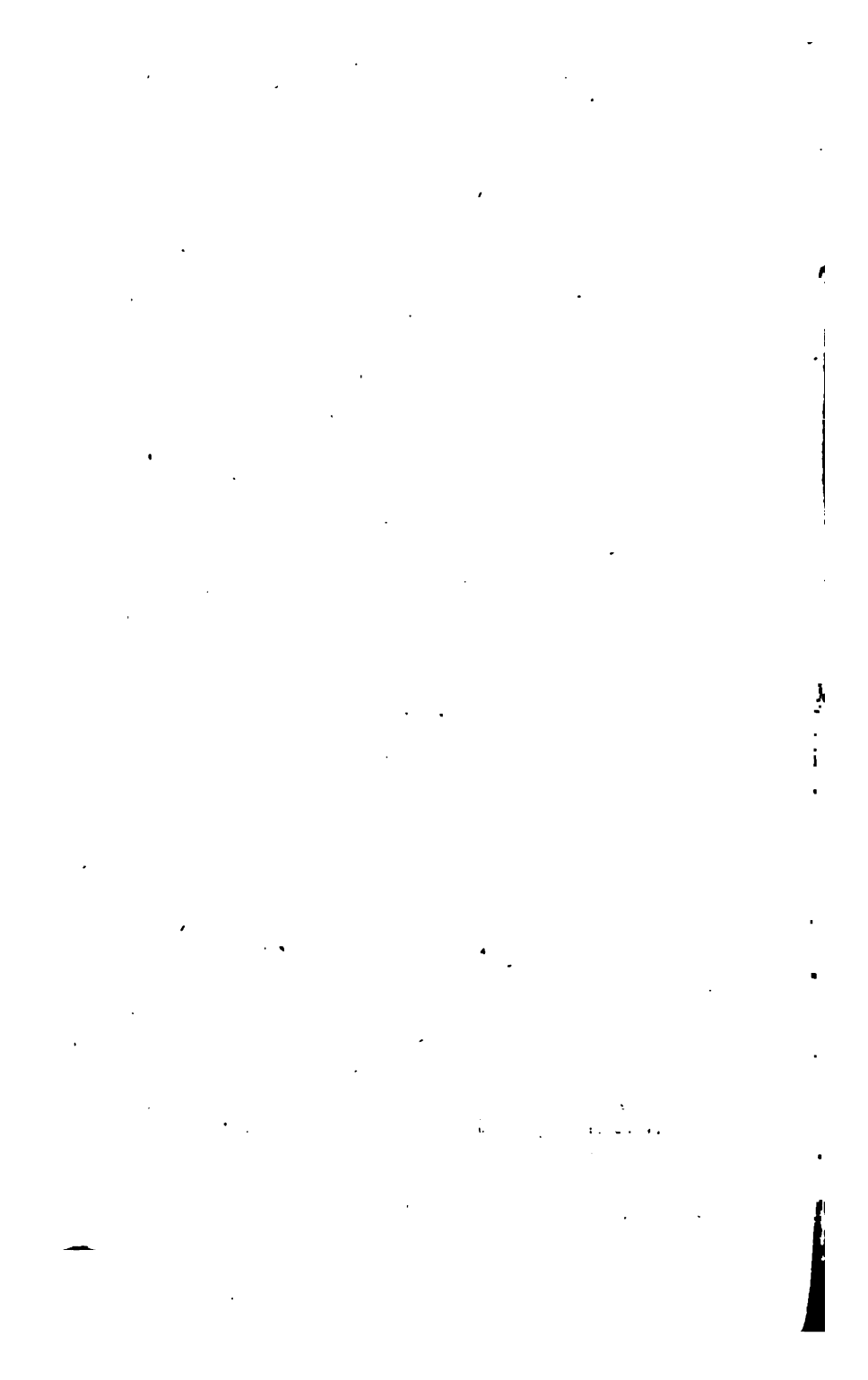
Wiśno. Za rzecz poważną mamy, że wkrótce otrzymamy pozwolenie Najwyższe na założenie w Wilnie Liceum realnego, mającego się składać z trzech oddziałów: mechanicznego, technicznego i agronomicznego — Drugi zeszyt Teki wileńskiej jest już pod prasą. Syrokomla napisał nową gwiazdę p. n.: Ułan, z wypadków 1812 roku, która się drukuje u T. Glücksberga.

— Z sprawozdań wileńskiej archeologicznej komisji w r. b. dowiadujemy się, że rzeźby w

członek A. H. Kirkor złożył programat 2-go tomu Pamiętników komisji, który obejmować będzie: 1) Przegląd posiedzeń Komisji od 11 czerwca 1856 r. 2) i 3) Dwie rozprawy rzeczyswistego członka M. Gusiowa; o starożytnym litewskim i ruskim kalendarzach. 4) Rys historii archeologii w Polsce i Litwie Ludwika Kondratowicza (Syrekomi). 5) Przegląd czynności główniejszych naukowych towarzystw w słowiańskich krajach i rzut oka na najnowsze archeologiczne poszukiwania. 6) Rozmai-

tości archeologiczne. 7) O posągach bóstw litewskich znajdujących się w muzeum Teodora Narbutta. Katalog archeologicznej kolekcji ułożony przez A. H. Kirkora, portretów i biustów przez L. Kondratowicza, i pamiątkowego przez prezesa Eust. Tysskiewicza i rzeczyswistego członka Pawła Kukolnika.

Odessa. Jako osobliwość zapisuję, że przed miesiącem wyszła tu pierwsza książka polska drukowana p. n.: Chwile od prac swobodne. Jestto zbiór poezyj E. A. Łukaszewicza.



ROK DRUGI.

SPIS ALFABETYCZNY PRZEDMIOTÓW

zawartych

w Tomie V, VI, VII i VIII, „Dodatku do Czasu“

według podpisów sporządzony.

ARBUZOWSKI Bartłomiej — Wyprawa do Arabii. po konie (zdarzenie prawdziwe); Tom V, str. 657.

ARCHIWA Berlińskie — Kilka drobnych wiadomości dziennych; VI, 46.

ARCHIWA Podhoreckie — List nieznajomego Awanturnika; VII, 697.

BIELOWSKI August — Pokucie; VI, 653.

BRONIKOWSKI A. — Platona Jon czyli Rhapsodika; VI, 337.

BYSTRZEWSKI M. — Co to Włoszka? VI, 148.

II

- CHODŹKO** Aleksander — Derwisz trzeci, powieść tłumaczona z perskiego; V, 381. — Przygody Padyszaha i czterech Derwiszów; VIII, 99.
- CZERNICKI** Gustaw — Poezye z Lermontowa; VIII, 424.
- DĄBROWICKI** W. S. — Modlitwa z hiszpańskiego Lopez de Vega; VIII, 434.
- DOMEJKO** Ignacy — Czteromiesięczna podróż z Paryża do Chili w r. 1838; V, 3, 259, 503; VI, 3, 245. — Wyjątki z listów do Adama Mickiewicza; VI, 273.
- DZIEDUSZYCKI** hr. Maurycy — Pojedynki; VII, 3. — Kalejdoskop czyli dramat na łyséj Górze; VII, 408. — Rzut oka na stan religijno-obyczajowy Polski w XVIII wieku; VIII, 291.
- FELICYAN** M. — Termopile, poemat; VI, 100. — Poezye: Złoty Cielec, VI, 642, Afrodyte Anadyomene, VI, 646. Kochanka króla Cefrena; VI, 649.
- GROZA** Aleksander — Marek Jakimowski, duma historyczna; VII, 156. — Pamiątka nadzwyczajnego zdarzenia w klasztorze Berdyczowskim praktykowanego; VII, 669.
- HELLENISTY** E. — O Unii w Polsce; VI, 535. — Wiadomość historyczna o Zgromadzeniu XX. Bazylianów w Humanu; VIII, 3.
- KAMIŃSKI** B. — Negocyacye ze Szwecyą o pokój 1651—1653; V, 37, 302, 553.
- KOŃSKI** Kajetan — Biografia księcia Adama Czartoryskiego, Jenerała Ziem Podolskich; VIII, 625.

KRASEWSKI J. I. — Mogiły, fragment; VIII, 644.

KREJCZUNOWICZ Kornel — Postępowanie sądowe w sporach o zwrócenie rzeczy wypożyczonych w Galicyi; VI, 68.

KULCZYCKI Władysław — Komedyi Danta pieśń II, (Czyśca) i pieśń XXIII (Raju) przekład; V, 96. — Zabiegi posła tokańskiego Pawła Minucei na dworze królowej Ludwiki forytującego na tron polski Matiasza Medicis księcia tokańskiego r. 1569; VI, 294. — Panteon; VII, 382. — Szkice podrózne; VIII, 158. — Dwoje pism dyplomatycznych hrabiego Krzysztofa Masini posła nadzwyczajnego Rzeczypospolitej Polskiej do książąt Włoskich w r. 1674; VIII, 561.

LEKSIKIEWICZ I. — Gymnastyka języka; V, 641.

LENARTOWICZ Teofil — Komedyi Danta pieśń XXV (Piekła); V, 89.

LISIEWSKI I. — Badanie historyczne podania gminnego o Smoczęj Jamie w Krakowie; VIII, 61.

ŁABIŃSKI Michał — O administracyi francuskiej; VII, 307.

ŁEPKOWSKI Józef — Drezno, zbiory sztuk i archeologii w tem mieście; VI, 85.

MANN Maurycy — Drugie konferencye paryzkie; V, 196. — Fakt i prawo; 437. — Jeszcze jedna kwestya; 736. — Państwo i *Self-government*; VI, 200. — Dzisiaj czyli Wieniec Konwalij, dramat w czterech aktach; 367. — Zmiany konieczne; 472. — Państwo i Opozycja; 749. — Rosya i kwestye społeczne; VII, 210. — Państwo dwulicowe; 519. — Wizyta u Panny Le Normand;

726. — Państwo i Kolonia; 778. — Zjazdy monarchów i opinia europejska; VIII, 209. — Oligarchia polityczna; 501. — Drugi obieg błędny II obiegu koła; 776.

MACZYŃSKI Józef — Kościuszkowskie Czasy; VII, 427. — Archiprezbyterowie i kapłani kościoła Maryawskiego w Krakowie; VIII, 436.

MEBARD F. — Zamiennik, powieść; V, 108.

MOŃKAWSKI generał Franciszek — Bajki; VIII, 637.

MONTEZ Leszek — Gracze, poemat satyryczny; VIII, 84.

MOSBACH August — Axela Sparrego szambelana królowej Szwedzkiej Krysтины poselstwo do Polski w r. 1645; VII, 340.

NORWID Cyprian — Białe kwiaty; V, 356.

OLEŚCZYŃSKI Antoni — O sztukach pięknych; VII, 140.

POŁOWIŃCZY — Ustęp z poematu „Wit Stwosz”; V 371.

SIEMIŃSKI Lucjan — Rzut oka na całoroczne piątnictwo w r. 1856; V, 174. — O tłumaczeniach i o przekładzie Eschyla i hymnów kościelnych; 422. — O literaturze pamiętnikowej a w szczególności o pamiętnikach Ewy Felińskiej; 714. — O Janie Potockim i jego romanie; VI, 181. — O Poezyi ukraińskiej i o poematach Aleksandra Grozy; 452. — Monografie historyczne: „Gmentarz Powązkowski” i „Wzory sztuki średniowiecznej”; 735. — Legendowe fałszerstwo i Dwie konwersacje Ignacego Chodźki; VII, 191. — O sztukach pięknych w Polsce o „Słowniku malarzy Rastawieckiego i o muzyce pieśni gminnych Kol-

berga; 499. — Elegia Dantyszka do Grynei; 719. — ~~Opisy~~ chrześcijańskiej i o Dantyszkowych hymnach; 768. — O pamiętnikach Bartłomieja Michałowskiego; VIII, 179. — O literaturze improwizowanej i o „Podróżach historycznych „Niemcewicza/ 481. — O potrzebie pism czasowych i o *Tęce* Wileńskiej; 758.

SZOMCZEWSKI Michał — Anglia i Anglii w wieku ośm-nastym; VII, 60. — Charakter niewieź-pieczństwa cywilizacji przemysłowej; 581.

SADOWSKI Juliusz — Do Eustachego J...; VIII, 641.

SUCHECKI Henryk — Ułamki głagolickie pragackie; VII, 126.

SULIMA Ondrej — Uwagi nad czynszowaniem i uogła-szczeniem włościan w Królestwie Polskiem; VII, 888.

WODZIŃSKI hr. Henryk — Uwagi o kwestyi włościańskiej (z powodu broszury Seweryna hr. Uruskiego: „Wola i niewola w pracy”); VII, 92.

WODZIŃSKI hr. Kuzimierz — Zapiski ornitologiczne; VI, 354, 627; VII, 106.

ZAZUSKI hr. Jan Konrad — Odczyt dokumenta odnośne do zeszłowiekowych dziejów Ziemi Sanockiej; VIII, 371.

ZAZUSKI generał hr. Józef — Kilka słów o dawniej bro-ni w Polsce; VIII, 46.

ŻEBRAWSKI Teofil — Wiadomości numizmatyczne (z dwie-ma tablicami); V, 618.

VI

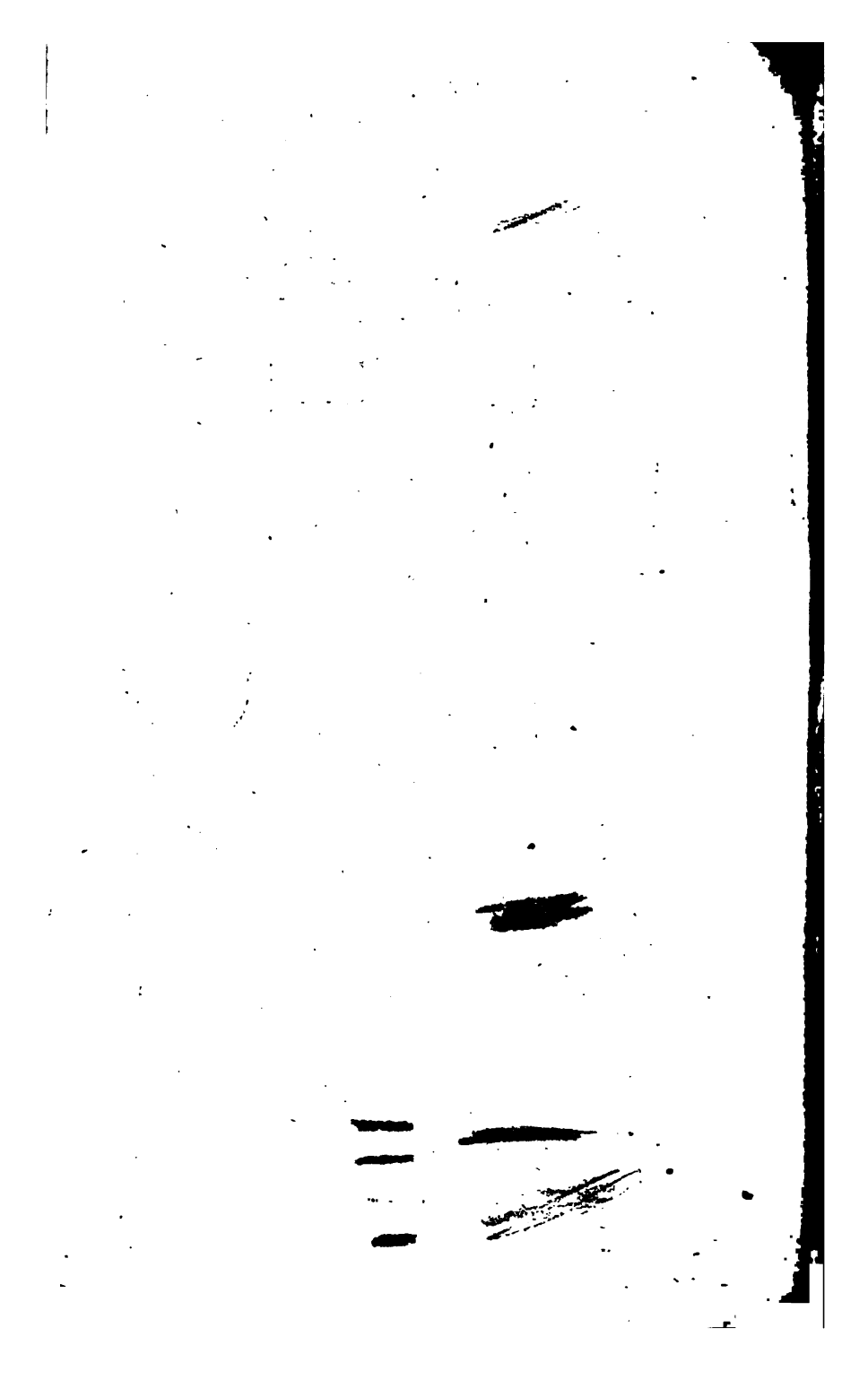
KRONIKA

- Z Berlina;** V, 225, 460, 766; VI, 501, 777; VII, 268, 542, 830; VIII, 251, 531, 808.
- Z Krakowa;** V, 212, 449, 750; VI, 214, 486, 769; VII, 247, 532, 820; VIII, 233, 510, 791.
- Z Londynu;** V, 243, 477, 783; VI, 235, 519, 792; VII, 282, 557, 848; VIII, 266, 551, 825.
- Ze Lwowa;** V, 215, 455, 759; VI, 222, 492.
- Z Paryża;** V, 233, 466, 775, VI, 229, 511, 785; VII, 263, 272, 550, 839; VIII, 258, 543, 817.
- Z Poznania;** VIII, 244, 521, 800.
- Z Rzymu;** V, 241, 473, 781.
- Z Warszawy;** V, 484, 790; VI, 524; VII, 294, 567; VIII, 278.
- Z Wiednia;** V, 220, 457, 762; VI, 226, 496, 773; VII, 253, 537, 825; VIII, 240, 515, 797.

Gazetka literacka; V, 250, 498, 795; VI, 243, 533, 805; VII, 303, 579, 863; VIII, 283, 559, 537.

KONTA.





49
Qc 40/51

This book should be returned to
the Library on or before the last date
stamped below.

A fine is incurred by retaining it
beyond the specified time.

Please return promptly.